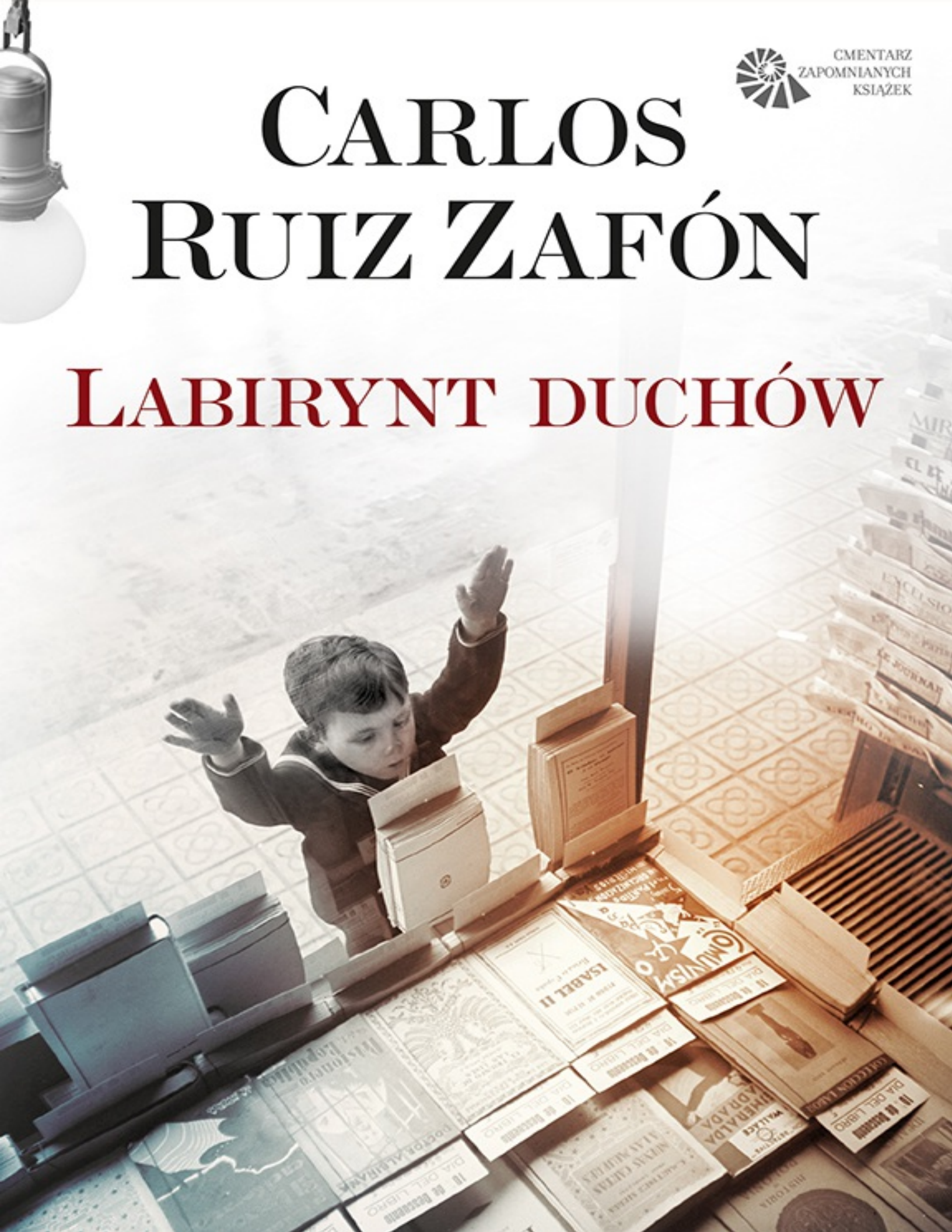




CMENTARZ
ZAPOMNIANYCH
KSIĄZEK

CARLOS RUIZ ZAFÓN

LABIRYNT DUCHÓW





CMENTARZ
ZAPOMNIANYCH
KSIĄŻEK

Książka ta należy do cyklu powieści, które spotykają się w literackim świecie Cmentarza Zapomnianych Książek i łączą poprzez osoby i wątki, stanowiące fabularne mosty pomiędzy poszczególnymi historiami. Jednak każda z książek przedstawia opowieść zamkniętą w sobie i niezależną.

Serię o Cmentarzu Zapomnianych Książek można czytać w dowolnej kolejności, można też czytać każdą część osobno. Pozwala to Czytelnikowi dostać się do labiryntu historii różnymi drzwiami i znaleźć drogi, które złączywszy się, poprowadzą go do serca opowieści.

Każda powieść jest wytworem wyobraźni. Cztery części „Cmentarza Zapomnianych Książek”, choć inspirowane Barceloną wieku dwudziestego, nie są wyjątkiem. W niektórych przypadkach zarówno obraz danego miejsca, jak i chronologia z tym miejscem związana, niektóre nazwy własne powszechnie znanych marek lub też szczególnie znane okoliczności zostały przystosowane do narracyjnej logiki, żeby, przykładowo, Fermín mógł rozsmakowywać się w swych ukochanych sugusach, zanim te naprawdę zaczęły być powszechnie znane, czy też by bohaterowie mogli przechadzać się pod ogromnym sklepieniem Estación de Francia.

LABIRYNT DUCHÓW



Warszawskie Wydawnictwo Literackie





CMENTARZ
ZAPOMNIANYCH
KSIĄZEK

CARLOS RUIZ ZAFÓN

LABIRYNT DUCHÓW

przełożyli
Katarzyna Okrasko
Carlos Marrodán Casas



Tytuł oryginału: *El Laberinto de los Espíritus*

Projekt okładki: *Planeta Arte & Diseño*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Renata Kuk, Maria Śleszyńska*

Fotografie na okładce i stronach tytułowych

© Gabriel Casas. Día del libro, Barcelona 1932. Arxiu Nacional de Catalunya y © Joan Tomás. Farola de la calle Ferran, Barcelona

Fotografie wewnątrz książki

Dies Irae: Vista aérea de Barcelona, 17 de marzo de 1938, Ufficio Storico Aeronautica Militare

Kyrie: F. Català-Roca. *Contraluz en las aceras de la Gran Vía de Madrid*. Madrid, 1953

© Photographic Archive F. Català-Roca – Arxiu Històric del Col·legi d'Arquitectes de Catalunya

La ciudad de los espejos: «Día del libro», 1932, Barcelona © Gabriel Casas i Galobardes. Fons Gabriel Casas de l'Arxiu Nacional de Catalunya

Los olvidados: Tranvía de la línea 12 (en el cruce Avda. Diagonal con Avda. Sarrià), 1932–1934, Barcelona © Gabriel Casas i Galobardes. Fons Gabriel Casas de l'Arxiu Nacional de Catalunya © Núria Casas – ANC

Agnus Dei: F. Català-Roca. *Contraluz en la estación de Atocha de Madrid*. Madrid, 1953 © Photographic Archive F. Català-Roca – Arxiu Històric del Col·legi d'Arquitectes de Catalunya

Libera Me: F. Català-Roca. *Elegancia en la Gran Vía de Madrid*. Madrid, 1953 © Photographic Archive F. Català-Roca – Arxiu Històric del Col·legi d'Arquitectes de Catalunya

23-4-1960: F. Català-Roca. *Calle del Bisbe*. Barcelona, 1973 © Photographic Archive

F. Català-Roca – Arxiu Històric del Col·legi d'Arquitectes de Catalunya
F. Català-Roca. *Sagrada Família*. Barcelona, 1950 © Photographic Archive F.
Català-Roca – Arxiu Històric del Col·legi d'Arquitectes de Catalunya

© Carlos Ruiz Zafón 2016

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2017

© for the Polish translation by Katarzyna Okrasko and Carlos Marrodán Casas

ISBN 978-83-287-0770-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2017

Spis treści

KSIĄŻKA DANIELA

DIES IRAE

Barcelona

Marzec 1938

BAL MASKOWY

Madryt 1959

KYRIE

Madryt

Grudzień 1959

MIASTO LUSTER

Barcelona

Grudzień 1959

ZAPOMNIANI

AGNUS DEI

Styczeń 1960

ZESZYT ISABELLI

1939

LIBERA ME

Madryt

Styczeń 1960

IN PARADISUM

Barcelona
Luty 1960

BARCELONA
23 kwietnia 1960

1964

KSIĄŻKA JULIANA

EPILOG
Barcelona
9 sierpnia 1992 roku

KSIAŻKA DANIELA

1

*T*ej nocy śniło mi się, że wracam na Cmentarz Zapomnianych Książek. Znowu miałem dziesięć lat i obudziłem się w swej dziecięcej sypialni, czując, że twarz mamy całkiem zatarła się w mojej pamięci. Byłem przekonany, tak jak potrafimy być przekonani tylko w snach, że to wyłącznie moja wina, że nie zasługuję, by pamiętać twarz mamy również dlatego, że nie potrafiłem być wobec niej sprawiedliwy.

W miarę szybko pojawił się ojciec, zaniepokojony moimi przeraźliwymi krzykami. Tata, który w tym śnie był jeszcze młody i wciąż znał odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania, przygarnął mnie do siebie, by pocieszyć i uspokoić. A potem, kiedy pierwsze światła przydawały kolorów mglistej Barcelonie, wyszliśmy z domu. Z niezrozumiałych dla mnie powodów ojciec odprowadził mnie tylko do bramy. Tam puścił moją dłoń, dając do zrozumienia, że w tę wędrówkę powinienem udać się sam.

Ruszyłem przed siebie, ale pamiętam, że ciężko mi ubranie, buty, nawet własna skóra. Każdy kolejny krok wymagał coraz większego wysiłku. Doszedłem do Rambli, miałem wrażenie, że miasto zastygło w trwającej bez końca chwili. Ludzie, jak zamrożeni, zatrzymali się w pół kroku, niczym postacie na starej fotografii. Gołąb, który wzbijał się do lotu, trzepocząc skrzydłami, kreślił nimi niewyraźny szkic. Drobinki kurzu unosiły się nieruchome w powietrzu niczym świetlny pył. Woda z fontanny na Canaletas skrzyła się w pustce i wyglądała jak naszyjnik z kryształowych łez.

Powoli, jakbym przemieszczał się pod wodą, zagłębiałem się w urok owej zatrzymanej w czasie Barcelony. Wreszcie dotarłem do wejścia na Cmentarz Zapomnianych Książek. I tam, do cna wyczerpany, przystanąłem. Zupełnie nie potrafiłem zrozumieć, czym jest ten niewidzialny, paralizujący ruchy ciężar, którym byłem obarczony. Chwyciłem kołatkę i zacząłem stukać. Nikt nie otwierał. Waliłem pięściami w masywne drewniane drzwi, ale dozorca

pozostawał obojętny. W końcu osunąłem się na kolana. I wtedy dopiero pojąłem, że wlecze się za mną przekleństwo, i ogarnęła mnie przerażająca pewność, że i mój los, i to miasto na zawsze zostaną skute lodem przez owe czary i że już nigdy nie zdołam przypomnieć sobie twarzy mamy.

I nagle, pozbawiony już wszelkiej nadziei, odnalazłem to. Metalowy drobiazg ukryty w wewnętrznej kieszeni szkolnej marynarki, ozdobionej moimi wyhaftowanymi na niebiesko inicjałami. Klucz. Ile czasu tam przeleżał? Dlaczego wcześniej go nie czułem? Był przeżarty rdzą i ciążył mi niemal tak jak moje sumienie. Z ogromnym trudem zdołałem unieść go w obu dłoniach i włożyć do zamka. Reszką sił usiłowałem go przekręcić. Kiedy już pogodziłem się z myślą, że nigdy mi się nie uda, zamek ustąpił, a z nim ustąpiły również masywne drzwi.

Do wnętrza pałacu prowadziła łukowata galeria obrysowana płonącymi świecami wskazującymi drogę. Zanurzałem się w ciemnościach, słysząc zatraskujące się za moimi plecami drzwi. Rozpoznawałem ów korytarz i freski z aniołami i baśniowymi stworami, które śledziły mnie bacznie i zdawały się odwracać za mną głowy. Tym korytarzem doszedłem do łuku, za którym znajdowało się ogromne pomieszczenie, i zatrzymałem się na progu. Przede mną roztaczał się labirynt powielających się bez końca miraży. Ku ogromnej kryształowej kopule wznosiła się spirala schodków, tuneli, mostów i łuków porozstawianych w wiecznym mieście wybudowanym z wszystkich ksiąg świata.

I tam, u stóp tej budowli, czekała moja matka. Leżała w otwartym sarkofagu z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, z twarzą białą jak suknia, w którą przyobleczone było jej ciało. Miała zamknięte usta i opuszczone powieki. Leżała nieruchomo w niespokojnym spoczynku zatraconych dusz. Położyłem dłoń na jej twarzy, by ją pogłaskać. Skórę miała zimną jak marmur. W tym momencie otworzyła oczy. Swoje pozbawione wspomnień spojrzenie wbijała w moje źrenice. Rozwierała zsiniałe wargi, a z jej ust wydobywał się głos, a raczej huk pociągu towarowego, który przewracał mnie, odrywał od ziemi, unosił w powietrze i trzymał w zawieszeniu trwającego bez końca upadku, podczas gdy potęgujące się echo słów roztrzaskiwało świat.

Musisz opowiedzieć prawdę, Danielu.

Obudziłem się gwałtownie w półmroku sypialni, oblany zimnym potem, by natychmiast uświadomić sobie, że leżę obok Bei, która przytula mnie i głaszcze po twarzy.

– Znowu? – szepnęła.

Przytaknąłem i westchnąłem głęboko.

– Mówiłeś przez sen.

– A co mówiłem?

– Nic się nie dało zrozumieć – skłamała Bea.

Spojrzałem na nią, Bea zaś uśmiechnęła się ze współczuciem, jak mi się zdawało, choć równie dobrze mógł to być jedynie wyraz cierpliwości.

– Pośpij jeszcze trochę. Mamy z półtorej godziny. Dziś jest wtorek.

Wtorek, czyli na mnie wypadało odprowadzenie Juliana do szkoły. Zamknąłem oczy, udając, że zasypiam. Kiedy znów je otworzyłem parę minut później, ujrzałem twarz Bei przyglądającej mi się bacznie.

– Coś nie tak?

Pochyliła się i delikatnie pocałowała mnie w usta. Smakowała cynamonem.

– Mnie też już się odechciało spać.

Zacząłem ją powoli rozbierać. Już szarpałem za kołdrę, by ją zrzucić na podłogę, kiedy usłyszałem cichutkie kroki zbliżające się do drzwi naszej sypialni. Bea przyhamowała wędrówkę mojej dłoni między swoimi udami i uniosła się, opierając na łokciach.

– Coś się stało, kochanie?

Mały Julián stał w drzwiach i przyglądał nam się z wyrazem zawstydzenia i niepokoju na twarzy.

– Ktoś jest w moim pokoju – wyszeptał.

Bea westchnęła głęboko i wyciągnęła ku niemu rękę. Julián, nie zwlekając, schronił się w ramionach matki, ja zaś pożegnałem się z wszelką nadzieją w grzechu poczętą.

– Szkarłatny Książę? – zapytała Bea.

Julián przytaknął skruszony.

– Tata zaraz pójdzie do twojego pokoju i spuści temu łobuzowi tak ciężkie

lanie, że odechce mu się tu wracać.

Nasz syn rzucił mi pełne rozpaczy spojrzenie. Czyż ojciec nie jest najbardziej przydatny właśnie wtedy, kiedy trzeba się podjąć tak bohaterskiej misji? Uśmiechnąłem się do Juliana i puściłem oko.

– Ciężkie lanie – powtórzyłem, przybierając najgroźniejszy wyraz twarzy, na jaki było mnie stać.

W odpowiedzi Julián spróbował przywołać na usta przynajmniej cień uśmiechu. Wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem korytarzem do jego sypialni. Tak bardzo przypominała mi pokój, który zajmowałem piętro niżej, gdy byłem w wieku Juliana, że przez chwilę zastanawiałem się, czy aby na pewno przebudziłem się ze snu. Usiadłem na brzegu łóżka i zapaliłem nocną lampkę. Julianowi nie brakowało zabawek, w części odziedziczonych po mnie, ale to książek było tu najwięcej. Bez trudu odnalazłem kryjącego się pod materacem winowajcę. Wyciągnąłem ów mały tomik w czarnej okładce i otworzyłem go na stronie tytułowej.

Labirynt duchów VII

Ariadna i Szkarłatny Książę



Tekst i ilustracje Victor Mataix

Skończyły mi się już pomysły, gdzie mógłbym chować te książki. Choćbym znalazł dla nich najwymyślniejszą kryjówkę, mój syn potrafił natychmiast je wyniuchać. Przerzuciłem kartki powieści. Trzepot stron ponownie wzbudził we mnie wspomnienia.

Kiedy wróciłem do sypialni, uprzednio ukrywszy książkę pod sufitem na kuchennej szafce – choć wiedziałem, że mój syn wcześniej czy później i tak ją odnajdzie – Julián leżał już wtulony w ramiona matki. Oboje spali. Stałem w progu ukryty w półcieniu. Wsłuchałem się w ich miarowe oddechy

i próbowałem sobie odpowiedzieć, czym najszcześniejszy na świecie mężczyzna zasłużył sobie na takie szczęście. Przyglądałem im się, jak śpią przytuleni, niepomni na nic, i w żaden sposób nie potrafiłem odpędzić wspomnienia strachu, który poczułem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Juliana w objęciach Bei.

2

Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, ale owej nocy, gdy urodził się mój syn Julián i zobaczyłem go po raz pierwszy w ramionach Bei, pogrążonego w błogosławnym spokoju danym tylko tym, którzy jeszcze nie są świadomi, w jakie to miejsce przyszło im właśnie trafić, ogarnęła mnie nieprzeparata chęć, by rzucić się biegiem do ucieczki i biec, biec, póki świata przede mną starczy. Byłem wtedy jeszcze dzieciakiem i życie wydawało mi się o kilka numerów za duże, ale jakiegokolwiek bym szukał dla siebie wymówki, czuję wciąż gorzki posmak wstydu na myśl o ataku tchórzostwa, jakiemu wtedy uległem. Mimo upływu tylu lat wciąż ukrywałem je przed osobą, której bez wątpienia powinienem był to wyznać.

Wspomnienia, które człowiek grzebie w grobie milczenia, nie przestają go prześladować. Moim prześladowcą jest wspomnienie pokoju o niebotycznym suficie. Brunatnożółte światło wiszącej wysoko lampy obrysowywało łóżko, w którym leżała niespełna siedemnastoletnia dziewczyna tuląca małe dziecko. Kiedy Bea, ledwo żywa, uniosła wzrok i uśmiechnęła się, łzy nabiegły mi do oczu. Klęknąłem przy łóżku i położyłem twarz na jej łonie. Ujęła moją dłoń i ścisnęła ją resztką sił.

– Nie bój się – szepnęła.

Ale ja się bałem. I przez chwilę, której wciąż się wstydzę, chciałem być w jakimkolwiek innym miejscu, byle nie w tym pokoju i nie w tej skórze. Fermín przyglądał się scenie, stojąc w drzwiach, i jak to miał w zwyczaju, pewnie przejrzał moje myśli, zanim sam zdołałem je pozbierać. Nie dopuścił,

bym otworzył usta. Pociągnął mnie za ramię i zostawiwszy Beę i dziecko w miłym towarzystwie swej narzeczonej Bernardy, wyprowadził mnie na korytarz, długi, zwężający się i zanikający w półmroku.

– Żyje pan jeszcze, Danielu? – spytał.

Przytaknąłem niemrawo, usiłując złapać oddech, który uciekł mi gdzieś po drodze. Dałem znak, że możemy już wracać do pokoju, ale Fermín mnie powstrzymał.

– Zaraz, zaraz, następnym razem niech pan raczej wchodzi tam uzbrojony w nieco więcej waleczności. Na szczęście pani Bea jest nie całkiem jeszcze przytomna, więc niewiele do niej dotarło z pańskiej wymownej pantomimy. Uważam, o ile pozwoli mi pan na drobną sugestię, że nie zaszkodziłoby nam świeże powietrze, co niewątpliwie wspomogłoby proces oswojenia się z paniką i jej ostateczne pokonanie, by do kolejnego podejścia przystąpić z większym zapalem.

Nie czekając na odpowiedź, Fermín poprowadził mnie w głąb korytarza wychodzącego na schodki zawieszane pomiędzy Barceloną a niebem. Mroźny i skwapliwie kąsający powiew skoczył mi do twarzy.

– Niech pan zamknie oczy i odetchnie głęboko trzy razy. Spokojnie, bez pośpiechu, tak jakby płuca miały wskoczyć panu w buty – radził Fermín. – Tej sztuczki nauczył mnie mnich tybetański, łasuch, swoją drogą, niebawym, którego poznałem, kiedy pracował jako recepcjonista i księgowy w jednym z portowych burdelików. Biedak o niczym nie miał pojęcia...

Zgodnie z zaleceniem odetchnąłem głęboko raz, drugi i trzeci i na dokładkę jeszcze trzykrotnie, by dopomóc cudownemu działaniu czystego powietrza, które obiecywali mi Fermín i jego tybetański guru. Zakręciło mi się w głowie, ale Fermín natychmiast mnie złapał.

– Dobra, dobra, bez przesady, jeszcze mi tu pan w katatonię wpadnie. Włącz pan odrobinę rozumu, bo okoliczności wymagają opanowania, a nie paniki.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem puste ulice i śpiące u mych stóp miasto. Dochodziła trzecia nad ranem, a szpital San Pablo spoczywał w letargu nocnego mroku, choć zarazem ta szpitalna cytadela kopuł, wieżyczek i łuków kreśliła niekończące się arabeski w mgiełce spływającej z Monte Carmelo. W milczeniu przyglądałem się oziębłej Barcelonie, którą zobaczyć można

jedynie z perspektywy jej szpitali, Barcelonie obojętnej wobec lęków i nadziei obserwatora. Przestałem chronić się przed chłodem i pozwoliłem mu się przenikać, dopóki nie poczuję, że zaczynam znowu myśleć trzeźwo.

– Pewnie sądzi pan, że jestem tchórzem – odezwałem się.

Fermín wytrzymał moje spojrzenie i wzruszył ramionami.

– Bez przesady. Raczej sądzę, że ma pan zbyt słabe ciśnienie, a do tego dręczą pana zbyt silne niepokoje. W gruncie rzeczy to jest jedno i to samo, ale zwalnia z odpowiedzialności i chroni przed szyderstwem. Na szczęście mam przy sobie lekarstwo.

Rozpiął płaszcz, ów niezbadany kram cudów, który był na przemian a to objazdowym sklepem zielarskim, a to zbiorem osobliwości czy też składem artefaktów i relikwii pozyskiwanych z tysiąca straganów, bud i na podejrzanym pchlich targach.

– Nie wiem, jakim cudem może pan nosić przy sobie tyle rupieci.

– Wyższa fizyka. Wziąwszy pod uwagę, że moja licha anatomia wspiera się właściwie jedynie na włóknach mięśniowych i tkance chrzęstnej, ten drobny arsenał potęguje moje pole grawitacyjne i daje solidne zakotwiczenie w czas wichrów i nawałnic. Ale niech się panu nie zdaje, że mnie pan tak łącno oczy zamydli tanimi fortelikami konwersacyjnymi, bo my tu weszliśmy na górę nie po to, żeby oglądać znaczki, ani po to, żeby sobie miło pogruchać.

Po tym ostrzeżeniu Fermín wydobył z jednej ze swych licznych kieszeni metalową piersiówkę i natychmiast odkręcił zakrętkę. Powąchał zawartość z miną, jakby miał do czynienia z rajskimi woniami, i uśmiechnął się z aprobatą, po czym wyciągnął piersiówkę ku mnie i patrząc mi głęboko w oczy, nakazał:

– Proszę wypić to zaraz, inaczej będzie pan żałował po wsze czasy.

Z niechęcią sięgnąłem po piersiówkę.

– Co to jest? Zajeżdża karbidem...

– Nic takiego. To tylko koktajl sporządzony celem wskrzeszania zmarłych i chłopczyków wylęknionych odpowiedzialnością, jaką obarczył ich los. Mistrzowska formuła osobiście przeze mnie wypracowana na bazie anyżówki Del Mono oraz innych gorzałek wstrząśniętych i wymieszanych z brandy podłego gatunku, które nabywam u tego jednookiego Cygana z kiosku

z okowitą, a wszystko razem dosmaczone jeszcze kilkoma kroplami ratafii i likieru ziołowego Aromas de Montserrat, by całości dodać owego nieomylnego bukietu katalońskich łąk i ogrodów.

– Jezus Maria!

– Śmiało, bo to jest właśnie ten moment, kiedy należy wykazać, komu starcza odwagi, a kto jest tchórzem podszyty. Jednym haustem, jakby udawał pan kozaka na wiejskim weselu.

Posłuchałem grzecznie i wlałem w siebie piekielny trunek smakujący niczym dosładzana benzyna. Poczułem, jak ogień trawi mi wnętrzności, i zanim zdążyłem odzyskać zdrowy rozsądek, Fermín zdecydowanym gestem nakazał mi raz jeszcze przechylić piersiówkę. Nie zważając na ostry protest trzewi, wypilem kolejny łyk, mimo wszystko wdzięczny za waleczność i postawienie mnie do pionu, którymi poskutkowało wypicie tego unikatowego likworu.

– No i jak? – zapytał Fermín. – Lepiej, nieprawdaż? Oto napój mistrzów.

Przytaknąłem całkowicie przekonany, sapiąc i rozpinając koszulę. Fermín wykorzystał okazję, żeby samemu łyknąć haust swej berbeluchy, po czym schował piersiówkę w kieszeni płaszcza.

– Dobre alembiki jedynym gwarantem poskromienia liryki. Proszę jednak nie przyzwyczajać się do tego remedium, bo alkohol jest jak trutka na szczury albo szczodrość: im częściej używane, tym gorszy rezultat.

– Spokojna głowa.

Fermín znaczącym ruchem podbródka wskazał na dwa cygara wystające z innej kieszeni, choć zaraz skrzywił usta w grymasie zaprzeczenia, puszczając jednocześnie oko.

– Specjalnie na dzisiejszą okazję trzymałem tę parę *cohibas* wydobytych *in extremis* z humidoru mojego przyszłego p.o. teścia don Gustava Barceló, ale skłaniam się raczej ku myśli, by zostawić je na kiedy indziej, bo widzę, żeś pan nie w formie, a nie wypada chyba osierocić dzieciaka w dniu jego premiery.

Poklepał mnie życzliwie po plecach i odczekał chwilę, pozwalając, by wszystkie emulsje jego koktajlu rozprzestrzeniły się po moich żyłach i by mgławica alkoholowego spokoju przykryła wrażenie ogarniającej mnie straszliwej paniki. Gdy tylko Fermín dostrzegł w moim spojrzeniu szkliste

odcienie stanowiące oznakę zbliżającego się ogólnego ośpienia zmysłów, przystąpił do wygłaszania przemówienia, którego treść niewątpliwie przygotowywał sobie w myślach przez całą noc.

– Mój przyjacielu, raczył Bóg lub ten, kto pod Jego nieobecność ową funkcję pełni, sprawić, iż łatwiej jest zostać ojcem i przyczynić się do przyjścia na świat nowej istoty, niż uzyskać prawo jazdy. Ta nieszczęsna okoliczność przekłada się na sytuację, w której absurdalna liczba kretynów, gównozjadów i przygłupów uważa się za w pełni uprawnionych do prokreacji, by obnosząc się później ze swym orderem ojcostwa, unieszczęśliwiać na zawsze współczucia godne istoty, które swymi sromotnymi członkami spłodzili. Sam nie będę szczędził wysiłków, by moją ukochaną Bernardę doprowadzić do stanu odmiennego tak szybko, jak pozwolą mi na to gonady i najświętszy sakrament małżeński wymagany *sine qua non* przez moją narzeczoną. Dzięki temu podążę za panem w podróż ku wielkiej odpowiedzialności bycia ojcem. Z tej racji stwierdzić powinienem i niniejszym stwierdzam, że pan, Daniel Sempere Gispert, żółtodziób w początkowym stadium dorosłości, pomimo całkowitej niewiary w siebie samego i w swoją zdolność do roli *pater familiae*, jaką przejawia pan w tym momencie, jest i będzie rodzicem wzorowym, aczkolwiek nie wyklucza to pańskiego dyletanctwa i partactwa w ogólności.

Już w połowie tej perory przestałem cokolwiek rozumieć, być może za przyczyną wybuchowego eliksiru lub też w wyniku językowej pirotechniki zastosowanej przez mego serdecznego przyjaciela.

– Drogi Ferminie, nie za bardzo wiem, co pan właściwie powiedział.

Westchnął.

– Chciałem powiedzieć, panie Danielu, tylko tyle: bardzo dobrze rozumiem, że w obecnej chwili jest pan o krok od utraty kontroli nad mięśniami zwierającymi i że wszystko pana przerasta, ale zgodnie z tym, co panu zakomunikowała pana święta małżonka, nie powinien pan się bać, bo komu Bóg da dzieci, a panu dał, da i na dzieci, a jeśli ktoś zachowuje w duszy minimum przynajmniej przyzwoitości i godności i ma odrobinę oleju w głowie, znajduje sposób, by nie zrujnować im życia, i sposób na to, żeby być ojcem, którego nigdy nie będą musiały się wstydzić.

Spojrzałem kątem oka na tego mikrusa, który gotów był oddać za mnie życie

i który zawsze miał w zanadrzu jakieś pomocne słowo albo i tysiąc pomocnych słów rozwiązujących wszelkie dylematy i hamujących moją sporadyczną skłonność do egzystencjalnych słabości.

– Oby to było tak łatwe, jak pan mówi.

– Nic nie jest łatwe spośród tego, co jest cokolwiek w tym życiu warte, panie Danielu. Za młodu sądziłem, że aby żeglować po świecie, wystarczy opanować dobrze trzy umiejętności. Raz: zawiązywać sznurowadła. Dwa: rozebrać kobietę z rozmysłem. I trzy: czytać po to, by każdego dnia rozkoszować się kilkoma stroniczkami napisanymi przenikliwie i składnie. Wydawało mi się, że mężczyzna, który twardo stąpa po ziemi, który potrafi pieścić i uczy się słuchać muzyki słów, żyje intensywniej i, przede wszystkim, żyje lepiej. Ale z upływem lat pojąłem, że to nie wystarczy i że czasem życie daje nam szansę, żebyśmy byli kimś więcej niż dwunożnym stworzeniem, które posila się, wydala i zajmuje przestrzeń czasową na planecie. Dzisiaj los, w swej bezkresnej nieświadomości, raczył dać panu tę szansę.

Skinąłem głową bez większego przekonania.

– A jeśli nie stanę na wysokości zadania?

– Panie Danielu, jeśli w czymś jesteście do siebie podobni, to w tym, że i pan, i ja zostaliśmy pobłogosławieni kobietami, na które nie zasłużyliśmy. To pewne i oczywiste, że w tej podróży to one będą stawać na wysokości zadania i że na pewno nie będą się migać, a my jedynie musimy się starać, by ich nie zawieść. I co pan na to?

– Ano, że chciałbym wierzyć we wszystko, co pan mówi, ale przychodzi mi to z niemałym trudem.

Fermín pokręcił głową, nie przykładając większej wagi do moich słów.

– Nie ma co się bać. To ta alkoholowa mikstura, którą pana napoiłem, przytępia panu i tak ograniczoną zdolność do pełnego zrozumienia wszystkich subtelności mojej błyskotliwej retoryki. Ale przecież wie pan doskonale, że w tych utarczkach mam za sobą nieporównywalnie dłuższą drogę niż pan i że generalnie mam rację jak stąd do Madrytu i z powrotem co najmniej.

– Akurat o to nie będę się spierał.

– I dobrze pan robi, bo przegrałby pan już w pierwszym starciu. Ufa mi pan?

– Rzecz jasna. Z panem choćby na kraj świata, przecież dobrze pan o tym wie.

– W takim razie proszę, by w siebie samego uwierzył pan tak, jak ja w pana wierzę.

Spojrzałem mu w oczy i powoli przytaknąłem.

– No i co, rozsądek wraca? – zapytał.

– Tak mi się wydaje.

– Wobec tego proszę odmienić swój ponury wyraz twarzy, sprawdzić, czy ma pan rodzinne precjoza tam gdzie Bóg przykazał, a następnie wrócić do pokoju, przytulić panią Beę i latorośl – istotę, którą wspólnie powołaliście do życia. Proszę nie mieć najmniejszej wątpliwości, że ten chłopiec, którego miałem zaszczyt poznać lata temu w kruzgankach placu Real i który zdążył mi od tamtego czasu przysporzyć tylu zgryzot, musi pozostać w preludium tej przygody. Panie Danielu, mamy jeszcze kawał historii do przeżycia, a to, co nas czeka, to już nie będą dziecięce igraszki. Mogę na pana liczyć? Pójdzie pan za mną na ów kraj świata, który równie dobrze może być tuż za rogami?

Nic mi innego nie przyszło do głowy, jak go uściskać.

– Co ja bym bez pana zrobił, Ferminie?

– Popęlniałby pan pomyłkę za pomyłką. A w ramach kontynuacji programu rozważnych przestróg i ostrzeżeń: proszę mieć na uwadze, że jednym z najpowszechniejszych efektów wtórnych trawienia małmazji, którą raczył pan właśnie zde gustować, jest czasowe rozmiękczenie nieśmiałości i swoista nadwrażliwość mięśnia uczuciowego. Z tego też względu kiedy pani Bea zobaczy pana teraz z powrotem w pokoju, proszę jej spojrzeć prosto w oczy, żeby nie miała najmniejszych wątpliwości, że pan ją naprawdę kocha.

– Bea nie ma wątpliwości.

Fermín pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Proszę mi zaufać – powtórzył cierpliwie. – Nie musi pan tego mówić, jeśli się pan wstydzi. My, mężczyźni, już tak mamy, a testosteron nijak nie uskrzydla poezji. Chodzi o to, żeby ona to poczuła, bo te rzeczy trzeba raczej pokazać niż powiedzieć. I nie od wielkiego dzwonu, ale dzień w dzień.

– Spróbuję.

– Panie Danielu, dobrze panu radzę, niech pan robi jednak coś lepszego od próbowania.

W ten oto sposób wyciągnięty przez Fermina z wiecznego i kruchego azylu młodości wróciłem do pokoju, w którym czekało na mnie moje przeznaczenie.

Wiele lat później wspomnienie tej nocy ponownie stanęło w mojej pamięci, kiedy zamelinowany o świcie na zapleczu starej księgarni przy ulicy Santa Ana usiłowałem kolejny raz stawić czoło białej kartce, nie mając najmniejszego pojęcia, od czego zacząć wy tłumaczenie samemu sobie prawdziwej historii swojej rodziny, co próbowałem robić od kilku miesięcy, jeśli nie od kilku lat, ale w którym to przedsięwzięciu nie posunąłem się ani o jedną sensowną linijkę.

Fermín, korzystając z dręczącej go akurat bezsenności, którą przypisał trudnościom z przetrawieniem pół kilograma skwarek, postanowił odwiedzić mnie z samego rana. Widząc mnie dogorywającego nad nietkniętą kartką, choć dzierżyłem w dłoni pióro wieczne, z którego kapało jak z dziurawej rynny, usiadł przy mnie i otaksował stos zmiętych papierów walających się u mych stóp.

– Proszę się nie obrażać, panie Danielu, ale czy aby na pewno pan wie, co robi?

– Nie wiem – przyznałem się. – Może gdybym spróbował pisać na maszynie, toby mi poszło lepiej. Słyszał pan: „Zawodowiec wybiera tylko Underwood”.

Fermín wpierw przytaknął, że owszem, zna reklamę tej maszyny do pisania, ale szybko zdecydowanie pokręcił głową.

– Lata świetlne dzielą pisanie na maszynie od tradycyjnego.

– Dzięki za słowa otuchy. A co pan tu robi o tak wczesnej porze?

Fermín pogłaskał się po brzuchu.

– Proces trawienny małego, bo małego, niemniej całego prosiaczka poddanego starannemu procesowi smażenia spowodował pewne zaburzenia w moim żołądku.

– Może trochę sody?

– Nie, nie, lepiej nie, bo jeszcze przytrafi mi się niekontrolowany, za

przeproszeniem, wzwód całonocny, wdzięcznie zwany przez tubylców tremperą, i wtedy żegnaj, słodki śnie.

Odłożyłem pióro i kolejną już próbę napisania choćby jednego sensownego zdania i spojrzałem przyjacielowi w oczy.

– No i co, panie Danielu, wszystko w porządku? Poza, oczywiście, nieudaną próbą wdarcia się na szanśce literatury, to znaczy chcę powiedzieć...

Wzruszyłem ramionami. Fermín, jak zwykle, pojawił się w zbawiennym momencie, potwierdzając swój status *hultajus ex machina*.

– Nie bardzo wiem, jak mam pana zapytać o coś, co od dawna chodzi mi po głowie – zaryzykowałem.

Zakrył sobie usta dłonią, by przytłumić nieznaczące, acz głośne beknięcie.

– Jeśli dotyczy to jakichś alkowianych forteli, to proszę pytać śmiało, bo przypomnę panu, że w tej dziedzinie uzyskałem parę habilitacji.

– Nie, nie chodzi o alkowę.

– Wielka szkoda, mam kilka najświeższych informacji o nowych pobudzaczach, które...

– Ferminie – przerwałem – czy sądzi pan, że moje życie, to, które już przeżyłem, jest spełnione, że stanąłem na wysokości zadania, nie zawiodłem?

Mojemu przyjacielowi zaparło dech. Spuścił wzrok i westchnął.

– No nie, chyba nie zechce mi pan wmówić, że na tym polega ta pańska faza Balzaca zaklinowanego. Duchowe rozterki i tak dalej...

– Ale czy człowiek nie pisze po to właśnie, by lepiej zrozumieć siebie samego i zrozumieć innych?

– Nic z tych rzeczy, jeśli człowiek wie, co robi, co w pana przypadku...

– Ferminie, jest pan kiepskim spowiednikiem. Proszę mi choć trochę pomóc.

– Wydawało mi się, że usiłuje pan zostać powieściopisarzem, a nie nabożnisiem.

– Niech mi pan powie prawdę. Zna mnie pan od dziecka, czy sprawiłem panu zawód? Czy stałem się Danielem na miarę pańskich oczekiwań? Na miarę oczekiwań mojej mamy? Proszę mi szczerze odpowiedzieć.

Fermín wybałuszył oczy.

– Prawdą są głupstwa wypowiedane przez ludzi w przeświadczeniu, że coś wiedzą, panie Danielu. Ja o prawdzie wiem tyle, ile o rozmiarach biustonosza noszonego przez tę cudowną feminę o spiczastym imieniu i biuście, którą ostatnio widzieliśmy w kinie Capitol.

– Kim Novak – przypominałem.

– Którą niech Bóg i prawo grawitacji mają w swojej opiece. I do rzeczy: nie, nie sprawił mi pan zawodu, panie Danielu. Nigdy. Jest pan dobrym człowiekiem i dobrym przyjacielem. I jeśli zależy panu na mojej opinii, to owszem, jestem przekonany, że Isabella, pańska zmarła matka, byłaby z pana dumna i niewątpliwie widziałyby w panu dobrego syna.

– Ale kiepskiego pisarza – uśmiechnąłem się.

– Panie Danielu, bądźmy szczerzy, z pana taki powieściopisarz, jak ze mnie dominikanin. I dobrze pan o tym wie. Nie ma takiego pióra czy underwooda, który by to zmienił.

Westchnąłem, ale zmilczałem. Zamyślony Fermín obserwował mnie przez jakiś czas, po czym znów się odezwał.

– Wie pan co, panie Danielu? Tak naprawdę to myślę, że mimo moich i pana przeżyć ja nadal jestem tym biednym, bezdomnym nieszczęśnikiem, na którego pan trafił i którego z litości zabrał pan z ulicy, a pan wciąż jest tamtym bezbronnym dzieciakiem, który zagubiony szedł przez świat, potykając się co i raz o jakąś tajemnicę, ale szczerze przekonany, że jeśli uda mu się ją rozwiązać, to być może cudem przypomni sobie twarz matki i odzyska pamięć o prawdzie, którą świat mu ukradł.

Chłonałem i przetrawiałem każde jego, jakże celne, słowo.

– Takie straszne by to było, gdyby do tego doszło?

– Nawet gorzej niż straszne. Mógłby pan zostać pisarzem, jak pański przyjaciel Carax.

– Może powinienem jednak go odnaleźć i przekonać, żeby to on napisał tę historię – zastanowiłem się głośno. – Naszą historię.

– Tak twierdzi pański syn Julián.

Spojrzałem zdziwiony na Fermina.

– Co Julián mówi? Co Julián wie o Caraksie? Mówił pan mojemu synowi o Caraksie?

Fermín przybrał swój oficjalny wyraz twarzy zarzywanego baranka.

– Ja niby?

– Co mu pan naopowiadał?

Fermín prychnął, bagatelizując sprawę.

– Nic istotnego. Naprawdę, marginalne błahostki, całkiem nieszkodliwe. Rzecz jednak w tym, że dzieciak ma skłonności detektywistyczne i bystrzak z niego niesamowity, wszystko łapie w lot i oczywiście natychmiast łączy styki. Co ja jestem winien, że dzieciak jest taki zmyślny. Od razu widać, że się nie wdał w pana.

– Matko Boska... A Bea wie, że rozmawiał pan z dzieckiem o Caraksie?

– Ja w pana życie małżeńskie się nie wtrącam. Ale odnoszę wrażenie, że nie ma takich spraw, o których by pani Bea czegoś nie wiedziała albo żeby czegoś nie przeczuwała.

– Stanowczo panu zabraniam, by mówił pan mojemu synowi o Caraksie!

Fermín przyłożył dłoń do piersi i bez cienia drwiny złożył przysięgę.

– Od dziś usta mam zapieczętowane. Niech mnie naznaczy piętno niezatartej hańby, jeśli w jakiejś chwili zamroczenia złamałbym swój solenny ślub milczenia.

– A przy okazji niech pan zakazem obejmie również Kim Novak, bo znam pana jak zły szeląg.

– A nie, nie, w tym punkcie akurat jestem niewinny jak baranek, który gładzi grzechy świata, bo to dzieciak porusza ten temat. Mówiłem, że głupi nie jest.

– Jest pan niemożliwy.

– Przyjmuję z pokorą pańskie niesprawiedliwe uszczypliwości, jestem bowiem świadomy, że wynikają one z pańskiego rozgoryczenia powodowanego ułomnością własnej bystrości. Czy wasza miłość zna jeszcze, oprócz Caraxa, jakieś osoby, które należałoby dodać do czarnej listy zakazanych nazwisk? Bakunin? Josephine Baker?

– A może już by pan poszedł i zostawił mnie w spokoju?

– I miałbym pana opuścić w obliczu niebezpieczeństwa? Mowy nie ma, wśród publiczności musi być przynajmniej jeden dorosły, wykazujący się roztropnością.

Fermín raz jeszcze spojrzął na pióro, na stos białych kartek równo ułożonych na biurku i przypatrzył się badawczo to jednemu, to drugiemu, wyraźnie zafascynowany, jakby miał przed sobą zestaw narzędzi chirurgicznych.

– No i co, już pan wie, od czego zacząć swoje dzieło?

– Nie. Właśnie nad tym siedziałem, ale zjawił się pan i zaczął wygadywać głupstwa.

– Drobiazg. Beze mnie nie potrafi pan napisać nawet listy sprawunków.

W końcu jednak przekonany, gotowy zakasać rękawy wobec czekającej nas tytanicznej pracy, wziął krzesło i usiadł przy mnie, a następnie spojrzął mi głęboko w oczy, tak jak potrafią spojrzeć tylko ci, którzy nie potrzebują słów, żeby ich zrozumiano.

– A jeśli już jesteśmy przy listach: ja, proszę pana, o tym wszystkim, o co chodzi w powieści, wiem tyle, ile o wytwarzaniu i stosowaniu włosiennicy, ale tak sobie myślę, że zanim się przystąpi do opowiadania czegokolwiek, należałoby sporządzić listę tego, co się chce opowiedzieć. Coś w rodzaju inwentarza, znaczy się.

– Taki plan podróży?

– Plan podróży to sobie obmyślamy, kiedy nie bardzo wiemy, dokąd właściwie się udać, i w ten sposób przekonujemy sami siebie, a przy okazji jakiegoś innego matołka, że w ogóle się dokądś konkretnie kierujemy.

– Nie jest to takie całkiem głupie. Samoszukiwanie się to sekret każdego niemożliwego przedsięwzięcia.

– No i sam pan widzi. Tworzymy tandem nie do pokonania. Pan notuje, ja myślę.

– To proszę myśleć głośno.

– A starczy w tym wynalazku atramentu na podróż w piekielne czeluści w tę i z powrotem?

– W sam raz, żeby ruszyć.

– No to teraz trzeba tylko zdecydować, od czego zaczynamy naszą listę.

– To może zacznijmy od tego, jak ją pan poznał? – zaproponowałem.

– Niby kogo?

– Jak to niby kogo? Naszą Alicję w Barcelonie Czarów.

Przez twarz Fermina przesunął się cień zasepienia.

– Nie sądzę, bym komukolwiek opowiadał tę historię, nawet panu, panie Danielu.

– No to śmiało, bo lepszego wejścia do labiryntu chyba pan nie znajdzie, prawda?

– Człowiek powinien jednak odchodzić z tego świata, zabierając ze sobą jakiś mniejszy lub większy sekret – zaproponował Fermín.

– To raczej przez zachowywanie zbyt wielu sekretów człowiek zbyt wcześnie schodzi do grobu.

Fermín zmarszczył brwi zaskoczony.

– Kto to powiedział? Sokrates? Ja?

– Nie, przypadkiem powiedział to Daniel Sempere Gispert, *Homo naivniacus*, i to parę sekund temu.

Fermín uśmiechnął się nie bez satysfakcji, odwinął cytrynowego sugusa i wsunął go sobie do ust.

– Sporo czasu to panu zajęło, dobrych parę lat, niemniej widać, że zaczyna pan pojmować co nieco z nauk mistrza. Sugusika, łobuzie?

Przyjąłem sugusa, bo wiedziałem, jakie szczególne miejsce zajmują te cukierki w świecie Fermina i że zaszczyca mnie, dzieląc się swoim skarbem.

– Pewnie słyszał pan kiedyś, panie Danielu, bo często jest to cytowane, że tak w miłości, jak i na wojnie wszystko jest dozwolone.

– Zdarzyło mi się, i to zazwyczaj z ust tych, których wojna bardziej pociąga niż miłość.

– Ano właśnie, bo w gruncie rzeczy to wierutne kłamstwo.

– W takim razie to opowieść miłosna czy historia wojenna?

Fermín wzruszył ramionami.

– A jaka to różnica?

I tak oto, pod osłoną świtu, paru sugusów i magii wspomnień, która w każdej chwili mogła rozpląnąć się we mgle czasu, Fermín zaczął przetykać nici, z których miały utkać się i koniec, i początek naszej opowieści...

Fragment

Labiryntu duchów

(„Cmentarz Zapomnianych Książek”, tom IV)

Juliana Caraxa

Éditions de la Lumière, Paryż 1992

Wydanie pod redakcją

Émile’a de Rosiers Castellaine

DIES IRAE

Barcelona
Marzec 1938



1

Zbudziło go falowanie morza. Pasażer na gapę otworzył oczy i nie tyle zobaczył ciemność bez końca, ile się jej domyślił. Kołysanie statku, fetor saletry i chlupot wody napierającej na kadłub przypomniały mu, że nie jest na stałym lądzie. Odsunął worki, które służyły mu za legowisko, i wstał powoli, wsłuchując się w fugę kolumn i łuków tworzoną przez sklepienie statku.

Widok wydał mu się raczej majakiem – zatopiona katedra wyładowana czymś, co sprawiało wrażenie łupu zrabowanego z setki muzeów i pałaców. Pomiędzy nagromadzeniem rzeźb i obrazów dostrzec można było zarys luksusowych samochodów przykrytych cienkim płótnem. Przy ogromnym zegarze z wahadłem stała klatka, przez której kraty papuga o wspaniałym upierzeniu obserwowwała groźnie ludzką zjawę, nie wierząc w jej status pasażera na gapę.

Nieco dalej dostrzegł replikę *Dawida* Michała Anioła, którą jakiś żartowniś uwieńczył trójgraniastym kapeluszem Gwardii Obywatelskiej. Za rzeźbą widmowy oddział manekinów odzianych w historyczne kostiumy wyglądał tak, jakby wszystkie zastygły w nieustającym walcu wiedeńskim. Przy jednym z kół paradnej karety pogrzebowej z przeszklonymi bokami i z nieodzowną trumną w środku stały stare oprawione w ramy plakaty. Jeden z nich obwieszczał corridę na barcelońskiej Las Arenas w czasach jeszcze sprzed wojny.

W kolumnie rejoneadorów widniał niejaki Fermín Romero de Torres. Oczy gapowicza z czułością wpatrywały się w litery tworzące imię i nazwisko. Tajemniczy pasażer znany dotąd pod innym nazwiskiem, które niebawem miał pogrzebać w popiołach trwającej wciąż wojny, milcząco je smakował:

Fermín

Romero de Torres

Brzmi bardzo przyzwoicie, powiedział sobie. Muzycznie. Operowo. W sam raz, wypisz wymaluj, przystaje do wstrząsającego, pełnego przemysłności żywota wiecznego gapowicza. Fermín Romero de Torres czy też raczej przylutowany do wielkiego nochała człeczyna, który niebawem przyjmie owo nazwisko za swoje, przeżył ostatnie dwa dni ukryty w trzewiach statku handlowego, który wypłynął z Walencji dwie noce temu. Cudem udało mu się przedostać na pokład w skrzyni pełnej starych karabinów, przetransportowanej na statek pośród przeróżnych towarów. Część karabinów zawinięta była w zamknięte i opieczętowane torby chroniące je przed wilgocią, ale resztę wrzucono bez żadnego zabezpieczenia, jak leci, na kupę, czyniąc z nich, w oczach gapowicza, broń, która miał zglądzić wroga, raczej wybuchnie w twarz jakiegoś nieszczęsnemu obrońcy republiki czy też przy nieodpowiednim pierwszym nieostrożnym ruchu trafi w niego.

Chcąc wyprostować nogi i przezwyciężyć odrętwienie wywołane przez chłód i wilgoć ociekającą ze ścian kadłuba, Fermín co pół godziny zagłębiał się w gąszcz skrzyń i przesyłek w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do jedzenia, lub też, z braku takowego, po prostu dla zabicia czasu. Podczas jednego z tych wypadów zaprzyjaźnił się z doświadczoną już w takich trudach myszką, która po okresie początkowej nieufności zaczęła ostrożnie podchodzić do niego coraz bliżej, by w końcu nie tylko grzać się ciepłem jego ciała, ale i częstować kawałkami wyschniętego sera, który Fermín znalazł w jednym z pakunków. Ser ten, czy też czymkolwiek była owa ciągliwa i tłusta substancja, smakował raczej mydłem i podług wiedzy gastronomicznej Fermina nic nie wskazywało, by w jego powstaniu jakakolwiek krowa lub inny przeżuwacz miał najmniejszy udział. Roztropność wszak podpowiadała, że w kwestiach smaków nie istnieją żadne zasady czy nakazy, a jeśli nawet takowe by istniały, to bieda z nędzą panujące w owych dniach łamały owe normy z wielkim hukiem. W rezultacie i mysz, i człowiek ucztowali z rozkoszą, jaką przynieść może tylko posiłek po paru miesiącach umierania z głodu.

– Drogi mój gryzoniu, jedną z zalet związanych z przypadłościami czasu wojny jest to, że nieoczekiwanie, z dnia na dzień, ochłapy nagle zdają się

człowiekowi pokarmem bogów i nawet gównem umiejętnie nadziane na patyk zaczyna wydzielać wokół wspaniałą *bouquet* paryskiej *boulangerie*. Ta wojskowa niemal dieta ograniczona do zupy z trocin gotowanych w brudnej wodzie hartuje ducha i pogłębia wrażliwość podniebienia do tego stopnia, iż pewnego dnia człowiek z zaskoczeniem spostrzega, że korek z boazerii smakuje jak skwarka ze świni iberyjskiej, w najgorszym razie.

Mysz cierpliwie słuchała Fermina, dzieląc z nim wiktuały zdobyte przez gapowicza. Czasem, przejeżdżona, zasypiała u jego stóp. Fermín przyglądał się jej i nabierał przekonania, że przypadli sobie do serca tylko dlatego, że w gruncie rzeczy bardzo byli do siebie podobni.

– Pasujemy do siebie jak ulał, proszę myszy, bo oboje znosimy ze stoickim spokojem plagę małą wyprostowanych, wyszarpując co się da, by ją przeżyć. Racz, Boże, sprawić, by niezadługo naczelne wyginęły, ot tak, z dnia na dzień, i karmiły malwy od spodu razem z diplodokiem, mamutem i ptakiem dodo, abyście wy, stworzenia gospodarne i pokojowe, którym do szczęścia wystarczy zjeść, poruchać sobie i pospać, mogły odziedziczyć ziemię lub w najgorszym razie dzielić ją z karaluchami, no dobra, może jeszcze z jakimś innym chrząszczem.

Nawet jeśli mysz z czymś się nie zgadzała, nigdy tego nie okazywała. Byli przykładem przyjacielskiego współistnienia, dżentelmeńskiego porozumienia bez czyjejkolwiek dominacji. Za dnia słuchali rozchodzącego się pod pokładem echa kroków i głosów marynarzy. Z rzadka tylko, kiedy któryś z członków załogi schodził do ładowni, zazwyczaj by coś stamtąd ukrąść, Fermín chował się znów do skrzyni z karabinami, w której kołysany przez morskie fale i woń prochu ucinął sobie drzemkę. Drugiego dnia podróży, buszując po bazarze cudów, który płynął ukryty w brzuchu owego Lewiatana, Fermín, nowoczesny Jonasz i w wolnych chwilach badacz Pisma Świętego, znalazł skrzynię wypełnioną starannie oprawionymi Bibliami. Znaleźisko wydało mu się co najmniej ekscentryczne i niepozbawione pikanterii, ale z braku innych pozycji literackich pozwolił sobie wypożyczyć jeden z egzemplarzy i w świetle płomienia świeczki, również zdobycznej, czytał na głos, zarówno dla siebie, jak i dla swej współpasażerki, wybrane fragmenty Starego Testamentu, który zawsze wydawał mu się i bardziej zajmujący, i nieporównanie okrutniejszy od Nowego.

– A teraz proszę, panie kapitanie, o specjalną uwagę, bo zaraz nastąpi

nadzwyczajna parabola pełna niewymownego symbolizmu, niestroniąca od kazirodztwa i okaleczeń w liczbie, która doprowadziłaby braci Grimm do natychmiastowej zmiany gatek.

I tak upływały godziny i dni tego morskiego azylu, do chwili, kiedy o świcie 17 marca 1938 roku Fermín, zeszywniały od przejmującego do szpiku kości zimna, otworzył oczy i skonstatował, że jego przyjaciel gryzoń zniknął. Może wystraszyło myszkę odczytanie tej właśnie nocy niektórych epizodów Apokalipsy świętego Jana, a może stało się to wskutek przecucia, że podróż dobiega końca i nadszedł czas pożegnań. Przez bulaj wpadał szkarłat świtu. Okrągłe okienko znajdowało się zaledwie parę piędzi od linii zanurzenia, Fermín widział więc, jak słońce wznosi się nad morze barwy wina. Ruszył chwiejnym krokiem do swego punktu obserwacyjnego. Szedł przez ładownię, poprzez labirynt skrzyń z amunicją i stos przewiązanych grubym sznurem zardzewiałych rowerów. Snop światła portowej latarni przebił unoszące się opary i omiół kadłub statku, przesywając wszystkie bulaje świetlistym ściegiem. Daleko, w mirażu mgieł pełzających po basztach, kopułach i wieżach, rozciągało się miasto. Barcelona. Fermín uśmiechnął się w duchu, zapominając na chwilę o chłodzie i o wszystkich razach boleśnie jeszcze odczuwanych, które spadły na niego podczas potyczek i zamętu w ostatnim tymczasowym porcie.

– Lucía... – szepnął, przywołując w myślach zarys twarzy, której wspomnienie podtrzymywało go przy życiu w najgorszych tarapatach.

Wyciągnął kopertę, schowaną pieczołowicie w wewnętrznej kieszeni marynarki od dnia, gdy wyjechał z Walencji, i westchnął. Sen rozwiął się niemal w tej samej sekundzie. Statek znajdował się znacznie bliżej portu, niż Fermín przewidywał. Każdy z szanujących się gapowiczów wie, że największą trudnością wcale nie jest przedostanie się na pokład: prawdziwe wyzwanie to ująć z życiem z przeprawy i niepostrzeżenie opuścić statek. Jeśli więc Fermín chciał zachować cień szansy na to, że uda mu się wyjść na ląd o własnych siłach i uniknąć pogruchotania kości, powinien był bez zwłoki przystąpić do obmyślenia strategii ucieczki. Słyszał, że na pokładzie ruch gwałtownie się wzmagają. Silniki zwalniały i statek zaczął manewrować. Fermín szybko schował list do kieszeni i zabrał się do zacierania śladów swojej obecności. Chował gdzie się da ogarki, worki służące mu w podróży za cały sprzęt domowy, Biblię uzupełniającą jego dawniejsze lektury

kontemplacyjne oraz okruchy sera i zeschniętego herbatnika. Następnie w miarę swych możliwości poskładał skrzynie, które odważył się otworzyć w poszukiwaniu jedzenia. Naprędce mocno już startym obcasem swych całkiem zdezelowanych butów przybijał gwoździe do wiek. Patrząc na swoje obuwie, Fermín poprzysiągł sobie, że dobiwszy do lądu stałego i spełniwszy złożone przyrzeczenie, niezwłocznie nabędzie parę porządnych butów, w niczym nieprzypominających obuwia oferowanego w domach pogrzebowych. Kręcąc się po ładowni, obserwował przez bulaje, jak statek wpływa na wody barcelońskiego portu. Raz jeszcze przytknął nos do szyby i dreszcz nim wstrząsnął na widok sylwetki zamku i więzienia wojskowego na górze Montjuic, czyhającego nad miastem niczym drapieżny ptak.

– Jeden fałszywy ruch, stary, a trafisz tam jak nic... – burknął pod nosem.

W oddali dostrzec można było igłę pomnika Krzysztofa Kolumba, który nieodmiennie wskazywał palcem całkowicie błędny kierunek, myląc kontynent amerykański z archipelagiem Balearów. Za plecami odkrywcy otwierał się wylot Rambli, alei prowadzących ku sercu starego miasta, gdzie czekała Lucía. Przez chwilę Fermín wyobraził ją sobie w świeżej pościeli spowitą zapachem perfum. Poczucie winy i wstydu natychmiast przesłoniło mu ten obraz. Nie dotrzymał przyrzeczenia.

– Ty nędzniku – rzekł sam do siebie.

Nie widział jej od trzynastu miesięcy i siedmiu dni, trzynastu miesięcy, które ciążyły mu jak trzynaście lat. Ostatnim obrazem, jaki wykradł, zanim wrócił do swej kryjówki, był widok Matki Boskiej Łaskawej, patronki miasta, wyniesionej na kopułę swej bazyliki na wprost portu i gotowej w każdej chwili wzbić się do lotu nad dachami Barcelony. Jej właśnie polecił swą duszę i nikczemną konstytucję fizyczną. Choć bowiem nie przekroczył progu kościoła od chwili, kiedy mając dziewięć lat, pomylił kaplicę w swej rodzinnej miejscowości z miejską biblioteką, Fermín solennie przysiągł temu, kto mógł i zechciałby go wysłuchać, że jeśli Matka Boska – lub też jakikolwiek jej wysłannik obdarzony władzą w materii niebiańskiej – wstawiłaby się za nim i pomogła dotrzeć szczęśliwie do portu bez poważniejszych kłopotów i bez śmiertelnych obrażeń, poświęciłby swoje życie duchowej kontemplacji, stając się zarazem gorliwym bywalcem kruchty. Złożywszy śluby, dwukrotnie się przeżegnał i już bez zwłoki ponownie ukrył się w skrzyni z karabinami, kładąc się na łożu z kolb i luf niczym nieboszczyk

w trumnie. Tuż przed zamknięciem wieka Fermín dostrzegł swoją mysz, jak przypatruje mu się ze szczytu skrzyń ułożonych aż po sufit ładowni.

– *Bonne chance, mon ami* – szepnął.

Chwilę później zanurzył się w ciemność cuchnącą prochem, w porażające zimno stalowych luf przylegających do ciała, zdany na nieodwołalny wyrok losu.

2

Po jakimś czasie Fermín usłyszał, że silniki zastopowały. Czuł, jak statek kołysze się na spokojnych wodach portu. Według jego rachub było jeszcze za wcześnie na przycumowanie do nabrzeża. Po drodze statek przybijał do dwóch, może trzech portów. To wystarczyło Ferminowi, by dokładnie pojął, co kryje się za poszczególnymi ruchami statku i za kakofonią towarzyszącą manewrom przybijania, od hurgotu kotwicznego łańcucha i głuchego łoskotu zaczepiającej się kotwicy po zgrzyty i chrzęst tarcia kadłuba o molo. Ale teraz do uszu Fermina prócz osobliwego hałasu świadczącego o wzmożonym ruchu i podniesionych głosów nie dochodził żaden ze znanych mu już dźwięków. Z jakiegoś powodu kapitan kazał zatrzymać statek wcześniej, a bez mała dwa lata wojny nauczyły Fermina, że nieoczekiwane bardzo często idzie krok w krok za jakąś okropnością. Zacisnął zęby i kolejny raz się przeżegnał.

– Święta Panienko, z miejsca porzucam swój zatwardziały agnostycyzm i szydercze sugestie nowoczesnej fizyki – wyszeptał uwięziony w tej niby-trumnie wespół z karabinami z trzeciej ręki.

Jego błagania natychmiast doczekały się odpowiedzi. Fermín usłyszał warkot silników innej, mniejszej chyba jednostki dopływającej do statku i ocierającej się o jego kadłub. Chwilę później pośród narastającego zamętu na pokładzie rozległy się kroki, a raczej krok wojskowy. Fermín przełknął ślinę. Zostali zaatakowani abordażem.

3

Trzydzieści lat na morzu, a najgorsze i tak przychodzi przy zetknięciu z lądem, pomyślał kapitan Arraéz, obserwując z mostka grupkę mężczyzn, którzy dostali się na pokład po trapie od strony bakburty. Mierzyli z karabinów w załogę, spychając ją w kąt i otwierając tym samym drogę swojemu dowódcy. Arraéz był człowiekiem morza, twarz i włosy miał spalone słońcem i solą, a jego spojrzenie zdawało się zamącone śladem po łzach. Za młodu uważał, że marynarzem zostaje ten, kto szuka przygód, ale wieloletnie doświadczenie przekonało go, że przygoda czeka raczej w porcie, i to niezbyt przyjemna. Na pełnym morzu bać się nie miał czego. Stały ląd zaś, zwłaszcza w owych dniach, budził w nim wstręt.

– Bermejo, zameldujcie przez radio do kapitanatu, że nas nagle zatrzymano, więc przybijemy z opóźnieniem.

Stojący obok niego Bermejo, pierwszy oficer, zbladł i ogarnęło go drżenie, przypadłość, której nabawił się w ostatnich miesiącach bombardowań i potyczek. Praca w takich warunkach nie była na nerwy biednego Bermeja, niegdyś bosmana rekreacyjnej żeglugi rzecznej po Gwadalkiwirze.

– A jeśli zapytają, kto nas zatrzymał, to co mam odpowiedzieć, panie kapitanie?

Arraéz utkwiał wzrok w sylwetce mężczyzny, który właśnie postawił nogę na pokładzie jego statku. Wbity w czarny płaszcz gabardynowy, a za resztę ryszstunku mając rękawiczki i kapelusz, sprawiał wrażenie jedyne go nieuzbrojonego osobnika w tym gronie. Arraéz obserwował, jak niespiesznie stawia kroki na pokładzie. Jego postawa i ruchy emanowały flegmatycznością i obojętnością, wystudiowanymi do perfekcji. Oczy skryte za ciemnymi okularami prześlizgiwały się po twarzach członków załogi, jego własne oblicze pozbawione było jakiegokolwiek wyrazu. W końcu zatrzymał się i uniósłszy wzrok na mostek kapitański, przytknął dłoń do kapelusza i uchylił go, przywołując na usta zjadliwy uśmiech.

– Fumero – wycedził szeptem kapitan.

Bermejo, który sprawiał wrażenie, jakby od momentu, kiedy przybyły

osobnik zaczął zbliżać się do mostku, skurczył się o dziesięć centymetrów, spojrzał na kapitana biały jak gips.

– Kto? – zdołał spytać.

– Policja polityczna. Proszę zejść i przekazać ludziom, żeby nikt nie robił z siebie chojraka. A później proszę powiadomić przez radio kapitanat, tak jak mówiłem.

Bermejo skinął głową, ale stał nadal jak słup soli. Arraéz przeszył go wzrokiem.

– Bermejo, złaź pan. I błagam, niech się pan nie zeszczą.

– Rozkaz, panie kapitanie!

Arraéz został sam na mostku. Dzień był jasny, niebo przejrzyste, gdzieś tylko pociągnięte smugami pierzchających chmur – rozkosz dla akwarelisty. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pójść po rewolwer, który trzymał pod kluczem w szafce w swojej kajucie, ale naiwność tego zamysłu skwitował grymasem gorzkiego uśmiechu. Zaczerpnął głęboko powietrza i zapinając guziki nieco postrzępionej marynarki, opuścił mostek i zszedł po schodkach, tam gdzie czekał nań stary znajomy, subtelnie trzymający papierosa między palcami.

4

– Kapitanie Arraéz, serdecznie witamy w Barcelonie.

– Dzięki za powitanie, panie komisarzu.

Fumero uśmiechnął się.

– Nadkomisarz, na dzień obecny.

Arraéz skinął potakująco, wytrzymując spojrzenie dwóch ciemnych szkieł, które nie pozwalały nawet domyślić się, w którą stronę spoglądają świdrujące oczy Fumera.

– Gratuluję.

Fumero wyciągnął ku niemu papierosa.

– Nie, dziękuję.

– Asortyment najwyższej jakości – Fumero podtrzymał zaproszenie do poczęstunku. – Jasny tytoń, amerykański.

Arraéz przyjął papierosa i odłożył do kieszonki.

– Chce pan sprawdzić dokumenty i zezwolenia, panie nadkomisarzu? Wszystkie są w porządku, opatrzone odpowiednimi licencjami i pieczętami rządu katalońskiego...

Fumero wzruszył ramionami, z zimną obojętnością wypuszczając z ust kłęb dymu, i leciutko uśmiechnięty wpatrywał się w żar swego papierosa.

– Jestem całkowicie pewny, że wszystkie dokumenty są w absolutnym porządku, panie kapitanie. A może mi pan zdradzić, co pan wiezie na statku?

– Zaopatrzenie, generalnie. Lekarstwa, broń, amunicję. I partie skonfiskowanego mienia przeznaczone na licytację. Inwentarz z odpowiednimi pieczęciami rządu Walencji w każdej chwili mogę przekazać panu nadkomisarzowi do wglądu.

– Panie kapitanie, przecież wiem, że panu mogę zaufać, ale to akurat są sprawy między panem, kapitanie, a zarządem portu i władzami celnymi. A ja jestem prostym sługą ludu.

Arraéz przytaknął bez zdziwienia, cały czas pamiętając, że nie wolno mu, choćby i na sekundę, spuścić z oczu tych dwóch czarnych nieprzeniknionych szkieł.

– Jeśli pan nadkomisarz raczyłby powiedzieć, czego konkretnie szuka, to ja z najwyższą gotowością...

Fumero dał znak, żeby mu towarzyszył, i obaj ruszyli wzdłuż pokładu, odprowadzani wyczekującymi spojrzeniami załogi. Po paru minutach Fumero zatrzymał się i zaciągnąwszy się po raz ostatni, wyrzucił niedopałek za burtę. Oparł się o barierkę i spojrzał na Barcelonę, jakby jej nigdy przedtem nie widział.

– Czuje go pan, kapitanie?

Arraéz przez chwilę wstrzymywał się z odpowiedzią.

– Nie bardzo wiem, do czego pan, panie nadkomisarzu, się odnosi.

Fumero poklepał go serdecznie po ramieniu.

– Proszę głęboko odetchnąć. Bez pośpiechu. Poczuj go pan od razu.

Arraéz spojrział pytająco na Bermeja. Członkowie załogi popatrywali na siebie niepewnie. Fumero odwrócił się, zapraszając ich wyraźnym gestem, by zaczerpnęli powietrza.

– I co? Nic? Nikt go nie czuje?

Kapitan spróbował uśmiechem pokryć zakłopotanie, ale uśmiech zgasł wraz z zamiarem.

– A ja czuję go wyraźnie – powiedział Fumero. – To niemożliwe, żeby pan go nie czuł.

Arraéz niepewnie przytaknął.

– Ależ oczywiście. – Fumero nie odpuszczał. – Oczywiście, że pan go czuje. Tak jak ja go czuję i wszyscy tu obecni. To woń szczura. Ohydny szczur, którego pan ukrywa na pokładzie.

Arraéz, zaskoczony, ściągnął brwi.

– Zapewniam pana...

Fumero przerwał mu, unosząc gwałtownie dłoń.

– Kiedy szczurowi udaje się u ciebie zadomowić, nie ma sposobu, żeby się od niego uwolnić. Podrzucasz mu trutkę – zjada ją. Zakładasz pułapki – gównem w nich znajdziesz, a nie szczura. Nie ma nic trudniejszego do zlikwidowania niż szczur. Bo to tchórz. Bo się ukrywa. Bo wydaje mu się, że jest sprytniejszy od ciebie.

Fumero zamilkł, by przez chwilę posmakować swojej retoryki.

– A wie pan, panie kapitanie, w jaki sposób można ze szczurem skończyć? Skończyć naprawdę i raz na zawsze?

Arraéz pokręcił głową.

– Nie wiem, panie nadkomisarzu.

Fumero uśmiechnął się, szczerząc zęby.

– Rzecz jasna, że pan nie wie. Bo pan jest człowiekiem morza i nie musi tego wiedzieć. Bo to moja robota. Oto dlaczego rewolucja sprowadziła mnie na świat. Niech pan, kapitanie, patrzy. Niech pan patrzy i się uczy.

Nie czekając na jakąkolwiek reakcję Arraeza, Fumero ruszył w stronę dziobu, a za nim jego ludzie. Wówczas kapitan zobaczył, że jednak się pomylił. Fumero był uzbrojony. W jego dłoni błysnął rewolwer, unikatowy niewątpliwie, kolekcjonerski egzemplarz. Przemaszerował przez pokład, odpychając bezpardonowo stojących mu na drodze członków załogi, i obojętnie minął zejściówkę do kajut. Wiedział, dokąd idzie. Na dany znak jego ludzie stanęli wokół kłapy nad ładownią i zastygli wyczekująco. Fumero pochylił się nad metalową pokrywą i delikatnie w nią zapukał, jakby pukał do drzwi domu bliskiego przyjaciela.

– Niespodzianka – zaintonował.

Kiedy jego ludzie nie tyle otworzyli, ile właściwie wyrwali kłapę, a wewnątrz statku zostało wystawione na światło dnia, Arraéz zawrócił, by skryć się na mostku. Widział już dość podczas tych dwóch lat wojny i nauka nie poszła w las. Zanim wszedł na mostek, odwrócił się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak Fumero oblizuje się niczym kot i z rewolwerem w ręku zanurza się w ładowni statku.

5

Po wielu dniach spędzonych w zatęchłym powietrzu ładowni Fermín poczuł nagle zapach świeżej bryzy wpadający przez otwartą kłapę i przedostający się przez szczeliny do służącej mu za schronienie wyładowanej bronią skrzyni. Przekręcił w miarę możliwości głowę i dostrzegł przez szparkę pomiędzy brzegiem skrzyni a wiekiem, jak rozchodzące się smugi zakurzonego światła zamiatają podłogę. Latarki.

Białe opary światła ocierały się o zarysy ładunków i przebijały przez cienkie płótna okrywające samochody i dzieła sztuki. Odgłos zbliżających się kroków i metaliczne echo roznoszące się po ładowni narastały powoli. Fermín zacisnął zęby i przeanalizował w myślach każdy swój ruch, jaki wykonał, zanim dotarł do kryjówki. Worki, świece, resztki jedzenia, ślady stóp, które mógł być zostawić w labiryncie ładowni... Raczej niczego nie przeoczył

i o niczym nie zapomniał. Nigdy go tu nie znajdą, zapewnił sam siebie. Nigdy.

Wtedy właśnie usłyszał szorstki i dobrze znany sobie głos, wymawiający jego imię, jakby nucił jakąś melodię. Poczł, że kolana zaczynają mu się trząść jak galareta.

Fumero.

Głos i kroki rozlegały się, jakby były tuż-tuż. Fermín zamknął oczy jak dziecko przerażone dziwnym hałasem w ciemnościach swego pokoju. Nie, ono wcale nie zamyka oczu, bo jest przekonane, że to je ochroni, ale dlatego, że nie ma dość odwagi, by rozpoznać, kim jest stojąca przy jego łóżeczku i pochylająca się nad nim postać. Fermín wyczuł teraz bardzo powolne kroki parę centymetrów od siebie. Palce osłonięte rękawiczką dotknęły czule wieka, po czym prześlizgnęły się po nim niczym wąż. Fumero gwizdał jakąś melodię. Fermín wstrzymał oddech i jeszcze mocniej zwarł powieki. Po czole spływały mu krople zimnego potu, musiał zacisnąć pięści z całych sił, żeby powstrzymać drżenie rąk. Starał się kontrolować każdy mięsień, obawiając się, że najmniejszy ruch, otarcie o któryś z worków chroniących karabiny narobi hałasu.

Być może jednak się pomylił. Być może jednak go znajdą. Być może nie było na świecie takiego kąta, w którym zdołałby się schować i przeżyć jeszcze jeden dzień, żeby o wszystkim opowiedzieć. Być może, koniec końców, ten dzień był równie dobry jak jakikolwiek inny, żeby zejść ze sceny. A skoro już był tu, gdzie był, nic nie stało na przeszkodzie, by z kopa odwalić wieko i poderwać się, dzierżąc w ręku jeden z tych karabinów, na których teraz leżał bez ruchu. Lepiej zginąć od kul w dwie sekundy niż po dwóch tygodniach tortur, jakim podda go zapewne wyposażony w swoje zabawki Fumero, podwiesiwszy uprzednio do sufitu w kazamatach zamku Montjuic.

Jak mógł najdelikatniej, wyszukał dłonią spust karabinu przylegającego do ciała i złożył na nim palec. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że karabin najprawdopodobniej nie jest naładowany. Jeden diabeł, pomyślał. Przy jego wspaniałej celności miał jak w banku, że raczej roztrzaska sobie stopę albo w najlepszym razie trafi w oko Kolumba na pomniku. Mimo wszystko uśmiechnął się na samą tę myśl i mocniej zacisnął dłoń na karabinie. Nigdy przedtem nie strzelał, ale pocieszał się, że szczęście zawsze jest po stronie nowicjusza i że dobre chęci powinny być jednak jakoś wynagradzane. Zacisnął

lekko palec na spuście, gotów rozwalić łeb don Francisca Javiera Fumero i wysłać siebie albo jego do nieba lub piekła.

Ale w tej samej chwili kroki zaczęły się oddalać, pozbawiając go jedynej w swoim rodzaju okazji. No cóż, najwidoczniej wielcy amanci, zarówno praktykujący, jak i aspirujący, nie po to się rodzą, żeby zostać bohaterami tuż przed śmiercią. Odważył się na głęboki oddech i przeniesienie dłoni na pierś. Ubranie przykleiło mu się do ciała, jakby było drugą skórą. Fumero odchodził w towarzystwie swoich zbirów. Fermín wyobraził sobie ich sylwetki znikające w mrokach ładowni i uśmiechnął się z ulgą. Chyba jednak nikt go nie wsypał. Może była to rutynowa kontrola, nic ponadto.

Ledwo tak pomyślał, a odchodzący stanęli w miejscu. Zapadła grobowa cisza. Przez chwilę jedynym dźwiękiem, jaki docierał do uszu Fermina, było bicie jego serca. A potem, po nieodczuwalnym ułamku sekundy, usłyszał ledwo słyszalny tupot czegoś maleńkiego i lekkiego, drobiącego po wieku skrzyni parę centymetrów nad swoją głową. Poznał ją po nikłym, ni to kwaśnym, ni to słodkim zapachu. Mysz towarzysząca mu w podróży, węsząc, przesuwiała się wzdłuż szczelin między deskami, najprawdopodobniej czuła zapach swego druha. Fermín już chciał syknąć cichuteńko, by ją odstraszyć, kiedy nagle ogłuszający huk rozszedł się po ładowni.

Kula dużego kalibru rozszarpała gryzonia i czyściutko przebiła otwór w wieku skrzyni, parę centymetrów od głowy Fermina. Ze szczeliny skapywały krople krwi i rozpryskiwały mu się na wargach. Fermín poczuł łaskotanie w prawej nodze i zerknąwszy w dół, domyślił się, że pocisk w swoim locie omal go nie trafił, rozcinając skraj nogawki, zanim przebił drugi otwór w spodzie skrzyni. Mglisty promień światła przeciskał się przez mrok schowka, rysując trajektorię pocisku. Fermín słuchał, jak kroki zbliżają się i zatrzymują przy jego skrzyni. Fumero klęknął przy niej. Fermín dostrzegł błysk jego oczu w maleńkiej dziurze wieka.

– Niepoprawny, jak zwykle. Liche przyjaźnie ponad wszystko. Szkoda, że nie mogłeś usłyszeć wrzasków swojego kumpla Amancia, kiedy nam śpiewał, gdzie możemy cię znaleźć. Wystarczy wam, bohaterom, przyłożyć byle kabelek do jaj, a śpiewacie jak z nut.

Nie uciekając wzrokiem od tego spojrzenia i od wszystkiego, co się za tym spojrzeniem kryło, Fermín poczuł, że gdyby nie krztyna odwagi, której mimo

wszystko nie zdołał całkiem wypocić w tym sarkofagu wyladowanym karabinami, to ze strachu zsikałby się pod siebie.

– Cuchniez gorzej od tej myszy – wycedził Fumero. – Przydałaby ci się kąpiel.

Usłyszał tupot i harmider. Ludzie Fumera usuwali skrzynie i przesuwali różnego rodzaju ładunki. W tym czasie ich szef na krok nie ruszył się z miejsca, w którym stał. Wpatrywał się badawczo w mrok skrzyni niczym wąż wbijający wzrok w otwór gniazda – cierpliwie. Rychło Fermín poczuł silne uderzenia młotków. Z początku uznał, że chcą jak najszybciej rozbić skrzynię, ale ujrawszy ostrza gwoździ przebijających się obok krawędzi wieka, zrozumiał, że dokładniej dobijają wieko do skrzyni. Kilkumilimetrowa szpara pomiędzy krawędzią skrzyni a pokrywą zniknęła w jednej chwili. Pogrzebali go w jego własnym schowku.

I wtedy Fermín uświadomił sobie, że skrzynia jest szarpana i potrząsana i że na rozkaz Fumera do ładowni schodzi część załogi statku. Resztę mógł sobie wyobrazić. Kilkunastu mężczyzn, używając prętów jako dźwigni, uniosło nieco skrzynię. Fermín usłyszał szelest parcianych pasów ocierających się o drewno. Usłyszał również chrzęst łańcuchów i poczuł gwałtowne szarpnięcie wsiężnika.

6

Arraéz i jego załoga obserwowali kołyszącą się na wietrze skrzynię, zawieszoną sześć metrów nad pokładem. Fumero wyłonił się z ładowni, nakładając z powrotem swe ciemne okulary i uśmiechając się z zadowoleniem. Uniósł wzrok ku mostkowi i przyłożył do skroni palce w prześmiewczym salucie wojskowym.

– Za pańskim pozwoleniem, panie kapitanie, przystąpimy do likwidacji szczura, którego miał pan na pokładzie, stosując jedyną naprawdę skuteczną metodę.

Fumero gestem nakazał operatorowi dźwigu opuszczenie skrzyni o parę metrów, tak by znalazła się na wysokości jego głowy.

– Ostatnia wola, a może parę słów skruchy?

Załoga statku wpatrywała się w skrzynię oniemiała. Wydawało się, że z ładunku dochodzi nikły pisk, który wydawać mogło małe, przerażone zwierzątko.

– No nie płacz, nie płacz, bo nie ma powodu – powiedział Fumero. – A poza tym nie zostawiam cię przecież samego. Zobaczysz, ilu twoich kompanów przebiera nóżkami, czekając na ciebie...

Skrzynia znowu poszła w górę i wysięgnik zaczął obracać się ku burcie. Kiedy zawisła dziesięć metrów nad wodą, Fumero znów odwrócił się w stronę mostku. Arraéz przypatrywał mu się martwym wzrokiem, cedząc coś pod nosem.

„Ty skurwysynu”, zdołał odczytać.

Skinął głową i skrzynia z dwustoma kilogramami karabinów i z pięćdziesięcioma paroma Fermina Romero de Torres wewnątrz runęła prosto w zimne i ciemne wody portu w Barcelonie.

7

Czując, jak spada w pustkę, odruchowo zapał się rękoma i nogami o ściany skrzyni. Gdy ta zderzyła się z powierzchnią wody, ładunek karabinów uniósł się w powietrze i walnął z całej siły o pokrywą. Przez chwilę skrzynia utrzymywała się na powierzchni, kołysząc się niczym boja. Fermín próbował zrzucić z siebie stos karabinów, pod którymi został pogrzebany. W nozdrzach wyczuł silną woń saletry i ropy, a do jego uszu dotarł gulgot wody wdzierającej się przez dolny otwór wybity przez kulę z rewolweru Fumera. W ułamku sekundy poczuł chłód. Ogarnięty skrajną paniką skulił się cały, by przebić się przez warstwę karabinów ku gorze skrzyni. Udało mu się, ale karabiny przesunęły się całym swym ciężarem na jedną stronę, powodując

gwałtowny przechył. Fermín upadł twarzą na broń. W całkowitej ciemności wymacał pęk karabinów i zaczął je rozdzielać, usiłując dotrzeć do dziury, przez którą wlewała się woda. Ledwo udawało mu się przełożyć z tuzin karabinów za siebie, te z powrotem spadały na niego, pchając na dno coraz bardziej przechylającej się skrzyni. Woda zalewała mu już nogi i przepływała przez palce. Kiedy zdołał znaleźć otwór, sięgała mu do kolan. Zatkął dziurę, mocno napierając dłońmi. Wówczas usłyszał padające ze statku strzały i huk kul przebijających drewno. Trzy kolejne otwory wytrysły tuż za nim, do środka skrzyni wpadła zielonawa poświata. Fermín dostrzegł, jak woda przedostaje się z coraz większą siłą, sięgając w kilka chwil do jego pasa. Krzyknął z wściekłości i strachu, usiłując dosięgnąć ręką jednej z dziur, ale gwałtowny wstrząs odrzucił go na ścianę skrzyni. Dźwięk wypełniający wnętrze przeraził go – jakby jakiś potwór morski zachłysnął się zdobyczą. Woda podeszła Ferminowi do piersi. Dech mu zaparło z zimna. Znowu zrobiło się ciemno. Fermín zrozumiał, że skrzynia nieuchronnie tonie. Prawa dłoń ustąpiła pod naporem wody. Lodowata ciecz zmyła mu łzy z twarzy. Spróbował złapać ostatni łyk powietrza.

Prąd wessał drewniany zasobnik i pociągnął na dno. Kilkucentymetrowa bańka powietrza uchwyciła się jeszcze w górze skrzyni, Fermín szarpnął się więc w jej kierunku, by uszczknąć choćby łyżeczek tlenu. Skrzynia niebawem dotknęła dna basenu portowego i przechyliwszy się na jedną stronę, osiadła w mule. Fermín walił i kopał z całej siły w wieko, ale dodatkowo przybite gwoździe mocno trzymały drewnianą pokrywę i nie ustąpiły nawet o włos. Przez otwory ulatniały się ostatki powietrza. Zimna, nieprzenikniona ciemność kusiła, by wreszcie się poddać, płuca niemal parzyły i Ferminowi wydawało się, że lada chwila eksploduje mu głowa. Spanikowany i święcie przekonany, że pozostało mu tylko kilka sekund życia, chwycił za karabin i zaczął kolbą walić w brzeg pokrywy. Po czwartym uderzeniu karabin rozpadł się na kawałki. Fermín rozpaczliwie machał rękoma, nie mając najmniejszego pojęcia, czego właściwie szuka. Jego palce natrafiły na worek chroniący jeden z karabinów, unoszący się nieco w wodzie dzięki uwięzionej w nim bańce powietrza. Fermín chwycił karabin w obie ręce i resztką sił uderzył raz i drugi, błagając o cud, który nie nadchodził.

Pociskowi wystrzelonemu ze środka worka towarzyszyło głucho drżenie. Wybuch tuż przy twarzy Fermina wybił w drewnie dziurę wielkości pięści. Do

środka wpadł nikły ślad jasności. Dłonie Fermina zareagowały szybciej niż mózg. Skierował karabin ku wybitej dziurze i kilkakrotnie nacisnął spust. Woda całkiem zalała już worek i nie wystrzelił żaden z nabojów. Fermín złapał za kolejny karabin i przez worek nacisnął spust. Po pierwszym i drugim razie nic się nie stało, ale po trzecim poczuł w rękach uderzenie, zobaczył również, że wyrwa w wieku się powiększyła. Wystrzelał cały magazynek, poszerzając dziurę na tyle, by jego mikre i zmaltretowane ciało mogło się przez nią przecisnąć. Drzazgi poszarpanego drewna rozorały mu skórę, niemniej perspektywa widmowej jasności i plafon światła widniejący na powierzchni dodawały mu odwagi, dzięki której gotów był nawet przebiec przez pole pełne ostrych noży.

Od mętnej wody basenu portowego szczypały go oczy, ale mimo to ich nie zamykał. W zielonkawej mgłę falował podwodny las światła i cieni. U jego stóp rozpościerała się gmatwanina szczątków, szkieletów zatopionych łodzi i mułu odkładającego się od wieków. Fermín uniósł wzrok ku spadającym prosto z góry kolumnom parującego światła. Tuż pod powierzchnią dużym cieniem odcinał się kadłub statku handlowego. Oszacował, że ta część akwenu portowego ma około piętnastu metrów głębokości czy nawet trochę więcej. Gdyby udało mu się wypłynąć na powierzchnię z drugiej strony statku, być może nikt by go nie zauważył. Stanął na rozbitym wieku skrzyni, odbił się od niego i popłynął w górę. Dopiero gdy wolno unosił się ku powierzchni, jego oczy dojrzały widmowy widok kryjący się pod wodą. Dziesiątki trupów w kajdankach i ze związanymi nogami, przykute łańcuchami do kamieni lub cementowych bloków, unosiły się w wodzie, tworząc podwodne cmentarzysko. Węgorze wijące się pomiędzy szczątkami wyczyściły twarze z resztek ciała. Włosy zatopionych falowały unoszone przez prąd. Fermín rozpoznawał sylwetki mężczyzn, kobiet i dzieci. U ich stóp leżały, okryte nieco mułem, walizki i tobołki. Niektóre ze zwłok były już w takim stanie rozkładu, że pod strzępami ubrań prawie nie było widać kości. Ciała tworzyły niekończące się szpalery niknące gdzieś w ciemnościach. Fermín zamknął oczy i chwilę później wyłonił się na powierzchni życia, żeby stwierdzić, że tak prosta czynność jak oddychanie jest najcudowniejszym doznaniem, jakiego dotąd doświadczył.

Trzymał się burty statku, przyklejony do niej niczym glon, odzyskując normalny rytm oddechu. Dwadzieścia metrów dalej unosiła się na wodzie boja sygnalizacyjna. Wyglądała jak latarnia morska w miniaturze. W okrągłej podstawie mieściła się kabina. Boja, biała w czerwone pasy, kołysała się delikatnie. Fermín pomyślał, że gdyby udało mu się do niej dotrzeć, mógłby się ukryć w środku i przeczekać do czasu, aż pojawi się okazja, by zaryzykować i przedostać się niepostrzeżenie na stały ląd. Wyglądało na to, że nikt go nie zauważył, wolał jednak nie igrać z losem. Nabrał tyle powietrza, ile jego zmaltretowane płuca dały radę pomieścić, i znów zanurzył się w wodzie. Torował sobie drogę do boi nierównymi ruchami rąk. Płynąc, unikał patrzenia w dół. Przyjął, że jego umysł padł ofiarą obłędu, a ten makabryczny ogród falujących sylwetek pod nim to tylko zerwane i zaczepione o coś sieci rybackie. Wyłonił się parę metrów przed boją, więc szybko ją opłynął, by ukryć się z tyłu. Ostrożnie rzucił okiem na pokład i uznał, że jak na razie jest bezpieczny, bo wszyscy na statku, łącznie z nadkomisarzem, uznali go już za martwego. Wdrapując się na platformę, spostrzegł człowieka, który stał nieruchomo na mostku i przyglądał mu się bacznie. Przez chwilę obaj nie spuszczała z siebie wzroku. Fermín nie potrafił zidentyfikować postaci, choć ubranie wskazywałoby na kapitana statku. Jak najszybciej ukrył się w małej kabinie i padł na podłogę, trzęsąc się z zimna, przekonany, że za parę sekund usłyszy, jak po niego podpływają. To już lepiej było utopić się w środku tej skrzyni! Teraz Fumero przewiezie go do jednej ze swoich cel i zabawi się z nim po swojemu.

Czekał wieczność całą. Kiedy uznał już, że to koniec przygody, usłyszał warkot uruchamianych silników i buczenie syreny okrętowej. Ostrożnie wyjrzał przez okienko kabiny: statek płynął w stronę nabrzeży. Fermín rzucił się wyczerpany w ciepłe ramiona wpadających przez okienko promieni słonecznych. Być może mimo wszystko Matka Boska Niedowiarków zlitowała się nad nim.

Fermín nie ruszał się ze swojej wysepki, dopóki zmierzch nie przygasił nieba, a latarnie nabrzeży portowych nie zapaliły błyszczących w wodzie girland. Bacznie rozejrzał się po nabrzeżach i doszedł do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie dotarcie wpław do łodzi stłoczonych przy targu rybnym. Następnie wyjdzie na stały ląd, wspinając się po cumie albo po rufowej linii kotwicznej któregoś ze statków.

Nagle zauważył cień wyłaniający się spomiędzy zasnuwających doki oparów. W jego stronę płynął bączek z dwiema osobami. Jedna z nich wiosłowała, druga oświetlała drogę trzymaną wysoko lampą zabarwiającą mgłę bursztynową poświatą. Fermín przełknął ślinę. Mógłby skoczyć do morza i modląc się, żeby przykryły go wody zmierzchu, uciec raz jeszcze, ale moce modlitewne opuściły go całkiem, a po duchu walki nie pozostała nawet najmniejsza isierka. Wyszedł ze swojej skrytki, unosząc ręce, i stanął twarzą do zbliżającej się łodzi.

– Niech pan opuści ręce – odezwał się ten, który trzymał lampę.

Fermín zmrużył oczy. To tego mężczyznę, siedzącego teraz na przodzie łodzi, widział parę godzin temu, jak obserwował go z mostka kapitańskiego. Spojrzał mu w oczy, skinął głową. Przyjął wyciągniętą rękę i skoczył na łódkę. Wiosłujący dotychczas mężczyzna podał mu koc, a wycieńczony rozbitek owinał się nim szczelnie.

– Jestem kapitan Arraéz, a to mój pierwszy oficer Bermejo.

Fermín spróbował coś wykrztusić, ale Arraéz go powstrzymał.

– Nie musi się pan przedstawiać. Nie nasza sprawa.

Kapitan wyciągnął termos i napełnił kubek grzanym winem. Fermín objął kubek dłońmi i nie oderwał od niego ust, dopóki nie wypił do dna. Arraéz trzykrotnie napełniał mu kubek. Po wypiciu ostatniej porcji Fermín poczuł, jak ciepło rozlewa się wreszcie po jego trzewiach.

– Lepiej już? – spytał kapitan.

Fermín przytaknął.

– Nie mam zamiaru pytać, co robił pan na moim statku ani o pana zaszczości z tą wściekłą Fumerem, ale musi pan ostrożniej chodzić po tym świecie.

– Naprawdę się staram, proszę mi wierzyć. To los podstawia mi nogę.

Arraéz podał mu torbę. Fermín zajrzał do środka. W torbie było trochę ubrań, już na pierwszy rzut oka co najmniej o sześć numerów za dużych, i garść banknotów.

– Dlaczego pan to robi, kapitanie? Jestem tylko biednym gapowiczem, który wplątał pana w niezłą kabałę.

– Bo mam taki kaprys – odparł Arraéz, a Bermejo kiwnął raz i drugi głową.

– Nie wiem, jak mam dziękować...

– Wystarczy, że nie będzie pan próbował znowu popłynąć na gapę moim statkiem. A teraz niech się pan przebierze.

Arraéz i Bermejo obserwowali, jak Fermín zrzuca z siebie przemoczone łąchmany, a potem pomogli mu się odziać w nowe ubrania – stary marynarski mundur. Żegnając się na zawsze ze swoją postrzępioną marynarką, Fermín wyjął z kieszeni tak pieczołowicie przechowywany przez ostatnie tygodnie list. Teraz koperta była rozpadającym się w palcach szczątkiem ociekającym atramentem i wodą. Fermín zamknął oczy i rozpłakał się. Arraéz i Bermejo spojrzeli na siebie skonsternowani. Kapitan położył Ferminowi dłoń na ramieniu.

– Chłopie, daj spokój, najgorsze już za tobą.

Fermín pokręcił głową.

– To nie to... To nie to.

Ubrał się powoli i schował resztki listu do kieszeni swojej nowej marynarki. Widząc zakłopotane miny dobroczyńców, otarł łzy i się uśmiechnął.

– Panowie wybaczą.

– Z pana to tylko skóra i kości – skwitował Bermejo.

– Przepraszam, to przez ten *lapsus belli* – usprawiedliwił się Fermín, usiłując przybrać ożywiony i radosny ton. – Niemniej teraz, gdy pojawiają się widoki na znaczną poprawę mego losu, przeczuwam przyszłość obfitującą w strawę i w czas na życie kontemplacyjne, w którym poprawię swoje gabaryty, nie stroniąc od słoniny i przeglądając zarazem najpiękniejsze karty

naszej rodzimej poezji z okresu złotego wieku. W dwa dni utuczę się na kaszance i ciasteczkach cynamonowych jak gęś. Zaręczam panom, tak jak tu stoję, że jeśli tylko nadarza się sprzyjająca okoliczność, przybywam na wadze szybciej niż operowa diwa.

– No, skoro pan tak twierdzi. A ma pan dokąd się udać? – spytał Arraéz.

Fermín w swym nowym mundurze kapitana bez statku i z brzuchem pulsującym od grzanego wina przytaknął z entuzjazmem.

– Kobieta czeka na pana?

Fermín uśmiechnął się smutno.

– Owszem, czeka, ale nie na mnie.

– No tak. To do niej był ten list?

Fermín przytaknął.

– I chce mi pan powiedzieć, że po to ryzykował pan życiem i pchał się do Barcelony? Żeby oddać list?

W odpowiedzi Fermín wzruszył ramionami.

– Ona jest tego warta. A ponadto przyrzekłem to przyjacielowi.

– Nie żyje?

Fermín spuścił wzrok.

– Czasem zdarzają się takie wieści, których lepiej nie przekazywać – rzucił Arraéz.

– Obietnica to obietnica.

– Jak dawno jej pan nie widział?

– Coś jakby ponad rok.

Kapitan przyjrzał mu się bacznie.

– Rok to w dzisiejszych czasach bardzo dużo. W tych dniach ludzie szybko zapominają. To jak zaraza, ale pomaga w przeżyciu.

– No to może ją złapię, bo przydałaby mi się jak cholera – powiedział Fermín.

Zapadała już noc, kiedy Fermín wysiadł z łódki przy nabrzeżu Atarazanas, by wtopić się w portową mgłę. Wmieszał się w grupę dokerów i marynarzy, którzy zmierzali ku uliczkom Ravalu, wówczas zwanego Chińską Dzielnicą. Z prowadzonych przytłumionym głosem rozmów wynikało, że poprzedniego dnia, tak jak już wielokrotnie bywało w ciągu tego roku, nad miastem pojawiły się samoloty i że obawiano się kolejnych bombardowań tej nocy. W tonie i w spojrzeniach mężczyzn dawało się odczuć strach, ale Fermín, przeżywszy ten parszywy dzień, był święcie przekonany, że cokolwiek by się stało, nic gorszego już go spotkać nie może. Los chciał, że na drodze Fermina znalazł się obwoźny kramarz, który uznał, że już ma fajrant, i wracał ze swoim wózkiem z łakociami. Fermín zatrzymał go i nader uważnie przejrzał asortyment.

– Mam lukrowane migdały, takie jak przed wojną – zaoferował handlarz. – Szanowny pan sobie życzy?

– Królestwo za sugusa – sprecyzował Fermín.

– A może być o smaku truskawkowym? Ostatnia torebeczka.

Oczy Fermina stały się wielkie jak spodki, a ślina sama napłynęła mu do ust. Dzięki środkom przekazanych mu przez kapitana Arraeza mógł zostać właścicielem całej torebki cukierków, którą natychmiast otworzył z pazernością skazańca.

Zmatowiały od oparów światła latarń Ramble – tak jak i pierwsze zassanie sugusa – zawsze wydawały mu się jednym z tych zjawisk, dla których warto żyć choćby dzień dłużej. Ale tego wieczoru brygada nocnych stróżów kroczyła centralną aleją Rambli od latarni do latarni, niosąc drabinę, i gasiła światła, które jeszcze odbijały się w chodniku. Fermín podszedł do jednego z owych stróżów i przyglądał się jego poczynaniom. Stróż, schodząc z drabiny, zauważył Fermina, stanął na ziemi i spojrzał na niego spod oka.

– Dobry wieczór, szefie – Fermín podjął rozmowę w przyjacielskim tonie. – Nie obrazi się pan, jeśli zapytam, dlaczego pogrążają panowie miasto w ciemnościach?

Nocny stróż w odpowiedzi wyciągnął palec wskazujący ku niebu, po czym wziął drabinę i ruszył do kolejnej latarni. Fermín stał przez chwilę, obserwując jedyne w swoim rodzaju przedstawienie. Ramble powoli spowijał mrok. W pobliżu zamykano wszystkie kawiarnie i sklepy. Fasady budynków już zabarwiały się delikatnym oddechem księżyca. Fermín ruszył w drogę, czując narastający popłoch. Nie uszedł zbyt daleko, gdy jego uwagę zwrócił wciąż rosnący tłum ludzi, który wyglądał jak nocna procesja. Wszyscy taszczyli tobołki i koce i kierowali się w stronę wejścia do metra. Niektórzy nieśli zapalone świece i lampki, inni szli w ciemnościach. Już schodząc do metra, Fermín zwrócił uwagę na cztero-, najwyżej pięcioletniego chłopca. Szedł, ściskając mocno dłoń matki, może babci – w skąym świetle wszystkie te dusze zdawały się przedwcześnie postarzałe. Fermín chciał puścić do niego oko, ale dzieciak miał wzrok wbity w niebo. Obserwował snującą się na widnokręgu pajęczynę czarnych chmur, jakby z ich wnętrza potrafił odczytać jakąś tajemnicę. Fermín podążył za jego wzrokiem i poczuł powiew zimnego wiatru, który omiatał miasto i niósł ze sobą woń fosforu i spalonego drewna. Matka pociągnęła dziecko w dół schodów, ku tunelom metra, i dzieciak zdążył jeszcze posłać Ferminowi spojrzenie, które całkiem go zmroziło. W oczach pięciolatka kryły się ślepe przerażenie i rozpacz starca. Fermín odwrócił wzrok i odszedł, mijając policjanta pilnującego wejścia do metra, który wyciągnął palec w jego stronę.

– Jak pan teraz nie skorzysta, to później nie będzie miejsc. A schrony są już pełne.

Fermín przytaknął, ale przyspieszył kroku. I tak zagłębiał się w Barcelonę w ciągłym półmroku sprawiającą wrażenie widmowego miasta. Ledwo dało się dostrzec cokolwiek w migotliwym świetle lampek i świeczek na balkonach i w portalach. W końcu dotarł na Ramblę Santa Mónica i dojrzał w dali łuk wąskiego i ciemnego portalu. Westchnął ciężko i skierował swe kroki ku spotkaniu z Lucią.

Wspinał się powoli wąskimi schodami i z każdym stopniem uchodziły z niego determinacja i odwaga, które pozwoliłyby mu stanąć przed Lucią i oznajmić, że jej ukochany mężczyzna, ojciec ich córki, ten, którego twarz miała nadzieję ujrzeć po ponadrocznym oczekiwaniu, zmarł w jednej z cel więzienia w Sewilli. Dotarł na trzecie piętro i zatrzymał się przed drzwiami, nie mając odwagi zapukać. Usiadł na schodach i skrył głowę w dłoniach. Wspominał słowa wypowiedziane właśnie tu trzynaście miesięcy temu, kiedy Lucía wzięła jego dłoń w swoje ręce i patrząc mu w oczy, powiedziała: „Jeśli mnie kochasz, nie pozwól, aby coś mu się stało, i przyprowadź mi go z powrotem”. Wyjął z kieszeni mokre resztki koperty i przyjrzał się im, nie bacząc na półmrok. W końcu ścisnął je w dłoni i rzucił daleko. Wstał i szykował się już do ucieczki schodami w dół, kiedy usłyszał, jak za jego plecami otwierają się drzwi. Wtedy zatrzymał się i odwrócił.

Siedmio-, może ośmioletnia dziewczynka stała w uchylonych drzwiach i go obserwowała. W rękach miała książkę, trzymała palec między stronicami niczym zakładkę. Fermín uśmiechnął się i wyciągnął ku niej dłoń w geście powitania.

– Witaj, Alicjo – powiedział. – Pamiętasz mnie?

Dziewczynka wahała się, patrząc na niego nieufnie.

– Co czytasz?

– *Alicję w Krainie Czarów*.

– Coś takiego! Pokaż.

Wyciągnęła książkę, ale nie pozwoliła mu jej dotknąć.

– To moja ulubiona – stwierdziła, nie pozbywając się wcale swej nieufności.

– No tak, to też jedna z moich bardziej ulubionych. Wszystko, co dotyczy spadania przez dziurę, trafiań na świrniętych i potykania się o zagadki matematyczne, odbieram jako opisy czegoś, czego doświadczyłem na własnej skórze.

Dziewczynka zagryzła wargę, żeby powstrzymać śmiech, jaki budziły w niej słowa tego dziwnego gościa.

– Może, ale tę książkę napisano specjalnie dla mnie – odważyła się na

zuchwałą ripostę.

– Bez najmniejszych wątpliwości. Mama jest w domu?

Nie odpowiedziała, ale bardziej uchyliła drzwi, odwróciła się i bez słowa odeszła w głąb mieszkania. Fermín stanął na progu. Mieszkanie tonęło w ciemnościach, ale dało się, choć z trudem, dostrzec migotanie lampki, prawdopodobnie na końcu wąskiego korytarza.

– Lucía? – zawołał Fermín.

Jego głos zniknął w cieniu. Zapukał do drzwi i odczekał.

– Lucía? To ja... – zawołał znów.

Odczekał jeszcze chwilę i nie otrzymawszy odpowiedzi, zdecydował się w końcu wejść do mieszkania. Ruszył korytarzem, mijając zamknięte drzwi do sypialni. Dotarł do pokoju jadalnego. Na stole stała lampka rzucająca wątłą żółtawą łunę ocierającą się o cienie. Tuż przy oknie, na krześle, siedziała odwrócona plecami staruszka. Fermín zatrzymał się. Dopiero wtedy ją poznał.

– Pani Leonora...

Kobieta, która wydała mu się staruszką, liczyła sobie nie więcej niż czterdzieści pięć lat. Twarz miała znękaną goryczą, oczy szklane, zmęczone już nienawiścią i wypłakiwaniem łez w samotności. Leonora spojrzała nań w milczeniu. Fermín przysunął sobie krzesło i usiadł przy niej. Wzięła go za rękę i uśmiechnęła się blado.

– Powinna była wyjść za ciebie – szepnęła. – Brzydkiś, ale przynajmniej masz głowę na karku.

– Pani Leonoro, gdzie jest Lucía?

Kobieta uciekła gdzieś wzrokiem.

– Zabrali ją. Ze dwa miesiące temu.

– Dokąd?

Leonora nie odpowiedziała.

– Kto ją zabrał?

– Ten człowiek...

– Fumero?

– Nie pytali o Ernesta. Przyszli po nią.

Fermín objął ją, ale Leonora siedziała bez ruchu.

– Znajdę ją, pani Leonoro. Znajdę i przyprowadzę do domu.

Kobieta pokręciła głową.

– Mój syn nie żyje, prawda?

Fermín milczał chwilę.

– Nie wiem, pani Leonoro.

Spojrzała ze złością i uderzyła go w twarz.

– Idź precz!

– Pani Leonoro...

– Precz! – zawyła.

Fermín wstał i cofnął się parę kroków. Mała Alicja obserwowała go z korytarza. Uśmiechnął się do niej, a dziewczynka podeszła powoli, wzięła go za rękę i mocno uścisnęła. Fermín klęknął przy niej. Chciał jej powiedzieć, że przyjaźnił się z jej mamą czy też cokolwiek podobnego, co mówi się w takich sytuacjach – byle wymazać z jej buzi ten wyraz porzucenia, który zasnuwał jej wzrok. Pani Leonora kryła w dłoniach zapłakaną twarz. Zanim zdążył się odezwać, usłyszał daleki, choć wzmagający się podniebny szum. Spojrzał na okno i spostrzegł, że szyby drżą.

12

Fermín podszedł do okna i uchylił zasłonę. Uniósł wzrok ku szczelinie nieba rozwierającej się pomiędzy dachami stojących przy wąziutkiej uliczce budynków. Szum stawał się i głośniejszy, i coraz bliższy. Pierwszym skojarzeniem Fermína była myśl o nadchodzącej znad morza burzy. Wyobraził sobie, jak nabrzmiałe czernią chmury pełzają po nabrzeżach portowych, wrywając po drodze maszty. Nigdy jednak nie przeżył burzy, w której odgłosach byłoby słyhać tyle metalu i ognia. Mgła porwała się w strzępy i odsłoniła czyste nocne niebo. I wtedy Fermín je zobaczył. Wyłaniały się

z ciemności jak lecące w szyku ogromne stalowe owady. Przełknął ślinę i odwrócił głowę ku pani Leonorze i trzęsącej się Alicji. Mała wciąż trzymała w rękach swoją książkę.

– Chyba lepiej będzie, jeśli stąd wyjdziemy – mruknął Fermín.

Leonora pokręciła głową.

– Przelecą tylko – stwierdziła ledwo słyszalnie. – Tak jak wczoraj w nocy.

Fermín znów spojrział w niebo. Sześć, może siedem samolotów właśnie rozrywało szyk. Otworzył okno i wychylił głowę. Zdało mu się, że huk silników nadlatuje znad Rambli. Wtem rozległ się gwizd ostry niczym zgrzyt wiertła przedzierającego się z nieba ku ziemi. Alicja zakryła sobie uszy dłońmi i schowała się pod stół. Leonora wyciągnęła ręce, próbując ją zatrzymać, ale nieoczekiwanie zamarła w tym geście. Na chwilę przed tym, jak bomba uderzyła w dom, gwizd tak się nasilił, jakby wydawały go wszystkie ściany. Fermín był przekonany, że zaraz pękną mu bębunki.

I nagle zapadła cisza.

Poczuł gwałtowne uderzenie, które wstrząsnęło budynkiem. Miał wrażenie, że to cały pociąg spadł z chmur i przejeżdża właśnie przez dach, a każde kolejne piętro zrobione jest z bibułki do papierosów. Na ustach Leonory zarysowały się jakieś słowa, ale nie mógł ich usłyszeć. W ułamku sekundy, zamoczony przez potężny huk, który zgasił czas, Fermín zobaczył, jak ściana za plecami kobiety przemienia się w białą chmurę, a ogromniejące kłęby ognia obejmują krzesło z Leonorą i ją pochłaniają. Podmuch wybuchu oderwał od podłogi i uniósł w powietrze większość mebli, by pozwolić im opaść dopiero w skrzydłach płomieni. Na Fermina natarł podmuch parzący jak płonąca benzyna i cisnął nim o okno z taką siłą, że wyleciał przez nie i wylądował na metalowych prętach ogradzających balkon. Marynarka sprezentowana mu przez kapitana Arraeza dymiła i parzyła skórę. Próbuąc szybko wstać, żeby ją zdjąć, poczuł, że podłoga pod jego nogami drży. Chwilę później na oczach Fermina środek budynku runął wessany przez wirujący słup gruzów i ognia.

Wstał i zerwał z siebie dymiącą marynarkę. Zajrzał do pokoju. Całun czarniawego gryzącego dymu pokrywał stojące jeszcze ściany. Wybuch zniszczył wnętrze budynku, zostawiając fasadę i przylegające do niej mieszkania, teraz zawieszane nad lejem krateru, na którego krawędzi unosiły się resztki schodów. Tam, gdzie był korytarz prowadzący od drzwi

wejściowych, nie było już nic.

– Skurwysyny! – Splunął.

Nie zdołał usłyszeć własnego głosu zza kurtyny świdrującego uszy ostrego świstu, ale poczuł na skórze falę kolejnego wybuchu nieopodal. Od ulicy podniósł się gryzący wiatr cuchnący siarką, wyładowaniami elektrycznymi i spalonym mięsem, i Fermín zobaczył blask płomieni rozświetlający niebo nad Barceloną.

13

Nieznośny ból rozszarpywał mu mięśnie. Z trudem utrzymując równowagę, wszedł do pokoju. Eksplozja rzuciła Alicją o ścianę. Nieprzytomna dziewczynka leżała w kącie pokoju przyciśnięta roztrzaskanym fotelem, pokryta odłamkami gruzu i popiołem. Fermín przykląkł przy niej i chwycił małą pod ramiona. Poczawszy jego dotyk, Alicja otworzyła oczy. Były zaczerwienione, a źrenice bardzo rozszerzone. Fermín dojrzał w nich odbicie całej jej rozpacz.

– Gdzie jest babcia? – szepnęła.

– Babcia już uciekła. A ty powinnaś teraz iść ze mną. Razem stąd wyjdziemy. Ty i ja.

Alicja przytaknęła. Fermín uniósł ją nieco i spróbował sprawdzić naprędce, czy dziewczynka jest ranna.

– Gdzieś cię boli?

Dziewczynka przyłożyła dłoń do głowy.

– Przejdzie – powiedział Fermín. – Gotowa?

– Moja książka...

Fermín rozejrzał się, usiłując wypatrzeć w rumowisku książkę, i znalazł ją, osmaloną co prawda, ale jednak w miarę całą. Podał ją Alicji, a dziewczynka chwyciła książkę, jakby miała do czynienia z talizmanem.

– Tylko jej nie zgub, dobrze? Musisz mi opowiedzieć, jak się kończy.

Fermín wstał z dziewczynką na rękach. Albo Alicja ważyła więcej, niż się spodziewał, albo on przeliczył się z siłami.

– Obejmij mnie mocno.

Odwrócił się i trzymając się krawędzi ogromnej dziury, jaka powstała po eksplozji, ruszył po terakocie, którą wyłożony był korytarz, zredukowany teraz do gzymsu. Dotarłszy do schodów, mógł już na własne oczy zobaczyć, że bomba przebiła się aż do piwnic, zostawiając za sobą ogon płomieni trawiących dwa pierwsze piętra. Przechylił się nad lejem po klatce schodowej i spostrzegł, że płomienie wspinają się powoli, stopień po stopniu. Przygarnął mocno Alicję i rzucił się w górę schodów. Próbował przekonać siebie samego, że jeśli uda im się dostać na dach, to stamtąd przeskoczą na dach sąsiedniego budynku i być może przeżyją, aby móc o tym opowiedzieć.

14

Na dach prowadziły drzwi z litego drewna dębowego, ale eksplozja wyrwała je z zawiasów, więc Fermín wyważył je jednym kopnięciem. Już na zewnątrz postawił Alicję na ziemi, sam zaś oparł się o murek, by złapać oddech. Wciągnął głęboko powietrze. Czuć je było spalonym fosforem. Przez dłuższą chwilę Fermín i Alicja stali jak sparaliżowani, nie mogąc uwierzyć w to, co roztaczało się przed ich oczyma.

Barcelonę okrywał płaszcz ciemności w wielu miejscach podziurawiony słupami ognia i pióropuszcami czarnego dymu falującymi ku niebu jak macki. Parę ulic dalej Ramble rzeką płomieni i dymów płynęły do centrum miasta. Fermín chwycił dziewczynkę za rękę i pociągnął za sobą.

– Idziemy, nie wolno nam się zatrzymywać.

Ledwie przeszli parę kroków, kiedy kolejny huk wstrząsnął niebem, a pozostałości budynku zadrżały pod nogami Fermína. Obejrzał się i ujrzał ogromną łunę wiszącą nad okolicami placu Cataluña. Czerwona błyskawica

w ułamku sekundy zerwała pobliskie dachy. Nawałnica światła przeszła w deszcz popiołu, z którego ponownie rozległo się wycie silników. Eskadra leciała nisko, przebijała się przez wiry gęstego dymu rozciągającego się nad miastem. Na brzuchach kadłubów migotał odbłask płomieni. Fermín podążył wzrokiem za samolotami i zobaczył, jak na dachy dzielnicy Raval spadają grona bomb. Jakieś pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym się znajdowali, rząd budynków wybuchł na oczach Fermina, jakby były połączone szeregowo lontem. Fala uderzeniowa rozbiła setki okien, unosząc w powietrze roziskrzoną chmurę szkła i to wszystko, co bezpardonowo zmiotła ze wszystkich okolicznych dachów. Stojący na sąsiednim budynku gołębnik rąbnął o gzyms i przewalił się na drugą stronę ulicy, porywając ze sobą dachowy zbiornik na wodę, który runął w dół i rozbił się z hukiem o bruk. Do uszu Fermina dotarły krzyki panicznego strachu, jaki zapanował na ulicy.

Alicja i Fermín stali niezdolni do zrobienia jakiegokolwiek ruchu, ze spojrzeniem wbitym w rój samolotów, które nie przestawały bombardować miasta. Fermín dostrzegł baseny portowe upstrzone na wpół zatopionymi statkami. Wielkie plamy płonącej ropy rozlewały się po powierzchni i wchłaniały tych, którzy skoczyli do wody i rozpaczliwie płynęli, usiłując uciec jak najdalej. Magazyny i hangary stojące przy nabrzeżach płonęły. Wybuch łańcuchowy cystern z paliwem powalił dźwigi portowe. Ogromne stalowe konstrukcje padły jedna po drugiej na przycumowane przy nabrzeżu frachtowce i statki rybackie, grzebiąc je pod wodą. W oddali, we mgle siarki i ropy, samoloty zawracały nad morzem i szykowały się do kolejnego nalotu. Fermín zamknął oczy i pozwolił, by wiatr, brudny i parzący, zdarł mu pot z ciała. „Tutaj jestem, sukinsyny. Może wreszcie mnie traficie, do kurwy nędzy”.

15

Poprzez ryk nadlatujących znów samolotów doszedł go głos stojącej przy nim dziewczynki. Otworzył oczy. Mała próbowała zwrócić na siebie uwagę,

z całych sił ciągnąc go za spodnie i wrzeszcząc. Fermín rozejrzał się. Resztki budynku znikwały niczym zamki z piasku zalewane kolejną morską falą. Pobiegli na skraj dachu, stamtąd zdołali przeskoczyć przez murek na dach sąsiedniego budynku. Fermín poturlał się, czując nagły ból w lewej nodze. Alicja poturlała się za nim, a potem pomogła mu wstać. Fermín pomacał się po udzie, krew spływała mu spomiędzy palców. Łuna płomieni oświetliła mur, przez który właśnie przeskoczyli, i wydobyła z ciemności grzbiet najeżony igłami pokrwawionego szkła. Ferminowi zrobiło się słabo, oczy zaczęły mu zachodzić mgłą, ale wziął głęboki oddech i nie zatrzymał się. Alicja go wyprzedziła. Powłócząc nogą, która zostawiała na płytach tarasu dachowego ciemny, błyszczący ślad, Fermín starał się nadążyć za dziewczynką. Biegli ku ścianie oddzielającej kamienicę od budynku wychodzącego na ulicę Arco del Teatro. Mężczyzna pierwszy wdrapał się na stertę drewnianych skrzynek przy murze i wyrzwał na przyległy dach. Wieńczył on ohydną budowlę, stary pałac, którego wszystkie okna zakryte były szczelnie okiennicami, a monumentalna fasada wyglądała tak, jakby od dziesiątków lat spoczywała na dnie bagien. Na gmachu osadzona była na kształt latarni ogromna kopuła z matowego szkła, a na niej iglica odgromnika z wczepionym w nią smokiem.

Rana w nodze doskwierała coraz bardziej, pulsowała głuchym bólem. Fermín musiał złapać się gzymsu, żeby nie upaść. Poczł w bucie ciepło spływającej krwi i znów zrobiło mu się słabo. W każdej chwili mógł stracić przytomność. Alicja wpatrywała się weń przerażona. Fermín zmusił się do uśmiechu.

– To nic – powiedział. – Draśnięcie.

W oddali eskadra samolotów, zawróciwszy nad pełnym morzem, już przelatywała nad czubem falochronu portowego, ponownie kierując się ku centrum miasta. Fermín wyciągnął rękę do Alicji.

– Złap się mocno.

Dziewczynka pokręciła głową.

– Tu nie jesteśmy bezpieczni. Musimy przebiec przez sąsiedni dach, żeby w tamtym budynku spróbować zejść na ulicę, a potem do metra – tłumaczył bez większego przekonania.

– Nie – szepnęła mała.

– Alicjo, podaj mi rękę.

Dziewczynka po chwili wahania jednak spełniła polecenie. Fermín podciągnął ją z całej siły i pomógł dojść na czubek sterty, a stamtąd uniósł ją na krawędź dachu.

– Skacz – rozkazał.

Alicja przycisnęła książkę do piersi i sprzeciwiła się ruchem głowy. Fermín usłyszał za swoimi plecami terkot karabinów maszynowych ostrzeliwujących pobliskie dachy. Popchnął Alicję. Dziewczynka wylądowała po drugiej stronie muru i odwróciła się, by wyciągnąć rękę do Fermina, ale przyjaciela tam nie było. Siedział po drugiej stronie muru, blisko gzymsu. Był błądy i oczy mu się zamykały, jakby zaraz miał stracić przytomność.

– Biegnij – przynaglał ją resztką sił. – Biegnij.

Usiłował jeszcze utrzymać się na klęczkach, ale nagle padł bez czucia na plecy. Usłyszał jeszcze, jak przelatują nad nimi samoloty, i nim zamknął oczy, zobaczył, jak z nieba odrywa się kiść bomb.

16

Alicja pędem przebiegła taras dachowy, kierując się ku ogromnej szklanej kopule. Nigdy się nie dowiedziała, gdzie wybuchł pocisk – czy eksplozja nastąpiła, kiedy bomba otarła się o fasadę jednego z budynków, czy też do wybuchu doszło w powietrzu. Poczła jedynie, jak zza pleców uderza na nią ślepo potężna ściana powietrza, ogłuszająca nawałnica, która uniosła ją nad ziemię i rzuciła przed siebie. Chmura odłamków rozżarzonego metalu przeszła obok, ocierając się o nią. Przedmiot wielkości pięści z całą siłą trafił ją w biodro. Uderzenie zakreśliło ją w powietrzu i cisnęło o szklaną kopułę. Ciało Alicji przebiło kurtynę rozpryskującego się szkła i zaczęło spadać w pustkę. Książka wyleciała jej z rąk.

Dziewczynka przez całą wieczność spadała głową w dół, aż w końcu wylądowała na rozwieszonym brezencie, który zamortyzował upadek. Brezent pod jej ciężarem złożył się i znów rozciągnął nad czymś, co wyglądało jak

drewniana platforma. Alicja leżąc na plecach, widziała kilkanaście metrów wyżej dziurę, którą jej ciało wybiło w szklanej kopule. Spróbowała przewrócić się na bok – nie czuła prawej nogi i od pasa w dół ledwie mogła się ruszać. Rozejrzała się i spostrzegła, że książka, którą uznała już za straconą, leży na brzegu platformy.

Wspierając się na rękach, podczołgała się i palcami musnęła grzbiet książki. Kolejna eksplozja wstrząsnęła budynkiem, a książka przesunęła się wskutek drgań i runęła w pustkę. Alicja wyjrzała zza krawędzi i patrzyła, jak spada w przepaść, trzepocząc kartkami. Z unoszącej się ku chmurom łuny płomieni padł snop światła, który rozlał się po ciemnościach. Alicja zacisnęła raz i drugi powieki, nie dowierzając własnym oczom. Jeśli nie ulegała bowiem jakiemuś złudzeniu, to wszystko wskazywało na to, że wylądowała na szczycie ogromnej spirali, wieży powstałej wokół bezkresnego labiryntu korytarzy, przejść, łuków i galerii, które sprawiały wrażenie, jakby stanowiły część ogromnej katedry. Ale w odróżnieniu od katedr znanych Alicji ta nie była z kamienia.

Wzniesiono ją z książek.

Podmuchy światła spadające spod kopuły ukazały jej oczom węzły schodków i mostków to prowadzących do tej budowli, to z niej wychodzących i obudowanych tysiącami tomów. Na dnie przepaści powolutku przemieszczała się banieczka światła. Światełko zatrzymało się. Alicja wyteżyła wzrok i zobaczyła, że siwowłosa mężczyzna trzyma przed sobą latarnię i patrzy w górę. Silny ból przeszył jej biodro, oczy zaszyły mgłą. Chwilę później straciła poczucie czasu.

Obudziła się, gdy ktoś bardzo delikatnie brał ją na ręce. Otworzyła oczy. Niekończący się korytarz rozdzielał się na dziesiątki galerii rozchodzących się we wszystkich kierunkach, galerii tworzonych przez ściany pełne książek. Na rękach niósł ją siwowłosa mężczyzna o rysach drapieżnego ptaka. Ten sam, którego widziała u podstawy labiryntu. Doszedłszy do stóp budowli, strażnik owego miejsca minął ogromną piwnicę i dotarł do odosobnionego pomieszczenia. Tam złożył Alicję na łóżku.

– Jak masz na imię? – spytał.

– Alicja – wyjąkała.

– A ja jestem Isaac.

Mężczyzna z nieskrywanym zatroskaniem przystąpił do oględzin krwawiącej rany na biodrze dziewczynki. Przykrył Alicję kocem i podtrzymując głowę, przytknął jej do ust szklanek zimnej wody. Alicja napiła się łapczywie. Ręce strażnika delikatnie ułożyły jej głowę na poduszce. Isaac uśmiechał się do niej, ale jego oczy wyrażały głęboki frasunek. Za nim, w krętym labiryncie, który widziała spod kopuły, wznosiła się bazylika złożona z wszystkich bibliotek świata. Isaac usiadł przy Alicji na krześle i wziął ją za rękę.

– A teraz odpocznij.

Zgasił latarnię. Znaleźli się w niebieskawym półmroku roziskrzonym migoczącym w górze blaskiem ognia. Niemożliwa geometria książkowego labiryntu niknęła w bezkresie i Alicja pomyślała, że to wszystko jej się śni, że w jadalni babci wybuchła bomba, a ona i jej przyjaciel nigdy nie opuścili tego budynku w płomieniach.

Isaac przypatrywał jej się ze smutkiem. Poprzez mury docierały odgłosy wybuchów, syren i śmierci grasującej w Barcelonie wraz z ogniem. Nieopodal rozległa się eksplozja, która wstrząsnęła ścianami i podłogą, wznosząc tumany kurzu. Alicja wzdrygnęła się pod kocem. Strażnik zapalił świeczkę i postawił ją na stoliku przy łóżku. Blask płomienia wydobył zarys cudownej struktury wznoszącej się pod kopułą. Isaac dostrzegł, jak ów obraz odbija się w spojrzeniu Alicji. Chwilę później dziewczynka straciła przytomność. Westchnął.

– Alicjo – odezwał się w końcu. – Witamy na Cmentarzu Zapomnianych Książek.

Fermín otworzył oczy na bezkres niebiańskiej bieli. Anioł w fartuchu bandażował mu udo, a za aniołem rozpościerał się jak talia kart rząd noszy

prowadzący donikąd.

– Czy jestem w czyścicu? – zapytał.

Pielęgniarka uniosła wzrok i spojrzała nań z ukosa. Nie miała jeszcze osiemnastu lat i pierwsze, co Ferminowi przyszło do głowy, to że wygląda znacznie lepiej niż anioły z Boga ordynansu wymalowywane na obrazkach od chrztu i Pierwszej Komunii. Nieczyste myśli mogły oznaczać tylko jedno z dwojga: gwałtowną poprawę stanu fizycznego albo nieuchronne wieczne potępienie.

– Proszę iść przodem, bo bez zwłoki przystępuję do apostazji od mojej wszetecznej niewiary i obydwoma rękoma podpisuję się pod obydwoma Testamentami, i Starym, i Nowym, w porządku, w jakim wasza anielska wysokość uzna za stosowny.

Widząc, że pacjent odzyskuje i zmysły, i mowę, pielęgniarka dała znak i do noszy podszedł lekarz, który sprawiał wrażenie, jakby od tygodnia nie zmrużył oka. Doktor palcami rozsunął Ferminowi powieki i przyjrzał się źrenicom.

– Umarłem już? – spytał Fermín.

– Bez przesady. Trochę jest pan sponiewierany, ale generalnie na brak życia nie ma pan co narzekać.

– Czyli to nie jest czyściec?

– Chciałaby dusza. Jesteśmy w szpitalu klinicznym. To znaczy w piekle.

Podczas gdy lekarz badał jego ranę, Fermín usiłował pojąć tak nagłą odmianę wydarzeń i starał się przypomnieć sobie, jak to się stało, że się tutaj znalazł.

– Jak się pan czuje? – spytał lekarz.

– Co nieco przejęty, panie doktorze. Śniło mi się, że odwiedził mnie Jezus Chrystus i przeprowadziliśmy długą i bardzo głęboką rozmowę.

– A na jaki temat?

– Głównie o piłce nożnej.

– To przez środki uspokajające, które panu podaliśmy.

Fermín pokiwał głową ze zrozumieniem i ulgą.

– No właśnie, coś mi tu przestało pasować, jak Pan stwierdził, że kibicuje Atlético Madryt.

Lekarz nieznacznie się uśmiechnął i szeptem wydał instrukcje pielęgniarce.

– Jak długo już tu jestem?

– Z osiem godzin.

– A dziecko?

– Dzieciątko Jezus?

– Nie. Dziewczynka, która była ze mną.

Pielęgniarka i lekarz spojrzeli po sobie.

– Przykro mi, ale nie było z panem żadnej dziewczynki. O ile mi wiadomo, został pan cudem odnaleziony na dachu jednego z budynków na Ravalu. Bardzo pan krwawił.

– I nie przyniesiono ze mną żadnej dziewczynki?

Lekarz spuścił wzrok.

– Żywej żadnej.

Fermín spróbował się podnieść. Pielęgniarka i lekarz przytrzymali go.

– Panie doktorze, ja muszę stąd wyjść. Tam jest bezbronne dziecko, które potrzebuje pomocy...

Lekarz głową dał znak pielęgniarce, ta zaś natychmiast odwróciła się do towarzyszącego jej w obchodzie pomiędzy noszami wózeczka z lekarstwami i opatrunkami. Sięgnęła po ampułkę i strzykawkę. Fermín gwałtownie pokręcił głową, ale wówczas lekarz chwycił go mocniej.

– Nie mogę pana jeszcze stąd wypuścić. Będę wdzięczny za odrobinę cierpliwości. Chyba nie chce nam pan napędzić strachu?

– Spokojnie, panie doktorze, mam więcej żyć niż kot.

– I mniej wstydu niż minister, będę więc bardzo zobowiązany, jeśli nie będzie pan szczypać w tyłek pielęgniarki w trakcie zmieniania opatrunków. Zgoda?

Fermín poczuł ukłucie igłą w prawym ramieniu i zimno rozlewające się po żyłach.

– Czy może pan, doktorze, jeszcze popytać? Ma na imię Alicja. Błagam.

Doktor puścił swoją ofiarę i pozwolił Ferminowi przyjąć na noszach wygodną pozycję. Mięśnie Fermina zwiotczały, źrenice się rozszerzyły, świat

stawał się rozmywającą się w wodzie akwarelą. Daleki głos lekarza zanikł w uciekającym ku górze echu. Fermín czuł, jak spada poprzez chmury waty, a biel sufitu rozdrabnia się w świetlny pył, który skrapla się w płynny balsam chemicznego raju.

18

Wypisali go wczesnym popołudniem, bo w szpitalu już nie dawano sobie rady z wciąż przybywającymi rannymi, więc kto nie znajdował się w stanie agonalnym, uznawany był za zdrowego. Uzbrojony w drewnianą kulę, w nowej bieliźnie, którą pożyczył mu jeden ze zmarłych, Fermín przy samym wejściu do szpitala klinicznego wsiadł do tramwaju, który zabrał go z powrotem na ulice Ravalu. A tam zaczął krążyć po kawiarniach, garkuchniach i jeszcze czynnych sklepach, wypytując kogo się da, czy nie widzieli dziewczynki o imieniu Alicja. Ludzie na widok wymizerowanego człowieczka zaprzeczali w milczeniu, przekonani, że nieszczęśnik nadaremnie, jak tylu innych, szuka swej zmarłej córki, jeszcze jednej ofiary spośród dziewięciuset – w tym ponad setki dzieci – jakie zostały odnalezione na ulicach Barcelony tamtego 18 marca 1938 roku.

O zmierzchu Fermín miał już w nogach Ramble przemierzone w jednym i w drugim kierunku. Wskutek nalotów tramwaje wypadły z szyn i dymiąc, leżały wciąż na boku z martwymi pasażerami w środku. Kawiarnie, jeszcze kilka godzin temu pełne gości, teraz wyglądały jak lokale widma, zajęte przez znieruchomiłe ciała. Chodniki zalane były krwią. Nikt w czasie transportowania rannych lub zakrywania ciał zabitych czy po prostu w trakcie ucieczki nie widział dziewczynki podobnej do opisywanego przezeń dziecka.

Mimo to Fermín nie tracił nadziei nawet wtedy, gdy stanął przy złożonym na chodniku przy Gran Teatro del Liceo rzędzie martwych ciał. To były dzieci i żadne z nich nie miało nawet ośmiu lat. Fermín ukląkł. Obok niego kobieta głaskała nogi dziecka z czarną dziurą wielkości pięści na piersiach.

– Nie żyje – odezwała się kobieta, choć Fermín nawet nie miał zamiaru

pytać jej o cokolwiek. – Żadne z nich nie żyje.

Przez całą noc, podczas gdy w mieście odgruzowywano ruiny, a pożary dziesiątków budynków powoli dogasały, Fermín chodząc od drzwi do drzwi i pytając o Alicję, przemierzył cały Raval.

W końcu, o świcie, uświadomił sobie, że siły go już opuściły, że nie da rady postawić ani jednego kroku więcej, i padł na stopniach kościoła Matki Boskiej Betlejemskiej. Chwilę później usiadł przy nim gwardzista o twarzy pokrytej sadzą, w pokrzwawionym mundurze. Kiedy zapytał Fermina, dlaczego płacze, ten objął go i powiedział, że chce umrzeć, bo los oddał w jego ręce życie dziecka, a on to dziecko zdradził i nie potrafił go ochronić. Jeśli Panu Bogu albo szatanowi pozostawała choćby odrobina przyzwoitości, ciągnął, ten zasrany świat już następnego dnia, może dzień później, skończyłby się raz na zawsze, bo nie zasługiwał na przetrwanie.

Gwardzista, setnie zmęczony, bo przez ostatnie godziny bez wytchnienia wydobywał spod gruzów ciała zabitych, łącznie z ciałami swojej żony i sześciolatniego syna, wysłuchał go cierpliwie.

– Drogi przyjacielu – odezwał się w końcu. – Proszę nie tracić nadziei. Jeśli czegoś się nauczyłem na tym pieskim świecie, to tego, że los zawsze czai się tuż za rogiem. Jakby był złodziejaskiem, ulicznicą albo sprzedawcą losów na loterię, to jego trzy ulubione wcielenia. I jeśli pewnego dnia zdecyduje się pan go dorwać (bo co jak co, ale los po domach nie chodzi, wizyt nie składa), sam pan zobaczy, że obdarzy pana drugą szansą.

BAL MASKOWY

Madryt
1959

**Jego Ekscelencja
Don Mauricio Valls y Echevarría**

i

Doña Sarmiento de Fontalva

mają przyjemność zaprosić na

BAL MASKOWY

**który odbędzie się
w pałacyku Villa Mercedes
w Somosaguas**

**24 listopada 1959 roku
o godz. 19.00**

**Prosimy o potwierdzenie przybycia
w sekretariacie Ministerstwa
Edukacji Narodowej
do 1 listopada br.**

1

W pokoju panował wieczny półmrok. Nieodslaniane od lat zasłony zeszyto, żeby nawet najmniejszy promień słońca nie zdołał wdrzeć się do środka. Jedynym źródłem światła, które ledwo muskało mrok, był mosiężny kinkiet na ścianie. Jego blada aureola wydobywała z cienia kontury łoża z przejrzystym baldachimem osłaniającym nieruchomą postać. Wygląda jak katafalk, przeszło Vallsowi przez myśl.

Mauricio Valls przyglądał się chwilę sylwetce swojej żony. Elena leżała spokojnie w łóżku, które było jej więzieniem od dziesięciu lat. Poruszanie się na wózku inwalidzkim okazało się w pewnym momencie ponad jej siły. Tajemnicza choroba kośćca powoli przeistoczyła jej ciało w zdeformowany, bezładny twór skazany na ciągnącą się w nieskończoność agonię. Chrystus na hebanowym krzyżu spoglądał na nią znad wezgłowania, ale niebo w swym niewysłowionym okrucieństwie wciąż odmawiało jej łaski śmierci. To moja wina, myślał Valls. Nie umiera, żeby się na mnie zemścić.

Valls słyszał jej ciężki, umęczony oddech, mimo muzyki i gwaru niemal tysiąca gości, które odbijały się echem w całym ogrodzie. Nocna pielęgniarka wstała ze swojego krzesła przy łóżku i po cichu podeszła do ministra. Nie pamiętał, jak ma na imię. Pielęgniarki opiekujące się jego żoną rzadko wytrzymywały dłużej niż dwa, trzy miesiące, choćby nie wiem jak wysoką pensję im oferował. Nie winił ich za to.

– Śpi? – zapytał Valls.

Pielęgniarka pokręciła głową.

– Nie, panie ministrze, ale lekarz dał jej już zastrzyk na noc. Po południu była bardzo niespokojna. Teraz czuje się lepiej.

– Proszę zostawić nas samych – wyszeptał Valls.

Pielęgniarka czym prędzej opuściła pokój i zamknęła za sobą drzwi. Valls

podszedł do łoża. Odsunął welon z gazy i usiadł na brzegu. Przymknął na chwilę oczy i wsłuchał się w urywany rytm oddechu, czując gorzki zapach, jaki wydzielano ciało żony. Usłyszał skrobanie paznokci po prześcieradle. Kiedy odwrócił się do Eleny, miał już swoją zwykłą minę, wyrażającą spokój i troskę, a na ustach przyklejony uśmiech. Choroba, której najlepsi europejscy lekarze nie potrafili nawet nazwać, nie mówiąc już o zaordynowaniu odpowiedniej kuracji, zupełnie zniekształciła ręce kobiety. Wyglądały teraz jak szpony dziwnego gada albo drapieżnego ptaka. Valls ujął prawą dłoń małżonki, szorstką jak papier ścierny, i napotkał jej spojrzenie płonące z wściekłości i bólu. Może nienawiści, łudził się Valls, chociaż myśl, że ta istota żywi jeszcze jakiś cień uczucia do niego albo do świata, wydawała mu się nieprawdopodobna.

– Dobry wieczór, kochanie.

Elena dwa lata temu właściwie straciła głos, wymówienie pojedynczego słowa stanowiło dla niej nadludzki wysiłek. Mimo to odpowiedziała na jego pozdrowienie gardłowym jękiem, który zdawał się dobywać z głębi jej zdeformowanego, szczelnie przykrytego kołdrą ciała.

– Słyszałem, że miałaś zły dzień – ciągnął niezrażony. – Lekarstwo zaraz zacznie działać i będziesz mogła odpocząć.

Uśmiech nie schodził z twarzy ministra, wciąż trzymał w rękach tę dłoń, budzącą w nim obrzydzenie i lęk. Było dokładnie tak samo jak co dzień. On przemawiał do niej przez chwilę ściszonego głosem, ona patrzyła na niego tym swoim świdrującym spojrzeniem, póki morfina nie usypiała jej bólu i furii, a Valls opuszczał pokój leżący w samym końcu korytarza na trzecim piętrze, żeby powrócić tu dopiero następnego wieczoru.

– Goście nie zawiedli. Mercedes włożyła piękną kreację, podobno tańczyła z synem brytyjskiego ambasadora. Wszyscy o ciebie pytają i przesyłają pozdrowienia.

Tym razem, gdy odprawiał zwykły wieczorny rytuał prawienia banałów, jego spojrzenie zatrzymało się na metalowym stolczku przykrytym czerwonym aksamitem, na którym spoczywały strzykawki, fiolki i metalowe instrumenty medyczne. Ampułki morfiny lśniły w mroku jak szlachetne kamienie. Nagle załamał mu się głos, a niedopowiedziane puste słowa zawisły w powietrzu. Elena podążyła za jego wzrokiem, a potem popatrzyła na niego błagalnie.

Twarz miała całą we łzach. Valls obserwował ją jeszcze przez moment. Westchnął. Nachylił się nad nią i pocałował w czoło.

– Kocham cię – mruknął.

Słyszając te słowa, Elena odwróciła się od niego i zacisnęła powieki. Valls pogłaskał żonę po policzku. Wstał, zasłonił baldachim, przeszedł przez pokój, zapinając frak i ocierając usta chusteczką. Rzucił ją na podłogę i zamknął za sobą drzwi.

2

Kilka dni wcześniej Mauricio Valls zaprosił córkę Mercedes do swojego gabinetu w wieżycy, żeby zapytać, co chciałyby dostać w prezencie urodzinowym. Już dawno minęły czasy, kiedy największą radość sprawiały jej porcelanowe lalki i pięknie ilustrowane baśnie. Mercedes, której z małej dziewczynki zostały tylko śmiech i przywiązanie, jakim darzył ją ojciec, przyznała, że jej największym i właściwie jedynym marzeniem jest wziąć udział w balu maskowym, który miał się odbyć niedługo w pałacyku nazwanym jej imieniem.

– Będę musiał poprosić o pozwolenie twoją matkę – skłamał Valls.

Mercedes objęła go i ucałowała, jakby chciała przypieczętować tę niewypowiedzianą na głos obietnicę. Długo przed rozmową z ojcem wybrała suknię na ten bal, zamówioną w luksusowym domu mody w Paryżu jeszcze przez jej matkę: olśniewającą kreację w kolorze czerwonego wina, której doña Elena nigdy nie miała okazji na siebie włożyć. Suknia, podobnie jak inne stroje i klejnoty będące częścią nieprzeżytego w pełni przez jej matkę życia, od piętnastu lat piętrzyły się w szafach opuszczonej luksusowej garderoby przyległej do również opuszczonej sypialni małżeńskiej na drugim piętrze. Od lat, kiedy wszyscy sądzili, że Mercedes śpi w swoim pokoju, ona wślizgiwała się do sypialni matki i brała klucz leżący w czwartej szufladzie komody. Jedyna nocna pielęgniarka, która miała odwagę o tym napomknąć, została

zwolniona pod pretekstem kradzieży z toaletki doñi Eleny bransoletki, zakopanej wcześniej przez Mercedes w ogrodzie obok fontanny z aniołami. Pozostałe pielęgniarki nie odważyły się zająknąć o tym choćby słowem i udawały, że nie widzą jej obecności w zalegającym w pokoju permanentnym półmroku.

Kiedy upragniony klucz był już w jej posiadaniu, zakradała się około północy do garderoby, przestronnego pomieszczenia w zachodnim skrzydle domu, które pachniało kurzem, naftaliną i samotnością, a jego kąty oblepione były gęstymi pajęczynami. Ze świecą w ręku chodziła wśród rzędów sukien, szafek z butami, szkatulek z kosztownościami i peruk. Mała Mercedes – która dorastała w złotej klatce jak wszystkie ukochane przez ojców księżniczki – wyobrażała sobie, że to zaczarowane przedmioty należące do zepsutej i przekłętej lalki skazanej na przebywanie do końca życia w swojej komnacie w głębi korytarza. Myślała ze smutkiem, że owa lalka nigdy już nie włoży swoich strojów ani zjawiskowej biżuterii.

Czasem Mercedes stawiała świeczkę na podłodze i przymierzała którąś z sukien, a potem tańczyła w półmroku przy akompaniamencie starej, nieco zachrypniętej pozytywki powtarzającej raz za razem temat *Szeherezady*. Z wielką przyjemnością wyobrażała sobie, jak tańczy z ojcem na samym środku wielkiego salonu, a wszyscy patrzą na nich z podziwem i zazdrością. Kiedy przez szpary w zasłonach wdzierały się do wnętrza pierwsze promienie świtu, Mercedes odnosiła klucz do szuflady w komodzie i czym prędzej wracała do łóżka. Punktualnie o siódmej wchodziła do jej sypialni opiekunka, a ona udawała, że budzi się z głębokiego snu.

Nikt na balu maskowym nie przypuszczał nawet, że suknia, wspaniale eksponująca figurę Mercedes, została uszyta dla innej kobiety. Wirując na parkiecie w ramionach kolejnych mężczyzn, czuła na sobie wzrok wielu gości pełen tęsknoty i pożądania. Wiedziała, że jej imię jest na ustach wszystkich, i uśmiechała się sama do siebie, słysząc strzępki rozmów i komentarzy, których była bohaterką.

Dochodziła dziewiąta, kiedy Mercedes, zmuszona opuścić tę długo wyczekiwaną uroczystość, udała się do głównego budynku. W skrytości liczyła, że zatańczy chociaż jeden taniec z ojcem, ale on do tej pory nie pojawił się na balu i nikt nie wiedział, co się właściwie stało. Don Mauricio wymógł jednak na córce obietnicę, że o dziewiątej wróci do siebie, a ona nie

miała zamiaru go rozczarować. „Może w przyszłym roku zostanę dłużej”, obiecywała sobie w duchu.

Wychodząc, usłyszała jeszcze rozmowę kolegów ojca z rządu, dwóch podstarzałych ministrów, którzy przez cały bal gapili się na nią szklanymi oczyma. Szeptali między sobą, jak to don Mauricio kupił wszystko na tym świecie za fortunę swojej biednej żony, łącznie z pogodą na ten wieczór, który, mimo jesieni, przypominał raczej ciepłą wiosenną noc, co w Madrycie nie zdarza się zbyt często. A wszystko po to, żeby pokazać śmietance towarzyskiej swoją córeńkę lafiryndę. Oszołomiona szampanem i tańcem Mercedes już się odwracała, żeby im się odciąć, kiedy jak spod ziemi wyrosła przy niej jakaś postać i chwyciła ją za łokieć.

Irene, guwernantka nieodstępująca jej na krok od dziesięciu lat, uśmiechnęła się i ucałowała ją w policzek.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedziała, biorąc ją pod rękę.

Mercedes uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Prześlicznie wyglądasz, pozwól, że ci się przyjrę.

Dziewczyna spuściła wzrok.

– Piękna suknia, wyglądasz w niej olśniewająco.

– Należała do mojej matki.

– Od tego wieczora należy już tylko i wyłącznie do ciebie.

Mercedes zaczerwieniła się i zaczęły ją nękać wyrzuty sumienia.

– Widziała pani może mojego tatę?

Guwernantka pokręciła głową.

– Wszyscy o niego pytają.

– No cóż, będą musieli poczekać.

– Obiecałam, że zostanę tylko do dziewiątej. Miałam trzy godziny mniej niż Kopciuszek.

– W takim razie lepiej się pospieszmy, nim zamienię się w dynię – zażartowała guwernantka, chociaż wcale nie było jej do śmiechu.

Przemierzyły ścieżkę przecinającą ogród pod girlandą lampionów oświetlających twarze nieznanym, którzy na jej widok uśmiechali się

i unosili kieliszki szampana, lśniące w ciemności jak zatrute sztylety.

– Czy mój ojciec w ogóle pojawi się na balu? – ośmieliła się wreszcie zapytać Mercedes.

Guwernantka zaczęła, aż znajdą się z dala od ciekawskich spojrzeń i niepowołanych uszu, i dopiero wtedy odrzekła:

– Nie mam pojęcia. Nie widziałam go przez cały dzień...

Mercedes nie zdążyła odpowiedzieć, bo za ich plecami powstało jakieś zamieszanie. Odwróciły się – orkiestra przestała grać, a jeden z mężczyzn, którzy wcześniej szeptali między sobą w ogrodzie, wszedł na podium i szykował się do wygłoszenia przemowy. Zanim Mercedes zdołała zapytać, kto to, guwernantka szepnęła jej do ucha:

– Don José María Altea, szef kancelarii prezesa Rady Ministrów.

Jakiś podwładny podał ministrowi mikrofon, szepty gości umilkły, zapadła nabożna cisza. Muzycy z orkiestry przybrali uroczyste miny i zwrócili głowy w stronę podium, minister tymczasem z ukontentowaniem przyglądał się potulnej publiczności. Altea obrzucił wzrokiem setki obserwujących go twarzy i zadowolony pokiwał głową. Potem, niespiesznie jak zawodowy kaznodzieja znający swoich słuchaczy na wylot, uniósł mikrofon do ust i zaczął homilię.

3

– Drodzy przyjaciele, to dla mnie niebywała przyjemność i zaszczyt móc zwracać się do tak znamienitych gości, zgromadzonych tu dzisiaj, żeby złożyć hołd jednej z wielkich postaci naszej nowej, odrodzonej jak Feniks z popiołów Hiszpanii. Jestem niezwykle dumny, mogąc to zrobić po dwudziestu latach, jakie upłynęły od naszej tryumfalnej krucjaty, dzięki której znaleźliśmy się w gronie najznakomitszych nacji naszego globu. Ojczyzna nasza, pobłogosławiona przez samego Boga i pod przewodnictwem Generalissimusa, zawdzięcza swą świetność wysiłkowi takich ludzi jak ten, który przyjmuje nas dziś w swoich progach. Trudno przecenić rolę naszego

gospodarza w budowaniu tego wspaniałego kraju, będącego naszą chlubą i przedmiotem zazdrości innych państw Zachodu. A ja, przepełniony dumą i wdzięcznością, mogę zaliczyć don Mauricia Vallsa y Echevarrię do grona swoich najbliższych przyjaciół.

Fala oklasków zalała cały ogród. Do owacji przyłączyli się służący, ochroniarze i muzycy z orkiestry. Altea przyjął aplauz z dobrotliwym uśmiechem, pokiwał głową i pełnym namaszczenia gestem uniósł rękę, żeby stonować entuzjazm zgromadzonych.

– Cóż mógłbym powiedzieć o don Mauriciu Vallsie, czego do tej pory nie powiedziano? Jego życiorys, nieskazitelny i pełen zasług zapisanych złotymi zgłoskami na kartach naszej historii, od samego początku wiąże się z ruchem narodowym, Movimiento Nacional. I skoro o złotych zgłoskach mowa, zaryzykuję twierdzenie, że być może to na tej właśnie niwie – literatury i sztuki – don Mauricio odniósł największy sukces, odważyć się nawet powiedzieć, że dźwignął kulturę Hiszpanii na niespotykane dotąd wyżyny. Nie wystarczył mu wkład, jaki wniósł w budowę solidnych fundamentów nowego państwa, zapewniającego swoim obywatelom pokój, sprawiedliwość i dobrobyt. Don Mauricio wiedział bowiem, że nie samym chlebem żyje człowiek, i wierny temu przekonaniu wyrósł na jedną z najjaśniejszych gwiazd na firmamencie naszej literatury. Obdarzony lekkim stylem stał się autorem nieśmiertelnych dzieł. Ufundował Instytut imienia Lopego de Vegi, który rozświetlił na świecie naszą ojczystą mowę i literaturę i tylko w tym roku otworzył swoje oddziały w dwudziestu dwóch stolicach świata. Niestrudzony wydawca, odkrywca i popularyzator dzieł literackich najwyższych lotów, myśliciel obdarzony nowym spojrzeniem na sztukę i literaturę. Żadne słowa nie opiszą bezcennego wkładu naszego gospodarza w kształcenie i wychowanie obecnych i przyszłych pokoleń Hiszpanów. Ministerstwo Edukacji Narodowej, którym przez wiele lat kierował, położyło podwaliny pod podstawowe struktury naszej wiedzy i twórczości. W świetle powyższych słów nie wydaje mi się przesadą twierdzenie, że bez don Mauricia Vallsa hiszpańska kultura nie byłaby dziś tym, czym jest. Jego przenikliwa wizja towarzyszyć nam będzie przez kolejne generacje, a nieśmiertelne dzieło pozostanie na rodzimym Parnasie po wsze czasy.

Mówca zawiesił głos, znów rozległa się burza oklasków, podczas której goście szukali w tłumie nieobecnego adresata laudacji, bohatera chwili, który

nie pojawił się dotąd na swoim balu.

– Nie zamierzam dłużej się rozwodzić, gdyż wiem, że wielu z państwa, podobnie jak ja, pragnie osobiście przekazać don Mauriciowi wyrazy uznania i podziwu. Chciałbym jeszcze skorzystać z okazji i podzielić się z państwem osobistą wiadomością skierowaną do kolegi ministra i mojego drogiego przyjaciela don Mauricia Vallsa, jaką przesłał przed chwilą szef rządu, generał Francisco Franco, którego sprawy najwyższej wagi państwowej zatrzymały w ostatniej chwili w pałacu El Pardo.

Westchnienie rozczarowania, ukradkowe spojrzenia ustąpiły miejsca głuchej ciszy. Altea wyjął tymczasem z kieszeni kartkę i zaczął czytać:

– „Drogi przyjacielu, niezmordowany współpracowniku i wzorowy obywatelu nowej Hiszpanii, któryś uczynił tak wiele dla naszego kraju i naszej kultury, pragniemy wraz z małżonką doñą Carmen przekazać ci najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy dozgonnej wdzięczności za te dwadzieścia lat przykładowej służby ojczyźnie...”.

Altea podniósł wzrok i głos, by zakończyć przemowę okrzykami: „Niech żyje Franco!” i „*Arriba España!*”, który słuchacze podchwycili z zapalem. Wiele ramion wyprężyło się w faszystowskim pozdrowieniu, a w oczach dam pojawiły się łzy. Altea przyłączył się do hucznych braw, które rozległy się w ogrodzie, a potem skinął na dyrygenta, by nie pozwolił oklaskom umrzeć śmiercią naturalną. Ten dał muzykom znak, żeby zagrali walca. Wraz z pierwszymi taktami, kiedy stało się jasne, że Franco już się nie zjawi, goście zaczęli rzucać maski na ziemię i kierować się ku wyjściu.

4

Valls słyszał, jak echa braw, które zwieńczyły przemowę ministra, rozpływają się w pierwszych taktach walca. Dla jego „drogiego przyjaciela i szacownego kolegi”, który od lat próbował wbić mu nóż w plecy, przekazanie wiadomości od generała usprawiedliwiającego swoją

nieobecność na balu musiało być nie lada przyjemnością. Przeklął po cichu na myśl o Altei i całym tym stadzie hien, sforze nowych centurionów, przez złośliwych zwanych trującymi kwiatami, które wyrastały ostatnio w cieniu reżimu i pięły się na najbardziej pożądane stanowiska w najważniejszych urzędach. Wielu z nich snuło się jeszcze po ogrodzie, popijając szampana i degustując wyszukane zakąski. Węsząc trop krwi Vallsa, żeby rzucić mu się do gardła. Valls uniósł do ust papierosa i zauważył, że trzyma w palcach niedopałek. Vicente, szef jego osobistej ochrony, który przyglądał mu się bacznie, podszedł i poczęstował go swoim.

– Dziękuję, Vicente.

– Moje gratulacje, don Mauricio... – wymamrotał wierny goryl.

Valls pokiwał tylko głową, śmiejąc się w duszy. Vicente, zawsze lojalny i pełen szacunku dla chlebobdawcy, wrócił na swoje miejsce przy ścianie korytarza; lata pracy w zawodzie upodobniły go do kameleona, potrafił tak bardzo zlać się z tłem, że trzeba było wyteńczyć wzrok, żeby go zauważyć.

Valls zaciągnął się z przyjemnością i przez kurtynę niebieskawego dymu spojrział w głąb przestronnego korytarza. Mercedes nazywała go galerią portretów. Korytarz biegł wokół czwartego piętra i było w nim tyle obrazów i rzeźb, że przypominał raczej zamknięte dla publiczności muzeum. Lerma, konserwator zabytków z muzeum Prado opiekujący się kolekcją, zawsze mu przypominał, że nie powinien tu palić i że światło słoneczne szkodzi obrazom. Valls z uśmiechem zaciągnął się za jego zdrowie. Domyślał się, co Lerma chciał mu powiedzieć, chociaż nie miał odwagi, by pozwolić sobie na coś więcej niż tylko insynuacje. Te dzieła nie powinny znajdować się w żadnej prywatnej rezydencji, nawet w luksusowej rezydencji bogatego polityka, powinny trafić do muzeum i cieszyć oczy tak zwanej szerokiej publiczności, tych żalonych duszyczek, co na wiecach klaszczą, na pogrzebach płaczą, na weselach tańczą.

Valls lubił zasiadać w jednym z przypominających biskupie trony foteli i kontemplować swoje skarby. Wiele z nich skonfiskowano czy wręcz zrabowano obywatelom, którzy w czasie wojny znaleźli się po złej stronie barykady, inne pochodziły z muzeów i pałaców zarządzanych przez jego ministerstwo i zostały mu wypożyczone na bliżej nieokreślony czas. Lubiał wspominać letnie popołudnia, kiedy mała Mercedes nie miała nawet

dziesięciu lat i wskakiwała mu na kolana, żeby wysłuchać historii kryjących się za każdym z tych dzieł. Valls często przywoływał to wspomnienie, pamiętał poważną minę i wpatrzone w niego spojrzenie córki, kiedy opowiadał jej o Sorolli i Zurbaranie, o Velazquezie i Goi.

Wiele razy wmawiał sobie, że dopóki nie ruszy się z tego magicznego miejsca, dopóki pozostanie w kręgu mitów przedstawionych na płótnach i bijącego od nich światła, czas spędzony z Mercedes, słodki czas pełni, nigdy nie przeminie. I chociaż jego córka od dawna nie spędzała z nim popołudni ani nie chciała słuchać uczonych opowieści o złotym wieku malarstwa hiszpańskiego, on nadal uwielbiał tu przebywać. Tylko tutaj potrafił zapomnieć o tym, że Mercedes nie jest już małą dziewczynką, a kobietą, która tańcząc w swojej odświeżonej kreacji, przyciąga lubieżne, czasem zawistne spojrzenia. I o tym, że już niedługo nie będzie mógł jej chronić przed mrocznym światem czyhającym na nią za murami posiadłości.

Wypalił w milczeniu papierosa i podniósł się z fotela. Nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę schodów prowadzących na wieżyczkę. Vicente natychmiast zrobił krok do przodu, wyłonił się z mroku i jak cień ruszył za swoim chlebodawcą.

5

Valls stanął przed drzwiami do gabinetu i spróbował przekręcić klucz w zamku. Od razu zorientował się, że drzwi nie są zamknięte. Zamarł z kluczem w ręku, po czym się odwrócił. Vicente, który czekał niżej, odczytał niepokój w spojrzeniu szefa. Pokonał schody szybko i bezszelestnie, wyciągając rewolwer z kieszeni marynarki. Valls cofnął się, a Vicente gestem dał mu do zrozumienia, żeby stanął z dala od progu i oparł się plecami o ścianę. Odbezpieczył rewolwer i delikatnie przekręcił gałkę. Rzeźbione dębowe drzwi ustąpiły, ukazując pogrążone w półmroku pomieszczenie.

Vicente, unosząc rewolwer, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w mrok.

Przez okna sączyło się błękitnawe światło, które wydobywało z cienia kontury gabinetu Vallsa. Ochroniarz obrzucił wzrokiem wielkie biurko, przepastny fotel, owalną biblioteczkę, skórzaną kanapę, a w końcu perski dywan na podłodze. Cienie trwały w bezruchu. Vicente pomacał ścianę w poszukiwaniu włącznika i zapalił światło. W gabinecie nie było nikogo. Vicente opuścił broń i schował ją z powrotem pod marynarką, a potem wszedł do pomieszczenia. Valls obserwował go uważnie. Ochroniarz spojrzał na niego i pokręcił głową.

– Może sam zapomniałem po południu zamknąć drzwi – mruknął minister bez przekonania.

Vicente stanął na środku gabinetu i uważnie rozglądał się wokół. Valls podszedł do swojego biurka. Vicente sprawdzał, czy okna są zamknięte, kiedy oczy ministra dostrzegły to. Ochroniarz usłyszał, jak kroki Vallsa zatrzymują się, i natychmiast się odwrócił.

Minister miał wzrok wbity w biurko. Na obitej skórą środkowej części blatu spoczywała niewielka przesyłka. Valls poczuł, że po plecach przechodzą mu ciarki, a krew ścina się w sercu.

– Wszystko w porządku, don Mauricio? – zapytał ochroniarz.

– Zostaw mnie samego.

Szef ochrony wahał się przez chwilę. Valls nie odrywał wzroku od koperty.

– Gdyby mnie pan potrzebował, będę na zewnątrz.

Don Mauricio pokiwał głową, a Vicente niechętnie wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Valls nadal stał jak wryty, obserwując pergaminową kopertę, jakby to była żmija gotowa skoczyć mu do gardła.

Obszedł biurko dookoła, usiadł za nim i oparł podbródek na dłoniach. Upłynęła długa chwila, zanim odważył się położyć rękę na przesyłce. Kiedy próbował wymacać zawartość, serce waliło mu jak szalone. Wsunął palec do środka i zaczął ją otwierać. Klej nie zdążył jeszcze wyschnąć, więc poszło mu nadspodziewanie łatwo. Uniósł kopertę nad biurko, jej zawartość się wysypała. Valls przymknął oczy i westchnął.

Książka była oprawiona w czarną skórę, na okładce nie widniał żaden tytuł, a jedynie symbol widzianych z góry kręconych schodów przypominających muszlę ślimaka.



Vallsowi trzęsa się ręka, więc zacisnął ją w pięść. I wtedy zobaczył kawałek papieru wystający spomiędzy stronic powieści. Wyjął go i przyjrzał się kartce, która sprawiała wrażenie wyrwanej z księgi rachunkowej: znajdująca się na niej tabelka składała się z dwóch czerwonych kolumn i wielu rubryk zawierających ciągi cyfr. Na dole widniała adnotacja sporządzona czerwonym atramentem.

***Twój czas się kończy.
Masz ostatnią szansę.
Przy wejściu do labiryntu.***

Valls poczuł, że brakuje mu tchu. Zanim uświadomił sobie, co właściwie robi, instynktownie sięgnął do szuflady biurka po rewolwer. Podniósł lufę do ust i odbezpieczył broń. Miała smak oleju i prochu. Chociaż ogarnęły go mdłości, trzymał rewolwer oburącz i nie otwierał oczu, żeby powstrzymać łzy, które zaczęły spływać mu po policzkach. Wówczas usłyszał kroki na schodach i jej głos. Mercedes rozmawiała z Vicente na progu gabinetu. Szybko wrzucił broń do szuflady i osuszył łzy mankietem. Ochroniarz delikatnie zastukał do drzwi. Valls nabrał powietrza i odczekał chwilę. Vicente zapukał raz jeszcze.

– Don Mauricio! To pańska córka.

– Wpuść ją – odparł minister łamiącym się głosem.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wpadła Mercedes w sukni koloru czerwonego wina. Radosny uśmiech na jej ustach ulotnił się bez śladu, kiedy tylko spojrzała na ojca. Vicente obserwował ich z progu wyraźnie zaniepokojony. Valls gestem dał mu do zrozumienia, by zostawił go sam na sam z córką.

– Tato, wszystko w porządku?

Valls uśmiechnął się szeroko i wstał, żeby przytulić dziewczynę.

– Oczywiście, że wszystko w porządku. Zwłaszcza teraz, kiedy cię widzę.

Mercedes poczuła, że ojciec ściska ją mocniej niż zazwyczaj. Zatopił twarz w jej włosach, wdychając ich zapach, tak jak to czynił, gdy była małą dziewczynką, jakby woń jej ciała mogła ochronić go przed całym złem świata. Kiedy wreszcie wypuścił ją z objęć, Mercedes przyjrzała mu się bacznie i natychmiast zauważyła jego zaczerwienione oczy.

– Co się stało, tato?

– Nic.

– Wiesz, że mnie nie oszukasz. Innych tak, mnie nigdy...

Valls się uśmiechnął. Zegar na jego biurku wskazywał pięć po dziewiątej.

– Zawsze dotrzymuję obietnic – powiedziała Mercedes, odgadując jego myśli.

– Nigdy w to nie wątpiłem.

Mercedes wspięła się na palce, żeby zobaczyć, co leży na biurku ojca.

– Co czytasz?

– Nic takiego. Głupstwa.

– Mogę rzucić okiem?

– To nie jest odpowiednia lektura dla młodych panienek.

– Nie jestem już podlotkiem! – Mercedes uśmiechnęła się krnąbrnie, a potem obróciła się, żeby pokazać kreację w całej okazałości.

– Widzę, widzę. Jesteś piękną kobietą.

Mercedes dotknęła policzka ojca.

– To dlatego jesteś smutny?

Valls pokręcił głową i ucałował córkę w rękę.

– Oczywiście, że nie.

– Ani troszeczkę?

– No, może troszeczkę.

Mercedes się roześmiała. Valls poszedł w jej ślady, chociaż na ustach czuł

jeszcze gorzki smak prochu.

– Na balu wszyscy o ciebie pytali.

– Miałem trudny wieczór. Wiesz, jak to bywa.

Mercedes uśmiechnęła się szelmowsko.

– Tak. Wyobrażam sobie.

Zaczęła się kręcić po pomieszczeniu, tajemniczym świecie niedostępnych dla niej szaf i nieznanymi książkami, przesuając palcem po grzbietach tomów. Zauważyła, że ojciec patrzy na nią zamglonymi oczyma, i zatrzymała się.

– Nie powiesz mi, co się dzieje?

– Mercedes, wiesz, że kocham cię najbardziej na świecie i jestem z ciebie bardzo dumny, prawda?

Zawahała się. Głos jej ojca drżał, a cała jego arogancja i tupet ulotniły się jak powietrze z dziurawego balonika.

– Oczywiście, tato. Ja też cię kocham.

– Tylko to się liczy. Wszystko jedno, co się stanie.

Valls próbował się uśmiechnąć, ale oczy miał wilgotne. Mercedes nigdy wcześniej nie widziała, żeby ojciec płakał, i bardzo się przestraszyła. Poczowała, że jej świat wali się w gruzy. Valls otarł łzy i odwrócił się do niej plecami.

– Zawołaj Vicente.

Mercedes zatrzymała się w progu. Jej ojciec nadal stał tyłem i spoglądał przez okno.

– Tato, a co się teraz stanie?

– Nic, kochanie. Zupełnie nic.

Mercedes otworzyła drzwi. Vicente czekał na korytarzu ze swoją nieprzeniknioną, grobową miną, na widok której przechodziły Mercedes ciarki.

– Dobranoc, tato – powiedziała cicho.

– Dobranoc, Mercedes.

Vicente uklonił się przed nią z szacunkiem i wszedł do gabinetu. Mercedes próbowała jeszcze zajrzeć do środka, ale ochroniarz delikatnie zamknął przed nią drzwi. Dziewczyna przyłożyła do nich ucho i dotarły do niej strzępki

rozmowy.

– Był tutaj – powiedział ojciec.

– Niemożliwe – zaprotestował Vicente. – Wszystkie wejścia są strzeżone. Tylko osoby pracujące w domu mają dostęp do górnych pięter. Moi ludzie pilnują wszystkich schodów.

– Mówię ci, że tu był. Ma listę. Nie wiem, jak ją zdobył, ale ma listę. Mój Boże.

Mercedes przełknęła ślinę.

– To nie może być prawdziwa lista, proszę pana.

– Sam zobacz.

Zapadła długa cisza. Mercedes wstrzymała oddech.

– Cyfry wydają się zgadzać. Zupełnie tego nie rozumiem.

– Nadszedł czas, Vicente. Nie mogę się dłużej ukrywać. Teraz albo nigdy. Mogę na ciebie liczyć?

– Oczywiście, proszę pana. Kiedy?

– O świcie.

Zapadła cisza, po chwili Mercedes usłyszała odgłos kroków zbliżających się do drzwi, zbiegła więc czym prędzej ze schodów. Nie zatrzymała się, póki nie dotarła do swojej sypialni. Zatrzasnęła za sobą drzwi, osunęła się na podłogę i poczuła, że życie rodem z baśni, na której kartach przyszło jej żyć przez tyle lat, dobiegło właśnie końca.

6

Ów pamiętny świt wstał szary i lodowaty; zima postanowiła zaatakować z zaskoczenia i zasnęła Villę Mercedes kurtyną mgły napływającej z pobliskiego lasu. Mercedes spała w sukni, w nierozścielonym łóżku. Obudziła się, kiedy cienkie promienie metalicznego światła zaczęły nieśmiało

drapać w szyby jej sypialni. Wstała i otworzyła okno, a wilgotny chłód poranka polizał ją w policzki. Pasemka gęstej mgły sunęły po ogrodzie niczym węże wijące się pośród pozostałości po wczorajszym balu. Po niebie płynęły powoli czarne chmury zwiastujące nieuchronną nawałnicę.

Wyszła bosą na korytarz. W domu panowała głucha cisza. W ciemnościach dotarła do wschodniego skrzydła budynku, gdzie znajdowała się sypialnia jej ojca. Zdziwiła się, że drzwi nie pilnował ani Vicente, ani żaden z jego ludzi, jak było to w zwyczaju w ostatnich latach. Odkąd ojciec żył w nieustannym poczuciu zagrożenia, nie rozstawał się ze swoimi wiernymi ochroniarzami, jakby bał się, że nagle ktoś wyłoni się z cienia i wbije mu nóż w plecy. Mercedes nigdy nie odważyła się zapytać, czego naprawdę się obawia, chociaż coraz częściej przyłapywała go, jak przygnębiony patrzy w pustkę.

Otworzyła drzwi do sypialni bez pukania. Łóżko było pościelone, a filiżanka rumianku, którą służąca zostawiała każdego wieczoru na stolyczku nocnym ojca – nietknięta. Mercedes zastanawiała się czasem, czy jej tata w ogóle jeszcze sypia, czy też spędza całe noce w gabinecie w wieżycy. Z ogrodu dobiegł ją szum skrzydeł ptaków wzbijających się do lotu. Podeszła do okna i zobaczyła dwie postacie, które zbliżyły się do garaży. Przyłgnęła twarzą do szyby. Jedna z postaci zatrzymała się, odwróciła i spojrzała w jej stronę, jakby poczuła na sobie jej wzrok. Mercedes uśmiechnęła się do ojca, który patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Był blady jak ściana i wydał się jej starszy niż kiedykolwiek wcześniej.

W końcu Mauricio Valls spuścił wzrok i wszedł do garażu w ślad za Vicente niosącym niewielką walizkę. Mercedes ogarnęła paniką. Wielokrotnie śniła jej się ta chwila, chociaż nie miała pojęcia, co ów sen znaczy. Zbiegła po schodach i rzuciła się ku wyjściu, objając się o meble w ołowianym półmroku świtu. W ogrodzie zimny przenikliwy wiatr owiał jej twarz. Zeszła po marmurowych stopniach i ruszyła w stronę garaży. Ogród pełen był porzucanych masek, poprzewracanych krzeseł i girland lampionów, które falowały jeszcze na wietrze i migotały słabiutkim światłem. Usłyszała pomruk silnika i chrzęst kół na żwirowej ścieżce. Kiedy znalazła się na głównej alejce prowadzącej do bramy, zobaczyła oddalający się z dużą prędkością samochód. Pobiegnęła za nim, nie zwracając uwagi na ostry żwir, który ranił jej stopy. Zanim samochód zniknął w tumanach mgły, ojciec odwrócił się i posłał jej ostatnie pełne rozpaczy spojrzenie. Biegła dalej, dopóki warkot silnika nie

umilkł w oddali, a przed nią nie wyrosła brama posiadłości zwieńczona kolcami długimi jak ostrza lanc.

Godzinę później Luisa, służąca, która każdego ranka budziła ją i pomagała się ubrać, zastała Mercedes nad basenem, w którym dziesiątki masek dryfowały niczym łódeczki z papieru. Jej poranione stopy zwisały nad powierzchnią wody, barwiąc ją czerwonymi strużkami.

– Panienko Mercedes, na litość boską!

Dziewczyna drżała, więc Luisa owinęła ją kocem i zaprowadziła do domu. Kiedy dotarły do marmurowych schodów, zaczął padać śnieg z deszczem. Złowrogi wiatr poruszał gałęziami drzew, zrywał lampiony, wywracał stoły i krzesła. Mercedes, która i tę scenę znała ze snów, zrozumiała, że jej dom zaczął właśnie umierać.

KYRIE

Madryt
Grudzień 1959



1

Chwilę po dziesiątej rano czarny packard wjechał na tonącą w strugach deszczu ulicę Gran Vía i zatrzymał się przed wejściem do starego hotelu Hispania. I chociaż po szybach w oknie spływały strumyczki wody, Alicja dostrzegła wysiadających z niego dwóch emisariuszy, szarych i zimnych jak ten poranek, w płaszczach i kapeluszach. Spojrzała na zegarek. Wspaniałomyślny Leandro nie czekał z wysłaniem po nią swych gończych psów nawet kwadransa. Trzydzieści sekund później zadzwonił telefon, Alicja podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku. Wiedziała doskonale, czyj głos usłyszy po drugiej stronie.

– Panno Gris, darujmy sobie zbędne ceremonie powitalne – zachrypiał Maura z recepcji. – Dwóch jegomości, od których na kilometr cuchnie bezpieką, niezbyt grzecznie pytało o panią, a potem wsiadło do windy. Na wszelki wypadek wysłałem ich na czternaste piętro, gdyby miała pani zamiar się ulotnić.

– To bardzo uprzejme z pańskiej strony, Joaquinie. Co pan ma dziś na warsztacie? Coś ciekawego?

Po upadku Madrytu Joaquín Maura trafił do więzienia. Kiedy opuścił Carabanchel po szesnastu latach, odkrył, że jest starcem, że więzienny tytoń zniszczył mu płuca, a żona, która w chwili jego zatrzymania była w szóstym miesiącu ciąży, zdołała unieważnić małżeństwo i wyjść za odznaczonego za waleczność porucznika; doczekała się z nim trojga dzieci i skromnego domku na przedmieściach. Z efemerycznego małżeństwa została Joaquinowi córka Raquel, która sądziła, że jej ojciec zginął, zanim przyszła na świat. Któregoś dnia Maura stanął przed sklepem z tkaninami przy ulicy Goya, gdzie Raquel była ekspedientką, żeby przyjrzeć się jej ukradkiem. Własna córka wzięła go za żebraka i dała mu jałmużnę. Po tym wydarzeniu Maura postanowił nie niepokoić swoją obecnością dawnej rodziny. Zamieszkał w maleńkim

pomieszczeniu obok kotłowni w piwnicach hotelu Hispania, dyżurował w recepcji na nocne zmiany i wszelkie inne, na które mu pozwalano, czytał namiętnie tanie wydania kryminałów, paląc papierosy bez filtra i z utęsknieniem wyczekując, żeby śmierć raz na zawsze załatwiła sprawę i zabrała go z powrotem do 1939 roku, kiedy to powinien był na dobre wynieść się z tego świata.

– Czytam właśnie powieść, która w ogóle nie trzyma się kupy, pod tytułem *Karmazynowa tunika*, niejakiego Martina. To jedna z części serii „Miasto Przeklętych”. Pożyczyłem od grubego Tudeli z pokoju czterysta dwadzieścia sześć, on zawsze znajduje dziwne rzeczy na Rastro. To o pani małej ojczyźnie, Barcelonie. Może ma pani ochotę przeczytać?

– Nie mówię nie.

– Zawsze do usług. I proszę uważać na tamtych dwóch. Tak, wiem, że jest pani dużą dziewczynką, ale źle im z oczu patrzy.

Alicja odłożyła słuchawkę i rozsiadła się wygodnie w fotelu stojącym naprzeciwko wejścia. Spokojnie czekała, aż szakale Leandra wywęszą jej trop i wsuną pyski w szparę w drzwiach. Dwie, najwyżej trzy minuty, pomyślała. Nie pofatygowała się, żeby zamknąć drzwi, sięgnęła za to po papierosa. Miała widok na długi, ciemny korytarz prowadzący do windy. Do pomieszczenia wdarł się odór starej boazerii i zakurzonej, wytartej wykładziny dywanowej, którą pokryta była podłoga.

Hotel Hispania, niegdyś luksusowy, od dłuższego czasu popadał w coraz bardziej przygnębiającą ruinę. Zbudowany na początku lat dwudziestych w otoczeniu innych eleganckich budynków przeżył wówczas epokę świetności, ale po wojnie domowej popadł w niełaskę i po dwudziestu latach nieuchronnej dekadencji zmienił się w katakumby, w których zatrzymywali się tylko ludzie zdesperowani i wydziedziczeni, niemający już w życiu nikogo i opłacający swój pobyt z tygodnia na tydzień. Przynajmniej połowa z setek pokoi od dawna stała pusta. Zamknięto nawet niektóre piętra, a między gośćmi krążyły mrozące krew w żyłach legendy o tym, co naprawdę dzieje się w tych długich, pograżonych w ciemnościach korytarzach, na których winda zatrzymywała się czasem z własnej inicjatywy, a padający z kabiny blask rozświetlał na chwilę mroki piętra przypominającego zatopiony wrak okrętu. Maura opowiadał Alicji, że często zdarzało się, iż nad ranem w centralce

dzwonił telefon z pokoi niezajmowanych od czasów wojny. Kiedy podnosił słuchawkę, nikt się nigdy nie odzywał, z wyjątkiem jednego razu: usłyszał wtedy głos łkającej kobiety, a gdy zapytał, co może dla niej zrobić, odpowiedział mu tubalny pomruk: „Przyjdź do nas”.

– I wie pani co, od tamtej pory nie mam najmniejszej ochoty odbierać telefonów po północy – wyznał Maura Alicji. – Czasem myślę sobie, że to miejsce jest jak jedna wielka metafora, wie pani? Metafora naszej ojczyzny. Że ciąży nad nim zły czar za sprawą całej tej krwi, którą przelaliśmy i mamy wciąż na rękach, choćbyśmy nie wiem jak bardzo starali się spoglądać tylko w przyszłość.

– Jest pan poetą, panie Maura. I chociaż czyta pan kryminały w ilościach hurtowych, nigdy nie zagłuszy pan swojej lirycznej weny. Hiszpania potrzebuje ludzi takich jak pan, którzy wskrzeszą z martwych naszą narodową cnotę snucia opowieści.

– No jasne, bardzo śmieszne. Na kilometr czuć, że jest pani na usługach reżimu, panno Gris. Nie rozumiem tylko, dlaczego pensja, którą muszą chyba pani płacić, nie pozwala pani porzucić tej ruiny i poszukać zaciejszego lokum. To nie jest miejsce dla błyskotliwej dziewczyny z klasą. To nie jest miejsce do mieszkania, to miejsce, gdzie można tylko umrzeć.

– No i widzi pan, miałam rację: jest pan poetą.

– Niech pani idzie do diabła!

Filozoficzne rozważania Maury nie były wcale tak odległe od rzeczywistości, hotel Hispania zyskał bowiem z czasem niechlubne miano hotelu samobójców. Kilka dziesięcioleci później, kiedy budynek definitywnie zamknięto i przeznaczono do rozbiórki, inżynierowie obeszl go piętrowo piętremi, żeby założyć ładunki wybuchowe mające zmienić go w gruzy, a Madryt obiegła plotka, że w wielu pokojach znaleźli trupy, od lat spoczywające w łóżkach lub w wannach niczym mumie. Były wśród nich zwłoki dawnego recepcjonisty.

Zobaczyła ich, jak wyłaniają się z półmroku korytarza, ich wygląd nie pozostawiał złudzeń co do tego, kim naprawdę są: parą marionetek wymyślonych po to, żeby przestraszyć wszystkich, którzy pojmują życie zbyt dosłownie. Znała ich z widzenia, ale nigdy nie zapamiętała ich imion. Wszystkie te kukły z policji politycznej wydawały się jej takie same. Zatrzymali się w progu i obrzucili ćwiczoną przez lata pogardliwym spojrzeniem wnętrza pokoju. Kiedy ich wzrok padł w końcu na Alicję, wyszczerzyli zęby w wilczym uśmiechu, którego Leandro uczył ich zapewne już pierwszego dnia szkolenia.

– Nie wiem, jak może pani tutaj mieszkać.

Alicja wzruszyła tylko ramionami i zgasiła papierosa, a potem skinęła głową w kierunku okna.

– Urzekły mnie widoki.

Na ustach jednego z najemników pojawił się wymuszony uśmiech, drugi jedynie zaklął pod nosem. Weszli do środka, zajrzeli do łazienki, a potem zlustrowali pomieszczenie, jakby mieli nadzieję coś znaleźć. Młodszy z nich, od którego na kilometr śmierdziało nowicjuszem, więc starał się nadrabiać postawą i miną, od niechcenia wodził palcem po grzbietach książek piętrzących się przy ścianach.

– Naprawdę bardzo chciałbym pożyczyć którąś z tych powieści o miłości.

– Nie przypuszczałam, że potrafisz czytać.

Nowicjusz odwrócił się i ruszył ku niej, buzując z wściekłości, ale jego starszy kolega i zapewne szef powstrzymał go i westchnął znudzony.

– Niech pani lepiej przypudruje nosek. Czekają na panią od dziesiątej.

Alicja nie ruszała się z fotela.

– Przecież Leandro osobiście zawiesił mnie w obowiązkach.

Żółtodziób, którego ambicja ucierpiała, pochylił nad nią swoje dziewięćdziesiąt kilka kilo żywej wagi i zaprezentował perfidny uśmiech, jakim raczył zapewne więźniów aresztu śledczego i nieszczęśników, którym nad ranem przeszukiwał mieszkania.

– Proszę mnie nie wkurwiać, dziś nie jest mój dzień, ślicznotko. Jeśli trzeba, zawlokę tam panią siłą.

Alicja spojrzała mu prosto w oczy.

– To nie jest kwestia dnia, tylko kwestia jaj. Albo je masz, albo nie. Nie sądzę, żeby starczyło ci odwagi.

Zbir Leandra wytrzymał jej wzrok przez kilka sekund, ale kiedy jego kompan chwycił go mocno za ramię, postanowił ustąpić. Uśmiechnął się przymilnie i uniośł ręce na znak kapitulacji. Nie odpuści mi, pomyślała Alicja.

Starszy wiekiem i rangą opryszek spojrzał na zegarek i pokręcił głową.

– Panno Gris, to nie nasza wina. Sama pani wie, jak jest.

Wiem, pomyślała Alicja. Wiem aż za dobrze.

Oparła się obiema rękoma na poręczach fotela i dźwignęła się z miejsca. Dwóch tajniaków patrzyło, jak kulejąc, zmierza do krzesła, na którym leżał gorset skonstruowany z cienkich sznurków i skórzanych pasów.

– Może pomóc? – zaproponował złośliwie nowicjusz.

Alicja zdawała się nie zwracać na nich uwagi. Wzięła ów dziwny przedmiot i weszła do łazienki, przymykając za sobą drzwi. Starszy odwrócił wzrok, młodszy natomiast ustawił się w strategicznym miejscu, z którego widział odbicie Alicji w lustrze. Patrzył, jak zdejmuje spódnicę, a potem zapina gorset na biodrach i prawej nodze tak wprawnie, jakby chodziło o podwiązki do pończoch. Kiedy skończyła, gorset leżał na niej niczym druga skóra, lecz zarazem upodabniał ją do mechanicznej lalki. Alicja uniosła głowę i goryl napotkał w lustrze jej wzrok, zimny i pozbawiony wyrazu. Uśmiechnął się do niej lubieżnie i po długiej chwili się odwrócił, zdążył jednak kątem oka zauważyć czarną plamę na boku dziewczyny, karuzelę blizn wyglądających jak pamiątka po rozgrzanym do czerwoności olbrzymim wiertle, które wbiło się kiedyś w jej biodro. Szef skarcił go surowym spojrzeniem.

– Ale z ciebie kretyn – mruknął.

Alicja nie zabawiała długo w łazience.

– Nie ma pani innej sukienki? – zapytał starszy tajniak.

– A co się panu w tej nie podoba?

– Nie jest zbyt dyskretna.

– I co z tego? Kto jeszcze ma być na tym spotkaniu?

Zamiast odpowiedzieć podał jej laskę stojącą przy ścianie i wskazał drzwi.

– Nie zdążyłam się umalować.

– Wygląda pani świetnie. Umaluje się pani w samochodzie, i tak jesteśmy spóźnieni.

Alicja odłożyła laskę i lekko utykając, wyszła na korytarz.

Kilka minut później jechali już smaganymi ulewą ulicami Madrytu. Z tylnego siedzenia czarnego packarda Alicja przyglądała się ozdobnym wieżyczkom, kopułom i rzeźbom wieńczącym dachy budynków ulicy Gran Vía. Szwadrony aniołów i strażników z poszarzałego kamienia strzegły miasta z wysokości gzymsów. Pod popielatym, lejącym się jak ołów niebem tężała wijąca się rafa olbrzymich i mrocznych gmachów – w oczach Alicji jawiły się niczym stłoczone w zastygłym tańcu, spetryfikowane istoty, które dawnymi czasy połknęły całe miasta. U ich podnóży zza kurtyny deszczu wyzierały wejścia do teatrów, witryny modnych kawiarni i eleganckich sklepów. Przechodnie – lapidarne notki sporządzone obłoczkami oddechu – spieszyli chodnikami jak rój parasoli. W takie dni jak dziś, pomyślała Alicja, człowiek był gotów przyznać rację poczciwemu Maurze: że mroki zalegające w hotelu Hispania rozlały się na cały kraj i nie wpuszczają tu nawet najmniejszego promyka światła.

3

– Niech pan mi opowie coś więcej o tym agencie. Nazywa się Gris, tak?

– Tak. Alicja Gris.

– Alicja? To kobieta?

– Czy to jakiś problem?

– Sam nie wiem. A pan sądzi, że to nie jest problem? Słyszałem o niej wielokrotnie, ale zawsze jako o agencie Gris. Nie miałem pojęcia, że to kobieta. Niektórzy mogą zakwestionować ten wybór.

– Pańscy przełożeni?

– Nasi przełożeni, panie Leandro. Nie możemy pozwolić sobie na kolejną wpadkę jak z Lomaną. W El Pardo zaczynają się irytować.

– Tak, wiem, niemniej, z całym szacunkiem, błąd polegał głównie na tym, że nie wyjaśniliście mi jasno i od samego początku, do czego potrzebujecie kogoś z mojej jednostki. Gdybym znał prawdę, z pewnością wybrałbym kogoś innego. To nie było zadanie dla Ricarda Lomany.

– W tym dochodzeniu to nie ja dyktuję warunki i nie ja decyduję, które informacje ujawnić. Rozkazy płyną z samej góry.

– Nie wątpię.

– Proszę opowiedzieć mi o Gris.

– Panna Gris ma dwadzieścia dziewięć lat, z których dwanaście przepracowała dla mnie. Jest wojenną sierotą, straciła rodziców, kiedy miała osiem lat. Wychowała się w barcelońskim sierocińcu Patronato Ribas, z którego wydano ją jako piętnastolatkę za przewinienia natury dyscyplinarnej. Przez kilka lat wegetowała na ulicy, pracując dla przemytnika i kryminalisty, niejakiego Baltasara Ruano, kierującego gangiem nieletnich przestępców do czasu, gdy Gwardia Obywatelska postanowiła z nim skończyć. Został stracony, jak wielu jemu podobnych, w Campo de la Bota.

– Słyszałem, że ta Gris jest...

– To nie stanowi problemu. Potrafi sobie poradzić i doskonale się obronić. Została ranna w czasie wojny, podczas bombardowań Barcelony. Te obrażenia nigdy nie przeszkadzały jej w pracy. Alicja Gris to najlepszy agent operacyjny, jakiego zrekrutowałem przez dwadzieścia lat swojej służby.

– W takim razie dlaczego nie stawiała się na czas?

– Rozumiem pańską złość i jeszcze raz proszę o wybaczenie. Alicja bywa harda, ale wszyscy agenci operacyjni tego szczebla miewają swoje kaprysy. Miesiąc temu zaszło między nami nieporozumienie co do sprawy, nad którą pracowała. Zawiesiłem ją czasowo w obowiązkach i obciąłem pensję. Nie pojawiła się na spotkaniu, żeby dać do zrozumienia, że nadal jest na mnie zła.

– Jeśli mam być szczery, pańska relacja z nią wydaje mi się bardziej osobista niż zawodowa.

– W moim fachu nie ma jednego bez drugiego.

– Martwi mnie ta pogarda dla dyscypliny. W tej sprawie nie możemy

popęłnić więcej błędów.

– Ona ich nie popełni.

– Miejmy nadzieję. Wie pan, że ręczymy za nią głową? I pan, i ja.

– Proszę mi zaufać.

– Chciałbym wiedzieć o niej coś więcej. Dlaczego właściwie jest taka wyjątkowa?

– Alicja Gris widzi rzeczy dla innych niedostrzegalne. Jej umysł działa zupełnie inaczej. Tam, gdzie inni widzą zamknięte drzwi, ona zauważa klucz. Gdzie inni się gubią, ona znajduje trop. Ma szczególny dar. I najlepsze jest to, że nikt nigdy jej nie zdemaskował.

– To ona rozwiązała sprawę tak zwanych barcelońskich lalek?

– My nazywaliśmy je „woskowymi pannami młodymi”. To pierwsze dochodzenie, które prowadziła pod moim zwierzchnictwem.

– Zawsze się zastanawiałem, czy te pogłoski o gubernatorze cywilnym były prawdą...

– A kto by to pamiętał, to było wieki temu.

– I tak musimy poczekać, aż panienka zaszczyci nas swoją obecnością. Mamy czas...

– Oczywiście. Działo się to w czterdziestym siódmym roku. Oddelegowano mnie wtedy do Barcelony. Dowiedzieliśmy się, że w ciągu ostatnich trzech lat policja znalazła w różnych częściach miasta zwłoki siedmiu kobiet. Znajdowano je na ławce w parku, na przystanku tramwajowym, w kawiarence na Paralelo. Nie miały w ciele ani kropli krwi i pachniały kamforą. Wyglądały jak figury woskowe. Stąd nazwa tej sprawy.

– I wtedy pojawia się ciało kolejnej denatki.

– Istotnie. Margarity Mallofré. Morderca usadowił ją w fotelu w korytarzu hotelu Oriente.

– A cała ta Margarita była kochanką...?

– Margarita Mallofré pracowała w, by tak rzec, pięciogwiazdkowym domu schadzek wyspecjalizowanym w zaspokajaniu szczególnych upodobań za odpowiednio wysoką cenę. Tak się złożyło, że pan gubernator był częstym gościem przybytku, a denatka należała do jego faworytek.

– Z jakiego powodu?

– Zdaje się, że Margarita Mallofré najdłużej zachowywała przytomność podczas specjalnych atencji, jakie świadczył dziewczynom jego ekscelencja, stąd jego upodobanie.

– Uroczy jegomość.

– Tak czy inaczej, właśnie z powodu tych powiązań wznowiono śledztwo, a że sprawa należała do tych delikatnej natury, trafiła w moje ręce. Przydzieliłem ją Alicji, która dopiero co zaczęła dla mnie pracować.

– Nie miał pan wątpliwości, czy sprawa nie jest zbyt brutalna dla młodziutkiej, początkującej agentki?

– Alicja nie była zwykłą początkującą agentką i trudno było czymkolwiek ją zaskoczyć.

– I jak się skończyło to śledztwo?

– Przede wszystkim bardzo szybko ruszyło z miejsca. Alicja przez wiele nocy obserwowała wejścia do rozmaitych domów publicznych na Ravalu. Odkryła, że podczas rutynowych nalotów klienci ulatniają się przez wyjścia awaryjne, a niektórzy z pracowników burdelu czynią to samo. Alicja postanowiła ich śledzić. Ukrywali się na klatkach schodowych, w kawiarniach, niektórzy nawet w kanałach. Większość chwymano i aresztowano, spędzali mało przyjemną noc w komisariacie, lepiej oszczędźmy sobie szczegółów. Ale innym udawało się umknąć policji. I oni znikali zawsze w tym samym miejscu, na skrzyżowaniu ulic Joaquína Costa i Peu de la Creu.

– A co tam było?

– Z pozoru nic specjalnego. Kilka spichlerzy. Duży sklep kolonialny. Garaż. I warsztat tkacki należący do niejakiego Rufata, wielokrotnie notowanego przez policję za akty przemocy, jakich dopuszczał się wobec swoich pracowników, jedna z nich straciła nawet oko. Rufat był w dodatku częstym gościem w lokalu, w którym pracowała Margarita Mallofré do czasu swojego zaginięcia.

– Z tego, co widzę, dziewczyna nie traci czasu.

– Dlatego najpierw wykluczyła Rufata, który był brutalny, ale nie miał żadnego związku ze sprawą poza tym, że uczęszczał do lokalu znajdującego się

kilka przecznic od jego warsztatu.

– I wtedy? Musiała zacząć od nowa?

– Alicja zawsze powtarza, że zdarzeniami rządzi logika wewnętrzna, a nie ta, którą dostrzegamy na pierwszy rzut oka.

– A według niej jaką logiką rządzą się sprawy takie jak ta?

– Ona nazywa to logiką symulacji.

– Muszę przyznać, że nie nadążam.

– W skróconej wersji: Alicja sądzi, że wszystko, co wydarza się w społeczeństwie, w życiu publicznym, jest inscenizacją, prezentacją tego, co staramy się przedstawić jako prawdę, chociaż wcale nią nie jest.

– Wyczuwam w tym wpływ marksizmu.

– A gdzie tam, Alicja jest najbardziej sceptyczną osobą, jaką poznałem w życiu. Uważa, że wszystkie ideologie są aktem wiary, wrzodami na tkance myśli. Są czystym teatrem.

– Jeszcze gorzej. Nie wiem, czemu się pan uśmiecha. Coraz mniej lubię tę pannę. Może chociaż jest ładna?

– Nie prowadzę agencji towarzyskiej.

– Proszę się nie gniewać, Leandro, tylko żartowałem. I jak skończyła się tamta historia?

– Stanęliśmy na tym, że Alicja wykreśliła Rufata z listy podejrzanych, a potem zaczęła dobierać się do tego, co nazywa kolejnymi warstwami cebuli.

– Znowu jakaś teoria?

– Alicja mawia, że każda zbrodnia jest jak cebula, trzeba odkrywać kolejne warstwy, a po drodze prowadzący dochodzenie nieraz musi się rozpłakać.

– Naprawdę, Leandro, czasem nie mogę wyjść z podziwu dla fauny, którą pan rekrutuje.

– Moje zadanie polega na tym, żeby znaleźć narzędzia odpowiednie do każdego zadania. I dobrze je naostrzyć.

– Niech pan będzie ostrożny, bo któregoś pięknego dnia może się pan skaleczyć. Ale proszę mówić dalej, to z cebulą nawet mi się spodobało.

– Dobierając się do kolejnych warstw wszystkich firm znajdujących się

przy skrzyżowaniu, na którym znikwały prostytutki, Alicja dowiedziała się, że tamtejszy garaż należy do organizacji dobroczynnej Casa de Caridad.

– Kolejny martwy punkt.

– W tym przypadku kluczowe jest słowo „martwy”.

– Znów się zgubiłem.

– W tym garażu trzymano karawany barcelońskiego domu pogrzebowego, znajdował się w nim również magazyn trumien i posągów nagrobnych. W owych czasach usługami pogrzebowymi w mieście zarządzała jeszcze Casa de Caridad, a większość jej podrzędnych pracowników, grabarze, chłopcy na posyłki, to byli ludzie, których życie potraktowało po macoszemu: sieroty, faceci po odsiadkach, żebracy i tak dalej, i tak dalej. Jednym słowem, potępione dusze, które wylądowały w tym ponurym miejscu, gdyż nie miały nikogo na świecie. Alicja, wykorzystując swój urok osobisty – nadmienię, że nie mały – zdołała zatrudnić się jako maszynistka w dziale administracji. Nie upłynęło wiele czasu, a odkryła, że w nocy policyjnych nalotów niektóre dziewczyny z burdeli szukały schronienia w garażu zakładów pogrzebowych. Zawsze udawało im się przekonać któregoś z pracujących tam nieszczęśników, żeby pozwolili schować się w karawanie w zamian za zapłatę w naturze. Kiedy niebezpieczeństwo minęło i dziewczyny zaspokoily pragnienia dobroczyńców, przed wschodem słońca wracały do burdeli.

– Ale...

– Ale nie wszystkie wracały. Uwagę Alicji szybko zwrócił pewien bardzo osobliwy pracownik tego garażu. Był, podobnie jak ona, wojennym sierotą. Nazywali go Quimet, miał twarz dzieciaka i tak nieodparty urok osobisty, że wiele wdów chciało go adoptować i natychmiast zabrać ze sobą do domu. Ów Quimet był szczególnie pilnym i utalentowanym adeptem sztuki balsamowania zwłok i przygotowywania ich do pochówku. W dodatku przechowywał w swoim biurku album z kolekcją zdjęć porcelanowych lalek. Mówił, że chce się ożenić i założyć rodzinę, ale wciąż nie może znaleźć odpowiedniej kobiety, czystej duchowo i cieleśnie.

– Inscenizacja?

– Tą gadką raczej zwabiał ofiary. Alicja zaczęła śledzić go noc w noc i wkrótce przekonała się, że jej podejrzenia były słuszne. Kiedy któraś ze ściganych przez policję prostytutek prosiła Quimeta o ratunek, a miała

odpowiednią figurę, cerę i rysy twarzy, on nie żądał w zamian opłaty w naturze, odmawiał z nią modlitwę i zapewniał, że z jego pomocą i pomocą Matki Boskiej nikt jej nigdy nie znajdzie. Najlepszym schronieniem, przekonywał, będzie trumna. Nikt, nawet policja, nie odważy się otworzyć trumny, żeby sprawdzić, co jest w środku. Dziewczyny, zwiedzone miłym usposobieniem i dziecięcą twarzą Quimeta, układały się posłusznie w trumnach i uśmiechały, kiedy zamykał wieko. On spokojnie czekał, aż się uduszą. Potem je rozbierał, golił im łona, mył ciało i włosy, spuszczał im krew i wstrzykiwał w serce mieszankę balsamującą, która rozchodziła się po całym ciele. Kiedy już się zmieniały w woskowe lalki, robił im makijaż i ubierał na białe. Alicji udało się również ustalić, że wszystkie suknie, w które ubrane były jego ofiary, pochodziły z tego samego magazynu mody ślubnej przy Ronda de San Pedro dwieście metrów od domu pogrzebowego. Jeden z ekspedientów pamiętał, że obsługiwał Quimeta więcej niż raz.

– Niezły świr...

– Quimet spędzał z trupami kilka nocy, inscenizując, by tak rzec, coś w rodzaju pożycia małżeńskiego. Gdy ciała zaczynały wydawać z siebie woń martwych kwiatów, wstawał przed świtem, kiedy ulice były jeszcze puste, wkładał zwłoki do karawanu i wiózł je na spotkanie życia wiecznego. Układał w jakimś publicznym miejscu, chciał bowiem mieć pewność, że zostaną odnalezione.

– Święta Maryjo, Matko Boża! Takie rzeczy dzieją się tylko w Barcelonie.

– Alicja dowiedziała się wszystkiego w porę, żeby ocalić jego niedoszłą ofiarę numer osiem.

– A wiadomo, dlaczego to robił?

– Alicja odkryła, że jako mały chłopiec Quimet spędził tydzień w mieszkaniu przy ulicy Cadena z trupem własnej matki. Po tygodniu fetor zaalarmował sąsiadów. Matka prawdopodobnie nie poradziła sobie po odejściu męża i popełniła samobójstwo. Nie udało nam się potwierdzić tej wersji, bo Quimet odebrał sobie życie pierwszej nocy w więzieniu Campo de la Bota. Przed śmiercią na ścianie swojej celi wypisał ostatnią wolę. Chciał, by ogolono jego ciało, umyto je, zabalsamowano, a potem w białym stroju ułożono w szklanej trumnie obok jednej z jego ofiar w witrynie domów towarowych El Siglo. Zdaje się, że jego matka pracowała tam jako

ekspedientka. No ale może dość makabrycznych opowieści. Ma pan ochotę na kieliszeczek brandy, żeby pozbyć się absmaku po tej anegdocie?

– Ostatnia sprawa, Leandro. Chcę, żeby jeden z moich ludzi pracował z pańską agentką. Nie mogę dopuścić, żeby kolejny agent zniknął bez uprzedzenia jak Lomana.

– Osobiście uważam, że to błąd. Mamy swoje własne metody.

– Ten warunek nie podlega negocjacom. I Altea zgadza się ze mną.

– Z całym szacunkiem...

– Był gotów zaangażować do tego Hendayę.

– Kolejny błąd.

– Tu się zgodzę. Dlatego przekonałem go, żeby na razie pozwolił mi działać na własną rękę. Ale warunek jest taki, że jeden z moich ludzi będzie nadzorował pańską agentkę. Albo to, albo Hendaya.

– Rozumiem. O kim pan myśli?

– O Vargasie.

– Byłem pewien, że przeszedł na emeryturę.

– Tylko teoretycznie.

– Czy to kara?

– Dla pańskiej agentki?

– Dla Vargasasa.

– Raczej druga szansa.

4

Packard objechał plac z fontanną Neptuna jeszcze bardziej zmokniętego niż zwykle, skręcił w Carrera de San Jerónimo w stronę białej bryły wybudowanego na franuską modłę Gran Hotel Palace. Zatrzymał się przed głównym wejściem, a kiedy portier z ogromnym parasolem podbiegł do

tylnych drzwi, dwaj tajniacy odwrócili się do Alicji i posłali jej spojrzenia, w których mieszały się błaganie i groźba.

– Czy możemy zostawić panią tutaj i nie urządzać scen, czy mamy doprowadzić panią siłą, żeby znów gdzieś się pani nie ulotniła?

– Nie martwcie się, nie sprawię wam zawodu.

– Słowo?

Alicja pokiwała głową. Wsiadanie z samochodu, kiedy miała gorsze dni, przychodziło jej z trudem, ale nie chciała dać po sobie poznać tym dwóm, jak bardzo cierpi, przełknęła więc szarpnięcie bólu w biodrze i uśmiechnęła się niepewnie. Portier towarzyszył jej do samego wejścia, niosąc nad nią parasol, a w środku czekała cała eskorta boyów, gotowych poprowadzić ją przez główny hall na miejsce spotkania. Alicja zobaczyła, ile schodów przyjdzie jej pokonać, by dotrzeć do sali jadalnej, i pomyślała, że powinna była zabrać ze sobą laskę. Sięgnęła do kieszeni po dozownik na tabletki i połknęła jedną z nich. Odetchnąwszy głęboko, ruszyła schodami w górę.

Kilka minut i kilkadziesiąt stopni później zatrzymała się na progu sali jadalnej, żeby odzyskać oddech. Młody boy w uniformie, który szedł za nią, zauważył na jej czole ciekłą warstewkę potu. Alicja uśmiechnęła się do niego bez przekonania.

– Sądzę, że dalej trafię już sama.

– Oczywiście. Wedle życzenia.

Boy niby oddalił się dyskretnie, lecz Alicja nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że nadal bacznie ją obserwuje i nie spuści jej z oka, póki nie wejdzie do środka. Alicja otarła pot z czoła chusteczką i przyjrzała się sali.

Było tu bardzo cicho. Usłyszała delikatne dzwonienie łyżeczek w porcelanowych filiżankach i echa prowadzonej półgłosem rozmowy. Sala jadalna hotelu Palace otwierała się przed nią w ten szary dzień przymglony deszczem, zaczarowana tańczącymi refleksami światła. Wieńcząca ją kopuła przypominała zawsze Alicji szklaną wierzbę płaczącą ozdobioną rozetami zrabowanymi przez belle époque z dziesiątek gotyckich katedr. Czego jak czego, ale dobrego gustu nie mogła Leandrowi odmówić. Pod mieniącą się wszystkimi kolorami tęczy bańką stało wiele stolików, ale tylko jeden był zajęty. Siedzący przy nim mężczyźni byli bacznie obserwowani przez pół

tuzina kelnerów, stojących w stosownej odległości, by nie słyszeć szczegółów rozmowy gości, a jednocześnie wystarczająco blisko, żeby móc zareagować na każdy ich gest. Hotel Palace należał w końcu, w przeciwieństwie do jej tymczasowego lokum – Hispanii, do najbardziej luksusowych w Madrycie. Leandro, mężczyzna o upodobaniach bogatego panicza, pracował tu i mieszkał. Od lat zajmował apartament 814 i załatwiał swoje sprawy w tej właśnie sali jadalnej, co, jak przypuszczała Alicja, pozwalało mu wierzyć, że żyje w Paryżu Prousta, a nie we frankistowskiej Hiszpanii.

Przyjrzała się obu spożywającym śniadanie mężczyznom. Leandro Montalvo siedział jak zwykle twarzą do wejścia. Był pulchnym mężczyzną średniego wzrostu, z wyglądu przypominał dobrze sytuowanego księgowego. Za zbyt dużymi okularami w rogowej oprawie ukrywał oczy o spojrzeniu ostrym jak brzytwa. Jego jowialne, spokojne usposobienie sprawiało, że patrząc na niego, miało się wrażenie, że jest prowincjonalnym notariuszem albo bankierem, który zrobiwszy już karierę i pieniądze, teraz lubi spędzać czas w kawiarniach i w muzeach. „Nasz poczciwy Leandro”.

Obok niego siedział mężczyzna o pospolitej aparycji, kontrastującej ze starannie dobranym garniturem w stylu angielskim. Jego włosy i wąsy lśniły od brylantyny, w dłoni trzymał kieliszek brandy. Znała skądś tę twarz, widywała ją często w gazetach, jeden z tych weteranów pozowanych zdjęć z nieodzownym orłem na sztandarze i portretem konnym w tle. Gil jakiś tam, pomyślała sobie. Sekretarz generalny do spraw skupu żywca albo coś w tym rodzaju.

Leandro uniósł wzrok i uśmiechnął się do niej z daleka. Gestem, którym przywołuje się raczej psa lub dziecko, wskazał jej, żeby się zbliżyła. Alicja powoli przeszła przez salę, próbując zamaskować utykanie, co sprawiło, że poczuła w boku przeszywający ból. Po drodze lustrowała obu szacownych panów spojrzeniem. Usiedli w dyskretnym kącie, żeby nie rzucać się w oczy. Obaj byli uzbrojeni. I czekali w bezruchu jak para przyczajonych gadów.

– Alicjo, cieszę się, że w twoim napiętym kalendarzu znalazło się miejsce na kawę w naszym towarzystwie. Powiedz mi, moja droga, jadłaś już śniadanie?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Leandro uniósł brwi i dwóch kelnerów opartych dotąd o ścianę zaczęło przygotowywać dla niej nakrycie. Kiedy

nalewali jej do kieliszka świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, Alicja poczuła, że palące spojrzenie szefa szefów przeszywa ją na wskroś. Nie sprawiło jej najmniejszego trudu odgadnięcie, co widzi. Większość ludzi, wliczając w to tych, którzy żyli z podglądania innych, myliła patrzenie z widzeniem, prawie zawsze zatrzymywała się na oczywistych szczegółach, które przysłaniały to, co najważniejsze. Leandro mawiał, że umiejętność ukrycia się przed spojrzeniem rywala to sztuka, której człowiek uczy się przez całe życie.

Z twarzy Alicji trudno było wyczytać, w jakim jest wieku, jej rysy sprawiały wrażenie rozmytych, jakby zostały jedynie delikatnie naszkicowane. Ona sama kończyła ten szkic codziennie inaczej, w zależności od roli, jaką wyznaczył jej Leandro w kolejnej inscenizacji. Potrafiła się znaleźć w kręgu światła albo w cieniu, była główną postacią albo tylko tłem, w zależności od libretta. Kiedy nadchodziło zawieszenie broni, kurczyła się w sobie, uciekała do czegoś, co Leandro nazywał przezroczyścią jej mroku. Miała czarne włosy i bladą cerę, właściwą dla ocienionych pomieszczeń i szerokości geograficznych, gdzie słońce nie grzeje zbyt mocno. Jej zielone oczy lśniły w półmroku i wbijały się w rozmówcę niczym dwie szpilki, odwracając uwagę od delikatnej figury, której jednak nie dało się przeoczyć. Kiedy było to konieczne, wybierała luźne stroje, żeby nie prowokować na ulicy ciekawskich spojrzeń. Z bliska natomiast, w pełnym świetle dnia, jej postać emanowała delikatnym mrokiem i, zdaniem Leandra, budziła nieokreślony niepokój. Jej mentor zawsze powtarzał, że powinna nad tym popracować. „Jesteś nocnym zwierzęciem, Alicjo, ale musisz się nauczyć, podobnie jak my wszyscy, maskować się także w promieniach słońca”.

– Alicjo, przedstawiam ci don Manuela Gila de Parterę, komendanta głównego policji.

– To dla mnie wielki zaszczyt, ekscelencjo – wyrecytowała Alicja, podając mu rękę, której komendant nie uściśnął, jakby bał się, że go ugryzie.

Gil de Partera patrzył na nią tak, jakby nie umiał jeszcze ocenić, czy jest tylko lolitką o perwersyjnych inklinacjach, czy też należy do zupełnie nowego gatunku, którego nie znał i z którym nie wiedział, jak postępować.

– Pan komendant był łaskaw wystąpić o nasze wysoko wyspecjalizowane usługi, żeby rozwiązać sprawę nader delikatną, wymagającą najwyższej

dyskrecji i staranności.

– Ach, oczywiście – przytaknęła Alicja tak słodko anielskim tonem, że Leandro poczuł się w obowiązku delikatnie kopnąć ją pod stołem. – Jesteśmy do dyspozycji i dołożymy wszelkich starań, by stanąć na wysokości zadania.

Komendant główny nie przestawał jej obserwować z mieszanką podejrzliwości i zachwytu, jak większość mężczyzn w pewnym wieku. Gil de Partera nie wiedział jeszcze, które uczucie weźmie górę. To coś, co Leandro nazywał cieniem osobowości Alicji albo efektami ubocznymi jej prezencji, stanowiło według jej mentora broń obosieczną, której nie nauczyła się jeszcze kontrolować. Świadoma konfuzji, w jaką najwyraźniej wprawiała komendanta, Alicja spodziewała się, że tym razem to ona się zatnie. Chyba się doigram, pomyślała.

– Zna się pani na sztuce łowieckiej, panno Gris? – zapytał de Partera.

Zawahała się, szukając wzrokiem pomocy mentora.

– Alicja należy raczej do miejskiej fauny – wyjaśnił Leandro.

– Podczas polowań człowiek uczy się wielu rzeczy – stwierdził filozoficznie komendant. – Miałem szczęście brać udział w kilku w najznakomitszym towarzystwie jego ekscelencji Generalissimusa i to on zdradził mi podstawową zasadę, której każdy myśliwy powinien być świadom.

Alicja z zapałem pokiwała głową, jakby rzeczywiście to wszystko wydawało się jej fascynujące. Leandro tymczasem smarował jej tost marmoladą. Wzięła od niego grzanekę automatycznym ruchem, podczas gdy komendant zagłębiał się coraz bardziej w meandrach swojego wykładu.

– Wytrawny myśliwy musi zrozumieć, że w kluczowym momencie polowania role łowcy i ofiary mogą się odwrócić. Polowanie, prawdziwe polowanie, to pojedynek pomiędzy równymi. Nie wiadomo, kto jest kim, dopóki nie poleje się krew.

Zawiesił głos. Po kilku sekundach teatralnego milczenia, którego wymagało przyswojenie sobie głębokiej prawdy, jaką jej właśnie objawiono, Alicja zapytała potulnie:

– To maksyma samego Generalissimusa?

Po raz kolejny Leandro ostrzegawczo kopnął ją pod stołem.

– Będę z panią szczery, młoda damo, nie podoba mi się pani ani troszeczkę. Nie podoba mi się to, co o pani usłyszałem, nie podoba mi się pani ton ani to, że ma pani czelność spóźnić się na spotkanie ze mną, jakby sądziła pani, że może zabierać mi mój drogocenny czas. Nie podoba mi się również pani spojrzenie i hardość, z jaką zwraca się pani do wyżej postawionych. Bo jeśli coś naprawdę mnie w życiu wkurwia, to ludzie, którzy nie mają pojęcia o tym, jakie miejsce na świecie zajmują. A najbardziej wkurwia mnie, kiedy muszę osobiście im o tym przypomnieć.

Skruszona Alicja spuściła wzrok. Temperatura w pomieszczeniu podskoczyła nagle o co najmniej dziesięć stopni.

– Bardzo proszę pana komendanta o wybaczenie, jeśli...

– Proszę mi nie przerywać. Siedzę tutaj i rozmawiam z panią tylko ze względu na bezgraniczne zaufanie, jakim darzę pani przełożonego, on zaś uważa, z przyczyn, przyznaję, wciąż dla mnie niezrozumiałych, że to właśnie pani wywiązałaby się idealnie z misji, którą chcę wam powierzyć. Ale chciałbym postawić sprawę jasno: od tej pory przechodzi pani pod moją komendę. A ja nie mam ani cierpliwości, ani łagodności, z których słynie obecny tu pan Montalvo.

Gil de Partera wbił w nią surowe spojrzenie. Miał ciemne źrenice i białka pokryte siateczką czerwonych popękanych naczynek. Alicja wyobraziła go sobie w ozdobionym piórami marszałkowskim kapeluszu, jak całuje wielmożny zadek szefa państwa na jednym z tych polowań, na których ojcowie narodu masakrują kulami zwierzynę naganianą im pod lufy przez szwadron służących, a potem kąpią swoje szacowne jaja w aromacie prochu i krwi, żeby napawać się męskością konkwistadorów ku jeszcze większej chwale Boga i Ojczyzny

– Jestem pewien, drogi przyjacielu, że Alicja nie chciała pana obrazić – wtrącił Leandro, który bez wątpienia rozkoszował się całą sceną.

Alicja skwapliwie przytaknęła słowom swojego mentora.

– Powiem jedno: dochodzenie, które mam zamiar wam powierzyć, zalicza się do kategorii ściśle tajnych, a co za tym idzie, nasza rozmowa nigdy nie miała miejsca. Czy ma pani jakieś pytania odnośnie do tej lub jakiegokolwiek innej kwestii, Gris?

– Absolutnie nie, panie komendancie.

– Świetnie, proszę więc z łaski swojej zjeść wreszcie tego tosta, żebyśmy mogli przejść do rzeczy.

5

– Co pani wiadomo na temat don Mauricia Vallsa?

– Tego ministra? – upewniła się Alicja.

Zatrzymała na chwilę przemykającą jej przez głowę sekwencję obrazów wywołanych długą i obszernie relacjonowaną w gazetach karierą Mauricia Vallsa. Pełen dumy, elegancki mężczyzna, na każdym zdjęciu w najbardziej wyeksponowanym miejscu i w najwyborniejszym towarzystwie, przyjmował należne honory i emanował niekwestionowaną mądrością, burzliwie oklaskiwany i podziwiany przez reżimową klakę. Za życia wyniesiony na ołtarze, na które wspiął się dzięki niezłomnemu uporowi i pomocnej dłoni samozwańczej inteligencji tego kraju, Mauricio Valls był żywym symbolem wzorowego Hiszpana i ucieleśnieniem literata, człowieka kultury, miłośnika sztuki i wielbiciela filozofii. Zdobywca niezliczonych nagród, adresat tysięcy laudacji. Bez cienia złośliwości zaliczany do politycznej i kulturalnej elity kraju, o jego życiu i dokonaniach rozpisywała się, nie szczędząc pochlebstw, cała reżimowa prasa. Jego wykłady w najświetniejszych madryckich salach przyciągały zawsze intelektualną śmietankę kraju. Gromada pismaków jadła mu z ręki, by potem produkować panegiryki wychwalające jego mądrość i talent. Bilety na wieczorki poetyckie lub czytanie performatywne dialogów z jego najsłynniejszych dramatów w wykonaniu gwiazd hiszpańskiego teatru rozchodziły się jak świeże bułeczki. Jego dzieła uznano za kwintesencję osiągnięć hiszpańskiej literatury, już za życia włączono go do panteonu mistrzów słowa. Mauricio Valls, słońce Iberii promieniujące swym blaskiem na cały świat.

– Wiemy tylko tyle, ile przeczytamy w prasie – powiedział Leandro. – A, prawdę mówiąc, w porównaniu z tym, co pisano kiedyś, ostatnio słyhać

o nim bardzo niewiele.

– Tyle co nic – przyznał Gil de Partera. – Sądzę, że nie umknęło pani uwagi, że od listopada pięćdziesiątego szóstego roku, czyli od ponad trzech lat, Mauricio Valls, minister edukacji narodowej (albo kultury, jak sam lubi siebie tytułować) i, ośmielę się powiedzieć, oczko w głowie hiszpańskiej prasy, zniknął z życia publicznego i prawie nie uczestniczy w oficjalnych uroczystościach.

– Teraz, kiedy pan o tym wspomniał, panie dyrektorze... – przytaknęła Alicja.

Leandro odwrócił się do niej i, wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia z Gilem de Parterą, zaczął wprowadzać ją w sytuację.

– Prawda jest taka, Alicjo, że pan minister nie przez przypadek i bynajmniej nie z własnej woli poczuł się zmuszony do pozbawienia nas swojego światłego towarzystwa i wyrafinowanego intelektu.

– Widzę, że miał pan okazję poznać go osobiście – wtrącił Gil de Partera.

– Miałem ten zaszczyt wiele lat temu, kiedy pracowałem w Barcelonie. Niestety, poznałem go tylko przelotnie. Wspaniały człowiek, ucieleśnienie naszych narodowych cnót i chodząca błyskotliwość.

– Jestem pewien, że pan minister podpisałby się pod każdym pańskim słowem.

Na ustach Leandra pojawił się pełen kurtuazji uśmiech. Potem znów spojrzał na Alicję i kontynuował.

– Niestety sprawa, z powodu której spotykamy się tu dziś, nie ma związku z niepodważalnymi zasługami naszego szacownego ministra ani z pozazdrosczenia godną kondycją jego ego. Za pozwoleniem pana komendanta, sądzą, że nie zdradzę więcej, niż mi wolno, jeśli powiem, że przedłużająca się nieobecność don Mauricia Vallsa na scenie publicznej spowodowana jest podejrzeniem, że istnieje, co więcej, istniał od lat, spisek na jego życie.

Alicja uniosła brwi, wyraźnie zaintrygowana.

– W celu wsparcia śledztwa prowadzonego przez Komendę Główną Policji i na prośbę naszych przyjaciół z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nasza jednostka wyznaczyła agenta, który miał uczestniczyć w dochodzeniu, chociaż

oficjalnie nie braliśmy w nim udziału, co więcej, nie poinformowano nas o szczegółach – wyjaśnił Leandro.

Alicja przygryzła wargi. Ze spojrzenia przełożonego wyczytała, że czas na rundę pytań jeszcze nie nadszedł.

– Agent ów, z przyczyn wciąż dla nas niejasnych, zerwał kontakt i nie możemy go zlokalizować od dwóch tygodni – ciągnął Leandro. – To tyle tytułem wprowadzenia do misji, którą pan dyrektor chce nam powierzyć.

Leandro spojrzął na szefa, dając mu do zrozumienia, że powiedział już to, co chciał powiedzieć. Gil de Partera zakasłał i zrobił poważną minę.

– To, co teraz usłyszycie, jest ściśle tajne i nie może wydostać się z tej sali.

Alicja i Leandro pokiwali jednocześnie głowami.

– Jak wspomniał wcześniej pani przełożony, drugiego listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku, podczas uroczystości, która odbywała się w Círculo de Bellas Artes w Madrycie, miał miejsce nieudany zamach na życie ministra Vallsa, w dodatku zdaje się, że nie była to pierwsza próba pozbawienia go życia. Informacja o tym wydarzeniu nie przedostała się do wiadomości publicznej, tak zdecydowali rząd i sam minister, który nie chciał niepotrzebnie niepokoić swoich bliskich ani współpracowników. Wszczęto wtedy dochodzenie, którego nie zamknięto do dziś. Mimo wysiłków Komendy Głównej Policji i współpracy Gwardii Obywatelskiej nie udało się wyjaśnić okoliczności tego incydentu i wielu podobnych, do których doszło wcześniej, a o których policji nie powiadomiono. Oczywiście od tamtej pory wzmocniono ochronę i przedsięwzięto szczególne środki ostrożności, żeby zapewnić Vallsowi bezpieczeństwo, on sam zaś do odwołania zrezygnował z udziału w publicznych imprezach.

– A jakie są ustalenia dotychczasowego śledztwa? – wtrąciła Alicja.

– Czynności dochodzeniowe skupiły się na serii anonimów, które minister dostawał od jakiegoś czasu, ale nie przywiązywał do nich zbytnej wagi. Niedługo po nieudanym zamachu minister powiadomił policję o listach z pogrózkami, które otrzymywał od lat. W pierwszym śledztwie ustalono, że ich autorem był niejaki Sebastián Salgado, złodziej i morderca odsiadujący karę w barcelońskim więzieniu Montjuic. Wyszedł z niego mniej więcej dwa lata temu. Jak zapewne wam wiadomo, Valls w początkach swojej kariery, a dokładnie w latach tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć – tysiąc

dziewięćset czterdzieści cztery, pełnił funkcję dyrektora tego zakładu karnego.

– Dlaczego minister nie powiadomił wcześniej policji o anonimowych listach z pogrózkami? – zapytała Alicja.

– Jak już wspominałem, z początku nie przywiązywał do nich wagi, chociaż przyznał potem, że prawdopodobnie pomylił się w swojej ocenie. Wtedy powiedział nam, że wymowa tych listów była tak niejasna, że właściwie nie domyślał się, o co w nich chodzi.

– A jak dokładnie brzmiały te pogróżki?

– W większości to jakieś niezrozumiałe insynuacje. Autor listów powtarza, że „prawdy nie da się utrzymać w tajemnicy”, że zbliża się „godzina sprawiedliwości” dla „dzieci śmierci” i że „on”, rozumiemy, że chodzi o domniemanego autora, czeka na niego „przy wejściu do labiryntu”.

– Labiryntu?

– Mówiłem, że wiadomości są zaszyfrowane. Niewykluczone, że zawierają odniesienia do czegoś, o czym wiedzieli tylko ich autor i Valls, chociaż sam minister utrzymuje, że nie rozumie ich wymowy. Może napisał je wariat? Nie da się wykluczyć takiej możliwości.

– Czy Salgado był już osadzony na zamku, kiedy Valls kierował więzieniem?

– Tak. Sprawdziłmy historię Salgada. Trafił do więzienia w trzydziestym dziewiątym, niedługo przed tym, jak don Mauricio Valls został dyrektorem. Minister zeznał, że pamięta go jak przez mgłę, że była to konfliktowa postać, co pozwoliło nam przypuszczać, że nasza hipoteza przypisująca mu autorstwo listów jest całkiem prawdopodobna.

– Kiedy wyszedł na wolność?

– Niecałe dwa lata temu. Oczywiście wyklucza to jego udział w próbie zamachu w Círculo de Bellas Artes, jak również w poprzednich. Albo Salgado współpracował z kimś, kto przebywał na wolności, albo zamachowcy używali go jako przynęty, żeby zmylić trop. Ta ostatnia możliwość, w miarę postępów śledztwa, wydawała się coraz bardziej prawdopodobna. Jak sami zobaczycie w dossier, które wam przekażę, wszystkie listy wysłano z oddziału pocztowego w Pueblo Seco w Barcelonie, który obsługuje korespondencję więźniów przebywających w zakładzie karnym w Montjuic.

– Skąd wiadomo, które listy przechodzące przez ten oddział wysłano z więzienia, a które nie?

– Wszystkie listy z zakładu karnego mają na kopercie jego stempel.

– Czy nikt nie przegląda korespondencji więźniów?

– Teoretycznie przegląda. W praktyce, jak dowiedziałem się od odpowiedzialnych za to urzędników, dzieje się tak tylko w wyjątkowych przypadkach. Tak czy owak, nikt nie miał pojęcia o tym, że z Montjuic wysyłano anonimy z pogrózkami skierowane do ministra. Możliwe również, że ze względu na zaszyfrowany język tych przesyłek cenzorzy nie zauważyli nic niepokojącego.

– Jeśli Salgado miał na wolności współników, czy to możliwe, żeby dostarczali mu listy po to, żeby wysyłał je z więzienia?

– Tak. Salgado miał prawo do jednego widzenia w miesiącu. Ale to nie miałyby najmniejszego sensu. O wiele łatwiej było wysłać listy zwykłą pocztą niż ryzykować, że przeczytają je cenzorzy – powiedział Gil de Partera.

– Chyba że autorom zależało na tym, żebyśmy sądzili, że listy wysłano właśnie stamtąd – zauważyła Alicja.

Gil de Partera pokiwał głową.

– Jest jednak coś, czego nie rozumiem – ciągnęła Alicja. – Jeśli Salgado spędził tyle czasu w Montjuic i wyszedł na wolność dopiero dwa lata temu, domyślam się, że odbywał najwyższą karę, czyli trzydzieści lat odosobnienia. Wobec tego co robi na wolności?

– Nie tylko pani tego nie rozumie. Rzeczywiście, zostało mu co najmniej dziesięć lat odsiadki, kiedy, zupełnie niespodziewanie, nadeszła decyzja o złagodzeniu kary podpisana przez samego szefa państwa. Co więcej, decyzję wydano na wyraźną prośbę i dzięki zabiegom samego Vallsa.

Alicja aż zachichotała z wrażenia. Gil de Partera spojrział na nią surowo.

– Z jakiego powodu Valls zdecydował się na coś takiego? – zapytał Leandro, próbując przyjść w sukurs swojej protegowanej.

– Na przekór naszym sugestiom i argumentując, że dochodzenie nie przynosi spodziewanych rezultatów, minister uznał, że uwolnienie Salgada pomoże ustalić tożsamość i miejsce pobytu jego współników odpowiedzialnych za wysyłanie anonimów z pogrózkami i organizację domniemyanych zamachów na

jego życie.

– Dlaczego powiedział pan „domniemanych”? – zdziwiła się Alicja.

– W tej sprawie nic nie jest jasne – uciął Gil de Partera. – Co nie znaczy, że powątpiewam w prawdziwość słów ministra. I wam również stanowczo to odradzam.

– Oczywiście. Wracając do zwolnienia Salgada, czy przyniosło ono skutek, jakiego oczekiwał minister?

– Nie. Odkąd opuścił więzienie, śledziliśmy go dwadzieścia cztery godziny na dobę. Najpierw wynajął pokój w podłym hoteliku na Ravalu i zapłacił z góry za cały miesiąc. Poza tym codziennie chodził na Dworzec Północny, gdzie spędzał całe godziny na przyglądaniu się skrytkom w przechowalni hali dworcowej. Od czasu do czasu odwiedzał też księgarnię przy ulicy Santa Ana.

– Sempere i Synowie – mruknęła Alicja.

– W rzeczy samej. Zna ją pani?

Alicja pokiwała głową.

– Nasz przyjaciel Salgado nie wygląda mi raczej na miłośnika literatury – zauważył Leandro. – Wiadomo, czego szukał w przechowalni bagażu?

– Podejrzewaliśmy, że ukrył tam łup z którejś ze swoich słynnych kradzieży, zanim schwytano go w trzydziestym dziewiątym roku.

– Czy podejrzenie się potwierdziło?

– Kiedy upływał jego drugi tydzień na wolności, Salgado odwiedził jeszcze raz księgarnię Sempere i Synowie, a potem, jak co dzień, znów udał się na dworzec. Tamtego dnia jednak nie usiadł w hali, żeby przyglądać się skrytkom, lecz podszedł do jednej z nich i wsunął klucz do zamka. Potem wyjął ze skrytki walizkę i ją otworzył.

– Co w niej było? – zapytała Alicja.

– Nic – odparł Gil de Partera. – Powietrze. Cały łup, czy cokolwiek tam trzymał, zniknął. Barcelońska policja miała go zatrzymać po wyjściu z dworca, ale Salgado niespodziewanie upadł na ziemię. Agenci zauważyli, że gdy wyszedł z księgarni, natychmiast poszło za nim dwóch jej pracowników. Kiedy Salgado upadł, jeden z nich podbiegł do niego i w strugach deszczu pochylił się nad ciałem. Potem szybko się ulotnił. Policjanci, którzy dobiegli

chwilę potem, stwierdzili, że Salgado już nie żyje. Mogło oczywiście chodzić o niezwykle przypadek boskiej sprawiedliwości: złodziej, który zostaje okradziony, i tak dalej, ale autopsja wykazała ślady ukłucia na plecach i ubraniu i strychninę we krwi.

– Może zabili go pracownicy księgarni? Wspólnicy pozbywają się swojej przynęty, kiedy nie jest już im potrzebna albo gdy czują się zagrożeni, widząc, że śledzi ją policja?

– Była to istotnie jedna z hipotez, ale ją odrzuciliśmy. W gruncie rzeczy na stacji mógł zamordować go ktokolwiek. Policja śledziła uważnie każdy ruch pracowników księgarni i nie odnotowała bezpośredniego kontaktu między nimi a Salgadem, dopóki tamten nie padł na ziemię, przypuszczalnie bez życia.

– Może wstrzyknęli mu truciznę w księgarni, zanim jeszcze udał się na stację?

Tym razem to Alicja odpowiedziała na pytanie.

– Nie. Strychnina działa bardzo szybko, zwłaszcza u mężczyzny w tym wieku, który spędził dwadzieścia lat w więzieniu, co, jak nietrudno się domyślić, musiało odbić się na jego zdrowiu. Pomiędzy zastrzykiem a śmiercią nie mogło upłynąć więcej niż jedna, góra dwie minuty.

Gil de Partera spojrzał na nią, starając się ukryć podziw, jaki zaczęła w nim wzbudzać.

– Tak właśnie jest – przyznał. – Najprawdopodobniej na stacji był wtedy jeszcze ktoś, kto zdecydował, że pora pozbyć się Salgada, a agenci nie zwrócili na niego uwagi.

– Co nam wiadomo na temat tych dwóch pracowników księgarni?

– Jeden nazywa się Daniel Sempere i jest synem właściciela. Drugi to niejaki Fermín Romero de Torres, jego akta w urzędzie stanu cywilnego noszą znamiona fałszerstwa. Wydaje się, że dokumenty zostały spreparowane, żeby zapewnić mu fałszywą tożsamość.

– Jaki mieli związek ze sprawą i co tam robili?

– Nie udało się tego ustalić.

– Nie zostali przesłuchani?

Gil de Partera pokręcił głową.

- Znow zabronił tego osobiście minister Valls. Wbrew naszym sugestiom.
- A co z tropem ewentualnego współnika albo współników Salgada?
- Utknęliśmy w martwym punkcie.
- Może wreszcie minister zmieni zdanie i pozwoli na...

Na ustach Gila de Partery pojawił się wilczy uśmiech policjanta weterana.

– Do tego właśnie zmierzam. Dokładnie dziewięć dni temu o świcie, po balu maskowym, który wydał minister w swojej rezydencji w Somosaguas, don Mauricio Valls opuścił dom samochodem. Towarzyszył mu szef ochrony, Vicente Carmona.

– Opuścił dom? – powtórzyła Alicja.

– Od tamtej pory nikt go nie widział, a minister z nikim się nie kontaktował. Po prostu zniknął, jakby pochłonęła go ziemia.

W sali zapadła przytłaczająca cisza. Alicja poszukała wzroku Leandra.

– Moi ludzie pracują bez wytchnienia, ale jak dotąd śledztwo nie przyniosło żadnych rezultatów. Jakby wsiadając do tego samochodu, Mauricio Valls po prostu wyparował.

– Czy minister zostawił jakiś list, notkę, cokolwiek, co wyjaśniałoby, dokąd się udał?

– Nie. W tej chwili przyjęliśmy hipotezę, że minister zdołał w końcu ustalić, kto wysyła mu anonimy z pogrózkami, i z jakiegoś powodu, którego nie potrafimy sprecyzować, postanowił wyruszyć na jego spotkanie i rozwiązać sprawę z pomocą zaufanego ochroniarza.

– I zapewne wpadł w pułapkę – domyślił się Leandro. – Wejście do labiryntu...

Gil de Partera pokiwał głową.

– Czy możemy być pewni, że minister nie wiedział od samego początku, kto wysyła mu te listy i dlaczego to robi? – zapytała znow Alicja.

Zarówno Leandro, jak i komendant główny policji skarcili ją groźnym spojrzeniem.

– Minister jest ofiarą, nie podejrzanym – burknął ten drugi. – Proszę to przyjąć do wiadomości.

– Jak możemy panu pomóc, drogi przyjacielu? – zwrócił się do niego Leandro.

Gil de Partera westchnął głęboko i zwlekał chwilę z odpowiedzią.

– Mój wydział ma ograniczone środki i ściśle określone metody postępowania. Utrzymywano przed nami wszystko w tajemnicy, a potem zrobiło się za późno. Przyznaję, popełniliśmy błędy, ale staramy się zrobić, co w naszej mocy, żeby wyjaśnić wszystkie okoliczności, zanim prawda wyjdzie na jaw. Moi przełożeni są zdania, że pańska jednostka, zważywszy na delikatną naturę sprawy, zdoła dodać jakiś nowy element, który przyspieszy dochodzenie.

– A pan podziela tę opinię?

– Jeśli mam być szczery, Leandro, już sam nie wiem, komu wierzyć. Ale co do jednego nie mam cienia wątpliwości: jeśli szybko nie znajdziemy ministra całego i zdrowego, Altea przydzieli sprawę pańskiemu staremu przyjacielowi Hendai i otworzy puszkę Pandory. I ani pan, ani ja nie chcemy do tego dopuścić, prawda?

Alicja posłała pytające spojrzenie Leandrowi, który tylko pokręcił głową. Gil de Partera gorzko się zaśmiał. Miał przekrwione oczy, widać było, że sypia w nocy po dwie godziny, nie dłużej, i trzyma się jeszcze tylko dzięki kofeinie.

– Opowiadam wam wszystko, co wiem, nie wiem natomiast, czy mnie powiedziano całą prawdę. Odkrywam przed wami swoje karty. Od dziewięciu dni błądzimy jak dzieci we mgle, a z każdą kolejną godziną nasze szanse maleją.

– Sądzi pan, że minister jeszcze żyje? – zapytała Alicja.

Komendant spuścił wzrok i milczał przez długą chwilę.

– Moim obowiązkiem jest myśleć, że odnajdziemy go całego i zdrowego, zanim o jego zniknięciu dowie się opinia publiczna. Albo odsuną nas od sprawy.

– Podzielamy pańską nadzieję – zapewnił pospiesznie Leandro. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc panu w tym śledztwie.

Gil de Partera pokiwał głową, spoglądając podejrzliwie na Alicję.

– Dostanie pani do pomocy Vargasa, jednego z moich ludzi.

Alicja zawahała się. Próbowwała szukać pomocy u Leandra, ale on wbił spojrzenie w filiżankę z kawą.

– Bardzo przepraszam za śmiałość, ale ja zawsze pracuję sama.

– Będzie pani pracować z Vargasem. W tej kwestii reklamacji nie uwzględniamy.

– Oczywiście – przytaknął Leandro, nie zważając na wściekłość w oczach Alicji. – Kiedy mielibyśmy zacząć?

– Najlepiej wczoraj.

Komendant policji skinął na jednego ze swoich ludzi, który natychmiast podszedł do stolika i podał mu wypchaną kopertę. Gil de Partera położył ją na blacie i czym prędzej wstał. Widać było po nim, że chce jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Wszystkie szczegóły znajdziecie w aktach. Informujcie mnie na bieżąco.

Uściskał dłoń Leandra i nie spojrzawszy nawet na Alicję, odwrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu.

Patrzyli za nim, jak idzie przez wielką salę w asyście swoich podkomendnych, a potem usiedli z powrotem. Przez bardzo długą chwilę żadne z nich nie przerywało milczenia. Alicja patrzyła pustym wzrokiem w przestrzeń, Leandro z namaszczeniem kroił croissanta, starannie smarował go masłem i dżemem truskawkowym, a potem rozkoszował się jego smakiem z przymkniętymi oczyma.

– Dziękuję za wsparcie – odezwała się w końcu Alicja.

– Nie przesadzaj. Z tego, co wiem, Vargas to utalentowany mężczyzna. Niewykluczone, że czegoś cię nauczy.

– Szaleję ze szczęścia. Kto to jest?

– Weteran. Kiedyś należał do najlepszych. Od jakiegoś czasu w rezerwie, zdaje się, że z powodu różnicy poglądów między nim a komendantem. Plotki głoszą, że się poróżnili.

– Parias? To tak mnie cenicie, że nie dostanę nawet gliniarza z klasą?

– Klasy mu nie brakuje, zapewniam cię. Są natomiast tacy, którzy kwestionują jego przywiązanie i zaufanie do Movimiento.

– Nie oczekujecie chyba ode mnie, że sprowadzę go z powrotem na dobrą

drogę?

– Oczekują od nas, że będziemy dyskretni i pozwolimy im wyjść z twarzą z całej tej sprawy.

– Cudownie.

– Zawsze mogło być gorzej – uciął Leandro.

– Myśli pan o swoim „starym przyjacielu”, niejakiem Hendai?

– Między innymi.

– Kim jest Hendaya?

Leandro odwrócił wzrok.

– Lepiej, żebyś nigdy nie miała okazji się tego dowiedzieć.

Znów zapadła długa cisza, którą Leandro wykorzystał, żeby nalać sobie kolejną filiżankę kawy. Miał irytujący zwyczaj trzymania spodeczka pod brodą i picia maleńkimi łyżkami. W takie dni jak ten wszystkie jego nawyki, które Alicja знаła na wylot, wydawały się jej trudne do zniesienia. Leandro spojrzał na nią i uśmiechnął się dobrotliwym ojcowskim uśmiechem.

– Gdyby wzrok mógł zabijać... – powiedział.

– Dlaczego nie poinformował pan komendanta, że dwa tygodnie temu złożyłam dymisję i nie jestem już na służbie?

Leandro odstawił na stół filiżankę i wytarł usta serwetką.

– Nie chciałem robić ci wstydu, Alicjo. Pragnę ci tylko przypomnieć, że nie jesteśmy klubem miłośników gier planszowych i nie wystarczy zwykłe wymówienie, żeby opuścić nasze szeregi. Odbyliśmy tę rozmowę setki razy i jeśli mam być szczery, boli mnie twoja postawa. Znam cię lepiej niż ty sama i bardzo cię cenię, dlatego zgodziłem się dać ci dwa tygodnie urlopu, żebyś mogła odpocząć i pomyśleć o swojej przyszłości. Rozumiem, że jesteś zmęczona. Ja też jestem. Rozumiem, że czasem robimy rzeczy, z którymi się nie zgadzasz. Mnie również się to zdarza. Ale to nasza praca i nasz obowiązek. Wiedziałaś o tym, kiedy zgodziłaś się dla mnie pracować.

– Miałam wtedy siedemnaście lat. I nie miałam innego wyjścia.

Leandro uśmiechnął się, jak uśmiecha się nauczyciel na myśl o swoim najpojętniejszym uczniu.

– Jesteś o wiele starsza niż twoja metryka. Nigdy nie byłaś zwykłą

siedemnastolatką.

– Umówiliśmy się, że odejdę, prawda? Dwa tygodnie nic tu nie mogły zmienić.

Uśmiech Leandra stygł równie szybko jak jego kawa.

– Zrób mi tę ostatnią przysługę, a potem pozwolę ci odejść.

– Nie.

– Potrzebuję cię do tego, Alicjo. Nie daj się prosić. Nie każ mi cię zmuszać.

– Przydziel to dochodzenie Lomanie. Na pewno będzie zachwycony, mogąc zarobić kilka dodatkowych punktów.

– Spodziewałem się, że ten temat prędzej czy później wypłynie. Nigdy nie rozumiałem dobrze, na czym polega twój problem z Ricardem.

– Zwykła niezgodność charakterów – stwierdziła sarkastycznie Alicja.

– Prawda jest taka, że kiedy policja poprosiła o jednego z moich agentów, wypożyczyłem im Ricarda Lomanę. Nie oddali mi go. Teraz mówią, że zaginął.

– Niemożliwe! Ciekawe, gdzie się podział.

– W definicji słowa „zaginiony” mieści się to, że osoba ta nie zdradza nikomu miejsca swojego pobytu.

– Lomana nie jest z tych, co tak po prostu znikają. Musi być powód, dla którego nie daje znaku życia. Pewnie wpadł na jakiś trop.

– Jestem tego samego zdania. Ale dopóki nie będziemy mieli od niego wiadomości, możemy na jego temat jedynie spekulować. Nie za to nam płacą.

– A za co nam płacą?

– Za rozwiązywanie problemów. A ten problem jest naprawdę poważny.

– A ja nie mogłabym też po prostu zniknąć?

Leandro pokręcił głową, a potem przywołał na twarz wyraz smutku i zatroskania.

– Czemu mnie nienawidzisz, Alicjo? Nie byłem dla ciebie jak ojciec? Jak dobry przyjaciel?

Alicja przyjrzała się swojemu mentorowi. Miała w gardle gulę i nie

znajdowała właściwych słów. Przez dwa tygodnie starała się usilnie o tym zapomnieć, ale teraz, kiedy siedziała naprzeciw niego pod wielką kopułą hotelu Palace, znów stanęła jej przed oczyma ta nieszczęśliwa nastolatka, która zapewne nie dożyłaby dwudziestki, gdyby Leandro nie wyrwał jej z ulicy.

– Nie czuję do pana nienawiści.

– Może nienawidzisz samej siebie albo tego, co robisz, albo tego, komu służysz, i całej tej zgnilizny, która nas otacza i z każdym dniem zatruwa coraz bardziej. Rozumiem cię, bo sam kiedyś czułem to samo.

Leandro znów się uśmiechnął tym swoim sympatycznym uśmiechem osoby, która wszystko rozumie i wszystko wybacza. Położył dłoń na dłoni Alicji i mocno ją uściskał.

– Pomóż mi w tej ostatniej sprawie, a obiecuję, że potem pozwolę ci odejść. Zniknąć na zawsze.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

– Na czym polega pułapka?

– Nie ma żadnej pułapki.

– Zawsze jest jakiś haczyk.

– Nie tym razem. Nie mogę wiecznie trzymać cię przy sobie wbrew twojej woli. Choćby nie wiem jak bardzo zabolало mnie rozstanie.

Leandro wyciągnął do niej rękę.

– Znów jesteśmy przyjaciółmi?

Alicja zawahała się, ale w końcu podała mu dłoń. Leandro uniósł ją do ust i ucałował.

– Będę za tobą tęsknił, kiedy to wszystko się skończy – powiedział. – A ty za mną, chociaż teraz wydaje ci się inaczej. Tworzymy dobry zespół.

– Bóg ich stwarza, a szatan łączy w pary.

– Myślałaś o tym, co zrobisz później?

– Kiedy?

– Kiedy będziesz wolna. Kiedy uda ci się zniknąć.

Alicja wzruszyła ramionami.

– Nie, nie zastanawiałam się nad tym.

– Sądziłem, że nauczyłem cię lepiej kłamać, Alicjo.

– Może nie nadaję się do niczego więcej? – rzuciła.

– Zawsze chciałaś pisać... – zasugerował Leandro. – Może zostaniesz nową Laforet?

Alicja spojrzała na niego obojętnie. Uśmiechnął się.

– Napiszesz o nas?

– Nie. Oczywiście, że nie.

Leandro pokiwał głową.

– Wiesz, że nie byłby to dobry pomysł. My działamy w cieniu. Jesteśmy niewidzialni. To część naszej służby.

– Wiem o tym doskonale. Naprawdę nie musi mi pan o tym przypominać.

– A szkoda, bo byłoby dużo do opowiadania, nieprawdaż?

– Zobaczyć świat – mruknęła Alicja.

– Słucham?

– Chciałabym podróżować, zobaczyć świat. Znaleźć swoje miejsce. O ile ono istnieje.

– Sama?

– Nie potrzebuję towarzystwa.

– Pewnie masz rację. Dla ludzi takich jak my samotność bywa najlepszą towarzyszką.

– Mnie z nią dobrze.

– Kiedyś się zakochasz.

– Brzmi jak niezły tytuł bolera.

– Radziłbym ci się pospieszyć. Coś mi mówi, że Vargas czeka na ciebie na zewnątrz.

– To błąd.

– Ten pomysł podoba mi się jeszcze mniej niż tobie, Alicjo. To oczywiste, że nie mają do nas zaufania. Ani do ciebie, ani do mnie. Zachowuj się

dyplomatycznie i go nie wystrasz. Proszę, zrób to dla mnie.

– Zawsze zachowuję się dyplomatycznie. I nikogo nie straszę.

– Wiesz, co mam na myśli. Poza tym nie będziemy rywalizować z policją. Oni mają swoje dochodzenie, swoje metody i procedury.

– Na czym ma więc polegać moja rola? Mam się uśmiechać i rozdawać dropy?

– Chcę, żebyś zrobiła to, co tylko ty potrafisz. Żebyś zauważyła to, czego nie zauważy policja. Żebyś zaufała swojemu instynktowi, nie procedurom. Żebyś zrobiła to wszystko, czego nie robi policja, bo jest policją, a nie moją Alicją Gris.

– To komplement?

– Komplement i polecenie służbowe.

Alicja wzięła ze stołu akta i wstała z krzesła. Leandro zauważył, że chwyciła się ręką za biodro i zagryzła wargi, żeby ukryć ból.

– Jaką dawkę bierzesz?

– Od dwóch tygodni nic. Czasem kilka pigułek.

Leandro westchnął.

– Alicjo, rozmawialiśmy już na ten temat tyle razy. Wiesz, że nie możesz tego robić.

– Jak widać, mogę.

Mentor zaklął pod nosem.

– Każę ci dostarczyć czterysta gramów dziś po południu. Do hotelu.

– Nie.

– Alicjo...

Odwróciła się i ruszyła ku wyjściu, starając się nie utykać, zagryzała z bólu wargi i połykała łzy bezsilności napływające jej do oczu.

Gdy Alicja opuszczała hotel Palace, deszcz już nie padał, a z chodników unosiły się ściany gęstej pary. Grube smugi światła przebijały się przez kopułę wiszących nad centrum Madrytu chmur niczym reflektory omiatające dziedziniec więzienia. Jedna z nich rozbłysła nad placem de las Cortes i odbiła się w karoserii forda zaparkowanego przy wejściu do hotelu. Na jego masce opierał się siwowłosa mężczyzna w czarnym płaszczu i leniwie palił papierosa, przyglądając się przechodniom. Oceniała go na pięćdziesiąt lat z dużą górką, był ładnie zakonserwowany i jeszcze lepiej umięśniony. Jego wygląd świadczył o tym, że lata w policji dobrze mu służyły i nie miał w zwyczaju spędzać zbyt wiele czasu za biurkiem. Odwrócił się do Alicji, jakby wyczuł na sobie jej spojrzenie, i posłał jej uśmiech amanta filmowego z wieczornego seansu.

– Mogę w czymś pani pomóc?

– Mam taką nadzieję. Nazywam się Gris.

– Gris? Pani nazywa się Gris?

– Alicja Gris. Z jednostki Leandra Montalvo. A pan to Vargas, jak mniemam.

Mężczyzna skinął głową.

– Nie powiedzieli mi, że...

– A to ci siurpryza – przerwała Alicja. – Potrzebuje pan chwili, żeby dojść do siebie?

Policjant zaciągnął się ostatni raz papierosem i spojrzął na nią przez kurtynę dymu.

– Nie.

– Wspaniale. Od czego zaczniemy?

– Czekają na nas w rezydencji Somosaguas. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Alicja pokręciła głową. Vargas wyrzucił niedopałek na ulicę i okrążył samochód. On zajęła miejsce po stronie pasażera, on usiadł za kierownicą, położył kluczyki na kolanach i zapatrzył się w przestrzeń.

– Słyszałem o pani bardzo dużo – zaczął Vargas. – Nie wyobrażałem sobie, że jest pani taka młoda.

Spojrzała na niego chłodno.

– To nie będzie problem, prawda? – zapytał policjant.

– Problem?

– Że pani i ja, razem...

– Niekoniecznie.

Patrzył na nią raczej z zaciekawieniem niż podejrzliwością. Alicja uśmiechnęła się tym swoim słodko-kocim uśmiechem, który doprowadzał do szału Leandra. Vargas cmoknął, zapalił silnik i mruknął coś pod nosem.

– Fajny wóz – powiedziała po chwili Alicja.

– Komenda Główna się szarpnęła. To znak, że zależy im na tym dochodzeniu. Umie pani prowadzić?

– W tym kraju mam poważny problem, żeby otworzyć konto w banku bez zgody męża albo przynajmniej ojca – odparła Alicja.

– Rozumiem.

– Nie sędzę.

Przez kilka minut jechali pogrążeni w milczeniu. Vargas od czasu do czasu rzucił na Alicję ukradkowe spojrzenia, których ona zdawała się nie zauważać. Za każdym razem, kiedy zatrzymywali się na czerwonym świetle lub hamowali przed przejściem dla pieszych, policjant w ułamku sekundy prześwietlał skrupulatnie kolejny fragment jej postaci. Utknęli w korku na Gran Vía. Vargas wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę, otworzył ją i poczęstował Alicję. Papierosy z jasnego tytoniu, importowane. Odmówiła. Vargas włożył papierosa do ust i zapalił złotą zapalniczką, Alicja była pewna, że miała na sobie napis DUPONT. Vargas lubił ładne i drogie przedmioty. Alicja zauważyła, że przygląda się jej dłoniom, prawdopodobnie w poszukiwaniu obrączki. On sam miał na palcu całkiem dużą.

– Rodzina? – zapytał policjant.

Alicja pokręciła głową.

– A pan?

– Moją żoną jest Hiszpania – odpowiedział.

– Godne podziwu. A obrączka?

- Pamiątka z dawnych czasów.
- Nie zapyta pan, czemu ktoś taki jak ja pracuje dla Leandra?
- Czy to moja sprawa?
- Nie.
- No właśnie.

Zostawili za sobą korki w centrum i kierowali się w stronę Casa de Campo. Znow zapadła kłopotliwa cisza. Vargas nadal lustrował Alicję wzrokiem, jakby dopowiadał sobie kolejne części jej historii, odcinek po odcinku. Miał zimne, metaliczne spojrzenie, szare lśniące źrenice przypominały dopiero co wybite monety. Alicja zastanawiała się, czy jej narzucony z góry partner był wcześniej wiernym wyznawcą Generalissimusa, czy tylko zwykłym najemnikiem. Ci pierwsi mnożyli się jak króliki na wszystkich szczeblach narodowego reżimu pod osłoną sztandarów i górnolotnych haseł, ci drudzy zachowywali milczenie i po prostu sprawiali, że machina działała. Zastanawiała się, ile osób zlikwidował podczas swojej policyjnej kariery, czy żył przytłoczony wyrzutami sumienia, czy raczej stracił rachubę i zapomniał. A może razem z pasmami siwizny sumienie dało o sobie znać i zaprzepaściło jego życiowy projekt?

- O czym pani myśli? – zapytał Vargas.
- Zastanawiałam się, czy lubi pan swoją pracę.

Vargas zachichotał.

- Nie zapyta pan, czy ja lubię swoją? – zasugerowała Alicja.
- Czy to moja sprawa?
- Raczej nie.
- No właśnie.

Widząc, że nadzieje na ożywioną konwersację są raczej nikłe, Alicja wyjęła z koperty akta sprawy i zaczęła je przeglądać. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegła nic szczególnie interesującego. Zeznania osobistej sekretarki ministra. Dwie strony poświęcone rzekomemu nieudanemu zamachowi na Vallsa, jakieś ogólne na temat dochodzenia zanotowane przez inspektorów, którzy je otwierali, oraz wycinki z teczki Vicente Carmony, ochroniarza Vallsa. Albo Gil de Partera ufał im jeszcze mniej, niż przypuszczał Leandro, albo elita

Komendy Głównej przez ostatni tydzień po prostu się obijała.

– Liczyła pani na więcej? – Vargas jakby czytał w jej myślach.

Alicja utkwiała wzrok w drzewach porastających Casa de Campo.

– Nie mogłam liczyć na mniej – odburknęła. – Z kim mamy się spotkać?

– Z Marianą Sedó, osobistą sekretarką Vallsa przez ostatnie dwadzieścia lat. To ona zgłosiła zaginięcie ministra.

– Jak na sekretarkę, całkiem sporo lat na stanowisku – zauważyła Alicja.

– Złośliwi mówią, że jest kimś więcej.

– Kochanką?

Vargas pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że doña Mariana gustuje raczej w kobietach. Słyszałem natomiast, że to ona stała za sterami, że w gabinecie Vallsa nie decydowano o niczym ani nie podpisywano żadnych papierów bez jej zgody.

– Za każdym złym mężczyzną znajdziesz jeszcze gorszą kobietę. Tak mówią złośliwi.

Vargas się uśmiechnął.

– Muszę przyznać, że nigdy o tym nie słyszałem. Ostrzegano mnie, że jest pani nieco niesubordynowana.

– Przed czym jeszcze pana ostrzegano?

Vargas spojrzał na nią i puścił do niej oko.

– Kim jest Hendaya? – zapytała Alicja.

– Słucham?

– Hendaya. Kto to taki?

– Rodrigo Hendaya?

– Chyba tak.

– Czemu pani pyta?

– Od nadmiaru wiedzy głowa nie boli.

– Czy Montalvo wspomniał o nim à propos śledztwa?

– Tak, jego nazwisko wypłynęło podczas rozmowy. Kto to jest?

Vargas westchnął.

– Hendaya to rzeźnik. Im mniej pani o nim wie, tym lepiej dla pani.

– Zna go pan?

Vargas skwitował to pytanie milczeniem. Przez resztę drogi nie zamienili ani słowa.

7

Od niemal kwadransa kręcili się po alejkach doglądanych przez oddziały umundurowanych ogrodników, zanim wreszcie wyjechali na obsadzoną cyprysami aleję, która prowadziła do kutej bramy Villi Mercedes. Niebo zaciągnęły ołowiane chmury, drobne krople deszczu rozpryskiwały się na przedniej szybie. Czekający przy bramie chłopak na widok samochodu szybko otworzył wrota. Tuż za ogrodzeniem stała budka wartownicza, a przy niej uzbrojony w karabin strażnik, który na pozdrowienie Vargasasa skinął przyzwalająco głową.

– Był pan już tutaj? – spytała Alicja.

– Parę razy od zeszłego poniedziałku. Spodoba się pani.

Samochód sunął zwirową drogą wijącą się pomiędzy drzewami i oczkami wodnymi. Alicja przypatrywała się posągom stojącym pośród krzewów i drzew, stawom, fontanom i ogrodom różanym tracącym w podmuchach jesiennego wiatru ostatnie, już całkiem zwiędłe, liście i płatki. Zza krzewów i uschłych kwiatów przebłyskiwały szyny miniaturowego pociągu. Na skraju posiadłości można było dostrzec sylwetkę budowli przypominającej dworzec w pomniejszeniu. Przy mokrym peronie stał parowóz z dwoma wagonikami.

– Zabawka dla panienki – wyjaśnił Vargas.

Niebawem wyłonił się przed nimi pałacyk wykoncypowany chyba specjalnie po to, by każdego gościa zdeprimować i zgnębić, tak był wyzywająco wystawny. Z obu stron, oddalone od pałacyku o sto metrów, stały dwa budynki. Vargas zatrzymał się przy schodach prowadzących do głównego

wejścia. Majordomus w uniformie czekał na nich z parasolem w ręku, by poinformować, że powinni udać się do powozowni pięćdziesiąt metrów dalej. Po drodze Alicja dokładniej przyglądała się otoczeniu.

– Kto za to wszystko płaci? – nie mogła się nadziwić.

Vargas wzruszył ramionami.

– Pani za to płaci, ja za to płacę, tak mi się wydaje. I być może pani Valls, która odziedziczyła całą fortunę po śmierci swego szanownego taty, Enrique Sarmienta.

– Tego bankiera?

– W rzeczy samej, jednego z tych bankierów Krucjaty, o których pisała prasa – uściślił Vargas.

Alicja nie była całkiem pewna, ale to chyba Leandro wspominał jej kiedyś o grupie bankierów, którzy wspierali finansowo nacjonalistów w czasie wojny domowej: na podstawie umowy korzystnej dla obu stron pożyczali im pieniądze, w dużej części należące do pokonanych.

– O ile mi wiadomo, żona pana ministra jest chora – zauważyła Alicja.

– Chora to za mało powiedziane...

Dozorca otworzył im jedną z bram garażu i gestem nakazał, by wjechali do środka. Vargas opuścił okienko, dozorca, rozpoznawszy go, pospieszył ze słowami:

– Szefie, proszę zaparkować gdziekolwiek. A kluczyki w stacyjce, bardzo będę wdzięczny...

Vargas skinął głową i wjechał do garażu – ciągu otwartych pomieszczeń poprzedzielanych słupami z kutego żelaza, podtrzymującymi nienacko w ciemnościach sklepienia. Pod nimi stał rząd luksusowych samochodów powielających swe lśniące odbicia w chromowanych karoseriach. Vargas znalazł miejsce między hispano-suizą a cadillakiem. Nadzorujący garaż podszedł do nich, nie mogąc powstrzymać się od gestu podziwu i aprobaty.

– Niezłym cackiem dziś pan przyjechał, szefie – skomentował, gdy oboje wysiedli z samochodu.

– W związku z tym, że dziś jestem w pięknym towarzystwie, szefowie pozwolili mi wyciągnąć forda. – Vargas się uśmiechnął.

Nadzorca w niebieskim drelichu był kimś pomiędzy homunkulusem a myszką. Zdawał się trzymać na nogach dzięki pakule brudnych szmat zwisających mu u pasa i warstewce tłuszczu chroniącej go przed czterema żywiołami. Otaksowawszy Alicję z góry na dół, z szacuneczkiem pokiwał głową, a następnie, sądząc, że Alicja tego nie widzi, szelmowsko puścił oko do Vargasa.

– Wspaniały facet ten Luis – starał się go usprawiedliwić chwilę później Vargas. – Chyba nawet mieszka tutaj, w samym garażu, w jakimś kącie przy warsztacie.

Przeszli obok muzealnej kolekcji na kółkach, kierując się ku wyjściu, podczas gdy Luis za ich plecami bawił się polerowaniem forda na pełny błysk, popluwając i szybko pocierając szmatą karoserię. Nie odrywał przy tym zauroczonego wzroku od słodkiego ruchu bioder Alicji i linii jej kostek.

Majordomus czekał na nich pod garażem, a Vargas przepuścił Alicję pod podstawiany przezeń parasol.

– Tuszę, że podróż państwa z Madrytu była udana? – odezwał się uroczyście lokaj. – Doña Mariana już państwa oczekuje.

Majordomusowi nie schodził z ust zimny i lekko pobłażliwy uśmiezek, tak charakterystyczny dla zawodowych służących, którzy z latami zaczynają wierzyć, że z rodowodu panów spadło na nich nieco okruchów, przydając ich krwi odrobiny błękitu, a zarazem obdarzając przywilejem spoglądania na innych z niejaką wyższością. W trakcie pokonywania odległości dzielącej ich od głównej rezydencji Alicja spostrzegła, że majordomus co chwila łypie na nią okiem, usiłując odczytać z jej ruchów i gestów oraz szczegółów garderoby, co ta osóbka właściwie tu robi.

– Czy panienka jest pańską sekretarką? – zapytał majordomus Vargasa, nie odrywając wzroku od Alicji.

– Panienka jest moją przełożoną – skwitował Vargas.

Służącemu i jego pańskim manierom ubyło nagle powietrza, przybyło zaś osłupienia, którego niestety nie miał kto uwiecznić. Przez resztę drogi jego usta ani drgnęły, a wzrok nie odrywał się od wypolerowanych butów. Głównym wejściem wkroczyli do wyłożonego marmurem obszernego westybulu, od którego odchodziły schody, korytarze i galerie. Podążali za majordomusem aż do czytelnicy, gdzie czekała na nich, zwrócona plecami do

drzwi, twarzą zaś ku ogrodowi w deszczu, kobieta w średnim wieku. Ledwo usłyszawszy kroki, odwróciła się i obdarzyła ich lodowatym uśmiechem. Majordomus zamknął za nimi drzwi i oddalił się, by przetrwać w spokoju swoje zdumienie.

- Nazywam się Mariana Sedó, jestem osobistą sekretarką don Mauricia.
- Vargas z Komendy Głównej i moja współpracowniczka, panna Gris.

Mariana pozwoliła sobie ostentacyjnie na przeprowadzenie niezbędnych oględzin. Zaczęła od twarzy, zatrzymała się na moment na kolorze szminki, by następnie ocenić krój ubrania i skończyć na butach, obdarzając je uśmiechem ni to przyzwolenia, ni to dezaprobaty, który natychmiast skryła za poważnym i przybitym wyrazem twarzy, jakiego wymagały okoliczności. Ruchem ręki zaprosiła, by raczyli spocząć. Vargas i Alicja usiedli na skórzanej sofie, Mariana wybrała krzesło i przysunęła je do stolika, gdzie na tacy stały już dymiący imbryk i trzy filiżanki. Nie zwlekając, nalała herbaty. Alicja oszacowała fałszywy uśmiech, za którym okopała się doña Mariana, i pomyślała, że odwieczną strażniczkę Vallsa otacza przewrotna aura, jakby atrybut postaci będącej ni to dobrą wróżką, ni to zgłodniałą modliszką.

– Czym mogę państwu służyć? Nie będę ukrywać, iż w ostatnich dniach rozmawiałam z tyłoma kolegami państwa, że nie mam już chyba nic nowego do dodania.

– Jesteśmy niezmiernie wdzięczni za pani cierpliwość, doño Mariano. W pełni uświadamiamy sobie, że i dla rodziny, i dla pani są to trudne chwile – ośmieliła się odezwać Alicja.

Doña Mariana przytaknęła z daleko idącą wyrozumiałością i z pełnym rezerwy uśmiechem, przybierając opanowany do perfekcji wyraz twarzy wiernej i lojalnej podwładnej. Niemniej jej oczy zdradzały pewną irytację, że przyszło jej obcować z mało znaczącymi funkcjonariuszami niższej rangi. Kierowała wzrok głównie ku Vargasowi, nie dostrzegając jakby obecności Alicji, co wskazywało na dodatkowy powód wzgardy. Alicja postanowiła oddać inicjatywę swojemu towarzyszowi, który zresztą w mig zrozumiał wszystko, i ograniczyć się do słuchania.

– Doño Mariano, z dotychczasowych ustaleń i z pani zeznania złożonego policji wynika, że to pani pierwsza zaniepokoiła się i powiadomiła o nieobecności don Mauricia Vallsa...

Sekretarka skwapliwie przytaknęła.

– Don Mauricio uznał, że dzień balu może być dla wielu członków jego stałego personelu dniem wolnym od pracy. Ja osobiście wykorzystałam ten dzień na wyjazd do Madrytu do swojej chrześcicy. Następnego dnia, aczkolwiek don Mauricio nie uprzedzał, że może mnie potrzebować, wróciłam rano, około godziny ósmej, i przystąpiłam do przygotowania korespondencji i terminarza pana ministra, tak jak codziennie to robię. Przed dziewiątą udałam się do gabinetu i stwierdziłam, że pana ministra jeszcze nie ma. Nieco później jedna z pokojówek poinformowała mnie, że Mercedes, córka don Mauricia, widziała, jak jej ojciec wyjechał samochodem wcześniej rano w towarzystwie pana Vicente Carmony, szefa swojej ochrony. Wydało mi się to dość dziwne, bo sprawdzając terminarz, zauważyłam, że don Mauricio dopisał własnoręcznie na ten dzień, a dokładniej na godzinę dziesiątą, spotkanie o charakterze raczej prywatnym, tutaj w Villi Mercedes, z dyrektorem handlowym Ariadny Pablem Cascosem.

– Ariadny? – powtórzył niepewnie Vargas.

– To nazwa wydawnictwa należącego do don Mauricia – wyjaśniła sekretarka.

– Ten szczegół nie widnieje w pani zeznaniach dla policji – odezwała się Alicja.

– Proszę?

– To spotkanie, które osobiście don Mauricio zaplanował na ów dzień rano. Nie powiedziała pani o tym policji. Mogę się dowiedzieć dlaczego?

Doña Mariana uśmiechnęła się do niej z niejaką dezaprobatą, jakby pytanie wydało jej się całkiem trywialne.

– Tę informację uznałam za całkowicie nieistotną, tym bardziej że do spotkania w ogóle nie doszło. Powinnam była jednak o tym powiedzieć?

– Właśnie to pani uczyniła, więc nie ma sprawy – skwitował Vargas najserdeczniej, jak mógł. – Szczegóły mają to do siebie, że trudno je wszystkie zapamiętać. Dlatego też, i proszę nam to wybaczyć, nadużywamy pani cierpliwości, tak uporczywie o nie wypytyjąc. Doño Mariano, przepraszam, słuchamy dalej.

Sekretarka Vallsa przyjęła przeprosiny i kontynuowała, aczkolwiek

ignorując Alicję i patrząc jedynie na Vargasa.

– Tak jak mówiłam, wydawało mi się dość dziwne, że pan minister wyjechał, nie uprzedziwszy mnie o tym. Natychmiast porozumiałam się ze służbą i poinformowano mnie, że pan minister chyba nie spał w swojej sypialni i że całą noc spędził w gabinecie.

– Czy pani spędza tutaj noce, w głównej rezydencji? – przerwała Alicja.

Doña Mariana zrobiła obrażoną minę i zaciskając usta, zaprzeczyła.

– Oczywiście, że nie.

– Przepraszam. Proszę kontynuować, jeśli pani taka łaskawa.

Sekretarka Vallsa prychnęła rozdrażniona.

– Niebawem, gdzieś tak koło dziewiątej, pan Revuelta, szef bezpieczeństwa rezydencji, zakomunikował mi, że nie jest mu wiadome, aby Vicente Carmona i pan minister mieli w planach jakkolwiek wyjazd tego dnia rano, a ponadto już sam fakt, iż wyjechali sami, bez żadnej eskorty, jest czymś zupełnie niespotykanym. Pan Revuelta na moją prośbę wpierw skonsultował się z personelem ministerstwa, a następnie przeprowadził rozmowy z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Nikt nic nie wiedział, niemniej odpowiedziano nam, że gdy tylko pan minister zostanie zlokalizowany, natychmiast zostaniemy powiadomieni. Mijało już z pół godziny, a my wciąż nie otrzymaliśmy żadnej informacji. Wtedy właśnie przyszła do mnie Mercedes, córka don Mauricia. Była zapłakana, a kiedy zapytałam, co się stało, odparła, że tata wyjechał i już nigdy nie wróci...

– A wyjaśniła, skąd to jej przeświadczenie? – zapytał Vargas.

Doña Mariana wzruszyła tylko ramionami.

– I co pani wtedy zrobiła?

– Zadzwoiłam do gabinetu ministra spraw wewnętrznych i rozmawiałam osobiście z don Jesusem Moreno, a potem z szefem policji, panem Gilem de Parterą. Resztę państwo już znają.

– Czy to podczas tych rozmów powiedziała pani o anonimowych listach otrzymywanych przez pana ministra?

Doña Mariana zastanowiła się chwilę.

– W rzeczy samej. Sprawa wyłoniła się w trakcie rozmowy z don Gilem de

Parterą i jego zastępcą, o nazwisku chyba García...

– García Novales – pospieszył z pomocą Vargas.

Sekretarka przytaknęła.

– Policja oczywiście wiedziała już o istnieniu tych listów i od kilku miesięcy była nawet w posiadaniu ich kopii. Tak się złożyło, że tego dnia rano sprawdzając terminarz pana ministra, znalazłam w jego gabinecie teczkę, w której przechowywał owe listy.

– A wiedziała pani, że pan minister je przechowywał? – spytała Alicja.

Doña Mariana pokręciła głową.

– Sądziłam, że zniszczył je po okazaniu policji w trakcie śledztwa w związku z incydem w Círculo de Bellas Artes, ale okazało się, że byłam w błędzie, bo jak widać, don Mauricio nadal trzymał je do wglądu. I oczywiście poinformowałam o tym państwa przełożonych.

– A jak pani sądzi, dlaczego don Mauricio tak długo zwlekał z powiadomieniem policji czy też służb bezpieczeństwa o istnieniu tych listów? – ponownie wtrąciła się Alicja.

Doña Mariana oderwała wzrok od Vargas, by przenieść swe drapieżne spojrzenie na Alicję.

– Panno Gris, ilość korespondencji, jaką otrzymuje tak ważna osobistość jak don Mauricio, jest niewyobrażalna, proszę mi wierzyć. Tak jak niewyobrażalna jest liczba osób, stowarzyszeń czy instytucji, które zwracają się do ministra drogą listową. Nader częste są przypadki listów ekstrawaganckich czy najzwyczajniej w świecie kretyńskich, które dzień w dzień wyrzucam do kosza, co oznacza, że don Mauricio nawet nie wie o ich istnieniu.

– Niemniej tych listów akurat pani nie wyrzuciła.

– Nie.

– Czy znała pani osobę, którą policja zidentyfikowała jako głównego podejrzanego o ich wysłanie, niejakiego Sebastiana Salgado?

– Nie, skądże – ucięła sucho sekretarka.

– Ale słyszała pani o Salgadzie?

– Tak. Słyszałam o nim, kiedy pan minister wnosił o jego ułaskawienie,

i później, kiedy policja poinformowała o wynikach śledztwa w sprawie listów.

– Tak, to oczywiste, ale wcześniej nie słyszała pani o nim? Może pan minister kiedyś coś wspominał. Dawniej.

Doña Mariana milczała przez chwilę.

– Być może. Nie jestem pewna.

– Być może mówił? – Alicja nie odpuszczała.

– Nie wiem. Bardzo możliwe. Chyba mówił.

– A było to w...?

– W marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku.

Alicja zmarszczyła brwi.

– Nie jest pani pewna, czy pan minister wypowiadał to nazwisko, a pamięta pani datę? – Nie kryła zdumienia.

Doña Mariana zaczerwieniła się.

– W marcu czterdziestego ósmego roku don Mauricio poprosił mnie, bym zorganizowała pozaprotokolarne spotkanie z Luisem Boleą, jego następcą na stanowisku dyrektora więzienia Montjuic.

– W jakim celu?

– O ile dobrze zrozumiałam, chodziło o spotkanie o charakterze kurtuazyjnym, a nie oficjalnym.

– I była pani obecna na tym spotkaniu o charakterze, jak pani mówi, kurtuazyjnym?

– Tylko przez chwilę. Rozmowa była całkowicie prywatna.

– Niemniej może miała pani sposobność, by usłyszeć jakiś fragment rozmowy. Przypadkowo. Wchodząc do gabinetu czy też z niego wychodząc, częstując kawą... Może siedząc przy swoim biurku przy drzwiach do gabinetu don Mauricia...

– Nie podobają mi się pani insynuacje, panno Gris.

– Proszę zrozumieć, doño Mariano, każdy najmniejszy choćby szczegół może nam pomóc w odnalezieniu pana ministra – pospieszył z pomocą Vargas.

– Bardzo proszę.

Sekretarką targały wątpliwości.

– Don Mauricio zapytał pana Boleę o kilku więźniów, których znał z czasów swojej kadencji. Ciekaw był, czy nadal są tam osadzeni, czy może już ich uwolniono, przeniesiono lub też zmarli. Ale nie wyjaśnił dlaczego.

– A pamięta pani, czy padły jakieś konkretne nazwiska?

– Padło wiele nazwisk. Wiele lat temu.

– A Salgado było jednym z nich?

– Tak, wydaje mi się, że to nazwisko padło.

– A jeszcze jakieś?

– Jedyne, które naprawdę pamiętam, to Martín. David Martín.

Alicja i Vargas wymienili spojrzenia. Vargas zapisał coś w notesie.

– Może jeszcze jakieś?

– Chodzi mi po głowie takie francusko, a przynajmniej obco brzmiące. Ale tylko tyle. Naprawdę, minęło tak wiele lat. Czy to rzeczywiście może mieć jakieś znaczenie?

– Doño Mariano, sami nie wiemy. Naszym obowiązkiem jest wybadanie wszystkich możliwości. Wracając zaś do sprawy listów... Czy pamięta pani reakcję pana ministra, kiedy przekazała mu pani pierwszy z tych anonimów? Czy pan minister powiedział coś, co zwróciło pani uwagę?

Sekretarka zaprzeczyła.

– Nie powiedział nic szczególnego. Jakby nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Wrzucił list do szuflady i polecił, byśmy w przyszłości, jeśli będziemy mieli z podobnymi listami do czynienia, przekazywali mu je osobiście.

– Bez otwierania?

Doña Mariana przytaknęła.

– Czy don Mauricio prosił panią, żeby nie wspominała pani nikomu o istnieniu tych listów?

– Nie było takiej potrzeby. Nie mam w zwyczaju komentowania spraw don Mauricia przy osobach trzecich i zupełnie niepowiązanych z daną sprawą.

– Czy pan minister, doño Mariano, ma w zwyczaju prosić panią

o zachowanie tajemnicy? – spytała Alicja.

Sekretarka Vallsa zacisnęła usta i nie odpowiedziała.

– Panie kapitanie, czy pragnie pan jeszcze o coś zapytać? – prychnęła zniecierpliwiona.

Alicja zbagatelizowała próbę rejterady doñi Mariany. Pochyliła się tak, by znaleźć się z nią bezpośrednio twarzą w twarz.

– Czy wiedziała pani, że don Mauricio zamierzał wystąpić bezpośrednio do pana generała Franco z prośbą o ułaskawienie dla Sebastiana Salgado? – spytała.

Sekretarka zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów, nie starając się już w najmniejszym choćby stopniu ukryć antypatii czy nawet wrogości, którą wzbudzała w niej Alicja. Poszukała wsparcia w oczach Vargasa, ale ten zatopił wzrok w swoim notesie.

– Oczywiście, że wiedziałam.

– Nie była pani zaskoczona?

– A cóż takiego miałoby mnie zaskoczyć?

– Czy pan minister powiedział pani, jakimi motywami się kieruje?

– Motywami humanitarnymi. Do pana ministra dotarła informacja, że Sebastián Salgado jest bardzo chory i niewiele już mu życia pozostało. Uznał, że nie powinien umierać w więzieniu, że raczej powinien spotkać się z bliskimi i umrzeć w otoczeniu rodziny.

– W raporcie policji podkreślono, że Sebastián Salgado po dwudziestu latach pobytu w więzieniu nie miał już żadnej rodziny ani bliskich krewnych – naciskała Alicja.

– Don Mauricio jest gorącym zwolennikiem narodowego pojednania i zbliznienia ran przeszłości. Może to pani, panno Gris, trudno pojąć, ale istnieją osoby, którym nieobce są chrześcijańskie miłosierdzie i szlachetność ducha.

– A zechciałaby nam pani wobec tego przypomnieć inne inicjatywy pana ministra dotyczące występowania o ułaskawienie, które miały miejsce w okresie pani pracy? Może jakiś konkretny przypadek jednego z wielu więźniów politycznych odbywających karę w więzieniu, którego wieloletnim

dyrektorem był pan minister?

Na ustach doñi Mariany pojawił się sopel uśmiechu. Ciął jak zatrute ostrze.

– Nie.

Alicja i Vargas spojrzeli na siebie. Kapitan dał partnerce do zrozumienia, żeby odpuściła, bo stawało się coraz bardziej oczywiste, że tą drogą do niczego nie dojdą. Alicja ponownie nachyliła się ku doñi Marianie i zdołała przechwycić jej wściekłe spojrzenie.

– Kończymy już właściwie. Jesteśmy bardzo wdzięczni za pani cierpliwość, doño Mariano. Wracając jeszcze do wspomnianego przez panią spotkania pana ministra z dyrektorem handlowym wydawnictwa Ariadna...

– Z panem Cascosem.

– Tak, z panem Cascosem, dziękuję. Czy wie pani, czego ono dotyczyło?

Doña Mariana spojrzała na Alicję, jakby chciała mocno zaoponować przeciwko absurdalności pytania.

– Spraw wydawniczych, jak można mniemać.

– Rzecz jasna. Czy pan minister zwykł spotykać się z pracownikami swoich prywatnych firm tu, w rezydencji?

– Nie rozumiem, do czego się pani, panno Gris, odnosi.

– Czy pamięta pani, kiedy ostatnio doszło do podobnego spotkania?

– Nie pamiętam, prawdę mówiąc.

– A czy to pani uzgadniała spotkanie z panem Cascosem?

Doña Mariana zaprzeczyła.

– Mówiłam już, że pan minister własnoręcznie zapisał to spotkanie w swojej agendzie.

– A to normalne, że don Mauricio ustala spotkania lub zebrania bez pani wiedzy? I zapisuje własnoręcznie terminy?

Sekretarka patrzyła na Alicję oziębło.

– Nie.

– A mimo to nie wspomina pani o tym w swoim zeznaniu dla policji.

– Przecież mówiłam, że nie wydawało mi się to istotne. Pan Cascos jest pracownikiem i współpracownikiem don Mauricia. Doprawdy, nie widzę nic

szczególnego w tym, że postanowili się spotkać. Nie pierwszy raz przecież.

– Nie pierwszy?

– Nie. Przedtem też się spotykali i to wielokrotnie.

– Tutaj?

– Nie, o ile mi wiadomo, nie tutaj.

– To pani uzgadniała terminy tych spotkań czy don Mauricio osobiście?

– Nie pamiętam. Musiałabym zajrzeć do archiwum. Ale czy to nie wszystko jedno?

– Nie chciałabym być zbyt natarczywa, ale czy pan Cascos, kiedy przybył na spotkanie, nie wspominał przypadkiem, że to pan minister chce się z nim widzieć?

Doña Mariana zastanowiła się przez moment.

– Nie. W owej chwili wszystko podporządkowane było zlokalizowaniu pana ministra i nawet mi przez myśl nie przeszło, że rozmowy z pracownikiem średniego szczebla mogą mieć jakiś szczególny priorytet.

– Pan Cascos jest pracownikiem średniego szczebla?

– Tak.

– A tak dla porównania, żebyśmy rozumieli, o czym mówimy, pani, doño Mariano, jest pracownikiem jakiego szczebla?

Vargas dyskretnie kopnął Alicję w kostkę. Sekretarka wstała. Powaga na jej twarzy i zdecydowane ruchy dawały do zrozumienia, że wizyta nieodwołalnie dobiegła końca.

– Proszę wybaczyć, ale jeśli już w niczym innym nie mogę państwu pomóc... – powiedziała, odwracając się w grzecznym, ale stanowczym geście kierującym gości ku wyjściu. – Nawet pod nieobecność pana ministra sprawy don Mauricia wymagają mojej bieżącej pracy nad nimi.

Vargas wstał z sofy i uprzejmie skinął głową, gotów ruszyć za doña Marianą ku drzwiom. Już stawiał pierwsze kroki, kiedy kątem oka spostrzegł, że Alicja nie ruszyła się z sofy i popija herbatę, której nie tknęła ani razu przez cały czas rozmowy. Vargas i sekretarka obrócili się ku niej.

– Ale w tym rzecz, że jest jeszcze coś, w czym może nam pani pomóc, doño Mariano – oznajmiła Alicja.

Podążali za dożą Marianą przez labirynt korytarzy, by w końcu dojść do schodów prowadzących na wieżyczkę. Sekretarka Vallsa szła przodem bez słowa, nie oglądając się za siebie, a za nią snuła się niemal namacalna aura wrogości. Strugi deszczu spływające po szybach potęgowały ciężką i ponurą atmosferę, stwarzały wrażenie, jakby Villa Mercedes powoli zanurzała się w wodach jeziora. Po drodze mijali się z armią służby domowej i personelu małego imperium Vallsa. Wszyscy na widok doñi Mariany spuszczaali głowy, a poniektórzy nawet zatrzymywali się i stawali z boku w geście pełnym rewerencji. Vargas i Alicja, popatrując na siebie ze zdumieniem, obserwowali ów spektakl hierarchii, ceremoniałów i rytuałów, odgrywany przez trupe lokajów i służących pana ministra.

U stóp kręconych schodów prowadzących do gabinetu w wieżyczce doña Mariana zdjęła ze ściany lampkę oliwną i zwiększyła nieco płomień. Pokonali schody w bursztynowej bańce światła rozciągającej ich cienie na ścianach. Kiedy dotarli do drzwi gabinetu, sekretarka Vallsa odwróciła się i po raz pierwszy ignorując Vargasa, wbiła swe bazylijszkowe oczy w Alicję. Ta w odpowiedzi uśmiechnęła się przymilnie i wyciągnęła ku niej dłoń. Doña Mariana z zaciśniętymi wargami przekazała jej klucz.

– Proszę niczego nie dotykać. Wszystko ma być w takim stanie, jaki państwo zastali. A kiedy państwo już skończą, proszę przed odjazdem zostawić klucz majordomusowi.

– Bardzo dziękujemy, doño... – Vargas pożegnał się niemal wylewnie.

Doña Mariana odwróciła się bez słowa i odeszła z lampką, zostawiając ich w ciemnościach na progu.

– Lepszego wyjścia nie mogła sobie wymyślić – stwierdził Vargas. – Jestem ciekaw, jak szybko szanowna pani wykręci numer telefonu do Garcíi Novalesa, by obdarł nas ze skóry, ze szczególnym uwzględnieniem pani.

– W mniej niż minutę – odparła Alicja bez chwili wahania.

– Coś mi mówi, że praca z panią to będzie sama przyjemność.

– Światło?

Vargas wyciągnął zapalniczkę i zbliżył płomień do zamka, aby Alicja mogła trafić kluczem. Przekręcana gałka klamki wydała metaliczny jęk.

– Trzasnęła jak pułapka myszy – zasugerował Vargas.

Alicja, nie bacząc na oświetlający ją płomień zapalniczki, obdarzyła go pełnym szyderstwa uśmiechem, którego wolałby nie widzieć.

– Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie – zaintonowała.

Vargas zdmuchnął płomień i pchnął drzwi.

8

W powietrzu unosiły się smugi szarawej jasności. Okna ostemplowane były ołowianym niebem i spływającymi łzami deszczu. Alicja i Vargas weszli do pomieszczenia, które w pierwszym odruchu skojarzyło im się z kajutą rufową luksusowego jachtu. Gabinet miał kształt owalny. Ogromne biurko ze szlachetnego drewna zajmowało środek pokoju. Osaczone było z trzech stron niemal napierającymi na nie regałami pełnymi książek. Półki zbiegały się przy szklanej latarni wieńczącej szczyt wieżyczki. Tylko jedna ściana była wolna od książek. Ta na wprost biurka, obwieszona dziesiątkami ramek okalających małe fotografie. Oboje podeszli, by dokładniej im się przyjrzeć. Zdjęcia przedstawiające tę samą osobę układały się w swoistą fotograficzną biografię od wczesnego dzieciństwa aż do początków dojrzałości. Dziewczyna o bladej twarzy i jasnych włosach dorastała na oczach obserwatora, zostawiając ślad swego życia na setce zdjęć.

– Wygląda na to, że pan minister kocha kogoś bardziej niż siebie samego – skwitowała Alicja.

Vargas został przy galerii i przyglądał się uważniej niektórym fotografiom, a Alicja podeszła do biurka Vallsa. Odsunęła admiralski fotel, wygodnie się w nim rozsiadła. Położyła dłonie na skórzanym blacie i rozejrzała się po pomieszczeniu.

– Jak wygląda świat z tamtego miejsca? – spytał Vargas.

– Maciupki.

Zapaliła lampkę stojącą na biurku. Ciepły blask zalał gabinet, w świetle zawirowały pyłki kurzu. Alicja wysunęła pierwszą szufladę od góry i znalazła w niej ozdobną drewnianą szkatułkę. Vargas podszedł i usiadł na brzegu biurka.

– Jeśli to humidor z cygarami, pierwszy montecristo z brzegu jest mój – odezwał się.

Alicja otworzyła szkatułkę. Była pusta. Wnętrze wyłożone błękitnym aksamitem miało wgłębienie o zarysie rewolweru. Vargas nachylił się i przejechał palcami po brzegach szkatułki. Powąchał swoje palce i kiwnął głową.

Dziewczyna otworzyła drugą szufladę. Ich oczom ukazała się kolekcja futerałów, ułożonych pedantycznie i przemyślnie, tak jakby miały trafić prosto na wystawę.

– Wyglądają jak miniaturowe trumienki – powiedziała Alicja.

– A pokaże pani nieboszczyka?

Alicja otworzyła jeden z futerałów. Zawierał obsadkę z laki ukoronowaną na samej górze białą gwiazdą. Alicja wyjęła pióro z futerału i uśmiechając się, zważyła w ręku. Zdjęła nasadkę i powoli przekręcała końcówkę. W rękach błysnęła jej złoto-platynowa stalówka, która wyglądała tak, jakby została wykuta przez gildię mędrców i złotników.

– Magiczne pióro Fantomasa? – rzucił Vargas.

– No blisko, blisko. To pierwsze wieczne pióro wyprodukowane przez firmę Montblanc – wyjaśniła Alicja. – Z tysiąc dziewięćset piątego roku. Cholernie drogi egzemplarz.

– A skąd pani taka mądra?

– Leandro ma takie samo pióro.

– Już bardziej pasowałoby do pani.

Alicja schowała pióro z powrotem do futerału i zamknęła szufladę.

– Wiem. Leandro przyrzekł mi, że dostanę takie od niego w prezencie w dniu, w którym się wycofam.

– A kiedy to będzie?

– Niebawem.

Pociągnęła za uchwyt trzeciej szuflady, ale ta nie ustąpiła. Była zamknięta na klucz. Alicja spojrzała na Vargasa pytająco, ale on bez namysłu pokręcił głową.

– Jeśli chce pani kluczyk, to proszę zejść i poprosić o niego swoją serdeczną przyjaciółkę, doñę Marianę.

– Doña Mariana jest tak zajęta i zaaferowana „sprawami don Mauricia”, że nie miałabym śmiałości zawracać jej głowy takim drobiazgiem...

– Wobec tego?

– Byłam przekonana, że w Komendzie Głównej prowadzą dla was kursy „użycia brutalnej siły”.

Vargas westchnął

– Niech się pani odsunie – rozkazał.

Policjant przykląkł przy części z szufladami i z marynarki wyjął rączkę z kości słoniowej kryjącą ostrze z dwustronną piłką.

– Niech pani sobie nie myśli, że tylko pani jest taka mądra, jeśli chodzi o kolekcjonerskie egzemplarze – mruknął. – Proszę mi podać nóż do rozcinala papieru.

Alicja spełniła polecenie. Vargas manipulował piłką w otworze zamka, a nóż do rozcinala papieru wsunął w szczelinę między szufladą a obudową biurka.

– Coś mi mówi, że nie robi pan tego po raz pierwszy – nie wytrzymała Alicja.

– Są tacy, co chodzą na mecze piłkarskie, i tacy, co potrafią otworzyć każdy zamek. Jakieś hobby trzeba mieć...

Operacja trwała nieco ponad dwie minuty, po czym rozległ się metaliczny trzask, zamek ustąpił, a nóż do rozcinala papieru wpadł do szuflady. Vargas wyciągnął swój przyrząd z zamka. Na ostrzu nie było najmniejszego śladu.

– Hartowana stal? – domyśliła się Alicja.

Vargas oparł koniec ostrza o podłogę, złożył nóż jednym wprawnym ruchem i z powrotem schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Może da mi się pan kiedyś pobawić tym wihajstrem – westchnęła.

– Jeśli będzie pani grzeczna – obiecał Vargas, otwierając szufladę.

Zajrzeli do środka i zdumieni spojrzeli po sobie. Szuflada była pusta.

– No to może mi teraz pani powie, po jaką cholere wlamywałem się do szuflady ministra, bo wygląda na to, że po nic.

Alicja milczała. Uklękła obok Vargasa. Włożyła rękę do szuflady i zaczęła ją badać, dotykając najpierw całą dłońią, a potem stukając knykciami w denko i ścianki boczne.

– Solidne drewno, dębowe – stwierdził policjant. – Już się nie robi takich mebli...

Alicja zmarszczyła brwi w grymasie niedowierzania.

– Niczego tu nie znajdziemy – zawyrokował Vargas, wstając z kolan. – Lepiej będzie pojechać do komendy i tam przejrzeć listy Salgada.

Alicja nie zareagowała. Dalej obmacywała wewnątrz szuflady i spód tej znajdującej się wyżej. Odnosiła wrażenie, że środkowa jest płytsza, niż wynikałoby z wysokości części frontowej i ścian bocznych, i to płytsza na dwa palce.

– Niech mi pan pomoże wyciągnąć tę szufladę – poprosiła.

– Nie dość, że załatwiła pani zamek, to na dokładkę chce pani rozwalić panu ministrowi całe biurko – burknął Vargas.

Dał jej gestem do zrozumienia, by przesunęła się na bok, a następnie jednym szarpnięciem wyjął środkową szufladę.

– No i sama pani widzi. Nic.

Alicja odwróciła ją do góry dnem. Dwoma krzyżującymi się kawałkami taśmy klejącej do spodu przylepiona była książka. Alicja ostrożnie odkleiła taśmę i wzięła tom do ręki. Vargas zbadał taśmę.

– Przyklejono ją niedawno.

Alicja położyła książkę na biurku. Znów usiadła w fotelu i przesunęła ją bliżej światła. Vargas klęknął obok i spojrział pytająco.

Książka miała około dwustu stron i była oprawiona w czarną skórę. Ani na okładce, ani na grzbiecie nie miała tytułu. Jedyнным elementem zdobniczym był złoty rysunek w kształcie spirali. Czytelnik, trzymając egzemplarz w ręku, odnosił wrażenie, że widzi kręcone schody prowadzące w dół, do wnętrza książki.

Na pierwszych trzech stronach widniały jedynie naszkicowane piórkami bierki szachowe: na pierwszej goniec, na drugiej pionek, na trzeciej królowa. Bierki obdarzone były ludzkimi rysami. Królowa miała czarne oczy i pionowe źrenice jak u gadów. Alicja odwróciła kartkę. Strona tytułowa głosiła:

Labirynt duchów VII

Ariadna i Szkarłatny Książę



Tekst i ilustracje Victor Mataix

Pod tytułem była dwustronna ilustracja wykonana piórkami i tuszem. Obraz przedstawiał upiorne miasto, w którym budynki miały twarze, a chmury prześlizgiwały się pomiędzy dachami niczym węże. W powietrzu unosiły się dymy z ognisk i stosów. Nad miastem dominował ogromny płonący krzyż na jednej z pobliskich gór. Alicja rozpoznała na ilustracji obraz Barcelony. Była to jednak Barcelona inna, Barcelona przeistoczona w dręczący koszmar widziany oczyma dziecka. Przerzuciła kolejne strony i zatrzymała się na ilustracji przedstawiającej świątynię Sagrada Familia. Na rysunku bryła budowli zdawała się ożywać: niedokończona katedra pełzała niczym smok, a cztery wieże fasady Narodzenia Pańskiego wily się, wyciągając ku niebiosom z siarki paszcze zięjące ogniem.

– Widziała pani przedtem coś podobnego? – spytał Vargas.

Alicja wolno, jakby niepewna, pokręciła głową. Na kilka minut zanurzyła się w dziwny świat, jaki wyzierał z tych stron: obrazy wędrownego cyrku pełnego stworzeń uciekających przed światłem; bezkresnego cmentarza pokrytego kopcami grobowców, spośród których unosił się rój dusz, by przebijając się przez chmury, podążać ku niebu; statku osiadłego na mieliźnie tuż przy plaży zasypanej pozostałościami po katastrofie morskiej i zalewanej falami unoszącymi ciała topielców. I wreszcie obraz postaci panującej nad tą fantasmagoryczną Barceloną, obserwującej kłębiące się u swoich stóp ulice ze szczytu katedralnej wieży, postaci owiniętej w powiewającą na wietrze tunikę,

postaci o twarzy anioła i wilczych oczach: Szkarłatnego Księcia.

Alicja zamknęła książkę, oszołomiona dziwną i przewrotną mocą, jaka była z ilustracji. I w tym momencie dotarło do niej, że to, co trzyma w rękach, to zwykła książeczka dla dzieci.

9

Kiedy schodzili po schodach wieżyczki, Vargas delikatnie chwycił ją za ramię i zatrzymał.

– Trzeba będzie powiedzieć doñi Marianie, że natrafiliśmy na tę książkę i że bierzemy ją ze sobą.

Alicja wbiła wzrok w przytrzymującą jej łokieć dłoń Vargasa, a on natychmiast ją cofnął z przepaszającym gestem.

– Zdawało mi się, że sugerował pan, a przynajmniej tak to zrozumiałam, żeby już nie zawracać jej głowy.

– Wobec tego powinniśmy chociaż uwzględnić to w raporcie...

Alicja odpowiedziała mu nieodgadnionym spojrzeniem. Vargasowi przeszło przez myśl, że owe zielone oczy błyszczą w półmroku jak monety powoli zanurzające się w wodach stawu, przydając młodej kobiecie nieco upiornego wyglądu.

– W charakterze dowodu, chcę powiedzieć – uszczegółowił policjant.

– Dowodu na co?

Ton Alicji był lodowaty, kategoriyczny.

– Na to, co znajduje policja w trakcie prowadzenia śledztwa...

– Formalnie rzecz biorąc, to nie policja znalazła. To ja ją znalazłam. Pana rola ograniczyła się do prac ślusarskich.

– Zaraz, zaraz...

Alicja, nie zważając nań, zeszła do końca schodów. Vargas szedł za nią po

omacku, nie mając bladego pojęcia, co jej odpowiedzieć.

– Alicjo...

Kiedy dochodzili do ogrodu, zaczęło padać. Mżawka obsypywała ich ubrania szklanym pyłem. Jedna z pokojówek podbiegła z parasolem, ale Vargas nie zdążył go otworzyć i osłonić Alicji, bo ta, nawet nie udając, że ma zamiar na niego poczekać, od razu skierowała się do garażu. Policjant przyspieszył kroku i zdołał jednak osłonić ją przed mżawką.

– Nie ma za co – powiedział.

Wtedy zauważył, że Alicja nieco kuleje, zaciskając wargi z bólu.

– Coś pani dolega?

– Nic takiego. Dawna kontuzja. Ale wilgoć nie pomaga. Nic ważnego.

– Może poczeka pani tutaj, a ja pójdę po samochód i podjadę – zaoferował się.

Alicja znów, jakby go nie słyszała, zbyła jego słowa milczeniem. Oczy jej błędziły gdzieś daleko, usiłowała przyjrzeć się jakiejś budowli osłoniętej przez deszcz i drzewa.

– Co takiego? – spytał Vargas.

Alicja ruszyła przed siebie, zostawiając go z parasolem w ręku.

– Jezus Maria – szepnął policjant i poszedł za nią.

Kiedy ją dogonił, Alicja wyciągnęła rękę ku ukrytemu nieco w głębi ogrodu budynkowi, który wyglądał jak oranżeria.

– Tam ktoś był – powiedziała. – Obserwował nas.

– E tam.

Alicja zawahała się i zatrzymała.

– Niech pan wraca do garażu. Za chwilę do pana dołączę.

– Mam nadzieję, że pani wie, co robi.

Skinęła głową.

– Niech pani przynajmniej weźmie parasol.

Vargas patrzył, jak Alicja, lekko kulejąc, oddala się w deszczu i znika w sinawej mgiele, dołączając do zaludniających ogród cieni.

Szła ścieżką wyłożoną białawym kamieniem. Mech obrysowywał zieloną kreską szczeliny między ociosanymi płytami. Alicja pomyślała, że wygląda to jak droga zrobiona z płyt nagrobnych skradzionych z cmentarza. Ścieżka gubiła się wśród wierzb. Gałęzie otrząsając się z kropli deszczu, ocierały się o Alicję niczym ręce, które starały się ją powstrzymać. To, co z początku brała za oranżerię, z bliska skłonna była uznać raczej za neoklasyczny pawilon. Szyny miniaturowej kolei okalające posiadłość biegły obok budynku, przy którym postawiono peron, na wzór prawdziwego dworcowego peronu, wzdłuż głównego wejścia. Alicja przeskoczyła szyny, a następnie pokonała stopnie prowadzące do uchylonych drzwi. Ból w biodrze narastał, przeszywał ją tak dolegliwie, jakby wokół jej kości zaciskała się pętla z drutu kolczastego. Zatrzymała się na chwilę, by złapać oddech, po czym pchnęła drzwi, które ustąpiły, skrzypiąc cichutko.

Pierwszym skojarzeniem, jakie się jej nasunęło, była myśl, że znalazła się w opuszczonej lata temu sali balowej. Pod warstewką kurzu pokrywającą drewnianą podłogę w romboidalne wzory, oświetlaną przez dwie lampy ze szklanych kryształków, które wisiały jak kwiaty pokryte szronem, dostrzec można było przeróżne ślady.

– Halo? – zawołała Alicja.

Echo jej głosu potoczyło się po sali, ale pozostało bez odpowiedzi. Ślady czyichś stóp zanikały w półmroku. Nieco dalej była zajmująca całą ścianę witryna z ciemnego drewna podzielona na małe kasetony podobne do cmentarnych nisz. Alicja ostrożnie stawiała kroki, idąc po słabo widocznych śladach, ale szybko się zatrzymała. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ktoś ją śledzi. W cieniu błysnęło szklane spojrzenie oczu osadzonych w twarzy z kości słoniowej. Na jej ustach tlił się złośliwy, wyzywający uśmiech. Lalka miała czerwone włosy i ubrana była w strój z czarnego jedwabiu. Alicja podeszła jeszcze parę metrów i zauważyła, że lalka nie jest osamotniona. Każdy z kasetonów zajmował gość ubrany w równie wytworny strój. Alicja wypatrzyła ponad setkę takich figur o uśmiechniętych twarzach, które

spoglądały bez drgnienia powieką. Lalki były wzrostu dziecka. Nawet w półmroku można było podziwiać precyzję, wręcz kunsztowność, z jakimi oddany został każdy szczegół: od lśniących paznokci czy drobnych białych zębów widocznych zza lekko uchylonych i pokrytych szminką ust po tęczówkę źrenic.

– Kim pani jest?

Głos dochodził z głębi sali. Alicja zauważyła w kącie postać siedzącą na krześle.

– Jestem Alicja. Alicja Gris. Nie chciałam cię przestraszyć.

Postać wstała i bardzo wolno podeszła. Wyłoniła się z cienia na progu bladego światła padającego przez drzwi wejściowe i Alicja rozpoznała twarz dziewczyny ze zdjęć wiszących w gabinecie Vallsa.

– Masz ładną kolekcję lalek.

– Prawie nikomu się nie podobają. Tata mówi, że wyglądają jak wampiry. Większość ludzi się ich boi.

– Właśnie dlatego mi się podobają – powiedziała Alicja.

Mercedes bacznie przyjrzała się tej dziwnej osobie. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ma ona coś wspólnego z lalkami z jej kolekcji, jakby jedna z nich, miast pozostać zamrożona w dzieciństwie z kości słoniowej, wyrosła, by przemienić się w kobietę z krwi, kości i cienia. Alicja uśmiechnęła się i wyciągnęła ku niej rękę.

– Ty jesteś Mercedes, prawda?

Dziewczyna przytaknęła i ucisnęła jej dłoń. Coś w lodowatym i przeszywającym spojrzeniu kobiety uspokajało ją i budziło zaufanie. Nie dałaby nowej znajomej nawet trzydziestu lat, ale z Alicją działało się to samo, co z lalkami Mercedes: im baczniej przyglądało jej się z bliska, tym większe miało się wątpliwości, na ile lat tak naprawdę wygląda. Miała wąską talię i ubierała się tak, jak Mercedes chciałyby się ubierać, gdyby nie pewność, że ojciec i doña Irene nigdy by na to nie pozwolili. Wytwarzała wokół siebie ową nieokreśloną aurę, która według córki Vallsa odurza mężczyzn i powoduje, że zachowują się jak mali chłopcy albo ślinią się na jej widok jak starcy. Zaintrygowała ją już w chwili, gdy przyjechała z tym policjantem i weszła z nim do domu. Myśl, że któraś z wyższych instancji mogła uznać, że

ktoś taki jak Alicja jest idealną osobą, by odnaleźć jej ojca, wydawała się Mercedes tyleż niezrozumiała, ile wzbudzająca nadzieję.

– Przyjechała pani w związku z moim tatą, prawda?

Alicja przytaknęła.

– Możesz mi mówić po imieniu, nie jestem dużo starsza od ciebie.

Mercedes wzruszyła ramionami.

– Tak mnie wychowano, żebym do wszystkich zwracała się z szacunkiem.

– A mnie wychowano tak, żebym zachowywała się jak panienka z dobrego domu, a skończyłam, jak skończyłam.

Mercedes zachichotała niepewnie, odrobinę zawstydzona. Alicja pomyślała, że dziewczyna śmieje się raczej nieczęsto, a jeśli już to robi, to tak, jak patrzy na świat: jak dziewczynka ukryta w ciele kobiety albo kobieta, której przyszło spędzić niemal całe życie w pułapce bajki dla dzieci, pełnej służących i lalek o szklanych trzewiach.

– Pani jest policjantką?

– Coś tak jakby.

– A nie wygląda pani.

– Pozory mylą.

Mercedes przez chwilę zastanowiła się nad tymi słowami.

– Chyba rzeczywiście.

– Możemy usiąść? – zaproponowała Alicja.

– Jasne...

Mercedes szybko się zakrzętnęła, przyniosła z kąta sali dwa krzesła i postawiła je w smudze światła padającej od drzwi wejściowych. Alicja zaczęła ostrożnie siadać. Dziewczyna błyskawicznie rozpoznała po jej twarzy ogrom bólu i pospieszyła z pomocą. Alicja uśmiechnęła się z trudem. Jej czoło pokryła warstwa zimnego potu. Mercedes wahała się przez chwilę, a potem sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. Wycierając Alicji pot z bladego czoła, poczuła pod palcami skórę tak delikatną, że zapragnęła pogłaskać nową znajomą po policzku, ale natychmiast zrezygnowała z tego zamiaru, czując zarazem, że nie wiadomo dlaczego się rumieni.

– Już pani lepiej? – zapytała.

Alicja pokiwała głową.

– Co pani dolega?

– To stara rana. Jeszcze z czasów, kiedy byłam małą dziewczynką. Czasem daje o sobie znać, zwłaszcza kiedy jest bardzo wilgotno albo gdy pada deszcz.

– To stało się w wypadku?

– Mniej więcej.

– Współczuję.

– Zdarza się. Pozwolisz, że zadam ci parę pytań?

W oczach dziewczyny pojawił się popłoch.

– Na temat taty?

Alicja przytaknęła.

– Znajdzie go pani?

– Na pewno spróbuję.

Mercedes spojrzała na nią błagalnie.

– Policja go nie znajdzie. Pani będzie musiała to zrobić.

– Dlaczego tak mówisz?

Córka Vallsa spuściła wzrok.

– Bo wydaje mi się, że tata nie chce, żeby go odnaleziono.

– A dlaczego tak ci się wydaje?

Mercedes ciągle siedziała z opuszczoną głową.

– Nie wiem...

– Doña Mariana mówi, że w dniu, w którym twój ojciec wyjechał, powiedziałaś jej, że wyjechał już na zawsze, że już nie wróci, że tak myślisz...

– To prawda.

– Czy ojciec powiedział tamtej nocy coś, co podsunęło ci takie przypuszczenie?

– Nie wiem.

– Rozmawiałaś z nim w noc balu maskowego?

– Poszłam do niego, do gabinetu. Tata nie zszedł na bal nawet na chwilę. Siedział w gabinecie z Vicente.

– Vicente Carmoną, ochroniarzem?

– Tak. Smutny był. Dziwne.

– A powiedział ci dlaczego?

– Nie. Tata mówi mi tylko to, co według niego chcę usłyszeć.

Alicja zaśmiała się.

– Wszyscy ojcowie tak robią.

– Pani ojciec też?

Alicja ograniczyła się do uśmiechu, a Mercedes nie drążyła.

– Pamiętam, że kiedy weszłam do gabinetu, przeglądał jakąś książkę.

– A pamiętasz, czy ta książka miała czarne okładki?

Na twarzy Mercedes pojawił się wyraz zaskoczenia.

– Chyba tak. Zapytałam taty, co to za książka, ale odparł, że to nie jest lektura dla dorastających pań. Miałam wrażenie, że nie chce, żebym ją zobaczyła. Może to była jedna z tych zakazanych książek.

– A twój ojciec ma zakazane książki?

Mercedes przytaknęła, znowu oblewając się lekkim rumieńcem.

– Tak, w szafie zamkniętej na klucz, w swoim gabinecie w ministerstwie. Tata nie wie, że ja wiem.

– Ode mnie się na pewno tego nie dowie. A często ojciec bierze cię ze sobą do gabinetu w ministerstwie?

Mercedes pokręciła przecząco głową.

– Byłam tylko dwa razy.

– A w mieście?

– W Madrycie?

– Tak, w Madrycie.

– Tutaj mam wszystko, czego ewentualnie mogę potrzebować – odparła bez większego przekonania.

– A może uda nam się kiedyś razem wybrać do miasta? Pospacerować

sobie. Albo do kina. Lubisz kino?

Mercedes przygryzła wargę.

– Nigdy nie byłam w kinie. Ale bardzo bym chciała. To znaczy pójść z panią do kina.

Alicja objęła jej dłonie, ofiarując swój najlepszy uśmiech.

– No to pójdziemy na film z Carym Grantem.

– Kto to?

– Mężczyzna doskonały.

– Dlaczego?

– Bo nie istnieje.

Mercedes znowu zachichotała tym powstrzymywanym i smutnym śmiechem.

– A co jeszcze twój tata powiedział tamtego wieczoru? Pamiętasz?

– Nie bardzo. Powiedział, że mnie kocha. I że zawsze będzie mnie kochał, cokolwiek się stanie.

– Coś jeszcze?

– Był zdenerwowany. Życzył mi dobrej nocy, a później rozmawiał z Vicente.

– A może słyszałaś co nieco z ich rozmowy? – zasugerowała Alicja.

– To niegrzecznie podsłuchiwać pod drzwiami...

– A ja zawsze uważałam, że właśnie w ten sposób słucha się najciekawszych rozmów.

Mercedes uśmiechnęła się szelmowsko.

– Tata uważał, że tam ktoś był. Na balu. W jego gabinecie.

– A powiedział kto?

– Nie.

– Coś jeszcze? Coś szczególnie zwróciło twoją uwagę?

– Tak. Lista. Tata powiedział, że ktoś ma listę. Ale nie wiem kto.

– A wiesz, co to mogła być za lista? Jakiego rodzaju?

– Nie wiem. Chyba z cyframi. Przykro mi. Bardzo bym chciała pani pomóc, ale tylko tyle udało mi się usłyszeć...

– Bardzo mi pomogłaś, Mercedes.

– Naprawdę?

Alicja skinęła głową i pogłaskała ją po policzku. Nikt tak nie głaskał Mercedes, odkąd jej matka, złożona chorobą, została dziesięć lat temu przykuta do łóżka, a kości jej dłoni przeistoczyły się w szpony.

– A jak sądzisz, co tata miał na myśli, kiedy mówił „cokolwiek się stanie”?

– Nie wiem...

– A mówił kiedyś coś podobnego?

Mercedes milczała, wpatrując się w Alicję uważnie.

– Mercedes?

– Nie lubię o tym mówić.

– O czym?

– Tata prosił, żebym nigdy z nikim o tym nie rozmawiała.

Alicja pochyliła się nad Mercedes i wzięła ją za rękę. Dziewczyna cała się trzęsła.

– Ale ja nie jestem nikt. Ze mną możesz rozmawiać.

– Gdyby mój tata się dowiedział, że powiedziałam pani o tym...

– Ale się nie dowie.

– Słowo honoru?

– Słowo honoru. I niech skonam, jeśli kłamię.

– Niech pani tak nie mówi.

– Opowiedz mi o tym, Mercedes. Nie masz się czego obawiać, wszystko zostanie między nami, masz moje słowo.

Mercedes spojrzała na nią oczyma mokrymi od łez. Alicja ścisnęła jej dłoń.

– Miałam chyba siedem albo osiem lat, sama nie wiem. To było w Madrycie, w szkole Damas Negras. Po południu, pod koniec lekcji, przyjeżdżali po mnie ochroniarze taty. O tej porze wszystkie czekałyśmy na dziedzińcu cyprysów na rodziców albo służących, żeby nas odebrali. O siedemnastej trzydzieści. Ta pani przyjeżdżała bardzo często. Ale nigdy nie wchodziła na dziedzińiec, zawsze zostawała przed ogrodzeniem i patrzyła na

mnie. Czasami uśmiechała się do mnie. Nie miałam pojęcia, kto to jest. Ale zjawiała się tam niemal codziennie. Dawała mi znaki, żebym do niej podeszła, ale bardzo się bałam. Kiedyś ochroniarze się spóźnili. Coś się stało w centrum Madrytu. Pamiętam, że samochody podjeżdżały po inne dziewczynki. W końcu zostałam tylko ja. Sama. Nie wiem jak, ale kiedy jeden z samochodów wyjeżdżał, tej pani udało się przedostać przez ogrodzenie. Podeszła i uklękła przede mną. Nagle objęła mnie i rozpłakała się. I zaczęła mnie całować. Przestraszyłam się i podniosłam krzyk. Zakonnice wybiegły na dziedziniec. Wreszcie zjawili się ochroniarze i pamiętam, że dwóch mężczyzn złapało ją za ręce i wlokąc po ziemi, odciągnęło. Kobieta krzyczała i płakała. Pamiętam, że jeden z ochroniarzy mojego ojca uderzył ją w twarz. A wtedy ona wyciągnęła coś ze swojej torebki. To był pistolet. Ochroniarze cofnęli się, a ona pobiegła w moją stronę. Twarz miała zalaną krwią. Przytuliła mnie mocno i powiedziała, że mnie kocha i żebym jej nigdy nie zapomniała.

– I co się stało?

Mercedes przełknęła ślinę.

– Wtedy Vicente podszedł i strzelił jej w głowę. Ta pani padła u moich stóp, w kałużę krwi. Pamiętam, bo jedna z sióstr złapała mnie i podniosła z ziemi, a potem zdjęła mi buty, które były całe we krwi tej kobiety. I przekazała mnie jednemu z ochroniarzy, który zaniósł mnie do samochodu, gdzie czekał Vicente. A ten od razu ruszył i odjechaliśmy na pełnej prędkości, ale widziałam przez okienko, jak dwóch ochroniarzy wlokło gdzieś ciało tej kobiety...

Mercedes zatopiła wzrok w oczach Alicji, a ona przytuliła dziewczynę.

– Tamtej nocy tata powiedział mi, że ta pani to wariatka. I że policja wielokrotnie ją zatrzymywała za to, że próbowała porywać dzieci z madryckich szkół. I powiedział, że już nikt nigdy nie zrobi mi krzywdy i że nie muszę się przejmować. I poprosił, żebym nikomu nic nie mówiła o tym, co się stało. Cokolwiek się wydarzy. I nigdy więcej nie poszłam do szkoły. Doña Irene została moją opiekunką i resztę edukacji odebrałam w domu...

Alicja, głaszcząc dziewczynę po włosach i tuląc, dała jej się wypłakać. Wreszcie Mercedes trochę się uspokoiła. Alicja usłyszała dochodzący z daleka dźwięk klaksonu. Wstała.

– Mercedes, muszę już iść. Ale wrócę. I pojedziemy do Madrytu

pospacerować, i wybierzemy się do kina. Ale musisz mi przyrzec, że przez ten czas będziesz się trzymać.

Mercedes chwyciła jej dłonie i kilkakrotnie kiwnęła głową.

– Znajdzie pani mojego tatę?

– Znajdę, przyrzekam.

Alicja pocałowała ją w czoło i kulejąc, poszła do wyjścia. Mercedes usiadła na podłodze i objąwszy kolana, zanurzyła się w mrokach swego, rozbitego już na zawsze, świata lalek.

11

Droga powrotna do Madrytu pełna była deszczu i milczenia. Alicja siedziała z zamkniętymi oczyma, z głową opartą o szybę, po której spływały krople wody. Myśłami była setki kilometrów stąd. Vargas od czasu do czasu zerkał na nią kątem oka i co chwila rzucał ni to stwierdzenia, ni to pytania, chcąc za wszelką cenę wciągnąć ją w rozmowę, byle zagłuszyć ciszę, która towarzyszyła im od chwili, gdy wyjechali z Villi Mercedes.

– Była pani bardzo nieprzyjemna dla sekretarki ministra Vallsa – odważył się rzucić. – Delikatnie mówiąc, rzecz jasna.

– To harpia – burknęła Alicja niezbyt przyjaznym tonem.

– Jeśli pani woli, możemy porozmawiać o pogodzie – zaproponował niczym niezrażony Vargas.

– Pada – odparła Alicja. – O czym chce pan jeszcze gadać?

– Na przykład o tym, co się wydarzyło tam w środku, w tym ogrodowym pałacyku.

– Nic się tam nie wydarzyło.

– Ale spędziła tam pani z pół godziny, jeśli nie więcej. Mam nadzieję, że nikomu już nie dokręcała pani śruby. Lepiej może, żebyśmy od razu pierwszego dnia nie narobili sobie wszędzie wrogów. Tak myślę.

Alicja nie odpowiedziała.

– Bez żartów, to zacznie działać tylko wtedy, kiedy będziemy pracować razem – przekonywał Vargas. – Na przykład wymieniając się informacjami. Żeby było jasne, ja nie jestem pani szoferem.

– Wobec tego chyba to jednak nie działa. Mogę wziąć taksówkę, jeśli pan woli. Zazwyczaj tak robię.

Vargas westchnął.

– Proszę na mnie nie zwracać uwagi, dobrze? – powiedziała Alicja. – Nie najlepiej się czuję.

Vargas przyjrzał jej się uważnie. Alicja wciąż miała zamknięte oczy i trzymała się oburącz za biodro z wyrazem ogromnego cierpienia na twarzy.

– Może pojedziemy do apteki albo gdzieś, no nie wiem.

– A po co?

– Nie mam pojęcia. Nie wygląda pani najlepiej.

– Dziękuję.

– Czy załatwić pani coś przeciwbólowego?

Alicja pokręciła głową. Oddychała krótkim, przerywanym oddechem.

– Możemy zatrzymać się na chwilę? – poprosiła w końcu.

Vargas dojrzał, że za kilkaset metrów, obok stacji benzynowej, przy której parkowały dziesiątki ciężarówek, jest przydrożna restauracja. Zjechał z drogi i zatrzymał się tuż przed wejściem do lokalu. Wysiadł z samochodu i obszedł go, by otworzyć jej drzwiczki. Wyciągnął do Alicji rękę.

– Dam radę.

Po dwóch nieudanych próbach Vargas postanowił jednak złapać ją pod pachy i wyciągnąć z samochodu. Potem wziął torebkę, którą Alicja zostawiła na siedzeniu, i przewiesił jej przez ramię.

– Może pani chodzić?

Alicja przytaknęła. Skierowali się do wejścia. Vargas delikatnie ujął ją pod ramię. Alicja w końcu przestała oponować. W środku Vargas rutynowo rozejrzał się po całym lokalu, by poznać jego rozkład, zobaczyć, gdzie są inne wyjścia, szybko zlustrować gości. Grupa kierowców ciężarówek siedziała

przy nakrytym papierowym obrusem stoliku, na którym stały karafka wina i parę syfonów. Kilku odwróciło się, by rzucić na nich okiem, ale napotkawszy spojrzenie Vargasa, natychmiast i bez słowa zatopili wzrok i własną śmiałość w talerzach zupy. Podszedł kelner, facet o wyglądzie karczmarza z operetki, i trzymając w rękach tacę pełną filiżanek z kawą, głową wskazał im stół, widocznie przeznaczony dla gości specjalnych, oddzielony od plebsu i z widokiem na drogę.

– Jedna sekunda i jestem do państwa usług – powiedział.

Vargas pomógł Alicji dojść do stolika i zająć miejsce na krześle, które stało odwrócone tyłem do pozostałych gości. Usiadł naprzeciwko niej i spojrzał wyczekująco.

– Zaczyna mnie pani przerażać – odezwał się.

– Niech pan przestanie się łudzić.

Kelner chyżo do nich wrócił, cały w uśmiechach i w gotowości ugoszczenia tyleż znamienitych, ile nieoczekiwanych gości.

– Dzień dobry. Czy szanowni państwo życzą sobie coś do jedzenia? Dziś polecamy smakowite i przednie *cocido*, przygotowane przez moją małżonkę, ale możemy również podać coś wedle państwa życzenia. Stek może...

– Poproszę troszkę wody – zażyczyła sobie Alicja.

– Już podaję.

Kelner rączo pobiegł po butelkę wody mineralnej i wrócił nie tylko z butelką, ale i z dwoma menu ręcznie wypisanymi na laminowanych kartonach. Nalał wody do dwóch szklanek i czując intuicyjnie, że im krócej będzie się narzucać swą obecnością, tym lepiej, oddalił się, nie skąpiąc rewerencji.

– Pozwalam sobie zostawić kartę, aby mogli państwo, w miarę życzenia, rzucić na nią okiem.

Vargas wyartykułował jakieś podziękowania i kątem oka zobaczył, jak Alicja opróżnia swoją szklankę, jakby właśnie przeszła przez pustynię.

– Może pani coś zje?

Alicja wzięła torebkę i wstała.

– Idę na chwilę do toalety. Niech pan coś dla mnie zamówi.

Przechodząc obok Vargasa, oparła dłoń na jego ramieniu i uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Proszę się nie martwić. Zaraz mi przejdzie...

Policjant widział, jak kulejąc, kieruje się do toalet i znika za drzwiami. Kelner przypatrywał jej się zza baru i przypuszczalnie usiłował odgadnąć, co łączy tego faceta z taką cud lalunią.

Alicja zamknęła drzwi do łazienki i przekręciła rygielek. Toaleta wyłożona kafelkami, na których kolejni goście wymalowali obsceniczne rysunki i niezbyt fortunate sentencje, cuchnęła bielinką. W ramach wąziutkiego okienka śmigła wentylatora rozpylały w snopach światła drobinki kurzu. Alicja podeszła do umywalki i oparła się o nią. Odkręciła kran i przez chwilę patrzyła na płynącą rdzawą wodę, potem otworzyła torebkę i drżącymi rękoma wyciągnęła z niej metalowe pudełko. Wzięła strzykawkę i fiolkę osłoniętą kapslem i gumką. Zanurzyła igłę w fiolce, napełniła strzykawkę do połowy. Puknęła w nią palcami i delikatnie nacisnęła tłoczek, czekając, aż na końcu igły pojawi się gęsta, błyszcząca kropelka. Podeszła do muszli klozetowej, opuściła deskę, usiadła, opierając się o ścianę, i lewą ręką uniosła sukienkę aż po biodro. Palcami dotknęła mięśnia uda. Wzięła głęboki oddech. Wbiła igłę nieco powyżej krańca pończochy i wstrzyknęła zawartość strzykawki. Po paru sekundach poczuła uderzenie. Strzykawka wypadła jej z ręki, oczy zaszyły mgłą, zimno ścieło krew w żyłach. Oparła się o ścianę i zastygła tak na parę minut, myśląc jedynie o lodowatym wężu pełzającym wewnątrz jej ciała. Przez chwilę wydawało jej się, że traci przytomność. Otworzyła oczy na cuchnące, ponure pomieszczenie. Nie wiedziała, jak się w nim znalazła. Z daleka dochodziło coraz głośniejsze walenie w drzwi.

– Pani Alicjo! Dobrze się pani czuje?

Był to głos Vargasa.

– Tak – odezwała się z trudem. – Zaraz wychodzę.

Dopiero po dłuższej chwili usłyszała oddalające się kroki policjanta. Alicja zmyła strużkę krwi spływającą jej po udzie i opuściła sukienkę. Podniosła stłuczoną strzykawkę, włożyła z powrotem do pudełeczka. Przemyła twarz pod kranem i wytarła ją papierem toaletowym, którego listki wisały na gwoździu wbitym w ścianę. Przed opuszczeniem toalety stawiała czoło swemu odbiciu w lustrze. Wyglądała jak jedna z lalek Mercedes.

Pomalowała sobie usta, poprawiła ubranie. Odetchnęła głęboko, przygotowując się na powrót do świata żywych.

Wróciwszy do stołu, Alicja usiadła naprzeciwko Vargasa i posłała mu najśłodszy ze swoich uśmiechów. Vargas trzymał w ręku szklankę z piwem, którego chyba nawet jeszcze nie spróbował, i przyglądał się Alicji z nieskrywaną troską.

– Zamówiłem dla pani stek – powiedział. – Mało wysmażony. Proteiny.

Alicja skinęła głową, dając do zrozumienia, że jej zdaniem wybór jest wyśmienity.

– Nie bardzo wiedziałem, co mam dla pani zamówić, ale pomyślałem sobie, że na pewno jest pani mięsożerna.

– Krwiste mięso to jedyna rzecz, którą trawię – skwitowała Alicja. – Najchętniej i w miarę możliwości ociekające krwią ciętka niewiniątek.

Nie zareagował na dowcip uśmiechem. Alicja przyjrzała się swemu odbiciu w oczach Vargasa.

– Śmiało, może pan to powiedzieć.

– Ale co?

– To, co pan sobie myśli.

– A co ja sobie myślę?

– Że wyglądam na narzeczoną Drakuli.

Vargas zmarszczył brwi.

– Leandro zawsze to powtarza – ciągnęła Alicja w przyjacielskim tonie. – Dla mnie to żadna przykrość. Przyzwyczaiłam się.

– Ale ja wcale nie o tym myślałem.

– Przepraszam za tamto.

– Nie ma za co, naprawdę.

Kelner podszedł do nich z dwoma talerzami i z uczynnym wyrazem twarzy.

– Stek dla panienki... i *cocido*, specjalność zakładu, dla pana. Czy mają państwo jeszcze jakieś życzenie? Może pieczywka donieść? Wina naszego domowego?

Vargas odmówił. Alicja rzuciła okiem na stek obłożony ziemniakami

i westchnęła.

– Mogę trochę bardziej podsmażyć... – zaoferował kelner.

– Nie, nie, w porządku, dziękuję.

Jedli w milczeniu, wymieniając tylko od czasu do czasu przypadkowe spojrzenia i pojednawcze uśmiechy. Alicja nie była głodna, niemniej zmusiła się, by sprawić wrażenie, że stek jej bardzo smakuje.

– Bardzo dobry stek. A pańskie *cocido*? Rzuca na kolana? Kucharka żeniaczki warta?

Vargas odłożył łyżkę i pochylił się na krześle. Wnikliwie przyglądał się jej rozszerzonym źrenicom i ospałej twarzy.

– Ile sobie pani wstrzyknęła?

– Nie pańska sprawa.

– Co to za rana?

– Ano z tych, o których dobrze wychowana panienka nie mówi.

– Jeśli mamy pracować razem, muszę wiedzieć, czego mam się trzymać.

– Nie jesteśmy narzeczonymi. A ta sprawa jest na dwa dni. Nie musi mnie pan przedstawiać swojej matce.

Na ustach Vargasa nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

– To z czasów, kiedy byłam małą dziewczynką. W wyniku bombardowań, w czasie wojny. Lekarz, który zajął się moim biodrem, nie spał od dwudziestu czterech godzin i robił, co mógł. Myślę, że wciąż tam mam kilka suvenirów od włoskiego lotnictwa.

– W Barcelonie?

Alicja przytaknęła raz i drugi.

– Miałem przyjaciela z Barcelony, policjanta. Został postrzelony z karabinu maszynowego i dwanaście lat przeżył z kulą wielkości faszerowanej oliwki, przybitą do aorty – powiedział Vargas.

– I umarł w końcu?

– Przejechany przez kolportera prasy przed dworcem Atocha.

– No i jak tu ufać prasie? Jak cię dopadną, to nie popuszczą. A pan? Gdzie pan spędził wojnę?

– A, to tu, to tam. Większą część w Toledo.

– W środku Alkazaru czy poza Alkazarem?

– A czy to nie wszystko jedno?

– Wspomnienia?

Vargas rozpiął koszulę i pokazał jej okrągłą szramę z prawej strony torsu.

– Mogę? – spytała Alicja.

Vargas przytaknął. Alicja nachyliła się i delikatnie dotknęła blizny. Stojącemu za barem kelnerowi szklanka, którą wycierał, wypadła z rąk i z hukiem rozbiła się o podłogę.

– No, porządna rana – stwierdziła Alicja. – Boli?

Vargas zapiął koszulę.

– Tylko gdy się śmieję. Poważnie.

– W tej robocie to pan pewnie nawet na aspirynę nie zarabia.

Vargas w końcu się uśmiechnął. Alicja uniosła szklankę.

– No to za to, co nas boli.

Wypili i dokończyli swoje dania w milczeniu, Vargas skwapliwie wycierając talerz bułką, Alicja zaś dziobiąc widelcem kolejne kawałeczki steku. Kiedy w końcu odsunęła talerz na bok, Vargas zaczął podbierać pozostawione przez nią, a właściwie nietknięte ziemniaki.

– Dobra, to jaki jest plan na dzisiejsze popołudnie?

– Pomyślałam, że mógłby pan pojechać do Komendy Głównej i uzyskać kopię listów Salgada, a przy okazji zorientować się, czy na tym froncie pojawiło się coś nowego. A gdyby jeszcze starczyło panu czasu, to mógłby pan odwiedzić owego Cascosa z wydawnictwa Ariadna. Coś tam nie gra.

– A nie wolałaby pani odwiedzić go razem ze mną?

– Mam inne plany. Zamierzam złożyć wizytę staremu przyjacielowi, niewykluczone, że trochę nam pomoże. Lepiej, żebym odwiedziła go sama. Ma swoje dziwactwa.

– Jak rozumiem, jest to, jak to wśród starych przyjaciół, warunek sine qua non. Chodzi o konsultacje w sprawie książki?

– Tak.

Vargas dał znak kelnerowi, by ten wystawił im rachunek.

– A może kawy, jakiś deser, coś jeszcze?

– W samochodzie może mnie pan poczęstować jednym z tych swoich importowanych papierosów – odparła Alicja.

– Mam nadzieję, że nie jest to żaden podstęp, żeby uwolnić się ode mnie przy pierwszej lepszej okazji?

Alicja zaprzeczyła.

– O siódmej widzimy się w Café Gijón i wymieniamy się informacjami. – Vargas spojrział na nią groźnie.

Uroczyście uniosła dłoń.

– Przyrzekam.

– To już brzmi lepiej. Gdzie mam panią zostawić?

– Na Recoletos. Ma pan po drodze.

12

W roku, w którym Alicja Gris przyjechała do Madrytu, jej mentor i przełożony Leandro Montalvo nauczył ją, że każdemu, kto pragnie zachować zdrowy rozsądek, niezbędne jest na tym świecie miejsce, w którym będzie mógł i będzie chciał się zgubić. Miejscem tym, ostatnim azylem, jest drobny zakamarek duszy, do którego można uciec, schronić się, a potem zamknąć się i wyrzucić klucz, gdy świat w absurdalnej komedii zmierza ku katastrofie. Leandro zawsze miał rację i była to jedna z jego najbardziej irytujących cech. Z czasem Alicja uległa tej oczywistej prawdzie i zdecydowała, że właśnie nadszedł czas, kiedy powinna znaleźć swój azyl, bo absurd świata przestał jej się wydawać przypadkową komedią, a stał się najzwyczajszą rutyną. Przynajmniej raz los zechciał obdarzyć ją szczęśliwą kartą. Jak wszystkie wielkie spotkania, zdarzyło się to w najmniej spodziewanym momencie.

Pewnego dnia owej pierwszej jesieni w Madrycie przechadzała się bez

celu plantami Recoletos. Nagle rozpętała się ulewa. Alicja dostrzegła pomiędzy drzewami pałac w stylu klasycystycznym i uznawszy, że jest to najpewniej jedno z madryckich muzeów, postanowiła dotrzeć tam jak najszybciej i w tym budynku przeczekać deszcz. Przemoczona do suchej nitki pokonała schody, wzdłuż których stały wspaniałe posągi, i nie zwróciła uwagi na wygrawerowane na tabliczce napisy. Na próg wychynał ciekawy ulewy osobnik o wyglądzie flegmatyka i sowim spojrzeniu. Zobaczył wspinającą się po schodach Alicję. Drapieżny wzrok spoczął na niej, jakby miał do czynienia z pomniejszym gryzoniem.

– Dzień dobry. Co tu wystawiają? – naprędce skleciła pytanie Alicja.

Osobnik, najwyraźniej niczym niewzruszony, ogarnął ją lupą swych źrenic.

– Wystawiamy, proszę pani, cierpliwość, a niekiedy zadziwienie beczelną ignorancją. To jest Biblioteka Narodowa.

Czy to z litości, czy też z nudów rycerz sowiego spojrzenia raczył ją poinformować, że oto postawiła stopę w jednej z największych księżnic świata, że w jej wnętrzu czeka na nią ponad dwadzieścia pięć milionów woluminów i że jeśli przybyła tu z intencją skorzystania z toalety lub też z zamiarem przejrzenia magazynów mody w wielkiej czytelni, to może już szykować się do odwrotu i oddać się łapaniu zapalenia płuc czy innej gryzonozy.

– Czy nie będzie zbyt śmiałością z mej strony, jeśli zapytam, kim jest wasza miłość?

– Z waszych miłości nie widziałem ani jednej już od wielu lat, ale jeśli pani odnosi się do mojej skromnej osoby, wystarczy, że powiem, iż dyktuję tej instytucji, a jedna z moich ulubionych form spędzania wolnego czasu polega na wyprasaniu nieuków i intruzów na ulicę.

– Ale ja chciałam się tu zapisać i zostać członkiem.

– A ja chciałem napisać *David Copperfielda*, a jestem tu, gdzie jestem, ze szronem na głowie i bez znaczącej bibliografii. Jak się pani nazywa, śliczności?

– Alicja Gris do usług, tak pana, jak i Hiszpanii.

– Fakt, że swym nazwiskiem nie podpisałem żadnego dzieła, które potomność mogłaby zaliczyć do klasyki, nie oznacza, iż nie potrafię wyczuć

ironii albo impertynencji. Odnośnie do Hiszpanii przemilczę i nie będę się wypowiadał w jej imieniu, bo od jej rzeczników trudno jest się ostatnimi czasy opędzić, ale jeśli chodzi o mnie, nie bardzo pojmuję, czym też mogłaby pani mi być usłużna, poza wykazywaniem mi, oczywiście, jak bardzo jestem posunięty w latach. Niemniej jednak nie mam się za gbura i jeśli pani pragnienie przyłączenia się do naszych członków jest szczere, nie ja będę tym, który będzie panią trzymał w analfabetyzmie strukturalnym. Proszę pozwolić, że się przedstawię: nazywam się Bermeo Pumares.

– To dla mnie zaszczyt. Oddaję się w pańskie ręce, aby otrzymać wykształcenie, które wyrwie mnie z niewiedzy i otworzy podwoje do tej Arkadii pod pana przewodem.

Bermeo Pumares nastroszył brwi, doceniając swą oponentkę.

– Zaczynam ulegać nieokreślonemu wrażeniu, że potrafi się pani sama wyrwać, bez niczyjej pomocy, i że pani niewiedza jest nieporównywalnie mniejszego kalibru niż pani śmiałość, panno Gris. Świadom jestem, że z winy encyklopedycznej zachłanności mój dyskurs przesadnie zdryfował ku barokowości, ale nie oznacza to, że musi pani kpić sobie ze starego profesora.

– W życiu nie śmiałabym uczynić niczego podobnego.

– A jakże. Poznacie ich po ich owocach. Panno Alicjo, przypadła mi pani do serca, wbrew pozorom. Proszę śmiało wchodzić i podejść do kontuaru. Proszę powiedzieć Puri, że Pumares polecił wyrobić pani kartę członkowską.

– A jak mam się odwdzięczyć?

– Przychodząc tu i czytając dobre książki, te, które według swojego widzimisię uzna pani za warte przeczytania, a nie te, które ja czy ktokolwiek inny będzie pani polecał jako lektury konieczne i obowiązkowe, bo może i mam słabość do zbytniej kwiecistości w mowie, ale nie jestem nadgorliwym mądrąłą.

– Proszę nie mieć cienia wątpliwości, tak właśnie będę postępować.

Tego popołudnia Alicja otrzymała kartę czytelniczą Biblioteki Narodowej i spędziła pierwsze z tak później wielu popołudni w wielkiej czytelni, oddając się lekturze co poniektórych skarbów, które człowieczy talent i rozum zdołały wyczarować przez wieki. Niejednokrotnie unosząc wzrok znad książki, napotykała sobie spojrzenie don Bermea Pumaresa, który lubił czasem

przechadzać się po sali czytelnicy, by zerkać, w jakie też lektury zagłębiają się goście, a nierzadko bez najmniejszych ceregieli wyrzucać tych, którzy przybywali tu, by uciąć sobie drzemkę lub też szeptaną pogawędkę, albowiem, jak lubił mawiać, dla nierozbudzonych umysłów i głupawych pogawędek jest do dyspozycji cały zewnętrzny świat.

Po roku, gdy Alicja dała już dowody swego rzeczywistego zainteresowania książkami i potwierdziła status gorliwej czytelniczki, nadszedł dzień, w którym Bermeo Pumares poprowadził ją na zaplecze wielkiego pałacu, a następnie otworzył jej drzwi działu zamkniętego dla publiczności. Tu, wyjaśnił, znajdują się najcenniejsze skarby biblioteki, a dostęp do nich mają jedynie ci, którzy zasłużyli na wyróżnienie w postaci specjalnej karty czytelniczej, przyznawanej niektórym członkom Akademii i specjalistom, by umożliwić im prowadzenie badań.

– Nigdy mi pani nie wyznała, czym się pani zajmuje w swym wcieleniu ziemskim, ale nos mi mówi, że jest w pani coś z badacza, i nie myślę tu o odkrywaniu pochodnych penicyliny czy też o odkurzaniu zagubionych wersetów Archiprezbitera z Hity.

– Trudno byłoby mi zaprzeczyć, że nie jest pan na błędnej drodze.

– Nigdy w życiu nie był na błędnej drodze. Problemem w tym naszym ukochanym kraju są drogi, a nie wędrowcy.

– W moim przypadku drogi nie są Pańskie, ale tego, co wasza eminencja nazwałaby aparatem bezpieczeństwa państwa.

Bermeo Pumares bardzo wolno skinął głową.

– Alicjo, nie przestaje mnie pani zadziwiać. Jest pani pełna niespodzianek i lepiej nie wnikać i nie wypytywać, bo można sobie napytać biedy.

– Mądre słowa.

Pumares podał jej imienną kartę.

– W każdym razie chciałem przed odejściem upewnić się, że będzie pani posiadaczką tej specjalnej karty dla badaczy. Gdyby kiedyś miała pani chęć tu zajrzeć, może pani wejść, kiedy tylko zechce.

– Przed odejściem?

Pumares przybrał poważny wyraz twarzy.

– Sekretarz ministra don Mauricia Vallsa uznał za wskazane przekazać do mojej wiadomości, że zostałem zwolniony z dotychczasowej funkcji z efektem wstecznym, co oznacza, iż moim ostatnim dniem pracy na czele tej instytucji była wczorajsza środa. Na decyzję pana ministra wpłynęły ponoć różnorodne czynniki, spośród których do najważniejszych należy z jednej strony brak okazywania przez moją osobę większego zapału najświętszym – czy też jakie by one były – pryncypiom Movimiento, z drugiej zaś zainteresowanie, jakie okazał szwagier jednego z prominentów ojczyzny objęciem dyrekcji Biblioteki Narodowej. Widocznie jakiś nieuk sądzi, że ranga stanowiska równa jest w określonych kręgach zaproszeniu do łoża prezesa Realu Madryt.

– Bardzo mi przykro, don Bermeo. Naprawdę.

– Panno Alicjo, niech pani zostawi sobie odczuwanie przykrości na inną okazję. Rzadko kiedy w historii tego kraju trafiał się na czele instytucji kulturalnej ktoś do tej roli wykwalifikowany albo przynajmniej nie całkiem niekompetentny. Po to istnieje cały system bardzo ścisłej kontroli i po to zatrudniony jest nader liczny personel, by nie daj Boże, do czegoś takiego nie doszło. Zasługokracja i klimat śródziemnomorski są siłą rzeczy niekompatybilne. To cena, którą płacimy za najlepszą oliwę na świecie, jak sądzę. Żeby doświadczony bibliotekarz został szefem Biblioteki Narodowej Hiszpanii, choćby i tylko na czternaście miesięcy, było takim wypadkiem nieprzewidzianym i nieprzemysłanym, któremu dalekowzroczone umysły kierujące naszymi losami postanowiły położyć kres, tym bardziej że przecież istnieje niezliczony krąg kumpli i krewnych, którym trzeba zaoferować stanowisko. Cóż ja mogę powiedzieć, Alicjo? Jedyne to, że bardzo mi będzie panny brakować. I panny, i tajemnic panny, i waćpanny uszczypliwości.

– I z wzajemnością.

– Wracam do mego pięknego Toledo czy też do tego, co z niego zostało, z nadzieją, że uda mi się wynająć stancję w zacisznym zakątku na jednym ze wzgórz z widokiem na miasto, gdzie będę mógł dożyć mych starczych dni, sikając na brzegu Tagu i po raz setny czytając co celniejsze stronic Cervantesa i wszystkich jego przeciwników, z których znakomita większość żyła w pobliżu tego miejsca i nikomu z nich nie udało się zapobiec dryfowaniu tej łodzi, pomimo całego złota i poetyckich wzlotów ich wspaniałego stulecia.

– A nie mogłabym służyć panu pomocą? Poezja to nie moja specjalność, ale

byłby pan zaskoczony gamą środków stylistycznych, jakie mam w zanadrzu, i łatwością, z jaką po nie sięgam, aby wstrząsnąć tym, czym wstrząsnąć się ponoć absolutnie nie daje.

Pumares patrzył na nią długo.

– Nie byłbym zaskoczony; bałbym się, bo ja jestem chojrak tylko wobec głupców. A ponadto, choć może nie zdaje sobie pani z tego sprawy, już mi pani bardzo pomogła. Szczęścia życzę, panno Alicjo.

– Szczęścia, mistrzu.

Bermeo Pumares uśmiechnął się od ucha do ucha. Po raz pierwszy i ostatni Alicja zobaczyła, że potrafi się tak uśmiechnąć. Mocno uściśnął jej dłoń i ściszył głos.

– Proszę mi coś powiedzieć, panno Alicjo. Ciekawość, pani uwielbienie dla parnasu, pęd do wiedzy czy inne przykładowe powody? Co panią tak naprawdę sprowadza do tego miejsca?

Wzruszyła ramionami.

– Wspomnienie – odparła.

Bibliotekarz ściągnął brwi zaciekawiony.

– Wspomnienie z dzieciństwa. Coś, co mi się kiedyś śniło, kiedy byłam bliska śmierci. Dawno temu. Katedra wzniesiona z książek...

– A gdzie to było?

– W Barcelonie. Podczas wojny.

Bibliotekarz niespiesznie skinął głową, uśmiechając się do siebie.

– I mówi pani, że się to pani śniło? Jest pani tego pewna?

– Prawie pewna.

– Przeświadczenie pokrzepia, ale jedynie wątpiąc, człowiek się uczy. I coś jeszcze. Nadejdzie taki dzień, kiedy będzie musiała pani gmerać tam, gdzie nie powinna pani tego robić, i w konsekwencji wzburzy pani mętne wody. A wiem to, bo nie jest pani ani pierwszą, ani ostatnią osobą, która zjawia się w tych progach z tym samym cieniem w oczach. Kiedy zaś nadejdzie ten dzień, a nadejdzie, to proszę sobie zakarbować, że ta firma kryje znacznie więcej rzeczy, niż się wydaje, i że tacy jak ja przychodzą i odchodzą, ale jest tu ktoś, kto kiedyś mógłby być pani bardzo pomocny.

Pumares wskazał czarne drzwi w głębi rozległej galerii łuków i regałów wypełnionych książkami.

– Za tymi drzwiami znajdują się schody prowadzące do piwnic Biblioteki Narodowej. Całe piętra niekończących się korytarzy z milionami książek, wiele inkunabułów. Tylko podczas wojny przybyło w zbiorach pół miliona woluminów, które przywieziono tu, żeby uchronić je przed spalaniem. Ale to nie wszystko, co można znaleźć tam w dole. Nigdy pani nie słyszała legendy o wampirze z pałacu na Recoletos, prawda?

– Nie.

– Ale jak śmiem przypuszczać, sama myśl mogłaby panią zaintrygować, choćby ze względu na aspekt rodem z powieści groszowej.

– Nie przeczę, ale mówi pan poważnie?

Pumares puścił do niej oko.

– Powiedziałem już pani w swoim czasie, że mimo pozorów potrafię docenić ironię. Pozostawiam panią z tą myślą, niech się ucukruje i uleży. I oczywiście mam nadzieję, że nie przestanie pani zachodzić w te progi czy też odwiedzać miejsce podobne.

– Nie przestanę w intencji pańskiego zdrowia.

– Lepiej niech to pani czyni w intencji zdrowego świata, bo z nim ostatnio nie najlepiej. I proszę na siebie uważać, panno Alicjo. Niech pani odnajdzie drogę, którą ja przegapiłem.

I tak oto, nie wypowiedziawszy już ani słowa więcej, don Bermeo Pumares po raz ostatni przeszedł przez salę badaczy, następnie przez wielką czytelną Biblioteki Narodowej i nie zatrzymując się i nie oglądając ani razu, przekroczył próg, by ruszyć plantami Recoletos ku zapomnieniu, kolejna kropla w nieprzeniknionej mżawce niezliczonych i przegranych istnień w szarości ówczesnej Hiszpanii.

I tak też, wiele miesięcy później, nadszedł dzień, w którym ciekawość okazała się silniejsza od przezorności, i Alicja postanowiła przekroczyć próg owych czarnych drzwi i zanurzyć się w mroki piwnic ukrytych pod Biblioteką Narodową, żeby zgłębić jej sekrety.

Legenda to kłamstwo obmyślane po to, by wyjaśnić jakąś prawdę uniwersalną. Miejsca, w których kłamstwo i miraż zatrzymują ziemię, są szczególnie żyzne dla jej uprawy. Za pierwszym razem, kiedy Alicja zgubiła się w mrocznych korytarzach piwnic Biblioteki Narodowej w poszukiwaniu domniemanego wampira i jego legendy, odnalazła jedynie podziemne miasto zaludnione setkami tysięcy książek wyczekujących w milczeniu pośród pajęczyn i ech.

Niewiele jest okazji, by życie pozwoliło komuś przechadzać się poprzez własne sny i dotykać rękoma straconych wspomnień. Przemierzając owo miejsce, Alicja niejednokrotnie zatrzymywała się w półmroku, pewna, że zaraz znów usłyszy wybuchy bomb i metaliczne wycie samolotów. Po paru godzinach błądzenia piętro po piętrze jedynymi żywymi duszami, na jakie się natknęła, była para robaczków, smakoszy papieru książkowego, która wspinała się po grzbiecie zbioru poezji Schillera w poszukiwaniu podwieczorku. Podczas drugiej wyprawy, wyposażona tym razem w latarkę, którą kupiła w sklepie żelaznym przy placu Callao, nie spotkała się nawet ze znajomymi robaczkami, ale po półtorej godziny eksploracji znalazła przy wyjściu przybitą szpilką kartkę, na której był następujący tekst:

Ładna latarka.

Nigdy nie zmienia pani żakietu?

W tym kraju to niemal ekstrawagancja.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Virgilio

Następnego dnia Alicja wstąpiła ponownie do sklepu żelaznego, żeby kupić drugą, identyczną latarkę i zestaw baterii. W tym samym podniszczonym żakiecie zapuściła się w najgłębsze zakamarki najniższego piętra i zajęła

miejsce przy kolekcji powieści sióstr Brontë, swoich ulubionych lektur od czasów sierocińca Patronato Ribas. Tam odwinęła bułkę ze smażonym schabem, którą przygotowano jej w Café Gijón, i otworzyła butelkę piwa. Zaspokoiwszy głód, zdrzemnęła się na chwilę.

Obudziły ją stawiane w cieniu kroki, lekkie niczym piórka prześlizgujące się powłóczyście po kurzu. Otworzyła oczy i dostrzegła igły bursztynowego światła przeciskające się z drugiej strony regałów przez szczeliny między książkami. Bańka światła przemieszczała się powoli niczym meduza. Alicja wstała i strzepnęła okruchy bułki z kłap żakietu. Parę sekund później sylwetka zakręciła na rogu korytarza i jakby nieco szybciej zaczęła zbliżać się do Alicji. Pierwszym szczegółem, który zwrócił jej uwagę, były niebieskie oczy, oczy, które dorastały w ciemnościach. Skóra blada jak stronice książki przed napisaniem, włosy proste, zaczesane do tyłu.

– Przyniosłam panu latarkę – odezwała się Alicja. – I baterie.

– Miły gest.

Głos był ochrypły i osobliwie wysoki.

– Nazywam się Alicja Gris. Domniemywam, że pan to Virgilio.

– We własnej osobie.

– To oczywiście czczy formalność, niemniej muszę pana zapytać, czy jest pan wampirem.

Virgilio uśmiechnął się zdziwiony. Gris pomyślała, że kiedy się uśmiecha, wygląda jak murena.

– Gdybym nim był, już bym padł bez życia z powodu zapachu czosnku, jaki bije od bułki, którą pani wtranzoliła.

– To znaczy, że nie pije pan ludzkiej krwi.

– Wolę sok pomarańczowy, może być TriNaranjus. Te pytania to pani tak z głowy czy ma je pani zapisane?

– Obawiam się, że jestem ofiarą ponurego żartu – westchnęła Alicja.

– Jak my wszyscy. Oto istota życia. No dobrze, czym mogę pani służyć?

– Pan Bermeo Pumares mówił mi o panu.

– Mogłem się domyślić. Scholastyczne poczucie humoru.

– Pan Pumares zasugerował mi, że jeśli zajdzie taka konieczność, pan

będzie mógł mi pomóc.

– I co? Zaszła?

– Nie jestem pewna.

– To znaczy, że nie zaszła. Mogę zobaczyć tę latarkę?

– Należy do pana.

Virgilio przyjął prezent, rozpakował i zaczął mu się przyglądać.

– Od ilu już lat pan tu pracuje? – chciała się dowiedzieć Alicja.

– Jakieś trzydzieści pięć. Zacząłem razem z ojcem.

– Pański ojciec też zamieszkiwał na tych głębokościach?

– Chyba nas pani myli z jakąś rodziną skorupiaków.

– Tak się zaczyna legenda o bibliotekarzu wampirze?

Virgilio wybuchnął śmiechem. Jego śmiech był jak papier ścierny.

– Nigdy nie było takiej legendy – oświadczył.

– Wymyślił ją pan Pumares, żeby sobie ze mnie zakpić?

– Z formalnego punktu widzenia nie on ją wymyślił. Wziął ją z powieści Juliana Caraxa.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Prawie nikt o nim nie słyszał. A szkoda. Ta powieść jest cholernie wciągająca. Rzec jest o diabolicznym mordercy, który żyje w ukryciu w podziemiach paryskiej Biblioteki Narodowej i używa krwi swoich ofiar, by napisać demoniczną księgę, dzięki której ma nadzieję zakląć samego szatana. Czysta rozkosz. Jeśli ją znajdę, to pożyczę ją pani. Proszę mi powiedzieć, pani jest policjantką czy kimś w tym rodzaju?

– Raczej kimś w tym rodzaju.

W ciągu tego roku Alicja między jedną a drugą brudną, jeśli nie mokną robotą, którą musiała wykonać na zlecenie Leandra, czekała na okazję i czasem nawet na nią natrafiła, by w wolnej chwili odwiedzić Virgilia w jego podziemnym królestwie. Z czasem bibliotekarz stał się jej jedynym prawdziwym przyjacielem w tym mieście. Zawsze miał dla niej pakiet książek do wypożyczenia i zawsze trafiał w jej gust i oczekiwania.

– A tak przy okazji, i proszę nie mieć mi tego od razu za złe, czy nie miałyby pani ochoty pójść ze mną do kina któregoś wieczoru?

– Zawsze, ale pod warunkiem, że nie będzie to żywot świętego albo żywot człowieka poczciwego.

– A niech mnie nieśmiertelny duch don Miguela de Cervantesa piorunem trzaśnie na miejscu, jeśli któregoś dnia przyjdzie mi do głowy zaproponować pani, byśmy poszli obejrzyć jakąś epopeję o tryumfie ducha ludzkiego.

– Amen – podsumowała Alicja.

Czasem, kiedy Alicja nie miała żadnego zlecenia, szli razem do któregoś z kin na Gran Vía na ostatni seans. Virgilio uwielbiał technikolor, opowieści biblijne i filmy o Rzymianach, bo w ten sposób mógł zobaczyć słońce i bez żadnego skrępowania napawać oczy muskularnymi torsami gladiatorów. Pewnej nocy, kiedy wyszli z *Quo vadis?* i Virgilio odprowadzał ją do hotelu Hispania, Alicja przystanęła przed witryną jednej z księgarń na Gran Vía. Bibliotekarz zatrzymawszy się parę kroków od niej, przyglądał jej się długo.

– Alicjo, gdyby była pani chłopczykiem, poprosiłbym panią o rękę i żylibyśmy długo i szczęśliwie w bezprawnym konkubinacie.

Dziewczyna podała mu rękę. Virgilio ucałował jej dłoń.

– Takie piękne rzeczy potrafi pan mówić, Virgilio.

Mężczyzna uśmiechnął się. W jego spojrzeniu skupiał się cały smutek świata.

– Takie są korzyści płynące z odczytania: człowiek zna już wszystkie wiersze i fortele losu.

Czasem w sobotę wieczorem Alicja kupowała kilka butelek TriNaranjusa i udawała się do biblioteki, by wysłuchiwać opowieści Virgilia o mrocznych autorach, o których nikt nigdy nie słyszał i których przekłete biografie leżały zapieczetowane w bibliograficznej krypcie w ostatniej piwnicy.

– Alicjo, ja wiem, że to nie moja sprawa, ale ten pani problem z biodrem... Co się właściwie stało?

– Wojna.

– Proszę mi opowiedzieć.

– Nie lubię o tym mówić.

– Wyobrażam sobie. Ale właśnie dlatego proszę opowiedzieć. Dobrze to pani zrobi.

Alicja nikomu dotąd nie opowiedziała historii o tym, jak nieznajomy mężczyzna uratował jej życie tej nocy, kiedy lotnictwo Mussoliniego, zaprzęgnięte w służbę wojsk narodowców, zbombardowało Barcelonę bez litości. Zaskoczona była brzmieniem swojego głosu i tym, że pamięta wszystko do najdrobniejszego szczegółu, że wciąż jeszcze wyczuwa w powietrzu woń siarki i smród spalonych ciał.

– I nigdy się pani nie dowiedziała, kim był ten mężczyzna?

– To był przyjaciel moich rodziców. Ktoś, kto ich szczerze kochał.

Dopiero kiedy Virgilio wyciągnął ku niej chusteczkę, zdała sobie sprawę, że płacze i że mimo wstydu i złości nie może przestać.

– Nigdy nie widziałem pani płaczącej.

– Pan nie widział i nikt nie widział. I oby to było po raz ostatni.

Tego popołudnia, po wizycie w Villi Mercedes i wysłaniu Vargasa na przespiegi do Komendy Głównej, Alicja znowu zawitała w Bibliotece Narodowej. Należała już do tak częstych gości, że nawet nie musiała okazywać swojej karty. Przeszła przez salę czytelników i skierowała się do działu zarezerwowanego dla badaczy. Spora liczba uczonych akademików spała z otwartymi oczyma nad biurkami. Alicja przeszła dyskretnie ku czarnym drzwiom znajdującym się w głębi galerii. Z upływem lat rozszyfrowała nawyki Virgilia, wykoncypowała więc, że o tej porze porządkuje niewątpliwie na trzecim poziomie inkunabuły studiowane rano przez badaczy. I tam go rzeczywiście spotkała, jak uzbrojony w latarkę, którą mu podarowała, gwiżdżąc melodyjkę z radia, poruszał niespiesznie swym bladym szkieletem. Uznała ten niepowtarzalny widok za absolutnie godny jego legendy.

– Fascynuje mnie pańskie wyczucie tropikalnych rytmów.

– Zew rytmu to zew krwi. Czy dzisiaj wypuszczono panią przed czasem, czy mnie się coś pomerdało z dniem tygodnia?

– Przychodzę z wizytą półoficjalną.

– Chyba nie chce mi pani powiedzieć, że jestem aresztowany.

– Nie, ale pańska wiedza zostaje czasowo zatrzymana i oddana w służbę

interesu narodowego.

– Wobec takiego obrotu sprawy grzecznie słucham.

– Chciałabym, żeby się pan czemuś przyjrzał.

Alicja wyciągnęła książkę, którą znalazła ukrytą w biurku Vallsa, i podała bibliotekarzowi. Virgilio wziął ją do ręki i zapalił latarkę. Ujrzawszy na stronie tytułowej rysunek kręconych schodów, spojrział na Alicję badawczo.

– Czy pani zdaje sobie w ogóle sprawę z tego, co to jest?

– Łudzę się, że właśnie pan mi to wyjaśni.

Virgilio spojrział przez ramię, jakby bał się, że nie są w korytarzu sami, i ruchem głowy dał znak Alicji.

– Lepiej przejdźmy do mojego biura.

Biurem Virgilia było ciasne pomieszczenie w głębi korytarza znajdującego się na najniższym poziomie. Pokoik sprawiał wrażenie, jakby wytrysnął ze ścian w wyniku naporu milionów książek nagromadzonych piętro po piętrze. Był czymś w rodzaju kabiny skleconej z tomów, segregatorów, skoroszytów oraz wszelkiego rodzaju dziwnych przedmiotów od szklanek z pędzelkami i igłami do szycia po soczewki, lupy i tuby z barwnikami. Alicja domyśliła się, że w tym miejscu Virgilio przeprowadza naprędce zabiegi chirurgiczne ratujące i restaurujące wyniszczone egzemplarze. Najważniejszym meblem w tej pakamerze była mała lodówka. Virgilio otworzył ją. Alicja zauważyła, że lodówka jest po brzegi wypełniona butelkami TriNaranjusa. Bibliotekarz wyjął dwie, otworzył je i nałożywszy swoje okulary z lupą, położył książkę na skrawku czerwonego aksamitu, a na dłonie włożył cienkie jedwabne rękawiczki.

– Z całego ceremoniału, jaki pan tu odprawia, wnoszę, że ten egzemplarz to wielka rzadkość...

– Pss – uciszył ją Virgilio.

Przez kilka minut Alicja przyglądała się, jak zafascynowany Virgilio bada książkę Victora Mataixa, rozkoszując się każdą przewracaną stroną, pieścąc każdą ilustrację i smakując każdą rycinę, jakby miał przed sobą jakieś diaboliczne delicje.

– Virgilio, zaczyna mnie pan wkurzać. Może pan coś wreszcie, do jasnej cholery, powiedzieć?

Bibliotekarz odwrócił się, przesywając ją lodowato niebieskimi źrenicami powiększonymi przez lupy zegarmistrzowskich okularów.

– Przypuszczam, że nie może mi pani powiedzieć, skąd pani to wzięła – zaczął.

– I prawidłowo pan przypuszcza.

– To egzemplarz kolekcjonerski. Jeśli pani zechce, mogę wskazać, komu można go zaproponować za bardzo dobrą cenę, chociaż trzeba być wyjątkowo ostrożnym, bo ta książka jest na liście książek zakazanych nie tylko przez rząd, ale i przez Świętą Matkę Kościół.

– I ta, i setki innych. Co może mi pan o niej powiedzieć, czego sama nie potrafiłabym sobie wyobrazić?

Virgilio zdjął okulary powiększające i jednym haustem opróżnił pół butelki TriNaranjusa.

– Przepraszam, wzruszyłem się – wyznał. – Od dwudziestu co najmniej lat nie widziałem żadnego z tych cukiereczków...

Rozłożył się na swym dziurawym fotelu. Oczy mu świeciły. Alicja już wiedziała, że przepowiadany przez Bermea Pumaresa dzień właśnie nadszedł.

14

– O ile dobrze wiem – zaczął Virgilio – w latach tysiąc dziewięćset trzydzieści jeden – tysiąc dziewięćset trzydzieści osiem opublikowano w Barcelonie osiem książek z serii „Labirynt duchów”. O ich autorze, Victorze Mataixu, wiele pani nie powiem. Wiem tyle, że pracował dorywczo jako ilustrator książek dla dzieci, że wydał pod pseudonimem kilka powieści w nieistniejącym już, podrzędnym wydawnictwie Barrido i Escobillas i że kiedyś przebąkiwano, iż jest nieślubnym synem barcelońskiego przemysłowca, reemigranta z Ameryki Łacińskiej, który wyrzekł się dziecka i zerwał z jego matką, całkiem w swoim czasie popularną aktorką teatrów z Paralelo. Mataix

pracował również jako scenograf i projektant katalogów dla producenta zabawek z Igualady. W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym wydał pierwszy tom „Labiryntu duchów” zatytułowany *Ariadna i Zanurzona Katedra*. W wydawnictwie Orbe, jeśli się nie mylę.

– Czy określenie „wejście do labiryntu” ma dla pana jakieś szczególne znaczenie?

Virgilio przechylił głowę.

– No cóż, w tym wypadku labiryntem jest miasto.

– Barcelona.

– Ta inna Barcelona. Barcelona z książek.

– Coś w rodzaju piekła.

– Mniej więcej.

– A gdzie jest to wejście?

Virgilio wzruszył ramionami zamyślony.

– Miasto zazwyczaj ma wiele wejść. Nie wiem. Muszę pomyśleć. Mogę?

Alicja przytaknęła.

– A owa Ariadna? Kim jest?

– Niech pani przeczyta książkę. Zapewniam, że warto.

– A mogę poprosić o parę słów na zachętę?

– To dziewczynka, bohaterka całej serii. Tak miała na imię starsza z córek Mataixa, dla niej przypuszczalnie napisał te książki. Bohaterka jest w jakiejś mierze odzwierciedleniem jego córki. Mataix inspirował się również obydwoma częściami *Alicji w Krainie Czarów*, ulubionymi książkami córki. Fascynujące, nieprawdaż?

– Nie widzi pan, jak się trzęsę z podniecenia?

– Kiedy zaczyna pani tak brykać, nie daje się z panią wytrzymać.

– Pan ze mną wytrzymuje i dlatego tak bardzo pana kocham. Proszę mi jeszcze coś opowiedzieć.

– I za jakie ja grzechy cierpię! Bezzennym ci ja, a jedyne widoki na przyszłość to *Carmilla* Sheridana Le Fanu.

– Książka, Virgilio, książka...

– Rzecz w tym, że Ariadna była jego Alicją i zamiast Krainy Czarów wymyślił Barcelonę okrutną, piekielną, z koszmaru sennego. Miejsce akcji, odgrywające rolę równie ważną, jeśli nawet nie ważniejszą, jak Ariadna, i ekstrawaganckie postacie, które bohaterka spotyka w trakcie swych przygód, stają się z każdą kolejną książką coraz bardziej złowrogie. W ostatnim znanym tomie, wydanym już w pełni wojny domowej i noszącym tytuł, który brzmiał mniej więcej *Ariadna i Machiny Averno*, opowieść jest o tym, jak do oblężonego miasta w końcu wdzierają się wraże wojska i dochodzi do rzezi, przy której upadek Konstantynopola to burlaska z Flipem i Flapem.

– Ostatni znany tom? Dobrze usłyszałam?

– Ponoć Mataix, zanim po wojnie zniknął, kończył właśnie dziewiąty i ostatni tom serii. Faktem jest, że wiele lat temu w środowisku kolekcjonerów, zwłaszcza tych dobrze poinformowanych, proponowano spore pieniądze komukolwiek, kto zdobyłby egzemplarz manuskryptu, ale o ile mi wiadomo, nigdy tego rękopisu nie odnaleziono.

– A jak zniknął Mataix?

Virgilio wzruszył ramionami.

– Barcelona po wojnie? Nie było chyba lepszego miejsca, żeby zniknąć.

– A można znaleźć więcej tytułów tej serii?

Virgilio opróżnił butelkę TriNaranjusa, powoli kręcąc głową.

– Nie sądzę. Jakieś dziesięć, dwanaście lat temu słyszałem, że ktoś znalazł dwa lub trzy egzemplarze „Labiryntu” na dnie pudła w piwnicy sewilskiej księgarni Cervantes i że zapłacono za nie bardzo, ale to bardzo dobrze. Ale skłonny jestem twierdzić, że obecnie coś takiego można znaleźć jedynie w księgarni antykwariusza Costy w Vic albo w Barcelonie. Może u Gustava Barceló, może, choć przy dużym szczęściu, u Sempere. Ale nie ma co się łudzić

– Sempere i Synowie?

Virgilio spojrzał na nią zaskoczony.

– Zna pani tę księgarnię?

– Ze słyszenia.

– Ja bym najpierw spróbował z Barceló. Specjalizuje się w unikatowych

drukach i ma kontakty z kolekcjonerami z najwyższej półki. I jeśli Costa coś ma, to Barceló prędzej czy później się o tym dowie.

– A ów pan Barceló byłby gotów ze mną porozmawiać?

– Z tego, co wiem, Barceló właściwie zaprzestał już swej działalności i przeszedł w stan może niepełnego, ale jednak spoczynku, niemniej zawsze ma czas dla kobiety o nienaganej prezencji. Pani mnie rozumie.

– Zrobię się na bóstwo.

– Szkoda, że mnie tam nie będzie. Nie powie mi pani, co się za tym wszystkim kryje, prawda?

– Jeszcze sama tego nie wiem, Virgilio.

– A mogę mieć prośbę?

– Ależ oczywiście.

– Kiedy ta sprawa, nad którą teraz pani pracuje, się skończy, o ile się skończy, i wyjdzie pani z tego cało, i zachowa pani książkę, to proszę mi ją przynieść. Bardzo bym chciał spędzić z nią parę godzin sam na sam.

– A dlaczego mam nie wyjść z tego cało?

– A czy ja wiem? Jeśli te poszczególne tomy „Labiryntu” Mataixa coś wyróżnia, to to, że każdy, kto ich dotknie, kończy źle.

– Kolejna pańska legenda?

– Nie. To już jest prawda.

Pod koniec dziewiętnastego wieku od świata oderwała się wyspa w formie kawiarni literackiej i salonu zjaw. Od tamtej pory, zastygła w czasie, na łasce prądów historii błądzi po przestronnych plantach urojonego Madrytu. Tam osiadła pod banderą Café Gijón i tam można się na nią natknąć, parę kroków od pałacu Biblioteki Narodowej. Trwa, gotowa ratować z katastrofy każdego, kto przybywa do niej spragniony duchowo lub po prostu złakniony strawy, jakby była ogromną, dryfującą klepsydrą piaskową, w której za cenę małej kawy największy szaraczek może przejrzeć się w lustrze pamięci i uwierzyć, przez chwilę, że będzie żył wiecznie.

Zapadał zmierzch, kiedy Alicja przeszedłszy przez planty, skierowała się ku drzwiom Café Gijón. Vargas warował, siedząc przy stoliku tuż przy oknie,

i smakował swojego importowanego papierosa, przyglądając się przechodniom okiem policjanta. Ujrawszy Alicję, pomachał do niej. Alicja przysiadła się, zamówiwszy w locie u przechodzącego właśnie kelnera kawę z mlekiem, żeby otrząsnąć się z zimna, jakie zaczęło ją przenikać w piwnicach biblioteki.

– Długo pan na mnie czeka? – spytała Alicja.

– Całe życie. Jest pani mądrzejsza po dzisiejszym popołudniu?

– To zależy. A pan?

– Nie mam co narzekać. Pojechałem najpierw do wydawnictwa Vallsa, żeby spotkać się z tym Pablem Cascosem Buendią. Ma pani rację. Tam coś nie gra.

– A jaśniej?

– Sam Cascos to nic nieznaczący pionek, chociaż, trzeba mu to przyznać, z dużym o sobie mniemaniem.

– Im głupszy, tym większy kogut – skwitowała Alicja.

– Na dzień dobry nasz miły pan Cascos oprowadził mnie po całym wydawnictwie, przy okazji wychwalając i wysławiając na każdym kroku osobę i przykładowy żywot don Mauricia, jakby od tego zależało jego życie.

– I prawdopodobnie wcale nie jest w błędzie. Ludzie pokroju Vallsa zwykli ciągnąć za sobą niekończący się orszak fagasów i włazidupków.

– No, w tym wydawnictwie aż się roi od jednych i drugich. Nieistotne, bo znacznie ciekawsze jest to, że Cascos był cały czas jakiś niespokojny. Coś czuł i nieustannie zadawał pytania.

– A powiedział, dlaczego Valls go wezwał do swojej rezydencji?

– Musiałem go trochę przycisnąć, bo z początku nie był skory do wynurzeń.

– A mnie się to i owo wypomina.

– Nie będę owijał w bawełnę: karierowicze i gówniarze mają u mnie przesrane.

– I co dalej?

– Zaraz, spokojnie, muszę zajrzeć do notesu, bo pojawiło się kilka ciekawostek. – Vargas podjął wątek. – O, tu jest. Uwaga. Okazuje się, że nasz najdroższy don Pablito był w swych młodzieńczych latach narzeczonym

pewnej panny, a konkretnie panny Beatriz Aguilar. Otóż kiedy biedak odbywał służbę wojskową, panna Beatriz rzuciła go i wyszła za mąż w stanie, jakby ktoś powiedział, nieuchronnego macierzyństwa, za niejakiego Daniela Sempere, syna właściciela księgarni w Barcelonie Sempere i Synowie specjalizującej się w handlu używanymi książkami, ulubionej księgarni Sebastiana Salgado, który ledwo wyszedłszy z więzienia, odwiedził ją kilkakrotnie, pewnie w celu nadrobienia opóźnień i zapoznania się z nowościami literackimi z ostatnich dwudziestu lat. Jeśli pamięta pani raport załączony do akt, dwóch pracowników księgarni, z których jeden to Daniel Sempere, śledziło Salgado od księgarni do Dworca Północnego w dniu, w którym zmarł.

Spojrzenie Alicji było piorunujące.

– Proszę kontynuować.

– Wracajmy więc do naszego człowieka, Cascosa. Rzecz ma się tak, że odrzucony bohater, Cascos Buendía, chorąży i rogacz, stracił kontakt ze swoją *paramour*, słodką Beatriz, o której nasz Pablito twierdzi i gotów jest dać za to głowę, że była i jest skończoną pięknoscią. I że gdyby na tym świecie była sprawiedliwość, to pięknosc ta zostałaby jego małżonką, a nie żoną takiego ciamajdy i zera jak Daniel Sempere.

– Nie dla psa kiełbasa – podpowiedziała Alicja.

– Nie znając tej kobiety, po półgodzinie obcowania z Cascosem szczerze się ucieszyłem, jeśli chodzi o doinę Beatriz. To tyle zaszłości. A teraz skok w czasie i jesteśmy w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym, kiedy to Pablo Cascos, wciąż poszukujący pracy mimo rozesłania swojego curriculum vitae wspartego rodzinnymi rekomendacjami do większości firm w Hiszpanii, nagle odbiera nieoczekiwany telefon z wydawnictwa Ariadna ufundowanego w roku czterdziestym siódmym przez don Mauricia Vallsa, większościowego udziałowca i prezesa, jak dotąd. Zapraszają go na rozmowę i w jej trakcie składają mu ofertę podjęcia pracy w dziale handlowym jako przedstawiciel wydawnictwa na Aragonię, Katalonię i Baleary. Dobra pensja. Perspektywy awansu. Pablo Cascos akceptuje rozanielony i przystępuje do pracy. Mijają miesiące i któregoś dnia w jego gabinecie, ni z gruchy, ni z pietruchy, pojawia się don Mauricio Valls i powiadamia, że pragnie zaprosić go na kolację do Horchera.

– No, no. Wysokie progi.

– Cascosowi też wydaje się to dziwne, że prezes wydawnictwa i zarazem najbardziej znacząca osoba w kulturze hiszpańskiej zaprasza pracownika średniego szczebla, jak by powiedziała doña Mariana, którego nigdy przedtem osobiście nie poznał, i to od razu do flagowej restauracji Fascia chwalebego, w której podziemiach prawdopodobnie trzymają mumię Il Duce. Między jedną przystawką a drugą Valls wtrąca mimochodem, jakie też doszły go wspaniałe opinie o Cascosie i jego pracy w dziale handlowym.

– I Cascos to łyka?

– Otóż nie. To kretyn, ale taki głupi to już nie. Czuje, że coś tu nie gra, i zaczyna się zastanawiać, czy oferta pracy, której się podjął, jest zgodna z jego wyobrażeniami. Valls odgrywa teatr do deserów i kawy. I kiedy już są wielkimi przyjaciółmi, a minister odmalowuje mu złotą przyszłość w firmie i mówi, że rozważa jego osobę na stanowisku dyrektora handlowego wydawnictwa, wówczas wyłazi szydło z worka.

– Prośba o drobną przysługę.

– Nie inaczej. Valls wyznaje swoje uwielbienie dla księgarń starej daty, źródła i sanktuarium cudu literatury, a szczególnie dla księgarni rodziny Sempere, wobec której odczuwa szczególną słabość.

– A uściśla, skąd ta słabość?

– Nie uściśla. Staje się bardziej konkretny w wypytywaniu o rodzinę Sempere, zwłaszcza zaś o dawnego przyjaciela Isabelli, zmarłej żony właściciela i matki wspomnianego Daniela.

– A Valls znał tę Isabellę Sempere?

– Z tego, co mówił Cascos, wynikałoby, że nie tylko Isabellę, ale również jej bardzo dobrego przyjaciela. Niech pani zgadnie kogo? Otóż Davida Martina.

– Bingo.

– Ciekawe, prawda? Tajemnicze nazwisko, które zdaniem doñi Mariany padło, *in extremis*, w trakcie owej rozmowy sprzed lat pomiędzy ministrem a jego następcą na stanowisku dyrektora więzienia Montjuic.

– Mógłby pan kontynuować?

– W każdym razie Valls skonkretyzował wówczas swoją prośbę. Minister byłby dozwonnie wdzięczny, gdyby Cascos, wspierając się swym osobistym urokiem, przemyślnością i dawnym uwielbieniem dla Beatriz, ponownie się z nią skontaktował i, by tak rzec, odbudował spalone mosty.

– Czyli co? Miałby ją uwieść?

– Powiedzmy.

– Ale po co?

– Żeby sprawdzić, czy ów wspomniany David Martín jeszcze żyje, a jeśli tak, czy próbował w ciągu ostatnich lat nawiązać kontakt z rodziną Sempere.

– A dlaczego Valls nie zapytał o to bezpośrednio rodziny Sempere?

– I właśnie Cascos o to zagadnął.

– A pan minister na to...?

– Że to nader delikatna kwestia, bardzo osobista, i że z przyczyn, które nie mają nic wspólnego ze sprawą, woli najpierw delikatnie rzecz całą wysondować, żeby upewnić się, czy jego podejrzenia, iż rzeczony Martín ukrywa się i wykorzystuje księgarnię do swych działań, mają rzeczywiste podstawy.

– I co się stało?

– A to się stało, że Cascos, nie ociągając się i bez najmniejszej żenady, zaczął kwiecistą prozą pisać listy do swej dawnej ukochanej.

– I otrzymał odpowiedź?

– No i proszę, lubimy opowieści o alkowianych intrygach...

– Kapitanie Vargas, do sedna.

– Proszę wybaczyć. Do rzeczy więc. Nie, z początku nie. Beatriz, młoda matka i dopiero co poślubiona żona, zbywa milczeniem owe umizgi farbowanego don Juana. Ale Cascos nie poddaje się i zaczyna nawet dopuszczać myśl, że stoi przed niepowtarzalną szansą, by odzyskać to, co mu zostało odebrane.

– Ciemne chmury w życiu małżeńskim Daniela i Beatriz?

– Kto wie? Nazbyt młodzi i niedoświadczeni, ślub na gwałtu rety, dziecko w drodze, bez błogosławieństwa bożego... Idealne warunki do kryzysu. W każdym razie mijają tygodnie, Bea nie odpowiada na żaden z listów, a Valls

napiera. Cascos zaczyna się denerwować. Valls zaczyna mu insynuować coś jakby ultimatum. Cascos wysyła ostatni list, zapraszając Beatriz na spotkanie, a właściwie schadzkę do apartamentu w hotelu Ritz.

– I Beatriz przychodzi?

– Nie. Ale przychodzi Daniel.

– Mąż?

– We własnej osobie.

– Beatriz opowiedziała mu o listach?

– Albo sam na nie trafił... Wszystko jedno. Istotne jest to, że Daniel Sempere zjawia się w Ritzu i kiedy Cascos otwiera filuternie drzwi w pachnącym szlafrocuku, w rannych pantoflach i z kieliszkiem szampana w dłoni, Daniel poczciwina daje mu parę razy po gębie i przerabia facjatę na nową.

– Zaczynam czuć sympatię do tego Daniela.

– Zbyt pani pochopna. Jak twierdzi Cascos, któremu twarz jeszcze dolega, Daniel właściwie chciał go zabić i pewnie by do tego doszło, gdyby tego lania nie przerwał policjant w cywilu, który przypadkiem się tam znalazł.

– W hotelu?

– Ten punkt jest właśnie mocno wątpliwy. Osobiście wydaje mi się, że to nie był żaden policjant, tylko jakiś wspólnik Daniela Sempere.

– A potem?

– A potem Cascos wraca do Madrytu z przemacerowanym obliczem, z podwiniętym ogonem i podszyty strachem na myśl o tym, co ma opowiedzieć Vallsowi.

– I co Valls na to wszystko?

– Wysłuchał go w milczeniu i kazał przysiąc, że nikomu nie powie, co mu się przytrafiło, ani o prośbach Vallsa.

– Szast-prast i po krzyku?

– Niby tak to wyglądało, ale dwa dni przed zniknięciem Valls znowu do niego zadzwonił i zaprosił na rozmowę do swej prywatnej rezydencji. Tematu rozmowy nie wyszczególnił, ale może był związany z tymi Sempere, z Isabellą i z tym tajemniczym Davidem Martinem.

- Ale do tego spotkania nie doszło, bo nie doszedł Valls.
 - I to tyle. Co miałem, sprzedałem i kramik zamykam – zakończył Vargas.
 - Co wiemy o tym Davidzie Martinie? Zdążył się pan czegoś dowiedzieć?
 - Niewiele. Ale to, co znalazłem, jest wielce obiecujące. Zapomniany pisarz i – uwaga – więzień w zamku Montjuic w latach tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć – tysiąc dziewięćset czterdzieści jeden.
 - Kiedy dyrektorem był Valls, a współwięźniem Salgado – dodała Alicja.
 - Można by rzec, kumple z tego samego poboru.
 - A kiedy David Martín w czterdziestym pierwszym wychodzi z więzienia, co się z nim dzieje dalej?
 - Nie ma dalej. W policyjnej kartotece jest wpis o jego zniknięciu i śmierci w czasie próby ucieczki.
 - A w przekładzie na nasze oznaczałoby...?
 - Przypuszczalnie rozstrzelany bez sądu i pogrzebany w masowym grobie lub rzucony do kanału odwadniającego.
 - Na rozkaz Vallsa?
 - Najprawdopodobniej. W tamtych okolicznościach tylko on miał ku temu władzę i możliwości.
- Alicja przez chwilę zastanawiała się nad wszystkim, co usłyszała.
- Wobec tego po co Valls próbowałby szukać zmarłego, którego sam rozkazał stracić?
 - Czasem zdarzają się zmarli, którzy nie do końca umierają. Niech pani zważy na Cyda.
 - Przyjmijmy więc, iż Valls myśli, że Martín nadal żyje... – powiedziała Alicja.
 - To by pasowało.
 - Żyje i chce się zemścić. Może pociąga gdzieś z ukrycia za sznurki i kieruje Salgadem, wyczekując odpowiedniej chwili, by dokonać zemsty.
 - Przyjaciele z za krat często pozostają przyjaciółmi na całe życie – zawyrokował Vargas.
 - Niemniej niejasne są dla mnie związki Martina z rodziną Sempere.

– Jakież widać związki musiały być, tym bardziej jeśli sam Valls zastopował policję, żeby nie poszła tym tropem, a wolał wysłać Cascosa na przeszpiegi i samemu się czegoś wywiedzieć.

– Być może to coś jest właśnie kluczem do wszystkiego – uznała Alicja.

– I co, tworzymy dobry zespół czy nie?

Nie umknął uwagi Alicji koci uśmiezek, jaki pojawił się w kącikach ust Vargasa.

– Coś jeszcze?

– A bo to mało?

– Mów pan dalej.

Vargas zapalił papierosa, zaciągnął się i smakując przez chwilę, śledził uważnie unoszące się znad palców pasemka dymku.

– No więc później, wobec tego, że pani miała przyjemność udać się z wizytą do swych przyjaciół, podczas gdy ja praktycznie sam rozwiązałem problem, żeby pani zebrała laury, udałem się do Komendy Głównej, by uzyskać listy więźnia Sebastiana Salgado, i pozwoliłem sobie samowolnie na przeprowadzenie konsultacji u mojego przyjaciela Cigesca, urzędowego grafologa w naszej firmie. Spokojnie, proszę się nie złościć, nie powiedziałem mu, o co chodzi, a i on nie pytał. Pokazałem mu cztery kartki wyciągnięte na chybił trafił, a on dokładnie im się przyjrzał raz, drugi i trzeci i powiedział, że jest wiele oznak w tyldach, jak również w czternastu przynajmniej literach i w łącznikach, które wykluczają osobę praworęczną. I jeszcze mówił mi coś o kątach i biegu atramentu na papierze i napieraniu, czy coś w tym stylu.

– No dobra, i co z tego wynika?

– Ano wynika to, że osoba, która napisała do Vallsa listy z pogrózkami, jest leworęczna.

– I?

– I że jeśli wczyta się pani w raport z nadzoru nad Sebastianem Salgado, jakim został objęty przez policję w Barcelonie po zaskakującym zwolnieniu go z więzienia w styczniu tego roku, to wyczyta pani, że kolega stracił lewą rękę w czasie wieloletniego pobytu w więzieniu i miał protezę z porcelany. Chyba kogoś w czasie przesłuchań ręka świerzbiała, jeśli już przy rękach jesteśmy.

Zdało mu się, że Alicja chce coś powiedzieć, ale ta nieoczekiwanie zamilkła, jej spojrzenie stało się nieobecne. Kilka chwil potem zbladła. Vargas dostrzegł, jak jej czoło pokrywa się warstewką potu.

– Reasumując, bezleworęki Salgado nie mógł napisać tego listu. Alicjo, pani mnie słyszy? Dobrze się pani czuje?

Dziewczyna nagle wstała i włożyła płaszcz.

– Pani Alicjo?

Alicja wzięła ze stolika teczkę z niby-listami Salgada i rzuciła Vargasowi niewidzące spojrzenie.

– Alicjo?

Alicja oddaliła się pod pełnym niedowierzania wzrokiem Vargasa wbitym w swoje plecy.

15

Ledwo wyszła na ulicę, ból się nasilił. Nie chciała, aby Vargas zobaczył ją w tym stanie. Nie chciała, aby ktokolwiek ją w tym stanie widział. Nadchodzący atak był jednym z najgorszych. Przekłety chłód Madrytu. Dawka z południa pozwoliła jedynie zyskać trochę na czasie. Spróbowała przetrwać pierwsze ukłucia w biodrze. Oddychała powoli i szła dalej, uważnie stawiając każdy krok. Nie udało jej się jednak dotrzeć nawet do placu Cibeles. Musiała zatrzymać się i złapać latarni, odczekać chwilę, aż przejdzie spazm, który przeszywał ją, jakby przez kości przebiegał prąd elektryczny. Przechodzący obok ludzie spoglądali na nią kątem oka.

– Dobrze się pani czuje?

Skinęła głową, nie wiedząc nawet komu. Kiedy odzyskała oddech, zatrzymała taksówkę i kazała się zawieźć do Hiszpanii. Taksówkarz patrzył na nią z niepokojem, ale nie odezwał się słowem. Zmierzchało i w świątłach Gran Vía przetaczały się tłumy miejscowych i przyjezdnych, w szarym

przypląwie tych, którzy opuszczali jaskinie swoich biur, by wreszcie wrócić do domu, i tych, którzy nie mieli dokąd iść. Alicja wsparła twarz na szybie i zamknęła oczy.

Gdy zajechali przed Hiszpanię, poprosiła taksówkarza, by pomógł jej wysiąść. Wynagrodziła go sutym napiwkem i opierając się o ścianę, ruszyła do hallu. Maura, recepcjonista, ujrawszy ją, skoczył na równe nogi i zatroskany pobiegł w jej stronę. Objął ją w pasie i pomógł dojść do windy.

– Znowu? – spytał.

– Zaraz mi przejdzie. To ta pogoda...

– Bardzo źle pani wygląda. Może wezwę lekarza?

– Nie trzeba. W pokoju mam lekarstwo.

Maura kiwnął głową niezbyt przekonany. Alicja poklepała go po ramieniu.

– Dobry z pana przyjaciel. Będzie mi pana brakować, panie Maura.

– A pani się dokądś wybiera?

Alicja uśmiechnęła się i wsiadła do windy, życząc recepcjoniście dobrej nocy.

– Byłbym zapomniał, wydaje mi się, że ma pani gościa... – zakomunikował jej Maura tuż przed domknięciem drzwi windy.

Szła, kulejąc i opierając się o ścianę długiego i niemal ciemnego korytarza. Dziesiątki zamkniętych drzwi strzegło pustych pokoi po obu stronach. W noce takie jak ta Alicja podejrzewała, że jest jedyną osobą mieszkającą na tym piętrze, choć zarazem zawsze odnosiła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Czasem, gdy zdarzało jej się w ciemnościach zatrzymać na chwilę, niemal odczuwała na skroniach oddech stałych gości albo nawet delikatny dotyk palców na twarzy. Dotarła do końca korytarza i dysząc, zatrzymała się na chwilę przed drzwiami swego pokoju.

Otworzyła drzwi i weszła do środka, ale nawet nie zapaliła światła. Neony znad kin i sal teatralnych Gran Vía migotały wielobarwnymi blaskami, osłaniając pokój hotelowy ciemnością w technikolorze. Fotel zajęty był przez postać odwróconą plecami do drzwi. Spomiędzy jej palców snuł się niebieskawy dymek z papierosa, kreślący w powietrzu arabeski.

– Myślałem, że przyjdiesz mnie odwiedzić pod wieczór – odezwał się

Leandro.

Alicja zatoczyła się w stronę łóżka i padła bez sił. Jej mentor odwrócił się ku niej i westchnął, kręcąc głową.

– Przygotować ci ją?

– Niczego nie chcę.

– Czy to rodzaj pokuty za popełnione grzechy, czy też zbyteczne cierpienie sprawia ci przyjemność?

Leandro wstał i podszedł do Alicji.

– Pozwól, że rzucę okiem.

Pochylił się nad nią i z kliniczną oziębłością dotknął kilkakrotnie biodra.

– Kiedy się kłułaś?

– Dziś w południe. Dziesięć miligramów.

– To tyle co nic. Dobrze o tym wiesz.

– Może dwadzieścia.

Leandro burknął coś nieprzyjemnego pod nosem. Poszedł do łazienki i skierował się prosto do szafki. Tam odszukał metalowe pudełko i wrócił z nim do Alicji. Usiadł na brzegu łóżka, otworzył pudełko i zaczął przygotowywać strzykawkę.

– Nie lubię, kiedy to robisz. I dobrze o tym wiesz.

– To moje życie.

– Ale kiedy samą siebie karzesz w ten sposób, to również staje się moim życiem. Odwracaj się.

Alicja zamknęła oczy i przewróciła się na bok. Leandro podwinął jej suknię do pasa. Rozpiął gorset i odłożył. Alicja zaciskając oczy i oddychając z trudem, jęczała z bólu.

– Mnie to sprawia większy ból niż tobie – powiedział Leandro.

Chwycił mocno jej udo i przycisnął do łóżka. Alicja dygotała, kiedy wbił jej igłę w bliznę na biodrze. Jęknęła głucho, całe jej ciało napięło się i na chwilę usztywniło, jakby ścięte mrozem. Leandro powoli wyciągnął igłę i odłożył strzykawkę na łóżko. Stopniowo zwalniał ucisk dłoni na nodze Alicji, a następnie przewrócił swoją podopieczną na plecy. Poprawił suknię

i delikatnie podłożył poduszkę pod głowę. Czoło Alicji było zupełnie mokre. Leandro wyciągnął chusteczkę i wytarł jej pot z twarzy. Patrzyła na niego szklanym wzrokiem.

– Która godzina? – zapytała.

Leandro pogłaskał ją po policzku.

– Jest wcześnie. Odpocznij.

16

Obudziła się w półmroku pokoju i od razu dostrzegła ciemną sylwetkę Leandra siedzącego w fotelu obok łóżka. W rękach trzymał książkę Victora Mataixa i czytał. Domyśliła się, że kiedy spała, Leandro zrobił jej kipisz w torebce, w kieszeniach i przypuszczalnie dokładnie przeszukał każdą szufladę.

– Lepiej już? – zapytał teraz, nie odrywając wzroku od książki.

– Tak – odparła Alicja.

Budzeniu się zawsze towarzyszyła dziwna jasność umysłu i wrażenie, jakby z jej żył zsuwała się zmrożona żelatyna. Leandro przykrył ją kocem. Obmacała się i stwierdziła, że leży wciąż w tym samym ubraniu. Uniosła się na łokciach i oparła o wezglowie. Ból ograniczał się teraz do słabego, głuchego pulsowania okrytego zimnem. Leandro pochylił się i podał jej szklanę. Wypiła dwa łyki. Napój nie smakował jak woda.

– Co to jest?

– Pij, nie pytaj.

Alicja posłusznie łyknęła. Leandro zamknął książkę i odłożył ją na stół.

– Nigdy nie potrafiłem, Alicjo, w pełni zrozumieć twoich gustów literackich.

– Znalazłam ją w gabinecie Vallsa, a dokładnie w jego biurku.

– I wydaje ci się, że to może mieć jakiś związek z naszą sprawą?

– Na razie nie odrzucam żadnej z możliwości.

Leandro skinął głową z aprobatą.

– Zaczynasz mówić jak Gil de Partera. A jak tam twój nowy partner?

– Vargas? Chyba jest skuteczny.

– A godny zaufania?

Alicja wzruszyła ramionami.

– No, no, nie wiem, jak mam rozumieć tę niepewność u kogoś, kto nie ufa własnemu cieniowi, czyżby pierwsze oznaki nawracania się na wiarę naszego reżimu?

– Może to pan rozumieć, jak pan sobie chce – burknęła Alicja.

– Wciąż jesteśmy w stanie wojny?

Alicja westchnęła i pokręciła przecząco głową.

– Alicjo, to nie jest kurtuazyjna wizyta. Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia, a ponadto w Palace czeka na mnie kilka osób, z którymi mam zjeść kolację, już jestem spóźniony. Co masz mi do powiedzenia?

Dziewczyna opowiedziała w skrócie, co wydarzyło się w ciągu dnia, i odczekała, aż Leandro, tak jak to miał w zwyczaju, strawi w milczeniu podsumowanie zdarzeń. Mężczyzna wstał i podszedł do okna. Alicja podążyła wzrokiem za stojącą teraz nieruchomo postacią obrysowaną przez światła Gran Vía. Wątle ramiona i nogi złączone z nieproporcjonalnie rozrośniętym torsem przydawały mu wyglądu obwieszzonego swoją siecią pająka. Alicja nie przerywała mu medytacji. Nauczyła się, że Leandro lubił na spokojnie i bez pośpiechu knuć intrygi i spiskować, smakując każdy element informacji i kalkulując, jak z niej wycisnąć możliwość wyrządzenia jak największej krzywdy.

– Domniemywam, że nie mówiłaś sekretarce Vallsa, że znalazłaś tę książkę i że masz zamiar ją sobie zabrać – odezwał się w końcu.

– Nie. Tylko Vargas wie, że ją mam.

– I dobrze byłoby na tym poprzestać. Jak myślisz, uda ci się go przekonać, żeby nie mówił o tym swoim przełożonym?

– Tak, przynajmniej przez kilka dni.

Leandro westchnął, starając się ukryć niezadowolenie. Odszedł od okna i niespiesznie wrócił do fotela. Usadził się równie leniwie, założył nogę na nogę i skupił się na wybadaniu Alicji swym wzrokiem lekarza sądowego.

– Chciałbym, żeby obejrzał cię doktor Vallejo.

– Rozmawialiśmy już o tym.

– To najlepszy specjalista w kraju.

– Nie.

– Pozwól mi umówić wizytę. Badanie bez żadnych zobowiązań.

– Nie.

– Jeśli masz zamiar wyrażać się jedynie monosylabami, to przynajmniej wprowadź jakąś odmianę.

– Zgoda – odparła Alicja.

Leandro sięgnął znowu po leżącą na stoliku książkę i zaczął ją kartkować, uśmiechając się do siebie.

– Śmiesz pana?

Leandro powoli zaprzeczył.

– Nie. Szczerze mówiąc, w trakcie czytania włos mi się jeżył na głowie. Cały czas myślałem tylko, że jest skrojona na twoją miarę.

Leandro przebiegał oczyma po stronach książki, zatrzymując się to tu, to tam ze sceptycznym wyrazem twarzy. W końcu zamknął książkę i oddał ją Alicji, uważnie przyglądając się dziewczynie. Miał obłudne spojrzenie, jak wszyscy ci, co to już wywęszyli grzech, choć w myślach jeszcze nie postał, i zadają pokutę, mrugnawszy ledwie okiem.

– Ta ważna kolacja w hotelu Palace pewnie już stygnie – przypomniała mu Alicja.

Leandro udzielił swych ekumenicznych zaleceń.

– Leż i odpoczywaj. Zostawiłem ci w apteczce dziesięć fiolek po sto.

Alicja ze złością zacisnęła usta, ale słowem się nie odezwała. Leandro kiwnął głową. Nim opuścił pokój, zatrzymał się i wyciągnął palec w jej stronę.

– Nie rób głupstw – ostrzegł.

Alicja złożyła dłonie w modlitewnym geście i się uśmiechnęła.

17

Uwolniwszy się w końcu od Leandra i jego nieodłącznej aury szefa, Alicja zamknęła drzwi na zasuwkę, weszła pod prysznic i na ponad czterdzieści minut całkowicie oddała się pieszczotom pary i gorących szpileczek wody. Nie chciało jej się nawet zapalić świateł, pozostała w łagodnym, przydymionym blasku sączącym się przez łazienkowe okienko, czekając, aż woda zmyje z niej trudy i wrażenia z całego dnia. Bojlery hotelu Hispania znajdowały się prawdopodobnie w jakimś zakątku piekła i metaliczne terkotanie rur zza ściany układało się w takty hipnotyzującej muzyki. Kiedy poczuła, że zaraz skóra zacznie jej odchodzić płatami, zakręciła kran, ale nie ruszała się z miejsca jeszcze przez kilka minut, zasłuchana w plusk kropli kapiących z prysznicza i szum samochodów sunących przez Gran Vía.

Później, owinięta w ręcznik, z wypełnionym po brzegi kieliszkiem białego wina w ręku, wyciągnęła się na łóżku, żeby przestudiować akta, które wręczył im tego ranka Gil de Partera, oraz listy od Sebastiana Salgado, a może, najpewniej świętej pamięci, Davida Martina, adresowanych do ministra Vallsa.

Postanowiła zacząć od akt, żeby porównać to, czego dowiedziała się sama tego ranka, z oficjalną wersją lansowaną przez Komendę Główną. Jak to zwykle bywa z policyjnymi raportami, ciekawsze od zawartych w nich informacji okazywało się to, co pominięto bądź też przemilczano. Notatka sporządzona na okoliczność zamachu na ministra w Círculo de Bellas Artes była prawdziwym arcydziełem niedopowiedzeń i ekstrawaganckich, wziętych z sufitu hipotez. Alicja nie znalazła w niej oprócz przytoczonych zeznań Vallsa, których w żaden sposób nie zweryfikowano: minister twierdził, że wśród zebranych gości widział kogoś, kto zamierzał pozbawić go życia. Widniejąca obok kolorowa notka wspominała o rzekomym świadku, który ponoć dostrzegł za kulisami podejrzanego osobnika w masce lub w czymś

podobnym, co zakrywało mu część twarzy. Alicja westchnęła znudzona.

– Tak, zdecydowanie do szczęścia brakowało nam kogoś w masce Zorro – mruknięła pod nosem.

Po chwili, znudzona dokumentami zgromadzonymi chyba tylko po to, żeby w jakiś sposób upodobnić to bezużyteczne dossier do prawdziwych akt sprawy, odłożyła je i zabrała się do czytania listów.

Naliczyła ich dwanaście, wszystkie spisane na pożółkłych kartach chwiejnym charakterem pisma. Najdłuższy miał zaledwie dwa akapity. Sprawiały wrażenie pisanych zużytym piórem, które już nie rozprowadzało atramentu równomiernie: niektóre kreski były grube i okrągłe, w innych zdawało się, że stalówka ledwie musnęła papier. Dłoń autora z rzadka łączyła literę z kolejną, jakby układał tekst swoich pogrózek głoska po głosce. Wszystkie wiadomości były do siebie podobne, autor czynił aluzje do tych samych motywów. Wspominał bez przerwy o „prawdzie”, o „synach śmierci” i spotkaniu przy „wejściu do labiryntu”. Valls otrzymywał te anonimy przez całe długie lata, ale dopiero niedawno coś kazało mu zacząć traktować je poważnie.

– Ciekawe, co to było? – szepnęła Alicja.

Odpowiedzi prawie zawsze należało szukać w przeszłości. To jedna z pierwszych lekcji, jakich udzielił jej Leandro. Zdanie to wygłosił pewnego razu, gdy wychodzili z pogrzebu bardzo ważnego szefa barcelońskiej policji politycznej, na którym mentor kazał się jej obowiązkowo stawić („to część twojej edukacji”, zaznaczył). Leandro uważał, że od pewnego momentu w życiu przyszłość człowieka jest zdeterminowana przez jego przeszłość.

– To chyba dość oczywisty banał? – zapytała go wówczas Alicja.

– Zdziwisz się, jak silną mamy tendencję do badania teraźniejszości i przyszłości zamiast szukać odpowiedzi w przeszłości, tam gdzie rzeczywiście można je znaleźć.

Leandro miał skłonność do dydaktycznych aforyzmów. Przy tamtej okazji Alicja była pewna, że jej szef ma na myśli albo zmarłego, albo samego siebie, a bez wątplenia ów przyływ mroków, który wyrzucił go na brzegi władzy, podobnie jak wielu innych uczciwych ludzi pracowicie wspinających się po szczeblach ponurej reżimowej drabiny. Wybrańcy losu, jak zaczęła ich z czasem nazywać. Ci, którzy zawsze wypływają na wierzch mętnych wód jak

śmieci. Cała plejada mistrzów, którzy bardziej niż ludźmi poczętymi w łonie matki wydawali się jej potworami wyklutymi z masy zgnilizny płynącej ulicami tej jałowej ziemi niczym krew tryskająca ze studzienek kanalizacyjnych. Alicja uświadomiła sobie, że ten obraz pochodził z książki pożyczonej z gabinetu Vallsa. Krew tryskająca ze studzienek kanalizacyjnych, zalewająca powoli ulice. Labirynt.

Alicja upuściła listy na podłogę i przymknęła oczy. Lodowaty chłód trującego lekarstwa wolno rozplływającego się w żyłach zawsze otwierał w jej umyśle mroczne zakamarki. To cena, jaką płaciła za uśmierzenie bólu. Leandro doskonale o tym wiedział. Wiedział, że pod tym przenikliwie zimnym kocem, gdzie nie było bólu ani świadomości, jej oczy widziały w mroku, słyszała i czuła to, czego inni nie umieli sobie nawet wyobrazić, trafiała na ślad sekretów, które uznano za pogrzebane na zawsze. Leandro wiedział też, że za każdym razem, kiedy Alicja zanurzała się w magmie nieświadomości po to, żeby wrócić z trofeum, zostawiała tam kawałek ciała i duszy. I że go za to nienawidzi. Nienawidzi tak mocno, jak tylko stworzenie potrafi nienawidzić swojego stwórcy, świadomego wad i słabości własnego dzieła.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi i poszła do łazienki. Otworzyła niewielką szafkę z lustrem i zobaczyła ampułki, które zostawił jej Leandro. Ustawione w równiutkim rzędzie. Jej nagroda. Chwyciła je oburącz i roztrzaskała o umywalkę. Przezroczysty płyn zakreślił się pomiędzy odłamkami szkła i powoli zniknął w odpływie.

– Skurwysyn – mruknęła.

Chwilę później w pokoju zadzwonił telefon. Alicja, nie zważając na uparty dzwonek, przez jakiś czas przyglądała się własnemu odbiciu w lustrze. Spodziewała się tego telefonu. Wróciła do sypialni i podniosła słuchawkę. Czekala, aż jej rozmówca się odezwie.

– Znaleźli samochód Vallsa – w słuchawce rozległ się głos Leandra.

Ona nadal milczała.

– W Barcelonie? – zapytała w końcu.

– Tak – potwierdził Leandro.

– A Vallsa ani śladu?

– Zniknął też ochroniarz.

Alicja usiadła na łóżku i zapatrzyła się w krwawiące za oknem światła.

– Jesteś tam jeszcze, Alicjo?

– Pojadę pierwszym porannym pociągiem. Odjeżdża chyba z dworca Atocha o siódmej.

Usłyszała westchnienie Leandra i wyobraziła go sobie na wielkim łożu w apartamencie hotelu Palace.

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł.

– Woli pan zostawić wszystko w rękach policji?

– Martwię się o ciebie. Nie chcę, żebyś była sama w Barcelonie, wiesz o tym. To dla ciebie niebezpieczne miejsce.

– Nic mi się nie stanie.

– Gdzie się zatrzymasz?

– A gdzie miałabym się zatrzymać?

– Mieszkanie przy ulicy Aviñón... – westchnął Leandro. – Nie wolałabyś jakiegoś dobrego hotelu?

– Nie. To mój dom.

– Twój dom jest tutaj.

Alicja rozejrzała się po pokoju, który od lat był jej więzieniem. Chyba tylko Leandro mógł pomyśleć, że ktokolwiek przy zdrowych zmysłach nazwałby ten sarkofag domem.

– Czy Vargas już wie?

– Wiadomość przekazała mi Komenda Główna. Jeśli jeszcze się nie dowiedział, dowie się jutro skoro świt.

– To wszystko?

Usłyszała ciężkie westchnienie Leandra.

– Chcę, żebyś dzwoniła do mnie codziennie. Bez wyjątku.

– Dobrze.

– Codziennie.

– Powiedziałam, że dobrze. Dobranoc.

Już miała odłożyć słuchawkę, kiedy znów usłyszała głos Leandra. Uniosła

ją z powrotem do ucha.

– Alicjo!

– Tak?

– Uważaj na siebie.

18

Zawsze wiedziała, że któregoś dnia wróci do Barcelony. Nie przypuszczała jednak, że pretekstem po temu będzie ostatnie zlecenie wykonywane dla Leandra. Z pewnością to ironiczne zrządzenie losu nie umknęło również uwagi jej mentora. Wyobraziła sobie, jak przechadza się po swoim apartamencie zamyślony, do czasu do czasu spoglądając nerwowo na aparat telefoniczny. Jak kusi go, żeby podnieść słuchawkę, zadzwonić jeszcze raz i rozkazać, żeby została w Madrycie. Leandro bardzo się denerwował, kiedy jego marionetki usiłowały przecinać sznurki. Niejeden spróbował tylko po to, żeby odkryć, że dla wielbicieli szczęśliwych zakończeń jego zawód nie należy do najfortunnieszych. Ale Alicja zawsze była inna. Była jego ulubienicą. Najdoskonalszym z jego dzieł.

Dziewczyna naląła sobie jeszcze jeden kieliszek wina i usiadła, żeby poczekać na telefon. Przez chwilę rozważała możliwość wyłączenia aparatu z gniazdka. Kiedy zrobiła to ostatnim razem, dwóch smutnych facecików szefa stanęło w jej drzwiach i zaprowadziło ją do mrocznego korytarza, w którym stał Leandro. Nigdy wcześniej go takim nie widziała: targał nim niepokój, po jego zwykłym, opanowanym wyrazie twarzy nie pozostał nawet ślad. Spoglądał na nią z mieszaniną wściekłości i troski, jakby wahał się, czy powinien raczej ją objąć, czy rozkazać swoim gorylom rozwalić jej na miejscu głowę lufami karabinów. „Nigdy więcej mi tego nie rób”, powiedział wtedy. Od tamtej nocy upłynęły już dwa lata.

Do późna czekała, aż rozlegnie się sygnał telefonu, ale Leandro nie zadzwonił. Widocznie bardzo zależało mu na odnalezieniu Vallsa i podlizaniu

się przełożonym, inaczej nigdy nie zdecydowałby się otworzyć drzwiczek jej klatki. W końcu pewna, że tej nocy żadne z nich nie zmruży oka, Alicja postanowiła poszukać schronienia w jedynym miejscu, gdzie zawsze czuła się wolna przed zaborczymi zapędami Leandra: na kartach książki. Sięgnęła po leżącą na stole powieść wyniesioną z gabinetu Vallsa i otworzyła ją, gotowa zagłębić się w labiryncie obrazów i słów autorstwa Victora Mataixa.

Już po pierwszym akapicie zapomniała, że trzyma w rękach ewentualną poszlakę w śledztwie. Aromat czytanych zdań kołysał ją powoli, zagubiła się na stronach tej historii, całkowicie pochłonięta ciągiem obrazów i muzyką fraz układających się w opowieść o Ariadnie schodzącej do podziemi zaklętej Barcelony. Każdy akapit miał swój rytm i melodię. Narracja splatała słowa w tajemnicze brzmienia i rozsnuwała przed oczyma Alicji nieznane jej blaski i barwy. Czytała jednym ciągiem, zauroczona jak mała dziewczynka, która po raz pierwszy ogląda teatr cieni; rozkoszowała się każdym zdaniem, a jednocześnie obawiała nieuchronnego nadejścia końcowej kropki. Przewróciwszy ostatnią stronę, napotkała wzrokiem ilustrację kurtyny, która opada na scenę i wzbija w górę obłok liter ulatniających się w mrok. Położyła się na łóżku z zamkniętą książką na piersiach, nie mogąc rozstać się z Ariadną i z jej przygodami w złowrogim labiryncie.

Zauroczona magią opowieści przymknęła oczy i spróbowała zasnąć. Wyobraziła sobie Vallsa, jak siedząc w swoim gabinecie, ukrywa powieść w szufladzie z podwójnym dnem i zamyka ją na klucz. Spośród wszystkich rzeczy, które mógł schować przed swoim zniknięciem, wybrał właśnie tę książkę. Alicja poczuła, że zmęczenie powoli opanowuje jej ciało. Zrzuciła ręcznik, którym była owinięta, i naga wsunęła się pod kołdrę. Ułożyła się na boku, zwinęła w kłębek, splatając ręce między udami. Pomyślała, że to prawdopodobnie ostatnia noc, jaką spędza w tym pokoju, który przez lata był dla niej jak więzienna cela. Leżała tak, czekając nie wiadomo na co, zasłuchana w dziwne pomruki i pojękiwania dochodzące z trzewi budynku, lamentującego nad jej rychłym odejściem.

Wstała tuż przed świtem i spakowała naprędce do walizki najpotrzebniejsze rzeczy. Resztę postanowiła zostawić w spadku widmowym mieszkańcom hotelu. Omiotła wzrokiem piramidę książek opartych o ścianę i uśmiechnęła się smutno. Maura na pewno będzie wiedział, co z nimi zrobić.

Świtało właśnie, kiedy przechodziła przez hall, nie mając najmniejszego

zamiaru zegnać się ze zbłąkanymi duchami zaludniającymi Hiszpanię. Była już prawie przy drzwiach, kiedy usłyszała za plecami głos Maury.

– Więc to jednak prawda – odezwał się recepcjonista. – Wyjeżdża pani.

Alicja zatrzymała się i odwróciła. Maura patrzył na nią oparty o kij mopa, jeszcze bardziej steranego życiem niż recepcjonista. Uśmiechał się, żeby nie zapłakać, a w jego oczach dostrzegła bezbrzeżny smutek.

– Jadę do domu, panie Joaquinie.

Recepcjonista kilkakrotnie pokiwał głową.

– Bardzo dobra decyzja.

– Zostawiłam na górze książki. Proszę je wziąć.

– Zaopiekuję się nimi.

– I ubrania. Sam pan zdecyduje, co z nimi zrobić.

– Zaniosę je do Caritasu. Tutaj mieszka zbyt dużo obleśnych dziadów. Nie chciałbym któregoś dnia zastać jakiegoś pokręconego cwaniaczka grzebiącego tam, gdzie nie powinien.

Alicja podeszła do niego i mocno objęła.

– Dziękuję za wszystko, Joaquinie – szepnęła mu do ucha. – Będę za panem tęsknić.

Maura upuścił kij od mopa na ziemię i objął ją drżącymi ramionami.

– Niech pani zapomni o nas natychmiast, jak tylko dojedzie pani do domu – powiedział łamiącym się głosem.

Alicja chciała go ucałować na pożegnanie, ale Maura, kawaler smętnego oblicza i niegdysiejszych manier, wyciągnął do niej dłoń. Alicja ją uścisnęła.

– Możliwe, że zadzwoni niejaki Vargas i będzie o mnie pytał.

– Spokojna głowa. Spławię go. A teraz niech już pani idzie.

Wsiadła do czekającej przed hotelem taksówki i poprosiła kierowcę, żeby zawiózł ją na dworzec Atocha. Szary welon wisiał nad miastem, a szyby samochodu zasnuwała gruba warstwa szronu. Taksówkarz wyglądał tak, jakby spędził za kierownicą całą noc, a może nawet cały tydzień, i tylko niedopalek zwisający mu z kącika ust wydawał się wiązać go ze światem żywych. Spojrzał na nią badawczo przez wsteczne lustro i zapytał:

– Tam czy z powrotem?

– Jeszcze nie wiem – odrzekła Alicja.

Kiedy dotarła na stację, zobaczyła, że Leandro ją uprzedził. Czekał przy stoliku jednej z kawiarni znajdujących się przy kasach, czytał gazetę i bawił się łyżeczką do kawy. Kilka kroków dalej jego dwaj goryle czatowali oparci o kolumny. Na widok Alicji Leandro odłożył gazetę, uśmiechnął się i zrobił zatroskaną minę.

– Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje – odezwała się Alicja.

– Przysłowia to naprawdę nie twoja specjalność, Alicjo. Usiądź. Jadłś już śniadanie?

Pokręciła głową i usiadła. Ostatnim, czego pragnęła, było spotkanie z Leandrem właśnie teraz, kiedy zamierzała wreszcie od niego uciec, poczuć, że dzieli ich odległość sześciuset kilometrów.

– Śmiertelników łączy wiele wspólnych obyczajów. Do nich należy, między innymi, spożywanie śniadania, jak również to, że zawsze mogą liczyć na przyjaciół. Dobrze by było, Alicjo, gdybyś wreszcie zdołała je sobie przyswoić.

– A pan, Leandro? Ma pan wielu przyjaciół?

Alicja dostrzegła w oczach przełożonego złowrogi błysk i natychmiast spuściła głowę. Posłusznie przyjęła filizankę kawy z mlekiem i ciastko, które na znak Leandra postawił przed nią kelner. Upiła kilka kropli pod czujnym wzrokiem szefa.

On tymczasem sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej kopertę.

– Zarezerwowałem ci jednoosobowy przedział w pierwszej klasie. Nie masz chyba nic przeciwko temu. Znajdziesz tu też trochę pieniędzy. Dziś wpłacę ci większą kwotę na konto w banku Hispano. Jeśli będziesz potrzebowała więcej, daj mi znać.

– Dziękuję.

Alicja ugryzła ciastko, suche i zostawiające szorstkie okruszki na podniebieniu. Z trudem przełknęła pierwszy kęs. Leandro nie spuszczał jej z oka. Ona ukradkiem spojrzała na wiszący pod sufitem zegar.

– Spokojnie – powiedział jej mentor. – Masz jeszcze dziesięć minut.

Grupki pasażerów ruszyły w kierunku peronu. Alicja objęła filiżankę dłońmi, bo nie bardzo wiedziała, co z nimi zrobić. Cisza między nimi stawała się nieznośna do bólu.

– Dziękuję, że przyszedł pan się ze mną pożegnać – spróbowała przerwać milczenie.

– Więc według ciebie się zegnamy?

Alicja pokręciła głową. Przez kolejnych kilka minut żadne z nich nie wykrztusiło ani słowa. W końcu, kiedy Alicji wydawało się już, że ścisła filiżankę tak mocno, iż ta zaraz rozsypie się w drobny mak, Leandro podniósł się z krzesła, zapiął płaszcz i niespiesznie zawiązał szalik. Włożył skórzane rękawiczki i pochylił się nad Alicją, żeby pocałować ją w policzek. Miał zimne usta, jego oddech pachniał miętą. Alicja zamarła w bezruchu. Prawie nie miała odwagi oddychać.

– Chcę, żebyś dzwoniła do mnie codziennie. Codziennie bez wyjątku. Dziś wieczorem też, kiedy już dotrzesz na miejsce. Chcę wiedzieć, że wszystko jest w porządku.

Nie odpowiedziała.

– Alicjo?

– Codziennie, bez wyjątku – wyrecytowała.

– Ta ironia jest zbędna.

– Przepraszam.

– Jak znosisz ból?

– Dobrze. Lepiej. Znacznie lepiej.

Leandro wyjął z kieszeni płaszcz fioletkę i podał Alicji.

– Wiem, że wolisz nic nie brać, ale będziesz wdzięczna. Działa słabiej niż ta wstrzykiwana. Nie bierz ich nigdy na pusty żołądek i przede wszystkim nie łącz z alkoholem.

Alicja wzięła fioletkę i schowała ją do torby. W tej chwili najmniej potrzebowała kolejnej kłótni.

– Dziękuję.

Leandro pokiwał głową i odszedł w asyście swoich ochroniarzy.

Pociąg czekał pod kopułą stacji. Numerowy, który nie miał jeszcze dwudziestu lat, poprosił Alicję o bilet przy samym wejściu na peron, a potem poprowadził do wagonu pierwszej klasy, tuż przy lokomotywie, prawie zupełnie pustego. Kiedy zauważył, że kobieta utyka, pomógł jej wsiąść do wagonu i zaniósł walizkę aż do przedziału, wrzucił ją na półkę i rozsunął zasłonki. Szyba była zaparowana, więc chłopak szybko przetarł ją rękawem marynarki. Pasażerowie niczym baletmistrze ślizgali się po peronie, który zimny oddech poranka zamienił w taflę zwierciadła. Alicja wręczyła chłopakowi napiwek, on zaś ukłonił się, zamknął drzwi przedziału i czym prędzej odszedł.

Kobieta opadła na siedzenie. Wpatrywała się bezmyślnie w dworcowe lampy. Po chwili pociąg ruszył ospale; Alicja poddała się łagodnemu kołysaniu wagonu, wyobrażając sobie pierwsze światła brzasku, który właśnie budził się nad Madrytem zakotwiczonym w morzu mgły. I wtedy go zobaczyła. Vargas biegł przez peron, próbując dogonić pociąg. W tym nadaremnym pościgu zdołał tylko musnąć dłonią drzwi wagonu i napotkać nieobecne spojrzenie Alicji obserwującej go beznamiętnie przez okno. W końcu Vargas zrezygnował, roześmiał się gorzko i zatrzymał. Oparł dłonie na kolanach, próbując złapać oddech.

Miasto zniknęło w oddali i po chwili pociąg toczył się już przez bezkresną równinę, która wydawała się nie mieć końca. Alicja miała wrażenie, że za tym murem ciemności Barcelona wywęszyła już jej trop. Wyobraziła sobie, że miasto otwiera się niczym czarna róża, i owładnął ją spokój, z jakim przyjmuje się to, co nieuniknione, spokój właściwy istotom przeklętym. A może, powiedziała sobie, było to zwyczajne zmęczenie. Nie miało to już większego znaczenia. Zamknęła oczy i odpłynęła w objęcia Morfeusza, podczas gdy pociąg, torując sobie drogę pośród cieni, zagłębiał się w labirynt duchów.

MIASTO LUSTER

Barcelona
Grudzień 1959



1

Zimno. Zimno, które kąsa skórę, przenika ciało i świdruje kości. Wilgotne zimno, które paraliżuje mięśnie i pali od środka. Zimno. W pierwszej chwili po odzyskaniu przytomności to jedyna rzecz, o jakiej może myśleć.

Ciemności prawie nieprzeniknione. W górze tli się jaśniejszy płomyk. To podmuch anemicznego światła ocierającego się o cienie i sugerującego zaledwie kontury pomieszczenia, w którym się znalazł. Źrenice mężczyzny rozszerzają się i po chwili rozumie, że jest w pomieszczeniu wielkości niedużego pokoju o ścianach z gołego kamienia. Bijąca od nich wilgoć aż połyskuje w półmroku, jakby spływał po nich strumień bezgłośnych łez. Na kamiennej podłodze stoi kałuża czegoś, co nie wydaje się wodą. W powietrzu unosi się przenikliwy odór. Przed sobą mężczyzna dostrzega grubą, zardzewiałą kratę, a za nią prowadzące w górę, niknące w mrokach schody.

Jest w jakiejś celi.

Próbuje wstać, ale nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Robi tylko krok, a potem kolana uginają się pod nim i przewraca się na bok. Uderza twarzą w podłogę i przeklina. Brakuje mu tchu. Leży tak przez długą chwilę, nie mogąc się poruszyć, z policzkiem w lepkiej cieczy, z której unosi się słodkawy, metaliczny zapach. Ma sucho w ustach, jakby jadł piasek, czuje, że pieką go popękane wargi. Chce je pomacać prawą ręką, ale zupełnie nie ma w niej czucia, jakby poniżej łokcia nic nie było.

Próbuje usiąść, wspierając się na prawym ramieniu. Unosi prawą rękę do twarzy, żeby spojrzeć na nią w świetle przydymionego światła barwiącego powietrze na pomarańczowo. Ręka drży. Widzi, jak drży, ale tego nie czuje. Usiłuje zacisnąć dłoń w pięść, jednak mięśnie go nie słuchają. Dopiero teraz zauważa, że brakuje mu dwóch palców: wskazującego i środkowego. W ich miejscu są tylko czarniawe plamy, z których zwisają strzępy skóry i ciała.

W gardle Vallsa rodzi się krzyk, ale głos mu się łamie i z ust wydobywa się tylko żałosne skomlenie. Znów opada na plecy i zamyka oczy. Stara się oddychać tak, żeby nie czuć zatrującego powietrze smrodu. Nagle staje mu w pamięci wspomnienie z dzieciństwa, z letnich wakacji spędzonych w należącej do jego rodziców posiadłości pod Segowią, kiedy to ich stary pies zaszył się w piwnicy, żeby tam umrzeć. Tamten mdlący fetor, który roznosił się po całym domu, przypominał zapach palący mu teraz nozdrza. Chociaż ten wydaje się znacznie gorszy. Nie pozwala nawet zebrać myśli. Po jakimś czasie – Valls nie ma pojęcia, czy to zaledwie minuty, czy całe godziny – wyczerpanie bierze górę i mężczyzna zapada w mętną malinę, która nie jest ani czuwaniem, ani snem.

Zdaje mu się, że jedzie pociągiem, w którym nie ma prócz niego żadnych innych pasażerów. Lokomotywa w obłokach czarnej pary pędzi jak szalona w kierunku labiryntowej cytadeli pełnej fabryk wielkości katedr, ostro zakończonych wież, sieci mostów i dachów zaklętych w plątaninę niemożliwych kątów pod niebem ociekającym szkarłatem. Pociąg zbliża się do tunelu zdającego się nie mieć końca, ale zanim się w nim zagłębi, Valls przykłada czoło do szyby i widzi, że wejścia do niego strzegą dwa olbrzymie anioły z rozpostartymi skrzydłami, które szczerzą ostre kły w złowrogim uśmiechu. Przekrzywiony napis nad wjazdem głosi:

Barcelona

Pociąg wpada do tunelu z piekielnym piskiem, a kiedy wyłania się z niego po drugiej stronie, oczom Vallsa ukazuje się sylwetka wzgórza Monjuic. Na szczycie majaczy profil zamku otulonego aureolą karminowego światła. Valls czuje, że serce podchodzi mu do gardła. Konduktor przypominający drzewo ogołoczone przez wiatry z gałęzi zbliża się korytarzem i zatrzymuje przy jego przedziale. Ma na sobie mundur i plaketkę z napisem SALGADO.

– Pańska stacja, panie dyrektorze.

Wijącą się jak serpentyna szosą pociąg wspina się na tak dobrze mu znaną górę i wjeżdża na więzienny dziedziniec. Zatrzymuje się w końcu w jakimś ciemnym korytarzu. Valls wysiada, a pociąg natychmiast rusza z miejsca i znika w ciemnościach. Valls rozgląda się i widzi, że znalazł się w jednej

z więziennych cel. Ktoś obserwuje go zza krat, ale on w mroku dostrzega tylko zarys jego sylwetki. Chce wyjaśnić, że zaszła pomyłka, że znalazł się w złym miejscu, że przecież to on jest dyrektorem więzienia, ale słowa więzną mu w gardle.

Potem nadchodzi ból, który wyrывa go ze snu tak gwałtownie, jak seria silnych elektrowstrząsów.

Zapach padliny, ciemność i chłód nie ustąpiły, ale teraz prawie nie zwraca na nie uwagi. Teraz może myśleć tylko o jednym: o bólu. O przeraźliwym bólu, jakiego nigdy wcześniej nie doznał, jakiego nigdy nie zdołałby sobie nawet wyobrazić. Jego prawa ręka płonie. Czuje się tak, jakby włożył ją w sam środek ogniska i, pomimo rozpaczliwych wysiłków, nie mógł jej wyjąć. Chwyta się lewą ręką za prawe ramię. Nawet w panujących w celi ciemnościach dostrzega, że z czarnych kikutów sterczących tam, gdzie wcześniej były jego palce, sączy się krwista, gęsta posoka. Krzyczy bezgłośnie.

Ból pomaga mu odzyskać pamięć.

W jego głowie pojawiają się, jedno za drugim, najpierw mgliste, potem coraz bardziej wyraźne wspomnienia tego, co się wydarzyło. Pamięta chwilę, gdy w oddali zaczyna się rysować panorama Barcelony, nad którą zapada zmierzch. Valls spogląda na nią przez przednią szybę jak na dekoracje jarmarcznego przedstawienia i przypomina sobie, jak bardzo nienawidzi tego miejsca. Jego wierny ochroniarz Vicente prowadzi w milczeniu, skoncentrowany na szosie. Jeśli czuje strach, nie daje tego po sobie poznać. Jadą ulicami i alejami, mijając okutanych po uszy przechodniów przyspieszających kroku pod kurtyną śniegu unoszącego się w powietrzu jak kryształowa mgła. Skręcają w szeroką aleję, która prowadzi do wyżej położonej części miasta, a potem w ulicę wspinającą się zygzakowato na obrzeża Vallvidrery. Valls z daleka rozpoznaje tę jedyną w swoim rodzaju cytadelę willi desperacko uczepionych wzgórza. Po chwili Barcelona ścieli się u ich stóp niczym kobierzec cieni, którego krańce rozpływają się w morzu. Kolejka linowa pełźnie w górę jak wąż złocistego światła, wydobywając z cienia okazałe secesyjne wille rozsiane dookoła. Wśród nich, częściowo schowana za drzewami, rysuje się sylwetka starego budynku. Valls przełyka ślinę. Vicente patrzy na niego pytająco, minister kiwa głową. Zaraz będzie po

wszystkim. Valls odbezpiecza rewolwer. Kiedy dojeżdżają do ogrodzenia posiadłości, zdążyło się już zrobić zupełnie ciemno. Brama jest otwarta. Samochód jedzie powoli przez zarośnięty chaszczami ogród, omija oplecioną bluszczem fontannę. Vicente zatrzymuje samochód naprzeciwko schodów, które prowadzą do głównego wejścia. Gasi silnik i wyciąga rewolwer. Vicente zawsze używa rewolweru, nie ma zaufania do pistoletów. Rewolwer, powtarza, rzadko się zacina.

– Która jest godzina? – pyta Valls słabym głosem.

Vicente nie ma czasu, żeby odpowiedzieć. Wszystko dzieje się tak szybko. Kiedy tylko ochroniarz zdążył wyjąć kluczyk ze stacyjki, Valls dostrzega po drugiej stronie szyby jakąś postać. Wyrosła jak spod ziemi, nie widział, jak się zbliżała. Vicente, nie mówiąc ani słowa, odpycha swojego szefa na bok i strzela. Szyba rozpryskuje się kilka centymetrów od twarzy Vallsa, a on czuje, jak deszcz drobniutkich odłamków wbija mu się w policzek. Huk wystrzału ogłusza go na chwilę, w uszach dźwięczy mu tylko ostry gwizd. Zanim chmura prochu unosząca się w samochodzie zdąży się rozwiać, ktoś gwałtownie otwiera drzwi od strony kierowcy. Vicente odwraca się z rewolwerem w dłoni, ale nie udaje mu się oddać drugiego strzału, gdyż coś ostrego wbija mu się w szyję. Chwyta się za nią oburącz. Ciemna krew tryska pomiędzy palców. Na chwilę ich spojrzenia się spotykają, Valls widzi w oczach ochroniarza kompletne niedowierzanie. Sekundę później Vicente pada na kierownicę, naciskając czołem klakson. Valls próbuje go podtrzymać, ale bezwładne ciało przechyliła się na bok i już po chwili zwisa z samochodu. Minister trzyma oburącz rewolwer, celując w ciemność rozciągającą się za otwartymi drzwiami kierowcy. I nagle słyszy za sobą czyjś oddech, a kiedy odwraca się, żeby strzelić, czuje na dłoni lodowaty, precyzyjnie wymierzony cios. Rewolwer spada mu na kolana, po przedramieniu spływa krew. Napastnik zbliża się, trzyma w ręku zakrwawiony nóż. Valls próbuje otworzyć drzwi od strony pasażera, ale musiały się zablokować przy pierwszym wystrzale. Czyjeś ręce chwytają go za szyję i wyciągają z samochodu przez pozbawione szyby okno. Potem wloką go żwirową alejką aż do popękanych marmurowych schodów. Słyszy zbliżające się szybko kroki. Światło księżycy rysuje przed nim sylwetkę, on wciąż jest w takim szoku, że myśli najpierw, iż stoi nad nim anioł, potem, że to sama śmierć. Valls patrzy tej postaci w oczy i szybko rozumie swój błąd.

– Z czego się śmiejesz, padalcu? – pyta głos.

Valls się uśmiecha.

– Tak bardzo przypominasz mi...

Valls zamyka oczy, czeka na strzał łaski, ale strzał nie nadchodzi. Czuje, że jego anioł pluje mu w twarz. A potem odchodzi. Bóg albo diabeł lituje się nad nim, Valls traci przytomność.

Nie wie, czy to wszystko stało się kilka godzin, dni czy może nawet miesięcy temu. W tej celi czas przestał istnieć. Są tylko zimno, ból i ciemności. Nagle ogarnia go gwałtowna wściekłość. Czołga się do krat i wali w nie tak mocno i długo, że po chwili przestaje czuć ból. Cały czas trzyma się lodowatego żelaza, kiedy na górze rozbłyskuje snop światła, w którym ukazują się prowadzące w górę schody. Valls słyszy kroki i z nadzieją unosi wzrok. Wyciąga rękę na zewnątrz w błagalnym geście. Strażnik patrzy na niego, nie ruszając się z miejsca. Valls w półmroku dostrzega maskę na jego twarzy, która przywodzi mu na myśl zastygłe rysy manekina stojącego w witrynie sklepowej przy Gran Vía.

– Martín? To ty? – pyta Valls.

Nie ma odpowiedzi. Strażnik ogranicza się do wpatrywania się w niego, nie odzywa się jednak ani słowem. Valls kiwa w końcu głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że pojął, na czym polega ta gra.

– Wody, proszę... – jęczy.

Przez długą chwilę porywacz nie robi najmniejszego ruchu. Potem, kiedy Valls dochodzi już do wniosku, że wszystko sobie wyobraził, a obecność strażnika jest efektem nieustającego bólu i zakażenia, które wdało się w ranę i pożera go żywcem, tamten schodzi kilka kroków po schodach. Valls próbuje się przymilnie uśmiechnąć.

– Wody – błaga.

Strumień ciepłego moczu obryzguje mu twarz, szczypie w skaleczenia i zadrapania, którymi jest pokryta. Valls jęczy tylko i czym prędzej się cofa. Pełznąąc do tyłu, trafia plecami na ścianę. Zupełnie bezbronny zwija się w kłębek. Strażnik wchodzi po schodach i znika w półmroku, odgłosowi zatraskiwanych drzwi towarzyszy nowy napływ ciemności.

Dopiero wtedy uświadamia sobie, że nie jest w tej celi sam. Vicente, jego

najwierniejszy ochroniarz, siedzi w kącie oparty plecami o ścianę. Nie rusza się. Valls widzi zaledwie zarys jego nóg. I jeszcze ręce. Dłonie są bardzo opuchnięte, palce nabrały odcienia purpury.

– Vicente?

Valls mozolnie stara się do niego doczołgać, ale wkrótce powstrzymuje go intensywny fetor. Z wysiłkiem szuka schronienia w przeciwnym kącie. Tam schyla się, obejmuje mocno kolana i ukrywa w nich twarz, żeby uciec od przenikliwego smrodu. Za wszelką cenę próbuje przywołać w pamięci obraz swojej córki Mercedes. Wyobraża ją sobie, jak bawi się w ogrodzie albo w domku dla lalek, jak podróżuje swoją prywatną zabawkową kolejką. Wspomina czasy, kiedy była jeszcze małą dziewczynką i wpatrywała się w niego pełnym zachwytu spojrzeniem, które wybaczało mu wszystko i rozświetlało miejsca, gdzie światło nie zagościło nigdy wcześniej.

Po jakimś czasie powoli poddaje się zimnu, bólowi i wyczerpaniu i czuje, że znów traci przytomność. Może to nadchodzi śmierć, myśli z nadzieją.

2

Fermín Romero de Torres został zdradziecko wyrwany ze snu. Serce łomotało mu jak karabin maszynowy, miał przykre wrażenie, że operowa diwa usiadła mu na piersi i śpiewa arię Wagnera. Otworzył oczy w aksamitnym półmroku i spróbował uspokoić oddech. Wskazówki budzika potwierdziły dokładnie to, czego się obawiał. Dopiero dochodziła północ. Zdołał się zdrzemnąć płytkim snem niecałą godzinkę, a już bezsenność zaatakowała go ponownie jak rozpędzony tramwaj. Obok Bernarda, błogo uśmiechnięta w ramionach Morfeusza, chrapała jak całkiem spory niedźwiedź.

– Ferminie, prawdopodobnie zostaniesz ojcem.

W ciąży wyglądała jeszcze bardziej apetycznie niż zwykle, wszystkie atuty jej urody lśniły jak nigdy dotąd, pełna krągłości sylwetka stała się jeszcze bardziej kusząca i chętnie rzuciłby się natychmiast, żeby ją schrupać. Miał

wielką ochotę na swój popisowy numer pod tytułem „Midnight Express”, ale nie odważył się obudzić żony i zakłócać niebiańskiego spokoju, jaki emanował z jej oblicza. Wiedział, że jeśli to zrobi, sytuacja może rozwinąć się dwojako: albo bomba hormonów, które parowały wszystkimi porami jej ciała, eksploduje, a Bernarda zmieni się w dziką tygrysicę i rozszarpie go na kawałki, albo iskra nie przeskoczy i jego szacowną małżonkę opętają wszelkie możliwe lęki, na czele z tym, że każda próba miękkiego lądowania pod jej nocną koszulą może zaszkodzić dziecku. Fermín nie miał o to do niej pretensji. Bernarda straciła pierwsze dziecko niedługo po ślubie. Pogrzyżyła się w tak głębokiej żałości, że Fermín bał się, iż jego dawna, ukochana żona nigdy nie wróci. Z czasem jednak, tak jak solennie zapewniał lekarz, odzyskała dawną formę i znów była przy nadziei. Ale teraz żyła w nieustannym strachu. Obawa, że ponownie straci dziecko, sprawiała, że czasami bała się nawet głębiej odetchnąć.

– Moje ty złotko najukochańsze, lekarz powiedział przecież, że tym razem nic złego się nie stanie.

– To bezwstydnny nicpoń! Zresztą tak samo jak ty.

Doświadczony mężczyzna nie budzi uszpionych wulkanów, rewolucyjnych zrywów ani ciężarnych kobiet. Fermín wymknął się więc bezszelestnie z małżeńskiego łóżka i przeszedł na paluszkach do jadalni ich skromnego mieszkania przy ulicy Joaquina Costy, do którego się sprowadzili po powrocie z podróży poślubnej. Miał zamiar utopić swoje smutki w rozkosznie ciągnących się sugusach, ale już pobieżny przegląd spiżarnianych zapasów wykazał, że i tej przyjemności nie zazna dziś tak łatwo. Fermina ogarnęła czarna rozpacz. Przypomniał sobie wówczas, że w hali głównej dworca Francia do późnych godzin nocnych urzęduje sprzedawca słodczy i papierosów Ślepy Diego, pewne i niewyczerpane źródło łakoci i sprośnych kawałków. Wizja cytrynowego sugusa sprawiła, że ślinka napłynęła mu do ust, więc migiem zrzucił piżamę i przywdział strój, jakby nie wybierał się na spacer po Barcelonie, ale do syberyjskiej tundry. Tak przygotowany wyszedł na ulicę, żeby zaspokoić najprymitywniejsze instynkty i zagłuszyć bezsenność.

Raval to mała ojczyzna wszystkich, którzy nie mogą spać. Chociaż sam nigdy nie odpoczywa w nocy, zachęca do zapomnienia, niezależnie od tego, ile nieszczęść dźwigamy na swoich barkach: wystarczy przejść się po tej dzielnicy, żeby natknąć się na coś, co przypomni nam, że inni mają większe

problemy, albo na kogoś, komu życie rozdało jeszcze gorsze karty. Tej nocy, której los miał kaprys skrzyżować drogi dwojga starych znajomych, żółtawe miazmaty nasączone zapachem uryny unosiły się nad rozświetloną sepiowobrazowym światłem latarni gazowych płataniną uliczek i zaułków jak magiczne zaklęcie albo ostrzeżenie, w zależności od osobistych upodobań.

Fermín szedł niezrażony pośród zapachów, pokrzykiwań i innych odgłosów tej lumpenproletariackiej dzielnicy, które ożywiały zaułki tak kręte i mroczne, jak najskrytsze fantazje arcybiskupa. W końcu znalazł się pod pomnikiem Kolumba. Za sprawą spisku mew, które postanowiły chyba złożyć dość kontrowersyjny hołd dziecie śródziemnomorskiej, posąg bohatera pokrywała gruba warstwa białego guana. Fermín skręcił w ulicę prowadzącą na dworzec Francia, nie mając odwagi odwrócić wzroku i spojrzeć w kierunku surowej sylwetki zamku Montjuic, górującej nad miastem jak przyczajony do skoku drapieżnik.

Hordy amerykańskich marynarzy snuły się w okolicach portu, szukając jakiejś balangi oraz korepetycji z języka i kultury udzielanych przez niewiasty nieprzesadnie strzegące własnej cnoty i skłonne nauczyć ich podstawowego słownictwa oraz trzech czy czterech sztuczek znanych tylko mieszkańcom miast portowych. Fermín przypominał sobie o Rociíto, swojej wiernej pocieszycielce, w której ramionach szukał ukojenia podczas burzliwych młodzieńczych nocy, kobiecie obdarzonej wielkim sercem i równie wielkim biustem, co nie raz ocaliła go od samotności. Wyobraził ją sobie razem z narzeczonym, bogatym kupcem z Reus, dzięki któremu odeszła z zawodu i podróżuje teraz po świecie jak prawdziwa dama, którą zawsze była, i być może czuje, że szczęście w końcu się do niej uśmiechnęło.

Rozmyślając o Rociíto i o tym gatunku nieustannie zagrożonym wymarciem, jaki stanowią niewątpliwie ludzie dobrego serca, Fermín doszedł do stacji kolejowej. Już z daleka zauważył Ślepego Diega, który zwijał żagle, i podbiegł do niego.

- Witaj, Ferminie. Myślałem, że o tej porze masz całkiem inne zajęcia – odezwał się Diego. – Czyżby zapasy sugusów się skończyły?
- Nie został mi ani jeden.
- Mam cytrynowe, ananasowe i truskawkowe.

- Niech będą cytrynowe. Pięć opakowań.
- Dorzucę szóste na koszt firmy.

Fermín zapłacił i dał sprzedawcy napiwek. Diego, nie licząc monet, włożył je do skórzanej torebki przytroczonej do paska, podobnej do tej, jaką noszą konduktorzy. Fermín nigdy nie rozumiał, skąd Diego wie, czy ktoś go oszukuje czy nie. Ale zawsze to wiedział. Co więcej, potrafił to przewidzieć. Przyszedł na świat niewidomy i miał w życiu mniej szczęścia niż kadet piechoty. Mieszkał samotnie w pokoju bez okien przy ulicy Princesa, mając za najlepszego przyjaciela radio tranzystorowe, w którym słuchał transmisji z meczów piłkarskich i wiadomości przyprawiających go o pusty śmiech.

- Przyszedł pan popatrzeć na pociągi, co?
- Stare przyzwyczajenia – odparł Fermín.

Patrzył za sprzedawcą, jak odchodzi do swojego pensjonatu, w którym nie czekały na niego nawet pluskwy, i pomyślał o Bernardzie, śpiącej zapewne dalej i pachnącej wodą różaną. Miał już wracać do domu, ale w ostatniej chwili postanowił wejść do budynku dworca, owej katedry z żelaza i pary, w której wylądował, gdy wracał do Barcelony pewnej odległej nocy 1941 roku. Zawsze uważał, że przeznaczenie, mające brzydki zwyczaj zadawania niewinnym ciosu w plecy i przyłapywania ich ze spuszczoneymi gatkami, lubowało się w scenerii stacji kolejowych. To na nich zaczynały się i kończyły wielkie romanse i najbardziej przejmujące tragedie, ucieczki i powroty, zdrady i rozstania. Życie, mówił sobie, jest jak stacja, na której człowiek zawsze wsiada albo zostaje wepchnięty do niewłaściwego wagonu.

Te niezbyt głębokie myśli nawiedzały go zwykle nad ranem, kiedy ciało czuło się już znużone codziennym wysiłkiem, ale umysł cały czas wirował niczym zabawkowy bączek. Zdecydowany zamienić te rozważania za trzy grosze na surowy komfort drewnianej ławki Fermín wszedł do hali z ogromną kopułą, tak spiralną i powykręcaną, jakby jej architekt chciał dać do zrozumienia, że los chadza w Barcelonie krętymi ścieżkami.

Usiadł na ławce, rozwinął pierwszego sugusa i włożył go do ust. Całkowicie pochłonięty swoją cukierniczą nirwaną zatopił wzrok w szynach uciekających w nocny mrok. Po chwili poczuł, że ziemia drży mu pod nogami. W oddali pojawiły się światła lokomotywy. Kilka minut później pociąg wjechał na stację, dysząc i wzbijając w górę kłęby pary.

Gaza ciągnącej znad morza mgły unosiła się nad peronami, przydając pasażerom wysiadającym po długiej podróży widmowego wyglądu. Fermín obserwował, jak przechodzą, patrzył na ich stroje i zmęczone twarze i wyobrażał sobie, jakie to zrządzania losu przywiodły ich do miasta. Zaczął już nawet wczuwać się w rolę samozwańczego biografa anonimowych obywateli, kiedy ją zobaczył.

Wysiadła z wagonu otulona welonem białej pary, dokładnie takim samym, w jakim Fermín wyobrażał sobie Marlenę Dietrich na dworcu w Berlinie, Paryżu czy jeszcze innym, może nigdy nieistniejącym mieście, w tym cudownym czarno-białym dwudziestym wieku z porannych sesji w kinie Capitol. Kobieta – bo chociaż Fermín nie dawał jej więcej niż trzydzieści lat, nie przeszłoby mu nawet przez myśl nazwanie jej dziewczyną, panią ani żadnym innym powszechnie używanym synonimem – szła, leciutko utykając, co sprawiało, że wydawała się intrygująca, a jednocześnie delikatna.

Jej twarz i cała sylwetka miały w sobie coś wyrazistego, emanowały z nich naraz światło i cień. Gdyby miał ją opisać swojemu przyjacielowi Danielowi, powiedziałby, że przypomina widmowe nocne anioły występujące często na kartach powieści Davida Martina, jego dawnego towarzysza z więziennej galerii w zamku Monjuic, a najbardziej olśniewającą Chloe, bohaterkę wielu historii kpiących z zasad estetycznego dekorum w makabrycznej serii „Miasto Przeklętych”. Cykl ten kosztował Fermina wiele zarwanych nocy, podczas których nie mógł oderwać się od książki, a przy okazji zyskał encyklopedyczną wręcz wiedzę na temat sztuki trucicia i podtruwania, mrocznych namiętności dręczących zbrodnicze umysły oraz subtelnej umiejętności wkładania i zdejmowania najintymniejszych części damskiej garderoby. Może już najwyższy czas, żeby powrócić do kilku frywolnych gotyckich powieści, pomyślał, zanim bezpowrotnie zardzewieją mi duch i gonady.

Fermín obserwował ją uważnie i po chwili napotkał jej wzrok. Trwało to ułamek sekundy, potem ona spuściła czoło, uciekając przed jego spojrzeniem, i przeszła obok. Fermín postawił kołnierz płaszcza i odwrócił głowę. Pasażerowie szli w kierunku wyjścia, a ona oddalała się wraz z nimi. On siedział wciąż na ławce, ręce lekko mu drżały. W końcu podszedł do niego zawiadowca.

– Proszę pana, dziś już nie przyjedzie żaden pociąg, a na dworcu nie może pan spać...

Fermín pokiwał głową i odszedł ciężkim krokiem. Rozejrzał się jeszcze uważnie po hali dworcowej, ale po niej nie było nawet śladu. Wyszedł na ulicę, gdzie natychmiast dopadła go lodowata bryza, dobitnie przypominając, jaka jest pora roku.

– Alicjo? – rzucił pytanie na wiatr. – Czy to naprawdę ty?

Fermín westchnął i ruszył przed siebie ciemnymi uliczkami, powtarzając sobie, że to niemożliwe, że te oczy, w których na chwilę zatonął, nie mogły należeć do dziewczynki porzuconej przez niego w wojenną noc bombardowania i że Alicja musiała wtedy zginąć, podobnie jak wielu innych. Nie potrafił jej ocalić. Nie, nawet jego prywatna nemezys nie mogła mieć tak czarnego poczucia humoru.

– Na pewno da się to jakoś naukowo wyjaśnić – tłumaczył sobie na głos. – Podobnie jak nocne erekcje.

Fermín uczepił się kurczowo tej myśli i wsuwając do ust dwa sugusy naraz, ruszył z powrotem do swego ciepłego łóża, gdzie czekała na niego Bernarda, przekonany, że nic w życiu nie zdarza się przypadkiem i że prędzej czy później albo to on zdoła rozwikłać tajemnicę, albo to tajemnica zdemaskuje jego sekrety z przeszłości.

3

Kiedy Alicja zmierzała do wyjścia, zauważyła siedzącego na ławce na peronie człowieka, obserwującego ją kątem oka. Był to niski i szczupły mężczyzna, w którego twarzy najbardziej zwracał uwagę olbrzymi nos. Przypominał trochę postać z obrazów Goi. Miał na sobie za duży płaszcz i przywodził na myśl ślimaka dźwigającego na grzbiecie swoją muszlę. Alicja mogłaby przysiąc, że pod wierzchnim okryciem skrywa warstwę poskładanych gazet izolującą od zimna, z którą to praktyką nie spotkała się od pierwszych powojennych lat.

Najprościej byłoby oczywiście o nim zapomnieć, wytłumaczyć sobie, że to

tylko kolejny osobnik pośród tłumu ludzi, którzy zostali bez środków do życia, a teraz, prawie dwadzieścia lat po zakończeniu wojny, błakają się po podejrzanych dzielnicach wielkich miast, nigdy nie porzucając nadziei, że historia kiedyś przypomni sobie o Hiszpanii i uratuje ją od zapomnienia. Najprościej byłoby nadal wierzyć, że Barcelona w swej łaskawości podaruje jej przynajmniej kilka godzin rozejmu, zanim skonfrontuje ją z przeznaczeniem. Alicja przeszła obok i nie odwracając się, pospieszyła ku wyjściu, błagając piekło, żeby jej nie rozpoznał. Od tamtej nocy minęło przecież ponad dwadzieścia lat, a ona była wówczas dziewczynką.

Przed budynkiem stacji wsiadła do taksówki i poprosiła kierowcę, żeby zawiózł ją na ulicę Aviñón pod numer dwunasty. Kiedy wymawiała te słowa, zadrżał jej głos. Samochód ruszył ulicą Isabelli II w kierunku Vía Layetana, manewrując pomiędzy korowodem tramwajów, rozpalających na kablach snopy skrzących się we mgle niebieskich iskier. Alicja patrzyła przez okno na mroczny profil Barcelony, na łuki i wieżyczki, zaułki wiodące na starówkę i dalekie światła górującego nad miastem zamku Montjuic. Dom, ponury dom, pomyślała.

O tej porze ruch na ulicach był niewielki i w pięć minut dotarli na miejsce. Taksówkarz zostawił ją pod bramą, grzecznie podziękował za napiwek wyższy niż sama opłata za kurs i oddalił się w kierunku portu. Alicja odetchnęła głęboko: nawet w czasie deszczu zimna bryza pachniała starą Barceloną. Ku własnemu zaskoczeniu uśmiechnęła się. Z czasem nawet złe wspomnienia zaczynają wydawać się miłe.

Jej dawne mieszkanie znajdowało się zaledwie kilka kroków od skrzyżowania z ulicą Fernando, naprzeciwko znanej kawiarni Gran Café. Alicja szukała kluczy w kieszeni płaszcza, kiedy usłyszała, że drzwi się otwierają. Uniosła wzrok i napotkała uśmiechniętą twarz konsjerżki Jesusy.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – wykrzyknęła wyraźnie wzruszona.

Zanim Alicja zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, konsjerżka wzięła ją w objęcia boa dusiciela i odcisnęła na jej twarzy tysiąc pocałunków pachnących anyżkowym likierem.

– Niech no się pani przyjrzę – powiedziała w końcu, zwalniając uścisk.

– Proszę mi tylko nie mówić, że jestem za chuda.

- To już pewnie mówią pani mężczyźni, i ten jeden raz w życiu mają rację.
- Strasznie się za panią stęskniłam, pani Jesuso.

– Aj, nie ma pani za grosz wstydu. Niech pani pozwoli, że ucałuję panią raz jeszcze, chociaż wcale pani nie zasłużyła. Tyle czasu minęło, ani razu nie przyjechała pani w odwiedzin, nie zadzwoniła, nie napisała nawet marnego listu, ani słowa, nic...

Jesusa Labordeta była jedną z wojennych wdów obdarzonych taką determinacją i siłą ducha, że starczyłoby im na dziewięć żyć, których nigdy nie było im dane przeżyć. Od piętnastu lat pracowała jako konsjerżka w tym domu, zajmowała niewielkie dwupokojowe mieszkanie w głębi korytarza, dzielone z radiem nastawionym wyłącznie na radionowełe i wymizerowanym kundlem przygarniętym z ulicy, na którego wołała Napoleon, chociaż często zdarzało się, że bojowego zapachu nie starczało mu nawet na poranną kampanię załatwienia swoich potrzeb fizjologicznych na ulicy i kapitulował już pod skrzynkami na listy przy wejściu, gdzie zostawiał wielką żółtą kałużę. Dorabiała do swojej nędznej pensyjki, robiąc poprawki krawieckie i cerując stare ciuchy dla połowy dzielnicy. Złośliwi, a w owych czasach prawie wszyscy należeli do tej grupy, mówili, że Jesusa potrafiła wypić więcej anyżkowego likieru niż niejeden marynarz, a czasami, kiedy przesadziła, z jej małego mieszkania dochodziły lamenty i krzyki oraz wycie przerażonego Napoleona.

- Proszę wejść, zimno dziś jak diabli.

Alicja weszła za nią do środka.

- Pan Leandro dzwonił dziś rano, żeby powiadomić, że pani wraca.

- Niezwykle uprzejmie z jego strony.

– To prawdziwy dżentelmen – westchnęła Jesusa, która uważała go za świętego. – I tak pięknie się wysławia.

W budynku nie było windy, a schody przypominały raczej wzniesiony przez architekta mur obronny mający odstraszyć potencjalnych odważnych od wchodzenia na górę. Jesusa ruszyła przodem, Alicja szła za nią z trudem, wciągając walizkę stopień po stopniu.

- Przewietrzyłam mieszkanie i zrobiłam trochę porządku, bo naprawę było trzeba. Fernandito mi pomagał, mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko

temu. Kiedy tylko się dowiedział, że pani przyjeżdża, nie ustąpił, póki nie kazałam mu zrobić kilku rzeczy.

Fernandito był siostrzeńcem pani Jesusy. Nieskazitelnie czysta duszyczka, którą nawet święty mógłby oszukać. Fernandito cierpiał na nieuleczalną chorobę młodzieńczego zakochania. Na domiar złego matka natura w swej nieskończonej złośliwości obdarzyła go cechami wiecznego naiwniaka. Mieszkał w sąsiednim budynku, pracował w pobliskim sklepie spożywczym, dostarczając zamówienia, chociaż większą część jego czasu i talentów pochłaniało pisanie wierszy o niebagatelnym ładunku lirycznym dedykowanych Alicji, której osobę postrzegał jako olśniewające i zarazem obsceniczne połączenie Damy Kameliowej ze złą macochą z Królowny Śnieżki. Trzy lata temu, zanim Alicja opuściła Barcelonę, Fernandito wyznał jej dozgonną miłość i szczerą gotowość spłodzenia z nią co najmniej pięciorga dzieci. Zaklinał się na Boga i wszystkich świętych, że jego dusza, ciało i wszystko inne będzie należeć do niej na zawsze w zamian za skromny pocałunek na pożegnanie.

– Fernandito, jestem od ciebie dziesięć lat starsza. Nie możesz o mnie myśleć w ten sposób – powiedziała wtedy Alicja, ocierając mu z policzków łzy.

– Czemu mnie pani nie chce, pani Alicjo? Nie jestem dla pani wystarczająco męski?

– Fernandito, męskości wystarczyłoby ci, żeby samodzielnie pokonać Niezwyciężoną Armadę. Ale musisz poszukać sobie narzeczonej w swoim wieku. Zobaczysz, za dwa lata przyznasz mi rację. Ja mogę ci zaoferować tylko przyjaźń.

Duma Fernandita przypominała boksera mającego więcej zapału niż zdolności: nie miało znaczenia, jak mocno oberwał, zawsze wracał po więcej.

– Nikt nie pokocha pani tak mocno jak ja, Alicjo. Nikt.

Tamtego dnia, kiedy zamierzała wsiąść do pociągu i wyruszyć do Madrytu, Fernando, który melodramat miał we krwi, być może dzięki bolerom nieustannie sączącym się z radia, czekał na nią na dworcu w swoim odświętnym garniturze i świeżo wypastowanych butach: wyglądał jak młodsza kopia Carlosa Gardela. Wraz z bukietem czerwonych róż w dłoni, który musiał go kosztować miesięczną pensję, wręczył jej list miłosny, który rozпалиłby do

czerwoności lady Chatterley, ale zdołał jedynie sprawić, że Alicja się rozpląkała, i to wcale nie w sposób, o którym marzył nieszczęsny Fernandito. Zanim zdołała wsiąść do pociągu i uwolnić się od następcy Casanovy, Fernando uzbroił się w całą odwagę kumulowaną od chwili, gdy zaskoczyła go nastoletnia burza hormonów, i pocałował ją tak, jak całuje się tylko, mając piętnaście lat: pocałunkiem, który przywraca, choćby tylko na chwilę, wiarę w świat i ludzi.

– Łamie mi pani serce, pani Alicjo – wyznał, łkając. – Umrę w końcu z tej rozpacz. Czytałem, że to się czasem zdarza. Człowiek płacze tak długo, że całkiem wysychają mu gruczoły łzowe, a potem pęka aorta. Mówili o tym ostatnio w radiu. A kiedy przeczyta pani mój nekrolog, pożałuje pani, że ma mnie na sumieniu.

– Fernandito, w jednej twojej łzie jest więcej życia, niż kiedykolwiek mogłabym przeżyć, choćbym nawet umarła w wieku stu lat.

– To brzmi jak cytat z jakiejś książki.

– Nie ma książki zdolnej ciebie opisać, Fernandito, no chyba że byłby to traktat biologiczny.

– Niech pani już jedzie. Dość mam tej pani perfidii i kamiennego serca. Kiedyś poczuje się pani na świecie sama jak palec, Alicjo. I wtedy zatęskni pani za mną.

Alicja ucałowała go w czoło. Chętnie pocałowałaby go w usta, ale bała się, że chłopak tego nie przeżyje.

– Już za tobą tęsknię, Fernandito. I postaraj się jak najprędzej o mnie zapomnieć.

W końcu dotarły na poddasze i Alicja, stając przed drzwiami swojego dawnego mieszkania, ocknęła się z zamyślenia. Jesusa otworzyła drzwi i zapaliła światło.

– Ale proszę się nie martwić – powiedziała konsjerżka, jakby czytała jej w myślach – chłopak ma przemiłą narzeczoną i bardzo się zmienił. Po dawnym podrostrku nie zostało śladu. Proszę, niech pani wejdzie.

Alicja postawiła walizkę w korytarzu i weszła do mieszkania. Jesusa zatrzymała się w progu. Na szafce przy drzwiach stał wazon z kwiatami,

pachniało świeżością. Alicja ostrożnie przeszła przez korytarz i zajrzała do wszystkich pokoi, jakby była tu pierwszy raz w życiu.

Usłyszała za plecami kroki Jesusy i brzęk kładzionych na stole kluczy. Wróciła do pokoju. Konsjerżka spoglądała na nią z uśmiechem.

– Jakby nie upłynęły trzy lata, prawda?

– Czuję się, jakby upłynęło trzydzieści – odparła Alicja.

– Jak długo pani zostanie?

– Jeszcze nie wiem.

Jesusa pokiwała głową.

– No dobrze, na pewno jest pani zmęczona. W kuchni znajdzie pani coś na kolację. Fernandito napełnił pani spizarkę. Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, jestem u siebie.

– Bardzo dziękuję, Jesuso.

Konsjerżka spuściła wzrok.

– Cieszę się, że jest pani znów w domu.

– Ja też.

Jesusa zamknęła za sobą drzwi i Alicja usłyszała jej kroki oddalające się po schodach. Odsłoniła zasłony i otworzyła okno, żeby wyjrzeć na ulicę. Rozciągał się przed nią ocean dachów starej Barcelony, w oddali majaczyły wieże katedry Santa María del Mar. Przyjrzała się wstążce ulicy Aviñón i zauważyła postać kryjącą się w mroku podcieni znajdującego się naprzeciwko sklepu La Manual Alpargatera z ręcznie wyrabianymi espadrylami. Mężczyzna, kimkolwiek był, stał tam i palił papierosa, a siwe kółka dymu pełzły w górę wzdłuż elewacji budynku. Alicja przyglądała mu się przez chwilę, ale w końcu zamknęła okno. Za wcześnie, żeby wyobrazić sobie czyhające na nią cienie. Jeszcze przyjdzie na to czas.

Zaciągnęła z powrotem zasłony i chociaż wcale nie miała apetytu, usiadła przy stole, zrobiła sobie kanapkę z serem i zagryzła kilkoma orzechami i migdałami. Potem odkorkowała przewiązaną czerwoną wstążką butelkę białego wina, którą znalazła na stole. Ten miły gest z pewnością zawdzięczała Fernanditowi, który najwyraźniej wciąż pamiętał o jej słabościach. Nalała sobie kieliszek i skosztowała z zamkniętymi oczyma.

– Mam nadzieję, że nie jest zatrute – powiedziała. – Twoje zdrowie, Fernandito.

Wino okazało się wyśmienite. Nalała sobie drugi kieliszek, a potem rozsiadła się wygodnie w fotelu w salonie. Wstała, żeby się przekonać, czy jej stare radio nadal działa. Później powoli upiła kolejny łyk wina Penedès ze świetnego rocznika i po długiej chwili, znudzona wiadomościami przypominającymi słuchaczom, którzy jakimś cudem zdołali o tym zapomnieć, że Hiszpania jest najjaśniejszym klejnotem budzącym zazdrość na arenie międzynarodowej, wyłączyła radio i zabrała się do rozpakowywania walizki. Przytargała ją do jadalni i otworzyła. Przyjrzała się zawartości i zaczęła się zastanawiać, po co właściwie zadała sobie trud przywożenia tu ubrań i innych pozostałości po życiu, o którym chciała jak najprędzej zapomnieć i nie miała najmniejszego zamiaru do niego wracać. W pierwszym odruchu chciała zamknąć walizkę z mocnym postanowieniem, żeby jutro zanieść zawartość Jesusie i poprosić, by oddała ją na jakąś zbiórkę dla potrzebujących. Po chwili namysłu wyjęła rewolwer i dwie paczki kul. Rewolwer sprezentował jej Leandro w drugim roku służby. Alicja podejrzewała zawsze, że broń miała długą historię, w którą mentor postanowił jej nie wtajemniczać.

„– Co to ma być? Arkebuz generała Spinoli?

– Cóż, jeśli wolisz, zdobędę ci broń dla panienek. Pistolet z rękojeścią z kości słoniowej i złotą lufą.

– A co miałabym z nim zrobić? Strzelać do pudełków?

– Obronić się, gdyby ktoś próbował strzelać do ciebie”.

Ostatecznie Alicja przyjęła ten antyk, jak wiele innych podarków Leandra, zgodnie z niepisaną umową zakładającą z jej strony uległość i posłuszeństwo, zachowywanie pozorów, odpowiadanie na każdą prowokację zimnym uśmiechem i milczeniem, dzięki którym mogła, dzień za dniem, oglądać swoje odbicie w lustrze i ciągle się okłamywać, że wie, co jest sensem jej życia. Wzięła broń do rąk, żeby poczuć jej ciężar. Otworzyła bębenek, nie było w nim naboji. Opróżniła na podłogę paczkę amunicji i niespiesznie załadowała sześć kul. Potem wstała i podeszła do półki z książkami, zajmującej jedną ze ścian. Jesusa i jej pułk szmatek i miotełek niewątpliwie zapanowali nad chaosem; nie zauważyła ani drobinki kurzu, najmniejszego śladu trzyletniej nieobecności. Znalazła oprawny w skórę egzemplarz Biblii spoczywający

obok francuskiego przekładu *Doktora Faustusa* i otworzyła go. Wyłuskane nożem strony stanowiły doskonałe etui dla jej osobistej artylerii. Ukryła broń w Biblii i odłożyła tom na półkę.

Amen, szepnęła w duchu.

Zamknęła walizkę i przeszła do sypialni. Ułożyła się wygodnie w świeżo wyprasowanej pościeli, zmęczenie podróży i ciepło alkoholu rozptywające się po ciele zrobiły swoje.

Tej nocy Alicja znów śniła o lejącym się z nieba ogniu. Biegła po dachach Ravalu, uciekając przed hukami bomb, które spadały wokół, wzbijając w górę kolumny płomieni i czarnego dymu. Eskadry samolotów ślizgały się nad miastem, strzelały do przerażonych ludzi uciekających wąskimi uliczkami do schronów. Wyglądając z gzymsu wychodzącego na ulicę Arco del Teatro, zobaczyła kobietę z czworgiem dzieci w panice biegnących w stronę Rambli. Posypał się na nich deszcz pocisków i ich ciała rozprysły się w fontanny wnętrza i krwi. Alicja zamknęła oczy i wtedy nastąpił wybuch. Poczła go wcześniej, niż usłyszała, jakby w ciemnościach potrafiła ją rozpędzona lokomotywa. Szarpnięcie bólu rozpało jej ciało, siła eksplozji rzuciła ją w stronę szklanej kopuły, która roztrzaskała się w miliard płonących odłamków. Alicja runęła w pustkę.

Ale jej lot trwał zaledwie kilka sekund. Upadła obok drewnianej balustrady na szczycie jakiejś olbrzymiej konstrukcji. Podczołgała się do krawędzi i spojrzała w dół. W półmroku zamajaczyły kontury spiralnych schodków. Przetarła oczy i wpatrzyła się w mrok rozświetlany czerwoną poświatą odbijającą się od chmur. U jej stóp rozciągała się cytadela książek i niemożliwej architektury. Po chwili usłyszała kroki zbliżające się jednym z korytarzy labiryntu i zobaczyła sylwetkę mężczyzny o rzadkich włosach, który uklęknął przy niej i przyjrzał się ranom pokrywającym jej ciało. Wziął ją na ręce i ruszył przez tunele, schody i wiszące mosty, aż dotarli na sam dół. Tam ułożył ją na łóżku i opatrzył jej rany, utrzymując ją na granicy życia i śmierci, nie chcąc puścić dalej, podczas gdy bomby nadal spadały z furją na miasto. Rozbłyśki wybuchów wdzierały się do środka przez kopułę, wydobywając z mroku pulsujące obrazy tego miejsca, najcudowniejszego, jakie kiedykolwiek widziała. Bazylika wzniesiona z książek, ukryta w pałacu, który nigdy nie istniał, mogła powrócić jedynie w snach. Bo coś takiego mogło istnieć jedynie po drugiej stronie, tam gdzie czekała na nią jej matka Lucía

i gdzie zostało serce Alicji.

O świcie nieznamy mężczyzna znów wziął ją na ręce i zaniósł do szpitala płonącymi ulicami skąpanej we krwi Barcelony. Tam człowiek cały pokryty popiołem spojrział na nich i pokręcił głową.

– Tej lalki nie da się już naprawić – powiedział.

I wówczas, ten motyw powracał wciąż w jej snach, okazywało się, że jest kukiełką z nadpalonego, dymiącego jeszcze drewna, a poruszające nią sznurki, porwane, zwisają bezwładnie. Ze ścian wyłaniały się pozbawione oczu pielęgniarki, wyrywały kukiełkę z rąk dobrego samarytanina i wlokły ją do jakiegoś ogromnego pomieszczenia, gdzie wznosiła się olbrzymia góra części i pozostałości setek, a może nawet tysięcy podobnych do niej lalek. Pielęgniarki rzucały Alicję na stos i odchodziły, głośno się śmiejąc.

4

Alicję obudziły promienie bladego zimowego słońca wyłaniającego się spomiędzy dachów. Otworzyła oczy i pomyślała, że będzie to jej pierwszy i ostatni dzień wolności w Barcelonie. Najpewniej jeszcze dziś wieczorem zjawi się tu Vargas. Uznała, że najpierw złoży wizytę w księgarni Gustava Barceló mieszczącej się przy ulicy Fernando, czyli całkiem blisko. Przypomniała sobie rady zasłyszane od Virgilia, przede wszystkim tę, że księgarz ma słabość do kobiet o ujmującej powierzchowności. Alicja postanowiła więc ubrać się stosownie do okazji. Kiedy otworzyła swoją starą szafę, okazało się, że Jesusa zdążyła na jej przyjazd uprać i wyprasować całą jej garderobę, która wydzielala teraz przyjemny zapach lawendy. Alicja pogładziła palcami swoje dawne stroje, jakby dotykiem chciała wybrać ten najodpowiedniejszy, i korzystając z tego, że podczas jej nieobecności wymieniono bojler, wzięła prysznic, który napełnił całe mieszkanie parą.

Owinięta w ręcznik z logo hotelu Windsor poszła do jadalni, żeby włączyć radio. Obracała pokrętkiem, aż natrafiła na orkiestrę Counta Basiego.

Cywilizacja zdolna wymyślić podobne brzmienie musiała mieć przyszłość. Potem, już w sypialni, zrzuciła z siebie ręcznik i włożyła pończochy ze szwem, które kupiła podczas jednej ze swoich ekspedycji na poprawę humoru w butik z bielizną La Perla Gris. Wybrała buty na niewysokim obcasie, które z pewnością nie zyskałyby aprobaty Leandra, i doskonale podkreślającą jej figurę czarną sukienkę, której nie miała jeszcze okazji na siebie włożyć. Umalowała się bez pośpiechu, pociągnęła usta krwistokarminową szminką. Wisienką na torcie był czerwony płaszcz. Tak wystrojona zeszła na śniadanie do Gran Café, jak to czyniła codziennie, gdy mieszkała jeszcze w Barcelonie.

Miquel, kelner weteran i najlepszy fizjonomista w dzielnicy, poznał ją od razu i pozdrowił zza baru, jakby od jej ostatniej wizyty nie upłynęły trzy lata. Alicja usiadła przy stoliku pod oknem i rozejrzała się po starej knajpcie, zupełnie pustej o tak wczesnej porze. Nie musiała nawet zamawiać, Miquel podszedł do niej, niosąc na tacy kawę z mlekiem i dwie grzanki z masłem i marmoladą truskawkową. Położył przed nią egzemplarz „La Vanguardii”, pachnącej jeszcze świeżą farbą drukarską.

– Widzę, że o wszystkim pan pamięta, Miquelu.

– Dawno pani tu nie zaglądała, doño Alicjo, ale bez przesady. Witamy w domu.

Alicja jadła powoli, przeglądając gazetę. Zdążyła już zapomnieć, jak bardzo lubi zaczynać dzień, oglądając żywe obrazy barcelońskiego życia publicznego odbite w lustrze „La Vanguardii” i oblizując z ust marmoladę truskawkową. Spędziła tak pół godziny, jakby nigdzie się jej nie spieszyło.

Po dopełnieniu rytuału podeszła do baru, gdzie w ciepłym świetle poranka Miquel polerował kieliszki do wina.

– Ile płacę, Miquelu?

– Zapiszę na pani rachunek. Jak znam życie, zobaczymy się jutro o tej samej porze.

– Jeśli Bóg pozwoli.

– Wygląda pani bardzo elegancko. Jakaś ważna wizyta?

– Z tych najważniejszych. W księgarni.

Przywitał ją jeden z tych zimowych barcelońskich poranków, kiedy przydymione światło leje się z nieba i zachęca do przechadzek. Księgarnia Gustava Barceló mieściła się naprzeciwko podcieni placu Real, odległego od Gran Café zaledwie o kilka minut spacerkiem. Alicja ruszyła w tamtą stronę, eskortowana przez brygadę zamiataaczy ulic uzbrojonych w szczotki i szlauch. Po ich przejściu chodnik błyszczał jak orderzy na piersi generała. Ulicę Fernando flankowały eleganckie punkty handlowe, które bardziej niż sklepy przypominały sanktuaria: cukiernie szykowne jak warsztaty jubilerskie, zakłady krawieckie, których wystrój przywodził raczej na myśl operową scenografię. No i księgarnia Barceló, prawdziwe muzeum czytelnictwa, do którego wchodziło się, żeby poszperać w książkach, a po chwili miało się ochotę tam zamieszkać. Alicja, zanim przekroczyła jej próg, zatrzymała się na chwilę, żeby rozkoszować się widokiem starannie zaaranżowanego wnętrza pełnego półek i witryn uginających się pod ciężarem książek. Wchodząc, zauważyła młodego ekspedienta, który stał na drabinie i wycierał kurze z górnych półek. Udając, że go nie widzi, weszła do środka.

– Dzień dobry – powitał ją młodzieniec.

Alicja odwróciła się i posłała mu uśmiech, który z pewnością otworzyłby każdy sejf.

Sprzedawca ochoczo zbiegł z drabiny i stanął za ladą ze szmatką przewieszoną przez ramię.

– Czy mogę czymś pani służyć?

– Panience, jeśli chodzi o ścisłość – powiedziała Alicja, niespiesznie zdejmując rękawiczki.

Młodzieniec pokiwał głową, oczarowany klientką. Prostota tych sztuczek nigdy nie przestała jej zadziwiać. Jeszcze raz podziękowała w duchu za błogosławioną naiwność prostolinijnych mężczyzn.

– Bardzo zależy mi na tym, żeby porozmawiać z panem Gustavem Barceló.

– Pana Barceló nie ma w tej chwili.

– A może wie pan, kiedy mogłabym go zastać?

– To nie takie proste... Don Gustavo rzadko tu zagląda, chyba że ma spotkanie z klientem. Don Felipe, który jest kierownikiem księgarni, pojechał właśnie do Pedralbes, żeby wycenić księgozbiór, ale koło południa powinien być z powrotem.

– A z kim mam przyjemność?

– Benito do pani, znaczy panienki, usług.

– Panie Benito, widzę, że mam do czynienia z osobą inteligentną. Żywię nadzieję, że mi pan pomoże.

– Zamieniam się w słuch.

– Sprawa, nie ukrywam, jest nader delikatnej natury. Chciałabym pilnie porozmawiać z panem Barceló, gdyż mój bliski krewny, wytrawny kolekcjoner, nabył ostatnio egzemplarz, który chciałby sprzedać, i ma nadzieję, że don Gustavo zgodzi się zostać jego doradcą i pośredniczyć w operacji, co pozwoliłoby mojemu krewnemu zachować anonimowość.

– Rozumiem – wymamrotał sprzedawca.

– Książka, o której mowa, to doskonale zachowany egzemplarz jednej z części cyklu „Labirynt duchów” niejakiego Victora Mataixa.

Oczy chłopaka zrobiły się wielkie jak spodki.

– Victora Mataixa?

Alicja pokiwała głową.

– Zna pan to nazwisko?

– Gdyby panienka była tak uprzejma i poczekała chwilkę, spróbuję skontaktować się jak najszybciej z panem Barceló.

Alicja uśmiechnęła się przymilnie. Sprzedawca zniknął na zapleczu. Po chwili usłyszała terkot obracającej się tarczy telefonu, a potem podekscytowany teatralny szept młodzieńca dochodzący zza zasłonki.

– Don Gustavo, przepraszam, że... Tak, wiem, która jest godzina... Nie oszalałem, ale... Tak, proszę pana, błagam, niech... Oczywiście, że lubię swoją pracę... Nie, proszę, tylko nie to... Proszę dać mi sekundę, jedną sekundę... Dziękuję.

Młodzieniec złapał oddech i powrócił do dyskusji z chlebodawcą.

– Zjawiała się tu kobieta, która twierdzi, że ma do sprzedania doskonale zachowany egzemplarz powieści Mataixa.

Zapadła długa cisza.

– Nie, oczywiście, że nie zmyślam. Słucham? Nie, nie wiem, kim ona jest. Młoda dziewczyna, bardzo elegancka. Tak, prawdę mówiąc, tak. Nie, nieprawda, nie wszystkie... Tak, oczywiście, natychmiast to zrobię.

Sprzedawca ukazał się w progu, rozplływając się w uśmiechach.

– Don Gustavo pyta, kiedy mogłaby się pani z nim spotkać.

– Jeszcze dziś po południu? – zasugerowała Alicja.

Chłopak pokiwał głową i znów zniknął za zasłonką.

– Jeszcze dziś. Tak. Nie wiem... Mam zapytać? Rozumiem, nie będę pytał. Tak, oczywiście, ma pan rację. Tak, proszę pana. Zaraz to zrobię. Nie, proszę się nie martwić. Oczywiście, jasna sprawa. Tak, proszę pana. Wiem, pan też.

Kiedy po raz drugi wyłonił się zza zasłonki, wydawał się o wiele spokojniejszy.

– Wszystko w porządku? – zapytała Alicja troskliwym tonem.

– W jak najlepszym. Przepraszam za całą scenę. Don Gustavo to święty człowiek, ale ma swoje wady, jak każdy.

– Domyślam się.

– Powiedział, że z wielką przyjemnością spotka się z panią dziś po południu w Círculo Ecuestre, jeśli to pani odpowiada. Zje tam dziś obiad i spędzi popołudnie. Wie pani, gdzie to jest? Dom Pereza Samanillo, na rogu ulicy Blames i alei Diagonal.

– Oczywiście, znam to miejsce. Nie omieszkać wspomnieć don Gustavowi, że okazał się pan bardzo pomocny.

– Bardzo dziękuję.

Alicja już miała wychodzić, kiedy młody sprzedawca, może mając nadzieję, że przedłuży o kilka chwil tę niecodzienną wizytę, wybiegł zza kontuaru, by odprowadzić klientkę do wyjścia.

– To jednak niespotykany zbieg okoliczności – zagaił zdenerwowany. – Od tylu lat nikt nie widział ani jednego tomu z cyklu „Labirynt”, a w ciągu

ostatniego miesiąca zjawiają się aż dwie osoby pytające o Mataixa...

Alicja zatrzymała się w pół kroku.

– Naprawdę? A kto jeszcze o niego pytał?

Twarz Benita zrobiła się śmiertelnie poważna, jakby powiedział o wiele za dużo. Alicja położyła chłopakowi rękę na ramieniu i delikatnie je pogładziła.

– Proszę się nie martwić, to zostanie między nami. Pytam z czystej ciekawości.

Sprzedawca wciąż się wahał. Alicja delikatnie nachyliła się ku niemu.

– To był mężczyzna, z Madrytu. Wyglądał na policjanta. Pokazał mi jakąś legitymację – wyjąkał w końcu Benito.

– A może się przedstawił?

Benito wzruszył ramionami.

– Może i tak, ale już nie wiem... Zapamiętałem go, bo miał na twarzy bliznę.

Alicja uśmiechnęła się, a jej uśmiech jeszcze bardziej zdezorientował biednego Benita.

– Ta blizna, o której pan wspomniał. Cięcie na prawym policzku?

Chłopak zbladł.

– Nie nazywał się przypadkiem Lomana? – dopytywała się Alicja. – Ricardo Lomana?

– Być może... Nie jestem pewien, ale...

– Dziękuję, Benito. To dla mnie naprawdę wielka pomoc.

Alicja zdążyła się już oddalić, kiedy sprzedawca stanął w progu księgarni i zawołał za nią:

– Nie powiedziała mi pani, jak się pani nazywa...

Alicja odwróciła się i posłała chłopakowi uśmiech, który miał wspominać przez cały dzień i lwią część nocy.

Alicja opuściła księgarnię Gustava Barceló i nogi same poniosły ją szlakiem dawnych wędrowek. Przez jakiś czas spacerowała po Barrio Gótico, bez pośpiechu zmierzając do kolejnego miejsca, które miała zamiar dziś odwiedzić. Idąc, rozmyślała o Ricardzie Lomanie i jego dziwnym zniknięciu. W gruncie rzeczy wcale nie dziwiło jej to, że tak szybko natrafiła na jego ślad. Lata wspólnej pracy nauczyły ją, że Lomana i ona bardzo często deptali sobie po piętach, podążając tym samym tropem. W dziewięćdziesięciu procentach takich sytuacji to ona pierwsza docierała do celu. Godne odnotowania wydało się jej natomiast to, że Lomana, który, jak poinformował Gil de Partera, powierzając im tę misję, zaczął zajmować się sprawą anonimowych pogróżek pod adresem Vallsa zaledwie kilka tygodni temu, wypytywał o książki Victora Mataixa. O Lomanie można powiedzieć dużo złego, ale na pewno nie brakowało mu sprytu. Dobra wiadomość była taka, że jeśli Lomana dotarł do książek z cyklu „Labirynt duchów” na własną rękę, Alicja mogła być pewna, że instynkt jej nie zawiodł. Zła natomiast – że ich drogi prędzej czy później się skrzyżują. A spotkania Alicji z Lomaną rzadko kończyły się dobrze.

Plotki głosiły, że Ricardo Lomana należał do grona uczniów niesławnego inspektora Fumero z Brygady Kryminalno-Politycznej barcelońskiej policji i należał do najbardziej nieprzewidywalnych agentów, jakich Leandro zdołał przez lata zrekrutować, a było ich wielu. Przez lata służby dla Leandra Alicja miała kilka starć z Ricardem Lomaną. Do ostatniego doszło parę lat wcześniej, gdy Lomana, upojony alkoholem i nienawiścią do Alicji, bo udało się jej rozwiązać sprawę, na którą on stracił kilka miesięcy, poszedł za nią do jej pokoju w hotelu Hispania i obiecał, że któregoś dnia, kiedy nie będzie już Leandra i nikt jej nie obroni, znajdzie czas i miejsce, żeby powiesić ją pod sufitem i zabawić się powoli swoimi ulubionymi narzędziami.

„– Nie jesteś ani pierwszą, ani ostatnią luksusową suką Leandra, moja droga. A kiedy już się tobą znudzi, będę na ciebie czekał. I obiecuję ci, że razem spędzimy miło czas. Zwłaszcza ty, bo masz ciało, które aż się prosi o to, żeby popieścić je żelazem”.

Podczas tego spotkania Lomana zarobił kopniaka w swoją męską dumę, który zmusił go do wzięcia dwóch tygodni zwolnienia, podwójne złamanie ręki i ranę na policzku wymagającą założenia aż osiemnastu szwów. Alicja z kolei przez kilka tygodni nie mogła spać. Czuwała, wpatrując się w drzwi, z rewolwerem na nocnym stoliku, ogarnięta mrocznym przecuciem, że

najgorsze nastąpi dopiero w kolejnej rozgrywce.

Szybko postanowiła wyrzucić Lomanę ze swoich rozmyślań i nacieszyć się pierwszym porankiem na ulicach Barcelony. Szła powoli w słońcu, ostrożnie stawiając kroki i zatrzymując się przed sklepową witryną, gdy tylko poczuła najmniejsze ukłucie bólu w biodrze. Z czasem nauczyła się odczytywać pierwsze ostrzeżenia i unikać nadejścia najgorszego, a przynajmniej je opóźniać. Ona i ból byli jak para zaciętych wrogów, weteranów znających się na wylot, wzajemnie na siebie uważających i stosujących się do reguł gry. Wiedziała, że za spacer bez gorsetu przyjdzie jej zapłacić wysoką cenę, ale i tak sądziła, że jest tego wart. Jeszcze będzie miała czas, by pożałować swojej decyzji.

Dochodziła dziesiąta, kiedy skręciła w ulicę Puerta del Ángel, a potem Santa Ana. Z daleka dojrzała witrynę starej księgarni Sempere i Synowie. Naprzeciwko księgarni znajdowała się mała kafejka. Alicja weszła do środka, usiadła przy stoliku koło okna. Pomyślała, że chwila odpoczynku dobrze jej zrobi.

– Co podać szanownej pani? – zapytał kelner, który wyglądał tak, jakby nie wychodził z lokalu przynajmniej od dwudziestu lat.

– Czarną kawę. I szklankę wody.

– Woda z kranu czy mineralna z butelki?

– A co pan mi radzi?

– To zależy, jak u pani z poziomem wapnia we krwi.

– Niech będzie z butelki. Poproszę niegazowaną.

– Już się robi.

Dwie kawy i pół godziny później Alicja zdążyła już sprawdzić, że ani jedna osoba nie przystanęła chociaż na chwilę przed witryną księgarni. Księgi rachunkowe firmy Sempere i Synowie musiały obrastać pajęczyną z prędkością, z jaką odchodzą w niepamięć rzeczy nieużywane. Dręczyła ją pokusa, żeby przejść na drugą stronę ulicy, przekroczyć próg tego magicznego miejsca, pobuszować w książkach i wydać na nie fortunę, Alicja wiedziała jednak, że to nieodpowiedni moment. W tej chwili jej zadanie ograniczało się do biernego obserwowania. Upłynęło kolejne pół godziny i jako że nie

zdarzyło się nic godnego uwagi, Alicja zaczynała myśleć o tym, żeby podnieść kotwicę. I wtedy go zobaczyła. Szedł zamyślony, z głową w chmurach, uśmiechem na ustach i spokojnym wyrazem twarzy człowieka, który jest w tej luksusowej sytuacji, że nie wie, jak funkcjonuje świat. Nigdy nie widziała jego zdjęcia, ale domyśliła się, kim jest, jeszcze zanim zbliżył się do drzwi księgarni.

Daniel.

Alicja uśmiechnęła się bezwiednie. Daniel Sempere już miał wkroczyć do środka, kiedy drzwi otworzyły się i młoda, najwyżej dwudziestoletnia kobieta wyszła mu na spotkanie. Cechował ją ten typ niewinnej urody, o którym autorzy powieści w odcinkach napisaliby zapewne, że jest emanacją wewnętrznego piękna. Do takich właśnie kobiet wzdychają niezbyt rozgarnięci, a za to nader romantyczni faceci, którzy rzeczywiście uwierzyli w baśnie o aniołach o złotym sercu. Miała w sobie naiwność, a może przyzwoitość, dziedziczoną z dobrodziejstwem inwentarza przez panią z dobrego domu, a ubierała się w sposób, który kazał się domyślać, że przeczuwa, jaki skarb skrywa pod ubraniem, ale nie ma odwagi go wyeksponować. Słynna Beatriz, pomyślała Alicja, urocza i naiwna jak Królowa Śnieżka w domku siedmiu krasnoludków.

Beatriz wspięła się na palce i ucałowała męża w usta. Był to wstrzemięźliwy pocałunek, przelotne muśnięcie warg. Alicja nie bez złośliwej satysfakcji zauważyła, że Beatriz należy do kobiet, które przymykają oczy nawet wtedy, gdy całują swojego prawowitego małżonka i pozwalają obejmować się w pasie. Daniel natomiast wciąż całował jak nastolatek, a wczesne małżeństwo nie pozwoliło mu do tej pory nauczyć się, jak objąć kobietę, gdzie położyć dłonie i jak zrobić właściwy użytek z ust. Było bardziej niż oczywiste, że nikt nigdy nie zdążył przekazać mu tej wiedzy. Uśmiech znikł z ust Alicji. Odezwała się w niej ta niegrzeczna dziewczynka, której nigdy nie udało się poskromić.

– Poproszę o kieliszek białego wina – rzuciła do kelnera.

Po drugiej stronie ulicy Daniel Sempere uściskał żonę na pożegnanie i wszedł do księgarni. Beatriz, której strój świadczył dobitnie, że nie brakowało jej gustu, acz brakowało pieniędzy na zbytki, rozpląnęła się w tłumie zdążającym w kierunku Puerta del Ángel. Alicja jeszcze przez chwilę

miała przed oczyma jej biodra kołyszące się w marszu.

– Ach, moja księżniczko, gdybym to ja mogła cię ubrać – mruknęła.

– Chyba nie dosłyszałem.

Alicja odwróciła się. Kelner stał nad nią z kieliszkiem białego wina. Na jego twarzy malowały się oczarowanie i podziw.

– Jak pan ma na imię? – zapytała Alicja.

– Ja?

Alicja znacząco rozejrzała się po lokalu, wciąż jeszcze pustym.

– A widzi pan tu kogoś jeszcze?

– Marcelino.

– Może dotrzyma mi pan towarzystwa, Marcelino? Nie lubię pić samotnie. No dobrze, to nie całkiem prawda. Ale lubię to trochę mniej.

Kelner przełknął ślinę.

– Chętnie coś panu postawię. Może piwo?

Marcelino patrzył na nią całkiem zбитy z tropu.

– No, niechże się pan przysiadzie, Marcelino, naprawdę nie gryzę.

Kelner pokiwał głową i usiadł za stołem naprzeciwko niej. Alicja uśmiechnęła się przymilnie.

– Ma pan narzeczoną, Marcelino?

Kelner pokręcił głową.

– Ach, niektóre kobiety nie wiedzą, co tracą. A proszę mi powiedzieć, czy z tego baru da się wyjść inaczej niż głównym wejściem?

– Słucham?

– Czy jest tu jakieś tylne wyjście, na podwórko, na schody...

– Tak, można wyjść na podwórko i przejść z niego na ulicę Bertrellans. Czemu pani pyta?

– Pytam, ponieważ ktoś mnie śledzi.

Marcelino spojrział z niepokojem na ulicę.

– Mam zadzwonić na policję?

Alicja położyła dłoń na dłoni kelnera, który pod wpływem jej dotyku

niemal zmienił się w słup soli.

– Nie ma takiej potrzeby. To nic poważnego. Ale wolałabym skorzystać z dyskretnego wyjścia, jeśli to dla pana nie problem.

Marcelino znów kiwnął głową.

– Dziękuję. To miło z pana strony. Ile jestem winna?

– Nic. Zapraszam panią.

– Jest pan naprawdę uroczy. Że też żadna kobieta się na panu nie poznała. A proszę mi jeszcze powiedzieć, ma pan tu telefon?

– Tak. Za barem.

– Mogłabym zadzwonić? To rozmowa międzymiastowa, ale oczywiście zapłacę za połączenie.

– Naturalnie, proszę bardzo.

Alicja podeszła do baru i dostrzegła telefon wiszący na ścianie. Marcelino zastygł w bezruchu za stołem i nie mógł oderwać od niej wzroku. Pomachała mu, a potem wykręciła numer.

– Poproszę z kapitanem Vargasem.

– Panna Gris, prawda? – zapytał niepozabawiony kpiącego tonu głos po drugiej stronie słuchawki. – Kapitan czekał na pani telefon. Już go proszę.

Usłyszała stuknięcie słuchawki odkładanej na biurko, a potem głos wołający policjanta.

– Vargas, to doña Inés – krzyknął ktoś, a potem zaczął nucić refren piosenki *Aquellos ojos verdes*.

– Vargas przy telefonie. Jak się pani miewa? Tańczy pani sardany?

– Kim jest doña Inés?

– To pani. Już wymyślili nam tu przezwiska. Na mnie mówią don Juan.

– Ach, doprawdy genialnych ma pan kolegów.

– Nawet sobie pani nie wyobraża. Talentów tu nie brakuje. Z czym pani dzwoni?

– Tak sobie pomyślałam, że się pan stęsknił.

– Ładniejsze dziewczyny zostawiały mnie na lodzie i jakoś przeżyłem.

– Cieszę się, że przyjął to pan z takim spokojem. Myślałam, że już jest pan w drodze tutaj.

– Jeśli zależałoby to ode mnie, zostawiłbym tam panią samą aż do emerytury.

– A pańscy przełożeni? Są innego zdania, prawda?

– Sugerują, że mam wsiąść w samochód, jechać cały dzień i dobrą część nocy, żeby jutro z samego rana do pani dołączyć.

– Skoro już o samochodach mowa, wiadomo coś nowego o wozie Vallsa?

– Żadnych nowości. Znaleźli go... niech pani poczeka, spojrzę do notesu, przy Carretera de las Aguas, w Vallvidrerze. Czy to w Barcelonie?

– To właściwie nad Barceloną.

– Nad? Jak niebo?

– Coś w tym rodzaju. Jakieś ślady po Vallsie albo jego szoferze Vicente?

– Krople krwi na fotelu pasażera. Widać, że doszło do bójki. Tylko tyle. Obaj jakby rozplynęli się w powietrzu.

– Nic poza tym?

– Kompletnie nic. A co miała mi pani do powiedzenia?

– Że ja z kolei się za panem stęskniłam.

– Ten powrót do Barcelony chyba pani zaszkodził. Gdzie pani teraz jest? Na pielgrzymce do Matki Boskiej z Montserrat?

– Prawie pan zgadł. Obserwuję witrynę księgarni Sempere i Synowie.

– Bardzo produktywne zajęcie, jak mniemam. Dzwoniła pani może do Leandra?

– Nie. Czemu pan pyta?

– Bo on z kolei wydzwania do mnie przez cały rano, pytając o panią. Proszę do niego zatelefonować, opowiedzieć, że miała pani miłą podróż i tak dalej, bo nie da mi spokoju.

Alicja westchnęła.

– Chyba nie mam innego wyjścia. Muszę też poprosić pana o przysługę.

– Zdaje się, że wyświadczanie pani przysług stało się ostatnio celem mojego życia.

– Sprawa jest delikatnej natury – ciągnęła Alicja.

– To moja specjalność.

– Chciałabym, żeby skorzystał pan ze swoich kontaktów w Komendzie Głównej i sprawdził, czym dokładnie zajmował się Ricardo Lomana, zanim zszedł ze sceny.

– Lomana? Ten zaginiony? To łajdak.

– Zna go pan?

– Słyszałem o nim dużo. Niestety nic dobrego. Zobaczę, co się da zrobić.

– Bardzo pana proszę.

W słuchawce rozległo się westchnienie Vargasa.

– Przypuszczam, że dotrę do Barcelony jutro rano. Jeśli pani chce, możemy razem zjeść śniadanie, opowiem, co ustaliłem na temat pani przyjaciela Lomany, o ile oczywiście uda mi się cokolwiek ustalić. Proszę mi obiecać tylko jedno: że do mojego przyjazdu będzie pani grzeczna i nie wpakuje się w żadną kabałę.

– Przyrzekam.

7

Marcelino nadal się jej przyglądał, nie kryjąc niezdrowej fascynacji. Od czasu do czasu spoglądał również w okno, szukając tajemniczego prześladowcy. Alicja puściła do niego oko i pokazała palcem wskazującym.

– Jeszcze tylko jeden telefon i uciekam...

Wykręciła bezpośredni numer do apartamentu Leandra. Telefon nie zadzwonił więcej niż raz. Szef musiał siedzieć przy aparacie i czekać, pomyślała Alicja.

– To ja – mruknęła.

– Alicjo, Alicjo, moja droga Alicjo – powiedział Leandro przesadnie

słodkim głosem. – Nie lubię, jak się przede mną ukrywasz. A ty przecież doskonale o tym wiesz.

– Miałam właśnie do pana dzwonić. Nie musiał pan nasyłać na mnie tego gliniarza.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– To nie pan kazał mnie śledzić?

– Gdyby to był mój człowiek, nie zauważyłabyś go pierwszego dnia z samego rana. Kto to może być?

– Jeszcze nie wiem. Sądziłam, prawdę mówiąc, że to ktoś od pana.

– Otóż nie. Może to sprawka naszych przyjaciół z Komendy Głównej.

– Najwidoczniej mają poważny problem z kadrami, jeśli każą mnie śledzić takiemu partaczowi.

– Nie jest łatwo znaleźć odpowiednich ludzi do tej roboty. Sam wiem o tym najlepiej. Mam wykonać telefon, żeby go odwołali?

Alicja zastanowiła się chwilę.

– Może nawet nie. Mam pewien pomysł.

– Nie bądź dla niego zbyt okrutna. Nie wiem, kogo wyznaczyli do tego zadania, ale to najpewniej największy żółtodziób, jakiego mieli pod ręką.

– Tak nisko mnie cenią?

– Wręcz przeciwnie. Wydaje mi się, że nikt z odrobiną doświadczenia nie przyjąłby podobnego zlecenia.

– Imputuje pan, że nie zrobiłam na nich najlepszego wrażenia.

– Zawsze ci powtarzałem, że należy zachowywać pozory. Bo jak nie, takie są właśnie skutki. Rozmawiałaś może z Vargasem?

– Tak.

– Czyli wiesz już o samochodzie. A jak w domu? Wszystko w porządku?

– Tak. Pani Jesusa wysprzątała całe mieszkanie. Teraz lśni czystością. I wyprasowała mi nawet sukienkę od Pierwszej Komunii. Dziękuję, że zapowiedział pan mój przyjazd.

– Chcę, żeby niczego ci nie brakowało.

– Dlatego przysyła mi pan Vargasę?

– Obawiam się, że to jego osobisty pomysł. Albo Gila de Partery. Uprzedzałem cię, że nie mają do nas zaufania.

– Ciekawe dlaczego?

– Jakie masz plany na dziś?

– Rano przeszłam się po księgarniach. Po południu mam spotkanie z kimś, kto, bardzo na to liczę, opowie mi o Victorze Mataixu.

– Więc nadal idziesz tropem tej książki.

– Tak. Choćby tylko po to, żeby z czystym sumieniem go wykluczyć.

– Znam go? Tego gościa, z którym się spotkasz?

– Pojęcia nie mam. To księgarz. Gustavo Barceló.

Leandro zrobił krótką pauzę, która nie umknęła uwagi Alicji.

– Nie przypominam sobie tego nazwiska. Zadzwoń do mnie, jeśli się czegoś dowiesz. A jeśli nie, zadzwoń i tak.

Alicja zastanawiała się nad jakąś ciętą ripostą, ale Leandro już odłożył słuchawkę. Położyła więc na barze kilka monet, żeby zapłacić za kawę, wino i telefon, a potem posłała Marcelinowi pocałunek.

– To wszystko zostanie między nami, prawda, Marcelino?

Kelner pokiwał głową z przekonaniem i pokazał Alicji kuchenne wyjście prowadzące na otwarte patio. Odchodziła z niego plątanina drózek wiodących pomiędzy podwórkami do jednego z takich mrocznych zaułków, jakie znaleźć można tylko w starej Barcelonie, wąskich i ciemnych niczym szparka między pośladkami seminarzysty.

Ciasna ścieżka wspinała się od ulicy Canuda do Santa Ana. Alicja przystanęła i wyjrzała zza rogu, żeby ocenić sytuację. Zobaczyła kobietę, która jedną ręką pchała wózek, a drugą próbowała pociągnąć za sobą dziecko, stawiające opór, jakby buty wrosły mu w chodnik. Jakiś dżentelmen w garniturze i fularze stał przed witryną sklepu obuwniczego, przyglądając się ukradkiem dwóm eleganckim damom w ażurowych pończochach. Damy owe spacerowały, głośno się śmiejąc. Strażnik miejski szedł środkiem ulicy, skupiając na sobie podejrzliwe spojrzenia. I pośród nich, przyklejony do ściany budynku jak afisz, stał mężczyzna niskiego wzrostu o tak niepozornej aparycji, że właściwie ocierał się o niewidzialność. Osobnik palił papierosa

i nerwowo wpatrywał się w drzwi do kawiarni, od czasu do czasu spoglądając na zegarek. W sumie nie wybrali źle, pomyślała. Był tak do bólu zwyczajny, że nawet nuda, przechodząc obok, nie zwróciłaby na niego uwagi. Alicja podeszła bliżej, zatrzymała się kilka kroków od jego bladej łysiny. Wydęła wargi w literę O i chuchnęła.

Facecik podskoczył i prawie stracił równowagę. Odwróciwszy się, zobaczył przed sobą Alicję i zrobił się jeszcze bledszy, o ile to w ogóle możliwe.

– Jak ci na imię, słoneczko? – zapytała Alicja.

Jeśli mężczyzna obdarzony był głosem, nie zdołał go z siebie wydobyć. Jego spojrzenie nerwowo wędrowało wokół, zanim w końcu znów spoczęło na Alicji.

– Nie próbuj mi tylko uciekać, bo wbiję ci nóż w brzuch. Zrozumiałeś?

– Tak – wymamrotał typ.

– Żartowałam. – Alicja uśmiechnęła się szeroko. – Ja nie robię takich rzeczy.

Biedak miał na sobie płaszcz, który sprawiał wrażenie pożyczonego, a jego twarz przywodziła na myśl osaczonego gryzonia. I to miał być ten szpicel, którego na nią nasłali. Alicja wzięła go za kłapy i łagodnie, acz stanowczo poprowadziła na róg ulicy.

– Jak się nazywasz?

– Rovira – wyjąkał.

– To ty stałeś wczoraj w nocy przed wejściem do La Manual Alpargatera?

– Skąd pani wie?

– Kiedy palisz, nie wypuszczaj dymu tak, by wpadał w snop światła latarni.

Rovira pokiwał głową, przeklinając pod nosem.

– Powiedz mi, Rovira, od jak dawna jesteś policjantem?

– Jutro będą dwa miesiące, ale jeśli na komisariacie się dowiedzą, że mnie pani zdemaskowała...

– Nie muszą się dowiedzieć.

– Nie?

– Nie. Bo ja i ty, Rovira, możemy sobie nawzajem pomóc. A wiesz, w jaki sposób?

– Nie mogę za panią nadążyć.

– W gruncie rzeczy właśnie o to mi chodzi, ale mów mi Alicja, jesteśmy w jednej drużynie.

Alicja przeszukała kieszenie Roviry i znalazła paczkę tanich papierosów, z tych sprzedawanych w podłych barach i palonych pod kawkę z brandy. Zapaliła jednego i wsunęła policjantowi do ust. Pozwoliła mu się zaciągnąć, a potem uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Już lepiej?

Kiwnął głową.

– Powiedz mi, drogi kolego, dlaczego właśnie tobie zlecili tę robotę?

Facet się zawahał.

– Nie chcę pani obrazić, ale nikt inny nie zgodził się tego podjąć.

– A to dlaczego?

Rovira wzruszył ramionami.

– Nie bądź taki nieśmiały, człowieku. Wal prosto z mostu.

– Mówią, że pani manipuluje ludźmi, a poza tym przynosi pecha.

– Rozumiem. A ciebie to jakoś nie odstraszyło?

– Trudno o większego pecha niż ten, który mnie w życiu prześladowuje. No i nie miałem specjalnego wyboru.

– A na czym dokładnie polega twoja misja?

– Mam panią śledzić, obserwować z daleka i składać raporty o tym, gdzie pani jest i co pani robi, tak żeby mnie pani nie zauważyła. Jak pani widzi, odniosłem spektakularny sukces. Mówiłem im, że się do tego nie nadaję.

– A dlaczego właściwie zostałeś policjantem?

– Tak naprawdę chciałem zostać grafikiem, ale mój teść jest kapitanem w Komendzie Głównej.

– Rozumiem. A żoneczka lubi mundury. – Alicja położyła mu dłoń na ramieniu w matczynym geście. – Rovira, są takie chwile w życiu mężczyzny, kiedy musi zebrać się na odwagę i – wiem, że nie zabrzmi to najlepiej

w moich ustach – pokazać światu, że urodził się, żeby sikać na stojąco. A ja głęboko wierzę, że jesteś wart o wiele więcej, niż sądzisz, i dam ci okazję, żebyś się o tym przekonał. Żebyś udowodnił to mnie, całej Komendzie Głównej Policji, teściowi i swojej szanownej małżonce, którą, jak tylko się przekona, jakiego ma w domu macho, trzeba będzie cucić nalewką Aromas de Montserrat.

Rovira spoglądał na nią, jakby nic nie rozumiał.

– Od tej pory będziesz mnie śledzić, tak jak ci kazali, ale zachowując odległość stu metrów i starając się, żebym cię nie widziała. A kiedy cię zapytają, gdzie byłeś i co robiłeś, powiesz dokładnie to, co ci każę.

– Ale czy to jest legalne?

– Rovira, jesteś policjantem. To ty decydujesz, co jest legalne, a co nie jest.

– No nie wiem...

– Doskonale wiesz. Wiesz lepiej, niż ci się wydaje. Brakuje ci tylko odrobiny wiary w siebie.

Rovira kilkakrotnie zamrugał, wciąż skołowany.

– A jeśli odmówię?

– Nie bądź taki, teraz, kiedy już zaczęliśmy się zaprzyjaźniać. Jeśli mi odmówisz, będę zmuszona złożyć wizytę twojemu teściowi kapitanowi i opowiedzieć mu, że widziałam, jak wspinasz się na mur szkoły prowadzonej przez siostry terezjanki i podczas długiej przerwy gmerasz sobie w spodniach.

– Nie wierzę, że byłaby pani zdolna to zrobić.

Alicja spojrzała mu głęboko w oczy.

– Rovira, zapewniam cię, że nie masz zielonego pojęcia, do czego jestem zdolna.

Mężczyzna jęknął żałośnie.

– Jest pani złą kobietą.

Alicja wykrzywiła usta w podkówkę.

– Kiedy rzeczywiście postanowię być dla ciebie niedobra, odczujesz to natychmiast. Jutro z samego rana będziesz na mnie czekał przed Gran Café, a ja ci powiem, jaki plan dnia dla ciebie ułożyłam. Zrozumiałeś?

Zdawało się, że Rovira podczas tej rozmowy zmalął o kilka centymetrów. Spojrzał na Alicję błagalnym wzrokiem.

– Żartuje sobie pani ze mnie, prawda? Naśmiewa się pani, dlatego że jestem żółtodziobem.

Alicja starała się usilnie przybrać władczy wyraz twarzy, jaki podpatrzyła u Leandra, oraz jego lodowate spojrzenie. Potem powoli pokręciła głową.

– To nie żart, to rozkaz. Nie zawieźdź mnie! Hiszpania i ja liczymy na ciebie!

8

U zarania dwudziestego wieku, kiedy pieniądze wciąż jeszcze pachniały lepiej niż perfumy, a wielkie fortuny nie służyły po to, żeby przekazywać je w spadku, ale by się nimi afiszować, w miejscu mającym na zawsze pozostać enklawą barcelońskiej belle époque stanął pałacyk zrodzony z burzliwego romansu pomiędzy talentem wielkich rzemieślników a próżnością pewnego potentata.

Pałacyk ów, zwany domem Pereza Samanillo, od ponad pół wieku zajmował skrzyżowanie Balmes i alei Diagonal niczym fatamorgana, a może ostrzeżenie dla przyszłych pokoleń. Wybudowany jako rezydencja rodzinna w czasach, gdy dobrze sytuowane rody przestawały już mieszkać w pałacach, był poematem na cześć przepychu, imponującym niczym rafa koralowa, tyle że w paryskim stylu. Z jego wielkich okien wylewało się na ulicę miedziane światło, a oczom przechodniów ukazywały się okazałe schody, eleganckie salony i kryształowe żyrandole. Budynek ten wydawał się Alicji wielkim akwariem: za szklanymi ścianami można było oglądać niezwykle organizmy i formy życia, o których istnieniu nie miało się wcześniej pojęcia.

Od wielu lat ta wyszukana skamielina nie służyła już za rezydencję, a ostatnimi czasy stała się siedzibą barcelońskiego towarzystwa jeździeckiego Círculo Ecuestre, jednej z tych hermetycznych i elitarnych instytucji

powstających we wszystkich większych miastach z inicjatywy potomków dobrych rodzin, by mogli skutecznie oddzielić się od potu i trudu pospólstwa, na którego pracy ich przodkowie zbudowali swoje fortuny. Leandro, wnikliwy obserwator podobnych kręgów, mawiał, że po zaspokojeniu potrzeb żywnościowych i mieszkaniowych pierwszą potrzebą każdego człowieka jest znalezienie powodów i środków, które pozwolą mu czuć się innym i lepszym od swoich bliźnich. Siedziba Círculo Ecuestre zdawała się wzniesiona dokładnie w tym celu i Alicja podejrzewała, że gdyby jej mentor nie wyprowadził się przed laty do Madrytu, salony pałacyku, wyłożone szlachetnymi parkietami i pełne eleganckich mebli, stanowiłyby idealną scenę dla machinacji Leandra, lubiącego załatwiać swoje ciemne sprawy w białych rękawiczkach i wytwornym otoczeniu.

Stojący przy wejściu lokaj w bogatej liberii otworzył przed nią solidne kute drzwi. W samym środku hallu znajdował się oświetlony pulpit, a za nim osobnik w garniturze, o zaszuszonej twarzy, który kilkakrotnie zlustrował ją spojrzeniem od stóp do głów, zanim zaszczycił lekkim uśmiechem.

– Dzień dobry – powiedziała Alicja. – Jestem umówiona z don Gustavem Barceló.

Mężczyzna pochylił się nad kalendarzem, udając, że szuka w nim odpowiedniej adnotacji. Kiedy uczynił zadość rytuałowi, zapytał:

– Z kim mam przyjemność?

– Verónica Larraz.

– Uprzejmie proszę za mną.

Recepcjonista przeprowadził ją przez pełne przepychu pałacowe sale. Członkowie klubu przerywali rozmowy i rzucali Alicji zdumione spojrzenia, na twarzach niektórych z nich malowało się wręcz oburzenie. Wszystko wskazywało na to, że kobiety nie były tu częstymi gośćmi, a niejeden z podstarzałych patrycjusza uważał jej obecność za ujmę na męskim honorze. Niezrażona Alicja odpowiadała na wszystkie te oznaki niezadowolenia uprzejmym uśmiechem. W końcu dotarli do saloniku lektur z wielkim oknem wychodzącym na aleję Diagonal. Tam, rozparty w fotelu wielkim jak tron, popijając brandy z kieliszka przypominającego rozmiarem akwarium, siedział dżentelmen o majestatycznych rysach i równie majestatycznym wąsie, odziany w trzyczęściowy garnitur i buty w stylu dandysa. Recepcjonista zatrzymał się

w odległości kilku metrów i rozpląnął się w uśmiechach.

– Don Gustavo. Oto gość, na którego pan czekał.

Don Gustavo Barceló, honorowy przewodniczący Barcelońskiego Stowarzyszenia Księgarzy, a zarazem obdarzony nienagannymi manierami wytrawny znawca kobiecej psychiki, wstał z fotela, aby przywitać ją kurtuazyjnym ukłonem i staroświeckim pozdrowieniem.

– Gustavo Barceló, ścielę się do nóg.

Alicja podała mu rękę, którą księgarz natychmiast ucałował tak gorliwie, jakby całował papieski pierścień. Uczynił to niespiesznie, wykorzystując ten gest na otaksowanie Alicji wzrokiem tak baczny, że udało mu się chyba nawet odgadnąć, jaki rozmiar rękawiczek nosi nieznajoma.

– Verónica Larraz – przedstawiła się Alicja. – Bardzo mi miło.

– Czy Larraz to również nazwisko krewnego kolekcjonera?

Alicja domyśliła się, że Benito, pracownik don Gustava, zadzwonił do pryncypała, kiedy tylko opuściła księgarnię, żeby złożyć dokładny raport z wizyty.

– Nie, Larraz to nazwisko po mężu.

– Rozumiem. Dyskrecja przede wszystkim. Zobowiązuję się do chowania tajemnicy. Proszę, niech pani spocznie.

Alicja usiadła w fotelu naprzeciwko don Gustava i przez chwilę przyglądała się wystrojowi wnętrza, emanującego arystokratyczną i ekskluzywną atmosferą.

– Witamy w staroświeckim bastionie nuworyszów i zubożałych magnatów, którzy swatają z nimi swoje dzieci, żeby zapewnić przetrwanie kaście – rzekł Barceló, podążając za jej spojrzeniem.

– Myślałam, że pan też jest członkiem tego klubu?

– Opierałem się temu przez wiele lat przez wzgląd na, by tak rzec, higienę, ale z czasem okoliczności zmusiły mnie do pogodzenia się z rzeczywistością. W tym mieście nie sposób płynąć pod prąd.

– Z pewnością ma to swoje zalety.

– Och, całe mnóstwo. Poznaje się ludzi odczuwających potrzebę wydawania odziedziczonej fortuny na rzeczy, których nie rozumieją i które są

im zupełnie zbędne, człowiek leczy się z wszelakich złudzeń związanych z samozwańczą elitą tego kraju, a w dodatku podają wyśmienitą brandy. Poza tym to wspaniałe miejsce dla miłośników społecznej archeologii. W Barcelonie mieszka ponad milion ludzi, ale w godzinie próby zaledwie czterystu dzierży klucze, które otwierają wszystkie drzwi. A Barcelona to miasto zamkniętych drzwi, w którym wszystko zależy od tych, co mają do nich klucze. To oni mogą je przed tobą otworzyć albo zostawić cię na progu. Ale, domyślam się, pani Larraz, że to nie jest dla pani żadna nowina. Czy mogę poczęstować panią czymś więcej niż tylko moralizującymi pogadankami starego księgarza?

Alicja pokręciła głową.

– Oczywiście. Przejdźmy więc do sedna.

– Jeśli to nie kłopot.

– Wręcz przeciwnie. Przyniosła pani książkę?

Alicja wyjęła z torebki owinięty w jedwabną chustkę egzemplarz *Ariadny i Szkarłatnego Księcia* i podała go księgarzowi.

– „Labirynt duchów” – mruknął. – Domyślam się, że nie zdradzi mi pani, jak weszła pani w jego posiadanie.

– Właściciel wolałby zachować to w tajemnicy.

– Rozumiem, rozumiem. Za pani pozwoleniem.

Don Gustavo otworzył książkę i zaczął powoli przewracać strony. Na jego twarzy malowało się zadowolenie smakosza rozkoszującego się niepowtarzalnym i wykwinnym daniem. Alicja zaczęła już sądzić, że szacowny księgarz zatopił się w lekturze i zdążył o niej zapomnieć, kiedy Barceló zamknął tom i posłał jej podejrzliwe spojrzenie.

– Przepraszam za śmiałość, pani Larraz, ale muszę przyznać, że nie rozumiem, dlaczego ktokolwiek, w tym wypadku kolekcjoner, którego pani reprezentuje, chce się pozbyć takiego skarbu...

– Uważa pan, że trudno będzie znaleźć kupca?

– Wręcz przeciwnie. Wystarczy, że usiądę przy telefonie i w dwadzieścia minut przedstawię pani co najmniej pięć korzystnych ofert, odliczając dziesięć procent swojej prowizji. Nie w tym rzecz.

– A w czym rzecz, don Gustavo, jeśli wolno zapytać?

Barceló upił kolejny łyk brandy.

– Rzecz w tym, czy naprawdę zamierza pani sprzedać ten egzemplarz, pani Larraz... – odparł, przeciągając ironicznie fałszywe nazwisko.

Alicja w odpowiedzi uśmiechnęła się nieśmiało. Barceló pokiwał głową.

– Nie musi pani odpowiadać na to pytanie ani zdradzać mi swojej prawdziwej tożsamości.

– Mam na imię Alicja.

– Wie pani, że postać głównej bohaterki cyklu „Labirynt duchów”, Ariadna, jest nawiązaniem do innej Alicji, bohaterki powieści Lewisa Carrolla, a Barcelona jest tu swego rodzaju Krainą Czarów?

Alicja pokręciła głową, udając zaskoczenie.

– W pierwszej książce z tej serii Ariadna znajduje księgę zaklęć magicznych na strychu starego domu w Vallvidrerze, w którym mieszka z rodzicami. Pewnej burzowej nocy rodzice znikają w niewyjaśnionych okolicznościach. Ariadna wierzy, że jeśli przywoła ducha cieni, być może zdoła ich odnaleźć. W ten oto sposób otwiera portal pomiędzy rzeczywistą Barceloną a jej rewersem, przeklętym odbiciem miasta. Miastem luster... Podłoga rozstępuje się pod nią i Ariadna spada po kręconych schodach, które wydają się nigdy nie kończyć, i wreszcie ląduje w mrokach tej drugiej Barcelony, będącej labiryntem duchów. Dziewczyna w poszukiwaniu rodziców błąka się po kolejnych kręgach piekła zbudowanego przez Szkarłatnego Księcia. Po drodze spotyka inne potępione dusze i próbuje je ocalić.

– I udaje się Ariadnie odnaleźć rodziców albo chociaż ocalić którąś z tych dusz?

– Niestety nie, chociaż bardzo się stara. Na swój sposób jest heroiną, aczkolwiek jej perypetie ze Szkarłatnym Księciem ujawniają mroczną część jej osobowości, jakby perwersyjne odbicie. Zmienia się w coś w rodzaju upadłego anioła.

– Historia wydaje się fascynująca.

– Tak jest w istocie. A teraz proszę mi powiedzieć, Alicjo, czy to właśnie w tym się pani specjalizuje? W schodzeniu do piekieł w poszukiwaniu

problemów?

– Dlaczego miałabym szukać problemów?

– Gdyż, a jak mniemam, ten naiwniak Benito już o tym pani zapewne opowiedział, nie tak dawno zjawił się w mojej księgarni osobnik o aparycji rzeźnika z urzędu bezpieczeństwa i zadawał bardzo podobne pytania. A intuicja mówi mi, że państwo się znają.

– Indywiduum, o którym pan wspomniał, nazywa się Ricardo Lomana. A intuicja pana nie zawodzi.

– Mnie nigdy intuicja nie zawodzi, proszę szanownej pani. Sęk w tym, że czasem prowadzi mnie w miejsca, w które wcale nie chcę dotrzeć.

– O co dokładnie pytał pan Lomana?

– Chciał wiedzieć, czy ktoś nabył ostatnio którąkolwiek z powieści Victora Mataixa na aukcji, prywatnie lub na rynku międzynarodowym.

– Nie pytał o samego Victora Mataixa?

– Pan Lomana nie sprawiał wrażenia namiętnego czytelnika, ale zdawało mi się, że o Mataixu wie wszystko, co wiedzieć powinien.

– I co mu pan powiedział?

– Dałem mu adres kolekcjonera skupującego od siedmiu lat wszystkie książki z serii „Labirynt duchów”, które nie zostały zniszczone w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku.

– Wszystkie egzemplarze książek Mataixa dostępne na rynku kupiła jedna i ta sama osoba?

Barceló pokiwał głową.

– Wszystkie oprócz tego, który pani przyniosła.

– I kim jest ten kolekcjoner?

– Nie wiem.

– Przed chwilą powiedział pan, że dał pan jego adres Lomanie.

– Dałem mu namiary na adwokata, który go reprezentuje i dokonuje w jego imieniu wszystkich transakcji. Niejaki Brians. Fernando Brians.

– Miał pan jakikolwiek kontakt z mecenasem Briansem, don Gustavo?

– Rozmawiałem z nim raz, może dwa razy. Przez telefon. Sprawia wrażenie

bardzo poważnego człowieka.

– Chodziło o sprawę zakupu książek Mataixa?

Barceló przytaknął.

– A co może mi pan powiedzieć o samym Mataixu, don Gustavo?

– Nic wielkiego. Wiem, że robił często ilustracje do książek, że opublikował kilka powieści w wydawnictwie dwóch zdiurców Barrida i Escobillasa, zanim zaczął pracować nad cyklem „Labirynt duchów”. Że właściwie nie wychodził z domu przy Carretera de las Aguas, pomiędzy Vallvidrera a obserwatorium Fabra, bo jego żona była słabego zdrowia, cierpiała na jakąś rzadką chorobę, a on nie mógł czy też nie chciał zostawiać jej samej. Niewiele więcej. A w końcu zaginął w trzydziestym dziewiątym roku, po tym jak wojska Franco wkroczyły do Barcelony.

– A gdzie mogłabym dowiedzieć się o nim czegoś więcej?

– To nie takie proste. Jediną osobą, która ewentualnie mogłaby pani pomóc, jest Vilajuana, Sergio Vilajuana, dziennikarz i pisarz, który osobiście znał Mataixa. Jest klientem mojej księgarni i zapewne najlepszym źródłem informacji. Napomknął kiedyś, że pracuje nad książką o Mataixu i całym pokoleniu barcelońskich pisarzy przeklętych, którzy zaginęli po wojnie...

– Więc było ich więcej?

– Pisarzy przeklętych? To nasza specjalność, podobnie jak alioli.

– A gdzie mogłabym znaleźć pana Vilajuanę?

– Proszę spróbować w redakcji „La Vanguardii”. Ale jeśli pozwoli mi pani coś doradzić, proszę wymyślić lepszą historyjkę niż ta o tajemniczym kolekcjonerze. Vilajuana nie da się na to nabrać.

– A co konkretnie by mi pan doradził?

– Niech pani go skusi.

Na ustach Alicji pojawił się szelmowski uśmiech.

– Miałem na myśli książkę. Jeśli dalej interesuje go Mataix, nie sądzę, żeby oparł się pokusie rzucenia okiem na ten egzemplarz. W naszych czasach znalezienie książki Mataixa jest tak rzadkie, jak spotkanie kogoś uczciwego na wysokim stanowisku.

– Dziękuję, don Gustavo. Ogromnie mi pan pomógł. Czy mogę pana

poprosić, żeby zachował pan naszą rozmowę w tajemnicy?

– Oczywiście. Niezdradzanie tajemnic pomaga mi zachować młodość. To i jeszcze droga brandy.

Alicja zawinęła książkę w chustkę i schowała z powrotem do torebki. Przy okazji wyjęła z niej szminkę do ust i poprawiła makijaż, nie zważając na obecność Barceló, którzy przyglądał się temu widowisku z fascynacją, ale i z wyraźnym niepokojem.

– Jak wyglądam? – zapytała Alicja.

– Olśniewająco.

Wstała i włożyła płaszcz.

– Kim pani jest, Alicjo?

– Upadłym aniołem – odrzekła, puszczając do niego oko, i wyciągnęła rękę na pożegnanie.

– Więc znalazła się pani w idealnym miejscu.

Don Gustavo Barceló uściskał jej dłoń i odprowadził wzrokiem do drzwi. Kiedy wyszła, powrócił na swój fotel i zamyślił się nad prawie pustym kieliszkiem brandy. Po chwili dostrzegł ją przez okno. Wieczór rozpostarł nad Barceloną baldachim czerwonych chmur, a promienie zachodzącego słońca oświetlały sylwetki podążających aleją Diagonal przechodniów i samochodów, których karoserie lśniły jak lży płynnego metalu. Barceló utkwiał spojrzenie w czerwonym płaszczu Alicji, dopóki dziewczyna nie rozplynęła się pośród cieni miasta.

9

Owego wieczoru, zostawiwszy don Gustava Barceló na łasce brandy i jego podejrzeń, Alicja wracając do domu, przeszła przez Rambla de Cataluña, doskonale sobie znany szlak luksusowych sklepów, których okna wystawowe właśnie zaczynały się rozświetlać. Wspomniała dni, kiedy nauczyła się patrzeć

na owe emporia handlowe i na odwiedzających je szacownych i eleganckich ludzi z zazdrością i z nieufnością.

Wspomniała i te dni, kiedy wchodziła do nich, by je okraść: swoje łupy, krzyki subiekta i klientów za plecami, ogień w żyłach, gdy czuła, że jest ścigana, i słodki smak zemsty i sprawiedliwości, gdy docierało do niej, że wyszarpała im z rąk coś, co uważali za swoją własność z bożego nadania. Wspomniała dzień, w którym jej ucieczka skończyła się w ciemnym i wilgotnym pokoju w lochach głównego komisariatu na Vía Layetana. Było to pomieszczenie bez okien, znajdowały się w nim jedynie metalowy stół przybity do podłogi i dwa krzesła. W samym środku piwnicy był odpływ, a podłoga jeszcze była wilgotna. Cuchnęło gównem, krwią i ługiem. Policjanci, którzy ją aresztowali, kajdankami przypięli jej nogi i ręce do krzesła i zostawili samą na kilka godzin, aby wyobraziła sobie to wszystko, co jej mogą niebawem zrobić.

– No to Fumero się ucieszy, jak się dowie, że ma tutaj młodziutką kurewkę. Odmieni cię nie do poznania.

Alicja słyszała o inspektorze Fumero. Ulica niejedno opowiadała o nim i o jego wyczynach, i o tym, co czeka nieszczęśliwców, którzy trafią do takiej jak ta celi w kazamatach komisariatu. Dziewczyna sama nie wiedziała, czy trzęsie się ze strachu, czy z zimna. Kiedy kilka godzin później otworzyły się metalowe drzwi i usłyszała głosy, zamknęła oczy i poczuła, jak mocz spływa jej po udach i rozlewa się przy stopach.

– Otwórz oczy – usłyszała.

Przez łzy zobaczyła uśmiechającą się mile twarz mężczyzny średniego wzrostu, o wyglądzie prowincjonalnego notariusza. W pomieszczeniu nie było nikogo więcej. Osobnik w eleganckim garniturze, wyperfumowany wodą kolońską o cytrynowym zapachu, bacznie jej się przez chwilę przyglądał, a następnie powoli obszedł stół. Alicja zacisnęła wargi, żeby zdławić krzyk przerażenia, kiedy poczuła dłonie na swoich ramionach i muśnięcie ust na lewym uchu.

– Nie masz się czego bać, Alicjo.

Zaczęła szarpać się i rzucać z całych sił to w jedną, to w drugą stronę razem z krzesłem, do którego była przykuta. Poczuła, jak dłonie mężczyzny zsuwają się po jej plecach, a następnie stwierdziła, że może ruszać dłońmi, ale

dopiero po chwili dotarło do niej, że ten człowiek zdjął jej kajdanki. Krążenie krwi w dłoniach stopniowo wracało, a razem z nim powrócił ból. Mężczyzna ujął jej dłonie i delikatnie położył na stole. Usiadł przy niej i zaczął jej masować przeguby dłoni.

– Mam na imię Leandro – powiedział. – Już lepiej?

Alicja przytaknęła. Leandro uśmiechnął się i puścił jej dłonie.

– Teraz uwolnię nogi. Też będzie trochę boleć. Ale przedtem muszę się upewnić, że nie zrobisz żadnego głupstwa.

Alicja pokręciła głową.

– Nikt cię tu nie skrzywdzi – obiecał Leandro, ściągając jej kajdanki z nóg.

Poczuwszy, że może swobodnie się ruszać, Alicja wstała z krzesła i rozejrzała się za miejscem, w którym mogłaby się schronić. Oczy mężczyzny spoczęły na kałuży przy nogach krzesła.

– Przykro mi, Alicjo.

– Czego pan ode mnie chce?

– Chcę tylko porozmawiać. I nic więcej.

– A o czym?

– O człowieku, dla którego pracowałaś przez ostatnie dwa lata. O Baltasarze Ruano.

– Mało mnie on obchodzi.

– Tak myślę. Musisz wiedzieć, że Ruano został aresztowany razem z większością twoich kumpli.

Alicja spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Co z nim będzie?

Leandro wzruszył ramionami.

– Ruano jest skończony. Po wyczerpującym przesłuchaniu przyznał się do wszystkiego. A teraz czeka go garota. Na dniach zresztą. To dla ciebie dobra wiadomość.

Alicja przełknęła ślinę.

– A z resztą?

– To dzieciaki właściwie. Poprawczak albo więzienie. To dla szczęściarzy.

A ci, którzy wrócą na ulicę, mają dni policzone.

– A co ze mną?

– To zależy.

– Od czego?

– Od ciebie.

– Nie rozumiem.

– Chciałbym, abyś pracowała dla mnie.

Alicja przyjrzała mu się w milczeniu. Leandro rozsiadł się wygodnie na krześle i spojrzał na dziewczynę z uśmiechem.

– Od dłuższego już czasu bacznie cię obserwuję, Alicjo. Wydaje mi się, że spełniasz warunki.

– Do czego?

– Żeby się nauczyć.

– Nauczyć czego?

– Nauczyć się, jak przeżyć. A również jak użyć swojego talentu do czegoś więcej niż nabijanie kabzy takiej miernocie i złodziejaskowi jak Ruano.

– A kim pan jest?

– Ja jestem Leandro.

– Pan jest z policji?

– Coś tak jakby. Ale masz we mnie przyjaciela i tak o mnie myśl.

– Ja nie mam przyjaciół.

– Wszyscy mamy jakichś przyjaciół. Trzeba tylko wiedzieć, jak ich znaleźć. Proponuję, byś przez najbliższe dwanaście miesięcy pracowała dla mnie. W zamian otrzymasz przyzwoite lokum i godziwą pensję. A odejść możesz, kiedy tylko zechcesz.

– A jeśli chcę już odejść?

Leandro wyciągnął rękę w stronę drzwi.

– Jeśli taka twoja wola, proszę bardzo. Możesz wracać na ulicę.

Alicja wbiła wzrok w drzwi. Leandro wstał i je otworzył. Następnie wrócił do stołu i dał znak, że droga wolna.

– Nikt, Alicjo, nie będzie cię zatrzymywał, jeśli postanowisz stąd wyjść. Ale szansa, jaką ci daję, zostanie na zawsze tutaj.

Alicja zbliżyła się do drzwi. Leandro najwyraźniej nie zamierzał jej zatrzymywać, w każdym razie nie wykonał żadnego ruchu czy gestu, który by na to wskazywał.

– A jeśli zostanę tu z panem?

– Jeśli postanowisz okazać mi zaufanie, to przede wszystkim zorganizuję ci ciepłą kąpiel, nowe ubranie i kolację w Las Siete Puertas. Byłaś już tam kiedyś?

– Nie.

– Podają tam fantastyczny czarny ryż.

Alicja poczuła, jak z głodu skręca ją w brzuchu.

– A później?

– Później udasz się do nowego mieszkania, gdzie będziesz miała do swojej dyspozycji pokój i łazienkę, i tam przede wszystkim odpoczniesz, wyśpisz się we własnym łóżku w nowiusieńkiej pościeli. A jutro, nie za wcześnie, przyjdę po ciebie, zajrzemy do mojego biura i tam spokojnie wyjaśnię ci, co takiego robię.

– A nie może mi pan powiedzieć tego teraz?

– Załóżmy, że zajmuję się rozwiązywaniem problemów i wyłączeniem z obiegu takich kryminalistów jak Baltasar Ruano i innych, znacznie gorszych, żeby nie mogli już nikomu wyrządzić krzywdy. Jednak do moich najważniejszych zadań należy wynajdywanie osób wyjątkowych, które, jak ty właśnie, nie wiedzą, że takie są, i uczyć je, jak rozwijać swój talent, aby czynić dobro.

– Czynić dobro – powtórzyła Alicja chłodno.

– Świat, Alicjo, nie jest miejscem tak amoralnym, jakie dotąd znałaś. Świat jest po prostu lustrem dla nas, którzy go kształtujemy, i jest li tylko taki, jakim go wszyscy, wspólnie, czynimy. Dlatego też takie osoby jak ty i jak ja, które przychodzą na ten świat obdarzone jakimś darem, są zobowiązane użyć tego daru dla dobra innych. Ja mam dar rozpoznawania talentów u ludzi i prowadzenia ich, by kiedy nadejdzie czas, mogli podjąć odpowiednią decyzję.

– Ja nie mam żadnego talentu. Żadnego daru...

– Ależ oczywiście, że masz. Zaufaj mi. A przede wszystkim zaufaj sobie, Alicjo. Bo dzisiejszy dzień, o ile sama zechcesz, może być pierwszym dniem twojego życia, które ci skradziono, a które, o ile dasz mi szansę, ja ci zwrócę.

Leandro uśmiechnął się ciepło, Alicję ogarnęło niejasne i bolesne pragnienie skrycia się w jego objęciach. Mężczyzna wyciągnął ku niej rękę. Alicja podeszła doń z ociąganiem, niepewnie stawiając kroki. Ujęła dłoń tego dziwnego człowieka i zagubiła się w jego spojrzeniu.

– Dziękuję, Alicjo. Przyrzekam ci, że nie będziesz żałować.

Echo tych słów, tak dalekich w czasie, stopniowo ucichło. Ból zaczynał pokazywać pazury, więc Alicja nieco zwolniła. Wiedziała, że od momentu wyjścia z Círculo Ecuestre ktoś ją śledzi. Czowała jego obecność i spojrzenie muskające jej sylwetkę z pewnej odległości, wyczekująco. Dotarłszy do świateł na ulicy Rosellón, zatrzymała się i delikatnie odwróciła głowę. Niby przypadkiem omiotła wzrokiem ulicę za sobą i przyjrzała się szybko dziesiątkom przechodniów, którzy wyszli pospacerować po Ramblach i zabłysnąć strojem, rozejrzeć się uważnie i być zauważonym tam, gdzie trzeba. Bardzo chciała, żeby to był ten biedny Rovira, niemniej nie mogła uwolnić się od podejrzeń, że pomiędzy spacerowiczami, zmyślnie zakamuflowany jakieś trzydzieści metrów od niej w bramie albo za grupą przechodniów, którzy go zasłaniają, kryje się Lomana. Obserwując ją, deptając jej po piętach i pożądliwie pieszcząc w kieszeni płaszcz nóż od dłuższego czasu jej przeznaczony. Przecnicę dalej dostrzegła witrynę cukierni Mauri, pełną delikcji wyeksponowanych z niedościgłą maestrią, by osłodzić jesienną melancholię pań z dobrych domów. Raz jeszcze rozejrzała się dyskretnie i postanowiła na chwilę schronić się w środku.

Dziewczyna o oschłym i niepokalanym wyrazie twarzy poprowadziła ją do usytuowanego przy oknie stolika. Cukiernia Mauri zawsze wydawała się Alicji luksusową knajpą, w której skrycie zbierały się damy w pewnym wieku i o ustalonej pozycji, by spiskować pod osłoną przepysznych likworów i ciasteczek ocierających się niebezpiecznie o grzech. Owego popołudnia zgromadzona tu rzesza parafianek potwierdzała jej diagnozę, więc Alicja ulegając pokusie, by znaleźć się w gronie wybranych, zamówiła kawę

z mlekiem i śmietankowe *massini*, które, jak zdążyła zauważyć, wchodząc do cukierni, miało wypisane jej imię. Czekaając na zamówienie, z nieobecnym uśmiechem skwitowała spojrzenia kierowane ku niej przez siedzące przy sąsiednich stolikach matrony obwieszane klejnotami i opancerzone kreacjami salonu Modas Santa Eulalia. Nie bez satysfakcji ośmieliła się również odczytywać z ich warg komentarze *sotto voce*, jakie zainspirowała jej obecność. Z rozkoszą zdarłyby ze mnie skórę i z jej płatów zrobiły sobie maseczki, pomyślała.

Ledwie ciastko pojawiło się na stoliku, Alicja natychmiast pochłonęła połowę i po paru sekundach poczuła cukier we krwi. Wyjęła z torebki flakonik przekazany jej przez Leandra przy pożegnaniu na dworcu Atocha i otworzyła go. Wzięła pastylkę, położyła ją na dłoni i przyjrzała jej się bez przekonania, jakby zastanawiając się, czy warto ją zażyć. Kolejne bolesne ukłucie przeważało szalę. Połknęła pigułkę, popiła ją kawą z mlekiem i dojadła ciastko, bardziej myśląc o osłonie żołądka niż o czymkolwiek innym. Siedziała tak z pół godziny, obserwując przechodniów i czekając, aż lekarstwo zacznie działać. Gdy tylko poczuła, że ból gaśnie przytłumiony zasłoną senności ogarniającą powoli całe ciało, wstała i uiściła w kasie rachunek.

Przy wejściu do cukierni zatrzymała taksówkę i podała adres. Taksówkarz miał ochotę na pogawędkę i wygłosił długi monolog. Alicja wysłuchiwała go w milczeniu, od czasu do czasu tylko nieznacznie kiwając potakująco głową. W miarę jak narkotyk rozchodził się po żyłach, mroząc jej krew, światła miasta zdawały się tracić ostrość i rozmywać w wodnisty pejzaż, jakby były akwarelowymi plamami ściekającymi po płótnie. Gwar miasta dochodził do niej coraz bardziej przytłumiony.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał taksówkarz, zatrzymawszy się na ulicy Aviñón przy bramie jej domu.

Skinęła głową i zapłaciła za kurs, nie czekając na resztę. Taksówkarz niezbyt przekonany co do jej rzeczywistego stanu zdrowia zaczekał, aż pasażerka otworzy bramę. Alicja za nic nie chciała natknąć się teraz na Jęsusę albo na któregoś z sąsiadów, żadnego spotkań po długiej przerwie i rozmów u stóp schodów. Na palcach, niemal po omacku, znalazła pierwszy stopień i walcząc z ciemnością i zawrotami głowy, rozpoczęła wspinaczkę, która zdawała się nie mieć końca, wreszcie dotarła do drzwi swego mieszkania

i cudem jakimś trafiwszy kluczem w zamek, przekroczyła próg.

Już u siebie znowu sięgnęła do flakonika, drżącymi palcami wyjęła dwie tabletki. Upuściła torebkę na podłogę i podeszła do stołu w jadalni. Butelka białego wina, którą otrzymała w prezencie od Fernandita, stała wciąż na stole. Alicja napełniła kieliszek po brzegi i złapawszy się mocno blatu, połknęła obie tabletki i jednym haustem opróżniła kieliszek, a następnie uniosła go w toaście ku czci Leandra i jego: „I przede wszystkim nie łącz z alkoholem”.

Chwiejnym krokiem ruszyła prowadzącym do sypialni korytarzem, po drodze zrzucając kolejne części garderoby. Nie trując się zapalaniem światła, padła na łóżko. Resztką sił nakryła się kapą. W dali rozległy się dzwony katedralne. Alicja całkowicie wyczerpana zamknęła oczy.

10

Nieznany człowiek w śnie nie miał twarzy. Był czarną sylwetką, która jakby oderwała się od płynnych ciemności skapujących z sufitu pokoju. Z początku zdawało jej się, że widzi go, jak znieruchomiały obserwuje ją, stojąc u stóp łóżka, ale później zdała sobie sprawę, że usiadł na brzegu materaca i ściąga okrywające ją prześcieradła. Zrobiło jej się zimno. Nieznajomy powoli zdjął z dłoni rękawiczki. Alicja poczuła, jak jego lodowate palce dotykają jej nagiego brzucha i szukają rozległej blizny na prawym biodrze. Ręce nieznajomego zachowywały się tak, jakby chciały zapamiętać całą topografię szramy. Po chwili jego usta przywarły do ciała Alicji. Ciepłe dotknięcie języka pieścącego drobne pofałdowania rany przyprawiły ją o mdłości. Dopiero kiedy usłyszała oddalające się korytarzem kroki, zrozumiała, że nie jest w mieszkaniu sama.

Wyciągnęła rękę, po omacku natrafiła na przycisk i zapaliła nocną lampkę. Światło oślepiło ją, więc zasłoniła oczy. Z jadalni doszedł odgłos kroków, a następnie trzask zamykanych drzwi. Otworzyła oczy i zobaczyła swoje nagie ciało rozciągnięte na łóżku. Prześcieradła leżały rozrzucone na podłodze.

Wstała powoli, trzymając się za skronie. Kręciło jej się w głowie, przez chwilę była pewna, że zaraz zemdleje.

– Jesusa! – zawołała łamiącym się głosem.

Podniosła z podłogi jedno z prześcieradeł i owinęła się nim. Udało jej się pokonać korytarz, podtrzymując się po omacku to o jedną, to o drugą ścianę. Ubrania, którymi kilka godzin temu znaczyła swoją drogę do sypialni, zniknęły. Jadalnia tonęła w stalowoszarym półmroku, w padających przez okno niebieskich smugach wylaniały się z niego zarysy mebli. Znalazła kontakt i włączyła lampę wiszącą u sufitu. Z wolna oczy przyzwyczajały się do jasności. Gdy tylko dotarło do niej, co ma przed oczyma, strach uporządkował myśli i rozgrywająca się przed nią scena zyskała na ostrości, tak jakby dotąd widziała ją przez niedobre szkła.

Czerwony płaszcz wisiał na krześle. Reszta ubrania leżała na stole. Suknia pieczołowicie złożona perfekcyjną ręką znawcy. Pończochy złożone delikatnie wzdłuż szwów. Bielizna wyeksponowana tak, jakby miała zaraz znaleźć się w witrynie sklepu bieliźniarskiego. Alicji znowu zebrało się na mdłości. Podeszła do półek i wyciągnęła Biblię. Otworzyła ją i wyjęła broń. Książka pozbawiona obciążenia ciężkiego rewolweru wyślizgnęła jej się z ręki i upadła na podłogę. Alicja nawet nie miała odruchu, by się po nią schylić. Odwiodła kurek i trzymając rewolwer w obu rękach, wyciągnęła go przed siebie.

Dopiero wtedy zwróciła uwagę na torebkę przewieszoną przez oparcie krzesła. Pamiętała, że znalazłszy się w mieszkaniu, upuściła ją na podłogę. Torebka była zamknięta. Otworzyła ją i przeszyło ją uczucie drętwiącego chłodu. Rzuciła torebkę na ziemię, złorzecząc sobie samej. Książki Mataixa już tam nie było.

Resztę nocy spędziła w półmroku, zwinięta w kłębek w kącie sofy, z rewolwerem w ręku i z oczyma wbitymi w drzwi, słuchając tysiąca zawodzeń wydawanych przez strukturę starego budynku, jakby był dryfującym statkiem. Świt ją zaskoczył, kiedy powieki zaczęły jej ciążyć. Wstała i przyjrzała się swemu odbiciu w szybie. Za oknem na niebie rozpościerał się purpurowy płaszcz, a pomiędzy dachami i wieżami miasta zarysowywała się karawana cieni. Alicja wyjrzała przez okno i zobaczyła, że światła Gran Café już pryskają na bruk ulicy. Barcelona darowała jej zaledwie

jeden dzień rozejmu.

Witaj w domu, powiedziała sobie.

11

Vargas czekał na nią w dużej sali Gran Café, ważąc w dłoni parującą filiżankę i przybierając co i raz pojednawczy uśmiech, którym w końcu przywita Alicję. Ledwie przekroczyła próg bramy, dostrzegła sylwetkę policjanta rzucającą podwójny zarys odbicia na szybie kawiarni. Zajął ten sam stolik, przy którym Alicja usiadła poprzedniego dnia. Na blacie było pobojuwisko po sutym najwidoczniej śniadaniu i sterta gazet. Alicja przeszła przez ulicę, kierując się ku drzwiom kawiarni, wzięła głęboki oddech i weszła. Vargas wstał i nerwowo do niej pomachał. Alicja odpowiedziała podobnym gestem i podeszła do stolika, dając po drodze znak Miquelowi, by podał jej ten sam co zawsze zestaw śniadaniowy. Kelner skinął głową.

– Jak podróż? – spytała Alicja.

– Długa.

Vargas poczekał, aż Alicja spocznie, i sam usiadł. Milcząc, spojrzeli sobie w oczy. Vargas patrzył na Alicję skonfundowany, marszcząc brwi.

– O co chodzi? – zapytała Alicja.

– Oczekiwałem jakichś złożeń albo powitania bardziej w pani stylu – nie namyślając się, odparł Vargas.

Alicja wzruszyła ramionami.

– Gdybym był odrobinę głupszy, powiedziałbym nawet, że cieszy się pani na mój widok – dodał.

Uśmiechnęła się blado.

– Niech pan nie przesadza.

– Przeraza mnie pani, Alicjo. Coś się stało?

Miquel podszedł ostrożnie do stolika, niosąc Alicji tosty i kawę z mlekiem. Skinieniem głowy wyraziła aprobatę i podziękowania, kelner więc szybko się wycofał i usunął dyskretnie w cień za barem. Alicja wzięła tost i zmusiła się do ugryzienia kawałka. Vargas przyglądał jej się zatroskany.

– Usłyszę coś? – zapytał już zniecierpliwiony.

Alicja przystąpiła do złożenia sprawozdania ze swoich ruchów poprzedniego dnia i ostatniej nocy. Twarz Vargasa przybierała coraz bardziej ponury wyraz. Kiedy doszła do opisu godzin przed świtem, jak z rewolwerem w ręku czekała, aż znowu otworzą się drzwi, Vargas pokręcił głową i powiedział cichutko:

– Czegoś tu nie rozumiem. Mówi pani, że jakiś mężczyzna wszedł, kiedy pani spała, i zabrał książkę.

– Którego z punktów pan nie rozumie?

– Skąd pani wie, że to był mężczyzna?

– Bo wiem.

– To znaczy nie spała pani?

– Byłam pod wpływem lekarstwa. Przecież mówiłam.

– Który z punktów pani ominęła?

– Ten, który pana nie powinien obchodzić.

– Zrobił coś pani?

– Nie.

Vargas przyglądał się jej z niedowierzaniem.

– Gdy tu czekałem na panią, pani przyjaciel Miquel zaprosił mnie na poddasze w tym budynku, z którego praktycznie widać całe pani mieszkanie. Powiem mu, żeby wniósł mi walizkę, i zapłacę awansem za parę tygodni.

– Nie ma takiej potrzeby, nie musi pan tu zostawać. Lepiej niech pan się zatrzyma w dobrym hotelu, Leandro płaci.

– Albo poddasze, albo się rozlokuję na pani sofie. Proszę wybierać.

Alicja westchnęła, nie mając ani siły, ani ochoty na kolejną walkę.

– Nie mówiła pani, że ma broń – stwierdził Vargas.

– Nie pytał mnie pan o to.

– A umie się pani z nią obchodzić?

Alicja przeszła go wzrokiem.

– I pomyśleć, że ja miałem panią za raczej z tych od kursu szycia i szydełkowania – zadumał się policjant. – Czy będzie pani tak miła, żeby mieć ją zawsze przy sobie? W mieszkaniu i poza mieszkaniem?

– Tak jest, rozkaz. Czy udało się panu dowiedzieć coś o Lomanie?

– W ministerstwie wszyscy trzymają gębę na kłódkę. Ale raczej odniosłem wrażenie, że po prostu nic nie wiedzą. U nas w policji obowiązuje wersja, którą pewnie pani słyszała. Przenieśli go z jednostki jakiś rok temu i oddelegowali do sprawy anonimów do Vallsa. Śledztwo prowadził na własną rękę. Zakładano, że raportował bezpośrednio Gilowi de Parterze. W pewnym momencie przestał to robić. Zniknął bez śladu. Czy ma pani z nim jakąś szczególną sprawę?

– Nie mam.

Vargas najeżył brwi.

– Chyba nie myśli pani, że to właśnie on wszedł wczoraj w nocy do pani mieszkania, żeby ukraść książkę i zrobić jeszcze coś, czego nie chce mi pani wyjawić.

– Pan i tak sobie wszystko dopowiada.

Spojrzał na nią spod oka.

– To lekarstwo jest na pani ranę?

– Nie, skądże, zażywam je ot tak, dla zabawy. Vargas, ile pan ma lat?

Uniósł brwi zaskoczony.

– Przypuszczalnie dwa razy więcej niż pani, choć wolę o tym nie myśleć. A dlaczego pani pyta?

– Chyba nie zacznie pan sobie wmawiać, że jest pan moim ojcem lub może mi go pan zastąpić, nieprawdaż?

– Proszę się nie łudzić.

– Szkoda – mruknęła Alicja.

– Niech się pani tak nie rozczuła, bo z tym pani nie do twarzy.

– Leandro też tak twierdzi.

– Widać ma swoje powody. No dobrze, jeśli zaliczyliśmy już uczuciowe interludium, może mi pani powie, jakie mamy plany na dzisiaj?

Alicja dopiła kawę i dała znak Miquelowi, żeby przyniósł jej następną.

– Pani oczywiście zdaje sobie sprawę, że organizm nasycony kofeiną i nikotyną potrzebuje węglowodanów, białka i tak dalej?

– Przyrzekam, że dziś pójdziemy zjeść do Casa Leopoldo, pan stawia.

– Co za ulga. A przedtem?

– Przedtem spotkamy się z moim prywatnym szpiegiem, zacnym Rovirą.

– Rovirą?

Alicja pokrótce zrelacjonowała mu spotkanie z Rovirą poprzedniego dnia.

– Pewnie krąży gdzieś tu w pobliżu cały przemarznięty.

– Cznic go! – Vargas się nie patyczkował. – A gdy już pani wyda rozkaz dzienny swojemu uczniowi?

– Pomyślałam sobie, że moglibyśmy odwiedzić pewnego adwokata, Fernanda Briansa.

Vargas niechętnie, bo niechętnie, ale przytaknął.

– Kto zacz?

– Brians reprezentuje kolekcjonera, który od lat skupuje wszystkie egzemplarze powieści Victora Mataixa.

– A pani wciąż tylko o tej książce i o tej książce. Proszę nie brać mi tego za złe, ale nie sądzi pani, że najsensowniejsze byłoby sprawdzenie, co na komisariacie mają nam do powiedzenia na temat samochodu, którym Valls wyjechał z Madrytu? Żeby dać tylko przykład czegoś rzeczywiście związanego ze sprawą, którą mamy się zająć.

– Przyjdzie i na to czas.

– Proszę mi wybaczyć, Alicjo, ale czy my nadal próbujemy odnaleźć ministra Vallsa, dopóki istnieją jeszcze jakieś szanse, że znajdziemy go przy życiu?

– Samochód to strata czasu – zawyrokowała Alicja.

– Mojego czy pani?

– Vallsa. Ale jeśli to ma pana uspokoić, to proszę bardzo. Pański ruch.

Zaczynamy od pana propozycji.

– Dziękuję.

12

Rovira, zgodnie ze swym przyrzeczeniem, czekał na ulicy, trzęsąc się z zimna i z miną, jakby przeklinał dzień, w którym się urodził, i wszystkie te, które po nim nastąpiły. Kandydat na szpicla wyglądał tak, jakby od wczoraj skurczył się o jakieś dziesięć centymetrów. Na ustach zastygł mu grymas bólu sugerujący, że zaczyna mu dolegać wrzód żołądka. Alicja nie musiała wskazywać go Vargasowi, bo ten natychmiast zwrócił na niego uwagę.

– To jest ten mistrz intryg?

– We własnej osobie.

Rovira, usłyszawszy zbliżające się kroki, podniósł wzrok. Otaksowawszy wzrokiem Vargasa, przełknął ślinę i drżącą ręką sięgnął po paczkę papierosów. Alicja i Vargas wzięli Rovirę w krzyżowy ogień pytań.

– Myślałem, że przyjdzie pani sama – wyjąkał Rovira.

– Aleś ty romantyczny, Rovira.

Ten zachichotał nerwowo. Alicja wyrwała mu z ust papierosa i odrzuciła go daleko.

– Zaraz, zaraz... – zaprotestował Rovira.

Vargas pochylił się nad nim powoli i Rovira jeszcze bardziej skurczył się w sobie.

– Do panienki śmiesz się zwracać tylko wtedy, gdy cię sama o coś zapyta, zrozumiano?

Przytaknął.

– Rovira, dziś będzie twój szczęśliwy dzień – powiedziała Alicja. – Koniec z wystawaniem na mrozie. Pójdiesz do kina. W Capitolu zaczynają

poranne seanse o dziesiątej, wyświetlają cykl z szympanaicą Cheetą. Na pewno ci się spodoba.

– Oscar murowany – dodał Vargas od niechcenia.

– Panno Alicjo, przepraszam najmocniej, ale zanim pani partner przetrąci mi kark, chciałbym prosić, o ile nie sprawi to pani kłopotu, i z góry już dziękuję za pani wyrozumiałość, żeby mi pani trochę pomogła. A proszę o niewiele. Proszę nie posyłać mnie do kina. Byłoby mi bardzo miło, naprawdę, ale gdyby mnie na tym przyłapali ci z komendy, to straciłbym resztkę włosów i może coś więcej. Niech mi pani pozwoli się śledzić. Z daleka. O ile pani zechce, może mnie pani uprzedzić, dokąd się pani wybiera, i w ten sposób nie będę pani zanadto deptał po piętach. Zapewniam, że nawet mnie pani nie zobaczy. Ale ja muszę pod wieczór sporządzić i przedłożyć raport, gdzie pani była, czym się pani zajmowała, w przeciwnym razie przerobią mnie na pasztet. Pani sobie nawet nie wyobraża, co to za ludzie. Zresztą, niech pani partner sam powie...

Vargas przyglądał się biedakowi nie bez pewnej sympatii. W każdym komisariacie zdarza się nieszczęśnik taki jaki ten, wycieraczka, o którą wszyscy czyszczą buty z błota i wobec której nie mają najmniejszego respektu nawet szczotki do mycia podłóg.

– Pani wskaże mi, które miejsca mogę umieścić w raporcie, a których mam unikać. I wszyscy coś na tym zyskamy. Błagam, na kolanach błagam...

Zanim Alicja zdążyła otworzyć usta, Vargas wyciągnął palec wskazujący ku Rovirze i przemówił:

– Słuchaj, szczeniaku, przypomina mi pan Chaplina i nawet wydaje mi się pan sympatyczny. Proponuję panu rzecz następującą: będzie nas pan śledził z daleka, ale bardzo daleka. Jak stąd do Gibraltaru. Jak tylko pana zobaczę, poczuję nosem lub sobie pana wyobrażę w odległości mniejszej niż dwieście metrów, odbędziemy rozmowę w cztery oczy, a jak znam Komendę Główną, to, jak mniemam, nie ucieszą się zanadto, gdy zobaczą twoją facjatę przerobioną na amen.

Rovira sprawiał wrażenie, jakby nie mógł złapać powietrza.

– Wystarczy czy mam zadatkować? – dobił Rovirę Vargas.

– Dwieście metrów? Zbytek łaski! Ustalmy dwieście pięćdziesiąt, na mój

koszt. I wielkie dzięki za tak wielką łaskawość i zrozumienie. Nie będzie pan żałował. Żeby nie było, że na Rovirę nie można liczyć...

– Wie pan co? Niech pan już znika, bo od samego patrzenia świerzbią mnie ręce – zawyrokował Vargas najsmętniejszym tonem, na jaki go było stać.

Na twarzy Roviry pojawił się przejściowy grymas pełen rewerencji, po czym niewydarzony policjant wycofał się, jak mógł najszybciej. Vargas uśmiechnął się, zobaczywszy, jak znika w tłumie.

– Sentymentalny pan jest – burknęła Alicja.

– Z pani zaś aniołek wcielony. Pozwoli pani, że zadzwonię do Linaresa, żeby dowiedzieć się, czy pozwolą nam dzisiaj obejrzeć samochód.

– Kto to jest Linares?

– Jeden z tych porządnych. Zaczęliśmy razem i nadal jest dobrym przyjacielem. O ile można tak powiedzieć po dwudziestu latach pracy w policji.

Wrócili do kawiarni. Miquel pozwolił im skorzystać z telefonu. Vargas zadzwonił do głównego komisariatu przy Vía Layetana. Po chwili cały poddał się rytmowi konwersacyjnego walca podbijającego bębenka męskiej przyjaźni, dowcipasom w wątpliwym guście i starannie kontrolowanym wyrazom kumplostwa ze starym druhem Linaresem, a wszystko w celu uzyskania zgody na obejrzenie z bliska i ewentualne sprawdzenie tego i owego w samochodzie, którym przypuszczalnie Mauricio Valls i jego szofer, rewolwerowiec i totumfacki, przybyli z Madrytu do Barcelony. Alicja przysłuchiwała się rozmowie, jakby oglądała komedię salonową, smakując błyskotliwą intonację i aktorski talent Vargasa usiłującego poprzez górnolotne frazy pozbawione jakiegokolwiek treści wkraść się w łaski kolegów i najzwyczajniej ich zwieść.

– Załatwione – stwierdził, odkładając słuchawkę.

– Jest pan pewien? Nie pomyślał pan, że pański Linares mógłby chcieć wiedzieć, że będzie pan w moim towarzystwie?

– Oczywiście, że o tym pomyślałem, i dlatego nic mu nie powiedziałem.

– A co pan powie, jak mnie zobaczą?

– Że jest pani moją narzeczoną. Nie wiem. Coś wymyślę.

Wsiedli do taksówki i ruszyli spod ratusza dokładnie w tym momencie, kiedy ruch na Vía Layetana zaczął już gęstnieć w wijącym się spowolnieniu pierwszej godziny porannego szczytu. Vargas w zamyśleniu przyglądał się przemarszowi monumentalnych fasad, które wyłaniały się z porannej mgły niczym statki. Taksówkarz od czasu do czasu zerkał na nich poprzez lusterko wsteczne, przypuszczalnie zastanawiając się, co to za dziwna para, ale jego rozważania i niepokoje zostały poskromione wraz z rozpoczęciem się ożywionej debaty radiowej o tematyce sportowej, podczas której gwałtownie dyskutowano, czy mistrzostwa ligi piłkarskiej są już przegrane, czy wprost przeciwnie, istnieje kilka powodów, dla których jeszcze warto żyć.

13

Nazywano ów budynek Muzeum Łez. Ogromny pawilon wznosił się na ziemi niczyjej osiadłej pomiędzy ogrodem zoologicznym a plażą. Wokół niego rozciągała się twierdza fabryk i hangarów, zwrócona plecami do morza, z górującą nad nimi wszystkimi wieżą ciśnień, okrągłym zamczyskiem zwisającym z nieba. Muzeum Łez było relikwią, ruiną uratowaną z wyburzeń, które zniosły z powierzchni ziemi niemal wszystkie budowle wzniesione na potrzeby Wielkiej Wystawy Światowej w roku 1888. Po latach dewastacji pawilon został przez władze miejskie przekazany Komendzie Policji, która przerobiła budynek na magazyny i katakumby do różnorakiego użytku. Tam też zgromadzono w bezkresnym magazynie sądowym akta, dowody, skradzione przedmioty, przedmioty skonfiskowane, broń i wszelkiego rodzaju okazy, memoranda i skarby, efekt ponad siedemdziesięciu lat zbrodni i kary w Barcelonie.

Budynek miał sklepienie podobne do tego na dworcu Francia. Przez płyty dachu przesączały się ostre klingi światła, które przeszywały ciemność i zanikały w chaosie kilkusetmetrowych korytarzy przewyższających większość budynków barcelońskiej dzielnicy Ensanche. Z wysoka zwisał zawiły labirynt schodów i mostków na modłę machin teatralnych, dzięki

któremu można było dostać się na wyższe piętra, gdzie składowano dokumenty i przedmioty związane z sekretną historią Barcelony od zmięzchu wieku dziewiętnastego. Przez siedem dekad funkcjonowania budynku w pułapce tego czyścica znalazły się wytwory wszelakiego rodzaju. Od karet i przedpotopowych automobili użytych do popełnienia zbrodni aż po encyklopedyczny arsenał broni i trucizn. W budynku zmagazynowano tyle dzieł sztuki uwikłanych w nigdy nierozwikłane sprawy, że wystarczyłyby do zapewnienia niejednego muzeum. Szczególną sławą wśród badaczy cieszyła się makabryczna kolekcja wypchanych zwłok, na którą natrafiono w dzielnicy San Gervasio w piwnicach rezydencji magnata, reemigranta, który w latach swej fortuny i chwały na Kubie stał się wielbicielem polowań na niewolników, po swoim powrocie zaś pozostawił nigdy nierozwiązaną zagadkę wielu zniknięć pośród ludzi marginesu, stałych klientów lokali przy Paralelo.

W budynku tym znajdowała się również osobna galeria poświęcona magazynowaniu szklanych słoików z nader różnorodną fauną stałych lokatorów zalanych żółtawą formaliną. W pałacu przechowywano niezliczone sztylety, noże sprężynowe i tysiące wymyślnych ostrych wynalazków, które przeraziłyby najbardziej doświadczonego rzeźnika. Jednym z najślawniejszych działów był zamknięty na cztery spusty pawilon, do którego można było się dostać jedynie za przepustką wydaną przez najwyższe instancje. Zebrano w nim materiały i dokumentację nagromadzoną podczas śledztw dotyczących morderstw dokonanych na tle religijnym i okultystycznym. Powiadano, że w owym archiwum przechowywano smakowite akta członków barcelońskiej socjety powiązanych ze sprawą tak zwanej Wampirzycy z ulicy Poniente, jak również korespondencję i rachunki związane ze sprawą egzorcyzmów wielebnego Cinta Verdaguera odprawianych w mieszkaniu nieopodal ulicy Princesa, które to materiały nigdy nie ujrzały i nie ujrzą światła dziennego.

W miejscach stanowiących wieczny przybytek dla tego rodzaju eksponatów zazwyczaj lubią się rozpościerać ciemności, mroki i cienie wzbudzające w odwiedzającym chęć jak najszybszego opuszczenia budynku, w przeciwnym razie grozi mu bowiem uwięzienie w jego murach, a w konsekwencji powiększenie stałej kolekcji o kolejny eksponat. Muzeum Łez nie należało do wyjątków i choć w policyjnych raportach pojawiała się pod swą rzeczywistą nazwą – Sekcja Trzynasta – jego sława i widmowa kumulacja wszelkich nieszczęść, jakie przechowywało w swoich murach, zaskarbiły mu przydomek,

pod którym było powszechnie znane.

Kiedy taksówka podwiozła ich pod drzwi Sekcji Trzynastej, osoba przypuszczalnie desygnowana na cerbera placówki czekała już na nich w progu z pękiem kluczy u pasa i z wyrazem twarzy, z którym niewątpliwie miałyby zapewnione wysokie nagrody na turniejach grabarzy.

– To pewnie jest Florencio – szepnął Vargas, zanim otworzył drzwi samochodu. – Pozwoli pani, że to ja będę z nim rozmawiał.

– Pański ci on.

Wysiedli z taksówki i Vargas wyciągnął dłoń do strażnika.

– Dzień dobry, jestem Juan Manuel Vargas z Komendy Głównej. Parę minut temu rozmawiałem z kapitanem Linaresem. Poinformował mnie, że zadzwoni do pana i uprzedzi o moim przyjeździe.

Florencio przytaknął.

– Ale kapitan Linares nie uprzedził mnie, że będzie pan w towarzystwie.

– Panienska to moja siostrzenica Margarita, która jest tak miła, że w tych dniach służy mi w Barcelonie i za przewodnika, i za sekretarkę. Nic panu nie powiedziano?

Florencio zaprzeczył, wbijając wzrok w Alicję.

– Przywitaj się, Margarito, z don Florenciem, bo z don Florenciem mamy do czynienia, prawda? Faktyczna władza i najwyższy autorytet Sekcji Trzynastej.

Alicja podeszła do Florencia i nieśmiało podała mu rękę. Florencio zmarszczył brwi, ale w końcu słowem nie odniósł się do sytuacji.

– Proszę, mogą państwo przejść.

Poprowadził Alicję i Vargasa do głównego wejścia i zaprosił ich do środka.

– Od dawna pan tutaj pracuje, don Florencio? – spytał Vargas.

– Parę lat. Przedtem siedziałem dziesięć lat w chłodni.

Vargas spojrzał nań zaniepokojony.

– To znaczy w kostnicy policyjnej – pospieszył z wyjaśnieniami Florencio.

– Proszę łaskawie iść za mną, ja państwa poprowadzę. Przedmiot państwa

zainteresowań jest w dziewiątym pawilonie. Wszystko już przygotowałem.

To, co widziane z zewnątrz mogło na upartego przypominać ogromny i nieczynny od wielu lat dworzec, wewnątrz raczej kojarzyło się z rozległą, niemal bezkresną bazyliką. Nad całą przestrzenią rozwieszane były girlandy żarówek rozświetlające półmrok złotawym poblaskiem. Florencio prowadził ich przez niekończące się galerie wypełnione przeróżnego rodzaju przedmiotami, kartonami i skrzyniami. Alicja zdołała w przelocie rzucić okiem na liczne zbiory, od kolekcji wypchanych zwierząt po cały batalion manekinów. Ale również mebli, rowerów, broni, obrazów, posągów religijnych. Po drodze minęli też ponure pomieszczenie, w którym zmagazynowano wyłącznie automaty do gier.

Florencio, widząc w oczach Alicji zdziwienie rosnące w miarę zagłębiania się w owo miejsce, podszedł do niej i pokazał jej coś, co wyglądało jak namiot cyrkowy.

– Nie uwierzą państwo, co my potrafimy tutaj przetrzymywać. Są takie dni, że nawet ja w to wszystko nie wierzę.

Zanurzając się w topografię korytarzy, coraz bardziej uświadamiali sobie, że w powietrzu unosi się dziwna litania dźwięków. Alicja przez chwilę miała wrażenie, że znaleźli się w środku dżungli zamieszkałej przez tropikalne ptaki i polujące drapieżne koty. Florencio nie krył zadowolenia na widok zaskoczenia i zdziwienia w ich twarzach. Nie mógł pohamować dziecięcego chichotu.

– Nie, nie, nikt tu nie zwariował, chociaż to wymarzone miejsce, żeby w jednej chwili dostać pomieszania zmysłów – wyjaśnił. – Te dźwięki to przez ogród zoologiczny. Sąsiadujemy z nim przez miedzę. Tutaj wszystko słychać. Słonie, lwy i różne kakadu. W nocy wyją pantery i normalnie włos się jeży na głowie. Ale i tak najgorsze są małpy, samice małp. Jak ludzie, tyle że bez tej całej szopki. Proszę tędy. Już prawie jesteśmy.

Samochód przykryto cienką płachtą, spod której wyraźnie widać było jego zarys. Florencio wprawnym ruchem zdjął płachtę i ją złożył. Przygotował wcześniej i ustawił na statywach dwa reflektory, po jednym z każdej strony pojazdu. Podłączył je teraz do kabla zwisającego z oświetleniowej girlandy. Dwa żółtawe snopy intensywnego światła przeistoczyły samochód w rzeźbę z połyskliwego metalu. Najwyraźniej zadowolony z efektów swej pracy

scenograficznej Florencio przystąpił do otwarcia wszystkich czworga drzwi pojazdu i lekko skinąwszy głową, odszedł na kilka kroków.

– Oto on, proszę – zaintonował.

– Ma pan może pod ręką raport techniczny? – zapytał Vargas.

Florencio przytaknął.

– Mam go w biurze. Zaraz przyniosę.

Strażnik szybko odszedł po dokumenty, niemal lewitując piędź nad ziemią.

– A pani na miejsce pasażera – rozkazał Vargas.

– Tak jest, kochany wujku.

Najpierw Alicja poczuła zapach. Podniosła wzrok, Vargas kiwnął głową.

– Proch.

Policjant wskazał ciemne plamy zaschniętej krwi rozprysnięte na siedzeniu pasażera.

– To za mało krwi jak na ranę postrzałową – uznała Alicja. – Jakież zadrapanie?

Vargas powoli pokręcił głową.

– Wystrzał oddany w środku samochodu zostawiłby ranę wylotową, a pocisk utkwiłby w karoserii albo w fotelach. Taka mała ilość krwi może pochodzić z innej rany, może zadanej białą bronią. Albo od ciosu.

Vargas delikatnie dotknął drobnych aureoli wokół niewielkich śladów na oparciu siedzenia.

– Spalone – szepnął. – Strzał został oddany z wnętrza samochodu na zewnątrz.

Alicja sięgnęła po korbkę szyby samochodowej. Gdy zaczęła nią kręcić, na brzegu dolnej krawędzi pojawiły się odłamki szkła. Poniżej okienka widać było na podłodze kawałeczki rozbitej szyby.

– Widzi to pan?

Przez parę minut, nic do siebie mówiąc, drobiazgowo przeglądali cały samochód. Lokalna policja przeczesła już pojazd i właściwie nic interesującego im nie zostawiła oprócz pliku starych map drogowych w przednim schowku i kołonotatnika bez okładki. Alicja przejrzała go.

– Coś tam jest?

– Puste strony.

Florencio, który wrócił bezszelestnie z raportem technicznym, stanął w cieniu i obserwował ich.

– Wyglansowany na amen, prawda? – odezwał się.

– Kiedy przywieziono samochód, to coś w nim było?

Florencio podał im raport techniczny.

– Jest w takim stanie, w jakim go dostarczono.

Vargas wziął od niego raport i przeglądał końcowy spis.

– A to tak zawsze się dzieje? – rzuciła Alicja.

– Proszę? – Florencio nie bardzo wiedział, o co go pyta.

– Pytałam, czy zawsze tak jest, że samochód nie jest przeglądany tutaj.

– A to zależy. Normalnie to najpierw jest pierwszy przegląd, na miejscu zdarzenia, a później drugi, już dokładniejszy, tutaj.

– No i ten drugi był?

– O ile mi wiadomo, to go nie było.

– W raporcie stwierdzono, że samochód został odnaleziony przy Carretera de las Aguas. To bardzo uczęszczana trasa? – zapytał Vargas.

– Nie. To szutrowa droga, niewyafaltowana, poprowadzona zboczem góry – odparł Florencio. – Żadna tam szosa, całkiem na uboczu. I nie wiem, czy dokądkolwiek prowadzi.

Wyjaśnienie skierowane było do Vargasa, ale Florencio po ostatnich słowach puścił oko do Alicji. Alicja uśmiechem skwitowała jego nagłą rozmowność.

– Śledczy sądzą, że samochód został tam podrzuty a posteriori, a do samego zdarzenia doszło gdzie indziej – dodał Florencio.

– Jakież sugestie?

– W rowkach bieżników znaleziono resztki bardzo drobnego żwiru. Żwir wapienny. Innego typu niż ten na Carretera de las Aguas...

– Wnioski?

– Gdyby zapytał pan śledczych, to odpowiedzieliby, że taki żwir wysypany jest w dziesiątkach miejsc.

– A gdybyśmy zapytali pana, don Florencio? – odezwała się Alicja.

– Miejsce z ogrodem. Może park. W grę wchodzić może prywatna posiadłość.

Vargas potrząsnął raportem.

– Widzę, że państwo we dwójkę już rozwiązali sprawę – wtrącił się Vargas – ale jeśli nie jest to zbyt wielki kłopot, chciałbym prosić o kopię tego raportu.

– To jest właśnie kopia dla pana. Mogę czymś jeszcze państwu służyć?

– Byłby pan taki miły i wezwał dla nas taksówkę?

14

W taksówce Vargas milczał jak zakłęty ze wzrokiem wbitym w okno. Nie potrafił ukryć rozdrażnienia. Alicja leciutko stuknęła go kolanem.

– No niech się pan rozchmurzy, przecież jedziemy do Casa Leopoldo.

– Marnujemy tylko czas – burknął Vargas.

– Tak bardzo to pana zaskakuje?

Spojrzał na nią z wściekłością. Alicja słodko się doń uśmiechała.

– Witamy w Barcelonie.

– Nie mam pojęcia, co pani widzi w tym śmiesznego.

Alicja otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej kołonoatnik znaleziony w samochodzie Vallsa. Vargas ciężko westchnął.

– Proszę mi powiedzieć, że mam przywidzenia i to, co pani trzyma w ręku, to nie jest to, o czym myślę?

– A co, zaczynamy już odczuwać apetycik?

– Pomijając fakt, że usuwanie dowodów jest już poważnym przestępstwem,

jedyne, co widzę, to notatnik z pustymi stronami.

Alicja wsunęła paznokiec w metalową spiralę biegnącą wzdłuż grzbietu notatnika i wyciągnęła z niej uwięzione tam skrawki papieru.

– Widzę i co?

– Wyrwane kartki – powiedziała.

– Rzeczywiście, wielkiej przydatności.

Alicja przyłożyła pierwszą stronę notatnika do okna taksówki. Światło padające przez kartkę wywołało negatywy jakichś zapisków. Vargas nachylił się i wytężył wzrok.

– Cyfry?

Alicja przytaknęła.

– Dwie kolumny cyfr. Pierwsza to sekwencja cyfr i liter. Druga to same cyfry. Sekwencje pięcio- i siedmiocyfrowe. Proszę spojrzeć.

– Widzę, widzę. I co z tego?

– Cyfry są ustawione po kolei. Zaczynają się od czterdziestu tysięcy trzystu iluś i kończą na czterdziestu tysiącach czterystu siedmiu lub ośmiu.

Oczy Vargasa rozświekliły się, choć na jego twarzy tlił się jeszcze cień wątpliwości.

– To może znaczyć cokolwiek – stwierdził.

– Mercedes, córka Vallsa, wspominała, że tej nocy przed zniknięciem jej ojciec mówił coś o jakiejś liście swemu ochroniarzowi. O liście z liczbami...

– Nie wiem, co mam pani powiedzieć, Alicjo. Bardzo prawdopodobne, że to nic nie jest.

– Być może – zgodziła się. – A jak apetyt?

Vargas uśmiechnął się, w końcu udobruchany.

– Skoro pani zaprasza, to dołożę wszelkich starań.

Wizyta w Muzeum Łez i nadzieja – która przypuszczalnie pozostać miała tylko nadzieją złudną – że owe mało znaczące ślady znalezione na pustej kartce mogłyby wskazać im kierunek poszukiwań, dodały Alicji animuszu. Wietrzenie nowego śladu zawsze było sekretną rozkoszą: woń przyszłości, jak lubił mawiać Leandro. Myląc dobry humor z apetytem, Alicja stawiała czoło karcie

Casa Leopoldo niczym waleczny bokser i zamówiła dla siebie, dla Vargasa i dla pułku wojska. Vargas nie protestował, pozwolił jej szarżować, a kiedy na stole pojawiały się coraz to nowe półmiski coraz smaczniejszych potraw, Alicja zaś ograniczała się zaledwie do ich skubania, doświadczony policjant, burcząc coś pod nosem, zjadał co swoje i co nie swoje.

– Przy stole też, jak widać, tworzymy zgrany zespół – odezwał się w końcu, pałaszując byczy ogon o niewiarygodnym aromacie. – Pani zamawia, ja spożywam.

Alicja skubała swoje danie niczym ptaszek.

– Nie chcę krakać, ale proszę sobie nie robić zbyt wielkich nadziei – ciągnął Vargas. – To mogą być na przykład numery części zamiennych, które zapisał sobie szofer, albo coś w tym stylu, diabli wiedzą.

– Trochę za dużo tych części zamiennych. Jak ogon?

– Wzorcowy. Niemal taki, jaki jadłem w Kordobie w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym, który śni mi się do tej pory.

– W pojedynkę czy w towarzystwie?

– Przesłuchuje mnie pani?

– Zwykła ciekawość. Ma pan rodzinę?

– Wszyscy mają jakąś rodzinę.

– Ja nie mam – ucięła.

– Przepraszam, nie chciałem...

– Nie ma za co przepraszać. Co powiedział panu o mnie Leandro?

Vargas zdawał się zaskoczony pytaniem.

– Bo przecież coś powiedzieć musiał. Albo pan musiał zapytać.

– O nic nie pytałem. A on nic takiego wielkiego nie powiedział.

Alicja uśmiechnęła się lodowato.

– Przecież i tak zostanie to między nami. No, śmiało. Co o mnie nagadał?

– Panno Alicjo, nie moja sprawa, w co się z Leandrem bawicie.

– No proszę, to znaczy powiedział znacznie więcej, niż pan przyznaje.

Vargas już nie ukrywał irytacji.

– Powiedział, że jest pani sierotą. Że straciła pani rodziców w czasie wojny.

– I co jeszcze?

– Że ma pani ranę powodującą chroniczne bóle. I że nie pozostaje to bez wpływu na pani charakter.

– Mój charakter.

– Dajmy spokój.

– Co jeszcze?

– Że jest pani typem samotniczym i ma pani problemy w nawiązywaniu więzi emocjonalnych.

Alicja zaśmiała się niechętnie.

– Tak powiedział? Słowo w słowo?

– No, może nie tak dokładnie. Dobrze nie pamiętam. Możemy zmienić temat?

– Zgoda, porozmawiajmy o moich więziach emocjonalnych.

Vargas wzniosł oczy do nieba.

– Czy pana zdaniem mam problemy w nawiązywaniu więzi emocjonalnych?

– Nie wiem i w ogóle mnie to nie obchodzi.

– Leandro nigdy by nie wygłosił takiego zdania pełnego banałów. Powiedziałby, że to zdanie jest dosłownie wyjęte z kącika porad sercowych pisma z wykrojami.

– No to pewnie sam je wymyśliłem, bo jestem zagorzałym czytelnikiem tych pism, nawet prenumeruję kilka z nich.

– A dokładnie co powiedział?

– Dlaczego pani to robi, Alicjo?

– A co takiego robię?

– Zadręcza się pani.

– Poważnie? Widzi pan we mnie cierpiętnicę?

Vargas przyjrzał się jej w milczeniu, wreszcie przecząco pokręcił głową.

– Co powiedział Leandro? Przyrzekam, że jeśli powie mi pan prawdę, nie

będę już pana męczyć pytaniami.

Vargas rozważył wszystkie za i przeciw.

– Powiedział, że nie wierzy pani w to, by ktokolwiek mógł panią polubić, bo pani samej siebie nie lubi, i że według pani nikt nigdy pani nie lubił. I że nie potrafi pani wybaczyć tego światu.

Alicja spuściła oczy i nerwowo zachichotała. Vargas dostrzegł, że zaszklił jej się wzrok, i chrząknął.

– Zdaje się, że chciała pani, żebym powiedział coś o mojej rodzinie – odezwał się.

Alicja wzruszyła ramionami.

– Moi rodzice pochodzili z małej wioski...

– Raczej chciałam wiedzieć, czy ma pan żonę i dzieci – przerwała mu.

Vargas spojrzał na nią wzrokiem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu.

– Nie mam – odparł po chwili.

– Nie chciałam sprawić panu przykrości, przepraszam.

Vargas uśmiechnął się z trudem.

– Żadna przykrość. A pani?

– Czy mam żonę i dzieci?

– Wszystko jedno.

– Obawiam się, że nie – odpowiedziała bez namysłu.

Vargas uniósł swój kieliszek z winem jakby do toastu.

– Za samotne dusze.

Alicja stuknęła się z nim, unikając jego wzroku.

– Leandro jest ignorantem – zawyrokował policjant po jakiejś chwili.

Alicja powoli pokręciła głową.

– Nie. Jest po prostu okrutny.

Reszta obiadu upłynęła w ciszy.

Valls budzi się w ciemnościach. Ciało Vicente już tam nie ma. Pewnie Martín je usunął, kiedy Valls spał. Tylko takiemu sukinsynowi mogłoby przyjść do głowy zamknąć go w jednym pomieszczeniu z trupem. Oleista plama zarysowuje na podłodze miejsce, w którym leżały zwłoki. Teraz leży tam sterta starych, ale suchych ubrań i stoi małe wiadro wypełnione wodą. Woda ma metaliczny smak i cuchnie brudem, ale wystarczy, że Valls zanurza w niej wargi i wypija łyk, a już mu się zdaje, że nic smaczniejszego nie miał dotąd w ustach. Pije długo, póki nie ugasi nienasyconego pragnienia i nie zacznie odczuwać bólu w żołądku i w gardle. Później pozbywa się brudnych i zakrwawionych szmat, jakie go okrywają, i wkłada na siebie jedno z ubrań znalezionych w stercie. Czuć je kurzem i środkiem dezynfekującym. Ból w prawej ręce ustąpił miejsca głuchemu pulsowaniu. Z początku Valls nie ma odwagi, by spojrzeć na swoją dłoń. Kiedy w końcu się na to decyduje, widzi, że czarna plama rozrosła się i dochodzi do przegubu, jakby zanurzył rękę w kuble smoły. Wychwytuje nozdrzami woń infekcji i czuje, jak jego własne ciało zaczyna gnić za życia.

– To gangrena – mówi głos w ciemnościach.

Serce skacze mu do gardła i Valls odwraca się, żeby oczyma natrafić na swego prześladowcę, który siedzi u podnóża schodów i mu się przypatruje. Valls zastanawia się, od jak dawna tamten siedzi i go obserwuje.

– Stracisz dłoń. Albo życie. Od ciebie zależy.

– Proszę mi pomóc, błagam. Dostanie pan wszystko, o co pan poprosi.

Strażnik patrzy nań obojętnie.

– Ile czasu już tu jestem?

– Niewiele.

– Pan pracuje dla Martina? Gdzie on jest? Dlaczego nie przyjdzie się ze mną zobaczyć?

Strażnik wstaje. Promień światła spadający z góry schodów ociera się o jego twarz. Valls może teraz w pełni zobaczyć zrobioną z porcelany maskę

zakrywającą połowę twarzy. Pomalowana jest na bladoróżowo. Oko jest ciągle otwarte i nie mruga. Strażnik zbliża się do prętów, żeby Valls mógł mu się lepiej przyjrzeć.

– Nie przypominasz sobie, prawda?

Valls powoli kręci głową.

– Przypomnisz sobie. Mamy czas.

Odwraca się i szykuje, żeby wejść na schody, kiedy Valls wyciąga przez pręty lewą rękę w błagalnym geście. Strażnik się zatrzymuje.

– Błagam – płacze Valls. – Potrzebuję lekarza.

Strażnik wyjmuje jakiś pakunek z kieszeni płaszcza i rzuca go do środka celi.

– Ty sam zdecyduj, czy chcesz żyć, czy wolisz gnąć powoli, tak jak tylu niewinnych ludzi, którym zgotowałeś takie powolne gnicie.

Na koniec zapala świecę i stawia ją w małym wyźłobieniu w ścianie na kształt niszy.

– Błagam, proszę nie odchodzić...

Valls słyszy, jak kroki oddalają się, wreszcie nikną, drzwi się zamykają. Wówczas klęka, żeby sięgnąć po pakunek owinięty w szary papier. Lewą ręką go rozpakowuje. Z początku nie potrafi rozeznaczyć, co jest w środku. Dopiero kiedy udaje mu się chwycić przedmiot i unieść go do światła świecy, rozpoznaje zawartość pakunku.

Piłka do drewna.

16

Barcelona, matka labiryntów, skrywa w najciemniejszym zakątku swego matecznika kłębek zaułków splątanych w rafę ruin współczesnych i przyszłych. Nieustraszeni podróżnicy i wszelkiej maści zagubione duchy zostają tu na zawsze, pochwyceni w dystrykcie, który z braku lepszego hasła

ostrzegawczego jeden z błogosławionych kartografów nazwał Ravalem. Ledwie Alicja z Vargasem wyszli z Casa Leopoldo, natychmiast wchłonęła ich w swą mroczną wspaniałość zawiła sieć uliczek pełnych spelunek i burdeli oraz zbiorowisko straganów i sklepików, w których czereda przekupniów oferowała artykuły wątpliwej legalności.

Suty obiad wywołał u Vargasa objawy przejedzenia i lekką czkawkę, nad którą starał się zapanować, oddychając głęboko, wstrzymując oddech i uderzając się w piersi zgiętymi palcami.

– To kara za obżarstwo – oznajmiła Alicja.

– To już szczyt bezczelności. Najpierw mnie pani futruje, później kpi.

W bramie, w której szalał tranzystor sławiący na cały regulator katalońską rumbę w pełni jej wielokulturowej chwały, stała dziewczka uliczna o krągłych wdziękach i drapieżnej gotowości i przyglądała się Alicji i Vargasowi z czysto komercyjnym zainteresowaniem.

– Może byś zafundował sobie uroczą sjestę z tym swoim chudzielcem i z prawdziwą kobietą w duecie, mój słodziutki? – zachęciła ponętnie królowa zmierzchu.

Vargas odmówił spłoszony nieco i przyspieszył kroku. Alicja uśmiechnęła się i poszła za nim, wymieniając się spojrzeniem ze stojącą w bramie damą, która, widząc oddalającą się zdobycz, wzruszyła ramionami i otaksowała Vargasa od stóp po głowę, jakby zastanawiała się, czy aktualnie pomiędzy panami w przyzwoitym obuwiu trafiają się ta-cy jak ten.

– Ta dzielnica to społeczna katastrofa! – warknął Vargas.

– Mam pana zostawić na chwilę samego? Może wtedy panu przejdzie – zaproponowała Alicja. – Przed chwilą poznał pan osobkę, która w mig poradziłaby sobie z pańską czkawką.

– Proszę mnie nie drażnić, bo zaraz wybuchnę.

– A może coś na deser?

– Lupę. W miarę możliwości o dużej skali powiększenia.

– Wydawało mi się, że nie bardzo pan wierzy w cyferki.

– Człowiek wierzy w to, w co może, a nie w to, w co chce. Chyba że jest kretnem i wtedy robi na odwrót.

– No, no, nie wiedziałam, że niestrawność wprowadza pana w filozoficzny trans.

– Wielu rzeczy pani nie wie, pani Alicjo.

– I dlatego z każdym dniem uczę się czegoś nowego.

Alicja wzięła go pod rękę.

– Proszę nie robić sobie nadziei – ostrzegł Vargas.

– Już mi to pan zdążył powiedzieć.

– To najlepsza rada, jaką można dać komuś w tym życiu.

– Vargas, co za smutne myśli.

Policjant spojrział na nią. Alicja czytała w jego oczach, że daleko mu do żartów. Uśmiech zniknął z jej ust i bez zastanowienia stanęła na palcach i pocałowała Vargasa w policzek. Był to pocałunek niewinny, pełen czułości i przyjaźni, pocałunek, który niczego nie oczekiwał, a tym bardziej niczego się nie domagał.

– Proszę tego nie robić – powiedział Vargas, ruszając z miejsca.

Alicja dostrzegła, że prostytutka z bramy wciąż ich obserwuje i była świadkiem tej sceny. Patrzyły na siebie przez chwilę. Weteranka przeklęła pod nosem i gorzko się uśmiechnęła.

17

Popołudnie nadeszło okryte nisko wiszącymi chmurami, które przepuszczały zielonawą poświatę, nadając Ravalowi wygląd wioski zanurzonej w bagiennych wodach. Szli ulicą Hospital w kierunku Rambli, a kiedy już tam dotarli, Alicja poprowadziła Vargasa pomiędzy tłumem płynącym w stronę placu Real.

– Dokąd idziemy? – spytał policjant.

– W poszukiwaniu lupy, o której pan wspomniał.

Przeszli przez plac i dotarli do otaczających go krużganków. Alicja zatrzymała się przed witryną sklepu. Za szybą zobaczyli małą dżungłę pełną dzikich zwierząt zastygłych w chwili furii, przypatrujących się wieczności szklanymi oczyma. Vargas uniósł wzrok na przybity do drzwi afisz i znajdujący się poniżej wygrawerowany na szkle napis:

MUZEUM

Wdowa po L. Solerze Pujolu

Telefon 40 44 51

– A to co znowu?

– Ludzie nazywają to muzeum dzikich bestii, ale w rzeczywistości to zakład taksydermii.

Od razu po przekroczeniu progu Vargas mógł w pełni docenić bogactwo znajdującej się w lokalu kolekcji wypchanych zwierząt. Tygrysy, ptaki, wilki, małpy i wielu przedstawicieli innych egzotycznych gatunków – to dość przypadkowo sklecone muzeum nauk przyrodniczych zachwyiłoby, a może i przeraziło niejednego badacza fauny pięciu kontynentów. Vargas przeszedł od witryny do witryny, podziwiając oczywistą maestrię owych dzieł taksydermii.

– Od razu czkawka panu przeszła – stwierdziła Alicja.

Usłyszeli za plecami kroki, odwrócili się więc i zobaczyli osobę chudą jak szczapa, która przyglądała im się ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma. Vargasowi przyszło na myśl, że ma wygląd i spojrzenie modliszki.

– Dzień dobry. Czym mogę państwu służyć?

– Dzień dobry. Chciałabym, o ile to możliwe, porozmawiać z Matiasem – odparła Alicja.

Modliszka podwoiła dozę podejrzliwości w swym wzroku.

– W sprawie...?

– Porada techniczna.

– A mogę wiedzieć, kogo mam zaanonsować?

– Alicja Gris.

Modliszka dokładnie im się przyjrzała, otaksowała sumiennie i ściągnąwszy usta z dezaprobatą, niezbyt rychliwie oddaliła się na zaplecze.

– Odkrywa mi pani Barcelonę pełną serdeczności, życzliwości i otwartości – burknął Vargas. – Zastanawiam się, czy się tutaj nie przeprowadzić.

– A nie ma pan w stolicy dość wypchanych sław?

– Nie z wypchanymi kłopot. Za dużo tych dopiero do wypchania. Kto to jest Matías? Dawny narzeczony?

– Raczej chętny na narzeczonego.

– Waga ciężka?

– Raczej piórkowa. Matías jest mistrzem w swoim fachu. Tu mają najlepsze lupy w mieście, a Matías najlepsze oczy.

– A Lamia?

– O ile się nie mylę, ma na imię Serafina. Była jego narzeczoną ileś lat temu. Teraz jest pewnie jego żoną.

– Niewykluczone, że w niedalekiej przyszłości ją też wypcha i wystawi w witrynie obok lwów, i w ten sposób wystraszy publikę z muzeum na zawsze...

– Alicjo! – rozległ się pełen euforii głos Matiasa.

Taksydermista przyjął ich z ciepłym uśmiechem na ustach. Matías, wbity w biały fartuch i z nasadzonymi na nos okrągłymi okularami, które powiększały mu oczy i przydawały nieco komicznego wyglądu, był rzeczywiście drobnym mężczyzną. Poruszał się nerwowo.

– Wieki całe! – wykrzyknął, nie ukrywając ekscytacji, w jaką wprawiło go spotkanie. – Myślałem, że już nie mieszkasz w Barcelonie. Kiedy wróciłaś?

Serafina z mało przyjaznym wyrazem twarzy, skryta za kotarą oddzielającą zaplecze, oczyma czarnymi jak smoła czujnie nadzorowała scenę.

– Matías, pozwól, że ci przedstawię kolegę: don Juan Manuel Vargas.

Matías uściskał dłoń Vargasa, badawczo mu się przyglądając.

– Wspaniała kolekcja, don Matiasie. Jestem pod wrażeniem.

– Och, większość eksponatów to dzieło pana Solera, założyciela firmy. Mojego mistrza.

– Matías jest bardzo skromny – wtrąciła się Alicja. – Opowiedz nam o byku.

Wywołany do tablicy wstydlawie pokręcił głową.

– Nie, niemożliwe! Pan wypycha również byki do walki? – Vargas nie krył zdziwienia.

– Dla niego nie ma nic niemożliwego – nie ustępowała Alicja. – Ileś lat temu zjawił się słynny matador i zlecił Matiasowi, by ten wypchał mu bestię ważącą ponad pięćset kilo, z którą walczył owego wieczoru na arenie Monumental. Chciał podarować zwierzę gwiazdzie filmowej, w której był szalenie zakochany... Nie była to przypadkiem Ava Gardner?

– Czego to męczyzna nie zrobi dla kobiety, nieprawdaż? – dodał Matías, aczkolwiek gołym okiem było widać, że wolałby nie zagłębiać się w temat.

Serafina groźnie kaszlnęła w swoim punkcie obserwacyjnym, Matías niemal stanął na baczność, uśmiech całkiem zanikł.

– A w czym państwu mogę pomóc? Jakies ukochane zwierzątko trzeba unieśmiertelnić? Domowe żyjątko czy też znaczące trofeum myśliwskie?

– Szczerze mówiąc, przychodzimy z dość nietypową prośbą – zaczęła Alicja.

– Nietypowe w tej firmie staje się typowe. Parę miesięcy temu progi tego zakładu przekroczył nie kto inny, jak mistrz Salvador Dalí we własnej osobie, żeby zapytać, czy moglibyśmy wypchać dwieście tysięcy mrówek. Bez jaj. Kiedy odpowiedziałem mu, że nie widzę możliwości, by sprostać temu zadaniu, zaoferował, że namaluje portret mojej Serafiny pośród insektów i kardynałów. To tylko geniusz może wymyślić. Jak państwo widzą, nie nudzimy się tutaj...

Alicja wyciągnęła z torebki kartkę z kołnotatnika i rozłożyła ją.

– Chcielibyśmy cię prosić, żebyś za pomocą swoich soczewek pomógł nam rozszyfrować odciski na kartce zapis.

Matías delikatnie uniósł kartkę i spojrzał na nią pod światło.

– Alicja i jej nieodłączne tajemnice, co? Chodźmy na zaplecze. Zobaczmy, co się da zrobić.

Warsztat i laboratorium taksydermisty mieściły się w małej jaskini,

królestwie alchemii i cudów. Skomplikowany aparat składający się z soczewek i lamp zwisał, utrzymywany metalowymi kablami, z sufitu. Przy ścianach tłoczyły się oszklone szafki, szczelnie wypełnione przeróżnego rodzaju flakonikami z chemicznymi mieszankami. Tuż przy drzwiach wisiały ogromne plansze anatomiczne w kolorze ochry, ukazujące obrazy wnętrzości, szkieletów i układów mięśniowych wszelakiego rodzaju stworzeń. Dwa duże marmurowe blaty królowały w samym środku warsztatu, który wyglądał niczym sala operacyjna stworzona dla istot z innego świata. Wokół blatu ustawiono metalowe stoliczki pokryte jednakowymi obrusikami w karmazynowym kolorze, na nich zaś leżały najdziwniejsze instrumenty chirurgiczne, jakie Vargasowi zdarzyło się w życiu zobaczyć.

– Proszę nie zważać na zapach – uprzedził taksydermista. – Po paru minutach człowiek się przyzwyczaja i nawet go nie czuje.

Alicja nie dzieląc przekonania Matiasa, ale jak najdalej od podejmowania z nim dyskusji, zajęła przysunięte przezeń krzesło przy jednym z blatów i uśmiechnęła się ciepło, świadoma pożądania błyskawicznego w oczach byłego pretendenta.

– Serafina nigdy tutaj nie wchodzi. Mówi, że cuchnie trupem. Ale ja tu się odprężam. Tutaj człowiek widzi rzeczy takimi, jakie są, bez złudzeń i upiększeń.

Matias wziął kartkę i ułożył na szklanej płytce. Za pomocą pokrętła znajdującego się przy marmurowym blacie przyćmił światło do lekkiej poświaty i jednocześnie włączył parę wiszących pod sufitem reflektorów. Przyciągnął zawieszoną na pasach szynę i przysunął do blatu zestaw soczewek obudowanych metalową tubą.

– Zniknąłś bez pożegnania – powiedział, nie odrywając oczu od kartki. – Musiałem się wszystkiego dowiedzieć od portierki, Jesusy.

– Wiesz, to odbyło się tak szybko.

– Zdaję sobie sprawę.

Matias umieścił szklaną płytkę pomiędzy jednym z reflektorów a soczewką. Snop światła wywołał odcisnięte na papierze znaki.

– Cyfry – stwierdził taksydermista. Poprawił ustawienie soczewki i jeszcze raz dokładnie przyjrzał się kartce. – Mógłbym podłożyć pod kartkę jakiś

kontrast, ale to by ją pewnie uszkodziło i część cyfr by zniknęła...

Vargas podszedł do stojącego w kącie biurka i wziął stamtąd parę kartek i ołówek.

– Mogę? – zapytał.

– Ależ proszę bardzo. Proszę się czuć jak u siebie w domu.

Policjant wrócił do blatu i przyłożywszy oko do soczewki, zaczął przepisywać numery.

– Sprawiają wrażenie, jakby były w jakiejś kolejności – zauważył Matías.

– A skąd to wrażenie? – Alicja nie kryła ciekawości.

– Są w korelacji. Jeśli przyjrzy się trzem pierwszym cyframi z lewej kolumny, to widać wyraźnie, że stanowią jakąś serię. A reszta też jest w jakiejś sekwencji. Dwie ostatnie cyfry zmieniają się tylko co trzy lub cztery numery. – Matías spojrzał na nich ironicznie. – Domniemywam, że nie warto nawet pytać, co właściwie państwo robią, prawda?

– Ja jestem na posługi – burknął Vargas, nie przestając kopiować cyfr.

Matías kiwnął głową i spojrzał na Alicję.

– Wysłałbym ci zaproszenie na ślub, ale nie wiedziałem, pod jaki adres.

– Przykro mi, Matiasie.

– Nieważne. Czas wszystko leczy, prawda?

– Tak mówią.

– A ty? Wszystko w porządku? Zadowolona? Jak się czujesz?

– Jak pączek róży.

Matías się zaśmiał.

– Alicja w każdym calu.

– Z przykrością muszę to potwierdzić. Mam nadzieję, że Serafina nie weźmie ci za złe, że tu przysłałam?

Matías westchnął.

– No cóż. Pewnie wie, kim jesteś, albo się domyśla. Będzie trochę dąsów i kwasów dziś przy kolacji, ale na tym powinno się skończyć. Serafina wydaje się osobą dość gburowatą, jeśli się jej nie zna, ale w głębi ducha ma złote serce.

– Cieszę się, że znalazłeś kogoś, kto na ciebie zasługuje.

Matías spojrział jej w oczy, nic nie mówiąc. Vargas próbował trzymać się całkiem na uboczu tej prowadzonej półgłosem rozmowy. Wcielił się w rolę niewzruszonego gościa przepisującego numery na kartce i starał się niemal nie oddychać. Taksydermista obrócił się w jego stronę i klepnął go po plecach.

– Ma pan już wszystko? – spytał.

– Już kończę.

– A może przytwierdzimy kartkę na płytce i wyświetlimy przez epidiaskop?

– Chyba sobie poradzę – stwierdził Vargas.

Alicja wstała z krzesła i zaczęła kręcić się po pomieszczeniu, przyglądając się instrumentom, jakby znajdowała się na korytarzach muzeum. Matías z daleka obserwował ją spod oka.

– Długo się już państwo znają? – zapytał.

– Od kilku dni. Pracujemy razem nad pewną sprawą służbową, nic ponadto – odpowiedział Vargas.

– Niezwykła osoba, nieprawdaż?

– Proszę?

– Alicja.

– Tak, ma swoje narowy.

– Używa jeszcze tego specjalnego gorsetu?

– Gorsetu?

– To ja go zrobiłem, wie pan? Na miarę. To arcydzieło, choć wiem, że w moich ustach brzmi to nieskromnie, ale to prawda. Użyłem wielorybiego fiszbinu i taśm wolframu. Nazywamy to egzozskieletem. Jest tak delikatny, lekki i elastyczny, że zachowuje się jak druga skóra. Dziś nie ma go na sobie. Wiem, bo widzę, jak się porusza. Proszę jej przypominać, żeby go nosiła. Dla jej własnego dobra.

Vargas przytaknął, jakby wiedział, o czym w ogóle taksydermista mówi, i przepisał ostatnie cyfry.

– Dziękuję, Matiasie. Pańska pomoc była nieoceniona.

– Zawsze gotów do usług.

Policjant wstał i chrząknął. Alicja odwróciła się, wymienili się spojrzeniami. Vargas przytaknął. Alicja podeszła do Matiasa i posłała mu uśmiech. Musiał zboleć jak cios, pomyślał Vargas.

– No dobra – powiedział Matías spięty. – Obyśmy na następne spotkanie nie czekali znów całe lata.

– Też mam taką nadzieję.

Alicja uścisnęła go i szepnęła parę słów do ucha. Matías przytaknął, aczkolwiek nie odwzajemnił uścisku. Jego ramiona cały czas zwisały wzdłuż tułowia. Po chwili Alicja ruszyła ku wyjściu, już nic nie mówiąc. Matías odwrócił się dopiero wtedy, kiedy usłyszał, że wyszła. Vargas podał mu rękę, a taksydermista ją uścisnął.

– Proszę dbać o nią, Vargas, bo ona o siebie na pewno nie zadba.

– Spróbuję.

Matías uśmiechnął się blado i kiwnął głową; wyglądał młodo, dopóki nie spojrzęło mu się w oczy, bo wówczas ujrzeć można było duszę postarzałą przez smutek i ciosy, jakie zadało mu życie.

Gdy Vargas przechodził przez część wystawową zakładu, tę z odpoczywającymi w ciemnościach zwierzętami, Serafina wyszła mu na spotkanie. Oczy miała roziskrzone wściekłością, a usta jej drżały.

– Proszę jej tu już więcej nie przyprowadzać – ostrzegła go.

Vargas wyszedł na ulicę i dostrzegł Alicję opartą o brzeg fontanny i z grymasem bólu na twarzy pocierającą sobie prawe biodro. Podeszedł do niej i usiadł obok.

– A może wróciłaby pani do domu i odpoczęła? Jutro będzie lepiej.

Wystarczyło jedno spojrzenie Alicji, żeby Vargas poczęstował ją papierosem. W milczeniu wypalili jednego na spółkę.

– Myśli pan, że jestem kimś na wskroś złym? – w końcu zapytała.

Vargas wstał i podał jej ramię.

– Śmiało, proszę się oprzeć.

Alicja złapała się Vargasa i kulejąc, zatrzymując się co dziesięć lub piętnaście metrów, żeby przetrzymać ból, dotarła jakoś do bramy domu. Próbowwała wyjąć klucze z torebki, ale wysunęły jej się z dłoni i upadły na

ziemię. Vargas podniósł je, otworzył bramę i pomógł Alicji wejść. Jęcząc, oparła się o ścianę. Policjant rozejrzał się po klatce schodowej, po czym bez słowa wziął Alicję na ręce i ruszył schodami w górę.

Kiedy dotarli na poddasze, twarz dziewczyny cała pokryta była łzami bólu i wściekłości. Vargas zaniósł ją do sypialni i delikatnie położył na łóżku. Zdjął jej buty i przykrył ją kocem. Flakonik z tabletkami stał na stole.

– Jedna czy dwie? – zapytał.

– Dwie.

– Na pewno?

Podał jej dwie tabletki i szklankę wody, której nalał z dzbanka stojącego na komodzie. Alicja połknęła lekarstwo. Miała urywany oddech. Vargas ujął jej dłoń i odczekał, aż Alicja się uspokoi. Spojrzała na niego zaczerwienionymi oczyma. Po jej twarzy wciąż spływały strumyki łez.

– Proszę nie zostawiać mnie samej.

– Nigdzie się nie wybieram.

Alicja spróbowała się uśmiechnąć. Vargas zgasił światło.

– Niech pani odpocznie.

Trzymał jej dłoń w półmroku, słuchając, jak przełyka łyżę i trzęsie się z bólu, póki po półgodzinie bez mała nie poczuł, jak Alicja zwalnia uścisk i zatapia się w stan pośredni między delirium a snem. Słyszał wyszeptywane przez nią słowa, którym nie potrafił przydać sensu. Wreszcie umilkła, powoli usypiając lub tracąc przytomność. Mrok zmierzchu sączył się przez okno, obrysowując twarz Alicji na poduszce. Vargasa nagle tknęło, że może umarła, i wziął ją za przegub, by zmierzyć puls. Zastanawiał się, czy przyczyną tego morza łez jest rana, czy też coś znacznie głębszego.

Po jakimś czasie zmęczenie zaczęło morzyć i jego, więc przeszedł do jadalni, by wyciągnąć się na sofie. Zamknął oczy i odetchnął unoszącym się w powietrzu zapachem Alicji.

– Nie, nie sądzę, żeby pani była człowiekiem na wskroś złym. – Zdziwił się, słysząc swój szepczący głos. – Ale nie ma co, czasem się pani boję.

Było już po północy, kiedy Vargas otworzył oczy i ujrzał Alicję okrytą kocem, siedzącą na krześle i przypatrującą mu się bacznie w półmroku.

– Wygląda pani jak wampir – zdołał wykrztusić. – Długo już tak pani siedzi?

– Czas jakiś.

– Powinienem był panią uprzedzić, że chrapię.

– Mało mnie to obchodzi. Po tabletkach trzęsienia ziemi bym nie usłyszała.

Vargas wstał i przetarł sobie twarz.

– Pozwoli pani, że zauważę, iż ta sofa jest do bani.

– Słabo się znam na meblach. Kupię nowe poduszki. Jakiś ulubiony kolor?

– Ze względu na panią czarne i we wzorki w pająki i w trupie czaszki.

– Zjadł pan coś na kolację?

– Najadłem się obiadów, kolacji i podwieczorków na cały tydzień. Jak się pani czuje?

Alicja wzruszyła ramionami.

– Zawstydzona.

– Niby czym? A co z bólem?

– Lepiej. Dużo lepiej.

– Może jednak wróci pani do łóżka i pośpi jeszcze trochę?

– Muszę zadzwonić do Leandra.

– O tej porze?

– Leandro nie śpi.

– O wampirach już była mowa...

– Będzie naprawdę źle, jak nie zadzwonię.

– Mam wyjść na korytarz?

– Nie – powiedziała Alicja trochę za późno.

Vargas kiwnął potakująco głową.

– Wie pani co? Zajdę do mojej luksusowej rezydencji po drugiej stronie ulicy, wezmę prysznic, przebiorę się i wracam.

– Nie ma takiej potrzeby. I tak już dużo pan dla mnie zrobił tej nocy. Niech pan idzie i odpocznie trochę, bo czeka nas długi dzień. Jutro się spotkamy, na śniadaniu.

Vargas słuchał jej bez większego przekonania. Alicja uśmiechnęła się.

– Będę już w formie. Przrzekam.

– Ma pani rewolwer pod ręką?

– Będę z nim spać, jakby był pluszowym misiem.

– Pani nigdy nie miała pluszowego misia. Najwyżej pluszowego diabełka...

Alicja obdarzyła go jednym z tych uśmiechów, który otwierał wszystkie drzwi i rozmiękczał najtwardszy opór. Vargas spuścił wzrok.

– No dobrze. Niech pani dzwoni do księcia ciemności i wyzna mu wszystkie swoje sekreciki – powiedział, idąc w stronę drzwi. – I proszę się dobrze zabarykadować.

– Vargas?

Policjant stanął na progu.

– Dziękuję.

– Niech już pani przestanie mi tak dziękować za duperele.

Odczekała, aż kroki policjanta ucichną na dole schodów, i podniosła słuchawkę. Głęboko odetchnęła i zamknęła oczy. Wreszcie odważyła się wykręcić numer. Linia bezpośrednia do apartamentu nie odpowiadała. Alicja wiedziała, że Leandro dysponuje w hotelu Palace innymi pokojami, choć nigdy nie miała ochoty go zapytać, do czego są mu potrzebne. Zadzwoiła do recepcji. Telefonistka z nocnego dyżuru rozpoznawała już głos Alicji, nie było więc potrzeby informowania jej, z kim ma połączyć.

– Sekundeczkę, panno Gris, już łączę z panem Montalvo – mimo późnej pory powiedziała z nieodłącznym zaśpiewem telefonistek.

Po jednym zaledwie sygnale Alicja usłyszała trzask unoszonej słuchawki. Wyobraziła sobie Leandra siedzącego w ciemnościach, podziwiającego plac

Neptuna u swych stóp i madryckie niebo zasnute czarnymi chmurami w oczekiwaniu na świt.

– Alicjo – odezwał się powoli, bezbarwnym głosem. – Myślałem, że już nie zadzwonisz.

– Przepraszam. Trafiło mnie.

– Przykro mi. Już lepiej?

– Doskonale.

– Vargas jest z tobą?

– Jestem sama.

– Dobrze się z nim pracuje?

– Dobrze. Żadnych problemów.

– Jeśli chcesz się od niego uwolnić, mógłbym...

– Nie trzeba. Nawet wolę go mieć pod ręką, gdyby coś.

Pauza. W pauzach Leandra nie było ani oddechu, ani żadnego dźwięku.

– Jesteś nie do poznania, o ile pozwolisz mi na drobną uwagę. W każdym razie cieszę się, że wszystko między wami gra. Dopuszczałem myśl, że może jednak coś między wami zazgrzytać, tym bardziej jeśli się zważy na jego osobiste perypetie...

– Jakie perypetie?

– Nic takiego. Nieistotne.

– No, po takich słowach naprawdę zaczynam się przejmować.

– Nic ci nie mówił o swojej rodzinie?

– Nie rozmawiamy na tematy osobiste.

– No to nie chciałbym, żebym to ja...

– Co się dzieje z jego rodziną?

Leandro zrobił kolejną pauzę. Widziała niemal, jak się uśmiecha i oblizuje wargi.

– Vargas stracił żonę i córkę w wypadku samochodowym trzy lata temu. Prowadził po pijanemu. Jego córka była w twoim wieku. Przeżył trudne chwile. Mógł zostać wydalony ze służby. Niewiele w każdym razie

brakowało.

Alicja nie odezwała się. Usłyszała oddech szepczącego do słuchawki Leandra.

– Nic ci nie mówił?

– Nie.

– Sądzę, że woli nie wracać do przeszłości. W każdym razie ufam, że nie będzie żadnego problemu.

– A jaki problem mógłby się pojawić?

– Alicjo, wiesz dobrze, że nie mieszam się w twoje życie uczuciowe, choć, dalibóg, trudno mi czasem pojąć twoje gusty i twoje szczególne inklinacje.

– Nie mam pojęcia, do czego się pan odnosi.

– Doskonale wiesz, do czego się odnoszę, Alicjo.

Alicja zagryzła wargi i przełknęła słowa, które już miała na końcu języka.

– Nie będzie żadnego problemu – powiedziała w końcu.

– Wspaniale. A teraz powiedz, co masz dla mnie.

Alicja odetchnęła głęboko i zacisnęła dłoń, wbijając sobie paznokcie w ciało. Kiedy zaczęła swoją relację, jej głos powrócił do miłego i melodyjnego rejestru, jakiego wyuczyła się w swoich relacjach z Leandrem.

Przez kilka minut składała sprawozdanie z tego wszystkiego, co wydarzyło się od czasu ich ostatniej rozmowy. Jej opowieść pozbawiona była jakiegóż szczególnej barwy czy detalu, ograniczyła się jedynie do wyliczenia wszystkich swoich ruchów, nie podając ani motywów, ani przeczuc, które kazały jej dany ruch wykonać. W przemilczeniach najistotniejsze było pominięcie przez nią sprawy zniknięcia z jej domu w poprzednią noc egzemplarza książki Victora Mataixa. Leandro, jak zwykle, słuchał cierpliwie, nie wtrącając się i nie przerywając. Alicja, skończywszy relację, zamilkła i wsłuchiwała się w długą pauzę wskazującą, że Leandro powoli trawi wszystkie jej słowa.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego?

– Nie wiem. Nic znaczącego nie pominęłam, jak sądę.

– Konkludując, przeszukanie samochodu, przypuszczalnie użytego do,

nazwijmy to, ucieczki, nie doprowadziło do żadnych oczywistych wniosków poza odnalezieniem śladów użycia siły bez skutków śmiertelnych i listy cyfr, przypuszczalnie jakichś numerów, które równie dobrze mogą nie mieć żadnego związku ze sprawą. Z drugiej zaś strony, na wyraźne twe życzenie, podtrzymujemy temat książki niejakiego Mataixa, który to wątek może, i tego się zresztą obawiam, zdryfować ku całej serii tajemnic bibliograficznych, owszem, arcyważnych, ale całkowicie bezużytecznych dla naszych wysiłków odnalezienia Mauricia Vallsa.

– Czy są jakieś informacje o dotychczasowych wynikach oficjalnego śledztwa policji? – spytała Alicja, wierząc, że w ten sposób zmieni temat rozmowy.

– Nie ma żadnej istotnej informacji i nie bardzo się takiej informacji właściwie oczekuje. Dość powiedzieć, że są i tacy, którzy niezbyt życzliwym okiem patrzą na to, że zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie, i nieważne, że tylnym wejściem.

– Dlatego mnie śledzą?

– Otóż to, ale również dlatego, że z całą pewnością nie mogą wciąż uwierzyć, że naprawdę będziemy, w pełni, rzecz jasna, usatysfakcjonowani, kiedy naszym przyjaciołom z policji przypadnie w udziale całe uznanie i wszystkie medale w dniu, w którym odnajdziemy pana ministra całego i zdrowego, i przekazemy go elegancko i szykownie, i z kolorową wstążeczką.

– O ile go odnajdziemy.

– Czy brak wiary to zwykła kokieteria, czy też jest coś, o czym mi nie wspomniałaś?

– Chciałam tylko powiedzieć, że trudno jest zlokalizować kogoś, kto nie chce być zlokalizowany.

– Przyznamy sobie dobrodziejstwo wątpliwości i pominiemy ewentualne życzenia pana ministra. Czy też życzenia naszych kolegów w ministerstwie. Dlatego radzę ci zachować ostrożność, jeśli chodzi o Vargasa. Lojalność to nie jest nawyk, który da się zmienić z dnia na dzień.

– Vargasowi można ufać.

– Powiedziała kobieta, która nie ufa samej sobie. Nie mówię ci niczego, czego byś już wcześniej nie wiedziała.

– Może pan być spokojny. Będę uważać. Coś jeszcze?

– Dzwon.

Alicja chciała mu życzyć dobrej nocy, ale zdała sobie sprawę, że Leandro, jak zwykle, już odłożył słuchawkę.

19

Światło świeczki dogorywa w kałuży wosku. Na jej powierzchni unosi się bladoniebieski płomynek. Valls zbliża do niego rękę, w której już nie ma czucia. Skóra ma kolor ciemnofioletowy, przechodzący w czern. Palce są spuchnięte, a paznokcie zaczynają odłazić, spod nich wypływa gęsta ciecz, cuchnąca niemiłosiernie. Valls próbuje poruszać palcami, ale ręka nie reaguje. To kawałek martwej tkanki przytwierdzonej do jego ciała, pojawiły się już czarne pędy pnące się po jego ramieniu. Czuje zgniętą krew w swoich żyłach, która mąci mu myśli i wciąga w gorączkowy sen. Wie, że jeśli będzie jeszcze zwlekał, to za parę godzin całkowicie straci przytomność. Umrze w narkotycznym śnie gangreny, jego ciało to tylko masa ścierwa, już nigdy nie zobaczy światła słonecznego.

Piła zostawiona przez strażnika cały czas tu leży. Przymierzał się do niej już wiele razy. Próbował przyciskać jej zęby do palców, które już do niego nie należą. Na początku czuł pewien ból. Teraz już nic nie czuje, tylko mdłości. Gardło ma rozorane od krzyków, jęków, od błagania o litość. Wie, że od czasu do czasu ktoś przychodzi go zobaczyć. Kiedy śpi. Kiedy majaczy. Zazwyczaj to człowiek w masce, jego strażnik. Kiedy indziej to anioł, którego Valls widział przy drzwiach samochodu, zanim nóż przeciął mu dłoń, zanim zemdlał.

Coś poszło nie tak. W którymś momencie jego rachuby i przypuszczenia okazały się błędne. Martina tu nie ma albo nie chce się ujawnić. Valls wie, musi wierzyć, że to wszystko jest dziełem Davida Martina, bo tylko w jego chorym umyśle mógł powstać zamysł, by komuś zgotować taki los.

– Proszę powiedzieć Martinowi, że bardzo mi przykro, że proszę

o wybaczenie... – setki razy błagał w obecności strażnika.

Nie otrzymuje żadnej odpowiedzi. Nigdy. Martín pozwoli mu tutaj umrzeć, zgnieć centymetr po centymetrze, nie racząc nawet pojawić się w celi, chociaż raz, chociażby po to, by splunąć mu w twarz.

W pewnej chwili Valls znów traci przytomność.

Budzi się w kałuży własnego moczu, przekonany, że jest rok 1942 i że znajduje się w zamku Montjuic. Zatruta krew odbiera mu resztki zdrowego rozsądku. Śmieje się. Wizytowałem cele i zasnąłem w jednej z nich, myśli. W tym właśnie momencie zdaje sobie sprawę, że dłoń, która nie jest jego dłonią, złączona jest z jego ramieniem. Wpada w panikę. Widział w swoim życiu wiele trupów, w czasie wojny i w latach, kiedy był dyrektorem więzienia, i nikt nie musi mu mówić, bo wie o tym doskonale, że jest to dłoń martwego człowieka. Czołga się po podłodze celi, myśląc, że dłoń odpadnie, ale ta wciąż się trzyma. Wali nią o ścianę i dłoń się nie odrywa. Nie zdaje sobie sprawy, że wrzeszczy, kiedy łapie narzędzie i zaczyna piłować powyżej nadgarstka. Tkanka mięśniowa ustępuje niczym mokra glina, ale gdy ostrze piły zahacza o kość, chwytają go ostre mdłości. Nie wstrzymuje go to. Oddaje się swej pracy z wszystkich sił. Jego wrzaski zagłuszają chrzęst wydawany przez kość w zetknięciu z metalem. Kałuża czarnej krwi wzbiera u jego stóp. Valls widzi, że jedyne, co łączy dłoń z jego ciałem, to strzęp skóry. Ból przychodzi później, jak uderzenie fali sztormowej. Przypomina mu się, jak w dzieciństwie dotknął gołego kabla, do którego podłączona była żarówka w piwnicy domu jego rodziców. Pada na plecy i czuje, że coś zalewa mu gardło. Nie może oddychać. Dusi się własnymi wymiocinami. To kwestia minuty, mówi sobie. Myśli o Mercedes i stara się zebrać wszystkie siły swojego jestestwa, by utrwalić w myślach obraz jej twarzy.

Ledwie zdaje sobie sprawę, że cela zostaje otwarta i strażnik klęka przy nim. Stawia obok kubek wrzącej smoły. Łapie go za ramię i zanurza je w smole. Valls czuje ogień. Strażnik patrzy mu prosto w oczy.

– A teraz przypominasz sobie? – pyta.

Valls przytakuje.

Strażnik wbija mu igłę w ramię. Płyn, który wypełnia żyły Vallsa, jest zimny i nasuwa mu myśli o czystym błękitnie. Drugi zastrzyk przynosi spokój

i sen bezdenny i bezprzytomny.

20

Obudził ją wiatr gwiżdżący w szparach okien i wprowadzający szyby w drżenie. Budzik na nocnym stoliku wskazywał, że do piątej brakuje paru minut. Alicja westchnęła bezwiednie. I w tym momencie zauważyła to. Półmrok.

Pamiętała, że zanim po rozmowie z Leandrem udało jej się urwać parę godzin snu, zostawiła światło w jadalni i w przedpokoju, ale teraz mieszkanie tonęło w niebieskawej ciemności. Odszukała włącznik nocnej lampki i nacisnęła go. Lampka nie zabłysła. Wydało jej się, że słyszy dochodzące z jadalni kroki i powolne skrzypienie drzwi. Poczowała przeszywający ją chłód. Chwyciła rewolwer, który spędził z nią całą noc pod prześcieradłem, i zwolniła kurek.

– Vargas? – zawołała drżącym głosem. – To pan?

Echo jej głosu rozniosło się po mieszkaniu, nie doczekawszy odpowiedzi. Wsunęła się spod prześcieradła i wstała z łóżka. Wyszła na ciemny korytarz boso po lodowatej podłodze. Pokonała go krok po kroku z uniesionym rewolwerem. Ręka jej drżała. Dotarłszy do jadalni, obmacała ścianę lewą ręką w poszukiwaniu kontaktu, a kiedy wreszcie na niego natrafiła, przekręciła włącznik. Bez efektu. W mieszkaniu nie było prądu. Rozejrzała się dokładnie, zatrzymywała się na każdym cieniu, na każdym zarysie mebli i każdej czarnej plamie obecnej w pomieszczeniu. W powietrzu unosiła się kwaśna woń. Oddech palacza, pomyślała. A może to kwiaty postawione przez Jesusę w wazonie na stole, z których już zaczynały opadać suche płatki. Nie zauważywszy najmniejszego ruchu, podeszła do komody w jadalni i zajrzała do pierwszej szuflady. Znalazła paczkę świec i pudełko zapalek, które musiały tam leżeć, zanim jeszcze Leandro wysłał ją do Madrytu. Zapaliła świecę i uniosła ją. Ruszyła przez mieszkanie, powoli, ze świecą w jednej ręce i z rewolwerem w drugiej. Podeszła do drzwi i sprawdziła, czy są zamknięte.

Usiłowała wyrzucić z pamięci wizerunek Lomany, uśmiechniętego i nieruchomego niczym woskowa figura, z rzeźnickim nożem w dłoni, czyhającego na nią w jednej z szaf lub za drzwiami.

Zajrzawszy do wszystkich kątów i zakamarków mieszkania i upewniwszy się, że nikogo tam nie ma, Alicja wzięła z jadalni krzesło i zablokowała nim zamek drzwi wejściowych. Postawiła świeczkę na stole i podeszła do okna wychodzącego na ulicę. Cała dzielnica tonęła w ciemnościach. Postrzępiony zarys dachów i gołębników kontrastował ze zmaconym błękitem zapowiadającym świt. Przylepiła się niemal twarzą do szyby, by dokładnie przyrzeć się wszystkim cieniom na ulicy. Dostrzegła ździebełko światła w kruzgankach La Manual Alpargatera. Żar palącego się papierosa. Alicja chciała wierzyć, że chodzi po prostu o tego nieszczęśliwca Rovirę, już czatującego na psiej wachcie. Cofnęła się w głąb jadalni i wzięła z komody jeszcze parę świeczek. Było dużo za wcześnie, żeby zejść do Gran Café i spotkać się z Vargasem, ale wiedziała, że już nie zaśnie.

Podeszła do regału, gdzie trzymała swoje najukochańsze książki, większość z nich przeczytała wielokrotnie. Ze cztery już lata Alicja nie sięgała po najbardziej ulubioną spośród wszystkich, *Jane Eyre*. Wzięła ją z półki i czule pogłaskała po grzbiecie. Otworzyła książkę na pierwszej stronie i uśmiechnęła się na widok wizerunku diabełka na szczycie stosu książek, ekslibrisu podarowanego jej przez dwóch kolegów z jednostki po pierwszym roku pracy pod rozkazami Leandra, kiedy jeszcze widzieli w niej młodzieńką, tajemniczą, ale niegroźną dziewczynę, kaprys szefa; kiedy jeszcze nie wzbudzała zazdrości, zawiści i lęków u najstarszych stażem.

To były dni wina i zatrutych róż, kiedy Ricardo Lomana postanowił *motu proprio* uznać Alicję za swoją osobistą uczennicę i obdarowywał ją w każdy piątek kwiatami, a następnie zapraszał do kina lub na dancing, od których udawało się Alicji zawsze jakoś wymówić. Dni, kiedy Lomana zerkał na nią, gdy sądził, że Alicja nie zdaje sobie z tego sprawy, i pozwalał sobie na komplementy i aluzje, które wprawiały w zażenowanie nawet najstarszych z grupy. Złe złego początki, koniec jeszcze gorszy, myślała wtedy. A miało być jeszcze gorzej, niż śmiała przypuszczać.

Spróbowała wymazać z pamięci twarz Lomany i poszła z książką do łazienki. Spięła włosy i otworzyła kran z ciepłą wodą. Odczekała, aż wanna się napełni. Zapaliła obie świeczki i postawiła je na półce u wezgowia

wanny, a następnie zanurzyła się w toni oparów. Ciepło wody wygoniło przeszywające ją zimno. Zamknęła oczy. Po chwili zdało jej się, że słyszy coś jakby kroki na schodach. Pomyślała, że może to Vargas, który chce zobaczyć, czy Alicja żyje, czy też znowu oddaje się rozmaitym imaginacjom. Mroczny letarg, w jaki wprowadzały ją tabletki przeciwbólowe, zawsze po przebudzeniu zostawiał po sobie smugę drobnych urojeń, tak jakby sny, których nie mogła wyśnić, usiłowały utorować sobie drogę poprzez szwy świadomości. Otworzyła oczy i usiadła, opierając podbródek o brzeg wanny. W powietrzu unosiło się kilka głosów. Żaden z nich nie był głosem Vargasa. Wyciągnęła rękę, by czule objąć rękojeść rewolweru, który położyła na taborecie tuż przy wannie, i wsłuchiwała się w echo kropel wody kapiących z zakręconego kranu. Odczekała kilka chwil. Głosy ucichły. A może nigdy się nawet nie rozległy. Parę sekund później kroki oddaliły się schodami w dół. Pewnie któryś sąsiad wychodzi do pracy, pomyślała.

Odłożyła rewolwer na taboret i zapaliła papierosa. Patrzyła na dym wijący się w arabeskach pomiędzy jej palcami. Znów wyciągnęła się w wannie i przez okno przyjrzała się niebieskawej powłoce chmur prześlizgującej się nad miastem. Wzięła książkę i wróciła do pierwszego akapitu. Z każdą przeczytaną stroną niepokój powoli ją opuszczał. Po chwili Alicja całkowicie straciła poczucie czasu. Nawet Leandro nie potrafił za nią nadążyć i znaleźć jej w lesie słów, który owa książka roztaczała zawsze przed jej oczyma. Alicja uśmiechnęła się, czując, że właśnie wraca do domu. Mogłaby tu zostać cały dzień. Albo i całe życie.

Wyszła z wanny, stanęła przed lustrem i przyjrzała się niteczkom pary pnącym się po jej ciele. Czarna plama starej rany kreśliła na biodrze zatruty kwiat zapuszczający korzenie pod skórą. Dotknęła jej opuszkami palców i poczuła krótkie, ostrzegawcze ukłucie. Rozpuściła włosy, nasmarowała sobie ramiona, nogi i brzuch podarowanym jej przez Fernandita w napadzie młodzieńczej namiętności kremem z wody różanej, noszącym śmiałą nazwę PÉCHÉ ORIGINEL. Szła do sypialni, kiedy nagle światło wróciło i wszystkie lampy, które wcześniej sprawdzała, zapaliły się równocześnie. Alicja przyłożyła dłoń do piersi, czując, że serce jej zaraz wyskoczy ze strachu. Zgasła lampy jedną po drugiej, klnąc pod nosem.

A później stanęła naga przed szafą i bez pośpiechu zastanawiała się nad wyborem. Barcelona mogła wybaczyć wiele rzeczy, ale złego gustu – nigdy.

Włożyła bieliznę upraną i wypachnioną przez panią Jesusę i uśmiechnęła się na myśl o dozorczyńni składającej intymne części garderoby i robiącej co chwila znak krzyża. Zastanawiała się pewnie, czy takie rzeczy teraz noszą nowoczesne panienki w stolicy. Alicja naciągnęła nylonowe pończochy, które kazała kupić Leandrowi, kiedy miała robić za elegancką panienkę na ulicy Principe de Vergara lub wziąć udział w którejś z wymyślnych intryg szefa w salonach hotelu Ritz.

– Nie wystarczy ci normalna marka? – zaprotestował Leandro, ujrawszy cenę.

– Jak pan chce normalnie, to proszę wysłać kogoś innego do tej roboty.

Zmuszanie Leandra, by wydawał krocie na luksusową odzież i książki, było jedną z niewielu przyjemności, jakie dawała jej ta praca. Nie chcąc już dzisiaj kusić losu, Alicja wolała włożyć swój ortezogorset. Zapięła o jedno oczko więcej niż zazwyczaj i okręciła się przed lustrem, by ocenić wygląd i dopasowanie urządzenia, które we własnych oczach czyniło z niej perwersyjną lalkę, marionetkę o mrocznej urodzie. Nigdy nie przyzwyczai się do tego obrazu, nigdy go nie zaakceptuje, bo oznaczałoby to, że Leandro ma rację, a lustro mówi prawdę.

– Brakuje ci tylko sznurków – powiedziała do siebie.

Jako mundurek dnia wybrała suknię o prostym kroju i włoskie buty, których cena w swoim czasie równoważna była miesięcznej pensji. Zakupione zostały w wykwintnym sklepie na Rambla de Cataluña, gdzie ekspedientka powiedziała do niej „dziewczyno”. Zrobiła sobie makijaż dostosowany do dzisiejszej roli, na koniec pomalowała usta szminką w kolorze „ciemny błyszczący burgund”, który, czego była pewna, na pewno nie zyskałby aprobaty Leandra. Nie chciała, żeby Vargas, kiedy ją dziś zobaczy, wyczytał z jej twarzy najmniejszą choćby słabość. Lata doświadczeń nauczyły ją, że skromność aż się prosi o wnikliwą analizę. Przed wyjściem jeszcze raz rzuciła okiem w lustro w przedpokoju, po czym z aprobatą kiwnęła głową. Samej sobie złamałabyś serce, pomyślała. Gdybyś je miała.

Dzień właściwie dopiero się zaczynał, kiedy Alicja przeszła przez ulicę ku drzwiom Gran Café. Zanim weszła do lokalu, już dostrzegła Rovirę stojącego nieopodal na czatach. Okryty był szalikiem aż po nos i co chwila pocierał ręce. Zawahała się, czy nie podejść do niego i nie zepsuć mu całego dnia, ale

dała spokój. Rovira pozdrowił ją z daleka i szybko odbiegł, żeby się ukryć. Vargas już czekał. Rozgaszczał się przy stoliku, który chyba zaanektował jako swoje stałe miejsce w lokalu. Policjant zajadał się sporym plastrem pieczonego schabu położonego na bułce z wtartym pomidorem, popijał kawę z dużej filiżanki i przeglądał listę z cyframi, które udało im się odszyfrować z pomocą taksydermisty. Słyszając, że Alicja nadchodzi, uniósł wzrok i obejrzał ją od stóp do głów. Alicja bez słowa usiadła przy stoliku.

– Pięknie pani pachnie – przywitał ją Vargas. – Jak ciasteczko.

I natychmiast wrócił do smakowitego śniadania i do listy.

– Jak pan może jeść coś takiego o tak wczesnej porze? – zdumiała się Alicja.

Policjant wzruszył ramionami i ograniczył się do wyciągnięcia swej wspaniałej bułki, sugerując, że chętnie się z Alicją podzieli. Alicja odwróciła twarz, Vargas więc ponownie zatopił zęby w pieczywie.

– Trudno się w tej Barcelonie czasami połapać, wszystko się inaczej nazywa, kanapka to jakaś *entrepana* – powiedział. – Tak bardziej z francuska, nie?

– No, kupa śmiechu.

– A na butelki mówią ampułki. Jakby wszystko pomniejszali i odmierzali po aptekarsku.

– Jeszcze parę dni w Barcelonie i zostanie pan poliglotą.

Usta Vargasa rozchyliły się w uśmiechu rekina.

– Cieszę się niewymownie, że uleciała z pani wreszcie wczorajsza słodycz. To znak, że naprawdę czuje się pani lepiej. Widziała pani Gadającego Świerszcza, jak trzęsie się z zimna na ulicy?

– Nazywa się Rovira.

– No tak, zapomniałem, że darzy go pani szczególnym szacunkiem.

Miquel podszedł do stołu niezwykle dyskretnie, niosąc tacę z tostami, z masłem i z dymiącym dzbanuszką kawy. Zbliżała się siódma trzydzieści i w lokalu poza nimi nie było nikogo. Miquel, mistrz znikania i pojawiania się we właściwym momencie, oddalił się, jak zwykle, w najdalszy kąt baru, udając, że ma tam coś do roboty. Alicja nalała sobie kawy do filiżanki, Vargas

zaś powrócił do listy z numerami, przyglądając im się po kolei, jakby oczekiwał, że z nagłą objawi mu się ich sens. Minuty wlekły się w gęstym milczeniu.

– Bardzo elegancko się pani wyszykowała – odezwał się w końcu Vargas. – Czy dziś idziemy w jakieś wytworne miejsce?

Alicja przełknęła ślinę i chrząknęła. Vargas uniósł wzrok.

– A co do zeszłej nocy... – zaczęła.

– Tak?

– Chcę przeprosić. I podziękować.

– Nie ma za co przepraszać, a tym bardziej za co dziękować.

Po jego poważnej twarzy przebiegł cień zawstydzenia. Alicja uśmiechnęła się do niego niezbyt pewnie.

– Jest pan dobrym człowiekiem.

Vargas spuścił wzrok.

– Proszę tak nie mówić.

Alicja bez większego apetytu ugryzła tosta. Vargas przyglądał się jej uważnie.

– Co?

– Nic. Lubię patrzeć, jak pani je.

Alicja znów ugryzła tosta i uśmiechnęła się.

– Jakie ma pani plany na dzisiaj?

– Wczoraj zajęliśmy się samochodem. Pozwoli pan, że dziś złożymy wizytę adwokatowi Briansowi.

– Jak pani uważa. A jak chce pani podejść do tematu?

– Pomyślałam, że mogłabym być młodą i prostoduszną dziedziczką, do której rąk trafił egzemplarz książki Victora Mataixa, ale ona chce ją sprzedać. Don Gustavo Barceló poinformował mnie, że pan adwokat reprezentuje kolekcjonera zainteresowanego nabyciem wszystkich książek tego autora, jakie pojawiają się na rynku, i tak dalej, i tak dalej.

– Pani jako prostoduszna. Nader obiecujące. A kim ja mam być? Giermkciem?

– Pomyślałam sobie, że mógłby pan być moim wiernym, dojrzałym i kochającym małżonkiem.

– Cudownie. Kobieta kot i stary kapitan, para sezonu. Nie sądzę, żeby pan adwokat to kupił, nawet gdyby był najtępszym studentem na roku.

– Nawet nie zakładam, że w to uwierzy. Chodzi raczej o to, żeby coś go zaniepokoiło i aby zrobił fałszywy krok.

– A my co? W te pędy za nim?

– Wiedziałam, że telepatia to pańska mocna strona.

Słońce jak z reklamy zdołało utorować sobie drogę i przeczesywało dachy, kiedy ruszyli w dół ulicy. Vargas przyglądał się fasadom i mijanym zakamarkom przy ulicy Aviñón, przybrawszy niezmacony wyraz twarzy prowincjonalnego seminarzysty na weekendowej wycieczce. Po krótkiej chwili zauważył, że Alicja co kilka metrów ogląda się za siebie. Już szykował się, by zapytać, czy coś się dzieje, ale podążył za jej wzrokiem i dostrzegł Rovirę, który bezskutecznie próbował ukryć się w bramie oddalonej od nich jakieś pięćdziesiąt metrów.

– Zaraz go postawię do pionu i pokażę mu, gdzie raki zimują – warknął Vargas.

Alicja złapała go za ramię.

– Nie, lepiej niech mu pan da spokój.

Dziewczyna z uśmiechem pomachała Rovirze ręką. Ten rozejrzawszy się na boki i za siebie, zawahał się przez chwilę, uświadomiwszy zaś sobie, że został zdekspirowany, nieśmiało odpowiedział na pozdrowienie.

– Co za łamaga! – Vargas splunął.

– Dla nas lepiej. Przynajmniej mamy go po swojej stronie, z racji korzyści, jakie mu to daje.

– Skoro tak pani uważa.

Vargas dał Rovirze znak rękoma, by cofnął się nieco i zachował ustaloną odległość. Rovira przytaknął i uniósł kciuk na znak potwierdzenia.

– Widziała pani? Pewnie w kinie zobaczył coś takiego – powiedział Vargas.

– A to nie w kinie właśnie ludzie uczą się teraz żyć?

– No i świat wygląda, jak wygląda.

Odwrócili się od Roviry i ruszyli dalej w drogę.

– Nie podoba mi się, że naszym ogonem jest taki kretyn – nie ustępował Vargas. – Nie wiem, dlaczego mu pani ufa. Jestem ciekaw, co on raportuje w komisariacie.

– Szczerze mówiąc, trochę mi go żal.

– A ja uważam, że przydałoby się złać go po pysku. Nie musi pani być przy tym, nie chce pani, może sobie pani darować. Dorwę go sam na sam i przećwiczę.

– Źle się pan odżywia, Vargas, za dużo białka. Wpływa to na pana porywczy charakter.

Może to prawda, że nie habit czyni mnicha, ale gabinet i adres kancelarii czynią lub unicestwiają prawnika. W mieście raczej przesyconym adwokatami ulokowanymi w zbyt licznych gabinetach w okazałych i możliwych kamienicach na Paseo de Gracia lub w równie reprezentacyjnych alejach don Fernando Brians zdecydował się na adres dużo skromniejszy i raczej omijany przez korporacyjny bon ton.

Alicja i Vargas już z daleka ujrzeli budynek, stuletnią kamienicę lekko przechyloną w dryfie na skrzyżowaniu ulic Mercé i Aviñón. Parter zajmował bar zakrapiano-zakąskowy, niekryjący, że najchętniej przyjmuje w swe podwoje zapomnianych toreadorów i rybaków w dniach wypłaty. Knajpiarz, jegomość korpulentny niczym bączek, o równie krągłym wąsie, wyszedł przed bar uzbrojony w mop i dymiące wiadro cuchnące odkażaczem. Gwizdał jakiś kuplecik, zręcznie, by nie rzec cyrkowo, operując wykałaczką w ustach, i z daleko idącą cierpliwością i wyrozumiałością wycierał bruk z kałuż szczyń, pijackich rzygowin i tym podobnych odchodów właściwych uliczkom prowadzącym do portu.

Przy bramie do budynku wznosiły się stosy pudeł, skrzyń i zakurzonych części mebli. Trzech młodych, ociekających potem ludzi stało przy nich, by chwilę odsapnąć i nabrać sił, spożywając długie bułki, z których wystawały plastry mortadeli.

– Czy tutaj mieści się kancelaria mecenasa Briansa? – zapytał Vargas knajpiarza, który przerwał swoje poranne porządki, żeby dokładnie przyjrzeć się nowo przybyłemu.

– Na poddaszu – odpowiedział, unosząc palec wskazujący. – Ale właśnie się przeprowadzają.

Kiedy Alicja przechodziła obok niego, knajpiarz uśmiechnął się, odsłaniając swoje żółtawe uzębienie.

– Kawkę z mleczkiem i magdalenkę dla szanownej madame? Na koszt firmy.

– Może następnym razem. Kiedy zgoli pan sobie te zarośla pod nosem – odrzekła Alicja, nie zatrzymując się.

Trójka chłopaków parsknęła śmiechem, przyklaskując przymówce, którą knajpiarz przyjął sportowo na klatę. Vargas ruszył za Alicją ku schodom, spiralnej konstrukcji nasuwającej raczej skojarzenia z jelitem krętym niż dziełem myśli architektonicznej.

– Jest tu winda? – zapytał Vargas jednego z młodych ludzi.

– Jeśli jest, to my akurat jej nie widzieliśmy.

Weszli na piąte, ostatnie piętro budynku. Tam napotkali stosy kartonów, teczek, wieszaków, krzesel i obrazów z sielankowymi scenami pasterskimi, które wyglądały na kupione za parę groszy na pchlim targu. Alicja zajrzała do kancelarii, pomieszczenia w pobitewnym stanie, gdzie wszystko wyglądało tak, jakby znajdowało się nie na swoim miejscu, i było już albo w pudle, albo w drodze do pudła. Vargas nacisnął dzwonek, ale ten nie działał, więc zapukał knykciami w skrzydło drzwi.

– Dzień dobry!

Blond włosy poddane nader solidnej trwałej ondulacji wpłynęły na przestwór korytarza. Panna, która unosiła na swej głowie owo dzieło na kształt kasku, ubrana była w kwiecistą suknię, a całości dopełniała dobrana odpowiednio szminka na ustach.

– Dzień dobry – powiedziała Alicja. – Czy to jest kancelaria mecenasa Briansa?

Panna podeszła parę kroków i spojrzała na nich ze zdziwieniem.

– Jest. A raczej była. Jesteśmy w trakcie przeprowadzki. Czym mogę służyć?

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem mecenasem.

– A byli państwo umówieni?

– Niestety nie. A zastaliśmy pana mecenasa?

– Zazwyczaj pojawia się nieco później. Taki z niego paniczek. Może państwo poczekają w barze na dole...

– Szczerze mówiąc, wolelibyśmy poczekać tutaj, o ile pani nie będzie to przeszkadzać. Pięć pięter to jednak sporo.

Sekretarka westchnęła, przytakując.

– Jak państwo chcą. Bo tu mamy wszystko powywracane do góry nogami.

– Proszę się nie obawiać – wtrącił Vargas. – Postaramy się nie przeszkadzać.

Słodki uśmiech Alicji, a zwłaszcza prezencja Vargasa zdawały się rozwiewać obawy blond panny.

– Proszę za mną.

Sekretarka poprowadziła ich długim korytarzem przecinającym cały lokal. Po obu jego stronach znajdowały się pokoje pełne pudeł przygotowanych do przenosin. Po kurzu wzniesionym podczas krzątania chłopaków od przeprowadzki została w powietrzu mgiełka błyszczących drobinek, które łaskotały w nosie. Wędrówka przez zgliszcza skończyła się w dużym narożnym pokoju, jedynym chyba w całej kancelarii ocalałym z katastrofy.

– Niech państwo się rozgoszczą... – zaprosiła sekretarka.

Po pokoju nieprzygotowanym jeszcze do przeprowadzki można było się domyślić, jak wyglądało całe biuro Briansa: przy ścianach wznosiły się aż po sufit regały wypełnione segregatorami, skoroszytami i teczkami w przedziwnej geometrii przeczącej prawom grawitacji. Prawdziwym cackiem było biurko ze szlachetnego drewna, sprawiające wrażenie, jakby zostało wyciągnięte z pożaru. Za nim stała witryna, za której szybami spoczywała kilkudziesięciotomowa kolekcja prawna Aranzadi ułożona bez ładu i składu.

Alicja i Vargas usiedli na taboretach postawionych przy oknie wychodzącym na balkon z widokiem na figurę Matki Boskiej Łaskawej na kopule bazyliki po drugiej stronie ulicy.

– Może państwo poproszą Najświętszą Panią, by pan mecenas ulitował się nad nami, bo mnie to on już w ogóle nie słucha – powiedziała sekretarka. – Kogo mam zaanonsować?

– Jaime Valcárcel z małżonką – powiedziała Alicja, zanim Vargas zdążył w ogóle mrugnąć.

Kobieta przytaknęła skwapliwie, aczkolwiek omiotła Vargasa nieco szelmowskim spojrzeniem, jakby chciała pogratulować mu znacznie młodszej

żony, dając zarazem do zrozumienia, że takiemu męskiemu facetowi jak on odpuszcza ten grzeszek z powodu jego niewątpliwych walorów wypisanych na twarzy.

– Ja jestem Puri, do usług. Myślę, że pan mecenas lada chwila przyjdzie. Czy może coś państwu podać? Mariano, ten z baru, zawsze rano przynosi mi parę magdalenek i termos kawy z mlekiem. Gdyby ewentualnie państwo sobie życzyli...

– A chętnie, nie odmówię – pospieszył Vargas.

Puri uśmiechnęła się wdzięcznie.

– Już przynoszę.

Odwróciła się i odeszła, kokieteryjnie ruszając biodrami, co nie mogło ująć uwagi Vargasa.

– No, proszę, Mariano i magdalenki – burknęła Alicja pod nosem.

– Każdy orze, jak może.

– Jakim cudem pan jest jeszcze głodny po tym, co pan przed chwilą w siebie wrzucił?

– Może pani nie wierzyć, ale żyje nas jeszcze paru takich, którym w żyłach płynie krew, nie woda.

– Chyba że to panna Puri nagle obudziła w panu ten dziki apetyt.

Vargas nie zdążył się odgryźć, bo wspomniana panna wróciła, niosąc talerz pełen magdalenek i dymiącą filiżankę kawy z mlekiem. Policjant serdecznie podziękował za poczęstunek.

– Przepraszam, że tak mało elegancko państwu podaję, ale wszystko mamy w pudłach.

– Proszę się nie przejmować. Stokrotne dzięki.

– A dlaczego państwo się przeprowadzają? – spytała Alicja.

– Właściciel kamienicy podniósł nam czynsz. Pazerny dusigrosz. Oby mu cała kamienica opustoszała i grzyb ją zjadł.

– Amen – dopowiedział Vargas. – I dokąd się teraz przeprowadzacie?

– Sama bym chciała wiedzieć. Mieliśmy już ugadane biura nieopodal, za pocztą, ale prace przystosowawcze się przeciągnęły i trzeba będzie poczekać

jeszcze z miesiąc. Na razie to wszystko jedzie do Pueblo Nuevo, rodzina pana mecenas ma tam magazyn meblowy.

– A gdzie będzie funkcjonować kancelaria w tym czasie?

Puri westchnęła.

– Jedna z ciotek pana mecenas, która niedawno zmarła, miała mieszkanie w pasażu Mallofré, w dzielnicy Sarrià, i wygląda na to, że na razie tam się przenieśmy. Jak się nie ma, co się lubi...

Alicja i Vargas raz jeszcze rozejrzeli się po byłym już gabinecie Briansa, wdychając panującą w pomieszczeniu atmosferę upadłości. Wzrok Alicji zatrzymał się na wiszącej w ramach fotografii, która na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie parodii oficjalnego zdjęcia całego rocznika z zakończenia studiów, przedstawiała bowiem, jak uznała Alicja, młodego magistra Briansa w otoczeniu ludzi w łańchmanach i wynędzniałych więźniów obwiązanych aż po szyję łańcuchami. Pod zdjęciem widniał podpis:

Fernando Brians

Adwokat od Spraw Przegranych

Alicja wstała i podeszła, by przyjrzeć się fotografii z bliska. Puri dołączyła do niej, uśmiechając się szeroko. Skomentowała cicho:

– Oto on w całej okazałości, święty mąż barcelońskich sądów... To żart, jaki zrobili mu koledzy z roku na koniec studiów, wiele lat temu, młody był. I nic się nie zmienił. I nawet wydaje mu się to tak śmieszne, że kazał powiesić zdjęcie w najbardziej widocznym miejscu, żeby klienci od razu mogli zwrócić na nie uwagę...

– A pan mecenas nie ma klientów bardziej...?

– Znaczących?

– Zasobniejszych.

– Zdarza się, ale wystarczy, że don Fernando trafi na ulicy na byle gołodupca zapomnianego przez Pana Boga, żeby od razu przyprowadzić go do kancelarii. Bo to dobry człowiek i serce ma złote. I tak się nam powodzi.

– Proszę się nie martwić, my należymy do tych płacących bez targowania –

uspokoił ją Vargas.

– Niech wam Bóg błogosławi. A jak magdalenki?

– Modelowe.

Vargas ku niekłamanej satysfakcji Puri zademonstrował w praktyce swoje atrybuty smakosza. Nagle dał się słyszeć huk, przypuszczalnie efekt zderzenia, po czym nastąpiło równie hałaśliwe potknięcie, któremu towarzyszyło nieskrywane złorzeczenie. Puri szeroko otworzyła oczy.

– Pan mecenas zaraz państwa przyjmie.

Fernando Brians, ubrany w garnitur z drugiej ręki, wyglądał na nauczyciela szkoły publicznej. Widać było również, że mocno poszarzałego krawata nie rozwiązywał już od kilku tygodni, podeszwy butów zaś wygładzone były jak rzeczne otoczaki. Postaci był smukłej, pomimo upływu lat zachował w całkiem dobrym stanie przyprószoną siwizną czuprynę i przenikliwe oczy uzbrojone w okulary w czarnej oprawce na wzór takich, jakie nosiło się przed wojną. Wyglądał na barcelońskiego adwokata, tak jak jego sekretarka Puri na zakonną nowicjuszkę, i Alicji przyszło na myśl, że pomimo daleko idącej skromności scenografii obudowującej jego życie profesjonalne Fernando Brians zachował ów młodzieńczy wigor właściwy człowiekowi, który nie starzeje się, bo nikt mu nie powiedział, że lata upłynęły i wypadałoby się już zachowywać godnie i przyzwoicie.

– Słucham państwa – zachęcił gości Brians.

Usiadł na rogu swego biurka i obserwował ich z zaciekawieniem i sceptycyzmem zarazem. Może i miał słabość do spraw przegranych, ale naiwniakiem nie był na pewno. Vargas, nie zwlekając, zabrał głos i wskazał na Alicję.

– Jeśli pan mecenas pozwoli, to naszą sprawę przedłoży moja małżonka, ona to bowiem rządzi u nas w domu.

– Jak państwo sobie życzą.

– Czy mam stenografować, don Fernando? – spytała Puri, która obserwowała scenę, stojąc w drzwiach.

– Nie ma takiej potrzeby. Lepiej będzie, jak pani dopilnuje tych panów od przeprowadzki, bo blokują pudłami ulicę i ciężarówka nie będzie mogła wjechać.

Puri przytaknęła rozczarowana i odeszła wypełnić swoją misję.

– A zatem chce pan przedłożyć... – wrócił do rozmowy Brians – czy też pańska małżonka, która rządzi w domu...

Lekko kpiarski ton Briansa wzbudził w Alicji podejrzenie, czy aby Gustavo Barceló, z którym spotkała się w Círculo Ecuestre, nie uprzedził adwokata o jej wizycie.

– Panie mecenasie – zaczęła – niedawno zmarła ciocia mojego małżonka Jaimego pozostawiła nam w spadku kolekcję dzieł sztuki oraz bibliotekę zawierającą nader cenne egzemplarze.

– Proszę przyjąć szczere wyrazy współczucia. Czy potrzebują państwo pomocy prawnej w egzekucji spadku lub też...?

– Powodem, dla którego zgłosiliśmy się do pana mecenas, jest rzecz następująca: jednym z egzemplarzy owej kolekcji jest książka autora o nazwisku Mataix. Victor Mataix. Konkretnie jest to tom serii powieściowej publikowanej w Barcelonie w latach trzydziestych.

– „Labirynt duchów” – dopowiedział Brians.

– Tak jest. Doszły nas informacje, że reprezentuje pan kolekcjonera bardzo zainteresowanego nabyciem istniejących dzieł tego autora, dlatego też uznaliśmy za właściwe...

– Rozumiem – wtrącił Brians, opuścił narożnik biurka i wygodnie usadowił się w fotelu.

– Może nie miałby pan nic przeciwko temu, by skontaktować nas ze swym klientem, czy też, jeśli uznałby pan to za lepsze rozwiązanie, przekazać nam jego adres, byśmy już osobiście...

Brians kiwał głową raczej odruchowo niż w odpowiedzi na sugestie Alicji.

– Niestety nie mogę tego uczynić.

– Proszę?

– Nie mogę państwu udostępnić adresu i nie mogę skontaktować państwa ze swoim klientem.

Alicja uśmiechnęła się pojednawczo.

– A nie obrazi się pan, panie mecenasie, jeśli zapytam dlaczego?

– Bo go nie znam.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

Brians wyprostował się, a następnie opadł plecami na oparcie fotela, złożył dłonie na piersi i zaczął kciukami kręcić młynka.

– Moje kontakty z klientem ograniczyły się tylko i wyłącznie do korespondencji prowadzonej za pośrednictwem sekretarki. Nigdy nie zetknąłem się z nim osobiście, jak również nie znam jego nazwiska. Jak to niekiedy zdarza się z kolekcjonerami, woli zachować anonimowość.

– Nawet wobec własnego adwokata?

Brians uśmiechnął się chłodno i wzruszył ramionami.

– Póki płaci faktury, nieprawdaż? – Vargas pozwolił sobie na złośliwość.

– Rozumiem, niemniej, jeśli kontaktuje się pan listownie z jego sekretarką, to jest pan w posiadaniu przynajmniej jakiegoś nazwiska i adresu, na który kieruje pan korespondencję. – Alicja się nie poddawała.

– To skrytka pocztowa, której numeru, rzecz jasna, nie mogę pani udostępnić ze względu na klauzulę poufności. Nie mogę również udostępnić państwu nazwiska jego sekretarki, albowiem nie zostałem upoważniony do rozpowszechniania informacji o swoich klientach, których oni sami nie chcą upubliczniać. To zwykła formalność, niemniej muszą państwo zrozumieć, że zobowiązany jestem ją szanować.

– Całkowicie to rozumiemy. Ale proszę pozwolić na jeszcze jedno pytanie: jakim sposobem nabywa lub zdobywa pan mecenas książki do kolekcji swego klienta, jeśli nie wolno panu kontaktować się z nim bezpośrednio, by zaoferować możliwość nich zakupu?

– Proszę mi wierzyć, pani – Valcárcel? – że jeśli mój klient będzie zainteresowany zdobyciem książki, którą pani posiada, to mnie o tym powiadomi. Ja jestem tylko pośrednikiem.

Alicja i Vargas spojrzeli po sobie.

– Coś takiego – zaimprovizował naprędce policjant. – Jak widać, kochanie, zostaliśmy wprowadzeni w błąd.

Brians wstał i obszedł biurko, wyciągając rękę i uśmiechając się tak serdecznie, iż nie ulegało wątpliwości, że uważa wizytę za skończoną.

– Niewymownie mi przykro, że nie mogę być państwu pomocny w tym

zakresie, proszę zarazem przyjąć przeprosiny za stan i wygląd biura. Jesteśmy w trakcie przeprowadzki i nie spodziewałem się dzisiaj klientów...

Uścisnęli mecenasowi dłoń i pozwolili mu się odprowadzić do drzwi wyjściowych. Brians szedł przodem, od czasu do czasu przeskakując różne przedmioty leżące na podłodze i torując swoim gościom drogę.

– Jeśli pozwolą państwo na pewną bezinteresowną radę: ja na państwa miejscu skorzystałbym z pomocy dobrego księgarza specjalizującego się w książce z drugiej ręki, który nadałby bieg informacji. Jeśli państwo są w posiadaniu oryginalnego Mataixa, to chętnych do kupna nie zabraknie.

– Jakież sugestie?

– Barceló przy placu Real albo Sempere i Synowie na ulicy Santa Ana. I Costa w Vic. To są trzy najlepsze adresy.

– I tak zrobimy. Bardzo dziękujemy.

– Nie ma za co.

Alicja schodząc po schodach, nie odezwała się ani słowem. Vargas szedł za nią w bezpiecznej odległości. Gdy już znaleźli się w bramie, Alicja zatrzymała się, by przyjrzeć się dokładnie stosom pudeł złożonych tam przez chłopców od przeprowadzki.

– No i co teraz? – spytał Vargas.

– A teraz czekamy – odpowiedziała.

– Na co?

– Na ruch Briansa.

Alicja uklękła przy jednym z zamkniętych pudeł. Rozejrzała się wokół i stwierdziwszy, że nie ma nikogo, szybkim ruchem zerwała naklejkę i schowała do kieszeni.

– Czy mógłbym wiedzieć, co pani robi?

Alicja wyszła na ulicę, nic nie mówiąc. Vargas ku swojemu zdumieniu zobaczył, jak Alicja wkracza do narożnego baru. Mariano, knajpiarz i bard porannych magdalenek, który z mopem w dłoniach wciąż próbował nadać wysoki połysk brukowi przed barem, wyglądał na jeszcze bardziej zaskoczonego niż Vargas. Natychmiast odstawił mop i skwapliwie poszedł za Alicją, naprędce wycierając sobie ręce w ścierkę zwisającą u pasa. Vargas

westchnął i podążył za nimi.

– Kawka z mleczkiem i magdalenki dla panienki? – zaproponował Mariano.

– Kieliszek białego wina.

– O tej porze?

– Od której godziny podaje pan białe wino?

– Dla pani dwadzieścia cztery godziny na dobę. Łagodniutki penedès?

Alicja przytaknęła. Vargas zajął sąsiedni stółek.

– Naprawdę myśli pani, że plan zaszła? – zapytał.

– Próbując, nic nie tracimy.

Mariano wrócił z kieliszkiem białego wina i z talerzykiem oliwek na koszt zakładu.

– A dla pana piwko?

Vargas pokręcił odmownie głową. Przyjrzał się Alicji z rozkoszą próbującej wina. W linii jej warg pieszczących szkło i w zarysie szyi pulsującej przy przełykaniu wina było coś, co rozświetlało dzień. Dziewczyna zauważyła jego wyraz twarzy i zmarszczyła brwi.

– Co?

– Nic.

Uniosła kieliszek.

– Naganne pana zdaniem?

– Broń Boże.

Alicja kończyła już pić swoje wino, kiedy za szybami baru przemknęła w pośpiechu sylwetka mecenasa Briansa. Alicja i Vargas szybko spojrzeli po sobie i rzuciwszy na ladę baru parę monet, opuścili lokal bez słowa.

Wszyscy w policji aż nadto dobrze wiedzieli, że jeśli chodzi o sztukę tropienia, a czasami inwigilowania obywateli, podejrzanych czy też wolnych od podejrzeń, Vargas nie miał sobie równych. Kiedy pytano, na czym polega jego sekret, Vargas zazwyczaj odpowiadał, że najważniejsza jest nie tyle dyskrecja, ile zastosowanie zasad optyki. Istotą zagadnienia, argumentował, nie było to, co śledzący mógł widzieć lub czego się domyślać, ale to, co było w zasięgu wzroku śledzonego. Oraz dobre nogi. Ledwo zaczęli śledzić mecenasa Briansa, a Vargas już zdążył stwierdzić, że Alicja nie tylko miała sztukę tropienia w małym palcu, ale ponadto wyniosła ją na wyżyny tak niezwykłej finezji, iż jej partnerowi pozostało jedynie wyrazić w duchu swój podziw. Ewidentna znajomość każdego zakamarka w gmatwaniu ulic, uliczek, zaułków tworzących niepojętą geografii starego miasta pozwalała wybierać szlaki równoległe i podążać za Briensem tak, by ten nie spostrzegł, że jest śledzony.

Alicja poruszała się swobodniej niż poprzedniego dnia, z czego Vargas wywnioskował, że dziś uzbroiła się w ów gorset, o którym wspomniał taksydermista. Inny był ruch bioder i szła jakby bardziej wyprostowana. Poprowadziła go przez staromiejski gąszcz, zmieniając tempo, kryjąc się w osłonach ślepych zaułków i wytyczając drogę, którą Brians musiał pójść, choć sam jeszcze o tym nie wiedział. Przez niemal dwadzieścia minut podążali za panem mecenasem skomplikowanymi meandrami pasaży i uliczek wznoszących się od portu ku śródmieściu. Niejednokrotnie widzieli, jak zatrzymuje się na skrzyżowaniu, by obejrzeć się za siebie i upewnić, że nikt za nim nie idzie. Jego jedynym błędem było spoglądanie w złym kierunku. W końcu przeszedł przez ulicę Canuda w stronę Rambli, by zniknąć w gęstniejącym już o tej porze tłumie. Dopiero teraz Alicja zatrzymała się na chwilę i chwyciła Vargasa za ramię.

– Idzie do metra – szepnęła.

Alicja i Vargas wmieszani w ludzkie mrowie przemierzające Ramble w obie strony, oddzieleni od siebie o dziesięć metrów, szli za Briensem aż do wejścia do metra, obok fontanny Canaletas. Adwokat rzucił się schodami w dół i wbiegł w sieć tuneli znajdującą swe ujście w podziemiach zwanych Aleją Świata.

Ów ekstrawagancki bulwar o widmowym wyglądzie, raczej szlak mroków i wszelkiej nędzy niż aleja, został zaprojektowany przez jakiegoś oszołoma,

który wyobraził sobie, z miernym zresztą rezultatem, podziemną Barcelonę w świetle lamp gazowych. Projekt nigdy nie sięgnął nawet pierwszego szczebelka wymarzonej chwały. Aleja Światła, przeistaczająca się coraz bardziej w katakumby, w których hulały wiatry przesycone wonią węgla i elektryczności wydalaną przez tunele metra, stała się schronieniem i kryjówką dla wszystkich uciekających przed słońcem i z powierzchni ziemi. Vargas rozejrzał się po owym mrocznym hallu pełnym kolumn z fałszywego marmuru ciągnących się wzdłuż sklepików z tandetą i kawiarenek oświetlonych jak prosektoria i odwrócił się do Alicji.

– Miasto wampirów? – spytał.

– Coś w tym rodzaju.

Brians szedł środkiem pasażu. Alicja i Vargas podążali za nim, kryjąc się za kolumnami. Adwokat przeszedł niemal cały podziemny trakt, nie zerknąwszy nawet na mijane sklepy i lokale.

– Może ma alergię na słońce – zasugerował Vargas.

Brians minął również kasy Ferrocarriles Catalanes i skierował się w głąb ogromnej podziemnej galerii. I wówczas stało się jasne, jaki był jego cel.

Kino Avenida de la Luz osiadłe na mieliźnie tej cudacznej podziemnej Barcelony jawiło się jak ponure urojenie. Wielokolorowe lampki jarmarczne i stare plakaty filmowe od wielu już lat, bo od czasów tużpowojennych, przyciągały na poranne seanse istoty wolące ukrywać się w tunelach – na przykład urzędników wywalonych z pracy, uczniów na wagarach i gorszego sortu stręczycieli. Brians podszedł do kasy i kupił bilet.

– No nie, nie wierzę, że pan mecenas wybrał się z samego rana do kina – stwierdził Vargas.

Bileter stojący przy wejściu uchylił drzwi i Brians przekroczył próg pod daszkiem, na którym wyświetlono program tego tygodnia: seans podwójny z *Trzecim człowiekiem* i z *Intruzem*. Uśmiechający się enigmatycznie i nieco diaboliczny Orson Welles spoglądał z plakatu obramowanego migoczącymi żarówkami.

– Przynajmniej ma dobry gust – skwitowała Alicja.

Przedarli się przez grube, aksamitopodobne zasłony strzegące wejścia. Owionął ich zapach starego kina i wstydliwie skrywanych nieszczęść.

Padający z projektora snop przebijał się przez gęstą chmurę, która zdawała się wisieć nad widownią od dziesiątków lat. Rzędy pustych foteli schodziły ku ekranowi, na którym perfidny Harry Lime uciekał przez fantasmagorię tuneli kanalizacyjnych Wiednia. Widmowy ton tych obrazów przypominał Alicji sceny, z jakimi zetknęła się przy lekturze książki Victora Mataixa.

– Gdzie on jest? – szepnął jej Vargas do ucha.

Brians zajął miejsce w czwartym rzędzie. W kinie było troje, może czworo widzów. Alicja z Vargasem przesuwali się bocznym przejściem, mijając siedzenia ustawione bokiem, oparte o ścianę jak miejsca w wagonie metra. Dotarłszy do środkowej części sali, Alicja weszła między rzędy i zajęła miejsce w samym środku. Vargas usiadł obok niej.

– Widziała już pani ten film?

Alicja przytaknęła. Widziała go już sześć razy i znała na pamięć.

– A o czym jest?

– O penicylinie. Siedź pan już cicho.

Czekali krócej, niż zakładali. Film nie dobiegł jeszcze końca, kiedy Alicja kątem oka dojrzała ciemną sylwetkę zbliżającą się bocznym przejściem. Vargas był w tym momencie całkowicie pochłonięty filmem, więc uderzyła go łokciem w bok. Nowo przybyły widz ubrany był w ciemny płaszcz, w rękę trzymał kapelusz. Alicja zacisnęła pięści. Przybysz zatrzymał się przy rzędzie, w którym siedział adwokat. Wpatrywał się spokojnie w ekran, po chwili wszedł w rząd wyżej i zajął miejsce nieco na skos od Briansa.

– Ruch skoczka – szepnął Vargas.

Przez kilka minut adwokat żadnym gestem nie dał do zrozumienia, że spostrzegł obecność nowego widza, a i ten nie próbował w jakikolwiek sposób skomunikować się z Briensem. Vargas spojrzał na Alicję, usiłując wyrazić swój sceptycyzm, ona zaś zaczęła się zastanawiać, czy sytuacja nie ograniczy się, koniec końców, do zwykłego przypadku. Dwóch całkiem obcych ludzi siedzi sobie w kinie, a jedyne, co ich łączy, to ewentualna krótkowzroczność zmuszająca do zajmowania miejsc w pierwszych rzędach. Dopiero kiedy salą kinową wstrząsnął odgłos strzałów, które miały zakończyć ostatecznie życie zbrodniczego Harry'ego Lime'a, nowo przybyły widz pochylił się w stronę poprzedzającego go rzędu, a Brians powoli się

odwrócił. Dźwięki filmu nie pozwoliły dosłyszeć jego słów, Alicja zaś domyśliła się z trudem, że adwokat wypowiedział kilka zdań i wyciągnął ku tamtemu jakiś papier. A następnie, ignorując się nawzajem, znów rozparli się w swoich fotelach, by obejrzeć film do końca.

– Za moich czasów aresztowano by ich jako pedałów – skomentował Vargas.

– Tylko pogratulować, że przyszło panu żyć w złotej erze hiszpańskiego paleolitu – Alicja pospieszyła z ripostą.

Kiedy projektor zalał ekran monumentalnym planem końcowym filmu, ostatnio przybyły widz wstał. Powoli cofnął się ku bocznemu przejściu i podczas gdy pozbawiona złudzeń bohaterka szła pustą aleją starego cmentarza w Wiedniu, on nałożył kapelusz i prześlizgnął się ku wyjściu. Alicja i Vargas nawet nie drgnęli, by odwrócić się za nim czy jakkolwiek zareagować na jego obecność, ale ich wzrok wbity był w sylwetkę oprószoną dymiącą poświatą projektora. Skrzydło kapelusza ocieniało mu twarz, nie na tyle jednak, by ukryć cerę połyskującą jak kość słoniowa, przywodzącą na myśl twarz manekina. Alicję przebiegł dreszcz. Vargas odczekał, aż przybysz w kapeluszu zniknie za zasłonami, i pochylił się ku niej.

– Mam przywidzenia czy wygląda na to, że ten facet nosi maskę?

– Coś w tym stylu – stwierdziła Alicja. – Idziemy, żeby się nam nie wyslizgnął...

W tej samej chwili, nie dając im czasu na szybkie opuszczenie miejsc, rozbłysły światła i końcowy napis filmu zbladł nagle i znikł na ekranie. Brians wstał i skierował się ku bocznemu przejściu. Lada chwila w drodze do drzwi mógł zwrócić uwagę na siedzącą nieopodal parę.

– I co teraz? – szepnął Vargas.

Alicja chwyciła go za tył głowy i skierowała twarz policjanta ku sobie.

– Obejmij mnie pan szybko – zakomenderowała.

Vargas objął ją i przytulił, czując się jak uczeń na pierwszej randce. Alicja oplótła ramionami jego plecy i oboje zastygli w udawanym pocałunku, grając parę grzesznych kochanków, którzy wówczas mogli spotykać się jedynie w tylnych rzędach podrzędnych kin i w ciemnych bramach o północy. Policjant zamknął oczy. Kiedy Brians opuścił już salę, Alicja lekko odepchnęła Vargasa.

– Za nim.

Wyszędłszy z kina, ujrzeli Briansa oddalającego się środkiem przejścia podziemnego w kierunku, z którego przyszedł. Po człowieku o twarzy manekina nie było śladu. Alicja rzuciła okiem na oddalone o dwadzieścia metrów schody wychodzące na skrzyżowanie ulicy Balmes z Pelayo. Ruszyli w ich stronę. Bolesne ukłucie przeszło prawą nogę Alicji. Wstrzymała oddech. Vargas podtrzymał ją za ramię.

– Nie mogę iść szybciej – stwierdziła Alicja. – Niech pan biegnie. No, już!

Vargas, jak mógł najprędzej, wbiegł po schodach, podczas gdy Alicja oparta o ścianę powoli odzyskiwała siły. Policjant wydostał się na światło dzienne i znalazł się w samym środku miejskiego zamętu ulicy Balmes. Rozejrzał się dookoła całkiem zagubiony. Nie znał dobrze miasta. Ruch o tej porze nasilił się, centrum Barcelony zatłoczone już było napierającymi na siebie samochodami, autobusami i tramwajami. W zakurzonej świetle fale przechodniów zalewały chodniki. Vargas przytknął dłoń do czoła, by ochronić oczy przed słońcem, i omiótł wzrokiem skrzyżowanie. Nie zważał na to, że co i raz ktoś go popycha. Przez chwilę miał wrażenie, że tysiące czarnych płaszczy zwieńczonych kapeluszami defiluje we wszystkich możliwych kierunkach i że nigdy już nie odnajdzie nieznajomego z kina.

Zdradziła go twarz. Mężczyzna przeszedł już na drugą stronę ulicy i kierował się do samochodu zaparkowanego na rogu Vergara. Vargas miał zamiar przebiec przez jezdnię, lawirując między autami, ale wściekły napór wozów i jazgot klaksonów cofnęły go na chodnik. Po drugiej stronie nieznajomy wsiadał do samochodu. Policjant rozpoznał markę: Mercedes-Benz, model sprzed piętnastu lub dwudziestu lat. Kiedy zapaliło się zielone światło, samochód ruszył. Vargas pobiegł za nim i zdążył mu się w miarę dokładnie przyjrzeć, zanim zniknął w powodzi pojazdów. Wracając do zejścia do metra, minął się ze strażnikiem miejskim, który przyglądał mu się z dezaprobatą. Vargas uznał, że pewnie strażnik widział go, jak próbował przebiec przez ulicę na czerwonym, a później jak lawirował między samochodami. Skinął głową ze skrucą i uniósł dłoń w geście proszącym o wybaczenie. Alicja czekała na chodniku i patrzyła na niego wyczekująco.

– Jak się pani czuje? – spytał Vargas.

Zignorowała pytanie i niecierpliwie potrząsnęła głową.

– Widziałem, jak wsiadł do samochodu. Czarny mercedes – nie zwlekając, zaraportował Vargas.

– Rejestracja?

Przytaknął.

23

Szukając miejsca, gdzie mogliby spokojnie porozmawiać, weszli do baru Nuria i zajęli stolik przy oknie. Alicja zamówiła już drugi tego dnia kieliszek białego wina. Zapaliła papierosa i zatopiła wzrok w tłumie ludzi płynącym w dół Rambli, jakby patrzyła na największe akwarium świata. Vargas przyglądał się jej, jak drżącymi palcami unosi kieliszek i przykłada go do ust.

– Kazanie ku przestrodze? – mruknęła Alicja, nie odrywając oczu od widoku za oknem.

– Na zdrowie.

– Nic mi pan jeszcze nie powiedział o człowieku w masce. Czy myśli pan to samo co ja?

W odpowiedzi wzruszył ramionami pełen sceptycyzmu.

– W raporcie o przypuszczalnym zamachu na Vallsa w Círculo de Bellas Artes wspomina się o człowieku z zasłoniętą twarzą... – kontynuowała Alicja.

– To możliwe – przytaknął Vargas. – Pójdę wykonać parę telefonów.

Kiedy Vargas zostawił ją samą przy stoliku, złapała się za biodro i pozwoliła sobie westchnąć z bólu. Zastanawiała się, czy nie wziąć pół tabletki, ale po namyśle zrezygnowała. Korzystając z tego, że Vargas rozmawia przez telefon w głębi kawiarni, dała znak kelnerowi, by podał jej następny kieliszek i zabrał pierwszy, który dopiła jednym haustem. Vargas wrócił po kwadransie ze swoim notesikiem w dłoni i z błyskiem w oku wróżącym jakieś wieści.

– Trzeba mieć szczęście. Samochód zarejestrowany jest na Metrobarnę,

spółka z o.o. To spółka inwestująca w nieruchomości, przynajmniej tak widnieje w rejestrze. Siedziba główna mieści się w Barcelonie. Przy Paseo de Gracia numer sześć.

– To tutaj, nieopodal. Proszę dać mi kilka minut, złapię oddech i podejdziemy tam.

– Pani Alicjo, a może pozwoliłaby mi pani się tym zająć, a pani w tym czasie udałaby się do domu i trochę odpoczęła? A później zajrzę do pani i zdam sprawę ze wszystkiego, czego się dowiedziałem.

– Na pewno pan tego chce?

– Na pewno. Może pani śmiało wracać do domu.

Kiedy wyszli na Ramble, niebo się w końcu przejaśniło i lśniło owym elektrycznym błękitem, który czasem rzuca urok na zimę w Barcelonie, by wmówić naiwniakom, że wszystko musi się udać.

– Prosto do domu, zgoda? Żadnych technicznych przystanków, już ja panią znam – ostrzegł Vargas.

– Wedle rozkazu. Proszę beze mnie nie rozwiązywać sprawy – powiedziała Alicja.

– Spokojnie.

Odprowadziła wzrokiem Vargasa kierującego się w stronę placu Cataluña i odczekała parę minut. Już dawno temu stwierdziła, że przejawianie objawów bólu i przybranie cierpiętniczego wyrazu twarzy na wzór Damy Kameliowej pozwala jej manipulować wieloma mężczyznami o uległym i naiwnie dziecięcym usposobieniu, gotowymi zaakceptować myśl, że Alicja niczego innego nie potrzebuje, jak właśnie ich opieki i przewodnictwa. Gotowość ta cechowała właściwie wszystkich mężczyzn oprócz Leandra Montalva, który nauczył ją większości znajdujących się w jej repertuarze sztuczek i siłą rzeczy domyślał się tych, których wyuczyła się sama. Gdy tylko nabrała pewności, że już uwolniła się od Vargasa, natychmiast zmieniła kurs. Powrót do domu mógł poczekać. Potrzebowała czasu, żeby to i owo przemyśleć, żeby temu i owemu przyjrzeć się z ukrycia. Przede wszystkim zaś było coś, co chciała zrobić sama i po swojemu.

Biura Metrobarny mieściły się na ostatnim piętrze monumentalnego

secesyjnego gmachu zdobnego w elementy fantazyjnego zamku. Budynek wyłożony kamieniem koloru ochry, zwieńczony mansardami i ogromniastymi wieżami, znany jako Casa Rocamora, był przykładem owych niezwykłych dzieł łączących w sobie algebraiczne złotnictwo z rozdzierającym melodramatem, które spotkać można jedynie na ulicach Barcelony. Vargas zatrzymał się na chwilę na rogu, by spokojnie przyjrzeć się oferowanemu przez budowlę spektaklowi balkonów, galerii i bizantyńskich geometrii. Uliczny akwarelista zainstalował nieopodal swoją sztalugę i ostatnimi pociągnięciami pędzla kończył już nawiązujący do impresjonistów obraz przedstawiający Casa Rocamora. Zauważywszy stojącego obok Vargas, uśmiechnął się doń serdecznie.

– Ładny obraz – pochwalił Vargas.

– Robimy, co możemy. Policjant?

– Aż tak to widać?

Malarz uśmiechnął się kwaśno. Vargas wskazał na obraz.

– Na sprzedaż?

– Za pół godziny mniej więcej. Budynek pana interesuje?

– O tyle, o ile. Każą płacić za wejście?

– Nie podsuwaj im pan pomysłów.

Winda żywcem wzięta z marzeń Juliusza Verne’a wywiozła Vargasa wprost pod drzwi, na których błyszcząca połączana i ważąca swoje tabliczka z napisem:

METROBARNA
Inwestycje w nieruchomości
Spółka z o.o.

Vargas nacisnął guzik. W powietrzu rozniosło się echo dzwonka i po chwili drzwi otworzyły się, odsłaniając za wystawnym kontuarem postać nader

urodziwej recepcjonistki w nader służbowym mundurku. W niektórych firmach przepych okazywano z wyprzedzeniem i z niejaką perfidią.

– Dzień dobry – rzucił Vargas oficjalnym tonem, wyciągając oznakę policyjną. – Vargas. Komenda Główna Policji. Chciałbym rozmawiać z dyrektorem.

Zaskoczona recepcjonistka przyjrzała mu się badawczo. Prawdopodobnie charakter wizyt, do jakich przyzwyczajeni byli w tym biurze, należał do znacznie wyższej rangi.

– Ma pan na myśli pana Sanchisa zapewne?

Vargas przytaknął i przeszedł do hallu, którego ściany wyłożone były błękitnym aksamitem i obwieszane wyśmienitymi akwarelami przedstawiającymi emblematyczne fasady i budynki Barcelony. Vargas powstrzymał uśmiezek na wspomnienie stylu ulicznego malarza.

– Czy mogę spytać o cel pana wizyty, panie policjancie? – usiłowała dopytać się recepcjonistka za jego plecami.

– Kapitanie – poprawił Vargas, nie odwracając się.

Recepcjonistka chrząknęła i nie otrzymawszy odpowiedzi, westchnęła.

– Pan Sanchís jest w tej chwili na zebraniu. Jeśli pan zechce...

Vargas odwrócił się i spojrzał na nią lodowato.

– Już go powiadamiam, panie kapitanie.

Vargas pokiwał głową bez zbytniego entuzjazmu. Recepcjonistka szybko odeszła w poszukiwaniu posiłków. I zniknęła w szpalerze przyciszonych głosów, trzasku otwieranych i zamykanych drzwi, stukotu kroków podążających w jedną lub w drugą stronę korytarzy biurowych. Po minucie wróciła, tym razem serdecznie uśmiechnięta.

– Bardzo proszę, pan dyrektor przyjmie pana w sali posiedzeń.

Vargas ruszył za nią, mijając okazałe gabinety, w których brygady gustownie odzianych w trzyczęściowe garnitury adwokatów świadczyły swoje usługi z powagą doświadczonych komisantów. Rzeźby, obrazy i drogie dywany wytyczały drogę, która doprowadziła Vargasa do obszernej sali zawieszanej przed oszkloną emporą, z której rozciągał się widok z lotu anioła na całe Paseo de Gracia. Imponujący stół konferencyjny dominował nad

kompletem foteli, witryn i ram z najszlachetniejszych gatunków drewna.

– Pan Sanchís przyjdzie do pana za małą chwilę. Czy mogę pana czymś poczęstować? Może kawy?

Vargas odmówił. Recepcjonistka zniknęła błyskawicznie i zostawiła go samego.

Policjant otaksował scenę. Biura Metrobarny pachniały, by nie rzecz cuchnęły, pieniądzem. Przypuszczalnie cena dywanu rozpościerającego się pod nogami przewyższała z naddatkiem jego kilkuletnie zarobki. Vargas obszedł stół, muskając palcami politurowany dąb i wdychając woń luksusu i zbytku. Wnętrze i jego wystrój wytwarzały ową, charakterystyczną dla instytucji poświęcających się alchemii monetarnej, atmosferę ucisku i wykluczania, która goszczącemu w ich murach przybyszowi przypominała przez cały czas, że choć wydaje mu się, iż jest w środku, w rzeczywistości zawsze będzie na zewnątrz, po drugiej stronie symbolicznego okienka.

Sala udekorowana była licznymi portretami różnej wielkości. Większość z nich stanowiły fotografie, ale były między nimi również obrazy olejne czy szkice węglem sygnowane przez oficjalnych i najbardziej uznanych portrecistów ostatnich dekad. Vargas przeszedł się wzdłuż całej kolekcji. Na wszystkich obrazach pojawiała się ta sama osoba, mężczyzna o srebrzystych włosach i patrycjuszowskim wyrazie twarzy, spoglądający w obiektyw lub w stronę sztalugi z łagodnym uśmiechem i zimnymi oczyma. Było oczywiste, że bohater owych wizerunków potrafił pozować i dobierać sobie towarzystwo. Vargas nachylił się, by dokładnie przyjrzeć się jednej z fotografii, na której kawaler zimnego spojrzenia stał w grupie prominentów odzianych w stroje myśliwskie, uśmiechających się jak przyjaciele od dawien dawna i otaczających generała Franco. Vargas zlustrował poszczególne figury i zwrócił uwagę na jednego z uczestników polowania. Stał w drugim rzędzie i uśmiechał się entuzjastycznie, jakby z całych sił starał się wyróżnić w tej scenie.

– Valls – szepnął.

Słyszając otwierające się za swoimi plecami drzwi, Vargas odwrócił się i ujrzał niezwykle szczupłego mężczyznę w średnim wieku. Jego głowa porośnięta była rzadkimi blond włosami, delikatnymi jak włoski niemowlęcia. Miał na sobie nienagannie skrojony garnitur z alpaki, harmonizujący z szarymi,

chłodnymi, przenikliwymi oczyma. Dyrektor uśmiechnął się uprzejmie do Vargasa i wyciągnął ku niemu dłoń.

– Dzień dobry. Nazywam się Ignacio Sanchís, jestem dyrektorem generalnym tej firmy. O ile dobrze zrozumiałem z tego, co przekazała mi María Luisa, życzy pan sobie ze mną porozmawiać. Proszę wybaczyć, że kazałem panu tak długo czekać. Jesteśmy w trakcie przygotowań do walnego zgromadzenia wspólników i mamy urwanie głowy. Czym mogę panu służyć, panie kapitanie?

Sanchís emanował wyrefinowaną serdecznością i profesjonalizmem najwyższej klasy. Jego spojrzenie promieniowało ciepłem i zdecydowaną powagą, choć zarazem prześwietlał drobiazgowo Vargasa i szufladkował. Vargas nie miał cienia złudzeń: był pewny, że nim Sanchís zakończył swoje powitalne zdanie, już wiedział, jakiej marki nosi buty i ile lat liczy sobie jego beznadziejny garnitur.

– Ta twarz nie jest mi obca – powiedział policjant, wskazując jeden z olejnych portretów zdobiących salę.

– To don Miguel Ángel Ubach – objaśnił Sanchís, uśmiechając się dobrotliwie wobec ignorancji czy też braku rozeznania rozmówcy. – Nasz fundator.

– Ten od Banca Ubach? – upewnił się Vargas. – Bankier Prochu?

Sanchís skwitował pytanie nieznacznym i dyplomatycznym uśmiechem, ale jego spojrzenie stało się bardziej ozięble.

– Don Miguel Ángel nigdy nie przepadał za tym przydomkiem, który, będzie pan łaskaw przyznać, nie oddaje w pełni wszystkich jego zasług.

– Słyszałem, że ów przydomek nadany mu został przez samego Generalissimusa, właśnie z uwagi na wyświadczone przysługi. – Vargas nie ustępował.

– Obawiam się, że to nie tak – poprawił Sanchís. – Przydomek został nadany don Miguelowi podczas wojny przez czerwoną prasę. Banca Ubach, wspólnie z innymi instytucjami, wspomogła finansowanie kampanii wyzwolenia narodowego. Don Miguel to wielki człowiek, któremu Hiszpania mnóstwo zawdzięcza.

– Za co, bez wątpienia, pobrał swoją prowizję – szepnął Vargas.

Sanchís, wciąż miły i serdeczny, udał, że nie słyszy komentarza.

– A jaki jest związek don Miguela Angela z Metrobarną? – był ciekaw Vargas.

Sanchís odchrząknął i przybrał cierpliwy i pedagogiczny wyraz twarzy.

– Po śmierci don Miguela Angela w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku bank pana Ubacha podzielił się na trzy spółki. Jedną z nich był Banco Hipotecario e Industrial de Cataluña, który osiem lat temu został przejęty przez Banca Hispanoamericana de Crédito. Metrobarna powstała w tym właśnie okresie, by zarządzać pakietem nieruchomości znajdującym się w aktywach banku.

Sanchís wymawiał poszczególne słowa, jakby recytował je już wielokrotnie, z miną eksperta i z nieobecny wyrazem twarzy przewodnika muzealnego oprowadzającego grupę turystów, kątem oka zaś zerkającego na zegarek.

– Jednak, jak mniemam, historia towarzystwa nie jest chyba dla pana nazbyt zajmującym tematem – zakończył wywód. – W czym mogę panu pomóc, kapitanie?

– To drobnostka, przypuszczalnie rzecz bez żadnego znaczenia, panie dyrektorze, ale sam pan wie, wymagają tego rutynowe działania. Należy sprawdzić wszystko.

– Nie ulega najmniejszej wątpliwości. Słucham pana.

Vargas wyjął swój notesik i niby wczytał się w parę linijek.

– Czy mógłby pan potwierdzić, że samochód o numerze rejestracyjnym B-74325 jest własnością Metrobarny?

Sanchís spojrzał na niego zbity z tropu.

– Żeby być szczerym, to po prostu nie wiem... Musiałbym zapytać...

– Bo spółka chyba posiada swoją flotę samochodów, czy może jestem w błędzie?

– Nie, skądże, ma pan rację. Dysponujemy czterema, może pięcioma samochodami, tak...

– Czy jednym z nich jest czarny mercedes-benz? Model sprzed piętnastu, dwudziestu lat?

Przez twarz Sanchisa przebiegł cień zaniepokojenia.

– Zgadza się. To samochód, który prowadzi Valentín. Czy coś się stało?

– Valentín?

– Valentín Morgado, szofer pracujący w naszej firmie.

– Pański osobisty kierowca?

– Tak. Od wielu lat... Czy mogę się dowiedzieć, co...

– Czy pan Morgado jest teraz w firmie?

– Nie, sądzę, że nie. Z samego rana miał zawieźć Victorię do lekarza.

– A Victoria to...?

– Victoria to moja żona. Victoria Ubach.

– To nazwisko pańskiej żony?

Vargas zdziwiony uniósł brwi. Sanchís skinął głową nieco zirytowany.

– Tak, to córka don Miguela Angela.

Policjant puścił doń oko, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że jest pełen podziwu, że udało mu się wżenić w taką rodzinę i wymyślić sposób na awans w rodzinnym interesie.

– Panie kapitanie, będę wdzięczny za wyjaśnienie, o co chodzi w tej sprawie.

Vargas uśmiechnął się miło całkowicie wyluzowany.

– Jak już mówiłem, drobiazg. Prowadzimy śledztwo w sprawie napadu, który miał miejsce dziś rano na ulicy Balmes. Podejrzany zdołał uciec samochodem. Proszę się nie przejmować, bo to nie o pański samochód chodzi. Ale dwóch świadków zeznało, że widziało zaparkowany dokładnie na skrzyżowaniu samochód, którego opis i numer rejestracyjny odpowiada czarnemu mercedesowi, którego szoferem jest...

– Valentín.

– Otóż to. Obaj świadkowie zgodnie zeznali, że w chwili, kiedy doszło do napadu, kierowca czarnego mercedesa był w środku pojazdu. To tłumaczy, dlaczego chcemy się z nim spotkać. Być może zauważył coś, co pomogłoby nam w zidentyfikowaniu kierowcy, który uciekł...

Sanchís zareagował na słowa policjanta wyrazem z troskania, aczkolwiek

nie potrafił ukryć ulgi, że jego samochód i jego szofer żadną miarą nie są powiązani ze zdarzeniem.

– To straszne. Czy były ofiary śmiertelne?

– Niestety, wiadomo nam o jednej. Starsza pani zmarła w karetce w drodze do szpitala Clínico.

– To rzeczywiście przykre. Oczywiście jeśli moglibyśmy w czymś pomóc, gotowi jesteśmy...

– Wystarczy nam rozmowa z pańskim pracownikiem Valentinem.

– Tak, oczywiście, rzecz jasna.

– Może wie pan, dokąd pan Valentín Morgado odwiózł pańską małżonkę po jej wizycie u lekarza?

– Nie bardzo. Raczej nie wiem na pewno. Victoria mówiła mi, że dziś w południe będzie miała gości w domu... Być może Valentín pojechał na miasto załatwiać jakieś sprawunki. Czasem, kiedy w ciągu dnia ani ja, ani żona go nie potrzebujemy, rozwozi dokumenty i korespondencję naszego biura.

Vargas wyciągnął wizytówkę i podał Sanchisowi.

– Czy byłby pan tak miły i przekazał panu Morgado, żeby skontaktował się ze mną najszybciej, jak to możliwe?

– Proszę zdać się na mnie. Zaraz wydam polecenie, by go zlokalizowano i poinformowano.

– Przypuszczalnie nie wniesie do sprawy nic nowego, niemniej formalnościom musi stać się zadość.

– Oczywiście.

– Aha, jeszcze coś. Czy przypadkiem pana Morgado nie cechuje jakaś fizyczna odmienność?

Sanchís przytaknął.

– Owszem. Valentín w czasie wojny doznał urazu. W wyniku wybuchu pocisku mózdzierzowego ma zniekształconą część twarzy.

– Od jak dawna u pana pracuje?

– Dziesięć lat co najmniej. Valentín pracował już dla rodziny mojej żony i jest w tej firmie człowiekiem absolutnie najgodniejszym zaufania. Mogę

o tym zaświadczyć z pełnym przekonaniem.

– Jeden ze świadków wspomniał, że połowę twarzy kierowcy zakrywało coś w rodzaju maski. To możliwe? Chcę się tylko upewnić, że chodzi o właściwą osobę.

– Tak rzeczywiście jest. Valentín nosi protezę, która zakrywa dolną szczękę i lewe oko.

– Nie chciałbym zabierać panu więcej czasu, panie dyrektorze. Bardzo dziękuję za pomoc. Przykro mi, że musiałem panu przerwać zebranie.

– Nic takiego. Proszę się tym nie przejmować. Współpraca ze służbami bezpieczeństwa państwa to dla każdego Hiszpana obowiązek i zaszczyt.

Gdy Sanchís odprowadzał Vargasa ku wyjściu, znaleźli się w pewnym momencie na wysokości drewnianych rzeźbionych drzwi, za którymi rozciągała się monumentalna biblioteka z widokiem na Paseo de Gracia. Vargas zatrzymał się i zajrzał do środka. Biblioteka mieściła się w pałacowej niemal galerii, zdającej się zajmować całe skrzydło budynku. Zarówno podłoga, jak i sufit wyłożone były polerowanym drewnem, lśniącym tak bardzo, że sprawiały wrażenie dwóch ustawionych naprzeciw siebie luster, w których w nieskończoność zwielokrotniały się kolumny książek.

– Imponujące – rzekł Vargas. – Jest pan kolekcjonerem?

– Dość skromnym – odparł Sanchís. – Większość woluminów pochodzi ze zbiorów Fundacji Ubacha, ale muszę się przyznać, że książki są moją słabością i moją ucieczką od świata finansów.

– W pełni pana rozumiem. Ja, w skromnym co prawda zakresie i w miarę swoich możliwości, robię to samo – podjął ryzyko Vargas. – Lubię tropić i zdobywać rzadkie i wyjątkowe egzemplarze. Żona mówi, że to skrzywienie zawodowe.

Sanchís kiwnął głową, zachowując wciąż uprzejmy i cierpliwy wyraz twarzy, choć jego oczy zdradzały, że ma już policjanta dość i chętnie by się go jak najszybciej pozbył.

– Czy pana, panie dyrektorze, interesują rzadkie egzemplarze?

– Znakomita większość kolekcji to teksty z osiemnastego i dziewiętnastego wieku, książki hiszpańskie, francuskie i włoskie, aczkolwiek posiadamy również wysmienity wybór literatury i filozofii niemieckiej oraz poezji

angielskiej – wyjaśnił Sanchís. – Sądzę, iż w niektórych kręgach nawet część naszej biblioteki uchodziłaby za zbiór cymeliów.

Sanchís delikatnie, choć zdecydowanie ujął Vargasa za ramię i skierował go na prowadzący ku wyjściu korytarz.

– Zazdroszczę panu, panie dyrektorze. Gdybym mógł... Moje środki są ograniczone i muszę zadowalać się skromniejszymi egzemplarzami.

– Nie ma skromnych książek, jest tylko przemądrzałe nieuctwo.

– Bez dwóch zdań. Coś podobnego powiedziałem pewnemu księgarzowi specjalizującemu się w używanych książkach, który szuka dla mnie serii powieściowej pewnego zapomnianego autora. Chociaż może pan o nim słyszał. Mataix. Victor Mataix.

Sanchís wytrzymał nieporuszony jego spojrzenie i powoli zaprzeczył.

– Przykro mi, nigdy o nim nie słyszałem.

– No właśnie, wszyscy mówią to samo. Człowiek poświęca całe swoje życie pisaniu, a tu ledwie minie parę lat i nikt nie pamięta jego słów...

– Literatura to okrutna kochanka, która z niezwykłą łatwością zapomina – rzekł Sanchís, otwierając drzwi wychodzące na schody.

– Tak jak i sprawiedliwość. Dobrze, że zawsze znajdzie się ktoś taki jak pan albo ja, żeby i jednej, i drugiej odświeżyć pamięć.

– Samo życie. Ono też zapomina o nas przed czasem. Czy jeszcze mogę czymś panu służyć, czy też...

– Nie, nie, dziękuję raz jeszcze za pomoc, panie dyrektorze.

24

Wychodząc z budynku, Vargas zobaczył akwarelistę, który już zbierał swój warsztat, pykając fajkę jak stary wilk morski. Uśmiechnął się z daleka i podszedł szybko do malarza.

– Kogóż to ja widzę, komisarz Maigret we własnej osobie – zawołał artysta.

– Jeśli już, to właściwiej będzie Vargas.

– Dalmau – przedstawił się malarz.

– Już pan skończył swoje dzieło, mistrzu Dalmau?

– Dzieł się nigdy nie kończy. Rzecz w tym, żeby wiedzieć, w którym momencie należy je pozostawić niedokończonymi. Nadal jest pan zainteresowany?

Artysta uniósł szmatę okrywającą płótno i zademonstrował Vargasowi akwarelę.

– Jakby wyjęta prosto z jakiegoś snu – powiedział Vargas.

– Pięćdziesiąt peset i odrobina chęci, a sen należy do pana.

Policjant wyciągnął portfel. Oczy artysty zaiskrzyły się jak żar tytoniu w fajce. Vargas wyciągnął doń banknot stupezetowy.

– To za dużo.

Vargas pokręcił przecząco głową.

– Proszę uznać mnie za swego mecenasa dnia.

Malarz owinął akwarelę w szary papier i przewiązał szpagatem.

– Da się z tego żyć? – spytał Vargas.

– Przemysł pocztówkowy zrobił wiele złego, ale trochę ludzi z gustem jeszcze przetrwało.

– Jak pan Sanchís?

Artysta uniósł brew i spojrzał podejrzliwie.

– Coś czułem pismo nosem. Chyba nie chce mnie pan wpakować w jakąś kabałę?

– Od dawna Sanchís jest pańskim klientem?

– Od lat.

– Dużo obrazów mu pan sprzedał?

– Sporo.

– Tak bardzo podoba mu się pański styl?

– Chyba kupuje je z litości, tak mi się wydaje. Hojny z niego człowiek, przynajmniej jak na bankiera.

– Może dręczą go wyrzuty sumienia.

– Nie jego jednego. Pod tym względem w tym kraju jest w czym przebierać.

– Do mnie pan pije?

Dalmau burknął coś pod nosem i zaczął składać sztalugę.

– Już pan odchodzi? Myślałem, że mógłby mi pan coś niecoś poopowiadać o panu Sanchisie.

– Wie pan co? Jak pan chce, to mogę zwrócić pieniądze. A obraz niech pan sobie zostawi. Powieś se go pan w kazamatach komisariatu.

– Pieniądze są pańskie, bo godziwie pan na nie zapracował.

Artysta się zawahał.

– Czego pan chce od Sanchisa? – spytał.

– Niczego. Zwykła ciekawość.

– To samo powiedział tamten policjant. Jesteście z jednej gliny ulepieni.

– Tamten policjant?

– Jak pan słyszy. Niech pan nie udaje głupiego.

– A może mi pan opisać kolegę? Chyba znajdzie się drugi banknot, jak mi pan pomoże.

– A co tu opisywać? Taki sam drab jak pan. Chociaż tamten miał pokiereszowaną twarz.

– Przedstawił się?

– Tak blisko nie zdołaliśmy się poznać.

– A kiedy to było?

– Może ze dwa albo trzy tygodnie temu.

– Tutaj?

– Tak, tutaj. W moim atelier. Mogę już iść?

– Z mojej strony nie musi się pan niczego obawiać, mistrzu.

– Ja się pana nie boję. Ja już zostałem przez panów wyleczony z jakichkolwiek strachów. Wolę jednak pooddychać innym powietrzem, jeśli

pan pozwoli.

– Siedział pan?

Artysta zaśmiał się półgębkiem i zjadliwie.

– W Modelo?

– Montjuic. Od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego do czterdziestego trzeciego. Nie możecie mi zrobić niczego, czego już mi nie zrobiliście.

Vargas sięgnął po portfel gotów uścić kolejną zapłatę, ale malarz odmówił, potem wyjął z kieszeni banknot, który Vargas wręczył mu wcześniej, i wypuścił go z rąk. Kiedy banknot opadł na ziemię, wziął złożoną sztalugę i walizkę z farbami i odszedł, kuśtykając. Vargas patrzył, jak znika w perspektywie Paseo de Gracia. Przykląkł, żeby podnieść pieniądze z ziemi, a potem ruszył w przeciwnym kierunku z obrazem pod pachą.

Ignacio Sanchís podszedł do okna w sali obrad i dojrzał policjanta rozmawiającego z ulicznym akwarelistą. Po paru minutach policjant oddalił się w stronę placu Cataluña, niosąc coś, co wyglądało jak obraz, który prawdopodobnie kupił u malarza. Sanchís poczekał, aż zniknie mu z oczu w tłumie przechodniów. Wyszedł na korytarz i skierował się do recepcji.

– Marío Luiso, wychodzę na parę minut. Gdyby dzwonił Lorca z biura w Madrycie, proszę go przełączyć do Juanja.

– Tak, oczywiście, proszę pana.

Nie czekał na windę. Zbiegł po schodach. Gdy wyszedł na ulicę, poczuł muśnięcie wiatru, dzięki czemu uświadomił sobie, że ma czoło zroszone potem. Skierował się do kawiarni znajdującej się obok rozgłośni Radia Barcelona na ulicy Caspe i poprosił o kawę z odrobiną mleka. Nie czekając na podanie mu kawy, podszedł do telefonu znajdującego się w głębi lokalu i wykręcił z pamięci numer.

– Brians, słucham – odezwał się głos z drugiej strony.

– Przed chwilą złożył mi wizytę policjant o nazwisku Vargas.

Długa cisza.

– Dzwoni pan z biura? – zapytał Brians.

– Oczywiście, że nie.

– U mnie też byli, dzisiaj rano. On i dziewczyna. Twierdzili, że mają egzemplarz Mataixa do sprzedania.

– A wiemy, kim są?

– On ewidentnie jest z policji. Ona nie spodobała mi się nic a nic. Gdy tylko sobie poszli, zrobiłem tak, jak pan kazał. Zadzwoiłem pod wskazany przez pana numer i rozłączyłem się, żeby uprzedzić Morgada i spotkać się tam, gdzie zawsze. Widziałem się z nim niespełna godzinę temu. Sądziłem, że zdołał już pana uprzedzić.

– Zaszły pewne nieprzewidziane okoliczności. Morgado musiał wrócić do nas, do domu – powiedział Sanchís.

– A o co pana pytał ten policjant?

– Pytał o Morgada. O jakiś głupi wypadek. Pewnie pana śledzili.

Sanchís usłyszał, jak adwokat wzdycha.

– Myśli pan, że zdobyli listę?

– Nie mam pojęcia. Ale nie możemy ryzykować.

– Co mam zrobić? – spytał Brians.

– Żadnych kontaktów z Morgadem i żadnego telefonu, dopóki nie otrzyma pan nowego polecenia. Jeśli zajdzie taka potrzeba, to ja się z panem skontaktuję. Proszę zachowywać się jakby nigdy nic – nakazał Sanchís. – Na pańskim miejscu na jakiś czas zniknąłbym z miasta.

Bankier odłożył słuchawkę. Błady przeszedł obok kontuaru.

– Szefie, pańska kawa – zawołał kelner.

Sanchís popatrzył nań, jakby nie wiedział, co właściwie tu robi, i wyszedł z kawiarni.

Mauricio Valls widział w swoim życiu zbyt wielu umierających ludzi, żeby wierzyć, że po śmierci coś nas jeszcze czeka. Budzi się z czyścica antybiotyków, narkotyków i sennych koszmarów, niepozostawiających żadnej nadziei. Jest nagi, owinięty kocem. Otwiera oczy, spogląda na nędzę swojej celi i orientuje się, że jego ubranie zniknęło. Unosi ramię z odciętą dłonią ku twarzy i odkrywa kikut zalany smołą. Wpatruje się w niego długą chwilę, jakby chciał sprawdzić, do kogo należy to ciało, w którym się przebudził... Pamięć powraca powoli, kropelkami obrazów i dźwięków. Po chwili pamięta już wszystko, wszystko oprócz bólu. Może jednak istnieje miłosierny Bóg, myśli.

– Z czego się śmiejesz? – pyta głos.

Kobieta, którą w delirium wziął za anioła, spogląda na niego zza krat. W jej wzroku nie ma krzty współczucia ani innych emocji.

– Dlaczego nie pozwoliliście mi umrzeć?

– Śmierć to zbyt łagodna kara dla ciebie.

Valls kiwa głową. Nie jest pewien, z kim rozmawia, ale jest w tej kobiecie coś, co wydaje mu się bardzo znajome.

– Gdzie jest Martín? Czemu nie przyszedł?

Kobieta patrzy na niego, w jej spojrzeniu odczytuje pogardę i smutek.

– David Martín na ciebie czeka.

– Gdzie?

– W piekle.

– Nie wierzę w piekło.

– Cierpliwości. Wkrótce w nie uwierysz.

Kobieta odwraca się i zaczyna wchodzić po schodach.

– Proszę zaczekać. Niech pani nie odchodzi. Błagam!

Kobieta się zatrzymuje.

– Proszę nie odchodzić. Niech mnie pani nie zostawia tu samego.

– Masz tam czyste ciuchy. Ubierz się – odpowiada, a potem znika na górze.

Valls słyszy, jak zamykają się za nią drzwi. W torbie rzuconej w kącie celi rzeczywiście znajduje ubranie. Używane i za duże, ale chociaż pachnie

stęchlizną, jest mniej więcej czyste. Zrzuca z siebie koc i obserwuje w półmroku swoje nagie ciało. Może policzyć wszystkie kości i ściągnąć pod skórą, pod którą znajdowała się wcześniej solidna warstwa tłuszczu. Ubiera się. Niełatwo ubrać się jedną ręką ani zapiąć koszulę i spodnie, mając tylko pięć palców. Najbardziej wdzięczny jest za skarpetki i buty, bo będzie mógł wreszcie ochronić stopy przed zimnem. Na dnie torby znajduje coś jeszcze. Książkę. Natychmiast poznaje okładkę z czarnej skóry i wytłoczony na czerwono emblemat kręconych schodów. Opiera tom na kolanach i go otwiera:

Labirynt duchów III

Ariadna i teatr cieni



Napisał i zilustrował Victor Mataix

Valls przewraca strony i zatrzymuje się na pierwszej ilustracji przedstawiającej stary, zrujnowany teatr. Na scenie dostrzega dziewczynkę ubraną na biało. Rozpoznaje ją bez trudu, nawet w wątłym blasku świecy.

– Ariadna... – mamrocze.

Zamyka oczy i ocalałą dłonią chwyta się krat celi.

Być może piekło jednak istnieje.

Aksamitne światło nadawało ulicom niewinny wygląd. Alicja spacerowała pośród tłumu przemierzającego centrum miasta, rozmyślając o scenie z ostatnich stron powieści *Ariadna i Szkarłatny Książę*. Ariadna spotyka w niej wędrownego sprzedawcę masek i zwiędłych kwiatów, krążącego

w pobliżu miasta umarłych, nekropolii na południu Barcelony. Dotarła tam widmowym tramwajem, w którym nie było pasażerów ani motorniczego. Tramwaj zamiast numeru miał nad przednią szybą tabliczkę z napisem:

Przeznaczenie

Sprzedawca był niewidomy, ale usłyszał kroki nadchodzącej Ariadny i zapytał, czy chciałaby kupić maskę. Maski, które miał w swoim wózku, zrobione były z resztek przeklętych dusz zamieszkujących cmentarz i służyły do oszukiwania czarowników, co, przy odrobinie szczęścia, pozwalało przeżyć o jeden dzień dłużej. Ariadna wyznawała mu, że nie ma pojęcia, co jest jej przeznaczeniem, i że być może zatraciła je, kiedy wpadła do Barcelony pod rządami Szkarłatnego Księcia, miasta pełnego widm i duchów, sprzedawca masek zaś odpowiadał jej tymi słowy:

Większość z nas, śmiertelników, nigdy nie zdoła rozpoznać swojego prawdziwego przeznaczenia: to ono wpada na nas jak rozpędzony pociąg. Ale kiedy podnosimy głowę, żeby popatrzeć, jak się oddala, jest już za późno, resztę podróży musimy odbyć na własną rękę, co niektórzy naiwni nazywają dojrzałością. Nadzieja jest jedynie ułudą, że ów moment jeszcze nie nadszedł, że uda nam się dostrzec nasze prawdziwe przeznaczenie, kiedy będzie się do nas zbliżać, i że uda nam się wskoczyć do tego pociągu, zanim na zawsze utracimy możliwość bycia sobą, a pozostanie nam tylko pusta egzystencja i tęsknota za tym, co miało nastąpić, ale nigdy się nie wydarzyło.

Alicja pamiętała te słowa, jakby miała je wytatuowane na skórze. Nic nie przeraża nas tak bardzo, jak to, o czym doskonale wiemy. Tego popołudnia, naciskając na klamkę drzwi księgarni Sempere i Synowie, Alicja poczuła muśnięcie innego życia, tego, którym powinna żyć, i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest już za późno.

Dzwoneczek nad drzwiami rozdzwonił się na jej powitanie i natychmiast poczuła jedyny w swoim rodzaju zapach książek, woń tysięcy stron proszących, by dać im szansę. Przydymione światło spowijało wnętrze, sprawiając, że księgarnia wyglądała jak dekoracja ze snu. Wszystko było

dokładnie tak, jak sobie zapamiętała, od niekończących się półek z jasnego drewna po najdrobniejszy pyłek kurzu wirujący w snopach światła padającego z witryny. Wszystko prócz niej samej.

Wkroczyła do księgarni, jakby wracała do utraconego wspomnienia. Przeszło jej przez myśl, że to miejsce mogłoby być jej przeznaczeniem, gdyby nie wybuchła wojna, która pozbawiła ją wszystkiego, co miała wcześniej, gdyby nie zmieniła jej w dożywotnią kalekę, a potem nie porzuciła na pastwę losu na ulicach przekłętą miasta. Właśnie za sprawą bezlitosnej wojny stała się jeszcze jedną marionetką w przedstawieniu, z którego nie sposób uciec. Przez chwilę miała wrażenie, że ten miraż, jaki objawił się jej w czterech ścianach księgarni Sempere i Synowie, to jej prawdziwe życie, z jakiego ją okradziono.

Ocknęła się z tych rozmyślań, czując na sobie spojrzenie dziecka. Miało nie więcej niż dwa, może niecałe trzy lata i siedziało w pomalowanym na biało drewnianym kojcu obok kontuaru księgarni. Mały chłopiec o złotych włosach wydał się jej wyrzeźbiony tak misternie, jakby był dziełem złotnika; stał, trzymając się szczebelków, i wpatrywał się w nią niczym w przedstawicielkę nader egzotycznego gatunku. Alicja posłała mu szczery uśmiech, taki, jakie malowały się na jej twarzy, kiedy nie zdawała sobie z tego sprawy. Malec bawił się gumowym krokodylem i zastanawiał się chyba, jak odpowiedzieć na ten uśmiech. Po chwili wykonał skomplikowaną akrobację i cisnął zabawkę, która zakreśliła w powietrzu parabolę i wylądowała u jej stóp. Alicja uklęknęła, żeby podnieść krokodyla, i wtedy usłyszała jej głos.

– Na miłość boską, Julianie! Jak ty się zachowujesz?

Do uszu Alicji dobiegł stukot kroków obchodzących kontuar, a kiedy się podniosła, stanęła oko w oko z Beatriz. Z bliska wydała jej się w istocie tak piękna, jak w raportach głupkowatych plotkarzy, którzy, zgodnie z przewidywaniami, nie potrafili powiedzieć o niej nic więcej. Miała w sobie rys tej błogosławionej i przedwczesnej czułości, cechujący kobiety, które zostały matkami, zanim skończyły dwadzieścia lat, a jednocześnie w jej przeszywającym, dociekliwym spojrzeniu czaiła się inteligencja osoby znacznie ponad swój wiek dojrzałej. Nikt nie potrafi przejrzeć lepiej kobiety niż inna kobieta i w tym ułamku sekundy, kiedy Alicja wręczyła jej zabawkę małego Juliana, ich dłonie delikatnie się musnęły, ich spojrzenia – spotkały i obie poczuły się tak, jakby patrzyły na swoje odbicie w lustrze czasu.

Alicja spoglądała na Beę i myślała, że gdyby jej losy potoczyły się inaczej, być może sama stałaby się kobietą o spokojnym, anielskim wręcz obliczu, prowokującą tęskne spojrzenia i westchnienia sąsiadów, żywym wcieleniem modelu doskonałej żony lansowanej w reklamach damskiej odzieży. Beatriz bez grzechu poczęta patrzyła z kolei na nieznajomą jak na mroczną wersję samej siebie, Beę, jaką nigdy nie mogłaby, nie miałyby odwagi zostać.

– Przepraszam za małego – zaczęła mówić Bea. – Uważa, że wszyscy lubią krokodyle tak bardzo jak on. Oczywiście nie może lubić misiów albo piesków jak inne dzieci, o nie...

– To znak, że ma dobry gust – odparła Alicja. – Inne dzieci wolą jakieś tandetne banały, prawda?

Chłopiec kilka razy pokiwał głową, jakby wreszcie znalazł na świecie rozsądną istotę. Bea zmarszczyła brwi. Ta kobieta przypominała jej wystylizowane i zepsute do szpiku kości czarownice z ulubionych baśni Juliana. Jej synowi najwyraźniej przypadła do gustu, bo wyciągnął do niej ramiona, jakby chciał, żeby wzięła go na ręce.

Alicja spojrzała na chłopca bezradnie. Nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Brakowało jej doświadczenia z tak małymi dziećmi. Bea musiała chyba wyczuć jej wahanie, bo sama wzięła Juliana na ręce.

– Nie ma pani dzieci? – zapytała.

Nieznajoma pokręciła głową.

Pewnie zjada je na śniadanie, pomyślała Beatriz w przypływie złośliwości. Mały nadal patrzył na Alicję oczarowany.

– Więc ma na imię Julián?

– Tak.

Alicja podeszła i nachyliła się, tak żeby jej spojrzenie znalazło się na wysokości główki dziecka. Julián uśmiechnął się zadowolony. Bea, zdumiona reakcją syna, pozwoliła, by pogłaskał kobietę po twarzy, dotknął jej policzka i ust. Kiedy nowa klientka poczuła dotyk jego dłoni, Bei zdało się, że w jej oczach pojawiły się łzy. A może był to tylko błysk południowego światła. Kobieta odsunęła się czym prędzej i odwróciła twarz.

Miała na sobie niezwykle eleganckie i, jak podejrzewała Bea, równie drogie ubrania. Takie kreacje podziwiała tylko od czasu do czasu w witrynach

najwytworniejszych barcelońskich butików, a potem wzdychała głęboko i odchodziła, śniąc na jawie. Nieznajoma miała szczupłą sylwetkę i gestykulowała z odrobiną teatralnej przesady. Jej usta umalowane były jaskrawą szminką, w jakiej Bea nie odważyłaby się nigdy pokazać w miejscu publicznym, czasem jednak zgadzała się użyć jej wyłącznie dla Daniela, kiedy ten dolewał jej muszkatu i prosił, żeby zrobiła dla niego specjalny „pokaz”.

– Ma pani piękne buty – powiedziała Bea.

Kobieta znów na nią spojrzała i uśmiechnęła się, pomiędzy karminowymi wargami błysnęły białe zęby. Julián bił brawo, dając wyraźnie do zrozumienia, że jemu podoba się wszystko, od butów, wartych z pewnością fortunę, po aksamitne oczy hipnotyzujące jak oczy węża.

– Szuka pani czegoś konkretnego?

– Właściwie nie. Przeprowadziłam się ostatnio i musiałam zostawić cały swój księgozbiór, a teraz, po powrocie do Barcelony, czuję się jak rozbitek, który stracił wszystko.

– Więc pani jest stąd?

– Tak, ale mieszkałam wiele lat gdzie indziej.

– W Paryżu?

– Paryżu? Och, nie.

– Tak pomyślałam, patrząc na pani ubranie. Wygląda pani jak paryżanka.

Alicja wymieniła spojrzenia z małym Julianem, a ten, nieustannie urzeczony, pokiwał głową, jakby cały ten pomysł z Paryżem pochodził od niego, a nie od matki.

– Zna pani Paryż? – zapytała Alicja.

– Nie. To znaczy tylko z książek. Ale w przyszłym roku pojedziemy tam, żeby uczcić naszą rocznicę ślubu.

– To się nazywa dobry mąż!

– Ach, nie. On jeszcze o niczym nie wie.

Bea zachichotała nerwowo. Było w spojrzeniu tej kobiety coś, co rozwiązywało jej język.

Alicja mrugnęła do niej porozumiewawczo.

– Tym lepiej. Na świecie są rzeczy zbyt ważne, żeby zostawiać je w rękach mężczyzn.

– Jest pani u nas po raz pierwszy? – zapytała Bea, która pragnęła jak najszybciej zmienić temat.

– Nie. Kiedy byłam małą, często przychodziłam tu z rodzicami. W tej księgarni mama kupiła mi pierwszą książkę... Ale od tego czasu upłynęło już bardzo wiele lat. To było jeszcze przed wojną. Mam bardzo dobre wspomnienia związane z tą księgarnią, dlatego pomyślałam sobie, że to idealne miejsce, żeby zacząć kompletować nową bibliotekę.

Beę miło połechtła zawołowana obietnica większych zakupów. Od dłuższego czasu doświadczali handlowej posuchy i te słowa zabrzmiały jak niebiańska muzyka.

– Jesteśmy do usług. Jeśli zainteresuje panią coś, czego nie mamy na miejscu, możemy sprowadzić dowolną książkę w ciągu kilku godzin, najwyżej dni.

– Bardzo się cieszę. Pani jest właścicielką?

– Mam na imię Bea. Księgarnia należy do mojego teścia, ale właściwie pracujemy w niej wszyscy.

– Pani mąż też? To prawdziwe szczęście.

– Nie wiem, czy mogę się z panią zgodzić – zazartowała Bea. – Ma pani męża?

– Nie.

Bea przełknęła ślinę. Ponownie powiedziała o zdanie za dużo. Już dwa razy zadała tej obiecującej klientce osobiste pytanie, niemające nic wspólnego z tematem rozmowy. Alicja wyczytała w jej spojrzeniu zakłopotanie i uśmiechnęła się.

– Nic się nie stało, Beo. Mam na imię Alicja.

Podła jej rękę, którą Bea uścisnęła. Czujny Julián uniósł swoją łapkę, żeby zobaczyć, co się stanie. Alicja z całą powagą podała mu dłoń. Bea się roześmiała.

– Z pani podejściem zdecydowanie powinna pani pomyśleć o dzieciach.

Zanim skończyła wymawiać te słowa, ugryzła się w język. Znowu za późno.

Bea, na miłość boską! Przestań paplać jak głupia!

Jednak Alicja całkowicie zignorowała tę uwagę, gdyż zdążyła już oddać się kontemplacji półek wypełnionych książkami, unosząc dłoń ku ich grzbietom, jakby chciała je pogłodzić. Bea wykorzystwała to, że klientka odwróciła się do niej plecami, żeby jeszcze raz uważnie zlustrować ją wzrokiem.

– Dla kolekcjonerów mamy specjalne zniżki...

– Najchętniej bym tu po prostu zamieszkała – westchnęła Alicja.

Bea znów się zaśmiała, tym razem jednak niezbyt szczerze, i spojrzała na syna, który z przyjemnością wręczyłby nieznajomej klucze.

– Steinbeck... – mruknęła Alicja.

– Mamy nowe wydanie kilku jego powieści. Świeżutka rzecz...

Alicja wzięła jedną z nich, otworzyła na chybił trafił i przeczytała kilka zdań.

– To czysta muzyka. Jakbym czytała nuty z pięciolinii.

Bea zrozumiała, że mówi do siebie, że zagubiła się zupełnie w książkach, zapominając o niej i o dziecku. Zostawiła ją więc w spokoju, żeby rozejrzała się po księgarni. Alicja brała od czasu do czasu jakiś tom z półki i kładła na kontuarze. Kwadrans później powstał z nich imponujący stos.

– Możemy dostarczyć pani zamówienie do domu.

– Proszę sobie nie robić kłopotu. Przyślę kogoś po nie jeszcze dziś po południu. Ale tę książkę wezmę ze sobą. Przekonała mnie kartka, którą znalazłam w środku. „Rekomendacja Fermina: *Grona gniewu* szelmy Janka Steinbecka to prawdziwa literacka symfonia, zalecana szczególnie tym, którzy chcieliby zapobiec zainfekowaniu wszechobecnymi objawami zakaźnego debilizmu oraz uelastyczyć tkankę mózgową, nieustannie narażoną na zwapnienie w związku z ciągłą ekspozycją na oficjalnie obowiązujący kanon grubiaństwa i prostactwa”.

Bea przewróciła oczyma i odkleiła karteczkę z okładki.

– Przepraszam panią bardzo, te recepty to najnowszy wymysł Fermina. Próbuję wytropić je i wyjąć, zanim którakolwiek wpadnie w ręce klienta, ale on ciągle je przede mną chowa.

Alicja zachichotała. Jej śmiech był zimny, kryształowy.

– Ten Fermín też pracuje w księgarni?

Bea pokiwała głową.

– Coś w tym rodzaju. Sam przedstawia się jako literacki doradca i bibliograficzny detektyw firmy Sempere i Synowie.

– Nie wątpię, że to ciekawa postać.

– Nawet nie ma pani pojęcia, jak bardzo. Prawda, Julianie? Drugiej takiej osoby jak Fermín ze świecą szukać.

Malec zaklaskał w dłonie.

– Pasują do siebie – westchnęła Bea. – Nie wiem, który z nich ma więcej rozsądku.

Bea zaczęła sprawdzać ceny poszczególnych tomów i zapisywać je w księdze rachunkowej. Alicja zauważyła, że czyni to z wprawą, która nie pozostawiała wątpliwości, kto w tym domu odpowiada za finanse.

– Ze zniżką wyjdzie w sumie...

– Poproszę bez zniżki. Wydawanie pieniędzy na książki to dla mnie przyjemność, nie chcę z niej rezygnować.

– Jest pani pewna?

– Najzupełniej.

Alicja zapłaciła za zakupy, Bea zaś zaczęła je pakować dla posłańca, który miał się po nie zjawić.

– Wybrała pani wiele perełek – zauważyła Bea.

– Mam nadzieję, że to dopiero początek bardzo długiej listy.

– Wie pani, gdzie nas szukać.

Alicja wyciągnęła do niej rękę na pożegnanie. Bea ją uścisnęła.

– Miło było panią poznać. Wrócę tu niedługo.

Bea kiwnęła głową z zadowoleniem, choć chwilę później przeszło jej przez myśl, że zabrzmiało to trochę jak groźba.

– Proszę czuć się jak u siebie w domu. Zawsze przywitamy panią z otwartymi ramionami.

Alicja posłała buziaka Julianowi, który patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Bea i syn obserwowali, jak Alicja z kocią gracją wkłada rękawiczki i rusza do

wyjścia, stukając obcasami, które wybijały rytm jej kroków jak buty tancerki flamenco. Właśnie w tej chwili przyszedł Daniel. Bea nie bez złości wbiła wzrok w męża, on zaś z głupkowatą miną otworzył przed nieznajomą drzwi i rozpląnął się w uśmiechu, za który Bea powinna zdzielić go w policzek. Przewróciła oczyma i westchnęła. Julián tymczasem wydawał z siebie dźwięki, jakie zwykł wydawać, kiedy coś mu się bardzo podobało, na przykład słuchając opowieści Fermina albo podczas ciepłej kąpieli.

– Wszyscy jesteście tacy sami – mruknęła Bea.

Daniel stanął przed kontuarem i napotkał zimne spojrzenie żony, świdrujące jak wiertło.

– Kto to był? – zapytał.

27

Alicja szła szybkim krokiem do skrzyżowania z Puerta del Ángel. Dopiero tam, ukryta w tłumie, zatrzymała się przed wystawą Casa Jorba i otarła płynące po policzkach łzy. „To jest moje życie”. Spojrzała na swe odbicie w szybie i poczuła, że wściekłość pali ją od środka.

– Głupia – powiedziała do siebie.

W drodze powrotnej pozwoliła, żeby nogi same poniosły ją ulubioną trasą sprzed lat – pozwalającą przemierzyć dwadzieścia stuleci w dwadzieścia minut. Najpierw skręciła w Puerta del Ángel i dotarła do katedry, tam zagłębiła się w meandry ulicy de la Paja okalającej ruiny rzymskiego muru i prowadzącej do ulicy Aviñón przez żydowską dzielnicę Call. Zawsze wybierała ulice, których nie musiała dzielić z samochodami ani tramwajami. Tu, w sercu starej Barcelony, dokąd nie miały wstępu automobile i żadne inne maszyny samobieżne, Alicja doznała nagle wrażenia, że upływający czas zatacza koncentryczne kręgi i że jeśli nie wynurzy się z labiryntu zaułków, po których nawet słońce przechadza się na palcach, może nigdy się nie zestarzeje, a nawet zdoła powrócić do przeszłości i odnaleźć właściwą drogę, z jakiej

nigdy nie powinna była zboczyć. Może nie jest jeszcze za późno? Może został jej jeszcze jakiś powód, dla którego warto żyć?

Przed wojną, gdy była jeszcze małą dziewczynką, Alicja chadzała tędy wiele razy za rękę z rodzicami. Wspominała, jak mijały z matką witrynę księgarni Sempere i Synowie, a ona zatrzymała się, żeby spojrzeć na obserwującego ją zza szyby chłopca, który sprawiał na niej wrażenie zagubionego. Może był to Daniel? Przypomniała sobie, jak mama kupiła jej pierwszą książkę, którą samodzielnie przeczytała, zbiór wierszy i legend Gustava Adolfa Becquera. I te wszystkie noce, kiedy nie mogła zasnąć, bo wyobrażała sobie, że organista Maese Pérez staje o północy w progu jej sypialni. I to, jak bardzo pragnęła wrócić to tego zakłętego bazaru, gdzie tysiąc i jedna opowieść wydawały się czekać na nią, zapraszać, żeby się w nich zanurzyła. Być może w tym innym życiu Alicja stałaby teraz za kontuarem księgarni, polecając książki kolejnym klientom, zapisując skrzętnie tytuły i ceny w księdze rachunkowej i marząc o podróży do Paryża w towarzystwie Daniela.

Im bardziej zbliżała się do domu, tym bardziej narastało w niej to gorzkie uczucie wściekłości i żalu, ściągające ją z powrotem ku najmroczniejszym zakamarkom jej duszy, do owego ciemnego, pozbawionego okien i luster pokoju, jakim było jej życie. Przez chwilę wyobrażała sobie, że wraca do księgarni na spotkanie tej księżniczki z bajki i jej cherubinka o czarującym uśmiechu. Nieskazitelnej Beatriz. Pragnęła chwycić ją za szyję, wbić paznokcie w alabastrową skórę, przycisnąć do ściany, zbliżyć twarz do twarzy tej szlachetnej niewiasty – tak żeby ona mogła zajrzeć w przepaść czającą się w oczach Alicji – a potem lizać jej wargi, posmakować tego nektaru szczęścia, spijanego z życia przez ludzi, do których, jak twierdził Leandro, ona sama nigdy nie będzie należeć – tych normalnych.

Zatrzymała się na rogu ulic Aviñón i Fernando, zaledwie kilka metrów od własnego domu, i spuściła wzrok. Nagle ogarnął ją wstyd. Usłyszała w głowie śmiech drwiącego z niej Leandra: „Moja droga Alicjo, jesteś dzieckiem mroku i tylko robisz sobie krzywdę tymi rojeniami o byciu boginią domowego ogniska, która czeka na powrót małżonka i roztacza opiekę nad cudownym potomstwem, aż podskakując z radości. Ty i ja jesteśmy, jacy jesteśmy, im rzadziej będziemy spoglądać w lustro, tym lepiej”.

– Dobrze się pani czuje, panienko Alicjo?

Otworzyła oczy i zobaczyła znajomą twarz, fragment przeszłości, który stał się ciałem i stanął przed nią.

– Fernandito?

Szczęśliwy uśmiech zagościł na ustach jej byłego adoratora. Upływ lat zmienił chłopca o skłonny do uniesień sercu i rozgorączkowanej wyobraźni w mężczyznę o dość atrakcyjnej aparycji. A jednak, mimo że minęło tyle czasu, wciąż patrzył na nią tym samym urzeczonym spojrzeniem co wtedy, kiedy przyszedł ją pożegnać na dworcu Francia.

– Tak się cieszę, że znów panią widzę. Nic się pani nie zmieniła. Co ja mówię, wygląda pani znacznie lepiej!

– Patrzysz na mnie łaskawym okiem, Fernandito. Ty za to się zmieniłeś nie do poznania.

– Tak słyszałem – przytaknął ochoczo chłopak, najwyraźniej zadowolony z przemiany.

– Jesteś teraz taki umięśniony – zauważyła Alicja. – Nie wiem, czy wypada mi mówić do ciebie Fernandito. Należałoby zwracać się do ciebie per don Fernando.

Chłopak zaczerwienił się i spuścił wzrok.

– Może pani zwracać się do mnie, jak się pani żywnie podoba.

Nachyliła się i pocałowała go w policzek delikatnie porośnięty szorstkim zarostem. Fernandito najpierw zamarł w bezruchu, a potem w nagłym przypiływie uczuć objął ją z całej siły.

– Świetnie, że wróciła pani do domu. Wszyscy tu za panią ogromnie tęskniliśmy.

– Mogę cię zaprosić na... – Alicja urwała. – Nadal tak bardzo lubisz koktajle mleczne z cynamonem?

– Wolałbym raczej kawę z odrobiną rumu.

– Ach, ten testosteron...

Fernandito się roześmiał. Pomimo całkiem nowych muskułów, rosnącej brody i znacznie niższego niż kiedyś głosu nadal śmiał się jak dziecko. Alicja wzięła go pod ramię i pociągnęła do Gran Café, gdzie zamówiła kawę

z odrobiną najlepszego rumu oraz kieliszek alelli. Wzniesli toast za lata rozłąki i Fernandito, lekko oszołomiony rumem i obecnością Alicji, opowiedział jej, że pracuje jako dostawca w sklepie spożywczym mieszczącym się nieopodal i że ma narzeczoną, dziewczynę o imieniu Candela, którą poznał na katechezie w swojej parafii.

– Brzmi obiecująco – zażartowała Alicja. – To kiedy ślub?

– Ślub? O nie, to tylko pobożne życzenia mojej ciotki Jesusy. Na razie udało mi się wskórać tyle, że dała mi całusa. Uważa, że powinniśmy się widywać tylko w obecności księdza, inaczej to grzech.

– No ale w obecności księdza to żadna przyjemność.

– To samo jej powiedziałem. Poza tym z tej mizernej pensji, jaką płacą mi w sklepie, nieprędko uzbieram na wesele. Musiałem wziąć kredyt na czterdzieści osiem miesięcy, żeby kupić vespę.

– Masz vespę?

– Tak, absolutnie cudowną. Z trzeciej ręki, ale oddałem ją do warsztatu, po odmalowaniu wygląda prawie jak nowa. Kiedyś muszę panią zabrać na przejażdżkę. Warto było wziąć pożyczkę, chociaż będę ją spłacał i spłacał. Teraz cała rodzina ma kłopoty, odkąd tata zachorował i przestał pracować w La Seda. Opary kwasu zniszczyły mu płuca.

– Bardzo mi przykro, Fernandito.

– Takie jest życie. Ale na razie z mojej pensji musi się utrzymać cała rodzina, więc rozglądam się za inną pracą.

– A co chciałbyś robić?

Spojrzał na nią z zagadkowym uśmiechem.

– Wie pani, o czym zawsze marzyłem? O tym, żeby pracować z panią.

– Przecież nawet nie wiesz, czym się zajmuję.

– Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam, pani Alicjo.

– Nigdy nie uważałam, że jesteś głupi.

– Trochę naiwny owszem, może powoli kojarzę fakty, zresztą nie będę pani opowiadał o rzeczach, o których doskonale pani wie, ale starcza mi szarych komórek, żeby się domyślić, że pani praca wiąże się ze światem intryg i tajemnic.

Uśmiechnęła się.

– Cóż, pewnie można to tak nazwać.

– Nic nikomu nie mówiłem, żeby było jasne. Potrafię trzymać język za zębami.

Alicja spojrzała mu w oczy. Fernandito przełknął ślinę. Spoglądanie w czającą się w źrenicach Alicji przepaść zawsze sprawiało, że serce zaczynało bić mu szybciej.

– Naprawdę chciałbyś ze mną pracować? – zapytała w końcu.

Oczy Fernandita zrobiły się wielkie jak spodki.

– O niczym na świecie bardziej nie marzę.

– Nawet o ślubie z Candelitą?

– Niech pani nie będzie taka złośliwa. Czasem jest pani zbyt szorstka, pani Alicjo.

Pokiwała głową, przyznając mu rację.

– Nie chciałbym, żeby pani pomyślała, że robię sobie jakieś nadzieje. Wiem, że nigdy nie pokocham nikogo tak bardzo, jak kochałem panią, ale to wyłącznie mój problem. Już dawno temu zrozumiałem, że pani nie pokocha mnie nigdy.

– Fernandito...

– Proszę dać mi skończyć, jak już raz zebrałem się na odwagę, chciałbym powiedzieć wszystko, co mam do powiedzenia, bo chyba już nigdy więcej nie będę miał śmiałości, żeby wyznać, co czuję.

Alicja skinęła głową.

– Chciałem tylko powiedzieć, tak, wiem, to nie moja sprawa, i proszę się na mnie nie gniewać, że w ogóle o tym mówię, oczywiście rozumiem, że nie zakocha się pani we mnie, jestem tylko biednym głupcem, ale któregoś dnia po prostu będzie pani musiała kogoś pokochać, bo życie jest zbyt krótkie i zbyt podłe, żeby iść przez nie tak... bez nikogo.

Alicja spuściła wzrok.

– Nie wybieramy tego, w kim się zakochujemy, Fernandito. Może po prostu nie potrafię pokochać nikogo. I nie potrafię pozwolić nikomu, żeby pokochał mnie.

– Nie wierzę w to. A poza tym myślałem, że ten wysoki policjant, który do pani przychodzi, to pani narzeczony.

– Vargas? Nie. To tylko kolega z pracy. I chyba dobry przyjaciel. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Może ja też mógłbym nim być.

– Przyjacielem czy kolegą z pracy?

– I jednym, i drugim. Jeśli tylko się pani zgodzi.

Alicja milczała długą chwilę. Fernandito też nie powiedział nic więcej, wpatrzony w nią z nabożnym oddaniem.

– A jeśli to niebezpieczne? – zapytała Alicja.

– Bardziej niż wnoszenie pudeł pełnych butelek po stromych i wąskich klatkach schodowych naszej dzielnicy?

Pokiwała głową.

– Jak tylko panią poznałem, wiedziałem, że jest pani niebezpieczna, pani Alicjo. Proszę tylko, żeby dała mi pani szansę. Jeśli okaże się, że to robota nie dla mnie, po prostu mnie pani wyleje. Bez żadnych skrpułów. Co pani na to?

Fernandito wyciągnął do niej rękę. Zamiast ją uścisnąć, Alicja uniosła ją do ust i ucałowała, jak całuje się dłoń damy, a potem położyła na swoim policzku. Chłopak zaczerwienił się po same uszy.

– Zgoda. Tydzień próby. Jeśli po tym czasie stwierdzisz, że ci to nie odpowiada, rozwiążemy umowę.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Dziękuję, bardzo dziękuję. Nie zawiodę. Przysięgam.

– Wiem, Fernandito. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Będę musiał nosić broń? Tak tylko pytam, w razie czego mój ojciec ma schowany karabin z czasów, kiedy był republikańskim ochotnikiem.

– Wystarczy, że uzbroisz się w rozwagę i ostrożność.

– I na czym ma polegać ta misja?

– Będziesz moimi oczyma.

– Tak jest!

– Ile zarabiasz w miesiąc w tym sklepie?

– Bidę z nędzą i kilka groszy.

– Pomnóż to przez cztery i będzie to twoja tygodniówka. Plus nagrody i premie. I będę ci spłacać raty za vespę. Na początek. Czy to cię satysfakcjonuje?

Fernando pokiwał głową zahipnotyzowany.

– Wie pani przecież doskonale, że dla pani pracowałbym za darmo. A nawet bym dopłacił.

Alicja pokręciła głową.

– Nie, Fernandito, etap pracy za darmo możesz uznać za zakończony. Witaj w świecie kapitalizmu.

– Mówią, że kapitalizm to czyste zło.

– Jest jeszcze gorzej, niż mówią. Będziesz zadowolony.

– Kiedy mam zacząć?

– Natychmiast.

28

Vargas złapał się za brzuch, jakby dorobił się właśnie koszmarnego wrzodu żołądka.

– Że co? Obiecała pani temu smarkaczowi...

– Ma na imię Fernandito. I nie jest już żadnym smarkaczem. A w dodatku ma vespę.

– Matko Boska! Nie wystarczy pani, że komplikuje pani życie mnie, musi pani jeszcze wplątywać w swoje intrygi niewinnych ludzi?

– O to właśnie chodzi. W tym przedsięwzięciu brakowało nam dotąd kogoś niewinnego.

– Myślałem, że ta rola obsadzona jest już przez Rovirę, który, nawiasem mówiąc, śledził mnie dziś przez cały ranek. Myślałem, że kazali mu śledzić panią?

– Może wcale nie jest takim niezdara, na jakiego wygląda.

– A jaką rolę ma odegrać w całej intrydze nasz młody Fernandito? Dostarczyć świeżej krwi do kąpieli hrabinie Batory?

– Z dnia na dzień sprawia pan na mnie wrażenie coraz bardziej odczytanego, panie kapitanie. Ale tu się pan myli, Fernando nie poświęci ani kropli krwi. Co najwyżej potu.

– I łez. Proszę nie myśleć, że nie zauważyłem, jak patrzy na panią wzrokiem zranionej sarenki.

– Kiedy pan to zauważył?

– Kiedy hipnotyzowała go pani w kawiarni na dole. Wyglądaliście jak dorodna kobra i jej króliczek.

– Myślałam, że śledzi mnie tylko Rovira.

– Akurat przechodziłem obok. Wracałem z Metrobarny.

Alicja mruknęła coś pod nosem, nie przywiązując do całej sprawy zbytnej wagi. Nalała sobie białego wina do eleganckiego kieliszka, skosztowała pierwszy łyk i oparła się na stole.

– Niech pan zapomni na chwilę o Fernandicie i opowie mi, jak panu poszło.

Vargas westchnął i opadł ciężko na kanapę.

– Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od początku.

Vargas streścił przebieg wizyty w firmie Metrobarna i swoje z niej wrażenia. Alicja słuchała uważnie, spacerując po pokoju z kieliszkiem w ręku. Milczała, od czasu do czasu kiwała głową. Kiedy Vargas skończył składać swój raport, Alicja podeszła do okna, dopiła wino, a potem odwróciła się do policjanta z miną, która bardzo go zaniepokoiła.

– Dużo myślałam.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

– To wszystko, czego dowiedział się pan dziś o dobrze wżenionym panu Sanchisie, jego szoferze, tropie powiązanim z książkami Mataixa, adwokacie Briansie i rodzinie Sempere...

– Proszę nie zapominać o pani byłym koledze, niewidzialnym inspektorze Lomanie.

– Pamiętam i o nim. Problem w tym, że nie uda nam się pociągnąć za te wszystkie sznurki. A węzeł się zaciska.

– Wokół naszych szyj?

– Wie pan, o czym mówię. Wszystkie te sznurki są w jakiś sposób splątane. Jest między nimi związek. Im mocniej za nie pociągniemy, tym bliżej znajdziemy się rozwiązania.

– Kiedy zaczyna pani używać tych swoich metafor, kompletnie się gubię.

– Czekamy na jakiś fałszywy krok, tylko tyle chcę powiedzieć.

– W ten sposób rozwiązuje pani sprawy? Stawiając fałszywe kroki?

– O wiele skuteczniej jest pozwolić, żeby inni popełniali błędy, niż wierzyć, że ty trafisz w sedno za pierwszym razem.

– A jeżeli to my popełnimy błąd?

– No cóż, jeśli ma pan jakąś inną propozycję, zamieniam się w słuch.

Vargas uniósł ramiona w geście kapitulacji.

– A ten cały Fernandito? Co on będzie robił?

– Będzie naszymi oczyma tam, gdzie nie będziemy mogli zjawić się sami. Nikt nie wie, kim jest, nikt nie zwróci na niego uwagi.

– Coś mi się wydaje, że powoli zmienia się pani w Leandra.

– Vargas, będę udawać, że tego nie słyszałam.

– Może pani udawać, co się pani żywnie podoba. W jaki sposób ma pani zamiar złożyć gołąbka w ofierze?

– Na początek Fernandito będzie śledził Sanchisa. Podział zadań sprzyja produktywności.

– Wietrzę jakiś podstęp. A ja? Co mam robić?

– Właśnie się nad tym zastanawiam.

– Pewnie znów pani kombinuje, jak się mnie pozbyć.

– Proszę nie opowiadać głupstw. Kiedy zrobiłam coś podobnego?

Vargas mruknął coś pod nosem.

– A zanim wymyśli mi pani misję, czym się pani zajmie?

– Poświęcę czas i uwagę rodzinie Sempere.

W tej chwili rozległ się za drzwiami hałas, jakby ktoś upuścił na podłogę spory pakunek. Po chwili rozległ się dźwięk dzwonka.

– Czeka pani na kogoś? – zapytał policjant.

– Może pan otworzyć?

Vargas podniósł się niechętnie i podszedł do drzwi. Czerwony Fernandito stał na progu, dysząc ciężko.

– Dzień dobry – powiedział. – Przyniosłem książki dla pani Alicji.

Fernandito wyciągnął do Vargasa rękę w pojednawczym geście, policjant jednak udał, że tego nie zauważa.

– Alicjo, to ten chłopiec na posyłki.

– Niech pan się nie wygłupia i go wpuści. – Alicja sama podeszła do drzwi. – Wejdz, Fernandito. Nie zwracaj na niego uwagi.

Na jej widok twarz chłopaka pojaśniała. Podniósł pudło z książkami i pewnym krokiem wszedł do środka.

– Przepraszam – rzucił do Vargasa. A potem zapytał Alicję: – Gdzie je położyć?

– O tutaj, obok półki.

Fernandito odstawił paczkę, odetchnął głęboko i otarł kapiący z czoła pot.

– Dałeś radę to wszystko przytachać?

Fernandito wzruszył ramionami.

– Przywiozłem paczkę na motorze. Najgorsze było tachanie po schodach. Jak nigdy zatęskniłem za windą.

– Jesteś prawdziwym bohaterem, Fernandito – powiedział Vargas. – Wręczyłbym ci jakieś specjalne odznaczenie, ale nie mam nic pod ręką.

Fernandito puścił mimo uszu sarkastyczny komentarz policjanta i skupił uwagę na Alicji.

– Ale nie zmęczyłem się za bardzo, pani Alicjo. Nosilem już cięższe sprawunki.

– Teraz rozumiem, skąd te mięśnie. No dobrze, panie Vargas, proszę mu zapłacić.

– Słucham?

– Zaliczka za usługi, które dla nas świadczy. I proszę dać mu na benzynę.

– Ale dlaczego ja mam za to płacić?

– Przecież pan zawiaduje funduszem na bieżące wydatki. Jest pan skarbnikiem. Proszę nie robić takiej miny.

– Jakiej miny?

– Jakby miał pan zapalenie pęcherza. No już, niech pan sięgnie po portfel.

– Proszę pana, jeśli to jakiś problem... – zaczął nieśmiało Fernandito, którego sroga mina Vargas'a zbijała nieco z tropu.

– Żaden problem! – ucięła Alicja. – Kapitanie?

Vargas prychnął i wyciągnął portfel. Wyjął z niego dwa banknoty i wręczył chłopakowi.

– Więcej – szepnęła Alicja.

– Proszę?

– Niech pan mu da przynajmniej dwa razy tyle.

Vargas wyjął kolejne dwa banknoty i podał je Fernanditowi. Chłopak, który chyba nigdy w życiu nie widział tyle pieniędzy naraz, przyjął je zdumiony.

– Nie wydaj wszystkiego na słodycze – mruknął policjant.

– Nie będzie pani żałować, pani Alicjo. Bardzo dziękuję.

– Słuchaj, chłopcze, to ja tutaj płacę! – przypomniał Vargas.

– Mogę poprosić cię o przysługę? – Alicja jakby tego nie słyszała.

– Oczywiście.

– Skocz mi po papierosy.

– Jasny tytoń, amerykańskie?

– Jesteś niezastąpiony.

Fernandito zniknął na schodach. Sądząc po odgłosach, przeskakiwał po

dwa stopnie naraz.

– Niezłego ministranta sobie pani wynalazła – powiedział Vargas.

– Jest pan po prostu zazdrosny – stwierdziła Alicja.

– Jasne.

– A to co? – zapytała, wskazując na przyniesiony przez Vargasa obraz.

– Pomyślałem, że będzie się świetnie prezentować nad pani kanapą.

– Rozumiem, że autorem jest pański nowy przyjaciel, ulubiony malarz pana Sanchisa.

Policjant pokiwał głową.

– Sądzi pan, że to Sanchís jest naszym kolekcjonerem?

Vargas rozłożył ręce.

– A szofer?

– Morgado. Dzwoniłem już na komendę, żeby sprawdzili, czy coś o nim wiedzą. Jutro powinienem uzyskać odpowiedź.

– Mam wrażenie, że coś pana trapi.

– Myślę, chociaż niełatwo mi się do tego przyznać, że może pani mieć rację. Pętla, czy cokolwiek to jest, się zaciska.

– Nie wydaje się pan do końca przekonany.

– Nie jestem. Coś mi w tym wszystkim nie pasuje.

– Co?

– Kiedy już będę wiedział, zaraz pani o tym powiem. Ale mam wrażenie, że patrzemy na całą sprawę pod złym kątem. Proszę mnie nie pytać dlaczego. Po prostu bebechy mi podpowiadają.

– Mam podobne przeczucia – przyznała Alicja.

– Opowie pani o tym Leandrowi?

– Coś będę musiała napomknąć.

– Jeśli wolno mi coś zasugerować, proszę wyciąć Fernandita z kroniki filmowej.

– Nie miałam zamiaru o nim wspominać.

Po chwili usłyszeli kroki chłopaka, który co sił w nogach pędził w górę po

schodach.

– Niech mu pan otworzy, proszę. I niech się pan postara być dla niego choć trochę miłszy. Chłopak potrzebuje solidnego męskiego wzorca, jeśli ma wyrosnąć na człowieka.

Vargas pokiwał głową i ruszył ku drzwiom. Fernandito stał w progu z paczką papierosów w ręku.

– Wejź, kurczaczku. Kleopatra czeka niecierpliwie.

Fernandito pognał wręczyć jej papierosy, Alicja otworzyła paczkę z uśmiechem i włożyła jednego do ust. Chłopak natychmiast sięgnął po zapalniczkę.

– Palisz, Fernandito?

– Nie, nie... Ale czasem używam jej zamiast latarki, klatki schodowe w okolicy bywają ciemniejsze niż paszcza wilka.

– Widzi pan, Vargasie? Nie mówiłam, że Fernandito nadaje się na detektywa?

– Tak, tak, od razu pomyślałem: Marlowe w wieku młodzieńczym.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Fernandito. Kiedy mężczyźni posuwają się w latach, zazwyczaj gorzknieją. Tak zapewne działa chinina zawarta w siwych włosach.

– To się nazywa keratyna – wtrącił Vargas.

Alicja machnęła ręką, jakby chciała dać Fernanditowi do zrozumienia, żeby nie przejmował się Vargasem.

– Mogę cię prosić o kolejną przysługę, Fernandito?

– Bez dwóch zdań.

– Tym razem chodzi o coś trudniejszego. O twoją pierwszą misję.

– Zamieniam się w słuch.

– Chciałabym, żebyś podjechał na Paseo de Gracia, a dokładnie pod numer sześć.

Vargas spojrzał na nią z wyraźnym niepokojem. Alicja położyła palec na ustach.

– Mieści się tam siedziba firmy Metrobarna.

– Znam ich.

– Tak?

– Są właścicielami połowy tej dzielnicy. Skupują grunty, wysiedlają biedaków z ich mieszkań, dając groszowe odszkodowania, a potem odsprzedają je dziesięć razy drożej.

– No popatrz, niezłe z nich cwaniaki. Okazuje się, że dyrektor generalny firmy nazywa się Ignacio Sanchís. Chcę, żebyś śledził go za każdym razem, kiedy wyjdzie z gabinetu. Masz chodzić za nim jak cień. A potem mi opowiesz, co robi, gdzie chodzi, z kim rozmawia... Wszystko. Dasz radę zrobić to na vespie?

– To królowa szos! Nawet Nuvolari mi nie ucieknie!

– Jutro o tej samej porze spotkamy się i opowiesz mi wszystko, co udało ci się ustalić. Jakież wątpliwości?

Vargas podniósł rękę.

– Pytałam Fernandita.

– Wszystko jasne jak słońce.

– No to do dzieła. I witaj w świecie intryg.

– Nie zawiodę pani. Pana też nie, kapitanie.

Fernandito ruszył na poszukiwanie wielkiej przygody w świecie detektywów i kryminalnych zagadek. Vargas z otwartymi ze zdumienia ustami obserwował Alicję, która z kocią miną paliła papierosa.

– Czy pani upadła na głowę?

Udała, że nie słyszy pytania. Podniosła wzrok i wyjrzała przez okno – zasłona chmur pełzła powoli od morza ku miastu. Promienie zachodzącego słońca podbarwiały ją na różowo, ale w środku kłębiła się gęsta i mętna sieć czarnych nici. Alicja zauważyła iskrę przeskakującą między chmurami niczym wielkie bengalskie ognie.

– Nadciąga burza – mruknął za jej plecami Vargas.

– Jestem głodna – powiedziała Alicja, odwracając się do niego.

Wydawał się zaskoczony.

– W życiu się nie spodziewałem, że usłyszę to zdanie z pani ust.

- Zawsze musi być pierwszy raz. Zaprosi mnie pan na kolację?
- Nie wiem za co. Oddałem całą gotówkę pani adoratorowi. Jutro muszę pójść do banku, żeby wypłacić pieniądze.
- Ograniczymy się do tapas...
- Dobrze, niech pani wybierze miejsce.
- Zna pan Barcelonetę?
- Chyba do szczęścia wystarczy mi zwykła Barcelona.
- Ma pan ochotę na dobrą bombę?
- Słucham?
- Taką pikantną. Do jedzenia.
- Nie wiem czemu, odnoszę wrażenie, że to pani kolejny podstęp.

29

Ruszyli w stronę portu pod niebem od czasu do czasu przetykanym światłami błyskawic. Maszty statków chygotały się na wietrze, który ciągnął od morza i pachniał elektrycznością.

- Zbiera się na niezłą burzę – przepowiedział Vargas.

Minęli stojące w rzędzie wzdłuż basenu portowego hangary, wielkie i ciemne jak jaskinie, przypominające hale targowe.

- Mój ojciec kiedyś pracował tutaj, w dokach – poinformowała Vargas Alicja.

Kapitan milczał chwilę, czekając, że może powie coś więcej. W końcu rzekł:

- Myślałem, że jest pani sierotą.
- Nie urodziłam się sierotą.
- Kiedy pani ich straciła? Rodziców znaczy.

Alicja zapięła płaszcz pod samą szyję i przyspieszyła kroku.

– Musimy iść szybciej albo ulewa przemoczy nas do nitki.

Kiedy dotarli do Barcelonety, spadły pierwsze krople deszczu. Były to pojedyncze i grube krople, jak kule wody rozbryzgujące się o bruk, odbijające się rykoszetem od tramwajów, które mknęły bulwarem ciągnącym się wzdłuż nabrzeża. Vargas ujrzał przed sobą dzielnicę usianą domkami stojącymi przy krętych uliczkach pokrywających gęstą siatką teren na kształt półwyspu, który z daleka zdawał się wielkim cmentarzem.

– Czy to jakaś wyspa? – zapytał.

– Cóż, był pan blisko. Teraz to dzielnica rybaków.

– A wcześniej?

– Ma pan ochotę na lekcję historii?

– Tak, może nabiorę apetytu na te pani bomby...

– Kilka wieków temu to, co pan przed sobą widzi, było morzem – zaczęła Alicja. – Z czasem zbudowano tu falochron, a z piasku i odpadów przynoszonych przez morskie fale zaczęła się formować mała wysepka.

– Skąd pani wie to wszystko?

– Czytam książki. Niech pan kiedyś spróbuje, polecam. Podczas wojny o sukcesję wojska Filipa Piątego zburzyły sporą część dzielnicy La Ribera, żeby zbudować cytadelę. Po wojnie wiele osób, które straciły domy, przeprowadziło się tutaj.

– To dlatego wy, barcelończycy, jesteście tak zaprzysięgłymi monarchistami? – Vargas nie mógł pohamować sarkazmu.

– Po części dlatego. Poza tym lubimy robić wszystko na przekór, to dobrze wpływa na krążenie.

Pierwsze strugi ulewy spadły na nich, kiedy dochodzili do wąskiego zaułka. Zatrzymali się przed wejściem do lokalu, który wydawał się skrzyżowaniem portowej tawerny i przydrożnego baru: na pewno nie wygrałby żadnego konkursu piękności, ale dochodzące ze środka zapachy obudziłyby apetyt największego niejadka. Nad drzwiami wisiał szyld: LA BOMBETA.

Grupka stałych bywalców rżnących zawzięcie w karty uniosła głowy, żeby zlustrować ich spojrzeniami. Kelner o szorstkich manierach skinął na nich zza

kontuaru i wskazał stojący w rogu stolik, z daleka od zamieszania panującego w środkowej części sali.

- Nie pomyślałbym, że to odpowiednie miejsce dla pani, pani Alicjo.
- Tu się nie przychodzi w odwiedziny, tu się przychodzi na bomby.
- Czuję, że ma pani coś jeszcze w zanadru.
- Tak. I to całkiem blisko.
- Blisko czego?

Alicja wyjęła z kieszeni kawałek papieru i położyła go na stole. Vargas natychmiast rozpoznał etykietę oderwaną przez Alicję tego dnia rano z jednego z pudeł naszykowanych do przeprowadzki.

– Magazynu, w którym Brians złożył tymczasowo wszystkie papiery ze swojego archiwum.

Vargas przewrócił oczyma.

– Oj, niech pan nie zgrywa takiego sztywniaka. Chyba nie myślał pan, że podadzą nam wszystko na tacy.

– Ale miałem nadzieję, że nie będę musiał łamać prawa.

Niezbyt uprzejmy kelner stanął wreszcie przy ich stoliku i przeszył ich pytającym wzrokiem.

– Chcielibyśmy cztery bomby i dwa piwa – zamówiła Alicja, wciąż wpatrując się w Vargasa.

– Beczkowe czy estrella?

– Estrella.

– *Pan con tomate?*

– O tak, prosimy. Dwie kromki, najlepiej przypieczone.

Kelner pokiwał głową i odszedł bez dalszych ceregieli.

– Zawsze się zastanawiałem, dlaczego wcieracie pomidory w chleb – powiedział Vargas.

– A ja, czemu nikt inny na świecie tego nie robi.

– Jakie jeszcze niespodzianki ma pani dla mnie, oprócz planowanej kradzieży z włamaniem?

– Bez przesady z tym włamaniem. To pewnie jakiś opuszczony barak zamieszkały przez szczury i pająki.

– Rzeczywiście, brzmi bardzo kusząco. Nie sposób odmówić. Jakie jeszcze piekielne machinacje chodzą pani po główce?

– Myślałam o tym kretynie, z którym pan się spotkał. O Cascosie. Pracowniku Vallsa w wydawnictwie Ariadna.

– Ach tak, biedny zdradzony kochanek...

– Pablo Cascos Buendía – wyrecytowała Alicja. – Dawny narzeczony Beatriz Aguilar. Nie mogę przestać się zastanawiać nad tym dziwnym zbiegiem okoliczności. A panu nie wydaje się to wszystko podejrzane?

– A co nie jest podejrzane w całej tej sprawie?

– Wszechmogący minister, który potajemnie grzebie w rodzinnej historii barcelońskich księgarzy...

– Ustaliliśmy chyba, dlaczego interesował się tą rodziną? Podejrzewał, że łączyło ją coś z Davidem Martinem, którego z kolei podejrzewano, że stoi za zamachami na ministra i anonimowymi pogrózkami. – Tym razem Vargas nie krył sceptycyzmu.

– No dobrze, ale co niby ma wspólnego David Martín z rodziną Sempere? Jaki jest jej udział w całej tej historii? – zastanawiała się na głos Alicja. Po chwili milczenia dodała: – W tym jest jakiś sekret. Właśnie w tej rodzinie.

– Dlatego postanowiła pani złożyć państwu Sempere wizytę, nic mi o niej nie mówiąc?

– Potrzebowałam czegoś nowego do czytania.

– Mogła pani kupić w kiosku komiks. Zbliżanie się do ich księgarni może być bardzo niebezpieczne.

– Boi się pan rodziny księgarzy?

– Obawiam się, że możemy wejść na jakąś minę.

– Sądzę jednak, że warto zaryzykować.

– Tę decyzję podjęła pani bez konsultacji ze mną.

– Zostałyśmy z Beatriz Aguilar bardzo dobrymi przyjaciółkami – ciągnęła Alicja. – Naprawdę urocza osoba. Zakochałby się w niej pan od pierwszego wejrzenia.

– Panno Alicjo...

Uśmiechnęła się złośliwie. Piwo i talerz z bombami dotarły w odpowiedniej chwili, najlepszej, by przerwać konwersację, która zaczęła niebezpiecznie dryfować w kierunku kłótni. Vargas spojrział na ten dziwny wynalazek, coś jakby panierowaną kulę z ziemniaków faszerowaną mielonym mięsem.

– A jak to się właściwie je?

Alicja nadziała bombę na widelec i zanurzyła w niej zęby. Na ulicy burza rozszalała się na dobre, kelner stał w drzwiach i przyglądał się ulewie. Vargas patrzył, jak Alicja rzuca się na jedzenie. Było w niej coś, z czego wcześniej nie zdawał sobie sprawy.

– Więc odżywa pani dopiero w nocy...

Alicja upiła łyk piwa i spojrzała mu w oczy.

– Tak, jestem nocnym zwierzęciem.

– Że też zauważyłem to dopiero teraz.

30

Burza zostawiła po sobie w spadku mgłę zasnuwającą uliczki Barcelonety i błyszczącą w świetle latarni. Kiedy wyszli na ulicę, padały zaledwie pojedyncze krople, a w oddali pobrzmiwało jeszcze echo dalekich grzmotów. Adres ukradziony przez Alicję podczas wizyty u adwokata Briansa wskazywał, że magazyn, w którym prawnik zamierzał przechować swoje meble, dokumenty i całą kolekcję gratów gromadzonych przez dziesięciolecia, znajduje się na terenie przedsiębiorstwa Vapor Barcino, starej fabryki kotłów i lokomotyw, opuszczonej podczas wojny domowej. Po kilkuminutowym spacerze po zimnych i wyludnionych ulicach dotarli na miejsce. Pod stopami poczuli podkłady starych torów kolejowych, które gubiły się gdzieś na parceli. Wielki kamienny portyk z napisem VAPOR BARCINO strzegł wejścia na tę

ziemię jałową porzuconych hal produkcyjnych i nieużywanych magazynów, przypominającą cmentarzysko cudów z epoki maszyn parowych.

– To na pewno tutaj? – zapytał Vargas.

Alicja przytaknęła i ruszyła przodem. Minęli lokomotywę osiadłą na mieliźnie rozległej kałuży, leżały w niej taczki, rury i szkielet kotła, w którym zagnieździło się stado mew. Nieruchome ptaki obserwowały każdy ich krok błyszczącymi w półmroku oczyma. Rząd słupów podtrzymywał płataninę kabli, z których zwisały lampy rzucające wątłe światło. Na każdej z hal produkcyjnych wisiała drewniana tabliczka z numerem.

– Szukamy hali numer trzy.

Vargas rozejrzał się wokół. Dwa wygłodniałe koty pomiaukiwały skulone w jakimś ciemnym kącie. Powietrze pachniało węglem i siarką. Przeszli obok pustej stróżówki.

– Nikt nie pilnuje tego interesu?

– Sądzę, że mecenas Brians jest zwolennikiem takich rozwiązań – zauważyła Alicja.

– Adwokat przegranych spraw – przypomniał Vargas. – Pewne rzeczy się nie zmieniają...

Podeszli do wejścia do hali oznaczonej numerem trzy. Świeże ślady opon ciężarówki należącej, jak podejrzewali, do firmy przeprowadzkowej odcisnęły się w błocie przed drewnianymi wrotami zaryglowanymi żelazną sztabą. W drewnianej bramie wycięte były niewielkie drzwiczki zamknięte na zardzewiały łańcuch i kłódkę wielkości pięści.

– Ma pan dziś pod dostatkiem brutalnej siły? – zapytała Alicja.

– Chyba nie sądzi pani, że przegryzę tę kłódkę? – zaprotestował Vargas.

Policjant wyjął rewolwer i przyłożył lufę do otworu kłódki.

– Proszę się odsunąć – polecił.

Alicja zakryła uszy dłońmi. Echo wystrzału rozniosło się po opuszczonych budynkach. Roztrzaskana na kawałki kłódką upadła do stóp Vargasa i pociągnęła za sobą łańcuch. Detektyw schował rewolwer i kopnął drzwi, które ustąpiły.

Ich oczom ukazała się pajęczyna cieni zasnuwających wewnątrz, które

przywodziło na myśl ruiny zamczyska. Sieć kabli upstrzonych gołymi żarówkami zwisała ze sklepienia. Vargas, śledząc bieg okablowania, dotarł do tablicy rozdzielczej na ścianie i wcisnął główny przycisk. Żarówki, zaledwie struzki żółtawego, migającego poblasku, zapaliły się jedna po drugiej jak oświetlenie jakiegoś widmowego przedstawienia. Instalacja delikatnie buczała, a jej odgłos przypominał bzyczenie krążącej gdzieś w ciemnościach chmary owadów.

Ruszyli przed siebie korytarzem wiodącym przez centralną część hali. Po obu jego stronach znajdowały się pomieszczenia zamknięte żelaznymi kratami. Przy wejściu do każdego z nich wisiała tabliczka z numerem depozytu, miesiącem i rokiem, kiedy upływała ważność umowy na jego wynajem, oraz nazwisko właściciela lub nazwa firmy magazynujących tu swoją własność. Każde z tym pomieszczeń stanowiło osobny świat. W pierwszym magazynie dostrzegli skomplikowane budowle ze starych, spiętrzonych maszyn do pisania, liczydeł i kas. W kolejnym złożono niewiarygodną kolekcję krucyfiksów, posągów świętych, konfesjonałów i ambon.

– Nic, tylko zakładać klasztor. Całe wyposażenie już jest – zauważyła Alicja.

– Może jeszcze nie jest dla pani za późno...

Dalej napotkali rozmontowaną karuzelę i rozmaite pozostałości po wesołym miasteczku złożonym tu na wieczne odpoczywanie. Zafascynowała ich znajdująca się po drugiej stronie korytarza kolekcja trumien i innych przedmiotów stanowiących pewnie majątek ruchomy dziewiętnastowiecznego zakładu pogrzebowego. Dostrzegli wśród nich nawet katafalk ze szklanymi ściankami i aksamitnym łóżem, na którym odcisnął się ślad ciała jakiegoś szacownego nieboszczyka.

– Mój Boże... – mruknął Vargas. – Skąd to się tu wzięło?

– Podejrzewam, że to własność zubożałych rodów, firm, co to jeszcze przed wojną zdążyły zbankrutować, albo przedsiębiorstw, które nie wytrzymały próby czasu.

– Myśli pani, że ktoś jeszcze pamięta o tych wszystkich rzeczach?

– Ktoś wciąż płaci za ich składowanie.

– Włosy stają dęba, muszę przyznać.

– Barcelona jest jak nawiedzony dom, panie kapitanie. Problem w tym, że wam, turystom, nigdy nie przychodzi do głowy zajrzeć pod jej podszewkę. No proszę, jesteśmy na miejscu.

Alicja zatrzymała się przed jednym ze składów i wskazała na szyld:

RODZINA BRIANS-LLORAC

Umowa nr 2888-BC-56. 9-62

– Jest pani pewna?

– Nie spodziewałam się, że będzie pan robił tyle problemów. Niech się pan nie martwi, w razie czego wezmę winę na siebie.

– Ależ się pani uparła. A czego właściwie tu szukamy?

– Nie wiem. Jest coś, co łączy Vallsa, Salgada, Davida Martina, rodzinę Sempere i Briansa z listą nieodcyfrowanych numerów, książkami Mataixa. Teraz do łamigłówki doszedł nam Sanchís i jego szofer bez twarzy. Jeśli dowiemy się, co mają ze sobą wspólnego, z pewnością znajdziemy Vallsa.

– A sądzi pani, że właśnie tu odkrywamy ten brakujący element?

– Dopóki go nie odkrywamy, nie dowiemy się, gdzie go szukać.

Wejścia do magazynu strzegła jedynie niepozorna kłódka, jaką można dostać w każdym sklepie z artykułami żelaznymi. Ustąpiła po piątym uderzeniu rękojęścią rewolweru. Alicja nie czekała nawet sekundy, natychmiast weszła do środka.

– Cuchnie trupem – stwierdził Vargas.

– Nie, to tylko morska bryza. Po tylu latach spędzonych w Madrycie zupełnie stracił pan zmysł powonienia.

Vargas zaklął pod nosem i ruszył za nią. Stosy drewnianych skrzynek przykrytych plandekami tworzyły coś w rodzaju korytarza prowadzącego na placyk. Zdawało się, że szalejące tornado porzrzucało na nim relikwie kolejnych pokoleń dynastii Briansów.

– Pan mecenas musi być czarną owcą rodu. Nie jestem wprawdzie antykwariuszem, ale widzę tu niezłą fortunę, a może nawet dwie – rzucił

Vargas.

– Mam w każdym razie nadzieję, że pański wrodzony szacunek dla prawa sprawi, że oprze się pan pokusie zabrania stąd srebrnej popielnicy z inicjałami jakiegoś protoplasty naszego adwokata.

Vargas wskazał na stosy walizek, luster, krzesel, książek, skrzyń, rzeźb, szaf, konsolek, komódek, rowerów, zabawek, nart, kufrów, obrazów, wazonów i setek innych przedmiotów spiętrzonych pod ścianami, opartych jedne o drugie i upodabniających magazyn do mieszkania po trzęsieniu ziemi.

– Od którego stulecia chce pani zacząć?

– Od teczek Briansa. Szukamy średnich rozmiarów kartonowych pudeł. Z pewnością zaraz je znajdziemy. Podejrzewam, że tragarze z firmy przewodzkowej wybrali puste miejsce najbliżej wejścia, żeby zostawić tam ładunek. Rozejrzyjmy się za kartonami niemającymi na sobie grubej warstwy kurzu. Woli pan udać się na prawo czy na lewo? Czy to zbyt osobiste pytanie?

Po trzech minutach błąkania się po dżungli gratów, które złożono tu pewnie, zanim którekolwiek z nich przyszło na świat, natrafili na piramidę pudeł z przyklejonymi etykietami identycznymi z tą, którą ukradła Alicja. Vargas układał je w rzędzie, Alicja zaś otwierała je i przeglądała zawartość.

– Tego pani szukała?

– Jeszcze nie wiem.

– Doskonały plan, naprawdę – pomstował policjant.

Pół godziny zajęło im podzielenie pudeł na dwie grupy: na te, które zawierały dokumenty, i na te pełne materiałów biurowych i książek. Anemiczne światło wiszących wysoko żarówek nie pozwalało dokładnie zbadać dokumentów, Vargas ruszył więc na poszukiwanie jakiegoś innego oświetlenia. Po chwili powrócił, niosąc miedziany kandelabr i naręczę grubych świec, najwyraźniej nieużywanych.

– Czy to na pewno nie dynamit? – zapytała Alicja.

Vargas zapalił knot pierwszej z nich i podał świecę Alicji.

– Zechce pani czynić honory.

Gdy wokół kandelabru utworzyła się żółta bańka światła, Alicja zaczęła

czytać, jeden po drugim, napisy na grzbietach wystających z pudeł teczek. Vargas patrzył na nią zdenerwowany.

– Co mam robić?

– Widzę, że dokumenty są poukładane chronologicznie. Pierwsza data to styczeń tysiąc dziewięćset trzydzieści cztery. Ja będę szukać po datach, pan po nazwach. Powinniśmy się spotkać gdzieś w środku.

– Ale czego mam szukać?

– Nazwisk, nazw firm. Sanchís, Metrobarna... Czegokolwiek, co pozwoli nam połączyć Briansa z...

– Dobrze – uciął Vargas.

Przez dobre dwadzieścia minut w milczeniu przeglądali teczki, od czasu do czasu wymieniając spojrzenia i kręcąc głowami.

– Nie ma tu nic o Sanchisie ani o Metrobarnie – powiedział w końcu policjant. – Przejrzałem już dokumenty z pięciu lat. Najmniejszej wzmianki.

– Niech pan szuka dalej. Może chociaż coś o Banco Hipotecario.

– Nie ma nic o bankach. Wszyscy jego klienci to jakieś płotki, proszę mi wybaczyć prawniczą terminologię...

– Niech pan szuka dalej.

Vargas przytaknął i z powrotem zanurzył się w oceanie papierów i dossier, podczas gdy świece pociły się coraz bardziej, a woskowe łyzy skapywały na świecznik złotymi gronami. Po chwili zauważył, że pogrążona w milczeniu Alicja czyta z uwagą jakieś dokumenty. Uniósł wzrok i zobaczył stertę teczek i plików papierów, którą wyjęła z jednego z pudeł.

– Co? – zapytał Vargas.

Alicja pokazała mu grubą teczkę.

– Isabella Gispert... – powiedziała.

– Ta od Sempere i...

Pokiwała głową i pokazała mu teczkę, na której widniał napis MONTJUIC 39–45. Vargas podszedł do niej i uklęknął przy pudle. Zaczął szperać w segregatorach i wyjmować kolejne pliki dokumentów.

– Valentín Morgado...

– Szofer Sanchisa.

– Sempere/Martín...

– Mogę rzucić okiem?

Alicja otworzyła teczkę.

– To nasz David Martín?

– Na to wygląda.

Vargas zamarł w bezruchu.

– Alicjo?

Uniosła wzrok znad akt Davida Martina.

– Proszę spojrzeć na to.

Podał jej plik grubości co najmniej dwóch palców. Alicja przeczytała nazwisko na teczce, uśmiechnęła się, a potem ciarki przeszły jej po plecach.

– Víctor Mataix...

– Sądzę, że to nam wystarczy – oświadczył Vargas.

Alicja już miała zamknąć pudło, kiedy na jego dnie zauważyła poźółkłą kopertę. Podniosła ją i obejrzała w świetle kandelabru. Koperta miała rozmiar standardowej kartki i była zalakowana. Alicja zdmuchnęła z niej warstwę kurzu i przeczytała jedyne widniejące na niej słowo, zapisane atramentem.

Isabella

– Weźmiemy to wszystko ze sobą – zdecydowała Alicja. – Niech pan pozamyka te kartony i ułóż mniej więcej tak, jak je zastaliśmy. Mogą upłynąć całe tygodnie, a nawet miesiące, zanim Brians znajdzie sobie nowe biuro i zauważy, że ktoś szperał mu w aktach.

Vargas pokiwał głową, ale zanim zdołał podnieść pierwsze pudło, zamarł na moment, a potem się odwrócił. Alicja spojrzała na niego. Też słyszała ten dźwięk. Kroki. Echo kroków dudniące na betonowej podłodze hali fabrycznej. Alicja zdmuchnęła świecę. Vargas wyjął rewolwer. W progu ukazała się postać. Mężczyzna w wyświechtanym uniformie uważnie im się przyglądał. Miał ze sobą latarkę i pałkę, która drżała, nietrudno było się więc domyślić, że jej właściciel boi się bardziej niż ukrywająca się w mrokach magazynu

myszka.

– Co państwo tu robią? – wybełkotał stróż. – Po siódmej wstęp wzbroniony...

Alicja wstała powoli i uśmiechnęła się do niego. Coś w jej twarzy musiało go przerazić, bo natychmiast cofnął się i pogroził jej pałką. Vargas przyłożył mu lufę rewolweru do skroni.

– Proszę zrobić mi tę przyjemność i natychmiast pozbyć się tej pałki... No, chyba że ma pan zamiar użyć jej zamiast czopka.

Stróż posłuchał natychmiast. Upuścił pałkę i zamarł w bezruchu.

– Kim państwo są? – zapytał.

– Przyjaciółmi rodziny – odparła Alicja. – Zapomnieliśmy zabrać kilku rzeczy. Jest tu z panem ktoś jeszcze?

– Jestem sam jeden i muszę pilnować wszystkich hal. Nie zabije mnie pan, prawda? Mam żonę i dzieci. Mogą państwo zobaczyć, noszę ich zdjęcie w portfelu.

Vargas wyjął mu portfel z kieszeni. Wyciągnął z niego pieniądze, które rzucił na ziemię, portfel zaś schował w kieszeni swojego płaszcza.

– Jak pan ma na imię? – zapytała Alicja.

– Bartolomé.

– Podoba mi się. Jest takie męskie...

Stróż cały się trząśł.

– Posłuchaj, Bartolomé, teraz zrobimy tak: my pójdziemy do domu, a panu radzę zrobić to samo. Jutro z samego rana, zanim pan tu przyjdzie, kupi pan dwie nowe kłódki i założy je na bramie wejściowej i tej oto kracie. I zapomni pan, że kiedykolwiek nas pan tu widział. Co pan sądzi o takim układzie?

Vargas odciągnął kurek. Bartolomé przełknął ślinę.

– Tak, tak, zgadzam się.

– A jeśli kiedyś zaczną cię dręczyć wyrzuty sumienia albo ktoś będzie się nachalnie o nas wypytywał, przypomnij sobie, ile ci tu płacą. I pamiętaj, że masz rodzinę, która cię potrzebuje.

Bartolomé pokiwał głową. Vargas zabezpieczył rewolwer i go schował.

Alicja uśmiechnęła się do stróża, jakby byli starymi przyjaciółmi.

– A teraz idź do domu i naley sobie kieliszek koniaczku na rozgrzewkę. I nie zapomnij pozbierać swoich pieniędzy.

– Tak, proszę pani.

Bartolomé uklęknął i zebrał niewielką sumę, jaką miał w portfelu.

– Jeszcze pałka.

Sięgnął po nią i przytroczył do paska.

– Mogę już iść?

– Nikt cię nie zatrzymuje.

Bartolomé wahał się jeszcze chwilę, ale w końcu zaczął cofać się ku wyjściu. Zanim jego postać zniknęła wśród cieni, Alicja krzyknęła za nim:

– Bartolomé!

Kroki stróża się zatrzymały.

– Pamiętaj, że mamy twój portfel i wiemy, gdzie mieszkasz. Nie chcielibyśmy być zmuszeni złożyć ci wizytę. Mój kolega jest bardzo porywczy, nie zapominaj o tym. Dobrej nocy!

Usłyszeli, jak rusza z miejsca i co sił w nogach biegnie do wyjścia.

31

Miquel przyniósł im dwa termosy świeżo zaparzonej kawy i tacę pachnących *buñuelos* z cukierni na rogu, które zdobył po znajomości. Alicja i Vargas podzielili się teczkami i usiedli naprzeciwko siebie na podłodze. Alicja pochłonęła trzy *buñuelos* i naląła sobie kawy do filiżanki. Popijała ją, wyciągając papiery z pierwszej teczki zabranej z archiwum Briansa. Po chwili podniosła głowę i zobaczyła, że Vargas gapi się na nią z zawstydzoną miną.

– O co chodzi? – zapytała.

Wskazał na spódnicę, którą podwinęła, zanim usiadła oparta o sofę.

– Niech pan nie zachowuje się jak mały chłopczyk. Nie zobaczy pan nic, czego nie widziałby pan wcześniej. Taką mam przynajmniej nadzieję. Niech pan się lepiej skupi na robocie.

Vargas nie odpowiedział, ale zmienił nieco pozycję, żeby uniknąć widoku szwów na pończochach, niepozwalającego mu skoncentrować się na fascynującej prozie akt i pism procesowych adwokata przegranych spraw.

Siedzieli tak jeszcze długo po północy, a z dokumentacji wylaniał się tłum postaci. Alicja wzięła sporych rozmiarów blok rysunkowy i szkicowała w nim coś w rodzaju planu zawierającego krótkie notki, rozmaite strzałki, imiona i nazwiska. Od czasu do czasu Vargas podawał jej jakiś dokument. Nie musiał nic mówić. Rzuciła tylko okiem na treść i kiwała głową. Wydawało się, że jest obdarzona niezwykłą zdolnością ustalania zależności i powiązań, jakby jej mózg pracował sto razy szybciej niż mózgi zwykłych śmiertelników. Vargas zaledwie się domyślał, jakie procesy myślowe zachodzą w głowie jego towarzyszki. Nie miał zamiaru ich kwestionować ani próbować odtworzyć wewnętrznej logiki, ograniczał się do dostarczania jej nowych danych, z których pomocą kawałek po kawałku konstruowała swoją mapę.

– Nie wiem jak pani, ale ja ledwo trzymam się na nogach – przyznał wreszcie o wpół do trzeciej.

Przejrzał już wszystkie teczki, które przypadły mu w udziale, i poczuł nagle, że kofeina, która przez ostatnie godziny płynęła mu w żyłach zamiast krwi, zupełnie straciła swoją moc, a oczy szczypią go niemiłosiernie.

– Niech pan idzie spać – powiedziała Alicja. – Już późno.

– A pani?

– Nie jestem śpiąca.

– Jak to możliwe?

– Ja i noc, sam pan wie...

– Czy mógłbym zdrzemnąć się chwilę na kanapie?

– Proszę bardzo, chociaż nie obiecuję, że nie będę robić hałasu.

– Nie obudzi mnie nawet przemarsz orkiestry dętej.

Obudziły go za to bijące dzwony katedry. Otworzył oczy. W powietrzu unosiły się gęste opary pachnące kawą i tytoniem. Niebo ponad dachami

przybrało kolor młodego wina. Alicja wciąż siedziała na podłodze. Miała w ustach papierosa. Zrzuciła spódnicę i bluzkę, teraz ubrana była w czarną koszulkę nocną, której widok nieco oszołomił Vargasa. Powlókł się do łazienki, włożył głowę pod kran i przejrzał się w lustrze. Na drzwiach wisiał szlafrok z niebieskiego jedwabiu. Kapitan zaniósł go Alicji.

– Niech się pani przyodzieje.

Złapała szlafrok w locie. Wstała, przeciągnęła się i narzuciła go na siebie.

– Otworzę okna, zanim ktoś wezwie straż pożarną – oświadczył Vargas.

Powiew świeżego powietrza wpadł do salonu i dym rozwiął się niczym duch znikający pod wpływem magicznego zaklęcia. Vargas objął spojrzeniem krajobraz po bitwie: puste termosy po kawie, tacę na ciasta pokrytą warstwą cukru pudru i dwie popielniczki po brzegi wypełnione niedopałkami.

– Proszę mi chociaż powiedzieć, że było warto.

Schemat skonstruowany w nocy przez Alicję składał się już z dwunastu kartek z bloku. Pozbierała je z podłogi i zaczęła mocować na ścianie taśmą klejącą, aż stworzyły coś w rodzaju koła. Vargas podszedł bliżej. Alicja oblizwała się jak zadowolony kot.

– Niech mnie pani zadziwi.

Przewiązała jedwabny szlafrok i spięła włosy w kok.

– Chce pan wersję skróconą czy pełną?

– Niech pani zacznie od spisu treści, a potem zobaczymy.

Alicja stanęła przed tym dziwnym kolażem niczym nauczycielka przed tablicą, tyle że przypominała raczej wiktoriańską gejszę nocy o podejrzanych obyczajach.

– Zamek Montjuic, lata tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć – czterdzieści jeden – zaczęła. – Mauricio Valls dzięki małżeństwu z Eleną Sarmiento, córką i dziedziczką bogatego przemysłowca z kręgów bliskich władzy, zostaje dyrektorem więzienia. Reżim w czasie wojny miał takich zaufanych bankierów, biznesmenów i przedstawicieli arystokratycznych rodzin dorzucających się do kasy narodowej krucjaty. Tak zwani krzyżowcy generała Franco. Wśród nich znajduje się Miguel Ángel Ubach, założyciel i główny akcjonariusz Banco Hipotecario: z kapitału tego banku zostanie później stworzona spółka Metrobarna, ta sama, którą odwiedził pan wczoraj.

- To jest w tych aktach?
- W zapiskach mecenasa Briansa.
- Proszę mówić dalej.

– W latach, kiedy Valls piastuje stanowisko dyrektora więzienia w Montjuic, w zakładzie karnym przebywają następujący klienci mecenasa Briansa: po pierwsze Sebastián Salgado, domniemany autor anonimowych pogróżek wysyłanych do Vallsa pocztą i beneficjent ułaskawienia załatwionego osobiście przez ministra. Salgado wychodzi z więzienia, ale na wolności udaje mu się przeżyć zaledwie sześć tygodni. Po drugie: Valentín Morgado, sierżant w wojsku republikańskim, objęty amnestią w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku dzięki bohaterskiemu czynowi dokonanemu w więzieniu – z notatek Briansa wynika, że Morgado ocalał kapitana regimentu, który bez jego interwencji zginąłby niechybnie w wypadku, jaki wydarzył się podczas prac przy naprawie murów. Po wyjściu na wolność Morgado przystępuje do programu resocjalizacji i przebaczenia zainicjowanego przez dręczonych wyrzutami sumienia patrycjuszy. W ten sposób znajduje zatrudnienie jako mechanik samochodowy w garażach Ubachów i z biegiem czasu awansuje na szofera. Po śmierci Ubacha Morgado zostaje szoferem jego córki Victorii, która wkrótce bierze ślub ze znanym panu Sanchisem, dyrektorem Metrobarny.

- Dużo ich jeszcze?

– Dopiero zaczęłam. Trzeci jest David Martín, pisarz przeklęty, oskarżony o serię dziwnych zbrodni jeszcze przed wybuchem wojny domowej. Martinowi udało się wymknąć policji w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku, zdaje się, że uciekł do Francji. Z niewyjaśnionych nigdy przyczyn decyduje się powrócić do Barcelony, ale zostaje zatrzymany w miejscowości Puigcerdá w Pirenejach wkrótce po przekroczeniu granicy w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku.

– Jaki związek ma David Martín z całą tą sprawą, poza tym oczywiście, że siedział w Montjuic w tym czasie, co inni klienci mecenasa?

– To właśnie jest najciekawsze. Martín to jedyny z więźniów niebędący bezpośrednio klientem Briansa. Mecenasa zgadza się go bronić na prośbę Isabelli Gispert.

– Tej od rodziny Sempere?

– Konkretnie matki Daniela Sempere. Gispert to jej panięńskie nazwisko. Zmarła przypuszczalnie na cholere w trzydziestym dziewiatym roku, juz po zakonczenu wojny.

– Przypuszczalnie?

– Z osobistych notatek Briansa wynika, ze sa podstawy, by sie domyslac, iz Isabella Sempere zostala zamordowana. A dokladnie otruta.

– Proszę tylko nie mówić...

– Doskonale pan zgadł. Przez Mauricio Vallsa. Minister miał na jej punkcie obsesję, był zakochany bez wzajemności, tak przypuszcza Brians, który nie może i nie ma odwagi niczego udowodnić.

– A Martín?

– David Martín jest, według tych samych notatek, kolejnym obiektem chorobliwej obsesji Vallsa.

– Zdaje się, że innych nasz drogi pan minister nie ma.

– Valls próbował zmusić Martina, żeby napisał w więzieniu cykl utworów, które Valls miał opublikować pod swoim nazwiskiem, żeby zaspokoić własną próżność i rozpaczliwe pragnienie literackiej sławy czy jakiegokolwiek inne ambicje. Brians twierdzi jednak, że David Martín był już wtedy człowiekiem bardzo chorym, słyszał głosy i sądził, że rozmawia z jakąś diaboliczną postacią, tworem własnych majaków, niejakiem Corellim. Przez swoje szaleństwo, a także z uwagi na to, że przez ostatni rok pobytu w zakładzie karnym dyrektor umieszczał go w odosobnionej celi znajdującej się w wieży, Martín zyskał wśród współwięźniów przydomek Więzień Nieba.

– To wszystko zaczyna brzmieć bardzo dziwnie, Alicjo.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym Valls, widząc, że jego plan zmanipulowania pisarza nie działa, poleca dwóm swoim goryłom, żeby zabrali Davida Martina do starego domu nieopodal parku Güell i tam go zabili. W niewyjaśnionych okolicznościach Martinowi udaje się ująć z życiem i uciec.

– W takim razie on nadal żyje?

– Nie wiadomo. Przynajmniej Brians tego nie wie.

– Ale tak podejrzewa.

– I Valls...

– ...myśli prawdopodobnie, że to on wysyłał mu pogróżki i stał za nieudaną próbą zamachu na jego życie. Żeby się zemścić.

– To moja hipoteza – przyznała Alicja. – Ale wiemy za mało, żeby mieć pewność.

– Jest coś jeszcze?

– Najlepsze zostawiłam na deser. – Uśmiechnęła się przebiegle.

– Ognia!

– Po czwarte: Víctor Mataix, autor cyklu książek „Labirynt duchów”. Jedną z tych powieści znaleźliśmy razem w biurku Vallsa. Jak pan doskonale pamięta, jego córka Mercedes opowiadała, że to ostatnia rzecz, jaką czytał minister, zanim zapadł się pod ziemię.

– Czy Mataixa łączy coś z pozostałymi więźniami?

– Zdaje się, że Mataix był przyjacielem Davida Martina. Poznali się w latach trzydziestych, kiedy obaj pisali pod pseudonimami powieści w odcinkach na zlecenie wydawnictwa Barrido i Escobillas. Z notatek Briansa można wysnuć wniosek, że dyrektor więzienia miał co do Mataixa podobny plan jak wobec Martina. Niewykluczone, że Valls szukał autorów widm, którzy napisaliby za niego cykl dzieł pozwalający mu zyskać sławę i uznanie w świecie literatury. Oczywiście Valls nienawidził swojego stanowiska dyrektora więzienia, uważał, że zasługuje na coś o wiele lepszego.

– Ale to wciąż za mało...

– Mataix zostaje w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku przeniesiony z więzienia Modelo i osadzony w Montjuic. Rok później, jeśli wierzyć oficjalnym raportom, popełnia samobójstwo w swojej celi. Najprawdopodobniej został rozstrzelany, a jego ciało wrzucono do zbiorowego grobu, chociaż nie został po tym ślad w dokumentach.

– A w tym wypadku na czym miałyby polegać chora obsesja ministra?

Alicja wzruszyła ramionami.

– W tym wypadku notki Briansa nie dostarczają żadnych tropów, ale proszę zwrócić uwagę, że kiedy Mauricio Valls zakłada w czterdziestym siódmym

roku własne wydawnictwo, nazywa je Ariadna, a tak ma przecież na imię główna bohaterka cyklu „Labirynt duchów”.

Vargas westchnął i przetarł oczy, próbując ułożyć sobie w głowie wszystko, co opowiedziała przed chwilą Alicja.

– Zbyt wiele zbiegów okoliczności – powiedział w końcu.

– Całkowicie się z panem zgadzam.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem. Jeśli wszystkie te powiązania są prawdziwe i zostały przez nas, a właściwie przez panią, ustalone w trzy dni, jak to możliwe, że najbardziej wyspecjalizowane jednostki policji w tym kraju po trzech tygodniach dochodzenia dalej tkwią w martwym punkcie?

Alicja zagryzła dolną wargę.

– To właśnie mnie martwi.

– Sądzi pani, że nie chcą odnaleźć Vallsa?

Zastanowiła się chwilę nad tym pytaniem.

– Nie sądzę, żeby mogli sobie pozwolić na ten luksus. Valls to nie byle kto, nie może tak po prostu zniknąć.

– W takim razie o co chodzi?

– Może chcą się dowiedzieć, gdzie on jest. I wcale nie interesuje ich ujawnienie prawdziwych powodów jego zniknięcia.

Vargas pokręcił głową i ponownie przetarł oczy.

– Naprawdę uważa pani, że Morgado, Salgado i Martín, trzech byli więźniowie zakładu karnego zarządzanego przez Vallsa, uknuli ten plan, żeby się zemścić, również w imieniu nieżyjącego przyjaciela Victora Mataixa? To pani podejrzewa?

Alicja rozłożyła ręce.

– Może nie tylko Morgado maczał w tym palce. Niewykluczone, że stoi za tym jego szef Sanchís.

– Dlaczego Sanchís miałby porywać się na coś podobnego? To człowiek reżimu, ożeniony z dziedziczką jednej z największych fortun w naszym kraju. Taki mały Valls. Po co ktoś o takiej pozycji mieszałby się w podobną kabałę?

– Pojęcia nie mam.

– A lista cyfr, które znaleźliśmy w samochodzie Vallsa?

– Może nie ma żadnego związku ze sprawą? Może to jakieś przypadkowe notatki. Zwykły zbieg okoliczności. Sam pan tak mówił, pamięta pan?

– Jeszcze jeden? Przez dwadzieścia lat policyjnej kariery zwykłe zbiegi okoliczności trafiały mi się znacznie częściej niż ludzie mówiący prawdę.

– Nie wiem, kapitanie. Nie mam pojęcia, co oznaczają te cyfry.

– A wie pani, co najbardziej mi tu nie gra?

Alicja przytaknęła, jakby czytała mu w myślach.

– Valls – powiedziała.

– Valls – potwierdził Vargas. – Już abstrahując od jego machlojek w czasach, kiedy był dyrektorem Montjuic, wszystko jedno, jakich zbrodni się dopuścił, czy rzeczywiście otruł Isabellę Gispert, zamordował czy próbował zamordować Davida Martina, zabił Mataixa i nie wiadomo ile jeszcze osób... Ale w gruncie rzeczy mówimy o zwyczajnym rzeźniku niższej rangi. Takich jak on jest tysiące. Mijamy ich codziennie na ulicy. Zadowolonych z siebie, mających potężnych przyjaciół i wysoko postawionych znajomych, ale w końcu to przydupasy. Lokaje, aspiranci. Jak udało się tak przeciętnej gnidzie awansować tak wysoko? Zaczynał przecież w rynsztoku reżimu.

– Bardzo dobre pytanie – przyznała Alicja.

– Mam nadzieję, że pani utalentowana główka pozwoli znaleźć na nie odpowiedź, bo to element, którego najwyraźniej nam brakuje, żeby cały ten galimatias faktów i powiązań nabrał jakiegoś sensu.

– A pan mi w tym nie pomoże?

– Zaczynam wątpić, czy to się opłaca. Coś mi mówi, że rozwiązanie tej łamigłówki może się okazać o wiele bardziej niebezpieczne niż zostawienie jej w spokoju, a ja miałem nadzieję odejść wkrótce na spokojną emeryturę, którą zamierzam spędzić na lekturze wszystkich komedii Lopego de Vegi, od pierwszej do ostatniej.

Alicja opadła na kanapę. Cały entuzjazm zdążył z niej wyparować. Vargas dopił zimną kawę i westchnął. Zbliżył się do okna i odetchnął świeżym powietrzem. Dzwony katedry znów rozdzwoniły się w oddali. Policjant przyglądał się, jak słońce przedzie swoje smugi światła pomiędzy dzwonicami i gołębnikami.

– Proszę zrobić mi przysługę – powiedział. – Na razie ani słowa o tym wszystkim Leandrowi ani nikomu innemu.

– Na głowę jeszcze nie upadłam – ucięła Alicja.

Vargas zamknął okno i podszedł do niej. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Chyba najwyższy czas, żeby zdrzemnęła się pani w swojej trumnie – zasugerował. – No już.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do sypialni. Alicja zrzuciła z siebie szlafrok i wślizgnęła się pod kołdrę. Przykrył ją pod samą brodę i popatrzył na nią z uśmiechem.

– Nie przeczyta mi pan bajki?

– Niech pani idzie w cholerę.

Vargas schylił się, żeby podnieść z podłogi szlafrok, i ruszył ku wyjściu.

– Sądzi pan, że zastawili na nas pułapkę? – zapytała Alicja.

Zastanowił się nad jej słowami.

– Dlaczego pani tak myśli?

– Nie wiem.

– Pułapki najczęściej zastawiamy na siebie sami. Na razie wiem tylko, że musi pani odpocząć.

Vargas położył dłoń na kłamce.

– Będzie pan w salonie?

Pokiwał głową.

– Dzień dobry, Alicjo – powiedział i zamknął za sobą drzwi.

32

Valls stracił poczucie czasu. Nie wie, czy w tej celi przebywa kilka dni, czy kilka tygodni. Światła dziennego nie widział od jakże odległego wieczoru,

kiedy z Vicente u boku wjeżdżał samochodem do Vallvidrery. Boli go ręka, sięga, by ją rozmasować, ale jej nie odnajduje. Czuje kłucie w palcach, których już nie ma, i ostry ból w knykciach, jakby w kości wbijano mu żelazne kolce. Od wielu dni, a może godzin, dokucza mu ból w żebrach. Nie jest w stanie zobaczyć, w jakim kolorze jest mocz spływający do mosiężnego wiadra, ale z pewnością jest ciemniejszy niż zazwyczaj i zabarwiony krwią. Kobieta nie wróciła, a Martín wciąż się nie pojawia. Trudno go zrozumieć. Czyż nie tego właśnie pragnął? Ujrzeć, jak Valls gnije za życia za kratami celi?

Strażnik bez imienia i bez twarzy zagląda raz dziennie, tak się Vallsowi przynajmniej wydaje, zaczął więc liczyć dni podług tych wizyt. Bezimienny przynosi mu wodę i jedzenie, zawsze takie samo: pieczywo, nieświeże mleko, czasem kawałek suszonego mięsa, które niełatwo pogryźć ruszającymi się zębami. Dwa już Vallsowi wypadły. Kiedy przesuwając językiem po dziąsłach, czuje smak własnej krwi, a zęby chwieją się pod naporem języka.

– Potrzebuję lekarza – mówi, kiedy strażnik przychodzi z jedzeniem.

Ten prawie nigdy się nie odzywa. Ledwie spojrzy na Vallsa.

– Ile czasu już tu jestem? – pyta Valls.

Strażnik ignoruje jego pytania.

– Powiedz, że chcę z nią porozmawiać. Powiedzciej jej prawdę.

Raz budzi się i czuje w celi czyjąś obecność. To strażnik, który w rękę trzyma coś błyszczącego. Może nóż. Valls nawet nie drgnie, by się osłonić. Czuje ukłucie w pośladku i zimno. To tylko zastrzyk.

– Jak długo będziecie mnie trzymać przy życiu?

Strażnik wstaje i odchodzi. Valls łapie go za nogę. Kopnięty w brzuch nie może złapać powietrza. Przez wiele godzin leży zwinięty w kłębek, wyjąc z bólu.

Tej nocy znowu śni mu się córka. Jest małą dziewczynką. Są w domu w Somosaguas, w ogrodzie. Valls zagaduje się z jednym ze służących i traci Mercedes z oczu. Zaczyna jej szukać, ślady kroków prowadzą do domu lalek. Valls zagłębia się w półmrok i woła córkę. Natrafia na jej ubranie i ślady krwi.

Lalki oblizują się niczym koty – pożarły dziewczynkę.

Kiedy Vargas otworzył oczy, z okien ześlizgiwało się już światło późnego przedpołudnia. Zegar ścienny, z wyglądu dziewiętnastowieczny, który Alicja kupiła zapewne w jakimś sklepie ze starzyzną, wskazywał prawie dwunastą. Mężczyzna usłyszał dochodzący z salonu stukot obcasików i przetarł oczy.

– Dlaczego nie obudziła mnie pani wcześniej?

– Lubię słuchać pańskiego chrapania. To tak, jakby się miało niedźwiadka.

Vargas uniósł się i siadł na brzegu sofy. Z grymasem bólu zaczął masować sobie lędźwie. Czuł się tak, jakby kręgosłup przepuszczono mu przez maszynę do robienia grylażu.

– Mam dla pani radę, proszę się nie starzeć. Bo z tego tytułu nie ma żadnych, ale to żadnych korzyści.

– Mam już pewne przemyślenia na ten temat – odparła Alicja.

Policjant wstał, choć w mięśniach rwało go, szarpało i kłuło. Alicja siedziała przed lustrem i malowała usta karmazynową szminką. Ubrana była w płaszcz z czarnej wełny przepasany paskiem, w czarne sztywne pończochy i pantofle na obcasach przyprawiających o zawrót głowy.

– Dokąd się pani wybiera?

Obróciła się wokół własnej osi, jakby wykonywała manewr na wojskowej defiladzie, i posłała mu uśmiech.

– Ładnie wyglądam?

– A kogo ma pani zamiar zabić?

– Jestem umówiona z Sergiem Vilajuana, dziennikarzem z „La Vanguardii”, o którym mówił mi księgarz Barceló.

– Z tym ekspertem od Victora Mataixa?

– Nie tylko, od wielu innych rzeczy też, mam nadzieję.

– A mogę wiedzieć, jak udało się pani go omotać?

– Powiedziałam mu, że mam książkę Mataixa i że chciałabym mu ją

pokazać.

– „Mam” to czas terazniejszy, czyli czas użyty niewłaściwie, pragnę bowiem pani przypomnieć, że książkę pani skradziono i obecnie nie ma pani nic.

– E tam. Szczegóły. Jak się raz miało, to coś tam zostało, jak sam pan mówi. A poza tym mam siebie.

– Matko Boska...

Alicja uzupełniła swoją kreację kapeluszem z przysłaniającą twarz woalką i jeszcze raz spojrzała w lustro.

– Czy można wiedzieć, co to za kreacja?

– Balenciaga.

– Nie o to mi chodziło.

– Wiem. Wróć niebawem – rzuciła już w drzwiach.

– A mogę skorzystać z pani łazienki?

– Proszę bardzo, pod warunkiem że nie zostawi pan włosów w wannie.

Doprowadzenie do spotkania z Vilajuana wcale nie było takie proste, jak to przedstawiła Vargasowi. Najpierw musiała stoczyć walkę z sekretarką w redakcji dziennika, która do naiwnych nie należała i gotowa była posłać Alicję do stu diabłów. Parę podstępnych forteli wystarczyło jednak, by ją przechytrzyć i uzyskać połączenie z Vilajuana, który przez telefon sprawiał wrażenie człowieka bardziej sceptycznego niż matematyk na podwieczorku biskupów.

– Twierdzi pani, że jest w posiadaniu egzemplarza książki Mataixa? Z serii „Labirynt”?

– Tak. *Ariadna i Szkarłatny Książę*.

– Byłem przekonany, że zostały tylko trzy egzemplarze.

– Widocznie mój jest czwarty.

– I mówi pani, że przysyła panią Gustavo Barceló?

– Tak. Powiedział mi, że bardzo się panowie przyjaźnią.

Vilajuana zaśmiał się. W tle Alicja słyszała hałas panujący w redakcji.

– Od dwunastej będę w bibliotece Królewskiej Akademii Literatury Pięknej – powiedział w końcu. – Zna pani to miejsce?

– Ze słyszenia.

– Proszę zapytać o mnie w sekretariacie. I proszę przynieść książkę.

34

W mało widocznym kącie placu skrytego w cieniu katedry wznosi się budynek z kamiennym portykiem, na którego łuku widnieje napis:

REAL ACADEMIA DE BUENAS LETRAS

Alicja słyszała coś niecoś o tym miejscu, ale tak jak większość współobywateli niewiele wiedziała o instytucji, która znalazła schronienie w murach owego pałacu, niezwykłego zabytku średniowiecznej Barcelony. Pod koniec osiemnastego wieku gremium uczonych, literatów i miłośników literatury utworzyło akademię, by chronić wiedzę i słowo pisane. Konsekwentnie ignorowali przy tym fakt, że świat z każdym rokiem daje coraz większy odpór podobnym fanaberiom. Prace i zajęcia akademików tworzyły pewien rytuał sytuujący się pomiędzy zdobywaniem wiedzy tajemnej a przynależnością do konfraterni literackiej. Oświecenie za zamkniętymi drzwiami dane było tylko garstce wybrańców i tylko nieliczni godni byli dawać temu świadectwo.

Zapach kamieni i przypisana podobnym miejscom atmosfera tajemniczości otoczyły Alicję, ledwie wkroczyła na wewnętrzny dziedziniec, skąd schodami wchodziło się do salki pełniącej funkcję recepcji. Przyjął ją osobnik pomarszczony jak pergamin i sprawiający wrażenie, jakby przebywał w tym miejscu od początków ubiegłego wieku. Spojrzał na Alicję podejrzliwie i zapytał, czy jest panienką Gris.

– We własnej osobie.

– Takie odniosłem wrażenie. Pan Vilajuana jest w bibliotece – powiedział, wskazując palcem w głąb budynku. – Gości prosimy o zachowanie ciszy.

– Bez obaw, dziś rano złożyłam śluby milczenia – odparła Alicja.

Cerber nie wykazał najmniejszego zamiaru zareagowania uśmiechem na żart, Alicja zaś ograniczyła się do okazania swej wdzięczności i pewnie ruszyła ku domniemanej bibliotece, jakby doskonale знаła drogę. Zawsze stosowała tę metodę w miejscach, do których dostęp był ograniczony: zachowywać się jak osoba, która wie, dokąd idzie, i nie potrzebuje ani zgody, ani przepustki, ani pomocy w dotarciu do celu. W infiltracji bowiem jest jak w uwodzeniu: kto prosi o zgodę – przegrał, nim zaczął.

Alicja szła po swojemu, niespiesznym krokiem, zerkając do zapełnionych posągami salonów i rozglądając się po pałacowych korytarzach. W pewnym momencie wpadła na stworzenie ewidentnie bibliofilskie i miłe w obejściu, które przedstawiło się jako Polonio i zaoferowało się, że poprowadzi Alicję do biblioteki.

– Nigdy przedtem pani tu nie spotkałem – zauważył Polonio, którego wygląd zdradzał, że jego doświadczenie w kontaktach z płcią żeńską zaczynało się i kończyło na sonetach Petrarci.

– Ma pan dzisiaj szczęście.

Dostrzegła Sergia Vilajuana w otoczeniu muz i niemal pięćdziesięciu tysięcy książek tworzących zbiór biblioteki akademii. Dziennikarz siedział przy jednym ze stołów, a przed nim piętrzyła się ogromna sarta kartek z odręcznymi notatkami. Gryzł nasadkę wiecznego pióra i burczał coś pod nosem, usiłując oswoić rytm zdania, które nie chciało grzecznie osiąść na papierze. Vilajuana obdarzony był medytacyjnym i flegmatycznym wdziękiem brytyjskiego erudyty przeniesionego w klimat śródziemnomorski. Na sobie miał szary wełniany garnitur, krawat w złote stalówki i szalik w kolorze szafranu narzucony na ramiona. Alicja weszła do sali i odczekała chwilę, by echo kroków zdradziło jej obecność. Vilajuana wyłonił się ze swego snu i skierował na Alicję wzrok, w którym było tyleż dyplomacji, ile uszczypliwości.

– Panna Gris, jak mniemam – powiedział, zakręcając nasadkę wiecznego pióra i wstając uprzejmie.

– Proszę mówić mi po prostu Alicja.

Podala mu dłoń, którą Vilajuana uściskał, uśmiechając się miło, choć z pewną rezerwą. Wskazał jej miejsce. Jego oczy, małe i przenikliwe, przypatrywały jej się podejrzliwie, ale zarazem z ciekawością. Alicja wyciągnęła rękę ku kartkom zalegającym blat stołu. Widać było, że niektóre zapisano całkiem niedawno.

– Przeszkodziłam panu w pracy?

– Raczej mnie pani wybawiła.

– Kwerenda bibliograficzna?

– Przemówienie z okazji przyjęcia do tej szacownej instytucji.

– Moje gratulacje.

– Dziękuję. Nie chciałbym być niegrzeczny, panno Gris, Alicjo, ale czekam na panią od kilku już dni i sądzę, że możemy sobie darować rozdział wstępnych ogólników i grzeczności.

– Co oznacza, tak to przynajmniej rozumiem, że don Gustavo Barceló zdążył już panu o mnie wspomnieć?

– Ośmieliłbym się stwierdzić, że nawet coś więcej niż wspomnieć. Powiedzmy, że wywarła pani na nim ogromne wrażenie.

– To jedna z moich specjalności.

– Tak mi się wydaje. A przy okazji, niektórzy pani byli koledzy z głównego komisariatu prosili, aby panią serdecznie pozdrowić. I proszę się nie dziwić. My dziennikarze tacy już jesteśmy. Stawiamy pytania. To nałóg, któremu z latami się ulega. – Vilajuana wpatrywał się bacznie w Alicję bez cienia uśmiechu. – Kim pani jest? – zapytał wprost.

Alicji błysnęła myśl, żeby skłamać, troszeczkę, a może na całego, ale coś w spojrzeniu dziennikarza mówiło, że byłby to ogromny błąd taktyczny.

– Kimś, kto chce poznać całą prawdę o Victorze Mataixu.

– Aha, a więc i pani należy do tego klubu, do którego ostatnio, jak się zdaje, coraz więcej chętnych wali drzwiami i oknami. A mogę zapytać dlaczego?

– Niestety nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Nie kłamiąc, chce pani powiedzieć.

Alicja przytaknęła.

– Przez wzgląd na szacunek dla pana nie zamierzam kłamać.

Uśmiech Vilajuany znów rozkwitł, tym razem przepełniony ironią.

– I sądzi pani, że przypochlebiając mi się, zyska pani więcej, niż kłamiąc?

Alicja zatrzepotała powiekami i przybrała najsłodszy ze swych wyrazów twarzy.

– Ale nie będzie mi pan mógł zarzucić, że nie próbowałam.

– Widzę, że Barceló w niczym nie przesadzał. Jeśli nie chce pani powiedzieć prawdy, proszę przynajmniej podać mi powody, dla których nie może pani tego zrobić.

– Bo gdybym powiedziała panu prawdę, naraziłabym pana na niebezpieczeństwo.

– To znaczy, że pani mnie chroni.

– Tak, do pewnego stopnia.

– I dlatego powinienem być wdzięczny i w zamian pomóc pani. Taki jest zamysł?

– Cieszę się, że zaczyna pan przyjmować mój punkt widzenia.

– Obawiam się, że będę potrzebował nieco więcej motywacji. I nie myślę o pani wdziękach. Ciało jest słabe, wiadomo, ale po przekroczeniu progu wieku średniego zdrowy rozsądek zaczyna brać górę. I dół.

– Tak mówią. A co by pan powiedział na spółkę obopólnego pożytku? Barceló zdradził mi, że pracuje pan nad książką o Mataixu i straconym pokoleniu z owych lat.

– Z tym pokoleniem to może trochę przesada, a jeśli chodzi o stracone, to licentia poetica czekająca na potwierdzenie.

– Mówię o Mataixu, Davidzie Martinie i innych...

Vilajuana uniósł brwi.

– A co pani wie o Davidzie Martinie?

– Coś, co na pewno by pana zainteresowało.

– Co na przykład?

– Na przykład szczegóły z akt Martina, Mataixa i innych więźniów, którzy

przypuszczalnie zginęli w więzieniu Montjuic w latach tysiąc dziewięćset czterdzieści – czterdzieści pięć.

Vilajuana wytrzymał jej spojrzenie. Oczy mu świeciły.

– Rozmawiała pani z mecenasem Briensem?

Alicja kiwnęła tylko głową.

– O ile mi wiadomo, Briens nie puszcza pary z ust – zauważył Vilajuana.

– Są inne sposoby, by dojść prawdy.

– W komisariacie twierdzą, że to jeszcze jedna z pani umiejętności.

– Zawiść to brzydka przywara – zareagowała bez namysłu.

– Nasz sport narodowy – zgodził się Vilajuana rozbawiony.

– Ale mimo wszystko uważam, że telefonowanie do komisariatu, żeby o mnie wypytywać, to nie był dobry pomysł, tym bardziej teraz. Mówię to w trosce o pana.

– Taki głupi to ja już nie jestem, panno Alicjo. Ja nie telefonowałem i moje nazwisko nie padło. Jak pani widzi, również dbam o swoje bezpieczeństwo.

– Miło mi to słyszeć. W obecnych czasach przezorności nigdy dość.

– Ciekawe, że wszyscy są zgodni co do tego, że nie można pani w niczym ufać.

– W pewnych miejscach i w określonym czasie to najlepsza z rekomendacji.

– Nie przeczę. Proszę mi powiedzieć, Alicjo, czy to wszystko nie jest przypadkiem powiązane z naszym nieocenionym ministrem don Mauriciem Vallsem i z jego starannie zapomnianą przeszłością strażnika więziennego?

– A co skłania pana do takiej myśli?

– Wyraz twarzy, jaki przybrała pani, kiedy o tym wspomniałem.

Alicja zawahała się, Vilajuana zaś w duchu utwierdził się w swoich podejrzeniach.

– A gdyby tak rzeczywiście było?

– Powiedzmy, że w jakiejś mierze mogłoby to wpłynąć na moje ewentualne zainteresowanie. Jaki rodzaj wymiany miała pani na myśli?

– Czysto literacki. Pan mówi mi, co pan wie o Mataixu, a ja przyrzekam

panu dostęp do wszelkich informacji, jakimi będę dysponować, kiedy rozwikłam sprawę, którą się obecnie zajmuję.

– A do tego czasu?

– Ma pan moją wdzięczność do grobowej deski i satysfakcję, że zrobił pan to, co wypadało, pomagając biednej dziewczynie w kłopotach.

– No tak. Muszę przyznać, że jest pani bardziej przekonująca od swego, jak śmiem przypuszczać, kolegi.

– Proszę?

– Mówię o tym, który odwiedził mnie parę tygodni temu i, co dziwne, już więcej się nie zgłosił – wyjaśnił dziennikarz. – Czy w przerwie obiadowej nie wymieniają się państwo informacjami? Czy też rzecz dotyczy konkurenta?

– A pamięta pan jego nazwisko? Może Lomana?

– Niewykluczone. Nie zarejestrowałem w pamięci. Wiek, mówiłem już pani.

– A jak wyglądał? – naciskała Alicja.

– Znacznie mniej atrakcyjnie niż pani.

– Miał bliznę na twarzy?

Vilajuana przytaknął i bacznie przyjrzał się Alicji.

– Czyżby to było pani dzieło?

– Zaciął się przy goleniu. Do czegokolwiek się zabrał, dwie lewe ręce. A co pan powiedział Lomanie?

– Niczego, czego by już nie wiedział – zapewnił Vilajuana.

– Wspomniał o Vallsie?

– Nie bezpośrednio, ale widać było, że interesują go lata pobytu Mataixa w zamku Montjuic i jego przyjaźń z Davidem Martinem. Nie trzeba być orłem, żeby wiedzieć, co w trawie piszczy.

– I drugi raz już się pan z nim nie widział i nie rozmawiał?

Vilajuana pokręcił głową.

– Lomana tak łatwo się nie poddaje i potrafi być bardzo namolny – stwierdziła Alicja. – Jakim cudem udało się panu od niego uwolnić?

– Powiedziałem mu to, co chciał usłyszeć. Czy też to, co spodziewał się

usłyszeć.

– Czyli...?

– Odniosłem wrażenie, że szczególnie jest zainteresowany domem przy Carretera de las Aguas, u stóp Vallvidrery, w którym Victor Mataix żył ze swoją rodziną do jego aresztowania w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku.

– A dlaczego domem?

– Zapytał mnie, co znaczy określenie „wejście do labiryntu”. Chciał wiedzieć, czy odnosi się do konkretnego miejsca – tłumaczył Vilajuana.

– I...?

– Powiedziałem mu, że w powieściach z serii „Labirynt duchów” „wejściem”, miejscem, z którego Ariadna „spada” do świata podziemnego tej innej Barcelony, jest dom, w którym mieszka ze swymi rodzicami, tożsamy z domem Mataixów. Podałem mu adres i poinformowałem, jak można tam dojechać. I tak każdy może sam do tego dojść, spędziwszy godzinę w wydziale książek wieczystych. Może Lomana miał nadzieję, że znajdzie tam skarb albo coś jeszcze ciekawszego. Dobrze rozumiuję?

– Czy Lomana powiedział, dla kogo pracuje? – spytała Alicja.

– Pokazał mi jakąś odznakę z legitymacją. Jak na filmach. Nie jestem ekspertem, ale wyglądała na prawdziwą. A pani ma taką odznakę i legitymację?

Pokręciła przecząco głową.

– Szkoda. Wydawało mi się, że taka femme fatale na służbie reżimu może się pojawić tylko w powieści Juliana Caraxa.

– Pan czyta Caraxa?

– A jakżeby inaczej! Święty patron wszystkich przeklętych powieściopisarzy Barcelony. Dziwne, że się nie znacie, bo wygląda pani na jedną z jego bohaterek.

Alicja westchnęła.

– To jest bardzo ważne, proszę pana. Życie wielu osób jest w niebezpieczeństwie.

– Niech pani wymieni choć jedną. Z imienia i z nazwiska, jeśli łaska. Bo

tylko wtedy będę mógł zacząć traktować to wszystko bardziej serio.

– Nie mogę tego zrobić – oświadczyła Alicja.

– Jasne. Dla mojego własnego dobra i bezpieczeństwa, jak mniemam.

Przytaknęła.

– Może pan w to nie wierzyć, ale tak właśnie jest.

Dziennikarz tym razem nic nie odpowiedział, zaplótł tylko dłonie na brzuchu i zamyślony pochylił się nieco. Alicja poczuła, że Vilajuana się jej wymyka. Nadszedł moment, by dołożyć drew do pieca.

– Od jak dawna nie widział pan ministra Vallsa występującego publicznie?
– rzuciła.

Vilajuana rozplótł dłonie, w jego oczach znowu pojawił się błysk zainteresowania. Nadstawił uszu.

– Słucham dalej.

– Spokojnie. Bez pośpiechu. Umowa ma być taka, że pan mówi mi o Mataixu i Martinie, a ja panu przekażę wszystko, kiedy tylko będę mogła. A daję panu słowo, że dużo tego będzie.

Vilajuana zaśmiał się pod nosem, ale przytaknął niespiesznie.

– Z Vallsem łącznie?

– Z Vallsem łącznie – skłamała Alicja.

– Jak sądzę, moja ewentualna prośba o pokazanie książki byłaby całkowicie pozbawiona sensu?

Alicja zademonstrowała najśłodszy ze swoich uśmiechów.

– Książka też była kłamstwem?

– Tylko po części. Jeszcze dwa dni temu miałam książkę, ale ją zgubiłam.

– Intuicja podpowiada mi, że raczej nie zostawiła jej pani w tramwaju.

Alicja przytaknęła.

– Umowa, jeśli pozwoli pani na wprowadzenie poprawki, będzie następująca – powiedział Vilajuana. – Pani zdradzi, gdzie znalazła pani książkę, a ja powiem wszystko, co pani chce wiedzieć.

Alicja już otwierała usta, ale dziennikarz szybko uniósł ostrzegawczo palec wskazujący i równie szybko dodał:

– Jeszcze raz powie coś pani na temat mojego osobistego bezpieczeństwa, a zmuszony będę panią pożegnać, życząc dużo szczęścia i miłego dnia. Przyjmujemy za rzecz oczywistą, że to, co mi pani powie, zostanie między nami...

Alicja zastanowiła się dłuższą chwilę.

– Słowo?

Vilajuana położył dłoń na stercie zapisanych przez siebie kartek.

– Przysięgam na swoje przemówienie z okazji przyjęcia mnie do Królewskiej Akademii Literatury Pięknej w Barcelonie.

Alicja, nie ociągając się tym razem, skinęła głową. Rozejrzała się wokół raz i drugi, by się upewnić, że w sali bibliotecznej są sami. Dziennikarz obserwował ją tyleż zdumiony, ile zafascynowany.

– Znalazłam ją tydzień temu zmyślnie ukrytą w jednej szuflad biurka pana ministra Mauricia Vallsa w osobistym gabinecie jego prywatnej rezydencji.

– A mogę wiedzieć, co pani tam robiła?

Alicja pochyliła się w stronę dziennikarza.

– Prowadziłam śledztwo w sprawie jego zniknięcia.

Wzrok Vilajuany rozbłysnął jak fajerwerki.

– Proszę mi przysiąc, że wyłączność w tej sprawie i do tego wszystkiego, co z nią może być związane, należy do mnie.

– Przysięgam na pana przemówienie z okazji przyjęcia do tej instytucji.

Vilajuana patrzył jej głęboko w oczy. Alicja nawet nie mrugnęła. Dziennikarz wziął ze stołu plik czystych kartek i przekazał je Alicji razem z wiecznym piórem.

– Proszę – powiedział. – Jestem święcie przekonany, że bardzo chętnie zanotuje pani to i owo...

– Poznałem Victora Mataixa trzydzieści lat temu, a konkretnie jesienią tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku. Stawiałem wtedy pierwsze kroki w fachu i pracowałem w redakcji „La Voz de la Industria”, gdzie byłem zapchajdziurą, chłopcem do wszystkiego, przynieś, podaj, pozamiataj. W owym czasie Víctor Mataix pod różnymi pseudonimami pisał powieści w odcinkach dla wydawnictwa, które było własnością dwójki cwaniaczków, Barrida i Escobillasa, oszukujących kogo się da, od własnych autorów po dostawców papieru i farby drukarskiej. W oficynie tej publikowali również tacy autorzy jak David Martín, Ladislao Bayona, Enrique Marqués i całe pokolenie młodych i wygłodzonych pisarzy przedwojennej Barcelony. Kiedy zaliczki Barrida i Escobillasa nie starczały Mataixowi, żeby dobrnąć do końca miesiąca, a zdarzało się to często, pisał różne rzeczy na zamówienie dla wielu dzienników, nie wyłączając „La Voz de la Industria”, od krótkich opowiadań po wspaniałe reportaże z podróży do miejsc, w których nigdy nie był. Pamiętam jeden z nich, zatytułowany *Tajemnice Bizancjum*. Wtedy uznałem ów tekst za arcydzieło, choć Mataix wszystko w nim zmyślił, od początku do końca, a jedyną dokumentacją, na jakiej się wspierał, były reprodukcje starych widokówek Stambułu.

– I pomyśleć, że ja wierzę we wszystko, co jest drukowane w gazetach – westchnęła Alicja.

– Czelności pani nie brakuje, nie ma co. Ale to były inne czasy, wtedy pióra, które kłamały w prasie, robiły to z wdziękiem. Tak się złożyło, że wielokrotnie tuż przed zamknięciem numeru zlecano mi skracanie tekstów Mataixa, tak aby mieściły się na kolumnie, kiedy trzeba było w ostatniej chwili zrobić miejsce dla jakiegoś ogłoszenia czy też niewydarzonego felietonu przyjaciela naczelnego. Pewnego dnia Mataix zjawił się w redakcji, by odebrać honoraria za swoje teksty, i podszedł do mnie. Myślałem, że robi awanturę, ale podał mi rękę, przedstawił się, jakbym nie wiedział, kim jest, i podziękował mi, że to właśnie ja, a nie kto inny, przycina mu teksty, kiedy już nie ma innego wyjścia. „Ma pan oko, Vilajuana. Bardzo dobre oko. Niech pan uważa, żeby go panu tutaj nie zmarnowali” – powiedział.

Mataixa cechowała niezwykła elegancja. Nie mówię o ubraniu, choć nosił się zawsze nienagannie. Chodził w trzyczęściowych garniturach, a okrągłe okulary w cieniutkich metalowych oprawkach przydawały mu proustowskiego wyglądu, ale bez magdalenek. Mówię o jego manierach, o sposobie, w jaki

zwracał się do ludzi, jak się do nich odzywał. Należał do tych, o których redaktorzy tandeciarze zwykli mówić: *rara avis*. Był ponadto człowiekiem szczodrym, wyświadczał przysługi nieproszony i nie oczekując niczego w zamian. To on zresztą niewiele później zarekomendował mnie do redakcji „La Vanguardii”, dzięki jego pomocy udało mi się uciec z „La Voz de la Industria”. W owym okresie Mataix już prawie nie pisał do gazet. Nigdy chyba za tym nie przepadał. Był to dla niego jedynie sposób łatania budżetu w chudych latach. Jedną z serii pisanych dla Barrida i Escobillasa, „Miasto luster”, odniosła spory sukces. Sądzę, że wspólnie z Davidem Martinem utrzymywali przy życiu całą stajnię oficyny Barrida i Escobillasa, a pracowali bez wytchnienia. Szczególnie Martín, bo w końcu strawił i swe wątle zdrowie, i rozum, niszcząc ze szczętem mózg przy maszynie do pisania. Mataix, z uwagi na rodzinę, był w sytuacji bardziej komfortowej.

– Pochodził z dobrej rodziny?

– Nie całkiem, ale szczęście się do niego uśmiechnęło, albo i nie, zależy, jak się na to spojrzy: odziedziczył nieruchomość po wujku, dość ekstrawaganckim osobniku o imieniu Ernesto, a przydomku Imperator Cukrowej Kostki. Mataix był jego ulubionym siostrzeńcem, a przynajmniej jedynym członkiem rodziny, którego nie nienawdził. W ten oto sposób Víctor Mataix świeżo po ślubie mógł przeprowadzić się do okazałej rezydencji przy Carretera de las Aguas na stoku Vallvidrery, którą zostawił mu wuj Ernesto wraz z częścią akcji towarzystwa importu towarów kolonialnych, które założył po powrocie z Kuby.

– Wujek Ernesto należał do tych, którzy wzbogacili się w naszych byłych koloniach?

– Otóż to, był typowym *indiano*, wprost podręcznikowym. Wyjechał, by tak rzec, z Barcelony, kiedy miał lat siedemnaście, ale nie miał złamanego grosza, ponadto grunt mu się palił pod nogami, bo szukała go Gwardia Obywatelska gotowa połamać mu nogi. Cudem udało mu się przedostać na statek handlowy i na gapę dopłynąć do Hawany.

– I jak go potraktowała Ameryka?

– Dużo lepiej niż on ją. Kiedy wuj Ernesto wrócił do Barcelony na pokładzie własnego statku, ubrany na biało i z trzydzieści lat od siebie młodszą skandynawską żoną świeżo nabytą drogą pocztową, od jego wyjazdu

upłynęło ponad czterdzieści lat. Przez ten czas Imperator Cukrowej Kostki nieraz dorobił się fortuny i stracił fortunę, zarówno swoją, jak i cudzą, prowadząc interesy w produkcji cukru i w handlu bronią. Dzięki starannie dobranemu batalionowi przelotnych i stałych kochanek spłodził tylu bastardów, iż mógłby nimi zaludnić wszystkie wyspy Karaibów. Przypuszczalnie dopuścił się takich aktów bezprawia, że gdyby istniał Bóg, a do tego odrobina sprawiedliwości, to miałby zagwarantowaną odsiadkę w piekle na dziesięć tysięcy lat.

– Gdyby istniał lub istniała – wtrąciła Alicja.

– Mimo wszystko, choć zabrakło być może Boga, to w jakiejś mierze sprawiedliwości stało się zadość, bo w końcowym rozrachunku przynajmniej nie zabrakło ironii losu. Niebo już tak ma. Wieść niesie, że tuż po powrocie z Kuby Imperator Cukrowej Kostki zaczął tracić zmysły za sprawą trucizny, którą podała mu podczas jego ostatniej tropikalnej wieszery kucharka Mulatka żywiąca jakieś urazy, pałająca złością i Bóg wie czym jeszcze. Przywrócony dopiero co na ojczyzny łono *indiano* strzelił sobie w łeb na strychu w swojej nowiutkiej rezydencji przekonany, że coś zamieszkuje jego dom, coś, co pełza po ścianach i suficie i wydziela taką woń jak gniazdo węży... Coś, co noc w noc przedostaje się do jego sypialni i wślizguje pod kołdrę, by wyssać z niego duszę.

– Jestem pod wrażeniem – oznajmiła Alicja. – Dramaturgia jest pańskiego autorstwa?

– Co nieco zapożyczyłem od Mataixa, który opowieść o wuju umieścił, przydając jej nieco operowego sztafażu, w jednej z powieści „Labiryntu”.

– Szkoda.

– Rzeczywistość nigdy nie dorównuje fikcji, a przynajmniej tej najwyższej próby.

– A rzeczywistość w tym przypadku była...?

– Z dużą dozą prawdopodobieństwa bardziej prozaiczna. Najwiarygodniejsze wyjaśnienie pojawiło się już w dniu pogrzebu wuja Ernesta, który odbył się w wypełnionej po brzegi katedrze, z udziałem biskupa, alkada i całego pospolitego i niepospolitego ruszenia barcelońskiej gminy. Nie wspominając o tych wszystkich, którym *indiano* Ernesto pożyczył pieniądze, a przybyli tam, by się upewnić, że zmarł na amen i nie będą musieli

mu już nic oddawać. Do rzeczy jednak. W dniu pogrzebu rozniosła się plotka, że tak naprawdę pod kołdrę zmarłego magnata cukrowego wślizgiwało się nie tajemnicze coś, ale konkretnie córka ochmistrzyni, siedemnastoletnia dziewczyna, sprytna i zuchwała, która jakiś czas później zyskała sławę i fortunę, występując w kabaretach na Paralelo pod artystycznym pseudonimem Doris Laplace. I zmilczę, że nie wślizgiwała się noc w noc po to, by wyssać akurat duszę.

– A wobec tego co z samobójstwem?

– Wszystko wskazuje, że nie obyło się bez wspomagania. Ponoć ciężko doświadczona nowa małżonka wuja Ernesta, wbrew obiegowym pojęciom, iż kobiety skandynawskie są zimne, mając już po dziurki w nosie i małżeństwa, i ustawicznych zdrad, postanowiła w noc świętojańską wystrzelić mu prosto w twarz z dubeltówki, którą chłop trzymał zawsze przy łóżku na wypadek, gdyby zjawili się anarchiści.

– Przykładna historia.

– Żywoty świętych i grzeszników, gatunek nader barceloński. Niezależnie od tego, która z wersji zdarzeń jest bardziej wiarygodna, dom *indiano* Ernesta przez lata stał pusty. Opowieści o wiszących nad nim klątwach i czarach towarzyszyły mu od chwili położenia przez magnata kamienia węgielnego, a zła sława nie opuszczała go nawet wtedy, kiedy tuż po ślubie wprowadzili się do niego Mataix i jego żona Susana. Trzeba przyznać, że dom robił wrażenie. Kiedy byłem tam pierwszy raz, Mataix oprowadził mnie po całej rezydencji. Włos się jeżył, mnie przynajmniej, bo w moim guście są raczej komedie muzyczne i lekkie romanse. Były tam schody, które prowadziły donikąd; korytarz, w którym lustra poustawiano tak, że idąc nim, człowiek miał wrażenie, jakby ktoś podążał za nim krok w krok; i piwnica, gdzie *indiano* kazał wybudować basen z dnem wyłożonym mozaiką obrazującą twarz jego pierwszej żony. Leonor, dziewiętnastoletnia dziewczyna z Kuby, popełniła samobójstwo, wbijając sobie w serce szpilkę do włosów, bo była przekonana, że jest w ciąży z wężem.

– Poruszające. I tam właśnie posłał pan Lomanę?

Vilajuana przytaknął, uśmiechając się złośliwie.

– Opowiedział mu pan te wszystkie historie o przewrotnych duchach z zaświatów i dziwach całego domu? Lomana jest przesądny

i przewrażliwiony w tych sprawach...

– Przykro mi to mówić, ale takie właśnie odniosłem wrażenie, a mając na uwadze nader nikłą sympatię, jaką ów osobnik we mnie wzbudził, wolałem nie udzielać mu informacji, o które wszak sam nie prosił, żeby nie psuć mu niespodzianki.

– Wierzy pan w takie rzeczy? Czary i klątwy?

– Wierzę w literaturę. Czasem w sztukę kulinarną, zwłaszcza kiedy mam do czynienia z dobrym daniem z ryżu. Reszta to bujdy i środki zastępcze, jak kto woli. Coś mi mówi, że w tym właśnie jesteśmy do siebie podobni. O literaturze myślę, nie o kulinariach.

– I co się stało później? – zapytała Alicja, pragnąc wrócić do opowieści o Mataixu.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie słyszałem, żeby Mataix narzekał na jakieś interwencje z zaświatów czy cokolwiek podobnego. Nie byłbym chyba daleki od prawdy, gdybym powiedział, że wierzył w te wszystkie dziwadła jeszcze mniej niż w polityczne orędzia, które w owym czasie przeistoczyły już ten kraj w jeden wielki rozgdakany kurnik. Dopiero co ożenił się z Susaną, w której był zakochany na zabój, i harował do utraty tchu w gabinecie, z którego rozciągał się widok na całą leżącą u jego stóp Barcelonę. Susana była istotą delikatną i wątłego zdrowia. Skórę miała niemal przezroczystą, a obejmując ją, człowiek miał wrażenie, że dziewczyna zaraz się rozpadnie. Męczyła się bardzo szybko i nierzadko zmuszona była spędzić cały dzień w łóżku, bo czuła się za słaba, żeby wstać. Mataix nieustannie się o nią martwił. Kochał ją szalenie, myślę, że z wzajemnością. Odwiedziłem ich kilkakrotnie i aczkolwiek dom, jak już mówiłem, był na mój gust nazbyt złowieszczy, wydawało mi się, że mimo wszystko byli szczęśliwi. Przynajmniej na początku. Kiedy Mataix schodził do miasta, jak zwykł mawiać, często pojawiał się w siedzibie „La Vanguardii”. Szliśmy razem na obiad albo na kawę. Opowiadał mi o powieści, nad którą akurat siedział, i dawał parę stron do przeczytania, by poznać moją opinię, obojętnie, czy miał ją później na uwadze, czy też nie. Wykorzystywał mnie jak królika doświadczalnego, by tak rzec. W tamtym okresie Mataix był jeszcze tylko wyrobnikiem. Pisał pod nie wiadomo iloma pseudonimami za stałą cenę od słowa. Zdrowie Susany wymagało nieustannej opieki medycznej i lekarstw, a Mataix zasięgał porady

jedynie najlepszych specjalistów. I za nic miał to, iż chcąc sprostać takim wydatkom, musi pracować do upadłego, co przypłacić może własnym zdrowiem. Susana marzyła o dziecku. Lekarze ostrzegali ją, że zajście w ciążę jest dla niej bardzo ryzykowne. Skomplikowane. I kosztowne.

– Ale zdarzył się cud.

– Owszem. Po kilku poronieniach i po kilku latach trudów Susana w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku znów zaszła w ciążę. Mataix zadreptał się, czy żona znowu nie straci dziecka lub, nie daj Boże, życia. Ale tym razem wszystko skończyło się szczęśliwie. Susana zawsze chciała mieć córkę i dać jej imię siostry, którą straciła w dzieciństwie.

– Ariadna.

– Przez te lata, kiedy starali się o dziecko, Susana prosiła Mataixa, by zaczął pisać nową książkę, zupełnie inną od tych, jakie stworzył do tej pory. Książkę przeznaczoną tylko i wyłącznie dla tej dziewczynki, o której tak marzyła. I którą sobie dosłownie wyśniła. Susana wielokrotnie mówiła, że widziała ją w swoich snach i rozmawiała z nią.

– I takie było źródło serii „Labirynt”?

– Tak. Mataix przystąpił do pisania pierwszej książki otwierającej cały cykl i poświęcił ją przygodom Ariadny w magicznej Barcelonie. Osobiście jestem przekonany, że pisał je również dla siebie, nie tylko dla Ariadny. Zawsze miałem wrażenie, że książki z serii były, w pewnej mierze, ostrzeżeniem.

– Przed czym?

– Przed tym, co nadchodziło. Pani była wtedy małą dziewczynką... W latach poprzedzających wojnę sytuacja wyglądała już bardzo źle. To się czuło. Wisiało w powietrzu...

– Ma pan dobry tytuł do swojej książki.

Vilajuana uśmiechnął się.

– Myśli pan, że Mataix przeczuwał, co się stanie?

– I on, i wielu innych. Tylko ślepy mógł tego nie widzieć. Mataix często o tym mówił. Kiedyś nawet przyznał mi się, że poważnie się zastanawia, czy nie wyjechać za granicę, ale Susana nie chciała opuszczać Barcelony. Sądziła, że jeśli wyjadą, to nigdy nie zajdzie w ciążę. A potem już było za późno.

– A może mi pan coś powiedzieć o Davidzie Martinie? Znał go pan?

Przez twarz Vilajuany przebiegł lekki grymas zniecierpliwienia.

– Martina? Troszeczkę. Spotkaliśmy się dwa albo trzy razy. Mataix przedstawił mi go chyba wtedy, kiedy umówiliśmy się w barze Canaletas. Przyjaźnili się od dawna, bo znali się od młodości, zanim Martinowi odbiło. Mataix darzył go wielkim szacunkiem. A mnie Martín wydał się najdziwniejszą osobą, jaką w życiu poznałem.

– To znaczy?

Vilajuana pomyślał chwilę.

– David Martín był bardzo utalentowanym człowiekiem, na swoje nieszczęście chyba aż nadto. Według mego skromnego zdania był kompletnym szajbusem.

– Szajbusem?

– Szaleńcem. Całkowicie znikowanym.

– A dlaczego pan tak twierdzi?

– Powiedzmy, że podpowiada mi to intuicja. Martín słyszał głosy... I nie były to głosy muz.

– Czy chce pan powiedzieć, że był schizofrenikiem?

– Wiem tylko, że Mataix się o niego martwił. I to bardzo. Bo taki był Mataix, martwił się i przejmował wszystkimi naokoło. Tylko o siebie się nie troszczył. Martín wpakował się w jakąś kabałę i właściwie już się z Mataixem nie widywali. Martín stronił od ludzi.

– A rodzina nie mogła mu pomóc?

– Nie miał rodziny. Nie miał nikogo. A jeśli nawet miał, to go do siebie zrażał. Jego jedynym kontaktem ze światem rzeczywistym była dziewczyna, którą zatrudnił jako uczennicę, miała na imię Isabella. Mataix uważał, że tylko dzięki niej Martín utrzymywał się przy życiu, tylko ona próbowała go chronić przed nim samym. Mataix mawiał, że jedynym prawdziwym demonem był mózg Davida, który pożerał go żywcem.

– Jedynym prawdziwym? Było więcej demonów?

Vilajuana wzruszył ramionami.

– Nie wiem, jak to pani wytłumaczyć, żeby się pani nie śmiała.

– Proszę próbować.

– Zacznę od tego, że Mataix opowiedział mi, jakoby David Martín wierzył, że podpisał z tajemniczym wydawcą umowę na napisanie czegoś w rodzaju świętego tekstu, biblii jakiejś nowej religii. Proszę nie robić takiej miny. Jak twierdził Mataix, Martín spotykał się co jakiś czas z owym edytorem, niejakim Andreasem Corellim, i otrzymywał kolejne instrukcje pozagrobowe czy coś w tym stylu.

– A Mataix oczywiście wątpił w istnienie owego Corellego.

– Wątpił to za mało powiedziane. Umieścił go na liście postaci baśniowych, pomiędzy Wróżką Zębuszką a Babą-Jagą. Poprosił mnie zresztą, żebym sprawdził w środowisku wydawców to i owo, by zobaczyć, czy natrafimy na rzeczonoego edytora. I oczywiście sprawdziłem. Poruszyłem niebo, ziemię i wszystko, co między nimi.

– I?

– Jedyne Corelli, na jakiego się natknąłem, to włoski kompozytor barokowy, Arcangelo Corelli, może zresztą pani znany.

– To kim wobec tego był ów Corelli, dla którego Martín pracował lub wyobrażał sobie, że pracuje?

– Martín wierzył, że to był inny rodzaj *arcangelo*, ten upadły.

Dziennikarz uniósł ręce, przyłożył sobie do czoła po jednym palcu z każdej dłoni na podobieństwo rogów i uśmiechnął się kpiarsko.

– Diabeł?

– Z ogonem i kopytkami. Mefistofeles prosto od drogiego krawca, który przybył z piekieł, aby skusić go faustowskim paktem umożliwiającym stworzenie przekłętego dzieła stanowiącego podwaliny dla religii, która miałaby podpalić świat. Mówiłem już, szajba. I tak też skończył.

– Mówi pan o więzieniu Montjuic?

– To było jakiś czas później. Z początkiem lat trzydziestych David Martín w efekcie swych urojeń i dziwnego sojuszu z kulawym diabełkiem zmuszony był na własnych nogach uciekać z Barcelony, kiedy policja oskarżyła go o dokonanie serii morderstw, których nigdy zresztą nie wyjaśniono. Zdaje się,

że udało mu się ujść z kraju po prostu cudem. Był tak bardzo szalony, że nie przyszło mu do głowy nic lepszego, jak tylko wrócić do Hiszpanii w pełni wojny. Wyobraża to sobie pani? Zatrzymano go w miejscowości Puigcerdá, tuż po tym, jak przeszedł Pireneje, i wylądował w zamku Montjuic. Jak wielu innych. I jak sam Mataix nieco później. Tam spotkali się po wielu latach niewidzenia... Smutny to koniec.

– Nie wie pan, dlaczego wrócił? Przecież Martin, nawet jeśli był kompletnym wariatem, musiał wiedzieć, że po powrocie do Barcelony zostanie wcześniej czy później schwytany.

Na twarzy Vilajuany pojawił się wyraz niepewności.

– A dlaczego popełniamy w naszym życiu największe głupstwa?

– Z miłości, dla pieniędzy, z rozpaczy...

– Wiedziałem, w głębi duszy jest pani nader romantyczną osobką.

– Czyli z miłości?

– Kto wie. Nie mam pojęcia, co spodziewał się znaleźć w miejscu, w którym połowa kraju właśnie mordowała drugą połowę w imię jakiejś szmaty o takich czy innych barwach.

– Oważ Isabella?

– Nie wiem... Tej części łamigłówki jeszcze nie odnalazłem.

– Czy to ta sama Isabella, która później wyszła za mąż za księgarza Sempere?

Vilajuana spojrział na nią zaskoczony.

– A skąd pani o tym wie?

– Powiedzmy, że mam swoje źródła.

– Nawiasem mówiąc, byłoby wskazane, aby podzieliła się pani nimi ze mną.

– Jak tylko będę mogła, nie omieszkam. Ma pan moje słowo. A więc to ta sama osoba?

– Zgadza się. To Isabella Gispert, córka właścicieli sklepu spożywczego istniejącego do tej pory na tyłach kościoła Santa María del Mar, której pisane było zostać Isabellą Sempere.

- Sądzi pan, że Isabella była zakochana w Davidzie Martinie?
- Przypominam, że wyszła za mąż za księgarza Sempere, nie za niego.
- To niczego nie dowodzi – zauważyła Alicja.
- Tak przypuszczam.
- Poznał ją pan?

Vilajuana przytaknął.

- Byłem na ślubie.
- I wyglądała na szczęśliwą?
- Wszystkie panny młode są szczęśliwe w dniu swego ślubu.

Alicja uśmiechnęła się kpiąco.

- A jaka była?

Mężczyzna spuścił wzrok.

- Rozmawiałem z nią zaledwie ze dwa razy.
- Ale jednak jakieś wrażenie chyba na panu wywarła?
- Owszem. Isabella robiła wrażenie.
- I?

– I uznałem, że należy do nielicznego grona osób, które z tego pieskiego świata potrafią uczynić miejsce warte odwiedzin.

- Był pan na pogrzebie?

Vilajuana, ociągając się, skinął głową.

- Czy to prawda, że umarła na cholere?

Cień jakiś zmącił wzrok dziennikarza.

- Tak mówiono.

- Ale pan w to nie wierzy?

Dziennikarz pokręcił przecząco głową.

- Wobec tego dlaczego nie opowie mi pan reszty całej historii?

– Prawdę mówiąc, to bardzo smutna sprawa, o której wolałbym nie pamiętać.

- I dlatego już od tylu lat pisze pan książkę jej poświęconą? Na domiar

złego książkę, której, jak chyba pan wie, nigdy nie będzie mógł pan opublikować, przynajmniej w tym kraju...

Vilajuana uśmiechnął się smutno.

– Wie pani, co mi powiedział David Martín, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni? Było to w noc, kiedy cała nasza trójka, Mataix, on i ja, wypiliśmy o parę kieliszków za dużo w El Xampanyet, chcąc uczcić ukończenie przez Victora pierwszej książki „Labiryntu”.

Alicja pokręciła głową.

– Rozmowa zeszła na sztopowy temat: pisarze a alkohol. Martín, który mógł wypić wannę silniejszych trunków, nie tracąc jasności umysłu, powiedział mi owej nocy coś, czego nigdy nie zapomnę. „Pije się, żeby rozpamiętywać, a pisze, żeby zapomnieć”.

– Może jednak nie był taki szalony, na jakiego wyglądał?

Vilajuana w milczeniu pokiwał głową. Jego twarz ocieniały wspomnienia.

– Niech mi pan wobec tego opowie o tym, o czym usiłuje pan od tylu lat zapomnieć – poprosiła Alicja.

– Tylko niech mi pani później nie mówi, że nie uprzedzałem – ostrzegł.

ZAPOMNIANI

Sergio Vilajuana

VÍCTOR MATAIX I KONIEC STRACONEGO POKOLENIA BARCELONY

(Ediciones Destino, Barcelona 1989)

Fragment

Oto pierwszy akapit divertimenta przesyconego ironią, a zatytułowanego *Atrament i siarka*, który Víctor Mataix napisał w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim, zainspirowany przypuszczalnie nieszczęsnym losem swego przyjaciela i kolegi po piórze Davida Martina.

Nie trzeba być Goethem, aby wiedzieć, że wcześniej czy później każdy

autor zasługujący na miano pisarza natrafia na swego Mefistofelesa. Ci dobroduszeni, o ile takowi istnieją, oddają mu swą duszę. Pozostali zaprzędają mu dusze wszystkich łatwowiernych, którzy stają na ich drodze.

Víctor Mataix, którego twórczość bez wątpienia stawiała go w rzędzie ludzi pióra godnych miana pisarza, spotkał się ze swym Mefistofelesem pewnego jesiennego dnia tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku.

Trudno było żyć z literatury przed wybuchem wojny i wymagało to nie lada ekwilibrystyki od każdego parającego się tym zawodowo. Wojna zaś zniszczyła doszczętnie i tak raczej skromny, by nie rzec ubogi, sektor wydawniczy. Oczywiście nie przestano pisać, publikować i wydawać, ale królującym teraz gatunkiem była propaganda, pamflet i panegiryk w służbie sprawy wiekopomnej zbryzganej wrzaskiem i krwią. W parę miesięcy Mataix, tak jak i wielu innych, znalazł się w sytuacji, w której jedyną szansą na zarobek, czyli na przetrwanie, było czyjeś miłosierdzie lub hazard.

Serię powieści „Labirynt duchów” powierzył przebiegłym dżentelmenom Revellsowi i Badensowi. Ten ostatni, znany *gourmand* i koneser wykwinnych wiktuałów i ziemiopłodów, zaszył się w ustroniu swego gospodarstwa w Ampurdán, by uprawiać pomidory i kontemplować sekrety trufl i w ten sposób przetrwać obłęd obecnych czasów oraz doczekać uspokojenia nastrojów. Urodzony optymista, którego wszelkie burdy przyprawiały o mdłości, wierzył, że konflikt nie potrwa dłużej niż dwa, trzy miesiące, a potem Hiszpania powróci do swego naturalnego stanu, czyli chaosu i groteski, gdzie zawsze jest miejsce dla literatury, rozkoszy stołu i interesów. Revells, wnikliwy badacz kuglarstwa władzy i teatru politycznego, wołał z kolei pozostać w Barcelonie, nawet nie zamknął swoich oficyn, nie zważając na ewentualne straty. Wydawanie literatury zawisło w próżni niepewności, a znaczna część edytorów koncentrowała się na drukowaniu diatryb, pamfletów i przykładnych epepei ku chwale bohaterów danej chwili, którzy zmieniali się z tygodnia na tydzień wskutek walk frakcyjnych i sygnałów o nękającej stronę republikańską skrytej wojnie domowej wewnątrz otwartej wojny domowej. Revells pozbawiony optymizmu swego współnika, który wciąż wysyłał mu skrzynki wybornych pomidorów i innych warzyw, czuł, że rzecz cała zanosi się na dłużej i skończy gorzej niż źle.

Mimo wojny Revells i Badens nadal wypłacali ze swych oszczędności małą pensję Mataixowi tytułem zaliczki za przyszłe dzieła. Mataix godził

się na to, acz bardzo niechętnie. Revells odnosił się do jego wątpliwości lekceważąco. Kiedy w dyskusji pojawiał się wątek skrupułów czy też, jak to określał wydawca, pedałstwa człowieka, który jeszcze nie zaznał prawdziwego głodu, uśmiechał się do Mataixa kpiąco i powtarzał: „Panie Victorze, proszę się tak nie użalać nad naszym losem, bo zapewniam pana, że osobiście dopilnuję, by wszystkie zaliczki, które panu wypłacamy, któregoś dnia spłacił nam pan z nawiązką”.

Dzięki pomocy wydawców Mataix mógł zagwarantować swojej rodzinie minimum egzystencji, co w owym czasie zaczęło być przywilejem nielicznych. Większość jego kolegów znajdowała się w sytuacji krytycznej i nierokującej żadnej nadziei. Niektórzy, idąc za porywem serca i romantyzmu, wstąpili do oddziałów milicji ochotniczej. „Wytepiamy szczura faszyzmu w jego gnijącej norze” – intonowali. Niejeden wypomniał Mataixowi, że się nie przyłączył. Taka to była epoka, że wiele osób uznawało za akt wiary i sumienia hasła propagandowych plakatów wywieszonych na murach całego miasta. „Kto nie jest gotów walczyć za wolność, ten na nią nie zasługuje” – mówili mu. Mataixa, podejrzewającego, że chyba mają rację, gryzło sumienie. Powinien zostawić Susanę i swoją córkę Ariadnę w rezydencji na wzgórzach i ruszyć przeciwko wojskom nacjonalistów zwanych narodowcami. „Nie wiem, w imieniu jakiego narodu występują ci nacjonaści, w każdym razie nie jest to mój naród – powiedział mu jeden z przyjaciół, którego odprowadzał na dworzec kolejowy. – I nie jest to również twój naród, nawet jeśli nie masz odwagi ruszyć i bronić własnego”. Mataix wrócił do domu, wstydząc się samego siebie. Susana przytuliła się do niego i drżąc cała, uderzyła w płacz. „Nie opuszczaj nas – błagała. – Ariadna i ja jesteśmy twoją ojczyzną”.

Mataix zauważył, że im dłużej toczyły się walki, tym gorzej szło mu tworzenie. Godzinami siedział przed maszyną do pisania ze wzrokiem utkwionym w widocznym za oknami horyzoncie. Z czasem niemal codziennie schodził do miasta w poszukiwaniu tematów, jak sobie wmawiał, albo żeby uciec od siebie samego. Większość jego znajomych zebrała o jakiegokolwiek fawory i łaskawość na rozrastającym się w cieniu wojny tyleż czarnym, ile mętłym rynku wasalstwa i służalczości. Pośród głodujących chudych literatów rozniosła się wieść, że Mataix otrzymuje od Revellsa i Badensa stałą pensję, prawdopodobnie tytułem bezzwrotnej pożyczki. Stary przyjaciel David Martín ostrzegał go: „Zawiść to gangrena pisarzy, toczy nas i gnijemy już za życia,

a zapomnienie, na nic nie bacząc, i tak wszystkich skosi”. Wystarczyło parę miesięcy, a znajomi już go nie poznawali. Jedni, widząc go z daleka, przechodzili na drugą stronę ulicy, szeptali między sobą i nie kryli pogardy. Inni, idąc naprzeciw, spuszczaali wzrok.

Pierwsze miesiące zbrojnego konfliktu pogrzyżyły Barcelonę w przedziwnym letargu pełnym lęków i wewnętrznych sporów. Faszystowska rebelia poniosła w mieście klęskę w pierwszych dniach po przewrocie i niejeden święcie wierzył, że wojna została odepchnięta daleko, że wszystko skończy się na wymachiwaniu szabelką przez generałów mikrych wzrostem i pozbawionych wstydu i że po paru tygodniach rzecz cała wróci do gorączkowej nienormalności cechującej życie publiczne kraju.

Mataix już nie wierzył. I bał się. Wiedział, że wojna domowa to splot sprzężonych ze sobą drobnych utarczek, nieco większych potyczek i potężnych walk. Jej oficjalna historia zawsze opiera się na pamięci kronikarzy okopanych po stronie zwycięzców lub po stronie pokonanych. Nikogo nie obchodzą ci, którzy znaleźli się w potrzasku między jednymi a drugimi, a którzy rzadko kiedy są winni podłożenia ognia. Martín zwykł mówić, że w Hiszpanii gardzi się przeciwnikiem, ale nienawidzi tego, który chodzi własnymi ścieżkami i nie płynie z prądem. Dawniej Mataix nie zgadzał się z tą opinią, powoli jednak zaczynał wierzyć, że w Hiszpanii jedynym niewybaczalnym grzechem jest odmowa stanięcia po którejś ze stron i przyłączenia się do jednego lub drugiego stada. A tam, gdzie są stada baranów, zawsze pojawiają się zgłodniałe wilki. Mataix, chcąc nie chcąc, przyjął to do wiadomości, czując zarazem nieunikniony rozlew krwi. Nadejdzie jeszcze pora, by pochować zmarłych i oddać się wyłącznie bajkopisarstwu. Teraz nastał czas, kiedy trzeba było sięgnąć po noże i nagradzać każdą małośćkowość. Wojny brukają wszystko, ale czyszczą pamięć.

Owego fatalnego dnia tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku, który zmienił jego los, Mataix szedł do miasta, by spotkać się z Revellsem. Wydawca zapraszał go zwykle na obiad do baru Velódromo, nieopodal siedziby Ediciones Orbe na Diagonal, i przekazywał ukradkiem kopertę z pieniędzmi w kwocie pozwalającej rodzinie przeżyć kilka następnych tygodni. Tego dnia Mataix po raz pierwszy odmówił przyjęcia koperty. Tak oto

opisuje ową scenę w *Pamięci mroku*, nigdy nieopublikowanej fabularyzowanej kronice czasu wojny i lat więziennych, w której on sam występuje jeszcze jako postać opisywana przez wszechwiedzącego narratora, być może jedną z Parek:

Oszklona fasada wielkiego baru Velódromo wznosiła się w miejscu, w którym ulica Muntaner traci swój nobliwy charakter, kilka zaledwie kroków od alei Diagonal. Lokal, oświetlony jak akwarium, o sklepieniach niczym w świeckiej katedrze, oferował schronienie i wytwornie podaną kawę zbożową tym, którzy jeszcze usiłowali wierzyć, że życie, mimo wszystko, toczy się swoim torem i jutro, a najdalej za parę dni, nastaną lepsze czasy. Revells zawsze rezerwował stolik w rogu, z którego mógł obserwować cały lokal i widzieć, kto wchodzi, kto wychodzi.

– Nie, dziękuję, panie Revells, ale nie mogę już korzystać z pańskiej jałmużny.

– To nie jest jałmużna, to inwestycja. Proszę przyjąć do wiadomości, że zdaniem Badensa i moim za dziesięć lub dwadzieścia lat znajdzie się pan wśród najpoczytniejszych pisarzy całej Europy. A jeśli tak się nie stanie, to ja idę na księdza, a Badens przerzuca się z trufli na mortadelę. Przysięgam na obecne tu danie, ślimaki *à la llauna*.

– Że też trzymają się pana jeszcze takie pomysły.

– Niech pan weźmie te pieniądze, bardzo pana proszę.

– Nie.

– Ależ mam pecha. Ileś tam milionów Hiszpanów i akurat musiałem trafić na tego jednego, który nie bierze pieniędzy pod stołem.

– A pańska kryształowa kula co panu mówi względem tego?

– Drogi Victorze, ja bardzo chętnie przyjąłbym od pana maszynopis książki w zamian za zaliczkę, ale teraz nie możemy nic panu opublikować. Sam pan wie.

– Więc poczekam.

– Być może potrwa to lata. W tym kraju są tacy, którzy nie spoczną, dopóki nie zmasakrują tych drugich. Tutaj ludzie często tracą rozum i wtedy skłonni są strzelić sobie w stopę, jeśli tylko uwierzą, że w ten sposób ich sąsiad zostanie

kuternogą. To się szybko nie skończy. Proszę mi wierzyć.

– Lepiej wobec tego umrzeć z głodu, niż zostać przy życiu, by to oglądać.

– Bardzo heroiczne. Proszę mi wybaczyć, że z oczu nie tryskają mi łzy wzruszenia. I właśnie tego pragnie pan dla żony i córki?

Mataix przymknął oczy pogrążony w swej bezsilnej nędzy.

– Proszę tak nie mówić.

– Wobec tego zamiast pleść głupstwa proszę wziąć pieniądze.

– Wszystko panu zwrócę. Do ostatniego grosza.

– Nigdy w to nie wątpiłem. A teraz proszę coś zjeść, niczego pan nawet nie spróbował. I niech pan weźmie do domu to pieczywo. Aha, i proszę zajrzeć do wydawnictwa, czeka tam na pana skrzynka przepysznych warzyw z Ampurdán. Będę wdzięczny, jeśli pan to zabierze, bo mój gabinet przypomina zieleniak.

– Już pan odchodzi?

– Muszę załatwić jeszcze kilka spraw. Niech pan dba o siebie, Victorze. I proszę pisać, bo nadejdzie dzień, kiedy znowu zaczniemy wydawać, sam pan zobaczy, a przecież musi nam pan nabić kabzę.

Wydawca wstał od stołu i zostawił Mataixa samego. Pisarz wiedział, że Revells przyszedł tu tylko po to, by wręczyć mu pieniądze, a wypełniwszy swą misję, wolał odejść, by zaoszczędzić swemu autorowi wstydu i upokorzenia, jakie nim targały, bo nie potrafił utrzymać rodziny bez miłosiernego wsparcia. Mataix skończył jeść i chował właśnie po kieszeniach kawałki pieczywa, kiedy na stolik padł czyjś cień. Podniósł wzrok i ujrzał przed sobą młodego człowieka w mocno zniszczonym garniturze, trzymającego pod pachą skoroszyt służący do przechowywania dokumentacji czy akt. Osobnik wyglądał na zbyt delikatnego i bezbronnego jak na komisarza politycznego, który miałby go aresztować.

– Nie będzie panu przeszkadzać, jeśli się przysiadę?

Mataix pokręcił głową.

– Nazywam się Brians. Fernando Brians. Jestem adwokatem, wbrew pozorom.

– Víctor Mataix, pisarz, również wbrew pozorom.

– Co za czasy, nieprawdaż? Ten, kto jest kimś, wbrew pozorom nań nie

wygląda, ten zaś, kto jeszcze dwa dni temu był nikiem, teraz aż nadto przypomina wyglądem siebie samego.

– Adwokat i filozof zarazem, jak widzę.

– A wszystko za bardzo przystępną cenę – zarekomendował się Brians.

– Rad byłbym bardzo skorzystać z pańskich usług, by bronił pan mojej miłości własnej, ale z zasobami finansowymi u mnie krucho.

– Nie szkodzi. Klienta już mam.

– Wobec tego jaka jest moja rola? – zapytał Mataix.

– Jest pan artystą, któremu dopisało szczęście i który został wybrany do wykonania nader lukratywnego zadania.

– Coś takiego. A kim jest pański klient, że śmiem zapytać?

– Człowiek bardzo dbający o swoją prywatność.

– A któż by nie dbał?

– Ten, kto jej nie ma.

– Niech pan zapomni na chwilę o filozofie, a bardziej wejdzie w rolę adwokata – rzucił Mataix. – Czym mogę panu czy też pańskiemu klientowi służyć?

– Mój klient to człowiek wielkich zasług i o jeszcze większym bogactwie. To jeden z tych ludzi, o których mawia się, że posiadają wszystko.

– I którzy chcą jeszcze więcej.

– W naszym przypadku w owym „więcej” zawarte są pańskie usługi – uściślił Brians.

– A jakież to usługi może świadczyć powieściopisarz w czasach wojny? Moi czytelnicy wcale nie chcą czytać, chcą się nawzajem pozabijać.

– Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan nad napisaniem biografii? – zapytał adwokat.

– Nie. Ja zajmuję się wyłącznie fikcją.

– Są tacy, którzy twierdzą, że nie ma gatunku bardziej fikcyjnego niż biografia.

– Z wyjątkiem może autobiografii – dodał Mataix.

– Otóż to. Jako powieściopisarz zgodzi się pan chyba, że każda historia to

po prostu historia.

– Jako powieściopisarz zgadzam się jedynie na zaliczki. W miarę możliwości gotówką.

– Do tego jeszcze dojdziemy. Niemniej nawet gdybyśmy poprzestali jedynie na rozważaniach czysto teoretycznych, każda kronika stworzona jest ze słów, materią jest język. Nieprawdaż?

Mataix westchnął.

– Wszystko stworzone jest ze słów i z języka – odparł. – Nawet sofizmaty adwokata.

– A kim jest pisarz, jeśli nie specjalistą od języka?

– Osobą bez zawodowych perspektyw, kiedy ludzie przestają używać mózgu i myślą jelimem grubym, by tak rzec.

– Widzi pan? Nawet w sarkazmie cechuje pana swoisty, elegancki ton.

– Panie mecenasie, dlaczego nie przejdzie pan do rzeczy?

– Mój klient lepiej by tego nie powiedział.

– Pozostańmy wobec tego przy owym sarkastycznym tonie. Jeśli pański klient jest tak ważny i tak wpływowy, nie jest pan adwokatem nazbyt, bez urazy, poślednim, aby go reprezentować?

– Żadnej urazy nie chowam. Szczerze mówiąc, ma pan dużo racji. Nie reprezentuję swojego klienta drogą bezpośrednią.

– Może pan mówić jaśniej? – poprosił Mataix.

– Zostałem wynajęty przez renomowaną kancelarię adwokacką reprezentującą w rzeczywistości mojego klienta.

– Szczęściarz z pana. A dlaczego nie stawił się tutaj żaden z adwokatów owej tak renomowanej i szacownej kancelarii?

– Bo znajduje się ona w strefie narodowej. Technicznie rzecz ujmując, oczywiście. Klient osobiście przebywa w Szwajcarii, jak sądzę.

– Słucham?

– Mój klient i jego adwokaci znajdują się pod opieką i dozorem generała Franco – wyjaśnił Brians.

Mataix rozejrzał się lęklonie po sąsiednich stolikach. Nikt raczej nie

zwracał na nich uwagi ani ich chyba nie słyszał, ale takie to były czasy, że i ściany miały uszy.

– To żart jakiś, prawda? – Mataix ściszył głos.

– Zapewniam pana, że nie.

– Wobec tego proszę wstać i odejść jak najszybciej. A ja pana nie widziałem i nie słyszałem.

– Proszę mi wierzyć, że doskonale pana rozumiem, panie Mataix. Ale nie mogę tego uczynić.

– A dlaczego?

– Bo jeśli wyjdę z tego lokalu, nie zakontraktowawszy pańskich usług, nie sądzę, abym do jutra był jeszcze wśród żywych. Dotyczy to również pana i pańskiej rodziny.

Zapadła długa cisza. Mataix złapał Briansa za klapy, a mecenas patrzył na niego z bezbrzeżnym smutkiem.

– Nie kłamie pan... – szepnął pisarz bardziej do siebie niż do swego rozmówcy.

Brians skinął głową. Mataix go puścił.

– A dlaczego właśnie ja?

– Małżonka klienta jest zagorzałą czytelniczką pańskich książek. Mówi, że podoba jej się to, co pan pisze. Przede wszystkim historie miłosne. Inne już nie tak bardzo.

Pisarz zakrył twarz dłońmi.

– Jeśli może to służyć za pociechę, to nadmienię, że płaca jest więcej niż godziwa.

Mataix spojrzał na Briansa spomiędzy palców.

– A panu ile płacą?

– Pozwalają mi złapać oddech, pokrywają moje długi, a jest ich niemało. Oczywiście pod warunkiem, że da pan odpowiedź twierdzącą.

– A jeśli przeczącą?

Brians wzruszył ramionami.

– Mówiono mi, że w dzisiejszych czasach płatni mordercy w Barcelonie

przyjmują zlecenia po bardzo przystępnych cenach.

– A skąd mam... Skąd pan mecenas wie, że te groźby są realne?

Brians spuścił wzrok.

– Kiedy zadałem to pytanie, przesłano mi paczuszkę z lewym uchem Jusida, mojego wspólnika w kancelarii. Powiedziano mi, że każdego dnia, który upłynie bez odpowiedzi, będą przysyłać mi kolejne paczuski. Mówiłem już panu, że siła robocza na tym specyficznym rynku usług jest obecnie w mieście wyjątkowo tania.

– Jak się nazywa pański klient? – spytał Mataix.

– Nie wiem.

– To co pan w ogóle wie?

– Że ludzie, którzy dla niego pracują, nie znają się na żartach.

– A on?

– Wiem, że jest bankierem. Ważnym bankierem. Intuicja mi podpowiada, że to jeden z dwóch lub trzech bankierów finansujących oddziały generała Franco. Dano mi do zrozumienia, że jest to człowiek próżny czy też nader wrażliwy względem tego, jak osądzi go historia. Jego żona, jak już wspomniałem, admiratorka i wierna czytelniczka pańskiej twórczości, przekonała swego małżonka, że potrzebuje on swojej biografii, która uwydatniłaby jego osiągnięcia, jego wielkość i wspaniały wkład w dobro i szczęście Hiszpanii i całego świata.

– Każdy skurwysyn potrzebuje biografii, najbardziej kłamliwego z wszystkich istniejących gatunków literackich – zawyrokował Mataix.

– Na pewno nie będę z panem polemizował. A chce pan, panie Mataix, poznać dobre strony oferty?

– Ma pan na myśli punkt dotyczący pozostania przy życiu?

– Sto tysięcy peset zdeponowanych na pańskim osobistym koncie w Szwajcarskim Banku Narodowym po zaakceptowaniu pracy i sto tysięcy peset po jej publikacji.

Mataix spojrział osłupiały.

– Pozwoli pan, że podczas gdy będzie pan trawił podaną kwotę, wyjaśnię, jak ma wyglądać procedura. Po zaakceptowaniu i podpisaniu umowy zaczniesz

pan za pośrednictwem mojej kancelarii otrzymywać dwutygodniowe wynagrodzenie, dopóki nie skończy pan swojej pracy. Kwoty te nie będą odliczone od globalnej kwoty honorarium. Następnie, również za moim pośrednictwem, otrzyma pan istniejący już, o ile mi wiadomo, dokument zawierający pierwszą wersję biografii mojego klienta.

– To znaczy, że ja nie jestem pierwszy?

Brians znów wzruszył ramionami.

– A co się stało z moim poprzednikiem? – dociekał Mataix. – Przesłano go panu w paczuszkach?

– Nie wiem, co się z nim stało. O ile dobrze zrozumiałem, żona klienta uznała, że praca pozbawiona jest stylu, klasy i savoir-faire.

– Nie rozumiem, jak w tej sytuacji może pan sobie jeszcze dowcipkować.

– Zawszeć to lepsze niż rzucanie się pod koła metra. W każdym razie dokument, który, wnosząc z tego, co mi opowiedziano, znajduje się w stanie rudymenarnym, posłuży panu za podstawę wyjściową i dokumentację. Pańskim zadaniem jest napisanie przykładowej biografii głównego bohatera na podstawie faktów, które podane będą na dostarczonych panu stronicach. Ma pan na to rok. Następnie po naniesieniu przez klienta poprawek będzie pan dysponował sześcioma miesiącami, aby wprowadzić żądane zmiany, przeredagować tekst i przygotować ostateczną wersję nadającą się do publikacji. I jeśli pozwoli mi pan na pewną uwagę, najistotniejsze jest to, że nie musi pan firmować książki swoim nazwiskiem, jak również to, że nikt nigdy nie powinien się dowiedzieć, że jest ona pańskiego autorstwa. Pańskie i moje milczenie to warunki konieczne do zawarcia transakcji.

– A to dlaczego?

– Powiniennem być chyba od tego zacząć: otóż książka ma być autobiografią. Zredaguje ją pan w pierwszej osobie, a firmować ją będzie mój klient.

– Domniemywam, że już ma tytuł.

– Próbnym. *Ja, XXXXXX. Wspomnienia hiszpańskiego finansisty*. Wydaje mi się, że będą brane pod uwagę sugestie alternatywne.

Mataix w tym momencie zrobił coś, czego ani on sam, ani Brians się nie spodziewali. Wybuchnął śmiechem. Śmiał się do rozpuku, aż mu popłynęły łzy. Obecni w lokalu goście obrócili się ku nim, by spojrzeć z ukosa: nie wierzyli

własnym oczom, że jeszcze jest ktoś, komu w tych ponurych czasach jest do śmiechu. Pisarz wreszcie się uspokoił, wziął głęboki oddech i popatrzył na Briansa.

– Rozumiem, że pan się zgadza? – zapytał adwokat pełen nadziei.

– A jest jakieś inne wyjście?

– No jest, że jutro albo pojutrze i panu, i mnie strzelą na ulicy w łeb i że wcześniej czy później to samo czeka pańską rodzinę i moją też.

– Gdzie mam się podpisać?

Parę dni później, po kilku bezsennych nocach spędzonych na biciu się z myślami i pełnych rozterek, Mataix nie mógł już dłużej wytrzymać i ruszył do siedziby Ediciones Orbe, by spotkać się ze swym wydawcą. Revells nie kłamał: w biurach wydawnictwa unosiła się woń ampurdańskich płodów rolnych. Skrzynie wypełnione produktami warzywnego sanktuarium Badensa zalegały korytarze pomiędzy stosami książek i niezapłaconymi rachunkami. Revells uważnie wysłuchał opowieści Mataixa, obwąchując jednocześnie dorodnego pomidora, którego obracał w dłoniach.

– No i co? – spytał Mataix, skończywszy swą relację.

– Boski. Od samego zapachu chce mi się już jeść – rzekł Revells.

– No i co pan myśli o moim dylemacie? – uściślił Mataix.

Revells odłożył pomidora na stół.

– Nie miał pan innego wyjścia, jak tylko zaakceptować propozycję – oświadczył.

– Mówi pan tak, bo wie pan, że właśnie to chcę usłyszeć.

– Mówię tak, bo lubię pana żywego, i dlatego że winien jest nam pan pieniądze, które mamy nadzieję kiedyś odzyskać. Otrzymał pan już te papiery?

– Część.

– I co?

– Porzygać się można.

– A spodziewał się pan sonetów Szekspira?

– Sam nie wiem, czego się spodziewałem.

– Przynajmniej nie musi już pan poprzestawać na domysłach. Pewnie wie

pan, o kogo chodzi?

– Mam pewne przypuszczenia – przyznał Mataix.

Oczy Revellsa błyszczały.

– Zamieniam się w słuch...

– Na podstawie tego, co zdążyłem przeczytać, podejrzewam, że chodzi o Ubacha.

– Miguela Angela Ubacha? Święty Boże! Bankiera Prochu?

– Zdaje się, że nie przepada za tym przydomkiem.

– A niech się wali. Jeśli nie przepada, to niech finansuje coś na społeczny użytek, a nie wojnę.

– A pan, który wie wszystko o wszystkich, co pan o nim słyszał? – spytał Mataix.

– Wiem tylko o tych, którzy się liczą – sprecyzował Revells.

– Zdaję sobie sprawę, że świat szaraczków i obszarpańców nie jest dla pana zbyt pociągający.

Revells puścił przytyk mimo uszu, zafascynowany intrygą z wyższych sfer. Wstał, podszedł do drzwi gabinetu i przywołał jedną ze swych najbardziej zaufanych pracownic, Laurę Franconi.

– Lauro, proszę panią na chwilę, jeśli pani może...

Czekając na jej przybycie, Revells nerwowo chodził po gabinecie. Niebawem, ominąwszy skrzynki z cebulą i porami, Laura Franconi stanęła w drzwiach. Uśmiechnęła się do Mataixa i podeszła, by go pocałować. To dzięki tej drobnej i energicznej, obdarzonej błyskotliwą inteligencją kobiecie firma funkcjonowała bez żadnych zgrzytów.

– Jak się panu widzi skład owoców i warzyw? – zapytała. – Zapakować panu trochę cukinii?

– Proszę posłuchać. Nasz drogi Mataix właśnie zawarł pakt z bogami wojny – oznajmił Revells.

Pisarz westchnął.

– A może jeszcze wychyli się pan przez okno i rozgłosi to przez megafon? – zapytał nie bez pretensji.

Laura Franconi zamknęła drzwi do gabinetu i zatroskana przyjrzała się Mataixowi.

– No, niech jej pan wszystko opowie – poprosił Revells.

Mataix przedstawił wersję skróconą, ale Laurze i to wystarczyło, by dośpiewać sobie całą resztę. Gdy pisarz skończył, Laura skonsternowana nie odezwała się ani słowem, jedynie położyła mu rękę na ramieniu.

– A nawiasem mówiąc, czy ten skurwysyn Ubach ma już wydawcę, który mu opublikuje tego gniota? – spytał Revells.

Laura posłała mu mordercze spojrzenie.

– Biorę tylko pod uwagę szansę na dobry interes – usprawiedliwił się Revells. – Nie mam pojęcia, skąd tyle krygowania, zważywszy na czasy, w jakich przyjdzie nam żyć.

– Byłbym wdzięczny za pomoc i radę – przypomniał mu Mataix.

Laura ujęła jego dłoń i spojrzała mu w oczy.

– Niech pan przyjmie pieniądze. Proszę napisać temu pajacowi dokładnie to, czego żąda, a potem niech pan wyjedzie z tego kraju na zawsze. Rekomenduję Argentynę. Przestrzeni nie brakuje, a steki – niebo w gębie.

Mataix spojrzał na Revellsa.

– Amen – skwitował edytor. – Lepiej się już nie da wytłumaczyć.

– A jakaś sugestia, która nie wymagałaby podróży na kraniec świata i emigracji mojej rodziny?

– Mataix, odrobinę rozsądku. Cokolwiek pan zrobi, ryzykuje pan życie. Intuicja mi mówi, że jeśli wygra strona Ubacha, a wszystko za tym przemawia, to kiedy skończy pan realizację zlecenia, pańska dalsza obecność wśród żywych może okazać się niewygodna i znajdzie się ktoś, kto będzie wolał mieć pana pośród drogich nieobecnych. A jeśli zwycięży republika i ktoś dowie się o pana współpracę z czołowym lichwiarzem Franco, to oczyma wyobraźni widzę już pana w jednym z kurortów bezpieczeństwa, oczywiście z wszystkimi kosztami opłaconymi.

– Żyć nie umierać.

– My ze swej strony pomożemy panu w załatwieniu przelotu. Badens ma kontakty we flocie handlowej, więc moglibyśmy w ciągu kilku dni przerzucić

pana i pańską rodzinę do Marsylii. A stamtąd już pan sobie poradzi. Ja posłuchałbym rady panny Laury i udałbym się do którejś z Ameryk. Południowa czy Północna, obojętne. Rzecz w tym, żeby znaleźć się za siedmioma górami, siedmioma rzekami i jednym oceanem.

– Będziemy pana odwiedzać – zapewniła Laura. – Choć oczywiście, wzięwszy pod uwagę, w jakim kierunku zmierza nasz kraj, równie dobrze w pewnym momencie możemy pana poprosić o udzielenie nam gościny...

– I przywieziemy panu pomidory i bukiet warzyw dla przyozdobienia tych grillowanych steków, których nie będzie sobie pan żałował, kiedy zgarnie pan te dwieście tysięcy peset – dodał Revells.

Mataix parsknął.

– Moja żona nie chce opuszczać Barcelony.

– Śmiem się domyślać, że pary z ust pan nie puścił o wiadomej sprawie – rzucił Revells.

Mataix zaprzeczył. Revells i Laura wymienili spojrzenia.

– I ja też nie chcę nigdzie wyjeżdżać – ciągnął pisarz. – To jest mój dom, na dobre i na złe. Mam go we krwi.

– To tak jak z malarią, tylko nie zawsze wychodzi to na zdrowie – skwitował Revells.

– A zna pan jakąś szczepionkę na Barcelonę?

– W głębi duszy całkowicie pana rozumiem. Ze mną byłoby tak samo, aczkolwiek zobaczyć ładny kawałek świata i na dodatek z nabitą kabzą, no, nie odmówiłbym. Nie musi pan zresztą decydować się teraz, w tej chwili. Na razie ma pan rok, może półtora roku, żeby to sobie przemyśleć. Dopóki nie napisze pan książki i dopóki trwa wojna, wszystko jest w zawieszeniu. Niech pan zachowuje się tak samo jak wobec nas, nigdy nie oddając na czas swoich powieści i trzymając nas *in albis*...

Laura na znak wsparcia poklepała Mataixa po plecach. Revells wziął wspaniałą okaz ampurdańskiej agrokultury i wyciągnął ku pisarzowi.

– Pomidorka?

Zachowała się tylko część manuskryptu *Pamięci mroku*, ale wszystko zdaje się wskazywać, że Mataix postanowił nie przeciwstawiać się okolicznościom.

Nic nie wiadomo, aby na początku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku oddał pierwszą wersję autobiografii Miguela Angela Ubacha. Kiedy wojna dobiegła końca i zwycięskie wojska frankistowskie wkroczyły do Barcelony, Mataix jeszcze pracował nad poprawkami redakcyjnymi i proponowanymi zmianami, których większość przypuszczalnie była autorstwa Federiki, żony Ubacha, łączącej swoje fanatyczne oddanie faszyzmowi z wielką wrażliwością wobec sztuki i literatury. Mataix przekazał ostateczną wersję książki, ale nie poszedł za radą swych wydawców, by wziąć honorarium i wyjechać wraz z rodziną. Postanowił zostać w kraju. Najprawdopodobniej przyczyną tej długo rozważanej i odwlekanej decyzji była kolejna cięża żony.

W tym czasie Ubach tryumfalnie wrócił do Hiszpanii, wynoszony pod niebiosą i obdarzany wyrazami najwyższej wdzięczności przez reżimowych hierarchów w podzięcie za swoje bankierskie usługi na rzecz krucjaty narodowej. Nastąpił czas zemsty, ale i czas zadośćuczynień. Reorganizowano wszystkie sfery hiszpańskiego życia: jedni odchodzili w zapomnienie, usuwali się w cień i pogrążali w nędzy, drudzy pięli się błyskawicznie w górę, obejmując stanowiska zapewniające władzę i prestiż. Nie było takiego zakątka życia publicznego, w którym z nieprzejednaną gorliwością nie przeprowadzono by czystki. Gwałtowna zmiana poglądów, tradycja mocno zakorzeniona na ziemiach półwyspu, osiągnęła poziom mistrzowski. Wojna zostawiła po sobie setki tysięcy zabitych, ale jeszcze więcej zapomnianych i przeklętych. Znajomi i koledzy po fachu Mataixa, ci, którzy jeszcze niedawno mieli go w głębokiej pogardzie, teraz, pogrążeni w rozpacz, błagali go o pomoc, o rekomendację i miłosierdzie. Większość z nich niebawem trafiła do więzień, w których spędziła całe lata, a to, co po nich zostało, zgasło na zawsze. Kilku bez najmniejszych ceregieli rozstrzelano. Inni odebrali sobie życie, resztę zabiły choroby lub smutek.

Byli też tacy, prawdopodobnie ci najbardziej zadufani w sobie i całkiem pozbawieni talentu, którzy przeszli na stronę zwycięskiego obozu. Jako faworyci i dworzanie reżimu osiągnęli sukces, który nigdy nie stałby się ich udziałem dzięki własnemu dorobkowi. Polityka jest nierzadko schronieniem przeciętnych i przegranych artystów. Tam mogą prosperować, napawać się władzą i utwierdzać w samozadowoleniu, a zwłaszcza wziąć odwet na tych, którzy pracą i talentem zdobyli to, co dla nich nieosiągalne. A wszystko

w aureoli pobożności i służby ojczyźnie.

Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, dwa tygodnie po narodzinach Soni, drugiej córki Susany i Victora Mataixów, doszło do niespotykanego zdarzenia. Rodzina zażywała słonecznej i spokojnej niedzieli w swoim domu przy Carretera de las Aguas, kiedy do jej uszu dobiegł warkot nadjeżdżających samochodów. Z pierwszego auta wyskoczyło czterech ubranych w jednakowe garnitury i uzbrojonych mężczyzn. Mataix spodziewał się najgorszego, ale zauważył, że z drugiego samochodu, mercedesa niemal identycznego z tym, którym jeździł Generalissimus Franco, wysiadł dżentelmen o wykwintnych ruchach i manierach w towarzystwie jasnowłosej damy w klejnotach, ubranej, jakby przybywała na królewską koronację. Byli to Miguel Ángel Ubach i Federica, jego małżonka.

Mataix nigdy nie wyjawiał żonie prawdy o księżce, nad którą strawił ponad półtora roku i która uratowała mu życie. Teraz poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Susana, zaskoczona, spytała, kim są ci znamienici goście krocący właśnie przez ogród. To doña Federica opowiedziała o tym, co jej mąż zamilczał. Don Miguel Ángel i Mataix skierowali się do studia pisarza, by tam porozmawiać o męskich sprawach, popijając brandy i popalając kubańskie cygara (przywiezione w charakterze gościńca). Doña Federica próbowała zachowywać się tak, jakby była najlepszą przyjaciółką tej biednej plebejki. Nie oponowała jednak, gdy zacna gospodyni, osłabiona po niedawnym porodzie i ledwie trzymająca się na nogach, wstała, by przygotować herbatę, której pani Ubach i tak nie tknęła, i podać suche ciasteczka, których pani Ubach nie rzuciłaby swoim psom. Została w towarzystwie dwóch dziewczynek, Ariadny i maleńkiej Soni, dwóch najcudowniejszych istot, jakie w życiu widziała. Jak to możliwe, że stworzonka tak słodkie, tak pełne światła i życia, są dziećmi dwojga głodomorów? Owszem, być może Mataix ma talent, niemniej jak wszyscy artyści jest on tylko najemnikiem, a poza tym jedyną jego naprawdę wartościową książką jest *Dom cyprysów*. Wszystkie pozostałe powieści to nic nadzwyczajnego, bardzo ją rozczarowały swoimi skomplikowanymi i makabrycznymi fabułami. Już mu to zakomunikowała przy przywitaniu, zawiedziona również jego zachowaniem: jakby nie był zadowolony z tego, że ją widzi. „Tak naprawdę dobra była tylko pierwsza pana książka” – powiedziała mu. A już poślubienie tej wieśniaczki, która nie potrafi ani się ubrać, ani sklecić paru zdań, potwierdzało jej podejrzenia.

Owszem, książki Mataixa są dobre dla zabicia czasu, ale on sam nigdy nie znajdzie się wśród wielkich.

Mimo to doña Federica ścierała z uśmiechem towarzystwo tej nieszczęsnicy, wychodzącej z siebie, by ugościć ją jak najlepiej. Dopytywała się o szczegóły z jej życia, jakby mogła cokolwiek z tego zrozumieć. Odpowiedzi słuchała półuchem, wpatrzona w dziewczynki. Ariadna spoglądała na nią z lękiem, tak jak wszystkie dzieci, a kiedy doña Federica zapytała ją: „Powiedz, kochanie, która z nas jest ładniejsza, twoja mama czy ja?“, mała szybko schowała się za matkę.

Zmierzchało już, kiedy Ubach i Mataix opuścili studio i don Miguel Ángel uznał, że pora kończyć tę niespodziewaną wizytę. Uścisnął Mataixa i ucałował dłoń Susany. „Są państwo czarującą parą” – oświadczył. Mataixowie odprowadzili znamienite małżeństwo do mercedesa-benza, a następnie patrzyli, jak cała kawalkada odjeżdża. Rozgwieżdżone niebo obiecywało przyszłość pełną pokoju i, być może, nadziei.

Tydzień później tuż przed świtem pod dom Mataixów zajechały dwa czarne samochody bez tablic rejestracyjnych. Z pierwszego wyszedł człowiek w ciemnym płaszczu gabardynowym, który przedstawił się jako porucznik Javier Fumero z Brygady Kryminalno-Politycznej. Razem z nim przybył mężczyzna wytwornie ubrany, w okularach, ze staranną fryzurą, z wyglądu urzędnik średniego szczebla. Nie wysiadł z samochodu, obserwował wszystko z siedzenia pasażera.

Mataix wyszedł im na spotkanie. Fumero zadał mu cios w twarz rewolwerem, łamiąc szczękę. Mataix upadł na ziemię, ludzie porucznika unieśli go i wrzeszczącego powlekli do samochodu. Fumero, wycierając sobie zakrwawione ręce o płaszcz, wszedł do domu i zaczął szukać Susany i dziewczynek. Znalazł je skulone w szafie, drżące i zapłakane. Kiedy Susana odmówiła oddania mu córek, Fumero kopnął ją w brzuch. Wziął małą Sonię na ręce i pociągnął za ramię przerażoną Ariadnę. Odwracał się do wyjścia, gdy Susana rzuciła się za nim i wbiła mu od tyłu paznokcie w twarz. Fumero spokojnie przekazał dziewczynki jednemu ze swych ludzi stojących na progu. Złapał Susanę za szyję i rzucił na podłogę. Klęknął jej na klatce piersiowej i spojrzał w oczy. Z uśmiechem na twarzy wyciągnął z kieszeni brzytwę i rozłożył ją. „Rozpruję ci brzuch, wywlokę flaki i obwieszę ci tymi koralami szyję, kurwo zafajdana” – powiedział spokojnie.

Już przykładał ostrze, kiedy urzędnik, który dotąd nie mieszał się do akcji, położył mu dłoń na ramieniu.

„Czas nas goni” – ostrzegł.

Zostawili Susanę na ziemi i odeszli. Kobieta resztką sił szczołgała się ze schodów i wsłuchiwała w warkot odjeżdżających aut, póki nie straciła przytomności.

ZAPOMNIANI



1

Vilajuana skończył swą opowieść. Oczy miał szkliste, głos ochrypły. Alicja spuściła wzrok i milczała. Po chwili dziennikarz chrząknął, a ona odpowiedziała mu słabym uśmiechem.

– Susana już nigdy nie zobaczyła ani męża, ani córek. Przez dwa miesiące chodziła po komisariatach, szpitalach i domach miłosierdzia, pytając o nich. Nikt nic nie wiedział. Pewnego dnia, na skraju rozpaczy, zadzwoniła do doñi Federiki Ubach. Telefon odebrał służący, który połączył ją z sekretarzem. Susana opowiedziała mu, co się wydarzyło, i stwierdziła, że pani Federica jest jedyną osobą, która może jej pomóc. „To moja przyjaciółka” – dodała.

– Biedna dziewczyna – szepnęła Alicja.

– Parę dni później zabrano ją z ulicy i zawieziono do zamkniętego zakładu psychiatrycznego dla kobiet. Spędziła tam kilka lat. Ponoć w końcu stamtąd uciekła. W każdym razie Susana zniknęła na zawsze.

Znów zapadła długa cisza.

– A Víctor Mataix? – spytała Alicja.

– Mecenasa Briansa, który swego czasu został wynajęty przez Isabelłę Gispert, by pomóc Davidowi Martinowi, dowiedział się od tego ostatniego, że Mataix też trafił do zamku Montjuic. Na osobiste polecenie dyrektora więzienia don Mauricia Vallsa trzymano go w osobnej celi, całkowicie odizolowanego od reszty więźniów. Nie wolno mu było wychodzić na podwórze ani przyjmować odwiedzin czy się z kimkolwiek kontaktować. Martín, którego niejednokrotnie zamykano w takiej odosobnionej celi, był jedyną osobą, której udawało się zamienić z Mataixem parę słów, gdy prowadzono go przez więzienny korytarz. W ten sposób Brians dowiedział się, co się wydarzyło. Mogę sobie tylko wyobrazić, że pana mecenasa w owym czasie mocno gryzło sumienie i czuł się po części winien, postanowił więc

pomóc wszystkim siedzącym tam biedakom. Martinowi, Mataixowi...

– Adwokat od spraw przegranych... – szepnęła Alicja.

– Nie był w stanie ich uratować, rzecz jasna. Martina zamordowano na rozkaz Vallsa, w każdym razie tak niesie wieść. O Mataixu z kolei brak jakichkolwiek wiadomości. Jego śmierć okryta jest tajemnicą. A Isabella, w której, jak mi się wydaje, biedny Brains się zakochał, tak jak zakochiwali się w niej wszyscy, którzy ją poznali, odeszła za nimi w okolicznościach mocno niejasnych. Brains po wszystkich tych zdarzeniach nie mógł dojść do siebie. To dobry człowiek, ale jest wystraszony, a w istocie rzeczy nic nie może zrobić.

– Myśli pan, że Mataix wciąż tam jest?

– W zamku? Mam nadzieję, że Bóg nie jest tak okrutny i zabrał go w samą porę.

Alicja kiwnęła głową, usiłując poradzić sobie z wszystkim, co usłyszała.

– A pani? – spytał Vilajuana. – Co pani zamierza?

– Co pan ma na myśli?

– Chce pani być nadal taka bezkompromisowa po tym, co pani opowiedziałem?

– Mam ręce związane tak samo jak Brains – odparła Alicja. – Jeśli nie bardziej.

– Co za zbieg okoliczności.

– Przepraszam najmocniej, ale pan nic o mnie nie wie.

– Wobec tego niech pani opowiada. Niech mi pani pomoże uzupełnić tę historię. Proszę mi powiedzieć, co mogę zrobić.

– Ma pan rodzinę?

– Żonę i czwórkę dzieci.

– I kocha ich pan?

– Jak nikogo na świecie. O co pani chodzi?

– Chce pan, żebym panu powiedziała, co ma pan robić? Naprawdę?

Vilajuana przytaknął.

– Niech pan skończy pisać swoje przemówienie. Niech pan zapomni

o Mataixu, o Martinie, o Vallsie i o tym wszystkim, co mi pan opowiedział. I o mnie też proszę zapomnieć. Nigdy mnie tu nie było.

– Nie tak się umawialiśmy – zaproponował Vilajuana. – Oszukała mnie pani...

– Witam w klubie – powiedziała Alicja, kierując się ku wyjściu.

2

Alicja wyszła z siedziby Akademii w pałacu Recasens i jak mogła najprędzej, skręciła w wąski zaułek, bo wiedziała, że nie zdoła opanować mdłości. Oparła się o zimny mur i zamknęła oczy. Poczowała w ustach żółć. Próbowwała głęboko oddychać i stłumić obrzydzenie, ale znów zrobiło jej się niedobrze, jeszcze bardziej niż przedtem. Pochyliła się tak gwałtownie, że prawie upadła na chodnik. Nie przewróciła się tylko dlatego, że podtrzymały ją czyjeś ramiona. Kiedy się odwróciła, zobaczyła Rovirę, nieudolnego kandydata na szpiega, obserwującego ją z wyraźnym zakłopotaniem. Na jego twarzy malowała się niekłamana troska.

– Dobrze się pani czuje, panno Gris?

Alicja rozpaczliwie próbowała złapać oddech.

– Można wiedzieć, co pan tu robi?

– No... zobaczyłem z daleka, że chwieje się pani na nogach, i... Proszę mi wybaczyć.

– Wszystko w porządku. Niech pan sobie idzie.

– Pani płacze, panno Gris?

Alicja odepchnęła go obiema rękoma i krzyknęła ze złością:

– Spływaj stąd, idioto, ale już!

Rovira skulił się w sobie i odszedł z miną zranionej sarny. Alicja znów oparła się o mur. Otarła dłońmi łzy, z wściekłością zacisnęła usta i ruszyła przed siebie.

Wracając do domu, napotkała obwoźnego sprzedawcę i kupiła cukierki o smaku eukaliptusa, żeby pozbyć się goryczy, którą ciągle czuła w ustach. Wspięła się powoli po schodach. Usłyszała głosy dochodzące z wnętrza swojego mieszkania. Pomyślała, że to Fernandito zajrzał po nowe rozkazy, a przy okazji zakopał topór wojenny z Vargasem. Otworzyła drzwi. Vargas stał przy oknie. Na sofie natomiast siedział, unosząc do ust filiżankę herbaty, uśmiechnięty jak zwykle Leandro Montalvo. Alicja przekroczyła próg.

– A ja się łudziłem, Alicjo, że ucieszysz się na mój widok – powiedział Leandro, wstając.

Alicja postąpiła kilka kroków, zdjęła płaszcz i wymieniła spojrzenia z Vargasem.

– Nie miałam pojęcia, że pan przyjedzie – mruknęła. – Gdybym wiedziała...

– Podjąłem decyzję właściwie w ostatniej chwili – ciągnął niezrażony Leandro. – Przyjechałem wczoraj w nocy, bardzo późno, ale okazało się, że nie mogłem wybrać odpowiedniejszego momentu.

– Mogę pana czymś poczęstować? – zapytała Alicja.

Leandro uniósł filiżankę.

– Kapitan Vargas zaparzył mi wyśmienitą herbatę.

– Rozmawialiśmy właśnie z panem Montalvo o postępach śledztwa – wyjaśnił Vargas.

– Cudownie...

– Nie ucałujesz mnie na powitanie, Alicjo? Tak dawno się nie widzieliśmy.

Podeszła do swojego mentora i musnęła wargami jego policzek. Błysk w oku Leandra dowodził, że wyczuł woń żółci w jej oddechu.

– Wszystko w porządku? – zapytał podejrzliwie.

– Tak. Mam problemy żołądkowe. Nic poza tym.

– Musisz bardziej o siebie dbać. Jak tylko mnie przy tobie nie ma, natychmiast o tym zapominasz,

Alicja przytaknęła i uśmiechnęła się przymilnie.

– Chodź tu, usiądź przy mnie. Kapitan mówił, że miałaś bardzo zajęty poranek. Wspominał o spotkaniu z jakimś dziennikarzem, o ile się nie mylę.

– W końcu wystawił mnie do wiatru. Pewnie i tak nie miał nic ciekawego do powiedzenia.

– Coraz mniej mamy profesjonalistów w tym kraju.

– Vargas też tak sądzi – zauważyła Alicja.

– Na szczęście są jeszcze tacy, którzy wiedzą, na czym polega ich robota. Jak wy, na przykład. Podobno już właściwie rozwiązaliście sprawę.

– Czyżby?

Alicja spojrzała na Vargasa, który spuścił wzrok.

– No, cała ta historia z Metrobarną, szoferem i niejakim Sanchisem. Powiedziałbym, że mamy wszystko, jak to mówią, na tacy. To bardzo solidny trop.

– Poszlaki, nic, tylko poszlaki.

Leandro zaśmiał się serdecznie.

– Widzi pan, kapitanie? Dokładnie tak, jak mówiłem. Alicja nigdy nie jest z siebie zadowolona. To prawdziwa perfekcjonistka.

– Jaki pan, taki kram – odciął się Vargas.

Alicja już miała zapytać szefa, co sprowadza go do Barcelony, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem i stanął w nich Fernandito, który wbiegając po schodach, zdążył złapać niezłą zadyszkę.

– Panno Alicjo, najnowsze wiadomości. Nie uwierzy pani, czego się dowiedziałem!

– Tak, domyślam się, pewnie dostarczyliście moje zamówienie sąsiadom... przez pomyłkę – odrzekła Alicja, wbijając w Fernandita surowe spojrzenie.

– No proszę – powiedział Leandro. – Kim jest ten uprzejmy młodzieniec? Nie przedstawisz mi go?

– To Fernandito. Chłopak, który pracuje jako dostawca w sklepie.

Fernandito przełknął ślinę i skwapliwie pokiwał głową.

– No ale co w końcu? Nie przyniosłeś mi tych zakupów? – zapytała Alicja tonem pełnym wyrzutu.

Fernandito patrzył na nią osłupiały.

– Przecież mówiłam wyraźnie: chleb, jajka, mleko i dwie butelki białego

wina Peralada. Oraz oliwa z oliwek. Nie wiem, której części nie zrozumiałeś.

Fernandito odczytał wreszcie w spojrzeniu Alicji, że sytuacja jest poważna, i skruszony spuścił wzrok.

– Przepraszam, panno Alicjo. To po prostu jedno wielkie nieporozumienie. Manolo mówi, że już kończy wszystko pakować, i prosi o wybaczenie. To się nie powtórzy.

Alicja pstryknęła palcami.

– No to do dzieła. Na co jeszcze czekasz?

Fernandito przytaknął raz jeszcze i natychmiast się ewakuował.

– Po prostu już nie wiem, jak mam do nich mówić. – Alicja westchnęła.

– Dlatego lubię mieszkać w luksusowych hotelach – oznajmił Leandro. – Wszystko załatwia się przez telefon.

Alicja przywołała na usta najbardziej potulny ze swoich uśmiechów i stanęła obok Leandra.

– A czemu zawdzięczam ten zaszczyt, że postanowił pan porzucić wygody hotelu Palace, by zawitać w moje skromne progi?

– Chętnie powiedziałbym, że stęskniłem się za twoim sarkazmem, ale prawda jest inna. Mam dwie wiadomości, dobrą i złą.

Alicja znów spojrzała na Vargasa, który tylko pokiwał głową.

– Usiądź, Alicjo, proszę. Wieści z pewnością nie przypadną ci do gustu, ale musisz wiedzieć, że to nie mój pomysł i że nie mogłem zrobić nic, by temu zapobiec.

Alicja zauważyła, że Vargas skulił się w sobie.

– Zapobiec czemu? – zapytała.

Leandro postawił filiżankę na stoliku i zrobił przerwę, jakby zbierał się na odwagę, żeby zreferować wiadomości, które musiał przekazać.

– Trzy dni temu policyjne śledztwo ujawniło, że don Mauricio Valls w ubiegłym miesiącu kontaktował się trzykrotnie z panem Ignaciem Sanchisem, dyrektorem generalnym Metrobarny. Dziś w nocy podczas przeszukania w madryckiej siedzibie firmy znaleziono dokumenty wskazujące na wielokrotne transakcje zbycia i zakupu akcji Banco Hipotecario, spółki matki Metrobarny, przeprowadzone między Ignaciem Sanchisem a don Mauriciem

Vallsem. Transakcje te, w ocenie specbrygady policji, cechowały rozliczne nieprawidłowości proceduralne, ponadto nie zostały prawidłowo zgłoszone do banku centralnego. Podczas przesłuchania jednego z szefów pracujących w siedzibie firmy ten ostatni zeznał, że nie miał pojęcia o wyżej wspomnianych operacjach, co więcej, nie widnieją one w żadnym rejestrze.

– Dlaczego nie mieliśmy o tym zielonego pojęcia? – zapytała Alicja. – Wydawało mi się dotąd, że my też prowadzimy to śledztwo.

– Nie obwiniaj o to Gila de Partery ani policji. To ja podjąłem decyzję. Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że wasze dochodzenie doprowadzi was do Sanchisa, chociaż podążaliście zupełnie innym tropem. Nie patrz tak na mnie. Kiedy Gil de Partera powiadomił mnie o wszystkim, uznałem za stosowne poczekać, aż policja ustali, czy mamy do czynienia z przestępstwem w jakiś sposób istotnym dla tej sprawy, czy ze zwykłą machlojką niemieszczącą się w naszych kompetencjach. Gdyby w jakimkolwiek momencie linie dochodzeń się przecięły, natychmiast bym cię o tym powiadomił. Wy jednak uprzedziliście tamtych.

– Wciąż nie rozumiem motywu. Zwykłe machlojki na rynku akcji? – spytała Alicja.

Leandro poprosił ją gestem o cierpliwość i ciągnął swoją opowieść.

– Policja poszła tym tropem i odkryła dowody na wiele innych podejrzanych operacji przeprowadzonych pomiędzy Sanchisem i Mauriciem Vallsem. Większość z nich to transakcje zbycia udziałów i weksli Banco Hipotecario, które odbyły się bez wiedzy zarządu i rady nadzorczej owego banku. Cały proceder trwał od piętnastu lat. Mówimy o bardzo poważnych kwotach. O milionach peset. Na prośbę, a właściwie na rozkaz Gila de Partery przyjechałem wczoraj w nocy do Barcelony. Tutejsza policja była już gotowa, żeby dziś lub jutro aresztować i przesłuchać Sanchisa, czekali tylko na potwierdzenie, że fundusze uzyskane przez Vallsa na drodze nielegalnych operacji zbycia papierów dłużnych Banco Hipotecario zostały przez niego wykorzystane na spłatę pożyczki zaciągniętej, żeby nabyć grunty w Somosaguas i wybudować na nich posiadłość Villa Mercedes. Raport policji wskazuje na to, że Valls szantażował Sanchisa przez całe lata, żeby uzyskać w drodze tych nielegalnych transakcji fundusze pochodzące z przychodów banku i spółek zależnych. Sanchís tuszował sprawę, próbując

księgować te transakcje jako operacje pomiędzy jakimiś nieistniejącymi spółkami, żeby ukryć tożsamość prawdziwego adresata przelewów.

– Więc Valls szantażował Sanchisa. W jaki sposób?

– Tego właśnie staramy się w tej chwili dowiedzieć.

– Naprawdę sądzi pan, że chodzi o pieniądze?

– Prawie zawsze chodzi o pieniądze – odparł Leandro. – Cała sprawa nabrała tempa dziś rano, kiedy kapitan Vargas powiadomił mnie o waszych ustaleniach.

Alicja spiorunowała Vargasa wzrokiem.

– Oczywiście natychmiast skontaktowałem się z Gilem de Parterą i porównaliśmy wyniki waszego dochodzenia z rezultatami śledztwa policji. Postanowiono od razu, że należy przedsięwziąć odpowiednie środki. Przykro mi, że wszystko wydarzyło się pod twoją nieobecność, ale naprawdę nie mieliśmy czasu do stracenia.

Alicja przenosiła wściekle spojrzenie z Leandra na Vargasa.

– Vargas zrobił dokładnie to, co powinien był zrobić, Alicjo – powiedział Leandro. – Przyznaję, trochę mnie zabolalo, że nie dowiedziałem się wszystkiego od ciebie. Rozumiem, że nie jest to przejaw złej woli, że nie lubisz ogłaszać zwycięstwa, dopóki nie jesteś go całkowicie pewna. Ze mną jest podobnie. Dlatego nie chciałem cię informować, dopóki nie zyskałem absolutnej pewności, że ma to związek z naszym dochodzeniem. Szczerze mówiąc, sam nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Nie miałem pojęcia, że wy też poszliście tropem Sanchisa. Podobnie jak ty przewidywałem inny koniec. W innych okolicznościach sam wolałbym wstrzymać się jeszcze kilka dni, żeby móc zbadać sprawę do samego dna. Niestety to jeden z tych przypadków, kiedy po prostu nie możemy czekać ani chwili dłużej.

– Co zrobili Sanchisowi?

– W tej chwili Ignacio Sanchís znajduje się w komisariacie i od kilku godzin składa wyjaśnienia.

Alicja zamknęła oczy i zaczęła masować palcami skronie. Vargas wstał, nalał kieliszek białego wina i podał go bladej jak ściana partnerce.

– Gil de Partera i cała jego ekipa bardzo mnie prosili, żebyśmy serdecznie

pogratulował wam obojgu wspaniale wykonanego zadania i wzorowej służby ojczyźnie – kontynuował Leandro.

– Ale...

– Alicjo, błagam. Nie.

Alicja upiła łyk wina i oparła czoło o ścianę.

– Mówił pan, że jest też dobra wiadomość – powiedziała w końcu.

– To właśnie była ta dobra wiadomość – wyjaśnił Leandro. – Zła jest taka, że zostaliście z Vargasem odsunięci od śledztwa, które przejmie całkowicie nowa osoba wyznaczona przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

– Kto?

Leandro zagryzł wargi. Vargas, który do tej pory się nie odzywał, nalał kieliszek wina również sobie i spojrział na Alicję ze smutkiem.

– Hendaya – powiedział.

Alicja spojrzała na obu ze zdumieniem.

– Kim, u licha, jest Hendaya?

3

Cela cuchnęła moczem i elektrycznością. Sanchís nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że elektryczność ma zapach. Wydziela słodkawą metaliczną woń podobną do zapachu krwi. Gęsta atmosfera celi przesiąknięta była tym przyprawiającym go o mdłości smrodem. Od buczenia stojącego w kącie agregatu wibrowała zawieszona u sufitu żarówka rzucająca zakurzone światło na wilgotne mury pokryte czymś, co przypominało zadrapania. Sanchís zmuszał się do tego, żeby nie zamykać oczu. Nie czuł rąk ani nóg przymocowanych do metalowego krzesła drutem ściśniętym tak mocno, że wrzynał mu się w skórę.

– Co zrobiliście mojej żonie?

– Pańska żona jest w domu. Czuje się doskonale. Za kogo pan nas uważa?

– Nie mam pojęcia, kim jesteście.

Nagle w ślad za głosem pojawiła się twarz i Sanchís po raz pierwszy napotkał krystaliczne i ostre jak brzytwa spojrzenie tęczy tak niebieskich, że wydawały się płynne. Twarz rozmówcy była nieco kwadratowa, ale rysy przyjemne. Wyglądał raczej na filmowego amanta, jednego z tych przystojniaków, za jakimi oglądają się panienki z dobrych domów, czując przy tym delikatne mrowienie między nogami. Ubierał się z nieskazitelną elegancją. Przy mankietach jego koszuli, która dopiero co opuściła pralnię, lśniły złote spinki z orłem z narodowego godła.

– Jesteśmy wymiarem sprawiedliwości – powiedział mężczyzna i uśmiechnął się do niego, jakby byli starymi przyjaciółmi.

– W takim razie wypuście mnie. Jestem niewinny.

Mężczyzna przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Sanchisa. Pokiwał głową ze współczuciem. Sanchís zorientował się, że w celi są oprócz nich jeszcze dwie osoby, opierające się o ścianę w półmroku.

– Nazywam się Hendaya. Przykro mi, że poznajemy się w tak niemiłych okolicznościach, ale ciągle wierzę, że zostaniemy przyjaciółmi. Takimi, którzy się nawzajem szanują i nie mają przed sobą sekretów.

Hendaya skinął ręką. Dwaj mężczyźni wyłonili się z mroku i zaczęli rozcinać nożyczkami ubranie Sanchisa.

– Wszystkiego, co umiem, nauczyłem mnie pewien wielki człowiek. Porucznik Francisco Javier Fumero, który ma w tym budynku tablicę pamiątkową. Fumero należał do ludzi, którzy nie doczekali się za życia należnego im uznania. Sądzę, że pan, mój drogi przyjacielu, zrozumiałby to lepiej niż ktokolwiek inny, bo pana też to spotkało, mam rację?

Sanchís, który trząsał się cały, widząc, jak tną mu ubranie na strzępy, wybełkotał:

– Nie wiem, ja...

Hendaya uniósł dłoń, dając do zrozumienia, że nie oczekuje żadnych wyjaśnień.

– Jesteśmy tu w gronie przyjaciół, Sanchís. Tak jak mówiłem. Nie mamy przed sobą tajemnic. Przykładowy Hiszpan nie ma sekretów. A pan jest przecież

przykładnym Hiszpanem. Ale ludzie bywają źli. Trzeba mieć tego świadomość. Jesteśmy najlepszym krajem na świecie, tego nikt nie kwestionuje, ale czasem gubi nas zawiść. Że ożenił się z córką szefa, żeby awansować, że nie zasłużył na stanowisko dyrektora generalnego, że to, że tamto... Ja to oczywiście wszystko rozumiem. Rozumiem, że każdy mężczyzna, którego męskość zostaje zakwestionowana, może się zdenerwować. Ba, facet z jajami nawet powinien się zdenerwować. A pan ma jaja. Proszę tylko spojrzeć. Oto para całkiem dorodnych jaj.

– Błagam, nie róbcie mi krzywdy... Błagam...

Głos Sanchisa zamienił się w jęk, kiedy operator agregatora założył mu na jądra szczypcę.

– Niech pan nie płacze, bardzo proszę, przecież nic panu jeszcze nie zrobiliśmy. Proszę spojrzeć mi w oczy. Prosto w oczy.

Panie Sanchís, jestem pańskim przyjacielem. Porozmawiajmy jak przyjaciele. Bez tajemnic. Pan mi pomoże, a ja odwiozę pana do domu, do żony, tam gdzie pana miejsce. No, dajże pan spokój, niech pan przestanie szlochać. Nie lubię, cholera, jak Hiszpanie zmieniają się w baby. Tutaj płaczą tylko ludzie, którzy mają coś do ukrycia. A pan nie ma nic do ukrycia, prawda? Między nami nie ma tajemnic. Bo jesteśmy przyjaciółmi. W pełni rozumiem pańskie pretensje do Mauricia Vallsa. I nawet się z panem zgadzam. Valls to skurwysyn. Tak, tak. Nie mam oporów, żeby to powiedzieć. Wiem, że Valls zmuszał pana do łamania prawa. Żeby sprzedawał pan nieistniejące akcje. Ja się na tym nie znam. Finanse to nie moja specjalność. Ale nawet dla takiego ignoranta jak ja jest jasne jak słońce, że Valls kazał panu kraść w swoim imieniu. Powiem to bez ogródek: ten facet, minister czy nie, to podły typ. Mówię to jako człowiek, który styka się z podłością na co dzień. Ale sam pan wie, jak to u nas bywa. Jesteś tyle wart, ile mogą zrobić dla ciebie wysoko postawieni przyjaciele. Tak to już jest. A Valls ma wielu przyjaciół. I jego przyjaciele są u władzy. Ale wszystko ma swoje granice. Przychodzi taki moment, że trzeba powiedzieć: basta! Pan chciał wymierzyć sprawiedliwość własnymi rękoma. To oczywiście wielki błąd. Ta robota należy do nas. Teraz chcemy tylko znaleźć tego oszusta i wyjaśnić całą sprawę. Pan wróci spokojnie do domu, do żony. A Valls trafi za kratki i odpowie za swoje czyny. Ja zaś pojadę na zasłużony urlop. I zapomnimy o całej sprawie. Rozumie pan, o czym mówię, prawda?

Sanchís próbował coś wykrztusić, ale zęby szczękały mu tak mocno, że nie sposób było zrozumieć ani słowa.

– Co takiego? Trzęsie się pan jak galareta i nic nie rozumiem.

– Jakie akcje? – zapytał Sanchís z wysiłkiem.

Hendaya westchnął.

– Rozczarowuje mnie pan, Sanchís. Naprawdę sądziłem, że się zaprzyjaźnimy. A przyjaciół należy szanować. To wszystko zmierza w złym kierunku. Ułatwiam panu sprawę, bo tak naprawdę pana rozumiem. Inni może by nie rozumieli, ale ja tak. Doskonale wiem, jak to jest obracać się pośród cwaniaków, którzy sądzą, że są ponad wszystkim. Więc dam panu jeszcze jedną szansę. Bo w sumie pana polubiłem. Jako przyjaciel muszę udzielić panu pewnej rady: dobrze wiedzieć, kiedy nie warto zgrywać bohatera.

– Nie wiem, o jakich akcjach pan mówi – wymamrotał Sanchís.

– Niech pan, kurwa, przestanie szlochać. Dla mnie to też bardzo trudne, ale stawia mnie pan pod ścianą. Nie mogę wyjść z tej sali, dopóki nie wyzna mi pan prawdy. To takie proste. I pan to doskonale rozumie. W gruncie rzeczy wszystko jest niezwykle proste. Będę wulgarny: kiedy życie chce cię wyruchać, lepiej się nie spinaj i rozluźnij zwieracze. Mniej boli. A panu, w obecnym położeniu, naprawdę przyda się solidny słoik wazeliny. Z całego serca radzę, proszę nie ustawiać sobie poprzeczki zbyt wysoko. Na tym krześle siedzieli już sto razy twardsi goście i nie wytrzymali nawet kwadransa. A pan jest delikatnym paniczykiem. Niech pan mnie nie zmusza, żebym zrobił coś, czego nie chcę zrobić. Ostatni raz: niech pan mi powie, gdzie go trzymacie, i będzie po wszystkim. Jeszcze dziś wieczorem wróci pan do domu, do żony.

– Proszę... Nie róbcie jej krzywdy... Ona, ona nie jest zdrowa... – błagał Sanchís.

Hendaya westchnął ponownie i powoli zbliżył się do więźnia. Jego twarz znalazła się zaledwie o kilka centymetrów od twarzy Sanchisa.

– Posłuchaj, nieszczęśniku – powiedział tonem sto razy chłodniejszym niż ten, którym przemawiał dotychczas. – Jeśli mi nie powiesz, gdzie jest Valls, przypiekę ci jaja tak, że będziesz przeklinał dzień, w którym przyszedłeś na świat, a potem zabiorę się do twojej żoneczki. Poodrywam jej ciało od kości

rozgrzanymi obcęgami, powolutku, drobnymi plasterkami, żeby dobrze zrozumiała, że winę za to, co się z nią stało, ponosi płaczliwa panienska, za którą wyszła za mąż.

Sanchís zamknął oczy i jęknął. Hendaya wzruszył ramionami i podszedł do agregatu.

– Jak pan sobie życzy.

Bankier znów poczuł w nozdrzach drażniący metaliczny zapach, podłoga zaczęła wibrować mu pod stopami. Żarówka zamrugała kilka razy. A później już wszystko było ogniem.

4

Leandro, trzymając słuchawkę przy uchu, raz za razem kiwał głową. Rozmawiał już od czterdziestu pięciu minut. Vargas i Alicja spoglądali na niego wyczekująco, a tymczasem zdążyli już wespół opróżnić całą butelkę wina. Alicja wstała w poszukiwaniu następnej, ale Vargas ją powstrzymał, mrużąc coś pod nosem. Ona odpalała jednego papierosa od drugiego ze wzrokiem wbitym w Leandra, który słuchał i flegmatycznie przytakiwał.

– Rozumiem. Oczywiście, że nie. Zajmę się tym. Tak, powiem im. To ja dziękuję.

Leandro odłożył słuchawkę i posłał im przygaszone spojrzenie, w którym mieszały się w równym stopniu ulga i konsternacja.

– Dzwonił Gil de Partera. Sanchís się przyznał.

– Przyznał się? Do czego? – zapytała Alicja.

– Wszystkie elementy układanki zaczynają do siebie pasować. Okazuje się, że to bardzo długa historia. Zdaje się, że Valls i Miguel Ángel Ubach, finansista, poznali się niedługo po wojnie. Valls był wtedy wschodzącą gwiazdą establishmentu, udowodnił swoją lojalność i zaangażowanie na niezbyt wdzięcznym stanowisku dyrektora więzienia Montjuic. Podobno

Ubach, stojący wówczas na czele konsorcjum stworzonego po to, żeby wynagrodzić osoby, które w przykładowy sposób zaangażowały się po stronie narodowców, przekazał Vallsowi pakiet akcji świeżo utworzonego Banco Hipotecario grupującego kilka instytucji finansowych rozwiązanych po wojnie.

– Ma pan na myśli konfiskaty i podział łupów wojennych – skwitowała Alicja.

Leandro westchnął cierpliwie.

– Ostrzegam cię, Alicjo, że nie wszyscy są tak tolerancyjni jak ja i mają równie otwartą głowę.

Ugryzła się w język. Leandro zaczekał, aż skruszona spuści wzrok, a potem ciągnął dalej.

– W styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku Valls powinien był otrzymać kolejny pakiet akcji. Taka była ustna umowa. Ale niespodziewana śmierć Ubacha w wypadku pokrzyżowała te plany...

– W jakim wypadku? – przerwała Alicja.

– Jego dom spłonął. Oboje z małżonką umarli we śnie. Proszę cię, Alicjo, bądź tak uprzejma i mi nie przerywaj. Wówczas okazało się, że testament pozostawiony przez Ubacha wzbudza liczne kontrowersje. Nie było w nim ponoć wzmianki o wcześniejszych ustaleniach. Sprawę dodatkowo skomplikowało to, że Ubach wyznaczył na wykonawcę testamentu młodego adwokata z reprezentującej go kancelarii.

– Ignacia Sanchisa – Alicja nie zdołała się powstrzymać.

Leandro zgromił ją wzrokiem.

– Owszem, Ignacio Sanchís jako wykonawca testamentu został jednocześnie prawnym opiekunem Victorii Ubach, córki bankiera, aż do osiągnięcia przez nią pełnoletności. I tak, zanim znów wejdiesz mi w słowo, kiedy ta ostatnia skończyła dziewiętnaście lat, po prostu się z nią ożenił, co oczywiście wywołało liczne plotki i coś w rodzaju skandalu. Szeptano, że jeszcze kiedy była formalnie dzieckiem, miała romans ze swoim przyszłym mężem. Opinia publiczna uznała natychmiast, że Ignacio Sanchís to uzurpator o przerośniętych ambicjach, bo zapisy testamentowe przyznawały większą część majątku Ubachów Victorii, od której był znacznie starszy. Na domiar złego Victoria Ubach miała w swoim życiu okresy niestabilności emocjonalnej. Słyszałem, że

jeszcze jako nastolatka uciekła z domu i szukano jej przez sześć miesięcy. Ale dajmy spokój plotkom. Kwestią istotną dla naszego śledztwa jest to, że Sanchís, objąwszy kierownictwo nad Banco Hipotecario, nie chciał wypłacić Vallsowi tego, co zdaniem ministra obiecał mu i był winny świętej pamięci bankier. W tamtym czasie Valls nie miał innego wyjścia niż dać za wygraną. Ale parę lat później, kiedy już został ministrem i zyskał dość potężną władzę, postanowił zmusić Sanchisa do spłaty domniemanego długu, w dodatku z nawiązką. Zagroził, że oskarży go o zorganizowanie tajemniczego „zniknięcia” Victorii w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. Zarzucał mu, że chcąc, by jego nieletnia partnerka usunęła ciążę, umieścił ją w jakimś sanatorium na Costa Brava, chyba w pobliżu Sant Feliu de Guíxols, gdzie mniej więcej pół roku później znalazła ją Gwardia Obywatelska: włóczyła się po plaży zupełnie zdezorientowana i z oznakami niedożywienia. Wszystko wydaje się wskazywać na to, że Sanchís ustąpił. Poprzez całą serię nielegalnych operacji przekazał Vallsowi bardzo pokaźną kwotę w postaci akcji i weksli Banco Hipotecario. Gros majątku Vallsa pochodziło właśnie z tych transakcji, a nie, jak szeptano, z odziedziczonej fortuny teścia. Ale Valls nie chciał na tym poprzestać. Nadal naciskał Sanchisa, który nigdy mu nie wybaczył, że podważył reputację jego żony Victorii i wykorzystał historię jej ucieczki z domu. Sanchís próbował protestować, odwoływał się do rozmaitych instytucji, ale wszędzie zamykano mu drzwi przed nosem. W owym czasie Valls był człowiekiem zbyt potężnym, utrzymującym zbyt dobre stosunki z tuzami reżimu, żeby można było dobrać mu się do skóry. Poza tym rozgrzebywanie tej sprawy oznaczałoby powrót do tematu konsorcjum i powojennych odszkodowań, a na to nikt nie mógł sobie pozwolić. Sanchís dostał poważne ostrzeżenie, miał zapomnieć o całej sprawie.

– On jednak nie posłuchał dobrej rady.

– Oczywiście, że nie. Nie tylko nie zapomniał o wszystkim, ale w dodatku postanowił się zemścić. I tutaj już przesadził. Wynajął prywatnych detektywów, którzy mieli zbadać przeszłość Vallsa. To oni znaleźli cwaniaka i złodzieja, który gnił w więzieniu Montjuic, niejakiego Sebastiana Salgado, i za jego sprawą dokopali się do pewnych mrocznych historii i serii nadużyć, jakich Valls jako dyrektor Montjuic dopuścił się wobec więźniów i ich rodzin. Okazało się, że lista chętnych, żeby dokonać zemsty na Vallsie, jest dłuższa, niż się Sanchís spodziewał. Brakowało im tylko spójnego motywu. Sanchís

wykoncypował sobie wówczas, że zemści się na ministrze, organizując coś w rodzaju osobistej wendety jego politycznych wrogów. Namówił Salgada, by ten wysyłał ministrowi anonimy z pogrózkami, a w zamian za przysługę i gotowość posłużenia za, nazwijmy to roboczo, przynętę obiecał mu ułaskawienie i sporą sumkę po wyjściu na wolność. Sanchís wiedział doskonale, że listy Salgada z więzienia zostaną ocenzurowane i ten trop poprowadzi policję do człowieka, który nie miał zielonego pojęcia o całym spisku. Nie poprzestał na tym: skontaktował się z Valentinem Morgado, który miał wiele powodów, żeby nienawidzić Vallsa. Morgado został wprawdzie zwolniony w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, ale obwinił ministra za śmierć swojej żony, która ciężko zachorowała, kiedy przebywał w więzieniu. Sanchís zatrudnił więc Morgada jako szofera. To właśnie on oraz niejaki Bebo, dawny klawisz, którego nasz bankier nie tylko obdarował okazałą kwotą, ale też załatwił mu bardzo korzystny wynajem będącego własnością Metrobarny mieszkania w Pueblo Seco, okazali się nieocenionym źródłem informacji o więźniach, którym Valls dał się najmocniej we znaki jako dyrektor zakładu karnego. Jeden z nich, David Martín, pisarz cierpiący na poważne zaburzenia psychiczne, który zyskał sobie wśród internowanych przydomek Więzień Nieba, okazał się idealnym kandydatem na mściciela; to on miał wcielić w życie plan ułożony przez Sanchisa. Martín zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach, gdy Valls kazał swoim dwóm goryłom wywieźć go do opuszczonego domu w pobliżu parku Güell i zamordować. Nie wiadomo, jak zdołał uciec. Minister zawsze się obawiał, że ten człowiek, który, jak się wydaje, zupełnie postradał rozum, siedząc w odosobnionej celi w jednej z zamkowych wież, powróci, żeby pomścić śmierć ukochanej kobiety, niejkiej Isabelli Gispert. Podobno Martín oskarżał Vallsa o jej zabójstwo. Nadążasz za mną?

Alicja pokiwała głową.

– Plan polegał na tym, by przekonać Vallsa, że byli więźniowie Montjuic zawiązali spisek mający na celu ujawnienie jego nadużyć i zbrodni popełnionych w zakładzie karnym, którym zarządzał. Sanchís chciał, żeby minister uwierzył, że za anonimowymi pogrózkami stoją Martín i jego towarzysze niedoli. Zamierzał wystraszyć go tak bardzo, żeby myśląc, że zdoła ich uciszyć, spotkał się z nimi sam na sam, bez ochrony, jaką zapewniała mu ministerialna teka. Pozbyć się ich, zanim go zniszczą.

– Ale im właśnie o to chodziło. Chcieli zwabić go w pułapkę – zauważyła Alicja.

– Doskonały plan, bo oczywiście policja, prowadząc dochodzenie, miała wpaść na trop osobistych porachunków i machlojek finansowych, które Valls usilnie próbował zatuszować. Salgado był idealną przynętą, gdyż łatwo dało się go powiązać z innymi więźniami, a zwłaszcza z Davidem Martinem, człowiekiem, który rzekomo stał za całą zmnową. Mimo wszystko Valls zdołał zachować zimną krew przez długie lata. A jednak po nieudanej próbie zamachu w madryckim Círculo de Bellas Artes, podobno na jego życie nastawał wówczas Morgado, Valls zaczął tracić panowanie nad sobą. Pozwolił, by Salgado wyszedł na wolność, w nadziei, że doprowadzi go do Martina. Stało się inaczej. Salgado został zamordowany, kiedy próbował odzyskać łup zdeponowany w dworcowej poczekalni w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, tuż przed zatrzymaniem. Już nie był użyteczny, a uciszenie go miało zwieść policję na manowce. Valls również popełnił liczne błędy, które zaowocowały wieloma fałszywymi tropami. Zmusił na przykład pracownika jednej ze swoich firm, niejakiego Pabla Cascosa, żeby nawiązał kontakt z rodziną Sempere, a konkretnie z Beatriz Aguilar, swoją dawną narzeczoną. Sempere prowadzi księgarnię, Valls podejrzewał, że być może ukrywają w niej Martina, a nawet że są jego współnikami, gdyż Martín był związany z Isabellą Gispert, zmarłą żoną właściciela księgarni i matką Daniela, męża Beatriz. A teraz możesz mi przerwać, bo widzę, że zaraz wybuchniesz.

– A książki Mataixa? Jaki mają związek ze sprawą? Skąd wzięła się jego powieść w biurku Vallsa? Córka ministra zapewniła, że była to ostatnia rzecz, jaką oglądał przed zniknięciem.

– To tylko element tej samej strategii. Mataix był przyjacielem Davida Martina, razem siedzieli w zamku Montjuic. Listy z pogrózkami, wizja zawiązanej przeciw niemu konspiracji zdołały w końcu sprawić, że Valls przestał czuć się bezpiecznie. Postanowił osobiście udać się do Barcelony w towarzystwie zaufanego człowieka, ochroniarza Vicente, żeby spotkać się twarzą w twarz ze swoim prześladowcą, którym, jak sądził, był David Martín. Policja podejrzewa, a ja się z tym zgadzam, że minister jechał na to spotkanie z zamiarem pozbycia się go raz na zawsze.

– Ale Martín nie żyje już od lat, podobnie jak Mataix.

– W tym właśnie sęk. W rzeczywistości czekali na niego Sanchís i Morgado.

– A nie byłoby łatwiej pozwolić, by policja zajęła się Martinem?

– Minister nie chciał ryzykować, że Martín, który w jego mniemaniu nadal żyje, ujawni informacje na temat śmierci Isabelli Gispert i innych skandali, które mogły zniszczyć reputację Vallsa.

– Tak, to całkiem możliwe. I co dalej?

– Morgado i Sanchís uprowadzili Vallsa, umieścili go w starej fabryce Castells w Pueblo Nuevo, zamkniętej od lat i będącej własnością konsorcjum nieruchomościowego Metrobarny. Sanchís zeznał, że torturowali go godzinami, a potem pozbyli się ciała, paląc je w jednym z fabrycznych pieców. Kiedy rozmawiałem z Gilem de Parterą, otrzymał on właśnie potwierdzenie, że na miejscu znaleziono ludzkie kości. Policja zleciła wykonanie zdjęć rentgenowskich szczęk, żeby potwierdzić, iż rzeczywiście są to szczątki Vallsa. Wyniki przyjdą dziś wieczorem albo jutro rano.

– Więc sprawa jest zamknięta?

Leandro pokiwał głową.

– W części, która dotyczy nas, tak. Trzeba jeszcze sprawdzić, czy Sanchís miał innych współników i jak głęboko sięgała siatka powiązań, która pozwoliła mu zrealizować plan zemsty.

– Czy wszystko zostanie podane do wiadomości prasy?

Leandro się uśmiechnął.

– Oczywiście, że nie. W tej chwili w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych odbywa się zebranie, na którym władze postanowią, co i w jaki sposób przekazać opinii publicznej. Nie znam jednak szczegółów.

Zapadła długa cisza. Leandro popijał herbatę niewielkimi łyżkami, nie odrywając wzroku od Alicji.

– To jedna wielka pomyłka – wydusiła z siebie w końcu.

Leandro rozłożył ręce.

– Być może. Ale nie mamy już na to żadnego wpływu. Zadanie, które nam zlecono: natrafić na ślad pozwalający ustalić miejsce pobytu Vallsa, zostało wykonane. Spełniliśmy nasz obowiązek.

– To nieprawda! – zaprotestowała Alicja.

– Tak uznali osoby postawione o wiele wyżej ode mnie i tym bardziej od ciebie, Alicjo. Teraz musimy odpuścić, nie mamy innego wyjścia. Musimy tylko zachować dyskrecję i pozwolić, by sprawy potoczyły się swoim torem.

– Pan Montalvo ma rację, Alicjo – wtrącił Vargas. – Nie możemy zrobić już nic więcej.

– Zdaje się, że i tak zrobiliśmy zbyt dużo – odparła Alicja chłodno.

Leandro pokręcił głową z dezaprobatą.

– Kapitanie, czy może pan zostawić nas na chwilę samych? – zapytał.

Vargas wstał.

– Oczywiście. Miałem zamiar pójść do siebie, do swojego mieszkania po drugiej stronie ulicy. Muszę zadzwonić na komendę po rozkazy.

– Sądzę, że to doskonały pomysł.

Vargas przeszedł obok Alicji, unikając jej spojrzenia. Wyciągnął rękę do Leandro, który serdecznie ją uściskał.

– Bardzo dziękuję panu za pomoc, kapitanie. I za to, że zaopiekował się pan tak dobrze moją Alicją. Mam wobec pana dług wdzięczności. Proszę się nie wahać i zapukać do moich drzwi, kiedykolwiek pan zechce.

Vargas pokiwał głową i dyskretnie się oddalił. Leandro pokazał Alicji gestem, żeby podeszła i usiadła obok niego na sofie. Ona niechętnie usłuchała.

– Wspaniały facet z tego Vargasa.

– Gdyby nie ten jego długi jęzor...

– Nie bądź dla niego niesprawiedliwa. Udowodnił, że jest dobrym policjantem. Spodobał mi się.

– Chyba nikogo nie ma.

– Och, Alicjo, Alicjo...

Leandro objął ją ramionami w ojcowskim geście.

– No dobrze, wykrztuś to z siebie, bo widzę, że aż się gotujesz – powiedział łagodnym tonem. – No dalej, ulżyj sobie.

– To jest jedna wielka kupa gówna.

Leandro przytulił ją z czułością.

– Zgadzam się z tobą. Całe to śledztwo to jakaś prowizorka. Ty i ja nie lubimy działać w taki sposób, ale notable z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zaczęli się bardzo denerwować. Sam Generalissimus podjął decyzję: ani kroku dalej. Tak jest lepiej. Nie chciałbym, żeby mówiono, że to my zawaliliśmy sprawę.

– A co z Lomaną? Pojawił się?

– Na razie nie.

– To dziwne.

– Owszem. Ale to jeden z tych nierozwikłanych wątków, który na pewno wyjaśni się w ciągu paru dni.

– Coś tu za dużo tych nierozwikłanych wątków – stwierdziła Alicja.

– Nie przesadzaj. Mamy całkiem solidne dowody winy Sanchisa. Oraz dobrze udokumentowany motyw: machlojki finansowe i szantaż natury osobistej. Podejrzany przyznał się do winy, są dowody. Wszystkie elementy układanki do siebie pasują.

– Pozornie.

– Gil de Partera, minister spraw wewnętrznych i sam Franco sądzą, że śledztwo należy zamknąć.

Alicja zamierzała coś powiedzieć, ale w końcu ugryzła się w język.

– Alicjo, przecież właśnie tego chciałaś.

– Ale czego chciałam?

Leandro popatrzył na nią smutnym wzrokiem.

– Wolności. Chciałaś uwolnić się ode mnie, perfidnego Leandra. Zniknąć na zawsze.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Mówi pan poważnie?

– Dałem ci słowo. Taka była umowa. Ostatnie dochodzenie. A potem wolność. Jak myślisz, po co przyjechałem do Barcelony? Wszystko inne mogłem załatwić przez telefon, nie ruszając się z hotelu Palace. Wiesz, jak bardzo nie lubię podróżować.

– W takim razie po co pan przyjechał?

– Żeby spojrzeć na ciebie, kiedy przekażę ci tę wiadomość. I zapewnić cię, że jestem twoim przyjacielem. I pozostanę nim na zawsze.

Leandro wziął ją za rękę.

– Jesteś wolna, Alicjo. Naprawdę wolna.

Łzy napłynęły jej do oczu. Nie mogła opanować radości i rzuciła się Leandrowi w objęcia.

– Chcę, żebyś wiedziała – ciągnął jej mentor – że cokolwiek się stanie, cokolwiek zrobisz, zawsze możesz na mnie liczyć. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, śmiało się do mnie zwracaj. Bez zobowiązań, nie oczekuję niczego w zamian. Dostałem pozwolenie z ministerstwa, żeby przelać ci sto pięćdziesiąt tysięcy peset, znajdą się na twoim koncie do końca tygodnia. Wiem, że nie zatęsknisz za mną ani do niczego ci się nie przydam, ale jeśli możesz, zadzwoń do mnie czasem. Przynajmniej w Boże Narodzenie. Zrobisz to?

Alicja pokiwała głową. Leandro pocałował ją w czoło i wstał.

– Mój pociąg odjeżdża za godzinę. Chyba powinienem udać się na stację. Nie chcę, żebyś mnie odprowadzała. W żadnym wypadku. Nie cierpię pożegnań, dobrze o tym wiesz.

Wstała i poszła za nim do drzwi. Już miał wyjść, ale odwrócił się jeszcze, Alicja zaś pierwszy raz w życiu dojrzała w jego oczach nieśmiałość i zawstydzenie.

– Nigdy ci tego nie powiedziałem, bo nie byłem pewien, czy mam do tego prawo, ale teraz wydaje mi się, że mogę to zrobić. Kochałem cię i kocham nadal jak własną córkę, Alicjo. Być może nie potrafiłem być dobrym ojcem, ale ty byłaś dla mnie największą radością w życiu. Pragnę, byś była szczęśliwa. Możesz to potraktować jako mój ostatni rozkaz.

Chciała mu wierzyć. Chciała mu wierzyć ze wszystkich sił, przepełniona dławiącym przekonaniem, że prawda boli, a tchórze żyją dłużej i są szczęśliwsi w więzieniu swoich kłamstw. Podeszła do okna i patrzyła, jak Leandro idzie do czekającego na rogu samochodu. Szofer w ciemnych okularach otworzył przed nim drzwiczki. Czarny wóz rozmiarów czołgu budził respekt przechodniów: przyciemniane szyby i enigmatyczna tablica rejestracyjna zdradzały, że nie jeżdżą nim przeciętni obywatele, a kiedy niczym pogrzebowy karawan włączał się do ruchu, inni kierowcy zjeżdżali mu z drogi, żeby niepotrzebnie nie kusić losu. Zanim Leandro wsiadł do samochodu, odwrócił się na chwilę i uniósł wzrok, żeby spojrzeć ostatni raz w okno Alicji. Pomachał do niej. Alicja spróbowała przełknąć ślinę, ale zupełnie zaschło jej w gardle. Chciała mu wierzyć.

Przez następną godzinę paliła papierosa za papierosem i krążyła po pokoju jak zwierzę zamknięte w klatce. Parę razy podchodziła do okna i spoglądała na drugą stronę ulicy w nadziei, że ujrzy Vargasa w jego mieszkaniu nad Gran Café, ale policjant przepadł bez śladu. A przecież miał wystarczająco dużo czasu, żeby zatelefonować do Madrytu i poznać swoje „rozkazy”. Pewnie wyszedł pospacerować po Barcelonie, z którą miał się wkrótce pożegnać. Alicja domyślała się, że ostatnim, czego pragnął, było spotkanie z nią. Na pewno spodziewał się reprimendy za to, że wypaplał wszystko Leandrowi. „Nie było innego wyjścia”. W to też bardzo chciała uwierzyć.

Kiedy tylko Leandro wyszedł, poczuła klucie w biodrze. Z początku je ignorowała, ból jednak się nasilał, teraz czuła pulsujące rwanie promieniujące na całe ciało. Miała wrażenie, jakby ktoś uderzając miarowo młotkiem, starał się wbić jej w bok wielki hak. Wyobraźnia podsuwała jej obraz metalowego czubka, który wwierca się w powierzchnię kości i ją dziurawi. Połknęła pół tabletki, popiła kolejnym kieliszkiem wina i położyła się na sofie, czekając, aż lekarstwo zacznie działać. Wiedziała, że pije za dużo. Nie potrzebowała wymownych spojrzeń Vargasa ani Leandra, żeby to sobie uświadomić. Czuła alkohol we krwi i każdym swoim oddechu, ale tylko on koił jej niepokój.

Przymknęła oczy i zaczęła analizować opowieść Leandra. To on sam, kiedy była jeszcze młodą dziewczyną, nauczył ją, jak uważnie czytać i słuchać. „Elegancja danej wypowiedzi jest wprost proporcjonalna do inteligencji tego, kto ją wygłasza, jej wiarygodność zaś jest wprost proporcjonalna do

łatwowierności słuchacza”, powiedział kiedyś.

Wyjaśnienia złożone przez Sanchisa w wersji przekazanej Leandrowi przez Gila de Parterę wydawały się bardzo prawdopodobne i tłumaczyły prawie wszystko, chociaż pewne wątki wydawały się Alicji niedomknięte. Ale to właśnie charakteryzuje najbardziej prawdopodobne opowieści: prawda nigdy nie jest doskonała i nigdy nie spełnia wszystkich oczekiwań. Prawda zawsze budzi wątpliwości i skłania do zadawania pytań. Tylko kłamstwo jest w stu procentach wiarygodne, bo nie musi usprawiedliwiać prawdy; jego rolą jest powiedzieć nam to, co sami chcemy usłyszeć.

Lekarstwo zaczęło działać po piętnastu minutach, ból ustępował powoli, w końcu zmieniając się w kłujące mrowienie, do którego była tak przyzwyczajona, że nie zwracała na nie uwagi. Sięgnęła ręką pod kanapę i wyjęła spod niej pudło z dokumentami, które zabrali z przechowalni mecenasa Briansa. Uśmiechnęła się na myśl o tym, że Leandro, niczego nie podejrzewając, usadowił na nich swój wielce szacowny tyłek. Rzuciła okiem na znajdujące się w pudle teczki. Duża część zawartych w dokumentach informacji została już włączona do oficjalnej wersji wydarzeń. Na samym dnie pudła leżała jednak koperta ze słowem ISABELLA napisanym odręcznie na grzbiecie. Alicja otworzyła ją i wyjęła notatnik. Zza jego okładki wypadła na podłogę stara, wyblakła na brzegach fotografia. Przedstawiała młodą dziewczynę o jasnych włosach i radosnych oczach, uśmiechającą się do aparatu z miną osoby przekonanej, że ma życie przed sobą. Coś w jej twarzy przypominało Alicji młodzieńca, z którym minęła się w drzwiach księgarni Sempere i Synowie. Odwróciła fotografię i rozpoznała pismo mecenasa Briansa:

Isabella

Wyszukana kaligrafia, jak również pominięcie nazwiska zdradzały prawdziwe uczucia, jakie żywił adwokat. Mecenasa przegranych spraw nie tylko gryzło sumienie, pewnie też umierał z tęsknoty. Odłożyła zdjęcie na stół i przekartkowała notatnik. Wszystkie strony zapisane były starannym, czytelnym pismem, bez wątplenia kobiecą ręką. Tylko kobiety potrafią pisać tak wyraźnie, nie ukrywając niczego pod absurdalnymi zawijasami. Przynajmniej wtedy, kiedy piszą dla siebie i dla nikogo innego. Alicja wróciła

do pierwszej strony i zaczęła czytać.

Nazywam się Isabella Gispert, urodziłam się w Barcelonie w 1917 roku. Mam dwadzieścia dwa lata i wiem, że nigdy nie skończę dwudziestu trzech. Piszę to wszystko, mając całkowitą pewność, że zostało mi tylko kilka dni życia i że wkrótce opuszczę tych, którym najwięcej w życiu zawdzięczam: mojego syna Daniela i mojego męża Juana Sempere, najlepszego człowieka na świecie. To on obdarzył mnie zaufaniem, miłością i przywiązaniem, za które nie zdołam mu się przed śmiercią odpłacić. Piszę dla siebie samej, mam nadzieję, że nikt nigdy nie przeczyta tych stron i nie odkryje sekretów, które nie są moją własnością. Piszę po to, żeby przeżyć wspomnienia raz jeszcze, bo to one trzymają mnie przy życiu. Moim jedynym celem jest wspominać, żeby zrozumieć, kim jestem, dlaczego postąpiłam tak, jak postąpiłam, dopóki jeszcze mogę to zrobić i zanim świadomość, która powoli mnie opuszcza, zupełnie zgaśnie. Piszę, chociaż pisanie sprawia mi ból, ale to właśnie ból i poczucie straty trzymają mnie przy życiu, a boję się umierać. Piszę, żeby przelać na te strony to, czego nie mogę opowiedzieć najbliższym, żeby ich nie zranić i nie narazić ich życia na niebezpieczeństwo. Piszę, bo dopóki jestem w stanie wspominać, mogę być z nimi kilka minut dłużej...

Alicja zatopiła się w lekturze. Zapomniała o całym świecie, o bólu i niepewności, w jakich pogrążyła ją wizyta Leandra. Przez godzinę istniała dla niej jedynie ta historia i zanim przewróciła ostatnią stronę, wiedziała, że nigdy nie zapomni czytanych właśnie słów. Kiedy zamknęła zeszyt z wyznaniem Isabelli, uniosła dłoń do ust, żeby stłumić krzyk. W oczach miała łzy.

Jakiś czas później pojawił się Fernandito. Stukał do drzwi, ale nie doczekał się odpowiedzi, więc wszedł do środka. Znalazł Alicję zwiniętą w kłębek na podłodze i szlochającą rozpaczliwie. Uklęknął obok i przytulił ją do siebie, a ona jęczała z bólu, jakby od środka trawił ją ogień.

Niektórzy zdecydowanie nie urodzili się pod szczęśliwą gwiazdą, pomyślał Fernandito. Od lat marzył o tym, żeby mieć ją w ramionach, a kiedy to się wreszcie stało, sytuacja okazała się smutna ponad wszelkie wyobrażenie. Obejmował ją i gładził delikatnie po głowie, próbując uspokoić. Nie miał pojęcia, co więcej może zrobić, jakimi słowami ją pocieszyć. Nigdy wcześniej nie widział jej w takim stanie, co więcej, nigdy nie podejrzewał, że ją w takim stanie zobaczy. W jego fantazjach wyniesiona na ołtarze nastoletnich westchnień Alicja Gris była niezniszczalna i twarda jak diament, który wszystko tnie. Kiedy w końcu przestała płakać i uniosła głowę, Fernandito ujrzał Alicję załamana, z czerwonymi oczyma i uśmiechem tak delikatnym, jakby miał rozpaść się za chwilę na tysiąc kawałków.

– Już lepiej? – wyszeptał Fernandito.

Alicja spojrzała mu w oczy i niespodziewanie pocałowała go w usta. Fernandito poczuł ogień i mrowienie we wszystkich przewidzianych i nieprzewidzianych przez anatomię miejscach oraz ogólne oszołomienie przejmujące władzę nad jego umysłem. Odsunął się od niej z wysiłkiem.

– Panno Alicjo, jest pani w szoku. Nie wydaje mi się, żeby akurat na to miała pani teraz ochotę.

Ona spuściła wzrok i oblizwała wargi. Fernandito pomyślał, że zapamięta tę scenę do dnia własnego pogrzebu.

– Wybacz mi, Fernandito – powiedziała kobieta, wstając.

On również podniósł się z podłogi i podsunął jej krzesło. Alicja usiadła.

– Niech to zostanie między nami, zgoda?

– Oczywiście. – Komu i co właściwie miałby opowiedzieć o tym incydencie?

Alicja rozejrzała się po jadalni i zauważyła na podłodze pudło pełne produktów żywnościowych i butelek wina.

– To zamówienie – wyjaśnił Fernandito. – Pomyślałem, że lepiej wróćę z zakupami na wypadek, gdyby był tu jeszcze ten pan.

Alicja pokiwała głową.

– Ile ci jestem winna?

– Tym razem to ja zapraszam. Nie mieli peralady, ale przyniosłem priorat,

Manolo mówi, że jest wyśmieniony. Ja tam na winach się nie znam. Ale jeśli nie obrazi się pani za tę uwagę...

– Nie powinnam tyle pić. Wiem o tym i dziękuję, Fernandito.

– Mogę wiedzieć, co się pani stało?

Alicja wzruszyła ramionami.

– Nie jestem pewna.

– Ale już pani lepiej, prawda?

– O wiele lepiej. Wszystko dzięki tobie.

Fernandito, nie bardzo wierząc w prawdziwość tych słów, pokiwał smutno głową.

– Tak naprawdę przyszedłem opowiedzieć pani o tym, co widziałem – rzekł.

Alicja, zupełnie zbita z tropu, spojrzała na niego pytająco.

– Chodzi o tego faceta, którego miałem śledzić – wyjaśnił. – Sanchisa.

– Na śmierć o tym zapomniałam. Obawiam się, że jest już na wszystko za późno.

– Mówi pani tak, bo go aresztowano?

– Widziałeś, jak go zatrzymują?

Fernandito przytaknął.

– Dziś wczesnie rano stawiłem się przed jego biurem przy Paseo de Gracia, tak jak pani kazała. Stał tam taki sympatyczny dziadek, uliczny pejzażysta. Kiedy zobaczył, że pilnuję wejścia, przekazał mi pozdrowienia dla kapitana Vargasa. On też dla pani pracuje?

– Nie, to niezależny agent. Niezły artysta zresztą. I co się stało?

– Sanchisa rozpoznałem bez trudu, bo wyszedł w bardzo eleganckim garniturze, a malarz potwierdził, że to właśnie on. Wsiadł do taksówki, a ja pojechałem za nimi na vespie do Bonanovy. Mieszka przy ulicy Iradier, w takim domu, że klękajcie narody. Chyba ma głowę do interesów, bo dzielnica jest elegancka, że ho, ho. A dom...

– Zdaje się, że się też odpowiednio wżenił – zauważyła Alicja.

– No tak. Pozazdrościć. Jak tylko wszedł do domu, nadszedł samochód

osobowy i furgonetka, wysiadł z niej cały oddział policji. Było ich co najmniej siedmiu, może nawet ośmiu. Najpierw otoczyli dom, a potem jeden z nich, prawdziwy elegancik jak z żurnala, zastukał do drzwi.

– A ty? Gdzie wtedy byłeś?

– Dobrze się schowałem. Po drugiej stronie ulicy znajduje się taki budynek, trwa tam właśnie remont. Łatwo znaleźć kryjówkę. Jak pani widzi, uważam na siebie.

– I co było dalej?

– Nie minęło kilka minut, a wyprowadzili Sanchisa w samej koszuli i skutego kajdankami. Protestował, ale jeden z policjantów rąbnął go z tyłu pałką w nogi na wysokości kolan, a potem powlekli go do furgonetki. Chciałem pojechać za nimi, ale miałem wrażenie, że jeden z agentów, ten tak elegancko ubrany, spoglądał w stronę działki, na której się schowałem. Zdawało mi się, że mnie zobaczył. Furgonetka ruszyła z piskiem opon, a ten drugi samochód został, chociaż przestawili go jakieś dwadzieścia metrów, na róg ulicy Margenat, żeby nie było go widać z domu. Na wszelki wypadek postanowiłem zostać tam, gdzie byłem.

– Bardzo rozsądnie z twojej strony. W podobnych sytuacjach lepiej nie wychodzić z kryjówki. Rzykujesz tylko, że stracisz z oczu tego, kogo śledzisz. Lepsze to niż ryzykować życie.

– Tak właśnie pomyślałem. Mój ojciec zawsze mawia, że jak człowiek straci głowę, to potem dostanie w dupę.

– Mądre słowa.

– Tymczasem zaczynałem się denerwować. I już miałem się stamtąd zmywać, kiedy nadjechał inny samochód. Wspaniały mercedes-benz. Zaparkował przed domem. Wysiadł z niego bardzo dziwny facet.

– Dziwny?

– Miał coś w rodzaju maski, jakby brakowało mu połowy twarzy, czy coś takiego.

– Morgado.

– Wie pani, kto to?

– Tak. Szofer Sanchisa.

Fernando pokiwał głową, raz jeszcze zafascynowany tajemnicami swojej ukochanej Alicji.

– Tak też sobie pomyślałem. Tak czy siak, wysiadł z samochodu i wszedł do domu. Po chwili znów pojawił się w drzwiach, tym razem w towarzystwie jakiejś kobiety.

– Jak wyglądała?

– Była młoda. Jak pani.

– Ja wydaję ci się młoda?

Fernandito przełknął ślinę.

– Proszę mnie nie rozpraszać. Była, jak mówiłem, młoda, miała nie więcej niż trzydzieści lat, chociaż ubrana jak starsza osoba. Jak bogata arystokratka, coś w tym rodzaju. Nie wiedziałem, kim jest, więc wymyśliłem dla niej pseudonim: Mariona Rebull.

– Intuicja też cię nie zmyliła. Nazywa się Victoria Ubach albo Sanchís. To żona zatrzymanego bankiera.

– Rozumiem. Ci zwyrodnialcy zawsze żenią się z młodszymi i bogatszymi od siebie kobietami.

– Może to strategia dla ciebie?

– Oj, nie nadaję się do takich rzeczy. Wracając do sprawozdania: oboje wsiedli do mercedesa. Ona usiadła z przodu, obok szofera, co wydało mi się podejrzane. Kiedy tylko ruszyli, wóz tajniaków pojechał ich śladem.

– A ty za nimi.

– Oczywiście.

– Jak długo ich śledziłeś?

– Niezbyt długo. Mercedes jechał płataniną wąskich uliczek z pięknymi willami po bokach, pachniało eukaliptusem, widziałem tam tylko służące i ogrodników. Dotarliśmy w końcu do ulicy Cuatro Caminos, a potem skręciliśmy w aleję Tibidabo, na której o mało co nie potracił mnie niebieski tramwaj. Na szczęście Bóg nade mną czuwał.

– Powinieneś nosić kask.

– Mam kask, amerykańskiego żołnierza, kupiłem go na targowisku Los Encantes. Napisałem na nim grubym flamastrem „Private Fernandito”, bo wie

pani, po angielsku to nie znaczy prywatny, tylko...

– Fernandito, do rzeczy.

– Przepraszam. Jechałem za nimi aż do końca alei Tibidabo, tam gdzie kończy się trasa tramwaju.

– Jechali do dolnej stacji kolejki linowej?

– Nie, szofer i pani... Ubach skręcili w uliczkę okrążającą stację kolejki i pojechali do willi, która stoi na górze nad aleją, wie pani, do tej, co wygląda jak zamek z bajki i widać ją z daleka. To chyba najpiękniejszy dom w całej Barcelonie.

– Tak, masz rację. Nazywa się El Pinar. – Alicja przypomniała sobie, jak będąc jeszcze małą dziewczynką, w niedziele, kiedy pozwalano im opuszczać sierociniec Ribas, wielokrotnie obok niego przechodziła. Wyobrażała sobie wtedy, że w nim mieszka, że ma olbrzymią bibliotekę, a wieczorami spogląda na miasto, które ściele się u jej stóp niczym zaczarowany kobierzec świateł. – A co z policją?

– W samochodzie było dwóch osiłków w cywilu, groźnych jak pitbule. Jeden z nich stanął przed wejściem do domu, drugi wszedł do restauracji La Venta, żeby zatelefonować. Czekałem tam prawie godzinę, ale nic ciekawego się nie działo. W końcu jeden z policjantów obrzucił mnie spojrzeniem, które wcale mi się nie spodobało, więc postanowiłem, że lepiej się stamtąd zwinąć. No i przyjechałem, żeby złożyć pani raport i odebrać rozkazy.

– Doskonała robota, Fernandito. Masz do tego prawdziwy talent.

– Tak pani sądzi?

– Tak. Dam ci awans z *private* Fernandito na *corporal*.

– A co to znaczy?

– Skorzystaj ze słownika. Tym, co nie uczą się języków, umysł zmienia się w purée z kalafiora.

– Pani jest taka mądra. Co mam teraz robić?

Alicja zastanowiła się przez chwilę.

– Poproszę cię teraz, żebyś zmienił ubranie i włożył beret. A potem wrócisz tam i będziesz miał oko na całą sytuację. Ale zostaw skuter gdzieś daleko, lepiej, żeby policjant, który spojrzał na ciebie spode łba, cię nie

rozpoznał.

– Zostawię go pod hotelem La Rotonda i dalej pojedę tramwajem.

– Doskonały pomysł. Chciałabym, żebyś zobaczył, co się dzieje w tym domu, ale nie podejmując żadnego ryzyka. Najmniejszego. Kiedy tylko zauważysz, że ktoś przygląda ci się podejrzliwie, natychmiast odwracasz się na pięcie i jedziesz do mnie. Zrozumiałeś?

– Doskonale.

– Za dwie, może trzy godziny stawisz się tutaj i wszystko mi opowiesz.

Fernandito wstał gotów do wykonania zadania.

– A co pani zamierza robić w tym czasie?

Alicja dała mu gestem do zrozumienia, że znajdzie sobie jakieś zajęcie, a może i nie, w każdym razie nie ma to znaczenia.

– Nie popełni pani żadnego głupstwa, prawda?

– Dlaczego o to pytasz?

Popatrzył na nią z progu z zakłopotaniem.

– Sam nie wiem.

Tym razem Fernandito zszedł po schodach powoli, jakby każdy kolejny krok potęgował w nim wyrzuty sumienia. Alicja schowała notatnik Isabelli do pudła pod sofą. Poszła do łazienki i przemyła twarz zimną wodą. Zdjęła ubranie i otworzyła szafę.

Wybrała czarną sukienkę, która Fernanditowi wydałaby się z pewnością godna Mariony Rebull szykującej się na kolejny spektakl w teatrze Liceo. Kiedy Alicja skończyła dwadzieścia dwa lata – w tym wieku zmarła Isabella – Leandro obiecał, że podaruje jej wszystko, cokolwiek sobie wymarzy. A ona poprosiła go o tę sukienkę, którą podziwiała od dwóch miesięcy w witrynie ekskluzywnego butiku przy ulicy Rosellón, i parę francuskich zamszowych butów do kompletu. Leandro bez słowa protestu wydał na ten kaprys fortunę. Sprzedawczyni, która nie wiedziała – i oczywiście nie miała odwagi zapytać – czy Alicja jest córką, czy kochanką Leandra, stwierdziła tylko, że niewiele kobiet miałoby odwagę włożyć podobną kreację. Po zakupach Leandro zaprosił podopieczną na kolację do La Puñalada. Wszystkie stoliki zajmowali mężczyźni, których litościwie nazywamy ludźmi interesu. Oblizywali się na

widok dziewczyny jak wygłodniałe koty i spoglądali na Leandra z zazdrością. „Patrz tak na ciebie, bo myślą, że jesteś luksusową dziwką”, powiedział Leandro, a potem wznosił toast na jej cześć.

Nigdy później, aż do dziś, Alicja nie miała na sobie tej sukienki. Pociągając przed lustrem rzęsy tuszem i łagodnie podkreślając usta czerwoną kredką, uśmiechała się w duchu. „Właśnie tym ostatecznie jesteś – powiedziała do siebie. – Luksusową dziwką”.

Wyszła na ulicę, żeby się przespacerować, bez określonego celu, chociaż w głębi duszy podejrzewała, że Fernandito miał rację i być może rzeczywiście popełni za chwilę kolejny błąd.

7

Tego popołudnia, ignorując podszepty zdrowego rozsądku, Alicja opuściła mieszkanie z dziwnie silnym przeczuciem, że ta pozornie bezcelowa przechadzka doprowadzi ją w bardzo konkretne miejsce. Sklepy przy ulicy Fernando zapaliły już swoje światła i neony kreślące na bruku kolorowe wzory. W powoli dogasającej na niebie szkarłatnej poświacie błyszcząły zarysy wysokich dachów i gzymsów. Ludzie snuli się po ulicach, wracali z jednych i spieszyli do nowych zajęć, niektórzy kierowali się do stacji metra, inni załatwiali ostatnie sprawunki, jeszcze inni szukali jedynie zapomnienia. Strumień przechodniów porwał Alicję i zaniósł na plac przed ratuszem. Tu minęła się ze szwadronem zakonnicy – maszerowały w perfekcyjnym szyku jak migrujące pingwiny. Alicja uśmiechnęła się do jednej z nich, a siostrzyczka przeżegnała się na jej widok. Potem Alicja poszła dalej, ku ulicy Obispo. Grupa zdumionych turystów podążała za przewodnikiem, który przemawiał do nich w jakimś dziwnym dialekcie, mającym tyle wspólnego z angielskim, co śpiew nietoperzy.

– *Señor, is this they used to have the running of the bulls in times of the Romans?*

– *Jes, dis is de cazidral, mileidi, bat is ounli opening after the flamenco szoł.*

Zostawiła za sobą turystów i przeszła pod uroczym, wyglądającym jak wycinanka neogotyckim mostkiem. Zanurzyła się w magicznej atmosferze roztaczanej przez cytadelę, która udawała średniowieczną, chociaż wiele z jej elementów miało zaledwie dziesięć lat więcej niż Alicja. Jakże łaskawa jest naiwność i jakże słodkie są objęcia ignorancji! Po drugiej stronie mostka zauważyła fotografa, który rozstawił na statywie wspaniałego hasselblada, a teraz starał się dobrać przesłonę, czas migawki i kadrowanie do swojej widokówki z krainy baśni. Wyglądał poważnie, spojrzenie miał przenikliwe, a na nosie wielkie okulary w kwadratowych oprawkach. Wszystko to upodobało go do cierpliwego i mądrego żółwia z Galapagos.

Fotograf przyjrzał się Alicji z zainteresowaniem.

– Chciałaby pani może spojrzeć przez mój obiektyw, mademoiselle? – zaproponował.

Alicja nieśmiało skinęła głową. Fotograf pokazał jej, jak powinna to zrobić. Pochyliła się, żeby zajrzeć w wizję artysty, i uśmiechnęła na widok doskonałej perspektywy i gry światła, jaką zaklął w swoim ujęciu, przedstawiając zupełnie inaczej zakątek mijany przez nią setki, jeśli nie tysiące razy w życiu.

– Oko widzi, aparat obserwuje – wyjaśnił fotograf. – I jak?

– Absolutne cacko – przyznała Alicja.

– To kwestia kompozycji i perspektywy. Trzeba patrzeć tak, żeby światło zrobiło się płynne. Cienie wydają się wtedy pokryte delikatną, świetlistą warstwą, jakby przesiąknięte wilgocią jasności...

Fotograf sprawiał wrażenie profesjonalisty, Alicja zastanawiała się, gdzie umieści to zdjęcie. Żółw rozprawiający o magii światła zdawał się czytać jej w myślach.

– Robię to zdjęcie do książki – oznajmił. – Jak pani na imię?

– Alicja.

– Alicjo, bardzo chciałbym panią sfotografować.

– Mnie? Dlaczego?

– Bo jest pani istotą, w której mieszają się światło i cień. Podobnie jak w tym mieście.

– Tutaj? Teraz?

– Nie. Nie w tej chwili. Teraz dźwiga pani na barkach zbyt wielki ciężar, który nie pozwala pani być sobą. Aparat to wyczuwa. Przynajmniej mój. Chciałbym zrobić zdjęcia, kiedy pozbędzie się już pani tego ciężaru, a światło będzie mogło wydobyć to, kim pani jest naprawdę, a nie to, co zrobiło z pani życie.

Alicja zaczerwieniła się pierwszy i ostatni raz w życiu. Nigdy nie czuła się tak obnażona jak teraz, gdy patrzył na nią ten intrygujący mężczyzna.

– Nie musi pani odpowiadać – powiedział fotograf.

Wyjął z kieszeni marynarki wizytówkę i wręczył ją z uśmiechem.

FRANCESC CATALÀ-ROCA **Studio Fotograficzne od 1947 r.**

**Ulica Provenza 366 (parter),
Barcelona**

Alicja schowała wizytówkę i oddaliła się czym prędzej, pozostawiając artystę sam na sam z jego sztuką i wszytkowiedzącym spojrzeniem jasnowidza. Skręciła w Puerta del Ángel, a stamtąd w ulicę Santa Ana. Witryna księgarni Sempere i Synowie widoczna była z daleka.

Jeszcze nie jest za późno, żeby dać sobie spokój. Znowu coś zepsujesz. Idź dalej, nie zatrzymuj się.

Przystanąła po drugiej stronie ulicy, w cieniu portalu, skąd widziała wewnątrz księgarni. Zapadał właśnie ciemnobłękitny barceloński zimowy zmierzch, zachęcający do tego, żeby na przekór niesprzyjającej aurze

powłóczyć się ulicami miasta.

Odejdź stąd. Nie możesz nic zrobić. Po prostu odejdź.

Zauważyła obsługującą klienta Beę. Obok stał dżentelmen mający już za sobą lata młodości i Alicja domyśliła się, że to jej teść, starszy Sempere. Mały Julián siedział na kontuarze oparty o kasę, całkowicie pochłonięty oglądaniem książki, którą trzymał na kolanach. Alicja obserwowała całą scenę z uśmiechem. Nagle z zaplecza wyłonił się Daniel ze stosem grubych tomów. Położył je na ladzie. Julián podniósł głowę i spojrzał na ojca, a ten zmierzwił mu włosy. Daniel coś powiedział, chłopiec uśmiechnął się, a młody tata pochylił się i ucałował malca w czoło.

Nie masz prawa tu być. To nie twoje życie, nie twoja rodzina. Idź precz, schowaj się w dziurze, z której wylazłaś.

Patrzyła na Daniela segregującego książki, które przyniósł z zaplecza. Układał je na kontuarze w trzy równiutkie stosiki i prawie głaskał, kiedy ścierał z nich kurz. Wyobraziła sobie dotyk jego dłoni i ust na własnej skórze. Z trudem odwróciła wzrok i odeszła parę kroków. Czy naprawdę powinna, czy miała prawo ujawnić to, czego się dowiedziała, rodzinie, która niewątpliwie była szczęśliwsza i bezpieczniejsza, nie znając prawdy? Szczęście ulatnia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kiedy wiara ustępuje miejsca poznaniu.

Ostatnie spojrzenie. Żeby się z nimi pożegnać. Pożegnać na zawsze.

Zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, już stała przed witryną księgarni. Miała odejść, kiedy dostrzegła, że Julián, który chyba intuicyjnie wyczuł jej obecność, uważnie na nią patrzy. Alicja stała jak wryta na środku chodnika, a przechodnie omijali ją niczym pomnik. Julián zeskoczył nagle z lady i w mgnieniu oka, nie dając czasu na reakcję pochłoniętemu porządkowaniem książek Danielowi ani Bei i jej teściowi zajętem obsługiwaniem klienta, przebiegł przez księgarnię i otworzył drzwi. Zatrzymał się w progu uśmiechnięty od ucha do ucha. Alicja pokręciła głową. W tej chwili Daniel zauważył już, co się dzieje. Z ruchu jego warg Alicja wyczytała, że woła syna. Julián podbiegł i przytulił się do jej nóg. Ona wzięła go na ręce i tak właśnie zastali ich Bea i Daniel.

– Panna Gris? – odezwała się zaskoczona i zaniepokojona Bea.

Z głosu Bei znikły cała uprzejmość i łagodność, których Alicja

doświadczyła tego dnia, kiedy się poznały. Alicja podała jej chłopca i przełknęła ślinę. Bea przytuliła Juliana, odetchnęła głęboko. Daniel spoglądał na Alicję z mieszaniną podejrzliwości i fascynacji. Zrobił krok do przodu, jakby chciał odgrodzić ją od swojej rodziny.

– Kim pani jest?

– To Alicja Gris – rozległ się zza jego pleców głos żony. – Nasza klientka.

Daniel pokiwał głową, ale na jego twarzy nadal malował się cień wątpliwości.

– Bardzo przepraszam. Nie miałam zamiaru państwa przestraszyć. Mały chyba mnie rozpoznał i...

Julián spoglądał na nią z uwielbieniem, zupełnie nieczuły na niepokój rodziców. W drzwiach księgarni stanął stary Sempere, chyba tylko po to, żeby jeszcze skomplikować całą sytuację.

– Czyżbym coś przeoczył?

– Nic takiego, tатko, Julián postanowił nawiać...

– To moja wina – wymamrotała Alicja.

– Czy my się znamy?

– Alicja Gris.

– Ach, to pani zamówiła tyle książek. Niech pani wejdzie do środka, jest za zimno, żeby rozmawiać na ulicy.

– Ja tylko przechodziłam i...

– Bardzo proszę. Poza tym widzę, że podbiła pani serce mojego wnuka. A to nie zdarza się każdemu. Powiedziałbym raczej, że wręcz przeciwnie.

Stary Sempere przytrzymał drzwi, wymieniając spojrzenia z Danielem, który, znacznie spokojniejszy, również zaprosił ją do środka.

– Niech pani wejdzie, Alicjo – zgodziła się Bea.

Julián wyciągnął ku niej rękę.

– Widzi pani, że nie ma pani wyboru – powiedział stary Sempere.

Alicja przytaknęła i weszła do księgarni. Natychmiast otulił ją zapach książek. Bea postawiła Juliana na podłodze, on zaś chwycił za rękę Alicję i zaczął ją ciągnąć w stronę lady.

– Zakochał się w pani, bez dwóch zdań – orzekł dziadek. – Czy ja już pani gdzieś nie widziałem?

– Bywałam tu jako dziecko ze swoim ojcem.

Sempere przyjrzał się jej uważnie.

– Powiedziała pani Gris? Juan Antonio Gris?

Alicja kiwnęła głową.

– O mój Boże! Nie mogę w to uwierzyć! Nie widziałem go już tyle lat, ani jego, ani żony. Wcześniej zaglądali tu prawie co tydzień. Niech mi pani powie, że wszystko u nich w porządku.

Alicja poczuła, że ma zupełnie sucho w ustach.

– Zginęli. Oboje. W czasie wojny.

Stary Sempere ciężko westchnął.

– Bardzo mi przykro. Nic o tym nie wiedziałem.

Alicja spróbowała się uśmiechnąć.

– I nie ma pani innej rodziny?

Pokręciła głową, a Daniel, którego uwagi nie uszło, że Alicja ma łzy w oczach, zwrócił się do ojca:

– Tato, przestań panią przesłuchiwać.

Stary Sempere wydawał się bardzo przygnębiony.

– Pani ojciec był wspaniałym człowiekiem. I dobrym przyjacielem.

– Dziękuję – szepnęła Alicja.

Zapadła krępująca cisza. Daniel postanowił ją przerwać.

– A może ma pani ochotę na kieliszek czegoś mocniejszego? Tata obchodzi dziś urodziny, zapraszamy więc naszych klientów na likier własnej produkcji naszego drogiego Fermina.

– Nie polecam – szepnęła jej na ucho Bea.

– À propos, gdzież on się podziewa? Powinien był już wrócić, prawda?

– Prawda. Posłałam go po szampana na kolację, ale ponieważ upiera się, że nie będzie kupował u don Dionisia, który butelkuje wino mszalne wymieszane z wodą sodową i kilkoma kroplami kociej szczyzny dla poprawy koloru,

pewnie poszedł do tej swojej ulubionej meliny w pobliżu targowiska Borne. A ja nie mam już siły się z nim kłócić.

– No cóż – stary Sempere zwrócił się do Alicji. – Fermín już taki jest. Rzeczony Dionisio był w młodości falangistą, a Fermín takich rzeczy nie wybacza. Prędzej umarłby z pragnienia, niż kupił u niego butelkę czegokolwiek.

Alicja się uśmiechnęła.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała.

– A właściwie... Pewnie pani odmówi, ale... Może zostałaby pani u nas na kolacji? Będziemy mieć kilku gości. Dla mnie byłby to wielki zaszczyt gościć u siebie córkę Juana Antonia.

Alicja spojrzała na Daniela, który uśmiechnął się nieznacznie.

– Bardzo panu dziękuję, ale...

Julián mocniej ścisnął jej rękę.

– Widzi pani, nawet mój wnuk nalega. No proszę, niech się pani namyśli. Będzie pani wśród przyjaciół.

Alicja spuściła wzrok, kręcąc głową. Poczwała na ramieniu dłoń Bei, która poprosiła:

– Niech pani zostanie.

– Nie wiem, co powiedzieć...

– Nic pani nie musi mówić. Julianie, może pokażesz pani Alicji swoją pierwszą książkę? Powinna ją pani koniecznie zobaczyć.

Chłopiec natychmiast pobiegł po zeszyt wypełniony rysunkami, jakimiś dziwnymi bazgrołami i nieczytelnymi ciągami znaków. Pokazał go Alicji z wielkim entuzjazmem.

– To jego pierwsza powieść – wyjaśnił Daniel.

Julián czekał z niepokojem.

– Wygląda naprawdę zachęcająco.

Chłopiec zaklaskał w dłonie zadowolony z pozytywnej opinii recenzentki. Stary Sempere, który miał mniej więcej tyle lat, ile miałby jej ojciec, gdyby jeszcze żył, posłał Alicji jedno ze swoich przeraźliwie smutnych spojrzeń,

które towarzyszyły mu chyba przez całe życie.

– Witaj w rodzinie Sempere, Alicjo.

8

Niebieski tramwaj sunął powoli, złociście oświetlona tratwa prująca nocną mgłą, jak statek pruje morskie fale. Fernandito jechał z tyłu na platformie. Zostawił swoją vespę przy budynku La Rotonda, tak jak obiecał Alicji. Patrzył, jak skuter powoli znika w oddali, i wychylił się, żeby spojrzeć na długą aleję otoczoną z obu stron pałacami przypominającymi zakłete, opuszczone zamczyska z ogrodami pełnymi drzew, posągów i fontann. Nie było tam żywej duszy. Odnosiło się wrażenie, że milionerów nigdy nie ma w domu.

U końca alei na niewielkim wzgórzu majaczyła sylwetka pałacyku El Pinar. Profil miniaturowej katedry wbijał się w warstwę niskich chmur. Architektoniczna magia łączyła w całość wieżyczki i mansardy rozmieszczone pod niezwykłymi kątami. Ze wzgórza rozciągał się widok na Barcelonę i na północne i południowe wybrzeże. W bezchmurne dni, pomyślał Fernandito, z tego wzniesienia można pewnie zobaczyć nawet zarys Majorki. Tego wieczoru jednak domostwo spowijała gęsta zasłona mroku.

Fernandito przełknął ślinę. Misja powierzona mu przez Alicję zaczynała go niepokoić. Człowiek staje się prawdziwym bohaterem dopiero wtedy, kiedy się boi, mawiał jego wujek, który stracił na wojnie rękę i oko. A ten, który stawia czoło niebezpieczeństwu, nie czując strachu, jest zwykłym idiotą. Fernandito nie wiedział, czy Alicja oczekiwała od niego bohaterstwa, czy raczej braku rozsądku. A może subtelnej mieszanki obu tych cech, uznał w końcu. Pensja była wymarzona, a na samo wspomnienie Alicji szlochającej w jego ramionach wstąpiłby do piekieł i jeszcze za to zapłacił.

Wysiadł z tramwaju na ostatnim przystanku, a pojazd odjechał, kryjąc się we mgłę. Jego światła niknęły w oddali jak parująca fatamorgana. Placyk o tej

porze był kompletnie wyludniony. W blasku samotnej latarni połyskiwały tylko dwa samochody zaparkowane przed restauracją La Venta. Policja, pomyślał Fernandito. Usłyszał warkot silnika nadjeżdżającego wozu i pobiegł w kierunku stacji kolejki linowej, żeby poszukać schronienia. Po chwili zobaczył wrzynające się w noc światła. Wóz, jak mu się zdawało, marki Ford, zatrzymał się niedaleko od miejsca, gdzie się schował.

Wysiadł z niego jeden z tych osobników, których widział tego samego dnia rano, jak wyciągali Sanchisa z jego domu przy ulicy Iradier. Było w nim coś, co sprawiało, że wydawał się inny niż jego towarzysze. Każdy ruch i gest zdradzały szlachetne urodzenie i naturalną dystynkcję. Ubierał się jak bywalec salonów, w stroje z domów mody Gales czy Gonzalo Comella, silnie kontrastujące z garderobą przeciętnych agentów w cywilu. Spinki w mankietach koszuli – wykrochmalonej zapewne w jakiejś drogiej pralni – lśniły w ciemnościach. Dopiero kiedy agent przeszedł pod latarnią, Fernandito dostrzegł na nich ciemne plamy. Plamy krwi.

Policjant zatrzymał się i odwrócił do samochodu. Przez chwilę Fernandito pomyślał, że go zauważył, i żołądek skurczył mu się do rozmiarów piłeczki golfowej. Agent zwrócił się jednak z kurtuazyjnym uśmiechem do swojego szofera.

– Luis, trochę mi tu zejdzie. Jeśli chcesz, możesz już jechać. Nie zapomnij wyczyścić tylnego siedzenia. Zawiadomię cię, kiedy będziesz potrzebny.

– Rozkaz, kapitanie Hendaya.

Hendaya wyjął papierosa i zapalił. Rozkoszował się dymem, spoglądając za oddalającym się w kierunku miasta samochodem. Sprawiał wrażenie niezwykle spokojnego, jakby żadna przeszkoda ani żadne zmartwienie świata nie mąciły mu tej chwili spędzanej w najlepszym, czyli własnym towarzystwie. Fernandito patrzył na niego ze swojej kryjówki, bojąc się nawet oddychać. Hendaya palił jak amant filmowy, każdy jego gest był popisem szyku i elegancji. Odwrócił się tyłem do Fernandita i podszedł do punktu widokowego, by rzucić okiem na panoramę miasta. Po chwili upuścił niedopałek na ziemię i przydeptał czubkiem lakierowanego buta. Potem ruszył bez pośpiechu w stronę posiadłości.

Fernandito, widząc, że Hendaya znika mu za zakrętem drogi z pola widzenia, wyszedł z kryjówki. Czoło zlewał mu zimny pot. Walecznego

bohatera znalazła sobie Alicja, nie ma co. Pospieszył w ślad za kapitanem. Hendaya przeszedł przez łuk w murze okalającym ogród. Wejścia do środka strzegła żelazna furtka, nad którą widniał napis EL PINAR, a za nią pełna schodów ścieżka wspinała się przez ogród ku drzwiom do domu. Fernandito zajrzał przez furtkę i dostrzegł Hendayę idącego niespiesznie schodami i zostawiającego za sobą błękitny obłoczek pary.

Zaczekał, aż policjant dotrze do samych drzwi. Dwóch agentów wyszło mu na spotkanie, chyba zdawali raport z tego, co się wydarzyło. Po krótkiej wymianie zdań jeden z nich wszedł z Hendayą do środka. Drugi został, pilnując drzwi. Fernando zastanowił się, co powinien teraz zrobić. Gdyby ruszył tą samą drogą co Hendaya, na pewno by go zauważono. Wspomnienie krwi na mankietach kapitana nie zachęcało do wystawiania się na ryzyko nawet o milimetr dalej niż to konieczne. Cofnął się kilka kroków, żeby przyrzeć się murowanemu ogrodzeniu. Ulica – wąska szosa wijąca się po zboczu góry – była zupełnie pusta. Fernandito ruszył nią, a kiedy znalazł się na tyłach domostwa, ostrożnie wspiął się na mur. Chwycił się gałęzi rosnącego opodal drzewa i przedostał do ogrodu. I w tej chwili przyszło mu do głowy, że jeśli posiadłości strzegą psy, to natychmiast go wyczują. Kilka sekund później zdał sobie sprawę z jeszcze bardziej niepokojącego szczegółu. Nie słyszał najmniejszego nawet szmeru. W koronach drzew nie poruszał się ani jeden listek, nie słyhać było ćwierkania ptaków ani bzyczenia owadów. W tym miejscu wszystko było martwe.

Patrząc od strony ulicy, miało się wrażenie, że wzniesiona na wzgórzu willa stoi bliżej muru. Tymczasem Fernandito długo wspinał się po zboczu, omijając drzewa i porastającą ścieżkę chaszczę, zanim doszedł do wybrukowanej drogi. Podążył nią na tyły domostwa. Prawie wszystkie okna były ciemne, świeciło się tylko w kilku w bocznym skrzydle. Fernandito domyślił się, że były tam pomieszczenia kuchenne. Podczołgał się, uważając, żeby jego twarz nie była widoczna w pełznących od szyb pasmach światła, i spróbował wypatrzeć, co się dzieje w środku. Rozpoznał tę kobietę od razu. To ona wyszła z domu Sanchisa w towarzystwie szofera. Siedziała na krześle dziwnie nieruchoma, z głową przechyloną na bok, jakby była nieprzytomna. Jednak oczy miała otwarte.

Dopiero wtedy zauważył, że była przywiązana do krzesła za nadgarstki i kostki. Nad nią pojawił się cień jakiejś postaci i po chwili Fernandito

upewnił się, że Hendaya i jego podwładny weszli do środka. Hendaya przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko kobiety, w której Fernandito rozpoznał żonę Sanchisa. Policjant przemawiał do niej dobrych kilka minut, ale zdawało się, że pani Sanchís go nie słyszy. Nie patrzyła na niego, zupełnie ignorowała jego obecność. Hendaya delikatnie ujął palcami brodę żony bankiera i obrócił jej twarz tak, żeby ich spojrzenia się spotkały. Powiedział coś, a ona napluła mu w twarz. Mężczyzna wymierzył jej policzek tak silny, że wywróciła się razem z krzesłem. Agent towarzyszący Hendai i drugi, którego Fernandito wcześniej nie zauważył, zapewne dlatego, że stał oparty o ścianę, w której znajdowało się okno, podeszli i postawili krzesło z powrotem. Hendaya starł sobie ślinę z twarzy, a potem wytarł rękę w bluzkę pani Sanchís.

Na znak Hendai agenci opuścili kuchnię. Wrócili po chwili, wlokąc szofera, z którym żona bankiera wsiadła tego ranka do samochodu. Hendaya kazał im przywiązać go do stojącego na środku kuchni stołu, sam tymczasem zdjął marynarkę i starannie złożył ją na krzesło. Podeszedł do stołu i zdarł szoferowi z twarzy maskę przysłaniającą część oblicza. Kryła się pod nią koszmarna rana ciągnąca się od podbródka aż do czoła, mężczyzna pozbawiony był kawałka szczęki oraz fragmentu kostnej struktury policzka. Agenci unieruchomili szofera i przysunęli do stołu krzesło z żoną Sanchisa. Jeden z nich przytrzymał mocno jej głowę, żeby nie mogła odwrócić wzroku. Fernanditowi zrobiło się niedobrze, poczuł w ustach smak żółci.

Hendaya uklęknął przy żonie bankiera i szepnął jej coś na ucho. Ona zacisnęła usta i nie odezwała się ani słowem. Na jej twarzy malowała się furia. Policjant wstał. Wyciągnął otwartą dłoń do jednego z agentów, a ten podał mu broń. Hendaya załadował kulę i przyłożył lufę do prawego kolana szofera. Przez chwilę spoglądał na kobietę wyczekująco, a potem wzruszył ramionami.

Huk wystrzału i zawrodożenie szofera przebiły się bez trudu przez mury domu. Warstwa krwi i roztrzaskanych w pył kości pokryła twarz wrzeszczącej wniebogłosy kobiety. Ciałem szofera wstrząsały drgawki, jakby podłączono go do prądu. Hendaya tymczasem okrążył stół, załadował kolejną kulę i przytknął lufę pistoletu do rzepki drugiego kolana. Struga moczu i krwi skapywała na podłogę. Hendaya patrzył na kobietę jeszcze przez sekundę. Fernandito zamknął oczy i usłyszał kolejny wystrzał. Szofer zawył. Chłopak nie zdołał opanować mdłości, pochylił się do przodu i zwymiotował sobie na koszulę.

Cały się trząsał, kiedy rozległ się huk trzeciego wystrzału. Szofer już nie krzyczał. Po zachlapanej krwią twarzy kobiety płynęły łzy. Coś bełkotała. Hendaya ukląkł przy niej i chłonał każde słowo, gładząc ją po policzkach. Kiedy usłyszał wszystko, co pragnął usłyszeć, strzelił szoferowi w głowę, nie obdarzając go nawet ostatnim spojrzeniem. Oddał pistolet agentowi i podszedł do zlewu w kącie, żeby umyć ręce. Potem włożył marynarkę i płaszcz. Fernandito powstrzymał kolejną falę mdłości i wycofał się w krzaki. Odnalazł drogę, którą przyszedł, dotarł do drzewa i chwytając się jego gałęzi, wdrapał się na mur. Spocił się jak nigdy wcześniej, oblewał się zimnym potem, od którego aż swędziała skóra. Drżały mu nogi i ręce. Przeskoczył przez mur, spadł na drugą stronę i zwymiotował jeszcze raz. Miał wrażenie, że zwrócił wszystkie wnętrzności. Chwiejnym krokiem ruszył na przystanek tramwajowy. Minął furtkę, przez którą wszedł do środka Hendaya, i usłyszał zbliżające się głosy. Czym prędzej rzucił się biegiem w stronę placzyku.

Na przystanku stał tramwaj, oaza światła pośród pustyni mroku. Nie było w nim pasażerów, jedynie konduktor i motorniczy gawędzili i popijali na rozgrzewkę kawę z termosu. Fernandito wszedł do tramwaju, nawet nie zauważył wyczekującego spojrzenia konduktora.

– Młody człowieku?

Fernandito zanurzył rękę w kieszeni kurtki i wyciągnął jakieś drobne. Konduktor wręczył mu bilet.

– Nie zarzycasz mi pojazdu, prawda?

Chłopak pokręcił głową. Usiadł z przodu przy oknie i zamknął oczy. Próbował głęboko oddychać, przywołać przed oczy obraz swojej bielusieńkiej vespy czekającej na niego na końcowym przystanku. Tramwaj zachybotał się lekko, gdy wszedł do niego drugi pasażer. Fernandito usłyszał zbliżające się kroki. Zaciśnął zęby. Poczuł na kolanie dotyk. Otworzył oczy.

Hendaya obserwował go z miłym uśmiechem.

– Dobrze się czujesz?

Fernandito zaniemówił. Starał się nie patrzeć na zaplamiony krwią kołnierzyk koszuli Hendai. Przytaknął.

– Jesteś pewien?

– Chyba trochę za dużo wypilem.

Hendaya pokiwał głową ze zrozumieniem. Tramwaj ruszył z pętli.

– Szczypta sody oczyszczonej i sok z połówki cytryny. Kiedy byłem młody, to był mój sekret. A potem prosto do łóżka.

– Dziękuję bardzo. Zrobię tak, jak tylko dojadę do domu.

Tramwaj sunął nieskończenie powoli po obwodzie haczykowatego zakrętu, którym kończyła się aleja. Hendaya rozsiadł się tymczasem na siedzeniu naprzeciwko Fernandita i wlepił w niego badawcze spojrzenie.

– Mieszkaś daleko stąd?

Chłopak zaprzeczył.

– Nie. Jakies dwadzieścia minut metrem.

Hendaya pomacał się po płaszczu i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni coś, co wyglądało na kopertę.

– Może cukierka eukaliptusowego?

– Nie, bardzo dziękuję.

– No dalej – zachęcał Hendaya. – Poczęstuj się. Dobrze ci zrobi.

Fernandito wziął cukierka i drżącymi rękoma zaczął rozwijać papierek.

– Jak się nazywasz?

– Alberto. Alberto García.

Fernandito wsunął cukierek do ust. Zupełnie zaschło mu w gardle, więc natychmiast przykleił mu się do języka. Zmusił się jednak do zadowolonego uśmiechu.

– Smakuje? – zapytał Hendaya.

– Bardzo dobry, dziękuję. To prawda, świetnie robi.

– A nie mówiłem? A powiedz, Alberto, czy mógłbym zobaczyć jakiś twój dokument?

– Słucham?

– Dokument tożsamości.

Fernandito spróbował przełknąć ślinę, której brakowało mu w ustach, i zaczął grzebać po kieszeniach.

– Nie wiem. Musiałem zostawić dowód w domu...

– Chyba wiesz o tym, że nie wolno wychodzić na ulicę bez dokumentów?

– Tak, proszę pana. Ojciec zawsze mi o tym przypomina. Ale ja jestem okropnie zapominalski.

– Nie przejmuj się. Tak, zdążyłem zauważyć, że ma chyba z tobą kłopot. Ale postaraj się o tym pamiętać. Mówię to dla twojego dobra.

– Obiecuję, proszę pana.

Tramwaj pokonywał właśnie ostatnią część swojej trasy. Fernandito zobaczył kopułę hotelu La Rotonda i biały punkt migający w światłach tramwaju. Swoją vespę.

– A powiedz mi, Alberto, co robiłeś tu tak późną nocą?

– Byłem z wizytą u wuja. Lekarze mówią, że nie zostało mu wiele czasu.

Hendaya wyjął papierosa.

– Nie przeszkadza ci dym, prawda?

Fernandito pokręcił głową, uśmiechając się przymilnie. Hendaya zapalił. Żar zabarwił jego tęczówki na kolor płynnej miedzi. Fernandito poczuł, że te oczy wbijają mu się w mózg jak dwie igły. No powiedz coś.

– A pan? – wypalił. – Co pan tu robi o tej porze?

Hendaya powoli wypuścił z ust dym. Miał uśmiech szakala.

– Pracuję – odparł.

Ostatnie minuty drogi upłynęły im w milczeniu. Kiedy tramwaj się zatrzymał, Fernandito wstał, pożegnał Hendayę uprzejmie i przeszedł na tył tramwaju. Wsiadł i bez pośpiechu ruszył w kierunku swojej vespy. Ukląkł, żeby utworzyć kłódkę. Hendaya spoglądał na niego nieprzeniknionym wzrokiem z przystanku tramwajowego.

– Sądziłem, że pojedziesz do domu metrem – zauważył.

– Miałem na myśli to, że nie mieszkam daleko. Kilka stacji stąd.

Fernandito włożył kask, jak kazała mu Alicja, i zapiął pasek pod brodą. Bez paniki, powtarzał sobie. Złożył delikatnie nóżkę vespy i przeszedł spokojnie metr dzielący go od jezdni. Wtedy ujrzał przed sobą cień Hendai i poczuł na ramieniu jego dłoń. Odwrócił się. Policjant uśmiechał się do niego

pobłażliwie.

– No już. Zeskakuj ze skutera i oddaj mi kluczyki.

Fernandito nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że kiwa głową i trzęsącymi się dłońmi podaje kluczyki Hendai.

– A teraz tak sobie myślę, Alberto, że pójdziesz ze mną na komisariat.

9

Niewielkie mieszkanie nestora rodu Sempere mieściło się nad księgarnią, a jego okna wychodziły na ulicę Santa Ana. Jak pamięcią sięgnąć, rodzina zawsze mieszkała w tej kamienicy. Tu wychowywał się i dorastał Daniel, a po ślubie z Beą oboje wprowadzili się na poddasze. Wszyscy mieli nadzieję, że może i Julián zostanie tutaj. Sempere zwykli podróżować przez stronice książek, ale nie lubili przemieszczać się po mapie. Mieszkancko dziadka Sempere było skromne i odnosiło się wrażenie, że zaludniają je duchy przeszłości. Podobnie jak wiele innych na barcelońskiej starówce wydawało się nieco ponure, umeblowanie zaś pozwalało ulec złudzeniu, że dziewiętnasty wiek nie dobiegł jeszcze końca – takie sztuczki pomagały przyzwoitym ludziom uchronić się przed i tak lichymi pokusami teraźniejszości.

Rozglądając się po mieszkaniu, Alicja miała wciąż w pamięci niedawno przeczytany pamiętnik i niemal fizycznie czuła obecność Isabelli Gispert. Oczyma duszy widziała ją, jak stąpa po tej samej wyłożonej kafelkami podłodze, jak dzieli z mężem łóżko w maleńkiej sypialni, do której wchodziło się z korytarza. Zatrzymała się na chwilę przed niedomkniętymi drzwiami i wyobraziła sobie, jak rodzi w tym łóżku Daniela i jak, podstępnie otruta, umiera zaledwie cztery lata później.

– Proszę, wejdź dalej, Alicjo – odezwała się stojąca za jej plecami Bea, a potem zamknęła drzwi do sypialni.

Bea połączyła dwa stoły, które zajmowały teraz całą jadalnię, przy czym drugi wystawał nieco na korytarz, i jakimś cudem zmieściło się przy nich

jedenastu biesiadników zaproszonych na przyjęcie urodzinowe patriarchy. Daniel został jeszcze chwilę na dole, żeby zamknąć księgarnię, jego ojciec zaś, Julián i Bea weszli z Alicją na górę. Czekala tam na nich Bernarda, żona Fermina, która zdążyła już nakryć do stołu, a teraz odprawiała ostatnie magiczne formuły nad garnkiem, z którego unosił się iście niebiański aromat.

– Bernardo, to nasz gość, panna Alicja Gris.

Bernarda wytarła ręce w fartuch i przywitała się serdecznie.

– Wie pani może, gdzie też podziewa się Fermín? – zapytała Bea.

– Aj, pani Beo, mam już powyżej dziurek w nosie mojego męża i tych jego banialuk o winie musującym ze spienionego moczu. Przepraszam, panno Alicjo, ale małżonek należy do tych upartych jak stado osłów, a w dodatku bredzi jak nawiedzony. Ostrzegam, niech pani nie zwraca na niego uwagi.

– Jeśli jeszcze długo zabawi na mieście, będziemy wznosić toasty wodą z kranu – lamentowała Bea.

– W żadnym wypadku – oznajmił głos dochodzący z progu jadalni i wymawiający każde słowo z teatralną emfazą.

Właścicielem tego aksamitnego głosu okazał się inny mieszkaniec kamienicy i przyjaciel rodziny, niejaki don Anacleto, profesor gimnazjum i, jak zaznaczyła Bea, w wolnych chwilach poeta. Don Anacleto złożył na dłoni Alicji ceremonialny pocałunek, który wydałby się staroświecki nawet na dworze Wilhelma II Hohenzollerna.

– Ściele się do nówek pięknej nieznajomej.

– Don Anacleto, proszę nie wprawiać moich gości w zakłopotanie. – Bea w roli gospodyni była niezwykle stanowcza. – Wspomniał pan, że przyniósł pan coś do picia?

Don Anacleto podał jej dwie butelki owinięte w szary papier.

– Przezorny zawsze ubezpieczony – oświadczył z dumą. – Doszły mnie słuchy o pewnych animozjach między naszym drogim Ferminem a właścicielem sklepu kolonialnego i akolitą faszyzmu w jego najbardziej ohydnej postaci, postanowiłem więc przyjść, zaopatrzwszy się wcześniej w dwie butelczyny Anís del Simio, żeby w razie potrzeby zapobiec chwilowemu niedostatkowi napojów wysokoprocentowych.

– Chrześcijanie nie wnoszą toastów likierem anyżowym – zaproponowała

Bernarda.

Don Anacleto, który nie mógł oderwać wzroku od Alicji, uśmiechnął się z pobłażaniem jak człowiek światowy, który sądzi, że tylko prowincjusze hołdują podobnym przesądom.

– W takim razie wzniesiemy toast pogański, przy odrobinie szczęścia pod czujnym okiem Wenus – odciął się, puszczając oko do Alicji. – Ale niech mi pani, młoda damo o cudnej powierzchowności, uczyni ten honor i usiądzie obok mnie.

Bea zdecydowanie popchnęła go ku zupełnie innej części stołu, ratując Alicję z opresji.

– Don Anacleto, niech pan przejdzie dalej i nie naprzykrza się Alicji swoją elokwencją – poprosiła. – Pan usiądzie o tutaj, w głębi. I proszę się zachowywać przyzwoicie i dawać dobry przykład Julianowi, a nie rozrabiać jak pijany zając.

Don Anacleto rozłożył ręce i zrezygnowany przystąpił do winszowania solenizantowi, gdy tymczasem w drzwiach pojawiła się para kolejnych gości. Do pokoju wszedł elegancki i wyperfumowany, wystrojony w garnitur dżentelmen i prezentując nienaganne maniery, przedstawił się jako don Federico Flaviá, zegarmistrz prowadzący w okolicy swój zakład.

– Ma pani przepiękne buty – powiedział. – Zdradzi mi pani, gdzie je pani kupiła?

– W sklepie Calzados Summun, przy Paseo de Gracia – odparła Alicja.

– Oczywiście, jakżeby inaczej. A teraz proszę mi wybaczyć, chciałbym złożyć życzenia naszemu drogiemu przyjacielowi.

Federicowi towarzyszyła młoda dziewczyna, roześmiana trzpiotka o imieniu Merceditas, która w sposób oczywisty i ewidentnie niewinny była po uszy zakochana w eleganckim zegarmistrzu. Przedstawiona Alicji otaksowała ją od stóp do głów pełnym niepokoju spojrzeniem, a potem, wygłosiwszy mnóstwo komplementów na temat jej urody i szyku, podbiegła do Federica, starając się utrzymać go od pięknej nieznajomej tak daleko, jak tylko było to możliwe w niewielkim pomieszczeniu. W końcu do jadalni wszedł Daniel, który musiał przeciskać się przez tłum gości, wykonując serię iście ekwilibrystycznych manewrów. Jako ostatnia pojawiła się dziewczyna

najwyżej dwudziestoletnia, promieniująca godnym pozazdrozczenia pięknem wczesnej młodości.

– To Sofía, kuzynka Daniela – przedstawiła ją Bea.

– *Piacere, signorina* – powiedziała panienka.

– Po hiszpańsku, Sofío – pospieszyła z napomnieniem Bea.

I wyjaśniła Alicji, że dziewczyna pochodzi z Neapolu i zatrzymała się u nich na czas studiów na barcelońskim uniwersytecie.

– Sofía jest cioteczną siostrą Daniela ze strony matki, która zmarła dawno temu – szeptała Bea, starannie unikając jakiegokolwiek bezpośredniej wzmianki o Isabelli.

Uwagi Alicji nie uszło, że starszy Sempere przytulał dziewczynę z bezbrzeżną czułością i melancholią. Szybko zlokalizowała ustawione w przeszklonej szafie w jadalni ślubne zdjęcie rodziców Daniela, na którym Isabella obejmowała o milion lat młodszego pana Sempere. Sofía była podobna do Isabelli jak dwie krople wody. Sempere patrzył na nią z takim uwielbieniem i smutkiem jednocześnie, że Alicja musiała odwrócić oczy. Bea, która zdała sobie sprawę, że Alicja w mig zorientowała się w sytuacji, szepnęła jej na ucho:

– To dla niego bardzo trudne. Dobra z niej dziewczyna, ale nie mogę się już doczekać, kiedy wróci do Neapolu.

Alicja pokiwała tylko głową.

– Niech państwo siadają do stołu – zarządziła z kuchni Bernarda. – Sofío, kochana, chodź tu trochę mi pomóc, potrzebuję iskiej młodości.

– A co z tortem, Danielu? – zapytała Bea.

Jej mąż złapał się za głowę i westchnął ciężko.

– Na śmierć zapomniałem. Zaraz po niego skoczę.

Alicja zauważyła, że don Anacleto próbuje chyłkiem się do niej precyzyjnie, i szybko obmyśliła odpowiedź na tę przemyślną strategię. Kiedy Daniel skierował się ku drzwiom, natychmiast ruszyła za nim.

– Pójdę z panem. Przyszłam z pustymi rękoma, to przynajmniej zafunduję tort.

– Ale...

– Nie ma żadnych ale.

Bea patrzyła, jak znikają w drzwiach, i ściągnęła brwi.

– Wszystko w porządku? – zapytała Bernarda.

– Oczywiście.

– Na pewno jest święta i w ogóle – wymamrotała Bernarda – ale nie ma mowy, żeby siedziała obok mojego Fermina. I jeśli mogę coś powiedzieć, obok Danielita, mimo że jest aniołkiem, też nie.

– Niech pani nie opowiada głupstw, Bernardo. Gdzieś ją przecież musimy posadzić.

– Już ja wiem, co mówię.

Schodzili po schodach w milczeniu. Idący przodem Daniel otworzył przed Alicją drzwi.

– Cukiernia jest niedaleko, na rogu – powiedział, chociaż Alicja sama zdążyła zauważyć świecący neon.

Kiedy weszli do środka, właścicielka wzniosła ręce ku niebu i zawołała z wyraźną ulgą:

– Już myślałam, że nie przyjdiesz i będziemy musiały zjeść tort same.

I zamilkła na widok Alicji.

– Słucham panią?

– Jesteśmy razem – wyjaśniła Alicja.

Właścicielka uniosła brwi do połowy czoła i obrzuciła Alicję podejrzliwym spojrzeniem. Dwie asystentki, nie chcąc przepuścić okazji do nowych plotek, wychyliły się zza lady.

– Niezły numer z tego Daniela – wymamrotała jedna z nich. – A takie zgrywał niewiniątko.

– Glorio, zamknij buzię z łaski swojej i przynieś tort pana Sempere – ucięła szefowa, dając do zrozumienia, że nawet w dziedzinie myślenia źle o bliźnich w jej zakładzie obowiązuje sztywna hierarchia.

Druga asystentka, o kociej twarzy i pulchnej budowie ciała będącej prawdopodobnie skutkiem nadmiernego spożycia ciasteczek i kremów, obserwowała klientkę z przyjemnością i delectowała się irytacją szefowej.

– Feliso, a ty nie masz nic lepszego do roboty? – zapytała właścicielka.

– Nie mam.

Daniel był już czerwony jak dojrzała porzeczka i marzył, by jak najprędzej opuścić cukiernię, wszystko jedno z tortem czy bez. Kobiety za ladą tymczasem świdrowały to jego, to Alicję spojrzeniami, których żar wystarczyłby do usmażenia pączków. Gloria wyszła w końcu z zaplecza z tortem, który wygrałby każdy konkurs, i trzy ciastkarskie gracje starannie zabezpieczyły go kartonami, po czym włożyły do dużego różowego pudła.

– Bita śmietana, truskawki i mnóstwo czekolady – powiedziała właścicielka. – Świeczki włożyłam do środka.

– Mój ojciec uwielbia czekoladę – poczuł się w obowiązku wyjaśnić Daniel.

– Ostrożnie z czekoladą, Danielu, bo strasznie się od niej czerwienią policzki – nie wytrzymała złośliwa Gloria.

– I dodaje wigoru – dołożyła Felisa.

– Ile płacę? – zapytał Daniel.

Alicja uprzedziła go i położyła na ladzie dwudziestopięciopesetowy banknot.

– I jeszcze funduje... – szepnęła Gloria.

Szefowa flegmatycznie, moneta po monecie, wydała Alicji resztę. Daniel wziął pudło z tortem i ruszył ku drzwiom.

– Pozdrowienia dla Bei – rzuciła za nim Gloria.

Trzy pary oczu wbiły się w ich plecy jak widelczyki w tort, a paskudne chichoty cukierniczek rozbrzmiewały jeszcze długo po tym, jak wyszli na ulicę.

– Jutro będzie pani sławna na całą dzielnicę – przepowiedział Daniel.

– Mam nadzieję, że nie wpakowałam pana w kłopoty.

– Nie ma sprawy. Jeśli chodzi o pakowanie się w kłopoty, doskonale radzę sobie sam. Proszę nie zwracać uwagi na te trzy meduzy, Fermín twierdzi, że bita śmietana uderzyła im do głowy.

Tym razem Daniel przepuścił ją na schodach i pozwolił, by dotarła na półpiętro. Dopiero potem ruszył pod górę. Nie miał najwyraźniej ochoty iść

przez dwa piętra, obserwując kołysanie jej bioder.

Nadejście tortu przyjęto aplauzem i wiwatami godnymi wygranej w zawodach sportowych. Daniel uniósł różowe pudło niczym puchar, a potem zabrał je do kuchni. Alicja zorientowała się, że Bea przydzieliła jej miejsce między Sofią a małym Julianem, który siedział z kolei obok dziadka. Usiadła tam potulnie, świadoma, że konkurencja spogląda na nią spode łba. Daniel, wróciwszy z kuchni, usiadł po drugiej stronie stołu, obok żony.

– Mam nalewać zupę czy zaczekamy na Fermina? – zapytała Bernarda.

– Nie ma co czekać na bohaterów, kiedy zupa stygnie – odrzekł don Anacleto.

Bernarda zaczęła napełniać głębokie talerze, a wtedy za drzwiami rozległ się rumor i brzęk szkła. Chwilę później w progu stanął Fermín, dzierżąc w każdej ręce po dwie butelki szampana, które chyba tylko cudem przetrwały transport.

– Ferminie, z pańskiej winy musieliśmy się obejść najzwyklejszym muszkatem... – narzekał don Anacleto.

– Wypijcie, szanowni goście, podły trunek, co wasze kielichy hańbi, gdyż za chwilę spróbujecie szczytowego osiągnięcia sztuki winiarskiej, które najpierw zachwyci was bukietem, a finisz sprawi, iż będziecie sikać kwiatowym nektarem – zapewnił Fermín.

– Ferminie! – zganiła go Bernarda. – Uważaj, co mówisz!

– Ależ pączuszkę lilii, na tym łez padole siusianie jest równie naturalne i przyjemne, jak...

Elokwencja i swada Fermina ulotniły się nagle bez śladu. Zamarł w bezruchu, wpatrując się w Alicję, jakby zobaczył zjawę z zaświatów. Daniel pociągnął go za rękaw i niemal siłą posadził na krześle.

– No to jedzmy – zasugerował jubilat, któremu również nie umknęło dziwne zachowanie Fermina.

Wkrótce kolacja zmieniła się w klasyczny spektakl szczękających sztućców, śmiechów, żarcików i pobrzękujących kieliszków. Jedynie Fermín, który z pustą łyżką w ręku nie odrywał wzroku od Alicji, milczał jak grób. Alicja udawała, że nie zwraca na to uwagi, ale nawet Bea czuła się stropiona sytuacją. Daniel wymierzył przyjacielowi solidnego kuksańca w bok i zaczął

szeptać mu coś do ucha. Fermín skosztował zupy, ale cały czas sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Najwyraźniej zacięcie krasomówcze doradcy bibliograficznego księgarni Sempere i Synowie w obecności Alicji mocno ucierpiało. Szczęśliwym zrzędzeniem losu don Anacleto, rozochocony szampanem, przeżywał właśnie drugą młodość i uraczył wszystkich zwyczajową analizą sytuacji politycznej w kraju.

Szacowny profesor postrzegał samego siebie jako duchowego spadkobiercę niosącego wieczny płomień myśli don Miguela de Unamuno. Przypominał zresztą filozofa z wyglądu i tak jak on pochodził z Salamanki, gdzie od wielu pokoleń żyła jego rodzina. Teraz roztoczył, jak to miał w zwyczaju, apokaliptyczną wizję rychłego zatonięcia Półwyspu Iberyjskiego w oceanach najczarniejszego ostracyzmu. Fermín dla sportu i czystej przyjemności lubił być przeciwnego zdania i sabotować improwizowane wykłady, posyłając zatrute strzały typu: „W danym społeczeństwie współczynnik podatności na manipulację jest odwrotnie proporcjonalny do intelektualnej sprawności tegoż społeczeństwa, kiedy przemawia się tylko po to, żeby słuchać własnego głosu, myśli się niewiele, a robi się jeszcze mniej”. Tym razem, markotny i milczący, nie zabierał głosu, chociaż profesor próbował go sprowokować.

– Władcy tego kraju nie wiedzą już, w jaki sposób wyprać mózgi swoim podwładnym. Nie sądzi pan, panie Ferminie?

On tylko obojętnie wzruszył ramionami.

– Nie wiem, po co zadają sobie tyle trudu. W większości przypadków nie trzeba nic prac, wystarczy lekkie płużkanie.

– Anarchista się odezwał – obruszyła się Merceditas.

Don Anacleto uśmiechnął się z zadowoleniem, gdyż dolewanie oliwy do ognia należało do jego ulubionych zajęć. Fermín westchnął ciężko.

– Merceditas, ponieważ doszły mnie słuchy, że zaczyna pani lekturę codziennej gazety od horoskopu i na tym pani ją kończy, a dziś obchodzimy rocznicę owego pamiętnego ustawienia gwiazd i planet, pod którym na świat przyszedł nasz drogi nestor rodu...

– Ferminie, czy mógłby pan podać mi chleb? – przerwała mu zapobiegawczo Bea.

Fermín podał pieczywo i zdecydował się na odwrót. Zapadło kłopotliwe

milczenie, które przerwał w końcu don Federico, zegarmistrz.

– A czym pani się zajmuje, pani Alicjo?

Merceditas, która nie do końca rozumiała, dlaczego wszyscy traktują niespodziewanego gościa z taką atencją, postanowiła wtrącić swoje trzy grosze.

– A czemu kobieta powinna mieć zawód? Nie wystarczy, że będzie dbała o dom, o męża i dzieci, tak jak nauczyli nas rodzice?

Fermín miał coś odpowiedzieć, ale Bernarda delikatnie położyła mu dłoń na nadgarstku, więc ugryzł się w język.

– No tak, ale jeśli dobrze zrozumiałem, panna Alicja nie jest mężatką. Mam rację? – upierał się don Federico.

Alicja przytaknęła.

– A ma pani chociaż narzeczonego? – zapytał don Anacleto z niepokojem.

Alicja uśmiechnęła się skromnie i zaprzeczyła.

– To już koniec świata! Niezbity dowód na to, że w tym kraju nie ma wartościowych mężczyzn. Gdybym ja miał dwadzieścia lat mniej... – rozmarzył się don Anacleto.

– Chciał pan chyba powiedzieć pięćdziesiąt – poprawił go Fermín.

– Prawdziwa męskość kpi sobie z wieku. – Don Anacleto się nie poddawał.

– Nie mieszajmy epiki z urologią.

– Ferminie, przy stole są dzieci – zauważył starszy Sempere.

– Jeśli ma pan na myśli Merceditas...

– Powinien pan wyczyścić sobie usta bielinką i myśli też, inaczej skończy pan w piekle – zawyrokowała Merceditas.

– Pomyśleć tylko, ile zaoszczędzę na ogrzewaniu.

Don Federico uniósł ręce, żeby uciszyć sprzeczkę.

– Przestańcie. Nie dopuszczacie naszego gościa do głosu.

Biesiadnicy zamilkli, wszystkie oczy spoczęły na Alicji.

Wiedziała, że trudno jej będzie udzielić wymijającej odpowiedzi.

– Prawda jest taka, że dziś byłam w pracy ostatni raz. I nie mam pojęcia, co będę teraz robić.

– Ale pewnie już o czymś pani myślała – nalegał starszy Sempere.

Spuściła wzrok.

– Chciałabym pisać. A przynajmniej spróbować.

– Bravo! – ucieszył się księgarz. – Będzie pani naszą nową Laforet.

– Niech pan raczej powie naszą Pardo Bazán – wtrącił don Anacleto, który podzielał nader popularną w Hiszpanii opinię, że żyjący literat, z wyjątkiem może tych, którzy są już jedną nogą na tamtym świecie, nie zasługuje na szacunek. – Zgodzi się pan ze mną, Ferminie?

Fermín rozejrzał się po pokoju, a potem utkwiał spojrzenie w Alicji.

– Może bym się i zgodził, drogi przyjacielu, gdyby nie to, że Pardo Bazán, przeglądając się w lustrze, widziała coś w rodzaju basseta, natomiast obecna tu panna Gris przypomina mi raczej istotę z mroku i cienia, i nie do końca jestem pewien, czy w ogóle odbija się w lustrze.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– A to co ma właściwie znaczyć, panie mądraliński? – zapytała Mercedesitas.

Daniel chwycił Fermina za ramię i poprowadził go do kuchni.

– Znaczy to tyle, że gdyby mężczyźni mieli mózgi tak duże jak gęby, żeby nie wymienić innej części ciała, świat ten urządzony byłby zupełnie inaczej – zawyrokowała Sofía, która dotąd wydawała się bujać w obłokach, czyli przebywać w miejscu, do którego dostęp mają tylko ludzie bardzo młodzi bądź natchnieni.

Pan Sempere odwrócił wzrok ku siostrzenicy, którą los – nieważne, czy na szczęście, czy na nieszczęście – zesłał mu na pamiątkę złotych lat, i jak tyle razy wcześniej zdało mu się, że widzi i słyszy Isabellę zza oceanu czasu.

– To tego teraz uczą na wydziale literatury? – oburzył się don Anacleto.

Sofía wzruszyła ramionami i znów zatopiła się we własnych myślach.

– Boże, miej nas w swojej opiece. Co za świat nas czeka... – westchnął profesor.

– Proszę nie przesadzać, don Anacleto. Świat jest i był zawsze taki sam – uspokoił go dziadek Sempere. – I prawda jest taka, że nie czeka na nikogo

i buntuje się przeciw jakimkolwiek próbom zmiany. Może wzniesiemy toast za przeszłość i za przyszłość, i za nas, którym przyszło żyć pomiędzy nimi.

Mały Julián zareagował na propozycję z entuzjazmem, wznosząc swój kubek mleka.

Tymczasem Daniel zamknął się z Ferminem w kuchni, z daleka od oczu i uszu gości.

– Mogę wiedzieć, co pana dziś ugryzło, Ferminie? Bo musiał to być owad wielkości co najmniej arbuza.

– Ta kobieta nie jest tym, za kogo się podaje, Danielu. W tym tkwi jakiś podstęp.

– A kim jest, jeśli można wiedzieć?

– Nie mam pojęcia, ale zamierzam dowiedzieć się, jaką to mętną intrygę uknuła. Czuję to tak wyraźnie, jak tanie perfumy Merceditas, która wylała chyba na siebie pół flakonika, myśląc, że zmąci w głowie zegarmistrzowi na tyle, że zaczną mu się wreszcie podobać kobiety.

– A jak ma pan zamiar to sprawdzić?

– Z pańską pomocą.

– Mowy nie ma. Mnie proszę w to nie mieszać.

– Niech pan się nie da omotać tym jej wampirzym urokiem. To zwykła żmija, jakem Fermín!

– Przypominam panu, że ta żmija jest honorowym gościem mojego ojca.

– No tak. A zastanowił się pan chwilę, w jaki sposób doszło do tego cudownego zbiegu okoliczności?

– Nie. I nie mam zamiaru. Zbiegów okoliczności się nie kwestionuje.

– Co przez pana przemawia? Niezbyt lotny umysł? Czy raczej nastoletnie hormony?

– Zdrowy rozsądek, którego pana pozbawiono chyba tego samego dnia, co poczucia wstydu.

Fermín roześmiał się złośliwie.

– Majstersztyk – uznał. – Uwiodła ojca i syna naraz, a tego ostatniego w obecności jego własnej pięknej żony.

– Niech pan przestanie gadać głupoty. Jeszcze nas usłyszają.

– Niech usłyszają! – Fermín podniósł głos. – Mam zamiar mówić jasno i wyraźnie.

– Ferminie, błagam pana. Proszę nie psuć urodzin ojca.

Fermín uniósł brwi i zacisnął usta.

– Pod jednym warunkiem.

– Dobrze. Jakim?

– Że pomoże mi pan ją zdemaskować.

Daniel westchnął i pokręcił głową.

– A jak pan to robi? Siłą wierszy pisanych aleksandrynem?

Fermín ściszył głos.

– Mam pewien plan...

Wierny obietnicy Fermín przez resztę kolacji zachowywał się przykładnie. Śmiał się z dowcipów don Anacleto, odnosił się do Merceditas z takim szacunkiem, jakby rozmawiał z madame Curie, i od czasu do czasu posyłał Alicji spojrzenia zauroczonego ministranta. Kiedy nadeszła chwila na urodzinowy toast i tort, wygłosił płomienną, przygotowaną wcześniej przemowę na cześć solenizanta, która wzbudziła aplauz zgromadzonych. Pan Sempere wstał i serdecznie go przytulił.

– Mam nadzieję, że wnuk pomoże mi zdmuchnąć świece, prawda, Julianie? – zapytał księgarz.

Bea pogasiła światła i na chwilę wszyscy znaleźli się w migoczącej poświacie świec.

– Niech pan pomyśli jakieś życzenie, przyjacielu – przypomniał don Anacleto. – Najlepiej, gdyby była to pulchniutka, tryskająca energią wdówka.

Bernarda niepostrzeżenie zabrała kieliszek szampana sprzed nosa szacownego belfra i zastąpiła go szklanką wody mineralnej, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia z Beą, którą pokiwała głową z aprobatą.

Alicja przyglądała się całej scenie jak urzeczona. Starła się być uprzejma, udawała spokój, ale serce waliło jej jak młotem. Nigdy nie była na podobnym przyjęciu. Wszystkie swoje urodziny obchodziła albo z Leandrem, albo

zupełnie sama, najczęściej w kinie, tym samym, w którym chroniła się zawsze w sylwestrową noc i rok w rok przeklinała upór, z jakim dziesięć minut przed północą przerywano film i zapalano wszystkie światła, wydobywając z mroku prawie pustą salę i te sześć czy siedem samotnych dusz. Nikt nigdzie na nie nie czekał, a w dodatku przypominano im o tym w tak upokarzający sposób. To poczucie przynależności, bliskości i zrozumienia, potężniejsze niż złośliwe żarty i słowne utarczki, było jej zupełnie obce. Julián chwycił ją pod stołem za rękę i ścisnął mocno. Gdyby nie chłopiec, chyba wybuchnęłaby płaczem.

Po toastach, gdy Bernarda proponowała kawę lub herbatę, a don Anacleto zaczął rozdawać cygara, Alicja wstała. Wszyscy popatrzyli na nią z zaskoczeniem.

– Chciałabym wam podziękować za to, że jesteście tacy mili i gościnni. W szczególności panu, panie Sempere. Mój ojciec darzył pana ogromnym szacunkiem i z pewnością byłby szczęśliwy, wiedząc, że mogłam z wami dzielić tak szczególny wieczór. Bardzo dziękuję.

Spoglądali na nią jakby ze współczuciem, a może ona widziała w ich oczach to, co sama czuła. Ucałowała małego Juliana i skierowała się ku drzwiom. Bea wstała od stołu i chciała pójść za nią.

– Odprowadzę panią.

– Nie, proszę się nie fatygować i zostać z rodziną.

Na odchodnym przystanąła jeszcze przed oszkloną szafą i rzuciła ostatnie spojrzenie na fotografię Isabelli. Westchnęła głęboko i ruszyła schodami w dół. Musiała opuścić to miejsce, zanim zacznie wierzyć, że mogłaby poczuć się tu jak w domu.

Odejście Alicji wywołało wśród gości morze pomruków. Dziadek Sempere posadził sobie Juliana na kolanach i spojrzał na niego uważnie.

– Czyżbyś już się zakochał? – spytał.

– Sądzę, że najwyższy czas, żeby nasz mały Casanova położył się spać – stwierdziła Bea.

– A ja pójdę za jego przykładem – oświadczył don Anacleto, wstając od stołu. – Wy, młodzi, możecie sobie jeszcze pobalować, bo życie jest krótkie...

Daniel już miał odetchnąć z ulgą, kiedy Fermín chwycił go za ramię i podniósł się z krzesła.

– Panie Danielu, skoczmy jeszcze po te pudła z piwnicy. Zupełnie o nich zapomnieliśmy.

– Jakie pudła?

– No tamte.

Obaj przemknęli się do drzwi pod na pół zdumionym, na pół sennym spojrzeniem starego księgarza, który stwierdził:

– Coraz mniej rozumiem tę rodzinę.

– A już myślałam, że jestem jedyna – mruknęła Sofía.

Wyszli z budynku. Fermín rozejrzał się po ulicy Santa Ana, niebieskiej w świetle latarni, i dał Danielowi znak, żeby ruszył za nim.

– Dokąd się pan wybiera o tej porze?

– Na polowanie. Na wampirzycę – odrzekł Fermín.

– Nie ma mowy.

– Niech się pan nie ociąga, bo nam zwieje...

Nie czekając na odpowiedź, Fermín ruszył w kierunku skrzyżowania z Puerta del Ángel. Stał pod markizą Casa Jorba i rozejrzał się w ciemnościach. Niskie chmury płynęły ponad dachami. Daniel dołączył do niego.

– Tu ją mamy, idzie, podstępna jak wąż w raju.

– Błagam, Ferminie, niech mi pan tego nie robi.

– Proszę posłuchać, ja dotrzymałem obietnicy. A pan? Jest pan człowiekiem słownym czy zwykłym pantoflarzem?

Daniel przeklął swój los i obaj, starzy detektywi amatorzy, ruszyli śladem Alicji Gris.

Podążali za nią, mijając kolejne portale i markizy, i w końcu znaleźli się na Avenida de la Catedral. Wojenne bombardowania starły w proch i pył stojące wokół budynki i przed katedrą powstało coś w rodzaju ryneczku. Płynne światło księżycy skapywało na bruk, a sylwetka Alicji kreśliła w powietrzu ciemną smugę.

– Zauważył pan? – wyszeptał Fermín, kiedy patrzyli, jak kieruje się w stronę ulicy de la Paja.

– Co niby miałem zauważyć?

– Że jesteśmy śledzeni.

Daniel odwrócił się i wpatrzył w srebrzysty półmrok spowijający ulicę.

– Obok wejścia do sklepu z zabawkami. Widzi pan?

– Nic nie widzę.

– Żar papierosa.

– I co z tego?

– Idzie za nami od samego początku.

– A po co miałyby nas śledzić?

– Może nie śledzi wcale nas. Może chodzi mu o nią.

– Ta cała historia zaczyna mieć coraz mniej sensu, Ferminie.

– Wręcz przeciwnie. Jest dla mnie coraz bardziej jasne, że coś tu śmierdzi. I to bardzo.

Szli za Alicją ulicą Baños Nuevos, wąską doliną wijącą się pomiędzy wiekowymi budynkami zdającymi się spotykać w objęciach ciemności.

– Dokąd ona idzie? – mruknął Daniel.

Na odpowiedź nie musieli długo czekać. Alicja zatrzymała się przed wejściem do kamienicy naprzeciwko Gran Café, przy ulicy Aviñón. Zobaczyli, jak wchodzi do środka, sami zaś poszli kilka numerów dalej i przystanęli pod jednym z portali.

– I co teraz?

Zamiast odpowiedzi Fermín wskazał na sklep La Manual Alpargatera. Daniel musiał przyznać, że jego przyjaciel ma rację. Ktoś ich śledził, ich albo Alicję. W podcieniach budynku kryła się drobna postać okutana w płaszcz, na

głowie miała melonik, który sprawiał wrażenie zakupionego na targu staroci.

– Przynajmniej nie wygląda na specjalnie silnego – ocenił Fermín.

– A co to ma do rzeczy?

– Zawsze to lepiej na wypadek, gdyby musiał się pan z nim bić.

– Rzeczywiście, na to nie wpadłem. A dlaczego niby to ja miałbym się bić?

– Bo jest pan młodszy, a w takich sytuacjach liczy się brutalna siła. Mój wkład to wizja strategiczna.

– Nie mam zamiaru wdawać się z nikim w bójki.

– Nie wiem, czemu się pan tak kryguje, panie Danielu. W końcu udowodnił już pan swoją odwagę w utarczkach siłowych, kiedy w hotelu Ritz sprął pan na kwaśne jabłko tego kretyna Cascosa Buendíę. Nie sądzi pan chyba, że o tym zapomniałem.

– To nie był najlepszy moment w moim życiu – westchnął Daniel.

– Nie ma pan czego żałować. Przypomnę tylko, że ta świnia przysyłała pańskiej żonie listy miłosne, próbując ją uwieść z polecenia tej nędznej pijawki Vallsa. Tak, tak, tej samej kreatury, której każdy krok śledzi pan w czytelnicy czasopism od zeszłej wiosny. Naprawdę myślał pan, że tego nie zauważę?

Daniel przygnębiony spuścił wzrok.

– Jest jakaś tajemnica, której by pan nie przejrzał?

– Owszem. Nie zastanawiał się pan, dlaczego ostatnimi czasy Valls nigdzie się nie pojawia?

– Myślę o tym codziennie – przyznał Daniel.

– A o tym, co się stało z łupem, który Salgado ukrył na Dworcu Północnym?

Daniel pokiwał głową.

– A któż może mieć pewność, że ta oto ptaszyna nie pracuje dla Vallsa?

Daniel przymknął oczy.

– No dobrze, Ferminie. Wygrał pan. Co robimy?

Dotarłszy pod własne drzwi, Alicja zobaczyła, że przez szparę pod nimi sączy się światło, a w powietrzu poczuła zapach papierosów Vargasa. Weszła

do środka bez słowa, zostawiła płaszcz i torebkę na stole w jadalni. Vargas palił w milczeniu, zwrócony twarzą do okna i plecami do wejścia. Alicja nalała sobie kieliszek białego wina i usiadła na kanapie. Pod jej nieobecność Vargas wyjął spod kanapy pudło z dokumentami skradzionymi z magazynu adwokata Briansa. Notatnik Isabelli Gispert leżał na stole.

– Gdzie się pan podziewał przez cały dzień? – zapytała w końcu Alicja.

– Włóczyłem się po mieście. Próbowałem zebrać myśli.

– I udało się panu?

Odwrócił się i spojrzał na nią z miną pełną obaw.

– Wybacz mi pani, że opowiedziałem wszystko Leandrowi?

Alicja upiła łyk wina i wzruszyła ramionami.

– Jeśli szuka pan spowiednika, to idąc w stronę Rambli, natknie się pan na kościół. Księża siedzą tam w konfesjonałach chyba do północy.

Vargas spuścił wzrok.

– Wydawało mi się, że Leandro wiedział już większość rzeczy, które mu powiedziałem. Szukał tylko potwierdzenia. Może będzie to dla pani pocieszeniem.

– Z Leandrem zawsze tak jest. Nigdy nic przed nim nie odkrywasz, najwyżej wyjaśniasz jakiś szczegół.

Vargas westchnął i po chwili milczenia kontynuował.

– Nie miałem wyboru. On coś przeczuwał. Gdybym nie powiedział mu o tym, co ustaliliśmy, wpędziłbym panią w kłopoty.

– Nie musi się pan przede mną tłumaczyć. Co się stało, to się nie odstanie.

Cisza stawała się coraz trudniejsza do zniesienia.

– A Fernandito? – zapytała Alicja. – Nie wrócił jeszcze?

– Myślałem, że jest z panią.

– Vargas, czego jeszcze mi pan nie powiedział?

– Sanchís...

– No, niechże pan to z siebie wydusi.

– Nie żyje. Zmarł na zawał serca, kiedy przewozili go z komendy do szpitala Clínico. Tak mówi raport.

– Skurwysyny... – wyszeptała Alicja.

Policjant opadł na kanapę obok niej. Spojrzeli po sobie w milczeniu. Alicja napełniła swój kieliszek i podała go Vargasowi. On opróżnił go jednym haustem.

– Kiedy wraca pan do Madrytu?

– Dali mi pięć dni urlopu. I pięć tysięcy peset premii.

– Gratulacje! Może chce pan, żebyśmy odbyli pielgrzymkę dziękczynną do Montserrat? Ten, co nie widział La Morenety, nie ma pojęcia, co stracił.

Vargas uśmiechnął się smutno.

– Chociaż pewnie pani w to nie uwierzy, będę za panią tęsknił, Alicjo.

– Oczywiście, że w to wierzę. Ale proszę sobie nie robić nadziei, ja za panem nie.

Vargas pokręcił głową.

– A co pani dziś robiła?

– Złożyłam wizytę rodzinie Sempere.

– Z jakiej okazji?

– Urodzinowego przyjęcia. To długa historia.

Vargas przytaknął, jakby to, co mówiła, miało jakikolwiek sens. Alicja wskazała notatnik Isabelli.

– Czytał go pan, czekając na mnie?

Vargas potwierdził.

– Isabella Gispert zmarła, wiedząc, że ten sukinsyn Valls ją otruł – powiedziała Alicja.

Uniósł dłonie do czoła i odgarnął sobie włosy. Miało się wrażenie, że każdy przeżyty rok ciąży mu jak nigdy wcześniej.

– Jestem zmęczony – wymamrotał w końcu. – Zmęczony całym tym gównem.

– Może powinien pan wrócić do domu – zasugerowała Alicja. – Dać im tę satysfakcję. Niech pan przejdzie na emeryturę, zagrzebie się w swojej posiadłości w Toledo, żeby czytać Lopego de Vegę. Nie taki był plan?

– Mam zrobić tak jak pani? Życ z literatury?

– Pół tego kraju żyje fikcją. Dwie osoby w tę czy tamtą stronę...

– A jak rodzina Sempere? – chciał wiedzieć Vargas.

– Dobrzy ludzie.

– Tak. A pani, zdaje się, nie jest przyzwyczajona.

– To prawda.

– Też mi się to wcześniej zdarzało. Przejdzie. Co zamierza pani zrobić z notatnikiem Isabelli? Da im go pani?

– Nie wiem – westchnęła Alicja. – Co by pan zrobił na moim miejscu?

Vargas zastanowił się chwilę.

– Zniszczyłbym go – zdecydował. – Poznanie prawdy nikomu nie wyjdzie na dobre. A może narazić rodzinę na niebezpieczeństwo.

Alicja pokiwała głową.

– Chyba że...

– Niech pani dobrze się zastanowi, zanim to pani powie, Alicjo.

– Myślę, że już podjęłam decyzję.

– Sądziłem, że rzucimy wszystko w diabły i będziemy szczęśliwi.

– Pan i ja i tak nigdy nie będziemy szczęśliwi.

– Jeśli tak stawia pani sprawę, któż śmiałby zaprzeczyć?

– Nie musi pan mi pomagać. To mój problem.

Vargas uśmiechnął się do niej.

– Pani jest moim problemem, Alicjo. Albo moim wybawieniem. I proszę się ze mnie nie śmiać.

– Nigdy nikogo przed niczym nie ocaliłam.

– Kiedyś musi być pierwszy raz.

Policjant wstał i podał Alicji płaszcz.

– No to co? Zmarnujemy sobie życie raz a dobrze czy strawimy najpierw całe lata, żeby pani odkryła w końcu, że nie ma talentu literackiego, a ja, że Lopego de Vegę lepiej oglądać na scenie?

Alicja włożyła płaszcz.

- Od czego zaczniemy? – zapytał Vargas.
- Od wejścia do labiryntu.

Daniel trząśł się cały z zimna i ze zdumieniem zauważył, że Fermín, chudy przecież jak szczapa, sama skóra i kości bez milimetra podściółki tłuszczowej, wydawał się zupełnie nieczuły na kaprysy pogody, co więcej, nucił pod nosem jakieś karaibskie melodie, kołysząc przy tym biodrami w niezdarnej imitacji tańca tropikalnego.

– Nie rozumiem, jak pan jeszcze nie zamarzył, Ferminie. Jest tak zimno, że się wszystkiego odechciewa.

Fermín rozpiął dwa guziki i pokazał mu warstwę izolacyjną gazetowego papieru.

– Nauka stosowana – wyjaśnił. – Ponadto w takich momentach przypominam sobie swoją Mulatkę z Hawany, w której kochałem się za młodu. Ta mentalna operacja nosi nazwę Zatoki Świntuchów, rozumie pan.

– Matko Boska...

Daniel już miał zamiar wejść do Gran Café i zamówić wielką filiżankę kawy z mlekiem i odrobiną koniaku, kiedy usłyszeli odgłosy z klatki schodowej i po chwili w drzwiach ukazała się Alicja w towarzystwie dobrze zbudowanego człowieka sprawiającego wrażenie funkcjonariusza służb mundurowych.

– No i widzi pan, jakiego Tarzana przygruchała sobie nasza gołąbeczka? – zauważył Fermín.

– Niech pan tak o niej nie mówi. Ma na imię Alicja.

– Ciekawe, czy uda się panu kiedyś wyrosnąć z okresu dojrzewania. Najwyższy czas, prawdę mówiąc. W końcu jest pan głową rodziny. Idziemy.

– A co zrobimy z tamtym?

– Szpiegiem? Niech się pan o to nie martwi. W tej właśnie chwili kończę obmyślać znakomity plan.

Alicja z osiłkiem skręcili w ulicę Fernando i poszli w stronę Rambli. Fermín i Daniel minęli przyczajonego na rogu szpiega, całkowicie ignorując

jego obecność. Na ulicy panowało większe ożywienie niż zazwyczaj o tej porze: cały kontyngent brytyjskich marynarzy poszukiwał kandydatek w celu skutecznego wymiany językowo-kulturowej, a i kilku utracjuszy zeszło się z elegantszych dzielnic miasta do jego trzewi, by tu skonsumować i strawić swoje najskrytsze miłosne pragnienia. Fermín i Daniel, kryjąc się za kolejnymi kurtynami przechodniów, dotarli wreszcie do łuków wieńczących wejście na plac Real.

– Panie Danielu, tu się poznaliśmy, pamięta pan? Czas mija, a smród szczyń jak się unosił, tak unosi. Ach, ta odwieczna Barcelona, której urok nigdy nie przemija...

– Niech pan nie przesadza z tym romantyzmem.

Alicja i towarzyszący jej policjant przecinali plac w kierunku Rambli.

– Chcą złapać taksówkę. Musimy się pospieszyć.

Odwrócili się i od razu zobaczyli szpiega wyglądającego zza łuków, które przed chwilą minęli.

– I co my z nim zrobimy?

– Mógłby pan wyjść mu na spotkanie i solidnie kopnąć we wrażliwe części ciała. Jest drobniutki, nie będzie pan się musiał specjalnie wysilać.

– A może jakiś plan alternatywny?

Fermín westchnął zrezygnowany. I wtedy zauważył strażnika miejskiego, który z roztargnieniem patrolował plac, raz po raz łypiąc tęsknie w kierunku szczodrych dekoltów dwóch pań stojących przy wejściu do pensjonatu Ambos Mundos.

– Niech pan postara się nie stracić z oczu naszego aniołeczka i jego osiłka – polecił Fermín.

– Co pan znowu wymyślił?

– Proszę tylko patrzeć i uczyć się od mistrza.

I Fermín ruszył w stronę strażnika, którego już z daleka pozdrowił z wojskowym ceremoniałem.

– Panie władzo – rozpoczął energicznie. – Spoczywa na mnie przykry obowiązek zgłoszenia przestępstwa naruszenia porządku publicznego i dobrych obyczajów.

– Jakiego konkretnie przestępstwa?

– Czy widzi pan, panie komendancie, tego delikwenta, o tego tam, chudziutkiego i okutanego w płaszczyk z przeceny z domów towarowych Sepu? Tak, właśnie tego, który udaje, że to nie o nim mowa.

– Tego chłopca?

– Chłopca? Z pewnym zażenowaniem muszę stwierdzić, że ów „chłopiec” jest pod tym płaszczem nagusieńki jak go Pan Bóg stworzył, w dodatku demonstrował swoją, za przeproszeniem, fujarę przechodzącym obok paniom, mówiąc przy tym takie świństwa, że nie potrafiłbym ich powtórzyć w obecności nawet najbardziej perwersyjnej prostytutki.

Strażnik ze złością chwycił za swoją pałkę.

– Co też pan mówi?

– To, co pan słyszy. Proszę tylko spojrzeć, oto skończona świnia czekająca na kolejne okazje, żeby siać zgorszenie.

Strażnik gwizdnął i wskazał pałką w kierunku podejrzanego.

– Stać! Proszę się nie ruszać!

Nieudolny szpieg, zdając sobie sprawę z kabały, w jaką go wpakowano, rzucił się do ucieczki. Strażnik pobiegł za nim. Fermín zadowolony z fortelu pozwolił stróżowi prawa i porządku publicznego uganiać się samotnie za ich uprzykrzonym cieniem i czym prędzej dołączył do Daniela czekającego na postoju taksówek.

– Gdzie oni są?

– Wsiedli właśnie do taksówki. To tamten wóz.

Fermín wepchnął Daniela do kolejnej taksówki. Kierowca, mistrz świata w akrobacjach międloną w ustach wykałaczką, spojrział na nich we wstecznym lusterku.

– Do Pueblo Nuevo nie jadę – uprzedził lojalnie.

– Pańska strata. Widzi pan tę taksówkę przed nami?

– Wóz Cipriana?

– Otóż to. Niech pan za nim jedzie i nie straci go z oczu. To kwestia życia i śmierci, o solidnym napiwku nie wspominając.

Taksówkarz włączył licznik i uśmiechnął się kpiąco.

– Myślałem, że takie rzeczy dzieją się tylko w amerykańskich filmach.

– Pańskie modlitwy zostały wysłuchane. Niech pan za nim jedzie, ale, błagam, dyskretnie.

11

Dwadzieścia minut, które zajęło im dotarcie na komisariat, dłużyło się Fernanditowi jak dwadzieścia lat. Ulokowano go na tylnym siedzeniu obok Hendai, który palił w milczeniu i tylko od czasu do czasu zwracał się do niego, mówiąc: „Spokojnie, nic się nie martw”, co mroziło chłopakowi krew w żyłach. Z przodu jechali dwaj asystenci kapitana. Żaden z nich ani razu nie otworzył ust. I choć noc była chłodna, a w samochodzie panowała równie lodowata atmosfera jak na zewnątrz, Fernandito czuł, że krople potu spływają mu po plecach. Patrzył na miasto przemykające za oknami jak niedosiężna fatamorgana, do której już nigdy nie miał powrócić. Piesi i samochody, wszystko wydawało mu się nieskończenie odległe, choć znajdowało się na wyciągnięcie ręki. Kiedy dotarli do skrzyżowania ulic Balmes i Gran Vía, przebiegło mu przez myśl, by korzystając z postoju na czerwonym świetle, otworzyć drzwiczki i rzucić się do ucieczki, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Kilka sekund później samochód znów ruszył, a Fernandito zauważył, że drzwiczki są zablokowane. I tak nie zdołałby ich otworzyć. Hendaya poklepał go przyjacielsko po kolanie.

– Nie martw się, Alberto, załatwimy to w minutę.

Samochód zaparkował w końcu przed komisariatem i dwóch umundurowanych policjantów stojących przy wejściu rzuciło się, by otworzyć Hendai drzwiczki. On wyszeptał im rozkazy, oni pokiwali głowami, a potem pociągnęli Fernandita za ramię na posterunek. Agent zajmujący miejsce pasażera nie wysiadł z wozu i wskazując na chłopaka, z uśmiechem powiedział coś do kolegi.

Fernandito nigdy wcześniej nie był w komisariacie przy Vía Layetana. Należał do licznej grupy barcelończyków, którzy znalazłszy się nieopodal złowieszczonego budynku, na wszelki wypadek przechodzili na drugą stronę ulicy i przyspieszali kroku. Wnętrze okazało się tak ciemne i przytłaczające, jak to sobie wyobrażał. Kiedy tylko światła ulicy zniknęły mu za plecami, poczuł zapach amoniaku. Dwóch agentów prowadziło go za ramiona, a on włókł się na ciężkich nogach. Korytarze rozwidlały się na coraz mniejsze korytarzyki i Fernandito miał wrażenie, że znalazł się w trzewiach żarłoczej bestii. W powietrzu unosiło się echo kroków i głosów, wszystko zasnuwała lodowata szara poświata. Przelotne spojrzenia zatrzymywały się na nim tylko na chwilę, by równie prędko przenieść się na inny obiekt. Pociągnęli go po schodach, Fernandito nie potrafiłby później powiedzieć, czy prowadzili w górę, czy w dół. Zwisające z sufitu żarówki mrugały od czasu do czasu, jakby zasilający je prąd dawковано kropłomierzem. Przeszli przez jakieś przeszklone drzwi z wygrawerowanym napisem BRYGADA KRYMINALNO-POLITYCZNA.

– Dokąd idziemy? – wymamrotał chłopak.

Dwaj agenci zignorowali pytanie, tak jak przez cały czas kompletnie ignorowali jego osobę, traktowali go jak tobołek, który należy przetransportować z miejsca na miejsce. Poprowadzili go przez ponurą salę pełną metalowych stołów. Chociaż nikt przy nich nie siedział, niewielkie lampki roztaczały nad nimi bańki żółtego światła. W głębi sali, za przeszklonymi ścianami, znajdował się oddzielny gabinet. W środku stało biurko ze szlachetnego drewna i dwa krzesła obok siebie. Jeden z agentów otworzył drzwi i kazał chłopakowi wejść.

– Siadaj! – rozkazał. – I bez żadnych numerów.

Fernandito nieśmiało przeszedł parę kroków. Drzwi zamknęły się za nim. Posłusznie usiadł na krześle i głęboko odetchnął. Spojrzał przez ramię i zobaczył, że dwaj agenci zajęli miejsca przy stole w dużej sali. Jeden poczęstował drugiego papierosem. Uśmiechali się do siebie. Przynajmniej nie zaprowadzili mnie prosto do celi, pomyślał.

Po jakichś czterdziestu minutach rozpaczliwego oczekiwania i w przyпіywie największej śmiałości, na jaką potrafił się zdobyć, Fernandito przesiadł się z jednego krzesła na drugie. Pół godziny później nie mógł już

dłużej wytrzymać na tych krzesłach, które zdawały się maleć z każdą minutą, więc wstał i zebrał się na odwagę, a może raczej w ataku paniki, zaczął walić pięściami w przeszkloną ścianę. Chciał zmanifestować swoją niewinność, powiedzieć, że aresztowano go niesłusznie, i przekonać agentów, żeby puścili go wolno. Wtem za jego plecami otworzyły się drzwi i ukazała się w nich czarna sylwetka Hendai.

– Przepraszam, że musiałeś czekać, Alberto. Zatrzymały mnie sprawy natury administracyjnej. Czy zaproponowano ci kawę?

Fernandito, który gdyby mógł przełknąć ślinę, zrobiłby to już dawno, ale czuł się tak, jakby miał w ustach piasek, nie czekając na polecenie, usiadł z powrotem na krześle.

– Dlaczego tu jestem? – zapytał. – Przecież nic nie zrobiłem.

Hendaya uśmiechnął się łagodnie, jak gdyby przerażenie chłopaka wzbudzało w nim coś w rodzaju czułości.

– Nikt nie twierdzi, że zrobiłeś coś złego, Alberto. Naprawdę nie masz ochoty na kawę?

– Nie. Chciałbym już pójść do domu.

– Oczywiście. Za chwilę.

Hendaya uniósł stojący na biurku aparat telefoniczny i przysunął do chłopaka. Podał mu słuchawkę.

– No dobrze, Alberto, zadzwoń do ojca. Niech przyjdzie po ciebie i przy okazji przyniesie twój dowód osobisty. Na pewno rodzina bardzo się martwi.

12

Korona przelotnych chmur ześlizgiwała się po zboczach gór. Światła taksówki wyławiały zza pasma drzew rosnących wzdłuż drogi wspinającej się do Vallvidrery sylwetki rezydencji.

– W Carretera de las Aguas skręcić nie mogę – tłumaczył się taksówkarz. –

Od zeszłego roku mają tam wstęp tylko mieszkańcy i komunikacja miejska. Ledwo człowiek wjedzie, a już strażnik miejski wychodzi zza krzaka z gotowym kwitariuszem do wypisania recepty. Ale mogę zostawić państwa przy wjeździe...

Vargas pokazał mu banknot pięćdziesięciopiętasetowy. Wzrok taksówkarza przylepił się do niego jak mucha do miodu.

– Szefie, nie będę miał jak wydać.

– Jak pan na nas poczeka, to nie będzie potrzeby. A co do władz miasta, niech się wypchają.

Taksówkarz sapnął, ale uległ logice pieniądza.

– Klepnięte – oznajmił rozstrzygająco.

Dojechawszy do początku niepokrytej asfaltem drogi, wijącej się po zboczu gór stojących na straży Barcelony, taksówkarz zwolnił i dalej sunął bardzo ostrożnie.

– Są państwo pewni, że to gdzieś tu?

– Proszę jechać śmiało.

Dawny dom Mataixów znajdował się około trzystu metrów od wjazdu na drogę. Niebawem reflektory taksówki musnęły kute ogrodzenie i wąskie przejście dochodzące do szosy. W głębi dostrzec można było strzępiasty zarys mansard i wieżyczek wyłaniających się spośród zdziczałego ogrodu pozostawionego samopas przez zbyt długi czas.

– To tutaj – powiedziała Alicja.

Taksówkarz rzucił okiem, a następnie spojrzał sceptycznie w lusterko wsteczne na swoich pasażerów.

– Coś mi się wydaje, że tu nikt nie mieszka...

Alicja zignorowała jego słowa i wyszła z samochodu.

– Nie ma pan przypadkiem latarki? – spytał Vargas.

– Usługi ekstra nie są wliczone w kurs. Czy mówimy wciąż o tym samym banknocie?

Vargas wyciągnął kolejny banknot pięćdziesięciopiętasetowy i podsunął taksówkarzowi pod nos.

– Jak się pan nazywa?

Oczy taksówkarza na widok forsy rozjarzyły się w hipnotycznym transie.

– Cipriano Ridruejo Cabezas, członek korporacji taksówkarzy barcelońskich, do usług.

– Cipriano, tej nocy wygrał pan los na loterii. Czy znalazłaby się jakaś latarka? Nie daj Boże, pani potknie się jeszcze i skręci kostkę.

Kierowca zanurkował, by sprawdzić w schowku, i w miarę szybko wypłynął, unosząc latarkę całkiem sporych rozmiarów. Vargas bez zwłoki chwycił ją i wyskoczył z taksówki, ale wcześniej przedarł banknot na pół i podał jedną z połówek taksówkarzowi.

– Druga połówka po powrocie.

Cipriano westchnął, oglądając banknot ze wszystkich stron, jakby miał w rękę przeterminowany los na loterię.

– Pod warunkiem że państwo wrócą.

Alicja już dostała się przez wąskie przejście w ogrodzeniu na teren posesji. Jej sylwetka przesuwiała się pomiędzy zaroślami prowadzona pasemkiem księżycowego światła. Vargas, znacznie od Alicji roślejszy, musiał trochę powalczyć z omszałymi prętami. Kamienista droga okrążała dom i prowadziła ku głównemu wejściu usytuowanemu w części frontowej. Bruk pokrywały zwiędłe liście. Podążając za Alicją, Vargas przeszedł przez ogród i dotarł do balustrady zawieszanej jakby na skraju zbocza. Rozciągał się stąd widok na całą Barcelonę. A dalej rozlewającą się plamą rozżarzonego srebra rozbłyskiwało w świetle księżyca morze.

Alicja obserwowała fasadę rezydencji. Miała oto przed oczyma obraz, jaki pojawiał się w jej wyobraźni w trakcie opowieści Vilajuany. Wyobraziła sobie dom w jego najlepszych czasach, słońce przesuwające się pieszczotliwie po ochrowych murach i migoczące w fontannie, teraz suchej i popękanej. Wyobraziła sobie córki Victora i Susany Mataixów bawiące się w tym ogrodzie, pisarza i jego żonę obserwujących swoje dzieci z okna salonu. Teraz dom Mataixów był opustoszałym mauzoleum z okiennicami skrzypiącymi na wietrze.

– Skrzynka najlepszego białego wina, jeśli przełożymy akcję na jutro i obejrzymy to sobie za dnia – zaproponował Vargas. – Dwie, jeśli się

pospieszamy.

Alicja w odpowiedzi wyszarpnęła mu latarkę z rąk i ruszyła ku wejściu. Drzwi były otwarte. Na progu leżały resztki zardzewiałej kłódki. Alicja skierowała snop światła na metalowe szczątki i przyklęła, by im się przyjrzeć. Wzięła jeden z kawałków, prawdopodobnie element głównej części mechanizmu. Metalowa część sprawiała wrażenie pękniętej od środka.

– Strzał prosto w komorę – orzekł Vargas zza jej pleców. – Włamywacze fachowcy.

– O ile byli to włamywacze.

Alicja wypuściła z rąk odłamek metalu i wstała.

– Czy czuje pani ten smród? – spytał policjant.

Przytaknęła. Weszła do sieni i stanęła u stóp marmurowych schodów. Snop światła musnął zanikające w półmroku stopnie. W górze kołysał się szkielet kryształowego niegdyś żyrandola.

– Ja bym na te schody nie wchodził – ostrzegł Vargas.

Zaczęli pokonywać je ostrożnie i powoli, stopień po stopniu. Światło latarki rozpraszało przed nimi cienie do czterech, pięciu metrów, dalej rozmywało się bladą aureolą, tonącą zaraz w ciemnościach. Smród, który wyczuli, przekraczając próg, wciąż unosił się w powietrzu, ale w miarę pokonywania schodów zimna i wilgotna bryza nadlatująca jakby z górnego piętra coraz mocniej owiewała ich twarze.

Dotarli na piętro i stanęli w galerii, od której odchodził szeroki korytarz zakończony rzędem wewnętrznych okien, przez nie sączyła się księżycowa poświata. Większość drzwi wyrwano, pokoje zostały ogołoczone z mebli i zasłon. Przeszli przez cały korytarz, rozglądając się po martwej przestrzeni. Podłoga pokryta była warstwą kurzu, trzeszczącym pod nogami dywanem popiołów. Alicja skierowała latarkę na ślady stóp ginących w cieniu.

– To są świeże ślady – wyszeptwała.

– Pewnie jakiś żebrak albo łobuz, który się wkradł, żeby sprawdzić, czy da się coś jeszcze wynieść – orzekł Vargas.

Alicja nie zareagowała na jego słowa i ruszyła dalej po śladach. Obeszli piętro i dobrnęli w końcu do południowo-zachodniego węgła rezydencji. Tam ślady zniknęły. Alicja zatrzymała się przed progiem pomieszczenia,

najprawdopodobniej głównego pokoju w całym domu, czyli sypialni małżeństwa Mataix. Mebli prawie nie było, złodzieje zerwali nawet tapety ze ścian. Sufit już zaczynał się walić, a szczelina w ścianie kreśliła fałszywą perspektywę tworzącą iluzję, że pokój jest znacznie głębszy niż w rzeczywistości. W głębi pomieszczenia widniała czarna dziura szafy, tej, w której ukryła się żona Mataixa, próbując bezskutecznie ochronić swoje córki. Alicja poczuła mdłości.

– Nic tutaj nie zostało – powiedział Vargas.

Alicja zawróciła ku galerii, skąd zaczęli swój obchód. Fetor, który poczuła, wchodząc do domu, na piętrze był wyraźniejszy. Woń zgnilizny wydobywała się jakby z wnętrza budynku. Zaczęli schodzić powoli. Alicja kierowała się już ku wyjściu, kiedy wychwyciła jakiś ruch po swojej prawej stronie i przystanęła, po czym weszła do salonu o wielkich oknach. Część desek podłogowych została wyrwana, a z resztek wygasłego ogniska, które rozpalono na środku pokoju, wystawały zwęglone kawałki krzesel i szerniałe grzbiety książek.

W głębi pomieszczenia chwiała się drewniana płyta, za którą otwierała się czarna dziura. Vargas zatrzymał się przy Alicji i wyjął rewolwer. Podeszli wolniutko do otworu. Vargas skinął głową. Alicja wycelowała snop światła latarki ku wnętrzu. Długie schodki prowadziły do piwnicy. Dziewczyna poczuła unoszący się z głębin prąd powietrza przesycony odorem padliny. Zakryła ręką nos i usta. Vargas znów kiwnął głową i ruszył przodem. Schodzili ostrożnie, trzymając się ściany i stawiając uważnie stopy na każdym schodku, by nie potknąć się i nie runąć w próżnię.

Zeszli wreszcie i znaleźli się w ogromnej piwnicy zajmującej powierzchnię całego piętra. Wzdłuż ścian ciągnął się pas wąskich okienek, przez które wpadały igły bladego światła przechwytywane przez unoszące się z ziemi opary. Alicja już miała ruszyć przed siebie, kiedy Vargas ją zatrzymał. Dopiero w tej chwili zauważyła, że to, co wzięła za wyłożoną płytami podłogę, w rzeczywistości było wodą. Podziemny basen *indiano* utracił swoją szmaragdową zieleń i przeistoczył się w czarne lustro. Zbliżyli się do brzegu i Alicja przeczesła powierzchnię światłem latarki. Pajęczyna zielonkawych alg falowała tuż pod powierzchnią. To stąd wydostawał się fetor. Alicja wskazała dno basenu.

– Tam na dole coś jest – powiedziała. Przybliżyła latarkę do powierzchni. Wodę zalała widmowa jasność. – Widzi pan?

Na dnie powoli przemieszczała się, kołysząc, czarniawa bryła. Vargas rozejrzał się wokół i dostrzegł kij od miotły lub szczotki do czyszczenia basenu. Cale włosie już dawno wypadło, ale metalowa oprawka, w której było umocowane, nadal sterczała z drugiej strony. Vargas zanurzył kij w wodzie i spróbował dosięgnąć ciemnego przedmiotu. Kiedy udało mu się go lekko dotknąć, ten obrócił się i zaczął jakby w zwolnionym tempie rozlewać.

– Ostrożnie! – zawołał Vargas.

Poczuł, że metalowa oprawa dotyka czegoś twardego, i pociągnął mocno za kij. Cień oderwał się od dna i uniósł ku powierzchni. Alicja cofnęła się kilka kroków. Vargas pierwszy zorientował się, na co patrzą.

– Proszę się odsunąć – powiedział.

Alicja najpierw rozpoznała garnitur, była obecna przy jego zakupie w zakładzie krawieckim na Gran Vía. Twarz, która pojawiła się na powierzchni, była biała jak gips, a oczy wyglądały jak dwa owale polerowanego marmuru przecięte ciemnymi liniami wokół źrenic. Blizna na policzku po ranie, którą sama mu zadała, przekształciła się w purpurowy znak jakby wypalony ogniem. Głowa odwróciła się na bok i ukazało się głębokie cięcie – mężczyźnie poderżnięto gardło.

Alicja zamknęła oczy. Nie mogła powstrzymać jęku. Poczula na swoim ramieniu dłoń Vargasasa.

– To Lomana – zdołała wykrztusić.

Kiedy znowu otworzyła oczy, ciało zanurzało się, obracając się z rozkrzyżowanymi rękoma wokół własnej osi, by w końcu pójść na dno. Alicja odwróciła się ku Vargasowi, który przyglądał jej się skonsternowany.

– Vilajuana mówił mi, że go tu skierował – powiedziała Alicja. – Ktoś musiał go śledzić.

– Albo natrafił na coś, czego się nie spodziewał.

– Nie możemy zostawić go w tym miejscu. Ot, tak.

Vargas pokręcił głową.

– Zajmę się tym, a na razie wyjdźmy stąd.

Policjant wziął ją pod rękę i delikatnie poprowadził ku schodkom.

– Alicjo, on tam leży co najmniej od dwóch, trzech tygodni. To stało się, zanim pani przyjechała do Barcelony.

Alicja zamknęła oczy i przytaknęła.

– A to oznacza, że to nie Lomana był wtedy u pani w domu i nie on ukradł pani książkę – dokończył Vargas.

– Wiem.

Szykowali się do wejścia na górę. Nagle Vargas znieruchomiał i przytrzymał Alicję. Pod sklepieniem piwnicy niósł się odgłos kroków piętro wyżej. Policjant nasłuchiwał z nieprzeniknionym wzrokiem.

– Jest ich co najmniej dwóch – szepnął cichutko.

Przez chwilę zdawało im się, że ten ktoś nie zamierza iść dalej. Alicja już wstępowała na pierwsze stopnie schodków, kiedy usłyszeli dochodzący z góry hałas. Do ich uszu dotarło skrzypnięcie schodów, echo głosu. Spojrzeli na siebie. Alicja zgasła latarkę. Stanęli po obu stronach drzwi i ukryli się w cieniu. Vargas odwiódł kurek i wycelował. Kroki zbliżały się. Parę sekund później w progu stanęła ciemna sylwetka. Vargas przyłożył intruzowi lufę rewolweru do skroni, gotów w każdej chwili roztrzaskać mu głowę na drobne kawałki.

13

Chłód lufy przykładanej do ciała był, jak nie przymierzając, zupa w proszku, czyli coś, z czym Fermín miał do czynienia tysiące razy, ale i tak nigdy nie zdążył do tego przywyknąć.

– Proszę nie strzelać, bo nasze zamiary są całkowicie pokojowe – zdołał wykrztusić, zamykając oczy i podnosząc ręce na znak bezwarunkowego poddania się.

– Ferminie, to pan? – spytała osłupiała Alicja.

Zanim wezwany zdołał udzielić odpowiedzi, w progu zjawił się Daniel i stanął jak wryty na widok broni, z której Vargas celował w głowę jego przyjaciela. Policjant sapnął i opuścił rewolwer. Fermín westchnął z nieukrywaną ulgą.

– Można wiedzieć, co panowie tu, u diabła, robią? – zapytała Alicja.

– To samo pytanie chciałem zadać pani, to niewiarygodne – odparł Fermín.

Alicja wytrzymała oskarżycielskie spojrzenia Daniela i Fermina i oszacowała ich możliwości.

– Mówiłem panu, Danielu – odezwał się Fermín. – Niech się pan jej dobrze przyjrzy, oto ona, nieustannie coś knująca, gotowa na nieczyste i przewrotne zagrania godne perfidnej lamii, którą jest bez najmniejszych wątpliwości.

– Co to jest lamia? – zainteresował się Vargas.

– Proszę nie brać sobie tego do serca, panie kanonierze, ale gdyby sięgał pan rzadziej po pistolet, a częściej po słownik, być może nie musiałby pan zadawać niepotrzebnych pytań.

Vargas postąpił krok naprzód, Fermín cofnął się o pięć. Alicja szybko uniosła ręce na znak proponowanego rozejmu.

– Wydaje mi się, że winna jest nam pani jakieś wyjaśnienie – wtrącił się Daniel.

Niespiesznie skinęła głową, wpatrując się głęboko w jego oczy spojrzeniem tak słodkim, że jakiegokolwiek brzydkie podejrzenia wydały mu się nagle nader niestosowne. Fermín dał Danielowi sójkę w bok.

– Panie Danielu, pełna kontrola, niech pan utrzymuje ciśnienie krwi powyżej szyi i, przede wszystkim, proszę się nie dać omamić.

– Ferminie, tu nikt nikogo nie chce omamić – powiedziała Alicja.

– Jasne, wytłumaczcie to temu dryfującemu truchłu – szepnął Fermín, wskazując ciemne wody basenu. – Pani znajomy?

– Mogę wszystko wyjaśnić – zaczęła kobieta.

– Alicjo... – ostrzegł Vargas.

Odpowiedziała uspokajającym gestem i podeszła do Fermina i Daniela.

– Niestety wytłumaczenie tego nie jest łatwe.

– Proszę dać nam szansę, może zrozumiemy. Nie jesteśmy aż tak głupi, na jakich wyglądamy, przynajmniej jeden z nas, bo ten drugi, jak widzę, wciąż nie potrafi się zdecydować, czy wyrósł już z krótkich spodenek, czy jeszcze nie.

– Ferminie, pozwól jej pan mówić – przerwał mu Daniel.

– Znane mi jadowite wężezymane w terrariach mają mniej jadu niż ta jedna żmija.

– A może najpierw stąd wyjdźmy i poszukajmy miejsca, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać? – zaproponowała Alicja.

Vargas, burcząc coś pod nosem, pokręcił głową na znak swojej całkowitej dezaprobaty dla podobnego pomysłu.

– A jaką mamy gwarancję, że to nie jest pułapka? – spytał Fermín.

– Bo to panowie wybiorą miejsce – oznajmiła Alicja.

Daniel z Ferminem wymienili spojrzenia.

Przeszli przez ogród i wrócili do taksówki, w której siedział Cipriano, nieobecny dla świata. W kłębach dymu z papierosów Celtas z czarnego tytoniu, słuchał dyskusji radiowej o nader głębokich treściach poświęconych istotnym problemom, które naprawdę obchodziły obywateli: lidze piłki nożnej i stanowi kostki lewej nogi Ladislao Kubali przed zbliżającym się meczem Madryt – Barcelona w najbliższą niedzielę. Vargas usiadł obok kierowcy, pozostali zaś musieli siłą rzeczy zmieścić się na tylnym siedzeniu.

– Przywidziało mi się czy państwa było dwoje? – zapytał taksówkarz, niepewny, czy przypadkiem nie za często sięgał po swoje celty.

Vargas warknął coś w odpowiedzi. Alicja zatopiła się w swoich sekretach, być może knując szalbierstwo nad szalbierstwami, by przechytrzyć Daniela z Ferminem, jak podejrzewał ten ostatni. Jego przyjaciel zdawał się całkiem otumaniony bliskim kontaktem uda podstępnej niewiasty z jego prawą nogą. Fermín, widząc, że tylko on nie utracił władzy nad rozumem i w pełni panuje nad sytuacją, przejął inicjatywę i udzielił instrukcji dotyczących celu podróży.

– Szefie, proszę z łaski swojej podwieźć nas na Raval i wysadzić przy wejściu do Can Lluís.

Wystarczyło tylko głośno wypowiedzieć nazwę ulubionej restauracji w mieście i w całym wszechświecie oraz duchowego schronienia w chwilach

chandry, by Ferminowi powróciła cała werwa. Każda grożąca rozwaleniem czaszki utarczka z agentami porządku publicznego wyzwalała w nim zwierzęcy wprost apetyt. Cipriano włączył wsteczny, by cofnąć się do szosy na Vallvidrerę i zawrócić ku Barcelonie oczekującej na nich u stóp wzgórza. Podczas gdy zjeżdżali ku dzielnicy Sarrià, Fermín w milczeniu przyglądał się badawczo karkowi siedzącego przed nim osobnika, którego Alicja wybrała sobie na ochroniarza. Na kilometr cuchnął policjantem, i to wysokim rangą. Vargas widocznie wyczuł, że Fermín świdruje go wzrokiem, bo odwrócił się i odpowiedział jednym z tych spojrzeń, od których nieszczęśliwcom oczekującym już tylko celi więziennej robiło się natychmiast słabo. Ten mikrus zwany przez Alicję Ferminem wydawał się Vargasowi postacią żywcem wyjętą ze stron jakiegoś nieznanego apokryfu *Łazika z Tormesu*.

– Proszę się nie sugerować moimi tomciopaluchowymi parametrami – ostrzegł Fermín. – Wszystko, co pan obserwuje, to same mięśnie i wola walki. Lepiej niech pan widzi we mnie ninję w cywilu.

A człowiekowi się wydaje, że jak jest już tyle lat policjantem, to nic nie jest w stanie go zadziwić. Tymczasem Pan Bóg zsyła taki oto prezencik.

– Fermín, prawda?

– A kto pyta?

– Może mi pan mówić Vargas.

– Porucznik?

– Kapitan.

– Mam nadzieję, że wasza ekscelencja nie będzie miał żadnych obiekcji typu religijnego wobec wyśmienitego jadła kuchni katalońskiej – powiedział Fermín.

– Najmniejszych. Prawdę mówiąc, jestem głodny. A ten Can Lluís to dobry lokal?

– Cudo! – odparł Fermín z entuzjazmem. – Jak udo Rity Hayworth w kabaretkach.

Vargas się uśmiechnął.

– Ci dwaj już są kumplami – orzekła Alicja. – Nic tak nie łączy mężczyzn jak potrzeby żołądka i wyuzdanie.

– Niech pan nie zwraca na nią uwagi, Ferminie. Alicja nic nie je, przynajmniej nic konkretnego – wyjaśnił Vargas. – Odżywia się, siorbiąc dusze nieostrożnych prostaczków.

Fermín i Vargas wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Danielu, słyszał pan? – jak gdyby nigdy nic spytał ten pierwszy. – Twierdzi tak sama Komenda Główna Policji w randze kapitana.

Alicja odwróciła głowę. Daniel przyglądał się jej spod oka.

– Nie ma co słuchać głupstw – szepnęła.

– Nie ma się czego obawiać; jak usłyszał to o siorbaniu, to już nic do niego nie dociera – uprzedził Fermín.

– A możecie się wszyscy zamknąć, żebyśmy przynajmniej dojechali w spokoju? – Daniel dość miał uszczypliwości przyjaciela.

– To hormony – usprawiedliwił go Fermín. – On jeszcze rośnie.

I tak oto, zamknięci w kokonach własnego milczenia, na łasce radia nadającego heroiczną relację z rozgrywek ligi piłkarskiej, dotarli do wrót Can Lluís.

14

Fermín opuścił taksówkę z taką radością, jaką odczuwa zapewne wygłodniały rozbitek dopływający do lądu po wielu tygodniach dryfowania na kawałku drewna. Właściciel Can Lluís, stary przyjaciel Fermina, uściskał go na przywitanie i serdecznie pozdrowił Daniela. Na Vargasa i Alicję spojrzął spode łba, ale Fermín szepnął mu coś do ucha, na co restaurator kiwnął głową i szerokim gestem zaprosił wszystkich do środka.

– Dziś właśnie rozmawialiśmy o panu z profesorem Alburquerque, który przyszedł do nas się posilić, i zastanawialiśmy się, jakiej to przygody zew pana zwabił.

– Zew jak zew, drobne domowe burze. Przelotne. Człowiek już nie jest taki

jak dawniej – zrzędził Fermín.

– Jeśli państwo nie mają nic przeciwko temu, przygotuję stół w głębi, tam będzie spokojniej.

Usiedli w kącie lokalu, przy czym Vargas instynktownie zajął miejsce, z którego widać wejście.

– Czego państwo sobie życzą? – spytał restaurator.

– Niech nas pan zaskoczy, przyjacielu. Ja jestem po kolacji, niemniej, dość poruszony emocjonalnie, nie odmówię spożycia podkurka, a po minie pana kapitana nietrudno się domyślić, że trawi go głód یشcie wilczy. Co się tyczy młodzieży, to oranżada w zupełności wystarczy, może im doda trochę wigoru – odpowiedział Fermín.

– Kieliszek białego wina dla mnie poproszę – zamówiła Alicja.

– Mam wyśmienity penedès.

Alicja kiwnęła głową.

– Wobec tego podam najpierw coś na ząb, a jeśli nabiorą państwo ochoty na coś więcej, to w każdej chwili jestem do usług.

– Wniosek przyjęty jednomyślnie – oświadczył Fermín.

Właściciel poszedł do kuchni, a oni siedzieli chwilę w milczeniu.

– Wróćmy więc, pani Alicjo, do rozmowy – odezwał się wreszcie Fermín.

– To, co teraz panom opowiem, musi zostać tylko między nami. – Alicja podjęła zaproszenie.

Daniel i Fermín przyjrzeni się jej uważnie.

– Muszą mi panowie dać słowo – nie ustępowała.

– Słowo daje się temu, kto słowa dochować umie – powiedział Fermín. – Pani zaś, z całym szacunkiem, jak na razie nie dała żadnego dowodu, z którego moglibyśmy wnosić, że tak właśnie jest w pani przypadku.

– Wobec tego będzie mi pan musiał zaufać.

Fermín wymienił spojrzenie z Vargasem. Policjant wzruszył ramionami.

– Niech pan tak na mnie nie patrzy – usprawiedliwił się. – To samo powiedziała mi parę dni temu, no i sam pan widzi, jak na tym wyszedłem.

Po chwili pojawił się kelner z tacą i postawił na stole kilka talerzyków

i koszyk z pieczywem. Fermín i Vargas bez najmniejszych ceregieli rzucili się na jedzenie, podczas gdy Alicja bez pośpiechu smakowała swoje białe wino, trzymając papierosa między palcami. Daniel zatopił wzrok w blacie stołu.

– Jak się panu widzi strawa? – spytał Fermín.

– Rewelacyjna – odparł Vargas. – W sam raz, żeby zmarłego na nogi postawić.

– Proszę sięgnąć i skosztować tej porcyjki *fricandó*, a wyjdzie pan stąd, śpiewając najczystszym katalońskim hymn do Matki Bożej z Montserrat.

Daniel przyglądał się tej parze dziwnych i skrajnie różnych postaci, rzucających się na jedzenie niczym lwy na polowaniu i pożerających wszystko, co zostało podane na stół.

– Ile kolacji może pan zjeść, Ferminie?

– Wszystkie, które znajdą się w zasięgu ręki. Te dzieciaki, które nie przeżyły wojny na pierwszej linii, nie są w stanie tego pojąć, panie kapitanie.

Vargas przytaknął, oblizując palce. Alicja przyglądała się temu apatycznie, jak ktoś, kto czeka, aż deszcz ustanie. Dała kelnerowi znak, by podał jej jeszcze jeden kieliszek wina.

– Tak na sucho, bez solidniejszego podkładu nie uderza pani to wino do głowy? – spytał Fermín, czyszcząc talerz kawałkiem bułki.

– Tym się akurat nie przejmuję. Grunt, że uderza, to mi w zupełności wystarcza.

Wreszcie podano kawę i baterię kieliszków z likierami. Fermín i Vargas z błogimi minami wyciągnęli się na krzesłach. Alicja zgasila papierosa w popielniczce.

– Nie wiem jak panowie, ale ja cały zamieniam się w słuch – stwierdził Fermín.

Alicja pochyliła się i ściszyła głos.

– Zakładam, że panowie dobrze wiedzą, kim jest minister Mauricio Valls.

– Mój przyjaciel Daniel ze słyszenia. A ja miałem nawet z panem ministrem styczność.

– Pewnie wobec tego panowie spostrzegli, że od jakiegoś czasu przestano go widywać publicznie.

– A rzeczywiście, teraz, kiedy pani o tym wspomina, coś mi świta – przytaknął Fermín. – Ale jeśli chodzi o Vallsa, to Daniel jest ekspertem. W każdej wolnej chwili biegnie do hemeroteki Ateneo, by wnikliwie śledzić życie i cuda naszej znamienitości, starego znajomego rodziny.

Alicja wymieniła spojrzenie z Semperem.

– Mijają właśnie trzy tygodnie od dnia, w którym Mauricio Valls zniknął bez śladu z rezydencji w Somosaguas. Wyjechał o świcie w towarzystwie swego głównego ochroniarza. Samochód, którym podróżował, parę dni później został znaleziony w Barcelonie. Od tamtego czasu nikt już Vallsa nie widział.

Alicja przyjrzała się Danielowi, jego spojrzenie rozbłysło z emocji.

– Policja ustala, czy Valls nie padł ofiarą spisku mającego na celu zemstę za domniemane oszustwa związane z akcjami jednej ze spółek bankowych.

Daniel patrzył na nią ze zdumieniem i rosnącym oburzeniem.

– Mówiąc o śledztwie – włączył się Fermín – kogo konkretnie ma pani na myśli?

– Do Komendy Głównej Policji i innych organów sił porządku publicznego.

– Kapitan Vargas jak najbardziej mi do tego wszystkiego pasuje, ale z panią, szczerze mówiąc, mam...

– Pracuję, a właściwie pracowałam, dla jednej ze służb, które wsparły swą pomocą policję w tym śledztwie.

– A służba ta ma jakąś nazwę? – zapytał Fermín z powątpiewaniem w głosie. – Bo nie wygląda pani na funkcjonariusza Gwardii Obywatelskiej.

– Nie.

– No właśnie. A nieboszczyk, którego mieliśmy przyjemność oglądać tej nocy w kąpieli?

– Mój dawny kolega.

– Śmiem więc sądzić, iż to mocne wzruszenie tak na panią wpłynęło, że całkiem straciła pani apetyt.

– To wszystko jest jednym wielkim stekiem kłamstw – uciął Daniel.

– Danielu... – Alicja położyła mu rękę na dłoni w pojedynczym geście.

Cofnął rękę i wybuchnął.

– To po co wobec tego całe to udawanie starej przyjaciółki, zachodzenie do księgarni, odwiedzanie mojej żony, mojego syna, przyklejanie się do mojej rodziny?

– Danielu, to nie jest takie proste, proszę pozwolić mi...

– Alicja to pani prawdziwe imię? A może pożyczyła je sobie pani z jakiegoś starego wspomnienia mojego ojca?

Teraz z kolei Fermín zaczął jej się bacznie przyglądać, jakby stanął twarzą w twarz z widmem z przeszłości.

– Prawdziwe. Nazywam się Alicja Gris. I nie skłamałam, mówiąc o sobie.

– Za to cała reszta jest kłamstwem – rzucił Daniel.

Vargas nie wtrącał się, siedział cicho, pozwalając Alicji wziąć cały ciężar rozmowy na siebie. Alicja westchnęła, demonstrując dość przekonująco bezradny popłoch i skruchę zarazem, w których szczerłość Vargas nie wierzył nawet przez ułamek sekundy.

– Podczas prowadzenia śledztwa natrafiliśmy na informacje, że Mauricio Valls przez pewien czas spotykał się z Isabellą, oraz o jego związkach z Davidem Martinem, byłym więźniem zakładu karnego Montjuic. A powodem, dla którego znaleźli się państwo w kręgu naszego zainteresowania, była chęć całkowitego wykluczenia podejrzeń i upewnienia się, że rodzina Sempere nie miała nic wspólnego z...

Daniel zaśmiał się ironicznie i spojrzał na Alicję wzrokiem pełnym pogardy.

– Pani myśli pewnie, że jestem debilem. I chyba nim jestem, bo dopiero teraz zdaję sobie sprawę, kim pani jest, Alicjo, czy jak tam się pani zwie.

– Danielu, proszę...

– Proszę mnie nie dotykać.

Daniel wstał i ruszył ku wyjściu. Alicja westchnęła i ukryła twarz w dłoniach. Błagalnie spojrzała na Fermína, szukając wsparcia, ale człeczyna spoglądał na nią jak na kieszonkowca złapanego na gorącym uczynku.

– Jak na pierwsze podejście to, moim zdaniem, kiepsko sobie pani radzi – orzekł. – Sądzę, że nadal jest nam pani winna wyjaśnienie, teraz bardziej niż

przedtem, mając na względzie ten kit, który usiłuje nam pani wcisnąć. Nie wspominając już o wyjaśnieniach, które należą się mnie osobiście. Jeśli naprawdę jest pani Alicją Gris.

Uśmiechnęła się smutno.

– Nie pamięta mnie pan, Ferminie?

Mizerak przyglądał się jej, jakby była widmem.

– Sam już nie wiem, co pamiętam, a czego nie pamiętam. Wróciła pani spośród umarłych?

– Można powiedzieć, że tak.

– A po co?

– Usiłuję tylko was ochronić.

– Jakoś na to nie wygląda...

Alicja wstała i spojrzała na Vargasa, który kiwnął głową potakująco.

– Niech pani idzie za nim – powiedział. – Ja zajmę się Lomaną i jak tylko będę mógł, dam pani znać.

Alicja odeszła, by odszukać Daniela. Fermín i Vargas patrzyli na siebie w milczeniu.

– Jak długo ją pan zna? – spytał Fermín.

– Parę dni.

– Czy wobec tego może pan zaświadczyć, że jest to żywa istota, a nie duch?

– Sądzę, że tylko stwarza takie pozory – odparł Vargas.

– Pić pije jak gąbka, nie ma co, to trzeba jej uczciwie przyznać – podkreślił Fermín nie bez uznania.

– Nawet sobie pan nie wyobraża.

– Kapeczkę whisky do kawy, żeby nieco załagodzić powrót do straszego domu? – zaproponował Fermín.

Vargas skwapliwie przytaknął.

– A może potrzebuje pan towarzystwa i wsparcia logistycznego niezbędnego do wydobycia truchła?

– Bardzo jestem panu wdzięczny, Ferminie, za chęć pomocy, ale lepiej

będzie, jeśli sam to zrobię.

– Proszę mi, wobec tego, przynajmniej odpowiedzieć na jedno pytanie i proszę mnie nie zwodzić czy oszukiwać, bo i ja, i pan z niejednego pieca chleb jedliśmy, żeby teraz obyć się byle sznytką. Czy mnie swędzi w nosie, czy ta sprawa bardzo brzydko pachnie?

Vargas się zawahał.

– Cuchnie wręcz – potwierdził w końcu.

– No tak. A Valls, to dwunożne gówno, żyje jeszcze czy też wacha od spodu zatrute kwiatki?

Vargas, który wyglądał, jakby dopadło go zmęczenie nagromadzone przez ostatnie dni, spojrzał na Fermina z wyrazem klęski w oczach.

– A to, drogi przyjacielu, jest, jak myślę, najmniej w tym wszystkim istotne...

15

Alicja dostrzegła w oddali postać Daniela: cień pod osłoną latarni i zaułków Ravalu. Na ile mogła, przyspieszyła kroku. Niebawem ból w biodrze znów zaczął dawać o sobie znać. Im bardziej starała się zmniejszyć dystans dzielący ją od Daniela, tym mocniej czuła, że brakuje jej powietrza, a narastające klucie toruje sobie drogę przez jej kości. Daniel dotarł do Rambli i odwrócił się. Zauważywszy Alicję, obrzucił ją pełnym złości spojrzeniem.

– Danielu, błagam, niech pan na mnie poczeka! – zawołała Alicja, łapiąc się latarni.

Zignorował jej prośbę i poszedł dalej. Alicja słaniając się na nogach, ruszyła za nim. Czoło miała zroszone potem, cały bok był teraz jedną gorejącą raną.

Doszedłszy do skrzyżowania z ulicą Santa Ana, Daniel spojrzał przez

ramię. Alicja wciąż szła za nim, kulejąc. To zbiło go z tropu. Zatrzymał się na chwilę. Alicja podniosła rękę, usiłując zwrócić jego uwagę. Daniel kazał jej pod nosem iść do diabła i już szykował się do odejścia, gdy nagle Alicja padła na ziemię, jakby coś się w niej złamało. Odczekał parę sekund, ale Alicja nie wstawała. Wahał się chwilę, w końcu podszedł bliżej. Kobieta zwijała się z bólu. W świetle latarni widział twarz Alicji zlaną potem i wykrzywioną grymasem cierpienia. W pierwszym odruchu chciał ją zostawić na pastwę losu, ale jednak podszedł szybko i przykląkł przy niej. Alicja patrzyła na niego ze łzami w oczach.

– Teatr pani odgrywa czy co? – spytał Daniel.

Wyciągnęła rękę. Ujął ją i pomógł wstać. Podtrzymując ją, poczuł, jak jej ciało całe drży z bólu. Ruszyło go sumienie.

– Co pani jest?

– To stara rana. – Alicja nie mogła złapać tchu. – Muszę usiąść, błagam.

Daniel objął ją w pasie i poprowadził do znajdującej się na początku ulicy Santa Ana kawiarni, czynnej zazwyczaj do późna. Kelner znał dobrze Daniela, więc ten nie miał złudzeń, że nazajutrz cała okolica zostanie powiadomiona z najdrobniejszymi szczegółami o tym, jak pojawił się niemal o północy, tuląc w ramionach damulkę o mocno podejrzanym wdzięku. Doprowadził Alicję do stolika tuż przy wejściu i pomógł jej usiąść.

– Wody – szepnęła.

Daniel podszedł do baru.

– Manuelu, podaj mi wody.

– Tylko wody? – Kelner porozumiewawczo puścił oko.

Daniel nie wdawał się w rozmowę. Wrócił do stolika z butelką wody i ze szklanką. Alicja trzymała w ręku metalowe pudełeczko, które próbowała otworzyć. Wziął od niej pudełeczko. Alicja wyjęła dwie tabletki i połknęła. Popiła szybko, nie zważając, że strużka wody spływa jej po brodzie i po szyi. Daniel patrzył na nią szczerze przejęty – nie miał pojęcia, co robić dalej. Ona zaś otworzyła oczy i spojrzała na niego, próbując się uśmiechnąć.

– Zaraz mi przejdzie – powiedziała.

– Może pani coś zje, to przejdzie jeszcze szybciej.

Alicja pokręciła głową.

– Kieliszek białego wina poproszę.

– Chce mi pani powiedzieć, że to dobry pomysł mieszanie alkoholu z tymi...?

Przytaknęła bez najmniejszego wahania. Daniel poszedł zamówić wino.

– Manuel, kieliszek białego wina i coś na przekąskę.

– Mam krokieciki z szynką, palce lizać.

– Daj, co masz.

Wróciwszy do stołu, Daniel nie odpuścił, dopóki Alicja nie zjadła półtora krokieta. Powoli odzyskiwała panowanie nad sobą, w końcu posłała mu uśmiech, jakby nic się nie wydarzyło.

– Przykro mi, że widział mnie pan w tym stanie – powiedziała.

– Lepiej się już pani czuje?

Alicja przytaknęła, chociaż w jej oczach pojawił się szklisty poblask, który nasuwał podejrzenie, że jakaś część jej osoby przebywa daleko stąd.

– To niczego nie zmienia – uprzedził Daniel.

– Rozumiem.

Daniel zauważył, że Alicja mówi powoli, jakby ospale, przeciągając słowa.

– Dlaczego nas pani okłamała?

– Nie okłamałam panów.

– Niech pani będzie. Może to sobie pani nazywać, jak chce. Powiedziała mi pani tylko część prawdy, co na jedno wychodzi.

– Danielu, prawdy nawet ja nie znam. Jeszcze jej nie znam. A nawet gdybym ją znała, nie mogłabym jej panu wyjawić.

O dziwo, wbrew sobie samemu poczuł, że gotów jest jej uwierzyć. Okaze się chyba znacznie większym głupcem, niż podejrzewał Fermín.

– Ale dojdę do prawdy – ciągnęła Alicja. – Dojdę do sedna tej sprawy i zapewniam, że niczego przed panem nie ukryję.

– Proszę mi wobec tego pozwolić sobie pomóc, dla pani dobra.

Alicja pokręciła głową.

– Wiem, że Mauricio Valls zamordował moją matkę – powiedział Daniel. – Mam pełne prawo spojrzeć mu prosto w twarz i zapytać dlaczego. Znacznie większe prawo niż pani i Vargas.

– To prawda.

– Proszę mi wobec tego pozwolić sobie pomóc.

Alicja uśmiechnęła się czule. Daniel unikał jej spojrzenia.

– Może mi pan pomóc, trzymając siebie i rodzinę jak najdalej od tej sprawy, bo tak będzie dla was najbezpieczniej. Ja i Vargas nie jesteśmy jedynymi, którzy idą tym tropem. Są jeszcze inni. Bardzo groźni ludzie.

– Nie boję się.

– To mnie właśnie martwi, panie Danielu. Niech się pan boi. Niech się pan bardzo boi. I proszę pozwolić mi zrobić to, co umiem robić.

Alicja odszukała jego wzrok i wzięła go za rękę.

– Przysięgam na swoje życie, że odnajdę Vallsa i upewnię się, że pan i pańska rodzina jesteście już całkowicie bezpieczni.

– Ja nie chcę być bezpieczny. Ja chcę wiedzieć, jaka jest prawda.

– Danielu, pan chce zemsty.

– To już moja sprawa. A jeśli mi pani nie powie, co się rzeczywiście dzieje, to sam do tego dojdę. I nie rzucam słów na wiatr, mówię całkiem poważnie.

– Wiem. Mam do pana wielką prośbę.

Daniel skulił ramiona.

– Proszę dać mi dwadzieścia cztery godziny. Jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie rozwiążę tej sprawy, przysięgam na to, co kocha pan najbardziej, że powiem panu wszystko, co wiem.

Przyjrzał się jej podejrzliwie.

– Dwadzieścia cztery godziny – zgodził się w końcu. – Ja, wobec tego, też mam do pani prośbę.

– Śmiało.

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego Fermín mówi, że jest mu pani winna

pewne wyjaśnienie. Niby co ma mu pani wyjaśnić?

Alicja spuściła wzrok.

– Wiele lat temu, kiedy byłam małą dziewczynką, Fermín uratował mi życie. To było w czasie wojny.

– A on wie o tym?

– Nawet jeśli nie wie, to podejrzewa. Myślał pewnie, że wtedy umarłam.

– Ta rana? To właśnie wtedy ją pani odniosła?

– Tak. – Ton odpowiedzi Alicji kazał mu się domyślić, że ta rana jest tylko jedną z wielu, które skrywa.

– Mnie Fermín też uratował życie – powiedział Daniel. – I to wiele razy.

Uśmiechnęła się.

– Czasem los zsyła nam anioła stróża.

Alicja wykonała ruch, jakby chciała wstać. Daniel skoczył na równe nogi, by jej pomóc, ale powstrzymała go.

– Poradzę sobie sama, dziękuję.

– Jest pani pewna, że te tabletki nie działają na panią trochę...

– Proszę się nie przejmować. Jestem dużą dziewczynką. No to chodźmy, odprowadzę pana do domu, mam po drodze.

Dotarli spacerkiem do drzwi starej księgarni. Daniel wyjął klucze. Spojrzeli na siebie w milczeniu.

– Mam pani słowo? – odezwał się wreszcie Daniel.

Przytaknęła.

– Dobrej nocy, Alicjo.

Stała nieruchomo, przyglądając mu się szklistym wzrokiem. Daniel nie był pewien, czy to spojrzenie jest efektem środków farmakologicznych, czy też za zielonymi oczyma kryje się bezdenne otchłań. Szykował się do odejścia, kiedy Alicja uniosła się na palcach i zbliżyła usta do jego warg. Daniel uchylił się i pocałunek musnął jedynie jego policzek. Alicja bez słowa odwróciła się i odeszła. Jej postać rozplynęła się w ciemnościach.

Bea obserwowała ich przez okno. Zobaczyła, jak wychodzą z kawiarni

i wolno zbliżają się do księgarni, kiedy nad dachami miasta rozległo się bicie dzwonów. W chwili gdy Alicja przybliżyła się do Daniela, a ten stał nieruchomo, patrząc gdzieś zagubionym wzrokiem, dziewczynę ścisnęło w żołądku. Alicja wspięła się na palcach z zamiarem pocałowania Daniela w usta. Bea odeszła od okna.

Powoli ruszyła do sypialni. Zatrzymała się na chwilę przy pokoju Juliana, który spał głęboko. Przymknęła drzwi i wróciła do siebie. Położyła się do łóżka i nasłuchiwała, kiedy skrzypną drzwi. Z korytarza doszły ją ciche kroki męża. Bea leżała bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w sufit. Słyszała, jak Daniel rozbiera się i wkłada piżamę, którą Bea złożyła na krześle. Wślizgnął się pod kołdrę i odwrócił do niej plecami.

– Gdzie byłeś? – spytała.

– Z Ferminem.

16

Hendaya chciał poczęstować go papierosem, ale Fernandito odmówił.

– Dziękuję, nie palę.

– No, no, taki młody, a już swoje wie. Dlatego wciąż nie rozumiem, dlaczego nie zadzwonisz do ojca, żeby przyjechał po ciebie z twoim dowodem i wszystko sobie wyjaśnimy do końca. A może coś ukrywasz?

Chłopak zaprzeczył. Hendaya uśmiechnął się przyjacielsko, Fernandito zaś uświadomił sobie, że zaledwie kilka godzin temu widział, jak facet strzałami z pistoletu roztrzaskuje kolana szoferowi. Ciemna plama na kołnierzyku koszuli była tego śladem.

– Ja niczego, proszę pana, nie ukrywam.

– No więc...?

Hendaya wyciągnął ku niemu telefon.

– Wykręcasz numer i jesteś wolny.

Fernandito przełknął ślinę.

– Chciałbym bardzo pana prosić, by nie zmuszał mnie pan, żebym zadzwonił, z bardzo prostego powodu.

– Z bardzo prostego powodu? A cóż to za powód, mój drogi Alberto?

– To przez wzgląd na ojca, który jest bardzo chory.

– Chory, powiadasz?

– Tak, na serce. Parę miesięcy temu miał zawał. Przez kilka tygodni trzymano go w szpitalu Clínic. Teraz jest w domu, wraca do zdrowia, ale jest bardzo słaby.

– Współczuję.

– Mój ojciec to dobry człowiek, proszę pana. Bohater wojenny.

– Bohater wojenny?

– Wkroczył do Barcelony razem z wojskami narodowymi. Na okładce „La Vanguardii” jest zresztą jego zdjęcie, jak maszeruje przez aleję Diagonal. Trzymamy to zdjęcie w ramce w stołowym. To ten trzeci od prawej. Gdyby go pan zobaczył... Pozwolono mu iść w pierwszym rzędzie, bo wykazał się bohaterstwem w bitwie nad Ebro. Był kapralem.

– Pewnie jesteście wszyscy bardzo z niego dumni.

– Oczywiście, że jesteśmy, ale biedak już nie jest tym samym człowiekiem co kiedyś po tym, co spotkało moją mamę.

– Twoją mamę?

– Umarła cztery lata temu.

– Serdecznie ci współczuję.

– Bardzo panu dziękuję. A wie pan, co mi mama powiedziała tuż przed śmiercią?

– Nie, skądże.

– Opiekuj się ojcem i nie przysparzaj mu przykrości.

– I usłuchałeś jej?

Fernandito spuścił wzrok skruszony. Pokręcił głową.

– Tak naprawdę to daleko mi do takiego syna, jakiego chciała mieć moja mama i na jakiego zasłużył mój ojciec. Szałaput ze mnie, ot co, nie ma co

owijać w bawełnę.

– No proszę, proszę, pomyślałby kto. A ja sądziłem, żeś przyzwoity chłopak.

– Nic z tych rzeczy. Jestem ofiara losu, wie pan. Przysparzam tylko ojcu zmartwień, jakby ich miał za mało. W dniu, w którym akurat nie wyrzucają mnie z pracy, wychodzę na miasto i zapominam dokumentów. Sam pan widzi. Ojciec bohater wojenny, syn abnegat totalny.

Hendaya przyglądał mu się badawczo.

– Z tego, co mówisz, mam wywnioskować, że jeśli zadzwonisz do swojego ojca i powiesz mu, że zatrzymano cię w komisariacie, bo zapomniałeś wziąć ze sobą dokumentów, to sprawisz mu ogromny zawód?

– I obawiam się, że już ostatni. Jeśli któryś z sąsiadów będzie musiał przywieźć go tutaj na wózku inwalidzkim, to tata umrze ze wstydu i z żalu, że mu taki niewydarzony syn wyrósł.

Hendaya się zastanowił.

– Bardzo dobrze cię rozumiem, Alberto, ale postaraj się zrozumieć mnie. Stawiasz mnie w trudnej sytuacji.

– Tak, proszę pana, i dziękuję za tyle cierpliwości, jaką pan ma do mnie i na jaką nie zasługuję. Jeśli chodzi o mnie, to powiedziałbym panu, żeby wpakował mnie pan do paki z najgorszym elementem, żebym dostał nauczkę. Ale błagam, niech pan okaże litość ze względu na mego ojca. Ja tu zaraz napiszę panu swoje imię i nazwisko, i adres, i może pan przyjdź jutro i zapytać każdego z sąsiadów, w miarę możliwości rano, bo wtedy tata śpi po lekarstwach.

Hendaya wziął podawaną mu przez Fernandita kartkę.

– Alberto García Santamaría. Ulica Comercio trzydzieści siedem, piętro piąte, pierwsze lewe – wyrecytował. – A może poszedłbyś teraz w towarzystwie funkcjonariuszy?

– Jeśli mój ojciec, który z powodu bezsenności spędza całe noce przy oknie, słuchając radia, zobaczy, że idę w eskorcie policyjnego patrolu, wyrzuci mnie z domu, całkiem zasłużenie, a potem sam wykituje.

– A tego przecież nie chcemy.

– Absolutnie nie chcemy.

– A jaką ja mam gwarancję, że jeśli cię puszczę, to znów nie zejdziesz na manowce?

Fernandito odwrócił się, by z nabożną powagą spojrzeć na oficjalny portret generała Franco wiszący na ścianie.

– Bo złożę panu przysięgę wobec Boga i wobec Generalissimusa, a jeśli kłamię, to niech padnę trupem tu na miejscu.

Hendaya przez kilkanaście sekund przyglądał się chłopakowi z ciekawością, a nawet z odrobiną sympatii.

– Widzę, że jak stałeś, tak stoisz, widocznie mówisz prawdę.

– Tak jest, proszę pana.

– Słuchaj, Alberto. Podobasz mi się, to raz. Dwa, jest już bardzo późno i prawdę mówiąc, jestem zmęczony. Dam ci szansę. Nie powinienem tego robić, bo regulamin to regulamin, ale ja też byłem synem i też bynajmniej nie wzorowym i nie najlepszym. Możesz iść.

Fernandito z niedowierzaniem spojrział na drzwi gabinetu.

– No już, zanim zmienię zdanie.

– Wielkie dzięki, proszę pana, wielkie dzięki.

– Ojcu swojemu podziękuj. I żeby mi się to już nie powtórzyło.

Fernandito nie zastanawiając się ani chwili dłużej, wstał i wycierając pot z czoła, opuścił gabinet. Przeszedł niespiesznie przez długą salę policji kryminalnej, a przechodząc obok dwóch obserwujących go uważnie funkcjonariuszy, pozdrowił ich.

– Życzę panom dobrej nocy.

Kiedy dotarł do korytarza, przyspieszył kroku i skierował się ku schodom prowadzącym na parter. Dopiero po opuszczeniu gmachu, już idąc Vía Layetana, zaczerpnął głęboko powietrza i złożył dzięki niebu i piekłu, i temu wszystkiemu, co pomiędzy jednym a drugim, za szczęście, które go dziś nie ominęło.

Hendaya patrzył, jak Fernandito przechodzi przez Vía Layetana i kieruje się w dół ulicy. Usłyszał za sobą kroki dwóch funkcjonariuszy chroniących go z pewnej odległości.

– Chcę wiedzieć, kim jest, gdzie mieszka i kim są jego przyjaciele – rozkazał, nie odwracając się do nich.

17

Mgła pozostawiająca na ubraniu smugi wilgoci kłębiła się na ulicach Vallvidrery, kiedy Vargas wysiadł z taksówki i ruszył ku światłom lokalu znajdującego się przy stacji funikularu. O tej porze w barze nie było już żywej duszy, a na drzwiach wisiała tabliczka ZAMKNIĘTE. Vargas zbliżył głowę do okna i przez szybę rozejrzał się po lokalu. Za ladą kelner wycierał szmatką szklanki do sucha, a za całe towarzystwo miał radio i niemal ślepego psa, na którego ani jedna pchła nie wskoczyłaby za żadne pieniądze. Vargas stuknął w okno knykциями. Kelner uniósł wzrok. Rzucił okiem na Vargasa i pokręcił głową przecząco. Ten wyciągnął swój identyfikator i jeszcze raz zapukał, tym razem mocniej. Kelner westchnął, okrążył bar i podszedł do drzwi. Pies, wyrwany ze swej ospałości, kulejąc, powlókł się za nim, jakby eskortował pana.

– Policja – oznajmił Vargas. – Muszę skorzystać z pańskiego telefonu.

Kelner otworzył drzwi i wpuścił go do środka. Wskazał aparat telefoniczny znajdujący się przy wejściu.

– Może coś podać, skoro już pan tutaj jest?

– Kawę z kapką mleka, jeśli nie sprawi to panu zbytniego kłopotu.

Podczas gdy kelner przygotowywał kawę, Vargas sięgnął po telefon i wykręcił numer komisariatu przy Vía Layetana. Pies stanął przy nim, obserwując go zaspanymi oczyma i apatycznie merdając ogonem.

– Chusco, nie przeszkadzaj – ostrzegł kelner psa.

Vargas czekając na połączenie, mierzył się z Chusco wzrokiem. I pies, i policjant porównywali swoje doświadczenie i stopień zużycia.

– Ile lat ma ten pies? – spytał Vargas.

Kelner wzruszył ramionami.

– Kiedy przekazano mi bar, już tutaj był i już popierdywał przy każdym głębszym wdechu. A to już będzie z dziesięć lat.

– A co to za rasa?

– Tutti frutti.

Chusco przewrócił się na bok, demonstrując wyliniały różowy brzuch. Po drugiej stronie telefonu chrząknął jakiś głos.

– Mówi Vargas z Komendy Głównej. Proszę mnie połączyć z Linaresem.

Po chwili usłyszał w słuchawce trzask i dziwnie drwiący głos Linaresa.

– Myślałem, że już jesteś w Madrycie i odbierasz medale.

– Zostałem jeszcze na parę dni, żeby popatrzeć na karnawałowe przemarsze wielkoludów i wielkogłowych.

– Ty się tak lepiej do Barcelony nie przyzwyczajaj, bo i tak nie mamy tu wolnych etatów. Czego znowu potrzebujesz o tak późnej porze? Nie mów mi tylko, że masz złe wieści.

– To zależy. Jestem w Vallvidrerze, w barze przy stacji funikularu.

– Najlepsze widoki w Barcelonie.

– Żebyś wiedział. Kilka godzin temu właśnie widziałem trupa w jednym z domów na Carretera de las Aguas.

Vargas nie bez satysfakcji usłyszał głośnie prychnięcie Linaresa.

– Ja chromolę – parsknął Linares. – Tylko tego nam brakowało.

– Nie zapytasz mnie o tożsamość nieboszczyka?

– I tak byś mi nie powiedział.

– Powiedziałbym, gdybym wiedział, kto to jest.

– Ale chyba możesz mi powiedzieć, po coś ty się tam szwendał o tej porze. Zachciało ci się turystyki górskiej?

– Zachciało mi się rozwiązać pewną łamigłówkę. Dobrze wiesz, jak to jest.

– Jasne. I przypuszczam, że oczekujesz, bym ci wyciągnął z łóżka jakiegoś sędziego, który wystawi akt zgonu.

– Jeśli nie sprawi ci to zbytniego kłopotu.

Linares znowu prychnął. Vargas usłyszał, jak klnie.

– Daj mi godzinę, półtorej. I bardzo cię proszę, byś już więcej żadnego trupa nie znajdował, jeśli łaska.

– Według rozkazu.

Vargas odłożył słuchawkę i zapalił papierosa. Na ladzie baru czekała parująca filiżanka kawy z kapką mleka. Kelner przyglądał mu się z kiepsko skrywaną ciekawością.

– Nic pan nie słyszał – ostrzegł go Vargas.

– Spokojnie, jestem bardziej głuchy niż Chusco.

– Mogę jeszcze zadzwonić? – zapytał policjant.

Kelner wzruszył ramionami. Vargas wykręcił numer mieszkania przy ulicy Aviñón. Czekał parę minut, aż ktoś odbierze. W końcu usłyszał trzask podnoszonej słuchawki i oddech.

– Alicjo, to ja, Vargas.

– Vargas?

– Już mnie pani zapomniała? Nie wierzę.

Długa pauza. Głos Alicji brzmiał tak, jakby dochodził z wnętrza akwarium.

– Myślałam, że to może być Leandro – powiedziała w końcu, przeciągając słowa.

– Dziwny ma pani głos. Piła pani?

– Kiedy piję, nie mam dziwnego głosu, kapitanie Vargas.

– A co pani brała?

– Szklaneczkę ciepłego mleka przed odmówieniem paciorka i położeniem się do łóżeczka.

– Gdzie się pani szwendała? – zapytał.

– Byłam w kawiarni z Danielem Sempere.

Vargas milczał przez jakiś czas.

– Vargas, ja wiem, co sobie robię.

– Skoro pani tak uważa.

– Gdzie pan jest?

- W Vallvidrerze, czekam na policję i sędziego, żeby sporządzili protokół.
- I co im pan powiedział?
- Że udałem się do domu Mataixa, żeby wyjaśnić sobie parę wątpliwości, i spotkała mnie niespodzianka.
- I uwierzyli panu?
- Nie, ale mam w komendzie jeszcze paru dobrych przyjaciół.
- A co zamierza im pan powiedzieć o zwłokach?
- Że ich nie rozpoznaję, bo nigdy wcześniej nie widziałem denata. Co zresztą jest prawdą, ponieważ.
- A pańscy przyjaciele wiedzą, że został pan wyłączony ze sprawy?
- Bardzo możliwe, że dowiedzieli się o tym przede mną. Tu kopia dołki lepiej niż piłkę.
- Jak tylko zidentyfikują zwłoki, natychmiast powiadomią o tym Madryt. I oczywiście Leandra.
- Co nam daje parę godzin przewagi – oszacował Vargas. – Przy odrobinie szczęścia.
- Czy Fermín coś panu powiedział? – spytała Alicja.
- Same złote myśli. Ale ponadto mówił, że jest mu pani winna rozmowę.
- Wiem. A powiedział panu, czego miałyby dotyczyć?
- Można rzec, że się zaprzyjaźniliśmy, ale nie do tego stopnia. Odnoszę wrażenie, że Fermín bierze panią za kogoś ze swojej przeszłości.
- No dobrze, a co teraz robimy?
- Kiedy sędzia sporządzi protokół, będę towarzyszył zwłokom do kostnicy, a gdyby mnie pytano po co, to powiem, że to stanowi część mojego śledztwa. Lekarza sądowego znam z czasów służby w Leganés. Porządny facet. Zobaczę, co uda mi się ustalić.
- Przesiedzi pan tam całą noc.
- Co najmniej. Utnę sobie drzemkę w prosektorium. Na pewno udostępnią mi jakiś stół. – Vargas silił się na dowcip. – Lekarze sądowi mają duże poczucie humoru.
- Niech pan uważa na siebie. I proszę dzwonić, jak tylko czegoś się pan

dowie.

– O mnie proszę się nie martwić. A pani niech się trochę prześpi i wypocznie.

Vargas odłożył słuchawkę i podszedł do baru. Uniósł filiżankę chłodnej już kawy i wypił ją jednym haustem.

– Podać jeszcze jedną?

– A może rzeczywiście? Z mlekiem.

– Ciasteczko na okraszenie wieczoru? Firma stawia. Jutro będą już do wyrzucenia.

– Dawaj pan.

Vargas oderwał rożek sponiewieranego croissanta i przyjrzał mu się pod światło, zastanawiając się, czy spożycie o tej porze podobnego świństwa nie przysporzy mu nazajutrz zbyt przykrych dolegliwości. Chusco bez najmniejszych skrępowań żywnościowych, jak zresztą cały jego gatunek, bacznie mu się przypatrywał, oblizując się już na samą myśl. Vargas upuścił kawałek croissanta, Chusco chapnął go w locie i obdarzył Vargasą dyszeniem dozgonnej wdzięczności.

– Niech pan lepiej uważa, bo później nie będzie się pan mógł od niego uwolnić – ostrzegł kelner.

Vargas znów wymienił spojrzenie ze swym nowym przyjacielem. Poczęstował go resztką croissanta, którą Chusco połknął na raz. Na tym pieskim świecie, pomyślał Vargas, kiedy dopada cię starość i szwankuje ci nawet zdrowy rozsądek, odrobina życzliwości albo litości jest ucztą bogów.

Dziewięćdziesiąt przyobiecanych przez Linaresa minut przemieniło się w dwie dłużące się godziny. W końcu Vargas ujrzał światła policyjnego radiowozu i furgonetki z prosektorium, rozcinające mgłę w trakcie podjeżdżania pod górę. Zapłacił rachunek, nie żałując napiwku, i wyszedł na dwór, by tam czekać na ekipę i zapalić papierosa. Linares nie wysiadł z samochodu. Otworzył okienko i dał znak Vargasowi, żeby zajął miejsce obok niego na tylnym siedzeniu. Kierowcą był jeden z ludzi Linaresa. Przednie miejsce pasażera zajmował okrągłutki jegomość z posępną miną, okutany w płaszcz.

– Dobry wieczór, panie sędzio – przywitał się Vargas.

Sędzia nie raczył odpowiedzieć czy choćby zareagować na obecność Vargasa w samochodzie. Linares spojrział porozumiewawczo na przyjaciela i uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

– Dokąd jedziemy? – spytał.

– Niedaleko. Na Carretera de las Aguas.

Gdy ruszyli ku skrzyżowaniu, od którego mieli skręcić na właściwą już drogę, Vargas spojrział kątem oka na starego druha. Dwadzieścia lat w służbie zrobiło z Linaresem swoje, a nawet więcej.

– Dobrze się trzymasz – skłamał.

Linares zaśmiał się pod nosem. Vargas zderzył się ze spojrzeniem sędziego w lusterku wstecznym.

– Panowie są starymi przyjaciółmi? – spytał sędzia.

– Vargas nie ma przyjaciół – odparł Linares.

– Mędrzec z pana – zawyrokował sędzia.

Vargas prowadził kierowcę ścieżką cieni kreślących drogę, póki reflektory samochodu nie oświetliły ogrodzenia domu Mataixów. Furgonetka z prosektorium jechała tuż za nimi. Wysiedli z samochodu, a sędzia odszedł parę kroków, żeby przyjrzeć się sylwetce osłoniętego drzewami domu.

– Ciało jest w piwnicy – poinformował Vargas. – W basenie. Leży tam od dwóch, może trzech tygodni.

– W dupę jeża – skwitował informację jeden z obsługi prosektorium, wyglądający na nowicjusza.

Sędzia podszedł do Vargasa i popatrzył mu głęboko w oczy.

– Linares mówi, że natrafił pan na ciało podczas prowadzenia śledztwa.

– Tak jest, panie sędzio.

– I że nie może pan go zidentyfikować.

– Nie mogę, panie sędzio.

Sędzia spojrział na Linaresa, który pocierał skostniałe od zimna ręce. Drugi mężczyzna z obsługi, bardziej doświadczony, o nieprzeniknionym wyrazie twarzy, podszedł do nich i zapytał:

– Cały czy w kawałkach?

– Proszę?

– Nieboszczyk.

– Cały. Tak mi się wydaje.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Manolo, duży wór, bosak i dwie łopaty – rozkazał swemu pomocnikowi.

Pół godziny później dwaj pracownicy prosektorium wydobyli już zwłoki, sędzia zaś w świetle latarki trzymanej przez podwładnego Linaresa uzupełniał dokumenty rozłożone na dachu samochodu. Linares przystanął obok starego przyjaciela. Obaj w milczeniu przyglądali się, jak pracownicy prosektorium walczą, żeby unieść i wcisnąć do furgonetki ciało o wiele cięższe, niż myśleli. W trakcie przymiarek i kolejnych prób uderzyli przypuszczalnie głową zmarłego w furgonetkę, kłócąc się i przeklinając pod nosem.

– Prochem jesteśmy – szepnął Linares. – Jeden z naszych?

Vargas upewnił się, że sędzia jest na tyle daleko, że nic nie usłyszy.

– Coś jakby. Będę potrzebował trochę czasu.

Linares spuścił wzrok.

– Dwanaście godzin góra. Nie mogę ci dać więcej.

– Hendaya...

Linares przytaknął.

– Manero jest w prosektorium?

– Czeka na ciebie. Uprzedziłem go, że się tam wybierasz.

Vargas uśmiechnął się w podziękowaniu.

– Jest coś, co powinienem wiedzieć? – spytał Linares.

Vargas pokręcił głową.

– Jak tam Manuela?

– Gruba jak beczka, wykapana mamusia.

– Zawsze takie lubieś.

Linares przytaknął z całą powagą.

– Pewnie już mnie nie pamięta? – kokieteryjnie zapytał Vargas.

– Z imienia i nazwiska bez wątpienia, choć nadal mówi o tobie per ten skurwysyn. Ale z czułością.

Vargas poczęstował przyjaciela papierosem. Ten odmówił.

– Linares, co się z nami stało?

Ten wzruszył ramionami.

– Hiszpania chyba.

– Z drugiej strony, mogliśmy skończyć gorzej. Na przykład w worku.

– I na to przyjdzie czas.

18

Nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, że ma ogon. Niemniej gdy skręcił za rogiem, by następnie iść prosto aleją ku katedrze, rzucił wzrokiem za siebie i zobaczył ich. Od momentu, kiedy opuścił komisariat, szło za nim dwóch tajniaków. Przyspieszył kroku, schodząc jednocześnie na bok, by skryć się nieco w cieniu bram. Przemykając się tak, dotarł na koniec alei. Tam zatrzymał się na chwilę, osłaniany markizą nieczynnej kawiarni. Szybko stwierdził, że wysłani przez Hendayę tajniacy wciąż są na jego tropie. Nie miał zamiaru doprowadzać ich do swojego domu, a tym bardziej do Alicji, postanowił więc zorganizować im wycieczkę po nocnej Barcelonie w nadziei, że w pewnym momencie stracą z oczu przynętę, już to przypadkiem, już to ze zmęczenia, a może nawet dzięki zmyślnemu fortelowi.

Ruszył w stronę PuertaFerrisa samym środkiem alei, wystawiając się na cel niczym tarcza na strzelnicy. Ulica o tej porze była praktycznie pusta, a Fernandito szedł niespiesznie, mijając się z rzadka z jakimś pijaczną, nocnym stróżem na służbie i z niezawodnymi duszami zatraconymi, zawsze krążącymi po ulicach Barcelony do pierwszych godzin porannych. Za każdym razem, gdy dyskretnie oglądał się za siebie, wciąż widział psy gończe Hendai, podążające za nim ciągle w tej samej odległości niezależnie od tego, czy przyspieszał, czy zwalniał kroku.

Kiedy dotarł do Rambli, przez chwilę miał ochotę rzucić się przed siebie ile sił w nogach i spróbować zgubić się w uliczkach Ravalu, ale uznał, że taki ruch zdradziłby go, z drugiej zaś strony, mając widome dowody sprawności obu zbirów, uznał, że marne są szanse na udaną ucieczkę. Szedł więc dalej Ramblami, aż dotarł do głównej bramy targowiska La Boquería, przy której stało już sporo samochodów dostawczych. W świetle rozwieszonych w środku hali targowej girland żarówek mrowie tragarzy rozładowywało skrzynie i układało towar, przygotowując stragany na następny dzień. Fernandito, nie zastanawiając się zbyt długo, natychmiast zagłębił się w labirynt skrzyń i pudeł. Jego sylwetka szybko zniknęła pomiędzy dziesiątkami pracowników krążących po korytarzach targowiska. Gdy tylko poczuł, że znalazł się poza zasięgiem wzroku depczących mu po piętach tajniaków, rzucił się ku zapleczu hali. Z każdym krokiem otwierało się nad nim ogromne sklepienie targowiska niczym katedra sztuki wykwintnego jada, w której zgromadziły się wszystkie smaki, wonie i kolory gotowe zaspokoić apetyt miasta.

Szybko omijał piramidy owoców i warzyw, stosy przypraw i konserw, skrzynie pełne lodu i galaretowatych, jeszcze ruszających się stworzeń. Prześlizgiwał się pomiędzy zwisającymi z haków krwawymi szczątkami, ścigany przekleństwami rzeźników, tragarzy i straganiarek w gumowcach. Wreszcie znalazł się na placyku wypełnionym stosami wyładowanych skrzyń i pudeł. Przyczał się za wieżą zbudowaną z pustych opakowań, by z ukrycia obserwować tylne wyjście hali targowej. Upłynęło niemal pół minuty, a tajniaków nie było. Fernandito odetchnął głęboko i pozwolił sobie na uśmiech ulgi. Ale jego radość okazała się przedwczesna, bo obaj policjanci pojawili się jednak na zapleczu hali i zaczęli rozglądać się bacznie po placyku. Fernandito dał nura w cień i szybko prześlizgnął się ku uliczce okalającej dawny szpital Santa Cruz.

Wpadł na nią tuż za rogiem: farbowana blondyna o twarzy bezlitosnej madonny, z piekielnym karminem na ustach, w spódnicy opiętej do granic możliwości.

– Witaj, skarbie – zaintonowała słodziutko. – A nie powinienes, chłopczyku, siadać teraz do śniadanka, a potem iść do szkoły?

Fernandito otaksował dziewczynę, a przede wszystkim szansę na schronienie, jakie się kryło za jej plecami, a dokładniej za pobliskimi drzwiami. Lokal mieszczący się za nimi wyglądał na tyle obskurnie, że

odstręczał od przekroczenia progu. Jegomość o melancholijnym obliczu pełnił funkcję recepcjonisty w stróżówce nie większej od konfesjonau.

– Ile? – zapytał Fernandito, kątem oka obserwując koniec zaułka.

– To zależy od usługi. Dziś akurat mam ofertę specjalną dla ministrantów i dzieciaczków ssących pierś, bo jeśli chodzi o pierś...

– Zgoda – uciął chłopak.

Dziewczyna uznała, że prezentacja ofert dobiegła końca, wzięła więc chłopaka pod ramię i pociągnęła go ku schodom. Klient ledwie postawił trzy kroki, a już się zatrzymał i obejrzał za siebie, być może z bojaźni tkwiącej w każdym złotodziobie albo zniechęcony zapachami dochodzącymi z wnętrza pomieszczeń. Dama, obawiając się, że będzie stratna, a i tak w tę noc już była do tyłu, namiętnie wtuliła się w Fernandita i szepnęła mu do ucha lubieżnym tonem, co zawsze w obcowaniu z niezdecydowanymi młokosami skutkowało pożądanym efektem:

– Chodź, mój gołąbeczku, nie ociągaj się, urządzę ci taką studniówkę, że odpuścisz sobie bal maturalny – przyrzekła.

Przeszli obok stróżówki. Recepcjonista, nie zatrzymując ich nawet, podał im niezbędnik, czyli zestaw zawierający mydło, prezerwatywy i parę innych potrzebnych drobiazgów. Fernandito szedł za swoją wynajętą Wenus, nie tracąc z oczu drzwi wejściowych. Gdy pokonali skręt schodów i dotarli na pierwsze piętro, prostytutka obrzuciła Fernandita wzrokiem pełnym niepokoju.

– Widzi mi się, że strasznie się gdzieś spieszysz – powiedziała.

Fernandito westchnął, ona zaś spojrzała w jego niespokojne oczy. Ulica jest nieuchronną szkołą psychologii, a doświadczenie nauczyło ją, że jeśli klient nie jest napalony na samą myśl o czekających go cudach rozpasania i wzlotach rozkoszy, to całkiem możliwe, że się wycofa, gdy przekroczy próg obscurnego pokoju, który służył jej za stanowisko pracy. Albo jeszcze gorzej, że przejdzie mu chętka, zanim zdejmie portki, i pójdzie sobie precz, rezygnując ze spełnienia swych oczekiwań i nie uiszczając uzgodnionego honorarium.

– Słuchaj, serdeńko, w tych sprawach pośpiech nie jest dobrym doradcą, tym bardziej w twoim wieku, bo zapewniam cię, że już niejeden uleciał do nieba bram ledwie muśnięty tymi radosnymi pierściami. Musisz to smakować jak ciasteczko ze śmietaną. Kęs po kęsie.

Fernandito bąknął coś, co kurtyzana wolała uznać za wyraz kapitulacji wobec nieodpartych walorów jej jędrnego ciała. Pokój znajdował się na końcu wąskiego korytarza. Po drodze chłopak miał sposobność doznać przeróżnych wrażeń słuchowych, zza kolejnych drzwi dochodziło bowiem już to sapanie, już to dyszenie, już to skrzypienie. Jakiś grymas na twarzy musiał zdradzić jego nikłe obycie i braki w kulturze.

– Pierwszy raz? – zapytała panienka, otwierając drzwi i puszczając go przodem.

Chłopak przytaknął wylękniony.

– Nie zamartwiaj się, akurat nowicjusze to moja specjalność. Przez mój gabinet przeszła połowa paniczyków z dobrych barcelońskich rodzin, żeby odbyć kurs samodzielnego zmieniania sobie pieluszek. Wchodź.

Fernando rzucił okiem na swój czasowy azyl. Wyglądał gorzej, niż się spodziewał.

Izdebka była kwintesencją brudu, ubóstwa i smrodu bijącego spod farby łuszczącej się wskutek wilgoci nieznanego pochodzenia. W pomieszczeniu udającym otwartą na sypialnię łazienkę, pod okienkiem, przez które sączyła się ołowiana jasność, obok umywalki w kolorze ochry, stała muszla klozetowa bez deski. Rury wydawały z siebie przedziwną melodię pełną gulgotów i ciurkania, która mogła uskrzydlać wszystko, tylko nie miłosne porywy. Stojąca przy łóżku miednica znaczących rozmiarów nasuwała na myśl tajemnice, których lepiej było nie tykać i nie ujawniać. Łóżko składało się z metalowej ramy i z materaca, który był biały z piętnaście lat temu. Leżały na nim poduszki po przejściach.

– Może będzie lepiej, jak sobie pójde do domu – zaproponował Fernandito.

– Spokojnie, chłopcze, teraz nadchodzi najlepsze. Ani się obejrzysz, jak uznasz, że apartament nowożeńców w Ritzu nie ma prawa się z tym wszystkim równać.

Prostytutka poprowadziła Fernandita do łóżka i popychając, zmusiła go niemal, by usiadł. Widząc, że klient nie broni się przed popychaniem i szturchańcami i grzecznie zajmuje miejsce, dziewczyna uklękła przed nim i uśmiechnęła się z dotąd niewidoczną spod warstwy makijażu czułością i z przejmującym smutkiem w oczach. Kupiecki odruch całkowicie zniweczył tę odrobinę poezji barokowo-proletariackiej, jaką Fernandito chciał przez

chwilę w niej widzieć. prostytutka patrzyła wyczekująco.

– Kochanie, nie zatankujesz, nie pojedziesz.

Fernandito kiwnął głową. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął portfel. Oczy dziewczyny zapłonęły z pożądania. Wyjął wszystkie pieniądze, jakie miał, i nie przeliczając ich, wręczył kobiecie.

– Więcej nie mam. Może być?

Panienska odłożyła pieniądze na stolik i spojrzała mu w oczy z wystudiowaną słodyczą.

– Jestem Matilde, ale możesz się do mnie zwracać, jak ci się żywnie podoba.

– A jak się do pani zwracają?

– Wedle życzenia. Dziwko, kurwo, ścierwo albo imieniem żony lub matki... Kiedyś jakiś skruszony seminarzysta powiedział mi *meter* albo coś podobnego. Ja myślałam, że chodzi mu o jakiś metr, ale okazało się, że to matka po starogrecku.

– Ja jestem Fernando, ale wszyscy mówią do mnie Fernandito.

– A teraz powiedz mi szczerze, Fernandito, byłeś już kiedyś z kobietą?

Przytaknął bez przekonania. Zły znak.

– Wiesz, z czym to się je?

– Prawdę mówiąc, to ja chcę tu tylko trochę posiedzieć. Nie musimy nic robić.

Matilde zmarszczyła brwi. Ci pokręcenie to był najgorszy sort. Zdecydowana, by jednak wyprostować sytuację, rozpięła mu pasek i zaczęła zdejmować spodnie. Fernandito powstrzymał ją.

– Nie bój się, kochany.

– Ja się nie pani boję, pani Matilde.

Matilde znieruchomiała i przyjrzała mu się badawczo.

– Ktoś cię śledzi?

Fernandito przytaknął.

– Rozumiem. Policja?

– Chyba tak.

Kobieta wstała i usiadła obok niego.

– Na pewno nic nie chcesz?

– Tylko posiedzieć jakiś czas. Jeśli można.

– Nie podobam ci się?

– Nie, nie, to nie tak. Pani jest bardzo atrakcyjną kobietą.

Matilde zaśmiała się pod nosem.

– A jest taka dziewczyna, która ci się podoba?

Fernandito nie odpowiedział.

– Na pewno jest. No już, daj spokój, powiedz, jak ma na imię twoja narzeczona.

– To nie jest moja narzeczona.

Matilde przyglądała mu się pytająco.

– Ma na imię Alicja – powiedział Fernandito.

Dłoń kobiety spoczęła na jego udzie.

– Na pewno umiem robić to, czego nie potrafi twoja Alicja.

Fernandito zdał sobie sprawę, że nie ma najmniejszego pojęcia o tym, co Alicja potrafi lub czego nie potrafi robić, choć ta niewiedza nie wynikała z braku ewentualnych domysłów. Matilde obserwowała go z ciekawością. Wyciągnęła się na łóżku i ujęła jego dłoń. Fernandito przyjrzał jej się w świetle anemicznej żarówki przydającej dziewczynie żółtawej karnacji. Matilde była dużo młodsza, niż sądził, zaledwie jakieś cztery lub pięć lat starsza od niego.

– Jeśli chcesz, to mogę cię nauczyć, jak się pieści dziewczynę.

Fernandito zakrztusił się własną śliną.

– Ja już wiem, jak to się robi – wystękał bez przesadnego wigoru.

– Żaden mężczyzna nie wie, jak się pieści dziewczynę, duszko moja. Uwierz mi. Nawet ten najbardziej doświadczony ma palce jak kolby kukurydzy. Chodź, połóż się obok mnie.

Fernandito wahał się.

– Rozbierz mnie. Powolutku. Im wolniej rozbiera się dziewczynę, tym

szybciej się ją zdobywa. Wyobraź sobie, że jestem Alicją. Pewnie nawet jestem trochę do niej podobna.

Jak dwie krople wody, pomyślał Fernandito. A jednak obraz Alicji leżącej obok niego na łóżku, z rękoma założonymi pod głowę, zamglił mu wzrok. Fernandito zacisnął pięć, żeby powstrzymać drżenie.

– Alicja nie musi nic wiedzieć. Zachowam to w tajemnicy. No chodź.

19

W mrocznym rogu, gdzie miła ulica Hospital przestaje być miła, stoi ocieniony budynek, do którego chyba nigdy nie dotarł najmniejszy choćby promień słońca. Wejścia bronią żelazne drzwi, na których nie ma żadnej tabliczki ani wskazówki informującej, co się kryje we wnętrzu. Policyjny samochód zatrzymał się przed wejściem do budynku. Vargas i Linares stanęli przed drzwiami.

– Naprawdę ten nieszczęśnik wciąż tu pracuje? – spytał Vargas.

– Nie sądzę, żeby opędał się od ofert proponujących mu zmianę miejsca – skwitował Linares, naciskając dzwonek.

Czekali prawie minutę. Wreszcie drzwi się otworzyły. Przywitało ich gadzie spojrzenie osobnika o żalonym wyglądzie, który mimo mało przyjaznego wyrazu twarzy wpuścił obu policjantów.

– Miałem pana za umarłego – przywitał się, poznawszy Vargasa.

– Również za panem tęskniłem, Braulio.

Najstarsi funkcjonariusze już wiedzieli o istnieniu Braulia, kulawego homunkulusa o skórze przetrawionej formaliną, który służył jako ordynans i asystent lekarza sądowego i robił za oficjalną duszę pokutującą tego miejsca. Złe języki zapewniały, że wegetował w piwnicach prosektorium, z brudu i smrodu czyniąc sztukę, i starzał się, za cały majątek mając pryczę pełną pcheł i jedno i to samo ubranie, w którym w wieku szesnastu lat trafił do zakładu.

– Pan doktor czeka na panów.

Vargas i Linares podążyli za nim ciągiem wilgotnych i tonących w zielonkawym półcieniu korytarzy prowadzących do wnętrza prosektorium. Czarna legenda tego miejsca głosiła, że Braulio znalazł się tu trzydzieści lat temu po tym, jak przy targowisku San Antonio przejechał go tramwaj, gdy uciekał z miejsca przestępstwa, po nieudanej kradzieży chuderławej kury albo też kilku halek czy kombinacji – wersje były różne. Kierowca karetki, który go zabrał po wypadku, zobaczywszy zlepek członków zasupłanych w przedziwny węzeł, uznał go za zmarłego. Wrzucił ciało do karetki, jakby było workiem śmieci, i zatrzymał się przy jednej z knajpek przy ulicy Comercio na kilka lampeczek wina z kolegami. Dopiero później przekazał zmaltretowaną masę zakrwawionych kości do prosektorium policyjnego na Ravalu, bo mu było bardziej po drodze niż do prosektorium szpitala Clínico. Kiedy lekarz sądowy przymierzał się do wbicia skalpela, by rozplatać denata od góry do do-łu, ten szeroko otworzył oczy i skoczył na równe nogi. Przypadek ten został ogłoszony cudem narodowego systemu służby zdrowia i odbił się szerokim echem w prasie lokalnej, bo rzecz miała miejsce w samym środku lata i gazety prześcigały się w publikowaniu ciekawostek i głupstewek ułatwiających znoszenie skwarów. „Nieszczęśnik, który był o krok od śmierci, cudem przywrócony do życia”, ogłosił „El Noticiero Universal” na pierwszej stronie.

Sława i chwała Braulia okazały się jednak efemeryczne, współgrając z frywolnością tamtych czasów, rozniosło się bowiem, że niedoszły denat jest brzydki jak śmierć i cierpi na chroniczne wzdęcia, bo jelita ma po wypadku bardziej pokręcone niż kłębowisko żmij. Czytająca publiczność, chcąc nie chcąc, musiała więc szybko o nim zapomnieć, by ponownie skupić swoją uwagę na życiu szansonistek i gwiazd futbolu. Biedny Braulio, posmakowawszy miodu sławy, nie zniósł najlepiej powrotu do najbardziej nikczemnej anonimowości. Myślał nawet o odebraniu sobie życia przez zjedzenie niewyobrażalnej liczby nieświeżych pączków, ale w chwili mistycznego olśnienia, doznanego na desce klozetowej w trakcie ostrego zapalenia okrężnicy, ujrzał światło i zrozumiał, że Pan w swym niezgłębionym zamysle wyznaczył mu egzystencję pośród ciemności w służbie *rigor mortis* i pokrewnych.

Z czasem ludowa mistyka komisariatu zrodziła z nudów tasiemcową balladę podwórkową wokół postaci, przypadków i cudów Braulia,

adoptowanego w swojej przerwanej podróży z jednego do drugiego świata przez duszę złośliwą, która opierała się przed zstąpieniem do piekieł, bo świetnie czuła się w Barcelonie lat trzydziestych, najbardziej, zdaniem znajdujących się na rzeczy, do nich podobnej.

– I co, nadal nie przygruchał pan sobie żadnej narzeczonej? – spytał Linares. – Dzięki tym perfumom o nieodpartej woni zjełczałej kaszanki pewnie pchają się drzwiami i oknami.

– Nie mam co narzekać, narzeczonych mam od pyty – odpowiedział Braulio, puszczając oko powieką słabowitą i zsiniałą, bardziej podobną do łaty. – A spokojniutkie jak trusie.

– Przestańże pan wygadywać świństwa i przywieź pan ciało – wydał polecenie głos z ciemności.

Usłyszawszy szefa, Braulio ruszył w te pędy. Vargas dostrzegł sylwetkę doktora Andresa Manero, lekarza sądowego i starego druha w wielu potyczkach. Manero podszedł i podał mu rękę.

– Są tacy, których widuje się jedynie na pogrzebach, ale pan nawet i z tego się wypisał: już tylko autopsje pan sobie zostawił oraz podobne gry i zabawy – powiedział doktor.

– To oznaka, że żyjemy.

– Niech pan mówi za siebie, Vargas, pan naprawdę kwitnie. Kiedy widzieliśmy się ostatni raz?

– Co najmniej pięć albo i sześć lat temu.

Manero przytaknął, uśmiechając się. Pomimo nikłego oświetlenia w sali Vargas dostrzegł, że przyjaciel zestarzał się ponad miarę. Niebawem dało się słyszeć kulejący krok Braulia popychającego nosze na kółkach. Zwłoki przykryte były płótnem, które przywarło do ciała i w zetknięciu z wilgocią stawało się przezroczyście. Manero podszedł do noszy i uniósł część całunu zakrywającego twarz. Nie było po nim widać żadnej reakcji, ograniczył się jedynie do spojrzenia na Vargasa.

– Braulio, proszę zostawić nas samych.

Pomocnik niezadowolony ściągnął brwi.

– Pan doktor mnie nie potrzebuje?

– Nie.

– Ale ja myślałem, że będę pomagał w...

– To źle pan myślał. Niech pan wyjdzie na chwilę na papieroska.

Braulio obdarzył Vargasa nienawistnym spojrzeniem, nie ulegało bowiem wątpliwości, że to właśnie on był winien temu, że nie mógł brać udziału w nadchodzącej zabawie. Vargas odpłacił mu pięknym za nadobne i pokazał wyjście.

– Szybciej, Braulio – rozkazał Linares. – Słyszał pan pana doktora. I proszę wziąć gorącą kąpiel oraz postarać się w miarę możliwości zdrapać brud z części wstydliwych, nie żałując ługu i pumeksu, raz do roku to nie boli. A tę ostatnią złotą myśl weź pan sobie w prezencie.

Braulio odszedł, nie kryjąc wzburzenia. Mełł w zębach przekleństwa. Manero, uznawszy, że na dobre uwolnili się od jego osoby, odkrył ciało i zapalił wiszącą pod sufitem czaszę regulowanych lamp. Białe światło zarysowało kontur ciała. Linares przybliżył się pierwszy i rzuciwszy okiem na zwłoki, ciężko westchnął.

– Boże święty...

Odwrócił się i podszedł do Vargasa.

– Czy to ten, na którego wygląda? – szepnął.

Vargas wytrzymał jego spojrzenie, nic nie mówiąc.

– Tego nie będę mógł zamieść pod dywan – powiedział Linares.

– Rozumiem.

Linares spuścił głowę, mamrocąc coś niepoehlebnego pod nosem.

– Czy jest jeszcze coś, co mógłbym dla ciebie zrobić? – zapytał.

– Zawsze możesz zdjąć mi ogon.

– Nie nadążam.

– Ktoś mnie śledzi. Jeden z twoich ludzi.

Linares przyjrzał mu się badawczo, a uśmiech znikł mu z ust.

– Nikt ode mnie cię nie śledzi.

– To znaczy, że to facet od kogoś wyżej.

Linares pokręcił głową.

– Gdyby rzeczywiście ktoś to robił, nieważne, mój czy nie mój, tobym wiedział.

– Młodziak, beztalencie. Konus, żółtodziób. Rovira ma na nazwisko.

– Jedyne Rovira, jaki u nas pracuje, siedzi w archiwum, ma sześćdziesiąt lat, a w nogach tyle żelastwa, że spokojnie mógłby otworzyć skład złomu. Biedak nie zdołałby iść za własnym cieniem, nawet gdyby mu płacili.

Vargas ściągnął brwi. Z twarzy Linaresa biło rozczarowanie.

– Wiesz co, Vargas, o wiele rzeczy można mnie podejrzewać, ale akurat nie o to, że przyjacielowi zadam cios w plecy – powiedział.

Kapitan chciał coś odpowiedzieć, ale Linares uniósł dłoń, dając mu znak, żeby milczał. Mleko już się wylało.

– Masz czas do południa. Później będę musiał złożyć raport. Dobrze wiesz, że rozejdzie się niezły smród – powiedział, kierując się ku wyjściu. – Dobrej nocy, doktorze.

Braulio, przycupnięty w cieniach zaułka okalającego budynek prosektorium, obserwował oddalającą się w noc postać Linaresa. Jeszcze cię dorwę, skurwysynu, powiedział sobie. Wcześniej czy później wszystkie te kogutki, które przysły na świat, żeby go obrażać, kończyły jak cała reszta: kawał spuchniętego ciała rozłożonego na marmurowej płycie i wystawionego na łaskę dobrze naostrzonej stali i widzimisię tego, który potrafił się nią posługiwać. On zaś był tutaj, by sprawić im pożegnanie, na jakie zasłużyli. Nie pierwszy to raz i pewnie nie ostatni. Ci, którzy sądzą, że śmierć jest ostatnią nikczemnością, jaką obdarza nas życie, są w błędzie. Za kulisami po opadnięciu kurtyny czekała szeroka gama szyderstw i upokorzeń, a zacny Braulio zawsze tam był, by w swej galerii trofeów zachować jedno lub dwa wspomnienia, a jednocześnie upewnić się, że każdy przekracza próg wieczności z odpowiednią zapłatą. Na Linaresa zagiął parol już od dawna. A i o jego kumplu Vargasie nie zapomniał. Nic tak nie podtrzymuje pamięci jak zapiekła uraza.

– Wyluzuję cię z kości jak kaczkę i zrobię sobie z nich breloczek do kluczy, ty ciulu – wycedził. – Szybciej niż się spodziewasz.

Przyzwyczajony do słuchania tylko siebie samego, acz nigdy tym nieznudzony, Braulio uśmiechnął się z satysfakcją i postanowił uczcić

szczęście sprzyjające jego przemyślności zapaleniem papierosa, by nieco rozgrzać się w panującym o tej porze chłódzie. Pomacał kieszenie płaszcza odziedziczonego po nieboszczyku o inklinacjach antypaństwowych, który przeszedł przez szlaban parę tygodni temu w stanie wskazującym, że w Komendzie Głównej są jeszcze artyści znający swój fach. Paczka celtów była pusta. Braulio schował ręce głęboko w kieszenie i przyjrzał się dymkom swego oddechu. Za to, co zapłaci Hendaya, kiedy mu Braulio opowie, co przed chwilą widział, będzie sobie mógł kupić ileś tam kartonów celtów i jeszcze nawet flakonik delikatnej wazeliny, tej perfumowanej, takiej, jaką sprzedają w drogerii Genara el Chino. Bo niektórych klientów trzeba było traktować z odpowiednią klasą.

Echo rozbrzmiewających w ciemnościach kroków wyrwało go z marzeń. Wyteżył wzrok i w fałdach mgły zobaczył postać podążającą w jego kierunku. Braulio cofnął się i zderzył z drzwiami wejściowymi. Nocny gość nie wydawał się wyższy od niego, ale był tak dziwnie opanowany i zdecydowany, że Braulioowi zjeżyły się cztery włoski dotąd zwisające z karku. Mężczyzna stanął przed nim i wyciągnął otwartą paczkę papierosów.

– To pan jest zapewne don Braulio – powiedział.

Nigdy w życiu nikt nie zwrócił się do niego per „pan” czy też „don” i Braulio spostrzegł, że wcale mu się nie podoba poufały ton nieznajomego.

– A kim pan jest? Hendaya pana przysyła?

Gość uśmiechnął się jedynie i uniósł paczkę ku twarzy Braulia, który poczęstował się papierosem. Mężczyzna wyciągnął zapalniczkę i podał Braulioowi ogień.

– Dzięki – mruknął Braulio.

– Nie ma za co. Proszę mi powiedzieć, don Braulio, kto tam jest w środku?

– Parę zimnych trupów, bo i co innego tu może być...

– Pytam o żywych.

Braulio się zawahał.

– To znaczy, że to Hendaya pana przysyła, co nie?

Nieznajomy przyglądał mu się, nie przestając się uśmiechać. Braulio przełknął ślinę.

– Lekarz sądowy i policjant z Madrytu.

– Vargas?

Braulio przytaknął.

– No i jak?

– Proszę?

– Papieros. I jak?

– Wyborny. Z importu?

– Jak wszystko, co dobre. Ma pan klucze, prawda, don Braulio?

– Klucze?

– Klucze do prosektorium. Obawiam się, że będę ich potrzebował.

– Hendaya nic nie mówił o przekazywaniu komukolwiek kluczy.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

– Zmiana planów – odparł, wkładając rękawiczki z leniwą pedantycznością.

– Zaraz. Co pan robi?

Błysk stali trwał zaledwie ułamek sekundy. Braulio poczuł, jak ostrze noża, najostrzejszy chłód, jaki poznał w swym nędznym życiu, zagłębia się w jego trzewia. Z początku nawet nie odczuł bólu, a jedynie pełną świadomość i coraz większe osłabienie, w miarę jak ostrze przedzierało się przez wnętrze. A później, kiedy nieznajomy ponownie zadał mu cios, zanurzając nóż po rękojeść w podbrzusze, i pociągnął w górę, Braulio miał wrażenie, że chłód zamienia się w ogień. Hak rozpalonego do białości żelaza torował sobie drogę ku jego sercu. Gardło zalało się krwią, tłumiąc krzyki, podczas gdy nieznajomy włókł go do zaułka i ściągał pęk kluczy, który Braulio miał przytroczone do pasa.

Musiał przejść kilka tonących w półmroku korytarzy, żeby w końcu dotrzeć do tego, który prowadził do sali autopsji. Zielona poświata przenikała przez pręty drzwi. Z tego miejsca można było dosłyszeć głosy dwóch mężczyzn. Rozmawiali jak bardzo starzy znajomi, rozumieli się w pół słowa, żartowali co i raz, by praca nie była tak nużąca. Wspiął się na palcach i zajrzał przez wieńczącą drzwi okrągłą szybkę z barwnego szkła. Przypatrzył się Vargasowi, który siedział na jednym z marmurowych blatów, i lekarzowi pochylonemu nad zwłokami. Wysłuchał, jak doktor szczegółowo relacjonuje wyniki swojej pracy. Nie mógł powstrzymać uśmiechu wobec przemyślności, z jaką lekarz ujawniał detale ostatnich chwil Lomany, złego słowa nie mówiąc o finezyjności ciosu, precyzji, z jaką przecięte zostały arterie i tchawica tego patałacha, żeby zobaczyć, jak umiera na kolanach, z przerażeniem w oczach i z krwią tryskającą spośród palców. Pomiędzy mistrzami sprawą honoru było z uznaniem traktować robotę wykonaną jak trzeba.

Lekarz opisał również uderzenia, które morderca zadał w klatkę piersiową, kiedy Lomana złapał się jego nóg i trzymał ich kurczowo, starając się uchronić przed zepchnięciem do basenu. W płucach agenta nie było wody, tłumaczył doktor, tylko krew. Lomana utopił się we własnej krwi, zanim utonął w cuchnących wodach. Lekarz był człowiekiem doświadczonym, profesjonalistą znającym swój fach. Jego klasa wzbudzała szacunek i podziw. Mało było takich. I tylko z tego względu postanowił, że daruje mu życie.

Vargas, szczywany lis, zadawał chytre pytania wskazujące na niezwykłą przenikliwość. Temu zaprzeczyć się nie dało, ale było oczywiste, że miota się na oślep i że poza szczegółami o agonii Lomany wizyta w prosektorium nie da mu żadnych odpowiedzi. Słuchając obu mężczyzn, zastanawiał się, czy odejść i przespać się parę godzin, czy poszukać jakiejś dziwki, która grzałaby mu nogi do rana. Wszystko wskazywało, że Vargas ze swoim śledztwem znalazł się w ślepych zaułku i nie będzie potrzebna żadna interwencja. Rozkazy były koniec końców oczywiste. Żadnego ruchu, chyba że nie będzie innego wyjścia. Wcale nie było to po jego myśli. Starcie z policyjnym wygą byłoby bardzo interesujące, ciekawe, czy kapitan ma w sobie jeszcze dość krzepy, która trzymałaby go przy życiu. Bo najbardziej cenił sobie tych, którzy opierali się przed nieuniknionym. A co do słodkiej Alicji, to jej pozostawiał zaszczyt występu na zakończenie. Z nią będzie mógł cackać się do woli i długo

smakować swoją zapłatę. Wiedział, że Alicja go nie rozczaruje.

Odczekał pół godziny. Lekarz zakończył wreszcie oględziny i poczęstował Vargasa kieliszkiem czegoś mocniejszego, co trzymał w szafce z narzędziami. Rozmowa zesłała na truizmy, jak zwykle gdy spotykają się starzy przyjaciele, których drogi się kiedyś rozeszły: na mało oryginalne uwagi o tym, jak to czas się ciebie nie ima, o przyjaciołach, którzy padli w drodze, i inne banały o starzeniu się. Mocno znudzony już chciał się wycofać i zostawić Vargasa i doktora dryfujących donikąd, kiedy zauważył, że policjant wyciąga z kieszeni jakąś karteczkę i studiuje ją w świetle zwisających z sufitu lamp. Głosy przycichły i zmuszony był przywrzeć mocno uchem do drzwi, żeby coś wyłowić z szeptu obu mężczyzn.

Doktor Manero zauważył, że drzwi do sali lekko się poruszyły.

– Braulio, to pan?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, lekarz westchnął i burknął coś pod nosem.

– Kiedy nie pozwalam mu zostać przy autopsji, chowa się czasami za drzwiami i podsłuchuje – wyjaśnił.

– Nie wiem, jak pan go znosi – powiedział Vargas.

– Wmawiam sobie, że lepiej trzymać go tutaj niż pozwolić mu szlajać się po świecie. W ten sposób przynajmniej mamy na niego oko. Jak naleweczka, smakuje?

– A co to jest? Płyn do balsamowania?

– Nie, płyn to sobie chowam na wesela, Pierwsze Komunie i inne święta w rodzinie mojej żony. To zdradzi mi pan co nieco o tej sprawie? Co robił ten nieszczęśnik Lomana w basenie całkowicie opuszczonej rezydencji w Vallvidrerze?

Vargas wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– No to może przejdę do żywych. Co pan robi w Barcelonie? O ile mnie pamięć nie myli, poprzysiągł pan, że już tu nigdy nie wróci.

– Przysięga, której się nie łamie, nie zasługuje na miano przysięgi.

– A co pan ma tutaj? Sądziłem, że bliższa panu raczej literatura.

Manero wskazał na listę cyfr w dłoni Vargasa.

– No właśnie. Noszę się z tą listą od kilku dni i nawet nie wiem, co ona oznacza.

– Mogę rzucić okiem?

Vargas podał mu listę. Lekarz przyglądał się jej, popijając z kieliszka.

– Miałem na przykład pomysł, że to są numery kont bankowych – przyznał się policjant.

Lekarz pokręcił głową.

– Te cyfry z prawej kolumny z niczym mi się nie kojarzą, ale te z lewej to są świadectwa, jestem tego prawie pewien – powiedział.

– Świadectwa?

– Akty zgonu.

Vargas patrzył na lekarza, nic nie rozumiejąc. Manero wskazał na lewą kolumnę.

– Widzi pan numerację? To zapis według dawnego systemu. Nowy system wprowadzono już lata temu. Ale w tym zapisie widoczny jest jeszcze numer świadectwa, księgi i strony. Te dwa ostatnie dodaje się później, tutaj tworzymy takie numery codziennie. Nawet pański przyjaciel Lomana będzie miał taki już na całą wieczność.

Vargas wypił swój kieliszek jednym haustem i raz jeszcze przyjrzał się liście, jakby chodziło o łamigłówkę, z którą walczy lata całe, a teraz nagle zaczyna ona nabierać sensu.

– A te z prawej kolumny? Wygląda, jakby były ze sobą w jakiejś korelacji, ale sekwencja numerów jest inna. To też mogłyby być świadectwa?

Manero wzruszył ramionami.

– Owszem, tak wyglądają, ale nie są z mojego departamentu.

Vargas westchnął.

– Coś to panu wyjaśnia? – spytał lekarz zaintrygowany.

Policjant przytaknął.

– A gdzie znajdę akta, którym odpowiada dany numer świadectwa?

– Jak to gdzie? Tam, gdzie się wszystko w tym życiu zaczyna i kończy: w Urzędzie Stanu Cywilnego.

21

Wypływająca z łazienkowego okienka strużynka światła była nieomylnym znakiem, że już dzień. Fernandito usiadł na łóżku i spojrzał na Matilde, która zasnęła u jego boku. Wzrokiem popieścił profil jej nagiego ciała i uśmiechnął się. Ona otworzyła oczy i spojrzała na niego pogodnie.

– Co słyhać, artysto? Spokojniejszy już?

– Myślisz, że sobie poszli? – spytał chłopak.

Matilde przeciągnęła się i sięgnęła po swoje ubrania rozrzucone u stóp łóżka.

– Na wszelki wypadek wyskocz przez okienko, które wychodzi na zaułek. Prowadzi do jednego z wejść do hali targowej.

– Dziękuję.

– To ja tobie dziękuję, skarbie. Było ci przynajmniej fajnie?

Fernandito zaczerwienił się, niemniej przytaknął, ubierając się po ciemku. Matilde wyciągnęła rękę po paczkę papierosów, którą zostawiła na stoliczku, i zapaliła jednego. Patrzyła, jak Fernandito ubiera się w pośpiechu, równie niewinny i onieśmielony jak przedtem pomimo nauk otrzymanych w trakcie sesji dydaktycznej. Kiedy już się ubrał, spojrzał na nią i wskazał okienko.

– Tędy?

Matilde skinęła głową.

– Ale ostrożnie, uważaj, żeby sobie nie skrócić karku. Wolałabym, żebyś wrócił do mnie w jednej części. Bo wrócisz, prawda?

– Jasne – skłamał Fernandito. – Jak tylko dostanę wypłatę.

Chłopak wystawił głowę przez okienko i rozejrzał się po wewnętrznym dziedzińcu prowadzącym do wąskiego przejścia, o którym mówiła Matilde.

– O drabinie zapomnij, jest dość chybotliwa, lepiej jak zeskoczysz, młody

jesteś, dasz radę.

– Dzięki. I do widzenia.

– Do widzenia, serdeńko. Szczęścia życzę.

– I tobie też życzę szczęścia – odpowiedział Fernandito.

Już przymierzał się, by przecisnąć się przez okno, kiedy zza pleców dobiegł go głos Matilde.

– Fernando?

– Tak.

– Bądź dla niej dobry. Dla twojej narzeczonej, nie pamiętam imienia. Bądź dla niej dobry.

Gdy tylko Vargas opuścił pomieszczenia prosektorium, poczuł, że wraca do życia po dłuższym interludium w czyścicu. Napitek zaaplikowany przez doktora Manero i przede wszystkim odkrycie, czemu odpowiada połowa numerów z listy, ożywiły go niepomieranie. Niemal nie pamiętał, że już od wielu godzin nie zmrużył oka. Ciało dawało oznaki zmęczenia i gdyby przez chwilę się zastanowił, to pewnie zdałby sobie sprawę, że bolą go wszystkie kości i nawet pamięć mu szwankuje. Jednak nadzieja, że owa świeżo uzyskana informacja doprowadzi go do wyjaśnienia zagadki, trzymała go na nogach i dodawała sił. Przez chwilę rozważał, czy nie wpaść do Alicji, by podzielić się wiadomościami, ale zrezygnował z tego pomysłu nie całkiem przekonany, że lista z numerami świadectw zgonów, którą przypuszczalnie Valls miał przy sobie w swojej sekretnej podróży z Madrytu, wskazuje na konkretny ślad. Wolał się przedtem upewnić. Skierował się w stronę placu Medinaceli, oazy palm i ogrodów pośród chylących się ku ruinie pałaców i mgieł napływających znad doków. Szedł do mieszczących się przy placu biur barcelońskiego Urzędu Stanu Cywilnego, który niebawem miał otworzyć swe podwoje.

Po drodze Vargas wstąpił do Ambos Mundos przy placu Real, gdzie już wydawano śniadania i kawę dzieciom nocy. Siadł przy barku, dał znak kelnerowi o obfitych bokobrodach i z wydatnie wystającą szczęką, i zamówił bułkę z szynką *serrano*, piwo i podwójną kawę z kapką koniaku.

– Z koniaków został mi tylko ten droższy – ostrzegł kelner.

– W takim razie poproszę podwójną kapkę – odpowiedział Vargas.

– Jeśli świętuje pan coś szczególnego, to może ma pan ochotę na *romeo y julieta* na deser. Mam dostawy prosto z Kuby. Cymesik cygarka, i to z tych skręcanych przez Mulatki na udach...

– Nie odmówię.

Vargas od dziecka słyszał, że śniadanie to najważniejszy posiłek w ciągu dnia, przynajmniej do obiadu, dopełnienie go więc wyborynym cygarem może tylko przynieść szczęście. Zostawiając za sobą kłębki karaibskiego dymu, z pełnym żołądkiem, w radosnym oczekiwaniu ruszył przed siebie. Niebo nabrało bursztynowej barwy, a mgliste światło prześlizgiwało się po fasadach. Vargas pomyślał, że zaczyna się właśnie jeden z tych nielicznych dni, które niosą prawdę lub coś, co jest wystarczająco do niej podobne. Jak to wyśpiewa za ileś tam lat poeta wychowany na tych ulicach, to mógłby być wielki dzień.

Jakieś pięćdziesiąt metrów za nim, chroniąc się w cieniu rzucanym przez zrujnowany budynek, stał obserwator, który nie spuszczał z Vargasa wzroku. Stary policjant z cygarem w ustach, z pełnym brzuchem, rozentuzjasmowany fałszywymi nadziejami, wydał mu się jak nigdy człowiekiem skończonym. Ta odrobina szacunku, jaką w pewnym momencie zdarzyło mu się obdarzyć Vargasa, zniknęła niczym warstewka mgły pełzająca po bruku u jego stóp.

Nigdy nie będzie taki, poprzysiągł sobie, nigdy nie pozwoli sobie na to, żeby alkohol i pobłażliwość zmąciły mu rozum, a ciało zamieniło się w worek kości bez ikry. Starzy ludzie zawsze przyprawiali go o mdłości. Jeśli komuś brakuje godności, żeby wyskoczyć przez okno albo rzucić się pod pociąg metra, gdy staje się zniedołężniały, to powinno się go dla dobra ogółu dobić strzałem łaski i wyłączyć z obiegu jak parchatego psa. Obserwator uśmiechnął się, zawsze zadowolony z siebie i zmyślności swoich conceptów. On zawsze będzie młody, bo jest inteligentniejszy od całej reszty. Nie popełni błędów, które prowadzą do tego, że człowiek o pewnym potencjale, jak Vargas, staje się w rezultacie cieniem kogoś, kim mógłby być. Jak ten patałach Lomana, który żył beznadziejnie i zdechł na kolanach, łapiąc się obydwoma rękoma za gardło. On przyglądał się, jak kapilary oczu Lomany pękają pod rogówką, a źrenice stają się czarnymi lustrami. Kolejny śmieć, który nie potrafił wycofać się w porę.

Nie bał się Vargasa. Nie bał się tego, co mógł czy też sądził, że może odkryć. Ugryzł się w język, żeby nie parsknąć śmiechem. Już niewiele brakowało. Kiedy już nie trzeba będzie za nim chodzić i sprawa zostanie zamknięta, wtedy nacieszy się swoją nagrodą: Alicją. Oboje sam na sam, bez pośpiechu, właśnie tak, jak mu przyrzekł mistrz, żeby spokojnie i przemyślnie udowodnić tej dziwce w aksamitach, że czego się miał od niej nauczyć, tego się nauczył, że to już koniec. Zanim odeśle ją w niepamięć, z której nigdy nie powinna była wyjść, popracuje nad nią dogłębnie, by pokazać jej, czym naprawdę jest ból.

Kiedy Alicja otworzyła oczy, okna rozświetlała jasność świtu. Odwróciła głowę i wtuliła twarz w poduszkę sofy. Wciąż miała na sobie wczorajsze ubranie, a w ustach czuła ów zatruty smak gorzkich migdałów, jakie pozostawiały po sobie tabletki popijane alkoholem. W uszach coś dudniło. Podniosła znowu na chwilę powieki i zobaczyła na stole słoiczek tabletek obok kieliszka z niedopitym ciepłym winem. Opróżniła go jednym haustem. Chciała dolać wina, ale okazało się, że butelka jest pusta. Dopiero kiedy ruszyła po omacku do kuchni w poszukiwaniu drugiej butelki, zrozumiała, że to dudnienie w skroniach to nie jest jej puls ani pozostałość po migrenie wywołanej przez lekarstwo. Ktoś walił w drzwi. Oparła się o krzesło w jadalni i przetarła oczy. Jakiś głos po drugiej stronie drzwi uporczywie powtarzał jej imię. Powlokła się do wejścia i otworzyła. Fernandito wyglądał tak, jakby zawędrował na koniec świata i właśnie wrócił. Patrzył na nią z wyrazem przerażenia i ulgi jednocześnie.

– Która godzina? – spytała Alicja.

– Jest wcześnie. Dobrze się pani czuje?

Alicja przytaknęła z w półprzymkniętymi powiekami i słaniając się na nogach, zawróciła ku sofie. Fernandito zamknął drzwi i ratując Alicję przed upadkiem w połowie drogi, złapał ją i pomógł umościć się na poduszkach.

– Co takiego pani bierze? – Przyglądał się słoiczekowi tabletek.

– Aspirynę.

– Pewnie dla konia.

– Co tu robisz o tej porze?

– Byłem w nocy w El Pinar. Przynoszę wieści.

Alicja po omacku szukała na stole papierosów. Nie zauważyła, że Fernandito zdążył je odsunąć.

– Zamieniam się w słuch.

– Chyba nie za bardzo. A może wzięłaby pani prysznic, a ja w tym czasie zaparzę kawę?

– A co? Śmierdzą?

– Nie, ale dobrze to pani zrobi. Pomogę pani.

Uprzedzając protesty Alicji, Fernandito podniósł ją z sofy i poprowadził do łazienki, posadził na brzegu wanny, odkręcił kran. Sprawdził dłonią temperaturę wody, drugą ręką podtrzymując Alicję, żeby nie upadła.

– Nie jestem bobaskiem – obruszyła się Alicja.

– Czasem tak pani wygląda. Do wanny, już. Rozbierze się pani czy ja mam to zrobić?

– Chciałbyś, chłoptasiu.

Wypchnęła go z łazienki i zamknęła drzwi. Każdą część ubrania opuszczała na podłogę, jakby pozbywała się martwych łusek, a potem spojrzała w lustro.

– Święty Boże – szepnęła.

Kilka sekund później strumień zimnej wody bezlitośnie ukąsił jej skórę i przywrócił światu żywych. Fernandito, wsypując do ekspresu kawy, ile się da, nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy z łazienki dobiegł go krzyk.

Piętnaście minut później Alicja, okutana zbyt dużym szlafrokiem i z ręcznikiem okręconym na głowie, wysłuchiwała relacji z wydarzeń ostatniej nocy, popijając czarną kawę z dużej filiżanki, którą trzymała w obu dłoniach. Kiedy chłopak skończył swą opowieść, dopiła ostatni łyk i spojrzała Fernanditowi w oczy.

– Nie powinnam była narażać cię na takie niebezpieczeństwo, Fernandito.

– Nieważne. Ten facet, Hendaya, nie ma najmniejszego pojęcia, kim jestem. Ale nie wątpię, że doskonale wie, kim jest pani. To pani, Alicjo, jest w niebezpieczeństwie.

– A kiedy udało ci się urwać tym dwóm szpiclom, to gdzieś się podział?

– Na tyłach targowiska La Boquería znalazłem coś w rodzaju małego

pensjonatu i tam przeczekałem najgorsze.

– Coś w rodzaju pensjonatu?

– Przykre szczegóły kiedy indziej. A teraz co robimy?

Alicja wstała.

– Ty nic. Dość już zrobiłeś.

– Jak to nic? Po tym wszystkim, co zaszło?

Podeszła do chłopaka. Coś w nim było odmiennego, w tym, jak na nią patrzył i jak się zachowywał. Postanowiła odpuścić. Może nadarzy się lepsza sposobność.

– Poczekasz tutaj na Vargasa, a kiedy przyjdzie, opowiesz mu dokładnie to samo co mnie. Ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami.

– A pani dokąd się wybiera?

Alicja wyciągnęła rewolwer z leżącej na stole torebki i sprawdziła, czy jest naładowany. Fernandito, widząc broń w jej rękach, wrócił do swego naturalnego stanu przerażenia.

– Zaraz, zaraz...

22

W którymś momencie swego uwięzienia Mauricio Valls zaczął myśleć o świetle jako o preludium bólu. W cieniu mógł wyobrazić sobie, że te zardzewiałe pręty go nie więżą, a mury celi nie wydzielają warstewki brudnej wilgoci, która spływała niczym czarny miód po skale, tworząc galaretowatą kałużę u jego stóp. A przede wszystkim w cieniu nie mógł zobaczyć samego siebie.

Półmrok, w którym żył, rzedniał, kiedy raz dziennie w górze schodków otwierał się prostokąt jasności. W jego tle pojawiał się zarys sylwetki. Jak przedtem Valls dostawał ronderek brudnej wody i kawałek chleba, który pożerał w kilka sekund. Poza strażnikiem nic się nie zmieniło. Nowy dozorca

nie patrzył mu w twarz i nie odzywał się ani słowem. Ignorował całkowicie pytania, prośby, groźby i przekleństwa Vallsa. Ograniczał się do pozostawiania mu przy prętach jedzenia i wody i odchodził. Kiedy zszedł do lochu po raz pierwszy, zwymiotował, poczuwszy fetor bijący z celi i od więźnia. Od tamtej pory przychodził z twarzą okrytą chustką i przebywał na dole, jak mógł najkrócej. Valls już nie czuł smrodu, tak jak i niemal nie czuł bólu w ramieniu ani głuchego pulsowania purpurowych linii, które pełzły po kikucie niczym pajęczyna z czarnych żył. Rzucono go tu, by zgnił za życia, i już go to nie obchodziło.

Zaczęła męczyć go myśl, że pewnego dnia nikt już nie zejdzie po tych stopniach, że te drzwi nie otworzą się już nigdy więcej i że spędzi tę niewielką resztę życia w ciemnościach, czując, jak jego ciało gnije kawałek po kawałku, zzerając samo siebie. Wielokrotnie był świadkiem podobnego rytuału, kiedy przez kilka lat pełnił funkcję dyrektora więzienia Montjuic. To kwestia kilku dni, jeśli będzie miał szczęście. Wyobrażał sobie, jak słabnie i pogrąża się w delirium, kiedy zacznie umierać z głodu. Najokrutniejszy był brak wody. Czy rozpacz i udręka dopadną go z furią i będzie wylizywać fekalia przeciekające przez mury? Czy jego serce przestanie bić wcześniej? Pewien lekarz, który pracował u niego na zamku dwadzieścia lat temu, zawsze powtarzał, że Bóg lituje się najpierw nad skurwysynami. Nawet pod tym względem życie było bezwzględnie dziwne. Może w ostatnim momencie Bóg również i nad nim się zlituje i infekcja, która toruje sobie drogę poprzez jego żyły, złagodzi ostatnie cierpienia.

Śniło mu się, że już umarł i jego ciało leży w płóciennym worku, jakich używano do usuwania zwłok z więziennych cel zamku Montjuic. Wtem usłyszał skrzypnięcie otwieranych na górze drzwi. Obudził się. Język miał spuchnięty i obolały. Dotknął ust palcami i poczuł, że krwawia mu dziąsła, a zęby poruszają się, jakby były osadzone w sypkim piasku.

– Pić mi się chce! – zawył. – Wody, błagam...

Na schodkach rozległy się kroki cięższe niż zazwyczaj. Tu w dole dźwięk mówił więcej, co się dzieje, niż światło. Świat został zredukowany do bólu, do powolnego rozkładu ciała i do odgłosów kroków i rur szumiących pośród ścian. Światło rozbłysło białym hukiem. Valls podążył słuchem za zbliżającymi się krokami. Dostrzegł sylwetkę stojącą u stóp schodków.

– Wody, błagam – wyszeptał.

Podczołgał się do prętów i wyteżył wzrok. Snop oślepiającego światła poparzył mu siatkówkę oczu. Latarka. Valls cofnął się i zakrył oczy zdrową ręką. Ale mimo to czuł, jak światło przebiega po jego twarzy i ciele pokrytym ekskrementami, zakrzepłą krwią i szmatami.

– Spójrz na mnie – odezwał się w końcu głos.

Valls odsłonił oczy i otworzył je powoli. Żrenice potrzebowały nieco czasu, żeby przyzwyczać się do jasności. Twarz zza krat, inna niż te, które widywał dotychczas, wydawała mu się dziwnie znajoma.

– Powiedziałem ci, żebyś na mnie spojrzał.

Valls posłusznie wykonał polecenie. Kiedy już raz straciło się godność, znacznie łatwiej przychodziło ustępować niż wydawać rozkazy. Przybysz podszedł do prętów i przyjrzał mu się uważnie, przesuwając metodycznie snop światła po jego wyniszczonym ciele. Dopiero wtedy do Vallsa dotarło, dlaczego rysy twarzy człowieka przyglądającego mu się zza krat zdają mu się znajome.

– Hendaya? – wybełkotał. – Hendaya? To pan?

Hendaya przytaknął. Valls poczuł, jak niebo się otwiera. Po raz pierwszy od wielu dni lub tygodni doznał ulgi i spokoju. Pewnie był to kolejny sen. Czasem, unieruchomiony pośród ciemności, prowadził rozmowy z wybawicielami przybywającymi mu na pomoc. Znowu wyteżył wzrok i zaśmiał się. To był Hendaya. Z krwi i kości.

– Dzięki Bogu, dzięki Bogu – zaszlochał. – To ja, Mauricio Valls. Minister Valls... To ja...

Wyciągnął ramię ku policjantowi, płacząc z wdzięczności, nie zważał na wstyd, że ten widzi go w takim stanie, półnagiego, okaleczonego, całego w gównie i szczynach. Hendaya przysunął się o krok.

– Od jak dawna tu jestem? – spytał Valls.

Hendaya nie odpowiedział.

– Co z moją córką Mercedes? Nic jej nie jest?

Hendaya milczał. Valls złapał się ręką prętów i mozolnie zaczął się podnosić. W końcu stanął. Mógł z bliska spojrzeć policjantowi w oczy. Ten

obserwował go obojętnie. A może jednak znowu był to sen?

– Hendaya?

Policjant wyciągnął papierosa i zapalił. Valls poczuł zapach tytoniu, pierwszy zapach od wielu, jak mu się zdawało, lat. Była to najwspanialsza woń, jaką kiedykolwiek zdarzyło mu się wdychać. Myślał, że papieros jest przeznaczony dla niego, póki nie zobaczył, jak Hendaya unosi go do ust i głęboko się nim zaciąga.

– Hendaya, proszę mnie stąd wyciągnąć – wyszeptał błagalnie.

Oczy policjanta błyszczały zza spirali dymu unoszącego się spośród jego palców.

– Hendaya, to rozkaz. Proszę mnie stąd wyciągnąć!

Policjant uśmiechnął się i zaciągnął się jeszcze kilka razy.

– Złych ma pan przyjaciół – odezwał się w końcu.

– Gdzie jest moja córka? Co jej zrobiliście?

– Nic nie zrobiliśmy. Jeszcze.

Valls usłyszał rozpaczliwy krzyk, zanim uświadomił sobie, że to jego głos. Hendaya rzucił niedopałek do środka celi, Vallsowi pod nogi. Nawet nie zareagował, kiedy więzień, widząc, jak wchodzi po schodkach, zaczął wrzeszczeć, walić w pręty resztką sił, by w końcu, całkiem wyczerpany, paść na kolana. Drzwi na górze zamknęły się z hukiem niczym kamień nagrobny i nad więźniem znowu zapadła ciemność, zimna jak nigdy dotąd.

23

Do ukrytych w samym sercu Barcelony wyzwania, miejsc niezdobytch, otchłani tajemnych dla najodważniejszych, należy niewątpliwie Urząd Stanu Cywilnego. Vargas z daleka dostrzegł starą odświeżoną fasadę i westchnął. Zarówno ogromne okna, jak i podobieństwo budynku do grobowca wyrosłego warstwa po warstwie zdawały się ostrzegać nieostrożnego, żeby nawet nie

próbował tam wchodzić. Pokonał jednak dębowe drzwi, które skutecznie odstraszały zwykłych śmiertelników. Za nimi czekał murowany kontuar, zza którego człowieczek o sowim spojrzeniu obserwował, jak życie przemija, i najmniejszym nawet gestem nie zdradzał, by ktokolwiek był tu mile widziany.

– Dzień dobry. – Vargas nie krył swych pokojowych zamiarów.

– Może byłby i dobry, gdybyśmy przyjmowali interesantów, ale jak można przeczytać na tablicy, urzędujemy od jedenastej do trzynastej, od wtorku do piątku. A dziś mamy poniedziałek, wybiła właśnie godzina ósma trzynastie rano. Czytać pan nie umie?

Z twarzy Vargasa zahartowanego w sztuce walki z małym tyranem, którego ma w sobie niejeden szeregowy pracownik urzędu, zniknął szybko miły uśmiech. Policjant machnął blachą przed nosem recepcjonisty. Konus wytrzeszczył oczy.

– Ale pan czytać umie na pewno.

Recepcjonista przełknął ślinę i swą nieżyczliwość.

– Według rozkazu, panie kapitanie. Proszę mi wybaczyć nieporozumienie. Czym mogę służyć?

– Chciałbym porozmawiać z kimś, kto tu rządzi, a nie z takim kretyńcem jak pan, o ile to możliwe.

Recepcjonista błyskawicznie sięgnął po telefon i poprosił panią Luisę.

– Mnie jest wszystko jedno – wymamrotał do słuchawki. – Proszę jej powiedzieć, żeby natychmiast przyszła.

Odłożył słuchawkę, poprawił tu i ówdzie swój mundur i uznawszy, że znowu wygląda godnie i odpowiednio do rangi, spojrzął na Vargasa.

– Pani kierownik zaraz przyjdzie, by pana przyjąć – zaanonsował.

Vargas usiadł na drewnianej ławce, nie spuszczać recepcjonisty z oczu. Po upływie dwóch minut zjawiła się drobna kobieta o przeszywającym spojrzeniu, z włosami zaczesanymi do tyłu, w okularach bez oprawek. Podchodząc, nastroszyła jedną brew, bez zbędnego wypytywania w lot pojmując, co się tu przed chwilą wydarzyło.

– Proszę nie mieć za złe panu Carmonie, bo on i tak już ledwo żyje. Jestem Luisa Alcaine. Czym mogę służyć?

– Nazywam się Vargas. Komenda Główna Policji w Madrycie. Chciałbym porównać pewne numery aktów Urzędu Stanu Cywilnego. To bardzo ważne.

– I proszę nie dodawać, że to pilne, bo w tej instytucji przynosi to pecha. Poproszę te numery.

Policjant podał jej listę. Doña Luisa rzuciła okiem i pokiwała głową.

– Chodzi o wejścia czy wyjścia?

– Przepraszam?

– Te numery tutaj są numerami świadectw zgonów, a te drugie – aktów urodzeń.

– Jest pani pewna?

– Zawsze jestem pewna. Niski wzrost to zmyłka.

Luisa miała uśmiech sprytnej kotki.

– Wobec tego chciałbym zobaczyć i jedno, i drugie, jeśli można.

– W cudownym świecie hiszpańskiej biurokracji wszystko jest możliwe. Proszę za mną, z łaski swojej, panie pułkowniku. – Luisa przytrzymała drzwi za kontuarem.

– Tylko kapitan.

– A to szkoda. Po strachu, jakiego się za pana przyczyną najadł Carmona, wydawał mi się pan wyższy stopniem, da pan wiarę? Nie przyznają panowie tytułów szlacheckich podług wzrostu?

– Ja już od jakiegoś czasu się kurczę. Przebieg swoje robi.

– Rozumiem pana, proszę mi wierzyć. Jak tu przyszedłem pierwszego dnia, to uważałem się za primabalerinę, no i sam pan widzi.

Vargas podążył za nią korytarzem o bezkresnej perspektywie.

– Czy ze mną jest coś nie tak, czy ten gmach jest większy w środku niż z zewnątrz? – zapytał.

– Nie pan pierwszy to zauważył. Co noc trochę rośnie. Gadają, że żywi się urzędnikami na urloпах bezpłatnych, którzy wpadają tu, by sprawdzić coś w archiwach, i zasypiają w sali. Na pańskim miejscu miałabym się na baczości.

Luisa zatrzymała się przed ogromnymi niczym katedralny portal drzwiami

w końcu korytarza. Ktoś powiesił na nich kartkę z napisem:

Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie

Luisa pchnęła drzwi i puściła do Vargasa oko.

– Witamy w magicznym świecie papierów z pieczętą i opłaty skarbowej w wysokości dwóch peset.

Oszałamiający ul półek, schodków, drabin i szafek rozciągał się w perspektywie florenckiej pod sklepieniem z ostrołuków, a z przemyślnej konstrukcji lamp padało zakurzone światło, które wisiało w powietrzu niczym wyświechtana kurtyna.

– Matko święta – szepnął Vargas. – Czy tutaj da się cokolwiek znaleźć?

– Zamyśl jest taki, żeby się nie dało, ale przy odrobinie sprytu, mając odpowiednią wędkę i licząc na pomocną dłoń profesjonalnej służebnicy, można tu znaleźć nawet kamień filozoficzny. Poproszę tę listę.

Vargas poszedł za Luisą ku wznoszącej się po niebo ścianie naszpikowanej numerowanymi teczkami. Dyrektorka strzeliła palcami i zjawiono się dwóch pracowników wyglądających na członków brygady specjalnej.

– Proszę znieść mi księgi z sekcji od jeden do osiem B od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego do czterdziestego trzeciego i od sześć C do czternaście z tego samego okresu.

Funkcjonariusze udali się po drabinę, Luisa zaś zaprosiła Vargasa, by zajął miejsce przy jednym z biurka na środku sali.

– Tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć? – zapytał policjant.

– Wszystkie te zaświadczenia opatrzone są jeszcze starą numeracją. System został zmieniony w roku czterdziestym czwartym, kiedy wprowadzono dowody osobiste. Ma pan szczęście. Wiele dokumentów z archiwum sprzed wojny zaginęło, ale okres od trzydziestego dziewiątego do czterdziestego czwartego jest cały w odrębnej sekcji, którą uporządkowano parę lat temu.

– Czy to znaczy, że wszystkie świadectwa, o które mi chodzi, pochodzą z okresu tuż po wojnie?

Luisa przytaknęła.

– Zachciało się grzebać w przeszłości, co? – zasugerowała. – Gratuluję odwagi, aczkolwiek nie jestem pewna, czy powinnam pogratulować przezorności. Nie ma za dużo takich, którym z różnych powodów, z ciekawości chociażby, chciałoby się tutaj szperać.

Czekając na powrót podwładnych z odpowiednimi księgami, Luisa z kliniczną wręcz ciekawością przyglądała się Vargasowi.

– Od ilu już godzin nie zmrużył pan oka?

Spojrzał na zegarek.

– Od dwudziestu czterech z małym okładem.

– Może zamówię panu kawę? To jednak może trochę potrwać.

Dwie i pół godziny później Luisa i jej dwóch pomocników, przebrnąwszy przez oceany papierów, położyli przed ledwo trzymającym się na nogach Vargasem górę dokumentów. Policjant wyobraził sobie, ile jeszcze czeka go pracy, i westchnął.

– Pani Luiso, czy mogłaby to pani wziąć na siebie?

– Z największą przyjemnością.

Luisa odprawiła swoich asystentów i podczas gdy Vargas dopijał trzecią filiżankę kawy, przystąpiła do porządkowania książek, tworząc dwa, z wolna rosnące, stosy.

– Nie zapyta mnie pani, po co to wszystko? – odezwał się nagle Vargas.

– A powinnam?

Uśmiechnął się. Po jakimś czasie Luisa westchnęła z ulgą.

– No dobrze, wszystko powinno być tutaj. Spójrzmy jeszcze raz na tę listę.

Spoglądając co i raz na numery, selekcjonowała poszczególne tomy. Vargasowi nie umknęło, że w miarę ich sprawdzania dyrektorka coraz mocniej marszczyła brwi.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Jest pan pewny, że to właściwe numery?

– Takie mam... A co?

Luisa uniosła wzrok znad papierów.

– Nie, nic takiego. To wszystko infanci.

– Infanci?

– Dzieci. Niech pan spojrzy.

Luisa rozłożyła przed Vargasem księgi rejestracyjne i porównywała po kolei numery.

– Widzi pan daty?

Vargas spróbował rozszyfrować cyfrowy galimatias. Luisa poprowadziła go wyostrzoną końcówką ołówka.

– Spisane są parami. Każdemu świadectwu zgonu odpowiada świadectwo urodzenia. Oba wydane tego samego dnia, przez tego samego urzędnika, w dwóch różnych wydziałach, o tej samej godzinie.

– A skąd pani o tym wie?

– Z numeracji kontroli. Widzi pan?

– I co to, wobec tego, znaczy?

– Sama nie wiem.

– To normalne, żeby ten sam urzędnik równocześnie wydawał dwa zaświadczenia?

– Nie. Tym bardziej z dwóch różnych wydziałów.

– A co mogło być powodem, że tak się stało?

– To jest poza wszelkimi normami postępowania. Zaświadczenia wydawane były osobno przez wydziały. Te zaś wydane są przez centralę urzędu.

– To znaczy nieprawidłowo?

– I to bardzo. Ale to nie wszystko, bo te zaświadczenia, jeśli wierzyć temu, co tu zapisano, wydano wszystkie tego samego dnia.

– I to jest dziwne?

– Jak jasna cholera. A to dopiero początek.

Vargas przyjrzał jej się.

– Wszystkie zgony poświadczane są w szpitalu wojskowym. Ile dzieci umiera w szpitalach wojskowych?

– A urodzenia?

– W szpitalu Sagrado Corazón. Wszystkie bez wyjątku.

– Przypadek?

– Jeśli jest pan człowiekiem wiary... Proszę ponadto spojrzeć na wiek dzieci. Też idą parami, sam pan widzi.

Vargas skupił wzrok, ale zmęczenie było silniejsze od wszelkich władz rozumowych.

– Każdemu świadectwu zgonu odpowiada świadectwo urodzenia – wyjaśniła Luisa.

– Nie rozumiem.

– Chodzi o dzieci. Każde z nich urodziło się tego samego dnia co jeden ze zmarłych.

– Czy mógłbym pożyczyć sobie te książki?

– Oryginały nie mogą opuścić tego miejsca. Należałoby poprosić o kopie, a ich przygotowanie potrwałoby co najmniej miesiąc, i to gdyby cały czas pilnowało się odpowiednich urzędników.

– A szybciej się nie da?

– I dyskretniej? – dopowiedziała Luisa.

– Niewątpliwie.

– Proszę mi zrobić trochę miejsca.

Luisa wzięła parę kartek i pióro i w ciągu pół godziny spisała nazwiska, daty, numery świadectw i numer każdego dokumentu. Vargas śledził jej wykwinną i krągłą kaligrafię, usiłując odnaleźć klucz, który pozwoliłby mu zrozumieć, co się za tym wszystkim kryje. Dopiero kiedy urzędniczka dotarła niemal do końca kolumny cyfr i słów, zwrócił uwagę na spisywane przez nią nazwiska.

– Chwileczkę – przerwał.

Luisa odsunęła się nieco. Vargas przebiegł wzrokiem świadectwa i znalazł to, czego szukał.

– Mataix – szepnął.

Luisa pochyliła się nad dokumentami.

– No tak, dwie dziewczynki. Zmarły tego samego dnia... Coś to panu mówi? – spytała.

Oczy spoczęły na końcowych podpisach.

– Co to jest?

– Podpis urzędnika poświadczającego wydany dokument.

Pismo było eleganckie i klarowne. Ten, kto się nim posługiwał, świetnie znał protokół i prawdę pozorów. Vargas po cichu odczytał nazwisko i poczuł, jak krew lodowacieje mu w żyłach.

24

Mieszkanie pachniało Alicją. Pachniało jej perfumami, jej obecnością i tym aromatem, jaki zostawiał po sobie kontakt z jej skórą. Fernandito siedział na kanapie już całą wieczność, za jedyne towarzystwo mając ową woń oraz niepokój, który zaczynał pożerać go żywcem. Alicja wyszła z rewolwerem zaledwie piętnaście minut temu, ale oczekiwanie dłużyło mu się w nieskończoność. Nie mogąc usiedzieć w miejscu ani sekundy dłużej, wstał i otworzył okna wychodzące na ulicę Aviñón, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Miał nadzieję, że ten niepokojący zapach ulotni się w poszukiwaniu kolejnej ofiary. Pozwolił, żeby lodowata bryza oczyściła mu umysł, a potem wrócił na kanapę z mocnym postanowieniem, że, tak jak obiecał, cierpliwie zaczeka na powrót Alicji. Szlachetnych intencji starczyło mu na kwadrans. Po chwili znów zaczął krążyć po jadalni, czytając tytuły stojących na półkach książek, przyglądając się przedmiotom, których nie zauważył podczas poprzednich wizyt. Wyobrażał sobie, jak Alicja chodzi po tym samym pomieszczeniu i dotyka tych samych rzeczy. Nie rób tego, Fernandito, pomyślał. Lepiej usiądź.

Ale krzesła odpychały go jak magnesy. Kiedy przedeptał już wszystkie ścieżki w salonie, ruszył przed siebie korytarzem, w którego końcu znajdowało się dwoje drzwi. Jedne prowadziły do łazienki, drugie, jak się

domyślał, do sypialni. Zawstydział się tego, co chciał zrobić, tak bardzo, że aż się zaczerwienił. Ogarnął go niepokój. Nie otworzył drzwi łazienki, wrócił do jadalni. Usiadł na krześle i czekał. Minuty ciągnęły się, jakby były z żelatyny, a jedynym pocieszeniem Fernandita było tykanie ściennego zegara. Czas, pomyślał, zawsze płynie z prędkością odwrotnie proporcjonalną do tej, jakiej od niego oczekujemy.

Znowu się podniósł i podszedł do okna. Ani śladu Vargasa. Pięć pięter niżej życie toczyło się swoim monotonnym, niedostępnym dla niego torem. Nie wiedząc zbyt dobrze, jak to się stało, znów znalazł się w korytarzu. Przed drzwiami do łazienki. Wszedł i spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Na półeczce stała otwarta szminka do ust. Wziął ją do ręki i przyjrzał się jej z bliska. Czerwona jak krew. Odstawił szminkę czym prędzej na miejsce i wyszedł stamtąd z poczuciem winy. Drzwi do sypialni kusily jednak za bardzo. Z progu zobaczył łóżko, było zasłane. Alicja w nim nie spała. W głowie natychmiast pojawiło mu się tysiąc spekulacji na ten temat, ale uciął je wszystkie, zanim na dobre opanowały jego umysł.

Postąpił kilka kroków naprzód, spojrzął na łóżko. Wyobraził sobie leżącą na nim Alicję i odwrócił wzrok. Zastanawiał się, ilu mężczyzn leżało obok niej, eksplorując jej ciało dłońmi i ustami. Zbliżył się do szafy i ją otworzył. W półmroku zobaczył ubrania Alicji. Przeciągnął po nich opuszkami palców i zamknął drzwi. Przy łóżku stała drewniana komoda. Wysunął pierwszą szufladę i natrafił na arsenał jedwabistych tkanin, bardzo starannie poskładanych w stosiki. Czarnych, czerwonych i białych. Dopiero po chwili zorientował się, na co patrzy. To bielizna Alicji. Przełknął ślinę. Jego palce zatrzymały się kilka centymetrów od zawartości szuflady. Cofnął dłoń jak oparzony i zatrzasnął szufladę.

– Jesteś kretyńcem – powiedział do siebie.

I w zgodzie z duchem tej konstatacji otworzył kolejną. Były w niej jedwabne pończochy i jakieś fintifluszki z paseczkami służącymi do ich podtrzymywania. Na sam widok zakręciło mu się w głowie. Zamknął oczy, a potem powoli zasunął szufladę. I właśnie w tym momencie telefon rozdzwonił się z taką furją, że niewiele brakowało, by serce Fernandita wyskoczyło z piersi i roztrzaskało się o ścianę. Pędem ruszył do kuchni. Telefon darł się oskarżycielsko jak alarm przeciwpożarowy.

Fernandito podszedł do aparatu, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Telefon wydierał się jeszcze przez minutę, może dłużej. Kiedy w końcu chłopak odważył się drżącą ręką podnieść słuchawkę, dzwonek umilkł. Fernandito odetchnął z wielką ulgą. Usiadł i zamknął oczy. Czuł w piersi ogromny ciężar. Serce waliło mu jak młotem. Zaśmiał się z politowaniem. Ależ jest żaloszny! Gdyby Alicja go zobaczyła...

Nie nadawał się do tego, musiał w końcu przyznać. Im wcześniej to zaakceptuje, tym lepiej. Wydarzenia tej nocy i krótka misja wykonana na zlecenie Alicji pozwoliły mu zrozumieć, że należy do świata sklepów kolonialnych i usług, a nie tajemnic i intryg. Kiedy tylko wróci Alicja, złoży rezygnację. A o potajemnej wizycie w intymnym sanktuarium ubrań szefowej lepiej od razu zapomnieć. Twardsi od niego mężczyźni z błahszych powodów schodzili na złą drogę.

Zagłębiając się w rozmyślaniach powoli odzyskiwał spokój. I wtedy znów odezwał się telefon. Tym razem automatycznie Fernandito natychmiast podniósł słuchawkę i odezwał się cieniutkim głosem.

– Z kim rozmawiam? – zapytał głos po drugiej stronie.

Dzwonił Vargas.

– Tu Fernandito – odpowiedział.

– Poproś Alicję.

– Pani Alicja wyszła.

– Dokąd?

– Nie wiem.

Vargas przeklął pod nosem.

– A ty? Co ty tam robisz?

– Pani Alicja kazała mi tu na pana czekać i opowiedzieć o wszystkim, co się tej nocy wydarzyło.

– A co takiego się wydarzyło?

– Chyba będzie lepiej, jeśli opowiem panu osobiście. Gdzie pan teraz jest?

– W Urzędzie Stanu Cywilnego. Czy Alicja mówiła, kiedy wróci?

– Nic nie mówiła. Wzięła tylko pistolet i wyszła.

– Pistolet?

– No, z technicznego punktu widzenia to właściwie rewolwer. Taki z bębenkiem...

– Wiem, co to rewolwer – uciął Vargas.

– Przyjdzie pan?

– Za chwilę. Muszę najpierw zajrzeć do siebie, wziąć prysznic i przebrać się w coś czystego.

– Będę na pana czekał.

– Mam nadzieję. A, Fernandito...

– Słucham?

– Żebyś mi tam nie buszował po domu.

Niebieski tramwaj wolno sunął swoją trasą. Alicja dotarła na przystanek akurat w momencie, gdy motorniczy ruszał, i w ostatniej chwili wskoczyła na platformę. Wagon wypełniony był po brzegi chłopcami jadącymi na szkolną wycieczkę. Wyglądali na uczniów szkoły zakonnej z internatem, opiekowali się nimi dwaj surowi księża. Alicja domyślała się, że jadą do świątyni na szczycie wzgórza. Była jedyną kobietą w całym tramwaju. Kiedy tylko zajęła miejsce, którego, na wyraźne polecenie księdza, ustąpił jej jeden z gimnazjalistów, młodzież umilkła. Zapadła tak głucha cisza, że słychać było, jak chłopakom burczy w brzuchach, a może był to dźwięk buzujących w ich żyłach hormonów. Alicja spuściła głowę i udawała, że tego nie dostrzega. Chłopcy, na oko trzynasto- czy czternastoletni, rzucali na nią ukradkowe spojrzenia, jakby nigdy wcześniej nie widzieli podobnej istoty. Jeden z nich, siedzący naprzeciwko piegowaty rudzielec z miną głupszą niż przystoi nawet w cielęcym wieku, wydawał się zahipnotyzowany jej obecnością. Je-go wzrok niczym wahadło przenosił się z jej twarzy na kolana. Alicja podniosła głowę i przez chwilę patrzyła mu w oczy. Nieszczęśnik niechybnie by się udławił, gdyby jeden z księży nie pacnął go na otrzeźwienie w kark.

– Manolito, żebyś mi się tu przypadkiem nie udusił – upomniał go.

Reszta drogi upłynęła pośród łakomych spojrzeń i w ciszy przerywanej od czasu do czasu nerwowym chichotem. Spektakl okresu dojrzewania w całej jego żalostnej pełni jest najskuteczniejszym antidotum przeciwko tęsknocie za

młodością, pomyślała Alicja.

Kiedy dotarli na miejsce, postanowiła zaczekać, aż księża wyprowadzą z wagonu swoich podopiecznych, których traktowali nie lepiej niż stado owiec. Spoglądała za nimi, jak podążają całą bandą do stacji kolejki linowej, wymierzając sobie sójki w bok i raz po raz wybuchając rubasznym śmiechem. Dopiero kiedy księża zapędzili całe towarzystwo do stacji kolejki jak do zagrody, Alicja wysiadła. Przecięła placyk ze spojrzeniem utkwionym w imponującej fasadzie posiadłości El Pinar wieńczącej górkę naprzeciwko. Przed restauracją La Venta, odległą zaledwie o kilka metrów od przystanku, stały zaparkowane dwa samochody. Alicja знаła to miejsce bardzo dobrze, gdyż restauracja ta należała do ulubionych lokali Leandra. Jej mentor wielokrotnie zabierał tu swoją wychowankę, żeby nauczyć ją zasad eleganckiego zachowania się przy stole. „Panienka z klasą powinna trzymać sztuce tak, jakby je pieściła”. Alicja wsunęła rękę do torebki, znalazła rewolwer i odbezpieczyła kurek.

Do rozległej posiadłości El Pinar prowadziły dwa wejścia. Główna brama, przez którą wjeżdżały samochody, znajdowała się w odległości około stu metrów, przy ulicy Manuela Arnusa, okrążającej wzgórze w kierunku północnego wylotu Carretera de las Aguas. Kilka kroków od przystanku znajdowała się natomiast niewielka furтка, a za nią schody wiodące do drzwi. Alicja podeszła do niej. Tak jak przypuszczała, furтка była zamknięta. Ruszyła wzdłuż muru w kierunku bramy. Stał przy niej domek, przypuszczalnie mieszkanie dawnych stróżów posiadłości. Domyśliła się, że i teraz ktoś patroluje teren. I rzeczywiście, okrążając wzgórze, dostrzegła na nim postać bacznie obserwującą wszystko dookoła. Możliwe, że Hendaya miał więcej ludzi, zarówno w ogrodzie, jak i w domu. Zatrzymała się w połowie drogi, w miejscu, z którego nie była widoczna dla tajniaka, i przyjrzała się ogrodzeniu. Natychmiast zlokalizowała miejsce, gdzie Fernandito dostał się w nocy do środka. W świetle dnia ta droga wydała się jej zamknięta. Jasne było, że sama nic nie zdołała. Wróciła na plac, tramwaj ruszał właśnie w drogę powrotną. Weszła do restauracji La Venta, o tej porze zupełnie opustoszałej: kuchnię otwierano dopiero za kilka godzin. Usiadła na stołku przy barze. Zza zasłonki wyłonił się kelner i powitał ją grzecznym uśmiechem.

– Poproszę kieliszek białego wina.

– Jakieś preferencje?

– Niech mnie pan zaskoczy.

Kelner pokiwał głową i wprawnym ruchem napełnił kieliszek, nie spoglądając na nią.

– Mogłabym skorzystać z telefonu?

– Oczywiście, proszę pani. Jest z tyłu, za barem.

Alicja zaczekała, aż kelner zniknie znów za zasłonką, upiła łyk wina i podeszła do telefonu.

Fernandito przyklejony do okna starał się wypatrzyć sylwetkę Vargasa w tłumie przechodniów płynących ulicą Aviñón, kiedy znów usłyszał dzwoniący za plecami telefon. Podniósł słuchawkę bez wahania.

– Gdzie się pan podziewa? Miał pan zaraz przyjść!

– Kto miał przyjść? – rozległ się w słuchawce głos Alicji.

– Przepraszam, myślałem, że to kapitan Vargas.

– Widziałeś się z nim?

– Nie, telefonował i obiecał, że zaraz tu zajrzy.

– Jak dawno temu?

– Mniej więcej przed kwadransem. Powiedział, że jest w Urzędzie Stanu Cywilnego.

W słuchawce zapadła cisza, Fernandito domyślił się, że Alicja jest zdumiona.

– A powiedział, co tam robi?

– Nie. Wszystko u pani w porządku?

– W porządku, Fernandito. Kiedy przyjdzie Vargas, opowiesz mu najpierw to, co opowiedziałeś mnie, a potem, że czekam na niego w restauracji przy stacji kolejki linowej na Tibidabo.

– Obok El Pinar...

– Poproś, żeby się pospieszył.

– Potrzebuje pani pomocy? Może ja pojadę?

– Mowy nie ma. Masz poczekać na Vargasa i przekazać mu to wszystko,

o co cię prosiłam. Rozumiesz?

– Tak. Panno Alicjo?

Alicja odłożyła słuchawkę. Fernandito jeszcze przez chwilę gapił się w telefon, kiedy dostrzegł coś kątem oka. Po drugiej stronie ulicy w oknach mieszkania Vargasa coś się poruszyło. Domyślił się, że kiedy rozmawiał z Alicją, policjant musiał wrócić do domu. Fernandito podszedł do okna, żeby upewnić się, że ma rację, i wtedy zauważył Vargasa zbliżającego się do wejścia do budynku przy Gran Café.

– Kapitanie Vargas! – zawołał za nim.

Policjant zniknął mu z oczu. Fernandito spojrzał znów w jego okna. Ktoś zaciągał w nim zasłony. Już miał wykręcić numer, który dała mu Alicja, kiedy ogarnęły go złe przeczucia. Ruszył ku drzwiom i zbiegał po schodach, z każdym krokiem coraz szybciej.

25

Vargas wsunął klucz do zamka. Klucz wszedł z trudem, jakby natrafił na jakąś przeszkodę, a kiedy policjant go przekręcił, poczuł, że mechanizm prawie nie stawia oporu. Ktoś się włamał do mieszkania. Vargas wyjął broń i delikatnie pchnął drzwi nogą. Wnętrze – dwa pokoje oddzielone jedynie zasłonką z paciorków – tonęło w półmroku. Zasłony były zaciągnięte. Pamiętał, że przed wyjściem odsłonił okno. Vargas odciągnął kurek. Zauważył postać stojącą nieruchomo w kącie. Uniósł broń i wycelował.

– Proszę nie strzelać. To tylko ja!

Vargas przeszedł kilka kroków, a postać wyszła mu na spotkanie z uniesionymi rękoma.

– Rovira? Co pan tu, do diabła, robi? O mało nie odstrzeliłem panu łba.

Niewysoki szpieg, ubrany w lichy płaszczyk, patrzył na niego, cały się trzęsąc.

– Niech pan opuści ręce – polecił Vargas.

Rovira pokiwał skwapliwie głową i usłuchał.

– Proszę mi wybaczyć, panie kapitanie. Nie wiedziałem, co mam zrobić. Chciałem poczekać na pana na dole, na ulicy, ale jestem pewien, że mnie śledzono, pomyślałem więc...

– Niech się pan tak nie rozpędza. O czym w ogóle pan mówi?

Rovira westchnął głęboko i zaczął wymachiwać rękoma, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Vargas zamknął drzwi i poprowadził go w kierunku fotela.

– Niech pan usiądzie.

– Dziękuję.

Vargas przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko nieproszonego gościa.

– Proszę opowiedzieć mi wszystko od początku.

Rovira przełknął ślinę.

– Przynoszę panu wiadomość od komisarza Linaresa.

– Linaresa?

Rovira przytaknął.

– To on mi kazał śledzić pana i panią Alicję. Chociaż zapewniam, że posłuchałem pańskiego polecenia i trzymałem się z daleka, żeby nie przeszkadzać. I opowiedziałem jak najmniej, żeby mogli coś wpisać do akt.

– Co to za wiadomość? – niecierpliwił się Vargas.

– Komisarz Linares po dotarciu na komendę odebrał telefon. Dzwonił ktoś z Madrytu. Z samej góry. Komisarz prosił, żebym panu przekazał, że jest pan w niebezpieczeństwie i lepiej, żebyście wyjechali z miasta. Pan i pani Alicja. Posłał mnie do kostnicy, żebym pana odszukał. Tam dowiedziałem się, że poszedł pan do urzędu.

– Niech pan mówi dalej.

– Znalazł pan tam coś ciekawego? – zapytał Rovira.

– Nic, co mogłoby pana zainteresować. Co dalej?

– No więc poszedłem do Urzędu Stanu Cywilnego, ale tam powiedziano mi, że już pan wyszedł, więc przybiegłem tutaj, żeby na pana poczekać. I wtedy

właśnie uświadomiłem sobie, że ktoś pana śledzi.

– Czy nie było to pańskie zadanie?

– Jest jeszcze ktoś oprócz mnie.

– Kto?

– Nie wiem.

– A jak pan się dostał do środka?

– Drzwi były otwarte. Ktoś musiał się włamać wcześniej. Upewniłem się, że nikt nie czai się wewnątrz, zamknąłem drzwi i zasłoniłem zasłony, żeby nikt nie zauważył, że tu na pana czekam.

Vargas posłał mu przeciągłe spojrzenie, ale nie odezwał się słowem.

– Czy zrobiłem coś złego?

– Dlaczego Linares nie zadzwonił do mnie do kostnicy?

– Komisarz powiedział, że telefony na komendzie nie są bezpieczne.

– A dlaczego nie pofatygował się osobiście?

– Jest na zebraniu z tym oficerem, którego przysłało ministerstwo. Jakimś Alayą czy coś w tym rodzaju.

– Hendayą.

Rovira potwierdził.

– Tak, właśnie z nim.

Typek cały czas trząsał się jak osika.

– Może mi pan dać szklanek wody? – poprosił błagalnym tonem.

Vargas chwilę się wahał. Podeszedł do komody, wziął pustą do połowy karafkę i napełnił szklanekę.

– A pani Alicja? – zapytał Rovira za jego plecami. – Myślałem, że jest z panem.

Vargas zorientował się, że głos Roviry dochodzi z bardzo bliska, a kiedy się odwrócił ze szklanką w dłoni, zobaczył go tuż obok. Już się nie trząsał, a przerażony wyraz twarzy ustąpił miejsca nieprzeniknionej masce.

Vargas nie zdążył dostrzec noża.

Poczuł koszmarny ból w boku, jakby ktoś miażdżył mu żebra młotkiem,

i zrozumiał, że ostrze zanurzyło się głęboko i uszkodziło mu płuca. Miał wrażenie, że Rovira się uśmiecha. Kiedy spróbował sięgnąć po rewolwer, poczuł drugi cios. Nóż zagłębił się w jego szyi po samą rękojeść i Vargas zachwiał się na nogach. Oczy zaszyły mu mgłą, oparł się o komodę. Trzeci cios przeszył mu żołądek. Osunął się na podłogę. Ujrzał nad sobą cień. Jego ciało drgało w konwulsjach. Rovira wyrwał mu broń, przyjrzał się jej z obojętnym wyrazem twarzy, a potem odrzucił z pogardą.

– Złom – wymamrotał.

Vargas ostatkiem sił zdołał jeszcze spojrzeć w te oczy bez dna. Rovira odczekał chwilę, a potem wymierzył mu ostatni cios w brzuch, kręcąc ostrzem jak śrubokrętem. Z ust policjanta popłynęła krew. Próbował jeszcze uderzyć Rovirę czy tego kogoś, kto właśnie go ćwiartował z wprawą godną rzeźnika. Pięści Vargasa ledwie musnęły jego twarz. Rovira wyciągnął oblepiony krwią nóż i pokazał go policjantowi.

– Ty skurwielu – wyjąkał Vargas.

– Przyjrzyj mi się uważnie, pieprzony staruszk. Chcę, żebyś umarł, wiedząc, że z nią nie obejdę się tak łaskawie. Wręcz przeciwnie, zabawię się z nią powoli i obiecuję, że kiedy pokażę jej wszystkie swoje sztuczki, będzie cię przeklinać, że ją zawiodłeś.

Vargas poczuł, że po całym jego ciele rozlewa się lodowaty chłód, który paraliżuje wszystkie członki. Serce biło mu szybko, prawie nie mógł już oddychać. Na podłodze pod nim rosła ciepła, lepka kałuża. Łzy napłynęły mu do oczu, ogarnął go strach, jakiego nie czuł nigdy wcześniej. Morderca ukucnął, wytarł nóż w marynarkę policjanta i schował broń. Potem jeszcze chwilę patrzył mu w oczy i rozkoszował się jego agonią.

– To już? – zapytał. – Co się wtedy czuje?

Vargas zamknął oczy i przywołał wspomnienie Alicji. Umarł z uśmiechem na ustach. Rovira, czy też człowiek przedstawiający się tym nazwiskiem, zauważył to i wpadł w furję. I chociaż doskonale wiedział, że jego ofiara jest już martwa, bił ją pięściami po twarzy tak mocno, aż zdarł sobie skórę z knykci.

Fernandito nasłuchiwał przyczajony na progu. Wbiegł po schodach, ale kiedy stanął przed drzwiami Vargasa i miał nacisnąć dzwonek, zawahał się.

Powstrzymał go odgłos ciosów po drugiej stronie. Jakiś łamiący się głos ryczał wściekle przy akompaniamencie miarowych, przerażających uderzeń o coś, co mogło być tylko ciałem i kośćmi. Po chwili odgłosy umilkły. Usłyszał kroki zbliżające się do drzwi. Strach zwyciężył – Fernandito popędził schodami w górę i przywarł do ściany na półpiętrze. Usłyszał, jak drzwi się otwierają. Potem, że ktoś schodzi po schodach. Ostrożnie zbliżył się do poręczy i zobaczył niskiego mężczyznę w czarnym płaszczu. Po chwili zastanowienia chłopak szedł cicho do drzwi Vargas. Były uchylone. Zajrzał do środka. Ciało policjanta leżało na czarnej powłoce przypominającej płynne lustro. Nie wiedział, co to jest, dopóki nie wdepnął w tę ciecz. Poślizgnął się i upadł tuż przy ciele. Vargas, blady jak marmurowy posąg, nie żył. Fernandito nie wiedział, co robić. Wreszcie podniósł z podłogi broń policjanta i ruszył biegiem po schodach.

26

Całun chmur płynął znad morza, aby zaciągnąć Barcelonę żalobnym kirem. Alicja siedziała przy barze. Odwróciła się, usłyszawszy pierwszy grzmot. Zapatrzyła się w granicę cieni przesuwaną się nieuchronnie w kierunku miasta. Elektryczny spazm wstrząsnął świetlistości skłębionymi chmurami i po chwili o szyby uderzyły pierwsze krople deszczu. Po kilku minutach rozpętała się ulewa, a świat zniknął w nieprzeniknionym szarym mroku.

Gdy opuszczała restaurację, towarzyszyły jej pomruki burzy. Podeszła do muru okalającego rezydencję El Pinar. Kurtyna wody rozmywająca kontury i ograniczająca widoczność do kilku metrów pozwalała jej pozostać niezauważoną. Przechodząc obok furtki prowadzącej do ogrodu, stwierdziła, że fasada domu ledwie majaczy za zasłoną deszczu. Dotarła do upatrzonego wcześniej miejsca. Przeskoczyła przez mur i wylądowała na grubej warstwie nasiąkniętych wodą liści, która zamortyzowała jej upadek. Przeszła przez ogród, chroniąc się pod kępami drzew. Potem główną dróżką podążyła na tyły domu. Ulewa smagała wściekle fasadę i spływała po niej strumieniami. Alicja

podeszła do jednego z kuchennych okien, o których opowiadał jej Fernandito, i zajrzała do środka. Stał tam drewniany, pokryty ciemnymi plamami stół, na którym zabito Valentina Morgado. W środku nie zauważyła nikogo. Ryk kolejnego grzmotu sprawił, że dom zadrżał w posadach. Alicja uderzyła w szybę rękojeścią rewolweru, szkło rozsypało się na drobne kawałeczki. Sekundę później Alicja była wewnątrz pomieszczenia.

Fernandito trzymał się blisko niego. Mężczyzna szedł powoli, jakby nie zabił przed chwilą z zimną krwią człowieka, a po prostu wyszedł na przechadzkę. Pierwsza błyskawica rozświetliła ulicę, przechodnie pobiegli schować się w podcieniach placu Real. Morderca nie przyspieszył kroku, nie zamierzał wcale szukać schronienia. Kontynuował swój niespieszny marsz w kierunku Rambli. Zatrzymał się na skraju chodnika. Fernandito zauważył plamy na jego ubraniu. Przez chwilę czuł pokusę, żeby wyjąć z kieszeni broń Vargasa i wpakować draniowi kulkę w plecy. Morderca stał nieruchomo, jakby wyczuł jego obecność i postanowił na niego zaczekać. W końcu ruszył przed siebie, przeciął Ramblę na wysokości ulicy Conde del Asalto i skierował się ku sercu Ravalu.

Fernandito pozwolił mu się nieco oddalić. Zobaczył, jak skręca w lewo, w ulicę Lancaster. Pobiegł kilka metrów i zdążył jeszcze dostrzec, że mężczyzna znika w bramie jednego z budynków. Odczekał chwilę, a potem przytulony do muru ruszył powoli za nim. Brudna woda skapująca z gzymsów ściekała mu na twarz i wdierała się za kołnierz płaszcza. Chłopak zatrzymał się przed drzwiami, w których zniknął morderca. Z daleka zdawało mu się, że prowadzą do klatki schodowej, okazało się jednak, że to suterena jakiegoś lokalu handlowego. Wejścia strzegła żaluzja z zardzewiałego mosiądzu. W metalu wycięto mniejsze drzwiczki: były tylko przymknięte. Na progu wisiał sfatygowany szyld:

**FABRYKA MANEKINÓW
BRACIA CORTÉS
ARTYKUŁY KRAWIECKIE
SZWALNIA**

CZYNNA OD 1909 ROKU

Szwalnica była ewidentnie zamknięta od wielu lat i sprawiała wrażenie opustoszałej. Fernandito się zawahał. Wszystko w nim krzyczało, żeby jak najszybciej opuścić to miejsce i poszukał posiłków. Cofnął się do rogu ulicy, lecz nagle stanęła mu przed oczyma twarz Vargasa bez kropli krwi i jego rozciągnięte na podłodze martwe ciało. Odwrócił się na pięcie i podreptał z powrotem do drzwi zakładu. Delikatnie popchnął je i uchylił na kilka centymetrów.

W środku panowały nieprzeniknione ciemności. Otworzył drzwi na oścież i pozwolił, żeby przeniknęło przez nie wątle światło deszczowego dnia. Po chwili zatańczyły przed nim kontury wnętrza podobnego do sklepów z czasów jego dzieciństwa. Drewniane kontuury, przeszklone witryny, tu i ówdzie jakieś przewrócone krzesło. Wszystko było pokryte czymś, co w pierwszej chwili wziął za ażurową tkaninę, po chwili zrozumiał jednak, że to pajęczyny. Para nagich manekinów obejmowała się w kącie, jakby jakiś gigantyczny, żarłoczny owad zapędził je w kozi róg.

Fernandito usłyszał metaliczne echo dobiegające z wnętrza lokalu. Wyteżył wzrok i za pokrytą kurzem ladą zauważył wejście na zaplecze. Wisząca w nim zasłonka nadal się poruszała. Podeszedł do niej, bojąc się nawet oddychać, i uchylił ją o kilka centymetrów. Przed nim rozpościerał się długi korytarz. Nagle poczuł, że światło za jego plecami znika, i odwrócił się. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak wiatr, a może czyjaś dłoń, popycha drzwi i powoli je zamyka.

Alicja szła przez kuchnię ze wzrokiem utkwionym w drzwiach, zza których docierało do niej echo głosów przytłumione miarowym szelestem deszczu. Usłyszała kroki i głośnie trzaśnięcie drzwiami. Przystanęła i rozejrzała się po pomieszczeniu. Bateria palników, piekarników i rusztów wyglądała na nieużywaną od lat. Ze specjalnych uchwytów na ścianach zwisały patelnie, durszlaki, łyżki, noże i inne przybory kuchenne poczernione przez czas. W samym środku stał drewniany stół, uwagi Alicji nie umknęły łańcuchy i pasy przytwierdzone do stołowych nóg ani plamy zaschniętej krwi na blacie. Zastanawiała się, co zrobili z ciałem szofera Sanchisa i czy Victoria, żona bankiera, jeszcze żyje.

Podeszła do drzwi i przyłożyła do nich ucho. Głosy zdawały się dochodzić

z przyległego pomieszczenia. Już miała uchylić je delikatnie, żeby tam zajrzeć, kiedy znów rozległ się dźwięk, który wcześniej wzięła za bębnienie deszczu o szyby. Był to metaliczny stukot dobywający się z trzewi domu. Wstrzymała oddech. Coś uderzało o ścianę albo w rury, a odgłos docierał aż do kuchni. Podeszła do szybu windy towarowej i usłyszała to wyraźniej. Dźwięk dochodził z dołu. Domyśliła się, że pod kuchnią jest piwnica.

Alicja obeszła pomieszczenie dookoła, stukając delikatnie knykciami w ściany. Mury wydawały się solidne. W rogu dostrzegła metalowe drzwiczki. Pociągnęła za otwierającą je wajchę. Prowadziły do pełnego zakurzonych półek pomieszczenia o powierzchni mniej więcej sześciu metrów kwadratowych, prawdopodobnie starej spiżarni. Metaliczne postukiwanie słyhać było jeszcze wyraźniej. Zrobiła kilka kroków naprzód i poczuła pod stopami wibracje. I wtedy to zauważyła: ciemne pasmo przypominające pionową szczelinę w ścianie naprzeciwko. Podeszła i pomacała ścianę. Popchnęła ją lekko, ściana ustąpiła. Intensywny zwierzęcy odór zgnilizny i ekskrementów dmuchnął jej w twarz. Zrobiło się jej niedobrze, zasłoniła nos i usta dłonią.

Przed nią rozciągał się wykuty w skale tunel, schodzący w dół pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Schody o nieregularnych stopniach ginęły w ciemnościach. Nagle odgłos ucichł. Alicja stanęła na pierwszym schodku i zaczęła nasłuchiwać. Wydawało się jej, że słyszy czyjś świszczący oddech. Wycelowała rewolwer w mrok i zeszła kolejny stopień.

Z metalowego haka w ścianie zwisał jakiś podłużny przedmiot. Latarka. Alicja zdjęła ją i zapaliła. Snop białego światła przeszył pełną gęsty, wilgotny półmrok.

– Hendaya? To pan? Niech mnie pan tu nie zostawia!

Głos dochodził z głębi tunelu. Łamał się i prawie nie przypominał głosu człowieka. Alicja powoli zeszła po schodach i zobaczyła kratę. Uniosła latarkę, jej światło omiotło celę. Kiedy zrozumiała, co widzi, krew ścięła jej się w żyłach.

Miał na sobie cuchnące łachmany. Włosy posklejane od brudu i gęsta broda przysłaniały pożyłką, pełną zadrapań twarz. Doczołgał się do krat i wyciągnął dłoń w błagalnym geście. Alicja opuściła broń i patrzyła na niego osłupiała. Więzień wyciągnął drugą rękę przez kraty, wtedy spostrzegła, że nie ma dłoni.

Została odcięta na wysokości nadgarstka, a kikut pokrywała warstwa zaschniętej smoły. Skóra na ręku była fioletowa. Alicja z trudem powstrzymała mdłości i podeszła do kraty.

– Valls? – zapytała z niedowierzaniem. – Czy pan to Mauricio Valls?

Więzień otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale wydobył się z nich jedynie przeraźliwy jęk. Alicja zbadła zamknięcie celi – krata została kilkakrotnie owinięta grubym łańcuchem zabezpieczonym kłódką z kutego żelaza. Usłyszała odgłos przybliżających się kroków i zrozumiała, że nie ma wiele czasu. Valls spoglądał na nią zza krat, w jego oczach czaiła się desperacja. Zdała sobie sprawę, że nie zdoła go stąd wyciągnąć. Chociażby nawet spróbowała przestrzelić kłódkę, Hendaya z pewnością rozstawił na warcie co najmniej dwóch albo trzech swoich ludzi. Będzie musiała wezwać na pomoc Vargasa. Więzień wydawał się czytać w jej myślach. Wyciągnął rękę i spróbował ją chwycić, ale nie miał na to sił.

– Niech mnie tu pani nie zostawia – powiedział tonem ni to błagania, ni rozkazu.

– Muszę wezwać pomoc – wyszeptała Alicja.

– Nie! – krzyknął Valls.

Wyciągnęła do niego rękę, powstrzymując wstręt przed dotknięciem tego worka kości, który ktoś porzucił tutaj, żeby zgnił za życia.

– Niech pan nikomu nie mówi, że tu byłam.

– Jeśli spróbujesz odejść, ty wstrętna kurwo, zacznę krzyczeć i wsadzą cię tu razem ze mną – zagroził Valls.

Alicja spojrzała mu w oczy i przez chwilę wydawało się jej, że widzi w tym żywym trupie prawdziwego Vallsa.

– Jeśli pan to zrobi, już nigdy nie ujrzy pan swojej córki.

Twarz Vallsa złagodniała, w ułamku sekundy ulotniła się z niej cała furia i rozpacz.

– Obiecałam Mercedes, że pana odnajdę – dodała Alicja.

– Ona żyje?

Pokiwała głową.

Valls oparł czoło na kracie i zapłakał.

– Niech pani nie pozwoli, żeby zrobili jej krzywdę – poprosił.

– Kto? Kto chciałby zrobić krzywdę Mercedes?

– Błagam panią...

Alicja usłyszała kroki nad celą i odskoczyła od kraty. Valls posłał jej ostatnie spojrzenie pełne smutku, ale też nadziei.

– Niech pani ucieka – wyjąkał.

27

Fernandito utkwił spojrzenie w drzwiach, które zamykały się powoli pchnięte podmuchem wiatru. Ciemność wokół niego zgęstniała. Sylwetki manekinów i przeszklone witryny zniknęły w mroku. Kiedy w drzwiach pozostała zaledwie wąska szparka, przez którą sączyło się anemiczne światło, Fernandito odetchnął głęboko i pomyślał, że przecież śledził tego faceta w jakimś celu. Alicja na niego liczy. Ścisnął mocniej rewolwer i wszedł w mroczny korytarz biegnący w głąb warsztatu.

– Nie boję się – wymamrotał.

Do jego uszu dobiegł cichy odgłos, mógłby przysiąc, że to śmiech dziecka. Gdzieś bardzo blisko. W odległości zaledwie kilku metrów. Potem usłyszał pospieszne kroki zbliżające się w ciemności i ogarnęła go panika. Fernandito uniósł broń i sam nie wiedząc dokładnie, co robi, nacisnął spust. Miał wrażenie, że ogłuszający huk rozsadzi mu bębenki, ramiona podskoczyły mu do góry, jakby ktoś uderzył go młotkiem w nadgarstki. Spazm pachnącego siarką światła rozbłysł w cieniach korytarza na ułamek sekundy i Fernandito go zobaczył. Szedł ku niemu z uniesionym nożem i roziskrzonym spojrzeniem, z twarzą ukrytą pod maską zrobioną chyba ze skóry.

Fernandito znów wystrzelił raz i drugi, aż w końcu rewolwer wyślizgnął mu się z rąk, a on sam upadł na plecy. Przez chwilę zdawało mu się, że demoniczna postać stoi nad nim i że zanim zdoła złapać oddech, poczuje na skórze zimne ostrze wbijane przez mordercę. W panice zerwał się na równe

nogi i skoczył w kierunku drzwi, które otworzyły się pod ciężarem jego ciała. Chłopak wylądował prosto w kałuży. Czym prędzej wstał i nie oglądając się za siebie, rzucił się pędem do ucieczki jak potępiona dusza umykająca przed diabłem.

Wszyscy mówili na niego Bernal. Nie było to jego prawdziwe imię, ale nie chciało mu się ciągle ich poprawiać. Zaledwie od kilku dni należał do brygady Hendai, ale to, co zdążył zobaczyć w tym domu – którego atmosfera sprawiała, że włos jeżył mu się na głowie – wystarczyło w zupełności, żeby uznać, że im mniej ten kat i jego oddział rzeźników o nim wiedzą, tym lepiej. Brakowało mu niespełna dwóch miesięcy do odejścia w stan spoczynku i mizernej emerytury mającej zrekompensować trudy całego życia w policyjnych szeregach. W tej chwili jego jedynym marzeniem było umrzeć samotnie w jakimś zapomnianym pensjonacie przy ulicy Joaquina Costy. Wolał dożyć końca swoich dni jak stara dziwka, niż paradować w galowym mundurze bohatera i być przykładem dla młodych chłopaków, których przysyłało im teraz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Nowi centurioni, skrojeni według jednej matrycy, gotowi byli oczyścić ulice Barcelony z nieszczęsnych czerwonych, którzy tak naprawdę ledwo zipali i nie byli w stanie nawet wysikać się na stojąco. Nic dziwnego zresztą, skoro spędzili pół życia, ukrywając się albo odsiadując wyroki w przepelnionych jak ule więzieniach. Nadeszły takie czasy, kiedy szlachetniej jest umrzeć w zapomnieniu niż żyć w chwale.

Pogrążony w rozmyślaniach Bernal, który naprawdę nazywał się zupełnie inaczej, otworzył drzwi do kuchni. Hendaya nakazał mu od czasu do czasu patrolować dom, a on skrupulatnie wypełniał rozkazy. To była jego specjalność. Zrobił tylko trzy kroki, a już zorientował się, że coś jest nie w porządku. Powiew chłodnego powietrza musnął mu twarz. Uniósł wzrok. W świetle błyskawicy ujrzał zębaty otwór po zbitej szybie. Podszedł tam i uklęknął przy odłamkach szkła. Ślady kroków niknęły w kurzu. Lekkie stopy, mała podeszwa, buty na obcasie. Kobieta. Bernal zastanowił się chwilę. Potem wstał i ruszył ku spizarce. Nacisnął ścianę w głębi i otworzył wejście do tunelu. Zszedł kilka stopni, ale dobywający się z głębi smród kazał mu się cofnąć. Już miał zamknąć za sobą drzwi, kiedy spojrzał na wiszącą na ścianie latarkę. Delikatnie się kołysała. Mimo wszystko agent zatrzasnął drzwi i wrócił do kuchni. Obrzucił szybkim spojrzeniem pomieszczenie, a po chwili

wahania zatarł butem ślady i kopnął odłamki szkła do ciemnego kąta. Nie miał zamiaru zwierzać się Hendai, że pod jego nieobecność ktoś złożył w domu niezapowiedzianą wizytę. Ostatni nieszczęśnik, który przekazał szefowi złą wiadomość, skończył ze złamaną szczęką. A był to jego zaufany człowiek. Nie, nie będzie się wychylał. Przy odrobinie szczęścia za siedem tygodni dostanie medal, zastawi go w lombardzie i poszuka szczęścia w ramionach jakiejś ładnej prostytutki. Z jej pomocą pożegna się z uciechami tego świata, a jeśli uda mu się to pożegnanie przeżyć, będzie miał przed sobą całą przeklętą i monotonną starość, żeby zapomnieć, co widział w ciągu kilku ostatnich dni w El Pinar, i wmawiać sobie, że wszystko, co zrobił w imię obowiązku, było dziełem niejakiego Bernala, którym nigdy nie był i nigdy nie będzie.

Przyczajona w ogrodzie Alicja patrzyła, jak policjant wolnym krokiem przemierza kuchnię, sprawdza wejście do tunelu, a potem, nie wiedzieć czemu, zaciera ślady, jakie po sobie pozostawiła. Policjant jeszcze raz rozejrzał się po pomieszczeniu i ruszył z powrotem ku drzwiom. Korzystając z tego, że ulewa nie ustąpiła ani trochę, i nie mając pewności, czy ów policjant nie doniesie przełożonym o tym, co zaszło, Alicja postanowiła puścić się pędem przez ogród, zbiec po wzniesieniu i dopaść do muru. Zajęło jej to sześćdziesiąt długich sekund i przez każdą z nich wyobrażała sobie, że za chwilę dostanie kulę w plecy. Tak się jednak nie stało. Przelazła przez mur i pobiegła ku placykowi, z którego niebieski tramwaj ruszał właśnie w trasę powrotną. Wskoczyła do wagonu, zignorowała karcące spojrzenie konduktora i cała przemoczona opadła na siedzenie. Chociaż drżała z zimna i zdenerwowania, powoli docierało do niej, że może już odetchnąć z ulgą.

Czekał na nią w strugach deszczu, przycupnięty na schodkach. Alicja ominęła kałuże, w których tonęła ulica Aviñón, i zatrzymała się przed nim. Domyśliła się wszystkiego, zanim chłopak zdążył otworzyć usta. Fernandito uniósł wzrok i spojrzał na nią oczyma pełnymi łez.

– Gdzie jest Vargas? – zapytała.

Fernandito spuścił głowę.

– Niech pani tam nie wchodzi – wyjąkał.

Alicja wbiegła na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Nie zwracała uwagi na świdrujący ból w biodrze, który rozlewał się na cały bok. Kiedy

dotarła na czwarte piętro, zatrzymała się na chwilę przed uchylonymi drzwiami do mieszkania Vargasa. W powietrzu unosił się słodkawy metaliczny zapach. Pchnęła drzwi i ujrzała ciało w ciemnej, lśniącej kałuży. Ogarnął ją lodowaty chłód, nie mogła zaczerpnąć tchu. Na drżących nogach podeszła do trupa. Vargas miał otwarte oczy. Jego twarz przypominała zmiażdżoną woskową maskę, ledwo rozpoznała jej rysy. Uklękła przy nim. Pogłaskała go po policzku. Był zimny. Łzy wściekłości zamgliły jej wzrok. Zdusiła w sobie krzyk.

Obok ciała leżało przewrócone krzesło. Alicja podniosła je i usiadła, żeby w milczeniu popatrzeć na martwego towarzysza. Płonący ból w biodrze torował sobie drogę przez kolejne kości. Zaczęła walić pięścią w starą ranę, ból zupełnie ją oślepił i prawie spadła z krzesła. Biła dalej, dopóki Fernandito, który przyglądał się całej scenie z progu, nie złapał jej za rękę i nie powstrzymał. Pozwolił jej wyć, aż zabrakło jej tchu.

– To nie pani wina – powtarzał w kółko.

Kiedy Alicja przestała się trząść, Fernandito przykrył ciało znalezionym na fotelu kocem.

– Przeszukaj mu kieszenie – poleciła Alicja.

Chłopak posłusznie przeszukał kieszenie płaszcza i marynarki policjanta. Znalazł portfel, jakieś drobne, kawałek papieru z listą cyfr i wizytówkę:

María Luisa Alcaine
Sekretariat
Dyrekcja Archiwów i Dokumentacji

Podał to wszystko Alicji, a ona obejrzała każdą rzecz bardzo dokładnie. Zachowała listę i wizytówkę, resztę kazała włożyć z powrotem na miejsce i znów wpatrzyła się w zarys sylwetki Vargasa pod kocem. Fernandito odczekał kilka minut, a potem powiedział:

– Nie możemy tu zostać.

Spojrzała na niego, jakby nie dosłyszała tych słów albo ich nie zrozumiała.

– Proszę dać mi rękę.

Alicja spróbowała się podnieść o własnych siłach. Fernandito zauważył grymas bólu na jej twarzy, otoczył ją ramieniem i pomógł wstać. Wreszcie stanęła na nogach i zrobiła kilka kroków, starając się nie utykać.

– Dam radę sama – oznajmiła lodowatym tonem.

Z jej nieprzeniknionego spojrzenia trudno było odgadnąć jakiegokolwiek uczucia, nawet wtedy, kiedy odwróciła się, żeby ostatni raz spojrzeć na ciało Vargasa. Powinniśmy zamknąć drzwi na wszystkie zamki, pomyślał Fernandito.

– Idziemy – mruknęła Alicja, kuśtykając do wyjścia.

Fernandito wziął ją pod ramię i pomógł zejść po schodach.

Usiedli przy stoliku w rogu Gran Café. Fernandito zamówił dwie filiżanki kawy z mlekiem i kieliszek koniaku, który wlał do jednej z nich. Podał filiżankę Alicji.

– Niech się pani napije. Dobrze pani robi.

Alicja wzięła filiżankę z jego rąk i powoli upiła pierwszy łyk. Deszcz skrobał w szyby i ściekał strużkami przysłaniającymi szarą kurtynę chmur, które opadły na miasto. Kiedy Alicja trochę się rozgrzała, Fernandito opowiedział jej o wszystkim, co zaszło.

– Nie powinieneś był go śledzić – stwierdziła.

– Nie mogłem pozwolić mu uciec.

– Jesteś pewien, że nie żyje?

– Nie. Strzeliłem do niego dwa czy trzy razy z broni kapitana Vargasa. Dzieliły nas zaledwie dwa metry, nie więcej. Ale było ciemno...

Alicja położyła rękę na dłoni Fernandita i spróbowała się uśmiechnąć.

– Wszystko w porządku – skłamał.

– Masz jeszcze tę broń?

Fernandito pokręcił głową.

– Wypadła mi, kiedy stamtąd uciekałem. Co teraz zrobimy?

Alicja milczała przez chwilę, zatopiwszy spojrzenie w szybie. Czuła, jak ból w biodrze pulsuje w rytm bicia jej serca.

– Nie powinna pani zażyć tej swojej tabletki? – zapytał Fernandito.

– Potem.

– Po czym?

Alicja spojrzała mu w oczy.

– Musisz coś dla mnie zrobić.

Fernandito pokiwał głową.

– Co tylko pani zechce.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej klucz.

– To klucz do mojego mieszkania. Weź go.

– Nie rozumiem.

– Chcę, żebyś tam poszedł. Upewnij się, zanim wejdziesz, że nikogo nie ma. Jeśli drzwi będą otwarte albo zauważysz jakiegokolwiek ślady włamania, uciekaj czym prędzej. Nie zatrzymuj się, póki nie znajdziesz się w domu.

– A pani nie pójdzie ze mną?

– Wejdz do jadalni i zajrzyj pod kanapę. Znajdziesz tam pudło z dokumentami i papierami. Pośród nich znajduje się koperta, a w niej zeszyt. Na kopercie jest napis ISABELLA. Zrozumiałeś?

Przytaknął.

– Isabella.

– Zabierz to pudło i dobrze je ukryj. Tak, żeby nikt nigdy go nie znalazł. Zrobisz to dla mnie?

– Oczywiście. Może pani być spokojna. Ale...

– Bez żadnych ale. Gdyby coś mi się stało...

– Proszę tak nie mówić!

– Gdyby coś mi się stało – powtórzyła twardo Alicja – broń Boże, nie idź na policję. Jeśli nie wrócę, odczekaj kilka dni i zanieś te dokumenty do księgarni Sempere i Synowie przy ulicy Santa Ana. Pamiętasz, gdzie to jest,

prawda?

– Tak.

– Zanim wejdiesz do środka, upewnij się, że nikt nie obserwuje księgarni. Jeśli coś wzbudzi w tobie choćby cień podejrzenia, nie zbliżaj się tam i wróć innym razem. Kiedy znajdziesz się w księgarni, zapytaj o Fermina Romero de Torres. Powtórz nazwisko.

– Fermín Romero de Torres.

– Masz mu to oddać do rąk własnych. Nie ufaj nikomu innemu.

– Pani Alicjo, przeraża mnie pani.

– Jeśli coś mi się stanie, daj mu te dokumenty. Powiedz, że ja cię przysłałam. Opowiedz mu wszystko, co się stało. Powiedz, że wśród tych dokumentów znajduje się dziennik Isabelli Gispert, matki Daniela.

– Kim jest Daniel?

– Powiedz Ferminowi, żeby go przeczytał i zastanowił się, czy dać go Danielowi, czy nie. Niech on o tym zadecyduje.

Fernandito pokiwał głową. Alicja uśmiechnęła się smutno. Wzięła chłopaka za rękę i mocno uścisnęła. On uniósł jej dłoń do ust i pocałował.

– Przepraszam, że cię w to wszystko wpakowałam, Fernandito. I że będziesz musiał sobie z tym poradzić. Nie miałam prawa.

– Cieszę się, że pani to zrobiła. Nie zawiodę pani.

– Wiem.

– I ostatnia rzecz. Jeśli nie wrócę...

– Wróci pani.

– Jeśli nie wrócę, nie pytaj o mnie w szpitalach ani w komisariatach, ani w ogóle nigdzie. Zachowuj się tak, jakbyś nigdy mnie nie znał. Zapomnij o mnie.

– Pani Alicjo, ja o pani nigdy nie zapomnę. Taki już ze mnie głupiec.

Wstała z miejsca. Było oczywiste, że ból trzyma ją w swych szponach, ale uśmiechnęła się do Fernandita, jakby nic sobie z tego nie robiła.

– Chce pani znaleźć tego człowieka?

Alicja nie odpowiedziała.

– Kim on jest?

– Przedstawił się jako Rovira. Ale tak naprawdę nie wiem, kto to.

– Kimkolwiek jest, o ile w ogóle jeszcze żyje, trzeba na niego bardzo uważać.

Fernandito wstał gotów iść z Alicją. Ona pokręciła głową.

– Chcę, żebyś poszedł do mnie do domu i zabrał te dokumenty.

– Ale...

– Bez dyskusji! I przysięgnij, że zrobisz dokładnie to, o co cię prosiłam.

Fernandito westchnął.

– Przyrzekam.

Alicja posłała mu jeden ze swoich rozbijających uśmiechów, które tak wiele razy mąciły chłopakowi tę odrobinę zdrowego rozsądku, jaką obdarował go Pan Bóg, i kuśtykając, ruszyła do wyjścia. Patrzył, jak odchodzi w deszczu, bardziej krucha niż kiedykolwiek. Zaczekał, aż zniknie mu z oczu, zostawił na stole kilka monet i przeszedł przez ulicę do domu Alicji. Na klatce schodowej wpadł na konsjerżkę, swoją ciotkę Jesusę, która, uzbrojona w szcnotkę owiniętą szmatą, próbowała zatamować wdzierającą się do środka wodę. Kiedy go zobaczyła z kluczem do mieszkania Alicji w ręku, zmarszczyła brwi z dezaprobatą. Fernandito w mig zrozumiał, że ciotka – kolekcjonerka plotek obdarzona sokolim wzrokiem pozwalającym jej dostrzec intrygujące szczegóły z życia bliźnich, była świadkiem sceny w Gran Café łącznie z całowaniem po rękach.

– Nigdy nie zmądrzejemy, co, Fernandito?

– To nie tak, jak ciocia myśli.

– To, co myślę, lepiej zachowam dla siebie, ale jako twoja ciotka i chyba jedyna osoba w rodzinie mająca głowę na karku muszę ci powtórzyć to, co mówiłam już tysiące razy.

– Że panna Alicja nie jest kobietą dla mnie – wyrecytował Fernandito.

– A pewnego dnia, jak to mówią w radiu, złamie ci serce – dodała Jesusa.

Ten dzień nastąpił już kilka lat temu, ale Fernandito wolał nie kontynuować dyskusji. Jesusa podeszła do niego uśmiechnięta i wyszczyphała mu policzki, jakby wciąż miał dziesięć lat.

– Ja tylko nie chcę, żebyś niepotrzebnie cierpiał. Sam dobrze wiesz, że kocham pannę Alicję, jakby była z rodziny, ale to chodząca bomba zegarowa. Któregoś pięknego dnia po prostu wybuchnie i zmiecie wszystko dookoła. I niech Bóg mi wybaczy, że to mówię.

– Tak, ciociu, ma ciocia absolutną rację. Ale niech się ciocia nie martwi, wiem, co robię.

– To samo mówił twój wujek w dniu, kiedy się utopił.

Fernandito nachylił się i pocałował ją w czoło, a potem ruszył schodami w górę. Wszedł do mieszkania Alicji, zostawił uchylone drzwi i po kolei wykonał powierzone mu zadania. Znalazł pudło pod kanapą w jadalni. Otworzył je, rzucił okiem na plik dokumentów, zauważył kopertę z napisem ISABELLA.

Nie miał odwagi jej otworzyć. Zamknął karton i zaczął się zastanawiać, kim może być ów Fermín Romero de Torres, który zaskarbił sobie całkowite zaufanie Alicji i na którego pomoc tak bardzo liczyła. Uświadomił sobie, że w całym galimatiasie, jakim było jej życie, istniało więcej osób, znacznie dla niej ważniejszych niż on.

– Nie myślałeś chyba, że jesteś jedyny – powiedział po cichu.

Z pudłem w rękach ruszył ku drzwiom. Na odchodnym omiół raz jeszcze spojrzeniem mieszkanie Alicji, przekonany, że już nigdy go nie zobaczy. Na klatce schodowej ciotka nadal walczyła z potopem wdzierającym się przez próg. Zatrzymał się przy niej.

– Ale z ciebie tchórz – mruknął. – Nie powinieneś być pozwolić jej tam iść.

Jesusa przerwała na chwilę swoje rozpaczliwe zmagania i spojrzała na niego.

– Co tam mamrociesz, słonko?

Fernandito westchnął.

– Ciociu, mogę prosić ciocię o przysługę? – zapytał.

– Oczywiście, moje złotko.

– Chodzi o to pudło. Trzeba je schować tak dobrze, żeby nikt go nie znalazł. Nie może ciocia zdradzić nikomu, że je ma. Nawet policji, gdyby przyszli zapytać. Nikomu.

Twarz Jesusy sposepniała. Konsjerżka spojrzała na pudło i się przeżegnała.

– Ojoj. W jaką kabałę się wpakowaliście?

– W nic, czego nie dałoby się naprawić.

– Twój wujek też tak mówił.

– Wiem, wiem. Zrobi to ciocia dla mnie? To bardzo ważne.

Jesusa przytaknęła z powagą.

– Niedługo wrócę.

– Przrzekasz?

– Oczywiście.

Wyszedł na ulicę, umykając przed zaniepokojonym wzrokiem ciotki, i zanurzył się w strugach deszczu owładnięty takim strachem, że nie poczuł nawet przenikającego do kości zimna. Tego dnia, który mógł okazać się ostatnim dniem jego krótkiego żywota, idąc na spotkanie z przeznaczeniem, nauczył się dwóch rzeczy mogących mu się przydać w przyszłości, o ile oczywiście przeżyje i zdąży skorzystać z nowo nabytej wiedzy. Po pierwsze nauczył się kłamać. Po drugie, i ta myśl nie opuszczała go przez całą drogę, zrozumiał, że z łamaniem przrzeczeń jest tak, jak z łamaniem serc: najtrudniejszy okazuje się pierwszy raz, potem jest już z górki.

28

Alicja zatrzymała się na rogu ulicy Lancaster i przez kilka minut obserwowała wejście do starej fabryki manekinów. Drzwi, przez które wszedł Fernandito, nadal były uchylone. Budynek, ciemną kamienną bryłą wysokości dwóch pięter, wieńczył pękaty dach. Okna wyższego piętra były osłonięte deskami i zmurszałymi ceglami. Na fasadzie Alicja dostrzegła sfatygowaną tablicę rozdzielczą i gniazdko telefoniczne wystające z wywierconych wiertarką otworów. Poza tym szczególnie miejsce wydawało się opuszczone, jak większość dawnych warsztatów w tej części Ravalu.

Alicja zbliżyła się do wejścia, idąc tuż przy murze. Za sprawą ulewy ulice zupełnie opustoszały, nie kryjąc się więc, wyciągnęła broń i wycelowała w drzwi. Pchnęła je, aż otworzyły się całkiem. Weszła do środka, trzymając rewolwer oburącz. Delikatny strumień powietrza płynął z wnętrza, niosąc zapach starych rur i nafty albo jakiegoś innego paliwa.

Znalazła się w pomieszczeniu, w którym kiedyś zapewne mieścił się sklep. Kontuar, komplet pustych witryn i para manekinów oplecionych czymś podobnym do białawej przezroczystej gazy stanowiły całe wyposażenie. Alicja obeszła kontuar dookoła i zbliżyła się do wyjścia na zaplecze z zasłonką z drewnianych paciorków. Już miała przejść przez próg, kiedy potrafiła nogą jakiś metalowy przedmiot. Nie opuszczając rewolweru, omiotła spojrzeniem podłogę i zobaczyła broń Vargasa. Podniosła ją i schowała w lewej kieszeni żakietu. Odsunęła zasłonkę z paciorków: rozpościerał się przed nią korytarz prowadzący w głąb budynku. W powietrzu wciąż unosił się zapach prochu. Pod sufitem zamajaczyły jakieś delikatne refleksy. Alicja, macając ścianę, natrafiła na przekręcany kontakt. Girlanda słabiotkich żarówek zawieszonych na kablu rozblęła wzdłuż korytarza. W ich różowawej poświacie ujrzała wąskie przejście schodzące pod niewielkim kątem w dół. Kilka metrów od progu ściana upstrzona była ciemnymi plamami, jakby ktoś chlusnął na nią czerwoną farbą. Co najmniej jedna z wystrzelonych przez Fernandita kul dosięgła celu. A może więcej niż jedna. Ślady krwi ciągnęły się po podłodze i ginęły w oddali. Trochę dalej znalazła nóż, którym Rovira próbował zaatakować Fernandita. Ostrze było zbroczone krwią i Alicja zrozumiała, że to krew Vargasa. Szła dalej i nie zatrzymała się, dopóki nie ujrzała strumienia widmowego światła bijącego z końca tunelu.

– Rovira? – zawołała.

W głębi korytarza tańczyły cienie, z ciemności dobiegał dziwny odgłos, jakby szuranie. Alicja spróbowała przełknąć ślinę, ale zupełnie zaschło jej w gardle. Nie zauważyła nawet, że odkąd tu weszła, nie czuła ani bólu w biodrze, ani chłodu i nieprzyjemnego dotyku przemoczonych ubrań. Czuła jedynie strach.

Przebyła odległość dzielącą ją od końca korytarza, nie zwracając uwagi na głośny stukot obcasów o lepką i wilgotną podłogę.

– Rovira, wiem, że jesteś ranny. Wyjdź, porozmawiamy!

Własny głos wydał się jej kruchy i zalękniony, ale podążyła śladem jego echa. Zatrzymała się na końcu tunelu. Rozpościerała się przed nią ogromna, wysoka hala z pozostałościami roboczych stołów, narzędzi i maszyn ustawionych w dwóch rzędach. Ze świetlika w głębi warsztatu sączyła się blada poświata, która wydobywała z mroków fantasmagoryczną scenerię.

Zwisały z sufitu na sznurach jak wisielcy. Pół metra nad podłogą. Mężczyźni, kobiety i dzieci, manekiny w niegdysiejszych strojach kołysały się w półmroku niczym dusze uwięzione w sekretnym czyścicu. Były ich całe tuziny. Niektóre miały uśmiechnięte twarze i błysk w szklanych oczach, inne nie zostały ukończone. Alicji serce podskoczyło do gardła. Odetchnęła głęboko i zanurzyła się w ten gąszcz ludzkich sylwetek. Szła powoli pomiędzy nimi, a ich ręce i ramiona gładziły ją po twarzy i włosach. Manekiny huštały się w rytm jej kroków.

Echo ocierających się o siebie drewnianych ciał rozchodziło się po całej hali. Oprócz niego słyhać było jakiś mechaniczny warkot. W głębi warsztatu zapach nafty stawał się coraz intensywniejszy. Alicja zostawiła za plecami las dyndających manekinów i spostrzegła pracującą maszynę, z której unosiły się kłęby pary. Agregat. Obok niego piętrzyła się góra wybrakowanych części i odrzuconych elementów. Głowy, nogi, torsy pozbawione członków tworzyły makabryczną plataninę, która przypominała jej stos martwych ciał widywanych w czasie wojny w Barcelonie po nalotach bombowych.

– Rovira! – zawołała znowu.

Była pewna, że ją obserwuje, przyczajony w jakimś ciemnym kącie. Omiotła spojrzeniem pomieszczenie, próbując rozpoznać majaczące w półmroku kształty. Za stosem odpadów dostrzegła drzwi, pod którymi biegły kable od generatora. Zza framugi sączyła się delikatna smuga elektrycznego światła. Alicja błagała w myślach, żeby znaleźć w środku martwe ciało Roviry rozciągnięte na podłodze. Podeszła do drzwi i otworzyła je kopniakiem.

Przypominające kryptę pomieszczenie było kwadratowe, pozbawione okien i pomalowane na czarno. Z sufitu zwisał rząd gołych żarówek świecących żółtawym światłem i wydających z siebie ciche i szemrzące bzyczenie, jakby ściany obsiadł rój pszczół. Zanim Alicja odważyła się wejść, zlustrowała wzrokiem każdy centymetr pokoiku. Roviry ani śladu.

W rogu znajdowało się metalowe łóżko, na nim leżały stare koce. Za szafkę nocną służyło kartonowe pudło. Stały na nim czarny telefon, świece i słoik pełen monet. Spod łóżka wystawały stara walizka, para butów i kubeł. Obok ujrzała antyczną szafę z rzeźbionego drewna, z tych, które spotkać można raczej w elegancko urządzonym domu, a nie w zakładzie przemysłowym. Drzwi wyglądały na zamknięte, ale po chwili Alicja dostrzegła kilkucentymetrową szparę. Podeszła powoli, przygotowana, by opróżnić magazynek. Przez chwilę wyobrażała sobie Rovirę, jak uśmiechnięty czeka w środku na chwilę jej nieuwagi.

Alicja, trzymając oburącz rewolwer, kopnęła drzwi szafy, które najpierw się cofnęły, a potem powoli otworzyły. W środku nie było nikogo. Na drążku wisiało kilka nagich wieszaków, na dnie zaś znalazła kartonowe pudło, na którym widniał napis:

SALGADO

Wyciągnęła pudło, dno nie wytrzymało i zawartość rozsypała się pod jej nogami. Klejnoty, zegarki i inne wartościowe przedmioty. Przewiązane sznurkami pliki banknotów wycofanych z obiegu. Sztabki złota wytopione niestarczanie i w pośpiechu. Alicja uklękła, żeby przyjrzeć się lepiej łupowi: miała przed sobą całkiem okazałą fortunę, która, jak się domyśliła, była skarbem Sebastiana Salgado – dawnego więźnia w Montjuic i pierwszego podejrzanego w sprawie porwania Vallsa – ukrytym przez niego w przechowalni bagażu na Dworcu Północnym. Salgado łudził się, że go odzyska, kiedy minister osobiście doprowadził do jego ułaskawienia i zwolnienia. Nie zdołał jednak nacieszyć się owocem swoich zbrodni i występków. Kiedy otworzył szafkę w przechowalni, znalazł w niej tylko pustą walizkę. Umarł jako okradziony złodziej. Ktoś go ubiegł. Ktoś, kto wiedział o łupie, o spisku i o tajemniczych anonimowych pogróżkach otrzymywanych przez Vallsa przez lata. Ktoś pociągał za sznurki tej intrygi

o wiele wcześniej, zanim minister zniknął.

Światła zamrugały, Alicja odwróciła się przerażona. I wtedy je zobaczyła. Zajmowały całą ścianę, od sufitu do podłogi. Zbliżyła się powoli, a kiedy zrozumiała, na co patrzy, nogi się pod nią ugięły.

Mozaikę tworzyły dziesiątki, a może nawet setki fotografii, wycinków i notatek, wykonano ją niezwykle starannie, z zegarmistrzowską precyzją. Wszystkie zdjęcia bez wyjątku przedstawiały Alicję. Rozpoznała kadry z najwcześniejszych lat służby sąsiadujące z migawkami z dzieciństwa, gdy była jeszcze wychowanką sierocińca Patronato Ribas. Kolekcja zawierała mnóstwo ujęć zrobionych z dużej odległości, ukazywały ją na ulicach Madrytu lub Barcelony, przy wejściu do hotelu Palace, siedzącą z książką w kawiarni, schodzącą po schodach Biblioteki Narodowej, robiącą zakupy w butikach w stolicy, a nawet spacerującą w pobliżu Palacio de Cristal w parku Retiro. Jedna z fotografii przedstawiała drzwi jej pokoju w hotelu Hispania.

Zauważyła wycinki z gazet, artykuły relacjonujące sprawy, do których rozwiązania się przyczyniła, chociaż nigdy nie wspominały o Alicji ani o jej jednostce, przypisywały natomiast cały sukces policji lub Gwardii Obywatelskiej. U stóp mozaiki znajdował się stolik przypominający ołtarzyk, a na nim rozmaite związane z nią przedmioty: karty dań z odwiedzanych przez nią restauracji, serwetki z jej notatkami, podpisane przez nią pisma, kieliszek ze śladem szminki na brzegu, niedopałek papierosa, strzępki biletu na pociąg z Madrytu do Barcelony...

Na krawędzi stolika stał szklany wazon. W nim niczym relikwię ułożono części jej bielizny, które zniknęły tamtej nocy, kiedy była pod wpływem środków znieczulających, a ktoś zakradł się do jej mieszkania. Parę jej pończoch starannie rozłożono na blacie i przypięto szpilkami. Obok znajdował się skradziony egzemplarz książki z serii „Labirynt duchów” Victora Mataixa. Poczuła potrzebę, żeby jak najszybciej uciec z tego pomieszczenia rodem z sennego koszmaru.

Była w takim szoku, że nie zauważyła postaci, która za jej plecami po cichutku wygramoliła się spod stosu rozczłonkowanych manekinów i podchodziła do niej bezszelestnie.

Kiedy zrozumiała, co się dzieje, było już za późno. Usłyszała za sobą urywany oddech, nie miała czasu, żeby się odwrócić i wycelować. Gwałtowny ból rozlał się po brzuchu. Cios pozbawił ją tchu i sprawił, że osunęła się na kolana. Dopiero wówczas zobaczyła go wyraźnie i zrozumiała, dlaczego wcześniej nie zwróciła na niego uwagi: na twarzy miał białą maskę. Był nagi, a w dłoni trzymał stare dłuto.

Alicja próbowała strzelić, ale Rovira wbił jej w ramię metalowe ostrze. Rewolwer upadł na podłogę. Mężczyzna chwycił ją za szyję i pociągnął w stronę łóżka. Rzucił na nie Alicję i usiadł jej na nogach. Chwycił za prawą rękę, którą wcześniej zranił, i nachylił się, żeby przywiązać ją drutem do prętów łóżka. Maskę zsunęła mu się z twarzy i Alicja zobaczyła oblicze Roviry zaledwie kilka centymetrów nad sobą. Miał załamane oczy i poparzenia na policzku od wystrzału z niewielkiej odległości. Krew leciała mu z ucha. Uśmiechał się jak dziecko, które za chwilę wyrwie owadowi skrzydełka, ciesząc się jego agonią.

– Kim jesteś? – zapytała Alicja.

Rovira patrzył na nią z wyraźną perwersyjną przyjemnością.

– Taka niby z ciebie mądrała, a jeszcze nie rozumiesz? Jestem tobą. Tym, kim powinnaś zostać. Na początku cię podziwiałem. Ale potem zdałem sobie sprawę, że jesteś słaba i niczego się od ciebie nie nauczę. Jestem od ciebie lepszy. Jestem lepszy od osoby, którą kiedykolwiek mogłabyś się stać...

Rovira odłożył dłuto na łóżko. Alicja pomyślała, że gdyby zdołała odwrócić na chwilę jego uwagę, może udałoby się sięgnąć po nie lewą ręką, której jeszcze nie przywiązał do łóżka, i wbić mu ostrze w szyję lub oko.

– Nie rób mi krzywdy – poprosiła. – Zrobię wszystko, cokolwiek zechcesz.

Rovira się roześmiał.

– Kiedy właśnie chodzi mi o to, żeby zrobić ci krzywdę. Zadawać ból. Zasłużyłem sobie na to...

Chwycił Alicję za włosy i przycisnął jej głowę do materaca, zaczął lizać ją

po policzkach i całować w usta. Alicja przymknęła oczy, macając dłonią w poszukiwaniu dłuta. Ręce Roviry przesunęły się po jej klatce piersiowej i spoczęły na starej ranie na boku. Alicji udało się musnąć palcami rękojeść dłuta, kiedy szepnął jej do ucha:

– Otwórz oczy, dziwko. Chcę widzieć twoją twarz, kiedy to poczujesz.

Otworzyła oczy, domyślając się, co teraz nastąpi, i modląc się, żeby stracić przytomność po pierwszym ciosie. Rovira wyprostował się, uniósł dłuto i wbił je z całej siły w ranę. Alicja wydała z siebie ogłuszające wycie. Rovira, pokój, światło, zimno przenikające do kości, wszystko odeszło w zapomnienie. Istniał tylko ból promieniujący po całym ciele jak prąd, tak silny, że zapomniała, kim jest i gdzie się znajduje.

Rovira zaśmiał się, widząc, że jej ciało napręża się jak drut, a oczy zachodzą mgłą. Uniósł jej spódnicę, odsłaniając blizny pokrywające biodro niczym czarna pajęczyna, gładził skórę opuszkami palców. Nachylił się, żeby pocałować ją w ranę, a potem zaczął wymierzać jej wściekłe ciosy. Kiedy z gardła Alicji nie wydobywał się już żaden dźwięk, zamarł. Alicja zapadła się w ciemną otchłań agonii. Jej ciało wiło się w konwulsjach. Rovira znów wziął dłuto i przeciągnął ostrzem po siatce ciemnych żyłek widocznych pod bladą skórą na biodrze Alicji.

– Spójrz na mnie – rozkazał. – Jestem twoim następcą. I będę od ciebie lepszy. Od tej pory to ja będę faworytem.

Alicja spojrzała na niego hardo. Rovira puścił do niej oko.

– To właśnie moja Alicja – powiedział.

Umarł z uśmiechem na ustach. Nie zauważył, jak Alicja sięga po rewolwer Vargasa schowany w kieszeni żakietu. Kiedy zaczął dłubać jej w ranie dłutem, niepostrzeżenie przyłożyła mu lufę do brody.

– Spryciuła – wymamrotał.

Chwilę później twarz Roviry zmieniła się w obłok rozpryskujących się kości i krwi. Siła drugiego strzału odrzuciła go do tyłu. Nagie ciało z wielką dziurą w piersiach i dłutem w dłoni upadło na podłogę. Alicja upuściła broń i uwolniła prawą rękę przywiązaną do prętów. Chwilowo adrenalina wygrała z cierpieniem, ale wiedziała, że niedługo ból zaatakuje ze zdwojoną siłą i pozbawi ją przytomności. Musiała jak najszybciej opuścić to miejsce.

Zdołała usiąść na łóżku. Spróbowała wstać, ale musiała odczekać kilka minut, ponieważ nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Ogarnęła ją słabość, której nie rozumiała. I chłód. Przerazliwy chłód. Udało jej się w końcu wstać. Cała drżąc, oparła się o ścianę. Jej ubranie i ciało były mokre od krwi Roviry. Nie czuła prawej ręki, jedynie głucho pulsowanie. Przyjrzała się ranie zadanej dłutem. Wyglądała paskudnie.

I w tym momencie rozdzwonił się stojący przy łóżku telefon. Alicja stłumiła krzyk przerażenia.

Pozwoliła mu dzwonić prawie przez minutę, wpatrując się w aparat jak w bombę, która zaraz wybuchnie. W końcu uniosła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha. Słuchała, wstrzymując oddech. Zapadła długa cisza i w lekkim szumie, jaki towarzyszy zwykle rozmowom międzymiastowym, usłyszała powolny rytm oddechu.

– Jesteś tam? – zapytał głos.

Ręka, w której trzymała słuchawkę, trzęsła się jej jak w konwulsjach.

Był to głos Leandra.

Słuchawka wyslizgnęła jej się z dłoni. Chwiejąc się na nogach, Alicja skierowała się ku wyjściu. Zatrzymała się na chwilę przed ołtarzykiem Roviry. Furia dodała jej sił, wyszła do warsztatu, znalazła kanistry nafty stojące obok generatora i wylała ich zawartość na podłogę. Warstwa lepkiej cieczy rozprzestrzeniała się po pokoju, okrążając ciało Roviry. Wkrótce cała podłoga pokryła się czarnym lustrem, z którego unosiły się pasma połyskującej tęczowo pary. Alicja wyrwała kabel z agregatu i rzuciła go na podłogę. Idąc pomiędzy zwisającymi z sufitu manekinami, usłyszała za plecami syk iskier. Nagły powiew wiatru rozkołysał upiorne drewniane sylwetki. Szła przez korytarz wśród bursztynowego poblasku, zataczała się od ściany do ściany, podpierając się o nie, żeby nie upaść. Nigdy w życiu nie było jej tak zimno.

Błagała niebo i piekło, żeby nie pozwoliły umrzeć jej w tym miejscu, ze wszystkich sił pragnęła dotrzeć do majaczącego w głębi światła. Uciezka trwała w nieskończoność. Zdawało się jej, że połknęła ją jakaś bestia i musi wspiąć się z powrotem do jej paszczy, żeby się uwolnić. Nawet żar bijący od płomieni, które zostawiła za plecami, nie zdołał jej wyrwać z objęć lodowatego chłodu. Nie zatrzymała się, póki nie znalazła się w progu, a potem na ulicy. Odetchnęła z ulgą, gdy poczuła pieśczość deszczu na skórze. Jakaś

postać pędziła ku niej ulicą.

Wpadła w ramiona Fernandita, który objął ją z całych sił. Uśmiechnęła się do niego, ale chłopak patrzył na nią przerażony. Alicja położyła rękę na podbrzuszu, tam, gdzie trafił ją pierwszy cios dłutem. Ciepła krew sączyła się pomiędzy palcami i rozpląwała w strugach deszczu. Nie czuła już bólu, tylko przenikliwie zimno, które szeptało jej, żeby się poddała, żeby zamknęła oczy i zapadła w wieczny sen obiecujący wytchnienie i prawdę. Spojrzała w oczy Fernandita i znów się do niego uśmiechnęła.

– Nie pozwól mi umrzeć tutaj – wyszeptała.

31

Burza wygnała przechodniów z ulic i odstraszyła wszystkich potencjalnych klientów księgarni. W obliczu trwającego nieprzerwanie potopu Fermín postanowił oddać się pracom konserwacyjno-inwentaryzacyjnym. Nie bacząc na huk grzmotów i ulewę, która smagała witrynę księgarni tak zawzięcie, jakby chciała rozbić szybę, włączył radio. Niespiesznie, jak złodziej uwodzący zamek sejfów, kręcił gałką dopóty, dopóki nie natrafił na orkiestrę grającą pierwsze takty *Siboney*. Przy dźwiękach perkusji zaczął podrygiwać na karaibską modłę, przygotowując się do konserwacji sześciotomowego wydania *Tajemnic Paryża* Eugeniusza Sue. Daniela mianował instrumentariuszką i asystentem w jednej osobie.

– Tańczyłem to w Tropicanie z moją Mulatką w szczenięcych latach spędzonych na Kubie, kiedy jeszcze potrafiłem ruszać biodrami. Ach, co za wspomnienia... Gdybym zamiast nieziemskiej urody dostał w darze talent literacki, napisałbym *Tajemnice Hawany* – oświadczył nie bez dumy.

– Nie pierwszy raz Eros zatrzymał kogoś w drodze na Parnas – skwitowała Bea.

Fermín ruszył ku niej z otwartymi ramionami, podrygując w rytm i kręcąc biodrami.

– Pani Beo, pozwoli pani do tańca? Chętnie nauczę podstawowego kroku, bo po pobycie na Karaibach son wszedł mi w krew, a wiem przecież, że pani mąż tańczy, jakby wzuł cementowe łapcie. Z nim nigdy się pani nie dowie, co potrafią zdziałać afrokubańskie rytmy. Cza-cza-cza!

Bea popędziła na zaplecze, żeby zasiąść w spokoju nad księgami rachunkowymi z dala od tanecznych zakusów Fermina i jego nieznośnego podśpiewywania.

– Panie Danielu, pańska żona jest czasem bardziej sztywna niż wypis z rejestru gruntów.

– Mnie pan to mówi? – mruknął Daniel.

– Wszystko słyszę – ostrzegła Bea z zaplecza.

Tak upływał im poranek, kiedy nagle usłyszeli pisk opon na mokrym asfalcie. Fermín i Daniel unieśli wzrok i zobaczyli, że przed witryną księgarni zatrzymała się taksówka. Błyskawica rozcięła chmury i przez chwilę pojazd przypominał karocę z płynnego ołowiu parującą w strugach deszczu.

– Jak drzewiej mawiano, to musiał być taksówkarz! – zauważył Fermín.

Od tej chwili wydarzenia potoczyły się jak lawina. Z taksówki wysiadł przemoczony do suchej nitki chłopak. Na jego twarzy malowało się przerażenie, a kiedy zobaczył na drzwiach tabliczkę ZAMKNIĘTE, zaczął walić w nie pięściami. Fermín i Daniel spojrzeli po sobie.

– A mówią, że w tym kraju ludzie nie chcą kupować książek.

Daniel podszedł do drzwi i je otworzył. Chłopak, który wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć ze zdenerwowania, położył rękę na piersi, z trudem złapał oddech i zapytał, niemal krzycząc:

– Który z panów to Fermín Romero de Torres?

Fermín podniósł rękę.

– Ten przystojniejszy z nas dwóch!

Fernandito pociągnął go za ramię.

– Potrzebuję pana!

– Słuchaj, kurczaczku, piękne niewiasty mówiły mi to wiele razy, a jakoś zdołałem oprzeć się pokusie.

– Chodzi o Alicję – wykrztusił Fernandito. – Ona chyba umiera...

Fermín zbladł. Posłał przerażone spojrzenie Danielowi i nie mówiąc ani słowa, dał się wyciągnąć na ulicę, a potem zniknął w taksówce, która natychmiast ruszyła.

Bea, która wychyliła się zza zasłonki w drzwiach na zaplecze i była świadkiem całej sceny, spojrzała na Daniela zaszokowana.

– Co się dzieje?

Jej mąż westchnął ciężko.

– Złe wiadomości – wymamrotał.

Fermín wskoczył do wozu i natychmiast napotkał spojrzenie taksówkarza.

– Czekaliśmy na pana. Dokąd teraz jedziemy?

Fermín w mig ocenił sytuację. Dotarło do niego, że kobieta na tylnym siedzeniu, blada jak ściana i patrząca nieprzytomnie, to Alicja. Fernandito podtrzymywał jej głowę i próbował pohamować łzy.

– Niech pan jedzie! – rzucił Fermín do taksówkarza.

– Dokąd?

– Na razie przed siebie. I gaz do dechy!

Fermín spojrzał na Fernandita.

– Nie wiedziałem, co zrobić – wybełkotał chłopak. – Nie pozwoliła mi zawieźć się do szpitala ani do lekarza i...

Alicja w przeblýsku przytomności rozpoznała Fermina i uśmiechnęła się do niego zadowolona.

– A pan jak zawsze próbuje mnie ocalić, Ferminie.

Na dźwięk jej łamiącego się głosu Ferminowi skurczył się żołądek i przyległe organy, a że zjadł na śniadanie całą torbę *carquinyolis*, okazało się to nad wyraz bolesne. Alicja dryfowała między przytomnością a nieświadomością, postanowił więc wydobyć zeznania od chłopaka, który sprawiał wrażenie najbardziej przerażonego z ich trojga.

– Jak się nazywasz?

– Fernandito.

– Można wiedzieć, co zaszło?

Fernandito zaczął opowiadać wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatniej doby, ale tak niezbornie i gubiąc się w szczegółach, że Fermín mu przerwał i postanowił się skupić na kwestiach natury praktycznej. Dotknął brzucha Alicji i spojrzał na swoje poplamione krwią palce.

– Timonel – rzucił do taksówkarza. – Do szpitala Nuestra Señora del Mar. Na sygnale.

– Taa... – obruszył się taksówkarz. – Proszę zobaczyć, jaki ruch. Chyba powinien pan wsiąść do balonu.

– Albo dojedziemy w dziesięć minut, albo spalę panu tego grata. Przysięgam!

Taksówkarz coś odburknął i dodał gazu. Po chwili spojrzał na Fermina podejrzliwie we wstecznym lusterku.

– Czy my się przypadkiem nie znamy? Czy to przypadkiem nie pan prawie odwalił kitę w mojej taksówce parę lat temu?

– Nie wiem, jak mógłbym chcieć umrzeć w tym wozie. Chyba że zabiłby mnie smród. Ale nie, prędzej rzuciłbym się z mostu Vallarca z dziełami Clarina u szyi.

– Jeśli o mnie chodzi...

– Niech panowie przestaną – wtrącił się Fernandito. – Pani Alicja nam tu umiera.

– Ja piórkuję – zaklął taksówkarz, wyprzedzając kolejne samochody na Vía Layetana i pędząc w kierunku Barcelonety.

Fermín wyjął z kieszeni chusteczkę i podał ją Fernanditowi.

– Wystaw chusteczkę przez okno – polecił mu.

Chłopak pokiwał głową i zrobił, co mu kazano. Fermín ostrożnie uniósł bluzkę Alicji i zobaczył ranę na jej brzuchu. Chlustała z niej krew.

– O Jezusie, Maryjo i Józefie...

Ucisnął ranę dłonią i spojrzał na ulicę. Taksówkarz nie przestawał kląć i pędził, z niewyobrażalną wprost zrećnością wymijając kolejne wozy, autobusy i pieszych. Fermín czuł chwilami, że śniadanie podchodzi mu do gardła.

– Jeśli to możliwe, dobrze byłoby, gdybyśmy dotarli do szpitala żywi.

Jedna umierająca osoba w zupełności nam wystarczy.

– O cuda proszę zwracać się do świętej Rity. Albo samemu usiąść za kierownicą – odparował taksówkarz. – Jak tam sytuacja z tyłu?

– Mogłoby być lepiej.

Fermín gładził Alicję po twarzy i próbował ją cucić, delikatnie poklepując po policzku. Otworzyła oczy. Były czerwone.

– Niech mi pani teraz nie usypia, pani Alicjo. Proszę zdobyć się na wysiłek i nie zamykać oczu. Mogę opowiadać pani pikantne dowcipy albo zacząć śpiewać największe przeboje Antonia Machina.

Alicja uśmiechnęła się z wysiłkiem. Przynajmniej rozumiała jeszcze, co się do niej mówi.

– Niech sobie pani wyobrazi Generalissimusa w stroju myśliwskim, bereciku i butach. Mnie taki obraz nie pozwoliłby zasnąć, bałbym się koszmarów.

– Zimno mi – poskarżyła się Alicja cichutko.

– Jesteśmy prawie na miejscu.

Fernandito patrzył na nią zmartwiony.

– To moja wina. Powtarzała ciągle, że bym nie zawoził jej do szpitala, i się przestraszyłem – powiedział. – Zapewniała, że będą jej tam szukać...

– Albo szpital, albo cmentarz – zawyrokował Fermín.

Fernandito przyjął to stwierdzenie tak, jakby ktoś rąbnął go w twarz. Fermín przypomniał sobie, że to w końcu jeszcze dzieciak i że boi się pewnie najbardziej ze wszystkich pasażerów taksówki.

– Proszę się nie martwić, panie Fernando. Zrobił pan to, co powinien był zrobić. W takich chwilach każdy miałby w galotach żeglarski węzeł.

Fernandito westchnął, poczucie winy zżerało go od środka.

– Jeśli pani Alicji coś się stanie, umrę z rozpaczy.

Alicja wzięła go za rękę i spróbowała ją uścisnąć, ale nie miała siły.

– A jeśli znajdzie ją ten człowiek... Hendaya? – wyszeptał Fernandito.

– Nawet własna matka jej nie znajdzie – powiedział Fermín. – Osobiście o to zadbam.

Alicja z przymkniętymi oczyma próbowała zrozumieć sens rozmowy.

– Dokąd jedziemy? – zapytała.

– Do Can Solé, tam robią takie krewetki z czosnkiem, które wskrzeszają nieboszczyków. Zobacz pani!

– Niech mnie pan nie zawozi do żadnego szpitala, Ferminie.

– A kto mówił o szpitalu? W szpitalach ludzie umierają. To statystycznie najbardziej niebezpieczne miejsca na świecie. Niech się pani nie martwi, do szpitala nie zawiózłbym nawet garści wszy.

Taksówkarz, próbując ominąć jakiś ruch gęstniejący u wylotu Vía Layetana, wjechał na przeciwległy pas. Fermín zobaczył autobus, który niemal otarł się o bok taksówki.

– To ty, tato? – pytała Alicja. – Tatusiu, nie zostawiaj mnie, proszę.

Fernandito spojrzał przerażony na Fermina.

– Proszę na nią nie zwracać uwagi. Biedaczka majaczy i ma halucynacje. To nic nadzwyczajnego w tym kraju. Szefie, jak tam z przodu?

– Albo dojedziemy na miejsce żywi, albo wszyscy zginiemy po drodze – oświadczył taksówkarz.

– To mi się podoba. Grunt to drużyna!

Fermín zobaczył, że zbliżają się do Paseo de Colón z szybkością rozpędzonej lokomotywy. Mur tramwajów, samochodów i ludzi wyrósł pięć sekund przed nimi. Taksówkarz mocno chwycił kierownicę i szpetnie zaklął. Fermín polecił się opiece bogini Fortuny albo kogokolwiek innego, kto miał akurat dyżur na górze, i uśmiechnął się słabo do Fernandita.

– Niech się pan trzyma, młodzieńcze.

Nigdy żaden pojazd dwuśladowy nie urządził sobie tak ryzykownego rajdu przez Paseo de Colón. Przejazdowi taksówki towarzyszył chór klaksonów i soczyste wiązanki rzucane przez kierowców. Wóz zagłębiał się w zaułki Barcelonety, wąskie jak tunele ściekowe, na jednym z zakrętów prawie skosił batalion motorowerów zaparkowanych w równych rzędkach.

– Olé! – zakrzyknął Fermín.

W końcu ujrzeli plażę i Morze Śródziemne zabarwione purpurą. Taksówka podjechała pod samo wejście do szpitala i zatrzymała się obok kilku karetek,

wydając z siebie przeciągły, mechaniczny jęk skargi. Ze szczelin w masce wydobywały się ulotne kłęby pary.

– Prawdziwy z pana mistrz kierownicy – powiedział Fermín, poklepując taksówkarza po ramieniu. – Fernandito, zapisz sobie nazwisko i numer licencji naszego bohatera, wyślemy mu koszyk na Boże Narodzenie z szynką i turronem, oczywiście.

– W zupełności mi wystarczy, jeśli panowie obiecują, że już nigdy nie wsiądą do mojej taksówki.

Dwadzieścia sekund później sanitariusze wyciągnęli Alicję z samochodu, ułożyli na noszach i czym prędzej popędzili do sali operacyjnej. Fermín biegł razem z nimi, uciskając oburącz ranę.

– Będziecie potrzebować hektolitrów krwi – uprzedził. – Ode mnie możecie brać do woli, bo chociaż jestem chudzielcem, moje naturalne zasoby przewyższają dopływy rzeki w naszym parku narodowym Aigüestortes.

– Czy jest pan krewnym pacjentki? – zapytał jakiś salowy, który wyrósł nagle przed nimi.

– Aspiruję do roli przybranego ojca – wypalił Fermín.

– A co to ma właściwie znaczyć?

– Ni mniej, ni więcej, żeby się pan usunął, w przeciwnym razie jednym kopnięciem katapultuję panu worek mosznowy w gardło. Wyrażam się jasno?

Salowy posłusznie usunął się na bok, Fermín zaś towarzyszył Alicji aż do wejścia do sali operacyjnej, gdzie wyrwali mu ją z rąk i przenieśli na stół, przezroczystą jak widmo. Pielęgniarki rozcięły jej ubranie nożyczkami i obnażyły ciało, przeorane bliznami i pełne świeżych ran i skaleczeń. Z najgłębszej z ran krew broczyła bezustannie. Fermín dostrzegł ciemną plamę na biodrze, rozlewającą się w sieć, która chciała wciągnąć ją w głąb. Poczł, że drżą mu ręce, i czym prędzej zacisnął je w pięści.

Alicja szukała go wzrokiem zamglonym łzami i z nieśmiałym uśmiechem na ustach. Fermín zaczął się modlić do diabła, do którego zwracał się zawsze w sprawach niemożliwych, żeby jeszcze jej nie zabierał.

– Jaką ma pan grupę krwi? – usłyszał głos obok siebie.

Fermín, patrząc w oczy Alicji, wyciągnął lewe ramię.

– Zero minus, dawca uniwersalny, pierwszej klasy.

32

W tamtych czasach nauka nie rozwikłała jeszcze zagadki, dlaczego w szpitalach czas mija tak szybko. Fermín oddał krew, wydawało mu się, że utoczono mu całą beczkę, a potem Fernandito zaprowadził go do poczekalni, z której rozciągał się widok na baraki Somorrostro osiadłe na mieliźnie między morzem a niebem zasnutym ołowianymi chmurami. Nieco dalej wznosiła się mozaika krzyży, panteonów i aniołów cmentarza Pueblo Nuevo. Stanowiły one niechciane memento dla dusz pokutujących za grzechy w czyścicu poczekalni. Krzesła do niej zaprojektowano chyba specjalnie po to, żeby wywołać bóle kręgosłupa u osób, które nigdy wcześniej na nie nie cierpiały, i tym samym przysporzyć instytucji nowych klientów. Fernandito kontemplował krajobraz z miną skazańca, podczas gdy o wiele bardziej prozaiczny Fermín pożerał nabytą w szpitalnym bufecie ogromną kanapkę z kiełbasą, popijając zachłannie piwem Moritz.

– Nie wiem, jak pan może w takiej chwili jeść, Ferminie.

– Oddałem co najmniej osiemdziesiąt procent swojej krwi, a teraz muszę dostarczyć wątrobie odpowiednich rezerw. Coś jak ta historia o Prometeuszu, tyle że bez ptaszyska...

– Prometeuszu?

– Warto czasem sięgnąć po lekturę, Fernandito, młodość polega nie tylko na zabawianiu się własnym przyrodzeniem, jak nie przymierzając jakiś makak. Ponadto ja, jako człowiek czynu obdarzony szybkim metabolizmem, muszę dostarczyć organizmowi trzykrotność swojej wagi tygodniowo, i to najlepiej w postaci najwykwintniejszych smakołyków, celem utrzymania swojego wspaniałego ciała w odpowiedniej formie.

– Pani Alicja prawie nic nie je – powiedział Fernandito. – Picie to co innego...

– Każdy musi zaspokajać własne apetyty – oświadczył Fermín. – Ja na przykład od czasów wojny ciągle jestem głodny. Pan jest jeszcze za młody, żeby to zrozumieć.

Fernandito patrzył zrezygnowany, jak Fermín konsumuje swoją kanapkę. Po chwili osobnik o aparycji surowego urzędnika gminy stanął w progu poczekalni z teczką w ręku i odchrząknął, żeby dać znać o swojej obecności.

– Czy panowie są rodziną pacjentki?

Fernandito spojrzał pytająco na Fermina, który położył mu rękę na ramieniu, dając jednoznacznie do zrozumienia, że od tej pory obowiązki rzecznika spoczywają tylko i wyłącznie na jego osobie.

– Słowo „rodzina” nie oddaje sprawiedliwości relacjom, jakie nas z nią wiążą – zaczął Fermín, strzepując sobie okruszki z marynarki.

– A, jeśli wolno zapytać, jakiego słowa użyłby pan, żeby je zdefiniować?

Fernandito, który do tej pory sądził, że zgłębił już nieco arkana sztuki kłamstwa, zmienił całkowicie zdanie pod wpływem improwizowanego recitalu, jaki odstawił mistrz Fermín Romero de Torres, podczas gdy Alicja błądziła w mrokach anestezji. Urzędnik przedstawił się jako zastępca dyrektora szpitala do spraw administracyjnych, po czym zażądał wyjaśnień na temat tego, co właściwie zaszło, i poprosił o dokumenty. Księgarz rozsunął przed nim skomplikowaną opowieść ubarwioną tak bogatymi szczegółami, że mężczyzna aż otworzył usta z wrażenia. Najpierw przedstawił się jako totumfacki gubernatora Barcelony, regionalnego pupilka reżimu.

– Sprawa, którą jestem zmuszony waszmości wyjawić, jest nader delikatnej natury – oświadczył na samym wstępie.

– Rany odniesione przez pacjentkę są natomiast bardzo poważne i z pewnością powstały w wyniku przemocy. Mam obowiązek złożyć raport policji...

– Odradzałbym szczerze, chyba że chce pan jutro zadebiutować jako recepcjonista w ośrodku zdrowia w Castellfollit.

– Nie rozumiem.

– To bardzo proste. Niech pan spocznie i zamieni się w słuch.

I Fermín zaczął swoją opowieść, w której Alicja, przechrzczona na potrzeby fikcji na Violetę LeBlanc, przeistoczyła się w niewiastę lekkich

obyczajów, z której drogich usług zapragnęli skorzystać gubernator i jego kilku gości z Ministerstwa Rozwoju, urządziwszy balangę opłacaną z funduszy jedynie słusznego związku zawodowego Sindicato Vertical.

– Wie pan, jak to jest. Kilka kieliszków brandy, para pończoch, zgrabna dziewczyna i wyłażą z nich zwierzęta. Sam pan rozumie, iberyjski macho to iberyjski macho, w dodatku w wersji śródziemnomorskiej...

Fermín zrelacjonował pokrótce przebieg bachanaliów, podczas których mężowi stanu nieco omsknęła się ręka, a słodka Violeta została ranna.

– Te dzisiejsze córki Koryntu nie mają za grosz wytrzymałości.

– Ale...

– Mówiąc między nami, proszę tylko wyobrazić sobie skandal, który by wybuchł, gdyby podobna informacja przedostała się do wiadomości publicznej. Proszę pomyśleć o czcigodnej małżonce naszego gubernatora, ośmiorgu dzieciach, o tym, że jest wiceprezesem pięciu kas oszczędnościowych i właścicielem większościowych pakietów akcji w trzech spółkach budowlanych, w których mają swoje udziały zięciowie, kuzyni i dalsi krewni barcelońskiej elity finansowej, jak to zwykle bywa w naszej umiłowanej ojczyźnie.

– Rozumiem, ale prawo jest prawem i jestem zobowiązany...

– Jest pan zobowiązany wobec Hiszpanii i dobrego imienia jej najznamienitszych przedstawicieli, jak obecny tu mój pomocnik, Miguelito, proszę się nie sugerować jego wyglądem, gdyż w zaistniałej sytuacji prawie posrał się w gacie ze strachu, który jest, ni mniej, ni więcej, przyszywanym bratankiem markiza de Villaverde. Prawda, Miguelito?

Wspomniany skwapliwie kiwnął głową.

– A co ja mam z tym wszystkim zrobić? – zapytał zirytowany urzędnik.

– Ja w podobnych przypadkach, a musi mi pan uwierzyć na słowo, że mam niemałe doświadczenie, zwykle wypełniam dokumenty imionami i nazwiskami bohaterów dzieł naszego niezastąpionego Ramona del Valle-Inclana, zdążyłem bowiem zauważyć, iż utwory, które wyszły spod tak znamienitego pióra, rzadko znajdują się na liście lektur rekomendowanych przez Komendę Główną Policji. Ta sztuczka zawsze mi wychodzi.

– Chyba nie mówi pan poważnie? Jak miałbym popełnić podobne

głupstwo?

– Robotę papierkową proszę spuścić na mnie. Tymczasem może pan na przykład oddać się rozmyślaniom nad szczodrymi nagrodami, jakimi obsypią pana za wypełnienie patriotycznego obowiązku. Tak właśnie ratuje się Hiszpanię, codziennie i powolutku. To nie Rzym! Tutaj płaci się zdrajcom!

Zastępca dyrektora, który zrobił się fioletowy, a ciśnienie skoczyło mu zapewne do poziomu grożącego natychmiastowym udarem, pokręcił głową. Jego twarz przybrała wyraz najświętszego oburzenia, na jakie było go stać.

– A można wiedzieć przynajmniej, jak się pan nazywa?

– Raimundo Lulio, do pańskich usług i ku chwale naszej ojczyzny! – odparł Fermín bez mrugnienia okiem.

– Wstyd i hańba!

Fermín popatrzył mu stanowczo w oczy i pokiwał głową.

– Zgadzam się w pełni. A my, Hiszpanie, wstydlive rzeczy zamiatamy pod dywan, a przy okazji nabijamy sobie kabzę.

Godzinę później Fermín i Fernandito tkwili nadal w poczekalni, oczekując wieści z sali operacyjnej. W wyniku perswazji Fermina chłopak wypił filiżankę gorącego kakao, pod którego wpływem zaczął wracać do żywych i nieco się uspokoił.

– Panie Ferminie, czy on naprawdę uwierzył w to wszystko, co mu pan opowiedział? Chyba trochę pan przesadził z tymi makabrycznymi szczegółami.

– Fernandito, najważniejsze, że zasialiśmy w nim ziarno wątpliwości. Kiedy się kłamie, nie należy zwracać uwagi na to, czy kłamstwo brzmi prawdopodobnie, ważne są próżność, zachłanność i głupota adresata naszej wypowiedzi. Wytrawny kłamca serwuje głupcom dokładnie to, co chcą usłyszeć. W tym tkwi cały sekret.

– To, co pan sugeruje, jest naprawdę okropne – próbował protestować Fernandito.

Fermín wzruszył ramionami.

– Zależy, jak na to patrzeć. W całej tej burlesce, gdzie małpy śmiać udawać człeka, fałsz jest spoiwem, które łączy w kupę całą maskaradę. Ludzie, nie wiem, czy ze strachu, czy z dbałości o swoje własne interesy, a może po prostu

z głupoty, tak przyzwyczajają się do kłamania i powtarzania kłamstw, że oszukują nawet wtedy, gdy im się wydaje, że mówią prawdę. To znak czasów. Człowiek szczerzy i prawy to gatunek wymierający, skończy tak jak plezjozaury czy kuplecistki, o ile te ostatnie w ogóle kiedyś istniały, a nie są jedynie wytworem naszej wyobraźni, jak, dajmy na to, jednorożce.

– Nie mogę się zgodzić z tym, co pan mówi. Większość ludzi jest dobra, uczciwa. To tylko kilka zgniłych jabłek psuje reputację całej reszcie. Nie mam co do tego cienia wątpliwości.

Fermín delikatnie poklepał go po kolanie.

– Bo jest pan jeszcze młody i głupiutki. W młodości widzimy świat takim, jaki powinien być, a na starość takim, jaki jest. Wyleczy się pan.

Fernandito przygnębiony spuścił głowę. Fermín omiół wzrokiem pomieszczenie i dostrzegł zbliżające się korytarzem dwie pielęgniarzki o nader ponętnych sylwetkach w obcisłych mundurkach. Na widok ich fortunnej konstytucji i radosnego falowania bioder poczuł łaskotanie w niskich rewirach duszy. Z braku innego zajęcia, którym mógłby sobie umilić oczekiwanie, otaksował je wzrokiem od stóp do głów. Jedna z nich, sprawiająca wrażenie nowicjuszeki, najwyżej z dziewiętnastką na liczniku, zrobiła wyniosłą minę oznaczającą, że stanowczo za wysokie progi, i roześmiała mu się w twarz. Druga, która wydawała się swobodniejsza, obrzuciła go karcącym spojrzeniem.

– Świntuch – wyszeptała młodsza.

– Ach, zazdroścę robakom przyszłej uczy – westchnął Fermín.

– Jak pan może w ogóle myśleć o takich rzeczach w chwili, gdy pani Alicja walczy ze śmiercią!

– Zawsze mówi pan takie banały? Skąd je pan czerpie? Z kroniki filmowej? – odparował doradca bibliograficzny księgarni Sempere i Synowie.

Zapadła długa cisza. Fermín badał właśnie, jak przedstawia się sytuacja pod przyklejoną plastrem watą osłaniającą ranę po ukłuciu, kiedy zorientował się, że chłopak patrzy na niego spode łba, bojąc się otworzyć usta.

– O co chodzi teraz? – zapytał Fermín. – Chce się panu siku?

– Zastanawiałem się, od jak dawna zna pan Alicję.

– Można powiedzieć, że jesteśmy starymi przyjaciółmi.

– Ale nigdy wcześniej o panu nie wspominała.

– To dlatego, że nie widzieliśmy się od dwudziestu lat. Każde z nas było przekonane, że to drugie nie żyje.

Chłopak aż otworzył usta ze zdumienia.

– A pan? Zakochany nieszczęśnik schwytyany w pajęczynę królowej nocy czy świętoszkowaty wolontariusz?

Fernandito się zamyślił.

– Raczej to pierwsze.

– Nie ma się czego wstydzić, takie po prostu jest życie. Człowiek z czasem uczy się rozpoznawać różnicę między prawdziwymi motywami swoich czynów a tym, co mówi o swojej motywacji innym; to pierwszy krok na wyboistej ścieżce samopoznania. A stąd do tego, żeby przestać być idiotą, jeszcze daleka droga.

– Mówi pan jak książka.

– Gdyby książki potrafiły mówić, nie mielibyśmy wokół tylu kretynów. A pan, Fernandito, nie może pozwolić na to, żeby inni pisali dialogi za pana. Niech pan skorzysta z głowy, którą Bóg umieścił na pańskim karku, i sam napisze swoje libretto, świat jest bowiem pełen oszustów skłonnych napełnić innym mózgowicę głupstwami, wszystko po to, by nie spaść z wozu i wymachiwać bezkarnie osłu marchewką przed nosem. Rozumie pan?

– Obawiam się, że nie.

– I dlatego tak kiepsko się panu wiedzie. No dobrze, ale korzystając z tego, że się pan trochę uspokoił, czy będzie pan uprzejmy opowiedzieć, co się właściwie stało? Tym razem od początku, po kolei i unikając awangardowych środków stylistycznych. Myśli pan, że to się uda?

– Mogę spróbować.

– Do dzieła więc!

Tym razem Fernandito opowiedział o wszystkim. Fermín słuchał zafasowany, układając w głowie części łamigłówki i uzupełniając luki spekulacjami i hipotezami.

– A gdzie są teraz te dokumenty i dziennik Isabelli, o których pan wspominał?

– Zostawiłem je u swojej ciotki Jesusy. Jest dozorczynią domu, w którym mieszka Alicja. Można jej zaufać.

– Nie wątpię, ale będziemy musieli znaleźć dla nich bezpieczniejsze miejsce. Gdyby przeczytał pan trochę kryminałów, wiedziałby pan, że dozorczyńnie słyną z wielu rzeczy, niestety, dyskrecja nie jest jedną z nich.

– Rozumiem. Jak pan uważa.

– To mi się podoba. Ma pan może przy sobie jakieś pieniądze?

– Trochę drobnych...

Fermín wysunął otwartą dłoń, żądając funduszy.

– Muszę zadzwonić.

Daniel odebrał po pierwszym sygnale.

– Na Boga, Ferminie, gdzie się pan podziewa?!

– W szpitalu del Mar.

– W szpitalu? Co się stało?

– Ktoś próbował zabić Alicję.

– Co? Kto? Dlaczego?

– Proszę się uspokoić, Danielu.

– Jak mam się uspokoić?

– Jest tam może Bea?

– Tak, tak...

– Niech podejdzie do telefonu.

Chwila przerwy, odgłosy nerwowej rozmowy, wreszcie w słuchawce rozległ się spokojny głos Bei.

– Tak, Ferminie?

– Nie mam teraz czasu rozwodzić się nad szczegółami. Powiem tylko, że Alicja prawie umarła. Jest teraz operowana, czekamy na wieści.

– My?

– Ja i chłopak. Ma na imię Fernandito i zdaje się, pracuje dla Alicji. Coś w pół drogi między chłopcem na posyłki a szpiegiem. Wiem, że brzmi to

nieszczególnie, ale proszę się nie denerwować.

– Czego pan potrzebuje, Ferminie?

– Próbowałem nieco opóźnić sprawę, odwołując się do retorycznych sztuczek, ale obawiam się, że nie możemy tu długo zabawić. Jeśli Alicja z tego wyjdzie, szpital nie będzie dla niej bezpiecznym miejscem. Ktoś mógłby próbować dokończyć dzieła.

– Co pan proponuje?

– Tak szybko, jak tylko będzie to możliwe, zabrać ją stąd w miejsce, gdzie nikt jej nie znajdzie.

– Myślimy o tym samym?

– Wielkie umysły zawsze rozumują podobnie.

– A jak ma pan zamiar wynieść ją ze szpitala i tam przewieźć?

– W tej chwili właśnie opracowuję strategię.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

– Kobieto małej wiary!

– Co mam zrobić?

– Poprosić doktora Soldevilę o przysługę – odrzekł Fermín.

– Doktor Soldevila odszedł na emeryturę ładnych parę lat temu. Nie byłoby lepiej...

– Potrzebujemy kogoś zaufanego – przerwał Fermín. – Poza tym doktor Soldevila to prawdziwa eminencja, ma znajomości. Na pewno zgodzi się z radością, jeśli wspomni pani, że ja o to proszę.

– Ostatnio słyszałam, jak mówił o panu, że nie ma pan za grosz wstydu, że ma po dziurki w nosie pana osoby i tego, że podszczypuje pan w tyłek jego pielęgniarki. Podobno nie chce pana widzieć nawet na fotografii.

– To stare dzieje. Bardzo mnie ceni.

– Skoro pan tak twierdzi. Czy potrzeba panu czegoś jeszcze?

– Apropozycji na co najmniej tydzień dla pacjentki rannej w brzuch i w ramię, która przeżyła lanie, po jakim nie wstałby nawet baskijski mistrz podnoszenia ciężarów.

– Mój Boże – jęknęła Bea.

– Proszę się skupić, Beo. Apropozycja. Doktor powie pani, co będzie potrzebne.

– Nie spodoba mu się cała ta historia.

– Dlatego liczę na pani urok osobisty i zdolność perswazji – zasugerował Fermín.

– Wspaniale. Pewnie potrzebne będą czyste ubrania i tak dalej.

– I tak dalej. Pozostawiam to pani zaradności. Jest tam jeszcze Daniel?

– Tak, nadstawia ucha. Mam go do was przysłać?

– Nie. Niech nie rusza się z miejsca i spróbuje się uspokoić. Zadzwoń, kiedy będą nowe wieści.

– Będziemy czekać.

– Zawsze powtarzam, że gwarancją sukcesu jest oddanie spraw w kobiece ręce.

– Niech pan się nie podlizuje, Ferminie, i powie, o co chodzi.

– Proszę bardzo uważać. Mogą obserwować księgarnię.

– Jeszcze tego brakowało. Rozumiem. Ferminie?

– Do usług.

– Jest pan pewien, że tej kobiecie można ufać?

– Alicji?

– O ile to jej prawdziwe imię.

– Tak, naprawdę tak się nazywa.

– A cała reszta? Też jest prawdą?

Fermín westchnął.

– Damy jej szansę. Zrobi to pani dla mnie, Beo?

– Oczywiście, Ferminie.

Odłożył słuchawkę i wrócił do poczekalni. Fernandito patrzył na niego zdenerwowany.

– Z kim pan rozmawiał?

– Z głosem zdrowego rozsądku.

Fermín spojrzał na chłopaka, który tak bardzo przypominał mu Daniela

w latach młodości, że zaczął go darzyć szczerą sympatią.

– Przyzwoity z pana człowiek, Fernandito. Alicja będzie z pana dumna.

– O ile przeżyje.

– Przeżyje. Już kiedyś widziałem, jak powróciła spośród umarłych, a kto raz nauczy się tej sztuczki, niełatwo o niej zapomina. Wiem to z doświadczenia. Z powstawaniem z martwych jest trochę jak z jazdą na rowerze czy rozpinaniem dziewczynie stanika jedną ręką. Trzeba tylko nauczyć się, jak to robić.

Fernandito uśmiechnął się lekko.

– A jak to się robi?

– Niech pan mi nie mówi, że nie umie jeździć na rowerze.

– Chodziło mi raczej o to rozpinanie stanika – uściślił Fernandito.

Fermín poklepał go po kolanie i puścił oko.

– Pan i ja mamy wiele spraw do omówienia.

Los chciał jednak, że zanim Fermín zdołał udzielić chłopcu pierwszej lekcji na przyspieszonym kursie swoich życiowych prawd, w drzwiach sali operacyjnej pojawił się chirurg, który westchnął ciężko i kompletnie wyczerpany opadł na krzesło.

33

Chirurg należał do tych młodych mężczyzn, którzy od ciągłego zamartwiania się zaczynają łysieć przed trzydziestką. Był wysoki i szczupły, miał ostry profil i spojrzenie skrzące się inteligencją. Nosił okulary nazywane wówczas trumanami na cześć amerykańskiego prezydenta, który lekką ręką zrzucił bomby atomowe na Kraj Wschodzącego Słońca.

– Zdołaliśmy ustabilizować jej stan, zaszyć ranę i zatamować krwotok. Na razie nie ma oznak infekcji, ale na wszelki wypadek podałem jej antybiotyki. Rana jest bardzo głęboka, na szczęście jakimś cudem ostrze nie uszkodziło

tętnicy udowej, ale i tak założenie szwów okazało się bardzo trudne, na początku pękały. Jeśli nie wda się infekcja, stan zapalny ustąpi i szczęście nam dopisze, wytrzyma. Zobaczymy.

– Ale wyjdzie z tego, prawda, doktorze?

Chirurg rozłożył ręce.

– Wszystko zależy, jak rozwinie się sytuacja przez najbliższe czterdzieści osiem godzin. Pacjentka jest młoda, ma zdrowe serce. W przeciwnym wypadku nie przeżyłaby operacji, ale to nie znaczy, że najgorsze już za nią ani nic w tym rodzaju. Jeśli w ranę wda się infekcja...

Fermín kiwał głową, słuchając tego raportu. Oczy lekarza wpatrywały się w niego bacznie.

– Mogę wiedzieć, skąd wzięła się rana pacjentki na prawym biodrze?

– Miała wypadek w dzieciństwie. W czasie wojny.

– Tak... Musi mieć koszarne bóle.

– Jest dzielna. Ale to prawda, czasem ta rana daje się jej mocno we znaki.

– Jeśli z tego wyjdzie, mógłbym jej pomóc. Mamy nowe techniki rekonstrukcji, o których dwadzieścia lat temu jeszcze nikt nie słyszał. Niewykluczone, że uśmierzyłyby ten ból. Nikt nie powinien tak cierpieć.

– Kiedy Violeta się obudzi, natychmiast jej o tym powiem.

– Violeta? – powtórzył lekarz.

– Pacjentka – uściślił Fermín.

Chirurg, któremu brakowało może włosów na głowie, szarych komórek miał jednak najwyraźniej pod dostatkiem, spojrzał na niego podejrzliwie.

– Wiem, że to nie moja sprawa, i pojęcia nie mam, co powiedzieli panowie temu kretynowi Collowi, ale tę kobietę ktoś brutalnie pobił, a właściwie prawie zabił. Ktokolwiek to był...

– Wiem, wiem – uciął Fermín. – Myśli pan, że nie jestem tego świadom? Jak pan sądzi, kiedy będziemy mogli ją stąd zabrać?

Chirurg z niedowierzaniem uniósł brwi.

– Zabrać? W najlepszym wypadku pacjentka ma przed sobą miesiąc wypoczynku. Violeta, czy jakkolwiek nazywa się ta kobieta, nigdzie stąd nie

wyjdzie, chyba że chce jej pan od razu urządzić pogrzeb. Mówię najzupełniej poważnie.

Fermín wpatrywał się przez chwilę w chirurga.

– A gdybyśmy ją przenieśli gdzie indziej?

– Musiałyby to być szpital. Ale i tak odradzałbym takie rozwiązanie.

Fermín pokiwał głową.

– Rozumiem. Dziękuję, doktorze.

– Nie ma za co. Za kilka godzin, jeśli nie będzie komplikacji, przeniesiemy ją do zwykłej sali. Na razie nie mogą jej panowie zobaczyć. Mówię to na wypadek, gdyby chcieli się panowie trochę przewietrzyć albo wyjść coś załatwić. Na razie pacjentka jest stabilna, a rokowania umiarkowanie optymistyczne.

– Umiarkowanie?

Chirurg uśmiechnął się zagadkowo.

– Jeśli oczekuje pan mojej prywatnej, nie zawodowej opinii, to ona nie chce jeszcze umrzeć. Część pacjentów przeżywa z czystej zawziętości.

Fermín przytaknął.

– Kobiety już takie są. Kiedy się na coś uprą...

Fermín poczekał, aż chirurg odejdzie, a potem wychylił się na korytarz, żeby wy badać sytuację. Fernandito do niego dołączył. Dwie postacie przyodziane w bynajmniej nie lekarskie mundury zbliżyły się niespiesznym krokiem.

– Chyba mamy dwóch gliniarzy – westchnął Fermín.

– Słucham?

– Policjantów. Nie czyta pan nawet komiksów?

– Teraz, kiedy pan to mówi, rzeczywiście wydaje mi się...

Fermín burknął coś i pociągnął Fernandita z powrotem do poczekalni.

– Myśli pan, że dyrektor administracyjny zawiadomił policję? – zapytał chłopak.

– To będzie bardziej skomplikowane, niż mi się zdawało. Nie mamy chwili do stracenia. Fernandito, będę musiał skorzystać z pańskiej pomocy.

- Nie ma sprawy. Zamieniam się w słuch.
 - Najpierw pójdzie pan do księgarni Sempere i Synowie i porozmawia z Beą.
 - Beą?
 - Żoną Daniela.
 - A skąd będę wiedział...
 - To proste. Oprócz tego, że to najinteligentniejsza istota, jaką pan spotkał, to w dodatku prześliczna. Ale proszę sobie nie robić nadziei, jest już zajęta.
 - I co mam jej powiedzieć?
 - Że będziemy musieli zrobić rozsadę wcześniej, niż sądziłem.
 - Roszadę?
 - Ona to zrozumie. Niech pośle Daniela, żeby zawiadomił Isaaca.
 - Isaaca? Jakiego Isaaca?
- Fermín westchnął, zrozpaczony słabym refleksem Fernandita.
- No chyba nie Isaaca Monturiola, wynalazcę łodzi podwodnej. Isaaca po prostu. Mam panu zapisać?
 - Nie, wszystko zapamiętałem.
 - Więc do dzieła. Nie mamy zbyt wiele czasu.
 - A pan? Dokąd się pan wybiera?
- Fermín puścił do niego oko.
- Żadnej wojny nie wygrano bez piechoty.

34

Burza już się skończyła. Fermín ruszył plażą w kierunku Somorrostro. Wschodni wiatr szarpał fale, które rozbijały się o brzeg kilka metrów od baraków ciągnących się aż po mury cmentarza Pueblo Nuevo. Nawet umarli

mogą liczyć na lepsze lokum niż bezimienne dusze koczujące w tym getcie, pomyślał Fermín.

Kiedy zagłębił się w pierwszy zaułek flankowany barakami, poczuł na sobie wiele podejrzliwych, lustrujących spojrzeń. Dzieciaki w łachmanach, kobiety o ciemnej karnacji i starcy śledzili wzrokiem każdy jego krok. Po chwili na spotkanie wyszło mu czterech młodzieńców i z wrogimi minami zagroziło mu drogę.

– Zgubiłeś się, *pajo*?

– Szukam Armanda – odparł Fermín, nie zdradzając najmniejszych oznak zdenerwowania ani strachu.

Jeden z mężczyzn miał na twarzy bliznę biegnącą przez czoło i policzek. Wystąpił przed szereg i z kpiącym uśmiechem spojrzał na Fermína wyzywająco. Ten wytrzymał spojrzenie bez mrugnienia okiem.

– Armanda – powtórzył najspokojniej w świecie. – Jestem jego przyjacielem.

Młodzieniec otaksował wzrokiem nieproszonego gościa, którego zdołałby pokonać jedną ręką, i w końcu się uśmiechnął.

– To ty jesteś tym umarłym? – zapytał.

– Co w ostatniej chwili zmienił zdanie – dokończył Fermín.

– Jest na plaży – powiedział mężczyzna.

Fermín podziękował, a mężczyźni się rozstąpili. Przeszedł kolejne sto metrów, ale teraz nikt już nie zwracał sobie głowy jego obecnością. Zaułek zmienił się w ścieżkę prowadzącą wprost na plażę i Fermín usłyszał dochodzące znad morza dziecięce głosy i śmiechy. Ruszył w tamtym kierunku i po chwili zrozumiał przyczynę zbiegowiska.

Burza zepchnęła ku brzegom stary statek towarowy, który osiadł na mieliźnie niedaleko plaży. Statek przechylił się na lewą burzę, pod pianą majaczyły kil i turbiny. Fale porwały większą część ładunku, który dryfował z prądem. Nad pozostałościami po katastrofie krążyło stado mew, załoga próbowała ocalić, co się dało, a dzieci hucznie świętowały nieszczęście. Z boku rozciągał się niekończący się las kominów i fabryk. Niebo zasnuwały ciężkie chmury dźwigające jeszcze echa grzmotów i lśnienie błyskawic.

– Fermín – odezwał się niski, spokojny głos za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył Armanda, cygańskiego księcia sprawującego niepodzielną władzę w tym królestwie zapomnienia. Miał na sobie nieskazitelny czarny garnitur, w rękę trzymał lakierki. Podwinął nogawki, żeby przespacerować się po wilgotnym piasku i przyrzuć dzieciom baraszkującym wśród fal. Wskazał pejzaż po katastrofie.

– Nieszczęście jednych jest błogosławieństwem dla innych – oznajmił filozoficznie. – A pana co tu sprowadza, drogi przyjacielu, nieszczęście czy uśmiech losu?

– Desperacja.

– Nie jest najlepszym doradcą.

– Za to niezwykle przekonującym.

Armando uśmiechnął się i pokiwał głową. Zapalił papierosa i poczęstował Fermina, który odmówił.

– Słyszałem, że wychodził pan ze szpitala Nuestra Señora del Mar – powiedział Armando.

– Wszędzie ma pan oczy i uszy.

– Podejrzewam, że potrzebuje pan raczej rąk. W czym mogę panu pomóc?

– W ocaleniu życia.

– Pańskiego?

– Swoje już panu zawdzięczam, Armando. To, które mnie tu sprowadza, powinienem być uratować wiele lat temu. Przeznaczenie zostawiło je w moich rękach, a ja zawiódłem.

– Przeznaczenie zna nas lepiej niż my sami, Ferminie. Nie sądzę, że zawiódł pan kogokolwiek. Ale domyślam się, że się panu spieszy. Proszę zdradzić mi więcej szczegółów.

– To może okazać się trudne. I niebezpieczne.

– Gdyby było proste i bezpieczne, nie przyszedłby pan tutaj zawracać mi głowy. Jak się nazywa?

– Alicja.

– To miłość?

– Nie, dług.

Hendaya ukląkł przy zwłokach i pociągnął przykrywający je koc.

– To on? – zapytał.

Nie usłyszał odpowiedzi, więc się odwrócił. Stojący za jego plecami Linares wpatrywał się z osłupieniem w ciało Vargasa.

– On czy nie? – nie ustępował Hendaya.

Linares przytaknął i zamknął oczy. Hendaya zakrył z powrotem twarz martwego policjanta i wstał. Niespiesznie krążył po pokoju, badając bez zbytniego zainteresowania rozrzucone przedmioty i przeszukując kieszenie ubrań. Oprócz Linaresa patrzyło na to wszystko w milczeniu dwóch policjantów.

– Słyszałem, że Vargas, zanim wrócił do domu, był z panem w kostnicy – odezwał się Hendaya. – Może mi pan opowiedzieć, co się stało?

– Kapitan Vargas poprzedniej nocy znalazł ciało i zadzwonił, żeby mnie o tym powiadomić.

– Powiedział, w jakich okolicznościach je znalazł?

– W wyniku prowadzonego śledztwa. Nie wtajemniczył mnie w szczegóły.

– A pan nie zapytał?

– Wiedziałem, że Vargas opowie mi o wszystkim w swoim czasie.

– Tak bardzo pan mu ufał? – dopytywał się Hendaya.

– Jak samemu sobie.

– Interesujące porównanie. Oczywiście rozumiem, dobrze mieć przyjaciół w Komendzie Głównej. A, proszę mi powiedzieć, udało się panom zidentyfikować ciało?

Linares wahał się chwilę.

– Vargas podejrzewał, że to niejaki Ricardo Lomana. Pewnie słyszał pan to nazwisko. Chyba to jeden z pańskich kolegów.

– Bynajmniej, nie był moim kolegą, ale owszem, znam to nazwisko. Rozumiem, że powiadomił pan o tym wszystkim stosowne władze?

– Nie.

– Dlaczego?

– Czekałem na raport lekarza sądowego.

– Ale miał pan zamiar to zrobić?

– Oczywiście.

– Oczywiście. No tak, rozumiem. Czy rozmawiał pan z kimś z komisariatu na temat podejrzeń Vargasa co do tożsamości Lomany?

– Nie.

– Nie? – drążył Hendaya. – Może z którymś z podwładnych? Czy ktoś prócz lekarza sądowego i jego ekipy, sędziego oraz agentów, którzy panu towarzyszyli, wie coś o znalezieniu zwłok?

– Nie. Co pan insynuuje?

Hendaya puścił do niego oko.

– Nic. Wierzę panu. A wie pan, dokąd udał się Vargas po wyjściu z kostnicy?

Linares pokręcił głową.

– Do Urzędu Stanu Cywilnego.

Linares ściągnął brwi.

– Nie wiedział pan o tym?

– Nie – odrzekł Linares. – Skąd niby miałbym wiedzieć?

– Może od samego Vargasa?

– Nie.

– Na pewno? A Vargas nie dzwonił do pana przypadkiem z urzędu, żeby się skonsultować?

Linares wytrzymał spojrzenie Hendai, który najwyraźniej świetnie się bawił całą tą grą.

– Nie.

– Obiło się panu kiedyś o uszy nazwisko Rovira?

– Jest dość popularne.

– W komisariacie też?

– Jest chyba jedna osoba o takim nazwisku. Pracuje w archiwum i jest tuż przed emeryturą.

– Czy ktoś się ostatnio o niego dopytywał?

Linares znów zaprzeczył.

– Można wiedzieć, o czym w ogóle rozmawiamy?

– O zbrodni, drogi przyjacielu. O morderstwie. Zabito jednego z nas, jednego z najlepszych.

– Z pewnością to robota zawodowca.

– Jest pan pewien? Ja myślę, że to jakiś pospolity włamywacz.

– Włamywacz?

Hendaya pokiwał głową z przekonaniem.

– To podejrzana dzielnica, a przecież wszyscy wiemy, że ci Katalończycy zdolni są obrabować własną matkę z majtek na łożu śmierci, zanim jeszcze trup ostygnie. Mają to we krwi.

– Żaden pospolity włamywacz nie miałby z Vargasem żadnych szans – zaoponował Linares. – Wie pan o tym tak samo dobrze, jak ja. Tego nie zrobił amator.

Hendaya obrzucił go przeciągłym, spokojnym spojrzeniem.

– Panie inspektorze. Słyszał pan kiedyś zapewne o profesjonalnych włamywaczach. Twardych, pozbawionych skrupułów... A pański przyjaciel Vargas, nie ma co ukrywać, nie był ostatnio w najlepszej formie. Wiadomo, wiek robi swoje.

– To wykaże śledztwo.

– Niestety, żadnego śledztwa nie będzie.

– Bo pan tak mówi? – wypalił Linares.

Hendaya uśmiechnął się, nie kryjąc zadowolenia.

– Nie, nie dlatego, że ja tak mówię. Ja jestem nikim. Ale jeśli wie pan, co jest dla pana dobre, powinien się pan postarać, żebym nie musiał wspominać o tym nikomu.

Linares ugryzł się w język.

– Nie pozwolę na to. Ani panu, ani nikomu innemu.

– Ma pan za sobą błyskotliwą karierę. Nie dotarł pan tak wysoko, zgrywając Zorro. Bohaterowie polegli po drodze. Niech pan nie zaczyna się wygłupiać na starość, o krok od zasłużonej emerytury. Czasy się zmieniają.

Chyba pan rozumie, że mówię to wszystko dla pańskiego dobra.

Linares spojrział na niego, nie kryjąc pogardy.

– Wiem, że jest pan skończonym skurwielem, i gównu mnie obchodzi, dla kogo pan pracuje – odparł. – Ja tego tak nie zostawię. Niech pan dzwoni, do kogo pan chce.

Hendaya wzruszył ramionami. Linares obrócił się na pięcie i skierował do drzwi. Hendaya spojrział na jednego ze swoich ludzi i skinął głową. Ten poszedł w ślad za Linaresem. Drugi zbliżył się do Hendai, jakby czekał na polecenie.

– Jakież ślady tej dziwki?

– W starej fabryce znaleźliśmy tylko jedno ciało. Ona zniknęła. Przeszukaliśmy jej mieszkanie, to po drugiej stronie ulicy. Nic. Żaden z sąsiadów nic nie wie, a portierka zapewnia, że widziała ją ostatnio wczoraj, kiedy wychodziła.

– Mówi prawdę?

– Chyba tak, ale zawsze możemy trochę ją przycisnąć.

– Nie ma takiej potrzeby. Przeszukajcie szpitale i przychodnie. Jeśli jest w szpitalu, na pewno zarejestrowała się pod fałszywym nazwiskiem. Nie może być daleko.

– A jeśli zadzwonią z Madrytu?

– Ani słowa, dopóki jej nie znajdziemy. Jak najmniej szumu wokół tej sprawy.

– Tak jest!

35

To był najpiękniejszy sen w jej życiu. Alicja obudziła się w sali o białych ścianach, pachnącej kamforą. Echo niezrozumiałych głosów i szeptów przypląywało i odpływało. Najpierw zdała sobie sprawę, że nie czuje bólu. Po

raz pierwszy od dwudziestu lat. Zniknął zupełnie, zabierając ze sobą świat, w którym przeżyła niemal całe życie. Teraz znajdowała się w przestrzeni, w której światło unosiło się w powietrzu niczym gęsta ciecz zderzająca się z drobinami kurzu i wytwarzająca tęczowe rozbłyski. Alicja się roześmiała. Mogła oddychać, po całym jej ciele rozlewało się uczucie błogości. Już nie umierała, a duszę miała wolną od metalowych kleszczy, które ścisnęły ją wcześniej. Jakaś anielska twarz nachyliła się nad nią i spojrzała w oczy. Anioł był wysoki, ubrany w biały kitel i nie miał skrzydeł. Nie miał też prawie włosów, w ręku trzymał strzykawkę. Zapytała go, czy już nie żyje i znalazła się w piekle, on zaś się uśmiechnął i powiedział, że to zależy, ale żeby się niczym nie martwiła. Poczowała delikatne ukłucie i strumień płynnego szczęścia zaczął krążyć w jej żyłach, pozostawiając po sobie ciepły ślad spokoju. Po aniele pojawił się niski diabeł z ogromnym nosem, tak wielkim, że mógłby stać się tematem komedii Moliere'a albo powieści Cervantesa.

– Alicjo, idziemy do domu – oświadczył głos, który wydał jej się dziwnie znajomy.

Towarzyszył mu duch o kruczoczarnych włosach i tak pięknych rysach twarzy, że Alicja poczuła pragnienie, żeby pocałować go w usta, pogłaskać po cudownej czuprynie i zakochać się w nim choćby tylko na chwilę, wystarczająco długą, aby pomyśleć, że wcale jej się to nie przyśniło i że natknęła się na szczęście, które ktoś nieostrożny zgubił po drodze.

– Mogę pana pogłaskać? – zapytała.

Ciemny książę, bo musiał to być przynajmniej książę, spojrzał na diabełka z wahaniem. Tamten dał mu gestem do zrozumienia, żeby nie zwracał na nią uwagi.

– To moja krew, która krąży w jej żyłach, sprawia, że utraciła swoją zwykłą wstydlivość i stała się nieco narwana. Proszę nie mieć jej tego za złe.

Na znak księcia w sali zjawiła się nagle gromadka krasnoludków, tyle że nie były to krasnoludki i były ubrane na biało. Czterech mężczyzn podniosło ją na prześcieradle i ułożyło na noszach. Książę wziął ją za rękę i uścisnął. Na pewno jest dobrym ojcem, pomyślała Alicja. Ten uścisk, aksamitny dotyk jego palców, zdecydowanie za tym przemawiał.

– Chciałby pan mieć dziecko? – zapytała.

– Mam już siedemnaścioro, słoneczko – odparł książę.

– Alicjo, niech pani zaśnie z powrotem, bo zaczynam się wstydzić – poprosił diabełek.

Ale nie chciała zasypiać. Leżąc na noszach, za rękę ze swoim amantem, śniła na jawie, podczas gdy szli niekończącymi się korytarzami, zalanymi pianą białego światła. Podróżowali tak windami, tunelami, mijając sale, z których dochodziły żalosne jęki, aż w końcu Alicja poczuła, że powietrze robi się zimne, a blade sufity ustąpiły miejsca sklepieniu czerwonych chmur muskanych miękkimi jak bawełna promieniami zachodzącego słońca. Diabeł okrył ją kocem, a krasnoludki, wykonując polecenie księcia, włożyły ją do karocy zupełnie niepasującej do tej bajki, gdyż nie była zaprzęzona w parę okazałych rumaków, nie miała miedzianych zdobień, a jedynie napis na boku:

WĘDLINY LA PONDEROSA

Sprzedaż hurtowa

Dostawy do domu

Kiedy ksiązę zatrząskiwiał drzwiczki karocy, do uszu Alicji dobiegł głos kogoś, kto nie szczędząc gróźb, kazał mu się zatrzymać. Na chwilę została sama, podczas gdy jej bohaterowie stawiali chyba czoło natarciu tych złych, gdyż powietrze wypełniło się echem razów i odgłosów szarpaniny. Niewysoki diabeł wrócił do niej ze zmierzwionymi włosami, rozciętą wargą i tryumfalnym uśmiechem na ustach. Pojazd ruszył w drogę, Alicja zaś odniosła dziwne wrażenie, że wokół unosi się zapach taniej kiełbasy.

Podróż dłużyła się w nieskończoność. Przemierzali cały labirynt zaułków i tuneli, aż w końcu drzwi wozu otworzyły się i krasnoludki, które zdążyły urosnąć i już nie wydawały się krasnoludkami, wyjęły jej nosze. Alicja zauważyła, że jakimś cudem karoca zmieniła się w furgonetkę. Znajdowali się w wąskiej, ciemnej uliczce, żłobiącej szczelinę w ciemnościach. Diabełek, który nagle zaczął niepokojąco upodabniać się do Fermina, oznajmił, że już jest bezpieczna. Zanieśli ją pod drzwi z rzeźbionego dębowego drewna, w których stał mężczyzna o rzadkich włosach i drapieżnym spojrzeniu.

Rozejrzał się podejrzliwie po ulicy, a potem powiedział: „Wejdźcie”.

– Tu już moje zadanie się kończy – oświadczył książę.

– Niech mnie pan przynajmniej pocałuje na do widzenia – wyszeptała Alicja.

Fermín westchnął ciężko i zwrócił się do tajemniczego księcia:

– Niech pan ją wreszcie pocałuje, skoro tak się uparła.

Wtedy książę Armando ją pocałował, wkładając w to całą swoją mroczną duszę. Jego usta miały goździkowy smak, zdecydowanie potrafił całować: powoli, z wprawą artysty dumnego ze swej sztuki, mającego w niej wieloletnie doświadczenie. Alicja pozwoliła, żeby dreszcze wstrząsnęły jej ciałem i rozbiegły się po tych jego zakątkach, o których już dawno zapomniała. Zamknęła oczy, z których popłynęły łzy.

– Dziękuję – wymamrotała.

– Nie wierzę własnym oczom – powiedział Fermín. – Jakby miała piętnaście lat. Dobrze, że jej ojciec tego nie widzi.

Mechanizm dźwigni i zapadek zatrzaskał za nimi drzwi. Szli długim pałacowym korytarzem ozdobionym freskami. Cudowne stworzenia pojawiały się oświetlane lampą naftową niesioną przez strażnika tego miejsca, a potem na powrót znikwały w mroku. W powietrzu unosił się zapach papieru i magii, a kiedy dotarli do pomieszczenia osłoniętego sklepieniem, oczom Alicji ukazała się najwspanialsza konstrukcja, jaką kiedykolwiek widziała, choć często jej obraz powracał do niej w snach.

Majaczący w ciemnościach labirynt wspinał się pod wielką szklaną kopułę. Światło księżyca, rozbite na tysiąc ostrzy, wlewało się do środka i pozwalało dostrzec niemożliwą geometrię cudu zbudowanego ze wszystkich książek, wszystkich historii i wszystkich marzeń świata. Alicja rozpoznała miejsce, o którym tyle razy śniła, i wyciągnęła ręce, żeby go dotknąć i sprawdzić, czy nie rozplynie się w powietrzu. Nad nią ukazały się twarze Daniela i Bei.

– Gdzie ja jestem? Co to za miejsce?

Isaac Monfort, strażnik, który otworzył im drzwi i którego Alicja rozpoznała po tylu latach, ukląkł przy niej i pogładził ją po policzku.

– Witaj ponownie na Cmentarzu Zapomnianych Książek, Alicjo.

Valls zaczynał podejrzewać, że wszystko tylko sobie wyobraził. Wizje pojawiały się i znikaly i nie był już pewien, czy naprawdę widział kobietę, która zeszła po schodach aż do drzwi celi i zapytała go, czy jest ministrem Vallsem. Chwilami powątpiewał, że nim jest. Może był to tylko sen? Może był tylko jeszcze jednym więźniem gnijącym w celi Montjuic, który uroił sobie, że jest swoim oprawcą, a nie tym, kim jest naprawdę. Pamiętał taki przypadek. Nazywał się Mitjans. Mitjans, znany i ceniony w czasach republiki dramaturg, którym Valls pogardzał, bo zazdrościł mu sukcesu i uznania, jakiego sam pragnął i nie zdołał zdobyć. Mitjans, który, jak wielu innych budzących w nim zazdrość, skończył swój żywot w lochach zamku, w celi numer 19, nie wiedząc, jak się nazywa.

Ale Valls wiedział, kim jest, bo miał wspomnienia. A jak powiedział mu kiedyś przeklęty David Martín, człowiek jest tym, co wspomina. Dlatego wiedział, że ta kobieta, kimkolwiek była, naprawdę złożyła mu wizytę, i że któregoś dnia ona albo ktoś inny powróci, żeby go stąd uwolnić. Bo on nie był jak Mitjans ani żaden z tych nieszczęśników, którzy zmarli, kiedy pełnił funkcję naczelnika więzienia. On, Mauricio Valls, nie umrze w tej celi. Był to winien córce, to myśl o niej utrzymywała go przy życiu przez tyle czasu. Chyba z tego powodu za każdym razem, kiedy słyszał odgłos otwieranych drzwi, unosił wzrok pełen nadziei. Może to dziś jest ten dzień.

Miał wrażenie, że świta. Nauczył się rozróżniać pory dnia w zależności od panującego w celi zimna. Musiało stać się coś ważnego, gdyż nikt nigdy nie zaglądał do niego z samego rana. Usłyszał otwierane drzwi i ciężkie kroki. Niespieszne. W mroku zmaterializowała się jakaś postać. Niosła tacę, z której unosił się najcudowniejszy w świecie aromat. Hendaya postawił tacę na ziemi i zapalił świecę, którą umieścił na kandelabrze.

– Dzień dobry, ministrze – powiedział. – Przyniosłem ci śniadanie.

Hendaya przysunął tacę do krat i unióśł pokrywkę znad talerza. Fatamorgana miała kształt soczystego filetu skąpanego w kremowym sosie pieprzowym, z pieczonymi ziemniakami i warzywami z grilla. Valls poczuł,

jak ślinka napływa mu do ust, a żołądek podskakuje z radości.

– Średnio wysmażony – dodał Hendaya. – Tak jak lubisz.

Na tacy leżały również koszyk z bułeczkami, srebrne sztucce i lniana serwetka. W kryształowym kieliszku znajdowało się wino Rioja z bardzo dobrego rocznika.

– Dziś twój wielki dzień, ministrze. Zasłużyłeś sobie na ucztę.

Hendaya wsunął tacę pod kratę. Valls nie sięgnął nawet po sztucce czy serwetkę, chwycił kawałek mięsa ręką. Włożył go do bezzębnych ust i pochłonął z żarłocznością, jakiej nigdy by się po sobie nie spodziewał. Potem rzucił się na ziemniaki, warzywa i chleb. Wypił do ostatniej kropli wspaniałe wino. Hendaya przyglądał mu się spokojnie, paląc papierosa i uśmiechając się.

– Bardzo przepraszam. Zamówiłem też deser, ale mi go nie dowieźli.

Valls odsunął tacę, chwycił się ręką za kraty i wbił wzrok w Hendayę.

– Widzę, że jesteś zaskoczony. Nie wiem, czy tym świątecznym menu, czy bardziej dlatego, że czekałeś na kogoś innego.

Przyjemność uczy natychmiast ustąpiła miejsca rozczarowaniu. Valls znów położył się w celi. Hendaya stał niewzruszenie w miejscu, przeglądając gazetę i paląc papierosa. Kiedy skończył, rzucił na ziemię niedopałek i złożył gazetę.

– Może masz ochotę poczytać? Człowiek literatury, jak ty, musi za tym tęsknić.

– Proszę – wyjąkał Valls.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Hendaya podszedł do krat.

Valls wyciągnął rękę, patrząc błagalnym wzrokiem.

– W gazecie znajdziesz dobre wieści. Kiedy przeczytałem ją dziś rano, pomyślałem, że zechcesz to uczcić, jak Pan Bóg przykazał.

Hendaya wrzucił gazetę do celi i oddalił się schodami.

Valls podniósł dziennik. Strony rozsypały się, kiedy pismo upadło na podłogę, i chwilę zajęło mu uporządkowanie ich jedną ręką. Kiedy mu się to udało, przybliżył świecę do gazety i przebiegł po niej wzrokiem.

Z początku rozróżnienie liter kosztowało go sporo wysiłku. Zbyt długo przebywał w ciemnym pomieszczeniu. Od razu rozpoznał natomiast ogromne

zdjęcie. Tę fotografię zrobiono mu w pałacu El Pardo: pozował na tle wielkiej ściany w granatowym garniturze w białe prążki, który obstałował trzy lata temu w Londynie. Ostatnie oficjalne zdjęcie Vallsa, jakie opublikowało ministerstwo. Słowa wynurzały się powoli, jak przywidzenie ukryte pod powierzchnią wody.

Z ostatniej chwili

Śmierć wielkiego Hiszpana
Minister Mauricio Valls

**ZGINĄŁ W WYPADKU
SAMOCHODOWYM**

**Generalissimus ogłasza trzy dni żałoby
narodowej**

**Zgasła jedna z najjaśniejszych gwiazd na firmamencie
nowej Hiszpanii, wielkiej i wolnej, odrodzonej z wojennych
popiołów. Uosobienie narodowych cnót, które wzniosło
hiszpańską literaturę i kulturę na nieosiągalne dotąd
wyżyny.**

Madryt, 9 stycznia 1960

Cała Hiszpania zbudziła się dziś ze snu poruszona dotkliwą stratą jednego ze swoich ukochanych synów, don Mauricia Vallsa y Echevarrrii, ministra edukacji narodowej. Do tragicznego wypadku doszło dziś nad ranem, kiedy samochód ministra, którym podróżował

w towarzystwie szofera i ochroniarza, zderzył się z innym wozem na czwartym kilometrze szosy prowadzącej do Somosaguas. Minister wracał do domu po posiedzeniu gabinetu, które odbyło się tej nocy w pałacu El Pardo. Pierwsze doniesienia wskazują, że przyczyną wypadku było uszkodzenie opony cysterny nadjeżdżającej z przeciwka. Kierowca cysterny stracił panowanie nad kierownicą i zjechał na przeciwny pas, gdzie zderzył się z nadjeżdżającym z dużą prędkością wozem ministra. Cysterna transportująca ładunek paliwa stanęła w płomieniach i wybuchła. Odgłosy eksplozji zaniepokoiły sąsiadów, którzy natychmiast powiadomili policję. Valls i jego ochroniarz ponieśli śmierć na miejscu.

Kierowca cysterny Rosendo M.S., mieszkaniec Alcobenas, zginął, zanim zdołano udzielić mu pierwszej pomocy. Na miejscu wypadku wybuchł pożar, ciała ministra i ochroniarza uległy zwęgleniu.

Dziś ma się odbyć specjalnie posiedzenie gabinetu, a szef rządu zapowiedział w południe wystąpienie z pałacu El Pardo.

Mauricio Valls miał pięćdziesiąt dziewięć lat i poświęcił ponad dwie dekady służbie naszej ojczyźnie. Jego odejście to niepowetowana strata dla hiszpańskiej literatury i kultury, odszedł nie tylko minister, ale też wydawca, pisarz i akademik. Najwyżsi przedstawiciele wszystkich instytucji publicznych i najznamienitsi ludzie literatury i kultury zapowiedzieli dziś wizytę w ministerstwie, żeby dać wyraz podziwowi i szacunkowi, jakie don Mauricio budził we wszystkich, którzy go znali.

Don Mauricio Valls pozostawił żonę i córkę. Źródła rządowe informują, że trumna ministra zostanie wystawiona od piątej po południu w pałacu Oriente, żeby obywatele mogli oddać ostatni hołd temu przykładnemu Hiszpanowi. Kierownictwo i wszyscy pracownicy niniejszego dziennika pragną dać wyraz swojemu żalowi i wielkiemu poruszeniu odejściem don Mauricia Vallsa, niedoścignionego wzoru dla wielu naszych obywateli.

Niech żyje Franco! *Arriba España!* Cześć pamięci don Mauricia Vallsa!

AGNUS DEI

Styczeń 1960



1

Victoria Sanchís obudziła się w lnianej wyprasowanej i wyperfumowanej lawendą pościeli. Ubrana była w jedwabną, idealnie dopasowaną koszulę nocną. Dotknęła dłonią twarzy i poczuła, że jej skóra pachnie solami kąpielowymi, a włosy miała czyste, choć nie pamiętała, by je myła. Niczego nie pamiętała.

Usiadła, opierając się o aksamitny podglówek. Usiłowała odgadnąć, gdzie się znajduje. Imponujące łożo z poduszkami bezwstydnie kuszącymi, by się w nie zapaść, zajmowało dużą część przestronnego pokoju urządzonego tyleż gustownie, ile bogato. Delikatne światło sączyło się poprzez białe firanki przysłaniające duże okno, padało również na komodę, na której stał wazon ze świeżymi kwiatami. Victoria zobaczyła toaletkę z lustrem przy łóżku, obok niej biurko. Na ścianach wyłożonych wzorzystą tapetą wisały akwarele ze scenami bukolicznymi w nieco przyciężkich ramach. Odsunęła kołdrę i usiadła na brzegu łóżka. Rozłożony na podłodze dywan w pastelowych barwach współgrał z każdym detalem pokoju. Sceneria skomponowana była z najwyższym gustem przez kogoś znającego się doskonale na rzeczy, przytulnie i bezosobowo zarazem. Victoria zastanowiła się, czy przypadkiem nie trafiła do piekła.

Zamknęła oczy i próbowała dociec, jak się tu znalazła. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, był dom w El Pinar. Powoli wracały kolejne obrazy. Kuchnia. Była przywiązana drutem za ręce i nogi do krzesła. Hendaya klęczał przed nią i zadawał jej pytania. Pluła mu w twarz. Brutalne uderzenie w twarz powaliło ją na ziemię. Jeden z ludzi Hendai podnosił krzesło. Dwóch innych przyprowadziło Morgada i przywiązywało do stołu. Hendaya znów zadawał jej pytania. Milczała. Wtedy policjant sięgnął po rewolwer, przyłożył szoferowi lufę do kolana i strzelił. Serce jej pękało od krzyków Morgada. Nigdy nie słyszała tak przeraźliwie krzyczącego człowieka.

Hendaya najspokojniej w świecie znów przystępował do zadawania pytań. Jej całkowicie odebrało głos. Trzęsa się z przerażenia. Hendaya wstawał, wzruszał ramionami, obchodził stół i raz po raz przykładał lufę rewolweru do drugiego kolana szofera. Jeden ze zbirów kapitana trzymał ją za głowę, żeby nie mogła odwrócić wzroku. „Patrz, kurwo, to właśnie czeka ludzi, którzy mi podskakują”. Hendaya nacisnął spust. Krwawa chmura roztrzaskanych kości opryskała jej twarz. Ciałem Morgada wstrząsały konwulsje, jakby został rażony prądem. Szofer nie wydawał już żadnego głosu. Victoria zaciskała powieki. Chwilę później padł trzeci strzał.

Poczuła gwałtowne mdłości i zeskoczyła z łóżka. Uchylone drzwi prowadziły do łazienki. Padła na kolana przed miską klozetową i zwymiotowała żółcią. Przez jakiś czas wstrząsały nią torsje, wreszcie poczuła, że nie ma czym wymiotować. Usiadła na podłodze i opierając się o ścianę, spróbowała złapać oddech. Rozejrzała się. W łazience, cacku z różowego marmuru, było przytulnie i ciepło. Z głośnika wmontowanego w ścianę płynęły cichutko dźwięki suit tanecznej Bacha.

Kiedy znów zaczęła oddychać miarowo, wstała, trzymając się ściany. Poczuła zawroty głowy. Podeszła do umywalki i odkręciła kran. Umyła twarz, przepłukała usta, żeby usunąć przykry smak. Wytarła się miękkim, puszystym ręcznikiem, który potem rzuciła na podłogę. Zataczając się, wróciła do sypialni i padła jak długa na łóżko. Usiłowała wymazać z pamięci ostatnie obrazy, ale zachlapana krwią twarz Hendai zdawała się wypalona żelazem w jej źrenicach. Ponownie rozejrzała się po dziwnym pokoju, w którym ją umieszczono. Nie miała pojęcia, ile czasu już tutaj przebywa. Jeśli miejsce, w którym się znalazła, było piekłem, to wyglądało jak luksusowy hotel. Niebawem zasnęła, błagając, żeby już się nigdy nie obudzić.

2

Kiedy znów otworzyła oczy, oślepił ją blask słońca padający zza firanek. Pachniało kawą. Victoria wstała. Przy łóżku znalazła szlafrok stanowiący

komplet z jej koszulą nocną i pantofle. Usłyszała głos dochodzący zza drzwi, które prowadziły chyba do przyległego pokoju apartamentu. Podeszła do nich i nadstawiła ucha. Delikatnie dzwoniła łyżeczka w porcelanowej filiżance. Victoria pchnęła drzwi.

Krótki korytarz prowadził do owalnego salonu, pośrodku którego stał stół zastawiony na dwie osoby – szklany dzbanek z sokiem pomarańczowym, koszyk ze świeżymi wypiekami, kilka rodzajów konfitur wyłożonych na miseczki, śmietanka, masło, półmisek z jajecznicą, smażony bekon, pieczarki na maśle, herbata, kawa, mleko i dwa rodzaje kostek cukru. Bijące od stołu aromaty były tak kuszące, że Victorii pociekła ślinka.

Przy stole siedział mężczyzna w średnim wieku, średniego wzrostu, średniej łysiny i średniej średniości. Ujrzawszy wchodzącą Victorię, wstał grzecznie, uśmiechnął się miło i obszedł stół, by usłudźnie i zapraszająco odsunąć krzesło. Na sobie miał trzyczęściowy czarny garnitur, a uderzająca bladość jego twarzy sugerowała, że rzadko przekraczał próg domu. Gdyby spotkała go na ulicy, nie zwróciłaby na niego uwagi albo wzięłaby go za urzędnika średniego szczebla lub prowincjonalnego notariusza, który przyjechał do stolicy, by odwiedzić muzeum Prado albo pójść do teatru.

Dopiero gdy przyjrzało mu się dokładniej, dostrzegano się jego jasne, przejrzyste i przenikliwe oczy. Patrzył tak, jakby bez przerwy coś kalkulował i obliczał. Obserwował Victorię niemal bez mrugnięcia powiek. Okulary o powiększających oczy szklach obramowanych zbyt dużymi szylkretowymi oprawkami nadawały jego twarzy odrobinę zniewieściały wygląd.

– Dzień dobry, Ariadno – przywitał ją. – Zapraszam do stołu.

Victoria rozejrzała się i złapała za świecznik, który wypatrzyła obok, na gzymsiku. Uniosła go niczym broń. Mężczyzna nie zareagował, podniósł jedynie pokrywkę jednego z naczyń i demonstracyjnie powąchał zawartość.

– Pachnie cudownie. Na pewno jesteś głodna.

Mężczyzna żadnym gestem nie zdradził, że ma zamiar przybliżyć się do niej, niemniej Victoria uniosła świecznik jeszcze wyżej.

– Nie nazywam się Ariadna. Mam na imię Victoria. Victoria Sanchís.

– Proszę, usiądź. Tutaj jesteś bezpieczna i nie musisz się niczego bać.

Victoria zagubiła się w jego hipnotycznym spojrzeniu. Śniadaniowe

aromaty znów dały o sobie znać. Uświadomiła sobie, że ów ból ściskający jej trzewia jest zwyczajnym głodem. Odstawiła świecznik z powrotem na gzymsik. Podeszła powoli do stołu. Usiadła, nie spuszczać wzroku z mężczyzny, który odczekał, aż Victoria zajmie miejsce, by nalać jej kawy z mlekiem.

– Ile kostek cukru? Osobiście lubię bardzo słodką kawę, aczkolwiek lekarz przestrzega mnie, że powinienem uważać z cukrem.

Obserwowała go, jak szykuje jej kawę.

– Dlaczego powiedział pan do mnie Ariadno?

– Bo to twoje prawdziwe imię. Ariadna Mataix. Nieprawdaż? Chociaż jeśli wolisz, mogę się do ciebie zwracać Victorio. Jestem Leandro.

Podszedł i wyciągnął do niej rękę. Nie uścisnęła jej. Leandro, nieodmiennie serdeczny, wrócił na swoje miejsce i usiadł.

– Może jajeczniczy? Skosztowałem jej, nie jest zatruta. Mam nadzieję.

Victoria w tym momencie chciała jedynie, aby mężczyzna przestał się w końcu uśmiechać. Jego uśmiech budził w niej poczucie winy, że nie potrafi być dlań równie miła.

– Żartuję tylko. Nie ma tu żadnej trucizny. Może jajeczniczy i bekonu?

Victoria ku własnemu zaskoczeniu przytaknęła. Leandro wyraźnie usatysfakcjonowany nałożył jej na talerz jajeczniczy, doprawił szczyptą soli, popieprzył nieco i postawił przed nią. Każdy ruch i gest gospodarza zdradzał zawodowe niemal obycie z zasadami obowiązującymi przy stole.

– Jeśli miałabyś na coś ochotę, możemy w każdej chwili to zamówić. Mają tu znakomitą kuchnię.

– Dziękuję, w zupełności mi to wystarczy.

Powiedziawszy „dziękuję”, o mało nie ugryzła się w język. A niby za co dziękuję? I właściwie komu?

– Croissanty pyszności. Gorąco namawiam. Najlepsze w mieście.

– A gdzie ja jestem?

– Jesteśmy w hotelu Palace.

Victoria ściągnęła brwi.

– W Madrycie?

Leandro skinął głową i podał jej koszyk z wypiekami. Victoria wahała się.

– Prosto z piekarni. Proszę się poczęstować, w przeciwnym razie zjem wszystkie, co do jednego, choć powinienem przestrzegać diety.

Victoria wyciągnęła dłoń po croissanta i w tym momencie zauważyła ślady ukłuć na przedramieniu.

– Musieliśmy dać ci zastrzyki znieczulające, przykro mi. Po tym, co zaszło w El Pinar...

Victoria cofnęła rękę.

– Jak się tutaj znalazłam? Kim pan jest?

– Jestem twoim przyjacielem, Ariadno. Nie masz powodu obawiać się czegokolwiek. Tu jesteś bezpieczna. Ten człowiek, Hendaya, już nie będzie ci mógł wyrządzić krzywdy. Nikt cię już nigdy nie skrzywdzi. Daję ci moje słowo.

– Gdzie jest Ignacio, mój mąż? Co się z nim stało?

Leandro przyglądał się jej z czułością. Uśmiechnął się lekko.

– Posil się najpierw, aby odzyskać siły. Później opowiem ci, co się stało, i odpowiem na wszystkie twoje pytania. Masz moje słowo. Zaufaj mi i uspokój się.

Głos Leandra był ciepły i łagodny. Nowy znajomy wybierał kojące słowa, jak perfumiarz dobierający aromaty do stworzenia jedynych w swoim rodzaju woni. Victoria wbrew woli poczuła, że zaczyna się uspokajać, a paraliżujący ją dotąd strach z wolna ustępuje. Świeże i smaczne jedzenie, ciepło panujące w pomieszczeniu i nienarzucająca się ojcowska obecność Leandra napełniały Victorię spokojem i ufnością. Oby to wszystko było prawdą.

– I co? Miałem rację? Myślę o croissantach.

Victoria nieśmiało skinęła głową. Leandro wytarł usta serwetką, złożył ją skrupulatnie i nacisnął dzwonek znajdujący się na stole. Jeszcze nie przebrzmiał dźwięk dzwonka, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich kelner, by zabrać serwis śniadaniowy. Podczas sprzątania stołu ani razu nie spojrzął na Victorię i nie odezwał się ani słowem. Kiedy zostali sami, Leandro przybrał zatroskany wyraz twarzy, skrzyżował dłonie na piersi i spuścił wzrok.

– Przynoszę złe wieści, Ariadno. Twój mąż Ignacio nie żyje. Przykro mi niewymownie. Przybyliśmy za późno.

Oczy kobiety napełniły się łzami. Wiedziała już, że Ignacio nie żyje, a płakała z wściekłości, że mówi jej o tym obcy człowiek. Zacisnęła usta i spojrzała na Leandra, który zdawał się szacować, ile Victoria może jeszcze znieść.

– Proszę powiedzieć mi prawdę – wyjąkała.

Leandro kilkakrotnie pokiwał głową.

– Nie będzie to wcale łatwe, niemniej wysłuchaj mnie, bardzo proszę. A później będziesz mogła pytać do woli. Najpierw jednak chciałbym, abyś coś zobaczyła.

Leandro wstał i ze stolika herbacianego stojącego w kącie salonu przyniósł złożoną gazetę. Wrócił do stołu i podał ją Victorii.

– Proszę, otwórz ją.

Victoria, nic nie rozumiejąc, wzięła gazetę od Leandra, rozłożyła ją i spojrzała na pierwszą stronę.

**Minister Mauricio Valls
ZGINĄŁ W WYPADKU
SAMOCHODOWYM**

Victoria wydała zduszony okrzyk. Gazeta wypadła jej z ręki. Kobieta zaczęła łkać i jęczeć spazmatycznie. Leandro podszedł i z niezwykłą delikatnością objął ją i przytulił. Victoria nie stawiała oporu, schroniła się w ramionach tego obcego mężczyzny, drżąc jak mała dziewczynka. Leandro pozwolił jej oprzeć głowę na swoim ramieniu i głaskał ją po włosach. Victoria szlochała, nie powstrzymując ani łez, ani nagromadzonego przez całe

swoje życie bólu.

3

– Od dłuższego już czasu Valls był pod naszą obserwacją. Nadaliśmy bieg sprawie po otrzymaniu raportu Komisji Papierów Wartościowych Banco de España o wykryciu nieprawidłowości w transakcjach Konsorcjum Finansowego Narodowego Przegrupowania, na którego czele stał twój ojciec, Miguel Ángel Ubach... A raczej powinienem był powiedzieć: człowiek, który podawał się za twojego ojca. Od dawna podejrzewaliśmy, że konsorcjum było przykrywką, i że korzystając z rządowego wsparcia, pilnowało, by to wszystko, co w trakcie wojny lub po niej zostało wywłaszczone czy też skradzione, trafiło w wyniku podziału do konkretnej grupy osób. Wojna, jak każda zresztą wojna, doprowadziła kraj do ruiny, ale wzbogaciła tych, którzy i tak byli już bogaci przed jej wybuchem. Po to wywołuje się wojny. A konsorcjum zostało użyte również po to, by opłacić protekcje, zdrady i usługi, kupować milczenie i współudział. Dla wielu był to mechanizm służący do awansu. Pośród nich znajdował się Mauricio Valls. Wiemy, co Valls zrobił, Ariadno. Co zrobił tobie i twojej rodzinie. To jednak za mało. Potrzebujemy twojej pomocy, by dogłębnie zbadać całą sprawę.

– Po co? Przecież Valls nie żyje.

– Żeby sprawiedliwości stało się zadość. Valls nie żyje, zgoda, ale setki osób, którym zrujnował życie, zasługują na oddanie im sprawiedliwości.

Victoria przyglądała mu się podejrzliwie.

– I tego właśnie szukacie? Sprawiedliwości?

– Szukamy prawdy.

– A kim właściwie jesteście?

– Jesteśmy grupą obywateli, która przysięgła służyć ojczyźnie, żeby z Hiszpanii uczynić miejsce bardziej sprawiedliwe, uczciwe i bardziej otwarte.

Victoria się zaśmiała. Leandro przyglądał jej się z powagą.

– Nie oczekuję, że mi uwierzysz. Nie teraz. Ale udowodnię ci, że to my właśnie próbujemy wprowadzić zmiany w ramach ustroju, bo nie ma innego sposobu, żeby do tych zmian doprowadzić. Aby ten kraj naprawić i oddać go ludziom. To my narażamy życie, aby to, co spotkało ciebie i twoją siostrę, co spotkało twoich rodziców, nigdy już nikogo nie dosięgło, a zarazem aby ci, którzy dopuścili się tych zbrodni, zapłacili za nie, a prawda wyszła na jaw. Bez prawdy nie ma sprawiedliwości, a bez sprawiedliwości nie ma pokoju. Jesteśmy za zmianą i za postępem. To my chcemy położyć kres państwu służącemu jedynie garstce uprzywilejowanych, którzy wykorzystali instytucje, by swoje przywileje wzmocnić i zwiększyć kosztem ludzi pracy i osób bezbronnych. I nie dlatego, że tacy z nas bohaterowie, ale dlatego, że ktoś to musi zrobić. A nikogo więcej nie ma. Dlatego niezbędna jest nam twoja pomoc. Kiedy połączymy siły, będzie to możliwe.

Patrzyli na siebie w przedłużającym się milczeniu.

– A jeśli nie zechcę wam pomóc?

Leandro wzruszył ramionami.

– Nikt nie może cię do tego zmusić. Jeśli postanowisz, że się do nas nie przyłączysz, jeśli uznasz, że jest ci obojętne, czy innym, którym zgotowano taki sam los jak tobie, oddana zostanie sprawiedliwość, nie będę cię nakłaniać, byś zrobiła coś wbrew własnej woli. Decyzja należy do ciebie. Valls nie żyje. Osobie w twojej sytuacji najłatwiej byłoby zostawić wszystko daleko za sobą i rozpocząć nowe życie. Kto wie, być może na twoim miejscu tak bym zrobił. Ale jestem przeświadczony, że w głębi duszy nie interesuje cię zemsta, ale sprawiedliwość i prawda. Równie mocno jak nas, o ile nie mocniej. Chcesz, aby winni zapłacili za swoje zbrodnie, a ich ofiary odzyskały swoje prawdziwe życie i żyły dalej w pełnym przekonaniu, że nie poszła na marne ofiara tych, którzy za nich zginęli. Ale decyzja jest w twoich rękach. Ja nie będę cię zatrzymywać. Widzisz, gdzie są drzwi. Możesz stąd wyjść, kiedy ci się spodoba. Przywieźliśmy cię tutaj, bo to jest miejsce, w którym jesteś bezpieczna i nic ci nie grozi. Tylko i wyłącznie z tego powodu. Tutaj możemy cię chronić, gdy będziemy próbować rozwiązać tę sprawę do końca. Wszystko zależy od ciebie.

Victoria skierowała wzrok ku drzwiom. Leandro nalał sobie kawy, wrzucił

do niej pięć kostek cukru i uniósł filiżankę do ust.

– Wystarczy, że takie będziesz miała życzenie, a podjedzie samochód i zawiezie cię, dokąd tylko zechcesz. Nigdy więcej już mnie nie zobaczysz i nigdy więcej o nas nie usłyszysz. Wystarczy, że poprosisz.

Victorię boleśnie ścisnęło w żołądku.

– Nie ma potrzeby, żebyś decydowała o tym teraz. Wiem, przez co przeszłaś, wiem również, że czujesz się teraz zdezorientowana. Że nie ufasz ani mnie, ani nikomu. I jest to w pełni zrozumiałe. Na twoim miejscu też bym się tak zachowywał. Ale nic nie tracisz, jeśli dasz nam szansę. Jeden dzień. Albo kilka godzin. W każdym razie nikomu się z niczego nie tłumacząc, możesz odejść. Choć proszę cię, abyś tego nie robiła. Abyś dała nam szansę, by pomóc innym.

Victoria poczuła, że zaczynają trząść się jej dłonie. Leandro uśmiechnął się do niej z niewysłowioną delikatnością.

– Proszę...

Zgodziła się przez łzy.

4

Półtorej godziny zajęło Leandrowi zrelacjonowanie wszystkiego, co udało im się dotąd ustalić.

– Już od dawna staram się zrekonstruować fakty. Spróbuję ci w skrócie przekazać to, co już wiemy na pewno lub wydaje nam się, że wiemy. W naszej wiedzy są niestety luki i pewnie w niektórych miejscach jesteśmy w błędzie. Albo i w wielu. I tu właśnie jest rola dla ciebie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę ci relacjonował to, co się, w moim mniemaniu, wydarzyło, ty zaś poprawisz mnie tam, gdzie będę się mylił. Zgoda?

Głos Leandra czarował i wabił. Niczego bardziej teraz nie pragnęła, jak zamknąć oczy i przez jakiś czas zniknąć w objęciach tego głosu,

w aksamitności słów, które nabierały sensu, choć nieważne było ich znaczenie.

– Dobrze – odparła. – Spróbuję.

Mężczyzna uśmiechnął się z wdzięcznością i tak serdecznie, że poczuła się bezpieczna i chroniona przed wszystkim, co groziło jej poza murami tego pokoju. Pomału, niespiesznie, opowiedział historię nadto dobrze jej znaną. Relacja zaczynała się od momentu, gdy była małą dziewczynką, a jej ojciec Victor Mataix zawierał znajomość z Miguelem Angelem Ubachem, nader wpływowym finansistą, który pod wpływem swej małżonki, zagorzałej czytelniczki powieści Mataixa, postanowił zakontraktować go do napisania za pokaźne honorarium rzekomej autobiografii bankiera.

Jej ojciec, właśnie w kłopotach natury finansowej, przyjął zlecenie. Już po zakończeniu wojny bankier i jego małżonka nieoczekiwanie zjawili się w domu rodziny Mataixów przy Carretera de las Aguas w Vallvidrerze. Pani Ubach, znacznie młodsza od swego męża, należała do tych piękności, które widywało się jedynie na okładkach pism ilustrowanych. Nie chciała niszczyć swej kształtnej figury, wydając na świat dziecko, choć dzieci lubiła, a przynajmniej lubiła myśl o tym, żeby mieć dzieci, którymi opiekowałaby się służba. Myśl o tym sprawiała jej nie mniejszą przyjemność niż hołubienie kotków czy delektowanie się wódką z martini. Ubachowie spędzili cały dzień z rodziną Mataixów. Pani Ubach, żegnając się z gospodarzami, ucałowała Ariadnę i jej młodszą siostrę Sonię, jeszcze niemowlę, rozpływając się w zachwytach nad dziewczynkami. Parę dni później w domu w Vallvidrerze zjawili się uzbrojeni mężczyźni. Pojmali jej ojca, by umieścić go w więzieniu Montjuic, i zabrali ze sobą Ariadnę i małą Sonię. Zostawili w domu ich ranną matkę przekonani, że nie żyje.

– Czy to się zgadza? – spytał Leandro.

Victoria przytaknęła, ocierając łzy wściekłości.

Tej samej nocy owi ludzie rozdzielili ją z siostrą, nigdy już się z Sonią nie zobaczyła. Powiedziano jej, że jeśli nie chce, by jej młodszą siostrą została zabita, to musi zapomnieć o swoich rodzicach, bo to byli zbrodniarze, i że nie nazywa się już Ariadna Mataix, ale Victoria Ubach. Wytłumaczyli jej, że od teraz jej tatą i mamą są don Miguel Ángel Ubach i jego żona Federica i że ma dużo szczęścia. Będzie z nimi mieszkać w najpiękniejszym domu w Barcelonie

zwanym El Pinar. Tam będzie miała na swoje usługi legion służby i wszystko, czego tylko zapragnie. Ariadna miała dziesięć lat.

– Ale od tego momentu fakty nie do końca są oczywiste – ostrzegł Leandro.

Zdołali dojść, wyjaśnił, że Victor Mataix został, jak wielu innych, rozstrzelany w zamku Montjuic na rozkaz ówczesnego dyrektora więzienia Mauricia Vallsa, aczkolwiek w oficjalnym raporcie stwierdzono, iż popełnił samobójstwo. Leandro uważał, że Valls sprzedał Ariadnę Ubachom w zamian za awans w hierarchii reżimu oraz pakiet akcji banku powstałego właśnie w wyniku przywłaszczenia majątku setek osób uwięzionych, wywłaszczonych i w wielu przypadkach rozstrzelanych tuż po zakończeniu wojny.

– Czy wiesz, co się stało z twoją matką?

Victoria potwierdziła gestem, że wie.

Leandro opowiedział, że o ile im wiadomo, jej matka Susana następnego dnia po tym, jak jej mąż i córki zostali porwani, zebrała siły i zgłosiła, co się wydarzyło. I to był błąd. Z miejsca została aresztowana i hospitalizowana w zakładzie psychiatrycznym w gminie Horta, gdzie przebywała w izolatce poddawana przez pięć lat elektrowstrząsom. Po tym okresie, stwierdziwszy, że nawet nie pamięta, jak się nazywa, postanowiono się jej pozbyć, wywieziono ją na pustkowiu pod Barceloną i tam została.

– Przynajmniej tak im się wydawało.

Leandro wytłumaczył, że Susana przeżyła, żebrząc na ulicach Barcelony, śpiąc gdzie popadło i wyjadając resztki jedzenia ze śmietników, w nadziei, że uda jej się pewnego dnia odzyskać obie córki. Ta nadzieja trzymała ją przy życiu. Wiele lat później Susana, szperając w odpadkach w jednym z zaułków Ravalu, znalazła gazetę z fotografią Mauricia Vallsa z rodziną. Był już wtedy ważną osobistością, dawno przestał być więziennym funkcjonariuszem. Na fotografii Valls pozował z dziewczynką imieniem Mercedes.

– Mercedes to nie kto inny, jak twoja młodsza siostra Sonia. Susana poznała ją, bo Sonia przysłała na świat z charakterystycznym znamieniem.

– Znamię w kształcie gwiazdy tuż pod szyją – Victoria usłyszała swój głos.

Leandro uśmiechnął i kiwnął głową.

– Małżonka Vallsa cierpiała na chroniczną chorobę, w wyniku której nie mogła mieć dzieci. Valls postanowił zaadoptować twoją siostrę i wychować

ją jak własną córkę. Zmienił jej imię na Mercedes, na pamiątkę swojej matki. Susana, kradnąc co się da, zdołała zebrać pieniądze na zakup biletu kolejowego do Madrytu, a dotarwszy tam, przez parę miesięcy krążyła po mieście od szkoły do szkoły, podpatrując szkolne dziedzińce i wybiegi, przekonana, że w ten sposób znajdzie swoją siostrę. Stworzyła sobie nową tożsamość. Mieszkała w nędznym pokoiku wynajmowanym w dzielnicy Chueca, pracowała nocami jako szwaczka w zakładzie krawieckim. W ciągu dnia chodziła po madryckich szkołach. Kiedy już powoli traciła nadzieję, odnalazła swoją córkę. Zobaczyła ją z daleka i od razu wiedziała, że to ona. Zaczęła przychodzić codziennie pod tę szkołę. Stawała przy ogrodzeniu i starała się zwrócić na siebie jej uwagę. Udało się parę razy zamienić z małą kilka słów. Nie chciała jej spłoszyć. Stwierdziwszy, że Mercedes... to znaczy Sonia, nie ma pojęcia o jej istnieniu, twoja matka bliska była myślom samobójczym. Nie poddała się jednak. Codziennie rano stawała przy ogrodzeniu, chcąc ją przynajmniej zobaczyć przez chwilę, z nadzieją, że dziewczynka podejdzie i z nią porozmawia. Pewnego dnia postanowiła, że jednak musi małej opowiedzieć prawdę. I kiedy rozmawiała z twoją siostrą, dopadli ją ochroniarze z eskorty Vallsa. Na oczach małej zastrzelili waszą matkę. Może przerwiemy na chwilę?

Victoria pokręciła przecząco głową.

Leandro dalej relacjonował, co było mu wiadome o tym, jak Victoria dorastała w złotej klatce El Pinar. Po jakimś czasie Miguel Ángel Ubach został powołany przez Generalissimusa na szefa grupy bankierów i notabli, którzy w czasie wojny finansowali jego wojska, i zlecił mu przygotowanie projektu nowej struktury ekonomicznej państwa. Ubach opuścił Barcelonę i przeprowadził się z rodziną do dużego domu w Madrycie, którego Victoria nienawidziła i z którego uciekła, znikając na kilka miesięcy, póki jej nie zlokalizowano w dziwnych okolicznościach na plaży koło Sant Feliu de Guíxols.

– To jest jedna z białych plam w rekonstrukcji wydarzeń, jakiej dokonaliśmy – powiedział Leandro. – Nikt nie wie, gdzie i z kim byłaś przez te kilka miesięcy. Wiemy jedynie, że w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, kilka dni po twoim powrocie do Madrytu, w domu Ubachów wybuchł pożar, który strawił doszczętnie budynek i w którym bankier i jego żona Federica stracili życie.

Leandro spojrział jej w oczy, ale Victoria nie zareagowała.

– Rozumiem, że trudno ci o tym mówić, bo to bardzo bolesne sprawy, ale musimy wiedzieć, co się działo przez te kilka miesięcy, kiedy zniknąłeś. To bardzo ważne.

Victoria zacisnęła wargi, na co Leandro, pełen cierpliwości, pokiwał głową.

– To nie musi być dzisiaj.

I podjął opowieść.

Victorii, sierocie, dziedzicze ogromnej fortuny, został przydzielony opiekun, młody adwokat Ignacio Sanchís, mianowany zarazem wykonawcą testamentu Ubachów. Był to niezwykle utalentowany młodzieniec, sierota, którego Ubach w swoim czasie przygarnął pod swoje skrzydła. Chłopak ukończył studia dzięki stypendium Fundacji Ubacha. Złe języki rozpowiadały, że w rzeczywistości był synem bankiera z nieprawego łoża, owocem pozamałżeńskiego związku ze znaną wówczas aktorką.

Mała Victoria zawsze czuła z nim bliską więź. Oboje mieli do dyspozycji wszelkie luksusy i przywileje, jakie imperium Ubachów mogło kupić, a mimo to byli sami na świecie. Ignacio Sanchís często bywał w domu Victorii, żeby w ogrodzie omawiać z bankierem różne bieżące sprawy. Victoria śledziła go przez okno na strychu. Pewnego dnia, kiedy Sanchís natknął się na nią w przydomowym basenie, w trakcie rozmowy wyjawiał, że nie znał swoich rodziców, a dorastał w sierocińcu La Navata. Od tamtego spotkania, gdy Sanchís zjawiał się w domu, Victoria nie tylko nie chowała się przed nim, ale nawet specjalnie schodziła, by się z nim przywitać.

Pani Ubach nie przepadała za Ignaciem i zabraniała córce z nim rozmawiać. Mawiała, że to chudopachołek. Matrona zabijała nudę, spotykając się ze swoimi dwudziestoletnimi kochankami w luksusowych hotelach Madrytu albo odsypiając kaca w pokoju na trzecim piętrze. Nie dowiedziała się nigdy, że Victoria i młody adwokat bardzo się zaprzyjaźnili, że pożyczali sobie nawzajem książki, że zaczęła łączyć ich zażyłość, jakiej nikt na świecie, nawet pan Ubach, sobie nie wyobrażał.

– Pewnego dnia powiedziałam mu, że niczym się nie różnimy – wyznała Victoria.

Po tragicznej śmierci Ubachów w pożarze Ignacio Sanchís został jej opiekunem prawnym, a po osiągnięciu przez nią pełnoletności mężem. Wzbudziło to, rzecz jasna, plotki. Ze względu na majątek rodziny niektórzy uznali to za najbardziej lukratywny ożenek w tym stuleciu. Victoria uśmiechnęła się gorzko, słysząc te słowa.

– Ignacio Sanchís nigdy nie był dla ciebie mężem, przynajmniej nie w takim znaczeniu, w jakim powszechnie sądzono – powiedział Leandro. – To był dobry człowiek, który dowiedział się prawdy i ożenił się z tobą, aby cię chronić.

– Kochałam go.

– I z wzajemnością. Oddał za ciebie życie.

Victoria pogrzywała się w długim milczeniu.

– Przez wiele lat usiłowałam wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę z pomocą Ignacia i Valentina Morgado, który przebywał w więzieniu razem z twoim ojcem i został zatrudniony przez Sanchisa, aby pracował dla was jako szofer. Wymyśliliście plan, żeby zastawić na Vallsa pułapkę, i udało wam się go złapać. Nie wiedzieliście tylko, że ktoś was śledzi. Ktoś, kto nie mógł pozwolić na ujawnienie prawdy.

– I dlatego zabili Vallsa?

Leandro dał gestem znak, że tak się w istocie stało.

– Hendaya?

Zaprzeczył.

– Hendaya to posługacz. Szukamy tego, kto pociąga za sznurki.

– A kto to taki? – zapytała Victoria.

– Według mnie ty wiesz, kto to jest.

Victoria zbita z tropu pokręciła głową.

– Być może nie jesteś tego świadoma.

– Gdybym wiedziała, skończyłabym w tej samej celi co Valls.

– Wobec tego może razem do tego dojdziemy. Z twoją pomocą i naszymi środkami. Ty już swoje wycierpiałaś i dość już ryzykowałaś. Teraz kolej na nas. Bo przecież los twój i twojej siostry nie był odosobniony. Dobrze o tym wiesz. Takich przypadków było znacznie, znacznie więcej. A wielu

poszkodowanych nawet nie wie, że ich życie jest kłamstwem, że okradziono ich z wszystkiego...

Przytaknęła.

– A jak się dowiedzieliście? Jak doszliście do tego, że wasz przypadek nie jest jedyny?

– Zdobyliśmy listę świadectw, numery metryk i aktów zgonów sfalszowanych przez Vallsa.

– Czyje to były świadectwa?

– Dzieci więźniów przebywających po wojnie na zamku Montjuic, kiedy Valls był dyrektorem tego więzienia. Więźniów, którzy zniknęli. Valls najpierw zamykał ojców w więzieniu, później ich mordował, a następnie przejmował ich dzieci. Wydawał akt zgonu i jednocześnie fałszywą metrykę urodzenia dającą dzieciom nową tożsamość, by sprzedać je dobrze usytuowanym w systemie reżimu rodzinom w zamian za wpływy, pieniądze i władzę. Sprytny plan, bo kiedy nowi rodzice przejmowali dzieci, stawali się automatycznie współnikami zmuszonymi zachować milczenie już na zawsze.

– A wiesz, ile było takich przypadków?

– Nie. Ignacio podejrzewał, że mogło być ich setki.

– Mówimy o dość skomplikowanej operacji wymagającej czasu i środków. Valls nie mógł sam jej przeprowadzić...

– Ignacio podejrzewał, że miał współnika, może nawet kilku.

– Zgadzam się z tym. Nawet odważyłbym się postawić tezę, że sam Valls był jedynie narzędziem misternie zorganizowanej siatki. Miał kontakty, możliwości, a przy tym był pazerny. Trudno mi jednak uwierzyć, by to on obmyślił cały proceder.

– Ignacio też tak twierdził.

– Ktoś inny, ktoś, na kogo jeszcze nie natrafiliśmy, jest mózgiem tej operacji.

– Czarna ręka.

– Proszę?

Na ustach Victorii pojawił się cień uśmiechu.

– To z bajki, którą opowiadał mi ojciec, kiedy byłam mała. Czarna ręka.

Zło, które zawsze czai się w cieniu i pociąga za sznurki...

– Musisz nam pomóc go znaleźć, Ariadno.

– Uważa więc pan, że Hendaya jest na usługach wspólnika Vallsa?

– Tak, to najbardziej prawdopodobne.

– To znaczy, że to jest ktoś z reżimowego aparatu. Ktoś dysponujący ogromną władzą.

Leandro skinął głową.

– I dlatego nie należy działać zbyt pochopnie, trzeba postępować bardzo ostrożnie. Jeśli chcemy go złapać, musimy wpierw poznać całą prawdę, nazwiska, daty, szczegóły. Dojść do tego, kto znał tę sprawę i kto jest w nią zamieszany. Dopiero kiedy dowiemy się, kto to wszystko kontrolował, dotrzemy do celu.

– A co ja mogę zrobić?

– Tak jak już mówiłem, pomóc mi w zrekonstruowaniu swojej historii. Jestem przekonany, że jeśli zdołamy połączyć wszystkie części tej łamigłówki, wówczas uda nam się dotrzeć do mózgu zmywy. Do tego czasu nie będziesz bezpieczna. Dlatego musisz zostać tutaj, pod naszą ochroną. Dasz się do tego nakłonić?

Victoria wahała się przez chwilę, w końcu przytaknęła. Leandro pochylił się nieco ku niej i delikatnie ujął jej dłoń.

– Musisz wiedzieć, że podziwiam twoją odwagę i jestem ci bardzo wdzięczny za twoją postawę. Bez ciebie, bez twojej walki, bez twojego cierpienia nasze wysiłki poszłyby na marne.

– Ja tylko chcę, by sprawiedliwości stało się zadość. I niczego więcej nie pragnę. Przez całe życie myślałam, że liczy się dla mnie tylko zemsta. Ale zemsta nie istnieje. Tylko prawda jest ważna.

Leandro pocałował ją w czoło. Był to ojcowski pocałunek, opiekuńczy, pełen oddania i czułości, który sprawił, że poczuła się mniej osamotniona, choćby przez krótką chwilę.

– Jak na jeden dzień zrobiliśmy bardzo dużo. Musisz odpocząć. Czeka nas jeszcze ciężka praca.

– Odchodzi pan? – spytała Victoria.

– Tak, ale nie obawiaj się. Będę w pobliżu. I wiedz, że jesteś cały czas osłaniana i chroniona. Muszę cię poprosić, byś wyraziła zgodę na zamknięcie drzwi do tego apartamentu. Nie jest naszym celem trzymanie cię w zamknięciu, chodzi o to, by nikt niepowołany nie próbował się tutaj dostać. Dasz radę?

– Tak.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, wystarczy nacisnąć ten dzwonek. Natychmiast ktoś stawi się na wezwanie. Na każde wezwanie.

– Chciałabym prosić o coś do czytania. Czy byłoby możliwe zdobycie kilku książek mojego taty?

– Oczywiście. Wydam odpowiednie polecenia, żeby ci je przyniesiono. A teraz spróbuj odpocząć, pospać.

– Nie jestem pewna, czy zasnę.

– Możemy pomóc...

– Znowu środki uspokajające?

– Poczujesz się lepiej. Oczywiście jeśli będziesz chciała.

– Może być.

– Przyjdę jutro rano. Wrócimy do rekonstruowania wszystkiego krok po kroku.

– Jak długo będę musiała tutaj przebywać?

– Niezbyt długo. Parę dni. Tydzień najwyżej. Musimy się dowiedzieć, kto za tym stoi, bo dopóki winowajca nie zostanie pojmany, nigdzie indziej nie będziesz bezpieczna. Hendaya i jego ludzie nie próżnują. Zdołaliśmy wydostać cię z El Pinar, ale ten człowiek nie zrezygnuje. On nigdy nie rezygnuje.

– A jak to się stało? Nic nie pamiętam...

– Byłaś skrajnie oszołomiona. Dwóch naszych straciło życie, żeby cię stamtąd zabrać.

– A Valls?

– Już było za późno. Nie myśl o tym teraz. Odpocznij, Ariadno.

– Ariadno – powtórzyła. – Dziękuję.

– Nie ma za co, to tobie należą się podziękowania – powiedział Leandro, kierując się ku drzwiom.

Ledwie została sama, opanował ją głęboki niepokój i pogrzyła się w dojmującej, zupełnie dla siebie niezrozumiałej pustce. W pokoju nie było zegara. Victoria odsłoniła kotary i zobaczyła, że okna są szczelnie zamknięte, a szyby pokryte białym matowym papierem, przepuszczającym światło, ale niepozwalającym zobaczyć, co jest na zewnątrz.

Krążyła po pokoju bez żadnego celu i co chwila spoglądała na dzwonek, walcząc z sobą, by go nie użyć. W końcu zmęczona wróciła do sypialni. Usiadła przy toalecie i przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Uśmiechnęła się do siebie.

– Prawda – usłyszała własny szept.

5

Leandro przypatrywał się badawczo bladej i udręczonej twarzy z drugiej strony lustra. Widział w Ariadnie jedną z tych pokiereszowanych dusz, które pobłądziły w drodze, a jednak wydaje im się, że ciągle zmierzają w jakąś stronę. Nieodmiennie fascynowało go to, jak łatwo, o ile znało się mowę spojrzeń i czasu, odczytać w czyjejś twarzy rysy dziecka, jakim ta osoba niegdyś była, i rozkoszować się chwilą, w której świat trafił ją zatrutą strzałą, a jej duch zaczynał się starzeć. Ludzie są jak kukiełki albo nakręcane zabawki: wszyscy mają w sobie ukrytą sprężynkę, dzięki której można nimi poruszać i kierować tam, gdzie się chce. Rozkosz, a może jedynie życiowa podnieta, wynikała z owego mętnego pragnienia, któremu wcześniej czy później ulegali, by całkowicie poddać się jego woli, otrzymać jego błogosławieństwo i oddać mu swą duszę w zamian za uśmiech aprobaty i spojrzenie, które każe im wierzyć.

Siedzący obok Hendaya przyglądał się Ariadnie podejrzliwie.

– Wydaje mi się, że tracimy tylko czas, proszę pana – powiedział. – Proszę dać mi godzinę, a wycisnę z niej wszystko, co wie.

– Miałeś czasu aż nadto. Nie wszystko załatwia się tasakiem. Ty rób swoje

i pozwól, że ja będę robił swoje.

– Tak jest, proszę pana.

Na scenie pojawił się doktor. Leandro wybrał go jak najstarszemu. Sympatyczny sześćdziesięciolatek w okularach miał wygląd dobrotliwego lekarza rodzinnego, wąsatego mędrca – mógłby być wujem albo dobrodusznym dziaduniem – przed którym nawet największe bigotki nie krygowały się z rozbieraniem, pozwalając, by jego ciepłe dłonie dotykały ich intymności, podczas gdy one wznosiły wzrok ku niebu, wzdychając: „Co za ręce, co za ręce, panie doktorze”.

Doktor nie był lekarzem, ale nikt by w to nie uwierzył, spotkawszy go, jak w szarym garniturze, z torbą lekarską w rękę, idzie, kulejąc, krokiem starego wiarusa. Był chemikiem. I to jednym z najlepszych. Leandro patrzył, jak pomaga Ariadnie położyć się na łóżku, jak odsłania jej ramię i szuka żyły. Strzykawka była mała, a igła tak cieniutka, że Ariadna nawet nie poczuła jej ukłucia. Leandro uśmiechnął się do siebie, widząc, jak spojrzenie kobiety ucieka w głąb, a ciało wiotczeje. Po kilku sekundach zapadła w chemiczną drzemkę, z której nie obudzi się przez kilkanaście przynajmniej godzin, a pewnie nawet więcej, zważywszy na jej delikatną budowę. Będzie się unosić w grzęzawisku spokoju, bez żadnego snu, w stanie zawieszenia i rozkoszy absolutnej, która powoli zatopi swe szpony w jej trzewia, arterie i mózg. Dzień po dniu.

– To jej nie zabije? – spytał Hendaya.

– Nie przy odpowiednich dawkach – odpowiedział Leandro. – Przynajmniej przez jakiś czas.

Doktor schował swoje narzędzia do torby, przykrył Ariadnę i opuścił sypialnię. Przechodząc obok lustra, skinął głową w geście pełnym szacunku. Leandro czuł za swoimi plecami niecierpliwy oddech Hendai.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Nie, proszę pana.

– Dziękuję ci za przywiezienie jej tu całej i zdrowej. Wracaj do Barcelony, tu już nie masz nic do roboty. Odszukaj Alicję Gris.

– Ona już raczej nie żyje, proszę pana...

Leandro odwrócił się.

– Alicja żyje.

– Z całym szacunkiem, ale skąd pan może wiedzieć?

Leandro spojrział nań tak, jak patrzy się na biedne bydlatko w zagrodzie.

– Bo wiem.

6

Alicja otworzyła oczy obudzona nikłym odblaskiem świateł. Pierwsze, co do niej dotarło, to zdziwienie, że jak na nieboszczkę za bardzo ją suszy. A kolejna rzecz to okolona siwymi włosami i siwą brodą twarz mężczyzny, który siedział obok i przyglądał jej się zza małych okrągłych okularów. Jego oblicze kojarzyło jej się w jakiejś mierze z obliczem Pana Boga z książki do religii z czasów pobytu w sierocińcu.

– Z nieba pan przybył? – spytała Alicja.

– Niech pani sobie nie robi złudnych nadziei. Ja jestem z Matadepery.

Doktor Soldevila ujął jej nadgarstek i zaczął mierzyć tętno, patrząc zarazem na swój zegarek.

– Jak się pani czuje? – spytał.

– Bardzo mi się chce pić.

– Wiem – powiedział Soldevila, ale nie zrobił nic, co wskazywałoby na to, że chce podać jej coś do picia.

– Gdzie jestem?

– Dobrze pytanie.

Doktor uniósł kóldrę i Alicja poczuła jego ręce na biodrach.

– Czujecie pani uciskanie?

Przytaknęła.

– Ból?

– Pić mi się chce.

– Wiem, ale musi pani poczekać.

Zanim doktor Soldevila ją przykrył, spojrział na czarną ranę opasującą biodra. Mimo że starał się niczego po sobie nie okazać, Alicja dostrzegła przerażenie w jego oczach.

– Coś pani na to dam, ale proszę uważać na siebie, jest pani jeszcze bardzo słaba.

– Panie doktorze, jestem przyzwyczajona do bólu.

Doktor Soldevila westchnął i przykrył ją.

– Umrę?

– Dzisiaj jeszcze nie. Wiem, że to, co powiem, zabrzmii idiotycznie, niemniej proszę się zrelaksować i odpocząć.

– Jakbym była na wakacjach?

– Coś w tym rodzaju. Proszę przynajmniej spróbować.

Doktor Soldevila wstał. Alicja usłyszała, jak mamrocze coś pod nosem. Rozległy się kroki i wokół łóżka wyrósł krąg postaci. Rozpoznała Fermina, Daniela i Beę. Wśród nich znajdował się również mężczyzna o przerzedzonych włosach i orlim spojrzeniu, który wydawał jej się kimś znanym od dziecka, choć nie potrafiła dookreślić jego tożsamości. Fermín rozmawiał szeptem z doktorem Soldevilą. Daniel uśmiechał się wyraźnie uspokojony. Bea patrzyła jej w oczy podejrzliwie. Fermín ukląkł przy Alicji i przyłożył jej dłoń do czoła.

– Już drugi raz wykręca mi pani taki numer i szczerze mówiąc, mam tego paninego ocierania się o śmierć po dziurki w nosie. Owszem, nie powiem, na twarzy wygląda pani nieszczególnie, rzekłbym jak śmierć, ale jeśli chodzi o resztę, to raczej kwitnąco. Jak się pani czuje?

– Pić mi się chce.

– Trudno mi to pojąć. Uszczupliła pani mój krwiobieg o co najmniej osiemdziesiąt procent.

– Nie może pani pić, dopóki nie ustaną całkowicie skutki anestezji – uprzedził doktor Soldevila.

– Bułka z masłem, panie doktorze – wtrącił się Fermín. – Anestezję

eliminuje się identycznie jak samotność seminarzysty: wprawiając w ruch części wstydlive.

Doktor spiorunował go wzrokiem.

– Będzie pan łaskaw nie męczyć pacjentki wygadywaniem świństw.

– Będę milczeć jak grób – oświadczył Fermín, kreśląc zarazem znak krzyża.

Doktor Soldevila niemal warknął w odpowiedzi.

– Zajrzę tu jutro rano. Do tego czasu radzę państwu dyżurować przy chorej i często się zmieniać. Jeśli zacznie się podnosić temperatura lub zauważą państwo jakieś objawy infekcji czy zapalenia, natychmiast proszę mnie wezwać. Nie bacząc na porę. Kto z państwa zacznie dyżur? Na pewno nie pan, Ferminie, może pan przebierać nóżkami do woli.

Zgłosiła się Bea.

– Ja zostanę – powiedziała zdecydowanym i nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Ferminie, Julián jest z Sofią, ale nie mam za grosz zaufania do swojego syna, bo robi z nią, co mu się żywnie podoba. Zadzwoiłam do Bernardy, żeby zajrzała do nas i dopilnowała małego. Możecie spać w naszej sypialni. W komodzie jest czysta pościel, Bernarda zresztą wie, gdzie co jest. Daniel będzie spać na sofie.

Daniel spojrział na żonę ni to ze zdziwieniem, ni to z oburzeniem, ale nie odezwał się słowem.

– Poradzimy sobie. Zajmę się pierworodnym, spokojnie, zaśnie jak suseł. Kropelka koniaku z miodem w mleku to cud nad cudy.

– Niech mi pan tylko spróbuje upić dziecko! I jeszcze jedno: ani słowa o polityce, bo dzieciak później wszystko powtarza.

– Wedle rozkazu. Szlaban na obiektywną politykę informacyjną zadekretowany *sine die*.

– Pani Beo, proszę pamiętać o antybiotyku. Zastryk co cztery godziny – przypomniał doktor.

Fermín posłał Alicji promienny uśmiech.

– Proszę się nie obawiać, bo doña Bea, chociaż struga dzisiaj ostrego sierżanta, zastryki robi jak anioł, ba, jak archanioł. Jej tata jest cukrzykiem, choć słodziutki to on nie jest, oj, nie jest, więc ona ma taki dryg do kłucia, że

o takim kluciu to komar pantera znad Nilu, czy jak go tam zwał, może sobie tylko pomarzyć. Nauczyła się tego już jako dziecko, bo nikt inny z rodziny nie miał odwagi robić zastrzyków, no i teraz kłuje nas wszystkich, nawet mnie, a trzeba zważyć, że jestem trudnym pacjentem, bo, co tu ukrywać, mam pośladki ze stali i wystarczy, iż się lekko napnę, a igły już się łamią.

– Ferminie! – krzyknęła Bea.

Ten zasalutował i puścił oko do Alicji.

– No dobrze, moja kochana wampirzyco, zostaje pani w dobrych rękach. Proszę uważać i na nikogo nie rzucać się z zębami. Jutro tu zajrzę. Proszę grzecznie słuchać pani Bei i w miarę możliwości nie umierać.

– Zrobię, co w mojej mocy. Dziękuję za wszystko, Ferminie. Dziękuję raz jeszcze.

– Proszę mi lepiej tego nie przypominać. Panie Danielu, idziemy, ten wyraz osłupienia żadną miarą nie przyspiesza gojenia.

I Fermín odszedł, popychając Daniela przed sobą.

– Wszystko, jak rozumiem, wiadomo – odezwał się doktor. – Przepraszam, jak się stąd wychodzi?

– Odprowadzę pana – zaoferował się strażnik.

Zostały same. Bea wzięła krzesło i usiadła obok Alicji. Patrzyły na siebie w milczeniu. W końcu Alicja odważyła się na uśmiech wdzięczności. Bea, nieprzenikniona, przypatrywała się jej. Po chwili w progu pokoju stanął strażnik i ocenił sytuację.

– Pani Beo, gdyby czegokolwiek pani potrzebowała, to wie pani, gdzie mnie szukać. Na gzymsiku zostawiłem parę koców i lekarstwa ze wskazówkami lekarza.

– Dziękuję, Isaacu. Dobrej nocy.

– Dobrej nocy, pani Beo. Dobrej nocy, Alicjo – powiedział strażnik.

Z korytarza dobiegł odgłos jego oddalających się kroków.

– Dziwne miejsce, wszyscy wydają się mnie tutaj znać – stwierdziła Alicja.

– Otóż to, wszyscy zdają się tu panią znać. Szkoda tylko, że nikt nie wie, kim pani jest naprawdę.

Alicja przytaknęła i uśmiechnęła się łagodnie, ale i na ten uśmiech Bea nie

zareagowała. Zapadło gęste i długie milczenie. Alicja rozejrzała się po ścianach wypełnionych po sufit książkami. Wiedziała, że Bea nie odrywa od niej wzroku.

– Można wiedzieć, z czego się pani śmieje? – spytała Bea obcesowo.

– Nic takiego. Głupstwa. Przedtem śniło mi się, że całowałam się z bardzo przystojnym mężczyzną, ale nie wiem, kto to był.

– Ma pani w zwyczaju całować obcych mężczyzn czy to zdarza się tylko wtedy, kiedy panią znieczulają?

Ton Bei był ostry jak brzytwa i jeszcze nie przebrzmiały ostatnie słowa, a Bea już ich żałowała.

– Przepraszam, przykro mi – dodała szybko.

– Niech pani nie przeprasza i niech nie będzie pani przykro. W pełni sobie na to zasłużyłam – powiedziała Alicja.

– Za niecałe trzy godziny trzeba będzie dać antybiotyk. Może jednak trochę się pani zdrzemnie, tak jak prosił doktor?

– Nie wiem, czy potrafię. Boję się.

– A mnie się wydawało, że niczego się pani nie boi.

– Potrafię świetnie udawać.

Bea chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język.

– Beo?

– Tak?

– Wiem, że nie mam prawa prosić pani o wybaczenie, ale...

– Proszę o tym teraz zapomnieć. Nie musi mnie pani prosić o żadne wybaczenie.

– A gdybym poprosiła, to udzieliłaby mi go pani?

– Pani przyjaciel Fermín zwykł mawiać, że kto potrzebuje przebaczenia, niech idzie do konfesjonatu albo niech sobie kupi psa. Raz przynajmniej i póki mnie nie słyszy, muszę mu przyznać rację.

– Fermín jest mądrym człowiekiem.

– Czasem bywa. Ale proszę mu tego nie mówić, bo w przeciwnym razie już nikt z nim nie wytrzyma. A teraz proszę spać.

– Mogę wziąć panią za rękę? – spytała Alicja.

Bea się zawahała, ale po chwili przystała na prośbę Alicji. Przez dłuższy czas milczały. Alicja zamknęła oczy. A później jej oddech stał się miarowy i głęboki. Bea przyglądała się tej dziwnej istocie, która budziła w niej lęk i współczucie zarazem. Tuż po przetransportowaniu tu Alicji, kiedy jeszcze majaczyła, doktor, szykując się do jej zbadania, poprosił Beę, by pomogła mu ją rozebrać. Wciąż jeszcze miała w pamięci obraz straszliwej blizny wgrzyzającej się w jej bok.

– Szczęściarz z tego Daniela – szepnęła Alicja.

– Do mnie pani pije?

– Mężatka i matka. Odwagi by mi nie starczyło.

– Wydawało mi się, że pani śpi – skwitowała Bea.

– Mnie też się tak wydawało.

– Boli panią?

– Pyta pani o bliznę?

Bea nie odpowiedziała. Alicja leżała wciąż z zamkniętymi oczyma.

– Troszeczkę – odparła. – Znieczulenie już działa.

– A jak to się stało?

– Podczas wojny. Kiedy były naloty.

– Przykro mi.

Alicja wzruszyła ramionami.

– Przydaje się do odstraszenia pretendentów.

– Chyba ma ich pani na pęczki.

– Ale żaden się nie nadaje. Najlepsi mężczyźni zakochują się w takich kobietach jak pani. A mnie potrzebują tylko do swoich fantazji.

– Jeśli chce pani wywołać u mnie jakiś odruch litości, to gratuluję.

Alicja się uśmiechnęła.

– Niech pani się nie wydaje, że mnie rugują ze swych fantazji – natarła Bea, śmiejąc się w duchu.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Dlaczego czasami są tak beznadziejnie głupi? – spytała Bea.

– Mężczyźni? A kto ich tam wie? Może dlatego, że natura jest matką, choć okrutną, i od urodzenia ich ogłupia. Ale niektórzy nie są aż tak beznadziejni.

– Tak twierdzi Bernarda – przyznała Bea.

– A pani Daniel?

Bea czujnie wyostrzyła wzrok.

– Co się dzieje z moim Danielem?

– Nic. Wygląda na dobrego chłopaka. Nieskalana dusza.

– Ma swoje ciemne strony, proszę mi wierzyć.

– W związku z tym, co spotkało jego matkę? Isabellę?

– A co pani wie o Isabelli?

– Niewiele.

– Bez znieczulenia kłamała pani dużo lepiej.

– A mogę pani zaufać?

– Nie ma pani chyba innego wyjścia. Problem jest raczej w tym, czy ja mogę zaufać pani.

– A ma pani wątpliwości?

– Jak najbardziej.

– To sprawa przeszłości Isabelli, są pewne niejasności... – zaczęła Alicja.

– Sądzę, że Daniel ma prawo o nich wiedzieć, aczkolwiek nie jestem pewna, czy tak naprawdę nie byłoby lepiej, żeby nigdy się o nich nie dowiedział.

– Alicjo!

Przywołana otworzyła oczy i napotkała twarz Bei tuż przy swojej twarzy. Bea mocno ścisnęła jej dłoń.

– Słucham.

– Mam prośbę. I nie będę jej powtarzać. Raz wystarczy.

– Proszę śmiało.

– Niech się pani nie waży wyrządzić krzywdy Danielowi ani mojej rodzinie.

Alicja nie uciekła wzrokiem przed tym spojrzeniem, które wbiło się w nią

z taką mocą, że nie śmiała niemal oddychać.

– Proszę mi przysiąc.

Alicja przełknęła ślinę.

– Przysięgam.

Bea skinęła głową i wyprostowała się na krześle. Alicja patrzyła, jak przymyka powieki.

– Beo?

– Co znowu?

– Jest coś... Tamtej nocy, kiedy odprowadziłam Daniela aż do domu...

– Cicho już, proszę spać.

7

Wczorajsza burza zabarwiła Barcelonę elektrycznym błękitem, którego doświadczyć można jedynie w niektóre zimowe poranki. Słońce przegoniło chmury i w powietrzu unosiło się czyste światło, światło płynne, godne zabutelkowania. Pan Sempere wstał rano tak radosny, że aż wiało odeń optymizmem, i mając za nic lekarskie przestrogi, wypił kubek czarnej kawy, tym smaczniejszej, że smakującej rebelią. Postanowił, że dzisiaj będzie pamiętny dzień.

– Dzisiaj zarobimy więcej niż ciastkarnie w tłusty czwartek – ogłosił. – Sami zobaczycie.

Kiedy z drzwi księgarni zdejmował tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE, zauważył, że Fermín i Daniel szepczą coś między sobą w kącie.

– A wy co tam knujecie?

Odwrócili się obydwaj i spojrzeli na niego mętym wzrokiem. Wyglądali, jakby przez tydzień nie zmrużyli oka, i jeśli księgarza nie zawodziła pamięć, ubrani byli dokładnie tak samo jak wczoraj.

– Właśnie rozmawialiśmy o tym, że młodnieje pan z każdym dniem – odezwał się Fermín. – Taki z pana teraz chwyt, że pewnie nie może się pan opędzić od pańien na wydaniu.

Zanim księgarz zdołał cokolwiek odpowiedzieć, rozległ się dźwięk dzwoneczka wiszącego nad wejściem do księgarni. Nienagannie ubrany dżentelmen o niezmaconym spojrzeniu podszedł do lady i uśmiechnął się łagodnie.

– Dzień dobry panu, czym możemy służyć?

Gość zaczął niespiesznie zdejmować rękawiczki.

– A mnie się wydawało, że to panowie zechcą odpowiedzieć mi na kilka pytań – oznajmił Hendaya. – Policja.

Księgarz zmarszczył brwi i obrzucił spojrzeniem Daniela, którego twarz zrobiła się biała niczym papier wykorzystywany między innymi do druku dzieł wszystkich światowych klasyków.

– Słucham pana.

Hendaya uśmiechnął się grzecznie, wyciągnął fotografię i położył ją na ladzie.

– Mogliby panowie podejść i rzucić okiem?

Cała trójka zebrała się przy ladzie i nachyliła nad zdjęciem. Widniała na nim Alicja Gris, o pięć lat młodsza, uśmiechająca się do obiektywu i usiłująca nadać twarzy wyraz niewinności, w którą nie uwierzyłoby nawet niemowlę.

– Czy rozpoznają panowie tę pańienkę?

Pan Sempere wziął fotografię do ręki i uważnie się jej przyjrzał. Wzruszył ramionami i przekazał zdjęcie Danielowi, który powtórzył rytuał. Fermín, ostatni w kolejce, wziął fotografię, uniósł ją, spojrzał na nią pod światło, jakby sprawdzał, czy nie ma do czynienia z fałszywym banknotem, pokręcił przecząco głową, po czym oddał Hendai.

– Wydaje mi się, że nie znamy tej osoby – powiedział księgarz.

– Nie da się ukryć, że ma w sobie coś z łobuzicy, ale pierwszy raz ją widzę – wsparł go Fermín.

– Nie? Są panowie tego pewni?

Cała trójka jednocześnie zaprzeczyła.

– Nie są panowie tego pewni czy nie widzieliście jej?

– Tak i nie – odpowiedział Daniel.

– Rozumiem.

– A mogę zapytać, kto zacz? – wyraził swą ciekawość księgarz.

Hendaya schował fotografię.

– Nazywa się Alicja Gris i jest ścigana przez prawo. W tych dniach popełniła trzy zabójstwa, o tylu na razie wiemy. Ostatnie wczoraj. Zamordowała policjanta, kapitana Vargasa. Jest bardzo niebezpieczna. Przymuszczalnie jest uzbrojona. Widziano ją w tych dniach w pobliżu i niektórzy z okolicznych mieszkańców twierdzą, że zauważyli, jak wchodziła do księgarni. Pracownica piekarni na rogu zeznała, że zwróciła na nią uwagę, gdyż szła w towarzystwie jednego z pracowników tej księgarni.

– Pewnie się pomyliła – skwitował pan Sempere.

– Możliwe. Czy w księgarni pracuje ktoś poza panami?

– Moja synowa.

– Może ona ją widziała?

– Nie omieszkam spytać.

– Jeśli coś sobie panowie przypomną albo przypomni sobie pańska synowa, bardzo proszę do mnie zadzwonić pod ten numer telefonu. Pora nie odgrywa roli. Hendaya moje nazwisko.

– Może pan na nas liczyć.

Policjant uśmiechnął się serdecznie i ruszył ku wyjściu.

– Dziękuję za pomoc. Życzę miłego dnia.

Nie ruszali się przez jakiś czas zza lady, obserwując w milczeniu, jak Hendaya powoli przechodzi przez ulicę, a następnie zatrzymuje się przed znajdującą się naprzeciwko kawiarnią i przez minutę rozmawia z osobnikiem opatulonym w czarny płaszcz. Ten w płaszczu przytaknął raz i drugi, po czym Hendaya odszedł w dół ulicy. Mężczyzna w czarnym płaszczu rzucił spojrzenie w kierunku księgarni i wszedł do kawiarni. Zajął stolik przy oknie i niemal zastygł, czujnie obserwując księgarnię i okolicę.

– Czy mogę wiedzieć, co się tutaj dzieje? – odezwał się w końcu pan Sempere.

– To dosyć skomplikowane – odważył się odpowiedzieć Fermín.

W tej samej chwili księgarz spostrzegł swoją siostrzenicę Sofię, która wracała do domu, odprowadziwszy Juliana do przedszkola, i uśmiechała się od ucha do ucha.

– A co to za przystojniak właśnie wyszedł? – zapytała już w drzwiach. – Co się stało? Ktoś zmarł?

Narada odbyła się na zapleczu. Fermín, nie zwlekając, przejął inicjatywę.

– Sofio, wiem aż nadto dobrze, że u pani, tak jak i u wszystkich dojrzewających panien, rozum, niestety, leży odłogiem w oczekiwaniu, aż ustanie sztorm hormonów. Niemniej jeśli ów wytworny byczek, którego właśnie panna zoczyła, jak opuszczał progi naszej księgarni, czy też jakiegokolwiek inne indywiduum, zjawi się nagle pod byle pretekstem i z głupia frant zapyta, czy pani widziała albo zna pannę Alicję Gris lub też słyszała pani czy może ma jakąś wiedzę o jej istnieniu, skłamię mu panna w żywe oczy, sięgając po swój wrodzony neapolitański wdzięk, którym Bóg pannę obdarzył. Powie pani, że nie, że nie widziała jej panna nawet na obrazku, i mówiąc to, zrobi panna minkę świętej naiwnej, jakby zamieniła się panna na głowy z naszą sąsiadeczką Merceditas. Inaczej, jakem Fermín Romero de Torres, choć nie jestem panny ojcem ani opiekunem prawnym, przysięgam, że zamknę pannę w klasztorze klauzurowym, z którego nie wypuszczą panny, dopóki się pannie nie wyda okazem urody Dzwonnik z Notre Dame. Rozumiemy się?

Sofia skruszona przytaknęła.

– A teraz niech panna podejdzie do kontuaru i udaje, że robi coś pożytecznego.

Kiedy już uwolnili się od Sofii, pan Sempere zaczął naciskać na Daniela i na Fermina.

– Wciąż czekam na wyjaśnienie, co się tutaj, u diaska, dzieje?

– A wziął już pan lekarstwo na nadciśnienie?

– Tak, pijąc kawę.

– No, pogratulować, teraz brakuje nam tylko, żeby zamoczył pan w kawie łaskę dynamitu zamiast biszkoptu, i zafunduje nam pan piękną podróż.

– Proszę nie zmieniać tematu, Ferminie.

Ten wskazał na Daniela.

– Ja się tym zajmę, a pan, Danielu, wyjdzie z księgarni i proszę się zachowywać, jakby pan był mną.

– To znaczy?

– Nie robić z siebie głupka. Te dupki żołądne mają nas cały czas na oku i tylko czekają, aż zrobimy fałszywy krok.

– Powinienem zmienić Beę...

– Zmienić Beę? – wtrącił się pan Sempere. – W czym ją zmienić?

– A to zupełnie inny temat – uciął Fermín. – Danielu, pan się stąd nie rusza. Ja pójdę, bo mam doświadczenie w sprawach wywiadu wojskowego i potrafię prześlizgnąć się wszędzie jak piskorz. No już, niech pan wraca do księgarni, żeby nie wyglądało, że tutaj konspirujemy.

Daniel, psiocząc pod nosem, zniknął za zasłonką. Fermín został sam z panem Sempere.

– No a teraz? – spytał stary księgarz. – Czy wreszcie powie mi pan, co się tu, do jasnej cholery, dzieje?

Fermín uśmiechnął się przymilnie.

– Może sugusa?

8

Dzień dłużył się jak wieczność. Czekając na powrót Bei, Daniel odliczał godzinę za godziną tak zapamiętał, że w rezultacie ojciec musiał zajmować się większością klientów. Fermín ulotnił się natychmiast po sprzedaniu staremu Sempere kolejnej ze swych monumentalnych bujard na resorach, przyprawionej odpowiednio tonem osobistego zwierzenia i zawierzenia, której jedynym celem było chwilowe uspokojenie, na kilka przynajmniej godzin, wszystkich jego wątpliwości i zdziwień.

– Panie Danielu, musimy zachowywać się normalnie jak nigdy – szepnął

Fermín Danielowi, zanim wymknął się z księgarni przez okienko wychodzące na plac przy kościele Santa Ana, żeby nie wypatrzył go człowiek, którego Hendaya wystawił na czatach przed księgarnią.

– A kiedy zachowywaliśmy się normalnie?

– Dobra, nie czas teraz na pytania egzystencjalne. Jak tylko upewnię się, że na przedpolu czysto, wówczas zwiode wszelkie straże i wymienię Beę.

Bea zjawiła się koło południa, kiedy Daniel zaczął już siwieć ze zgryzoty i ogryzł paznokcie do krwi.

– Fermín wszystko mi już opowiedział – oznajmiła.

– Rozumiem, że dotarł?

– Po drodze zatrzymał się tylko, żeby kupić białe wino i takie ciasteczka, cycki mniszki, którym trudno było mu się oprzeć.

– Białe wino?

– Dla Alicji. Doktor Soldevila je skonfiskował.

– A ona? Jak się czuje?

– W miarę dobrze. Doktor mówi, że jest bardzo osłabiona, ale nie ma infekcji i gorączki też nie ma.

– Mówiła coś? – drążył Daniel.

– O czym?

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że wszyscy coś przede mną ukrywają?

Bea pogłaskała go po twarzy.

– Nikt niczego przed tobą nie ukrywa, Danielu. A gdzie Julián?

– W przedszkolu. Sofía go zaprowadziła.

– Odbiorę go po południu. Trzeba zachowywać jakieś pozory normalności. A twój ojciec?

– Na zapleczu. Wściekły jak osa.

Bea zniżyła głos.

– Coście mu naopowiadali?

– Fermín wyrecytował jeden ze swoich poematów epickich.

– No tak. Idę na zakupy do La Boqueríi. Specjalne życzenia?

– Nudne, normalne życie.

Wczesnym popołudniem ojciec gdzieś wyszedł. Bea jeszcze nie wróciła, a Daniel, niespokojny, w pieskim humorze, zdecydował się w końcu pójść do mieszkania, niby na małą drzemkę. Od kilku już dni dręczyło go podejrzenie, że Alicja i Fermín coś przed nim ukrywają. A teraz, na domiar złego, wyglądało na to, że dołączyła do nich Bea. Nie potrafił myśleć o niczym innym, dzielił włos na czworo, a jego rozdrażnienie rosło. Doświadczenie uczyło go, że w takich przypadkach najlepiej robić z siebie durnia i udawać, że niczego się nie zauważyło. Zresztą i tak przeważnie przydzielano mu taką właśnie rolę. Nikt nie przypuszczał, że zacny Daniel, biedny sierota i wieczny naiwny dzieciak, zorientuje się w czymkolwiek. Od tego byli inni, zdający się zawsze mieć dlań gotowe odpowiedzi, a może nawet i pytania. Nikt z jego otoczenia nie zauważył chyba, że już od wielu lat nie nosi krótkich spodenek. Czasem nawet mały Julián patrzył na niego kątem oka i śmiał się, tak jakby jego ojciec przyszedł na świat jako rodzinny głupek, który zawsze robi zdziwioną minę, kiedy zdradzają mu tajemnice poliszyneła.

Też bym się śmiał sam z siebie, gdybym mógł, myślał Daniel. Jeszcze całkiem niedawno na kiwnięcie palcem potrafił śmiać się nawet z własnego cienia, śmiało konkurować z Ferminem w jego błazeństwach i wcielać się w rolę odwiecznego matołka przygarniętego przez groteskowego anioła stróża. Świetnie się czuł w tej roli. Na dobrą sprawę mógłby nadal odgrywać tego Daniela, jakiego wszyscy wokół w nim widzieli. On tymczasem o świcie, gdy Bea i Julián jeszcze spali, schodził po ciemku do księgarni, przestawiał zepsuty grzejnik na zapleczu i zza gipsowej płyty, która ustępowała po naciśnięciu, wyciągał pudło pełne starych, zakurzonych książek. Na jego dnie leżała teczka z gazetowymi wycinkami dotyczącymi Mauricia Vallsa, zdobywanymi w trakcie kolejnych wizyt w czytelni czasopism biblioteki Ateneo. Na stronach tych udokumentowane było całe życie publiczne ministra, rok po roku. Daniel znał te doniesienia, informacje, artykuły na pamięć. Również i ostatnią wiadomość o śmierci Vallsa w wypadku samochodowym, wiadomość najboleśniejszą.

Valls, który ukradł Danielowi matkę, wymknął mu się ostatecznie.

Daniel nauczył się nienawidzić tego człowieka, który tak

uwielbiał pozować fotografom w świetle fleszów i chwały. Doszedł do wniosku, że nikt nie wie, kim rzeczywiście jest, dopóki nie nauczy się nienawidzić. A kiedy nienawidzi naprawdę, oddaje się palącej od środka wściekłości, która zżera powoli i sekretnie tę odrobinę dobrego, jaką w swoim przeświadczeniu człowiek zawsze ma w sobie. Daniel uśmiechnął się gorzko. Nikt nie wierzył, że potrafi dochować sekretu. Bo i nigdy tego nie potrafił. Nawet w dzieciństwie, kiedy dochowywanie sekretów jest sztuką i sposobem utrzymywania świata i jego pustki we właściwych granicach. Ani Fermín, ani Bea nie podejrzewali, że trzyma tę teczkę w ukryciu i sięga po nią wielokrotnie, by żywić ciemność, jaka w nim zapanowała z chwilą, kiedy odkrył, że wielki Mauricio Valls, biała nadzieja reżimu, otruł jego matkę. To tylko pogłoski, mówiono mu. Nikt nie umiał powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. Daniel pozostawił za sobą wszelkie podejrzenia i żył w swoim świecie pewności.

A najgorszą z nich, najtrudniejszą do przełknięcia, była pewność, że sprawiedliwości nigdy nie stanie się zadość.

Nigdy nie nadejdzie dzień, o którym marzył i którym zatruwał swoją duszę: dzień, kiedy spotka Mauricia Vallsa i spojrzy mu w oczy, by ten zobaczył w jego oczach całą nienawiść, jaką w sobie żywił. A później weźmie broń zakupioną niegdyś u paskarza czasami odsprzedającego swój towar na Can Tunis. Broń, owinięta w szmaty i złożona na dnie pudła, była stara, z czasów wojny, ale naboje były nowe, a paskarz nauczył go, jak się nią posługiwać.

– Najpierw strzelasz mu w nogi, poniżej kolan. I czekasz. Patrzysz, jak się czołga. Później strzelasz mu w brzuch. I czekasz. Niech się zwija. Później strzelasz mu w pierś, po prawej stronie. I czekasz. Czekasz, aż mu się płuca zaleją krwią i utopi się we własnym gównie. I dopiero kiedy będzie wyglądało, że już nie żyje, strzelisz mu pozostałymi trzema nabojami w głowę. W potylicę, w skroń i trzecim tuż pod podbródkiem. Rewolwer wyrzucisz do rzeki Besós, w pobliżu plaży, żeby zniósł go prąd.

Być może prąd porwałby również na zawsze gnijące w nim teraz wściekłość i ból.

– Danielu?

Podniósł wzrok i zobaczył Beę. Nie słyszał, jak wchodziła.

– Danielu, dobrze się czujesz?

Skinął głową.

– Jakiś blady jesteś. Na pewno nic ci nie jest?

– Czuję się doskonale. Trochę jestem niewyspany. Nic takiego.

Daniel błysnął swym dyżurnym uśmiechem, z którego był znany w dzielnicy już od szkolnych lat. Poczciwy Daniel Sempere, takiego męża każda zacna matka pragnęłaby dla swojej córki. Człowiek, który nie chowa w sercu żadnych mrocznych urazów.

– Kupiłam ci pomarańcze. Chowaj je tylko przed Ferminem, bo inaczej znowu zje wszystkie za jednym zamachem, jak ostatnio.

– Dziękuję.

– Danielu, co ci jest? Nie możesz mi powiedzieć? Czy to w związku z Alicją? Przez tego policjanta?

– Nic się nie dzieje, naprawdę. Może jestem trochę przejęty. To normalne. Ale nie z takich perypetii wychodziliśmy bez szwanku. Z tych też wyjdziemy.

Daniel nie potrafiłby jej skłamać. Bea spojrzała mu w oczy. To, co w nich widziała, od miesięcy ją przerażało. Przytuliła się do niego. Daniel pozwolił się objąć, ale nie odezwał się słowem. Bea cofnęła się powoli. Postawiła torbę z zakupami na stół i spuściła wzrok.

– Idę odebrać Juliana.

– Czekał na was.

9

Cztery dni musiały upłynąć, zanim Alicja zdołała wstać z łóżka o własnych siłach. Czas jakby się z nagłą zatrzymał. Większość dnia spędzała w zawieszaniu pomiędzy czuwaniem a snem, nie opuszczając pomieszczenia, w którym ją ulokowano. Stała tam zarówno, do której Isaac co kilka godzin dorzucał rozpalonych węgli. Delikatny półmrok rozjaśniało nieco światło świeczki lub lampki oliwnej. Lekarstwo, które doktor Soldevila zostawił, by

uśmierzyć ból, pograżało ją w galaretowatym otępieniu, z którego wynurzała się jedynie, by napotkać czuwających przy niej Fermina lub Daniela. Pieniądze pewnie szczęścia nie dają, ale chemia czasem nas do niego przybliża.

Kiedy odzyskiwała jaką taką świadomość, kim jest i gdzie się znajduje, usiłowała wyartykułować parę słów. Na większość swoich pytań uzyskiwała odpowiedzi, zanim je jeszcze postawiła. Nie, nikt jej tu nie znajdzie. Do infekcji, której tak się obawiali, jednak nie doszło, a doktor Soldevila uznał, że proces powrotu do zdrowia przebiega prawidłowo, choć Alicja jest jeszcze bardzo słaba. Tak, Fernandito jest cały i zdrowy. Pan Sempere zaoferował mu pracę na pół etatu, by dostarczał zakupy i jeździł po zbiory książek nabywane u klientów prywatnych. Często o nią pytał, ale jeśli wierzyć słowom Fermina, coraz rzadziej od czasu, gdy spotkał w księgarni Sofię i z miejsca pobił własny rekord zbarania, co zdawało się niemożliwe. Alicja cieszyła się ze względu na niego. Jeśli już ma cierpieć, niech cierpi przynajmniej dla kogoś, kto będzie tego wart.

– No i widzi pani, jaki biedaczek jest kochliwy – komentował Fermín. – Niejedno nieszczęście czeka go w tym życiu.

– Bardziej cierpi ktoś, kto nie potrafi się zakochać – wtrąciła Alicja jakby mimochodem.

– Odnoszę wrażenie, że ten medykament negatywnie wpływa na pani mózg, Alicjo. Jak chwyci pani gitarę i zacznie śpiewać piosenki religijne, będę zmuszony poprosić pana konsyliarza o ograniczenie dawki lekarstw do aspiryny dla dzieci.

– Niech mi pan nie zabiera tej odrobiny luksusu, jaka mi jeszcze została.

– Aleś się panna rozbisurmaniła, Matko Święta!

Stopień rozbisurmanienia był mocno niedoszacowany. Alicji bardzo brakowało białego wina, importowanych papierosów i miejsca na samotność. Lekarstwa otępiały ją na tyle, że mogła poprzestać na powolnym przemijaniu dni w miłym towarzystwie dobrych ludzi, którzy konspirowali zawzięcie, by ją uratować, jakby im bardziej od niej zależało na jej życiu. Czasem, kiedy zanurzała się w owym balsamie chemicznym, mówiła sobie, że najlepiej byłoby dotrzeć do samego dna i tam już zostać w ciągłym letargu. Wcześniej czy później jednak budziła się i przypominała sobie, że na śmierć zasługują jedynie ci, którzy wyrównali wszystkie swoje rachunki.

Niejednokrotnie budziła się w ciemnościach i dostrzegała Fermina siedzącego na krześle przy jej łóżku.

– Ferminie, która jest godzina?

– Godzina wiem. To znaczy pani godzina.

– Pan nigdy nie śpi?

– Drzemka czy sjesta to nie moja specjalność. Moja działka to bezsenność wyniesiona do rangi sztuki. Jak umrę, to się dostosuję do obowiązujących godzin snu.

Fermín przyglądał się Alicji z czułością i podejrzliwością zarazem, co jedynie wywoływało jej złość.

– Pan mi jeszcze nie wybaczył?

– Proszę mi przypomnieć, co mam pani wybaczyć, bo nie łapię.

Alicja westchnęła.

– Dużo tego... Pozwoliłam panu wierzyć, że tamtej nocy, podczas bombardowania, zginęłam. Pozwoliłam żyć panu z poczuciem winy, że zawiódł pan mnie i moich rodziców. Kiedy wróciłam do Barcelony i rozpoznał mnie pan na dworcu Francia, udawałam, że pana nie znam, dopuszczając, by pan uwierzył, że dostaje pomieszania zmysłów albo ma przywidzenia...

– Aha, o to chodzi.

Fermín obdarzył ją kwaśnym uśmiechem, ale oczy świeciły mu łzami w blasku świec.

– Czy wobec tego wybaczy mi pan?

– Zastanowię się.

– Pańskie przebaczenie jest dla mnie bardzo ważne. Nie chcę umierać z takim ciężarem na duszy.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Jest pani kiepską aktorką.

– Jestem wspaniałą aktorką. Rzecz w tym, że po tych wszystkich świństwach, jakie aplikuje mi pan doktor, zapominam swoją rolę.

– Wcale mi pani nie żal, mówię to szczerze.

– Nie chcę pańskiego współczucia, Ferminie. Niczyjego współczucia nie chcę.

– Jasne, pani woli wzbudzać strach.

Alicja uśmiechnęła się, błyskając zębami.

– Ale i strachu przed panią nie czuję – dodał.

– Bo za mało mnie pan zna.

– Podobała mi się pani bardziej w poprzednim wcieleniu konającej sierotki.

– To znaczy, że mi pan wybacza?

– A co, tak pani zależy?

– Męczy mnie myśl, że to z mojej winy błąka się pan po świecie i robi za anioła stróża różnych ludzi, Daniela na przykład i jego rodziny.

– Jestem doradcą bibliograficznym firmy Sempere i Synowie. Anielskie atrybuty to pani wymyśli.

– A nie jest pan w głębi duszy przekonany, że jeśli uratuje pan kogoś porządnego, to ratuje pan cały świat, a przynajmniej stwarza pan możliwość, by coś dobrego w nim się uratowało?

– Kto pani powiedział, że jest pani porządnym człowiekiem?

– Miałam na myśli rodzinę Sempere.

– A czy pani, w istocie rzeczy, nie robi tego samego, moja kochana Alicjo?

– Ja, Ferminie, wcale nie uważam, by na świecie było cokolwiek porządnego godnego ratowania.

– No nie, w coś takiego to nawet pani nie wierzy. Pani problem polega na tym, że broni się pani przed stwierdzeniem, że jednak coś takiego istnieje.

– A pan wręcz odwrotnie.

Fermín warknął niemal i szybko sięgnął do kieszeni, szukając sugusów.

– Lepiej się nie ośmieszajmy – zaproponował. – Pani niech zostanie przy swoim nihilizmie, a ja przy swoich sugusach.

– Dwie niezaprzeczone wartości.

– O ile występują.

– No już, proszę mnie pocałować na dobranoc.

– No nie, jeszcze pocałunki pani w głowie!

– W policzek.

Fermín się zawahał, ale w końcu nachylił się i musnął wargami jej czoło.

– Proszę wreszcie, do jasnej cholery, zasnąć, sukubie.

Alicja zamknęła oczy i uśmiechnęła się.

– Bardzo pana kocham, Ferminie.

Kiedy usłyszała, jak płacze w milczeniu, chwyciła go za rękę i tak usnęli w ciepłe dogasającej świeczki.

10

Isaac Monfort, strażnik tego miejsca, przynosił jej dwu- lub trzykrotnie w ciągu dnia szklanekę mleka, tosty posmarowane masłem i marmoladą, jakiś owoc lub coś słodkiego z ciastkarni Escribá, odwiedzanej przezeń w niedziele, bo i on, poza literaturą i pustelniczym życiem, miał swoje słabostki; lubił zwłaszcza ciastka z piniolami i z kremem. Po wielokrotnie powtarzanych prośbach Isaac zaczął dostarczać jej gazety sprzed wielu dni, mimo że doktor Soldevila krzywo na to patrzył. Przeczytała więc wszystko, co prasa opublikowała na temat śmierci Mauricia Vallsa, i poczuła, że znowu krew się w niej gotuje. To cię właśnie uratowało, Alicjo, pomyślała sobie.

W zacnym Isaacu, człowieczku niepozornym, o mało przyjaznym wyglądzie, ale nader życzliwym usposobieniu, obudziła się wobec Alicji słabość niezwykła, której nie był w stanie ukryć. Mówił, że przypomina mu zmarłą córkę, której było na imię Nuria. Przy sobie miał zawsze dwie jej fotografie: na jednej z nich widniała kobieta o tajemniczym wyglądzie i smutnym spojrzeniu, na drugiej uśmiechnięta dziewczynka przytulona do mężczyzny, w którym Alicja rozpoznała o dziesiątki lat młodszego Isaaca.

– Wymknęła mi się, nigdy się nie dowiedziawszy, jak bardzo ją kochałem –

mówił.

Czasem, kiedy podsuwał jej tacę z jedzeniem, Alicja zaś z trudem usiłowała ugryźć jeden lub dwa kęsy, Isaac zatracił się w gmatwaniu wspomnień i zaczynał opowiadać jej o córce. I własnych wyrzutach sumienia. Alicja słuchała go. Podejrzewała, że starzec z nikim jeszcze nie podzielił się swą zgryzotą, a opatrność raczyła posłać mu tę obcą osobę podobną do najbardziej przezeń ukochanej istoty, żeby właśnie teraz, kiedy już było za późno i nic się nie mogło zmienić, znalazł pocieszenie w próbie ratowania jej i w obdarzaniu czułością, która nie jej się należała. Niekiedy mówiąc o córce, przytłoczony wspomnieniami, starzec zaczynał płakać. Odchodził wówczas i znikał na wiele godzin. Najszczęszy ból przeżywa się w samotności. Alicja w cichości ducha odczuwała ulgę, kiedy Isaac krył się ze swym smutkiem w jakimś kącie, bo jedynym cierpieniem, którego nie nauczyła się znosić, był ból na widok płaczących staruszków.

Przyjaciele zmieniali się, by czuwać przy niej i jej towarzyszyć. Daniel lubił czytać jej stronice z książek wypożyczanych przezeń z labiryntu, zwłaszcza autorstwa niejakiego Juliana Caraxa, którego twórczość darzył szczególnym sentymentem. Pióro Caraxa kierowało myśli Alicji ku muzyce i ciastkom z czekoladą. Chwile spędzone na słuchaniu pozwalały jej codziennie zagubić się w lesie słów i obrazów, którego opuszczenie zawsze sobie z żalem wypominała. Jej ulubioną książką stała się niewielka powieść zatytułowana *Nikt*, której ostatniego akapitu nauczyła się na pamięć. Szeptala go sobie, kiedy usiłowała pokonać bezsenność:

Na wojnie zbił fortunę, w miłości zaś wszystko stracił. Zapisane było, że nie urodził się po to, aby być szczęśliwym, i że nigdy nie zasmakuje owocu, z którym ta późna wiosna przysłała do jego serca. Wtedy dotarło do niego, że żyć będzie przez resztę swoich dni w ciągłej jesieni samotności, za całe towarzystwo i wspomnienie mając jedynie chęci i wyrzuty sumienia. I że zarazem, jeśli ktoś kiedyś zapyta, kto wybudował ów dom i kto w tym domu mieszkał, zanim przestoczył się w czar ruin, ludzie znający ową budowlę i znający jej przekłętą historię spuszczą wzrok i niemal bezgłośnie, błagając w duchu, by wiatr natychmiast uniósł ich słowa, odpowiedzą: nikt.

Szybko odkryła, że nikt nie chce z nią rozmawiać o Julianie Caraksie,

a jeśli już, to niechętnie. A najbardziej unikał tematu Isaac. Księgarzy coś z Caraxem łączyło, więc Alicja uznała, że najlepiej będzie nie grzebać w sekretach rodziny. Isaac z kolei reagował szczególnie: na samo brzmienie nazwiska robił się siny, a to dlatego że, jak opowiedział jej Daniel, jego córka Nuria była w pisarzu zakochana. Staruszek uważał, iż wszystkim nieszczęściom, jakie dotknęły jego biedną córkę, doprowadzając ją do tragicznej śmierci, winien był Carax, osobnik dziwny i ekstrawagancki, który, jak się Alicja dowiedziała, usiłował w pewnym momencie spalić wszystkie istniejące egzemplarze swoich książek, w czym, gdyby nie wiążąca go przysięga, strażnik dopomógłby mu z najwyższą przyjemnością.

– Przy Isaacu lepiej nie wspominać Caraxa – twierdził Daniel. – Na dobrą sprawę lepiej go przy nikim nie wspominać.

Jedyną osobą, która odbierała Alicję taką, jaka była, i która nie żywiła wobec niej jakichkolwiek urazów, była żona Daniela. Bea ją kąpała, przebierała, czesała, podawała jej lekarstwa i przypominała wzrokiem ów szczególny nakaz rządzący ich relacją. Bea będzie o nią dbać, pomoże jej w powrocie do zdrowia po to, by Alicja jak najszybciej usunęła się z ich życia na zawsze, zanim wyrządzi im jakąś krzywdę.

Bea, kobieta, jaką Alicja chciałaby być i jaką – o czym przekonywała się coraz bardziej, z każdym kolejnym dniem przebyłym w jej towarzystwie – nigdy nie będzie. Bea, która niewiele mówiła, a jeszcze mniej pytała, a mimo to rozumiała ją najlepiej. Alicja nigdy nie należała do miłośniczek przytulank i wylewnych gestów, ale niejednokrotnie miała wielką ochotę ją objąć. Na szczęście powstrzymała się w ostatniej chwili. Wystarczyła jej wymiana spojrzeń, by uświadomić sobie, iż nie jest to parafialne przedstawienie *Małych kobietek*, a każda z nich ma do spełnienia swoje zadanie.

– Myślę, że niebawem się pani ode mnie uwolni – mówiła Alicja.

Bea nie podejmowała wyzwania. Nigdy się nie skarżyła. Nigdy jej niczego nie wypominała. Zmieniała opatrunki z niezwykłą delikatnością i cierpliwością. Smarowała starą bliznę łagodzącą ból i niezatrzuwającą krwi maścią, którą doktor Soldevila zlecił przygotować zaufanemu aptekarzowi. A smarując bliznę, nie okazywała ani litości, ani współczucia. Była jedyną poza Leandrem osobą, w której oczach Alicja nie dostrzegła przerażenia ani wstrętu na widok jej nagiego ciała i rozmiaru ran doznanych w czasie wojny.

Tematem rozmów niewywołującym żadnych negatywnych emocji był mały Julián. Najdłuższe i najspokojniejsze rozmowy toczyły zazwyczaj wtedy, gdy Bea myła ją szarym mydłem i ciepłą wodą polewaną z dzbana, przygotowywaną przez Isaaca na fajerce w pokoiku służącym mu za biuro, kuchnię i sypialnię. Bea darzyła syna takim uwielbieniem, iż Alicja nie miała najmniejszych złudzeń, że kiedykolwiek spróbuje ją zrozumieć.

– Parę dni temu oświadczył nam, że kiedy dorośnie, to się z panią ożeni.

– Jako dobra matka zdążyła go pani prawdopodobnie ostrzec, że na świecie są niegrzeczne dziewczynki, których powinien unikać.

– A pani pewnie jest ich królową.

– Tak twierdziły wszystkie moje potencjalne teściowe. I nie bez racji.

– W tych kwestiach mniejsza o rację. Żyję otoczona mężczyznami i wiem już od dawna, że większość z nich jest odporna na logikę. Jedyne, czego potrafią się nauczyć, i to nie wszyscy, to prawo ciążenia. Dopóki nie rąbną, lunatykują.

– Jakbym słyszała Fermina.

– Wszystko bywa zaraźliwe, a trochę już lat spędziłam w jego towarzystwie i nasłuchiłam się jego złotych myśli.

– A co jeszcze mówi Julián?

– Teraz chce być powieściopisarzem.

– Nad wiek rozwinięty malec.

– Nawet sobie pani nie wyobraża.

– A będzie pani miała ich więcej?

– Dzieci? Nie wiem. Bardzo bym chciała, żeby Julián nie dorastał sam. Żeby miał siostrzyczkę...

– Kolejna kobieta w rodzinie.

– Fermín mówi, że to pomogłoby w rozrzedzeniu nadmiaru testosteronu doprowadzającego klan do wyższego stopnia ogłupienia. Prócz, oczywiście, jego testosteronu, którego, jak twierdzi, nie da się rozpuścić nawet w oleju terpentynowym.

– A Daniel co mówi?

Bea zamilkła na chwilę, po czym wzruszając ramionami, odparła:

– Daniel z każdym dniem mówi coraz mniej.

Po kilku tygodniach Alicja wreszcie poczuła, że zaczyna odzyskiwać siły. Doktor Soldevila badał ją codziennie dwa razy. Był człowiekiem małomównym, a jeśli już się odzywał, to mówił zawsze o kimś innym. Czasem Alicja przyłapywała go, jak spogląda na nią kątem oka, jakby się zastanawiał, kim jest jego tajemnicza pacjentka, nie całkiem przekonany, czy na pewno chce znać odpowiedź.

– Ma pani blizny po wielu starych ranach. Niektóre bardzo poważne. Powinna pani zacząć myśleć o zmianie dotychczasowych przyzwyczajeń.

– Proszę się o mnie nie martwić, panie doktorze. Ja jestem jak kot, z tą różnicą, że mam więcej żyć w zapasie.

– Nie jestem weterynarzem, ale teoria głosi, że koty mają tylko siedem żyć, a moim zdaniem pani już jest na pograniczu wyczerpania tego zasobu.

– Jedno życie więcej w zupełności mi wystarczy.

– Intuicja podpowiada mi, że tego życia nie poświęci pani na dobroczynność.

– To zależy, jak się na to spojrzy.

– Nie wiem, co mnie bardziej przejmuje troską: pani zdrowie czy pani dusza.

– Masz babo placek, oprócz tego, że lekarz, to na dodatek ksiądz. Jest pan świetną partią.

– W moim wieku różnica między receptą a konfesjonałem zaczyna się zacierać. Niemniej uważam, że jestem dla pani zbyt młody. Jak pani znosi ból? Mam na myśli ten od rany na biodrze.

– Maść pomaga.

– Ale nie tak jak to, co brała pani wcześniej.

– Nie – przyznała Alicja.

– Jaką dawkę pani brała?

– Czteryście miligramów. Czasem więcej.

– Boże święty. Pani nie wolno tego przyjmować, chyba pani o tym wie?

- Proszę mi podać choćby jeden powód.
- Niech pani zapyta o to swoją wątrobę, o ile jeszcze rozmawiacie ze sobą.
- Gdyby mi pan nie skonfiskował mojego białego wina, mogłabym ją zaprosić na kieliszek i przedyskutować to i owo.
- Nie ma dla pani ratunku.
- Przynajmniej co do tego nasza trójka jest zgodna.

Jedni mniej, inni bardziej snuli już jakieś plany związane z jej pogrzebem, ale Alicja wiedziała, że udało jej się wyjść z czyścca, nawet jeśli to było tylko wyjście na przepustkę. Wiedziała, bo powoli odzyskiwała swoją ponurą wizję świata, tracąc zarazem sentyment do wzruszających i rozczulających scen z ostatnich dni. Ciemny oddech przeszłości znowu okrywał wszystko swoim cieniem, a szpony bólu wbijające się w biodro aż do kości przypominały, że to już jej ostatnie przedstawienia w roli Damy Kameliowej.

Dni wróciły do normalnego rytmu, a przeciekające godziny smakowały już jedynie czasem utraconym. Osobą najbardziej wytrąconą z równowagi okazywał się Fermín, który nie wiedział, czy ma robić za zbyt wczesną płaczkę, czy też za telepatę pasjonata.

– Już pewien poeta powiedział, że zemsta to danie, które bardziej smakuje na zimno, przypominam pani – powtarzał Fermín, wyczuwając w niej złe duchy.

– Chyba mu się pochrzaniło z chłodnikiem, bo poeci zazwyczaj przymierają głodem i o gastronomii nie mają zielonego pojęcia.

– Proszę mi powiedzieć, że nie zamierza pani zrobić żadnego głupstwa.

– Nie zamierzam zrobić żadnego głupstwa.

– Ale ja chcę, żeby mi to pani przyrzekła.

– To niech pan sprowadzi notariusza i sformalizujemy sprawę.

– Daniel i jego dopiero co nabyte zbrodnicze inklinacje w zupełności mi wystarczą. Da pani wiarę? Odkryłem, że trzyma w schowku rewolwer! Matko Boska Przenajświętsza! Jeszcze wczoraj własne smarki połykał, a teraz ukrywa broń, jakby był anarchistycznym bojowcem.

– A co pan zrobił z rewolwerem? – zapytała Alicja z uśmiechem, od

którego Ferminowi włosy zjeżyły się na głowie.

– A co miałem z nim zrobić? Ukryłem go. Tam, gdzie nikt go nie znajdzie, rzecz jasna.

– Proszę mi go przynieść – szepnęła Alicja uwodzicielsko.

– Mowy nie ma, już się za dobrze znamy. Pani nie przyniosłbym nawet pistoletu na wodę, bo byłaby pani skłonna nalać do niego kwasu siarkowego.

– Nie ma pan pojęcia, do czego jestem skłonna – ucięła.

Fermín spojrział na nią skonsternowany.

– Zaczynam już sobie wyobrażać, kobieto krokodylu.

Alicja znów obdarzyła go niewinnym uśmiechem.

– Ani pan, ani Daniel nie umiecie posługiwać się bronią. Proszę mi ją więc dać, zanim sobie wyrządzą krzywdę.

– Po to, żeby pani mogła wyrządzić krzywdę komuś innemu?

– Przrzekam, iż nie skrzywdzę nikogo, kto na to nie zasłużył.

– Wspaniale, w takim razie przyniosę pani karabin maszynowy i trochę granatów. Ulubiony producent, rodzaj?

– Ale ja mówię poważnie, Ferminie.

– Właśnie dlatego. Pani musi myśleć jedynie o wyzdrowieniu.

– A wyzdrowieję tylko wtedy, kiedy zrobię to, co mam do zrobienia. I jest to jedyna gwarancja, że będą państwo wszyscy bezpieczni. Dobrze pan o tym wie.

– Pani Alicjo, z głęboką przykrością przychodzi mi oznajmić, że im częściej pani słucham, tym mniej odpowiada mi ton i duch pani wypowiedzi.

– Proszę przynieść mi broń. Albo jakąś broń sama zdobędę.

– Żeby znowu umrzeć w taksówce, ale tym razem już naprawdę? Albo rzucona w jakimś zaułku? Albo w mamrze z rąk rzeźników, którzy dla zabawy poćwiartują panią na drobne kawałki?

– Naprawdę tym się pan przejmuje? Że będą mnie torturować albo że mnie zabiją?

– Przeszło mi to przez myśl, i owszem. Między nami mówiąc, naprawdę mam już serdecznie dość tego, że może mi pani gdzieś tam umrzeć. Jak ja mam

spłodzić synów i być porządnym ojcem, jeśli niezdolny jestem utrzymać przy życiu pierwszego dziecka, za które wziąłem odpowiedzialność?

– Nie jestem już dzieckiem ani pan nie jest za mnie odpowiedzialny. A ponadto jest pan, Ferminie, asem nad asy w utrzymywaniu mnie przy życiu i uratował mnie pan już dwa razy.

– Do trzech razy sztuka.

– Nie będzie trzeciego razu.

– I broń też nie będzie. Mam zamiar zniszczyć ją jeszcze dziś. Roztrzaskam ją i rozrzucę kawałki w basenie portowym, rybom czyścicielom na pożarcie, tym brzuchatym śmieciarzom, które tuż pod powierzchnią wody napychają się byle odpadkiem.

– Nawet pan, Ferminie, nie może przeszkodzić temu, co nieuniknione.

– To jedna z moich specjalności. Drugą jest taniec przytulany. Koniec gadki. Może sobie pani przesywać mnie tym swoim srogim wzrokiem tygrysicy. Ja się nie boję. Ja to nie Fernandito ani żaden z tych facecików, których bierze pani na lep czarnych pończoch.

– Tylko pan może mi pomóc. Tym bardziej teraz, kiedy w naszych żyłach płynie ta sama krew.

– Która, jak tak dalej pójdzie, starczy pani na tyle, na ile gęsi przed świętym Marcinem.

– Niech pan nie będzie taki. Proszę mi pomóc zdobyć broń, a potem wyjechać z Barcelony. Z resztą dam sobie radę sama. Pan dobrze wie, że tak właśnie trzeba. Bea przyznałaby mi rację.

– Niech pani ją poprosi o rewolwer, zobaczymy, jak zareaguje.

– Bea mi nie ufa.

– Coś takiego? Ciekawe czemu?

– Ferminie, tracimy cenny czas. Powie mi pan coś?

– Ano powiem. Idźże do jasnej cholery, nie mówię, że do diabła, bo i tak panią to czeka jak amen w pacierzu.

– Nie mówi się tak do panienki.

– Pani ma tyle z panienki, ile ja z baletnicy. Niech sobie pani strzeli jednego głębszego i wróci do swojej trumienki przespać kaca, zanim zrobi

pani coś złego.

Kiedy Fermín miał już dość dyskusji, zostawiał ją samą. Alicja jadła coś na kolację z Isaakiem, słuchała jego opowieści o Nurii, a kiedy stary strażnik odchodził, nalewała sobie kieliszek białego wina (parę dni wcześniej odkryła kąt, gdzie Isaac trzymał w ukryciu skonfiskowane przez doktora butelki) i wychodziła z pokoju. Korytarzem szła aż do ogromnej piwnicy i tam, w tchnieniu nocnego światła spływającego kaskadą ze szczytu kopuły, przyglądała się mirażowi wielkiego labiryntu książek.

Następnie, wspomagając się latarenką, zagłębiała się w korytarze i tunele. Kulejąc, pokonywała katedralną strukturę, mijała sale, rozwidlenia i mosty prowadzące do ciemnych komnat naszpikowanych spiralnymi schodami lub wiszącymi pomostami, które kreśliły w powietrzu łuki i wsporniki. Po drodze opuszkami palców prześlizgiwała się po grzbietach setek tysięcy książek czekających na odnalezienie swego czytelnika. Czasem zasypiała na krześle, na które natrafiała w którejś z sal. Każdej nocy pokonywała inną trasę.

Cmentarz Zapomnianych Książek miał swoistą geometrię i trafienie dwa razy do tego samego miejsca było właściwie niemożliwe. Nieraz zdarzyło się Alicji zgubić w gąszczu sal i sporo czasu kosztowało ją odnalezienie drogi do wyjścia. Pewnej nocy, kiedy świt zaczął rozjaśniać cmentarz, Alicja znalazła się na szczycie labiryntu, w tym samym miejscu, w którym wylądowała, spadając przez kopułę roztrzaskaną bombami owego marca 1938 roku. Wychyliwszy się nad pustką, dostrzegła u stóp labiryntu małą postać Isaaca Monforta. Kiedy zeszła na dół, strażnik wciąż tam stał.

- A mnie się wydawało, że tylko ja cierpię na bezsenność – powiedział.
- Spanie jest dla tych, którzy lubią śnić.
- Zaparzyłem rumianek, pomaga na sen. Może napije się pani filiżankę?
- No, gdybyśmy dolali kapkę czegoś...
- Jedyne, co mam, to stara brandy, której nie użyłbym nawet do odetkania rur.
- Ja tam nie mam uprzedzeń.
- A co powie doktor Soldevila?
- To, co mówią wszyscy inni lekarze, że to, co nie zabija – tuczy.
- Przydałoby się pani utyc nieco.

– Mam to w planach.

Udała się za strażnikiem aż do jego kanciapy i zajęła miejsce przy stole. Isaac przygotował dwie filiżanki z rumiankiem, a powąchawszy butelkę brandy, dodał do każdej z nich parę kropel.

– Całkiem niezłe – przyznała Alicja po skosztowaniu wzbogaconego naparu.

Pili rumianek w spokoju i w milczeniu, jak starzy znajomi, którzy nie potrzebują słów, by w pełni radować się swoim towarzystwem.

– Dobrze pani wygląda – odezwał się w końcu Isaac. – To oznacza, jak przypuszczam, że nas pani niebawem opuści.

– Z mojego przebywania w tym miejscu nic dobrego dla nikogo nie wynika.

– Miejsce nie jest takie złe – zapewnił Isaac.

– Gdybym nie miała kilku spraw do załatwienia, żadne inne miejsce na świecie nie mogłoby się z nim równać.

– Może pani wracać tu zawsze, kiedy tylko będzie pani miała ochotę. Proszę czuć się zaproszona, choć coś mi mówi, że kiedy pani od nas odejdzie, to już bezpowrotnie.

Alicja ograniczyła się do uśmiechu.

– Będzie pani potrzebowała nowych ubrań i takich różnych rzeczy. Fermín potwierdza, że pani mieszkanie jest pod obserwacją, więc zabieranie stamtąd czegokolwiek nie jest wskazane, jak sędzę. Mam tutaj trochę ubrań Nuri, które może będą na panią dobre – powiedział starzec.

– Nie chciałabym...

– Dla mnie osobiście byłby to zaszczyt, gdyby przyjęła pani rzeczy mojej córki. I wydaje mi się, że mojej Nuri przypadłby do gustu pomysł, żeby je pani nosiła. A poza tym odnoszę wrażenie, że ma pani identyczny rozmiar.

Isaac podszedł do szafy, wyciągnął z niej walizkę i przytaszczył pod stół. Otworzył ją, Alicja zaś rzuciła okiem na zawartość. Były tam ubrania, buty, książki i inne przedmioty, których widok wywołał u Alicji ogromny smutek. Aczkolwiek nigdy nie poznała Nuri Monfort, zaczęła przyzwyczajając się do jej zaczarowującej ten zakątek obecności i do wysłuchiwania jej ojca mówiącego tak, jakby córka wciąż była obok niego. Widząc nieszczęście całego życia

mieszczące się w starej walizce, którą biedny starzec zachował, aby w ten sposób uratować wspomnienie zmarłej córki, nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, więc jedynie kiwnęła głową.

– Są dobrej jakości – odezwała się w końcu, wyczulona na etykiety i na dotyk materiału.

– Moja Nuria wydawała wszystko na książki i ubrania, biedaczka. Jej matka zawsze powtarzała, że wygląda jak aktorka filmowa. Gdyby mogła ją pani zobaczyć... Przyjemnie było patrzeć.

Alicja pogrzebała w walizce i zauważyła, że spomiędzy ubrań coś wystaje – biała figurka wysokości nie większej niż dziesięć centymetrów. Wzięła ją i przyjrzała jej się w świetle lampy. Była to malowana gipsowa figurka anioła z rozłożonymi skrzydłami.

– Lata tego nie widziałem. Nawet nie wiedziałem, że Nuria to zachowała. To w dzieciństwie była jej ulubiona zabawka – wyjaśnił Isaac. – Pamiętam dzień, kiedy kupiliśmy ją na odpuszcie świętej Łucji przy katedrze.

Gdy postukało się w figurkę od przodu, wydawała odgłos, jakby była w środku pusta. Alicja przesunęła palcem po torsie anioła i otworzyła maleńkie drzwiczki, za którymi znajdowała się skrytka.

– Nuria lubiła zostawiać mi tutaj tajemne wiadomości. Chowała później anioła gdzieś w domu, a ja miałem go odnaleźć. Taką grę wymyśliła i oboje się przednio bawiliśmy.

– Śliczny – powiedziała Alicja.

– Proszę go sobie wziąć.

– Nie, nie, żadną miarą...

– Bardzo proszę. Już od dawna ten anioł nie przynosi żadnych wiadomości. Pani będzie wiedziała, co z nim zrobić.

I tak oto po raz pierwszy w życiu Alicja spała z małym aniołem stróżem, którego błagała o to, aby jak najszybciej stąd wyjść, opuścić te czyste dusze i ruszyć w czekającą ją niechybnie drogę powrotną do jądra ciemności.

– Tam nie będziesz mógł mi towarzyszyć – szepnęła do anioła.

Leandro stawiał się codziennie punktualnie o ósmej trzydzieści rano. Czekał na nią przy stole z podanym właśnie śniadaniem i z wazonem, w którym zawsze stały świeże kwiaty. O tej porze Ariadna Mataix nie spała już od godziny. Osobą odpowiedzialną za jej budzenie był lekarz, który wchodził do sypialni, już nawet nie pukając i w ogóle odkładając na bok wszelkie ceregiele. Towarzyszyła mu pielęgniarka, której głosu Ariadna nie usłyszała ani razu. Najpierw był poranny zastrzyk. Dzięki niemu mogła otworzyć oczy i przypomnieć sobie, kim jest. Później pielęgniarka pomagała jej wstać, rozbierała ją, prowadziła do łazienki i przez dziesięć minut trzymała pod prysznicem. Ubierała ją w stroje, które pamiętała, bo chyba je sama przy jakiejś okazji kupiła. Nigdy nie była ubrana tak samo. Podczas gdy doktor mierzył jej puls i ciśnienie, pielęgniarka czesała ją i malowała, bo Leandro lubił, by prezentowała się ślicznie. Kiedy siadała z nim do stołu, świat wracał na swoje miejsce.

– Dobrze ci się spało?

– Co takiego mi dajecie?

– Bardzo łagodny środek uspokajający, już ci mówiłem. Jeśli chcesz, poproszę pana doktora, żeby przestał ci to aplikować.

– Nie, nie, nie trzeba.

– Twoja wola, rzecz jasna. Masz ochotę na coś?

– Nie jestem głodna.

– Trochę soku z pomarańczy przynajmniej.

Czasem Ariadna zwracała jedzenie albo w wyniku mdłości traciła przytomność i spadała z krzesła. Leandro sięgał wtedy do dzwonka i w kilka sekund pojawiał się ktoś, kto ją podnosił i mył od nowa. W takich przypadkach lekarz zazwyczaj aplikował zastrzyk wprowadzający ją w stan lodowatego spokoju, do tego stopnia przez nią wyczekiwanego, że niejednokrotnie miała ochotę sfignować utratę przytomności, żeby wstrzyknięto jej przewidzianą dawkę. Nie wiedziała zupełnie, ile takich dni

ma już za sobą. Mierzyła czas przerwami pomiędzy zastrzykami, między balsamem snu pozbawionego świadomości i chwilą przebudzenia. Schudła i ubranie z niej spadało. Kiedy naga patrzyła na siebie w lustrze, zastanawiała się, kim jest ta kobieta. Przez cały czas marzyła jedynie, by Leandro jak najszybciej uznał sesję dnia za skończoną, a lekarz wrócił ze swym magicznym neseserkiem z eliksirami zapomnienia. Te chwile, kiedy czuła, jak krew jej wrze, póki nie utraci przytomności, były szczęściem, jakiego nie udało jej się przeżyć przez całe swoje życie.

– Jak się, Ariadno, czujesz dziś rano?

– Dobrze.

– Pomyślałem sobie, że dziś, jeśli nie masz nic przeciwko temu, moglibyśmy porozmawiać o tych miesiącach, kiedy zniknąłeś.

– Ale przecież rozmawialiśmy o tym już wczoraj. I przedwczoraj.

– Zgadza się, ale na światło dzienne powoli wychodzą nowe szczegóły. Tak to jest z pamięcią. Lubi się z nami bawić w kotka i myszkę.

– A co chce pan wiedzieć?

– Chciałbym, żebyśmy wrócili do owego dnia, w którym uciekłeś z domu. Pamiętasz?

– Jestem zmęczona.

– Wytrzymaj jeszcze troszeczkę. Doktor przyjdzie lada chwila i da ci coś, żebyś poczuła się lepiej.

– A może przyjść już?

– Najpierw porozmawiamy, a później dostaniesz lekarstwo.

Ariadna się zgodziła. Codziennie powtarzała się ta sama gra. Już nie pamiętała, co mu opowiedziała, a czego jeszcze nie mówiła. Nieważne. Ukrywanie przed nim czegokolwiek już nie miało sensu. Wszyscy nie żyli. A ona nigdy stąd nie wyjdzie.

– To był dzień moich urodzin – zaczęła. – Ubachowie zorganizowali przyjęcie z tej okazji. Zaproszone zostały wszystkie moje koleżanki ze szkoły.

– Przyjaciółki?

– To nie były przyjaciółki. To było towarzystwo wynajęte, jak wszystko w domu.

– I tamtego wieczoru postanowiłaś uciec?

– Tak.

– Ktoś ci w tej ucieczce pomógł, nieprawdaż?

– Tak.

– Powiedz mi coś o tym człowieku. David Martín, jeśli się nie mylę?

– David.

– Jak go poznałaś?

– David był przyjacielem mojego ojca. Kiedyś razem pracowali.

– Napisali coś razem?

– Słuchowiska. Powieści radiowe. Jedna z nich nosiła tytuł *Lodowa orchidea*. Była to historia z gatunku powieści sensacyjnych, osadzona w Barcelonie dziewiętnastego wieku. Tata nie pozwalał mi jej słuchać, bo to nie było dla dziewczynek, mówił, ale udawało mi się jakoś wyślizgnąć z pokoju i włączałam radio, które stało w salonie domu w Vallvidrerze. Nastawiałam je bardzo cichutko.

– Według moich informacji David Martín został uwięziony w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, kiedy usiłował przekroczyć granicę, chcąc pod koniec wojny wrócić do Barcelony. Spędził jakiś czas w więzieniu Montjuic, gdzie spotkał się z twoim ojcem, a pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego roku został uznany za zmarłego. Ty mi mówisz o roku czterdziestym ósmym, czyli wiele lat później. Jesteś pewna, że człowiekiem, który ci pomógł, rzeczywiście był Martín?

– To był Martín.

– A to nie mógł być ktoś, kto się za niego podawał? Przecież od ostatniego razu, kiedy go widziałaś, upłynęło wiele lat?

– To był Martín.

– W porządku. W jakich okolicznościach znowu się spotkaliście?

– Doña Manuela, moja opiekunka, zwykła prowadzić mnie w każdą sobotę do parku Retiro. Do Palacio de Cristal, mojego ulubionego miejsca.

– Ja też lubię to miejsce. I właśnie tam spotkałaś Martina?

– Tak. Widziałam go kilka razy. Z daleka.

- Myślisz, że to był przypadek?
- Nie.
- Kiedy pierwszy raz z nim rozmawiałaś?
- Doña Manuela zawsze miała w torebce buteleczkę anyżówki i czasem zasypiała.
- I wtedy podchodził David Martín?
- Tak.
- I co mówił?
- Nie pamiętam.
- Wiem, że to trudne, Ariadno. Spróbuj jednak.
- Chcę lekarstwa.
- Zanim je dostaniesz, powiesz mi, co ci mówił Martín.
- Mówił o moim tacie. O miesiącach, które razem spędzili w więzieniu. Tata bardzo dużo opowiadał mu o nas. I o tym, co się stało. Wydaje mi się, że ustanowili jakiś pakt. Ten, który pierwszy zdoła stamtąd wyjść, przyjdzie z pomocą rodzinie tego drugiego.
- Przecież David Martín nie miał rodziny.
- Ale były osoby, które kochał.
- A opowiedział ci, jak udało mu się uciec z zamku?
- Valls zaplanował, że dwóch jego ludzi przewiezie go do domu znajdującego się przy parku Güell, żeby go zgładzić. Zdaje się, że tam zabijali ludzi, a potem grzebali w ogrodzie.
- I co się stało?
- David powiedział, że w tym domu był jeszcze ktoś, kto pomógł mu uciec.
- Wspólnik?
- On nazywał go szefem.
- Szefem?
- Miał takie cudzoziemskie, z włoska brzmiące nazwisko. Pamiętam, bo chyba tak samo brzmiało nazwisko jakiegoś sławnego kompozytora, którego bardzo lubili moi rodzice.

- Pamiętasz to nazwisko?
- Corelli. Nazywał się Andreas Corelli.
- Ciekawe, bo to nazwisko nie pojawia się w żadnym z posiadanych przeze mnie raportów.
- Bo on wcale nie istniał.
- Nie bardzo cię rozumiem.
- David nie był całkiem zdrowy. Różne rzeczy sobie wymyślał. Ludzi sobie wymyślał.
- Czy chcesz powiedzieć, że David Martín wymyślił sobie tego Andreego Corellego?
- Tak.
- A skąd o tym wiesz?
- Bo wiem. David w więzieniu postradał zmysły albo zwariował do reszty. Był bardzo chory, ale nie zdawał sobie z tego sprawy.
- Ciekawe, zawsze mówisz o nim David.
- Byliśmy przyjaciółmi.
- Kochankami?
- Przyjaciółmi.
- I co ci powiedział owego dnia?
- Że od trzech lat próbuje dotrzeć do Mauricia Vallsa.
- Żeby się na nim zemścić?
- Valls zamordował kogoś, kogo David bardzo kochał.
- Isabelle.
- Tak, Isabelle.
- Mówił ci, jak, w jego mniemaniu, Valls ją zamordował?
- Otruł ją.
- A dlaczego szukał ciebie?
- Żeby spełnić przyrzeczenie, jakie złożył mojemu ojcu.
- I to wszystko?

– I dlatego też, że myślał, iż ułatwię mu dostęp do domu moich rodziców, w którym wcześniej czy później przecież pojawi się Mauricio Valls, a wtedy on będzie mógł go zabić. Valls często odwiedzał Ubacha. Razem prowadzili jakieś interesy. Trudno było dostać się w pobliże Vallsa, bo zawsze był otoczony ochroniarzami.

– Ale do tego nie doszło.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo mu powiedziałam, że jak spróbuje to zrobić, to go zabiją.

– Tego akurat mógł się spodziewać. Musiało być coś jeszcze.

– Coś jeszcze?

– Coś, co mu jeszcze powiedziałaś, żeby zmienił swoje zamiary.

– Muszę dostać lekarstwo. Błagam.

– Co takiego powiedziałaś Martinowi, że zmienił swój zamysł i w rezultacie miał zrealizować plan zemsty na Vallsie, z jakim przybył do Madrytu, nie tylko z niego zrezygnował, ale pomógł ci uciec z domu?

– Błagam.

– Jeszcze tylko odrobinę wysiłku, Ariadno. A później damy ci lekarstwo i będziesz mogła odpocząć.

– Powiedziałam mu prawdę. Że jestem w ciąży.

– Nie rozumiem. W ciąży? Z kim?

– Z Ubachem.

– Twoim ojcem?

– To nie był mój ojciec.

– Miguelem Anzelem Ubachem, bankierem? Człowiekiem, który cię zaadoptował?

– Człowiekiem, który mnie kupił.

– Co się stało?

– Bardzo często przychodził w nocy do mojej sypialni. Pijany. Mówił, że żona go nie kocha, że ma kochanków, że nic ich już nie łączy. I płakał. A później mnie gwałcił. A kiedy już się zmęczył, mówił, że to moja wina, że ja

go kusiłam, że jestem dziwką jak moja matka. Bił mnie i straszył, że jeśli komukolwiek o tym powiem, każe zabić moją siostrę, że wie, gdzie ona jest, i wystarczy jeden jego telefon, a pogrzebią ją żywcem.

– I co David Martín wówczas zrobił?

– Ukradł samochód i wywiózł mnie stamtąd. Błagam, lekarstwo...

– Oczywiście. Zaraz dostaniesz. Dziękuję, Ariadno. Dziękuję za szczerość.

12

– Jaki jest dziś dzień?

– Wtorek.

– Wczoraj też był wtorek.

– To był inny wtorek. Opowiedz mi o swojej ucieczce z Davidem Martinem.

– David miał samochód. Ukradł go i trzymał w garażu gdzieś w dzielnicy Carabanchel. Tamtego dnia powiedział mi, że w najbliższą sobotę o dwunastej podjedzie nim pod park. Kiedy doña Manuela przyśnie, ja pobiegnę w stronę wyjścia znajdującego się przy Puerta de Alcalá, i tam się spotkamy.

– I tak zrobiliście?

– Tak. Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do garażu, w którym czekaliśmy, aż zapadnie zmrok.

– Policja oskarżyła twoją opiekunkę o współudział w porwaniu. Przesłuchiowano ją przez czterdzieści osiem godzin. Została znaleziona później w rowie przy szosie do Burgos. Miała połamane nogi i ręce. Zginęła od strzału w potylicę.

– Chyba nie oczekuje pan ode mnie współczucia.

– Wiedziała, że Ubach cię wykorzystuje?

– Była jedyną osobą, której to wyznałam.

– I co ci powiedziała?

– Żebym siedziała cicho. Że mężczyźni na ważnych stanowiskach mają swoje potrzeby i że z czasem zrozumie, że Ubach bardzo mnie kocha.

– I co się wydarzyło tamtej nocy?

– Wyjechaliśmy z garażu i jechaliśmy całą noc.

– A dokąd?

– Byliśmy w podróży kilka dni. Czekaliśmy, aż zapadnie noc, i ruszaliśmy. Jechaliśmy tylko bocznymi, lokalnymi albo wiejskimi drogami. Kiedy musieliśmy tankować, David kazał mi się kłaść na tylnym siedzeniu i przykrywał mnie kocami, żeby nikt mnie nie zobaczył. Czasem zasypiałam, a kiedy się budziłam, słyszałam, jak rozmawiał, jakby ktoś siedział obok niego na miejscu pasażera.

– Pewnie z tym Corellim?

– Tak.

– Nie czułaś strachu?

– Nie, czułam litość.

– I dokąd cię zawiózł?

– W Pireneje, w miejsce, gdzie ukrywał się przez kilka dni, zanim wrócił pod koniec wojny do Hiszpanii. Do miejscowości Bolvir, bardzo blisko Puigcerdá, tuż przy granicy z Francją. Był tam opuszczony dom, w którym w czasie wojny mieścił się szpital. Torre del Remei chyba się nazywał. Mieszkaliśmy tam przez kilka tygodni.

– A dlaczego właśnie tam? Mówił coś na ten temat?

– Mówił, że to bezpieczne miejsce. I mieszkał tam stary znajomy Davida, z którym się zaprzyjaźnił po przekroczeniu granicy, miejscowy pisarz Alfons Brosel. On dostarczył nam jedzenie i ubranie. Bardzo nam pomógł. Bez niego umarlibyśmy z głodu i chłodu.

– Wydaje mi się, że przy wyborze tego miejsca kierowały jednak Martinem inne pobudki.

– Davida łączyły z tym miejscem jakieś wspomnienia. Nigdy mi nie powiedział, co tam się wydarzyło, ale wiem, że tamta okolica miała dla niego szczególne znaczenie. David żył przeszłością. Kiedy nadeszły zimowe mrozy,

Alfons poradził nam, żebyśmy wyjechali, i dał nam pieniądze na dalszą drogę. Ludzie zaczęli już coś gadać. David znał jakieś ustronie na wybrzeżu, gdzie inny jego dawny i bardzo zamożny przyjaciel, Pedro Vidal się nazywał, miał dom, który zdaniem Davida mógł być dobrą kryjówką, przynajmniej do lata. David bardzo dobrze znał ten dom. Myślę, że już kiedyś w nim mieszkał.

– Czy to było to miasteczko, gdzie odnaleziono cię parę miesięcy później? Sant Feliu de Guíxols?

– Dom znajdował się parę kilometrów od miasteczka, w miejscu, które nazywało się S'Agaró, przy zatoce Sant Pol.

– Znam to miejsce.

– Dom wznosił się pośród skał, w skupisku dużych letnich rezydencji należących do zamożnych rodzin z Barcelony i Gerony, przy drodze zwanej El Camino de la Ronda. W zimie nikt tam nie mieszkał.

– I tam spędziliście tę zimę?

– Tak. Tak, dopóki nie nadeszła wiosna.

– Kiedy cię odnaleziono, byłaś sama, nie było z tobą Martina. Co się z nim stało?

– Nie chcę o tym mówić.

– Jeśli chcesz, możemy zrobić przerwę. Poproszę doktora, żeby coś ci dał.

– Chcę stąd wyjść.

– Rozmawialiśmy już o tym, Ariadno. Tu jesteś bezpieczna i chroniona.

– Kim pan jest?

– Ja jestem Leandro. Dobrze o tym wiesz. Jestem twoim przyjacielem.

– Ja nie mam przyjaciół.

– Jesteś zdenerwowana. Myślę, że na dziś wystarczy. Lepiej będzie, jak trochę odpoczniesz. Poproszę doktora, żeby przyszedł do ciebie.

W apartamencie hotelu Palace zawsze był wtorek.

– Dobrze dziś wyglądasz, Ariadno.

– Bardzo boli mnie głowa.

– To pogoda. Jest bardzo niskie ciśnienie. Mnie też się to zdarza. Weź, zażyj

tabletkę, zaraz ci przejdzie.

– Co to?

– Aspiryna. Nic takiego. A wracając do naszych rozmów, sprawdziliśmy to, co opowiedziałaś mi o rezydencji S'Agaró. W rzeczy samej stanowiła własność don Pedra Vidala, członka jednej z najznamienitszych rodzin barcelońskich. Według tego, co zdołaliśmy ustalić, był on kimś w rodzaju mentora Davida Martina. Raport policji stwierdza, że David Martín zamordował go w jego domu w Pedralbes w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym, a powodem miało być małżeństwo Vidala z ukochaną Martina, niejaką Cristiną.

– To nieprawda. Vidal popełnił samobójstwo.

– David Martín tak ci to przedstawił? Wygląda na to, że był mściwym człowiekiem. Valls, Vidal... Ludzie z zazdrości popadają w szaleństwo.

– David kochał Isabellę.

– Tak, mówiłaś mi. Ale to nie pasuje do faktów opisanych w posiadanej przez nas dokumentacji. Co go łączyło z Isabellą?

– Była jego uczennicą.

– Nie wiedziałem, że pisarze mają uczniów.

– Isabella była bardzo uparta.

– Martín ci to powiedział?

– David dużo o niej mówił. To go trzymało przy życiu.

– Przecież Isabella nie żyła już od prawie dziesięciu lat.

– Czasem o tym zapomniał. Dlatego tam wrócił.

– Do domu w S'Agaró?

– David już tam był, z nią właśnie.

– A wiesz, kiedy to było?

– Tuż przed wybuchem wojny. Zanim musiał uciekać do Francji.

– I to jest przyczyna, dla której wrócił do Hiszpanii, chociaż wiedział, że jest poszukiwany? Ze względu na Isabellę?

– Chyba tak.

– A jak spędzaliście tam czas? Co robiliście?

– David był już bardzo chory. Kiedy się tam wprowadziliśmy, prawie nie rozróżniał rzeczywistości od tego, co słyszał i widział w swojej wyobraźni. Dom wywoływał u niego dużo wspomnień. Sądzę, że tak naprawdę wrócił, żeby tam umrzeć.

– Czy to znaczy, że David Martín nie żyje?

– A jak się panu wydaje?

– Powiedz mi prawdę. Co robiłaś przez te kilka miesięcy?

– Opiekowałam się nim.

– Zdawało mi się, że to on miał się opiekować tobą.

– Dawid już nie był w stanie opiekować się kimkolwiek, a jeszcze mniej samym sobą.

– Ariadno, czy ty zabiłaś Davida Martina?

13

– Nie upłynął nawet miesiąc od naszego przyjazdu, a stan Davida znacznie się pogorszył. Byłam wtedy poza domem, wyszłam kupić coś do jedzenia. Codziennie rano przy tawernie del Mar parkował wóz obwoźnych sprzedawców. Z początku to David wędrował do wsi, żeby zrobić zakupy, ale w końcu przestał wychodzić z domu. Dręczyły go koszmarnie bóle głowy, mdłości, gorączka... W nocy snuł się po pokojach i majaczył. Sądził, że Corelli po niego przyjdzie.

– Widziałaś kiedyś Corellego?

– Corelli nie istniał. Był wytworem jego wyobraźni.

– Jesteś tego pewna?

– Vidalowie zbudowali na plaży niewielkie drewniane molo. David bardzo lubił siadywać na jego krańcu i wpatrywać się w morze. Tam właśnie prowadził swoje wyimaginowane dialogi z Corellim. Czasem ja też

schodziłam na plażę i siadałam obok niego. David nawet nie zauważał mojej obecności. Słyszałam, jak rozmawia z Corellim, tak jak rozmawiał z nim w samochodzie, kiedy uciekaliśmy z Madrytu. Potem otrząsał się z transu i uśmiechał się do mnie. Któregoś dnia zaczęło padać, wzięłam go więc za rękę, żeby zaprowadzić do domu. Objął mnie z płaczem i nazwał Isabellą. Od tamtej pory przestał mnie poznawać, przeżył ostatnie dwa miesiące przekonany, że mieszka z Isabellą.

– To musiało być dla ciebie bardzo trudne.

– Nie. Te miesiące, kiedy się nim opiekowałam, były najpiękniejszymi, chociaż najsmutniejszymi w moim życiu.

– Ariadno, kiedy umarł David Martín?

– Pewnej nocy zapytałam go, kim jest Corelli i czemu tak bardzo się go boi. Wyjaśnił, że Corelli to mroczna dusza, tak dokładnie brzmiały jego słowa. David zawarł z nim pakt, miał dla niego napisać książkę, ale zdradził go i zniszczył rękopis, zanim wpadł w ręce Corellego.

– Co to była za książka?

– Dokładnie nie wiem. Jakiś tekst religijny lub coś w tym stylu. David mówił, że miała nosić tytuł *Lux Aeterna*.

– Więc David sądził, że Corelli chce się na nim zemścić.

– Tak.

– W jaki sposób, Ariadno?

– A czy to ważne? Ta historia nie ma nic wspólnego z Vallsem ani z niczym innym.

– Wszystko jest powiązane, Ariadno. Proszę, pomóż mi.

– David sądził, że dziecko, które nosiłam w łonie, to był ktoś, kogo znał i stracił.

– Powiedział, kto to był?

– Nazywał ją Cristiną. Rzadko o niej wspominał. Ale kiedy to robił, w tonie jego głosu wyczuwałam poczucie winy i wyrzuty sumienia.

– Cristina była żoną Pedra Vidala. Policja podejrzewała, że ją też zamordował. A dokładnie utopił w jeziorze w Puigcerdá, niedaleko domu w Pirenejach, do którego cię przywiózł.

– To kłamstwo.

– Niewykluczone, że masz rację. Sama jednak przyznajesz, że kiedy o niej mówił, dręczyły go wyrzuty sumienia...

– David był dobrym człowiekiem.

– Ale wspomniałaś, że kompletnie stracił rozum, że wyobrażał sobie nieistniejące osoby i zdarzenia, wierzył, że jesteś jego dawną uczennicą Isabellą, która nie żyła od dziesięciu lat... Nie bałaś się o swoje bezpieczeństwo? O swoje dziecko?

– Nie.

– Nie mów mi, że nigdy nie przyszło ci do głowy opuścić ten dom i uciec od niego.

– Nie.

– Rozumiem. I co się wówczas stało?

14

– Był chyba koniec marca. David od kilku dni czuł się lepiej. Z szopy koło domu wyciągnął niewielką drewnianą łódkę i prawie codziennie rano wypływał w morze. Ja byłam w siódmym miesiącu i czytałam całymi dniami. W domu była ogromna biblioteka, znalazłam w niej prawie wszystkie powieści Juliana Caraxa, ulubionego pisarza Davida. Kiedy się ściemniało, rozpalaliśmy w kominku, siadaliśmy w salonie i czytałam mu na głos. Przeczytaliśmy wszystkie książki Caraxa. Na koniec zostawiliśmy sobie *Cień wiatru*, jego ostatnią powieść.

– Nie znam jej.

– Prawie nikt jej nie zna. Ludzie myślą, że ją znają, ale się mylą. Po kilku dniach pewnej nocy skończyliśmy ją czytać. Położyłam się nad ranem i po dwóch godzinach poczułam pierwsze skurcze.

– Byłaś dopiero w siódmym miesiącu.

– Bolało mnie potwornie, jakby ktoś wbijał mi nóż w brzuch. Wpadłam w panikę. Zawołałam Davida. Kiedy odkrył kołdrę, żeby wziąć mnie na ręce i zanieść do samochodu, zobaczyliśmy, że prześcieradło jest całe we krwi.

– Bardzo mi przykro.

– Wszystkim było przykro.

– Pojechaliście do lekarza?

– Nie.

– A dziecko?

– To była dziewczynka. Urodziła się martwa.

– Bardzo ci współczuję, Ariadno. Może skończymy na dziś i poproszę doktora, żeby ci coś dał?

– Nie, nie chcę przerywać w tym momencie.

– Dobrze. Co się stało potem?

– David...

– Nie musisz się spieszyć.

– David wziął martwe dziecko w ramiona i zaczął wyc jak ranne zwierzę. Dziewczynka była sina, przypominała popsutą lalkę. Chciałam wstać i przytulić ich oboje, ale byłam zbyt słaba. Kiedy zaczęło świtać, David wziął ciało dziewczynki, spojrzał na mnie po raz ostatni i poprosił, żebym mu wybaczyła. I wyszedł z domu. Z trudem dowlokłam się do okna. Zobaczyłam, jak schodzi po stopniach wykutych w skale aż do mołu. Drewniana łódka była zacumowana na jego krańcu. Wsiadł do niej z ciałem dziewczynki owiniętym w jakiś materiał i wypłynął w morze, cały czas na mnie patrząc. Pomachałam mu, mając nadzieję, że wróci. On wiosłował nadal, przestał dopiero sto metrów od brzegu. Słońce wynurzyło się zza horyzontu, barwiąc wodę na kolor ognia. Widziałam, jak David wstaje i podnosi coś z dna łódki. Zaczął z całej siły uderzać w kil. W kilka minut łódź poszła na dno. David siedział bez ruchu z martwą dziewczynką w ramionach i patrzył na mnie, dopóki morze nie pochłonęło go na zawsze.

– Co wówczas zrobiłaś?

– Przez dwa dni leżałam z gorączką, zdawało mi się, że to wszystko było złym snem i że David wróci. Straciłam wiele krwi, byłam bardzo osłabiona.

Potem, kiedy mogłam już wstać, chodziłam codziennie na plażę. Czekałam.

– Na co czekałaś?

– Na ich powrót. Pomyśli pan pewnie, że jestem równie szalona jak David.

– Nie. Wcale tak nie myślę.

– Obwoźni sprzedawcy zobaczyli mnie któregoś dnia i podeszli zapytać, czy wszystko ze mną w porządku. Dali mi coś do jedzenia. Powiedzieli, że źle wyglądam, i zaproponowali, że zawiozą do szpitala w Sant Feliu. To pewnie oni zawiadomili Gwardię Obywatelską. Patrol znalazł mnie śpiącą na plaży. Byłam wyziębiona, miałam początki zapalenia oskrzeli i krwotok wewnętrzny. Gdybym nie trafiła wtedy do szpitala, nie przeżyłabym kolejnych dwunastu godzin. Nie powiedziałam nikomu, kim jestem, ale sami szybko do tego doszli. We wszystkich komisariatach mieli komunikaty poszukiwawcze z moim zdjęciem. W szpitalu spędziłam dwa tygodnie.

– Czy twoi rodzice nie przyjechali cię odwiedzić?

– To nie byli moi rodzice.

– Mówię o Ubachach.

– Nie. Kiedy w końcu mnie wypisano, dwaj policjanci zawieźli mnie karetką do pałacyku Ubachów w Madrycie.

– Jak Ubachowie zareagowali na twój powrót?

– Pani, bo tak kazała mi się do siebie zwracać, splunęła mi w twarz i wyzywała od przeklętych dziwek. Ubach kazał mi przyjść do swojego gabinetu. Przez cały czas rozmowy ani razu na mnie nie spojrzął. Oświadczył, że wysyłają mnie do szkoły z internatem w Eskurialu, że będę mogła przyjechać na kilka dni w Boże Narodzenie, o ile oczywiście zasłużę sobie na to przyzwoitym zachowaniem. Następnego dnia zawieźli mnie do internatu.

– Ile czasu tam spędziłaś?

– Trzy tygodnie.

– Dlaczego tak niewiele?

– Dyrekcja internatu dowiedziała się, że opowiedziałam o wszystkim koleżance z pokoju, Annie Marii.

– Co jej opowiedziałaś?

– Wszystko.

- Włącznie z kradzieżą dzieci?
- Wszystko.
- I uwierzyła ci?
- Tak. Ją spotkało coś podobnego. Prawie wszystkie dziewczynki z internatu miały za sobą podobne historie.
- Co się z nią stało?
- Powiesiła się na strychu kilka dni później. Miała szesnaście lat.
- Samobójstwo?
- Tak pan sądzi?
- A tobie co zrobili?
- Odwieźli mnie z powrotem do Ubachów.
- I?
- Ubach mnie pobił i zamknął w pokoju. Zagroził, że jeśli będę nadal opowiadać o nim kłamstwa, umieści mnie w szpitalu psychiatrycznym i zostawi tam do końca życia.
- I co mu odpowiedziałaś?
- Nic. Tej samej nocy, kiedy położyli się spać, wymknęłam się przez okno. Zamknęłam na klucz ich sypialnię na trzecim piętrze. Potem pobiegłam do kuchni, odkręciłam gaz. Przyniosłam z piwnicy kanistry, w których przechowywali naftę do agregatu, i wylałam wszystko na podłogę i ściany pierwszego piętra. Na koniec podpaliłam zasłony i wyszłam do ogrodu.
- Nie uciekłaś?
- Nie.
- Dlaczego?
- Chciałam zobaczyć, jak płoną.
- Rozumiem.
- Nie sądzę, żeby pan to rozumiał. Ale powiedziałam panu całą prawdę. A teraz chcę o coś zapytać.
- Słucham.
- Gdzie jest moja siostra?

– Twoja siostra ma teraz na imię Mercedes i znajduje się w bezpiecznym miejscu.

– Takim jak to?

– Nie.

– Chcę się z nią zobaczyć.

– Niedługo się spotkacie. Ale teraz opowiedz mi o swoim mężu, Ignaciu Sanchisie. Nie rozumiem, dlaczego Miguel Ángel Ubach, mający na swych usługach najznamienitsze kancelarie prawne w kraju, postanowił uczynić wykonawcą swojego testamentu młodzieńca obiecującego wprawdzie, ale z niewielkim doświadczeniem. Domyślasz się, czemu to zrobił?

– Czyż to nie oczywiste?

– Nie.

– Ignacio był nieślubnym synem Ubacha. Jego matką była tancerka występująca w kabaretach Paralelo, nazywała się Dolores Ribas. Żona Ubacha nie chciała mieć dzieci, bała się, że straci figurę. A Ubach utrzymywał wszystko w tajemnicy. Opłacił synowi studia, załatwił pracę w kancelarii adwokackiej, z której usług sam potem korzystał.

– Sanchís o tym wiedział? Wiedział, że Ubach jest jego prawdziwym ojcem?

– Oczywiście.

– Dlatego się z tobą ożenił?

– Ożenił się ze mną, żeby mnie chronić. Był moim jedynym przyjacielem. Przyzwoitym, uczciwym człowiekiem. Jedynym, jakiego w życiu znałam.

– Więc to było fikcyjne małżeństwo?

– Najprawdziwsze, jakie kiedykolwiek widziałam, ale jeśli już chce pan koniecznie wiedzieć, nie, nie sypialiśmy ze sobą.

– Kiedy zaczęliście obmyślać plan zemsty?

– Ignacio, mając jako adwokat Ubachów dostęp do wszystkich ich dokumentów, szybko odkrył sekrety z przeszłości Vallsa. I to on wpadł na ten pomysł. Próbując odtworzyć historię mojego prawdziwego ojca Victora Mataixa, natrafiliśmy na wzmianki o jego towarzyszach niedoli, Davidzie Martinie, Sebastianie Salgado oraz niejakim Morgadzie, którego mój mąż zatrudnił jako szofera i ochroniarza. Ale o tym już rozmawialiśmy, prawda?

– Nieważne. To on wymyślił, żeby posłużyć się widmem Davida Martina i napędzić Vallsowi strachu?

– Nie. To był mój pomysł.

– Kto pisał listy, które wysyłałiście do Vallsa?

– Ja.

– Co właściwie wydarzyło się w listopadzie tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku w madryckim Círculo de Bellas Artes?

– Nasze listy nie odniosły skutku, na jaki liczyliśmy. Chcieliśmy, aby Valls uwierzył, że istnieje spisek, którego motorem jest David Martín. Że konspiratorzy chcą się na nim zemścić, ujawniając mroczne sekrety z jego przeszłości.

– Po co?

– Mieliśmy nadzieję, że popełni błąd. Że wróci do Barcelony, żeby osobiście rozprawić się z Martinem.

– W końcu się wam udało.

– Tak, ale musieliśmy wywrzeć większą presję.

– Taki był cel zamachu w pięćdziesiątym szóstym?

– Między innymi.

– Kto się tego podjął?

– Morgado. Nie chodziło o to, żeby naprawdę go zabić. Chcieliśmy go tylko nastraszyć. Valls miał odnieść wrażenie, że nie jest bezpieczny i nie będzie dopóty, dopóki nie pojedzie do Barcelony uciszyć Martina raz na zawsze.

– Ale nigdy nie miał go znaleźć. Bo David Martín nie żył.

– W rzeczy samej.

– Co jeszcze zrobiliście, żeby go przycisnąć?

– Ignacio zapłacił komuś z domowej służby Vallsa za to, żeby w noc balu maskowego w Villi Mercedes podrzucił do gabinetu jedną z powieści mojego ojca zatytułowaną *Ariadna i Szkarłatny Księżę*. Do książki dołączyłam notkę i listę z numerami sfałszowanych aktów zgonu i urodzenia, które zdołaliśmy do tej pory odkryć. Więcej nie było trzeba. Tego już nie wytrzymał.

– Czemu nie poszliście na policję, nie powiadomiliście prasy?

– Proszę mnie nie rozśmieszać.

– Powróćmy więc do tematu listy.

– Powiedziałaś już panu wszystko, co wiem. Dlaczego ta lista jest dla pana taka ważna?

– Chodzi o to, żeby dotrzeć do samego dna sprawy. Żeby uczynić zadość sprawiedliwości. Znaleźć architekta tego koszmaru, który przeżyłaś ty i wiele innych dzieci.

– Wspólnika Vallsa?

– Tak. Dlatego tak bardzo nalegam.

– Co chce pan wiedzieć?

– Proszę cię, żebyś zdobyła się na wysiłek i spróbowała sobie przypomnieć, czy na tej liście były tylko cyfry. A nazwiska dzieci?

– Nie. Tylko cyfry.

– Pamiętasz ile? Mniej więcej?

– Około czterdziestu numerów.

– Jak je zdobyliście? Skąd przypuszczenie, że więcej dzieci zostało odebranych rodzicom zamordowanym na rozkaz Vallsa?

– Dowiedzieliśmy się o tym od Morgada. Kiedy Valentín zaczął dla nas pracować, opowiedział nam, że słyszał o całych zaginionych rodzinach. Tak stało się z bliskimi wielu jego więziennych towarzyszy, którzy zmarli w zamkowych celach. Ich żony i dzieci zniknęły bez śladu. Ignacio poprosił Valentina o listę nazwisk i polecił mecenasowi Briansowi, żeby dyskretnie spróbował sprawdzić w Urzędzie Stanu Cywilnego, co stało się z tymi wszystkimi osobami. Najłatwiejsze do znalezienia okazały się akty zgonu. Kiedy Brians zobaczył, że wszystkie wystawiono w tym samym dniu, zaczął

coś podejrzewać i sprawdził wystawione wówczas akty urodzenia.

– Zdolny facet z tego Briansa. Nie każdy wpadłby na ten pomysł...

– Kiedy dokonaliśmy tego odkrycia, pomyśleliśmy, że skoro Valls zrobił to, co zrobił, niewykluczone, że w całym kraju zdarzało się to znacznie częściej. W innych więzieniach. Setki takich przypadków. Być może nawet tysiące.

– Opowiedzieliście komuś o swoich podejrzaniach?

– Nie.

– I nie badaliście więcej tropów?

– Ignacio chciał się tym zająć. Ale został aresztowany.

– A co się stało z oryginalną listą?

– Zabrał ją ten człowiek, Hendaya.

– Istnieją jakieś kopie?

Victoria pokręciła głową.

– Ty albo twój mąż nie zrobiliście żadnej? Na wszelki wypadek?

– Wszystkie, które sporządziliśmy, mieliśmy w domu. Hendaya je znalazł i natychmiast zniszczył. Uważał, że tak będzie najlepiej. Naprawdę interesowało go tylko to, gdzie trzymamy Vallsa.

– Jesteś tego pewna?

– Całkowicie. Mówiłam to już panu wiele razy.

– Tak, tak, racja. Ale wciąż, sam nie wiem dlaczego, nie potrafię ci zaufać. Okłamałaś mnie, Ariadno? Powiedz mi prawdę.

– Powiedziałam panu wszystko, co wiem. Nie jestem jednak pewna, czy pan był ze mną równie szczery.

Leandro spojrzał na nią beznamiętnym wzrokiem, jakby dopiero teraz zwrócił uwagę na jej obecność. Uśmiechnął się lekko i pochylił do przodu.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Ariadno.

Oczy zaszyły jej łzami, a słowa popłynęły z ust, zanim zdała sobie sprawę, co mówi.

– Sądzę, że wie pan doskonale. Pan był w tym samochodzie, prawda? Tego dnia, kiedy przyjechali aresztować mojego ojca, a przy okazji zabrali moją siostrę i mnie. Pan był współnikiem Vallsa. Jego czarną ręką.

Leandro spojrział na nią smutno.

– Mam wrażenie, że mylisz mnie z kim innym, Ariadno.

– Czemu...? – zapytała słabym głosem.

Leandro wstał i zbliżył się do niej.

– Byłaś bardzo odważna, Ariadno. Jestem ci niezwykle wdzięczny za pomoc. Nie chcę, żebyś o cokolwiek się martwiła. Bardzo się cieszę, że cię poznałem.

Ariadna uniosła głowę i ujrzała uśmiech Leandra, słodki jak balsam spokoju i miłosierdzia. Zapragnęła się w nim zatracić, usnąć i nigdy więcej się nie obudzić. Leandro pochylił się i pocałował ją w usta.

Miał lodowate wargi.

Tamtej nocy, kiedy magiczna mikstura lekarza rozpływała się po żyłach Ariadny, przyśnił się jej Szkarłatny Książę z powieści, które napisał dla niej ojciec, i wszystko sobie przypomniała. Upłynęło wiele lat i już prawie nie pamiętała twarzy rodziców ani siostry. Rozpoznawała je tylko w snach, przenoszących ją nieodmiennie do dnia, kiedy przyjechali aresztować ojca i porwać ją i Sonię, zostawiając umierającą z rozpaczyny matkę w domu w Vallvidrerze.

Znów przyśnił się jej warkot silnika samochodu nadjeżdżającego wśród drzew. Potem dobiegające sprzed domu echo głosu ojca. Wyjrzała przez okno wychodzące na ogród i zobaczyła karocę Szkarłatnego Księcia zatrzymującą się przy fontannie. Drzwiczki karocy otworzyły się i światło zmieniło się w ciemność.

Ariadna poczuła dotyk lodowatych ust na czole. Cichy głos niczym trucizna przeniknął przez ściany. Chciała pobiec do siostry i schronić się z nią w szafie, ale Szkarłatny Książę widział wszystko i wszystko wiedział. Skulona w mroku usłyszała zbliżające się kroki architekta wszystkich swoich nocnych koszmarów.

Wyprzedzał go przenikliwy aromat wody kolońskiej i zapach tytoniu. Valls usłyszał kroki zbliżające się po schodach, ale postanowił, że nie da mu satysfakcji. W przegranych bitwach jedynym możliwym zwycięstwem jest okazywanie obojętności.

– Wiem, że nie śpisz – powiedział po chwili Hendaya. – A jeśli będziesz udawał, wyleję ci na głowę kubeł zimnej wody.

Valls otworzył oczy. Papierosowy dym delikatnie połyskiwał w półmroku, kreśląc w powietrzu galaretowate figury. Blask żarzącego się tytoniu odbijał się w spojrzeniu Hendai.

– Czego pan chce?

– Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Może papieroska? Mówią, że palenie skraca życie.

Valls wzruszył ramionami. Hendaya się uśmiechnął, zapalił papierosa i podał mu przez kraty. Valls wziął go drżącymi palcami i się zaciągnął.

– O czym mielibyśmy rozmawiać?

– O liście.

– O jakim liście?

– Nie udawaj głupiego. Wiesz dobrze, że pytam o listę. Miałeś ją przy sobie tej nocy, kiedy cię porwano. O tej, na której widniało około czterdziestu numerów aktów urodzenia i zgonu. Doskonale wiesz, o jaką listę mi chodzi.

– Już jej nie mam. To jej szuka Leandro? Bo dla niego pan pracuje, prawda?

Hendaya usiadł znów na schodach i spojrzał obojętnie na więźnia.

– Zrobiłeś kopię?

Valls pokręcił głową.

– Jesteś pewien? Zastanów się dobrze.

– Być może zrobiłem.

– Gdzie ona jest?

– Miał ją Vicente. Mój ochroniarz. Zanim dotarliśmy do Barcelony, zatrzymaliśmy się na chwilę na stacji benzynowej. Poprosiłem Vicente, żeby

kupił zeszyt, i sporządziłem kopię listy, żeby też ją miał na wypadek, gdyby coś się wydarzyło i musielibyśmy się rozdzielić. Miał zaufanego człowieka w mieście, zamierzał go poprosić o znalezienie oryginalnych dokumentów i zniszczenie ich, kiedy już pozbedziemy się Martina. Mieliśmy też dowiedzieć się, komu Martín o tym mówił. Taki był plan.

– A co się stało z tą kopią?

– Nie wiem. Miał ją Vicente. Nie mam pojęcia, co zrobili z jego ciałem.

– A poza kopią Vicente istniała jakaś inna?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Wiesz, że jeśli mnie okłamujesz albo coś przede mną ukrywasz, będę cię tu trzymać, jak długo zapragnę?

– Nie kłamię.

Hendaya pokiwał głową. Zapadło długie milczenie. Valls przestraszył się, że jego oprawca zaraz zniknie i zostawi go samego na dwanaście godzin albo dłużej. Krótkie wizyty Hendai były jedynym godnym odnotowania zdarzeniem w ciągu całego dnia.

– Dlaczego mnie jeszcze nie zabiliście?

Hendaya uśmiechnął się tak, jakby od dawna oczekiwał tego pytania i miał na nie starannie przygotowaną odpowiedź.

– Bo sobie na to nie zasłużyłeś.

– Leandro tak bardzo mnie nienawidzi?

– Pan Montalvo nie darzy nienawiścią nikogo.

– Co mam zrobić, żeby zasłużyć na śmierć?

Hendaya patrzył na niego z niekłamany zaciekawieniem.

– Z mojego doświadczenia wynika, że ci, którzy najbardziej się zarzekają, że pragną jedynie śmierci, kiedy spojrzą jej w twarz, w ostatniej chwili zmieniają zdanie i błagają na klęczkach, żeby darować im życie.

– W oczy.

– Słucham?

- Przysłowie mówi o spoglądaniu śmierci w oczy. Nie w twarz.
 - Ciągle zapominam, że gościmy tu słynnego literata.
 - Tym właśnie jestem? Gościem Leandra?
 - Ty nie jesteś już nikim. A kiedy śmierć po ciebie przyjdzie, z pewnością spojrzy ci głęboko w oczy.
 - Jestem gotów.
 - Wcale się nie dziwię. Nie myśl, że nie rozumiem twojej sytuacji, wiem, o czym rozmyślasz.
 - Współczujący rzeźnik.
 - Po sobie złodzieje miarkują, że inni też rabują. Jak widzisz, hiszpańskie przysłowia wcale nie są mi obce. Proponuję ci układ. Między tobą a mną. Jeśli będziesz grzeczny i mi pomożesz, osobiście cię zabiję. Szybko i profesjonalnie. Strzałem w tył głowy. Nawet się nie zorientujesz. Co ty na to?
 - A co miałbym zrobić w zamian?
 - Podejź tu. Chcę ci coś pokazać.
- Valls zbliżył się do krat celi. Hendaya szukał czegoś w kieszeni marynarki, a minister modlił się, żeby był to rewolwer, który zakończy jego udrękę. Niestety policjant wyjął tylko fotografię.
- Wiem, że ktoś tu był. Nie próbuj zaprzeczać. Spójrz na zdjęcie i powiedz mi, czy tę właśnie osobę widziałeś.
- Hendaya wyciągnął do niego fotografię. Valls pokiwał głową.
- Kto to jest?
 - Nazywała się Alicja Gris.
 - Nazywała? Więc nie żyje?
 - Tak, chociaż jeszcze o tym nie wie – odparł Hendaya, chowając fotografię.
 - Mogę ją zatrzymać?
- Zdumiony Hendaya ściągnął brwi.
- Nie sądziłem, że jesteś taki sentymentalny.
 - Bardzo proszę!

– Brakuje ci kobiecego towarzystwa, tak?

Hendaya uśmiechnął się złośliwie i z pogardą wrzucił zdjęcie do celi.

– Cała twoja. Muszę przyznać, że na swój sposób jest śliczna. Będziesz mógł spoglądać na nią co noc i oburącz bawić się fiutem. Oj, przepraszam, niestety tylko jedną ręką.

Valls spojrział na niego obojętnie.

– Masz być nadal grzeczny i zbierać punkty. Podaruję ci nabój dum-dum na pożegnanie jako rekompensatę za służbę ojczyźnie.

Valls zaczekał, aż Hendaya zniknie na schodach. Potem uklęknął i podniósł fotografię.

17

Ariadna natychmiast po przebudzeniu uświadomiła sobie, że ten dzień ma być dniem jej śmierci. Zrozumiała to, kiedy tylko otworzyła oczy, rozejrzała się po apartamencie hotelu Palace i odkryła, że podczas kiedy spała, któryś ze zbirów Leandra zostawił na biurku przewiązaną wstążką paczkę. Wyszła spod kołdry i chwiejnym krokiem powłokła się do biurka. Pudełko było duże, białe, na jego pokrywce widniał wytłoczony złotymi literami napis PERTEGAZ. Odwiązała kokardę, pod pokrywą pudełka znalazła kopertę ze swoim odręcznie zapisanym imieniem. Wyjęła z niej liścik następującej treści:

Droga Ariadno,

nadszedł wreszcie wyczekiwany przez Ciebie dzień, kiedy będziesz mogła znów spotkać się ze swoją siostrą. Pomyślałem, że wolałabyś ładnie wyglądać na tę okazję. Chciałbym, żebyś odpowiednio uczciła to, że sprawiedliwość zwyciężyła i już nigdy nie będziesz

musiała się nikogo obawiać. Mam nadzieję, że Ci się spodoba. Osobiście ją dla Ciebie wybrałem.

Łączę serdeczne uściski

Leandro

Ariadna pogładziła pudełko, zanim zdecydowała się je otworzyć. Przez chwilę wyobrażała sobie, że po jego ściankach wspina się jadowity wąż, gotowy ją ukąsić, kiedy tylko podniesie pokrywkę. Uśmiechnęła się. Wnętrze wysłane było cieniutką bibułą. Uniosła pierwszą warstwę i znalazła komplet bielizny z białego jedwabiu oraz pończochy. Pod nimi leżała dzianinowa sukienka koloru kości słoniowej i dobrane do niej buty, torebka i apaszka. Leandro chciał wysłać ją na śmierć w stroju niepokalanej dziewicy.

Umyła się sama, bez pomocy pielęgniarek. Potem niespiesznie przywdziała kreację, którą wybrał dla niej Leandro na spotkanie ze śmiercią, i przejrzała się w lustrze. Do kompletu brakowało jej tylko białej trumny i krucyfiksu w dłoniach. Usiadła w fotelu, zastanawiając się, ile dziewczyc w białych sukniach przewinęło się wcześniej przez czyściec tego luksusowego apartamentu, ile pakunków z najelegantszymi ubraniami z domu mody Pertegaz zakupił Leandro, pożegnawszy się ze swoimi wybrankami pocałunkiem w czoło.

Nie upłynęło wiele czasu, a usłyszała zgrzyt obracanego w zamku klucza. Drzwi otworzyły się i stanął w nich jowialny doktor o twarzy zatroskanego lekarza rodzinnego. Uśmiech nie schodził z jego ust. W ręku trzymał swoją walizeczkę pełną cudownych medykamentów.

– Dzień dobry, Ariadno. Jak się pani czuje?

– Dziękuję, panie doktorze. Bardzo dobrze.

Podszedł do niej powoli i położył walizeczkę na biurku.

– Pięknie pani dziś wygląda. Słyszałem, że właśnie nastął ten wielki dzień.

– Tak. Mam się spotkać z rodziną.

– Wspaniała wiadomość. Rodzina jest najważniejsza na świecie. Pan Leandro polecił mi przekazać, że bardzo przeprasza, ale nie mógł się dziś stawić osobiście. Musiał niespodziewanie wyjechać w pilnych sprawach.

Powiem mu, że wyglądała pani olśniewająco.

– Dziękuję.

– Może zrobimy zastrzyk, żeby dodać pani trochę sił?

Ariadna posłusznie wyciągnęła do niego obnażone ramię. Doktor uśmiechnął się, otworzył czarną walizeczkę i wyjął z niej skórzane etui, które położył na stole. Ariadna rozpoznała dwanaście ponumerowanych ampułek spiętych gumką i metalowe pudełko na strzykawkę. Doktor pochylił się nad nią i delikatnie chwycił ją za ramię.

– Za pozwoleniem.

Zaczął przyglądać się skórze usianej bliznami i siniakami po niezliczonych zastrzykach. Przyglądał się żyłom na zgięciu łokciowym, nadgarstku, dłoni, stukał w nie delikatnie palcem, nie przestając się do niej uśmiechać. Ariadna spojrzała mu w oczy i uniosła sukienkę, żeby pokazać mu uda. Na nich też miała ślady po wkłuciach, ale znacznie mniej.

– Może pan spróbować tutaj.

Doktor, udając zmieszanie i wstyd, pokiwał głową.

– Dziękuję. Myślę, że tak będzie lepiej.

Przyglądała się, jak przygotowuje zastrzyk. Wybrał ampułkę numer dziewięć. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby nabierał lekarstwo z tej właśnie ampułki. Kiedy strzykawka była gotowa, doktor zaczął szukać żyły po wewnętrznej stronie lewego uda, tuż nad jedwabną pończochą, którą właśnie włożyła po raz pierwszy.

– Na początku może trochę zabolec i poczuje pani zimno. Ale to potrwa tylko kilka sekund.

Ariadna patrzyła, jak doktor w skupieniu zbliża strzykawkę do jej skóry. Kiedy już prawie wbijał jej igłę w udo, zauważyła:

– Dziś nie przetał mi pan skóry spirytusem, doktorze.

Zaskoczony lekarz uniósł wzrok i uśmiechnął się skonfundowany.

– Ma pan córki, panie doktorze?

– Dwie, niech je Pan Bóg błogosławi. Pan Leandro jest ich ojcem chrzestnym.

Wszystko rozegrało się w sekundę. Zanim doktor skończył wymawiać te

słowa i wrócił do swojego zadania, Ariadna chwyciła go za rękę i wbiła mu igłę w gardło. W oczach pocziwego doktora odmalowało się niedowierzenie. Ramiona mu opadły, trząsł się cały z igłą wbitą w szyję. Zawartość strzykawki zabarwiła się na czerwono. Ariadna spojrzała doktorowi głęboko w oczy i opróżniła strzykawkę. Mężczyzna otworzył usta, ale jęk skargi uwiązł mu w gardle. Upadł na podłogę. Ariadna usiadła na krześle i patrzyła, jak umiera. Trwało to dwie, może trzy minuty.

Potem pochyliła się nad nim, wyjęła strzykawkę i wytarła ją o kłapy marynarki lekarza. Schowała ją z powrotem do metalowego opakowania, odłożyła ampułkę numer dziewięć na miejsce i zamknęła skórzane etui. Uklękła przy zwłokach doktora, przeszukała mu kieszenie i wyjęła portfel, w którym znalazła z tuzin stupeśetowych banknotów. Włożyła żakiet i kapelusz. W końcu zabrała klucze, które lekarz zostawił na stole, a etui z ampułkami i strzykawkę wrzuciła do białej torby. Przewiązała na szyi apaszkę i z torbą pod pachą wyszła z sypialni.

Salon apartamentu był pusty. Na stole, przy którym tyle razy jadła z Leandrem śniadanie, stał wazon, a w nim białe róże. Podeszła do drzwi. Były zamknięte. Wypróbowała kilka kluczy doktora, aż natrafiła na właściwy. Wyłożony dywanem korytarz, flankowany obrazami i posągami, przypominał luksusowy transatlantyk. Nie było na nim żywej duszy. Z któregoś z sąsiednich apartamentów dobiegał szum odkurzacza i dźwięki muzyki. Ariadna nie spieszyła się. Przeszła obok otwartych drzwi, zobaczyła hotelowy wózek i pokojówkę składającą brudne ręczniki. Przy windach spotkała parę w średnim wieku, odświętnie ubraną, która na jej widok natychmiast przerwała rozmowę.

– Dzień dobry – powiedziała Ariadna.

Mężczyzna i kobieta skinęli tylko głowami, a potem wbili wzrok w podłogę. Czekali w milczeniu. Kiedy drzwi windy w końcu się otworzyły, mężczyzna przepuścił Ariadnę, a jego towarzyszką obrzuciła go lodowatym spojrzeniem. Winda ruszyła na dół. Dama łypała na Ariadnę spode łba, krytycznie przyglądając się jej kreacji. Ariadna uśmiechnęła się do niej grzecznie, ona zaś odpowiedziała zimnym, złośliwym uśmiechem.

– Przypomina pani Evitę – powiedziała.

Ton jej głosu nie pozostawiał cienia wątpliwości co do tego, że nie jest to

bynajmniej komplement. Ariadna skromnie spuściła wzrok. Winda zatrzymała się na parterze. Para nie ruszyła się z miejsca, dopóki Ariadna nie opuściła kabiny.

– Pewnie luksusowa dziwka – usłyszała szept mężczyzny za plecami.

W hallu roiło się od gości. Ariadna zobaczyła butik z luksusowymi artykułami i natychmiast poszukała tam schronienia. Usłużna ekspedientka obrzuciła ją baczным spojrzeniem od stóp do głów i oszacowawszy koszt kreacji, którą miała na sobie Ariadna, uśmiechnęła się do niej, jakby były starymi przyjaciółkami. Pięć minut później Ariadna opuściła butik, zaopatrzony się w duże okulary przeciwsłoneczne zasłaniające jej pół twarzy. Usta umalowała najbardziej jaskrawoczerwoną szminką, jaką udało jej się znaleźć. Za sprawą kilku zaledwie dodatków zmieniła się z dziewczycy w luksusową kurtyzanę.

Dotarła wreszcie do schodów prowadzących na zewnątrz i czując, że goście, recepcjoniści, a nawet boye pożerają wzrokiem każdy centymetr jej ciała, zaczęła wkładać rękawiczki. Nie spiesz się, pomyślała. Zatrzymała się przed drzwiami, portier otworzył je, patrząc na nią z podziwem i uśmiechając się porozumiewawczo.

– Taksóweczka dla pani?

18

Całe życie w służbie medycynie nauczyło doktora Soldevilę, że najtrudniejszą do wyleczenia chorobą jest siła przyzwyczajenia. Tego wieczoru, jak co dzień od przekłętego dnia, kiedy przyszło mu do głowy, żeby zamknąć gabinet i poddać się najbardziej śmiertelnej pladze znanej ludzkości i odejść na zasłużoną emeryturę, poczciwy doktor wyściubił nos na balkon swojego mieszkania przy ulicy Puertaferri.

Dzień chylił się ku zachodowi. Na ulicach paliły się już latarnie, a niebo miało taki sam różowawy odcień, jak koktajle podawane w barze Boadas, na

które doktor pozwalał sobie od czasu do czasu, żeby zbyt nie rozpieścić wątroby, skądinąd traktowanej bardzo dobrze, gdyż medyk świecił przykładem zdrowego trybu życia. To był znak. Soldevila uzbroił się w płaszcz, szalik, neseser oraz kapelusz barcelońskiego dżentelmena i ruszył na swoje codzienne spotkanie z dziwną kobietą zwaną Alicją Gris, która, za sprawą intryg Fermina i rodziny Sempere, pojawiła się w jego życiu. Alicja budziła jego bezgraniczną ciekawość, czuł do niej słabość i nawet zdarzało mu się przy niej zapomnieć, że od trzydziestu lat nie dotykał niewiasty, która nie byłaby chora.

Szedł Ramblą, obojętny na zgiełk miasta, pogrążony w rozmyślaniach o tym, że panna Gris wyleczyła się ze swoich ran tak szybko wcale nie dzięki jego biegłości w sztuce medycznej, ale za sprawą eliksiru zła krążącego w żyłach tej istoty z cienia i mroków. Wkrótce, myślał ze smutkiem, będzie musiał stwierdzić, że leczenie dobiegło końca.

Mógłby wprawdzie próbować ją przekonać, żeby od czasu do czasu zajrzała do niego na wizytę kontrolną, ale zdawał sobie sprawę, że łatwiej byłoby namówić uwolnionego właśnie z klatki tygrysa bengalskiego do powrotu w każdą niedzielę rano, tuż przed mszą świętą, na miseczkę mleka. Najlepszym wyjściem dla wszystkich – z wyjątkiem samej Alicji – byłoby, gdyby jak najprędzej zniknęła z ich życia. Wystarczyło, że spojrzał jej w oczy, żeby postawić tę diagnozę, najtrafniejszą chyba w jego długiej karierze.

Tak wielka melancholia ogarnęła doktora na myśl o pożegnaniu ze swoją – z dużą dozą prawdopodobieństwa – ostatnią pacjentką, że kiedy skręcił w ulicę Arco del Teatro, nie zauważył pośród zasnuwających ją cieni jednego, bardzo szczególnego, który wydzielał przenikliwą woń wody kolońskiej i jasnego importowanego tytoniu.

Przez ostatni tydzień nauczył się odnajdywać samodzielnie tajemnicze drzwi, o których istnieniu nie mógł wspomnieć nawet samemu Duchowi Świętemu – Fermín nakazał mu to przysiąc, grożąc, że jeśli złamię przyrzeczenie, będzie go codziennie nawiedzał i opowiadał serię pikantnych dowcipów. „Lepiej, żeby chodził pan sam, doktorze”, powiedziano mu. Względem bezpieczeństwa, upierali się Sempere, których nigdy nie podejrzewał o skłonności do wikłania się w bizantyńskie intrygi tego kalibru. Człowiek spędza życie na grzebaniu w trzewiach swoich bliźnich, żeby na koniec dowiedzieć się, że nic już o nich nie wie. Życie, podobnie jak etiologia zapalenia wyrostka robaczkowego, kryło w sobie wiele nierozwikłanych

tajemnic.

Zatopiony w myślach doktor Soldevila wszedł na stopnie wiodące do starego pałacu, w którym kryło się miejsce zwane przez wtajemniczonych Cmentarzem Zapomnianych Książek, i zbliżył rękę do kołatki w kształcie diabła. Już miał zapukać, kiedy zmaterializował się przy nim cień, który śledził go od drzwi jego własnego mieszkania, i przyłożył mu do skroni rewolwer.

– Dobry wieczór, doktorze – powiedział Hendaya.

Isaac spoglądał na Alicję z odrobiną podejrzliwości. Nie był zbyt czułościowy, ale już kilka dni temu zauważył nie bez lęku, że w ciągu ostatnich tygodni narastało w nim coś, co niebezpiecznie przypominało przywiązanie. Winił za to starość, która zawsze człowieka rozmiękcza. Obecność Alicji znów obudziła w nim wątpliwość, czy aby na pewno decyzja, żeby odgrodzić się od świata i wybrać samotne życie pośród książek, była słuszna. Kiedy patrzył, jak zdrowieje i wraca do życia, coraz silniej odzywało się w nim wspomnienie Nurii. Wspomnienie to nigdy na dobre go nie opuściło, ale nie było tak dojmujące, póki obecność Alicji nie otworzyła starych ran, chociaż uważał je za dawno zabliźnione.

– Dlaczego pan tak na mnie patrzy, Isaacu?

– Bo jestem starym głupcem.

Alicja się uśmiechnęła. Isaac zauważył już wcześniej, że śmiejąc się, odsłania zęby, a w jej oczach skrzy się złośliwość.

– Ale bardziej głupcem, który się starzeje, czy starcem, który głupieje?

– Niech się pani ze mnie nie naśmiewa, Alicjo, chociaż sobie na to zasłużyłem.

Spojrzała na niego czule, a stary strażnik musiał odwrócić wzrok. Kiedy Alicja pozbywała się tej swojej mrocznej otoczki, choćby tylko na chwilę, tak bardzo przypominała mu Nurię, że smutek ścisnął go za gardło i brakło mu tchu.

Isaac pokazał jej drewniane etui.

– Co to jest? To dla mnie?

– Mały prezent na pożegnanie.

- Chce się pan mnie pozbyć?
- Nie, nie chcę.
- Czemu myśli pan, że zaraz odejdę?
- A nie mam racji?

Alicja nie odpowiedziała, ale przyjęła podarunek.

- Niech pani otworzy.

W środku znalazła złote pióro z hebanową obsadką i kałamarz z niebieskim atramentem, który połyskiwał w świetle lampy naftowej.

- Należało do Nurii?

Isaac pokiwał głową.

- To był prezent ode mnie na osiemnaste urodziny.

Alicja przyjrzała się pióru, było to prawdziwe cacko.

- Od lat nikt go nie używał – powiedział strażnik.
- Dlaczego nie zostawi pan go sobie?
- Ja nie mam nic do napisania.

Alicja już miała oponować, ale ktoś dwukrotnie zastukał do drzwi, echo tego dźwięku rozniosło się po pałacowych wnętrzach. Po pięciosekundowej przerwie stukanie rozległo się znowu.

- To doktor – powiedziała Alicja. – Już nauczył się kodu.

Isaac przytaknął i wstał.

- A mówią, że starego psa nie nauczysz nowych sztuczek.

Strażnik wziął lampę i ruszył korytarzem prowadzącym do wejścia. Na odchodnym powiedział:

- Proszę wziąć kartkę i je wypróbować.

Isaac przeszedł przez kręty korytarz z lampą naftową w ręku. Używał jej tylko wtedy, kiedy miał gości. Sam jej nie potrzebował. Znał to miejsce jak własną kieszeń i bez trudu poruszał się w zalegającym wnętrza wiecznym półmroku. Stanął przed drzwiami, postawił lampkę na podłodze i oburącz uniósł dźwignię uruchamiającą mechanizm otwierający drzwi. Zauważył, że przychodzi mu to z coraz większym trudem i że czuje w piersiach ciężar, którego nigdy wcześniej nie czuł. Być może jego rola w tym miejscu się

kończyła, powinien poszukać zastępcy na stanowisku strażnika i odejść na emeryturę.

Mechanizm zamka, równie stary jak samo miejsce, składał się z rozmaitych dźwigni, łańcuchów, zapadek i kół zębatach i otwieranie go trwało co najmniej kilkanaście sekund. Wreszcie Isaac pociągnął za pręt uruchamiający system ciężarków, pozwalający otworzyć solidne rzeźbione wrota bez trudu. Uniósł lampę naftową, żeby oświetlić drogę lekarzowi, i cofnął się trochę, ustępując mu przejścia. Postać doktora Soldevili ukazała się w progu.

– Jak zawsze punktualnie, panie doktorze – zagaił Isaac.

Sekundę później ciało lekarza runęło na podłogę u jego stóp i wyłoniła się zza niego wysoka i szczupła postać, która zastąpiła strażnikowi drogę.

– Kim pan...

Hendaya wycelował mu rewolwer między oczy i kopniakiem przesunął nieprzytomnego lekarza do środka.

– Niech pan zamknie drzwi.

Alicja zanurzyła pióro w kałamarzu i narysowała na kartce lśniąca niebieską kreskę. Napisała swoje imię i patrzyła, jak atrament powoli wysycha. Przyjemność obcowania z czystą stroną, która zawsze z początku wydziela woń sekretu i obietnicy, zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kiedy tylko zaczęła pisać pierwsze słowa, uświadomiła sobie, że z pisaniem jest podobnie jak z życiem, zamiary od wyników dzieli odległość wprost proporcjonalna do naiwności, z jaką stawiamy sobie te pierwsze, a osiągamy te ostatnie. Miała napisać zdanie, które zapamiętała z jednej ze swoich ulubionych książek, ale ręka zawisła jej nad biurkiem. Spojrzała na drzwi. Odłożyła pióro i wsłuchiwała się w dochodzące z korytarza dźwięki.

Od razu zorientowała się, że coś jest nie tak. Brak zwykłego szmeru rozmowy między Isaakiem a starym doktorem Soldevilą, niepewne echo nieregularnych kroków i zatruta cisza wyczuwalna w powietrzu sprawiły, że przeszły jej po plecach ciarki. Rozejrzała się wokół i przeklęła swój los. Nigdy nie sądziła, że umrze w taki sposób.

W innych okolicznościach Hendaya dostałby się do wnętrza pałacu i zlikwidował natychmiast obu starszków, ale teraz bał się, że huk zaalarmuje Alicję. Doktor Soldevila był nieprzytomny po ciosie w głowę. Hendaya wiedział z doświadczenia, że nie musi się nim martwić przez najbliższe pół godziny.

– Gdzie jest? – zapytał szeptem strażnika.

– Co?

Hendaya uderzył go w twarz ręką rewolweru i usłyszał chrzęst łamanych kości. Isaac upadł na kolana, a potem zwinął się w kłębek na podłodze, jęcząc z bólu. Hendaya pochylił się, chwycił go za szyję i postawił na nogi.

– Gdzie ona jest?

Z nosa starszego mężczyzny buchała krew. Hendaya przyłożył mu lufę do brody i przeciągle popatrzył w oczy. Isaac splunął mu w twarz. Odważny gość, pomyślał Hendaya.

– Słuchaj, starszku, przestań się stawiać, już nie te lata, żeby zgrywać bohatera. Gdzie jest Alicja Gris?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Hendaya się uśmiechnął.

– Mam ci połamać nogi, dziadku? W twoim wieku złamanie kości udowej już się raczej nie zrośnie...

Isaac nie otworzył ust. Hendaya szarpnął go za kark i poprowadził do środka. Przeszli przez szeroki korytarz, za jego zakrętem majaczyły delikatne przebłyski jasności. Ściany pokrywały malowidła przedstawiające fantastyczne stwory. Hendaya zastanawiał się, co to za miejsce. Kiedy dotarli do końca korytarza, zobaczył nad głową olbrzymią kopułę wznoszącą się ku nieskończoności. Widok, który się przed nim rozpościerał, sprawił, że puścił z wrażenia strażnika, który runął na podłogę jak worek ziemniaków.

Miał wrażenie, że widzi przed sobą miraż, wizję ze snu unoszącą się w chmurze widmowego światła. Przestronny labirynt wirujący wokół własnej osi rozrastał się w tajne sprzysiężenie tuneli, zawieszonych w powietrzu kładek, łuków i mostków. Struktura wydawała się tryskać z ziemi ku górze, kreśląc niewytłumaczalne geometryczne szlaki, i ocierała się o szklaną mleczną kopułę wieńczącą sklepienie. Hendaya uśmiechnął się w duchu. Tu, w półmroku starego barcelońskiego pałacu, odnalazł właśnie zakazane miasto zbudowane ze słów i z książek, pod które podłożył ogień, kiedy tylko rozprawi się bez litości z przepiękną Alicją Gris. Bez wątpienia był to jego szczęśliwy dzień.

Isaac czołgał się po kamiennej posadzce, zostawiając za sobą smugę krwi. Chciał krzyknąć, ale z jego ust wydobywał się tylko cichy jęk. Z największym trudem walczył o to, żeby zachować przytomność. Usłyszał zbliżające się kroki Hendai i poczuł, jak ten stawia mu stopę na karku i przygwaźdża do ziemi.

– Tylko bez numerów, dziadku.

Hendaya pociągnął go do jednej z kolumn podtrzymujących sklepienie. Biegło po niej kilka dość cienkich rur opasanych metalowymi pierścieniami. Hendaya wyjął z kieszeni kajdanki, jedną obręcz przypiął do rury, a drugą zamknął na nadgarstku Isaaca tak ściśle, że wrzynała mu się w ciało. Strażnik krzyknął z bólu.

– Alicji już tu nie ma – wydusił z siebie z trudem. – Traci pan czas...

Hendaya, nie zważając na słowa strażnika, zaczął wpatrywać się w półmrok. W jednym z kątów pomieszczenia zauważył framugę drzwi, zza których sączył się blask świecy. Policjant chwycił rewolwer oburącz i prześlizgnął się tam przytulony do ściany. Niepokój malujący się w spojrzeniu strażnika potwierdził, że intuicja go nie myli.

Staął w progu z uniesioną bronią. Na środku pokoju zobaczył łóżko ze starannie złożoną pościelą, a pod ścianą komodę pełną lekarstw i przyborów medycznych. Hendaya zlustrował wzrokiem wszystkie ciemne kąty pomieszczenia, zanim odważył się wejść do środka. W powietrzu unosił się zapach spirytusu i wosku oraz apetyczna woń słodkiego ciasta. Mężczyzna zbliżył się do niewielkiego biurka, na którym stała świeca. Zauważył otwarty kałamarz i stos kartek. Na pierwszej z nich, wypisane pochyłym, ładnym

pismem, widniało słowo

Alicja

Hendaya uśmiechnął się i cofnął do wyjścia. Rzucił okiem na strażnika wciąż mocującego się z kajdankami, którymi przykuł go do rury. W oddali, gdzieś przy wejściu do labiryntu książek, zauważył w mroku lekkie falowanie. Przechodząc obok Isaaca, pochylił się, żeby podnieść z podłogi lampę naftową. Nawet nie spojrzał na strażnika. Będzie jeszcze czas, żeby się z nim policzyć.

Dotarł do wielkiego pomieszczenia i zatrzymał się na chwilę, żeby popatrzeć na wznoszącą się przed nim bazylikę z książek. Splunął na podłogę i upewnił się, że magazynek jest pełny, po czym zanurzył się w labiryncie, podążając za zapachem Alicji i echem jej kroków.

20

Tunel delikatnie zakręcał ku górze i w miarę jak Hendaya oddalał się od wejścia, korytarz stawał się coraz węższy. Ściany od podłogi do sufitu zajmowały uginające się od książek półki. Kasetonowy strop ozdobiony skórzanymi okładkami, na których grzbietach widniały – wciąż czytelne – tytuły w dziesiątkach języków, znaczył drogę w głąb. Po chwili dotarł do miejsca na półpiętrze w kształcie ośmiokąta. Na samym środku stał stół pełen otwartych książek, oświetlony lampką naftową rzucającą złotawe, łagodne światło. Zauważył też wiele nowych korytarzy prowadzących w najrozmaitszych kierunkach, niektóre szły w dół, inne – w górę. Hendaya zatrzymał się i wsłuchał w odgłosy labiryntu, w poszept starego drewna i papieru pozostającego w nieustającym, ledwie dostrzegalnym ruchu. Postanowił pójść jednym z korytarzy wiodących w dół, podejrzewał bowiem, że Alicja próbuje zaprowadzić go w głąb labiryntu i zgubić po drodze, sama zaś zyskać na czasie i dotrzeć do wyjścia. Sam by tak postąpił na jej miejscu.

Zanim jednak zagłębił się w ów korytarz, coś zwróciło jego uwagę. Z jednego z regałów wystawała książka, którą ktoś wyjął z równo ustawionego rzędu i postawił na samej krawędzi półki. Hendaya podszedł, żeby przeczytać tytuł i nazwisko autora:

Alicja po drugiej stronie lustra

Lewis Carroll

– Ach, widzę, że laleczka ma ochotę na zabawę – powiedział bardzo głośno.

Jego głos odbił się echem w płataninie tuneli i ucichł. Nie było odpowiedzi. Hendaya wepchnął książkę z powrotem na miejsce i ruszył dalej korytarzem, który biegł coraz stromiej w dół. Teraz co cztery czy pięć kroków natrafiał na stopień. W miarę jak zagłębiał się w labirynt, narastało w nim wrażenie, że znalazł się w trzewiach jakiejś mitycznej bestii, Lewiatana ze słów, świadomego jego obecności i każdego kolejnego kroku. Uniósł lampę na tyle wysoko, na ile pozwalało mu sklepienie, i szedł dalej. Po dziesięciu metrach zatrzymał się na widok figury anioła o wilczym spojrzeniu. Już miał go rozwalić jednym strzałem, kiedy zauważył, że jest zrobiony z wosku i że trzyma w rękach potężnych jak obcęgów księgę, o której nigdy nie słyszał:

Raj utracony

John Milton

Anioł strzegł wejścia do kolejnej sali, owalnej, dwa razy większej od poprzedniej. Przy ścianach stały witryny, okrągłe półki z książkami. Ogromne, wykute w murze nisze upodabniały pomieszczenie do katakumb.

– Alicjo! – zawołał. – Proszę się nie chować! Niech pani wreszcie przestanie uciekać! Chcę tylko z panią porozmawiać. Jak zawodowiec z zawodowcem.

Hendaya przeszedł przez salę i omiół wzrokiem odchodzące z niej korytarze. W progu jednego z nich, tonącym w półmroku, dostrzegł kolejny znak – książkę wysuniętą ze swojego miejsca na półce. Hendaya zacisnął zęby

z wściekłości. Jeśli dziwka Leandra zamierza się z nim bawić w kotka i myszkę, czeka ją niespodzianka życia.

– Jak sobie chcesz – syknął, wybierając tym razem korytarz, który wspinał się stromo w górę.

Nie zadawszy sobie nawet trudu, żeby spojrzeć, jakie dzieło wybrała dla niego Alicja, Hendaya ruszył w ślad za nią ku sercu labiryntu. Przez prawie dwadzieścia minut piął się w górę tej niezwykłej struktury. Po drodze napotkał salony, mostki rozpięte pomiędzy łukami, kładki wiszące nad przepaścią. Zorientował się, że zawędrował o wiele wyżej, niż się spodziewał. Sylwetka Isaaca przypiętego do rury na samym dole wydawała się maleńka. Kiedy podnosił wzrok, kopuła, coraz to większa i większa, olśniewała go meandrycznymi, wyszukаныmi wzorami. Za każdym razem, kiedy zdawało mu się, że zgubił ślad, znajdował tom wystający z półki na progu kolejnego tunelu, wiodącego do następnej sali, gdzie droga rozwidlała się na kilka rozgałęzień.

Na wyższych piętrach zmieniała się sama struktura labiryntu. Stawała się jakby coraz bardziej skomplikowana i kapryśna. Łuki i otwory w sklepieniu wpuszczały do środka nitki parującego światła, a starannie rozmieszczone wielokątne lustra odbijały je, rozrzedzając półmrok. W każdej kolejnej sali zauważał coraz więcej posągów, obrazów i przedmiotów, których przeznaczenia nie potrafił odgadnąć. Były tu też przedziwne figury: niektóre przypominały nieukończone automaty, inne – rzeźby wykonane z papieru czy gipsu – zwisały z sufitu lub stały przy ścianach niczym tajemnicze istoty kryjące się w sarkofagu książek. Hendayę zaczęły ogarniać niepokój i poczucie zagubienia, a dłonie miał tak spocone, że bał się, iż rewolwer zaraz mu się z nich wyślizgnie.

– Alicjo, jeśli nie przestanie się pani chować, podłożę ogień pod tę budę i będę się przyglądał, jak płonie pani żywcem. Naprawdę tego pani chce?

Usłyszał za plecami hałas i się odwrócił. Coś, co w pierwszej chwili wziął za piłkę wielkości pięści, potoczyło się po schodach prowadzących do jednego z tuneli. Była to głowa lalki o niepokojącym uśmiechu i szklanych oczach. Chwilę później w powietrzu rozległ się metaliczny dźwięk pozytywki odtwarzającej melodię słodkiej kołysanki.

– A to dziwka – mruknął.

Rzucił się biegiem po schodach, w skroniach pulsowała mu krew. Echo

muzyki zaprowadziło go do okrągłego pomieszczenia okolonego balustradą, przez którą wpadały do środka snopy światła. Za balustradą dojrzał szklaną kopułę i zrozumiał, że dotarł na sam szczyt konstrukcji. Muzyka dochodziła z głębi sali. Wejścia strzegły dwa białe posągi, które pośród masy książek przypominały zmumifikowane i porzucone na pastwę losu ciała. Po podłodze walało się wiele otwartych woluminów, które Hendaya podeptał, idąc w głąb pomieszczenia. Znajdowała się tam mała szafka wmurowana w ścianę, przypominająca relikwiarz. To z niej płynęły dźwięki muzyki. Hendaya ostrożnie otworzył drzwiczki.

Pozytywka w kształcie szkatułki wykonanej z lusterek stała na dnie szafy. W środku szkatułki wirował w hipnotycznym transie anioł. Dźwięk milkł stopniowo, a tańczący anioł w końcu zamarł w bezruchu. Wtedy Hendaya zauważył błysk na lustrzanej płytce pozytywki.

Jedna z figur przy wejściu, które wydały mu się gipsowymi trupami, poruszyła się zniecka. Hendai włosy stanęły dęba. Wystrzelił trzykrotnie do posągu oświetlonego snopem światła. Warstwy papieru i gipsu, z których zrobiono rzeźbę, rozprysły się, tworząc w powietrzu chmurę pyłu. Policjant opuścił nieco broń i wyteżył wzrok. Dopiero wówczas poczuł obok siebie delikatny podmuch powietrza. Odwrócił się i odciągając kurek, zauważył w mroku blask ciemnych, przenikliwych oczu.

Stalówka przebiła mu rogówkę, a pióro przeszło mózg i zatrzymało się dopiero na kościach czaszki. Hendaya runął na podłogę niczym kukiełka, której przecięto wszystkie sznurki. Leżącym na książkach ciałem wstrząsały drgawki. Alicja uklękła i wyrwała mu z ręki broń. Potem pociągnęła go na krawędź przepaści. Z wielkim trudem przerzuciła policjanta przez balustradę i patrzyła za nim, jak, jeszcze żywy, leci w pustkę i z głuchym, wilgotnym łomotem uderza w kamienną posadzkę.

z naturalnością, która zmroziła mu krew w żyłach. Alicja podeszła do miejsca, gdzie ciało Hendai spadło na marmurową posadzkę. Była boso, ale i tak nie zawahała się przejść przez otaczającą zwłoki kałużę krwi. Pochyliła się nad trupem i przeszukała mu kieszenie. Wyjęła portfel, wyciągnęła z niego plik banknotów, resztę rzuciła na podłogę. W kieszeni marynarki znalazła klucze. Przez chwilę patrzyła na trupa całkowicie obojętnie, a potem wyciągnęła długi przedmiot wystający mu z twarzy. Isaac rozpoznał w nim pióro, które jej podarował zaledwie godzinę wcześniej.

Alicja podeszła powoli do strażnika. Uklękła przy nim i wyswobodziła go z kajdanek. Isaac, który cały się trząsał i oczy miał mokre od łez, poszukał jej spojrzenia. Alicja miała minę zupełnie obojętną, jakby chciała dać do zrozumienia temu naiwnemu staruszkowi, jak bardzo się myli, widząc w niej wcielenie swojej zmarłej córki. Wytarła pióro w swoją nocną koszulę i podała mu je.

– Nigdy nie będę taka jak ona, Isaacu.

Oniemiały strażnik otarł łzy. Alicja wyciągnęła do niego rękę i pomogła mu wstać. Potem poszła do łazienki znajdującej się obok pokoju Isaaca. Po chwili dobiegł stamtąd szum wody.

Do pomieszczenia wszedł, powłócząc nogami, doktor Soldevila. Isaac pomachał do niego. Medyk zbliżył się i zapytał:

– Co się stało? Kim był ten mężczyzna?

Isaac ruchem głowy wskazał mu ciało leżące jakieś dwadzieścia metrów od nich.

– Święty Boże... – westchnął lekarz. – A panienka?

Alicja ukazała się w drzwiach łazienki owinięta w ręcznik. Zobaczyli, jak wchodzi do sypialni Isaaca. Doktor obrzucił strażnika pytającym spojrzeniem. Ten tylko wzruszył ramionami. Soldevila zajrzał do sypialni. Alicja ubierała się w stroje należące kiedyś do Nurii Monfort.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał doktor.

– Znakomicie. – Alicja nie odrywała wzroku od lustra.

Doktor Soldevila, starając się zapanować nad zdumieniem, usiadł na krześle i bez słowa obserwował, jak Alicja bada zawartość kosmetyczki Nurii

i wybiera z niej kosmetyki. Zrobiła sobie staranny makijaż, dokładnie umalowała usta i podkreśliła oczy, znów wchodząc w rolę o wiele dla niej odpowiedniejszą niż rola pacjentki, którą Soldevila pielęgnował przez ostatnie tygodnie. Ich spojrzenia skrzyżowały się w lustrze. Alicja puściła do niego oko.

– Kiedy odejdę, będą panowie musieli powiadomić Fermina. Proszę mu powiedzieć, żeby zrobił coś z ciałem. Niech odwiedzi taksydermistę przy placu Real i powoła się na mnie. Dostanie odpowiednie środki chemiczne.

Alicja wstała, przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, potem schowała do czarnej torebki broń i pieniądze Hendai i skierowała się do drzwi.

– Kim pani jest? – zapytał doktor, kiedy przechodziła obok niego.

– Demonem.

22

Kiedy tylko Fermín ujrzał poczciwego doktora w progu księgarni, zrozumiał, że worek z nieszczęściami właśnie się rozerwał. Soldevila miał na twarzy ślady po uderzeniu zadany niewątpliwie przez profesjonalistę. Daniel i Bea, którzy stali za kontuarem, próbując zamknąć bilans miesiąca, pobiegli mu na pomoc.

– Co się stało, doktorze?

Z ust doktora Soldevili dobyło się westchnienie przypominające syk powietrza uciekającego z przedziurawionego balonu. Przybity lekarz spuścił głowę.

– Danielu, niech pan wyjmie butelkę tego starego koniaku, który ukrywa pański ojciec za tomiszczami *Formacji Ducha Narodowego* – polecił Fermín.

Bea podała lekarzowi krzesło i pomogła mu usiąść.

– Wszystko w porządku? Kto to panu zrobił?

– Tak. Sam nie wiem – odparł. W tej właśnie kolejności.

– A co z Alicją? – zapytała Bea.

– O nią bym się nie martwił, prawdę mówiąc...

Fermín westchnął.

– Wyfrunęła z gniazdka? – domyślił się.

– W oparach siarki.

Daniel podał mu kieliszek koniaku, który doktor przyjął z wdzięcznością. Opróżnił go jednym haustem i zaczekał, aż magia szlachetnego trunku zacznie działać.

– Poproszę o jeszcze jeden.

– A Isaac? – zapytał Fermín.

– Został u siebie, żeby chwilę pomedytować.

Fermín pochylił się nad doktorem i poszukał jego spojrzenia.

– Dobrze, eminencjo, niech pan mówi. W miarę możliwości krótko i węzłowato.

Doktor skończył opowieść i poprosił o jeszcze jeden kieliszek koniaku na deser. Bea, Daniel i Fermín z poważnymi minami poszli w jego ślady. Po chwili ciężkiej jak ołów ciszy głos zabrał Daniel.

– Dokąd pojechała?

– Podejrzewam, że wyrównać rachunki – odrzekł Fermín.

– Jeśli to nie stanowi dla waszych miłości większego problemu, proszę wyrażać się jaśniej, bo niestety sekretów rodziny Sempere nie wykładano na moim uniwersytecie – poskarżył się doktor.

– Proszę mi wierzyć, najlepiej będzie, jeśli teraz uda się pan do domu, przyrządzi sobie zacny filecik z jagnięciny i pozwoli nam zająć się wszystkim – zasugerował Fermín.

Doktor pokiwał głową.

– Mam się spodziewać kolejnych rewolwerowców? – zapytał. – Chciałbym wiedzieć, co mnie czeka.

– Myślę, że na razie nie. Ale zastanawiam się, czy nie byłoby roztropnie, żeby na jakiś czas wyjechał pan z miasta. Dwa tygodnie w uzdrowisku

w Mongat w towarzystwie afektowanej wdówki kurującej się z kamieni nerkowych czy jakiegokolwiek innej przeszkody zalegającej w układzie moczowo-płciowym.

– Ten jeden raz w życiu chyba się z panem zgodzę – przyznał lekarz.

– Danielu, niech pan będzie tak miły i odprowadzi doktora do domu, koniecznie w jednym kawałku – zasugerował Fermín.

– Dlaczego ja? – obruszył się Daniel. – Znów chcecie się mnie pozbyć?

– Mogę poprosić pańskiego syna Juliana, ale do tej misji odpowiedniejsza wydaje mi się osoba, która jest już po Pierwszej Komunii.

Daniel zgodził się niechętnie. Fermín poczuł na sobie karcące spojrzenie Bei, ale postanowił chwilowo je zignorować. Na pożegnanie poczęstował lekarza jeszcze jednym kieliszkiem koniaku dla kurazu, a widząc, że na dnie zostało jeszcze kilka kropel, wypił je prosto z butelki. Kiedy Daniel i doktor wyszli, Fermín opadł na krzesło i zakrył twarz rękoma.

– Doktor wspomniał coś o taksydermiście i konieczności pozbycia się ciała – powiedziała Bea.

– Makabryczny obowiązek, którego niestety trzeba będzie się podjąć – westchnął smutno Fermín. – Jedną z najgorszych cech Alicji jest to, że zawsze ma rację.

– A jaka jest druga?

– Że nie wybacza. Czy powiedziała pani ostatnio coś takiego, co pozwoliłoby się domyślić, co jej chodzi po głowie? Proszę się nad tym dobrze zastanowić.

Bea się zawahała, ale w końcu zaprzeczyła. Fermín pokiwał głową i wstał z wysiłkiem. Zdjął z wieszaka płaszcz i przygotował się, żeby stawić czoło zimowemu popołudniu, które nie zapowiadało pomyślnych wiatrów.

– Najlepiej będzie, jeśli od razu złożę wizytę taksydermiście. Może po drodze coś mądrego przyjdzie mi do głowy...

– Ferminie – zawołała za nim Bea, zanim dotarł do drzwi.

Zatrzymał się, ale nie odwrócił wzroku.

– Alicja nie opowiedziała nam wszystkiego, prawda?

– Myślę, że o wielu rzeczach nie wspomniała, pani Beo. Ale sądzę też, że

zrobiła to dla naszego dobra.

– Ale to coś ma związek z Danielem. I może mu wyrządzić wielką krzywdę.

Dopiero teraz Fermín się odwrócił i odrzekł ze smutnym uśmiechem:

– Od tego właśnie Daniel ma nas, prawda? Nie dopuścimy, żeby coś podobnego się stało.

Bea spojrzała na niego uważnie.

– Niech pan będzie ostrożny, Ferminie.

Patrzyła za nim, jak odchodzi w niebieski zmierzch zwiastujący śnieg z deszczem. Odprowadzała wzrokiem kolejnych przechodniów podążających ulicą Santa Ana, zakutanych w peleryny i szale. Coś jej mówiło, że zima, taka prawdziwa zima, właśnie spadła na nich bez ostrzeżenia. I że tym razem pozostawi po sobie trwałe ślady.

23

Fernandito leżał w łóżku w swoim pokoju zapatrzony w niewielki świetlik. Jego sypialnia, czy raczej klitka, przylegała do pralni, a dochodzące stamtąd dźwięki sprawiały, że czuł się jak we wnętrzu okrętu podwodnego, tyle że mniej przytulnym, a bardziej ponurym niż te, które widywał na porannych seansach w kinie Capitol. Tak czy owak, Fernandito dzięki buzującym w nim hormonom – chociaż on postrzegał to jako mistyczne i duchowe uniesienie – doznał stanu łaski. Miłość, pisana wielką literą i w obcisłej spódniczce, zapukała do jego drzwi. Ścisłe rzecz ujmując, nie zapukała, ale przeaparadowała przed jego oczyma. Fernandito sądził jednak, że przeznaczenie, podobnie jak ból zęba, nie daje o sobie zapomnieć, póki człowiek nie zbierze się na odwagę i nie stawi mu czoła.

Objawienie miało miejsce kilka dni wcześniej i przegnało wreszcie na dobre ducha perwersyjnej Alicji i jej widmowych wdzięków, który opętał go, ledwie wyrósł z dzieciństwa. Miłość, nawet ta niespełniona, wiedzie do kolejnej. Tak głosiły słowa boler, które, chociaż przesłodzone jak ptysie

z kremem, w kwestiach sentymentalnych w gruncie rzeczy zawierały samą prawdę. W wyniku dramatycznych wydarzeń i zwrotów akcji naiwne i platoniczne zauroczenie Alicją doprowadziło w końcu Fernandita do spotkania z rodziną Sempere. Potem przyjął pracę zaoferowaną mu przez poczciwego księgarza, a stąd od rajy dzielił go już tylko jeden krok.

Cud zdarzył się pewnego ranka, kiedy jak co dzień stawiał się w księgarni, żeby rozwiązać zamówienia. I wtedy zobaczył tę istotę o wdziękach mącących umysł, mówiącą z dziwnym akcentem, która kręciła się pomiędzy półkami. Fernandito podsłuchał, że rodzina mówi do niej Sofía, a po przeprowadzeniu gruntownego wywiadu środowiskowego dowiedział się, że rzeczona dziewczyna jest siostrzenicą Isabelli, zmarłej żony starego księgarza, i kuzynką Daniela. Sofía, wychowana w Neapolu, zatrzymała się u nich na jakiś czas, żeby studiować na barcelońskim uniwersytecie i doskonalić swój hiszpański. Oczywiście te informacje nie miały dla Fernandita większego znaczenia.

Najważniejsze było, że osiemdziesiąt pięć procent jego tkanki mózgowej, nie wspominając o innych, ostatnich narządach, oddane było całkowicie kontemplowaniu i adoracji Sofii. Dziewczyna miała jakieś dziewiętnaście lat, może rok mniej czy więcej. Natura, ze swoim zwykłym okrucieństwem, jakie okazywała nieśmiałym młodzieńcom w wieku poborowym, obdarzyła ją krągłościami, jędrnym ciałem i sprężystymi ruchami, które od samego patrzenia przyprawiały Fernandita niemal o zawał serca. Jej oczy, kształt ust, białe zęby i różowy język, który ukazywała czasem w uśmiechu, olśniewały biednego chłopaka, który całe godziny spędzał na wyobrażaniu sobie, jak gładzi palcami te renesansowe wargi, a potem bladą szyję, jak zbliża się do rajskiej doliny podkreślanej przez obcisłe wełniane sweterki, tak chętnie przez nią noszone i dające świadectwo starej prawdzie, że Włosi zawsze byli mistrzami architektury.

Fernandito, głuchy na pomruki radia grającego w jadalni i krzyki dochodzące z podwórka, przymknął oczy, żeby przywołać obraz Sofii omdlewającej na łożu usłanym płatkami róż albo jakichkolwiek innych kwiatów, oddającej mu swe wdzięki w najjaśniejszej wiosnie życia, podczas gdy on ręką doświadczoną w rozpinaniu suwaków, haftek, guzików pozbawiał ją odzienia, a potem obsypywał pocałunkami i kąsał jej nagie ciało, na koniec zaś składał twarz w nieporównywalnej z niczym oazie rozkoszy, którą niebiosa uznały za stosowne umieścić między pępkiem a udami każdej kobiety. Tu

zatrzymało się marzenie Fernandita, który uważał, że nawet jeśli Bóg Wszechmogący porazi go karzącym piorunem za świntuszenie, i tak było warto.

Zamiast karzącego pioruna wyrwał go z marzeń dzwonek telefonu. Z korytarza rozległy się kroki ciężkie jak łomot młota pneumatycznego, drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem i ukazała się w nich korpulentna postać ojca Fernandita, ubranego w podkoszulek i kalessony. Szacowny ojciec obwieścił, trzymając w ręku kanapkę z chorizo:

– Wstawaj, leniu, to do ciebie.

Wyrwany prosto z raju Fernandito powlókł się do końca korytarza. Tam na półeczce stał telefon obok plastikowej figurki Chrystusa, którą matka kupiła kiedyś w Montserrat – kiedy naciskało się przycisk, świeciły mu się oczy i zaczynał emanować cudowną poświatą, będącą przez lata motywem przewodnim najgorszych nocnych koszmarów Fernandita. Chłopak wziął do ręki słuchawkę, a z pokoju wychylił się jego brat Fulgencito, żeby podsłuchiwać i robić głupie miny, co stanowiło jego największy talent.

– Fernandito? – zapytał głos w słuchawce.

– Przy telefonie.

– To ja, Alicja.

Serce podskoczyło mu w piersi.

– Możesz rozmawiać? – zapytała.

– Tak. Wszystko u pani w porządku? Gdzie pani jest?

– Posłuchaj mnie uważnie, Fernandito. Muszę zniknąć na jakiś czas.

– Nie brzmi to najlepiej.

– Musisz wyświadczyć mi przysługę. To bardzo ważne.

– Zrobię wszystko, o co pani poprosi.

– Masz wciąż te dokumenty, które wyniosłeś z mojego mieszkania?

– Tak. Są w bezpiecznym miejscu.

– Znajdź wśród nich odręcznie zapisany zeszyt z imieniem Isabella na okładce.

– Wiem który. Nie przeczytałem go, niech pani sobie nie myśli.

– Jestem pewna, że tego nie zrobiłeś. Daj go Danielowi Sempere. Tylko i wyłącznie jemu. Do rąk własnych. Zrozumiałeś?

– Tak...

– Powiedz mu, że to ja poprosiłam cię, żebyś go przekazał. Należy do niego, do nikogo więcej.

– Dobrze, panno Alicjo. Gdzie pani jest?

– Nieważne.

– Grozi pani jakieś niebezpieczeństwo?

– Nie martw się o mnie, Fernandito.

– Oczywiście, że się martwię.

– Dziękuję za wszystko.

– To brzmi jak pożegnanie.

– Ty i ja wiemy, że żegnają się tylko ludzie sentymentalni.

– Pani nigdy nie będzie sentymentalna. Choćby nie wiem jak się pani starała.

– Dobry z ciebie przyjaciel, Fernandito. I dobry człowiek. Sofía ma wielkie szczęście.

Fernandito zaczerwienił się po same uszy.

– Skąd pani wie...?

– Cieszę się, że wreszcie znalazłeś kobietę, która na ciebie zasługuje.

– Nikt nigdy nie zajmie pani miejsca, pani Alicjo.

– Zrobisz to, o co cię prosiłam?

– Oczywiście.

– Kocham cię, Fernandito. Weź sobie klucze do mieszkania. To twój dom. Bądź szczęśliwy. I zapomnij o mnie.

Zanim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, Alicja się rozłączyła. Fernandito przełknął ślinę, otarł łzy rękawem i odłożył słuchawkę.

Alicja wyszła z budki telefonicznej. Kilka metrów dalej czekała na nią taksówka. Kierowca uchylił okno i zamyślony zaciągał się dymem. Na widok nadchodzącej Alicji chciał wyrzucić papierosa.

- Ruszamy?
- Jeszcze chwilka. Niech pan spokojnie skończy palić.
- Za dziesięć minut zamykają bramę – zauważył taksówkarz.
- Za dziesięć minut już nas tu nie będzie.

Wspięła się na pagórek, na którym pełno było panteonów, neogotyckich mauzoleów z gargulcami, posągów aniołów i krzyży. Wieczór rozpostarł nad cmentarzem Montjuic całun czerwonych chmur. Kurtyny marznącego deszczu falowały w powietrzu i tkały pod jej stopami dywan z białych kryształków. Alicja ruszyła przed siebie ścieżką, weszła po kamiennych stopniach prowadzących do balustrady, za którą znajdowały się nagrobki i widmowe figury. Pośród nich, na tle lśniącego morza, wznosiła się płyta nagrobna, przechylona nieco na bok.

ISABELLA SEMPERE

1917–1939

Alicja uklękła przy grobie i położyła na nim dłoń. Przywołała w pamięci twarz widzianą na zdjęciach w domu księgarza Sempere i na fotografii przechowywanej przez mecenasa Briansa, który najprawdopodobniej potajemnie się w niej kochał. Przypomniała sobie wyznania, które przeczytała w jej pamiętniku, i pomyślała, że chociaż nie poznała osobiście kobiety, której szczątki spoczywały w tym grobie, nikt nie był jej tak bliski jak ona.

– Być może byłoby lepiej, gdyby Daniel nigdy nie poznał prawdy, nie zdołał znaleźć Vallsa ani się na nim zemścić. Ale nie mogę decydować za niego – powiedziała. – Wybacz mi.

Alicja wyjęła z kieszeni płaszcza figurkę podarowaną jej przez strażnika

Cmentarza Zapomnianych Książek. Przyjrzała się niewielkiemu aniołowi z rozpostartymi skrzydłami, którego Isaac kupił dawno temu córce na odpuszczenie świętej Łucji. Otworzyła figurkę i jeszcze raz spojrzała na ukrytą w niej wiadomość, którą napisała w drodze na cmentarz.

Mauricio Valls
El Pinar
Ulica Manuela Arnusa
Barcelona

Zwinęła kartkę z powrotem i umieściła we wnętrzu anioła. Zamknęła figurkę i postawiła ją na nagrobku, pomiędzy wazonami zeschniętych kwiatów.

– Niech los zadecyduje – mruknęła.

Wróciła do taksówki. Kierowca czekał na nią oparty o samochód. Otworzył przed nią drzwiczki, a potem usiadł za kierownicą. Spojrzał na nią przez wsteczne lusterko. Pasażerka wydawała się rozkojarzona. Zobaczył, jak wyjmuje fiolkę białych pastylek, wkłada do ust kilka, rozgryza je i połyka. Taksówkarz wziął bidon z przedniego siedzenia i podał jej. Alicja wypijała kilka łyków wody. W końcu uniosła wzrok.

– Dokąd panią zawieźć? – zapytał taksówkarz.

Pokazała mu plik banknotów.

– Tu jest co najmniej dwa tysiące peset – powiedział zdumiony.

– Trzy tysiące – uściśliła Alicja. – Będą pańskie, jeśli dotrzemy do Madrytu przed świtem.

Fernandito zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i obserwował Daniela

przez witrynę księgarni. Kiedy wychodził z domu, zaczął padać śnieg i ulice były prawie puste. Przyglądał się Danielowi ładnych kilka minut, aby się upewnić, że jest w księgarni sam. Wreszcie księgarz podszedł do drzwi, żeby zawiesić na nich tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE. Fernandito wyłonił się z cienia i stanął przed nim z uśmiechem. Daniel spojrzał na niego zdumiony i otworzył drzwi.

– Fernandito? Jeśli szukasz Sofii, muszę cię zmartwić, dziś wieczór pojechała do koleżanki w Sarrià, miały się razem uczyć czy...

– Nie, przyszedłem do pana.

– Do mnie?

Chłopak pokiwał głową.

– Wejdz.

– Jest pan sam?

Daniel patrzył na niego zdziwiony. Fernandito wszedł do księgarni i zaczął, aż Sempere zamknie drzwi.

– Słucham cię.

– Przyniosłem panu coś od pani Alicji.

– Wiesz, gdzie ona jest?

– Nie.

– A co to takiego?

Fernandito wahał się chwilę, a potem wyjął zza pazuchy zwykły szkolny zeszyt. Podał go Danielowi. Daniel wziął zeszyt, uśmiechając się lekko – a cóż to za tajemnice? Przeczytał napis na okładce i uśmiech natychmiast zniknął.

– No dobrze – odezwał się Fernandito. – To ja już sobie pójdę. Dobrej nocy, panie Danielu.

Daniel pokiwał głową, nie unosząc wzroku znak zeszytu. Gdy tylko Fernandito opuścił księgarnię, Daniel pogasił światła i wyszedł na zaplecze. Usiadł przy starym biurku, które należało kiedyś do jego dziadka, zapalił lampę i na chwilę przymknął oczy. Serce waliło mu jak młotem, dłonie drżały.

W oddali rozległo się bicie katedralnych dzwonów. Daniel otworzył zeszyt i zaczął czytać.

ZESZYT ISABELLI

1939

Nazywam się Isabella Gispert, urodziłam się w Barcelonie w 1917 roku. Mam dwadzieścia dwa lata i wiem, że nigdy nie skończę dwudziestu trzech. Piszę to wszystko, mając całkowitą pewność, że zostało mi tylko kilka dni życia i że wkrótce opuszczę tych, którym najwięcej w życiu zawdzięczam: mojego syna Daniela i mojego męża Juana Sempere, najlepszego człowieka na świecie. To on obdarzył mnie zaufaniem, miłością i przywiązaniem, za które nie zdołam mu się przed śmiercią odpłacić. Piszę dla siebie samej, mam nadzieję, że nikt nigdy nie przeczyta tych stron i nie odkryje sekretów, które nie są moją własnością. Piszę po to, żeby przeżyć wspomnienia raz jeszcze, bo to one trzymają mnie przy życiu. Moim jedynym celem jest wspominać, żeby zrozumieć, kim jestem, dlaczego postąpiłam tak, jak postąpiłam, dopóki jeszcze mogę to zrobić i zanim świadomość, która powoli mnie opuszcza, zupełnie zgaśnie. Piszę, chociaż pisanie sprawia mi ból, ale to właśnie ból i poczucie straty trzymają mnie przy życiu, a boję się umierać. Piszę, żeby przelać na te strony to, czego nie mogę opowiedzieć najbliższym, żeby ich nie zranić i nie narazić ich życia na niebezpieczeństwo. Piszę, bo dopóki jestem w stanie wspominać, mogę być z nimi kilka minut dłużej...

1

Kiedy patrzę na odbicie mojego schorowanego ciała w lustrze sypialni, trudno mi uwierzyć, że dawno, dawno temu byłam małą dziewczynką. Moja rodzina prowadziła sklep kolonialny nieopodal kościoła Santa María del Mar. Mieszkaliśmy w domu na tyłach sklepu, z naszego podwórka widać było dachy bazyliki. Wyobrażałam sobie, że to zaczarowany zamek, który nocami wyrusza na wędrowki po Barcelonie, a o świcie wraca na swoje miejsce, żeby drzemać w promieniach słońca. Mój ojciec wywodził się ze starego rodu barcelońskich kupców Gispertów, matka zaś, z domu Ferratini,

pochoǳiła z neapolitańskiej rodziny marynarzy i rybaków. Oǳiedziczyłam charakter po babce ze strony matki, kobiecie o temperamencie porównywalnym tylko z groźącym wybuchem wulkanem, nie bez kozery nadano jej przydomek Wezuwia. Mam dwie siostry, chociaź ojciec mawiał często, że ma dwie córki i oślicę. Przysporzyłam mu wielu trosk, ale bardzo go kochałam. Był przyzwoitym człowiekiem, tyle że radził sobie lepiej z handlem zamorskimi delikatesami niź z wychowywaniem dzieci. Nasz rodzinny spowiednik powtarzał często, że kaźdy przychodzi na świat w jakimś celu, moim było robić wszystko na przekór. Obie starsze siostry sprawiały znacznie mniej kłopotów. Od początku wiedziały, że chcą dobrze wyjść za mąż i odnieść sukces w życiu, nie łamiąc społecznych norm. Ja, ku zmartwieniu moich biednych rodziców, już w wieku ośmiu lat oświadczyłam dobitnie, że nigdy nie wyjdę za mąż, nie włożę kuchennego fartucha nawet przed plutonem egzekucyjnym, że zostanę pisarką i będę pływać łodzią podwodną (lektura Juliusza Verne'a jeszcze przez długi czas nie pozwalała mi się pozbyć tych złudzeń). Ojciec obwiniał o to nieszczęście siostry Brontë, które zawsze z upodobaniem cytowałam. Teraz wydaje mi się, że słysząc o siostrach Brontë, myślał pewnie o jakiejś bandzie liberalnych zakonnicek, które zbikowały zabarykadowane przy portalu Santa Madrona w czasie Tragicznego Tygodnia, a potem paliły opium i po północy tańczyły przytulane tańce. „Uniknęlibyśmy tego nieszczęścia, gdybyśmy posłali ją do szkoły sióstr tereżjanek”, biadolili bez przerwy. Przyznaję, nigdy nie potrafiłam być przykładną córką, jakiej pragnęli moi rodzice, ani zachowywać się zgodnie z oczekiwaniami, jakie miał wobec młodej dziewczyny świat, w którym przyszło mi żyć. A może powinnam raczej napisać, że nie chciałam. Zawsze postępowałam wbrew woli wszystkich, rodziców, nauczycieli, a kiedy w końcu tamci dali za wygraną, na przekór sobie samej.

Nie lubiłam towarzystwa innych dziewczynek, moją ulubioną zabawą było strzelanie z procy do lalek. Wolałam bawić się z chłopcami, łatwo było nimi rządzić, chociaź w końcu i tak odkrywali, że zawsze postawię na swoim, i wtedy musiałam zadowolić się własnym towarzystwem. Chyba już wówczas przyzwyczaiałam się do tego uczucia, że jestem daleko od innych, jestem kimś zupełnie osobnym. Przypominałam w tym swoją matkę, która powtarzała, że człowiek zawsze jest sam, zwłaszcza jeśli urodzi się kobietą. Matkę często

trapiła melancholia. Nigdy nie byłam z nią w dobrych stosunkach, może dlatego, że jako jedyna z całej rodziny ona trochę mnie rozumiała. Zmarła, kiedy byłam bardzo młoda. Mój ojciec ożenił się drugi raz z wdową z Valladolid, która mnie nie lubiła. Kiedy zostawałyśmy same, nazywała mnie dziwką.

Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że będę tak bardzo tęsknić za mamą, dopóki nie umarła. Po jej śmierci zaczęłam coraz częściej przesiadywać w bibliotece uniwersyteckiej, do której to właśnie mama wyrobiła mi kartę, nie wspominając o tym ojcu ani słowem. On uważał, że powinnam czytać tylko i wyłącznie katechizm i żywoty świętych. Moja macocha nienawidziła książek. Denerwowała ją ich obecność, chowała je po szafach, żeby nie psuły wystroju mieszkania.

Wizyty w bibliotece odmieniły moje życie. Oczywiście katechizmu nie wzięłam do rąk nawet przypadkiem, a jedyną świętą, z której żywotem zapoznałam się z wypiekami na twarzy, była święta Teresa, pasjonowały mnie jej tajemnicze ekstazy. Kojarzyłam je ze wstydliwymi praktykami, o jakich nie odważę się opowiedzieć na tych stronach. W bibliotece przeczytałam wszystko, co powinnam przeczytać, a zwłaszcza te lektury, które inni stanowczo mi odradzali. Doña Lorena, mądra bibliotekarka pracująca na popołudniową zmianę, przygotowywała specjalnie dla mnie stosiki książek, o których mówiła: „książki, które każda dziewczyna powinna przeczytać, ale wszyscy jej tego zabraniają”. Doña Lorena zwykła mawiać, że poziom zdziczenia danego społeczeństwa mierzy się dystansem, jaki dzieli kobiety od książek. „Nic nie przeraża głupiego mężczyzny bardziej niż kobieta, która umie czytać, pisać, myśleć i w dodatku ma odwagę pokazać kolana”. Podczas wojny skończyła w więzieniu dla kobiet, mówi, że powiesiła się w celi.

Od początku wiedziałam, że chcę żyć pośród książek, i marzyłam o tym, że kiedyś ukażą się też moje własne opowieści. Książki nauczyły mnie myśleć, czuć i przeżywać tysiące rozmaitych przygód. Ale nie wstydzę się przyznać, że nadszedł w końcu dzień, kiedy, zgodnie z przewidywaniami doña Loreny, zaczęli podobać mi się chłopcy. Za bardzo. Mogę zwierzyć się tym stronicom, dziś ze szczerym rozbawieniem, jak drżały mi kolana na widok niektórych chłopaków rozładowujących towary na targowisku Borne i spoglądających na mnie tęsknie; widząc ich opalone torsy, po których spływały krople potu,

wyobrażałam sobie słony smak tej skóry. „Nie wiesz nawet, co mógłbym ci dać, ślicznotko”, krzyknął kiedyś za mną jeden z nich. Niestety szłam wówczas z ojcem, który zamknął mnie później na tydzień w pokoju, a ja poświęcałam każdy z siedmiu tych dni na wyobrażanie sobie, co mógłby mi dać. Te fantazje przyprawiały mnie o ekstazę nie mniejszą niż duchowe uniesienia świętej Teresy.

Jeśli mam być zupełnie szczerą, chłopcy w moim wieku nie obchodzili mnie specjalnie, poza tym trochę się mnie bali, bo wiedzieli, że biję ich na głowę we wszystkich konkurencjach, oprócz tej, kto sika dalej pod wiatr. Jak wszystkim dziewczynom w moim wieku, czy się do tego przyznają, czy nie, podobali mi się starsi mężczyźni, zwłaszcza ci, których wszystkie matki świata zaliczają do kategorii „to nie jest narzeczony dla ciebie”. Nie umiałam jeszcze wtedy odpowiednio się ubrać ani o siebie zadbać, ale szybko nauczyłam się rozpoznawać, kiedy się im podobam. Większość moich ówczesnych fascynacji okazała się przeciwieństwem tego, co dawały mi książki: faceci byli prości i można ich było przeczytać w mgnieniu oka. Podejrzewam, że sama nie zasłużyłam na miano „porządnej kobiety”. Nie będę się okłamywać. Ale czy któraś z nas z własnej, nieprzymuszonej woli naprawdę chce być „porządną kobietą”? Ja nie chciałam. Zawsze kończyło się to tak samo, lądowaliśmy na jakiejś klatce schodowej i się całowaliśmy. Wielu z nich umierało ze strachu albo nie wiedziało, od czego zacząć, więc to ja całowałam ich pierwsza. Wieści o moich wyczynach dotarły niestety do uszu naszego proboszcza, który natychmiast uznał mnie za duszę opętaną przez diabła i zaoferował się, że odczyni egzorcyzmy. Moja macocha tak bardzo się za mnie wstydziła, że przyplaciła to załamaniem nerwowym, które trwało przez cały miesiąc. Po tym epizodzie ogłosiła wszem wobec, że zostanę co najwyżej artystką kabaretową, a najpewniej skończę, jak uwielbiała mawiać, „w rynsztoku”. „Nikt cię nigdy nie pokocha, ladacznico jedna”. Mój ojciec, który nie miał już zielonego pojęcia, co ze mną począć, zaczął załatwiać formalności, żeby umieścić mnie w bardzo rygorystycznej szkole z internatem prowadzonej przez zakonnice. Na szczęście moja reputacja mnie wyprzedziła: kiedy siostrzyczki dowiedziały się, kogo mają przyjąć, odmówiły stanowczo, argumentując, że sprowadzę na złą drogę inne wychowanki.

Macocha, czującą szczególne przywiązanie do Matki Boskiej z Lourdes,

nie traciła nadziei i wznosiła do niej nieustanne modły, żebym się wreszcie ustatkowała albo przynajmniej żeby przejechał mnie tramwaj. Moje ocalenie, według naszego proboszcza, mogło się dokonać tylko dzięki skierowaniu grzesznego żywota na tory rzymskiego katolicyzmu. Ukartowano więc plan wydania mnie za mąż, czy zechcę tego, czy nie, za syna cukierników prowadzących zakład u wylotu ulicy Flassaders. Chłopak nazywał się Vicentet i w oczach moich rodziców stanowił dobrą partię. Vicentet miał osobowość miłą jak cukier puder, był słodki i mdły jak magdalenki wypiekane przez jego matkę. Myślę, że nie wytrzymałby ze mną pół dnia, ale naszym rodzicom wydawało się, że upieką dwie pieczenie przy jednym ogniu. Ustawią chłopaka i sprowadzą na właściwą drogę szaloną Isabellę.

Vicentet, błogosławiony niech będzie pomiędzy cukiernikami, po prostu mnie uwielbiał. Uważał, że jestem najcudowniejszą i najbardziej niewinną istotą na świecie, biedaczek. Spoglądał na mnie z miną zranionej sarny, marząc o naszym weselu w Las Siete Puertas i podróży poślubnej na pokładzie bączka do końca falochronu i z powrotem. Ja oczywiście znęcałam się nad nim bez umiaru. Na nieszczęście wszystkich Vicentetów świata – a jest ich niemało – serce młodej dziewczyny jest jak stoisko z petardami pod upalnym letnim słońcem. Biedny Vicentet, ile z mojej winy wycierpiał. Dowiedziałam się później, że ożenił się z daleką kuzynką z Ripoll, która szykowała się do nowicjatu w klasztorze i poślubiłaby nawet pomnik nieznanego żołnierza, gdyby miało ją to ocalić od przejścia przez furkę zakonu. Oboje nadal sprowadzają na świat dzieci i magdalenki. Vicentet nawet nie wie, jakie miał w życiu szczęście.

Ja, jak to było do przewidzenia, trwałam w swoim uporze. W końcu odważyłam się na to, czego ojciec zawsze obawiał się znacznie bardziej niż możliwości, że babcia Wėzuwia się do nas przeprowadzi. Od jakiegoś czasu dręczył go koszmar, w którym, mając umysł zatruty literaturą, zakochiwałam się w najgorszej z istot zaludniających nasz padół łez, najperfidniejszej, okrutnej i do szpiku zepsutej, której jedynym celem – poza oczywiście zaspokojeniem własnej próżności – jest uczynić nieszczęśliwymi ludzi popełniających kardynalny błąd i ofiarowujących jej swą miłość. Bał się, że zakocham się w pisarzu. Tak się też stało – na domiar złego nie w poecie,

którego mój ojciec uważał za w miarę niegroźnego przedstawiciela gatunku; przy odrobinie wysiłku dawało się zazwyczaj przekonać takiego wierszokletę, żeby znalazł sobie jakieś uczciwe zajęcie, na przykład w warzywniaku, i zostawił pisanie wierszy na niedzielne popołudnia po mszy. Nie, zakochałam się w najgorszym z możliwych przypadków – w powieściopisarzu. Dla tych nie było już ratunku, nie chcieli ich nawet w piekle.

Jedyny pisarz z krwi i kości, jakiego poznałam, był dość ekstrawagancki, by nie użyć mocniejszych słów. Zrobiłam małe dochodzenie i zdołałam ustalić, że mieszka w starym domu nieopodal, kilka metrów od cukierni rodziny Vicenteta przy ulicy Flassaders, w miejscu otoczonym złą sławą. Jak powtarzali urzędnicy z rejestru gruntów, staruszki i nocny stróż o imieniu Soponcio, znawca wszelkich plotek dotyczących dzielnicy, było ono nawiedzone, a zamieszkanie tam źle wpłynęło na kondycję psychiczną nowego lokatora. Nazywał się David Martín.

Nie widywałam go, bo podobno wychodził tylko nocami i odwiedzał miejsca w żadnym wypadku nienadające się dla panienek z dobrego domu ani w ogóle przyzwoitych ludzi. Wprawdzie nie zaliczałam się do żadnej z tych grup, ale uknułam plan, żeby nasze losy zderzyły się jak dwa rozpędzone pociągi. David Martín, jedyny pisarz żyjący w promieniu pięciu przecznic od mojego domu, jeszcze tego nie wiedział, ale jego życie miało się wkrótce zmienić. Na lepsze. Niebo i piekło miały mu zesaść kogoś, kto sprowadzi go na drogę cnoty: uczennicę, wspaniałą Isabellę.

2

Opowieść o tym, jak dopięłam w końcu swego i zostałam uczennicą Davida Martina, jest długa i obfita w szczegóły. Znając go, nie zdziwiłabym się, gdyby nasza historia znalazła odbicie w jakiejś jego opowieści, w której z pewnością nie byłabym wzorem cnót wszelakich. Tak czy owak, wbrew twardemu oporowi Davida udało mi się wejść do jego domu, do jego

dziwnego życia i zająć miejsce w jego sumieniu, równie wypełnionym duchami przeszłości, jak willa przy ulicy Flassaders. Może stało się to za sprawą przeznaczenia, a może po prostu David Martín był niespokojnym duchem, który, nawet o tym nie wiedząc, potrzebował mnie o wiele bardziej niż ja jego. „Zagubione dusze spotykają się o północy”, napisałam wówczas w jakimś grafomańskim wierszu, który mój nowy mentor zrecenzował, żartując złośliwie, że może być zabójczy dla diabetyków.

Wiele razy myślałam, że David Martín był jedynym – z wyjątkiem doñi Loreny – przyjacielem, jakiego dane mi było poznać. Był ode mnie prawie dwa razy starszy, czasem miałam wrażenie, że przeżył już wcześniej kilka żywotów. Nawet kiedy unikał mojego towarzystwa albo kłóciliśmy się o jakieś głupstwo, czułam się tak blisko niego, że przyznawałam mu rację, kiedy żartował: „Każda potwora, nawet rodem z piekła, znajdzie swojego amatora”. Jak to często bywa z osobami o miękkim sercu, David lubił otaczać się pancierzem cynizmu i obojętności, ale, chociaż często pokazywał pazury – równie często, jak ja swoje, muszę przyznać – i chociaż za wszelką cenę starał się udawać, że tak nie jest, zawsze był wobec mnie szczodry i cierpliwy.

David Martín nauczył mnie wielu rzeczy. Nauczył mnie, jak napisać zdanie, nauczył myśleć o języku i wszystkich językowych sztuczkach jak o orkiestrze, a w niezapisanych stronach widzieć przyszłą partyturę, pokazał mi, jak analizować tekst i rozumieć, jak jest skonstruowany i czemu ta konstrukcja służy... Pokazał mi, jak czytać i jak pisać ze świadomością, co się robi, po co i dlaczego. A przede wszystkim jak. Nieustannie mi powtarzał, że dla literatury najważniejsze nie jest wcale to, co się opowiada, ale jak się opowiada. Wszystko poza tym to tylko ornamenty. Wyjaśnił mi też, że chociaż zawodu pisarza trzeba się wyuczyć, nie sposób go kogoś nauczyć. „Ci, którzy tego nie rozumieją, o wiele lepiej, żeby zajęli się czym innym, na tym świecie jest wiele rzeczy do zrobienia”. Uważał, że moja pisarska przyszłość maluje się w jeszcze czarniejszych barwach niż przyszłość Hiszpanii jako krainy, w której zwycięży rozsądek. Ale był przecież urodzonym pesymistą – choć sam określał się mianem dobrze poinformowanego realisty – więc, wierna własnym zasadom, postanowiłam mu udowodnić, że się myli.

Przy nim udało mi się zaakceptować siebie taką, jaka byłam, zaczęłam

myśleć samodzielnie, a nawet trochę polubiłam samą siebie. Przez ten czas, gdy mieszkaliśmy w jego domu, zostaliśmy przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi. David Martín był typem samotnika, który palił kolejne mosty łączące go ze światem, do dziś nie wiem, czy robił to bezwiednie, czy po prostu nie spodziewał się od tego świata niczego dobrego. Miał pokaleczoną duszę, od najwcześniejszego dzieciństwa rozbitą na kawałki, których nigdy nie udało mu się z powrotem złożyć w całość. Z początku udawałam, że go nienawidzę, potem, że go podziwiam, a pod koniec starałam się ukryć litość, bo to uczucie wprawiało go w furję. Im bardziej próbowałam się od niego oddalić, a próbowałam nieustannie, tym bliższa mu się stawałam. Paradoksem naszej znajomości było to, że pojawiłam się w jego życiu jako uczennica, której nie chciał, a na którą w gruncie rzeczy zawsze czekał. Żeby go ocalić od niego samego i od wszystkich demonów, które pożerały go żywcem.

Nie od razu zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy zakochani. Ja zakochałam się w tym głęboko nieszczęśliwym, poranionym mężczyźnie, zanim w ogóle uświadomiłam sobie, że mi się podoba. David, który potrafił czytać w moich myślach i uczuciach niczym w otwartej księdze, zaczął się chyba o mnie bać. To on wpadł na pomysł, żebym zaczęła pracować w księgarni Sempere i Synowie, której klientem był przez całe życie. I to on skłonił Juana, Sempere syna, który w końcu został moim mężem, żeby spróbował podbić moje serce. Nieśmiałość Juana była równie wielka, jak bezczelność Davida. Byli różni jak noc i dzień, i to bardzo trafne porównanie, bo serce Davida zawsze spowijał mrok.

Wówczas zaczęło już do mnie powoli docierać, że nie zostanę pisarką, nie będę też pływać w łodzi podwodnej, a siostry Brontë muszą poczekać na godną następczynię. Zaczęłam też rozumieć, że David Martín jest chory. W jego duszy powstała przepaść i chociaż przez całe życie zaciekle walczył o psychiczną stabilność, kiedy go poznałam, przegrał już tę batalię z samym sobą i tracił rozum w zastraszającym tempie, tak szybko, jak woda przecieka przez palce. Rozsądek podpowiadał, że powinnam uciec od niego jak najdalej, ale już wtedy lubiłam robić na złość sobie samej.

Z czasem o Davidzie Martinie zaczęto mówić wiele strasznych rzeczy, obwiniono go o okropne zbrodnie. Ja, która znałam go lepiej niż on sam, uważam, że jedyne przestępstwa, jakie popełnił, to te skierowane przeciw

sobie. Dlatego pomogłam mu uciec z Barcelony, kiedy policja oskarżyła go o zabicie Pedra Vidala i jego żony Cristiny, w której zakochał się rozpaczliwie, nie potrafiąc odróżnić wybranki serca od własnych wyobrażeń. Modliłam się, żeby już nigdy nie wrócił do tego miasta, żeby znalazł spokój w jakimś odległym miejscu i żeby ja mogła zapomnieć go z czasem lub z czasem przekonać siebie samą, że naprawdę o nim zapomniałam. Bóg wysłuchuje naszych modłów tylko wtedy, gdy prosimy o coś, czego wcale nie potrzebujemy.

Upłynęły cztery kolejne lata, podczas których próbowałam zapomnieć o Davidzie Martinie, i prawie mi się to udało. I chociaż porzuciłam marzenia o pisaniu, urzeczywistniłam te dotyczące życia wśród słów i książek. Pracowałam w księgarni Sempere i Synowie, w której po śmierci seniora rodu rządu objął Juan. Nasze narzeczeństwo było podobne do innych z czasów przedwojennych: skromne zaloty, głaskanie po policzku, spacery w niedzielne popołudnia i ukradkowe pocałunki pod namiotami na festynach, kiedy traciło się na chwilę z oczu rodzinę. Nie trzęsły mi się już kolana, ale uważałam, że wcale za tym nie tęsknię. Nie można żyć przez całe życie tak, jakby ciągle miało się czternaście lat.

Juan po jakimś czasie poprosił mnie o rękę. Mój ojciec nie potrzebował nawet pięciu minut, żeby się zgodzić, wdzięczny świętej Ricie, patronce spraw beznadziejnych, i wzruszony wizją córki w białej sukni, kornie skłaniającej głowę przed księdzem. Barcelona, miasto cudów. Powiedziałam „tak” z przekonaniem, że to najlepszy mężczyzna, jakiego dane mi będzie w życiu poznać, że pokochałam go nie tylko sercem, ale i umysłem. Moje „tak” to nie była zgoda podlotka. Czułam się mądra. Myślałam, że matka byłaby ze mnie dumna. Wszystkie te przeczytane książki w końcu się do czegoś przydały. Przyjęłam oświadczyzny Juana z przekonaniem, że chcę uczynić go szczęśliwym i założyć z nim rodzinę. I przez jakiś czas święcie w to wierzyłam. Niestety, nadal byłam przerażająco naiwna.

Ludzie mają swoje marzenia, ale o ich losie z pewnością decyduje diabeł. Ślub miał się odbyć w kościele Santa Ana stojącym na niewielkim placu za księgarnią. Rozesłaliśmy zaproszenia, ustaliliśmy, gdzie odbędzie się wesele, sukienka była gotowa, a powóz mający dowieźć pannę młodą do kościoła – wynajęty. Powtarzałam sobie codziennie, że już nie mogę się doczekać i że wreszcie będę szczęśliwa. Stało się to, pamiętam doskonale, w pewien marcowy piątek, dokładnie miesiąc przed zaplanowaną datą ślubu. Zostałam sama w księgarni, bo Juan pojechał do Tiany dostarczyć zamówienie ważnemu klientowi. Usłyszałam dźwięk dzwoneczka nad drzwiami i kiedy uniosłam wzrok, zobaczyłam go. Prawie wcale się nie zmienił.

David Martin należał do tych mężczyzn, którzy nigdy się nie starzeją, przynajmniej z wyglądu. Starzeją się jedynie od środka. Można by powiedzieć, że podpisał cyrograf z diabłem. Nie miałam odwagi na takie żarty, bo wiedziałam, że była to jego najgorsza fantasmagoria – w głębinach swojego obłądzenia sądził, że tak jest naprawdę. Jego osobistym diabłem była urojona postać żyjąca w najciemniejszych zakamarkach chorego umysłu. Ów diabeł nazywał się Andreas Corelli, był paryskim wydawcą i postacią tak złowrogą, że mogłaby zostać bohaterem którejś z mrocznych powieści Martina. David uważał, że Corelli zlecił mu napisanie przeklętej księgi, tekstu założycielskiego nowej fanatycznej religii, głoszącej nienawiść i zniszczenie, która miała podłożyć ogień pod cały świat. David zmagał się z tym urojeniem i wieloma innymi. Wierzył święcie, że jego osobisty szatan poluje na niego, chce się zemścić za to, że on, prawdziwy geniusz, zdradził go i złamał pakt oraz zniszczył w ostatniej chwili swoje dzieło, Malleus Maleficarum. Być może stało się to za sprawą promiennej dobroci jego nowej uczennicy, dzięki której stanął w prawdzie i zrozumiał błąd swoich poprzednich poczynań. Sama nie wiem, jak ja, wspaniała Isabella, która nie wierzyła w nic, nawet w wygraną na loterii, mogłam ludzić się nadzieją, że moja młodzińcza aura w połączeniu z wyjazdem z Barcelony (gdzie powietrze było zatrute, a poza tym szukała go tu policja) wystarczą, żeby uleczyć Davida z jego szaleństwa. Ale kiedy tylko spojrzałam mu w oczy, już wiedziałam, że cztery lata włączenia się Bóg wie gdzie nie uzdrowiły go w najmniejszym stopniu. Uśmiechnął się do mnie i powiedział, że za mną tęsknił, a wówczas dusza rozpadła mi się na tysiące kawałków, zaczęłam płakać i przeklinać swój los. Pogładził mnie dłonią po policzku

i zrozumiałam, że wciąż jestem po uszy zakochana w moim własnym Dorianie Grayu, moim ulubionym wariacie i jedynym mężczyźnie, któremu w marzeniach pozwalałam zrobić ze sobą, co tylko zechce.

Nie potrafię sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy. Ta chwila pozostaje niewyraźna w mojej pamięci. Wszystkie wyobrażenia, które zbudowałam sobie na temat Davida przez lata jego nieobecności w Barcelonie, runęły w pięć sekund niczym domek z kart. Kiedy zdołałam wygrzebać się z ruin, napisałam liścik do Juana. Wetknęłam go w szufladę kasy.

Muszę wyjechać, wybacz mi, Kochanie.

Isabella

Aż nadto dobrze wiedziałam, że policja wciąż poszukuje Davida, co miesiąc jakiś funkcjonariusz zaglądał do księgarni, żeby zapytać, czy wiemy coś o zbiegu. Wyszliśmy z księgarni, trzymając się pod ramię. Dotarliśmy na Dworzec Północny. David sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z powrotu do Barcelony, patrzył na wszystko z nostalgią człowieka umierającego i niewinnością dziecka. Ja tymczasem potwornie się bałam, myślałam tylko o jedynym: gdzie możemy się ukryć. Zapytałam, czy zna jakieś miejsce, w którym nikt go nie znajdzie i gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy go szukać.

„Sala ślubów w ratuszu”, odpowiedział.

„Mówię poważnie, Davidzie”.

Zawsze słynęłam z doskonałych pomysłów, a tego dnia wpadłam na jeden z najlepszych w życiu. David opowiedział mi kiedyś, że jego dawny mentor i przyjaciel Pedro Vidal miał dom nad morzem, w mało uczęszczanym zakątku Costa Brava zwanym S’Agaró. Dom ów służył Vidalowi za miejsce spotkań z kochankami, metresami i innymi bohaterkami krótkich romansów – rzecz powszednia wśród katalońskiej arystokracji, której przedstawiciele płci męskiej mieli pełne prawo zaspokajać swoje pragnienia, byle dyskretnie, nie rzucając się w oczy i nie kalając publicznie świętej instytucji małżeństwa.

Vidal, który był posiadaczem wielu nieruchomości w samej Barcelonie, często zachęcał Davida, żeby korzystał z domu nad morzem, gdyż on sam i jego kuzyni zatrzymywali się tam tylko latem i to najwyżej na dwa tygodnie. Klucz do domu był zawsze pod kamieniem na reliefie znajdującym się przy wejściu. Za pieniądze, które wyjęłam z kasy księgarni, kupiłam dwa bilety do Gerony, a stamtąd do Sant Feliu de Guíxols, miejscowości odległej o dwa kilometry od zatoki Sant Pol, nad którą leżało S'Agaró. David nie stawiał oporu. Po drodze oparł głowę na moim ramieniu i zasnął. Przedtem powiedział:

„Nie śpiam od lat”.

Dojechaliśmy na miejsce pod wieczór bez żadnych bagaży. Postanowiłam, że dostaniemy się do domu pieszo, pod osłoną nocy. Klucz był na miejscu. Z domu nikt od dawna nie korzystał. Otworzyłam na oścież wszystkie okna i zostawiłam je tak, póki słońce nie weszło nad morzem u stóp klifu. David spał przez całą noc jak zabity, obudził się, dopiero kiedy pierwsze promienie słońca zaczęły go muskać po twarzy. Otworzył oczy, wstał i podszedł do mnie. Przytulił mnie z całej siły, a kiedy zapytałam, dlaczego wrócił, odparł, że rozumiał, jak bardzo mnie kocha.

„Nie masz prawa mnie kochać”, odpowiedziałam.

Po latach uśpienia obudziła się we mnie Wenezuela, zaczęłam na niego krzyczeć, wyrzucać z siebie całą wściekłość, smutek i tęsknotę, z którymi mnie zostawił. Wyrzucałam mu, że poznanie go było najgorszym, co mi się w życiu przydarzyło, że go nienawidzę, że nie chcę go więcej widzieć na oczy, że pragnę tylko tego, aby został sam w tym domu i zgnił w nim żywcem. David pokiwał głową i wbił wzrok w podłogę. I chyba w tym momencie go pocałowałam, bo zawsze to ja musiałam całować go pierwsza, i wysadziłam w powietrze całą swoją przyszłość. Nasz rodzinny spowiednik nie miał racji. Nie przyszłam na świat po to, żeby robić wszystkim na złość, lecz po to, by popełniać błędy. A tamtego ranka w ramionach Davida popełniłam największy błąd w swoim życiu.

Najczęściej zdajemy sobie sprawę z jałowości przeżywanego przez nas dnia dopiero wtedy, kiedy jest nam dane żyć naprawdę. Czasem te chwile są krótkie jak rozbłysk światła: tylko kilka godzin, jeden dzień, tydzień, może miesiąc. Wiemy, że jesteśmy żywi, bo czujemy ból, bo nagle wszystko zaczyna nabierać znaczenia, i kiedy ten krótki czas się kończy, cała reszta naszego życia staje się wspomnieniem, do którego nadaremno staramy się powrócić, póki starczy nam tchu. Dla mnie owe chwile prawdziwego życia to te kilka tygodni spędzonych w towarzystwie Davida w domku przy plaży. Powinnam raczej powiedzieć: w towarzystwie Davida i upiorów dręczących jego duszę, ale wówczas było mi wszystko jedno. Gdyby mnie o to poprosił, zstąpiłabym z nim do samych piekieł. I prawdę mówiąc, mam wrażenie, że to właśnie się wydarzyło.

U stóp klifu stała szopa, w niej trzymano kilka łódek. Małe molo zagłębiało się w morze. Prawie co dzień o świcie David siadywał na jego krańcu i patrzył na wschód słońca. Czasem mu towarzyszyłam, a potem kąpaliśmy się w zatoczce otoczonej klifem. Był marzec i woda wciąż była zimna, dlatego potem biegliśmy czym prędzej do domu, żeby ogrzać się przy ogniu płonącym w kominku. Ścieżką wiodącą szczytami klifu chodziliśmy na długie spacerunki, najczęściej w kierunku pustej plaży, którą miejscowi nazywali Sa Conca. Za nią rozciągał się las, w którym mieli swój obóz Cyganie. Tam David kupował żywność. Kiedy wracaliśmy do domu, to on gotował. O zmierzchu jedliśmy kolację, słuchając starych płyt pozostawionych w domku przez Vidala. Często po zachodzie słońca zrywała się tramontana, wiatr wył w koronach drzew i trząsał okiennicami. Zamykaliśmy wtedy okna i rozpalaliśmy w całym domu świece. Potem rozścielałam koce przed kominkiem i brałam Davida za rękę – bo chociaż był ode mnie dwa razy starszy i przeżył więcej, niż mogłam sobie wyobrazić, zawsze był wobec mnie nieśmiały i to ja musiałam prowadzić jego dłonie, żeby rozebrał mnie powoli, tak jak lubiałam. Pewnie powinnam odczuwać zażenowanie, pisząc te słowa, powinnam pozbyć się tych wspomnień, ale w tej chwili nie mam w sobie cienia wstydu ani zakłamania, których świat się po mnie spodziewa. Wspomnienia owych nocy – jego rąk i ust wędrujących po mojej skórze, szczęścia i rozkoszy, jakich zaznałam wśród tamtych czterech ścian – obok narodzin Daniela i lat, które przeżyłam, patrząc, jak rośnie, to najpiękniejsze, co ze sobą zabiorę.

Wiem teraz, że prawdziwym celem mojego życia, nieprzewidzianym przez nikogo, nawet przeze mnie, było poczęcie mojego syna Daniela podczas spędzonych z Davidem tygodni. Wiem, że zostanę surowo osądzona i potępiona przez wszystkich za to, że pokochałam tego mężczyznę, poczęłam z nim dziecko w grzechu i potajemnie, i za to, że wszystkich okłamałam. Kara, sprawiedliwa czy nie, nie kazała długo na siebie czekać. Na tym świecie nikt nie jest szczęśliwy za darmo, choćby nawet to szczęście trwało tylko krótką chwilę.

Pewnego ranka, kiedy David siedział na molo, wstałam, ubrałam się i poszłam do lokalu zwanego La Taberna del Mar w zatoczce Sant Pol. Stamtąd zatelefonowałam do Juana. Upłynęło już dwa i pół tygodnia od dnia, kiedy zniknęłam.

„Gdzie jesteś? Wszystko w porządku? Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo?”, zapytał.

„Wszystko w porządku. Jestem bezpieczna”.

„Wrócisz?”

„Nie wiem, Juanie. Nic już nie wiem”.

„Bardzo cię kocham, Isabello. I zawsze będę cię kochał. Wszystko jedno, czy wrócisz, czy nie”.

„Nie zapytasz mnie, czy ja cię kocham?”

„Nie musisz mi się z niczego tłumaczyć, jeśli nie masz ochoty. Będę na ciebie czekał. Zawsze”.

Te słowa ugodziły mnie prosto w serce niczym sztylet i kiedy wróciłam do domu, wciąż jeszcze płakałam. David czekał na mnie na progu. Mocno mnie przytulił.

„Nie mogę tu z tobą zostać, Davidzie”.

„Wiem o tym”.

Dwa dni później jeden z Cyganów obozujących przy plaży odwiedził nas, żeby opowiedzieć, że Gwardia Obywatelska rozpytuje o mężczyznę i dziewczynę, których podobno widziano ostatnio w okolicy. Mieli portret pamięciowy Davida i mówili, że jest podejrzany o popełnienie morderstwa. To była nasza ostatnia noc. Następnego ranka, kiedy się obudziłam, Davida

już nie było. Zostawił liścik. Prosił mnie, żebym wróciła do Barcelony, wyszła za mąż za Juana Sempere i była szczęśliwa za nas dwoje. Poprzedniej nocy wyznałam mu, że Juan poprosił mnie o rękę, a ja przyjąłam oświadczenia. Do tej pory nie wiem, czemu mu o tym opowiedziałam. Nie wiem, czy chciałam, żeby mnie opuścił, czy raczej żeby zaproponował mi wspólną ucieczkę, poprosił o towarzyszenie mu w jego wędrówce do piekła. Zdecydował za mnie. Kiedy powiedziałam, że nie ma prawa mnie kochać, pewnie w to uwierzył.

Zrozumiałam, że czekanie na niego nie ma sensu. Wiedziałam, że nie wróci ani tego popołudnia, ani następnego dnia. Posprzątałam dom, znów przykryłam meble pokrowcami, pozamykałam wszystkie okna. Odłożyłam klucz pod kamień i ruszyłam na dworzec kolejowy.

Kiedy wsadałam do pociągu na stacji Sant Feliu, wiedziałam już, że jestem w ciąży. Juan, do którego zadzwoniłam przed wyjazdem, czekał na mnie na dworcu w Barcelonie. Objął mnie, ale nie zapytał, gdzie byłam. Ja nie miałam śmiałości nawet spojrzeć mu w oczy.

„Nie zasługuję na twoją miłość”, powiedziałam.

„Nie opowiadaj głupstw”.

Okazało się, że jestem tchórzem. Bałam się. Bałam się o siebie i o swoje nienarodzone dziecko. Tydzień później poślubiłam Juana Sempere w kościele Santa Ana, w ustalonym wcześniej terminie. Noc poślubną spędziliśmy w pensjonacie España. Następnego dnia obudziłam się i usłyszałam dochodzący z łazienki płacz Juana. Jakie piękne byłoby życie, gdybyśmy tylko potrafili kochać ludzi, którzy naprawdę na to zasługują.

Daniel Sempere Gispert, mój syn, przyszedł na świat dziewięć miesięcy później.

5

Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego David postanowił wrócić do Barcelony

w ostatnich dniach wojny. Tego ranka, kiedy zniknął z domu w S'Agaró, pomyślałam, że go więcej nie zobaczę. Potem urodził się Daniel, a ja wreszcie dorosłam i przestałam nieustannie wspominać czas spędzony z Davidem. Przeżyłam te lata, nie mając innych trosk niż dbanie o Daniela i chronienie go przed światem, na który zaczęłam spoglądać równie podejrzliwym okiem, jak patrzył na niego David. Widziałam mrok, nienawiść i zazdrość, małostkowość i interesowność. Świat pełen fałszu, w którym wszyscy kłamią. Świat, który właściwie nie zasługiwał na to, żeby trwać, ale skoro sprowadziłam na niego syna, musiałam teraz to dziecko chronić. Nigdy nie chciałam, żeby David dowiedział się o istnieniu Daniela. W dniu narodzin małego przyrzekłam sobie, że nigdy się nie dowie, kim jest jego ojciec, bo prawdziwym, najlepszym ojcem, który go wychowywał i poświęcił mu swoje życie, był Juan Sempere. Byłam przekonana, że jeśli któregoś dnia Daniel zacznie coś podejrzewać lub, co gorsza, pozna prawdę, nigdy mi tego nie wybaczy. Ale i tak gdybym mogła cofnąć czas, postąpiłabym tak samo. David Martín nigdy nie powinien był wracać do Barcelony. W głębi duszy sędzę, że w jakiś sposób przeczuwał prawdę. Być może to była właśnie kara, jaką przygotował dla niego jego własny, osobisty diabeł. Niestety David, przekraczając granicę, wydał wyrok na nas oboje.

Zatrzymano go w Pirenejach kilka miesięcy temu i przewieziono do Barcelony. Został oskarżony nie tylko o czyny zarzucane mu przed wojną, teraz dodano jeszcze nieprawomyślność, zdradę ojczyzny i nie wiem, jakie jeszcze absurdalne winy. Zamknięto go w więzieniu Modelo razem z tysiącami internowanych. W naszych czasach pakuje się ludzi do więzień i morduje niemal na skalę przemysłową we wszystkich większych miastach, a zwłaszcza w Barcelonie. Zwycięzcy zaczęli grać na strunie zemsty, miażdżenia wroga, a to przecież nasz narodowy sport. Jak było do przewidzenia, świeżo upieczonych adeptów reżimu przybywa w zastraszającym tempie, liczą oni na szybki awans w nowej hierarchii powojennego społeczeństwa. Wielu z nich zmieniło stronę, niektórzy nawet więcej niż raz, bo się im to po prostu opłacało. Nikt, kto przeżył wojnę z otwartymi oczyma, nie uwierzy nigdy, że człowiek przewyższa w czymkolwiek jakiegokolwiek inne zwierzę.

I kiedy myślałam, że nic gorszego nie może się już przytrafić, okazało się, że w czasach, kiedy tryumfują podłość i małoduszność, nigdy takiej pewności

mieć nie można. Na horyzoncie pojawiła się postać, która była ucieleśnieniem wszystkich najgorszych koszmarów naszej historii. Jestem pewna, że jemu podobnych jest wielu, na fali historycznej zmiany zawsze wypływają szumowiny. Nazywa się Mauricio Valls i, jak wszyscy wielcy ludzie małych czasów, jest nikim.

6

Podaję, że któregoś dnia w najważniejszych gazetach tego kraju ukazywać się będą peany na cześć don Mauricia Vallsa, a dziennikarze zaczną trąbić o jego wielkich zasługach dla Hiszpanii. W naszej ojczyźnie pełno jest osobistości tego pokroju i nigdy nie brakuje im świty pochlebców, którzy płaszczą się, licząc na okruchy z pańskiego stołu. Na razie jeszcze nie nadszedł jego czas i Mauricio Valls jest jednym z licznych aspirujących do sukcesu i władzy. Przez ostatnie miesiące dowiedziałam się o nim wielu rzeczy. Wiem, że zaczynał jako człowiek marzący o karierze pisarskiej i biorący udział w kawiarnianych dyskusjach o literaturze. Człowiek przeciętny, pozbawiony talentu i warsztatu, który rekompensował sobie własne niedostatki nieskończoną próżnością i rozpaczliwą potrzebą uznania. Przeczuwając, że własne zasługi nigdy nie przyniosą mu ani sławy, ani pozycji, jakiej pragnął, a pragnął jej tak bardzo, że nic nie było w stanie go powstrzymać, zdecydował się awansować, wykorzystując do tego podejrzane znajomości i towarzystwa wzajemnej adoracji złożone z równie żalonych jak on osobników, świadczących sobie przysługi i eliminujących wspólnych wrogów.

Tak, kiedy piszę te słowa, przepełniają mnie wściekłość i nienawiść, i wstydę się tego, bo już w ogóle przestałam baczyć na to, czy moje słowa są sprawiedliwe, czy nie. Być może osądzam niewinnych, a furia i ból, które pożerają mnie od środka, zupełnie mnie zaślepiły. W ciągu kilku ostatnich miesięcy nauczyłam się nienawidzić i z przerażeniem myślę, że odejdę z tego świata z sercem przepełnionym goryczą.

Usłyszałam jego nazwisko niedługo po tym, jak dowiedziałam się, że David został aresztowany i uwięziony. Mauricio Valls był wówczas zaledwie szczeniakiem nowego reżimu i jego wiernym adeptem. Zyskał jako taką pozycję, ożeniwszy się z córką potentata przemysłowego i finansowego, który poparł narodową krucjatę. Valls rozpoczął swoją karierę jako kandydat na literata, ale sukces zagwarantowało mu uwiedzenie i zaprowadzenie przed ołtarz nieszczęśliwej kobiety, która od urodzenia cierpi na okrutną chorobę niszczącą jej kości. Już jako kilkunastolatka poruszała się na wózku inwalidzkim. Bogata dziedziczka, której nikt nie chce. Prawdziwy uśmiech losu.

Valls roił sobie pewnie, że to posunięcie zapewni mu miejsce na narodowym parnacie, fotel w akademii języka hiszpańskiego albo prestiżowe stanowisko w świecie hiszpańskiej kultury i sztuki. Nie wziął jednak w swoich rachubach pod uwagę, że ludzi takich jak on, którzy zapisali się do zwycięskiej drużyny, kiedy losy wojny zostały przesądzone, mamy na pęczki. Te późne dzieci reżimu ustawiają się teraz w kolejce, żeby spijać śmietankę zwycięstwa.

Gdy nadszedł czas na wyczekiwaną nagrodę i podział łupów, Valls otrzymał swoją dolę, a jednocześnie odebrał cenną lekcję na temat nowych reguł gry. Reżim nie potrzebował poetów, potrzebował strażników więziennych oraz inkwizytorów. I tak, nieoczekiwanie, mianowano go na stanowisko, które w jego mniemaniu w żaden sposób nie licowało z jego talentem i możliwościami: został dyrektorem więzienia w zamku Montjuic. Oczywiście ktoś taki jak Valls nie przepuści żadnej okazji awansu: postanowił wykorzystać ten niespodziewany zwrot akcji, żeby wyrobić sobie pozycję, a przy okazji uwięzić, a nawet pozbyć się wrogów, prawdziwych lub wymaginyowanych, widniejących na jego długiej liście adwersarzy. Nowe stanowisko dało mu nad nimi całkowitą władzę. Nigdy nie rozumiałam, w jaki sposób David Martín znalazł się na tej liście, ale obsesja Vallsa na jego punkcie była naprawdę chorobliwa.

Kiedy tylko dowiedział się, że David został aresztowany i przebywa w więzieniu Modelo, poprosił o przeniesienie go do Montjuic i nie spoczął, póki nie zobaczył go za kratami jednej ze swoich cel. Mój mąż Juan znał młodego adwokata, który zaglądał często do naszej księgarni, mecenasa Fernanda Briansa. Odwiedziłam go, żeby zapytać, co mogę zrobić, żeby

pomóc Davidowi. Nie mieliśmy właściwie żadnych oszczędności, więc Brians, który w tych niezwykle trudnych miesiącach okazał się dobrym przyjacielem, zgodził się nam pomóc, rezygnując z honorarium. Brians miał kontakty w więzieniu Montjuic, znał jednego ze strażników, niejakiego Bebo. Od niego dowiedział się, że Valls miał w związku z Davidem pewien plan. Czytał jego powieści i chociaż uparcie powtarzał, że Martín jest „najgorszym pisarzem na świecie”, próbował go nakłonić, żeby napisał, a raczej poprawił manuskrypt, który, jak ufał Valls, pozwoli mu, zważywszy na nową pozycję w aparacie władzy, zaistnieć jako nadzieja literatury narodowej. Doskonale mogę sobie wyobrazić, co odpowiedział mu na tę propozycję David.

Brians próbował rozmaitych sztuczek, jednak zarzuty, które postawiono Davidowi, były zbyt poważne. Jedyne, co nam pozostało, to błaganie Vallsa o łaskę, żeby w więzieniu nie traktowano go tak źle. Głucha na obiekcje Briansa poprosiłam Vallsa o spotkanie. Teraz wiem, że popełniłam błąd, wielki błąd. Valls zobaczył we mnie osobę bliską Davidowi Martinowi i znalazł jeszcze jeden sposób, w jaki można wyrzucić krzywdę obiektowi własnej nienawiści.

Valls, podobnie jak wielu naczelników więzień, szybko nauczył się czerpać korzyści z niepokojów rodzin i bliskich internowanych, których los zależał od niego. Brians nieraz mnie przed tym ostrzegał. Juan, który podejrzewał, że moje stosunki z Davidem wykraczają poza ramy szlachetnej przyjaźni, patrzył krzywo na te wizyty u Vallsa. „Myśl o swoim dziecku”, mówił. I miał rację. Ja jednak byłam egoistką. Nie mogłam zostawić Davida samego w takim miejscu, chciałam coś dla niego zrobić. Nie była to nawet kwestia godności. Człowiekowi, który przeżył wojnę domową, niewiele tej godności pozostaje. Ale pomyliłam się w kalkulacjach, Valls nie chciał mnie ani posiadać, ani poniżyć. On chciał mnie zniszczyć. Chciał mnie zniszczyć, bo zrozumiał, że tylko w ten sposób zdoła skrzywdzić i złamać Davida.

Cały mój wysiłek, moja naiwność, z jaką starałam się go przekonać, obróciły się przeciwko nam. Próbowałam go zmiękczyć, udawałam, że go szanuję i że się go boję, poniżałam się, błagając o miłosierdzie dla więźnia. To wszystko tylko podsycalo wewnętrzny ogień, który trawił Vallsa od środka. Teraz wiem, że moja próba ocalenia Davida przypieczętowała tylko jego los.

Kiedy to zrozumiałam, było już za późno. Valls, znudzony swoją pracą, znudzony samym sobą i wyczekiwaniem na dni chwały, wypełniał sobie czas fantazjami. Jedną z tych fantazji była miłość do mnie. Ja sądziłam, że jeśli pozwolę mu wierzyć, że jego marzenia mają jakąś przyszłość, okaże litość. W końcu i mną się znudził. Zrozpaczona zagroziłam, że go zdemaskuję, rozgłoszę na wszystkie strony świata, kim naprawdę jest i jakich nikczemności się dopuszcza. Valls roześmiał mi się w twarz, zdumiała go moja naiwność. Ale postanowił mnie ukarać. Żeby zranić Davida i zadać mu ostateczny cios.

Zaledwie półtora tygodnia temu Valls umówił się ze mną przy Rambli, w Café de la Ópera. Poszłam na to spotkanie, nie mówiąc nic nikomu, nawet mężowi. Byłam pewna, że to moja ostatnia szansa. Pomyliłam się. Tamtej nocy zrozumiałam, że coś poszło nie tak. Nad ranem obudziły mnie mdłości. Zobaczyłam w lustrze, że mam żółte oczy, a na szyi i piersiach pojawiły się czerwone plamy. O świcie zaczęłam wymiotować krwią. I poczułam ból. Lodowaty ból, ostry jak nóż, który rozcina wnętrzności, torując sobie drogę w głąb ciała. Dostałam gorączki, nie mogłam pić ani jeść. Włosy wypadały mi garściami. Mięśnie całego ciała napinały się jak kable, krzyczałam z bólu. Z nosa i ust ciekła mi krew.

Wędrowaliśmy od szpitala do szpitala, ale lekarze byli bezsilni. Juan uważa, że zaraziłam się jakąś chorobą i jest jeszcze nadzieja. Nie przyjmuje do wiadomości, że może mnie stracić, podobnie jak ja nie mogę pogodzić się z tym, że zostawiam jego i Daniela. Zawiodłam go jako matka, pozwalając, żeby moje pragnienie ocalenia mężczyzny, którego uważałam za miłość życia, stało się ważniejsze od obowiązków.

Wiem, że Mauricio Valls otruł mnie tamtej nocy w Café de la Ópera. Wiem, że to zrobił, żeby zranić Davida. Wiem, że zostało mi zaledwie kilka dni życia. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Ulgę przynosi mi tylko laudanum, które usypia przeraźliwy ból, i ten zeszyt, w którym wyznaję swoje grzechy i błędy. Brians odwiedza mnie codziennie. Wie, że piszę, by pozostać jak najdłużej przy życiu i powstrzymać trawiący mnie od środka ogień. Poprosiłam go, żeby po mojej śmierci zniszczył te stronice i ich nie czytał. Nikt nie powinien się dowiedzieć o tym, co tu opisałam. Nikt nie powinien poznać prawdy, nauczyłam się bowiem, że na tym świecie prawda wyrządza jedynie krzywdę, Bóg zaś kocha tych, którzy kłamią, i to im okazuje swoją

łaskawość.

Nie mam już do kogo się modlić. Wszystko, w co wierzyłam, mnie zawiodło. Czasem zapominam, kim jestem, i czytanie tego zeszytu pozwala mi zrozumieć, co się dzieje. Będę pisać do końca. Żeby pamiętać. Żeby spróbować przeżyć jak najdłużej. Chciałabym objąć Daniela i powiedzieć mu, że cokolwiek się stanie, zawsze będę przy nim, nigdy go nie opuszczę. Że go kocham. Boże mój, przebacz mi. Nie wiedziałam, co czynię. Nie chcę umierać. Boże, pozwól mi przeżyć jeszcze jeden dzień, żebym mogła tulić Daniela w ramionach i powiedzieć mu, jak bardzo go kocham...

Nad ranem zgodnie z nabytym niedawno zwyczajem Fermín wyszedł na przechadzkę po pustych, oszronionych ulicach Barcelony. Nocny stróż Remigio zawsze go zaczepiał i nieodmiennie wypytywał o przyczyny jego bezsenności. Usłyszał o tym zjawisku w pewnej audycji radiowej dla kobiet poświęconej poradom sercowym, której słuchał potajemnie, acz z zapałem. W głębi duszy identyfikował się ze wszystkimi wylewanymi na antenie żałami, włącznie z narzekaniami na coś, co niezwykle go intrygowało, czyli menopauzę, którą, jak podejrzewał, leczyło się, szorując wstydlive części ciała pumeksem.

– Cemu nazywa pan bezsennością coś, co należałoby raczej nazwać przebłyskiem świadomości?

– Prawdziwy z pana mistyk, Ferminie! Gdybym miał taką żonę jak pańska, czekającą w rozgrzanej pościeli, na pewno nie wyściubiałbym nosa z łóżka. I niech pan się ciepłej ubiera, w tym roku zima wprawdzie nadeszła późno, ale widać chce nadrobić zaległości.

Godzina snucia się po ulicach, po których hulały przenikliwy wiatr i śnieg z deszczem, skłoniła Fermina do skierowania swych kroków do księgarni. Miał tam coś do zrobienia, a nauczył się rozkoszować chwilami samotności przed wschodem słońca, zanim Daniel zejdzie na dół, by otworzyć interes. Ruszył granatowym korytarzem ulicy Santa Ana i już z daleka zauważył świetlisty poblask barwiący szyby witryny. Zbliżał się wolno do wejścia i zatrzymał kilka metrów od niego, chroniąc się przed wiatrem w bramie. Za wcześniej nawet na Daniela, pomyślał. Żeby się teraz nie okazało, że te przekłete przebłyski świadomości są zaraźliwe.

Zastanawiał się, czy wrócić do domu i obudzić Bernardę dziarskim pokazem iberyjskiej męskości, czy też zajrzeć do księgarni i przekonać się, co o tej porze robi jego młody przyjaciel – a przede wszystkim czy nie wykorzystuje do tego przypadkiem broni palnej bądź ostro zakończonych przedmiotów – kiedy zauważył Daniela, jak staje w progu, a potem wychodzi na ulicę. Jeszcze mocniej przytulił się do bramy, czując, że kołatka wbija mu się w nerki, i patrzył, jak Daniel zamyka drzwi księgarni na klucz i rusza w kierunku Puerta del Ángel. Był w samej koszuli, pod pachą niósł jakiś

zeszyt. To nie wróżyło nic dobrego. Fermín z przykrością uznał, że Bernarda musi poczekać.

Przez prawie pół godziny szedł za nim plątaniną ulic prowadzących do portu. Nie musiał nawet się starać, żeby pozostać niezauważonym, gdyż Daniel był tak zatopiony we własnych myślach, że nie zorientowałby się, nawet gdyby szedł za nim cały oddział tancerek w butach do stepowania. Fermín trząsał się z zimna i przeklinał chwilę, w której upchnął pod płaszczem wiadomości sportowe, gazetę o cienkich, porowatych stronach, mało przydatnych jako warstwa izolacyjna, zamiast niedzielnego wydania „La Vanguardii”. Miał pokusę, żeby zawołać przyjaciela. Po chwili namysłu zrezygnował. Daniel szedł przed siebie jak w transie, nie bacząc na mokry śnieg przyklejający mu się do ubrania.

W końcu dotarli do Paseo de Colón, za którym majaczyła fantasmagoria hangarów, masztów i mgieł zasnuwających nabrzeże portowe. Daniel przeszedł na drugą stronę ulicy i ominął kilka tramwajów, które utknęły na mieliźnie w oczekiwaniu świtu. Zanurzył się w surowy krajobraz warsztatów i wielkich jak katedry magazynów, mieszczących w swoich wnętrzach najrozmaitsze towary. Szedł w kierunku doku, gdzie rybacy przygotowujący sieci i szykujący się, żeby wypłynąć na połów, rozpalili dla rozgrzewki ognisko w pustej beczce po benzynie. Kiedy Daniel dotarł do nich, rozstąpili się, żeby zrobić mu przejście. Coś w jego twarzy kazało przypuszczać, że nie warto go zaczepiać. Fermín przyspieszył kroku i zdołał dostrzec, jak Daniel rzuca w płomień niesiony pod pachą zeszyt.

Fermín podszedł do przyjaciela, stanął po drugiej stronie beczki i nieśmiało się do niego uśmiechnął. Oczy Daniela błyszcząły w świetle płomieni.

– Jeśli chce pan koniecznie złapać zapalenie płuc, pragnę tylko zauważyć, że na biegun północny należy iść w przeciwnym kierunku.

Daniel, nie bacząc na jego słowa, wpatrywał się w ogień pożerający kolejne strony kurczące się w płomieniach, jakby zgniatała je jakaś niewidzialna dłoń.

– Bea się martwi, Danielu. Wracajmy do domu.

Daniel uniósł wzrok i spojrzał na Fermina pustymi oczyma, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

– Danielu?

– Gdzie on jest? – zapytał Daniel zimnym, pozbawionym emocji głosem.

– Co takiego?

– Pistolet. Co pan z nim zrobił, Ferminie?

– Oddałem w darze siostrze miłosierdzia.

Kącki ust Daniela uniosły się w lodowatym uśmiechu. Fermín, który doznał dojmującego uczucia, że nigdy nie był tak bliski utracenia go na zawsze, podszedł do przyjaciela i otoczył go ramieniem.

– Chodźmy do domu, Danielu. Bardzo proszę.

Daniel pokiwał głową i w końcu powoli ruszył za Ferminem. Przemierzyli drogę powrotną w całkowitym milczeniu.

Świtało już, kiedy Bea usłyszała odgłos otwieranych drzwi i kroki Daniela w przedpokoju. Od kilku godzin siedziała na stołku w jadalni owinięta kocem. Postać męża ukazała się wreszcie w progu. Jeśli ją zobaczył, nie dał tego po sobie poznać. Przeszedł obok i skierował się do sypialni Juliana, której okna wychodziły na placyk przed kościołem Santa Ana. Bea podniosła się i poszła za nim. Daniel stał w drzwiach pokoju, patrząc na śpiącego syna. Bea położyła mu dłoń na ramieniu.

– Gdzie byłeś? – szepnęła.

Daniel odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Kiedy wreszcie to wszystko się skończy? – zapytała.

– Niedługo – odparł. – Myślę, że niedługo.

LIBERA ME

Madryt
Styczeń 1960



Ariadna ruszyła długą aleją okoloną cyprysami. W ręku trzymała wiązanke czerwonych róż kupionych przy bramie znajdującego się po drodze cementarza. Był szary, metaliczny świt. Panowała niczym niezmacona cisza, bez ptasiego śpiewu, bez najłżejszego szumu wiatru, który musnąłby płaszcz suchych liści okrywających bruk. Słyszając wyłącznie odgłos własnych kroków, Ariadna pokonała drogę wiodącą do kutej bramy, która strzegła wejścia na teren posiadłości. Nad bramą widniał napis:

VILLA MERCEDES

Pałac Mauricia Vallsa wznosił się za arkadią ogrodów i zagajników. Wieże i poddasza wgryzały się w popielate niebo. Ariadna, pyłek bieli w cieniu, przyjrzała się sylwetce domu widocznego zza posągów, fontann i żywopłotów. Wydał jej się monstrualnym stworzeniem, które śmiertelnie ranione dowlokło się do tego leśnego ustronia. Brama stała otworem. Ariadna weszła.

Idąc w stronę domu, dostrzegła tory biegnące przez ogrody i okalające całą posiadłość. Pośród krzewów stał miniaturowy pociąg składający się z parowozu i dwóch wagoników. Ariadna szła brukowaną drogą prowadzącą do willi. Fontanny nie tryskały wodą, ich kamienne anioły i marmurowe madonny szerniały. Na gałęziach drzew roiło się od białawych poczwarek, które rozkwitły niczym małe trumienki utkane z cukrowej waty. Roje pajaków zwisały na niciach rozwieszonych w powietrzu. Ariadna przeszła po mostku przerzuconym nad dużym owalnym basenem. Zielonkawe i obrośnięte cieniutką warstewką lśniących wodorostów wody pokrywały szczątki małych ptaków, które jakby spadły z nieba w wyniku jakiejś klątwy. Nieco dalej można było dojrzeć puste garaże i spowite mrokiem pomieszczenia dla służby.

Ariadna pokonała schody prowadzące do głównego wejścia. Trzy razy zastukała w drzwi, dopiero po chwili zauważyła, że są otwarte. Obejrzała się za siebie. W całej posiadłości panowała atmosfera opuszczenia i rozkładu. Gdy imperator upadł, a z nim wszystkie jego beneficja, służba opuściła pałac. Ariadna pchnęła drzwi i weszła do domu, w którym, jak w mauzoleum, unosił się zapach zapomnienia. Aksamitny półcień zalegał w sieci korytarzy i schodów pnących się naprzeciwko wejścia. Stała tam nieruchomo niczym białe widmo u bram czyścica, kontemplując umarły splendor, którym Mauricio Valls okrył swoje dni chwały.

Wtem do jej uszu dobiegł słabiutki i daleki lament, podobny pojękiwaniu umierającego zwierzęcia. Zdawał się dochodzić z piętra wyżej. Ariadna weszła po schodach. Na ścianach widoczne były ślady po zrabowanych obrazach. Po obu stronach schodów stały puste piedestały, z których skradziono posągi i popiersia. Dotarłszy na pierwsze piętro, zatrzymała się i znów usłyszała jęk. Dochodził z pomieszczenia znajdującego się na końcu korytarza. Skierowała się tam powoli. Drzwi były uchylone. W nozdrza uderzył ją duszący fetor.

Ariadna przedarła się przez zawieszisty półmrok. Łóżko z baldachimem w pierwszej chwili zdało się jej kareta pogrzebową. Przy łożu poniewierał się cały arsenał instrumentów medycznych, stała odłączona i odsunięta na bok aparatura. Na dywanie zalegały śmieci i rzucone byle jak butle tlenowe. Ariadna, starając się na nie nie nadebrać, doszła do łoża i odsunęła zasłonę. Zobaczyła zdeformowane ciało, jakby kości zanikły w galaretowatej masie, a napięcie skóry i ból przemodelowały jego anatomię. Nienaturalnie ogromne i przekrwione oczy w trupio kościstej twarzy patrzyły na nią wylęknione. Z gardła znowu wydobył się ów jęk, ni to odgłos duszenia się, ni to płaczące zawrodożenie. Pani Valls straciła włosy, paznokcie i większość zębów.

Ariadna patrzyła na nią z całkowitą obojętnością. Usiadła przy łożku i nachyliła się nad kaleką.

– Gdzie jest moja siostra? – spytała.

Żona Vallsa usiłowała wykrztusić jakieś słowo. Ariadna pomimo smrodu, jaki od niej bił, przybliżyła twarz do jej ust.

– Zabij mnie – usłyszała błaganie.

2

Mercedes ukryta w swoim domu dla lalek widziała, jak przechodzi przez bramę na teren posiadłości. Ubrana w widmową biel szła bardzo wolno, trzymając w ręku wiązankę róż. Mercedes uśmiechnęła się. Od wielu już dni na nią czekała. Wiele razy jej się śniła. Śmierć ubrana w suknię od Pertegaza w końcu dotarła do Villi Mercedes, nim zima ją całkiem pochłonie, zostawiając jałowy ugór, gdzie nigdy już nie zazieleni się trawnik i wiatr nie zawieje.

Stała w oknie pawilonu dla lalek, do którego się przeniosła, kiedy służba opuściła rezydencję tuż po ogłoszeniu wiadomości o śmierci jej ojca. Z początku doña Mariana, sekretarka taty, próbowała powstrzymać personel, ale o zmierzchu przybyli ubrani na czarno mężczyźni i wywlekli donę Marianę z domu. Mercedes usłyszała dochodzące zza garaży strzały. Nie chciała tam iść. Przez kilka nocy intruzi rabowali obrazy, posągi, meble, odzież, zastawy. Wszystko, co im się nawinęło pod rękę. Zjawiali się o zmierzchu niczym wygłodniałe stado. Ukradli również samochody i zniszczyli ściany salonów, szukając ukrytych skarbów, których nie znaleźli. A kiedy już nic nie pozostało, zniknęli i więcej nie wrócili.

Pewnego dnia na teren posiadłości wjechały dwa samochody policyjne. Wśród mężczyzn, którzy wysiedli, rozpoznała kilku ochroniarzy ojca. Przez chwilę nawet chciała wyjść im na spotkanie i opowiedzieć o wszystkim, co się tu wydarzyło, ale kiedy zobaczyła, że ruszyli biegiem ku wieży, gdzie mieścił się gabinet ojca, pewnie by go splądrować, szybko ukryła się między swoimi lalkami. Tam, pomiędzy setkami figur patrzących w pustkę szklanym wzrokiem, nikt jej nie znalazł. Panią Valls pozostawiono na łasce losu odłączoną od aparatury, która utrzymywała ją w stanie wiecznych tortur. Od wielu dni wyła, ale jeszcze nie umarła. Do dzisiaj.

Dziś śmierć dotarła do Villi Mercedes i niebawem dziewczyna będzie miała ruiny domu tylko dla siebie. Wiedziała, że wszyscy ją okłamali. Wierzyła, że jej ojciec żyje, cały i zdrowy, bezpieczny, i że jak tylko będzie mógł, to do niej wróci. A była o tym przekonana, bo Alicja jej to przyrzekła.

Przyrzekła jej, że odnajdzie tatę.

Widząc, jak śmierć wchodzi po stopniach i jak znika za drzwiami wejściowymi, nabrała wątpliwości. A może jednak się pomyliła? Może ta biała postać, którą wzięła za Parkę, to była tylko Alicja, która wróciła po nią, by zaprowadzić ją do ojca? Bo tylko to miało sens. Wiedziała, że Alicja nigdy jej nie opuści.

Wyszła z pawilonu lalek i udała się do willi. Przekraczając próg, usłyszała kroki na górze. Wbiegła na schody na tyle szybko, że zdążyła zobaczyć, jak biała postać wchodzi do pokoju pani. Smród unoszący się w korytarzu był nieznośny. Zatkąła sobie ręką nos i usta i zajrzała przez drzwi do pokoju. Biała jak anioł postać stała pochylona nad łóżkiem pani. Mercedes wstrzymała oddech. Postać zaś wzięła poduszkę i przykrywszy nią twarz pani, mocno nacisnęła. Ciało ogarnęły drgawki, wprawdzie bardzo silne, po chwili coraz słabsze i słabsze. Niebawem ciało znieruchomiało całkiem.

Postać odwróciła się i Mercedes ogarnęło nieznanne jej dotąd zimno. Pomyliła się. To nie była Alicja. Śmierć w białej sukni podeszła powoli i uśmiechnęła się. Wręczyła jej czerwoną różę, którą Mercedes przyjęła drżącymi rękoma, i zapytała:

– Wiesz, kim jestem?

Mercedes przytaknęła. Śmierć przygarnęła ją do siebie z bezgraniczną czułością i łagodnością. Dziewczyna pozwoliła się głaskać, powstrzymując łzy.

– Ćśś – szepnęła śmierć. – Nikt już nas nigdy nie rozdzieli. Nikt już nie wyrządzi nam krzywdy. Zawsze będziemy razem. Z tatą i z mamą. Zawsze razem. Ty i ja...

3

Alicja obudziła się na tylnym siedzeniu taksówki. Usiadła i upewniła się,

że jest sama. Okna były zaparowane. Przetarła rękawem szybę i zobaczyła, że stoją na stacji benzynowej. Z latarni padał snop żółtawego światła, który wyraźnie drżał, kiedy drogą przejeżdżała ciężarówka w pełnym pędzie. A dalej rozprzestrzeniał się ołowiany świt zagarniający bez reszty całe niebo. Przetarła oczy i opuściła szybę. Uderzenie zimnego powietrza natychmiast odarło ją z senności. Ostry ból przeszył biodro. Nie była w stanie powstrzymać jęku. Chwyliła się za bok. Po chwili ból ograniczył się do głuchego pulsowania, jakby ostrzegając przed nieuchronnym. Najrozsądniej byłoby teraz zażyć jedną albo dwie tabletki, zanim ból stanie się nie do zniesienia, ale wołała zachować czujność. Nie miała wyboru. Po paru minutach z baru stacji benzynowej wyłoniła się sylwetka taksówkarza z dwoma kartonowymi kubkami i z poplamioną tłuszczem torbą. Pozdrowił ją, machając ręką, i niespiesznie obszedł samochód.

– Dzień dobry – odezwał się, siadając za kierownicą. – Zimno jak diabli. Przyniosłem pani coś na śniadanie. Bardziej miejscowe niż kontynentalne, ale przynajmniej ciepłe. Kawę z mlekiem i parę *porras*, bo smacznie wyglądały. Poprosiłem, żeby do kawy dolali parę kropelek koniaku dla kurazu.

– Dziękuję. Ile jestem panu winna?

– Wszystko w cenie kursu, pełne wyżywienie. Proszę coś zjeść. To dobrze pani zrobi.

Siedząc w taksówce, zjedli w milczeniu śniadanie. Alicja nie była głodna, ale wiedziała, że coś zjeść musi. Za każdym razem, kiedy przejeżdżał samochód ciężarowy, lusterko wsteczne wibrowało, a taksówka się trzęsła.

– Gdzie jesteśmy?

– Dziesięć kilometrów od Madrytu. Kilku kierowców samochodów dostawczych powiedziało mi, że przy wjeździe od wschodu na większości krajówek stoją kontrole Gwardii Obywatelskiej, pomyślałem więc sobie, że moglibyśmy zrobić rundkę i wjechać drogą przez Casa del Campo albo przez Moncloa – zaproponował taksówkarz.

– A po co mielibyśmy to zrobić?

– Sam nie wiem. Tak mi się wydaje, że taksówka z Barcelony wjeżdżająca do Madrytu o siódmej rano może zwrócić uwagę. To znaczy ze względu na ten nasz żółty kolor, ma się rozumieć. A ponadto dziwna z nas para, nie sądzi pani, bez urazy? Ale to pani tu rządzi.

Alicja wypła kawę jednym haustem. Koniak palił jak benzyna, ale przynajmniej ogrzał nieco kości. Taksówkarz patrzył na nią kątem oka. Do tej pory Alicja nie zwracała na niego większej uwagi. Był młodszy, niż jej się wydało na pierwszy rzut oka, miał rudawe włosy i bladą twarz. Nosił okulary, których mostek trzymał się dzięki taśmie klejącej, ale jego oczy wciąż zachowywały młodzieńczy blask.

– Jak pan ma na imię? – spytała Alicja.

– Ja?

– Nie. Taksówka.

– Ernesto. Mam na imię Ernesto.

– Panie Ernesto, czy ufa mi pan?

– A można pani ufać?

– Do pewnego stopnia.

– Jasne. Czy mogę pani zadać pytanie o charakterze osobistym? – spytał taksówkarz. – Nie musi pani na nie odpowiadać, jeśli nie będzie pani miała ochoty.

– Niech pan strzela.

– Otóż to. Jakiś czas temu, gdy wyjeżdżaliśmy z Guadalajary, wzięliśmy ostry zakręt i cała zawartość pani torebki wysypała się na siedzenie. Spała pani, więc nie chciałem przeszkadzać i wszystko wrzuciłem z powrotem...

Alicja westchnęła, kiwając głową.

– I zobaczył pan, że mam rewolwer.

– No właśnie. I nie wyglądał na rewolwer na wodę, chociaż po prawdzie to ja się zupełnie na tym nie znam.

– Jeśli chce pan mieć święty spokój, to proszę mnie tu zostawić. Płacę tyle, ile się umówiliśmy, a później poproszę pańskich kolegów dostawców, żeby mnie podwieźli do Madrytu. Na pewno któryś z nich nie odmówi.

– Nie mam najmniejszej wątpliwości, ale wcale by mnie to nie uspokoiło.

– O mnie proszę się nie martwić. Umiem sobie radzić.

– Nie, nie, niech pani sobie wyobrazi, że bardziej się niepokoję o tych szoferaków niż o panią. Zawożę panią, tak jak się umówiliśmy, i nie ma

sprawy.

Ernesto włączył silnik i złapał za kierownicę.

– To dokąd jedziemy?

Zastali miasto zagrzebane we mgle. Dymne tumany kłębiły się pośród wież i kopuł wieńczących szczyty Gran Vía. Woale metalicznych oparów snuły się po ziemi, spowijając samochody i autobusy próbujące torować sobie drogę z pomocą świateł, ale te z wielkim trudem ledwo kęsały nieustępliwe ciemności. Pojazdy poruszały się powoli, niemal po omacku, sylwetki przechodniów wyglądały niczym zlodowaciałe widma.

Gdy przejeżdżali obok Hispanii, jej oficjalnego miejsca zamieszkania w ostatnich latach, Alicja uniosła wzrok, by spojrzeć w okno swego pokoju. Jechali przez centrum miasta. Po jakimś czasie dostrzegli przed sobą mglisty zarys fontanny Neptuna.

– No to jesteśmy – powiedział Ernesto.

– Proszę jechać aż do Lopego de Vegi, później w prawo i prosto w Duque de Medinaceli – nakazała Alicja.

– A nie chciała pani pod Palace?

– Zajedziemy od tyłu. Od kuchni.

Taksówkarz skinął głową i pojechał zgodnie z instrukcjami. Na ulicach było niemal pusto. Hotel Palace zajmował cały trapezoidalny budynek i sam w sobie stanowił swoiste miasto. Objechali kwartał i dotarli do rogu. Alicja poprosiła taksówkarza, by zatrzymał samochód tuż za furgonetką, z której tragarze wyładowywali kartony z pieczywem i skrzynie z owocami, warzywami i innymi wiktuałami.

Ernesto przechylił głowę, by spojrzeć na fasadę monumentalnego budynku.

– Proszę. Tak jak uzgodniliśmy – odezwała się Alicja.

Szofer odwrócił się. Pasażerka trzymała w dłoni plik banknotów.

– A może bym na panią poczekał?

Alicja nie odpowiedziała.

– Bo na pewno będzie pani wracać?

– Proszę wziąć pieniądze.

Taksówkarz wahał się.

– Niepotrzebnie tracimy czas. Proszę wziąć pieniądze.

Ernesto wziął plik.

– Proszę przeliczyć.

– Nie muszę, wierzę pani.

– Jak pan chce.

Ernesto patrzył, jak Alicja wyciąga coś z torebki i wkłada do kieszeni zakietu. Mógłby się założyć, że nie była to szminka do ust.

– Hola, hola, to mi się nie podoba. Może jednak stąd odjedziemy?

– Pan odjedzie i to natychmiast, jak tylko wysiądę. Wraca pan do Barcelony i zapomina, że kiedykolwiek widział mnie pan na oczy.

Taksówkarz poczuł, jak kurczy mu się żołądek. Alicja położyła mu dłoń na ramieniu, uściśnęła je w podziękowaniu i wysiadła z samochodu. Parę sekund później Ernesto zobaczył, jak znika w hotelu Palace.

4

W trzewiach wielkiego hotelu panował ożywiony ruch, pracowano tu już pełną parą, aby pierwsza tura śniadania mogła zacząć się o czasie. Armia kucharzy, kuchcików, posługaczy i kelnerów wychodziła z kuchni i tuneli i wchodziła z powrotem, pchając wózki i niosąc tace. Alicja lawirowała w tym zamęcie pachnącym kawą i tysiącem pyszności, ściągając na siebie spojrzenie niejednego pracownika hotelowego, zdumionego i zaskoczonego, ale zbyt zajętego, by na dłużej zatrzymać wzrok na kobiecie, która ewidentnie była albo zagubionym gościem, albo – i to wydawało się bardziej prawdopodobne – luksusową kurtyzaną wymykającą się dyskretnie po skończonej pracy. Każdy elegancki hotel ma strefy niewidzialne dla klientów i Alicja wykorzystała bez skrępowania wiedzę o tym, by dotrzeć do wind dla personelu. Wsiadła do pierwszej wolnej windy razem z pokojówką niosącą

ręczniki i mydła i lustrującą Alicję od stóp do głów ni to z ciekawością, ni to z zazdrością. Alicja uśmiechnęła się do niej przyjacielsko, dając jej do zrozumienia, że obie jadą na tym samym wózku.

– Tak wcześniej? – zapytała pokojówka.

– Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Pokojówka kiwnęła głową nieśmiało. Wyszła z windy na czwartym piętrze. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, a winda ruszyła dalej na ostatni poziom, Alicja wyjęła z torebki pęk kluczy i odszukała złoty klucz, który dostała od Leandra dwa lata temu. „To klucz uniwersalny. Otwiera wszystkie pokoje w hotelu. Nawet mój. Rób z niego dobry użytek. Nigdy nie wchodź tam, gdzie nie wiesz, co cię czeka”.

Alicja wyszła z windy na ciemny korytarzyk, zaplecze pełne szafek ze środkami czyszczącymi i bielizną pościelową. Minęła je szybko i uchyliła drzwi prowadzące na główny korytarz okalający całe piętro. Apartament Leandra znajdował się w części narożnej zawieszanej nad placem Neptuna. Po drodze Alicja spotkała gościa wracającego do swojego pokoju, przypuszczalnie po śniadaniu. Mężczyzna mile się do niej uśmiechnął, Alicja odpowiedziała mu uśmiechem. Skręciła w korytarz prowadzący do apartamentu Leandra. Przy drzwiach nie było żadnego ochroniarza. Leandro cenił sobie przede wszystkim dyskrecję i unikał wszelkiej ostentacji. Alicja wiedziała jednak, że przynajmniej dwójka jego ludzi przebywa w pobliżu: albo w przyległym pokoju, albo obchodząc hotelowe korytarze. Uznała, że w najlepszym razie ma pięć do dziesięciu minut.

Upewniwszy się, że jest na korytarzu sama, zatrzymała się przed drzwiami apartamentu, ostrożnie włożyła klucz do zamka i delikatnie go obróciła. Drzwi ustąpiły, Alicja szybko wślizgnęła się do środka. Zamknęła drzwi za sobą i opierając się o nie, znieruchomiła na chwilę. Mały przedpokoik prowadził do korytarza. Za nim otwierał się owalny salon znajdujący się pod kopułą narożnej wieży. Leandro mieszkał tu, odkąd Alicja sięgała pamięcią. Ruszyła dalej już z bronią w ręku. W salonie panował półcień. Snop światła wpadał przez uchylone drzwi do sypialni. Alicja usłyszała szum wody i dobrze jej znane pogwizdywanie. Przeszła przez salon i otworzyła na oścież drzwi do sypialni. W głębi pokoju stało puste i niezasłane łóżko. Z lewej strony były drzwi do łazienki, teraz otwarte. Pachniało perfumowanym mydłem. Alicja

stała w progu.

Leandro, odwrócony do niej plecami, stał przed lustrem i golił się skrupulatnie. Na sobie miał szkarłatny szlafrok i odpowiednio dobrane ranne pantofle. Obok czekała wypełniona parującą wodą wanna. Z radia płynęła melodia, której towarzyszyło pogwizdywanie Leandra. Spojrzenie Alicji skrzyżowało się w lustrze z jego spojrzeniem. Leandro uśmiechnął się dobrotliwie, nie okazując najmniejszego zdziwienia czy zaskoczenia.

– Od kilku już dni czekam na ciebie. Zauważyłaś, że poprosiłem chłopaków, żeby się dyskretnie usunęli?

– Dziękuję.

Leandro odwrócił się i wytarł ręcznikiem pianę z twarzy.

– Zrobiłem to wyłącznie dla ich dobra. Wiem, że nigdy nie lubiłaś pracować w zespole. Jadłaś śniadanie? Mam coś zamówić?

Alicja pokręciła głową. Wyciągnęła rewolwer i wymierzyła w brzuch Leandra. Mężczyzna wylał na dłoń nieco płynu po goleniu i natarł nim sobie twarz.

– Domyślam się, że to broń biednego Hendai. Dobrze pomyślane. Domniemywam również, że nie ma potrzeby dopytywać się, gdzie możemy go znaleźć. Wspominam o tym wyłącznie ze względu na jego żonę i dzieci.

– Niech pan spróbuje go znaleźć w puszcze karmy dla kota.

– Widzę, że nie jesteś nastawiona zbyt przyjacielsko, Alicjo. Może siądziemy?

– Tak jest dobrze.

Leandro oparł się o brzeg toaletki.

– Jak wolisz. Słucham.

Alicja zawahała się przez chwilę. Najprościej byłoby strzelić właśnie teraz. Opróżnić magazynek i spróbować ujść stąd z życiem. Przy odrobinie szczęścia zdążyłaby dobiec do schodów dla pracowników. Kto wie, może nawet dotarłaby do głównego hallu hotelowego. Leandro, jak zwykle, czytał w jej myślach. Obdarzył ją spojrzeniem pełnym współczucia i ojcowskiego afektu, kręcąc zarazem głową.

– Nigdy nie powinnaś była mnie porzucić – powiedział. – Nawet nie wiesz,

jak bardzo zabolęła mnie twoja zdrada.

– Nigdy pana nie zdradziłam.

– Bez żartów, Alicjo. Doskonale wiesz, że zawsze byłaś moją ulubienicą. Moim arcydziełem. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Jesteśmy zespołem doskonałym.

– I dlatego posłał pan tego rzeźnika, żeby mnie zabił?

– Rovirę?

– Naprawdę tak się nazywał?

– Czasami. Miał być twoim ewentualnym następcą. Tak zakładano. Posłałem go, żeby się od ciebie uczył i cię pilnował. Podziwiał cię. I to bardzo. Dwa lata podpatrywał, jak pracujesz. Akt po akcie. Każdy przypadek. Mówił, że jesteś najlepsza. To ja popełniłem błąd, sądząc, że może zająć twoje miejsce. Teraz zrozumiałem, że nikt cię nie zastąpi.

– Nawet Lomana?

– Ricardo nigdy nie pojął, na czym polega jego zadanie. Zaczął kierować się własnym osądem i wsadzać nos nie tam gdzie trzeba, kiedy oczekiwano od niego jedynie dzikiej siły. Zapomniał, wobec kogo powinien być lojalny. A w tym interesie przeżywa tylko ten, kto zachowuje zasady lojalności.

– A jakie są pańskie zasady?

Leandro potrząsnął głową.

– Dlaczego nie wrócisz do mnie, Alicjo? Kto będzie się tobą opiekował tak jak ja? Znam cię przecież, jakbyś była moją córką. Wystarczy, że zerknę na ciebie, by wiedzieć, że w tej właśnie chwili przeszywa cię ból nie do wytrzymania, ale nie wzięłaś niczego, chcąc zachować czujność. Patrę ci w oczy i widzę, że się boisz. Boisz się mnie. I to mnie boli. Boli mnie tak bardzo, że...

– Życzy pan sobie tabletkę? A może od razu cały słoiczek? Proszę bardzo, jest pański.

Leandro uśmiechnął się smutno, burcząc coś pod nosem.

– Przyznaję, że popełniłem błąd. Pomyliłem się i proszę cię o wybaczenie. Tego właśnie chcesz? Gotów jestem klęknąć. Nie mam żadnych uprzedzeń. Bardzo boleśnie odczułem twoją zdradę, na tyle boleśnie, że odebrało mi

rozum. Mnie, który zawsze ci powtarzał, że nie należy podejmować decyzji powodowanych urazą, bólem albo strachem. Jak widzisz, ja też jestem tylko człowiekiem, Alicjo.

– Zaraz się rozpłaczę.

Leandro uśmiechnął się złośliwie.

– Sama widzisz, że w istocie rzeczy jesteśmy identyczni. U mojego boku będzie ci najlepiej. Mam wobec nas wielkie plany. Wiele przemyślałem w ostatnich tygodniach i zrozumiałem, dlaczego chcesz to wszystko zostawić. Co więcej, zrozumiałem, że ja też gotów jestem to rzucić. Mam dość odwalania czarnej roboty dla dyletantów i głupców. Ty i ja jesteśmy stworzeni do zupełnie innych rzeczy.

– Czyżby?

– Ależ oczywiście. Naprawdę sądziłaś, że będziemy zawsze babrać się w cudzym gównie? Koniec z tym. Teraz zaprzątnięty jestem planem znacznie, znacznie istotniejszym. Ja też zostawiam to wszystko. I muszę cię mieć przy sobie, musisz mi towarzyszyć. Bez ciebie się tego nie podejmę. Wiesz, o czym mówię, prawda?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Mówię o polityce. Ten kraj czeka zmiana. Wcześniej czy później. Generał nie jest wieczny. Potrzeba nowej krwi. Ludzi z ideami. Ludzi potrafiących kształtować rzeczywistość.

– Jak pan.

– Jak ja i jak ty. Razem możemy dokonać wielkich rzeczy dla tego kraju.

– Na przykład zamordować niewinnych ludzi i ukraść im dzieci, by je odsprzedać?

Leandro westchnął z wyrazem niesmaku na twarzy.

– Alicjo, nie bądź naiwna. To były inne czasy.

– To był pański pomysł czy Vallsa?

– A czy to ważne?

– Tak. Dla mnie ważne.

– Ten pomysł nie miał autora. Stało się, jak się stało, po prostu. Ubachowi i jego żonie przypadły do gustu córki Mataixów. Ot, kaprys. Valls zwietrzył

okazję. A później pojawiły się następne. To była epoka okazji. Zresztą nie ma podaży bez popytu. Ja ograniczyłem się do zrobienia tego, co do mnie należało, i zabezpieczenia całej akcji, by Vallsowi sprawy nie wymknęły się spod kontroli.

– I chyba się nie udało.

– Valls jest zachłanny. Na nieszczęście ci zachłanni nigdy nie wiedzą, kiedy należy przestać. Dlatego też wcześniej czy później muszą upaść.

– To znaczy, że Valls żyje?

– Alicjo... Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

– Prawdy.

Leandro uśmiechnął się nieznacznie.

– Prawda? Oboje dobrze wiemy, że coś takiego nie istnieje. Prawda jest umową, która pozwala, aby naiwni nie musieli współżyć z rzeczywistością.

– Nie przyszedłem po to, żeby mi pan recytował złote myśli.

Spojrzenie Leandra stało się twarde.

– Rzeczywiście. Przyszedłeś, żeby wtykać nos w nie swoje sprawy. Jak zwykle. Byle wszystko skomplikować. Zawsze musisz zrobić po swojemu. I dobrze o tym wiesz. Dlatego mnie opuściłeś. Dlatego mnie zdradziłeś. Dlatego zjawiasz się teraz tutaj i gadasz mi o prawdzie. Bo pragniesz, żebym ci powiedział, że jesteś ode mnie lepsza, że jesteś lepsza od wszystkich.

– Nie jestem lepsza od nikogo.

– Sama nie wierzysz w to, co mówisz, jesteś absolutnie przeświadczona o swojej wyższości. Dlatego zawsze byłaś moją ulubienicą. Dlatego znowu chcę cię mieć u boku. Ten kraj potrzebuje takich ludzi jak ty i ja. Ludzi, którzy potrafiliby go kontrolować. Potrafiliby trzymać go w ryzach i zaprowadzali w nim spokój. Bez nas społeczeństwo będzie niczym szczury w worku pozerające siebie żywcem, żyjące tylko po to, by podsycać swoją nienawiść, zawiść i małoduszną złość. Wiesz, że mam rację. I choć obwinia się nas o każde zło, gdyby nie my, ten kraj stoczyłby się w otchłanie piekielne. Jaka jest twoja odpowiedź?

Leandro patrzył jej długo w oczy, nie otrzymawszy jednak odpowiedzi, odwrócił się i zdjął szlafrok. Alicja przyglądała się nagiemu mężczyźnie

blademu jak rybi brzuch. Leandro, trzymając się złotego uchwyty przytwierdzonego do marmurowej ściany, powoli zanurzał się w wannie. Leżąc już w wodzie, wystawił twarz na muskającą jego policzki parę, otworzył oczy i spojrzał na nią z odrobiną melancholii.

– Wszystko powinno było wyglądać zupełnie inaczej, Alicjo, ale jesteśmy dziećmi naszych czasów. W istocie rzeczy może nawet tak jest lepiej. Zawsze wiedziałem, że to będziesz właśnie ty.

Alicja opuściła broń.

– Na co czekasz?

– Nie zabiję pana.

– To po co przysłaś?

– Nie wiem.

– Skądże, wiesz bardzo dobrze.

Leandro wyciągnął rękę ku słuchawce telefonu wiszącego na łazienkowej ścianie. Alicja ponownie wycelowała.

– Co pan robi?

– Dobrze wiesz, Alicjo, jak to jest... Dzień dobry pani. Tak. Proszę mnie połączyć z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Z panem ministrem Gilem de Parterą. Tak. Przy telefonie Leandro Montalvo. Tak, czekam. Dziękuję.

– Proszę natychmiast odłożyć słuchawkę.

– Nie mogę. Mieliśmy uratować Vallsa. Takie było zlecenie. Mieliśmy go odnaleźć i zmusić do milczenia, żeby ta smutna sprawa nie wyszła na jaw. I niewiele brakowało, byśmy kolejny raz zakończyli naszą misję sukcesem. Ale nie posłuchałaś mnie. Dlatego teraz zmuszony jestem wydać, przyznaję, że z przykrością, rozkaz zlikwidowania tych wszystkich, których wplątałaś w swoją awanturę. Daniela Sempere, jego żony i całej ich rodziny, łącznie z tym pomyślnym, który dla nich pracuje, i każdego, komu w swojej krucjacie odkupienia opowiedziałaś to, czego nigdy nie powinien być się dowiedzieć. Katastrofalny pomysł! Ale sama tego chciałaś. Na szczęście do nich wszystkich zaprowadziłaś nas sama. Jak zwykle, nawet bezwiednie jesteś najlepsza. Tak, słucham? Tak, panie ministrze. Ja również. Właśnie tak. Mam wieści...

Jeden strzał wystarczył. Słuchawka wyslizgnęła mu się z ręki i upadła na podłogę tuż przy wannie. Leandro odwrócił głowę ku Alicji i obdarzył ją spojrzeniem zatrutym wzruszeniem i pożądaniem. Szkarłatna chmura rozrastała się pod wodą, osłaniając rozmyty zarys jego ciała. Alicja stała nieruchomo, obserwując, jak wykrwawia się z każdym uderzeniem pulsu, jak wreszcie jego źrenice rozszerzają się, a uśmiech lodowacieje w kpiarskim grymasie.

– Czekam na ciebie – szepnął Leandro. – Nie każ czekać za długo.

Chwilę później ciało zaczęło się z wolna osuwać. Twarz Leandra Montalvo z szeroko otwartymi oczyma zanurzyła się w wodzie czerwonej od krwi.

5

Alicja podniosła słuchawkę z podłogi i przyłożyła ją do ucha. Nie było żadnego połączenia. Leandro do nikogo nie dzwonił. Wyjęła z torebki słoiczek i zażyła dwie tabletki, popiła je drogą brandy, którą Leandro trzymał w małej szafce w salonie. Przed opuszczeniem apartamentu bardzo dokładnie wyczyściła broń Hendai i rzuciła ją na dywan.

Droga do wewnętrznego korytarzyka dla pracowników zdawała się nie mieć końca. Obie windy jechały do góry, uznała więc, że szybciej będzie zejść schodami. Ponownie przebiegła labirynt korytarzyków wokół kuchni i w końcu dotarła do ostatniego odcinka prowadzącego do wyjścia, przekonana, że za chwilę z tyłu padnie strzał, a ona przewróci się na twarz i umrze jak szczur w tunelach piwnic hotelu Palace, dworu Szkarłatnego Księcia. Wydostała się na ulicę, deszcz ze śniegiem zrosił jej twarz. Zatrzymała się na chwilę, by złapać oddech, i wtedy dostrzegła taksówkarza, który pełen niepokoju czekał na nią, stojąc przy swoim samochodzie, w tym samym miejscu, w którym wysiadła z taksówki. Ernesto ledwie ją zobaczył, natychmiast podbiegł, bez słowa wziął pod rękę i poprowadził do wozu. Pomógł jej zająć miejsce na tylnym siedzeniu i sam jak najszybciej usiadł za kierownicą.

Z daleka rozbrzmiewały już syreny, kiedy silnik zapalił i taksówka ruszyła

w stronę ulicy San Jerónimo. Przejeżdżając obok głównego wejścia do hotelu Palace, Ernesto wypatrywał co najmniej trzy czarne wozy stojące przy budynku i grupkę mężczyzn, którzy pędzili do hallu i roztrącili stojących im na drodze. Taksówkarz spokojnie wrzucił kierunkowskaz i włączył się w sznur samochodów podążających ku alei Recoletos. Jechali wtłoczeni w ruch uliczny, pośród samochodów i autobusów wlokących się we mgle. Ernesto odetchnął z ulgą i dopiero teraz odważył się spojrzeć Alicji w twarz. Po twarzy płynęły jej łzy, usta drżały.

– Dziękuję, że pan na mnie poczekał – szepnęła.

– Dobrze się pani czuje?

Nie odpowiedziała.

– Jedziemy do domu? – spytał Ernesto.

Alicja pokręciła głową.

– Jeszcze nie. Zostało mi jeszcze jedno miejsce...

6

Samochód zatrzymał się przy kutym ogrodzeniu. Ernesto wyłączył silnik i przyjrzał się widocznej za drzewami Villi Mercedes. Alicja, nic nie mówiąc, też obserwowała budynek. Siedzieli tak przez minutę, czekając, aż cisza przestanie nad nimi panować.

– Wygląda na to, że nikogo nie ma – odezwał się wreszcie taksówkarz.

Alicja otworzyła drzwiczki.

– Może pójść z panią? – spytał Ernesto.

– Proszę tu na mnie poczekać.

Alicja wysiadła z taksówki i podeszła do ogrodzenia. Zanim weszła na teren posiadłości, odwróciła się. Ernesto uśmiechnął się blado i pozdrowił ją uniesioną dłonią, umierając ze strachu. Alicja prześlizgnęła się przez pręty i ruszyła w stronę rezydencji. Po drodze dojrzała poprzez drzewa sylwetkę

pociągu. Pokonała ogród rzeźb. Słyszeć było jedynie szuranie jej kroków wśród zwiędłych liści. Szła przez posiadłość już od paru minut i nie spostrzegła żadnych oznak życia prócz mnóstwa czarnych pajaków zwisających z poczwerek przyssanych do liści lub biegających pod jej nogami.

Doszedłszy do głównych schodów i stwierdziwszy, że drzwi do rezydencji stoją otworem, zatrzymała się. Rozejrzała się wokół. Garaże były puste. Nad Villą Mercedes unosiła się niepokojąca atmosfera beznadziei i opuszczenia, jakby wszyscy, którzy żyli w tym miejscu, nagle wyjechali w środku nocy, uciekając przed klątwą. Powoli weszła po schodach, przekroczyła próg i stanęła w westybulu.

– Mercedes? – zawołała.

Echo jej głosu rozniosło się cichnącą litaniją po pustych pomieszczeniach. Po obu stronach hallu otwierał się wachlarz ocienionych korytarzy. Alicja podeszła do drzwi prowadzących do sali balowej zasypanej przywianymi przez wiatr liśćmi. Zastłony falowały na wietrze, a z ogrodu sunęły rzędy robactwa, które dotarłszy do sali, rozprasało się po białych płytach z marmuru.

– Mercedes? – zawołała ponownie.

Poczuła słodkawy odór dochodzący z góry schodów. Idąc jego śladem, trafiła do pokoju w głębi korytarza. Weszła, lecz tuż za progiem stanęła. Drgający całun czarnych pajaków okrywał martwe ciało pani Valls. Zaczęły ją już pożerać.

Alicja wybiegła z pokoju na korytarz i otworzyła okno, by odetchnąć świeżym powietrzem. Wychyliwszy głowę, zauważyła, że wszystkie okna wychodzące na patio są zamknięte poza jednym, znajdującym się na krańcu trzeciego piętra. Cofnęła się do schodów i weszła dwa piętra wyżej. W długim korytarzu zalegał półmrok. Podwójne drzwi w głębi były uchylone.

– Mercedes, to ja, Alicja. Jesteś tam?

Szła powoli, rozglądając się bacznie dookoła. Dotarła do końca korytarza, zatrzymała się i oparła dłonie na obu skrzydłach drzwi.

– Mercedes?

Pchnęła drzwi.

Jasnoniebieskie ściany pokryte były konstelacją rysunków inspirowanych

baśniami i bajkami. Na sklepieniu usłanym inkrustowanymi gwiazdami narysowano zamek, karocę, księżniczkę i przeróżne fantastyczne twory. Alicja znalazła się w pokoju zabaw, w rajku dla uprzywilejowanych infantek, w którym można było znaleźć każdą wymarzoną przez dzieci zabawkę. Obie siostry czekały w głębi komnaty.

Łoże było białe, zamiast wezgłowia wieńczył je rzeźbiony w drewnie anioł z rozpostartymi skrzydłami, przyglądający się pomieszczeniu z bezgranicznym nabożnym skupieniem. Ariadna i Mercedes leżały ubrane w białe suknie, trzymając się za ręce. W drugim ręku obie miały czerwoną różę złożoną na piersi. Na stoliku nocnym przy Ariadnie leżało metalowe pudełko ze strzykawką i szklanymi ampułkami.

Alicja poczuła drżenie w nogach i oparła się o najbliższe krzesło. Nie potrafiła później określić, czy dochodziła do siebie minutę, czy godzinę, pamiętała jedynie, że kiedy zeszła po schodach i dotarła na parter, nogi same ją poniosły do sali balowej. Na gzymsie nad kominkiem znalazła pudełko z długimi zapalnikami. Zapaliła jedną z nich i zaczęła obchodzić dom wzdłuż ścian, podpalając zasłony, firanki i płótna. Niebawem poczuła skowyt płomieni za swoimi plecami i szybko opuściła ten dom śmierci. Przeszła przez ogród, nie oglądając się za siebie, podczas gdy Villa Mercedes płonęła, a ku niebu wznosiła się kolumna czarnego dymu.

IN PARADISUM

Barcelona
Luty 1960

1

Juan Sempere od dwudziestu lat, czyli od czasu, kiedy owdowiał, w każdą niedzielę wstawał rano, parzył sobie szatańsko mocną kawę, wkładał garnitur, brał kapelusz, po czym udawał się do kościoła Santa Ana. Księgarz nigdy nie był człowiekiem nazbyt religijnym. No, chyba żeby imć pana Aleksandra Dumasa zaliczyć w poczet świętych. Lubił siadać w ostatnich ławkach i w milczeniu śledzić nabożeństwo. Przez szacunek wstawał, siadał i klękał z innymi wiernymi, ale nie brał udziału w śpiewach, w modlitwach ani nie przystępował do komunii. Od śmierci Isabelli między nim a niebem zapadło głucho milczenie, jakby obie strony, przedtem wcale nie tak znów skore do rozmowy, uznały teraz, że nie mają sobie nic do powiedzenia.

Proboszcz, któremu nieobce były przekonania księgarza czy też ich brak, zawsze dawał mu do zrozumienia, że jest tu mile widziany, i przypominał, że to również jego dom, niezależnie od wiary czy niewiary. „Każdy przeżywa wiarę na swój sposób – mawiał. – Ale proszę mnie nie cytować, broń Boże, bo jeszcze zostanę wysłany na misję i pożre mnie jakaś anakonda”. Księgarz nieodmiennie odpowiadał, że nie ma w nim wiary, ale w tym miejscu czuje się bliżej Isabelli, być może dlatego, że w tym kościele wzięli ślub i tu też po pięciu zaledwie latach odprawiona została msza pogrzebowa, a były to w jego mniemaniu jedyne szczęśliwe lata w całym życiu.

Owego niedzielnego poranka Juan Sempere zajął jak zwykle miejsce w ostatniej ławie, by wysłuchać mszy i przyjrzeć się, jak ranne ptaszki z parafii, gromada dewotek i grzeszników, ludzi samotnych, cierpiących na bezsenność, optymistów i pozbawionych już wszelkiej nadziei, zbierały się, by prosić Boga o to, żeby w swym nieskończonym milczeniu pamiętał o nich i ich efemerycznym istnieniu. Z daleka widział, jak oddech księdza proboszcza rysuje w powietrzu mgiełki modlitwy. Wierni skupili się jak najbliżej jedyne go piecyka, na jaki pozwalał budżet parafii, ale on mimo ciepłego

wstawiennictwa dziewic i świętych na ołtarzach cudów nie był jednak w stanie zdziałać.

Proboszcz przystępował właśnie do konsekracji i wypicia z kielicha wina, którego z uwagi na przejmujący ziąb i stary księgarz by nie odmówił. Wtem Juan Sempere spostrzegł kątem oka, że ktoś wślizguje się do ostatniego rzędu ławek. Był to Daniel, którego nie widział w kościele od dnia jego ślubu z Beą. Brakowało tylko Fermina z mszalikiem, żeby uznać, że wszystko to jest częścią pogodnego snu w niedzielny poranek.

– W porządku? – zapytał Juan.

Daniel przytaknął, uśmiechając się łagodnie, i skierował wzrok na proboszcza, który udzielał wiernym komunii, podczas gdy organista, nauczyciel muzyki dorabiający w wielu okolicznych kościołach, stały zresztą klient księgarni, grał, jak umiał najlepiej.

– Sądząc po zbrodniach dokonanych na Janie Sebastianie Bachu, mistrz Clemente ma dzisiaj palce całkiem zgrabiałe – dodał Juan Sempere.

Daniel znowu tylko kiwnął głową. Sempere przyjrzał się synowi, który już od wielu dni zachowywał się tak, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej. Daniel nosił w sobie osobny świat pełen tajemnic i przemilczeń, a ojciec nawet nie próbował w ten świat wejść. Często wspominał ów świat sprzed piętnastu lat, kiedy Daniel obudził się przerażony, bo żadną miarą nie mógł przypomnieć sobie twarzy swojej mamy. Tamtego dnia rano księgarz po raz pierwszy poprowadził go na Cmentarz Zapomnianych Książek w nadziei, że owo szczególne miejsce zapełni pustkę, jaką pozostawiło w ich życiu odejście Isabelli. Widział, jak syn dorasta i staje się mężczyzną, jak się żeni i rodzi mu się syn, a mimo to każdego dnia wstawał pełen lęków o Daniela, nieodmiennie żałując, że nie ma przy nim Isabelli, która przekazałaby synowi to, czego on przekazać nie potrafił. W oczach ojca młodzi nigdy nie dorastają, zawsze jawią się jako dzieci, które niegdyś patrzyły na niego z uwielbieniem, przekonane, że zna wyjaśnienie wszystkich możliwych tajemnic.

Niemniej tego ranka, w nikłym świetle kościoła dalekiego od Boga i świata, księgarz przyjrzał się bacznie swojemu synowi i po raz pierwszy uwierzył, że czas zaczął biec również dla niego, że już nie zobaczy dziecka żyjącego po to, by przypomnieć sobie twarz matki, która nigdy nie wróci. Sempere usiłował znaleźć słowa, żeby powiedzieć mu, że go rozumie, że nie

jest sam, ale przeraził go mrok spowijający syna niczym zatruty cień. Daniel odwrócił się do ojca. Sempere odczytał w jego oczach wściekłość i gniew, których nie widział nawet w oczach starców skazanych przez życie na wieczną nędzę.

– Danielu... – szepnął.

Syn przygarnął go z całych sił, zanim powiedział coś więcej. Obejmował go mocno, jakby obawiał się, że jakaś siła wyrwie mu ojca i odbierze. Księgarz nie widział jego twarzy, ale wiedział, że Daniel płacze w milczeniu. I po raz pierwszy od dnia, w którym Isabella od nich odeszła, pomodlił się za syna.

2

Autobus zostawił ich przy bramie cmentarza Montjuic tuż przed południem. Daniel wziął Juliana na ręce i poczekał, aż Bea wysiądzie pierwsza. Nigdy dotąd nie byli tutaj z dzieckiem. Zimne słońce stopiło chmury i niebo promieniało metalicznym błękitem w całkowitej dysharmonii ze scenerią. Przekroczyli bramy miasta umarłych i szli pod górę. Droga biegnąca z boku prowadziła obok starej części cmentarza, powstałej z końcem dziewiętnastego wieku, a okalały ją mauzolea i grobowce o melodramatycznej architekturze, niestroniącej od aniołów i widm w ekstrawaganckim zamęcie, ku chwale wielkich fortun barcelońskich rodzin.

Bea nie cierpiała tego miejsca. Nie cierpiała odwiedzania cmentarza, w którym widziała jedynie chorobliwą teatralizację śmierci i przestrożę dla wystraszonych gości, że siła pochodzenia i dobrego nazwiska zachowuje swoją moc nawet w mrocznej wieczności. Trudno jej było pogodzić się z myślą, że armia architektów, rzeźbiarzy i rzemieślników sprzedała swój talent, aby wznieść okazałą nekropolię i zaludnić ją rzeźbami. Oto duchy śmierci pochylały się, by złożyć pocałunek na czole dzieci sprzed czasów penicyliny, lub widmowe panny wpadały w szpony wiecznej melancholii, pogrążone zaś w smutku anioły, rozciągnięte na marmurowych płytach,

opłakiwały rzewnymi łzami stratę *indiano*, który na Karaibach dorobił się fortuny i chwały na handlu niewolnikami i cukrem pełnym potu i krwi. W Barcelonie nawet śmierć ubierała się w niedzielne szaty. Bea nie cierpiała tego miejsca, ale nie była w stanie powiedzieć tego Danielowi.

Mały Julián przyglądał się temu dantejskiemu karnawałowi oczyma wielkimi jak spodki. Pokazywał palcami rzeźby i skomplikowane struktury panteonów z lękiem i z podziwem zarazem.

– To są tylko rzeźby, Julianie – uspokajała go matka. – Nic ci nie mogą zrobić, nic innego tu nie ma.

Ledwo wypowiedziała te słowa, już ich żałowała. Daniel chyba w ogóle ich nie słyszał, w każdym razie nie dał po sobie tego poznać. Słowem się właściwie nie odezwał od momentu, kiedy wrócił do domu późno w nocy, nie powiedział nawet, gdzie był tak długo. Położył się w milczeniu koło Bei, ale ani na chwilę nie zmrużył oka.

O świcie, kiedy Bea zapytała, co mu jest, Daniel przyjrzał jej się bez słowa. A potem nagle zaczął ją gwałtownie rozbierać. Unieruchomił ją, patrząc jej w twarz, jedną ręką przytrzymał jej ramiona ponad głową, drugą zaś rozsunął jej nogi bez żadnych ceregieli.

– Danielu, to mnie boli. Przestań, proszę, przestań.

Zignorował jej prośby i wziął ją z furją dotychczas Bei nieznaną. W końcu udało jej się uwolnić ręce i wbić mu paznokcie w plecy. Daniel zawył z bólu, a ona z całej siły odepchnęła go na bok. Uwolniwszy się, natychmiast wyskoczyła z łóżka i okryła się szlafrokiem. Chciała wrzasnąć na niego, ale się powstrzymała. Daniel zwinął się w kłębek i unikał jej wzroku. Bea głęboko odetchnęła.

– Nie waż się kiedykolwiek na coś podobnego! Nie waż się! Rozumiesz? Możesz spojrzeć mi w oczy i odpowiedzieć?

Uniósł twarz i przytaknął. Bea zamknęła się w łazience i nie wyszła z niej, dopóki nie usłyszała trzasku zamykanych drzwi wyjściowych. Daniel wrócił po godzinie. Z wiązanką kwiatów.

– Nie chcę kwiatów.

– Pomyślałem, że może powinienem odwiedzić mamę – powiedział Daniel.

Siedząc przy stole i trzymając kubek z mlekiem, mały Julián przyglądał się rodzicom, czując, że coś tu nie gra. Wszystkich można oszukać, ale nie Juliana, pomyślała Bea.

- Zatem idziemy z tobą – odparła.
- Nie musicie.
- Powiedziałam, że idziemy z tobą.

Kiedy dotarli do podnóża pagórka z balustradą z widokiem na morze, Bea się zatrzymała. Wiedziała, że Daniel chce być z matką sam na sam. Już szykował się, by przekazać jej Juliana, ale chłopiec wyraźnie nie życzył sobie opuścić ramion ojca.

- Weź go z sobą. Ja poczekam na was tutaj.

3

Daniel ukląkł przed grobem. Przesunął palcami po wyrytych w kamieniu literach:

ISABELLA SEMPERE

1917–1939

Kłęczał przed grobem z zamkniętymi oczyma, póki Julián nie zaczął niezrozumiale gulgotać, jak zwykle, kiedy coś zaświtało mu w głowie.

- Co się dzieje, Julianie?

Syn pokazywał coś u stóp płyty nagrobnej. Daniel spostrzegł maleńki przedmiot wystający spomiędzy płatków suchych już kwiatów w cieniu szklanego wazonu. Wyglądał jak gipsowa figurka. Daniel był pewien, że nie widział jej tam, kiedy ostatnio odwiedził grób matki. Wziął figurkę do ręki i przyjrzał się jej. Anioł.

Julián zafascynowany pochylił się, usiłując wyrwać mu go z ręki. Wreszcie mu się udało, ale figurka wymusnęła mu się z paluszków, uderzyła o marmur i się stłukła. Daniel spostrzegł, że coś z niej wystaje. Zwitek papieru. Postawił Juliana na ziemi i podniósł figurkę. Rozwinął kartkę i rozpoznał pismo Alicji Gris.

Mauricio Valls
El Pinar
Ulica Manuela Arnusa
Barcelona

Julián baczenie mu się przyglądał. Daniel schował karteczkę do kieszeni, a synowi posłał uśmiech, który nie całkiem chyba przekonał chłopca. Daniel położył białą różę na płycie i znów wziął syna na ręce.

Bea czekała na nich u podnóża pagórka. Daniel przygarnął ją w milczeniu. Chciał prosić o wybaczenie za dzisiejszy poranek i za wszystko, ale nie umiał znaleźć odpowiednich słów. Bea spojrzała na niego.

– Dobrze się czujesz, Danielu?

Skrył się za uśmiechem, który nie przekonał Juliana, a tym bardziej Bei.

– Kocham cię – powiedział.

Tej nocy, kiedy Julián już zasnął, kochali się powoli w przyćmionym świetle. Daniel okrył całe ciało Bei pocałunkami niespiesznie i bojaźliwie, jakby obawiał się, że już nigdy więcej nie będzie mu dane tego robić. A później, gdy leżeli przytuleni pod kocem, Bea szepnęła mu do ucha:

– Chciałabym mieć jeszcze jedno dziecko. Dziewczynkę. A ty?

Daniel dał znak, że tak, chciałby, i pocałował ją w czoło. Przytulał czule Beę, póki nie zasnęła. Odczekał jeszcze, aż jej oddech stanie się powolny i głęboki. Wstał ostrożnie, wziął swoje rzeczy i ubrał się w jadalni. Zanim wyszedł, uchylił nieco drzwi do sypialni syna. Julián spał spokojnie wtulony w pluszowego krokodyla, dwa razy od siebie większego. Dostał go od Fermina i nadał mu imię Carlitos. Uparł się, że będzie z nim spał, mimo wysiłków Bei, żeby zastąpić go czymś bardziej poręcznym. Daniel nie uległ

pokusie, by wejść do pokoju i pocałować synka. Julián nie spał zbyt głęboko i wyczulony był na jakikolwiek ruch w mieszkaniu. Daniel zamknął drzwi. Czy zobaczę jeszcze syna? – przemknęło mu przez myśl.

4

Wskoczył do nocnego tramwaju, rozpoczynającego swój kurs z placu Cataluña, gdy wagon sunął już po szynach. W tramwaju nie było więcej niż pół tuzina pasażerów – skulonych z zimna, z przymkniętymi oczyma, obojętnych na świat zewnętrzny, kiwających się wraz z każdym szarpnięciem wagonu. Żaden z nich na pewno go nie zapamięta.

Przez pół godziny tramwaj jechał wyludnionym miastem. Mijał puste przystanki, zostawiając zapach elektryczności i palonego drewna i ślad niebieskawych iskier na drutach. Co jakiś czas któryś z pasażerów wracał do życia, szedł chwiejnie do tylnego wyjścia i wysiadał, nie czekając nawet, aż tramwaj się zatrzyma. Ostatni odcinek trasy, od skrzyżowania Vía Augusta z ulicą Balmes aż do alei Tibidabo, Daniel jechał już tylko w towarzystwie konduktora, który drzemał na swym stołku z tyłu, i motorniczego, homunkulusa połączonego ze światem poprzez cygaro, z którego unosiły się kłęby żółtawego dymu cuchnącego benzyną.

Zajechawszy na ostatni przystanek, motorniczy wypuścił tryumfalny kłąb dymu i dał znak dzwonkiem. Daniel wysiadł. Przed nim otwierała się aleja Tibidabo i wachlarz rezydencji i pałaców pnących się po zboczu góry. Nad nimi rysowała się sylwetka El Pinar – milczącego strażnika czuwającego nad miastem. Daniel poczuł, że serce bije mu mocniej. Postawił kołnierz płaszcza i ruszył w górę.

Przechodząc obok numeru 32, uniósł wzrok, by spojrzeć przez ogrodzenie na dawną rezydencję Aldayów, i opadły go wspomnienia. W tym starym domu całe wieki temu, to znaczy przed paroma laty, niemal stracił życie. Był pewien, że gdyby teraz towarzyszył mu Fermín, to bez cienia wątpliwości z właściwą sobie ironią dowiódłby, że owa aleja symbolizuje istotę jego losu. Nie

omieszkałby również dodać, że tylko takiemu głupkowi mógł wpaść do głowy podobny idiotyzm, podczas gdy jego żona i syn, niczego nie przeczuwając, przesypiają swoją ostatnią spokojną noc na ziemi. Może jednak powinien był zabrać Fermina z sobą? Przyjacieli zrobiliby wszystko, żeby go powstrzymać, i nie dopuściliby do tego, żeby Daniel popełnił szaleństwo. Stanąłby pomiędzy nim a powinnością czy raczej pomiędzy nim a mrocznym pożądaniem zemsty. I właśnie dlatego tej nocy Daniel musi sam stawić czoło swojemu przeznaczeniu.

Dotarł wreszcie do placyku wieńczącego aleję, skrył się w cieniu i ruszył ku ulicy okalającej wzgórze, na którym wznosiła się posępna, kanciasta sylwetka El Pinar. Z daleka dom sprawiał wrażenie, że zwisa z nieba. Dopiero znalazłszy się u jego stóp, człowiek uzmysławiał sobie rozmiary posiadłości otaczającej rezydencję i ogrom budowli. Góra przeistoczona w ogród otoczona była murem wzniesionym wzdłuż ulicy, przedzielonym główną bramą, której strzegła dobudowana willa z wysoką wieżyczką. Bramę wykuto w żelazie w czasach, kiedy kowalstwo było jeszcze sztuką. Nieco niżej znajdowało się drugie wejście, kamienny portyk w murze z nadprożem z nazwą rezydencji. Za tym wejściem przypuszczalnie ciągnęła się długa stroma droga przecinająca ogród labiryntem schodów. Ogródzenie zdawało się równie solidne jak główne wejście. Daniel doszedł do wniosku, że jedyne, co może zrobić, to wspiąć się na mur, zeskoczyć po drugiej stronie i dostać się do budynku, przekradając między drzewami, z nadzieją, że nikt go nie wypatrzy. Nie miał pojęcia, czy na terenie posesji są psy albo dozorczy. Z zewnątrz nie widać było żadnych świateł. Z El Pinar wiało żałobną atmosferą osamotnienia i opuszczenia.

Po paru minutach obserwacji postanowił, że najlepiej będzie pokonać mur w miejscu najbardziej zdrzewionym. Kamienie w murze były wilgotne i śliskie, sporo wysiłku kosztowało go wdrapanie się na górę. Zeskoczył po drugiej stronie. Gdy tylko wylądował na ziemi pokrytej igliwiami i zeschniętymi gałęziami, poczuł, że wokół panuje znacznie niższa temperatura, jakby właśnie zszedł do podziemia. Jak najciszej ruszył pod górę. Zatrzymywał się co jakiś czas i nadstawiał uszu. Słyszał tylko szum wiatru w liściach. Niebawem wyszedł na kamienistą drogę prowadzącą od wjazdu do alei biegnącej przed budynkiem. Szedł tą drogą, póki nie zderzył się niemal z wyrosłą z ciemności ścianą domu. Rozejrzał się wokół. Spowijały go cisza i gęsty półmrok. Jeśli

nawet ktoś tu był, to najwyraźniej nie miał najmniejszego zamiaru zdradzić swej obecności.

Budynek tonął w cieniu, w oknach był ciemno, a jedynym dochodzącym dźwiękiem był odgłos jego kroków i świst wiatru pośród drzew. Nawet w nikłym świetle księżyca dało się zauważyć, że El Pinar od lat stoi opuszczony. Daniel rozglądał się skonfundowany. Spodziewał się strażników, psów czy też jakiejś uzbrojonej ochrony. W głębi ducha nawet wolałby ich tu zastać. Natknąć się na kogoś, kto mógłby lub chciałby go powstrzymać. Nie było nikogo.

Podszedł do okna i przywarł twarzą do popękanej szyby. Za nią było całkiem ciemno. Obszedł budynek i dotarł do patio przylegającego do oszklonej galerii. Nie zauważył wewnątrz żadnego światła czy ruchu. Znalazł na ziemi kamień i uderzył w szybę w drzwiach. Włożył rękę w otwór, otworzył drzwi od środka. Woń domu owionęła go niczym stary i zły duch czekający nań z utęsknieniem. Wszedł i po paru krokach zdał sobie sprawę, że cały się trzęsie i że wciąż trzyma kamień w garści. Nie wypuścił go.

Galeria prowadziła do prostokątnej sali, która w swoim czasie pełniła chyba funkcję reprezentacyjnej jadalni. Minął ją i dotarł do salonu z wielkimi oknami nawiązującymi do stylu mauretańskiego, przez które widać było całą Barcelonę, daleką jak nigdy. Przemierzał dom, czując się tak, jakby poruszał się po wnętrzu zatopionego statku. Meble pokrywał całun białawego pyłu, ściany były poczerniałe, spleśniałe zasłony leżały na ziemi. Natrafił na wewnętrzne patio zwieńczone zapadniętym sufitem, przez który wpadały snopy jasności niczym miecze z oparów. Usłyszał trzepot i jakiś hałas w górze. Z boku wznosiły się okazałe schody z marmuru, rodem ze sceny operowej, niezbyt pasujące do prywatnej rezydencji. Przy nich znajdowała się dawna kaplica. W półmroku połyskiwała twarz ukrzyżowanego Chrystusa przeorana krwawymi łzami, z oskarżycielskim wzrokiem. Za szeregiem wielu zamkniętych drzwi otwarte daleko wejście zdawało się grzęznąć we wnętrzu domu. Daniel podszedł tam i zatrzymał się. Lekki powiew musnął mu twarz, niosąc ze sobą wyczuwalną woń. Wosk.

Kierując się zapachem, ruszył z wolna pobliskim korytarzem i dotarł do zwykłych już schodów, które uznał za schody dla służby. Parę metrów dalej wychodziło się do obszernej sali. W środku stał stół, a na podłodze leżały przewracane krzesła. Daniel rozpoznał w pomieszczeniu dawną kuchnię.

Zapach wosku dochodził właśnie stąd. Skąpy migotliwy blask wydobywał z ciemności zarys ścian. Uwagę Daniela zwróciła ogromna czarniawa plama na blacie, która spływając ze stołu, utworzyła na podłodze kałużę płynnego cienia. Krew.

– Kto tam? – rozległ się głos. Czuć było w nim strach równy przerażeniu Daniela, jeśli nie większy.

Daniel stanął i skrył się w ciemnym załomie. Słyszał zbliżające się powoli kroki.

– Kto tam?

Młody Sempere ścisnął mocniej kamień i wstrzymał oddech. Zbliżał się do niego cień ze świecą w jednym i z jakimś błyszczącym przedmiotem w drugim ręku. Raptem zatrzymał się, jakby wyczuł obecność Daniela. Ten zaś przyjrzał się zarysowi postaci na podłodze. Człowiek trzymał w drżącej dłoni pistolet. Po chwili postać zbliżyła się na tyle, że skryty za progiem Daniel zobaczył obok siebie przesuwającą się rękę z bronią.

Jego strach nagle obrócił się we wściekłość i nim zdążył zdać sobie sprawę z tego, co robi, z całej siły walnął w tę rękę kamieniem. Usłyszał trzask kości i przeraźliwe wycie. Broń upadła na ziemię. Daniel rzucił się na wrzeszczącą postać, wyładowując na niej całą nagromadzoną w sobie złość. Walił zaciśniętymi pięściami w twarz i w tors. Bity wrzeszczał jak spanikowane zwierzę, usiłując schować twarz w ramionach. Świeczka leżąca na podłodze utworzyła woskową kałużę, która zaczęła się palić. Bursztynowe światło płomienia wydobyło z ciemności przerażone oblicze cherlawego mężczyzny. Daniel zastygł zbity z tropu. Mężczyzna z pokrwawioną twarzą, usiłując z trudem złapać powietrze, patrzył nań osłupiały, niczego nie pojmując. Daniel złapał pistolet i przyłożył mu lufę do czoła. Mężczyzna jęknął tylko.

– Proszę mnie nie zabijać, błagam – wykrztusił.

– Gdzie jest Valls?

Mężczyzna wciąż niczego nie rozumiał.

– Gdzie jest Valls? – powtórzył Daniel, słysząc w swoim głosie napastliwy ton, przepojony nienawiścią, której zupełnie nie rozpoznawał.

– Kto to jest Valls? – wymamrotał mężczyzna.

Daniel zamierzył się, jakby chciał uderzyć go pistoletem w twarz. Tamten, trzęsąc się, zamknął oczy. Do Daniela nagle dotarło, że bije starego człowieka. Cofnął się i usiadł na podłodze, opierając się plecami o ścianę. Zaczerpnął głęboko powietrza, próbując się uspokoić. Stary zwinął się w kłębek na podłodze i popłakiwał.

– Kim pan jest? – zapytał Daniel z głębokim westchnieniem. – Nie mam zamiaru pana zabić. Ja tylko chcę wiedzieć, kim pan jest i gdzie jest Valls.

– Strażnikiem – jęknął. – Jestem strażnikiem.

– A co pan tu robi?

– Powiedzieli mi, że wrócą. Żebym dawał mu jeść i na nich czekał.

– Dawał jeść komu?

Stary człowiek się skulił.

– Vallsowi?

– Nie mam pojęcia, jak się nazywa. Zostawili mi ten pistolet i powiedzieli, że jeśli nie przyjadą w ciągu trzech dni, to mam go zabić i wrzucić do studni. Ale ja nie jestem mordercą...

– Kiedy to było?

– Nie wiem. Ileś dni temu.

– A kto panu powiedział, że wróci?

– Kapitan policji. Nie przedstawił się. Dał mi pieniądze. Mogą być pańskie.

Daniel pokręcił przecząco głową.

– A gdzie jest ten człowiek? Valls.

– Na dole... – Stary wskazał metalowe drzwi w kącie kuchni.

– Proszę dać mi klucze.

– To znaczy, że przyszedł pan go zabić?

– Klucze.

Stary poklepał się po kieszeniach, wydobyl pęk kluczy i podał Danielowi.

– Pan jest z nimi? Z policją? Zrobiłem wszystko, co mi kazali, ale nie mogłem go zabić...

- Jak się pan nazywa?
- Manuel. Manuel Requejo.
- Niech pan wraca do siebie, do domu.
- Nie mam domu... Mieszkam w szopie, tam z tyłu, w lesie.
- Idźże pan stąd.

Stary kiwnął głową. Wstał z trudem i złapał się stołu, by utrzymać się na nogach.

– Nie chciałem wyrządzić panu krzywdy – zapewnił Daniel. – Myślałem, że pan to zupełnie ktoś inny.

Mężczyzna, nie spojrzawszy na niego, powlókł się ku wyjściu.

– Wyświadczy mu pan przysługę – powiedział.

5

Za metalowymi drzwiami znajdowało się pomieszczenie, a w nim liczne półki z puszkami konserw. W jednej ze ścian Daniel wypatrzył otwór, który prowadził do wydrążonego w kamieniu tunelu schodzącego ostro w dół. Ledwie Daniel przekroczył próg tunelu, poczuł w nozdrzach fetor bijący z podziemi. Zwierzęcy odór ekskrementów, krwi i strachu. Daniel zakrył dłonią nos i nadstawił ucha. Dostrzegł zawieszoną na murze latarkę. Zapalił ją i skierował snop światła w głąb tunelu. Schody wykute w skale ginęły w mrokach studni.

Schodził powoli. Stopnie były śliskie, ściany ociekały wilgocią. Według jego szacunków zszedł już kilkanaście metrów, kiedy dostrzegł koniec schodów. W tym miejscu tunel zwężał się i przechodził w pomieszczenie wielkości małego pokoju. Smród był tak okropny, że zagłuszał zmysły. Omiatając ciemności snopem światła z latarki, Daniel ujrzał pręty odgradzające wykute w kamieniu pomieszczenie. Szedł za plamą światła, niczego nie pojmując. Nikogo tu nie było. Zrozumiał, że się pomylił, dopiero

kiedy do jego uszu dobiegł ledwo słyszalny, świszczący, urywany oddech, a w ciemnym kącie wypatrzył cień pełznący ku światłu. Z wielkim trudem przyszło mu rozpoznać w tym cieniu ludzką sylwetkę.

Oczy wypalone przez mrok, zaciągnięte białawą powłoką, które zdawały się nie widzieć. Te oczy go szukały. Worek kości, pokryty zaschniętą krwią, brudem, szmatami, chwycił się prętów, usiłując się podnieść. Miał tylko jedną rękę. W miejscu drugiej tkwił ropiejący i przypalony kikut. Czołgający się cień przylgął do prętów, jakby chciał obwąchać przybysza. Znienacka uśmiechnął się i Daniel zrozumiał, że to reakcja na widoczny w jego ręku pistolet.

Po kilku nieudanych próbach w końcu udało mu się natrafić na klucz pasujący do zamka. Otworzył celę. Istota w środku patrzyła na niego wyczekująco. Daniel rozpoznał w niej blady cień człowieka, którego nauczył się nienawidzić przez ostatnie lata. Nic się nie ostało z jego władczych rysów, wyniosłej postawy i dumnego wyglądu. Odebrano mu wszystko, co można odebrać ludzkiej istocie, pozostawiając jedynie pragnienie ciemności i zapomnienia. Daniel uniósł pistolet i wycelował mu w twarz. Valls zaśmiał się z radością.

– Zabiłeś moją matkę.

Valls kilkakrotnie kiwnął głową i przysunął się na kolanach bliżej. Dotknął swą jedyną ręką pistoletu i przyłożył go sobie do czoła.

– Błagam, błagam – skamlał, płacząc.

Daniel zacisnął palec na spuście. Valls zamknął oczy i z całej siły przycisnął twarz do otworu lufy.

– Spójrz na mnie, skurwysynu.

Valls otworzył oczy.

– Dlaczego? Powiedz dlaczego?

Valls uśmiechnął się, niczego nie rozumiejąc. Stracił wiele zębów i krwawiły mu dziąsła. Daniel odwrócił głowę, czując, jak mdłości podchodzą mu do gardła. Zamknął oczy i starał się przywołać twarz małego Juliana śpiącego w swoim pokoiku. Odsunął broń i otworzył magazynek. Naboje wypadły na wilgotną podłogę. Odepchnął od siebie Vallsa.

Ten spojrział nań wpierw skonsternowany, a później w panice. Zaczął

zbierać naboje jeden po drugim i podawał je Danielowi w drżącej dłoni. Daniel odrzucił broń w głąb celi i chwycił Vallsa za gardło. Błysk nadziei rozпалиł wzrok więźnia. Daniel chwycił go z całych sił, wywłókł z celi i wciągnął po schodach. Dotarłszy do kuchni, kopnął drzwi i wyszedł na zewnątrz, ciągle wlokąc za sobą Vallsa, potykającego się, padającego i próbującego się podnieść. Daniel nie obejrzał się za siebie ani razu i nie odezwał się ani słowem. Włókł swą ofiarę ogrodowymi ścieżkami, wreszcie dotarł do kutej w żelazie bramy. Poszukał odpowiedniego klucza w pęku, który dostał od starego strażnika, i otworzył bramę.

Valls, przerażony, zaczął jęczeć. Daniel wypchnął go na ulicę. Mężczyzna upadł na ziemię, Daniel zaś ponownie złapał go za ramię i zmusił do wstania. Valls zrobił kilka kroków i przystanął. Daniel kopnął go, nie pozwalając mu się zatrzymać. Popychał go tak przed sobą, póki nie dotarli na placyk, gdzie na końcowej pętli stał pierwszy poranny niebieski tramwaj. Zaczynało już świtać i niebo z wolna rozpościerało nad Barceloną czerwonawą pajęczynę, rozpalając morze po widnokrąg. Valls padł przed Danielem na kolana.

– Jesteś wolny – krzyknął Daniel. – Idź precz.

Don Mauricio Valls, najświatlejszy umysł swoich czasów, oddalił się, kuśtykając, w dół alei. Daniel odprowadził go wzrokiem, póki nie rozplynął się w szarzyźnie świtu. Sam skrył się w pustym, wciąż stojącym na pętli tramwaju. Zajął miejsce w głębi wagonu, oparł głowę o szybę i zamknął oczy. Po chwili zapadł w sen, a kiedy konduktor go obudził, słońce wymiatało ostatnie chmury, a Barcelona pachniała czysto i świeżo.

– Dokąd pan zmierza? – spytał konduktor.

– Do domu zmierzam – odparł Daniel. – Do domu.

Po chwili tramwaj ruszył i Daniel przestał wpatrywać się w zarysowujący się w dole wielkiej alei horyzont. Czuł, że uszła z niego cała gromadzona przez lata nienawiść. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat obudził się ze wspomnieniem, które towarzyszyć mu będzie przez resztę jego dni: widział twarz swojej matki, dziewczyny, od której już był starszy.

– Isabello – szepnął do siebie. – Szkoda, że nie zdążyłem cię poznać.

6

Mówią, że pojawił się przy wejściu do metra i że zszedł po schodach, szukając tuneli, tak jakby chciał powrócić do piekła. Mówią, że ludzie, widząc go w łachmanach i cuchnącego niemiłosiernie, odchodzili na bok i udawali, że go nie widzą. Mówią, że wszedł do wagonu i od razu skierował się w najdalszy kąt.

Mówią, że płakał w wagonie i krzyczał, błagając, by ktoś się nad nim zlitował i go zabił, ale nikt nawet nie chciał spojrzeć w oczy temu wrakowi człowieka. Mówią, że błędził przez cały dzień po tunelach metra, że czekał na peronie, by kolejny wagon przewiózł go poprzez kłębowisko tuneli ukryte pod labiryntem Barcelony, że przesiadał się z pociągu do pociągu, potem do następnego i następnego, i do jeszcze jednego, i do kolejnego jadącego donikąd.

Mówią, że wieczorem jeden z tych przeklętych pociągów stanął na ostatniej stacji i kiedy żebrak nie chciał go opuścić, a następnie zignorował polecenia wydawane mu przez maszynistę i kierownika stacji, wezwano policję. Funkcjonariusze wsiedli do wagonu i podeszli do bezdomnego, który pozostał głuchy również na ich upomnienia. Dopiero wtedy jeden z policjantów, zatkawszy sobie nos i usta, zbliżył się do niego. Szturchnął go lufą pistoletu. Mówią, że wtedy padł na ziemię bez życia, a okrywające go łachmany odsłoniły ciało, które zdało im się zwłokami w stanie rozkładu.

Jedynym przedmiotem, który przy nim znaleziono i który mógłby ewentualnie pomóc w określeniu jego tożsamości, było zdjęcie młodej dziewczyny o nieznanym personaliach. Jeden z funkcjonariuszy zachował sobie to zdjęcie i przez lata trzymał je w szafce na posterunku, przekonany, że widoczna jest na nim śmierć we własnej osobie, która zostawiła swoją wizytówkę w rękach tego biedaka przed wysłaniem go na wieczne potępienie.

Służby pogrzebowe zabrały zwłoki i przetransportowały tam, dokąd trafiały ciała wszystkich bezdomnych i opuszczonych, ciała niezidentyfikowane, które miasto wyrzucało co noc. O zmierzchu dwóch posługaczy złożyło ciało w brezentowy worek cuchnący setkami zwłok, które odbyły w nim swą

ostatnią podróż, i cisnęło je na tył ciężarówki. Wjechali starą drogą okalającą zamek na Montjuic, wyraźnie odcinający się na tle morza ognia i tysięcy sylwetek aniołów i duchów miasta umarłych. Wszystkie one zebrały się w tym miejscu chyba po to jedynie, by z pogardą towarzyszyć zmarłemu w jego ostatniej drodze do tej samej zbiorowej mogiły, do której on, w innym życiu, posłał tak wiele osób, nie zapamiętując nawet ich nazwisk.

Dotarłszy na skraj mogiły, głębokiego dołu wypełnionego przysypanymi wapnem zwłokami, dwaj posługacze otworzyli worek, nieznacznie tylko dopomagając, by don Mauricio Valls sturlał się po zboczu trupów aż na samo dno. Mówią, że zaległ na plecach, z otwartymi oczyma, i że posługacze, zanim opuścili to miejsce, zobaczyli, jak czarny ptak siada na dopiero co wyrzuconych zwłokach i szarpie je dziobem. W oddali rozległy się dzwony wszystkich kościołów w mieście.

BARCELONA

23 kwietnia 1960



1

Nadszedł ten dzień.

Tuż przed świtem Fermín obudził się spragniony amorów. Tak nieprzeparta była owa potrzeba miłosna, że na cały tydzień zaspokoił również ewentualne roszczenia małżeńskie Bernardy, a to dzięki niezwyklej mocy swych porannych napadów czułości, skutkiem której w sypialni przesunęły się wszystkie meble, sąsiedzi zza ściany zaś całkiem głośno i energicznie wyrazili swe oburzenie.

– To wszystko przez pełnię księżyca – sumitował się później Fermín przed sąsiadką, witając się z nią przez okienko wychodzące na pralnię. – Nie wiem, co się ze mną wtedy dzieje, coś we mnie wstępuje, zamieniam się...

– Tak, tak, owszem, tyle że nie w wilka się pan zamieniasz, ale w świnię. Panujże pan nad sobą, bo tu mieszkają dzieci, które jeszcze do Pierwszej Komunii nie przystąpiły.

Fermín uległ więc instynktowi prymitywnego rozplodowca siedzącego w głębi jego jestestwa, a potem jak zwykle dopadł go wilczy głód. Usmażył sobie jajecznicę z czterech jaj na szynce i z żółtym serem i skonsumował ją ze średnią bagietką i małą buteleczką szampana. W pełni usatysfakcjonowany uwieńczył wszystko kieliszeczkiem gorzałki, po czym przystąpił do wkładania na siebie garderoby odpowiedniej, by stawić czoło dniowi, który na pewno nie zapowiadał się łatwy i przyjemny.

– Można wiedzieć, dlaczego przebrałeś się za nurka? – spytała Bernarda, stając w progu kuchni.

– Przezorności nigdy za dużo. A na sobie mam nie skafander, tylko stary płaszcz wyłożony gazetami, „ABC” zresztą nawet wody święconej nie przepuszcza. Pewnie dodają coś do farby drukarskiej. Zbiera się na niezłą ulewę.

– Dziś, na świętego Jerzego?

– Niezbadane są zaiste wyroki Pana, niemniej tak się składa, że zawsze kiedy mogą coś spieprzyć, to spieprzą jak nic – nie bez satysfakcji zawyrokował Fermín.

– W tym domu, Ferminie, się nie bluźni.

– Przepraszam, kochanie. W tej chwili zażywam tabletkę przeciw agnostycyzmowi, zaraz mi przejdzie.

Fermín wcale nie kłamał. Od kilku już dni zapowiadano zbliżający się kataklizm biblijny, który w dniu najpiękniejszym z wszystkich świąt miał spustoszyć Barcelonę, miasto róż i książek. Zapowiedzi ekspertów były zgodne: i tych z Instytutu Meteorologii, i z Radia Barcelona, i z dziennika „La Vanguardia”, i z Gwardii Obywatelskiej. Ostatnią kroplę do zapowiadanego potopu dodała słynna wróżka Madame Carmanyola, która była sławna między innymi z dwóch powodów. Pierwszym był wygląd nimfетки o zbyt ostrych rysach, które zdradzały, że w rzeczywistości wróżka to krzepki facet pochodzący z Cornellá, niejaki Cucufate Brotolí. Na szorstką kobiecość przeinaczył się po całkiem długiej praktyce zawodowej jako notariusz, kiedy odkrył, że jego żywiołem w istocie rzeczy jest wkładanie fatałaszków ulicznej zdziury i potrząsanie tyłkiem w lubieżnym rytmie katalońskiej rumbi. Drugim powodem było nieomyślne przepowiadanie pogody. W każdym razie, jeśli pominąć poetykę i kontekst naukowo-techniczny owych prognoz, jedno było pewne – wszystkie instytucje meteorologiczne i pogodynki zgodnie zapowiadały: w tym roku na świętego Jerzego nawet psa by z domu nie wygonił.

– To może lepiej daruj sobie robienie stoiska na ulicy – zasugerowała Bernarda.

– Nie ma mowy. Nie na darmo don Miguel de Cervantes i jego kolega po fachu don William Szekspir umarli dokładnie tego samego dnia, dwudziestego trzeciego kwietnia. Jeśli obaj raczyli oddać ducha w tym samym czasie, to jakim prawem my, księgarze, mamy stchórzyć i nie stawić się na spotkanie? Dziś wychodzimy łączyć książki i czytelników, choćby generał Espartero ostrzeliwał nas z zamku Montjuic.

– A przynajmniej przyniesiesz mi różę?

– Furgon pełen róż najwonnejszych i najczerwieńszych, kwiatuszku mój.

– I pamiętaj, żeby panią Beę też obdarować, bo Daniel to jedno wielkie

nieszczęście i na pewno wyleci mu to z głowy.

– Zbyt wiele lat zmieniam rzeczonemu młodzieńcowi symboliczne pieluchy, żebym teraz miał zapomnieć o tak strategicznych detalach.

– Przynajmniej mi, że nie zmokniesz.

– Jeśli zmoknę, płodniejszym się stanę i urodzaj nieść będę.

– Panie Boże, zmiłuj się nad nami, bo prosto do piekła trafimy.

– Jeszcze jeden powód, żeby sobie nie żałować.

Po lawinie całusów, uszczypnięć w tyłek i wylewnych karesów, którymi obdarzył swą ukochaną Bernardę, Fermín wyszedł z domu przekonany, że w ostatniej chwili jednak stanie się cud i zaświeci słońce jak z obrazu Sorolli.

Po drodze zwinął gazetę portierce, za wścibstwo i członkostwo w Falandze, i sprawdził ostatnie prognozy. Zapowiadano pioruny, grzmoty, błyskawice, burze z gradem wielkości karmelizowanych kasztanów, huraganowy wiatr, który groził porwaniem w powietrze miliona książek i róż, które miały następnie wodować i utworzyć wyspę Barataria tam, gdzie horyzont tracił swoje słodkie imię.

– Poczekamy, zobaczymy, jeszcze zobaczymy – zawyrokował Fermín, przekazując gazetę nieszczęśnikowi, który odsypiał nocne pijaństwo wбитy w krzesło stojące przy kiosku na Canaletas.

Nie tylko Fermín wyrażał sceptycyzm wobec jednobrzmiących prognoz. Barcelończyk to istota, która nie przepuszcza najmniejszej okazji, by sprzeciwić się wszelkim autorytetom, jak chociażby mapa izobaryczna czy też logika arystotelesowska. Tego dnia rano, pomimo że niebo przybrało kolor lejkwca dętego, wszyscy barcelońscy księgarze wstali bardzo wcześnie, gotowi rozłożyć swoje stoiska z książkami na ulicach i stawić, jeśli zaistniałaby taka potrzeba, czoło wszelkim tornadom i tajfunom. Widząc, jak wzdłuż Ramblí rozstawiają swoje szyki, podtrzymując *esprit de corps*, Fermín poczuł, że dziś optymiści będą górą.

– I to mi się podoba. Tak się trzyma kandelabr, a nawet dwa. Niech sobie pada, co chce, nas nie ruszy.

Kwiaciarze uzbrojeni w oceany czerwonych róż też wykazali się hartem ducha. Punkt dziewiąta ulice centrum Barcelony były galantowo wyczyszczone na wielki dzień książek. Wszystkim przyświecała nadzieja, że ponure proroctwa

nie odstręczą zakochanych, czytelników i najrozmaitszych nawiedzonych, którzy od roku 1930 zwoływali się na 23 kwietnia, by święcić najpiękniejsze zdaniem Fermina święto na świecie i w okolicy. O dziewiątej dwadzieścia cztery, wbrew oczekiwaniom, zdarzył się cud.

2

Saharyjskie słońce przebiło się przez zasłony i żaluzje w sypialni i uderzyło Daniela w twarz. Otworzył oczy i z niedowierzaniem patrzył na cud. Obok siebie miał nagie plecy Bei, które zaczął delikatnie lizać od góry do dołu. Bea obudziła się, chichocząc, i natychmiast obróciła się twarzą do Daniela. Objął ją i pocałował w usta powolutku, jakby chciał ją wypić kropla po kropli. A później odrzucił kołdrę i zatopił się w rozkoszy przyglądania się żonie, pieszcząc jej brzuch opuszkami palców, póki Bea nie schwyciła jego dłoni między swymi udami i nie przywarła pożądliwie do jego ust.

- Dziś jest świętego Jerzego, spóźnimy się.
- Fermín na pewno już uruchomił stoisko.
- Piętnaście minut – ustąpiła Bea.
- Trzydzieści – wytargował Daniel.

W rezultacie tych minut było czterdzieści pięć, może jedna mniej albo jedna więcej.

Ulice ożywiły się przed południem. Niebo przypominało gobelin o barwie rozjarzonego błękitu, ozdobiony aksamitną gwiazdą. Tysiące mieszkańców Barcelony wyległo na słońce, by przejść się pośród setek stoisk zajmujących chodniki i pasáže. Pan Sempere postanowił, że rozłoży swoje stoisko naprzeciwko księgarni, na środku ulicy Santa Ana. W pełnym słońcu stało kilka stołów usłanych książkami. Za nimi, obsługując czytelników, pakując książki albo po prostu przyglądając się przechodniom, stała drużyna Sempere w komplecie. A na jej czele Fermín, już bez płaszcza, w samej koszuli. U jego

boku Daniel i Bea, która sprawdzała rachunki i kasę.

– A gdzie obiecany potop? – spytał Daniel.

– W drodze do Tunisu, gdzie bardziej się przyda. Panie Danielu, a można wiedzieć, skąd ta filuterna mina z samego rana? Nie da się ukryć, zima ustępuje, więc krew buzuje...

Pan Sempere i don Anacleto, który zawsze dołączał do nich jako siła wspomagająca i miał dryg niezwykły do pakowania książek, siedzieli na krzesłach i doradzali niezdecydowanym, co warto kupić. Sofia wabiła chłopaczków, którzy podchodzili do stoiska, żeby jej się przyjrzeć, a w rezultacie odchodzili z książką. Obok niej tkwił Fernandito zżerany zazdrością, choć pełen dumy. Do pomocy zgłosili się nawet osiedlowy zegarmistrz don Federico i jego *paramour* sezonowa Merceditas.

Najwięcej jednak radości z wydarzenia miał mały Julián. Przyglądał się rozanielony ludziom przechadzającym się z książkami i z różami w rękach. Siedział na skrzyni obok swojej mamy, pomagał jej liczyć monety i napychał się bez opamiętania zapasami sugusów znalezionymi w kieszeniach płaszcza Fermina. Gdzieś koło południa Daniel przyjrzał się synowi i uśmiechnął się. Julián już dawno nie widział ojca w tak dobrym humorze. Może towarzyszący mu od dawna cień smutku wreszcie odejdzie, jak i te burzowe chmury, o których wszyscy mówią, ale których nikt nie widział. Czasami, kiedy bogowie nie patrzą, a los gubi się gdzieś na drodze, nawet dobrzy ludzie potrafią zaznać trochę szczęścia w życiu.

3

Ubrana była na czarno i skrywała oczy za szklami okularów przeciwsłonecznych, w których odbijał się wylot zatłoczonej ulicy Santa Ana. Przeszła parę kroków i skryła się pod arkadą jednej z bram. Stamtąd podglądała, jak rodzina Sempere sprzedaje książki, rozmawia z przechodniami i cieszy się tym świątecznym dniem, tak jak jej nigdy nie będzie dane się

cieszyć.

Uśmiechnęła się. Fermín wyrywał właśnie książkę z rąk jakiegoś czytelnika i wciskał mu inną. Daniel i Bea porozumiewali się bez słów; mogła im tylko pozazdrościć, bo wiedziała, że na taką bliskość nie zasługuje. Rzuciła okiem na Fernandita wodzącego cielecym wzrokiem za Sofią, przyjrzała się dziadkowi Sempere obserwującemu z satysfakcją swoją rodzinę i przyjaciół. Bardzo chciała podejść i przywitać się z wszystkimi. Powiedzieć im, że już niczego nie muszą się obawiać, i podziękować im za to, że pozwolili jej, choćby i na krótko, spotkać się na swej drodze. Pragnęłaby bardzo, jak niczego innego na świecie, być jedną z nich, ale wystarczy, że zabierze ze sobą to wspomnienie, a będzie uważać się za osobę szczęśliwą. Szykowała się już do odejścia, kiedy poczuła spojrzenie, które wstrzymało czas.

Mały Julián patrzył na nią badawczo i smutno się uśmiechał, jakby potrafił czytać w jej myślach. Chłopczyk uniósł dłoń i pomachał na pożegnanie. Alicja zrobiła to samo. Chwilę później zniknęła.

– Kochanie, komu machasz? – zapytała Bea, widząc, że jej syn patrzy jak zahipnotyzowany w tłum ludzi.

Julián odwrócił twarz ku matce i wziął ją za rękę. Fermín podszedł, by uszczknąć co nieco ze swych sugusowych zapasów, które, jak sądził naiwnie, kryły się jeszcze w płaszczu, i natknął się na całkiem puste kieszenie. Odwrócił się ku Julianowi gotów skrzyknąć dzieciaka, również dostrzegł pożegnalny gest i podążył za wzrokiem chłopca.

Alicja.

Poczuł ją blisko, nie musiał jej widzieć, i pobłogosławił niebu czy też temu, kto raczył zabrać chmury nad inne pastwiska, za ponowne przywrócenie mu tej dziewczyny. Może Bernarda miała mimo wszystko rację i na tym pieskim świecie niektóre sprawy kończyły się czasami tak, jak powinny się kończyć.

Złapał płaszcz i pochylił się ku Bei, która właśnie pobierała od chłopaka w okularach jak teleskopy należność za kolekcję dzieł sir Arthura Conan Doyle'a.

– Szefowo, dzieciak podebrał mi całą moją amunicję, a zaczynam właśnie odczuwać skutki spadku poziomemu cukru, znacznie gwałtowniejszego niż po

wysłuchaniu przemówienia La Pasionarii. Biorąc pod uwagę, że wszyscy tu zebrani, pomijając oczywiście głupiutką Merceditas, mają nadzwyczajne kwalifikacje do zadań, jakie przed nimi stawia dzisiejsze święto, pozwałam sobie odejść na jakiś czas w celu znalezienia godnego zaufania punktu sprzedaży produktów cukierkowych i uzupełnienia wspomnianych niedoborów. Przy okazji kupię różę dla Bernardy.

– Mam różę zarezerwowane w kwiaciarni przy kościele – przypomniała Bea.

– Co ja bym bez pani zrobił...

Bea zdążyła tylko zmarszczyć brew, patrząc, jak Fermín szybko odchodzi.

– A dokąd idzie Fermín? – spytał Daniel.

– Bóg raczy wiedzieć...

4

Odnalazł ją na końcu nabrzeża. Siedziała na walizce, w pełnym słońcu, paląc papierosa i obserwując, jak załoga wnosi skrzynie i kufry na pokład transatlantyku pokrywający białą wody basenu portowego. Fermín przysiadł się do niej. Przez jakiś czas milczeli, ciesząc się swoim towarzystwem bez uciekania się do rozmowy.

– Duża walizka – odezwał się w końcu Fermín. – I pomyśleć, że uważałem panią za jedyną kobietę, która potrafi podróżować tylko z bagażem podręcznym.

– Łatwiej jest zostawić w domu niedobre wspomnienia niż przyzwoitą parę butów.

– Trudno mi cokolwiek powiedzieć, mam tylko jedną parę...

– Bo pan jest ascetą.

– Kto je pani spakował? Fernandito? A to łobuz, szybko się uczy trzymać język za zębami.

– Kazałam mu przysiąc, że nie piśnie słówka.

– A jak go pani przekupiła? Namiętym pocałunkiem?

– Fernandito chce się całować tylko z Sofią, tak jak powinno być. Podarowałam mu klucze do mieszkania, żeby mógł się tam wprowadzić.

– Pozwoli pani, że ten fragment uzyskanej właśnie informacji postaramy się utrzymać w tajemnicy przed panem Sempere, prawnym opiekunem panny Sofii.

– Świetny pomysł.

Alicja przyjrzała mu się. Fermín zatracił się w tych kocich i niezgłębionych oczach. Studnia ciemności. Alicja ujęła jego dłoń i pocałowała ją.

– Gdzie panią poniosło? – spytał Fermín.

– A tu i tam. To i owo skończyć.

– Wykończyć?

Alicja obdarzyła go lodowatym uśmiechem.

– Było parę rzeczy do załatwienia. Parę historii trzeba było dopowiedzieć. Wykonywałam tylko swoją pracę.

– Wydawało mi się, że już się pani z tego wycofała.

– Chciałam wysprzątać biurko – powiedziała Alicja. – Drażnią mnie sprawy nie do końca rozwiązane.

– I nie miała pani zamiaru się pożegnać?

– Przecież pan dobrze wie, że z pożegnaniem jestem na bakier.

– Przyjemnie byłoby wiedzieć, że pani żyje cała i zdrowa.

– A miał pan jakieś wątpliwości?

– A i owszem, miałem. Starość nie radość. Człowiek im bliżej śmierci, tym większego ma pietra. Nazywają to umiarkowaniem.

– Miałam zamiar wysłać panu pocztówkę.

– Skąd?

– Jeszcze nie wiem.

– Coś mi mówi, że ten transatlantyk nie płynie na Costa del Sol.

Alicja pokręciła głową.

– Nie. Płynie trochę dalej.

– Tak też myślałem. Coś jakby za długi. Czy mogę zadać jedno pytanie?

– O ile nie jest związane z kursem...

– Czy rodzina Sempere jest bezpieczna? Daniel, Bea, dziadek, Julián?

– Już jest bezpieczna.

– I do jakich piekieł musiała pani zstąpić, żeby upewnić się, że niewinni mogą żyć w pokoju, a przynajmniej w błogiej nieświadomości?

– Do żadnego, którego bym już przedtem nie znała, Ferminie.

– Ładnie pachną te papierosy. To z tych droższych pewnie. To oczywiste. Panią zawsze pociągały rzeczy ładne i wykwintne. Ja z kolei jestem człowiekiem z pierwszej linii frontu i z tych, co raczej na rozrzutności oszczędzają.

– Papieroska?

– Nie odmówię. Z braku sugusów coś na ruszt trzeba wrzucić. Muszę przyznać, że od czasów wojny nie miałem papierosa w ustach, a były to takie czasy, że skręcało się je z niedopałków i obszczonej trawy. Jestem przekonany, że jakość tego asortymentu uległa od tamtego czasu znaczącej poprawie.

Alicja zapaliła papierosa i przekazała go Ferminowi. Ten zanim wziął go do ust, nie bez podziwu przyjrzał się karminowemu odbiciu na filtrze.

– Ma pani zamiar opowiedzieć mi, co się naprawdę stało?

– Naprawdę chce pan to wiedzieć?

– Taką mam obsesję, że zawsze chcę poznać prawdę. Nawet sobie pani nie wyobraża, ile rozczarowań spotyka człowieka, a tak dobrze się żyje w błogim ogłupieniu.

– To długa historia, a ja muszę wsiadać na statek.

– E, tam, zanim odcumują, na pewno ma pani jeszcze co nieco czasu, żeby oświecić biednego głupka.

– Na pewno chce pan, żebym to panu wytłumaczyła?

– Taki już jestem.

Przez prawie godzinę Alicja opowiadała mu to, co pamiętała z okresu spędzonego w sierocińcu, a później na ulicy do początków pracy pod komendą Leandra Montalvo. Opowiadała o latach służby, o tym, jak w końcu uwierzyła,

że po drodze pozbyła się duszy, nie podejrzewając nawet, że tak naprawdę odwiesiła ją tylko w garderobie, i o rezygnacji z dalszej pracy dla Leandra.

– Sprawa Vallsa miała być, jak sądziłam, moim paszportem do wolności, moim ostatnim zadaniem.

– Ale w rzeczywistości czegoś takiego nie ma, prawda?

– Oczywiście, że nie. Człowiek jest wolny, dopóki nie pozna prawdy.

Opowiedziała mu o spotkaniu z Gilem de Parterą w hotelu Palace i o zleceniu, jakie otrzymała wraz z narzuconym jej partnerem, kapitanem Vargasem. Polegało ono na wspomoczeniu śledztwa, które znalazło się w ślepym zaułku.

– Mój błąd polegał na tym, że nie rozumiałam, że zadanie było oszustwem. Od samego początku. W rzeczywistości nikt nie chciał ratować Vallsa. Zbyt wielu wrogów sobie narobił. Popełnił zbyt wiele głupstw. Łamał zasady gry, nadużywając swoich przywilejów i narażając bezpieczeństwo współpracowników. Kiedy jego zbrodnie wróciły do niego jak bumerang, zostawili go samego. Valls był zdania, że zawiązano spisek, by go zabić, i właściwie się nie mylił. Ale zostawił za sobą już tyle krwi, że nie miał pojęcia, z której strony przyjdzie atak. Przez wiele lat uważał, że widma z jego przeszłości powróciły, by wyrównać z nim rachunki. Salgado albo jego Więzień Nieba, David Martín, i wielu innych. Nie podejrzewał, że chcą go wykończyć ci, których uważał za swoich przyjaciół i protektorów. W obozie władzy ciosów nigdy nie zadaje się od przodu, zawsze jest to cios zadany w plecy i w przyjacielskim uścisku. Nikt na górze nie miał zamiaru go ratować i nikt nie chciał go odnaleźć. Chcieli jedynie mieć pełną gwarancję, że Valls zniknie bezpowrotnie, a ślady tego, co zrobił, zostaną zatarte na zawsze. Za dużo ludzi było w to uwikłanych. Vargas i ja byliśmy tylko narzędziami. Dlatego powinniśmy byli, na koniec, również zniknąć.

– Ale moja Alicja ma więcej żyć niż kot i potrafiła raz jeszcze zwieść Parki...

– Niewiele brakowało. Chyba wykorzystałam już wszystkie życia, jakie miałam do dyspozycji. Nadszedł czas, żebym i ja zeszła ze sceny, Ferminie.

– Czy mogę się przyznać, że będę tęsknił?

– Niech pan lepiej uważa z tym sentymentalizmem, bo wrzucę pana do

wody.

Rozległ się ryk syreny okrętowej, który przetoczył się echem po całym porcie. Alicja wstała.

– Może poniosę walizkę? Obiecuję, że zostanę na lądzie. Mam nie najlepsze wspomnienia z morskich podróży.

Odprowadził ją do trapu, po którym wchodzili już ostatni pasażerowie. Alicja okazała bilet i dokumenty, bosman zaś, dzięki sutemu napiwkowi, wezwał majtka, by ten zaniósł ekwipunek pani do jej kajuty.

– Wróci pani do Barcelony? To miasto to więdźma, wie pani? Włazi człowiekowi pod skórę i już nie puszcza.

– Będzie pan musiał dbać o nią za mnie. I troszczyć się o Beę i Daniela, pana Sempere, Bernardę, Fernandita i Sofię, a w szczególności o siebie i o małego Juliana, który pewnego dnia uczyni nas wszystkich nieśmiertelnymi.

– A, to mi się podoba. To o nieśmiertelności, zwłaszcza teraz, gdy wszędzie mnie łamie.

Alicja uścisnęła go z całych sił i pocałowała w policzek. Fermín wiedział, że płacze, i nie chciał spojrzeć jej w twarz. Żadne z nich nie miało zamiaru tracić godności i to właśnie teraz, gdy mogli potwierdzić, że cudem ocalili.

– Mam nadzieję, że nie wpadnie panu do głowy machanie mi chusteczką – ostrzegła Alicja.

– Mowy nie ma.

Fermín opuścił głowę i wsłuchał się w kroki Alicji. Ze wzrokiem wciąż wbitym w ziemię odwrócił się i odszedł, trzymając ręce w kieszeniach.

Spotkał go tuż przy moło. Daniel siedział na brzegu z nogami zwieszonymi nad wodą. Spojrzeli na siebie. Fermín westchnął. Przysiadł się do przyjaciela.

– Myślałem, że udało mi się pana zgubić – burknął.

– To ta nowa woda kolońska, której pan teraz używa. Można iść za jej zapachem nawet obok rybnych straganów. I co Alicja panu opowiedziała?

– Alicja? Opowieści nie do poduszki.

– Może czuje pan nieprzepartą chęć podzielenia się nimi?

– Nie dzisiaj. Mam pewne doświadczenia z bezsennością i nie polecam.

Daniel wzruszył ramionami.

– Chyba ostrzeżenie przyszło poniewczasie.

Echo syreny okrętowej rozniosło się po całym porcie. Daniel ruchem głowy wskazał statek, który odcumował i powoli odbijał od nabrzeża.

– To ci, co płyną do Ameryki.

Fermín przytaknął.

– A pamięta pan, jak przed laty przychodziliśmy tu i tak sobie siedząc, naprawialiśmy świat cały?

– To było w czasach, kiedy wydawało nam się, że świat można jeszcze naprawić.

– Ja wciąż uważam, że można.

– Bo w głębi ducha jest pan młokosem i gołowąsem, choćby się pan i golił.

Siedzieli, patrząc, jak transatlantyk przepływa przez odbicie całej Barcelony w wodach portowych, rozmazując największy miraż świata w białą smugę kilwatera. Fermín nie odrywał od niego wzroku, dopóki rufa statku nie zniknęła we mgle kłębiącej się przy wyjściu z portu, eskortowana przez stado mew. Daniel przyglądał mu się w zamyśleniu.

– Dobrze się pan czuje, Ferminie?

– Jak byk na wypasie.

– A ja w życiu nie widziałem pana tak zasmuconego.

– To znaczy, że powinien pan udać się do okulisty.

Daniel odpuścił.

– Coś takiego! No dobrze, może ruszymy na miasto? A co by pan powiedział, gdybym zaprosił pana na kieliszek musującego do El Xampanyet?

– Dziękuję, panie Danielu, ale dziś raczej skłonny jestem odmówić.

– Nie pamięta pan? Życie na nas czeka!

Fermín uśmiechnął się do niego i Daniel po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że staremu przyjacielowi posiwiały już wszystkie włosy.

– To na pana, bo mnie czeka już tylko pamięć.

Daniel ścisnął mu ramię nie bez tkliwości i zostawił go samego z jego wspomnieniami i z jego sumieniem.

– Niech mi pan nie każe na siebie za długo czekać, Ferminie – powiedział.

1964

Ilekroć jego syn Nicolás pytał, co trzeba zrobić, żeby być dobrym dziennikarzem, Sergio Vilajuana odpowiadał zawsze to samo.

– Dobry dziennikarz jest jak słoń: musi mieć nosa, wielkie uszy, a przede wszystkim świetną pamięć.

– A kły?

– Musi na nie bardzo uważać, bo nie brakuje takich, którzy zrobią wszystko, żeby go ich pozbawić.

Tego ranka jak zwykle Vilajuana odprowadził młodszego syna do szkoły, a sam ruszył w stronę ulicy Pelayo do redakcji „La Vanguardii”. Wykorzystywał czas przechadzki, żeby spokojnie pomyśleć i poukładać sobie w głowie rozmaite koncepcje, zanim zanurzy się w redakcyjnej dżungli i osaczą go tematy dnia. Kiedy dotarł do redakcji, na spotkanie wyszedł mu Jenario, woźny z drugiego piętra, który od piętnastu lat bezskutecznie próbował przekonać naczelnego, żeby zatrudnił go w dziale sportowym. Chciał bowiem usiąść kiedyś na trybunie honorowej stadionu Barçy, co było w zasadzie jego głównym życiowym marzeniem.

– Musi pan najpierw, Jenario, nauczyć się czytać i pisać. W dzisiejszych czasach o cuda trudno nawet w Fatimie. A sądząc po pańskich dotychczasowych osiągnięciach, nie zasiądzie pan na trybunie nawet podczas eliminacji do drużyny młodzików – powtarzał Mariano Carolo, redaktor naczelny.

Jenario podszedł do Sergia z tajemniczą miną.

– Panie redaktorze, cenzor z ministerstwa na pana czeka... – szepnął.

– Znowu? Czy ci ludzie naprawdę nie mają nic lepszego do roboty?

Vilajuana rzucił okiem na salę redakcyjną. Z daleka rozpoznał swojego ulubionego cenzora o przylizanych brylantyną włosach i figurze dorodnej gruszki, trzymającego wartość przy jego biurku.

– A, jeszcze jedno. Przyszła do pana paczka – powiedział Jenario. – Nie jest to raczej bomba, bo spadła mi na podłogę, a nadal jesteśmy cali i zdrowi.

Vilajuana wziął paczkę i obrócił się na pięcie, aby uniknąć spotkania z cenzorem – ten przygląd próbował przyłapać go od tygodni, żeby wypomnieć mu artykuł o braciach Marx, stanowiący jego zdaniem apologię międzynarodowej masonerii.

Schronił się w kawiarni, przez swoich stałych bywalców – dziennikarzy, kabaretowe artystki i tym podobną faunę północnego Ravalu – zwanej pieszczotliwie Piekiełkiem; zaiste panowały w niej ciemności jak w piekielnych czeluściach. Zamówił kawę i usiadł przy stoliku w głębi lokalu, gdzie nie docierał najmniejszy promień słońca. Przyjrzał się bacznie przesyłce. Była to gruba, zaklejona taśmą koperta, widniało na niej jego nazwisko i adres siedziby „La Vanguardii”. Wytarty stempel pocztowy wskazywał, że przesyłkę nadano ze Stanów Zjednoczonych. W miejsce nadawcy wpisano tylko inicjały: A.G.

Obok nich znajdował się znak identyczny z tym, jakie umieszczono na wszystkich okładkach książek Victora Mataixa z serii „Labirynt duchów”. Sergio otworzył kopertę i wyciągnął z niej przewiązany sznurkiem plik dokumentów. Za sznurek wetknięta była karta z logo nowojorskiego hotelu Algonquin. Napisano na niej:

Dobry dziennikarz znajdzie tu historię, którą warto opowiedzieć...

Vilajuana ściągnął brwi i rozwiązał supeł. Rozłożył na stole plik papierów i próbował rozszyfrować galimatias składający się z rozmaitych wycinków, fotografii i odręcznie sporządzonych notek. Dopiero po kilku minutach zorientował się, na co patrzy.

– Mój Boże – wyszeptał.

Po południu zadzwonił do redakcji i oznajmił, że padł ofiarą niezwykle zakaźnego wirusa zmieniającego układ trawienny w pole minowe. Lepiej więc, by nie pojawiał się w tym tygodniu w pracy, w przeciwnym wypadku wszyscy etatowi dziennikarze będą musieli przenieść się z biurka do toalety. W czwartek naczelny dziennika Mariano Carolo, który wyczuł, że coś się święci, stawiał się u niego w domu, ostentacyjnie wymachując od progu rolką papieru toaletowego.

– Przewrotny zawsze ubezpieczony – powiedział.

Vilajuana westchnął i wpuścił go do środka. Szef udał się prosto do salonu. Zobaczył rozwieszane na ścianie papiery. Podeszedł do nich i długą chwilę uważnie się im przyglądał.

– Czy ja naprawdę widzę to, co widzę? – zapytał.

– Powiedziałbym, że to zaledwie wierzchołek góry lodowej.

– Kto jest twoim informatorem?

– Nie wiem, jak to powiedzieć.

– Czy to wiarygodne źródło?

– Sądzę, że tak.

– Wiesz dobrze, że jeśli to opublikujemy, skończymy, ucząc hiszpańskiego w jakiejś zapadłej dziurze w Kordobie, a nasz właściciel będzie musiał poprosić o azyl w niepopularnym i trudno dostępnym kraju tropikalnym.

– Jestem tego świadom.

Carolo posłał mu nerwowe spojrzenie i położył dłoń na brzuchu. Odkąd został naczelnym, miał wrażenie, że nowe wrzody pojawiają mu się, nawet kiedy śpi.

– I pomyśleć tylko, że mogłem zostać katalońskim Noëlem Cowardem...

– Nie mam pojęcia, co powinienem zrobić – przyznał Vilajuana.

– Wiesz, jak to pociągnąć?

– Owszem, trafiłem na pewien trop.

– Powiem w redakcji, że przygotowujesz serię reportaży o nieznaney dotąd szerszej publiczności twarzy Generalissimusa, a mianowicie o jego wkładzie w sztukę pisania scenariuszy dla Hollywood.

– *Co się zdarzyło generałowi F.?*

– Wspaniały tytuł. Informuj mnie na bieżąco. Daję ci dwa tygodnie.

Vilajuana spędził resztę tygodnia na analizowaniu dokumentów i układaniu informacji w schemat w kształcie drzewka. Spoglądając na niego, myślał, że to drzewko jest tylko jednym z wielu i poza czterema ścianami jego mieszkania czeka na niego cały las. Kiedy już przetrawił wszystkie dane i zrozumiał, co

z nich wynika, przyszła kolej na podjęcie decyzji: podążać tym tropem czy nie.

Alicja podsunęła mu pod nos prawie wszystkie części łamigłówek. Teraz piłka była po jego stronie. Kilka bezsennych nocy zdecydowało za niego. Pierwsze kroki skierował do Urzędu Stanu Cywilnego, wielkiego gmazyska, którego okna wychodziły na port, kryjącego w sobie prawdziwy czyściec archiwów i biurokratów w swoim naturalnym środowisku bytowania. Spędził tam kilka dni, nurkując w otchłaniach teczek. Nie znalazł nic. Zaczął już podejrzewać, że trop Alicji jest fałszywy, kiedy piątego dnia poszukiwań wpadł na sędziwego woźnego, który był tuż przed emeryturą. Staruszek w towarzystwie radia tranzystorowego przesiadywał w kanciapie pełnej mopów i środków czystości i z wypiekami na twarzy słuchał transmisji z meczów pierwszej ligi na przemian z audycjami z cyklu „Kącik złamanych serc”. Pracownicy z nowego naboru mówili o nim Matuzalem, gdyż był jedynym, który przetrwał ostatnią czystkę administracyjną. Nowi urzędnicy lepszego sortu, teoretycznie lepiej wykształceni i przygotowani niż poprzednicy, niespecjalnie brali sobie do serca obsługę petentów i nikt nie wyjaśnił dziennikarzowi, dlaczego nie może znaleźć barcelońskich aktów zgonu ani urodzenia pochodzących sprzed 1944 roku.

– To było przed wprowadzeniem nowego systemu – mówili tylko. Cokolwiek miało to znaczyć.

Matuzalem, który zawsze musiał zamiatać podłogę akurat w miejscu, gdzie Sergio prowadził swoje kwerendy, w końcu się nad nim zlitował.

– Czego pan szuka, dobry człowieku?

– Zaczynam podejrzewać, że świętego Graala.

Dzięki sutemu napiwkowi, a do tego wiedziony współczuciem dla Vilajuany, który zderzył się z tak wyraźnym ostracyzmem, Matuzalem odpowiedział mu w końcu, że tak naprawdę nie powinien szukać papierów, lecz pewnej osoby.

– Doñi Maríi Luisy. Kiedy ona tu rządziła, wszystko było zupełnie inaczej. Zresztą, co będę panu opowiadał...

Próby odnalezienia Maríi Luisy natrafiły na ten sam mur.

– Osoba, o którą pan pyta, dawno odeszła na emeryturę – wyjaśnił nowy dyrektor tonem sugerującym, że jeśli petent jest przy zdrowych zmysłach,

powinien czym prędzej dać sobie spokój i udać się na przechadzkę po Barceloncie.

Skontaktowanie się z nią zajęło dziennikarzowi kilka tygodni. María Luisa Alcaine zajmowała niewielkie mieszkanie przy placu Real, na ostatnim piętrze budynku pozbawionego windy i nadziei na jej zainstalowanie. Od podłogi do sufitu piętrzyły się kartony pełne papierów, a okna wychodziły na gołębniki i niewykończone dachy. Lata spędzone na emeryturze nie były dla kobiety łaskawe. Kiedy otworzyła drzwi, Sergio ujrzał przed sobą staruszkę.

– Doña María Luisa Alcaine?

– Kim pan jest?

Vilajuana przygotował sobie zawczasu odpowiedź na to pytanie i miał nadzieję, że dzięki niej María Luisa nie zatrzaśnie mu drzwi przed nosem.

– Nazywam się Sergio Vilajuana, jestem dziennikarzem „La Vanguardii”. Przysyła mnie przyjaciółka pani dawnego znajomego, kapitana Vargasa. Pamięta go pani?

Doña María Luisa westchnęła ciężko i odwróciła się, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Mieszkała w tej klatce sama, trawiona śmiertelną chorobą: samotnością i zapomnieniem. Kobieta odpalała papierosa od papierosa, jakby były to zimne ognie, a kiedy zanosila się kaszlem, wydawało się, że wypluje duszę kawałek po kawałku.

– Teraz już wszystko jedno – powiedziała zrezygnowana. – Niech pan usiądzie. Chociaż nie wiem, czy jest na czym.

Tego popołudnia María Luisa opowiedziała dziennikarzowi, że wiele lat wcześniej, kiedy była jeszcze kierowniczką Urzędu Stanu Cywilnego, pojawił się kapitan policji. Nazywał się Vargas.

– Przystojny mężczyzna, teraz już takich nie ma.

Vargas pokazał jej listę numerów aktów zgonu i urodzenia, które wydawały się ze sobą powiązane. Tę samą listę, którą otrzymał teraz Vilajuana starannie wystukaną na maszynie.

– Więc pamięta go pani?

– Oczywiście, że pamiętam.

– A wie pani, gdzie mógłbym znaleźć dokumenty ze świadectwami

wystawionymi przed tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym rokiem?

Luisa zapaliła kolejnego papierosa, zaciągnęła się głęboko, aż Vilajuana pomyślał, że staruszka zaraz się udusi, a potem dmuchnęła chmurą dymu tak gęstego, jakby coś wybuchło w jej płucach. W końcu poprosiła dziennikarza, by za nią poszedł.

– Proszę mi pomóc – powiedziała, wskazując stos kartonów stojących na kuchennym kredensie. – To te dwa pudła na samym dole. Przywiozłam je do domu, bo bałam się, że zostaną zniszczone. Miałam nadzieję, że któregoś dnia Vargas po nie wróci. I po mnie. Ale upłynęły cztery lata i obawiam się, że ubiegł mnie w drodze do nieba.

María Luisa wyjaśniła, że kiedy tylko Vargas opuścił urząd, dotarło do niej, o co w tym wszystkim chodzi. Grzebiąc w archiwach, znajdowała coraz więcej takich powiązanych aktów urodzenia i zgonu, wystawionych w sposób nieprawidłowy.

– Setki dzieci. Ukradzionych rodzicom, których zamordowano albo wsadzono do więzienia, żeby zgnili za życia. Zawartość tych pudeł to zaledwie efekt kilku dni poszukiwań. Co mogłam, przywiozłam do domu, bo kiedy zaczęto mnie wypytywać o kapitana i jego wizytę, wiedziałam, co się święci. Tyle udało mi się ocalić. Tydzień po wizycie Vargasa w urzędzie dowiedziałam się, że w archiwach wybuchł pożar. Spłonęły wszystkie dokumenty wystawione przed czterdziestym czwartym rokiem. Wylali mnie dwa dni później, obciążwszy winą za katastrofę. Gdyby wiedzieli, że mam te dokumenty w domu, nie wiem, co by ze mną zrobili. Ale sądzili, że wszystkie papiery spłonęły w pożarze. Przeszłość nie znika, nieważne, jak bardzo zaślepieni głupcy będą się starali ją wymazać, a kłamcy napisać na nowo.

– Co robiła pani przez te wszystkie lata?

– Umierałam powoli. W tym kraju uczciwych ludzi zabija się na raty. Szybka śmierć jest przywilejem przysługującym nikczemnikom. Takie osoby jak ja zabija się po prostu ignorancją, zamykając przed nimi wszystkie drzwi, jakby nie istniały. Przez pierwsze dwa lata sprzedawałam losy na loterię w metrze, potem pozbawili mnie i tego. Nie udało mi się znaleźć zajęcia. Żyje dzięki pomocy sąsiadów.

– Nie ma pani rodziny?

– Mam syna. Ale powiedzieli mu, że jego matka jest czerwona, i nie

widziałam go od lat.

María Luisa przyglądała mu się z tajemniczym uśmiechem.

– Mogę coś dla pani zrobić?

– Niech pan opowie prawdę.

Vilajuana westchnął.

– Jeśli mam być szczerzy, nie wiem, czy mi się to uda.

– Ma pan dzieci?

– Czworko.

Vilajuana zatopił wzrok w spojrzeniu staruszki. Nie potrafił przed nim uciec.

– Niech pan to robi dla nich. Niech pan opowie prawdę ze względu na dzieci. W odpowiedni sposób i kiedy nadejdzie odpowiedni moment. Ale niech pan nie pozwoli nam umrzeć. Jest nas zbyt wielu. Ktoś musi użyć nam głosu.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał Sergio.

Tego samego wieczoru, kiedy układał do snu Nicolasa, syn spojrzał na niego uważnie i odgadł, że myśli ojca błędzą gdzieś daleko po niebieskim firmamencie.

– Tato?

– Co, synku?

– Mam pytanie o słońce.

– Słucham.

– Czemu zostałeś dziennikarzem? Mama mówi, że dziadek chciał, żebyś robił w życiu coś innego.

– Dziadek chciał, żebym został adwokatem.

– Ale go nie posłuchałeś?

– Czasami należy sprzeciwić się ojcu, ale takie okazje nie zdarzą ci się teraz ani w najbliższej przyszłości.

– Dlaczego?

– Bo niektórzy ojcowie, oczywiście nie twój, nie wiedzą, co jest najlepsze

dla ich dzieci.

– No a dlaczego chciałeś zostać dziennikarzem?

Vilajuana wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem, czy ze względu na świetną pensję, czy normowany czas pracy.

Nicolás się roześmiał.

– Pytam poważnie. Dlaczego?

– Nie wiem, Nico. Już tak dużo czasu upłynęło od tamtej chwili. Zdarza się, że człowiek dorasta i pewne rzeczy, które były dla niego oczywiste, przestają takimi być.

– Ale przecież słonie nie zapominają. Nawet jeśli chcą im obciąć za to kły.

– Chyba nie.

– W takim razie...?

Vilajuana pokiwał głową i skapitulował.

– Żeby mówić prawdę. Z tego powodu chciałem zostać dziennikarzem.

Nicolás zamyślił się nad poważną odpowiedzią ojca.

– A co to jest prawda?

Vilajuana pocałował syna w czoło i zgasił światło.

– O to już będziesz musiał zapytać mamy.

Opowieść nie ma początku ani końca, ma tylko prowadzące do niej drzwi.

Opowieść to nieskończony labirynt słów, obrazów i duchów przywołanych po to, żeby wyjawić nam ukrytą prawdę o nas samych. Opowieść to w ostatecznym rozrachunku rozmowa tego, kto ją pisze, z tym, kto ją czyta, ale narrator może powiedzieć tylko tyle, na ile pozwoli mu jego warsztat, czytelnik zaś wyczytać tylko tyle, ile sam ma zapisane w duszy.

To podstawowa zasada, na której opiera się sztuka przelewania słów na papier, bo kiedy już pogasną światła rampy i widownia opustoszeje, liczy się tylko wspomnienie zapisane w teatrze wyobraźni mieszczącym się w głowie każdego czytelnika. To właśnie marzenie każdego, kto sięga po pióro: że czytelnik otworzy serce którejś z jego papierowych postaci i da jej cząstkę swojego życia, żeby uczynić ją nieśmiertelną, choćby nawet na kilka minut.

Powiedziałem to wszystko tonem bardziej uroczystym, niż wymaga tego okazja, a teraz przyjdzie mi zaprosić czytelników, aby przewrócili stronicę i towarzyszyli mi do samego końca historii. Mam nadzieję, że poprowadzicie mnie za rękę i pomożecie znaleźć to, co najtrudniejsze dla biednego narratora uwięzionego we własnym labiryncie: drogę wiodącą do wyjścia.

Prolog

Labiryntu duchów

(„Cmentarz Zapomnianych Książek”, tom IV)

Juliana Caraxa

Éditions de la Lumière, Paryż 1992

Wydanie pod redakcją

Émile'a de Rosiers Castellaine

KSIAŻKA JULIANA

1

Zawsze wiedziałem, że któregoś dnia napiszę tę historię. Historię mojej rodziny i zaczarowanej Barcelony, pełnej ksiązek, wspomnień i tajemnic, w której dorastałem i która prześladowała mnie przez całe życie, mimo iż zdawałem sobie sprawę, że być może zachowałem w pamięci jedynie baśniowy sen o tym mieście.

Mój ojciec Daniel Sempere spróbował tego przede mną, marnotrawiąc w bezowocnym wysiłku najlepsze lata swojej młodości. W środku nocy, kiedy sądził, że matka już śpi, schodził do księgarni i zasiadał na zapleczu przy świetle świecy. Tam, uzbrojony tylko w tanie wieczne pióro, zmagał się samotnie z setkami stron i tak zastawał go świt za świtem.

Matka nigdy nie miała mu tego za złe i udawała – jak często udaje się w małżeństwie, żeby utrzymać je na spokojnych wodach – że niczego nie zauważa. Ale ta obsesja niepokoiła ją tak samo jak mnie. Już zaczynałem podejrzewać, że ojciec zupełnie stracił głowę jak Don Kichot, tyle że w jego przypadku powodem szaleństwa było nie czytanie, lecz pisanie. Matka wiedziała, że musi on odbyć tę podróż samotnie, nie dlatego, że miał jakieś szczególne literackie ambicje, ale dlatego, że obcowanie ze słowami było dla niego drogą do odkrycia, kim jest naprawdę, i sposobem na odzyskanie pamięci poprzez przywoływanie ducha matki, którą utracił na zawsze, mając zaledwie kilka lat.

Pamiętam dzień, kiedy obudziłem się nagle tuż przed świtem. Serce biło mi jak szalone, brakowało mi tchu. Przyśniło mi się, że ojciec rozplywa się we mgle i odchodzi na zawsze. Nie pierwszy raz miałem podobny sen. Wskoczyłem z łóżka i pobiegłem do księgarni. Znalazłem go na zapleczu, w całkiem stałym stanie skupienia. U jego stóp walało się mnóstwo zmiętych kartek. Palce miał poplamione atramentem, oczy przekrwione. Stało przed nim zdjęcie dziewiętnastoletniej Isabelli, które zawsze nosił przy sobie, bo

przerażała go myśl, że zapomni twarzy matki.

– Nie mogę – wymamrotał. – Nie mogę przywrócić jej do życia.

Z trudem powstrzymałem łzy i spojrzałem mu w oczy.

– Zrobię to za ciebie – powiedziałem. – Obiecuję.

Ojciec, który zwykle śmiał się z moich uroczystych deklaracji, tym razem mocno mnie uścisnął. Kiedy wypuścił mnie z objęć i uświadomił sobie, że mówię poważnie, postanowił podarować mi swoje pióro.

– Będzie ci potrzebne. Ja już nawet nie wiem, którą stroną się pisze.

Przyjrzałem się temu niezbyt wyszukanemu przyborowi piśmienniczemu i pokręciłem głową.

– Będę pisać na maszynie – oświadczyłem. – Na underwoodzie, jak to robią zawodowcy.

Oczywiście „jak to robią zawodowcy” było hasłem z reklamy, którą zobaczyłem kiedyś w gazecie i która zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Nigdy wcześniej nie sądziłem, że nabycie podobnej kolubryny, wielkiej i ciężkiej jak lokomotywa, może uczynić ze zwykłego niedzielnego grafomana zawodowego pisarza. Moja deklaracja najwyraźniej wprawiła ojca w osłupienie.

– Więc zamierzasz zostać zawodowym pisarzem? Takim z underwoodem i w ogóle?

Marzy mi się również gabinet w wieżyczce neogotyckiej kamienicy, kieliszek wytrawnego martini i siedząca na kolanach muza w samej bieliźnie, z ustami pomalowanymi karminową szminką, taki obraz podsunęła mi natychmiast lewa półkula mózgu. Tak właśnie wyobrażałem sobie wówczas zawodowych pisarzy, a przynajmniej autorów kryminałów, które pochłaniały mój umysł i duszę oraz cenne godziny snu. Ale pomimo miłego tonu głosu ojca, świadczącego raczej o tym, że pokłada we mnie wielkie nadzieje, nie umknęła mi też obecna w jego komentarzu krztyna ironii. Jeśli zaczęłby się wyśmiewać z mojego powołania, mogłoby się to skończyć niezłą awanturą.

– Owszem – odparłem oschle. – Jak Julián Carax.

Było nie prowokować, pomyślałem.

Ojciec ściągnął brwi. Cios okazał się celny.

– A skąd ty wiesz, co takiego pisze Julián Carax i kim w ogóle jest?

Zrobiłem tajemniczą minę, zarezerwowaną na specjalne okazje, gdy chciałem dać do zrozumienia, że wiem o wiele więcej, niż się wszystkim wydaje.

– Bo w gruncie rzeczy nie jestem głupi – rzuciłem.

W domu imię Juliana Caraxa wymawiano zawsze szeptem i z dala od niepowołanych uszu dzieci, jakby chodziło o silną truciznę oznaczoną czarną etykietką z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Rodzice nie mieli bladego pojęcia, że w wieku lat ośmiu, grzebiąc w najwyższej szufladzie stojącej w jadalni sekretary, do której zajrzałem, ustawiwszy na krześle drewnianą skrzynię, odkryłem za dwoma pudełkami herbatników Campodrón – które oczywiście pochłonałem – i butelką muszkatu – za której sprawą zaledwie rok później niemal wpadłem w śpiączkę alkoholową – kolekcję powieści Caraxa, wznowioną przez przyjaciela rodziny Gustava Barceló.

Kiedy miałem dziesięć lat, zdążyłem przeczytać każdą z nich co najmniej dwa razy i chociaż z pewnością niewiele z nich zrozumiałem, zakochałem się bez pamięci w tej pisanej światłem prozie, rozpalającej moją wyobraźnię obrazami, światami i postaciami, które będę pamiętał do końca życia. Odurzony jego powieściami postanowiłem nauczyć się rzemiosła Caraxa i stać się największym z kontynuatorów jego dzieła. Intuicja podpowiadała mi również, że aby to osiągnąć, powinienem się dowiedzieć, kim jest i dlaczego wszyscy starają się tak bardzo, żebym nie miał pojęcia o jego istnieniu.

Na szczęście mój przyszywany wujek Fermín Romero de Torres nie podzielał polityki informacyjnej moich rodziców. Wówczas Fermín nie pracował już w księgarni. Często nas odwiedzał, ale jego nowe miejsce pracy otaczała aura tajemnicy. Ani on sam, ani nikt z rodziny nie puścił na ten temat pary z gęby. Co do jednego nie było wątpliwości, gdziekolwiek pracował, nowe zajęcie pozostawiało mu mnóstwo czasu na lekturę. Ostatnio zaczytywał się w starych podręcznikach antropologii, na podstawie których snuł rozmaite ryzykowne teorie, co jego zdaniem pozwalało mu zapobiegać napadom kolki nerkowej i pomogło pozbyć się kamieni wielkości pestek śliwki.

Jedna z tych nader interesujących teorii głosiła, że po kilku wiekach wysiłków archeologów wiemy mniej więcej tyle, że przez tysiąclecia domniemanej ewolucji ludzkość zdołała jedynie pozbyć się części owłosienia, udoskonalić przepaski na biodrach i wymyślić nowe sposoby krzesania ognia.

Z tych oto założeń, nie do końca pamiętam, w jaki sposób, wyprowadzał drugą część swego teorematu, a mianowicie że im bardziej rodzice starają się coś przed dzieckiem ukryć, tym bardziej dziecko stara się to znaleźć, nieważne, czy chodzi o czekoladki, czy też pocztówki z artystkami kabaretowymi prezentującymi swoje wdzięki.

– I całe szczęście, że tak właśnie jest, bo w dniu, kiedy zgaśnie isierka ciekawości i młodzież zadowoli się każdą opakowaną w pozłotko bzdurą, jaką zechcą jej wcisnąć handlarze szmelcem, wszystko jedno, czy będzie to miniaturowa kuchenka, czy nocnik na baterie, i przestanie rozumieć cokolwiek z otaczającego świata, ludzki ród powróci tryumfalnie do epoki kamienia łupanego.

– Apokaliptyczna wizja – przyznawałem, specjalnie używając słowa, którego nauczyłem się właśnie od Fermina, gdyż zawsze sprawiało, że częstował mnie sugusem.

– Bardzo dobrze – chwalił mnie Fermín. – Póki nie zabraknie nam młodzieńców w krótkich spodenkach, którzy potrafią używać sześciosylabowych wyrazów o greckiej etymologii, nic nie jest jeszcze stracone.

Może stało się to za sprawą złego wpływu Fermina, a może dzięki trikomi, jakich nauczyłem się ze wszystkich tych powieści przygodowych, które pożerałem jak lukrowane migdały, tak czy siak dość wcześnie zagadka tożsamości Juliana Caraxa i tego, dlaczego rodzice postanowili ochrzcić mnie jego imieniem, zaczęła się powoli rozwiązywać. Poznałem prawdę, łącząc elementy łamigłówek, chwytając echa ukradkowych rozmów, grzebiąc w zakazanych szufladach i, przede wszystkim, czytając po kryjomu wszystkie zapisane przez ojca strony, które, jak naiwnie sądził, lądowały na zawsze w śmietniku. A tam, gdzie moje zdolności dedukcji i szpiegowania zawodziły, w sukurs przychodził Fermín, który przysyłał mi zaszyfrowane wiadomości pozwalające połączyć wątki w całość.

I tamtego ranka mój ojciec, jakby nie miał już dość zmartwień, musiał przyjąć do wiadomości dwie kwestie: po pierwsze, że jego dziesięcioletni syn pragnie zostać zawodowym literatem, a po drugie, że jest świadomy całej masy sekretów, które za wszelką cenę, wiedziony zapewne poczuciem wstydu, starał się przed nim ukryć. Na jego obronę muszę powiedzieć, że przyjął oba

ciosy z godnością: nie zaczął rwać sobie włosów z głowy ani krzyżeć, że zamknie mnie w internacie albo pośle do pracy w kamieniołomach. Patrzył tylko na mnie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– A ja myślałem, że chcesz zostać księgarzem jak ja, jak twój dziadek, a przed nim mój dziadek i wszyscy inni Sempere od zarania dziejów.

– Nie, chcę być pisarzem. Powieściopisarzem na domiar złego, tak to się chyba mówi.

Myślałem, że ten ostatni żart rozładuje napięcie, ale najwyraźniej ojciec nie widział w nim nic śmiesznego. Skrzyżował ręce na piersi, oparł się mocniej na krześle i przyglądał mi się uważnie. Szczeniak zaczął robić się krnąbrny, co najwyraźniej nie bardzo mu się spodobało. Na tym polega rodzicielstwo, pomyślałem. Po to właśnie płodzi się dzieci.

– Twoja matka już dawno to przewidziała, ale myślałem, że się ze mną przekomarza.

Kolejny punkt dla mnie. Nadejście dnia, w którym moja matka się w czymkolwiek pomyli, jest równie prawdopodobne, jak koniec świata w prima aprilis. Ojciec, od urodzenia mający alergię na porażkę, siedział ze stanowczą miną zapowiadającą umoralniające kazanie.

– Ja w twoim wieku też myślałem, że mam talent do pisania – zaczął.

Katastrofa zbliżała się niczym spowity płomieniami meteoryt. Wiedziałem, że powinienem to natychmiast zatrzymać, w przeciwnym razie zmuszony będę wysłuchać homilii o tym, jakie niebezpieczeństwa czyhają na kogoś, kto chce poświęcić swoje życie literaturze. Nieraz słyszałem z ust odwiedzających księgarnię przymierających głodem pisarzy, którzy kupowali na krechę i nigdy nie odmawiali czegoś do zjedzenia, że literatura żywi do swoich adeptów podobne uczucia, jak modliszka do swojego partnera. Zanim mój ojciec zdążył się rozkręcić, obrzuciłem melodramatycznym spojrzeniem sterty walających się po podłodze kartek, a potem wbiłem w niego wzrok, nie mówiąc ani słowa.

– Jak powtarza Fermín, błędzenie jest rzeczą ludzką – przyznał.

Wówczas uświadomiłem sobie, że mój kontrargument mógł właśnie z powodzeniem doprowadzić go do zwycięstwa w tej dyspucie: oto my, Sempere, nie mamy talentu do pisania, ale służymy literaturze jako księgarze,

nie popadając przy tym w finansową ruinę i unikając otchłani załamania nerwowego. W duchu podejrzewałem, że ojciec ma absolutną rację, przeszedłem więc do ofensywy. Podczas retorycznej potyczki nigdy nie należy oddawać inicjatywy adwersarzowi, zwłaszcza w chwili, kiedy ma on wszelkie szanse na zwycięstwo.

– Fermín mówi raczej, że mądrzy ludzie popełniają błędy i potrafią się do nich przyznać, kretyni zaś myślą się ciągle, ale nigdy tego nie rozumieją i zawsze sądzą, że postępują słusznie.

– Ach, tak?

– Tak. Uważa, że kretyń to istota ludzka, która nigdy nie zmienia zdania – zaatakowałem.

– Widzę, że zostałeś akolitą nauk Fermina.

– A czy nie ma racji?

– Ma przede wszystkim irytującą tendencję do wygłaszania nauk ex cathedra.

– Co to znaczy?

– Że sika poza doniczkę.

– A raz, kiedy sikał z tej katedry, wymknęło mu się również, że jest coś, co powinieneś był pokazać mi już dawno temu.

To ostatnie stwierdzenie wytrąciło ojca z równowagi. Jakby się zachwiał, nie mając pojęcia, skąd padnie kolejny cios.

– A niby co to takiego?

– Coś związanego z książkami. I umarłymi.

– Umarłymi?

– Nie wiem. Wspominał coś o cmentarzu. Może sam wymyśliłem tych umarłych.

W gruncie rzeczy podejrzewałem, że sprawa miała jakiś związek z Caraxem, bo nieodmiennie jego nazwisko budziło we mnie te właśnie skojarzenia: książki i umarli. Ojciec zadumał się na chwilę. Potem jego oczy zalśniły, jak zawsze, kiedy wpadał na jakiś pomysł.

– Mam wrażenie, że w tej kwestii wyjątkowo może mieć rację – przyznał.

Poczułem słodki smak zwycięstwa.

– No, biegnij do domu i się ubierz. Tylko po cichu, żeby nie obudzić mamy.

– Wybieramy się gdzieś?

– To tajemnica. Pokażę ci coś, co odmieniło moje życie i być może odmieni także twoje.

Uświadomiłem sobie, że straciłem inicjatywę, a role nagle się odwróciły.

– O tej porze?

Ojciec znów się uśmiechnął i puścił do mnie oko.

– Są rzeczy, które należy oglądać tylko wtedy, gdy spowija je półmrok.

2

Tego dnia, tuż przed świtem, mój ojciec pokazał mi po raz pierwszy Cmentarz Zapomnianych Książek. Była jesień 1966 roku. Drobnym deszczykiem namalował na Ramblach maleńkie błyszczące niczym miedziane łyżki kałuże. Towarzyszyła nam mgła, tak często nawiedzająca mnie w snach, która rozwiła się, gdy skręciliśmy w Arco del Teatro. Przed nami otworzyła się szczelina cieni, spośród których powoli wyłaniał się pałac z czarnego kamienia. Ojciec zastukał do drzwi kołatką w kształcie diabła. Ku mojemu zaskoczeniu otworzył nam Fermín Romero de Torres we własnej osobie.

– Czas był najwyższy – powiedział. – Przez te tajemnice prawie nabawiłem się wrzodów żołądka.

– To tutaj pan teraz pracuje, Ferminie? – zapytałem zaintrygowany. – Czy to księgarnia?

– Coś w tym stylu, chociaż sekcję komiksów mamy dość słabo zaopatrzoną. Zapraszam do środka.

Fermín poprowadził nas krętym korytarzem, którego ściany zdobiły freski przedstawiające anioły i legendarne stwory. Już wtedy wpadłem w trans, nie wiedziałem, jakie cuda i dziwy czekają mnie dalej.

Dotarliśmy korytarzem do ogromnej, oświetlonej kaskadami przydymionego światła sali o sklepieniu zdającym się sięgać nieba. Uniosłem wzrok i moim oczom ukazał się labirynt, rozedrgany niczym miraż. Struktura o spiralnym kształcie wydała mi się podmorskim wąwozem, w którym zatoneły wszystkie biblioteki świata. Z rozdziawionymi ustami zbliżałem się powoli do tego zamczyska zbudowanego ze wszystkich książek, jakie kiedykolwiek napisano. Zdawało mi się, że znalazłem się na kartach powieści Juliana Caraxa, i ogarnął mnie lęk, że jeśli zrobię kolejny krok, wizja się rozplynie, a ja obudzę się we własnym łóżku. Ojciec stanął obok mnie. Spojrzałem na niego i wzięłem go za rękę, żeby się upewnić, że mi się to nie śni, a miejsce istnieje naprawdę. Ojciec uśmiechnął się do mnie.

– Witaj na Cmentarzu Zapomnianych Książek, Julianie.

Chwilę trwało, zanim walące jak szalone serce wróciło do zwykłego rytmu i poczułem znów siłę ciężkości. Kiedy się uspokoiłem, ojciec zwrócił się do mnie szeptem:

– To miejsce, Julianie, jest tajemnicą i miejscem świętym. Każda znajdująca się tu książka, każdy tom ma własną duszę. I to zarówno duszę tego, kto ją napisał, jak i duszę każdego, kto ją przeczytał i tak mocno ją przeżył, że zawładnęła jego wyobraźnią. Za każdym razem, gdy książka trafia w kolejne ręce, za każdym razem, kiedy ktoś wodzi po jej stronach wzrokiem, z każdym nowym czytelnikiem jej duch odradza się i staje się silniejszy. Już dawno temu, kiedy mój ojciec mnie tu przyprowadził, miejsce to miało swoje lata i było stare. Teraz powtórzę ci to, co mi wtedy powiedział. Kiedy jakaś biblioteka przestaje istnieć, kiedy jakaś księgarnia na zawsze zamyka swoje podwoje, kiedy jakaś książka ginie w otchłani zapomnienia, my, którzy znamy to miejsce, strażnicy dusz, robimy, co w naszej mocy, aby te bezdomne książki trafiły tutaj. Bo tutaj książki, o których nikt już nie pamięta, książki, które zgubiły się w czasie, żyją nieustającą nadzieją, że pewnego dnia trafią do rąk nowego czytelnika, że zawładnie nimi nowy duch. W księgarni sprzedajemy i kupujemy książki, ale w rzeczywistości nie mają one właściciela. Każda, którą tu widzisz, była kiedyś najlepszym przyjacielem kogoś. A teraz te książki mają tylko nas, Julianie. Potrafisz zachować ten sekret?

Objąłem wzrokiem to niezmierzone pomieszczenie i jego magiczny, przydymiony półmrok. Pokiwałem głową, a ojciec się uśmiechnął. Fermín

podał mi szklanę wody i spojrzał na mnie badawczo.

– Czy chłopak zna zasady? – zapytał.

– Właśnie miałem mu je wyjaśnić.

I tata przekazał mi wszystkie zasady obowiązujące adeptów bractwa Cmentarza Zapomnianych Książek. Pamiętał oczywiście o przywileju adoptowania jednej książki i zaopiekowania się nią na całe życie.

Kiedy go słuchałem, zacząłem się zastanawiać, czy aby nie istnieje ukryty powód, dla którego wybrał właśnie ten dzień, żeby olśnić moje oczy i zwoje mózgowie tą zdumiewającą wizją. Być może poczciwy księgarz chwycił się ostatniej deski ratunku i miał nadzieję, że widok miasta zamieszkanego przez tak wiele porzuconych tomów, tyle zapomnianych żywotów, idei i światów będzie doskonałą metaforą czekającej mnie przyszłości, jeśli naprawdę się uprę, by zarabiać na chleb pisaniem. Nie wiem, czy taki cel rzeczywiście mu przyświecał. Ta wizja zadziałała na mnie zupełnie odwrotnie. Moje powołanie, które do tej chwili było jedynie dziecinną mrzonką, tego dnia na zawsze wryło się w moim sercu. I żadne argumenty ojca ani kogokolwiek innego nie zdołałyby mnie od tego odwieść.

Mam wrażenie, że jak to często bywa, przeznaczenie zdecydowało za mnie.

Podczas długiej wędrówki korytarzami labiryntu wybrałem książkę zatytułowaną *Karminowa tunika*. Jej autorem był niejaki David Martín, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem. Może powinienem raczej powiedzieć, że to książka wybrała mnie, bo gdy w końcu zatrzymałem wzrok na jej okładce, doznałem dziwnego wrażenia, że ten egzemplarz czeka od jakiegoś czasu właśnie na mnie, jakby przeczuwał, że tego dnia o świcie po niego przyjdę.

Kiedy w końcu opuściłem bibliotekę, mój ojciec spojrzał na utwór, który miałem w ręku, i zbladł.

– Gdzie znalazłeś tę książkę? – wymamrotał.

– Na stole w jednej z sal. Stała wyeksponowana, tak jakby ktoś chciał, żebym ją znalazł.

Ojciec i Fermín wymienili zagadkowe spojrzenia.

– Coś nie tak? – zapytałem. – Mam wybrać inną?

Ojciec zaprzeczył.

– To przeznaczenie – mruknął Fermín.

Uśmiechnąłem się podekscytowany. Sam byłem dokładnie tego samego zdania, chociaż nie wiedziałem dlaczego.

Resztę tygodnia spędziłem jak w transie. Czytałem powieść Davida Martina, smakując każdą scenę, jakbym oglądał wielkie płótno, na którym, im dłużej się w nie wpatrujemy, tym więcej znajdujemy szczegółów. Ojciec z kolei zanurzył się we własnym świecie iluzji, chociaż tym razem jego ambicje zdawały się dalekie od literackich.

Podobnie jak wielu mężczyzn w jego wieku, zauważył właśnie, że przestał być młodzieniaszkiem. Często wracał do miejsc swojej pierwszej młodości i zastanawiał się nad pytaniami, na które nie udało mu się dotąd znaleźć odpowiedzi.

– Co się dzieje z tatą? – zapytałem kiedyś matki.

– Nic. Po prostu dorasta.

– A nie jest już na to za duży?

Mama westchnęła i wyjaśniła cierpliwie:

– Wy, mężczyźni, już tak macie.

– Ja dorosnę szybko, żebyś nie musiała się martwić.

Tylko się uśmiechnęła.

– Nie ma pośpiechu, Julianie. Życie samo się o to zatroszczy.

Z jednej z tych tajemniczych podróży do własnego wnętrza ojciec wrócił, niosąc paczkę z przesyłką pocztową. Była w niej książka zatytułowana *Anioł mgieł*. Oczywiście wszystko, co powiązane z aniołami i mgłą, spełniało wszelkie kryteria, żeby obudzić moją bezgraniczną ciekawość, postanowiłem więc działać, zwłaszcza że nie uszła mojej uwagi mina ojca, kiedy otworzył pakunek i spojrzał na okładkę. W wyniku przedsięwziętego śledztwa odkryłem, że autorem powieści jest niejaki Boris Laurent, i jak się okazało, był to literacki pseudonim samego Juliana Caraxa. Za sprawą dedykacji matka się rozplakała, chociaż wcale nie była skora do łez, ojca zaś przekonała, że los chwycił nas za pewne bardzo delikatne miejsce, którego nazwy nie wypada wspominać w towarzystwie.

Najbardziej zdziwiony jednak byłem ja sam. Z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu wydawało mi się, że Carax nie żyje od niepamiętnych czasów (a był to okres historyczny obejmujący wszystko, co wydarzyło się przed moim narodzeniem). Zawsze myślałem, że Carax to jeden z tych duchów, które czały się w zaczarowanym zamczysku, jakim była oficjalna pamięć mojej rodziny. Kiedy zrozumiałem, że się pomyliłem i że Carax, cały i zdrowy, mieszka i pisze w Paryżu, doznałem objawienia.

Gładząc delikatnie strony *Anioła mgieł*, zrozumiałem nagle, co powinienem zrobić. Tak zrodził się plan, który pozwolił mi zmierzyć się z własnym losem po raz pierwszy pukającym do moich drzwi i który wiele lat później rozświetlił stronicę tej powieści.

3

Życie płynęło dalej niespiesznie niczym wycieczkowy statek, z rzadka tylko zbaczając z ustalonego kursu i nie zwracając szczególnej uwagi na nas, pasażerów na pokładzie. Przeżyłem właściwie dwa dzieciństwa – jedno zwyczajne, niczym nieróżniące się od dzieciństwa innych, drugie zaś wyobrażone, dostępne tylko mnie. Miałem wielu przyjaciół, większość z nich to były książki. W szkole prowadzonej przez jezuitów nudziłem się koszmarnie i na lekcjach prędko nabrałem zwyczaju bujania w obłokach. Prawdę mówiąc, zachowałem ten zwyczaj do dziś. Miałem szczęście napotkać na swej drodze kilku dobrych nauczycieli, którzy pogodzili się z tym, że zawsze postępuję inaczej niż wszyscy i nie należy z tym walczyć. Na świecie pełno jest przecież rozmaitych dzieci i od czasu do czasu trafia się między nimi jeden czy drugi Julián Sempere.

Sądzę, że więcej niż podczas długich lat szkolnej edukacji nauczyłem się, czytając w czterech ścianach księgarni, odwiedzając różne biblioteki czy słuchając Fermina, który zawsze miał na podorędziu jakąś radę, teorię albo praktyczne ostrzeżenie.

– W szkole mówią, że jestem trochę dziwny – zwierzyłem się kiedyś

Ferminowi.

– Nie ma się czym przejmować. Zaczniij się martwić, kiedy powiedzą, że jesteś normalny.

Na moje szczęście czy nieszczęście nikt nigdy mi tego nie zarzucił.

Mam wrażenie, że lata mojej młodości są nieco bardziej interesujące, gdyż przynajmniej część ówczesnych wydarzeń rozegrała się poza moją głową. Sny o papierowej chwale i ambicje, aby zostać wojownikiem pióra i nie umrzeć przy tym z głodu, wcale mnie nie opuszczały. Chociaż, muszę uczciwie przyznać, zostały nieco zweryfikowane, bo z upływem czasu zacząłem się orientować, jak funkcjonuje machina świata. W połowie drogi zdążyłem już zrozumieć, że moje marzenia utkane są ze złudzeń, ale że jeśli je porzucę, zanim stanę na polu bitwy, nigdy tej wojny nie wygram.

Wciąż wierzyłem, że bogowie Parnasu kiedyś się nade mną ulitują i pozwolą mi się nauczyć opowiadać historie. Tymczasem gromadziłem zawzięcie zapasy surowców, czekając na dzień, w którym otworzę własną manufakturę snów i koszmarów. Zbierałem powoli, uciekając się czasem do niezbyt uczciwych sposobów, ale za to z niezwykłym uporem, wszystko, co wiązało się z historią mojej rodziny: jej sekrety i tysiące anegdot składających się na mały światek rodu Sempere, zbiór opowieści i legend, które ochrzciłem roboczo *Sagą Cmentarza Zapomnianych Książek*.

Oprócz sprawdzania wszystkiego, co dało się sprawdzić, jak i tego, co opierało się moim poznawczym wysiłkom, fascynowały mnie wówczas wielce dwie kwestie: jedna magiczna i eteryczna, czyli czytanie, druga zaś jak najbardziej przewidywalna i przyziemna – młodzieńcze miłości.

Jeśli zaś idzie o ambicje literackie, moje sukcesy były raczej wątki, a właściwie, powiedzmy sobie szczerze, nie było ich wcale. Zacząłem wtedy pisać ze sto koszmarnych powieści, które umarły śmiercią naturalną, poza tym setki opowiadań, dziesiątki sztuk teatralnych, scenariuszy seriali radiowych, a nawet wierszy. Tych ostatnich w trosce o dobro swoich bliźnich nie pozwalałem czytać nikomu. Wystarczyło, że sam przeczytałem kilka stron swoich pierwocin, a wiedziałem już, że muszę się jeszcze wiele nauczyć i że entuzjazm i dobre chęci to za mało. Studiowałem w kółko powieści Caraxa i tysięcy innych pisarzy, których dzieła znajdowałem w bibliotece rodziców.

Próbowałem rozkładać je na czynniki pierwsze, jak rozkłada się radio tranzystorowe czy silnik rolls-royce'a, w nadziei, że odkryję, jak je skonstruowano i dlaczego działają tak, jak działają.

Kiedyś, wertując gazetę, natrafiłem na reportaż o japońskich inżynierach poświęcających się nauce zwanej odwróconą inżynierią. Dowiedziałem się z niego, że ci pracownicy Japończycy rozmontowywali maszyny na najdrobniejsze części, analizowali funkcję każdej z nich, dynamikę całości i budowę danego obiektu, dochodząc potem do wzorów matematycznych opisujących jego działanie. Brat mojej matki był inżynierem i pracował w Niemczech, pomyślałem więc, że być może mam w genach coś, co pozwoli mi uczynić to samo z książką czy innym rodzajem opowieści.

Dzień po dniu nabierałem przekonania, że dobra literatura ma niewiele wspólnego z takimi nieistotnymi w gruncie rzeczy kwestiami jak natchnienie czy solidna historia do opowiedzenia, więcej zaś z inżynierią języka, architekturą narracji, fakturą obrazów, tonacjami i kolorami użytymi do ich konstruowania, umiejętnym budowaniem sekwencji i muzyką, jaką da się wydobyć z orkiestry słów.

Druga z moich fascynacji mogłaby posłużyć raczej za materiał na komedię, ocierającą się niejednokrotnie o burleskę. Był okres, kiedy co tydzień zakochiwałem się po uszy w innej kobiecie, i spoglądając na to z perspektywy lat, zdecydowanie tego doświadczenia nie polecam. Zakochiwałem się w spojrzeniu, tonie głosu, a przede wszystkim w kształtach rysujących się pod wełnianymi sukienkami noszonymi przez dziewczyny w czasach mojej młodości.

– Tego nie sposób nazwać miłością, pan jest po prostu napalony – tłumaczył mi cierpliwie Fermín. – Oczywiście w pańskim wieku fizyczną niemożliwością jest odróżnić jedno od drugiego. Matka natura potrzebuje tych sztuczek, żeby wciąż na nowo zaludniać naszą planetę, dlatego aplikuje w żyły młodzieży końską dawkę hormonów i głupoty, zyskując w ten sposób mięso armatnie gotowe się rozmnażać jak króliki, ale też gotowe do poświęceń w imię hasła głoszonych przez bankierów, kler i akolitów rewolucyjnych przemian, których działalność sprawia, że świat nie może się rozwijać i zawsze pozostaje taki sam.

– Ależ Ferminie, cóż to ma wspólnego z porywami serca?

– Niech mi pan tu nie zaczyna z bolerami, znamy się za dobrze. Serce jest narządem pompującym krew, nie sonety. Przy odrobinie szczęścia strumień krwi dociera i do mózgu, ale głównie zasila trzewia, w pańskim konkretnym przypadku organa wstydliwe, i jeśli nie będzie się pan miał na bacności, to one zastąpią panu korę mózgową aż do dwudziestej piątej wiosny życia. Niech pan stara się trzymać swoje klejnoty z dala od steru, a zawinie pan w końcu do bezpiecznego portu. Ale jeśli będzie się pan wygłupiał tak jak teraz, życie przecieknie panu przez palce i nic pan nie osiągnie.

– Amen.

I tak mijał mi czas, pomiędzy romansami na klatkach schodowych, mniej lub bardziej udanymi eksploracjami terenów pod bluzką czy spódniczką przeprowadzanymi w ostatnim rzędzie foteli pobliskiego kina, dyskotekami w lokalu La Paloma i spacerami po falochronie za rączkę z weekendową narzeczoną. Nie wchodziłem w szczegóły, bo nie zdarzyło się właściwie nic godnego odnotowania, póki nie ukończyłem siedemnastu lat i nie wpadłem na pewną dziewczynę o imieniu Valentina. Każdy szanujący się żeglarz ma swoją górę lodową, moją była właśnie Valentina. Trzy lata starsza ode mnie (jeśli chodzi o umiejętności praktyczne, to chyba z dziesięć) wprowadziła mnie na wiele miesięcy w stan katatonii.

Poznałem ją pewnego jesiennego popołudnia w starej francuskiej księgarni przy Paseo de Gracia, w której schroniłem się przed deszczem. Stała do mnie plecami, ale było w niej coś, co sprawiło, że podszedłem bliżej i obrzuciłem ją dyskretnym spojrzeniem. Kartkowała *Cień wiatru* Juliana Caraxa, a że w tamtym czasie czułem się niezniszczalny, odważyłem się podejść bliżej i otworzyć usta.

– Ja też czytałem tę książkę – oświadczyłem, demonstrując poziom inteligencji potwierdzający spekulatywne teorie Fermina.

Wbiła we mnie spojrzenie swoich szmaragdowych oczu, które cięło niczym sztylet, i przymknęła powieki tak powoli, że miałem wrażenie, jakby czas stanął w miejscu.

– Tym lepiej dla ciebie – odparła.

Odłożyła egzemplarz na półkę i poszła do wyjścia. Przez chwilę stałem jak słup. Po prostu mnie zamurowało. Kiedy udało mi się poruszyć, chwyciłem książkę, zapłaciłem i wybiegłem na ulicę, mając nadzieję, że moja góra

lodowa nie zanurzyła się z powrotem w głębinach.

Stalowe chmury zaciągnęły niebo, z którego padały krople wielkie jak perły. Dogoniłem ją na światłach, czekała na zielone, zamierzając przejść na drugą stronę ulicy Rosellón. Zupełnie nie zważała na ulewę.

– Mam wezwać policję? – zapytała, nawet na mnie nie patrząc.

– Nie ma takiej potrzeby. Jestem Julián.

Valentina westchnęła, odwróciła się i znów wbiła we mnie to swoje przenikliwe spojrzenie. Uśmiechnąłem się jak ostatni kretyn i wręczyłem jej książkę. Ściągnęła brwi, ale po chwili wahania przyjęła podarunek.

– Kolejny Julián? To jakieś tajne bractwo?

– Moi rodzice nazwali mnie tak na cześć autora tej książki, z którym się przyjaźnili. To najlepsza książka, jaką kiedykolwiek czytałem.

O moim losie zdecydował przypadek. Nagle błyskawica zafarbowała na srebrno fasady Paseo de Gracia, a po mieście przeszedł złowrogi pomruk burzy.

Światło zmieniło się na zielone. Zanim Valentina zdążyła posłać mnie do diabła albo zawołać policjanta, wystrzeliłem swój ostatni nabój.

– Dziesięć minut. Kawa. Jeśli w dziesięć minut mi się nie uda, rozplynę się w powietrzu i nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Obiecuję.

Valentina spojrzała na mnie z wahaniem. Z trudem powstrzymała się od uśmiechu. I pomyśleć, że wszystkiemu winny był deszcz.

– Zgoda – powiedziała.

A ja sądziłem, że moje życie zmieniło się tego dnia, kiedy postanowiłem zostać pisarzem.

Valentina mieszkała sama na mansardzie przy ulicy Provenza. Z jej okien rozciągał się widok na całą Barcelonę. Rzadko zdarzało mi się go kontemplować, wolałem oglądać Valentine w rozmaitych stadiach nagości, do których nieustannie ją doprowadzałem. Jej matka pochodziła z Holandii, ojciec zaś był znanym barcelońskim adwokatem, nawet mnie, kompletnemu ignorantowi jego nazwisko obijało się o uszy. Po śmierci męża matka Valentiny postanowiła wrócić do swojego kraju, a Valentina, wówczas już pełnoletnia, wolała zostać w Barcelonie. Władzała pięcioma językami i pracowała

w kancelarii adwokackiej założonej przez ojca, tłumaczyła pisma procesowe dla potężnych firm spierających się o miliony i dla rodzin zajmujących od kilku pokoleń łoże honorowe w teatrze Liceo. Kiedy ją zapytałem, co chce robić w życiu, posłała mi jedno z tych spojrzeń, które zawsze mnie paraliżowały, i odpowiedziała: „Podróżować”.

Valentina była pierwszą osobą, której pokazałem swoje skromne literackie próby. Okazało się, że czułość i tkliwość okazywała wyłącznie w innych wymiarach naszej relacji. Kiedy pytałem ją o zdanie na temat mojej pisaniny, zwykła mawiać, że z Caraxem, poza imieniem, nie mam nic wspólnego. Nie złościłem się na nią, bo w głębi duszy uważałem, że ma rację. Sądziłem jednak, że nikt inny na świecie nie zrozumie lepiej planu, który kiełkował we mnie od lat. Pewnego pięknego dnia, gotowy na to, że wyleje mi na głowę kubek zimnej wody, oznajmiłem, że kiedy tylko skończę osiemnaście lat, dokonam czegoś bardzo ważnego.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz mi się oświadczyć – odrzekła Valentina.

Chyba powinienem był domyślić się, co los chce mi powiedzieć, gdyż to, co ważne między mną a Valentiną, zawsze zaczynało się od deszczu, który albo deptał mi po piętach, albo szemrał o szyby. Tak stało się i tym razem.

– Więc cóż to za plan? – zapytała w końcu.

– Opiszę historię swojej rodziny.

Byliśmy razem prawie od roku, o ile te wszystkie popołudnia, kiedy baraszkowaliśmy w pościeli na jej zawieszanej w chmurach mansardzie, zasługują na miano bycia razem. Nauczyłem się na pamięć jej skóry, ale nie potrafiłem odgadnąć, co działo się w jej głowie, gdy milczała.

– No i?

– Uważasz, że to mało?

– Każdy ma jakąś rodzinę. I każda rodzina ma swoją historię.

Niełatwo było przekonać Valentinę do czegokolwiek. Wymagało to długotrwałej strategii i cierpliwości. Odwróciła się, a ja, przemawiając do tych doskonale pięknych pleców, po raz pierwszy ubrałem w słowa myśli, które od lat chodziły mi po głowie. Nie była to może jakaś szczególnie błyskotliwa wypowiedź, ale musiałem usłyszeć ją z własnych ust, żeby w ogóle w nią uwierzyć

Zacząłem od tytułu. *Cmentarz Zapomnianych Ksiązek*. Od lat nosiłem przy sobie zeszyt, na którego okładce napisałem, kaligrafując starannie każdą z ozdobnych liter:

Cmentarz Zapomnianych Ksiązek

Powieść w czterech tomach

*napisana przez
Juliana Sempere*

Pewnego dnia Fermín przyłapał mnie z piórem w ręku, gdy gapiłem się jak ciełą na malowane wrota na pierwszej, niezapisaną stronę zeszytu. Przyjrzał się okładce i wydał z siebie ni to prychnięcie, ni to westchnienie. Powiedział:

– Nieszczęśliwi ci, których marzenia stworzone są z papieru i atramentu, albowiem to ich spotka czyściec próżności i rozczarowań.

– Za pozwoleniem, byłby waszmość łaskaw przetłumaczyć mi ten udatny aforyzm na bardziej zrozumiały język?

– Obawiam się, że kontakt z głupotą sprawił, że zaczynam przemawiać stylem biblijnym – odparł Fermín. – To pan aspiruje do bycia poetą. Proszę samodzielnie dokonać analizy semantycznej.

Liczyłem się z tym, że owo opus magnum mojej rozpalonej młodzieńczej wyobraźni osiągnie gigantyczne wręcz rozmiary i że będzie ważyć co najmniej piętnaście kilogramów. Wymarzyłem sobie narrację podzieloną na cztery powiązane ze sobą części, będące czymś w rodzaju wrót do labiryntu historii. Czytelnik, który się w nim zagłębi, szybko zorientuje się, że opowieść zbudowana jest na obraz i podobieństwo matryoszki, każda historia prowadzi do następnej, a ta do kolejnej...

– Przypomina to raczej instrukcję składania modelu samolotu albo elektrycznej kolejki.

Moja słodka Valentina, zawsze taka życzliwa.

– Coś z modelu do składania rzeczywiście ma – przyznałem.

Staralem się sprzedać jej tę deklarację intencji bez krzty zażenowania, był to bowiem plan, który sformułowałem starannie w wieku lat szesnastu i wierzyłem, że odwałem już połowę roboty. Mniejsza o to, że pomysł zerzłem z powieści, którą podarowałem Valentine tego dnia, kiedy się poznaliśmy, czyli z *Cienia wiatru*.

– Czy przypadkiem Carax nie napisał już tej powieści? – zapytała Valentina.

– Wszystko w życiu już ktoś przed tobą zrobił – odparowałem. – Przynajmniej wszystko, co wartościowe. Ale zawsze można spróbować zrobić to lepiej.

– I tu na scenę wkraczasz ty, uzbrojony w młodzieńczą pokorę.

Przyzwyczajony do tego, że moja ukochana góra lodowa torpeduje każdy mój pomysł, kontynuowałem wykład z determinacją żołnierza, który z okrzykiem na ustach wyskakuje z okopu prosto w krzyżowy ogień karabinów maszynowych.

Według mojego wspaniałego planu pierwszy tom będzie osnuty wokół historii czytelnika, a konkretnie mojego ojca, który w latach dzieciństwa i młodości odkrywa świat książek, a zarazem życie, poprzez zagadkową powieść napisaną przez nieznanego autora i skrywającą tajemnicę, od której szczęka opada. To wszystko oczywiście da asumpt do skonstruowania kilkoma szalonymi pociągnięciami pióra książki, mieszającej wszelkie możliwe style literackie, nawet te jeszcze niewymyślone.

– Która przy okazji będzie leczyć grypę i zwykłe przeziębienie – dodała Valentina.

Drugi tom, obficie skąpany w sosie ponurej dekadencji, będzie rękawicą rzuconą czytelnikom o wyrobionym guście literackim: osią fabuły zamierzałem uczynić makabryczne losy przeklętego powieściopisarza zapożyczone bezpośrednio od Davida Martina, który pociągając czytelnika w otchłań własnego szaleństwa, w pierwszej osobie opowie nam o tym, jak stracił rozum. Oczywiście będzie narratorem, któremu można zaufać w równym stopniu jak Księciu Piekieł, ten ostatni notabene zawita we własnej osobie na karty powieści. A może i nie, gdyż wszystko ma być grą i to czytelnik będzie zmuszony złożyć w całość tę łamigłówkę i zdecydować, jaką książkę właściwie czyta.

– A jeśli czytelnicy zwieją sprzed ołtarza i nikt nie zechce wejść w tę grę?

– I tak nie będę żałował – odrzekłem. – Poza tym liczę na to, że jednak ktoś taki się znajdzie.

– No cóż, pisanie to zajęcie dla optymistów – oświadczyła Valentina.

Trzeci tom, o ile oczywiście czytelnicy przetrwają dwa pierwsze i nie przesiądą się do innego pociągu zmierzającego w stronę szczęśliwych finałów, na chwilę wyciągnie czytelnika z piekielnych otchłani, zostanie poświęcony niezwyklej postaci, głosowi sumienia naszej historii. Oczywiście będzie nim mój przyszywany wuj Fermín Romero de Torres. Jego opowieść, utrzymana w tonie pikarejskim, pozwoli czytelnikom dowiedzieć się, jak został tym, kim jest, i poznać jego perypetie w najmroczniejszych latach naszego stulecia, a przy okazji wytyczyć szlaki łączące poszczególne części labiryntu.

– Przynajmniej tu się pośmiejemy.

– Fermín o to zadba.

– I jak się zakończy to wielotomowe monstrum?

– Pokazem fajerwerków przy akompaniamencie wielkiej orkiestry i z udziałem skomplikowanej scenicznej maszynerii na pełnych obrotach.

Czwarta część, rozmiarów chorobliwie kolosalnych, doprowadzi nas w końcu do samego serca tajemnicy, a przewodnikiem będzie mój ulubiony czarny anioł, Alicja Gris. Na kartach sagi pojawią się bohaterowie i czarne charaktery oraz tysiące tuneli, dzięki którym czytelnik będzie mógł zbadać kalejdoskopową intrygę, podobną do tej fatamorgany perspektyw, która olśniła mnie tamtego dnia, gdy ojciec zaprowadził mnie na Cmentarz Zapomnianych Książek.

– A ty? Nie pojawisz się w książce? – zapytała Valentina.

– Dopiero pod koniec i epizodycznie.

– Niebywała skromność.

Z tonu jej głosu wywnioskowałem, że nic dobrego mnie nie czeka.

– Nie rozumiem tylko jednego, dlaczego zamiast opowiadać o tej historii, po prostu jej nie napiszesz.

Sam w ciągu ostatnich lat zadawałem sobie to pytanie jakieś trzy tysiące razy.

– Bo mówienie o niej pozwala mi ją sobie lepiej wyobrazić. I przede wszystkim dlatego, że nie umiem tego zrobić. Stąd mój plan.

Valentina odwróciła się i spojrzała na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Myślałem, że to jest właśnie plan.

– To tylko ambicja. Plan jest inny.

– Jaki?

– Żeby Julián Carax napisał tę książkę za mnie – wyznałem.

Valentina świdrowała mnie spojrzeniem zdolnym otworzyć kanały wentylacyjne w duszy.

– A czemu miałyby to zrobić?

– Bo w gruncie rzeczy to również jego historia. Historia jego rodziny.

– Sądziłam, że Carax mieszka w Paryżu.

Pokiwałem głową. Valentina przymknęła oczy. Zimna i inteligentna, moja ukochana Valentina.

– To znaczy, że chcesz wyjechać do Paryża, znaleźć Caraxa, o ile oczywiście jeszcze żyje, i przekonać go, żeby napisał w twoim imieniu trzy tysiące stron opowieści, która podobno jest dla ciebie taka ważna.

– Mniej więcej – przyznałem.

Uśmiechnąłem się i czekałem na cios. Liczyłem się z tym, że nawymyśla mi od naiwniaków, głupków i fantastów. Byłem gotowy na wszystkie zarzuty prócz tego, który miałem usłyszeć. Tego, na który naprawdę zasługiwałem.

– Jesteś tchórzem.

Wstała, pozbierała swoje porzucane części garderoby i zaczęła się ubierać przy oknie. Potem, nie patrząc na mnie, zapaliła papierosa i zatopiła spojrzenie w dachach dzielnicy Ensanche skąpanych w strugach deszczu.

– Chciałabym zostać sama.

Pięć dni później znów wszedłem po schodach prowadzących na mansardę Valentiny. Drzwi były otwarte, mieszkanie puste. Na krześle stojącym przy oknie znalazłem kopertę z moim imieniem. Otworzyłem ją. W środku znalazłem dwadzieścia tysięcy francuskich franków i notkę:

Bonne voyage et bonne chance.

V.

Trzy tygodnie później, gdy gościliśmy w księgarni wszystkich stałych klientów i wspólnie świętowaliśmy wydanie pierwszej powieści naszego dobrego przyjaciela, profesora Alburquerque, wydarzyło się coś, na co wielu z nas czekało od dawna i co miało zmienić bieg historii kraju, a właściwie przywrócić go współczesności.

Już mieliśmy zamykać, kiedy don Federico, zegarmistrz mieszkający po sąsiedzku, wpadł do księgarni, niosąc pod pachą urządzenie, które okazało się przenośnym telewizorem zakupionym w Andorze. Postawił go na kontuarze i spojrzał na nas poważnie.

– Szybko – powiedział. – Potrzebny mi kontakt.

– Panu i wszystkim mieszkańcom tego kraju, bo bez dodatkowego zasilania nigdy nie możemy z niczym zdążyć – zażartował Fermín.

Poważna mina don Federica wskazywała, że nie jest w nastroju do żartów. Profesor Alburquerque, który domyślił się, o co chodzi, pomógł mu znaleźć kontakt, a zegarmistrz zaczął ustawiać kanały. Na ekranie ukazał się szary, szumiący śnieg, a księgarnię zalały błyski migoczącego światła.

Mój dziadek, zaalarmowany zgiełkiem, wyłonił się z zaplecza i obrzucił wszystkich pytającym spojrzeniem. Fermín wzruszył ramionami.

– Zawołajcie resztę – polecił don Federico.

Podczas gdy rozkładał anteny i próbował złapać obraz, my gromadziliśmy się przed telewizorem w nastroju uroczystym, jak na mszy. Fermín i profesor Alburquerque ustawili krzesła. Wkrótce moi rodzice, dziadek, Fermín, don Anacleto, który wracając właśnie z popołudniowej przechadzki, na widok migających świateł uznał, że ulegliśmy modzie na rytmy disco, i wszedł, żeby zbadać sprawę, Fernandito i Sofía, Mercedes i klienci przybyli, by wznieść toast na cześć profesora Alburquerque, zajęliśmy miejsca w tej zaimprovizowanej sali kinowej w oczekiwaniu nie wiadomo na co.

– Zdążę jeszcze wyskoczyć na siku i kupić prażoną kukurydzę? – zapytał Fermín.

– Ja na pańskim miejscu raczej bym zaczekał – poradził profesor Alburquerque. – Mam wrażenie, że to będzie prawdziwa bomba.

W końcu don Federico przekręcił anteny tak, że iskrzący się śniegiem ekran ustąpił miejsca czarno-białemu ponuremu kadrowi, jakie emitowała wówczas hiszpańska telewizja. Naszym oczom ukazała się zapłakana i pełna boleści twarz mężczyzny wyglądającego jak skrzyżowanie prowincjonalnego sędziego z Super Szczurem. Don Federico podgłośnił.

– Franco nie żyje – obwieścił, pochlipując, ówczesny szef rządu Arias Navarro.

Ważąca setki ton cisza spadła nagle z nieba albo z jakiegoś innego miejsca. Jeśli wiszący na ścianie zegar nadal działał, jego wahadło musiało się zatrzymać. Wszystko, co nastąpiło potem, stało się mniej więcej jednocześnie.

Merceditas wybuchnęła płaczem. Dziadek zrobił się w jednej chwili błąd jak ściana, miałem wrażenie, że wyobraża sobie czołgi jadące aleją Diagonal, obwieszczające wybuch kolejnej wojny. Don Anacleto, tak zwykle elokwentny i skłonny do wygłaszania długich monologów, milczał, rozmyślając pewnie o podpalaniu klasztorów i innych tego rodzaju uciechach. Moi rodzice spojrzeli tylko po sobie, ale również się nie odezwali. Profesor Alburquerque, który nie palił, poprosił zegarmistrza, żeby poczęstował go papierosem. Fernandito i Sofía, jedyni, którym nie udzielił się nastrój ogólnego poruszenia, nadal trzymali się za ręce i bujali w obłokach. Niektórzy ze zgromadzonych klientów przeżegnali się, a potem w pośpiechu opuścili księgarnię.

Rozejrzałem się wokół w poszukiwaniu jakiejś dorosłej osoby, która pozostałaby przy zdrowych zmysłach, i mój wzrok spoczął na Ferminie, który patrzył w telewizor z chłodnym zainteresowaniem i absolutnym spokojem. Usiadłem obok niego.

– Niech pan tylko spojrzy, taki biedny malutki robaczek, pochlipujący, jakby w życiu nie stłukł talerza, a tak naprawdę ten człowiek podpisał więcej wyroków śmierci niż Attyla – powiedział.

– I co teraz będzie? – zapytałem zaniepokojony.

Fermín uśmiechnął się i poklepał mnie po plecach. Dał mi sugusa, sobie rozwinął drugiego, oczywiście o smaku cytrynowym, i zaczął go ssać z największą przyjemnością.

– Nie ma się czym martwić. Czekają nas teraz potyczki na pokaz, teatrzyki i faryzeizmy serwowane w ilościach hurtowych, ale w gruncie rzeczy nic poważnego. W najgorszym wypadku jakiemuś kretynowi omsknie się ręka, ale ci, którzy pociągają za sznurki, nie pozwolą, żeby sprawy wymknęły się spod kontroli. To się po prostu nie opłaca. Będzie sporo pary, ale cała pójdzie w gwizdek. Pobijemy rekordy olimpijskie w sztafecie od stołka do stołka, a nowi bohaterowie narodowi wyrosną jak grzyby po deszczu. Zwyczajna rzecz w takich przypadkach. Coś jak przedłużające się zatwardzenie. Powoli i dyskretnie nasi nowi przywódcy odsuną w cień historię, która nie została poznana, a na pewno nie została strawiona. Ale nie poleje się krew, zapewniam pana. Z tego prostego powodu, że nikt na tym nie zyska. Wszystko to w końcu targowisko najrozmaitszych interesów, mniej lub bardziej zakamuflowanych na potrzeby ogłupiałej opinii publicznej. W rzeczywistości ten teatr marionetek ma przysłonić to, kto ma władzę, kto ma klucz do kasy i w jaki sposób podzielią się naszymi pieniędzmi. I chociaż przy korycie zostaną ci co zawsze, trochę odświeżą swój wizerunek, co dobrze im zrobi. Pojawią się nowi cwaniacy i nowi ojcowie narodu, a tabuny naiwnych i pozbawionych pamięci będą słuchać ich przemówień i wierzyć w to, w co chcą uwierzyć. Podążą za pierwszym lepszym flecistą z Hamelin, który ogłupi ich pochlebstwami i naobiecuje kartonowych rajów. Tak to się wszystko odbywa, mój drogi Julianito, i nie ma co przywiązywać do tego większej wagi. Są tacy, którzy potrafią przewidzieć, jak się to wszystko skończy, i wyjeżdżają bardzo daleko, jak nasza Alicja, a są i tacy, którzy zostają w tym piekiełku, bo nie bardzo mają dokąd wyjechać. Czeka nas niezły cyrk, najpierw pokaz kłownów, potem zastąpią ich akrobaci. Niewykluczone, że nic lepszego nie może nas spotkać. Ja, po chwili głębszego zastanowienia, nawet się cieszę.

– A skąd pan wie, że Alicja wyjechała tak daleko?

Fermín uśmiechnął się z przekąsem.

– *Touché!*

– Jest coś, co pan przede mną ukrywa?

Fermín wziął mnie za ramię i odciągnął w kąt.

– Innym razem. Dziś mamy żałobę narodową.

– Ale...

Nie pozwolił mi skończyć, wrócił na miejsce i zasiadł wśród mojej rodziny i znajomych, którzy ciągle nie mogli otrząsnąć się z piorunującego wrażenia, jakie zrobiła na nich wiadomość o śmierci generała, który rządził nami przez ostatnie cztery dekady.

– Wzniesie pan jakiś toast? – zapytał don Anacleto.

Fermín pokręcił głową.

– Nie mam zwyczaju wznosić toastów z okazji czyjejś śmierci. Nie wiem jak wy, ale ja wracam do domu, do swojej Bernardy, i mam nadzieję, że z Bożą pomocą spłodzę jej kolejnego potomka. Sugeruję, o ile oczywiście pozwala wam na to logistyka, żebyście poszli w moje ślady. A jeśli nie, poczytajcie jakąś dobrą książkę, jak ta naszego przyjaciela Alburquerque. Jutro też jest dzień.

A potem mijały kolejne dni, tygodnie i miesiące, podczas których Fermín użył całej swojej przebiegłości, żeby uniknąć moich pytań i insynuacji dotyczących Alicji Gris. Uznałem w końcu, że muszę się poddać i poczekać, aż opowie mi to, co ma do opowiedzenia, kiedy nadejdzie odpowiedni moment albo kiedy sam uzna to za stosowne. Za pieniądze, które dostałem od Valentyny, kupiłem bilet do Paryża. Był rok 1976 i skończyłem dziewiętnaście lat.

Nie powiedziałem rodzicom, jaki jest prawdziwy cel mojej podróży, chociaż wiem, że matka domyśliła się moich intencji. Nigdy nie potrafiłem ukryć przed nią prawdy, bo, jak powiedziałem kiedyś ojcu, przed nią nie miałem tajemnic. Mama wiedziała o historii z Valentyną i o moich ambicjach i zawsze mnie wspierała, nawet w chwilach przygnębienia, kiedy zarzekałem się, że porzucę to przedsięwzięcie, bo brakuje mi talentu i determinacji.

– Nikt nie osiąga sukcesu, nie przeżywszy najpierw wielu porażek – powtarzała cierpliwie.

Wiedziałem, że ojciec nie pochwalał mojej podróży do Paryża. Uważał, że powinienem wreszcie podjąć jakąś decyzję i jeśli naprawdę chcę być pisarzem, przysiąc fałdów i pisać. A jeśli chciałem zostać księgarzem albo treserem papug, muszę oddać się tym zajęciom.

Nie miałem bladego pojęcia, jak mu wyjaśnić, że muszę pojechać do Paryża, żeby odnaleźć Caraxa. Wiedziałem, że nie ma to większego sensu. Brakowało mi argumentów, żeby bronić tego pomysłu, ale w głębi serca

czułem, że muszę zdobyć się na tę podróż. Oświadczył, że nie odprowadzi mnie na dworzec, i usprawiedliwił się ważnym wyjazdem do Vic, gdzie umówiony był na spotkanie ze swoim szacownym kolegą, niejakim Costą, dziekanem Izby Księgarzy i chyba najlepszym w tym gronie antykwariuszem. Kiedy dotarłem na dworzec Francia, okazało się, że na ławce na peronie czeka na mnie matka.

– Kupiłam ci rękawiczki – powiedziała. – Podobno w Paryżu bywa zimno jak na Alasce.

Objąłem ją.

– Ty też sądzisz, że popełniam błąd?

Matka pokręciła głową.

– Każdy musi popełnić swoje własne błędy, żeby się czegoś nauczyć. Zrób to, co masz zrobić, i wracaj prędko. Albo kiedy będziesz mógł.

W Paryżu znalazłem świat. Skromny budżet pozwolił mi na wynajęcie mansardy nie większej niż popielniczka w narożnym budynku przy rue Soufflot, będącej architektonicznym odpowiednikiem solo Paganiniego. Moja wartownia zawieszona była nad place du Panthéon i rozciągał się z niej widok na całą Dzielnicę Łacińską, dachy Sorbony i drugi brzeg Sekwany.

Wynająłem ją pewnie dlatego, że przypominała mi Valentinę. Kiedy po raz pierwszy wyjrzałem na grzywę strychów i kominów otaczających moje mieszkanie, poczułem się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Pierwsze dni spędziłem, snując się po kafejkach, księgarniach i ulicach, przy których stały pałace i muzea, pełnych ludzi oddychających wolnością zdumiewającą kogoś takiego jak ja, przeniesionego wprost z epoki kamienia łupanego i niedoświadczonego.

Miasto Świateł zafundowało mi miękkie lądowanie. Swoją łamaną, pełną makaronizmów, wspomaganą gestami francuszczyzną odbyłem podczas spacerów wiele rozmów – z młodzieżą, starszymi i różnymi osobistościami nie z tego świata. Nie zabrakło wśród nich ślicznotek w minispódniczkach, które zapewniały, że jestem wprawdzie zieloniutki jak młoda sałata, ale i tak wydaję im się *très adorable*. Wkrótce zacząłem podejrzewać, że wszechświat, który utożsamiałem wówczas z niewielką częścią Paryża, pełen jest Valentin. Już w drugim tygodniu, jako świeżo adoptowany paryżanin, zdołałem

przekonać jedną z nich, w dodatku bez większego wysiłku, żeby odwiedziła mnie w mojej klitce godnej prawdziwego przedstawiciela bohemy, oczywiście pod pretekstem wspólnego kontemplowania pięknych widoków z okien. Wkrótce odkryłem również, że Paryż to nie Barcelona i obowiązują tu zupełnie inne reguły gry.

– Ile pan stracił, Ferminie, nie mówiąc po francusku...

– *Qui est Fermín?*

Jakiś czas zajęło mi otrząśnięcie się z uroku Paryża i jego zwodniczych mirażów. Dzięki jednej z moich Valentin, niejakej Pascale, rudowłosej dziewczynie ostrzyżonej jak Jean Seberg i trochę do niej podobnej, zatrudniono mnie na pół etatu jako kelnera. Pracowałem rano na pierwszą zmianę w kawiarni o nazwie Le Comptoir de Panthéon, naprzeciwko uniwersytetu, po zakończeniu obowiązków miałem prawo zjeść tam darmowy obiad. Właściciel, bardzo sympatyczny jegomość, który nie do końca rozumiał, dlaczego będąc Hiszpanem, nie poświęciłem się tańczeniu flamenco albo nie zostałem toreadorem, zapytał, czy przyjechałem do Paryża na studia, w poszukiwaniu szczęścia i chwały, czy po to, żeby doskonalić swój francuski, który bardziej niż doskonalenia potrzebował operacji na otwartym sercu i przeszczepu mózgu.

– Przyjechałem za pewnym mężczyzną – wyznałem.

– A ja myślałem, że woli pan dziewczyny. Niesamowite, jak szybko otrząsnęliście się po śmierci Franco. Wystarczyły dwa dni bez dyktatora i już robicie się biseksualni. Gratuluję! Trzeba chwytać chwilę, póki trwa. *Vive la différence!*

Ta rozmowa przypomniała mi, że przyjechałem do Paryża w konkretnym celu, a nie po to, żeby uciekać od samego siebie. Tak więc następnego dnia rozpocząłem poszukiwania Juliana Caraxa. Najpierw próbowałem rozpytywać o niego we wszystkich księgarniach wzdłuż bulwaru Saint Germain. Pascale, z którą się zaprzyjaźniłem, chociaż wyjaśniła mi, że nasze łóżkowe potyczki nie mają przyszłości (uznała, że jestem dla niej *trop doux*), pracowała jako redaktorka w wydawnictwie i знаła wiele osobistości z paryskiego świata ludzi pióra. Co piątek uczestniczyła w tertuliach w pewnej kawiarni znajdującej się w dzielnicy, którą upodobali sobie literaci. Zjawiali się na nich pisarze, tłumacze, wydawcy, księgarze i cała flora i fauna zamieszkująca

świat książek i jego przyległości. Goście zmieniali się z tygodnia na tydzień, spotkania upływały jednak według niezmiennej formuły: piło się na nich i paliło bez umiaru, a pośród ożywionych dyskusji o książkach i ideach oponenti rzucali się sobie do gardeł, jakby od wyniku dyskusji zależało ich życie. Ja zwykle tylko się przysłuchiwałem, wdychając halucynogenne opary dymu i próbując wsunąć rękę pod spódnicę Pascale, która uważała ten zwyczaj za *gauche, bourgeois*, a przede wszystkim właściwy prowincjuszom.

Podczas piątkowych spotkań miałem szczęście poznać kilku tłumaczy Caraxa, którzy przyjechali do Paryża na poświęconą przekładowi konferencję odbywającą się na Sorbonie. Angielska powieściopisarka Lucia Hargreaves, która spędziła dzieciństwo na Majorce, a potem wyprowadziła się do Londynu za swoją miłością, powiedziała, że od dawna nie ma wieści o Caraksie. Jego niemiecki tłumacz, Herr Peter Schwarzenbeld, dżentelmen zamieszkały w Zurychu, który zdecydowanie wolał bardziej umiarkowany klimat i poruszał się po ulicach Paryża na składanym rowerze, wyjaśnił mi, że podejrzewa, iż Carax oddał się całkowicie komponowaniu sonat na fortepian i zmienił nazwisko. Signor Bruno Arpaiani, który przełożył książki Caraxa na włoski, wyznał, że od lat słyszał pogłoski o tym, że Carax pisze nową powieść, jednak on sam nie wierzył w to wcale. Jednym słowem nikt nic nie wiedział na temat miejsca pobytu Caraxa ani tego, czym się właściwie zajmuje.

Na jednej z owych tertulii poznałem niejakiego François Maspéra, jegomościa o żywej inteligencji, który był w swoim czasie wydawcą i księgarzem, a przy tym wybitnym tłumaczem prozy. Maspéro był mentorem Pascale w czasach, gdy dopiero przyjechała do Paryża, i zgodził się spotkać ze mną w *café Les Deux Magots*. Opowiedziałem mu w skrócie o swoim zamiśle.

– Bardzo ambitny plan, młody człowieku. I bardzo trudny do zrealizowania, ale...

Kilka dni później, spacerując po dzielnicy, wpadłem przypadkiem na monsieur Maspéra. Powiedział, że chce mnie przedstawić pewnej niemieckiej damie o nader żywej inteligencji i szorstkim obyciu, która mieszkała na przemian w Paryżu i Berlinie i władała tyłoma językami, że nie sposób ich wymienić. Żyła z odkrywaniem wschodzących gwiazd literatury albo nieznanym perełek i sprzedawania ich rozmaitym europejskim wydawnictwom. Nazywała się Michi Strausmann.

– Może ona będzie wiedziała coś o Caraksie...

Pascale, która wyznała mi, że jak dorośnie, chce być taka jak ona, ostrzegła, że Fräulein Strausmann to bynajmniej nie żaden słodki kwiatusek, wręcz przeciwnie, jest ostra jak brzytwa. Monsieur Maspero umówił całą naszą czwórkę w kafejce w dzielnicy Le Marais, nieopodal domu, w którym mieszkał Victor Hugo.

– Fräulein Strausmann to prawdziwa znawczyni dzieł Caraxa – powiedział tytułem wstępu. – Niech pan jej opowie to samo, co opowiedział pan mnie.

Tak też uczyniłem. Zamiast odpowiedzi obrzuciła mnie spojrzeniem, od którego natychmiast opadłby najbardziej puszysty suflet.

– Czy pan jest idiotą? – zapytała Fräulein Strausmann nienaganną hiszpańszczyzną.

– Na praktykach – przyznałem.

Po chwili jednak serce groźnej walkirii zmiękło i stwierdziła, że być może oceniła mnie zbyt surowo. Niestety, podobnie jak wszyscy pozostali, od bardzo dawna nie miała żadnych wieści o Caraksie.

– Julián nie pisze od lat – dodała. – Nie odpowiada też na listy. Życzę panu powodzenia w pańskim przedsięwzięciu, ale...

– Może ma pani jakiś adres, na który mógłbym napisać?

Fräulein Strausmann pokręciła głową.

– Proszę spróbować skontaktować się z Currygan i z Colicciem. Przez nich właśnie z nim korespondowałam i tam urwał mi się ślad wiele lat temu.

Pascale wyjaśniła, że madame Currygan i Tomaso Coliccio byli przez dwadzieścia pięć lat agentami literackimi Caraxa, i obiecała, że umówi mnie z nimi na spotkanie.

Madame Currygan miała swoje biuro przy rue de Rennes. Plotkowano zawzięcie, że zmieniła swój gabinet we wspaniały ogród orchidei, Pascale poradziła mi więc, żebym zaniósł jej w darze jakiś nowy egzemplarz. Pascale przyjaźniła się z tak zwaną ekipą Currygan – tworzoną przez cztery wspaniałe niewiasty różnych narodowości, ale o wspólnym zamiłowaniu do literatury – które załatwiły mi spotkanie ze swoją szefową i agentką Caraxa.

Z doniczką w ręku stawiłem się w agencji. Dziewczyny z ekipy Currygan (Hilde, Claudia, Norma i Tonya) początkowo wzięły mnie za chłopca na posyłki z pobliskiej kwiaciarni, wystarczyło jednak, żebym otworzył usta, a nieporozumienie zostało wyjaśnione. Kiedy już się poznaliśmy, zaprowadziły mnie do gabinetu, w którym urzędowała madame Currygan. Już od wejścia dostrzegłem witrynę z dziełami wszystkimi Juliana Caraxa i ogród botaniczny pełen niebanalnych okazów. Madame Currygan wysłuchiwała mnie cierpliwie, niespiesznie paląc papierosa i zasnuwając pomieszczenie falującymi pajęczynami dymu.

– Przyznaję, że słyszałam kiedyś, jak wspominał o Danielu i Bei – powiedziała. – Ale to było bardzo dawno temu. Od jakiegoś czasu nie mam pojęcia, co się stało z Julianem. Kiedyś często mnie odwiedzał, ale teraz...

– Zachorował?

– Chyba można tak powiedzieć.

– Na co?

– Na melancholię.

– Może signor Coliccio będzie wiedział coś więcej?

– Wątpię. Kontaktuję się z Tomaszem przynajmniej raz w tygodniu w sprawach zawodowych i wiem, że nie miał żadnych wieści od Juliana od jakichś trzech lat. Ale oczywiście warto spróbować. Gdyby się pan czegoś dowiedział, proszę mnie powiadomić.

Don Tomaso mieszkał na pełnej książek barce zacumowanej na nabrzeżu Sekwany, mniej więcej pół kilometra od Île de la Cité. Jego żona Elaine, wydawczyni, powitała mnie na nabrzeżu z sympatycznym uśmiechem.

– To pan jest tym chłopakiem z Barcelony? – zapytała.

– We własnej osobie.

– Zapraszam na pokład. Tomaso czyta jakiś niestrawny manuskrypt, zapewne będzie wdzięczny, mogąc sobie zrobić chwilę przerwy.

Signor Coliccio przypominał wilka morskiego i nosił kapitańską czapkę. Włosy miał wprawdzie przyprószone siwizną, ale w jego spojrzeniu skrzyła się dziecięca figlarność. Wysłuchiwał mojej historii, potem zamyślił się chwilę, zanim powiedział:

– Niech pan posłucha, młody człowieku. W Paryżu nie sposób znaleźć dwóch rzeczy. Jedną z nich jest przyzwoita pizza. Drugą – Julián Carax.

– Powiedzmy, że obejdę się bez pizzy, zadowolę się Caraxem – zażartowałem.

– Nigdy nie należy gardzić dobrą pizzą – poradził dobrotliwie. – Przypuśćmy nawet, że Julián żyje, ale dlaczego pan myśli, że będzie chciał z panem rozmawiać?

– A dlaczego miałby nie żyć?

Don Tomaso posłał mi melancholijne spojrzenie.

– Ludzie umierają. Zwłaszcza ci, którzy powinni żyć. Może Pan Bóg musi zrobić miejsce dla skurwysynów, którymi tak sobie upodobał zaludniać ten świat...

– Muszę wierzyć w to, że Carax żyje.

Tomaso Coliccio się uśmiechnął.

– Niech pan pogada z Rosiersem.

Émile de Rosiers był przez wiele lat wydawcą Juliana Caraxa. W wolnych chwilach poeta i prozaik, miał za sobą długą i błyskotliwą karierę w wielu paryskich wydawnictwach. Publikował, zarówno po hiszpańsku, jak i we francuskich przekładach, utwory pisarzy, którzy w naszej kochanej ojczyźnie znaleźli się na indeksie oraz tych piszących na wygnaniu, nie wspominając o ważnych twórcach latynoamerykańskich. Don Tomaso wspomniał, że nie tak dawno temu Rosiers został szefem niewielkiego wprawdzie, ale ambitnego wydawnictwa Éditions de la Lumière. Poprosiłem o adres, a ponieważ mieściło się po sąsiedzku, udałem się tam natychmiast.

Émile de Rosiers, choć nie miał zbyt wiele wolnego czasu, okazał się bardzo uprzejmy i zaprosił mnie na obiad w pobliskim barze przy rue du Dragon. Tam wysłuchał mojej opowieści.

– Podoba mi się pomysł na tę książkę – powiedział, chociaż nie wiedziałem, czy przemawia przez niego kurtuazja, czy rzeczywiste zainteresowanie. – A *Cmentarz Zapomnianych Książek* to wspaniały tytuł.

– Tak naprawdę to jedyne, co mam – przyznałem. – Do całej reszty potrzebny mi Julián Carax.

– Z tego, co wiem, Carax przeszedł na emeryturę. Jakiś czas temu wydał ostatnią powieść pod pseudonimem, nie w moim wydawnictwie. Potem nic. Zupełna cisza.

– Myśli pan, że nadal mieszka w Paryżu?

– Nie sędzę. Gdyby tak było, coś bym o nim usłyszał. Miesiąc temu widziałem się z jego holenderską wydawczynią, moją przyjaciółką Nelleke, powiedziała mi, że obito się jej o uszy, iż Carax podobno wyruszył dwa lata temu w podróż do Ameryki i zmarł w czasie rejsu. Ktoś inny mówił, że dotarł jednak do portu przeznaczenia i pisze teraz pod pseudonimem scenariusze seriali telewizyjnych. Niech pan wybierze wersję, która bardziej panu odpowiada.

Rosiers dostrzegł malujące się na mojej twarzy rozczarowanie mizernym wynikiem długich poszukiwań, które niestety prowadziły donikąd.

– Czy mogę udzielić panu rady? – zapytał.

– Tak, bardzo proszę.

– To praktyczna wskazówka, daję ją wszystkim początkującym autorom, którzy nie wiedzą, jak zabrać się do dzieła. Jeśli chce pan zostać pisarzem, niech pan zacznie pisać. Jeśli ma pan historię do opowiedzenia, niech ją pan opowie. Albo przynajmniej spróbuje.

– Gdyby wystarczyło mieć coś do powiedzenia, żeby zostać pisarzem, mielibyśmy więcej literatów niż czytelników.

– Proszę sobie wyobrazić ten koszmar: świat pełen powieściopisarzy – zażartował Rosiers.

– Może ostatnim, czego potrzebuje świat, jest kolejny z nich – podchwyciłem.

– Proszę pozwolić, żeby świat sam o tym zdecydował – powiedział Rosiers znów poważnym tonem. – A gdyby się nie udało, nie ma się pan czym zbyt zamartwiać. Tym lepiej dla pana, według wszelkich statystyk. Ale jeśli któregoś dnia zdoła pan uchwycić na papierze historię podobną do tej, którą mi pan właśnie opowiedział, proszę mnie odwiedzić. Niewykluczone, że będę zainteresowany.

– A tymczasem?

– Tymczasem niech pan zapomni o Caraksie.

– Rodzina Sempere nigdy nie zapomina. To choroba genetyczna, przekazywana z pokolenia na pokolenie.

– W takim razie bardzo współczuję.

– A ja liczę na dobry uczynek.

Rosiers się zawahał.

– Julián miał przyjaciela. To był, jak sędzę, jego najlepszy przyjaciel. Nazywał się Jean-Raymond Planaux. I nie miał nic wspólnego z tym naszym absurdalnym światkiem. Inteligentny, rozsądny facet, niezaprzątający sobie głowy głupstwami. Jeśli ktoś wie cokolwiek o Caraksie, to tylko on.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– W katakumbach.

Od tego powinienem zacząć. Skoro chodziło o Caraxa, mogłem się domyślić, że jeśli jest jeszcze jakaś nadzieja na znalezienie go pośród żywych, musiała wiązać się ze scenerią wyjętą z kart jego powieści – z paryskimi katakumbami.

Jean-Raymond de Planaux Flavieu, dobrze zbudowany mężczyzna, na pierwszy rzut oka onieśmielał, ale potem okazywał się całkiem sympatycznym żartownisiem. Pracował w biurze firmy zarządzającej paryskimi katakumbami, zajmującej się ich utrzymaniem, organizacją wycieczek turystycznych i wszystkim, co związane z tym szczególnym biznesem merkantylizującym zaświaty.

– Witamy w krainie śmierci, młody człowieku – powiedział, ściskając mi dłoń tak mocno, że aż zatrzeszczały kości. – Co mogę dla pana zrobić?

– Zastanawiałem się, czy pomógłby mi pan odnaleźć swojego przyjaciela.

– Czy on żyje? – zapytał i roześmiał się gromko. – Jeśli chodzi o świat żywych, to prawie zupełnie wymazałem go z pamięci.

– Chodzi o Juliana Caraxa.

Kiedy tylko wymówiłem to nazwisko, monsieur Planaux ściągnął brwi, jego twarz przybrała wrogi wyraz, a on sam pochylił się do przodu w groźnym geście, dosłownie przypierając mnie do muru.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Julián Sempere. Moi rodzice dali mi tak na imię na cześć Caraxa.

– Jeśli o mnie chodzi, mogli pana nazwać nawet na cześć wynalazcy publicznych szaletów.

Przestraszyłem się, że zaraz mi przyłoży, i spróbowałem się cofnąć. Niestety nie pozwolił mi na to mur, prawdopodobnie połączony z katakumbami. Oczyma wyobraźni zobaczyłem, jak zostaję tu na wieczne czasy pośród tysięcy innych czaszek i szkieletów.

– Moi rodzice, Daniel i Bea, znali pana Caraxa – powiedziałem łagodnie, próbując go udobruchać.

Spojrzenie Planaux świdrowało mnie przez długą chwilę. Według moich szacunków istniało pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że złamie mi nos. Pozostałe pięćdziesiąt procent pozostawało wielką niewiadomą.

– Jest pan synem Daniela i Beatriz?

Przytaknąłem.

– Tych, co prowadzą księgarnię Sempere i Synowie?

Znów pokiwałem głową.

– Niech pan to udowodni.

Przez następną godzinę wygłaszałem tę samą przemowę, którą wypróbowałem wcześniej na agentach literackich i wydawcy Caraxa. Planaux słuchał mnie z uwagą, chociaż miałem wrażenie, że z każdym słowem mojej opowieści coraz bardziej smutnieje. Kiedy skończyłem, wyciągnął z kieszeni marynarki hawańskie cygaro. Zapalił je i dmuchnął kłębam dymu tak gęstego, jakby chciał utopić w nim cały Paryż.

– Wie pan, jak poznałem Juliana?

Pokręciłem głową.

– Kiedy byłem młody, pracowaliśmy razem w jakimś podejrzanym wydawnictwie. To było, zanim zrozumiałem, że śmierć daje o wiele lepsze perspektywy niż literatura. Byłem handlowcem, miałem za zadanie sprzedawać publikowaną przez nas szmirę. Carax pisywał horrory. Gdyby pan tylko wiedział, ile cygar wypaliliśmy wspólnie w środku nocy, wyglądając

przez okna knajpy znajdującej się pod siedzibą wydawnictwa i odprowadzając wzrokiem dziewczyny w wieku zachęcającym do grzechu. Cóż to były za czasy! Radzę panu szczerze, niech pan nie będzie głupi i nigdy się nie starzeje. Starość nie przydaje nam wcale szlachetności ani mądrości, ani żadnego innego przereklamowanego gówna na patyku. Tak chyba mówicie po hiszpańsku, usłyszałem kiedyś to wyrażenie z ust Juliana i bardzo mi się spodobało.

– Wie pan, gdzie mógłbym go znaleźć?

Planaux wzruszył ramionami.

– Julián wyjechał z Paryża już dawno temu.

– A dokąd się udał?

– Tego mi nie powiedział.

– Ale pan ma swoje podejrzenia?

– Szczwany z pana lis.

– Dokąd?

– A gdzie szukają schronienia ludzie, kiedy się starzeją?

– Nie wiem.

– W takim razie nigdy nie znajdzie pan Juliana.

– We wspomnieniach? – zaryzykowałem w ciemno.

Planaux posłał mi melancholijny uśmiech.

– To znaczy, że wrócił do Barcelony? – zapytałem.

– Nie, nie do Barcelony. Do tego, co kochał.

– Nie rozumiem.

Mimo tylu lat słuchania historii o Caraksie czułem się równie zagubiony, jak tego dnia, kiedy przyjechałem do Paryża.

– Jeśli jest pan tą osobą, za którą się podaje, powinien się pan domyślić – oświadczył Planaux. – I jeśli powie pan „literatura”, naprawdę dam panu w pysk. Chociaż nie podejrzewam, że jest pan taki głupi.

Przełknąłem ślinę.

– Chyba się domyślam, o czym pan mówi. A raczej o kim.

– W takim razie już pan wie, co robić dalej.

Tego samego popołudnia pożegnałem się z Paryżem, obiecującą karierą w sektorze usług gastronomicznych oraz swoim gniazdkiem zawieszonym w chmurach i udałem się na dworzec Austerlitz. Wydałem wszystkie pieniądze na bilet trzeciej klasy i wsiadłem do nocnego pociągu do Barcelony. Dotarłem tam nad ranem, przeżywszy podróż dzięki uprzejmości współpasażerów – pary emerytów z Lyonu wracających z odwiedzin u córki – którzy częstowali mnie wiktuałami zakupionymi tego popołudnia na targowisku przy rue Mouffetard, podczas gdy ja dzieliłem się z nimi swoją historią. „*Bonne chance* – powiedzieli mi, wysiadając. – *Cherchez la femme...*”

Przez kilka dni po powrocie wszystko wydawało mi się małe, zamknięte i szare. I chociaż paryskie światło na zawsze wryło mi się w pamięć, tamten wielki świat stał się nagle bardzo odległy.

– I co, już pan widział *Emmanuelle*? – zapytał Fermín.

– Znakomity scenariusz – odparłem.

– Tak też podejrzewałem. Pewnie Billy Wilder i spółka mają czego pozazdrościć. A proszę mi opowiedzieć, znalazł pan upiora z opery?

Fermín uśmiechnął się chytrze. Powinienem był się domyślić, że doskonale wie, po co jadę do Paryża.

– Niezupełnie – przyznałem.

– Czyli nie ma pan dla mnie żadnych elektryzujących plotek?

– Myślałem, że tym, który ma elektryzujące wieści, jest pan, panie Ferminie. Już pan zapomniał?

– Najpierw niech pan rozwiąże swoją zagadkę, wtedy pogadamy.

– To niesprawiedliwe.

– Witamy na planecie Ziemia – odciął się Fermín. – Dobrze, a teraz niech mnie pan zaskoczy. Proszę powiedzieć coś po francusku. *Bonjours* i *oh, là là!* się nie liczy.

– *Cherchez la femme* – wyrecytowałem.

Fermín ściągnął brwi.

– Klasyczna maksyma rządząca każdą szanującą się intrygą? – zapytał.

– *Voilà.*

Grób Nuri Monfort znajdował się na otoczonym zagajnikiem wzgórzu w starej części cmentarza Montjuic, niedaleko grobu Isabelli. Ze wzgórza rozciągał się widok na morze. To właśnie tam pewnego letniego popołudnia 1977 roku, przeszukawszy nadaremno liczne zakątki dawnej Barcelony, które powoli odchodziły w niepamięć, znalazłem Juliana Caraxa. Złożył kwiaty na płycie nagrobnej, a potem usiadł na kamiennej ławce. Siedział tam prawie godzinę, mówiąc do siebie. Nie ośmieliłem się mu przeszkodzić.

Zastałem go w tym samym miejscu następnego dnia, i jeszcze następnego. Julián Carax zrozumiał, że najbardziej na świecie kochał Nurię, kobietę, która oddała za niego życie. Przychodził tu codziennie, siadywał na ławeczce przy grobie, żeby z nią rozmawiać i spędzić czas, który mu jeszcze pozostał, w jej towarzystwie.

To on podszedł do mnie i zaczął mi się w milczeniu przyglądać. Blizny po oparzeniach, które zostały mu po pożarze, jako tako się zabiły, patrząc na tę twarz, przysłoniętą częściowo szerokim rondem kapelusza i zarośniętą gęstą brodą, trudno byłoby oszacować jego wiek.

– Kim pan jest? – zapytał bez cienia wrogości w głosie.

– Nazywam się Julián Sempere. Jestem synem Daniela i Bei.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Czy oni wiedzą, że pan tu jest?

– Nie, nikt o tym nie wie.

– A wolno zapytać, po co pan przyszedł?

Nie miałem pojęcia, od czego zacząć.

– Pozwoliłby pan zaprosić się na kawę?

– Nie pijam kawy – odparł. – Ale może pan zaprosić mnie na lody.

Musiał odczytać w mojej twarzy zdumienie.

– Kiedy byłem młody, lody nie były tak popularne. Odkryłem je późno, podobnie jak wiele innych rzeczy...

I w ten oto sposób owego leniwego letniego popołudnia spełniło się to, o czym marzyłem od dzieciństwa; poruszywszy niebo i ziemię, przetrząsnąwszy Paryż i Barcelonę, usiadłem wreszcie w cukierni przy placu Real przy jednym stole z Julianem Caraxem, który zamówił dwie kulki lodów truskawkowych w wafelku. Ja poprosiłem o lemoniadę z kruszonym lodem, najlepsze antidotum na wilgotny upał, który jak co roku niczym klątwa zawisł nad barcelońskim latem.

– Co mogę dla pana zrobić, panie Sempere?

– Jeśli panu powiem, weźmie mnie pan za głupca.

– Mam wrażenie, że szuka mnie pan już od dłuższego czasu, więc skoro już mnie pan odnalazł, rzeczywiście uznam pana za głupca, jeśli nie powie mi pan, o co chodzi.

Wypiłem połowę lemoniady jednym haustem, żeby zebrać się na odwagę, i opowiedziałem mu o swoim pomysle. Słuchał mnie uważnie, nie okazując niezadowolenia ani rezerwy.

– Bardzo sprytnie to sobie pan wykoncypował – oświadczył, kiedy skończyłem mówić.

– Niech się pan ze mnie nie śmieje.

– Wcale się nie śmieję. Mówię to, co myślę.

– I co jeszcze pan myśli?

– Że to pan powinien napisać tę historię. Ona należy do pana.

Powoli pokręciłem głową.

– Nie umiem tego zrobić. Nie jestem pisarzem.

– Niech pan sobie kupi underwooda.

– Nie wiedziałem, że we Francji też się tak reklamowali.

– Oczywiście. Ale niech pan nie wierzy reklamom. Olivetti też nie byłaby zła.

Uśmiechnąłem się. Z Caraxem łączyło mnie przynajmniej poczucie humoru.

– Niech pan pozwoli, że coś panu pokażę.

– Nauczy mnie pan, jak pisać?

– Tego musi się pan nauczyć sam – odrzekł. – Pisanie to rzemiosło, którego

trzeba się wyuczyć, ale nie sposób go nikogo nauczyć. Tego dnia, kiedy pan to zrozumie, zacznie pan być pisarzem.

Rozpiął kurtkę z czarnego lnu, którą miał na sobie, i wyjął z wewnętrznej kieszeni jakiś błyszczący przedmiot. Położył go na stole i popchnął w moim kierunku.

– Niech pan je weźmie – zachęcił.

Było to najpiękniejsze pióro, jakie kiedykolwiek widziałem – niekwestionowany król wszystkich piór Montblanc – zakończone stalówką wykonaną ze złota i platyny. Gdybym zobaczył je jako dziecko, pomyślałbym pewnie, że ten cudowny przedmiot wystarczy, żeby napisać arcydzieło.

– Mówią, że należało kiedyś do Victora Hugo, ale raczej włożyłbym to między bajki.

– Czy za czasów Victora Hugo istniały już takie pióra? – zapytałem.

– Pierwsze pióro z tłoczkiem opatentował Rumun Petrache Poenaru w tysiąc osiemset dwudziestym siódmym roku, ale dopiero w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku zaczęto je wytwarzać na masową skalę.

– To znaczy, że naprawdę mogło należeć do Victora Hugo?

– Jeśli chce pan w to wierzyć... Powiedzmy, że z rąk monsieur Hugo przeszło do nie mniej szacownych, za to o wiele bardziej prawdopodobnych dłoni Daniela Sempere, mojego dobrego przyjaciela. Potem trafiło do mnie, a ja przechowuję je od tego czasu i czekam na kogoś takiego jak pan, kto się po nie zgłosi. Czas już był najwyższy.

Energicznie zaoponowałem, zwracając pióro Caraxowi.

– Nie ma mowy. Nie mogę go przyjąć. Należy do pana.

– Pióro nie należy do nikogo. To swobodny duch, który zostaje przy tym, kogo akurat potrzebuje.

– To zdanie z jednej z pańskich powieści.

– Wszyscy mi zarzucają, że się powtarzam. To niestety przypadłość większości powieściopisarzy.

– Nigdy na nią nie cierpiałem. To pewnie znak, że nie jestem pisarzem.

– Na wszystko przyjdzie czas. Niech pan je weźmie.

– Nie.

Carax wzruszył ramionami i schował pióro.

– To znaczy, że nie jest pan jeszcze gotowy. Pióro jest jak kot, pójdzie tylko za tym, kto zdoła je nakarmić. I równie swobodnie jak przychodzi, odchodzi.

– A co pan sądzi o mojej propozycji?

Carax wskrobał łyżeczką reszkę lodów z wafelka.

– Zrobimy tak: napiszemy tę historię razem. Pan włoży w to młodzieńczy entuzjazm, ja służę sztuczkami starego wygi.

Zupełnie mnie замуrowało.

– Mówi pan poważnie?

Wstał od stołu i poklepał mnie po ramieniu.

– Dziękuję za lody. Następnym razem to ja zapraszam.

I rzeczywiście był następny raz, i wiele kolejnych. Carax zawsze zamawiał dwie kulki lodów truskawkowych, wszystko jedno, czy zimą, czy latem, ale nigdy nie zjadał wafelków. Ja przynosiłem mu strony, które napisałem, a on je sprawdzał, zaznaczał niektóre zdania, inne kreślił, jeszcze inne układał od nowa.

– Nie jestem pewien, czy to dobry początek – mówiłem.

– Historia nie ma początku ani końca, ma tylko wiele prowadzących do niej drzwi.

Na każdym naszym spotkaniu Carax czytał z uwagą napisane przeze mnie strony. Wyjmował swoje pióro, notował coś na marginesach, a potem nieskończenie cierpliwie wyjaśniał mi, co zrobiłem źle, a było to prawie wszystko. Punkt po punkcie tłumaczył, co nie zadziała i dlaczego, sugerował, jak powinienem to poprawić. Analizował niezmiernie szczegółowo zdanie po zdaniu. W miejscu, w którym widziałem błąd, on pokazywał mi piętnaście, o których nie miałem pojęcia. Rozkładał na czynniki pierwsze każde słowo, każde zdanie i każdy akapit, po czym składał je od nowa niczym jubiler patrzący na swoje dzieło przez lupę. Robił to beznamytnie, niczym inżynier tłumaczący swojemu uczniowi, jak działa silnik spalinowy czy maszyna parowa. Czasem kwestionował zwroty akcji i pomysły, które ja uznawałem za wartościowe, większość z nich zresztą ściągałem z jego powieści.

– Niech pan nie próbuje mnie naśladować. Z imitacją cudzego stylu jest jak z chodzeniem o kulach. Służy, póki można się czegoś nauczyć, ale w końcu trzeba stanąć na własnych nogach. To rozwiązanie dla początkujących.

– A ja kim niby jestem?

Nigdy się nie dowiedziałem, gdzie spędzał noce ani czas, którego nie dzielił ze mną. Nigdy mi tego nie powiedział, a ja nie pytałem. Umawialiśmy się zawsze w kawiarniach i barach na starym mieście, ale tylko w tych, w których podawano lody truskawkowe. Wiem natomiast, że każdego popołudnia udawał się na spotkanie z Nurią Monfort. Kiedy przeczytał pierwszy fragment, w którym pojawiała się jako postać, uśmiechnął się tak smutno, że na wspomnienie tej chwili do dziś kraje mi się serce. Od czasu tragicznego pożaru jego kanaliki łzowe nie produkowały już łez, ale chociaż nie mógł płakać, nie spotkałem w życiu nikogo, kto niósłby na barkach równie ciężkie brzemie straty.

Chciałbym głęboko wierzyć w to, że zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi, nigdy nie miałem lepszego przyjaciela i nie sądzę, żebym miał kiedykolwiek w przyszłości. Był przy mnie, prowadził mnie i moje pióro przez wszystkie te lata, kiedy pisałem swoje cztery powieści, poprawiał je, kreślił całe akapity i komponował je od nowa do samego końca. Nie wiem, czy robił to ze względu na przywiązanie, jakie czuł do moich rodziców, czy dlatego, że ów dziwny rytuał rekonstruowania przeszłości pomagał mu jakoś pogodzić się z bólem trawiącym go przez całe życie, a może widział we mnie jakąś część siebie.

– Pisanie to w gruncie rzeczy przepisywanie tych samych fragmentów wiele razy i na różne sposoby – powtarzał mi ciągle. – Piszemy dla siebie, a potem poprawiamy z myślą o innych.

Istniało też oczywiście życie poza fikcją. W latach, które poświęciłem wielokrotnemu pisaniu na nowo każdej strony sagi, wydarzyło się całkiem sporo. Wierny swojej obietnicy, że nie pójdę w ślady ojca i nie zostanę księgarzem (w końcu dawali sobie świetnie radę sami z matką), znalazłem pracę w agencji reklamowej mieszczącej się – kolejny żarcik losu – w starej willi Aldayów przy alei Tibidabo numer 32, tej samej, w której moi rodzice poczuli mnie owej odległej burzowej nocy 1955 roku.

Działalność w specyficznej branży reklamowej nigdy nie wydawała mi się godna zapamiętania, ale ku własnemu zdumieniu spostrzegłem, że moja pensja rośnie z miesiąca na miesiąc, podobnie jak moje notowania jako najemnika obrazów i słów. Mijały lata, a ja wyprodukowałem mnóstwo reklam dla telewizji, radia i prasy. Wychwalałem zalety drogich samochodów, o których marzyli dobrze zapowiadający się menedżerowie banków, na razie ciułający grosz do grosza. Wychwalałem także sprzęty gospodarstwa domowego zapewniające szczęśliwość na tym padole łez, perfumy otwierające drogę do erotycznej frenezji i tym podobne dobra materialne. Hiszpania po upadku starego reżimu, a przynajmniej po zniknięciu jego najbardziej bezczelnych cenzorów, modernizowała się z prędkością płynących do niej funduszy i bogaciła bez krzty zażenowania, o czym świadczyły wykresy giełdowe, mogące wprawić w zakłopotanie szczyty szwajcarskich Alp. Mój ojciec, kiedy dowiedział się, ile zarabiam, zapytał, czy to, co robię, jest legalne.

– Legalne owszem. Czy etyczne, to zupełnie inna sprawa.

Fermín natomiast nie miał nic przeciwko mojej nieoczekiwanej bonanzie, wręcz przeciwnie, był nią zachwycony.

– Dopóki nie uwierzy pan, że to pana życiowe powołanie, nie widzę nic zdrożnego w zarabianiu pieniędzy, kiedy jest pan młody, bo właśnie teraz może je pan sensownie spożytkować. Nie wspominając o tym, że wciąż jest pan kawalerem. Już sobie wyobrażam te fantastyczne arcyłaski, jakie podrywacie sobie wy, adepci tej nowej sztuki, w której wszystko, co się świeci, jest złotem. Sam chciałbym przeżyć coś takiego, ale moja młodość przypadła na gówniane czasy powojnia, kiedy to nawet dziewice miały wąsy. Niech pan robi swoje i korzysta z życia, póki czas, sam pan rozumie, niech pan się wyszumi, ile wlezie i nie zapomni wyskoczyć z te-go pociągu w odpowiedniej chwili. Niektóre zawody wypada wykonywać jedynie w młodości, no, chyba że zostanie pan większościovym akcjonariuszem jakiejś agencji, w co szczerze wątpię, gdyż ma pan niezłatwione porachunki ze znacznie gorzej opłacaną gałęzią twórczości. Jednym słowem, po trzydziestce tylko wariat siedziałby na takiej beczce prochu.

Ja w głębi duszy wstydzilem się tego, co robię i astronomicznych kwot, które mi za to płacono. A może lubilem tak o sobie myśleć. Przyjmowałem je jednak bez mrugnięcia okiem i trwoniłem, gdy tylko zasiliły mój rachunek bieżący.

– Nie ma się czego wstydzić – mówił Carax. – Wręcz przeciwnie, to zawód, w którym liczy się talent, i pozwoli panu, o ile będzie pan potrafił dobrze rozegrać swoje karty, zrobić sobie po jakimś czasie przerwę i zostać tym, kim pan naprawdę jest.

– A kim to niby jestem? Autorem reklam napojów gazowanych, kart kredytowych i luksusowych aut.

– Będzie pan tym, za kogo się pan będzie uważał.

Tak naprawdę mniej mnie wówczas obchodziło, kim jestem, a bardziej to, co o mnie myśli Julián Carax. Pracowałem nad naszą książką, jak lubiłem ją nazywać. To przedsięwzięcie stało się moim drugim, sekretnym życiem. Wkraczałem do tego świata, odwieszając na kołku przebranie, w którym funkcjonowałem na co dzień, by uzbrojony w pióro albo underwooda zanurzyć się w historii, która wydawała mi się nieskończenie bardziej rzeczywista niż moja dostatnia egzystencja na tej ziemi.

W tych latach w życiu każdego z nas zaszły pewne zmiany. Isaac Monfort niedługo po tym, jak gościł u siebie Alicję Gris, obwieścił, że chce odejść na emeryturę, i zaproponował Ferminowi, który został właśnie ojcem, żeby zastąpił go na stanowisku strażnika Cmentarza Zapomnianych Książek.

– Już czas przekazać stery jakiemuś bezwstydnikowi – powiedział.

Fermín poprosił o zgodę Bernardę, a ona przystała na przeprowadzkę do mieszkania na parterze kamienicy sąsiadującej z budynkiem, w którym mieścił się Cmentarz Zapomnianych Książek. Nowy strażnik zbudował sekretne przejście do tunelów pałacu i zmienił pomieszczenia zajmowane dawniej przez Isaaca w swoje nowe biuro.

Wiele lat później korzystając z tego, że pracowałem wówczas przy kampanii reklamowej znanej japońskiej firmy produkującej elektronikę, podarowałem Ferminowi olbrzymi kolorowy telewizor. Fermín, który kiedyś uważał telewizję za Antychrysta, odkrył, że można w niej czasem obejrzeć dzieła Orsona Wellesa – „ten cwaniak to dopiero potrafił robić kino”, mawiał – a przede wszystkim filmy z Kim Novak, której spiczaste staniki podsycaly jego wiarę w to, że ludzkość ma jednak jakąś przyszłość.

Moi rodzice po kilku latach małżeńskiego kryzysu, kiedy zacząłem już

sądzić, że się w końcu rozwiodą, nagle przeżyli renesans miłości. Jego przyczyn nigdy mi nie wyjaśnili i ku powszechnemu zdziwieniu obdarowali mnie późną siostrą – dali jej na imię Isabella. Dziadek Sempere zdążył jeszcze wziąć ją na ręce tuż przed śmiercią. Zmarł na rozległy zawał serca, który dopadł go, gdy dźwigał karton z dziełami wszystkimi Aleksandra Dumasa. Pochowaliśmy go obok Isabelli, wkładając do trumny egzemplarz *Hrabiego Monte Christo*. Po utracie ojca mój tata postarzał się nagle za nas wszystkich i już nigdy nie odzyskał dawnej radości. „Sądziłem, że będzie żył wiecznie”, powiedział, kiedy przyłapałem go kiedyś zapłakanego na zapleczu księgarni.

Fernandito i Sofía zgodnie z przewidywaniami wzięli ślub i wprowadzili się do dawnego mieszkania Alicji Gris przy ulicy Aviñón; Fernandito zresztą zdążył już wykorzystać je wcześniej, w tajemnicy przed wszystkimi, żeby zrobić z Sofią doktorat ze sztuki kochania, której pierwszych lekcji udzieliła mu kiedyś Matilde. Z czasem Sofía otworzyła księgarnię specjalizującą się w literaturze dziecięcej, którą nazwała Mini Sempere. Fernandito zatrudnił się w sieci domów handlowych i po latach został dyrektorem działu książki.

W 1981 roku, wkrótce po nieudanym zamachu stanu, który niemal przywrócił w Hiszpanii epokę kamienia łupanego, jeśli nie gorzej, Sergio Vilajuana opublikował w „La Vanguardii” serię reportaży poświęconych setkom przypadków odbierania dzieci ich prawdziwym rodzicom – w większości więźniom politycznym, po których zaginął ślad w barcelońskich więzieniach zaraz po wojnie domowej – zamordowanym, żeby zatrzeć ślady zbrodni. Oczywiście wybuchł skandal, który otworzył stare rany, o jakich jedni nie mieli pojęcia, a jakie inni chcieli za wszelką cenę ukryć. W następstwie tych reportaży wszczęto liczne dochodzenia, niektóre niezamknięte po dziś dzień, wyprodukowano całe oceany dokumentacji, złożono wiele pozwów w sądach cywilnych i karnych; cała sprawa dodała ludziom odwagi, żeby zbierać świadectwa i szukać informacji o tych najmroczniejszych w historii naszego kraju latach, pogrążonych dotąd w zapomnieniu.

Drogi czytelnik zadaje sobie pewnie pytanie, czy nasz tajemniczy Julián Sempere za dnia poświęcał się jedynie najemnej pracy w przemyśle reklamowym, nocami zaś niepokalanej dziewicy – literaturze? Otóż nie. Praca nad cyklem czterech książek, które sam wymyśliłem, a pisałem z pomocą Caraxa, po jakimś czasie z ucieczki do rajy zmieniła się w krwiożerczego potwora pragnącego pożreć to, co miał najbliżej, czyli mnie. Sam wpuściłem

tego potwora do swojego życia, a on nie chciał odejść, musiał więc nauczyć się współistnieć z moimi pozostałymi prywatnymi widmami. Podobnie jak mój drugi dziadek David Martín, i ja pochyliłem się nad przepaścią, która otwiera się w duszy każdego pisarza, a w końcu zawisłem nad nią uczepony palcami krawędzi.

W 1981 roku Valentina wyłoniła się na powrót ze swoich ciemności i ukazała mi się w scenie, której nie powstydziliby się sam Julián Carax. Stało się to pewnego popołudnia, kiedy bałem się, że mój mózg znajdujący się w stanie tak płynnym, zacznie mi wyciekać uszami. Udałem się do księgarni francuskiej, sceny pierwszej zbrodni, i najspokojniej w świecie buszowałem w sekcji nowości, kiedy znów ją zobaczyłem. Kompletnie mnie zamurowało, stałem jak słup, póki nie odwróciła wzroku i mnie nie zauważyła. Uśmiechnęła się, a ja rzuciłem się do ucieczki.

Złapała mnie na światłach przy ulicy Rosellón. Kupiła dla mnie książkę, a kiedy wziąłem ją z jej rąk, położyła mi dłoń na ramieniu.

– Dziesięć minut? – zapytała.

I oczywiście po chwili zaczęło padać. Chociaż to akurat było najmniej istotne. Po trzech miesiącach ukradkowych spotkań w jej kolejnym mieszkaniu na poddaszu z widokiem na połowę półkuli północnej zamieszkaliśmy razem, choć po prawdzie powinienem raczej powiedzieć, że wprowadziła się do mnie, gdyż wówczas miałem już luksusowy apartament w dzielnicy Sarrià, w którym było dla mnie samego zbyt wiele miejsca i pustki. Tym razem Valentina została ze mną przez dwa lata, trzy miesiące i jeden dzień. I oprócz tego, że złamała mi serce, bo oczywiście złamała, dostałem też od niej najpiękniejszy prezent, jaki ktokolwiek mógłby mi podarować: córkę.

Ochrzciliśmy Alicję Sempere w sierpniu 1982 roku. Rok później Valentina zaczęła przebąkiwać o rozstaniu i po kilku nieudanych próbach, po których zawsze pozwalałem jej wrócić, opuściła mnie na dobre. Tym razem na zawsze. Zostałem z Alicją i już nigdy nie byłem sam. Córeczka ocaliła mi życie, nauczyła mnie, że wszystko, co robię, ma jakiś sens tylko i wyłącznie ze względu na nią. Przez długie lata, kiedy próbowałem skończyć swoje przeklęte książki, choćby tylko po to, żeby się wreszcie od nich uwolnić, Alicja była przy mnie i dawała mi coś, w co nie wierzyłem: inspirację.

Miałem kilka przelotnych romansów, było kilka kandydatek na przyszywaną

mamę dla Alicji, życzliwych dusz, które nauczyłem się od siebie odsuwać. Córka powtarzała mi ciągle, że nie chce, żebym był sam, ja tłumaczyłem jej, że wcale sam nie jestem.

– Mam przecież ciebie – mówiłem.

Miałem córkę i całą galerię postaci uwiecznionych w pół drogi między rzeczywistością a fikcją. W 1991 roku uznałem, że jeśli tego nie zrobię, jeśli nie wyskoczę teraz z rozpędzonego pociągu, stracę tę niewielką część siebie, z jaką się jeszcze identyfikowałem. Porzuciłem na zawsze lukratywne zajęcie w branży reklamowej, by poświęcić resztę roku na ukończenie sagi.

Nie mogłem już wtedy dłużej udawać, że nie widzę pogarszającego się stanu Caraxa. Nauczyłem się myśleć o nim jak o osobie, która nie ma określonego wieku i nic nie może się jej stać. Traktowałem go jak ojca, kogoś, kto nigdy mnie nie opuści. Myślałem, że będzie żył wiecznie.

Julián Carax już nie zamawiał lodów truskawkowych podczas naszych spotkań. Kiedy prosiłem go o radę, bardzo rzadko cokolwiek poprawiał lub kreślił. Powtarzał, że wyfrunąłem już z gniazdka, zasłużyłem sobie na underwooda i dłużej go nie potrzebuję. Zdałem sobie z tego sprawę o wiele za późno, ale nie mogłem się dłużej oszukiwać: ten bezmierny smutek, który zawsze nosił w sobie, powrócił teraz ze zdwojoną siłą, żeby zabrać go ze sobą.

Pewnej nocy przyśniło mi się, że znika we mgle. Nad ranem wyszedłem go szukać. Przetrzęsnałem wszystkie miejsca, w których umawialiśmy się na spotkania przez ostatnie lata. Znalazłem go w końcu o świcie leżącego na grobie Nurii Monfort. Miał w ręku etui z piórem, które należało do mojego ojca, i list:

Julianie,

jestem dumny z tego, że byłem Twoim przyjacielem, i wdzięczny za wszystko, czego się od Ciebie nauczyłem.

Przykro mi, że nie będzie mnie przy Tobie, kiedy odniesiesz sukces, osiągniesz to, czego ja sam nigdy nie

potrafiłem osiągnąć. Pocieszam się jednak myślą, że chociaż na początku nie będziesz chciał w to uwierzyć, już mnie nie potrzebujesz, bo tak naprawdę nigdy mnie nie potrzebowałeś. Wyruszam na spotkanie z kobietą, której nie powinienem był opuszczać. Opiekuj się rodzicami i wszystkimi naszymi bohaterami. Opowiedz światu nasze historie i nigdy nie zapominaj o tym, że żyjemy dopóty, dopóki ktoś o nas pamięta.

Twój

JULIÁN CARAX

Tego samego popołudnia, a był 25 września 1991 roku, dowiedziałem się, że właścicielem kwatery tuż obok grobu Nurii Monfort jest barceloński ratusz. I jako że na pazerność wszelakich hiszpańskich instytucji zawsze można liczyć, pociągnąłem za odpowiednie sznurki i zapłaciłem bez mrugnięcia okiem astronomiczną kwotę, raz w życiu robiąc przyzwoity użytek z okazałych oszczędności pochodzących z czasów mojego flirtu ze światem sportowych samochodów i przedsięwziętych reklam cavy, do których upychaliśmy więcej tancerek rewiowych, niż pomieściłaby nieświadomość Busby'ego Berkeleya.

Pochowaliśmy mojego mistrza Juliana Caraxa w ostatnią sobotę września. Zabrałem na pogrzeb Alicję, która, zobaczywszy dwa groby tak blisko siebie, powiedziała, żebym się nie martwił, bo mój przyjaciel już nigdy nie będzie sam.

Trudno mi mówić o Caraksie. Czasem zastanawiam się, czy wzorem swojego drugiego dziadka, nieszczęsnego Davida Martina, nie wymyśliłem go, jak David wymyślił sobie wydawcę Corellego, żeby opowiedzieć o czymś, co nigdy się nie wydarzyło. Kilka tygodni po pogrzebie napisałem do madame Currygan i signora Coliccia, żeby powiadomić ich o śmierci Caraxa. Prosiłem ich w liście, żeby, o ile uznają to za stosowne, przekazali smutne wieści

również jego przyjacielowi Jeanowi-Raymondowi oraz innym znajomym pisarza. Madame Currygan podziękowała mi za list i poinformowała, że niedługo przed śmiercią Carax skontaktował się z nią i opowiedział o cyklu powieści, nad którym pracowaliśmy przez wszystkie te lata. Poprosiła, żebym przysłał jej manuskrypty, gdy już je ukończę. Carax nauczył mnie, że praca nad książką nie kończy się nigdy i że to książka, jeśli mamy szczęście, sama nas porzuca, żebyśmy nie poprawiali jej do kresu naszych dni.

Pod koniec 1991 roku zrobiłem kopie manuskryptu – prawie dwa tysiące stron maszynopisu, tym razem wystukanego na underwoodzie, i posłałem je do dawnych agentów Caraxa. W głębi duszy wcale nie spodziewałem się od nich odpowiedzi. Zacząłem pracować nad kolejną powieścią, jeszcze raz idąc za radą swojego mistrza. „Czasem lepiej zająć umysł pracą, niż pozwolić mu na bezczynność, bo kiedy będzie się nudził, zacznie pożerać żywcem swego właściciela”.

Kolejne miesiące upłynęły mi na pisaniu powieści, która nie miała jeszcze tytułu, i długich przechadzkach po Barcelonie za rękę z Alicją, która nagle zapragnęła wiedzieć wszystko.

– Ta nowa książka będzie o Valentinie?

Alicja nazywała ją Valentiną, nigdy mamą.

– Nie. O tobie.

– Kłamiesz.

Podczas tych spacerów nauczyłem się odkrywać miasto na nowo, patrząc na nie oczyma własnej córki, i zrozumiałem, że mroczna Barcelona, w jakiej żyli moi rodzice, zaczęła się przejaśniać, chociaż w ogóle tego nie zauważaliśmy. Nagle okazało się, że świat moich wspomnień już nie istnieje, zastąpiła go jakaś wystylizowana i wyperfumowana dekoracja wyłożona czerwonymi dywanami z myślą o dobrych duszach, które ukochały słońce i plażę, turystach ślepych na zmierzch pewnej epoki. Epoka ta, miast lec w gruzach, rozwiła się w chmurę pyłu, którą do dziś przesycone jest nasze powietrze.

Cień Caraxa prześladował mnie bezustannie. Mama wpadała często z małą Isabellą. Alicja pokazywała jej swoje książki i zabawki, a było ich sporo, chociaż moja córka nie miała ani jednej lalki. Alicja nienawidziła lalek, służyły jej tylko do tego, żeby strzelać do nich z procy na szkolnym podwórku.

Pytała mnie, czy to jest w porządku, z góry znając odpowiedź. Pytała mnie również, czy Valentina się do mnie odzywała, wiedząc, że odpowiedź będzie ta sama.

Nigdy nie odważyłem się porozmawiać z matką o Caraksie, o tajemnicach i niedomówieniach ostatnich lat, ale coś podpowiadało mi, że o wszystkim wiedziała, gdyż przed mamą nie miałem żadnych tajemnic poza tymi, na które przymykała oko.

– Tata za tobą tęskni – powtarzała. – Powinieneś częściej zaglądać do księgarni. Nawet Fermín pytał mnie ostatnio, czy nie wstąpiłeś przypadkiem do zakonu kartuzów.

– Próbowałem skończyć książkę.

– Przez piętnaście lat?

– Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczałem.

– Będę mogła ją przeczytać?

– Nie wiem, czy ci się spodoba. W gruncie rzeczy nie jestem nawet pewien, czy powinienem ją publikować.

– Mogę wiedzieć, o czym jest?

– O nas. O nas wszystkich. To historia naszej rodziny.

Matka spojrzała na mnie bez słowa.

– Może powinienem ją zniszczyć – zasugerowałem.

– Ta historia jest twoja. Możesz z nią zrobić, co tylko zechcesz. Teraz, kiedy dziadka już nie ma, a sytuacja w kraju się zmieniła, nie sądzę, że komukolwiek zaszkodzą nasze sekrety.

– A tata?

– Być może lektura tej książki właśnie jemu zrobi najlepiej. Nie wydaje ci się chyba, że nie domyśliliśmy się, co robisz. Głupi nie jesteśmy.

– Mam w takim razie twoją zgodę?

– Mojej nie potrzebujesz. A jeśli chcesz zgody ojca, musisz sam o nią poprosić.

Odwiedziłem ojca któregoś ranka, kiedy spodziewałem się zastać go w księgarni samego. Starał się nie okazywać zaskoczenia moją wizytą, a kiedy

zapytałem, jak idzie interes, nie chciał przyznać, że księgarnia jest na skraju bankructwa i złożono mu niejedną ofertę kupna lokalu, w którym miałyby powstać sklepik z pamiątkami oferujący figurki Sagrada Familia i koszulki Barçy.

– Fermín ostrzegł mnie, że jeśli się zgodzę, podpali się naprzeciwko witryny w geście protestu.

– Rozumiem dylemat...

– Tęskni za tobą – powiedział, jak zwykle przypisując innym uczucia, których nie potrafił rozpoznać w sobie. – A u ciebie co słyhać? Mama mówiła, że rzuciłeś świat reklamy i poświęciłeś się pisaniu. Kiedy będę mógł sprzedać coś twojego?

– A czy mama mówiła ci, co to za książka?

– Oczywiście wyobrażam sobie, że zmieniłeś nam tożsamość i przemilczałeś ten czy inny kompromitujący szczegół, głównie po to, żeby nie wywołać skandalu wśród sąsiadów.

– Jasne. Jedyńm bohaterem, który eksponuje części wstydlive, jest Fermín. Należało mu się. Poza tym coś czuję, że będzie miał więcej fanów niż El Cordobés.

– Mam więc szykować miejsce w witrynie?

Wzruszyłem ramionami.

– Dziś odpowiedziało mi dwóch agentów, którym wysłałem maszynopis. To cykl składający się z czterech powieści. Paryski wydawca Émile de Rosiers jest zainteresowany ich publikacją. Niemiecka wydawczyni Michi Strausmann również złożyła mi ofertę na zakup praw. Agenci zapewniają, że ofert będzie znacznie więcej, chociaż muszę dopracować jeszcze milion szczegółów. Postawiłem dwa warunki: po pierwsze, muszę mieć zgodę rodziców i całej rodziny na opowiedzenie tej historii. Po drugie, saga ukaże się pod nazwiskiem Juliana Caraxa.

Ojciec spuścił wzrok.

– Co z Caraxem?

– Odnalazł wreszcie spokój.

Ojciec pokiwał głową.

– Mam więc twoje pozwolenie?

– Kiedy byłeś mały, obiecałeś mi, że opowiesz za mnie tę historię. Pamiętasz?

– Tak.

– Przez wszystkie te lata ani przez jeden dzień nie wątpiłem, że dotrzymasz słowa. Jestem z ciebie dumny, synku.

Ojciec przytulił mnie tak mocno, jak nigdy od dzieciństwa.

Odwiedziłem Fermina na Cmentarzu Zapomnianych Książek w sierpniu 1992 roku, w mieście trwały właśnie igrzyska olimpijskie. Barcelona przystroiła się w niezwykle światło i blask, w powietrzu unosiła się aura optymizmu i nadziei, jakich nie czułem w tym mieście nigdy wcześniej i, najprawdopodobniej, nie poczuję już nigdy więcej. Kiedy dotarłem na miejsce, Fermín zasalutował na powitanie. Zauważyłem, że bardzo się postarzał, chociaż oczywiście mu o tym nie powiedziałem.

– Myślałem, że pan umarł – przywitał mnie.

– Na razie jeszcze się nie udało. Pan za to, widzę, zdrowszy jak koń.

– To pewnie cukier z sugusów tak mnie konserwuje.

– Pewnie tak.

– Ptaszki ćwierkają, że uczyni nas pan sławnymi – zagaił Fermín.

– Zwłaszcza pana. Kiedy będą się do pana dobijać, żeby został pan twarzą kampanii reklamowych, proszę się ze mną skontaktować. Na tym akurat się znam.

– Zgodzę się tylko na udział w reklamach męskiej bielizny – odrzekł Fermín.

– Mogę więc liczyć na pańską zgodę?

– I błogosławieństwo *urbi et orbi*. Ale chyba nie przyszedł pan tylko po to.

– Dlaczego zawsze przypisuje mi pan jakieś ukryte intencje?

– Bo ma pan umysł zakręcony jak karuzela. Proszę to potraktować jak komplement.

– A po co w takim razie przyszedłem?

– Pewnie po to, żeby rozkoszować się moją niebanalną frazą. A może dlatego, że jestem panu winny pewną opowieść.

– Chyba więcej niż jedną.

Fermín zaprowadził mnie do pomieszczenia, które zawsze zamykał na klucz, żeby chronić je przed najazdami nieproszonych gości. Poprosił, żebym zajął miejsce w fotelu admirała, który kupił sobie na pchlim targu Encantes. Sam usiadł obok mnie na krześle. Wziął papierowe pudło i położył je sobie na kolanach.

– Pamięta pan Alicję? – zapytał. – To oczywiście pytanie retoryczne.

Poczułem, że serce zaczyna mi walić jak szalone.

Fermín otworzył pudełko i wyjął z niego plik listów.

– Nigdy panu tego nie mówiłem, uznałem, że tak będzie lepiej dla wszystkich, ale w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku Alicja wróciła do Barcelony, zanim wyjechała na zawsze. To było w dzień świętego Jerzego. Dwudziestego trzeciego kwietnia. Wróciła, żeby się, na swój sposób, pożegnać.

– Pamiętam to doskonale. Chociaż byłem małym chłopcem.

– Nadal pan nim jest.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Dokąd wyjechała?

– Pożegnałem się z nią na nabrzeżu. Wsiadła na statek, który płynął do Ameryki. Od tamtej pory w każde święta Bożego Narodzenia dostaję list bez adresu zwrotnego nadawcy.

Fermín wręczył mi plik trzydziestu listów.

– Może je pan otworzyć.

Każda koperta zawierała jedno zdjęcie. Stemple pocztowe wskazywały, że wysyłano je z różnych miejsc: Nowego Jorku, Bostonu, Waszyngtonu, Seattle, Denver, Santa Fe, Portland, Filadelfii, Key West, Nowego Orleanu, Santa Monica, Chicago, San Francisco...

Patrzyłem na Fermina, nie mogąc wykrztusić ani słowa. On zaczął nucić hymn Stanów Zjednoczonych, który w jego ustach brzmiał raczej jak sardana. Wszystkie zdjęcia zrobione były pod słońce, ukazywały tylko cień kobiety

odcinający się na tle parków, drapaczy chmur, plaż, pustyni lub lasów.

– Nie przysłała nic więcej? Jakiejś wiadomości? Czegokolwiek?

Fermín pokręcił głową.

– Nie. Aż do ostatniej przesyłki. Przyszła w ubiegłe święta Bożego Narodzenia.

Zmarszczyłem brwi.

– Skąd pan wie, że to ostatnia?

Podał mi kopertę.

Stempel pocztowy wskazywał, że wysłano ją z Monterey w Kalifornii. Wyjąłem z koperty fotografię i nie mogłem oderwać od niej wzroku. Tym razem widać było na niej coś więcej niż tylko cień. Zdjęcie przedstawiało Alicję Gris trzydzieści lat później, patrzyła w obiektyw i uśmiechała się do mnie z miejsca, które wydało mi się najpiękniejszym zakątkiem na świecie: za jej plecami rozciągał się półwysep pełen klifów i widmowych lasów, wcinający się w zasnutą mgłą Ocean Spokojny. Na stojącej obok Alicji tablicy widniał napis: POINT LOBOS.

Odwróciłem zdjęcie i zobaczyłem notkę skreśloną ręką Alicji.

Koniec drogi. Było warto. Jeszcze raz dziękuję, Panie Ferminie, za to, że tyle razy ocalił mi Pan życie. Niech ocali Pan również siebie i przekaze Julianowi, że ma uczynić nas wszystkich nieśmiertelnymi. Że zawsze na to liczyliśmy.

Z wyrazami miłości

Alicja

Łzy napłynęły mi do oczu. Chciałem uwierzyć, że w tym miejscu jak ze snu, tak daleko od naszej Barcelony, Alicja odnalazła wreszcie swoje przeznaczenie i spokój.

– Mogę ją zatrzymać?

– Jest pańska.

I wówczas zrozumiałem, że zamykam ostatni wątek tej historii i że od tej pory czekają na mnie życie i, przy odrobinie szczęścia, kolejne opowieści.

EPILOG

Barcelona
9 sierpnia 1992 roku

Młody człowiek, choć z kilkoma już siwymi włosami na skroni, idzie ulicami spowitej w mroki Barcelony pod księżycem, który zalewa Ramblę Santa Mónica srebrnym pasem poświaty. Trzyma za rękę dziewczynkę mniej więcej dziesięcioletnią, w jej spojrzeniu maluje się ogromna ciekawość, bo wieczorem tata obiecał, że pokaże jej Cmentarz Zapomnianych Książek.

– Alicjo, to, co dzisiaj zobaczysz, musisz zachować wyłącznie dla siebie. Nikomu ani słowa. Nikomu.

– Więc to będzie nasz sekret – mówi dziewczynka ściszym głosem.

Nagle niebo wybucha rozbłyskiem światła i sztuczne ognie ceremonii zamknięcia zatrzymują w kadrze obraz nocnej Barcelony, która już nigdy nie powróci.

Po chwili dwie sylwetki, ojca i córki, rozplývają się w tłumie zalewającym Ramblę, a ich kroki gubią się na zawsze w labiryncie duchów.



Ilustracja zainspirowana fotografią
z wnętrza kościoła Sagrada Familia.
Autor fotografii: Francesc Català-Roca



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz